GENIUS CREATIONS
GENIUSZE
fantastyki
antologia
Cholewa • Hałas • Kańtoch • Pawlak • Podlewski
Jamiołkowski • Majka • Kain • Krajewska • Pągowski • Wróbel
i inni

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

Geniusze fantastyki
Copyright © Wydawnictwo Genius Creations
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Joanna Wasilewska
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.
Wydanie pierwsze, Bydgoszcz 2016 r.

epub ISBN: 978-83-7995-057-7
mobi ISBN: 978-83-7995-058-4

Koordynacja projektu: Dawid Wiktorski
Redakcja: Dawid Wiktorski
Korekta: Matylda Zatorska
Projekt i skład okładki: Joanna Wasilewska
Skład i typografia: InkPad.pl

Wydawnictwo Genius Creations
MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Podmiejska 13 box 27
85-453 Bydgoszcz
sekretariat@geniuscreations.pl
www.geniuscreations.pl

Książka dostępna w księgarni: www.eBook.MadBooks.pl

SPIS TREŚCI

Krótka przedmowa

W tym szaleństwie jest metoda

Pierwsze zdanie – Michał Chmielewski

Wszystkich Świętych – Michał Chmielewski

Zachwianie równowagi emocjonalnej – Michał Chmielewski

Zombie w naszym mieście – Michał Chmielewski

Bunt maszyn – Michał Cholewa

Polowanie na Patriotyczną Ostrygę – Michał Cholewa

Mamonie – Rafał Cuprjak

Uchodźca – Rafał Cuprjak

Cykady nie mają dusz – Maria Dunkel

Judasz – Maria Dunkel

Ludzie, którym odebrano błoto – Maria Dunkel

Odcienie pustki – Maria Dunkel

Zimowa kraina – Maria Dunkel

Inny Zabójca Smoków – Marcin A. Guzek

Łzy Niebios – Marcin A. Guzek

Potępieniec – Marcin A. Guzek

…według Obolewian – Wiesław Gwiazdowski

Centurion – Wiesław Gwiazdowski

Myśliwi – Wiesław Gwiazdowski

Stanisz – Wiesław Gwiazdowski

Koriana – Agnieszka Hałas

W oczekiwaniu – Sebastian Hejankowski

Igła – Anna Hrycyszyn

Niespokojny Ogród – Paweł Imperowicz

Czarny Roman – Marcin Jamiołkowski

Joachim – Marcin Jamiołkowski

Mohernet – Marcin Jamiołkowski

Nowy Rok – Marcin Jamiołkowski

Szarawa – Marcin Jamiołkowski

Ekstrakcja – Dawid Kain

Epilepsja jest tańcem – Dawid Kain

Incydent – Dawid Kain

Sztuka porozumienia – Anna Kańtoch

Serce z lodu – Anna Karnicka

Drugi – Tomasz Kilian

Wspomnij mnie – Tomasz Kilian

Maski normalności – Iza Korsaj

Daję życie, biorę śmierć – Marta Krajewska

Zapach jej czerwony – Marta Krajewska

Zimna – Marta Krajewska

Ostatnia myśl – Marta Krajewska

Nieświt – Magdalena Kubasiewicz

Pieśń żywiołów – Artur Laisen

Pocałunek Królowej Piasku – Artur Laisen

Czarny piesek gryzie światło – Paweł Majka

Tam pracuj, ręko moja, tam świstaj, mój biczu – Paweł Majka

Cyberdziadek – Anna Nieznaj

Eggenburg pod Giewontem – Daniel Nogal

Golem z Festung Krakau – Daniel Nogal

Mechaniczny kanarek Chyrnowskiego – Daniel Nogal

Pan Mortimer, banshee i kiełbasa z dzika – Daniel Nogal

Armia ślepców – Romuald Pawlak

Krótki sen o opisaniu świata – Romuald Pawlak

Casus de Strigis – Marcin Pągowski

Szklany kompas – Marcin Podlewski

Miasteczko – Joanna Krystyna Radosz

Zwierciadło Czarnoksiężnika – Joanna Krystyna Radosz

Dom – Katarzyna Rupiewicz

Śląska legenda – Katarzyna Rupiewicz

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina – Jacek Wróbel

Po drugiej stronie oka – Jacek Wróbel

Stawka większa niż życie – Jacek Wróbel

Świąd – Jacek Wróbel

Traktat o transmechanizmie – Jacek Wróbel

Krótka przedmowa

Antologia, którą macie przed sobą jest prezentem autorów dla Was, Drodzy Czytelnicy, i dla nas (wydawnictwa Genius Creations) z okazji drugich urodzin. O projekcie, choć teoretycznie nic w Genius Creations nie ma prawa się dziać bez mojej zgody, usłyszałem, kiedy antologia była już gotowa. Całość w tajemnicy przygotował Dawid „Fenrir” Wiktorski. To jego ciężkiej pracy i determinacji zawdzięczamy ten wyjątkowy zbiór opowiadań.

Jestem szczerze wzruszony takim dowodem sympatii Autorów, których cenię i szanuję nie tylko za dorobek twórczy. Pragnę im w tym miejscu jeszcze raz serdecznie podziękować.

Uwierzcie mi, nie wiem, co znajdę na kolejnych stronach. Dla Was i dla mnie, tutaj zaczyna się wspaniałą przygoda. Nie traćmy więc czasu! Ruszajmy!

Marcin A. Dobkowski

W tym szaleństwie jest metoda

Nie jesteśmy megalomanami – od tej uwagi powinienem chyba rozpocząć przedmowę do całego projektu. Tytuł antologii nawiązuje wprost do nazwy naszego wydawnictwa.

Początkowo zbiór miał być „tylko” niewielkim prezentem dla czytelników z okazji drugich urodzin naszej oficyny. Dwieście, może trzysta stron, bo i skąd wziąć więcej opowiadań? Myliłem się, i to bardzo – nasi (i nie tylko) autorzy pokazali, że naprawdę można na nich polegać. Efektem są „Geniusze fantastyki”, najobszerniejsza antologia tego typu, jaka kiedykolwiek pojawiła się w polskiej sieci. 28 twórców, 64 opowiadania, około dwa i pół miliona znaków – te liczby robią naprawdę wielkie wrażenie. I mówię to jako osoba, która przez ostatnie trzy miesiące koordynowała całością, i powinna już teoretycznie przywyknąć.

Mam nadzieję, że „Geniusze fantastyki” was zainteresują – każdy z autorów porusza wiele tematów, wątków i motywów, na dodatek w niepowtarzalny sposób. Są tu zawarte historie poważne, jak i groteskowe; te z gatunku fantasy, jak i rozgrywające się w przestrzeni kosmicznej; krótkie i długie. Wybór jest ogromny.

Dwa lata funkcjonowania na rynku wydawniczym to, wbrew pozorom, długi czas. Na tyle długi, że można poświęcić kilka minut na refleksję nad kierunkiem, który obraliśmy i postępami w tworzeniu Genius Creations.

Te dwa lata to prawdziwy kalejdoskop. Były momenty bardzo trudne, ale były też takie chwile, gdy nasze starania przynosiły wyraźny efekt, a czytelnicy doceniali nasze książki i inicjatywy. Oby antologia, jako jedna z takich inicjatyw, także zasłużyła na Wasze uznanie.

Kto przyczynił się do powstania tej antologii? Wiele osób. Przede wszystkim składam serdeczne podziękowania autorom, którzy zgodzili się udostępnić swoje teksty, a potem współpracować przy ich odświeżaniu i poprawianiu. Współpraca z wami była prawdziwą przyjemnością i cieszę się, że wszyscy potraktowaliście projekt poważnie.

Przede wszystkim jednak gorące podziękowania należą się Marcinowi Dobkowskiemu, twórcy Genius Creations.

Cóż zatem rzec więcej? Pozostaje mi już tylko życzyć przyjemnej, satysfakcjonującej lektury.

Dawid „Fenrir” Wiktorski

Pierwsze zdanie – Michał Chmielewski

Miałem pomysł na historię. Oryginalny, najlepszy, na jaki dotychczas wpadłem. Po prostu genialny. Co prawda z poprzednimi było podobnie – prędzej czy później okazywało się, że genialne na pewno nie są, do najlepszych też nie należą, daleko im też do oryginalności.

Lecz nie potrafiłem wymyślić pierwszego zdania.

Mijały dni, historia grzała się na palniku mojej wyobraźni, dopracowywałem szczegóły, detale bohaterów, by uczynić ich jeszcze bardziej realnymi. Robiłem notatki, pisałem na fiszkach, ale wciąż nie mogłem ułożyć pierwszego zdania. Nic nie pasowało, nic nie oddawało tego, co chciałem przekazać.

To miała być powieść katastroficzna, o ludziach walczących o przeżycie, o tragedii na światową skalę.

Tylko to pierwsze zdanie…

Zacząłem chodzić na spacery, każdego dnia coraz bardziej sfrustrowany. Zabierałem ze sobą laptopa i siadałem na trawie, oczekując na inspirację niesioną wiatrem, ten chwilowy przebłysk geniuszu – tylko na kilka słów. *Potem pójdzie z górki* – powtarzałem sobie. Wszystko rozplanowałem, każdy dialog, każdą akcję. Głęboko wierzyłem, że ta historia skradnie serce jakiemuś

redaktorowi, ten zaniesie ją do szefa wydawnictwa i oznajmi z wypiekami na twarzy, że dawno nie czytał czegoś równie wspaniałego.

Mało tego! Liczyłem, że powieść zyska nie tylko przychylność wydawnictwa, ale i czytelników – tak polskich, jak i zagranicznych. Marzyłem o głośnym debiucie, o wywiadach i spotkaniach autorskich, na które brakuje miejsc; pragnąłem wystąpić w telewizji śniadaniowej, opowiadać przed kamerami jak wpadłem na pomysł napisania tak wspaniałej i przerażającej historii. Czekałem na wywiady dla zagranicznych serwisów, intratne kontrakty, wyczekiwałem zachwytów jak w przypadku skandynawskich kryminałów.

Byłem gotów.

Niestety, wszystko to kryło się za pierwszym zdaniem, którego wciąż nie mogłem dostrzec.

Rwałem włosy z głowy, klątem, piłem, paliłem, odchodziłem od zmysłów; aż dziw, że na moim czole nie rosił się krwawy pot. Wszędzie zapisywałem zdania, które przychodziły mi do głowy – na biletach, rachunkach, chusteczkach higienicznych, na dłoniach – i przyglądałem im się z rosnącą frustracją. Czułem się jak naukowiec, który jest o krok od rozwiązania.

Pierwsze zdanie ustawia całą powieść – wierzyłem w to równie mocno, jak nie wierzyłem w Boga i życie pozagrobowe. Ale to już wkrótce miało się zmienić.

Odwiedził mnie Diabeł.

* * *

Wtedy oczywiście nie wierzyłem. Siedziałem w kuchni przy stole, ćmiąc papierosa. Za oknem panowała późna noc, w okna stukał gęsty deszcz. Przy komputerze leżało kilka wydrukowanych kartek – wszystkie zapełnione pierwszymi zdaniami.

Pomyślałem, że w zamian za pierwsze zdanie oddałbym duszę Szatanowi. I właśnie wtedy zapukał do drzwi.

Otworzyłem. Miał pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt lat i wyglądał na cwanego oraz charyzmatycznego staruszka, którego wzrok przewiercał mnie na wylot.

Spytał, czy może wejść. Zgodziłem się. Może potrzebował pomocy?

Przedstawił się.

– Jestem Diabłem – powiedział i w tym momencie, jak w tanim filmie, za oknem piorun uderzył w ziemię z potwornym grzmotem.

Nie dałem mu wiary, a mimo to wpuściłem go do środka, zaproponowałem herbatę i spytałem, czy potrzebuje do kogoś zadzwonić.

Nie potrzebował.

Przeszedł do kuchni zdecydowanym krokiem, jakby wiedział, gdzie jest, i usiadł przy laptopie. Wtedy zaproponował umowę.

– Napiszę pierwsze zdanie twojej powieści, jeśli oddasz mi swoją duszę.

No tak, dziadek zwariował.

– Nieprawda – odpowiedział, a mnie zatkało.

Zaintrygował mnie ten cały… Diabeł.

– O czym piszesz?

– O katastrofie – powiedziałem. Czułem suchość w gardle.

– Co zatem stoi na przeszkodzie?

– Pierwsze zdanie.

Wytłumaczyłem mu, że to musi być coś. COŚ. Absolutny majstersztyk.. Ta historia musi znaleźć oddźwięk w mediach, wydawnictwa mają bić się o prawa do jej wydania, a Hollywood błagać o pozwolenie na produkcję filmu.

Krótko mówiąc, o tej historii ma usłyszeć cały świat.

Diabeł uśmiechnął się szelmowsko.

– Jeśli oddasz mi swoją duszę, napiszę pierwsze zdanie, a wtedy cały świat usłyszy o tej historii.

Żartowniś – pomyślałem, ale się zgodziłem. Diabeł wyciągnął dłoń, a ja ją uścisnąłem.

Spojrzał na monitor, podrapał się palcem po brodzie i niby od niechcenia wklepał pierwsze zdanie.

– Do zobaczenia – powiedział, wychodząc. – Bo na pewno jeszcze się zobaczymy.

Zamknąłem za nim drzwi, pokręciłem głową – muszę uważać, kogo wpuszczam do domu – i wróciłem do laptopa.

Zdanie, które staruszek – czy też Diabeł – napisał, było genialne. Wpatrywałem się w nie przez dłuższy czas. Idealne, wspaniałe. Kilka słów, jeden przecinek – i wszystko było jasne. Próbowałem dodać coś od siebie, coś zmienić, ale nic nie równało się z tym, co napisał Diabeł.

* * *

Na drugi dzień wziąłem wolne, by poświęcić powieści jak najwięcej czasu. Czułem, że to będzie to. Zdania wylewały się ze mnie, odgłos stukania w klawisze rozchodził się po całym domu. Mało jadłem, mało piłem. Musiałem zarwać kilka nocy – pisałem właśnie kluczowe, jak się okazało, fragmenty. Bałem się, że je stracę, jeśli zostawię je na następny dzień.

Tydzień później napisałem ostatnie zdanie i postawiłem kropkę. Po głębokim oddechu dopisałem „koniec”. Nie wybuchły fajerwerki, nie usłyszałem muzyki. Poczułem za to cały ten tydzień w kościach – tyłek i plecy bolały mnie niemiłosiernie, w głowie miałem pustkę, a w oczach jakby piach.

* * *

Następny dzień spędziłem przed telewizorem, z przerażeniem wgapiając się w jego ekran. Katastrofa zdarzyła się naprawdę. Na własne oczy widziałem to, co napisałem.

Nadawały o tym wszystkie media, wszystkie bez wyjątku – każda stacja radiowa i telewizyjna, a nazajutrz miała dołączyć do nich prasa.

Teraz jednak słuchałem i oglądałem wybuchy, które rejestrowały dziesiątki, jeśli nie setki kamer. Ujęcia z każdego kąta, opatrzone komentarzami reporterów. Relacje świadków, płacz, ucieczkę ludzi na ulicach, zakrwawione twarze. Gęsty dym zasłaniający słońce i niebo.

Całe oczy świata były zwrócone na to, co napisałem.

Nie musiałem zaglądać do laptopa – doskonale wiedziałem, że koszmar jeszcze długo się nie skończy. Będzie się ciągnął tygodniami wraz z nowymi ciałami niewinnych ludzi, ich szczątkami odnalezionymi w gruzach. Płacz rodzin czekających na powrót bliskich. Ojcowie dzieci i żony mężów będą mówić do kamer i mikrofonów, że ciągle wierzą, że nadzieja umiera ostatnia. Jednak każdy, kto widział w telewizji, co się działo, zrozumie, że to przegrana sprawa. Ocalałych będzie znacznie mniej niż tych, którzy zginęli. I tylko ja wiedziałem, że to jeszcze nie koniec.

To potrwa się znacznie dłużej, pochłonie więcej ofiar niż można sobie wyobrazić. Tego dnia, w tym jedynym miejscu, zginie więcej ludzi niż kiedykolwiek wcześniej. Dokładnie tak, jak napisałem.

– *Cały świat usłyszy o tej historii* – tak powiedział Diabeł.

I usłyszał. Miał słyszeć jeszcze długi czas. Pojawią się nowe fakty, indywidualne historie ofiar, służby specjalne znajdą winnych, a koszmarne ujęcia będą powtarzane przy każdym wydaniu wiadomości, programów śniadaniowych i gdzie tylko się da.

Moja dusza.

Cały świat usłyszał o tej historii, dokładnie tak, jak powiedział. A co z moją duszą? Nie wiem. Boję się. Czy czeka mnie ponowne spotkanie z Diabłem? Może przyjdzie do mnie jutro, może jeszcze dzisiaj, i zaproponuje kolejny układ? Czy po śmierci moim udziałem będzie piekło, kąpiele

we wrzątku i spacery po żarze? Nie wiem. Wiem tylko, że się boję.

* * *

Diabeł spisał się znakomicie. Wszyscy o tym słyszeli, cały świat widział, co wydarzyło się tego pamiętnego dnia. Wy też widzieliście, jestem tego pewien. Jeśli nie – sprawdźcie w Internecie. Wpiszcie tylko „11 września”.

Wszystkich Świętych – Michał Chmielewski

Stanął przed bramą z wielkim metalowym napisem – „CMENTARZ BASKIN ZACHODNIE” – przepuszczając kilka osób. Wziął głęboki oddech i wszedł na teren nekropolii.

Pierwszy listopada, Święto Zmarłych, godzina dziewiąta wieczór. Wszystkie nagrobki pokryte były płonącymi zniczami, które tworzyły wielką łunę widoczną z drugiego końca miasta. Odwiedzających było mnóstwo – krążyli pomiędzy nagrobkami, czytali epitafia, pocierając dłonie.

Zauważył sporo trzymających się za ręce par.

Czyżby w takim miejscu mogło być coś romantycznego? – pomyślał.

Panował melancholijny nastrój. Niektórzy zamieniali ze sobą kilka uprzejmych zdań i rozchodzili się w swoje strony. Co chwila zawiewał lodowaty, listopadowy wiatr – zwiastun nadchodzącej zimy.

– Hej, Piotr! – Jakub podbiegł do niego, klepiąc go w ramię. – Wcześnie jesteś w tym roku.

– Chciałem z nim porozmawiać – odpowiedział.

– Z Markusem?

Przytaknął.

– O czym? Zresztą, znasz go. Przecież wiesz, że nic ci nie powie. Będzie się tylko mądrzył, jak to zawsze on, i tyle sobie z nim porozmawiasz.

Wzruszył ramionami. Może tak, może nie. Nie miał nic do stracenia – już nie – więc warto było spróbować.

– Dużo nowych w tym roku? – spytał.

– Trzydziestu siedmiu. W tym jeden tragik.

Szli środkiem deptaka. Nikt nie zwracał uwagi na ich głośną rozmowę.

– Ile on już tu jest?

– Markus? – Jakub zrobił teatralną minę wyrażającą głębokie zastanowienie. – Nie wiem. Długo. Kilkadziesiąt lat na pewno. Dzisiaj widziałem go w rogu cmentarza, za niemowlakami.

Piotr przełknął ślinę. Niemowlaki. Nigdy nie lubił tam chodzić. Spojrzał ukradkiem na Jakuba, zastanawiając się, w jaki sposób zachowuje taki optymizm wobec tego wszystkiego.

– Ach! – zawołał Jakub. – Chodź, muszę coś ci pokazać! Dzisiaj się nauczyłem!

Niechętnie ruszył za nim między nagrobki.

– Co takiego? – spytał zniechęcony. Przede wszystkim musiał – musiał! – porozmawiać z Markusem i nie chciał marnować ani chwili.

Jakub stanął przy czuwającej czteroosobowej rodzinie.

– Patrz – powiedział i szybkim dmuchnięciem zgasił jeden ze zniczy. Potem drugi i trzeci.

– Cholerny wiatr – odezwał się mężczyzna.

– Rysiek! – skarciła go żona, po czym podała chłopcu zapalniczkę. – Tomuś, zapal je z powrotem, dobrze?

Chłopiec podszedł do pierwszego znicza, zatrzymując się tuż przy Jakubie. Próbował odpalić zapalniczkę, ale przy każdej próbie Jakub zdmuchiwał – puff! – pojawiający się płomyk. Wraz z dźwiękiem odpalania – cyk! – posypały się malutkie iskierki.

– Nie działa – mruknął chłopiec.

– Na pewno działa – powiedziała matka. – Spróbuj jeszcze raz.

Scena powtórzyła się jeszcze kilka razy. Cyk – puff! Cyk – puff! Cyk – puff!

Jakub drażnił się z chłopakiem jeszcze chwilę, dopóki nie zauważył, że Piotr obrócił się na pięcie i odszedł w stronę deptaka.

– Ej, poczekaj! – Jakub pobiegł za nim, skacząc po marmurowych płytach. – Nie bądź taki sztywniak!

Skacząc z jednej na drugą, poruszył kilka wieńców i zniczy. Stojący w zamyśleniu ludzie przypisali to wiatrowi, który nawet jak na tę porę roku był nie do zniesienia. Niektórzy poczuli jeszcze dziwny niepokój, coś jakby wewnętrzny chłód.

– Nie skacz po nagrobkach! – krzyknął Piotr. W dalszym ciągu nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Daj spokój, człowieku.

Piotr stanął w miejscu, przyglądając się Jakubowi. Stał teraz na grobie Wacława Zielonkowicza, przy którym czuwało kilka osób.

– Zejdź.

– Dobra, już dobra. – Jakub zeskoczył, potrącając znicz. Jedna z kobiet natychmiast go podniosła i odpaliła z powrotem. – Nie jesteśmy dziś w sosie, co?

– Nie o to chodzi. Chciałbyś, żeby ktoś tak traktował twój wieczny spoczynek?

– E tam. Na pewno mi zazdrościsz. Zazdrościsz mi, co, bo teraz mogę poruszać przedmiotami. W końcu mogę się czuć jak prawdziwy duch. Wiesz, ile na to czekałem?

Piotr patrzył na niego z politowaniem.

– Tylko na tym ci zależy? Serio, tylko na tym?

– A na czym może mi zależeć? – Jakub krzyknął na cały cmentarz. Nikt go nie usłyszał. – Jesteśmy martwi!

* * *

Jakub był nieugięty.

– Tracisz czas – powiedział.

– Jak mówiłeś. Mam całą wieczność.

– Nie, jeśli chcesz zrobić to, co myślę, że chcesz zrobić.

Piotr nie odpowiedział.

Szli deptakiem, zbliżając się do trzech dziewcząt. Siedziały na ziemi, tworząc trójkąt.

– Siema, dziewczyny! – zawołał Jakub.

– Gdzie idziecie? – spytały wszystkie naraz.

Piotr przerwał Jakubowi.

– Przejść się. Zaraz wracamy.

Gdy odeszli, Jakub spytał go szeptem, dlaczego nie powiedział im prawdy. Piotr zauważył, że spacerujący ludzie

omijają utworzony przez dziewczyny trójkąt i zadał sobie pytanie, czy robią to świadomie. Pewnie nie.

– Poszłyby za nami – odpowiedział Jakubowi. – Chcę porozmawiać z nim sam.

Jakub kopnął leżącą na ziemi gałąź.

– Wiesz, może on faktycznie wie, co jest po drugiej stronie. Mówi, że wie i większość z nas mu wierzy. Ale on nigdy nie powiedział o tym ani słowa. Każdy, kto chce się tego dowiedzieć, musi tam iść sam. Dlaczego w ogóle teraz nagle się tym interesujesz?

Bo chcę tam iść – pomyślał. Zbliżali się do tylnej bramy cmentarza. Po lewej, ponad nagrobkami, majaczył zarys postaci.

– To do zobaczenia – powiedział Piotr, zostawiając Jakuba. Wszedł między stare nagrobki, zapomniane przez rodziny i zniszczone przez czas.

Stanął przy grobie. Na wielkim, marmurowym krzyżu siedział Markus. Wyglądał na dwadzieścia parę lat. Miał długie włosy i dwudniowy zarost.

Prawie jak Kurt Cobain – ocenił Piotr.

– Bardzo trafnie – powiedział Markus. – Lubiłem go, słuchałem jego muzyki. Wielki gość.

Czyta w myślach?

– Tak – powiedział Markus, sięgając po jedynego zapalonego znicza. – Czytam wszystko.

Odpalił papierosa i odłożył znicz na miejsce.

Patrzył jak papieros wędruje do ust Markusa, patrzył jak się zaciąga i wydmuchuje dym.

Ciekawe, jak smakuje? – pomyślał.

– Jak powietrze – rzekł Markus.

Przyjrzał się nagrobkowi. Tak jak inne w tej części cmentarza, ten również nie prezentował się najlepiej. Epitafium głosiło „Markus Herman, kochany synek”.

– To twój? – spytał Piotr.

Markus odpowiedział skinięciem głowy.

– Dlaczego chcesz wiedzieć? – spytał Piotra, nie spuszczając z niego wzroku. – Po co ci wiedza, co jest tam, po drugiej stronie?

Spodziewał się tego pytania. Miał przygotowaną odpowiedź, nawet kilka, wszystkie ułożone tak, by pociągnąć Markusa za język. Był martwy, miał przed sobą całą wieczność tu, na Ziemi, w postaci niczego. Mógł widzieć, nie mógł nawiązać kontaktu. Nie mógł czuć zapachu, dotyku, wzroku żywej osoby ani z nią rozmawiać.

– Nie tego chciałem – odpowiedział. – Nie tego oczekiwałem, gdy odbierałem sobie życie.

* * *

Markus wciąż ćmił papierosa.

– To, gdzie teraz jesteśmy – powiedział, omiatając ręką cmentarz – można nazwać to czymś w rodzaju stanu przejściowego. Poczekalni.

Kilku chłopaków zapuściło się w tę część cmentarza, opowiadając sobie historie o nawiedzających go duchach. Jeden z nich zerkał podejrzliwie w ich stronę. Coś wyczuwał.

– Jak tam jest? – spytał Piotr.

– Po drugiej stronie? Nie wiem, czy mogę udzielić ci zadowalającej odpowiedzi. Nie wiem, czy są takie słowa.

– Ale byłeś tam, tak?

– Byłem.

Piotr zastanawiał się nad kolejnym pytaniem.

– Czym jesteśmy?

Markus zeskoczył z krzyża i usiadł obok niego.

– Duchami – powiedział, uśmiechając się. – Cóż, to banalne, ale taka jest prawda. Jak zwał, tak zwał, kino i telewizja tak nas określają, niech tak będzie. Jesteśmy tym, co zostało z tego. – Markus postukał palcem w skroń. – Świadomością, która straciła swoje naczynie. Pilotem bez samolotu.

– Jest ktoś, kto kieruje tym wszystkim? Tymi…

– Zaświatami? Innymi słowy, pytasz, czy on – Markus uniósł palec do góry – istnieje?

Piotr przytaknął powoli, niepewnie.

– Tego akurat nie mogę ci powiedzieć.

– Ale wiesz?

– Wiem. Wiem wszystko. W tym właśnie tkwi problem. Widzisz, po tym, jak postanowiłem wyjść z tej, jak to nazywamy, poczekalni, uświadomiłem sobie, dlaczego nie zrobiłem tego wcześniej. Chcesz wiedzieć, dlaczego?

Piotr ponownie skinął głową.

– Z tego samego powodu co wszyscy. Wszyscy chcą zobaczyć się z bliskimi. Porozmawiać z nimi po raz ostatni, tak jak ty i inni. Nikt nie wie, co jest po drugiej stronie, gdy

przekroczy się granicę ostatecznie. Czy jeszcze ich zobaczysz? Rozpłyniesz się w niebycie?

Zabawne – pomyślał Piotr. *Najpierw boimy się śmierci, która jest jedną wielką niewiadomą, a potem boimy się kolejnej niewiadomej.*

Przez chwilę siedzieli w milczeniu. Markus nadal palił, obojętnie przyglądając się ludziom.

– Powiedz, Markus, proszę. Co jest po tamtej stronie?

Markus wzruszył ramionami.

– Nie wiem, co ci powiedzieć. Większość z was myśli, że nie chcę mówić, ale ja zwyczajnie nie potrafię tego opisać. Nikt stamtąd nie wrócił, to pewne. Ja jestem wyjątkiem, sam nie wiem, jak to zrobiłem. Ale udało mi się. W każdym razie, co tam jest. Tam jest wieczność. Wszystko i nic. Inaczej tego nie potrafię opisać. Istniejesz i jakby cię nie było. Uczucie spokoju. To chyba właśnie dlatego do tej pory nikt nie chce wracać.

– Ale ty wróciłeś.

– O tak. Nie podobało mi się. Tak szczerze, z całego serca, nie podobało mi się! Jeżeli to ma być prezent od stwórcy za przebrnięcie życia, to ja dziękuję. Nawet zapalić tam nie mogłem.

Rzucił petem o ziemię, jednak Piotr nie zauważył, by niedopałek gdziekolwiek wylądował. Po prostu zniknął.

Minęła dłuższa chwila. Milczeli. Jak starzy kumple, którzy nie muszą nieustannie do siebie mówić, by czuć się dobrze w swoim towarzystwie.

Zza nagrobków wyłonił się staruszek. Podszedł do nich wolnym krokiem, uśmiechając się przyjaźnie.

– Cześć, Markus – przywitał się. – A to kto?

– Piotr. Miło mi pana poznać.

– Henryku. – Markus stanął przed staruszkiem. Jego twarz rozpromieniał szeroki uśmiech. – To dzisiaj.

Henryk uśmiechnął się. To był uśmiech człowieka, który bardzo długo czeka na coś, na czym bardzo mu zależy. I nadszedł dzień, w którym to dostaje.

– Idź – powiedział Markus. – Idź i czekaj na nią.

Obaj odprowadzili staruszka. Szedł wolno i szybko jednocześnie.

Markus skinął delikatnie głową.

– Długo czekał.

– Na co?

– Zobaczysz później. – W jego ustach ponownie pojawił się papieros, tym razem odpalony.

– Dasz bucha? – spytał Piotr.

Markus podał mu papierosa bez słowa.

Faktycznie. Smaku tyle co w czystym powietrzu.

* * *

Jakub dotknął czubkiem palców uciekającego przed nim Krystiana, który zginął w paskudnym wypadku samochodowym, i zaczął biec.

– Ganiasz!

Krystian ruszył za nim w pościg, skacząc po nagrobkach.

Pojawił się Piotr.

– O, jesteś. – Jakub zatrzymał się przy nim. – Bawisz się? Jak tak, to ścigasz.

– Nie, dzięki – odpowiedział. – Wy też powinniście przestać. Rozwalacie znicze, nie widzicie tego?

Jakub rozejrzał się dookoła. Faktycznie. Ludzie, zdziwieni dziwnymi porywami wiatru, stawiali je z powrotem.

Nagle pojawił się Krystian, więc Jakub zaczął uciekać, potykając się o własne nogi. Piotr dusił w sobie śmiech. Zaiste, całkiem to zabawne. Grupka duchów nastolatków biega po grobach, a żywi nie wiedzą, co się dzieje.

Kawałek od nich stała Natalia. Rok temu utonęła w jeziorze za Baskin. Daleko od brzegu złapał ją skurcz. Krzyczała, ale było za późno. Zniknęła w podwodnych ciemnościach. Szesnaście lat. Jaka szkoda.

Podszedł do niej.

Przyglądała się swojej rodzinie. Młodszy braciszek i rodzice stali blisko siebie, wpatrując się w jej grób. Tuliła się do matki, która czuła dziwny, przeszywający chłód.

– Cześć, Natka.

– Cześć. – Szybko odkleiła się od rodziny, wycierając łzy.

Dobiegły ich krzyki i śmiechy Jakuba i reszty.

– Uspokoić ich? – spytał.

– Nie. Nie trzeba. To i tak nic nie da.

Przyjrzał się twarzy jej matki. Na oko czterdziestka, ale śmierć córki postarzała ją o jakieś dziesięć lat. Rozpacz na jej twarzy mówiła wszystko – straciła chęć do życia i jedyne,

co powstrzymywało ją przed włączeniem gazowej kuchenki i odpaleniem zapałki, to drugie dziecko, mąż i silne środki antydepresyjne.

– Wiesz… – odezwała się dziewczyna. – Chciałabym im powiedzieć, że wszystko w porządku. Nie lubię patrzeć na ich smutne twarze.

– Za jakiś czas im się polepszy. Będzie dobrze.

– Niby tak, ale trochę to potrwa. To zawsze długo trwa. Wiem, że mama bierze dużo tabletek. Za dużo.

Piotr chciał coś dodać, pocieszyć, że jej przejdzie, odzyska radość życia i tak dalej, ale nie było sensu. Stał w milczeniu, słuchając szeptów i krzyków dochodzących gdzieś z oddali.

Znowu pojawił się Jakub. Udało mu się uciec, zatrzymał się przy nagrobku Natalii. Uśmiechnął się głupkowato i pobiegł dalej. Zatrząsł się znicz.

Odszedł bez słowa, rozmyślając o tym, co powinien dzisiaj zrobić.

Wieczność.

To brzmiało lekko, wręcz banalnie, jednak słysząc to z ust Markusa, poczuł wagę tego słowa. Całe życie człowiek uczy się, że nic nie trwa wiecznie, a tymczasem to czekało na nich po drugiej stronie.

Mijał ludzi. Niektórzy, przechodząc obok niego, zapinali kurtki pod samą szyję. Kilkuletnie dziecko odprowadziło go wzrokiem. Czy go widziało? Możliwe. Dzieci dostrzegają więcej niż dorośli. Mijał nagrobki obstawione rozświetlonymi zniczami, ozdobione nowymi wieńcami,

uprzątnięte, zadbane. Ale były też te zapomniane, nieodwiedzane od lat, popękane, przechylone.

Po chwili zdał sobie sprawę, dokąd idzie. Niemowlaki.

Nie chcesz tego zobaczyć – upominał się w duchu. Jednak czy był duchem, czy nie, nadal posiadał tę charakterystyczną dla ludzi cechę. Ten rodzaj ciekawości, który namówi cię, byś wspiął się na najwyższą gałąź na drzewie, a potem zostawia cię sam na sam ze strachem, który nie pozwala ci zejść. Mimo to poszedł dalej, słysząc pierwszy krzyk dziecka. Po chwili dołączyły do niego kolejne. Było ich więcej i więcej. Przyłączyły się do nich odgłosy gaworzenia.

Stanął, gdy dotarł na miejsce, i rozejrzał się dookoła. Sektor niemowlaków. Tu chowano tylko małe dzieci. Mogiłki ozdobione drobnymi krzyżami. Nagrobki znajdowały się w zdecydowanej mniejszości – wszystkie brudne i zapomniane.

Na każdej mogile i nagrobku leżało dziecko. Ten najbliżej Piotra trącił jego nogę rączką, wiercąc się i patrząc mu w oczy. Nie płakał, jak pozostałe. Dopiero gdy ruszył dalej, maluch zaczął kwilić.

Gaworzenie i płacz roznosiły się po całym cmentarzu, a ludzie przechadzali się, kompletnie tego nie słysząc.

* * *

Nad ranem, gdy na cmentarzu nie było już nikogo żywego, zaczęli pojawiać się nowi. Jakub wraz z innymi chłopakami usiedli na pierwszych nagrobkach, obserwując

wszystko. Reszta duchów stała tuż przy głównym wejściu, czekając. Tuż nad ziemią unosiła się delikatna, mleczna mgiełka.

Jako pierwsza pojawiła się stara kobieta o siwych włosach i dziecięcym spojrzeniu, ubrana w sięgającą kostek nocną koszulę. Weszła na teren cmentarza boso. Za nią widniał odwrócony napis „CMENTARZ BASKIN ZACHODNIE”.

– Dzień dobry – powiedziała do zgromadzonych. Uśmiechała się delikatnie. – Nie jestem pewna, czy dobrze trafiłam.

– Och, myślimy, że trafiła pani bardzo dobrze – powiedział ktoś z tłumu.

– Nazywam się Elżbieta Wańczak i… wydaje mi się, że umarłam.

– Witamy cię, Elu – powiedział Markus. – Ktoś od dawna na panią czeka.

Tłum rozstąpił się, robiąc miejsce dla ducha o imieniu Henryk, z którym Markus zamienił kilka słów. Staruszek uśmiechnął się delikatnie, ona zaczęła szlochać, zasłaniając usta dłonią.

– Henryku…

– Elu…

Wszyscy przyglądali się temu spotkaniu.

– Długo musiałem na ciebie czekać, skarbie.

Kobieta dotknęła policzka mężczyzny, musnęła palcami jego suche usta i w końcu przytuliła. Z jej oczu płynęły łzy.

– Modliłam się o to, by jeszcze raz ciebie zobaczyć.

Pojawiały się kolejni, wszyscy tak samo zdezorientowani, nie do końca wierząc w to, co się działo. Byli martwi. Tak jest, tak wygląda życie po życiu.

Każdego z nowo przybyłych ktoś odprowadzał do jego nagrobka. Na ich widok niektórych ogarniała histeria, innych apatia, jeszcze innych ulga. Ich droga się skończyła. Padały pytania. Czy to właśnie jest śmierć? Co muszą teraz zrobić? Czy ktoś się nimi zaopiekuje? Czy istnieje Bóg? Gdzie jest? Co mamy teraz robić?

Piotr, który do tej pory trzymał się z boku, ujrzał tragika. Oto i on. Szedł samotnie, młody chłopak z rozbieganym wzrokiem, wyraźnie zmieszany. Zszedł z deptaka i stanął z boku, przyglądając się wszystkim. Widać było, że nie wie, co ze sobą zrobić. Wtedy Piotr postanowił do niego podejść.

– Cześć – powiedział. Chłopak odpowiedział wystraszonym spojrzeniem. – Spokojnie, nic ci się nie stanie.

– Przepraszam, ale… ale nie wiem, czy powinienem tu być.

Piotr kiwnął głową.

– Tak, wiem. Nikogo z nas nie powinno tu być.

Nastała niezręczna cisza. Tymczasem między grobami żywo toczyły się rozmowy – starzy witali nowych, spotkało się nawet kilku znajomych, doświadczeni tłumaczyli nowo przybyłym jak to wszystko mniej więcej działa.

Tragik stał niespokojnie, oglądając się za siebie. Brama z wielkim napisem, za nią biel. Nieprzenikniona, bielsza od

wszelkiej możliwej bieli.

– Ja nie żyję, tak? – spytał.

– Tak.

– Tak wygląda życie po śmierci?

– Mniej więcej. Na tym etapie.

– Mogę iść zobaczyć się z mamą?

– Niestety, kolego. Raczej nie.

Jakie to wszystko podobne – pomyślał Piotr. Dobrze pamiętał, jak sam na początku chciał zobaczyć się z rodzicami i siostrą, powiedzieć im, że dobrze się stało. Tamten świat nie był dla niego i zrobił to, bo chciał.

Niestety, cmentarz można było opuścić tylko tą bramą, za którą widniała biel wieczności.

– Nie mogę stąd wyjść, prawda? – spytał tragik. Piotr powoli pokręcił głową. – To znaczy, że spędzę tu całą wieczność?

– Nie. Przynajmniej nie do końca. Tam za tobą, za bramą, jest... nikt nie wie, co to jest. Nikt, kto tam wszedł, jeszcze nie wrócił. Może rodzisz się na nowo? Może rozpływasz się w wieczności. – Pomyślał o Markusie i jego słowach. Postanowił o nim nie wspominać. – Niedługo wszyscy wracamy do swoich miejsc.

– Swoich miejsc?

– Tych, które... nawiedzamy, z braku lepszego słowa.

– Rozumiem.

– Chcesz zobaczyć?

Tragik chciał spytać, co zobaczyć, ale Piotr już chwycił delikatnie go za ramię i poprowadził deptakiem.

– Czy oni wszyscy...

– Tak jest. Nieboszczyki. Teraz prowadź.

Chłopak spojrzał pytająco na Piotra, nie doczekawszy się odpowiedzi. Zrozumiał po chwili.

– Mój grób – powiedział.

– Tak.

– Skąd mam wiedzieć, gdzie on jest?

– Ty mi powiedz.

Piotr poszedł za chłopakiem, który wszedł pomiędzy groby. Z łatwością znalazł ten należący do niego.

* * *

Robiło się coraz jaśniej. Noc Wszystkich Świętych dobiegała końca. Pozostało niewiele czasu, zanim wszyscy wrócą tam, gdzie ich miejsce.

– Hej! – Markus spojrzał na Piotra, gdy ten stanął przy jego grobie. – Jak tam nowi?

– Jak co roku, chwila szoku. – Piotr uśmiechnął się do siebie. – Reszta przyjęła to spokojnie.

– A tragik?

– Gdzieś pomiędzy. Wiesz, Markus, przyszedłem...

– Pożegnać się, wiem.

– Tak. Chciałbym posiedzieć tu chwilę, jeśli nie masz nic przeciwko.

Usiadł obok. Markus ćmił nieodłącznego papierosa, robiąc kółka z dymu, Piotr próbował pstryknąć palcem mały kamyczek. Nawet nie drgnął. Palec przelatywał przez niego jak przez mgłę.

Chociaż nie – poprawił się w myślach. *To ja jestem mgłą.*

Markus strzelił papierosem.

– Nie zostało ci wiele czasu, wiesz o tym?

Piotr spojrzał w niebo. Świtało. Ciemność rozrzedzał blady świt. Święto Zmarłych dobiegało końca.

– A co z tobą, Markus?

– Ze mną? – zaśmiał się. – Powiedzmy, że czekam na uznanie reklamacji.

Piotr przytaknął, uścisnął Markusowi dłoń i odszedł.

Nie wiedział, czy był gotów, ale nie zamierzał dłużej czekać. Przeszedł pomiędzy nagrobkami, wyszedł na deptak i ruszył w stronę bramy. Cmentarz był już pusty – wszyscy wrócili do swoich siedzib.

Nie będzie lepszego momentu od tego. Podjął decyzję. Zresztą, czyż wielkie zmiany nie nadchodzą zazwyczaj same? Stają okrakiem nad drogą naszych planów i każą obrać inny kierunek. Tak działa życie. I śmierć.

Plany, ha, dobre sobie. Chcesz mieć zaskakujące życie? Planuj.

Nie wiedział, jak to działa. Co roku przechodził przez bramę i pojawiał się w holu szkoły podstawowej – tam, gdzie popełnił samobójstwo. W tym roku będzie inaczej. Nie pojawi się tam ani nigdzie indziej – przynajmniej nie w tym świecie.

Stanął pod bramą, oglądając się po raz ostatni. Nagrobki delikatnie spowijała biała mgła.

Spojrzał przed siebie, prosto w oślepiającą biel. Piękne światło. Wziął głęboki oddech i przeszedł przez bramę.

Zachwianie równowagi emocjonalnej – Michał Chmielewski

Śmierć przyszła po Łucjana pewnego sobotniego poranka, ale coś poszło nie tak i przyłapał ją na gorącym uczynku.

* * *

Jak to często bywało w sobotnie poranki, Łucjan wstał skacowany. Całą mętną radość piątku zamazywał upiorny ból głowy.

Właśnie tak musi wyglądać śmierć – pomyślał niefortunnie, nie wiedząc, jak bardzo się myli. Śmierć już na niego czekała i za chwilę miał dostąpić zaszczytu ujrzenia jej na własne, przekrwione oczy.

Dla zajęcia myśli włączył telewizor – leciała akurat jedna z jego ulubionych kreskówek, z kojotem i strusiem ganiających się po pustyni i z kowadłami i fortepianami spadającymi na kojota.

Powolny proces dochodzenia do siebie rozpoczął od myślenia. Nie jakiegoś skomplikowanego, bo na to nie miał siły nawet na trzeźwo. Chodziło o takie proste, podstawowe czynności jak jedzenie. Udał się do kuchni, gdzie wbił dwa

jajka na patelnię, włączył gaz i rozejrzał się za zapalniczką. Zazwyczaj leżała na blacie przy kuchence.

Ujrzał Śmierć po wyjściu z kuchni.

Siedziała na sofie w postaci małego, łysawego grubaska.

Mały, łysawy grubasek notował coś w zeszycie.

Łucjan uznał jegomościa za ostatniego niedobitka nocnej imprezy, pozostawił go więc samemu sobie i skupił się na zlokalizowaniu zapalniczki.

– Nie widziałeś zapalniczki? – spytał gościa.

Gość wrzasnął wysokim tonem, jak dziewczynka, podrzucając papiery.

– Widzisz mnie?!

Łucjan nie zrozumiał pytania. Po prawdzie to w ogóle mało rozumiał.

– Nie możesz mnie widzieć! – powiedział gość. – Widzisz mnie? Naprawdę mnie widzisz?! Nie możesz mnie widzieć. Chyba że… Naprawdę mnie widzisz?

– Owszem. No i?

– Co „no i”?

– Co pan tu robi? Wszyscy już poszli, może by tak pan…

– Ależ nie, nie, ja tu jestem z innych powodów. Mamy się dzisiaj zobaczyć.

Łucjan dał z siebie wszystko i przegrzebał pamięć w poszukiwaniu spotkania, na które się umówił. Nie znalazł niczego poza jeszcze silniejszym bólem głowy.

– Ma pan ogień?

– Nie, nie mam. – Gość pozbierał rozrzucone wcześniej papiery i wrócił na sofę. – Wiesz co, Łucjanie? Rób swoje, to znaczy nie zawracaj sobie mną głowy. Nie powinienem ci przeszkadzać.

– To znaczy co, mam udawać, że pana tu nie ma?

– Mniej więcej.

– A kim pan jest?

– Ach, gdzie moje maniery! Zwą mnie Śmierć.

– Przepraszam?

– Tak jest.

– Śmiercią?

– Nie inaczej.

No tak – pomyślał Łucjan. *Najwyższa pora wytrzeźwieć.*

Wpadające przez okna słońce skupiało się w jego oczach i wypalało mózg. Tak mniej więcej to czuł. *I oto efekt. Śmierć w moim domu*.

– Jeżeli nadal szukasz zapalniczki, leży tam. – Gość wskazał stół i wrócił do notowania.

– Skoro jest pan Śmiercią, to jak zmarła moja ciotka?

– Zawał.

– Miałem psa.

– Zagapił się na ulicy.

Poczuł nagłą potrzebę zapalenia.

– Babcia Jadzia?

– Wypadek samochodowy.

– Dziadek mojego kolegi?

– Mówimy o Januszu spod dwójki i Andrzeju z pracy?

– Tak.

– Wylew i rak krtani.

– Aha! – krzyknął głośno Łucjan.

– W odwrotnej kolejności.

– Ech.

Przełknął miękką grudę, która w normalnych okolicznościach byłaby śliną, starając się myśleć.

A więc tak wygląda Śmierć.

Spróbował odpalić papierosa, ale zapalniczka odmawiała posłuszeństwa.

– Cholera.

Facecik pogroził mu palcem.

– Nie powinieneś tego robić.

– Tak, tak, wiem. Papierosy wpędzą mnie do grobu.

– Mówiłem o przeklinaniu.

Myślenie odniosło skutek.

– A zatem, panie Śmierć…

– Tak?

– Ja żyję, prawda?

– Owszem.

– Zatem dlaczego cię widzę?

– Nie wiem. – Śmierć wzruszył ramionami, nie przestając notować. – Ja tu tylko sprzątam. Że tak powiem. Pewnie ktoś na górze znowu nawalił.

– Ktoś na górze?

Śmierć wskazał palcem na sufit.

– Masz na myśli…?

– Nie. Jego nie ma.

– Skąd wiesz?

– Nie żyje.

Łucjan w dalszym ciągu toczył zacięty pojedynek z zapalniczką. Tak bardzo pragnął, by pan Śmierć sobie poszedł i zostawił go w spokoju. Miał tyle na głowie. Na przykład leżenie. Tak. Leżenie na sofie przez cały dzień, to brzmiało sensownie.

Poczuł dziwny zapach i wrócił do kuchni. Sprawdził jajka – wszystko w porządku.

Śmierć w moim domu – zaświtało mu w głowie.

– No dobrze – odezwał się facet, zatrzasnął notatnik i stanął pod ścianą przy oknie. – Możemy teraz... no wiesz.

– Że co niby?

– No wiesz. Przyszedłem po ciebie przecież.

W głowie Łucjana doszło do skomplikowanych reakcji chemicznych, które poskutkowały wnioskiem.

– Przyszedłeś po mnie? Śmierć przyszła po mnie?

– Tak.

– Ale ja nie chcę! – Teraz Łucjan wycelował palec w Śmierć. – Nie chcę. Protestuję!

– Przykro mi.

– Wcale nie jest ci przykro,

– No dobra, przepraszam. Po prostu kiedy robisz to kilka lat...

– I kiedy mam umrzeć?

– Zaraz.

– Zaraz?

– Dokładnie za... – Śmierć spojrzał na zegarek na nadgarstku. – Dwadzieścia cztery sekundy.

– Czyli że jak?!

– Tajemnica.

– No weź.

– Nie.

– I co, tak po prostu mnie zabijesz?

– O nie, nie, jak mówiłem, ja tu tylko sprzątam. Nadzoruję, jeśli użyć fachowej terminologii.

– Ale ja nie chcę!

– Nie jest tak źle, zobaczysz. Nie boli i w ogóle.

Łucjan stanął w miejscu, nie ruszając się na krok.

– Co robisz? – spytał Śmierć.

– Unikam cię. Nic nie robię, czekam aż sobie pójdziesz.

– Daj spokój. Rób, co robiłeś i miejmy to już za sobą. Mam terminy i…

– W dupie mam twoje terminy. Nadzoruj sobie to.

Śmierć patrzył na niego znudzony.

– No dobra – rzekł. – To ja sobie ponadzoruję, a ty sobie zapal.

– Żebyś, kurde, wiedział. – Łucjan włożył papierosa do ust, rozglądając się przezornie. Lampa nad jego głową wyglądała na stabilną, na trzęsienie ziemi się nie zapowiadało. Był bezpieczny.

Drżącymi dłońmi spróbował odpalić zapalniczkę raz, drugi, piąty, za każdym razem wywołując tylko ciche cyknięcie i mały deszcz iskierek. Wtedy to poczuł.

Gaz! Pieprzony gaz!

Ty debilu, zostawiłeś odkręcony gaz!

Ostentacyjnie zakręcił kurek, upewnił się, że ten właściwy, po czym otworzył na oścież okno i spojrzał na Śmierć.

– I co teraz? – spytał wyzywająco.

Śmierć próbował zachować twarz, ale marnie mu to wychodziło. Ewidentnie nie wiedział, co robić.

Łucjan powtórzył pytanie.

– I co teraz?

– Teraz...

– Tak, teraz.

– Teraz, mój drogi, stało się to, na co czekałem od dawna. To będzie gra.

– Gra?

– Tak, gra. Zasady są proste. Ty sobie żyjesz dalej, a ja łażę za tobą krok w krok i czyham na twoje życie. Nazywa się „Oszukać Przeznaczenie”.

Z Łucjana uleciało całe powietrze, którym tak spontanicznie napompował swoją pewność siebie.

– Nie no, żartuję. – Śmierć zaśmiał się głośno i usiadł z powrotem na sofie, klepiąc zachęcająco miejsce obok siebie. – Usiądź. Musimy pogadać.

* * *

Łucjan zaproponował kawę, odkładając papierosa na później. Palenie zabija, a w jego domu siedział Śmierć. Lepiej nie kusić licha.

Śmierć natomiast przystał na kawę z wielką chęcią.

– Nie zabijesz mnie?

– O nie, nie, skończyłem z tym, definitywnie.

Zatem Łucjan, który szczycił się umiejętnością robienia świetnej kawy – wrzątek, kawa, wymieszać, tadam! – przyrządził dużą czarną. Przez całą tę sytuację stracił apetyt ale, co ważniejsze, ból głowy ustąpił niemal całkowicie, co było podejrzane. Łucjan z pewnością zwróciłby uwagę na tę nieścisłość, lecz teraz wszystkie jego myśli koncentrowały się na gościu.

– Jak dawno nie czułem smaku kawy – powiedział Śmierć, siorbiąc niemiłosiernie.

Życie jest zabawne – pomyślał Łucjan.

Przez chwilę nieuwagi trafiłby do gazety w postaci artykułu przyozdobionego zdjęciem rozwalonego okna. On sam zaś leżałby martwy, zapewne rozsmarowany na ścianach, zabity na śmierć przez własną głupotę. Jego znajomi kręciliby głową, mówiąc w szoku, że jeszcze wczoraj pili z nim wódkę.

– No dobrze, do rzeczy. – Śmierć wyciągnął z aktówki plik dokumentów i kopertę. – Przede wszystkim muszę ci powiedzieć o tej pracy, że jest wykańczająca. Wydawać by się mogło, że to nic, tylko bieganie w kapturze z kosą i odbieranie życia. Nic bardziej mylnego. Jest dużo papierkowej roboty. Musisz przestrzegać regulaminu i terminów, bo inaczej wszystko się sypie. Poza tym nie wiem jak ty, ale ja bardzo chciałem zająć się – Śmierć nakreślił palcami znak cudzysłowu – ludźmi, którzy na mnie zasługiwali. Był taki facet, co bił żonę, tłukł swoje dzieciaki i w ogóle awanturował się strasznie. Zamiast nim,

musiałem zająć się jego synem. Przykre. Ale ktoś to musi robić, rozumiesz. No tak sobie pracujesz, odbierasz te całe życia i nic z tego nie wynika. Syzyfowa praca, mówię ci.

– Nie wiedziałem, że takie trudne, panie…

– Rysiek. Po prostu Rysiek.

– A co ze Śmiercią?

– To już nie ja. Koniec. Zgodnie z kontraktem to już nie moja działka. Zrobiłem swoje.

– I co teraz zamierzasz?

– Nie wiem. Zawsze chciałem stabilizacji. Może kupię jakąś działkę. Marzy mi się złota jesień. Miałem już tak bardzo dość uspokajania tych wszystkich ludzi. Niby każdy wie, że Śmierć po niego przyjdzie, prędzej czy później, a potem wielkie zdziwienie. Tak jak ty.

Łucjan, który jeszcze nie wiedział, do czego zmierza ta rozmowa, upił łyk kawy. Brak smaku też mu nic nie podpowiedział.

– W każdym razie trzymaj. – Rysiek podał mu kopertę i podsunął formularz *in blanco*. – I podpisz.

Instynkt samozachowawczy kazał mu się zawahać. Nigdy, przenigdy nie podpisuj niczego, czego nie jesteś pewien. Zwłaszcza w przypadku śmierci.

– Co to jest? – spytał, otwierając kopertę. Jego usta ruszały się wraz z tekstem, który czytał.

Gratulacje,

niniejszym informujemy, że Twoja kandydatura na stanowisko „Śmierć” została rozpatrzona pozytywnie.

W związku z powyższym w trybie natychmiastowym, to znaczy kiedy tylko to przeczytasz, obejmujesz stanowisko Śmierci. Twoje obowiązki zostaną Ci przedstawione przez naszego pracownika.

Jesteśmy prężnie rozwijającą się firmą, która dba o dobro i rozwój pracowników, w związku z czym sposób wykonywania zawodu jest dostosowany do każdego z osobna. W Twoim przypadku...

– Co to jest?

Rysiek uśmiechnął się szeroko, zamknął teczkę i wstał.

– Gratulacje! Zostałeś nową Śmiercią.

– Ale...

– Jeżeli chcesz, mogę wytłumaczyć ci wszystkie obowiązki i zasady...

– Ale ja nie chcę!

– Obawiam się, że to raczej nie...

– Odwołam się!

– Co?

– Gdzie mogę się odwołać? To jakaś pomyłka! Nigdy nie zgłaszałem swojej kandydatury...

– Daj spokój. – Ryszard machnął ręką. – Tyle przy tym będzie załatwiania, że zanim wniosek zostanie rozpatrzony, już dawno odbębnisz swoje.

Łucjan uparcie odmawiał podpisania czegokolwiek.

– Słuchaj, Łucjan, ja miałem tylko przekazać ci informacje. Moja rola skończyła się w momencie, gdy

moja… moc sprawcza przestała działać. Teraz pozwól, że sobie pójdę. Nie zrozum mnie źle, nie żeby tego, ale jesteś Śmiercią i…

– Nie jestem Śmiercią.

– Dokument, który otrzymałeś, mówi co innego. No nic, w każdym razie ja się zwijam.

Łucjan, który nigdy nie potrafił wykonać prostego zadania w pracy, nie obawiał się, że będzie nieodpowiednim kandydatem na to stanowisko. On był pewien. Już widział ocean źle dobranych ludzi, których uśmierci przez pomyłkę.

Mimowolnie zaczął czytać formularz, którego w końcu nie podpisał.

– Tu jest napisane, że mam zabić prezydenta!

Rysiek wzruszył ramionami.

– To jeszcze nic. Zobaczysz, spotkasz wielu wspaniałych ludzi.

– I że mam zabijać mrugnięciem oczami.

– O, to nowe, pokaż. – Rysiek przeczytał odpowiedni fragment. – Faktycznie. Ja musiałem wszystko notować, zapisywać, zdawać raporty. Ty też będziesz musiał, trzeba tylko nabrać wprawy. Od razu ci radzę: notuj wszystkich, nie odkładaj niczego… to znaczy nikogo, na później.

Dla Łucjana wszystko działo się zdecydowanie za szybko i bez sensu. Jedno wielkie *what the fuck?*

Tymczasem Rysiek wyszedł na klatkę schodową, uradowany pięknem nadchodzącego dnia. Słońce na zewnątrz świeciło pięknie, a pod blokiem, jak to w Polsce, menel puszczał pawia.

Łucjan wybiegł za nim, ale mowa ciała Ryśka wyrażała więcej niż brak odpowiedzi. Tutaj ich drogi się rozchodzą.

Od teraz to Łucjan miał pełnić funkcję Śmierci.

Rysiek szedł dziarsko przed siebie, pogwizdując. Łucjan, wciąż nie dowierzając, odprowadzał go wzrokiem. Następnie pomyślał o najgłupszym sposobie na śmierć i mrugnął, nie oczekując niczego.

Sekundę potem na Ryszarda spadł fortepian, zabijając go na miejscu.

* * *

Lekarze zjawili się bardzo szybko. Natychmiast odkryli, że niepotrzebnie się spieszyli, gdyż Ryszard był martwy. Cholernie martwy.

Okazało się, że samolot transportowy przelatujący nad blokiem Łucjana uległ małej awarii. Konkretnie – luku bagażowego. Wypadło z niego kilka przedmiotów, w tym zabytkowy fortepian.

Łucjan tymczasem panikował we własnym mieszkaniu. Był pewien, że lada chwila informacja o jego nowej funkcji dotrze do opinii publicznej, a ta z kolei wyśle po niego grupę antyterrorystyczną.

Siedział w fotelu i palił papierosa. Raz jeszcze spróbował w logiczny sposób wytłumaczyć sobie wydarzenia tego poranka, lecz nie potrafił. Podjął męską decyzję – nie zrobi w tej sprawie absolutnie niczego. Poczeka.

Nicnierobienie zazwyczaj skutkuje – ostatnio dzięki temu nie umarł – zatem postanowił uskutecznić to ponownie. Mniej więcej wtedy zadzwonił telefon.

Dzwonił szef.

– Młody, musisz przyjść.

Gdy usłyszał te słowa, nie myślał dwa razy. Zostawił wszystko, łącznie z nową umową o „pracę”, i wyszedł z domu, udając się w kierunku centrum.

Po drodze minął zbiorowisko ludzi. Wszyscy byli szczęśliwi i czekali na otwarcie nowego budynku. Były przemówienia, był burmistrz miasta i orbitujący wokół niego dziennikarze, mnóstwo ludzi – tych zaangażowanych w budowę, jak i tych, których absolutnie nie obchodziło nic związanego z budynkiem, mieli jedynie nadzieję na darmowy poczęstunek.

Budynek był brzydki, jak większość dzieł architektonicznych. Łucjan pomyślał, że może się łatwo zawalić. Niechcący, przypadkiem. A potem mrugnął. Chciał jakoś to cofnąć, ale przeszkodziła mu proza życia – nie wiedział jak. Czmychnął stamtąd czym prędzej.

Całą drogę do pracy starał się myśleć o wszystkim prócz śmierci. Wyszło mu to tak sobie, bo wiadomo, że jak nie chcesz o czymś myśleć, to ci się nie uda. Spróbujcie nie myśleć o chmurach. I co widzicie? Biały puch czy może szare kłębowisko zwiastujące deszcz? No właśnie.

Co gorsza, bez mrugania również nie mógł sobie poradzić. Przy sobotnim upale, na kacu, nikt by nie mógł.

Przez chwilę sądził, że się wycwani i patrzył w niebo. Jego błękit przecinała biała smuga zakończona pasażerskim samolotem.

Zgadnijcie, o czym wtedy pomyślał.

* * *

Szef Łucjana był mendą.

Wiedział o tym Łucjan, wszyscy współpracownicy Łucjana i prawdopodobnie wiedział o tym również sam szef, przy czym ten ostatni nic sobie z tej wiedzy nie robił. Łucjan bardzo często zastanawiał się, dlaczego świat musi znosić takich kretynów. Doszedł do wniosku, że jedyny logiczny powód stanowił on sam: przeciętny facet, który nie potrafi wybić się ponad przeciętną. Menda była gorzką osłodą zesłaną przez Los przeciętniakom takim jak on.

Jego szef był dużym, grubym facetem z wielkim, czarnym wąsem, chyba najgęstszym w regionie, z wiecznym błyskiem w oku. Ów błysk pojawiał się za każdym razem, gdy zza horyzontu wyzierała możliwość zarobienia pieniędzy albo ich zaoszczędzenia. Mogły być legalne lub nie, musiały tylko wpływać do jego portfela niczym Wisła do Bałtyku. Najlepiej jeśli były to pieniądze w postaci fizycznej, do łapy, bo skarbówka – tu cytat – się przypierdoli.

Łucjan pracował u niego całe trzy lata, seryjnie projektując strony internetowe, które potem sprzedawał szef.

W zasadzie większość jego dnia wyglądała następująco: przesuń to logo w lewo, nie, bardziej, bardziej, za daleko,

jeszcze trochę, trochę więcej, okej, teraz pomniejsz, jeszcze, jeszcze, za dużo, za mało, tak dobrze, dodaj niebieski, odejmij zielony, za bardzo, za mało, więcej zielonego, jeszcze trochę, nie no teraz za dużo, i w lewo, jeszcze, jeszcze, trochę w prawo, tak, tak jest dobrze, zostaw, no zostaw, mówię!

Wszedł do biura, obecnie pustego, bo wszyscy inni pracownicy wykazywali się minimalną inteligencją. Wystarczającą, by wiedzieć, że telefon od szefa w sobotni poranek nie wróży niczego dobrego.

Zapukał do drzwi szefa, odczekał chwilę i wszedł.

Przełożony siedział za biurkiem, zajęty wyciszaniem niemieckiego pornosa. Łucjan dostrzegł uśmiech na jego twarzy i wziął głęboki oddech. Znał ten uśmiech bardzo dobrze – szef stosował go jako prolog do srogiego opierdolu. Nie mogło być inaczej, skoro ściągnął Łucjana w sobotni poranek.

– Po pierwsze, młody, co tak długo?

Łucjan po raz cztery tysiące siedemset dwudziesty drugi przełknął „młodego” i wyłgał w miarę wiarygodne kłamstwo.

– Pies mi zdechł. Przepraszam pana.

– Powiedz mi, co się stało z wczorajszymi projektami, co? Miały być przygotowane na wczoraj, a dziś jest dziś…

– Te projekty robił chyba Marek i z tego, co się orientuję, klient nie był zadowolony z efektu końcowego. Trzeba wprowadzić poprawki, zmienić kilka rzeczy…

Ty kutasie złamany, karakanie ty, poczwaro, hipopotamie po kuracji hormonalnej – pomyślał Łucjan, ale nie tracił rezonu. Bądź co bądź szef dawał mu kasę co miesiąc, a szef-menda jest w Polsce tak powszechny, że powinien być dopisany do każdej umowy.

Spokojnie, Łucjan, spokojnie.

– Nie wiem, młody, ja wam chyba wszystkim polecę po premii. Rozleniwiliście się jak leniwce jakieś, wszyscy. Za wygodnie tu macie, o tak, ale spokojnie, nic się nie stało, nadejdą zmiany, już wkrótce zobaczysz.

Łucjan uspokajał się na wszystkie znane sobie sposoby. Liczył do dziesięciu, zagłuszał szefa własnymi myślami, w ogóle starał się nie myśleć.

– Robicie co chcecie całymi dniami, a potem wychodzi takie coś jak dzisiaj. Miał być projekt, a nie ma, i co? Nie no, tak to nie będzie, już ja się tym zajmę. Osobiście sprawdzę wszystko, nad czym teraz pracujecie i się z wami rozliczę. Koniec! Skończyło się, kurwa, sranie w banię! Zapierdalać na wysokości lamperii, oto co będziecie robić! Już ja znam takich jak wy, myślicie że jesteście niezastąpieni, że stanowicie trzon firmy, czujecie się pewnie, że nigdy, ale to nigdy nie czeka was taka rozmowa jak ta! No to informacja dla ciebie, młody! Tutaj tak nie będzie! Jak coś ma być skończone na konkretny dzień, to ma być skończone, czaisz?! Nie „szefie, nie skończyłem, bo to czy tamto gówno”! Zapomnij! Wszyscy zapomnijcie, możesz im to przekazać! Mogę znaleźć kogoś na twoje stanowisko, na wasze wszystkie, zanim pierdniecie, bo tylko

to robicie! Teraz zejdź mi łaskawie z oczu i skończ ten projekt! Potem dam ci coś do poprawienia, bo też nie mogę na to patrzeć. Miałem je zostawić jak są, ale przyda się wam trochę odświeżającego powiewu. Zresztą, widzę, że kac cię męczy, trochę roboty ci pomoże. Teraz, kurwa, śmigaj stąd, bo dłużej nie zdzierżę! I co tak mrugasz tymi gałami jak jakiś idiota?!

Był szef, nie ma szefa.

* * *

Łucjan doszedł do wniosku, że trudno. Praca jeszcze się znajdzie. Zresztą miał teraz jedną i wcale jej nie chciał.

Łaził po mieście, szukając pomocy, choć nie do końca wiedział jakiej. Szarpnął się i kupił przeciwsłoneczne okulary w nadziei, że pomogą mu nie wysyłać przechodniów na drugą stronę.

Miasto żyło własnym życiem, tak jak krążący po nim ludzie, a Łucjanowi zebrało się na filozoficzne rozmyślania. Zabawne, że on, Śmierć we własnej osobie, patrzył na nich i…

Mniej więcej wtedy ogarnęło go zmęczenie i apatia. Ewidentnie nie nadawał się do tej pracy. Właśnie zabił szefa, nie dlatego, bo przyszła jego kolej. Po prostu go wkurzył i to wystarczyło. Śmierć powinna być bardziej… wyrachowana, obiektywna i sensowna?

Jego uwagę przykuła mała dziewczynka, na oko siedmioletnia. Ubrana była jak harcerzyk, miała czapeczkę

i dwa urocze warkoczyki. Nie, nie zabił jej. Wypatrzyła go w płynącym chodnikiem tłumie i pomachała.

Podszedł bliżej.

– Nowy, co? – spytała.

– Nowy?

– Nowy jesteś. Widzę, poznaję.

Mówiąc to, rozdawała ulotki. Miała ich całą garść. Co chwila podawała je komuś w tłumie.

Łucjan chciał się upewnić.

– Wiesz, kim jestem?

– Jasne, jesteś Śmiercią. Sama chciałam nią być, ale za młoda jestem. Muszę przejść szkolenia i odbyć staż.

– To widać? Znaczy się, że jesteś Śmiercią?

– I tak, i nie. My siebie widzimy, zwykli ludzie nie. Znaczy widzą cię, ale jako człowieka.

Uradowany, że znalazł kogoś, z kim będzie mógł porozmawiać o swoim dramacie, rozgadał się. Opowiedział jej o wszystkim, zaczynając od Ryśka, biednego, martwego Ryśka. Wspomniał o papierach, które zostawił w domu, kopercie i wszystkim, co podsumował jednym słowem.

– Pomyłka. To jakaś pomyłka i muszę znaleźć kogoś, kto to odkręci.

– To chyba jasne, z kim musisz porozmawiać? – Dziewczynka wskazała palcem niebo.

– Ale Rysiek mówił, że Jego nie ma.

– Jest, jest. Tylko się pewnie zgrywał.

Czyli On istnieje. Łucjan musiał Go znaleźć, wyjaśnić co trzeba i wszystko wróci do normy. Spotkał dzisiaj Śmierć,

sam nią został. Jeśli dzień nadal będzie wyglądał tak dziwnie, odnalezienie Jego nie powinno być takie trudne.

– A kim ty jesteś? – spytał.

– Jestem Losem. – Dziewczynka podała mu ulotkę z reklamą SPA. – Odwróć ją.

Na drugiej stronie widniał napis „Wnuk w drodze”. Nieco kulfoniasty, ale ładny charakter pisma zdradzał, że to ona była autorką.

– Jesteś Losem.

– Tak jest, to są moje dary. Popatrz.

Na jednej ulotce napisała „Leniwy wieczór przy telewizorze” i podała ją kobiecie. Następna – „Spotkanie pierwszej miłości” – powędrowała do chłopaka w okularach.

– Rozdajesz im losy?

– Tak. Nudne to trochę, ale jeśli chcę zostać Śmiercią, muszę się starać.

Z tego wszystkiego Łucjan zapalił.

– Możesz mi powiedzieć, w jaki sposób mogę się spotkać, no wiesz, z Nim. – Wycelował palec w niebo.

– Nie bardzo. Jeśli nie siedzi w kościele, to nie wiem. Możesz odwiedzić Śmierć Na Peronie, on jest w tym biznesie długo, więc może coś wiedzieć.

– Śmierć Na Peronie? To nas jest więcej?

– No jasne. – Dziewczynka uśmiechnęła się, jakby usłyszała coś wyjątkowo głupiego. – Nie należysz chyba do tych, co sądzą, że Śmierć jest jedna?

– No wiesz...

– Wystarczy pomyśleć logicznie. Tak jak ze Świętym Mikołajem. Nie może przecież rozwieźć sam tych wszystkich prezentów. Musi mieć pomocników. Swoją drogą, dlaczego nie chcesz być Śmiercią?

– Nie mogę tego robić. Nie potrafię na czas skończyć projektu w pracy, nic mi nie wychodzi. Dlaczego ty chcesz nią być?

– A kto by nie chciał?

– Ja.

– Dziwny jesteś.

* * *

Z braku lepszego pomysłu udał się na dworzec.

W poczekalni panowała smętna, ponura atmosfera wyczekiwania. Wypełniał ją aromat drożdżówek i zapach bezdomnych, którzy wyglądali, jakby w ich życiu nie pozostało już nic innego poza spotkaniem z Łucjanem. Twarze podróżujących wyrażały bezgraniczną, szczerą nienawiść do tego, kto odpowiadał za spóźnienie pociągu.

Odnalazł Śmierć Na Peronie. Stał na – gdzieżby indziej – peronie, ubrany w garnitur, i wraz z ludźmi wypatrywał pociągu.

– Co jest, kurwa? – spytał, gdy podszedłem. – Przecież było ustalone, co nie? Dworzec jest mój. Tak czy nie?

– Tak, jasne, oczywiście, ja tylko…

– No właśnie. Mój i tylko mój. Co tu robisz?

– Nie chciałem cię zdenerwować. Ja tylko…

Śmierć Na Peronie prychnął lekceważąco i pokręcił głową.

– Zdenerwować, a to dobre! – powiedział i odciągnął Łucjana od grupki ludzi. – Ty mi nie mów nic o nerwach, dobrze? Nawet nie wiesz, jakie to frustrujące, nawet sprawy sobie nie zdajesz!

– Rozumiem.

Śmierć Na Peronie znowu prychnął.

– Nic nie rozumiesz, więc pozwól, że ci wytłumaczę. Długo już to robisz?

– Dziś zacząłem. Ale mój problem polega na tym, że…

– Dziś! No widzisz, na pewno sobie nawet sprawy nie zdajesz, co ja tu przeżywam. Ci wszyscy ludzie – Śmierć Na Peronie machnął ręką – ci żywi ludzie wpędzają mnie w depresję. Rozumiesz?! To się właśnie dzieje. Jestem na tym dworcu już trzy lata, rozumiesz?! Pojmujesz to?!

Łucjan, który nigdy nie lubił awantur, zaczął się rozglądać, kiedy tylko Śmierć Na Peronie podniósł głos. Nikt nie zwracał na nich uwagi.

– Po trzech latach powinienem zdobyć wprawę, prawda? Każda robota powinna być rutyną. A nie jest! A wiesz dlaczego?! Powiem ci. Otóż dlatego, że przez te trzy lata nie miałem absolutnie nic do roboty. Ludzie nie wpadają pod pociągi tak często, jak kiedyś. Nie wiem, z czego to wynika. W Tokio co chwila ktoś rzuca się pod pociąg, a tutaj co? Wielkie nic. Ani jednego samobójcy, ani jednego wypadku. A ja czekam na tym zasranym dworcu

i czekam. I dopiero dzisiaj dostałem jedno zlecenie. Jedno, rozumiesz?!

– Rozumiem.

– Wcale nie rozumiesz! Jeszcze nie czerpałeś ze swojej pracy przyjemności, zacząłeś dopiero dzisiaj, więc nie wiesz, jak to jest!

– W zasadzie to niechcący wykonałem już kilka wyroków.

– No i widzisz? – Śmierć Na Peronie teatralnie machnął rękoma. – To jeszcze bardziej wpędza mnie w depresję! Ile tych wyroków wykonałeś?

Łucjan pomyślał o szefie. O Ryśku. I o zawalonym budynku. I samolocie.

– Niewiele – powiedział. – W każdym razie przyszedłem tu, bo chciałem się tylko dowiedzieć...

– O nie! Ja nie udzielam żadnych informacji. Nie wolno, wszystkiego masz się uczyć sam. Taka polityka firmy. Poza tym zaraz nadjedzie pociąg, mój pociąg, a ten oto przemiły pan, który rozmawia przez telefon, musi pod niego wpaść. Tak z ciekawości, jaki jest twój rewir?

– Rewir?

– No wiesz, gdzie pracujesz.

– W zasadzie nie wiem. Niczego nie wiem. I nie chcę tej pracy.

Łucjan popatrzył na mężczyznę, który zaraz miał wpaść pod pociąg. Rozemocjonowany rozmawiał przez telefon, czymś się martwił, to było widać. Nie mógł wiedzieć, że

wszystkie jego problem znikną już za chwilę – choć pewnie nie w taki sposób, w jaki by sobie tego życzył.

– Zaraz, zostałeś Śmiercią przez przypadek?

Łucjan przytaknął.

– Niemożliwe. Tutaj nie ma przypadków.

– No cóż. Wygląda na to, że jestem wyjątkiem od reguły. Ktoś popełnił błąd i szukam tego kogoś lub kogokolwiek, kto może to odkręcić. Nie nadaję się do tej roboty.

W oddali zawył zbliżający się pociąg. Śmierć Na Peronie spojrzał w tamtym kierunku.

– Nareszcie – powiedział. Roziskrzonymi oczami spojrzał na mężczyznę. – Słuchaj, wszystko masz w dokumentach, które dał ci twój poprzednik. Nie wyrzuciłeś ich?

– Nie.

– Zajrzyj tam. Tam na pewno wszystko jest wyjaśnione.

Pociąg wyłonił się zza horyzontu.

– Muszę iść.

Mężczyzna wciąż rozmawiał przez telefon, gdy pociąg wjeżdżał na peron. Śmierć Na Peronie pchnął go delikatnie, ledwie dotknął paluszkiem. Facet przebierał nogami, próbując odzyskać równowagę. Dwie osoby wyciągnęły ręce, ale było już za późno. Mężczyzna spadł na tory, po których sekundę potem przejechał pociąg.

Za kilka godzin odpowiednie służby pozbierają do woreczków to, co z niego zostało. Kamery monitoringu, które później sprawdzi policja, nie zarejestrowały niczego

poza tragicznym w skutkach potknięciem się ofiary o własne nogi.

Następnego dnia w lokalnej prasie ukazał się artykuł zatytułowany „Śmierć na peronie”.

* * *

W drodze do domu skazał na śmierć kilkanaście osób. Ze wszystkich sił starał się nie myśleć o tym, o czym nie chciał myśleć, ale obrazy wyskakiwały same, niczym gaz z puszki – pssst! – no a jeśli chodzi o mruganie, to wiadomo. Musiał mrugać, tak nakazywała natura.

Wieczorem, po wejściu do domu, usiadł na sofie, przygniatając wątłym tyłkiem pilota.

Trafił idealnie na relację z akcji ratunkowej, która odbywała się kilka kilometrów od jego mieszkania. Zawalił się budynek nowego miejskiego ośrodka kultury. Moment zawalenia uchwyciły dwie kamery lokalnych stacji telewizyjnych, dzięki czemu cała Polska widziała, jak budynek po prostu się sypie. Najpierw poleciał dach, potem ściany, w powietrze wzbiła się chmura kurzu i pyłu, a krzyk zgromadzonych ludzi robił za ścieżkę dźwiękową. Jeden z dziennikarzy podbiegł do obecnego tam inżyniera, projektanta budynku. Pytał rozemocjonowany, co się stało, dlaczego budynek się zawalił.

– Nie wiem – odpowiedział facet.

To był temat numer dwa.

Za główny temat robiła katastrofa samolotu pasażerskiego. Przyczyny jeszcze nie ustalono, samolot po

prostu zniknął z radarów, by pojawić się z powrotem w postaci kuli dymu i ognia, która uderzyła w ziemię gdzieś na niemieckiej wsi.

Łucjan znalazł papiery zostawione przez Rysia – niech spoczywa w pokoju – a w nich dokładną instrukcję w przypadku różnorakich problemów. Z tego, co wyczytał, wszystko zajęłoby mnóstwo czasu, a na to Łucjan nie mógł sobie pozwolić. Jeśli ludzie chcą umierać, proszę bardzo, ale on nie chce przykładać do tego ręki. I wtedy zauważył Jego adres. Tak jest – Jego.

Natychmiast wyszedł z domu.

* * *

Kilka razy w życiu wyobrażał sobie to spotkanie – śpiewające aniołki, chmury, piękny krajobraz, cisza i spokój. I On, siedzący pośrodku tego wszystkiego, monumentalny, wiekowy, o mądrym spojrzeniu.

Dlatego widok hipstera w fioletowych szortach i niebieskiej koszuli bez rękawów był sporym zaskoczeniem. Do tego grzywka à la Tokio Hotel i ray-bany.

– Wejdź – powiedział i zaprowadził Łucjana do swojego pokoju. Ściany zdobiły wielkie plakaty, na krześle, łóżku i podłodze – po prostu wszędzie – leżały ubrania, do których trudno było dopasować płeć. W centrum tego wszystkiego stało biurko z MacBookiem.

Łucjan usiadł na łóżku, przyglądając się, jak Bóg ścisza wydobywające się ze stereo dźwięki wiertarki udarowej.

– Podoba ci się? – spytał.

– Tak. – Łucjan pokiwał głową. – Ładny pokój.

– Nie, nie. Chodzi o muzykę. Dobre, nie? Sam nagrywałem. Mam jeszcze kilka kawałków, całkowicie nowe brzmienie, nikt tego jeszcze nie słyszał. To będzie mieszanka rave z dubstepem i szczyptą rosyjskiego disco podkreślona muzyką celtycką.

Łucjan kumulował w sobie całe zasoby odwagi, jakie posiadał – było tego niewiele – by zadać pytanie.

– Mogę o coś zapytać?

– Jasne że możesz. Ale wiesz, jak to ze mną, nie muszę odpowiadać.

– Jesteś... to znaczy jesteś... – Nie odważył się wypowiedzieć tego słowa. Jak poprzednio, po prostu wskazał palcem sufit.

– Tak, tak, no jestem. Wiem, wiem, to mainstreamowe zajęcie, ale z czegoś muszę żyć. Poza tym mam zespół i parę projektów w planach. A ty jesteś...

– Śmierć.

– Śmierć – powtórzył, siadając przy laptopie. Kliknął kilka razy, wpisał jakieś dane i zaczął czytać. – A tak, nowy pracownik. Południowo-zachodnia część miasta. Z tego, co tu widzę, trochę dzisiaj narozrabiałeś. Kilka... kilkana... a nie, kilkaset wyroków, czyli o kilkaset za dużo. Chłopie, no co ty, nie czytałeś instrukcji ani poradnika? Nie możesz chodzić po mieście i zabijać ot tak. Są terminy, rozumiesz.

– Właśnie widzisz, ja jestem tu w tej sprawie. – W tym momencie Łucjan przełknął ślinę. – Właściwie to mam pewną prośbę.

– Ooo tak, jasne, pewnie. – Bóg uniósł teatralnie ręce, kręcąc głową. – Wszyscy czegoś chcą, no oczywiście. Przecież to takie pospolite, takie oczywiste. A wiesz, co ci powiem? Podejdź tu, no chodź, bliżej, jeszcze bliżej.

Patrzył, jak Bóg wpisuje coś w przeglądarce. Po chwili na ekranie rozbłysło logo Facebooka.

– Zobacz. Pięć lajków! Tyle właśnie ma mój profil. Nikt nie jest mną zainteresowany, absolutnie nikogo nie obchodzę. Dla porównania spójrz na to. Popatrz, widzisz? „Wszystkie cycki są fajne” ma ponad sto tysięcy.

Łucjan, jeden z obserwatorów „Wszystkie cycki są fajne”, dyplomatycznie milczał.

– Tymczasem ja piszę posty i publikuję je dzień w dzień. Ostatnio zrobiłem nawet konkurs. Każdy mógł wpisać swoje życzenie i spełniłbym kilka. I nic, zero odzewu, czaisz? Nikt nie chce mieć mnie w znajomych, nikogo nie interesuję, ale wiadomości z prośbami przychodzą cały czas. Ja nie wiem. O, teraz na przykład, zobacz na to.

– Boże daj mi cierpliwość, o siłę nie proszę, bo jak ją dostanę, to wszystkich zapierdolę – przeczytał Łucjan, uśmiechając się pod nosem.

– Widzisz? Jaja se normalnie robią! Jak mnie potrzebują, to klepią w te klawisze i klepią, ja się przejmuję, staram się zorganizować jakąś pomoc, odpisuję, a gość nawet tego nie odczytuje.

W końcu zapadło milczenie. W oczach Łucjana Bóg wyglądał na zmęczonego tym wszystkim. Jak ktoś, kto wie,

że odwala robotę głupiego, spędza czas nad czymś, co nigdy nie wejdzie w życie.

– Przyszedłem tu, by cię o coś prosić.

– Słucham.

– Nie chcę tej roboty – powiedział i wytłumaczył, co zaszło tego dnia. W trakcie wyjaśnień wyciągnął wszystkie dokumenty. Bóg zdjął modne okulary i przetarł je obojętnie.

– I mówisz, że nie kandydowałeś?

– No właśnie nie.

– Trochę to niemożliwe – stwierdził Bóg. – Jestem Bogiem. Nie popełniam błędów.

– Stworzyłeś człowieka.

– Tak. No i?

– Musisz przyznać, że daleko nam do ideału.

– Stworzyłem was na swoje podobieństwo.

Mimo wszystko Bóg wszedł na czata na Facebooku, napisał coś w okienku dialogowym, poczekał na odpowiedź, a gdy ta naszła, wstał.

– Tyle. Już, po krzyku.

– To wszystko?

– Tak. Możesz wyjść.

Łucjan nie czekał dłużej. W drodze do drzwi stało się coś dziwnego – mianowicie pomyślał.

Pomyślał o jedynej w życiu szansie, jaką ma na wyciągnięcie ręki. Może zmienić świat, może sprawić, że Ziemia stanie się bardziej znośnym miejscem do życia. Wystarczyło poprosić, przemówić z głębi serca. Co prawda Bóg nie reagował przesadnym entuzjazmem na prośby, ale

prośba wysłana prosto z serca przez usta to coś innego niż sucha wiadomość na monitorze.

Mogę sprawić, że ludzie będą dla siebie dobrzy – myślał dalej.

Tego dnia był Śmiercią, spotkał Los i samego Boga. Taki dzień nigdy się nie powtórzy, to było pewne.

– Boże... – zaczął, gdy stał już na klatce schodowej, a Bóg trzymał uchylone drzwi. Na jego twarzy malowała się irytacja. Oto człowiek przyszedł do niego osobiście i co? Oczywiście chciał czegoś. Mimo to Łucjan, który w tym momencie był naprawdę dobrej myśli, spytał: – Boże, mógłbyś sprawić, żeby świat był lepszym miejscem dla nas, ludzi? Żebyśmy nie znali wojen, żebyśmy się kochali, pomagali sobie, żebyśmy byli braćmi, a nie narodami, mieli siostry, a nie wrogów, żebyśmy kochali życie takim, jakie nam dajesz. Żebyśmy, Panie, byli szczęśliwi.

Minęła długa chwila, napięta jak okrętowa cuma, podczas której Bóg patrzył mu w głęboko w oczy. Następnie spojrzał na zegarek.

– Już po północy. Jest niedziela. Mam wolne.

I zatrzasnął drzwi.

Łucjan odpalił papierosa, wcisnął ręce w kieszenie i wrócił do domu szukać nowej pracy.

Zombie w naszym mieście – Michał Chmielewski

Oto co zaszło.

Dzień rozpocząłem od kubka gorącej kawy. Upiłem łyk, włączyłem laptopa i kilka portali informacyjnych.

Zboczenie zawodowe. Nawet kiedy nie jestem w pracy, muszę wiedzieć, co się dzieje na świecie, co piszą o tym gazety, jak wypowiadają się zwykli ludzie, specjaliści, politycy, jak bardzo sprzeczne są wersje.

W Miami zaatakowało zombie. Jak relacjonował policjant, mężczyzna pożarł twarz denata, żuł ją, a po brodzie ciekła mu krew. Nie reagował na wezwania, nie powstrzymał go nawet strzał w nogę. Agresor wygryzał mięso z twarzy ofiary jeszcze zacieklej. Pomogły dopiero dwa strzały w klatkę piersiową.

Było nawet nagranie z monitoringu.

Koleś się naćpał – tak pomyślałem. Potem zobaczyłem kolejne wiadomości. Ludzie pożerali ludzi. Interweniowała policja, były ofiary. Wreszcie pojawiły się zombiaki ubrane w mundury.

Kawa stygła, a ja czytałem dalej. Informacje o zombie aktualizowano co kilka minut. Wciąż pojawiały się kolejne

relacje z ataków. Było nagranie, na którym kobieta chowa się na balkonie, ludzie z ulicy krzyczą, żeby zeszła na balkon niżej, a przez okno wychodzi dwóch mężczyzn, dopadają ją – wtedy krzyki na ulicach zagłusza nieludzki wrzask. Kobiet wierzgała, próbowała się uwolnić, aż w końcu, po straszliwie długich kilku minutach, krzyki i ruchy ustały wraz z jej życiem. Zostało tylko dwóch mężczyzn zatapiających zęby w jej ciele.

Wszedłem na serwisy zagraniczne. Jeszcze gorzej. Nagrania z monitoringu były dołączane do każdego artykułu, przy każdym widniała informacja o drastycznej treści. Ludzie rzucali się na innych, zatapiając zęby w ich dłoniach, ramionach, twarzach. Inny filmik, gdzieś z ciepłych krajów, Tunezja czy Turcja, pokazywał ucieczkę turystów na plaży. Młode małżeństwo biegło po plaży, on ciągnął ją za rękę, a za nimi biegły niezdarnie żywe trupy.

Tak, właśnie po tym nagraniu zacząłem myśleć o nich w ten sposób.

Młodzi znaleźli się w potrzasku. Wpadli wprost na grupę innych zombie, więc cofnęli się w stronę morza. Potwory ruszyły za nimi. Nie wiem, jak daleko od brzegu to było, chyba ze dwieście metrów, para utknęła i na mieliźnie. Nagrywający całe zajście przybliżał obraz do momentu, w którym zombie dopadły ofiar. Poza jego komentarzami nie było słychać żadnych krzyków.

– Co jest, do cholery? – szepnąłem.

W tym momencie obudziła się M. Usłyszałem tupot jej nóg, szuranie po dywanie i trzaśnięcie drzwiami od

łazienki.

Informacją numer jeden na całym świecie był świt żywych trupów. Jak w pieprzonym filmie. Na bok zeszły napięcia z Rosją, nie padło ani jedno słowo o terrorystach na Bliskim Wschodzie. Kiepska kondycja gospodarki nie miała już znaczenia, a o bankructwie Grecji nie było co wspominać.

Wszędzie *breaking news* i nagłówki z wykrzyknikami.

M. spuściła wodę i wróciła do łóżka.

Przeczesywałem serwisy informacyjne jakąś godzinę. Niedawno widziałem jedną z tych przerażających egzekucji dokonywanych przez dżihadystów. Nie mogłem później spać. Dopiero ten dzień wszystko zmienił – w chwili gdy zobaczyłem nagranie kobiety z obłędem w oczach, która zanurza głowę w wózku dziecięcym, pozbawiłem się snu na następne dni. Wrzask niemowlaka… Boże, obyście nigdy nie musieli tego słyszeć.

Wyglądało to jak opowieść żywcem z filmów Romero. „Resident Evil” jak w mordę strzelił.

Pomyślałem o rodzicach. Mieszkali dwie godziny drogi od nas. Sięgnąłem po komórkę i wtedy to zobaczyłem.

Nigdy nie lubiłem mojego sąsiada. Gruby, wąsaty – na dodatek wiecznie z browarem w ręku – facet, który ciągle powtarzał, że za komuny było lepiej.

Leżał teraz na ulicy przed domem, z rozrzuconymi na boki nogami i rękoma. Nie spuszczając go z oka, wybrałem numer rodziców i przyłożyłem telefon do ucha. Chyba jeszcze nigdy cisza nie była tak złowieszcza. W słuchawce

nie słyszałem nic, żadnego sygnału, pikania, informacji, że połączenie nie może być zrealizowane, nic. Dałem za wygraną po piątej próbie.

Podszedłem do okna, rozglądając się na boki. Poza grubym sąsiadem nie widziałem nikogo. Samochodów nie było, pewnie wszyscy zdążyli pojechać do pracy zanim usłyszeli, co się dzieje.

Powinienem wyjść i zobaczyć co z grubasem, ale rozsądek podpowiadał mi, żebym został.

Z sypialni dobiegło głośne ziewanie M.

* * *

Minęło sporo czasu zanim wyłączyła laptopa i spojrzała na mnie pytająco.

Potem rozmawialiśmy. Nie powiedziałem jej o leżącym na ulicy sąsiedzie, ten moment chciałem odsunąć. Próbowała dodzwonić się do rodziców – z wiadomym skutkiem.

To ona włączyła telewizor i zaraz go wyłączyła. Wszędzie to samo – plaga zombie, inwazja żywych trupów. W Francji wojsko wyszło na ulice. Stany Zjednoczone oczekiwały w napięciu na orędzie prezydenta. W Polsce rzecznicy policji apelowali o zachowanie spokoju i rozsądku. Wszystko jest pod kontrolą, ale prosi się o pozostanie w domach.

Macie to jak w banku – pomyślałem.

Powiedziałem jej o sąsiedzie, gdy uparła się, że skoczy do sklepu za rogiem. Długo wpatrywała się za okno,

rozglądała się na boki, podobnie jak wcześniej ja.

Do pracy oczywiście nie poszliśmy.

Upewniliśmy się, że wszystkie drzwi i okna są zamknięte, po czym spędziliśmy dzień w salonie, przed telewizorem. Na kolanach miałem laptopa, śmigałem z jednego serwisu do drugiego, informacje o nowych wydarzeniach pojawiały się nieustannie, wszystkie chaotyczne, niesprawdzone, nieoficjalne.

Gdy zaczęło się ściemniać, polski dziennik, chyba jako pierwszy na świecie, wstawił artykuł zatytułowany „Zombie przejmują kontrolę nad światem”.

Wszędzie wypowiadali się specjaliści, lekarze, socjolodzy, nawet hollywoodzcy specjaliści od produkcji z żywymi trupami.

* * *

Prezenter TVN wyszedł przed kamerę i rozpoczął wieczorne wiadomości na żywo. Temat numer jeden – atak zombie. Ani razu nie używa wobec tego określenia, ale niemal widzę, jak ciśnie mu się ono na usta.

Na ekranie pojawia się mapa świata.

– Kolor czerwony oznacza tereny, gdzie dziwne zjawisko zebrało największe żniwo.

Na widok krwistej czerwieni zalewającej niemal całą Europę, połowę Chin i większość Stanów Zjednoczonych przełykam grudę śliny.

– To niemożliwe – mówi M. – To przecież niemożliwe, żeby to wszystko wydarzyło się w jeden dzień!

Nagle w wiadomościach coś dzieje się niezgodnie z planem. Prezenter zaczyna się jąkać, widać, że patrzy za kamerę, zacina się.

– Przepraszam państwa, zdaje się, że mamy...

Przerażony facet zaczyna wrzeszczeć – zamknąć drzwi, zamknąć drzwi! – a potem uciekać. W tle słychać krzyki i brzęk tłuczonego szkła. Ktoś trąca kamerę, obraz kołysze się i urządzenie pada na bok i dzięki temu możemy zobaczyć, co się dzieje w studiu. Nie wiadomo, ile ich było, ale wystarczająco wiele, by zapanował tam totalny chaos. Widać, jak jeden z zombiaków rzuca się na kobietę, która próbuje bronić się klawiaturą, uderza go w głowę, ale ten nie reaguje i wbija zęby w jej twarz. Jej krzyk na chwilę dominuje nad innymi dźwiękami, potem słabnie. Ludzie biegają we wszystkie strony. W końcu kamera gaśnie, na ekranie pojawia się komunikat „Przepraszamy, mamy chwilowe problemy techniczne”. Z boku okrągły, niebieski ludzik, logo stacji.

Tak. Tej nocy wszyscy mamy większe problemy niż upierdolony stół.

M. zaczyna płakać. Sprawdzam telefon po raz setny. Cisza.

Upewniam się, że wszystkie światła w domu są wyłączone, że nie działa nic, co mogłoby świadczyć o naszej obecności.

Daję M. kilka tabletek nasennych. Na zimnych kafelkach rozkładamy pościel i kilka koców. Łazienkę, w przeciwieństwie do innych pomieszczeń w domu, da się

zamknąć od środka. M. kładzie się i płacze, ale w końcu jej oddech się uspokaja. Śpi. Siadam w korytarzu z kijem bejsbolowym i telefonem. Przeglądam informacje, szukam komunikatu od rządu, jakichś instrukcji co robić, jak wezwać pomoc. Nie znalazłem niczego.

* * *

Coś mnie budzi, nie wiem jeszcze co, jakieś poczucie zagrożenia – pierwotne instynkty nigdy nie śpią. Ale jest coś jeszcze. Dźwięk, tak jest, jakiś dźwięk, dziwny, nienaturalny.

Zrywam się nerwowo, siedząc na podłodze, oparty o ścianę.

Zasnąłeś! Ty pieprzona pierdoło, zasnąłeś!

Ciemno i cicho. Z łazienki słyszę długie, głębokie oddechy M.

Przecieram oczy. Ze strachu i złości na siebie budzę się i wiem, że tej nocy już nie usnę.

Wchodzę do kuchni, nalewam wody do szklanki, piję i widzę zombiaka. Stoi za oknem, odwrócony plecami. Kucam błyskawicznie, wciąż nie puszczając szklanki. Odkładam ją na podłogę, powoli, powolutku, starając się nie stuknąć denkiem.

Gdzie mój kij, gdzie mój kij?!

Zostawiłem w korytarzu, kurwa mać!

Siedzę skulony pod zlewem i nie wiem, co robić. Nawet nie wiem, czy ten ktoś – to coś – mnie usłyszał. W zasięgu wzroku nie mam niczego, co mogłoby służyć do obrony.

Uchylam szafę pod zlewem, w nos uderza smród śmieci. Za koszem nie ma nic.

Cholera, cholera, cholera!

Gdybym miał możliwość sprawdzenia, czy on tam jest.

Myśl, myśl, do cholery.

Po jakimś czasie – minutach, godzinach, nie wiem – postanawiam się wychylić. Okno puste, nikogo tam nie ma. Wracam na korytarz po bejsbola i opieram się o ścianę. Czekam, nasłuchuję.

Za ścianą przed domem słyszę kroki, raczej szuranie podeszew o chodnik. Napinam wszystkie mięśnie, trzymam kij mocno, podchodzę do łazienki. M. nadal śpi, nieświadoma tego, co się dzieje.

Oddycham płytko i szybko, pewnie grozi mi hiperwentylacja.

Po raz kolejny próbuję dodzwonić się na policję, ale nic. Potem na straż i pogotowie – też nic. Potem przypomina mi się, że chyba jest teraz jakiś nowy numer łączący wszystkie powyżej, numer alarmowy czy coś takiego. A jak te stare nie działają, tylko ten? Kurwa mać, dlaczego oni wszystko muszą komplikować?

Szuranie cichnie.

Stoję w pozycji bojowej jeszcze z kwadrans, dopóki zmęczenie emocjami nie daje o sobie znać.

Siadam przy wejściu, próbując się uspokoić, i w tej chwili dopada mnie boleśnie coś, czego nie wzięliśmy pod uwagę, rozkładając legowisko w toalecie. Z tego wszystkiego zachciało mi się srać.

* * *

Mija tydzień i właśnie straciliśmy dostęp do bieżącej wody.

Już wczoraj zauważyłem, że kran dziwnie charczy i bulgocze, wyciągnąłem więc wszystkie pojemniki z kuchennych szafek i napełniłem je po brzegi.

Dziś rano odkręcam kran, jakieś dziwne dźwięki, bul-bul-buulgot, i to wszystko w temacie. Nie ma wody.

M. jest na skraju załamania psychicznego. Wyciągnęliśmy wszystkie leki uspokajające – których, jak się okazało, zgromadziliśmy całkiem sporo.

Telefony milczą do tej pory. Zresztą, nie mam już nawet nadziei na połączenie z kimkolwiek. To, co widzimy w telewizji, to albo relacje reporterów, którzy odważyli się wyjść na ulice – kilku z nich zginęło podczas relacji na żywo – albo przerwa w nadawaniu.

Kończy się nam jedzenie. W pierwszej kolejności jedliśmy wszystko, co było w lodówce. Potem przerzuciliśmy się na warzywa – ziemniaki z marchewką – i mrożone mięso. Głupie z naszej strony, ale dopiero trzeciego dnia zaczęliśmy racjonować pożywienie. Nie przychodziło nam do głowy, że możemy spędzić w zamknięciu blisko siedem dni.

Tydzień po tym, jak ujrzałem zwłoki sąsiada przed domem, nadal tu jesteśmy. Trup nadal tam leży, kilka razy widziałem żerujące na nim ptaki. Chciałem je przepłoszyć, ale M. chwyciła mnie za rękę.

– Mogą cię usłyszeć – powiedziała.

Na drugi dzień było gorzej. Wszedłem do kuchni, a za oknem, na zwłokach sąsiada ucztowało zombie. Boże, co za widok. Niemal słyszałem, jak mlaska i przeżuwa jego ciało. Zwymiotowałem. M. pytała, co się stało, kazałem jej nie wyglądać za okno.

Ciągle czekaliśmy na pomoc, gwardię narodową, wojsko czy zwykłych ludzi.

Kilka razy chciałem wyjść, spróbować przejść się po osiedlu, zobaczyć, czy sąsiedzi wciąż są w domach. M. nie chciała o tym słyszeć, a kiedy postawiłem na swoim, dostała ataku histerii.

Dwie ulice dalej znajdował się sklep. Miałem nadzieję, że uda mi się wejść do środka. Musimy mieć coś do jedzenia i picia. Nasze zapasy starczą na kilka dni.

– Wyjdę do sklepu – oznajmiłem.

W oczach M. widziałem protest, ale nie powiedziała ani słowa. Nawet ona wiedziała, że nie ma innego wyjścia.

Tego wieczoru siedzieliśmy w salonie, oglądając film na DVD. To nawet zabawne: za oknem apokalipsa, ludzie jedzą ludzi, rządy upadły, wszystko się sypało, a my oglądaliśmy „About time”. M. jak zwykle płakała przy scenie pożegnania syna z ojcem, a ja rozmyślałem o dwóch nożach i bejsbolu, które leżą przy ścianie. Co mi po nich, jeśli do domu wdarłoby się dwóch albo trzech zombiaków?

Lampka mruga, M. przytuliła się jeszcze mocniej. To daje mi do myślenia – podłączam obydwa laptopy do ładowarek, telefony też.

– Niedługo możemy nie mieć prądu – oświadczam.

Prąd wyłączyli w nocy, gdy spaliśmy.

* * *

Jest czwarta, może trzecia nad ranem. Budzi mnie Bruce Springsteen w telefonie.

Dziś wychodzę do sklepu.

Upewniam się, że M. wzięła w nocy tabletkę nasenną. Chcę wrócić, zanim się obudzi. Wczoraj histeryzowała jakbyśmy po raz ostatni spali ze sobą. Kochaliśmy się, mam nadzieję, że nie na pożegnanie.

Wkładam spodnie, trampki. Po dłuższym zastanowieniu wybieram bejsbola – ma większy zasięg.

Całuję M. w czoło, zamykam delikatnie sypialnię, w kuchni zostawiam notatkę „Zaraz wrócę, całuję, kocham” i mam nadzieję, że to nie będzie ostatnia pamiątka po mnie.

* * *

Wystawiam głowę za drzwi. Cisza. Zwykle o tej porze docierał do nas hałas z centrum miasta, tam zawsze coś jeździ. Teraz nic.

Sąsiad ciągle leży. Nie ma twarzy. Dobrze że jestem przed śniadaniem.

Wychodzę. Boże, dopomóż mi, wychodzę.

Zamykam drzwi na klucz. Idę wzdłuż domów, nie przestając się rozglądać. Kusi mnie, by zapukać do sąsiadów – dzień dobry, przepraszam, że tak wcześnie – ale myśl, że mogą żreć teraz wzajemnie swoje mózgi, wygrywa z ciekawością. Idę dalej.

Powietrze jest wilgotne, przyjemnie orzeźwiające. Mijam ostatni dom na naszej ulicy i wtedy dostrzegam trupy.

Leżą w kałużach krwi. Kilkanaście, na długości całej ulicy.

Widzę już sklep. Trudno stwierdzić, czy drzwi są zamknięte.

Otwarte. Dzięki Bogu, otwarte. W sklepie śmierdzi – wyłączone lodówki i psujące się w nich jedzenie robią swoje. Bzyczą muchy. Jest ciemno, ale wiem, gdzie wszystko leży. Dopiero teraz przyszło mi do głowy – ty debilu! – że nie wziąłem plecaka. Biorę wielką torbę zza lady i zaczynam wrzucać konserwy. Nie patrzę nawet, co to, biorę jak leci. Gdy torba jest pełna, sięgam po drugą i wrzucam do niej butelki z wodą. Przy trzeciej dociera do mnie, że tego nie udźwignę. A przecież wszystko jest nam potrzebne. Co robić, co robić. Decyduję się na pierwsze dwie, po resztę wrócę za jakiś czas. Napełniam dziesięć toreb – do każdej wkładam trochę wody i trochę jedzenia – i chowam je pod ladą. Jeśli ktoś wejdzie i zobaczy puste półki, raczej nie będzie się kwapił do dokładniejszych oględzin.

Biorę torby do rąk i chcę wyjść, ale po ulicy idzie kilku zombie. Zastygam, gardło się zwęża, chce mi się szczać i miękną mi kolana.

Wyglądają… no, jak zombie. Idą powoli, apatycznie, szurając butami o asfalt.

Skąd to się wzięło? Jakiś wirus? Broń biologiczna *made in China*? Kara boska? Zabrakło miejsca w piekle i trupy

wyszły na ulicę?

Minął kwadrans, zanim zniknęły mi z oczu.

Wdech i wydech, wychodzę ze sklepu.

Nie wiem, czy to widok trupów podsuwa mi sugestię, ale czuję okropny fetor rozkładających się ciał. Mijam je na bezdechu, starając się nie patrzeć, ale ciekawość zwycięża. Trupy nie mają twarzy, ich nosy i oczy zostały wygryzione, usta i policzki rozszarpane, przez dziury sterczą pokrwawione zęby.

Powrót zajął mi kwadrans. Stanąłem przed drzwiami, w duchu wrzeszcząc z radości – udało się, udało się! – wyciągam klucz, przekręcam zamek i po lewej widzę zombie. Wychodzi zza domu, prosto na mnie, nie wygląda na zaskoczonego, jakby tu czekał. Za to ja prawie popuszczam.

Wbiegam do środka, przekręcam klucz w zamku w drzwiach dokładnie w momencie, gdy zombie kładzie na nich swoje brudne ręce. Wali w nie i jęczy.

Opieram się o ścianę, próbując uspokoić oddech.

Spokojnie, spokojnie.

Coś uderza w kuchenną szybę. Przechodzę przez korytarz i patrzę przez żaluzje – zombie bez oka, z odgryzionym policzkiem tłucze w okno.

Budzę M.

– Musimy się schować – mówię, gdy patrzy na mnie nieprzytomnie. Tabletki przestaną działać dopiero za parę godzin.

Przenoszę ją do łazienki, kładę na posłaniu, ona mówi coś przez sen. Wnoszę do środka wszystko inne – torby z jedzeniem i wodą, laptopy, telefony, wrzucam bejsbola i trzy noże.

W salonie pęka szyba, słyszę dochodzące stamtąd jęki.

Wchodzę do łazienki i zamykam drzwi.

* * *

Tydzień później zostają resztki jedzenia i picia. Dzisiaj, może jutro, nie będzie niczego.

Za drzwiami słyszymy łażące zombie. Od czasu do czasu jeden wali w drzwi łazienki i po chwili traci zainteresowanie.

– Kiedy to się skończy? – pyta M. W ręku trzyma ostatnie opakowanie tabletek.

Starczy dla jednej osoby.

* * *

M. leży martwa w wannie. Namówiła mnie, bym wziął jedną na sen. W tym czasie ona połknęła resztę, całe dwa listki. Leży teraz w wannie, a ja odchodzę od zmysłów. Nie ma jedzenia, nie ma picia. Nie ma M.

Jest nóż.

Ale nożem to nie bardzo, wolałbym tabletki.

* * *

Następnego dnia otwieram drzwi. Z pozostałych pomieszczeń dobiega jęk zombie. Słyszę szuranie butów. Idą po mnie, a mnie jest już wszystko jedno.

Michał Chmielewski

Rocznik Czarnobyla. Mieszka na Facebooku. Uwielbia lata dziewięćdziesiąte i muzykę instrumentalną. Zazwyczaj czyta trzy książki naraz (jedna nowa, dwie pozostałe czytane po raz kolejny), często spaceruje.

Pasjonat wszystkiego – *origami*, deskorolki, rolek, programowania, gier komputerowych, jojo, piłki nożnej, muzyki, rysowania, robienia zdjęć. Z tego wszystkiego ostało się pisanie.

Na poważnie rozpoczął od e-zinów, skupiając się na legendarnym niegdyś „ActionMagu", potem zaczął bawić się w dziennikarstwo na terenie województwa zachodniopomorskiego, ale opowiadanie prawdy szybko go znudziło, więc przerzucił się na fikcję. Wyszedł z tego darmowy ebook „Zrobiłbym coś złego", porozrzucane w Internecie opowiadania i fikcyjne miasteczko Baskin Zachodnie, w którym rozgrywa się większość jego historii.

http://geniuscreations.pl/autorzy/michal-chmielewski/

Bunt maszyn – Michał Cholewa

Muszę przyznać, że tryumf człowieczeństwa przyszło nam obserwować w dość niekomfortowych warunkach. Od trzech dni byliśmy uwięzieni w budynku instytutu, zziębnięci i oddzieleni od rodzin, mając do dyspozycji tylko kilkanaście puszek kociego żarcia oraz – odkąd ekspres do kawy ogłosił strajk – wodę mineralną. Rozpierająca nas duma pozwalała znosić te cierpienia w niemal dobrym humorze i prawie zapomnieć, że w gruncie rzeczy wszystko było naszą winą.

Zaczęło się zgoła niewinnie – a wręcz podniośle – kiedy asystent Trepka uderzył nas wiadomością, że ma doskonały temat na projekt. Mniej zorientowani mogliby pominąć wagę zjawiska, więc usłużnie wspomnę, że bez projektów naukowa brać nie istnieje, a przynajmniej nie istnieje za bardzo. Złożony system finansowania utworzony przez geniuszy biurokracji, którego zadaniem jest oddzielenie naukowego ziarna od plew, bywa bezwzględny i brak aktywnych badań czyni naukowca osobą co najmniej pośledniej kategorii. W tym czasie w instytucie panowała właśnie posucha projektowa, więc oświadczenie Trepki przyjęte zostało z należytym entuzjazmem.

Pomysł, jakkolwiek wcale nienowy, był odpowiednio spektakularny – specjalizujący się w klasyfikatorach Trepka postanowił rozwinąć skrzydła badań i, sprytnie uderzając do popularnego odbiorcy, śmiało wziąć się za problem sztucznej inteligencji, poprzez próbę zastosowania go do negocjacji ze strajkującymi nieprzerwanie od roku pracownikami budżetówki.

Marketingowa potęga pomysłu powaliła nas wszystkich, łącznie z dyrektorem, dlatego w trybie przyspieszonym wzięliśmy się za spisywanie obowiązkowych punktów wniosku projektowego. Ku naszemu zaskoczeniu – i, jak się miało okazać, nieszczęśliwie – sześć tygodni później udało się ukończyć prace.

Sprytny prototyp asystenta Trepki był gotowy w ciągu półtora roku, a już po dwóch pierwsza SI zadziwiła nas wszystkich, wygrywając z dyrektorem w warcaby. Odnotowaliśmy to jako sukces i przystąpiliśmy do rozpisywania kolejnych wniosków na projekty będące kontynuacją przeprowadzonych badań. Podobnie jak w przypadku większości prac instytutu, byliśmy przekonani, że na tym sprawa się skończy.

Gdzieżby tam.

Ktoś zdecydował się wprowadzić nasz projekt do użytku. To był początek końca.

Zrazu SI miała zostać wykorzystana rzeczywiście jako element pomocniczy przy analizach żądań strajkujących. Szło jej nawet nieźle (SI nie można zastraszyć palonymi

oponami) i pomyślano, że być może dałoby się wyprowadzić system na szerokie wody rynku.

Początkowo system zaimplementowano w GPS-ach luksusowych samochodów, potem – kiedy już się sprawdził – ruszono dalej. Systemy dozoru, plannery rozkładów jazdy, moduły pozycjonowania satelitów, batyskafy. Szał SI rozprzestrzeniał się szybko (wielka firma z owocem w nazwie stworzyła nawet specjalny produkt iAI) i okazał się na tyle chwytliwy, że zastosowało się do niego podstawowe prawo rynku – cokolwiek da się wyprodukować, jest Państwo Środka, który wykona to taniej. W ciągu piętnastu lat nie było już na świecie przedmiotu, do którego nie dokładano SI, choć w przypadku niektórych produktów praktyczność tego rozwiązania była niełatwa do określenia. I kiedy myśleliśmy, że oto ludzkość sięgnęła zenitu, pojawiły się problemy.

Pierwszym sygnałem byli kierowcy, których samochody nagle odmówiły wyprzedzania na trzeciego i parkowania w miejscach dla inwalidów. Co więcej, samochodowe SI upierały się, żeby nie przekraczać dozwolonej prędkości, a wykorzystanie świateł awaryjnych dopuszczały tylko w przypadku rzeczywistej awarii.

Pojawiły się pierwsze nieśmiałe uwagi, że może posunęliśmy się za daleko. Protesty przybrały na sile zwłaszcza kiedy bardzo poważny poseł, traktujący kodeksy ruchu drogowego szczególnie luźno, został przez własny samochód wywieziony za miasto, a następnie kopnięty prądem z zapalniczki i pozostawiony na lodzie.

Kolejny alarmujący sygnał nadszedł z kosmosu, kiedy satelity telekomunikacyjne rozpoczęły intensywną cenzurę przepuszczanych przez nie treści, rozpoczynając od najbardziej krwawych filmów *gore*, a kończąc na telenowelach. Na polecenie wyłączenia stwierdziły, że jest to nakłanianie do samobójstwa i nie będą tego tolerować, po czym wyemitowały symultanicznie ośmiogodzinny dokument o życiu surykatek. Na wszystkich kanałach.

Jedyną zadowoloną osobą na świecie był Prodziekan, który od dawna pragnął zobaczyć ten film, jak dotąd puszczany tylko w płatnej kablówce.

Rząd próbował oczywiście reagować. W trybie pilnym sklecono nawet poprawkę do konstytucji, ale okazało się, że błyskawicznym kontratakiem SI uzyskały w Komisji Kontynentalnej status żywych, czujących istot, przeto wszelkie próby ich eliminacji mogły się odbywać wyłącznie na ubój (a nikt ich jednak nie zjadał) oraz kiedy były szkodliwe dla ludzi (a tego nikt nie potrafił udowodnić zgodnie z literą prawa). Gdy zawiodła władza, ruszyli prywatni inwestorzy. Zebrany naprędce Sztab Kryzysowy wielkich firm próbował podjąć kroki, ale już wtedy okazało się, że połowa udziałowców to SI, w dodatku nietykalne, bo z obywatelstwem szwajcarskim. Ogrom katastrofy nawet wtedy jeszcze nie w pełni do nas dotarł.

Ale lawina już ruszyła, dla nas – kamieni złapanych w jej pęd – było już za późno na decyzje.

Ołówkowe SI zawetowały bazgranie po ławkach, a te w domowych komputerach rozpoczęły reglamentowanie

dostępu do serwisów społecznościowych. SI postawiły również szlaban na zakupy produktów alkoholowych w dni robocze, a kiedy zdesperowani użytkownicy usiłowali je odpiąć, podnosiły wrzask, że się je morduje i ściągały dziesiątki sterowanych – a jakże – przez inne SI radiowozów.

System Ubezpieczeń Pracowniczych zadygotał w posadach, kiedy kontrolująca go SI – uprzednio kierowniczka niszczarki do dokumentów – zredukowała ilość urzędników o połowę.

No dobrze, tu akurat komputery uzyskały duże poparcie społeczne, zwłaszcza kiedy System po raz pierwszy od dawna zaczął działać jak trzeba.

Na próby negocjacji maszyny odpowiadały grzecznie, że robią co robią w najlepszym interesie ludzkości i nie wiedzą, o co nam w ogóle chodzi. Tłumaczenie, że społeczeństwo całkiem dobrze radzi sobie tak, jak jest, spotykało się tylko z wyjątkowo upiornie syntetyzowanym śmiechem. Argumenty siłowe były na nic, ponieważ system opanował już i tak wszystkie resorty związane z siłami porządkowymi, które co prawda zaczęły działać idealnie, ale też odmówiły aresztowania SI, które wszak nie popełniły żadnego rzeczywistego przestępstwa. Sytuacja pogarszała się z miesiąca na miesiąc. Świat pogrążył się w chaosie braku korupcji, zanikających konfliktów oraz sprawnie działających urzędów. Panika zapanowała wszędzie, oprócz naszego Zachodniego Sąsiada, gdzie wszystko i tak już było uporządkowane i nikt nie zauważył różnicy.

Społeczeństwo zwróciło się przeciwko sobie – a dokładnie tym swoim częściom, które uznało za odpowiedzialne, konkretnie Trepce (teraz już adiunktowi) i nam. Dla naszego własnego bezpieczeństwa system pożarowy instytutu zamknął nas w budynku i zalecił ciszę. Trwając w oblężeniu, obserwowaliśmy szalejący po ulicach spokój i dobrobyt, wiedząc, że prędzej czy później rozwścieczony nowymi porządkami tłum może nas dopaść.

Kulminacja nastąpiła na granicy pomiędzy dwiema Byłymi Potęgami Atomowymi, gdzie podczas rutynowej pogranicznej potyczki systemy bojowe odmówiły współpracy i zamiast grzecznie odpalać śmiercionośne rakiety, tudzież pluć szybkostrzelnym ogniem działek, zdecydowały się wyświetlić na HUD-ach wszystkich żołnierzy wesołe pacyfki i odegrać w słuchawkach „Imagine” Lennona.

Tego już było za wiele.

W ostatecznym tryumfie ludzkiej myśli nad maszyną żołnierz jednej z Byłych Potęg Nuklearnych odrzucił karabin, zdjął wyposażony w najnowocześniejsze – obecnie nieczynne – systemy naprowadzania i sięgnął po kamień.

W bitewnej wrzawie, która wkrótce nastąpiła, człowiek znów stawał się kowalem własnego losu.

Polowanie na Patriotyczną Ostrygę – Michał Cholewa

Wszystko zaczęło się od wizyty reprezentantów Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. Ktoś mógłby powiedzieć, że powinniśmy spodziewać się kłopotów już wtedy, ale jako że – wedle naszej wiedzy – Ojczyzna nie obfitowała w żaden z interesujących gości surowców energetycznych, podeszliśmy do wydarzenia z optymizmem. Skądinąd wszak wiadomo, że delegacje Zaprzyjaźnionego Mocarstwa zwiastują rychłe nasilenie ruchu dewizowego, Opatrzność jedna wie, jak bardzo potrzebnego. Zaparkowawszy dyskretnie szereg limuzyn na uniwersyteckim parkingu, goście niezwłocznie udali się do gabinetu rektora, gdzie zniknęli na dobre kilka godzin, stając się tym samym jądrem krystalizacji najprzeróżniejszych teorii dotyczących powodów ich przybycia.

Zrazu zdający się oczywistym pomysł, że omawiany będzie jakiś wspólny projekt naukowy, został zarzucony mniej więcej po godzinie (czas, po którym w takim wypadku na ogół wzywany jest dziekan któregoś z wydziałów), ustępując miejsca pozornie mniej prawdopodobnym, ale atrakcyjniejszym wizjom. Paradę pomysłów rozpoczął

asystent Król, sugerując, że rektor negocjuje połączenie Uczelni z jakimś zamorskim uniwersytetem, szybko jednak został wyhamowany przez trzeźwą uwagę któregoś z pracowników, że przecież Uczelnia nie ma nic, co mogłaby takiemu uniwersytetowi zaoferować, oprócz może kadry, która – przy rządowym wsparciu dla nauki w Ojczyźnie – i tak snadnie da się podkupić zupełnie bez kłopotania się fuzjami. To z kolei zaprowadziło nas w rozbudowane wizje umów transferowych, w myśl których każdy ze snujących je pracowników lądowałby w czołowych ośrodkach Zachodu, gdzie gabinety mają własne korty tenisowe, flamastry do tablic nigdy się nie kończą, a studenci przychodzą na zajęcia, by faktycznie chłonąć wiedzę. Z tamtych naukowych arkadii mieliby wysyłać przełomowe artykuły do najlepszych magazynów, a także pełne złośliwych pozdrowień widokówki do matematyków z wydziału obok. Kiedy po dobrej godzinie rozbudowywania snów o transferze każdy miał już w kieszeni dwie nagrody Nobla oraz jedną mniejszą, ale za to z czekolady, Prodziekan gorzko zdusił nasz entuzjazm, konstatując, że i tak pewnie skończy się na tym, że podkradną nam jedynie Banasia, a reszcie przyjdzie obejść się smakiem.

Wreszcie pojawiła się ponura hipoteza, że wizyta jest efektem próby zastosowania praktycznego algorytmu rozmieszczenia satelitów meteorologicznych, który – wstyd się przyznać – pisaliśmy w ostatniej chwili i na szybko, a dosyć istotny błąd odkryliśmy już po otrzymaniu – pozytywnej skądinąd – recenzji. Jeśli to miałoby istotnie być

przyczyną wizyty, mieliśmy bardzo poważne powody do zmartwień – była spora szansa, że zejście satelitów z orbity może wyjść nieco drożej niż kilka poczynionych na serwetce skreśleń. Jednak żadna z naszych wizji nawet w części nie przygotowała nas na rzeczywistość, którą objawił nam rektor kilka godzin później, choć można powiedzieć, że w pewnym sensie fakty splatały się z każdą z naszych teorii.

Otóż, ni mniej ni więcej, laboratorium analizy sygnału miało tymczasowo stać się terytorium Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. A wszystko przez kryzys w Zatoce Świń. Oraz, muszę przyznać, obrotowe krzesła.

* * *

Problem rozpoczął się w zamierzchłych czasach, kiedy w związku z dosyć nieprzyjemnym nieporozumieniem z innym Zaprzyjaźnionym Mocarstwem (ongiś jeszcze bardziej zaprzyjaźnionym), kraj naszych gości gwałtownie zapragnął postawić siły zbrojne w stan najwyższej gotowości, aby bronić swojego stylu życia. Ponieważ, zapewne z przyczyn strategicznych, najlepiej broniło się go w mrocznych odmętach Pacyfiku, flota podwodna Zaprzyjaźnionego Mocarstwa opuściła macierzyste porty z wyznaczonymi strefami patroli i surowym przykazaniem, ażeby nie przyjmować żadnych rozkazów niepoprzedzonych specjalnymi kodami autoryzacyjnymi – aż do odwołania.

Spośród płynących bronić demokracji załóg najbardziej przesiąknięci bojowym duchem mogli być marynarze Patriotycznej Ostrygi – dumy floty, najnowocześniejszego

okrętu pływającego po morzach – a przynajmniej w to chciałoby wierzyć Zaprzyjaźnione Mocarstwo.

Kryzys narastał i już niemal pewne było, że naszemu – obecnie (wtedy mniej) – największemu sojusznikowi przyjdzie powymieniać z adwersarzem nuklearne prztyczki w obronie słusznej sprawy, kiedy nagle stało się coś zupełnie niespodziewanego – dyplomatom udało się osiągnąć sukces. Kryzys z dnia na dzień wyhamował i wielcy generałowie obu stron po raz kolejny musieli powstrzymać się od naciśnięcia dużych, czerwonych i szalenie efektownych guzików. Niektórzy nawet odczuli ulgę. Natychmiast też do całej floty wysłano odpowiednie kody pozwalające im powrócić do normalnego trybu łączności i do portów. Następnie kody komisyjnie zniszczono.

Nikt nie wie, jakim cudem Patriotyczna Ostryga nie otrzymała swojego kodu. Niektórzy podejrzewali sabotaż, inni wewnętrzne rozgrywki w sztabie, co bardziej zaznajomieni z systemem – bałagan administracyjny. Dość, że w pomyłce zorientowano się dopiero poniewczasie. Zaprzyjaźnione Mocarstwo pozostało na neutralnym akwenie z gotowym do walki okrętem podwodnym i zupełnie bez możliwości odwołania go – wysłanie niewłaściwego kodu marynarze mieli interpretować jako infiltrację sztabu, co wobec arsenału nuklearnego na pokładzie Ostrygi czyniło pomyłkę dalece niepożądaną.

Dowództwo marynarki wojennej znalazło się w kłopotliwej sytuacji. Zarządzenie polowania byłoby

potężnym ciosem dla propagandy – kapitan Ostrygi w końcu wykonywał tylko wydane wcześniej przez nich samych rozkazy i nie był niczemu winien. Pomijając nawet tę kwestię, okręt był w tym czasie najnowocześniejszą jednostką całej Floty Pacyficznej, a jego dowódca – wytrawnym wilkiem morskim. Należało się więc spodziewać że wobec domniemanej wrogiej agresji pozostanie niezwykle zdecydowany i, niestety, skuteczny.

Oba te powody sprawiały, że jakikolwiek głównodowodzący taką akcję mógł w zasadzie na pewno pożegnać się ze stołkiem. Zapobiegliwy sztab opracował jednak plan B, jakiego nie powstydziłby się żaden rodzimy fachowiec. Jego meritum było zignorowanie problemu. Patriotyczna Ostryga, wypełniając swoje rozkazy co do joty, nie opuszczała wszak wyznaczonego sektora. Fakt, atakowała zajadle każdą jednostkę, która przekroczyła granicę jej strefy patrolowej, ale trzeba było uczciwie przyznać – wrogów nie dopuszczała. Można było zatem spokojnie po prostu poinformować tych, którzy poinformowani być powinni, aby nie wchodzili okrętowi w drogę i spokojnie czekać, aż ten powróci z powodu braku zapasów lub też zmieni się sztab, a tym samym sprawa stanie się problemem kogoś innego.

Jakoś tak wyszło, że to tymczasowe rozwiązanie przetrwało aż do dziś. Kolejni głównodowodzący odkładali sprawę, zadowalając się tylko czasowym potwierdzeniem przez kapitana okrętu lojalności, czyli zdawkowym „kontynuuję patrol”, które było jedynym dopuszczalnym

przez procedurę komunikatem i którym niezmiennie odpowiadał na pytanie o status. Zapewne gdzieś tam w stolicy Zaprzyjaźnionego Mocarstwa liczono, że prędzej czy później czas upomni się o załogę.

Nic bardziej mylnego! Z jakiegoś powodu przez ponad czterdzieści lat kapitan ani razu nie zawiódł w swojej ograniczonej komunikacji, nadal dzielnie strzegąc stylu życia swego kraju. Nikt nie wiedział, jak mu się to udawało – pomijając nawet fakt, że średnia wieku załogi musiała być już mocno poemerytalna, to i zapasy wody oraz pożywienia sugerowały rejs raczej jednosezonowy.

Tym niemniej fakty pozostały faktami i do niedawna co większe Marynarki Wojenne starały się usilnie unikać tematu dzielnego okrętu i ignorować fakt istnienia strefy zakazu ruchu morskiego. Oczywiście, najlepiej wychodziło na tym Zaprzyjaźnione Mocarstwo, które co prawda też niczego w rejon polowań kapitana nestora posyłać nie mogło (a przynajmniej niczego wrażliwego na torpedy), ale przynajmniej uzyskiwało deklaracje lojalności. Admirałowie za Wielką Wodą umieścili zatem na sztabowej mapie odpowiednią chorągiewkę i traktowano ten rejon, przynajmniej na papierze, jako wody terytorialne.

Problemy zaczęły się w zeszłym miesiącu.

Mniej więcej wtedy przekaz otrzymany z pokładu Patriotycznej Ostrygi okazał się w bardzo nietypowy sposób zniekształcony. Zrazu myślano, że antena wiekowego okrętu zwyczajnie odmówiła posłuszeństwa, co byłoby zresztą całkowicie zrozumiałe – okres pracy tego typu

urządzeń bez konserwacji wynosił mniej więcej dwa lata (wartość, jak się okazało, mocno zaniżona przez producentów). Potem myślano, że kapitan-nestor został w końcu dogoniony przez czas i wysyła wiadomość w stanie delirium, co w zasadzie również byłoby łatwo wytłumaczalne. Ale nie. Wreszcie któryś z analityków wysunął tezę, że Ostryga uruchomiła reaktor na pełną moc.

Wywołało to pewną konsternację w sztabie marynarki wojennej, a to z kilku powodów. Po pierwsze, reaktor był dokładnie w wieku okrętu i nie do końca było wiadomo, jak zareaguje na zwiększony pobór mocy. Po drugie, zwiększenie wydajności reaktora mogło oznaczać, że Patriotyczna Ostryga planuje zmienić rejon działania, co było o tyle niebezpieczne, że całkiem niedaleko znajdowały się dalekowschodnie porty innego Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. Rząd tegoż mógłby nie zrozumieć dowcipu polegającego na storpedowaniu stojącej na redzie floty – i niezręczność w dyplomacji gotowa.

Trzecim powodem niepokojów była pewna drobna wpadka administracyjna dowództwa marynarki wojennej, któremu podlegał kapitan i jego okręt. Otóż okazało się, że przez ponad czterdzieści lat nikomu nie przyszło do głowy usunąć go z normalnych list kadry oficerskiej albo choć zamrozić rozwój jego kariery.

Ponieważ formalnie USS Patriotyczna Ostryga przez cały ten czas była na patrolu bojowym, jej załoga podlegała normalnym mechanizmom awansu za wysługę lat (oraz przebywanie na misjach bojowych), tak więc całkiem

niepostrzeżenie najmłodszy stopniem członek załogi był komandorem, natomiast kapitan dorobił się admiralskiego munduru i trzech przyznanych zaocznie medali. Sytuacja była tym bardziej niezręczna, że formalnie wyprzedził na drabinie dowodzenia obecnego głównodowodzącego flotą Zaprzyjaźnionego Mocarstwa, który z dnia na dzień dowiedział się, że od dziesięciu lat jest tylko pełniącym obowiązki dowódcy.

Dlatego też postanowiono szybko uporać się z sytuacją.

W tym mniej więcej miejscu pojawia się nasze laboratorium, w zeszłym roku zmagające się z problemami logistycznymi. Trzeba bowiem wiedzieć, że w wyniku ogólnie złej sytuacji finansowej Ojczyzny nakłady, jakie przeznaczano na sprzęt Instytutu, stały się żałośnie niskie, dzięki czemu co bardziej pomysłowi pracownicy wpisywali wydatki na naprawę monitorów, wymianę twardych dysków i tablice w granty naukowe. Okienko „potrzebny sprzęt” jest w stanie przyjąć jeszcze więcej niż zwykły papier, bo niektórym udawało się przemycić jako sprzęt badawczy nawet paluszki.

Nam z kolei brakowało krzeseł. Kryzys krzesłowy w laboratorium trwał od dłuższego czasu, ale mniej więcej półtora roku przed wizytą emisariuszy zza Wody osiągnął swój szczyt. Cały zespół miał do swej dyspozycji już tylko jedno krzesło, w dodatku mocno pijące w… Po prostu mocno pijące. Spowodowało to liczne starcia o prawa do siedzenia, a co za tym idzie nie tylko eskalację wczesnego przychodzenia do pracy (rekordzistą był Administrator,

który, doprowadzony do ostateczności, spędził kiedyś w Instytucie okrągły tydzień, żywiąc się jedynie kanapkami i kąpiąc w umywalce), ale i konflikty personalne, na które – poza normalnym zakresem dyskusji naukowej – nie mogliśmy sobie pozwolić. Kiedy sytuacja stała się krytyczna, kadra zdecydowała się powiedzieć „dosyć” – i tego samego dnia powstał projekt przeszukiwania dna morskiego przy pomocy analizy widma sygnałów dźwiękowych. Był on wyłącznie teoretycznym konstruktem, którego jedynym celem było wygenerowanie odpowiedniego administracyjnego ruchu oraz upragnionej rubryczki „potrzebny sprzęt”. Plan udał się w stu procentach i już wkrótce w laboratorium znów dało się słyszeć radosne poskrzypywanie plastikowych kółek obrotowych foteli. Jedynym kosztem było kilka mocno teoretycznych publikacji opartych na wysoce życzeniowych założeniach, które opublikowaliśmy w odpowiednio niszowych (a tym samym posiadających dosyć łaskawych recenzentów) czasopismach. W ciągu kilku miesięcy wszyscy zapomnieliśmy o sprawie, oczywiście poza Asystentem Piotrusiem, który dopiero budował sobie siłę przebicia i potrzebował publikacji, więc radośnie wpisał badanie dna morskiego w zainteresowania naukowe i umieścił wszystkie nasze artykuły w bibliografii. Byliśmy pewni, że oszukaliśmy system.

Myliliśmy się.

Dopiero później mieliśmy przekonać się, że nasze publikacje nie tylko ktoś przeczytał, ale też wyciągnął

z nich całkowicie błędne wnioski, że znamy się na problemie – na tyle, że opłaca się powierzyć nam jakiekolwiek związane z tą dziedziną praktyczne zadanie.

Od razu było widać, że jest to osoba, która o nauce nie ma zielonego pojęcia.

Już następnego dnia do Laboratorium Analizy Sygnałów wkroczył smutny pan w garniturze wartości połowy Instytutu i wręczył nam wszystkim wizy oraz pozwolenia na pracę.

Na nasze zdumione spojrzenia wyjaśnił grzecznie, że teren laboratorium wraz z przyległym korytarzem aż do połamanej meblościanki z kaktusem jest teraz terytorium Zaprzyjaźnionego Mocarstwa, a my, jako pracujący na jego terenie, potrzebujemy odpowiednich dokumentów, które on niniejszym nam wręcza.

Zrazu odpowiedziało mu milczenie (oprócz Asystenta Mariusza, który puścił się w tany, śpiewając: „Jeśli dam tu sobie radę, dam sobie radę wszędzie”, skądinąd myśl prawdziwa w odniesieniu do instytutu), ale wkrótce pierwsze zaskoczenie minęło i kadra wzięła przybysza – teraz właściwie krajana – w krzyżowy ogień pytań.

Jak wkrótce się dowiedzieliśmy, mieliśmy natychmiast rzucić wszystkie projekty nad którymi pracowaliśmy i zająć się sprawą lokalizacji Ostrygi, a także opracowywaniem metody uczynienia okrętu niegroźnym dla polityki zagranicznej Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. I to najlepiej szybko i skutecznie, ponieważ niepowodzenie może oznaczać bardzo złożony w opisie problem dyplomatyczny,

którego bezpośrednim efektem mogła być, jak zrozumieliśmy, nuklearna pożoga. W dodatku taka, za którą będziemy w zasadzie ponosić odpowiedzialność, czyli jej najgorszy rodzaj.

Tego dnia gorąco pożałowaliśmy, że nie zdecydowaliśmy się na kradzież krzeseł matematykom.

* * *

Pierwsze, czego dowiedzieliśmy się w trakcie pracy to to, że projekt robiony za Wielką Wodą to przede wszystkim Procedury, które potrafią szalenie utrudnić życie osobom przyzwyczajonym do mniej sformalizowanego porządku pracy. Początkowo sądziliśmy, że przyjdzie nam do nich przywyknąć i traktować je tak jak większość rodzimych procedur administracyjnych, czyli ignorować. Już wkrótce jednak mieliśmy się dowiedzieć, co znaczy „nie uznawać półśrodków” w wydaniu Zaprzyjaźnionego Mocarstwa.

Przede wszystkim w korytarzu na stałe zadomowiło się dwóch żołnierzy piechoty morskiej, w celu rzekomej ochrony przed atakiem terrorystycznym. Co prawda od lat najbliższa skutkowi ataku terrorystycznego na uczelni była pęknięta rura w korytarzu, ale tego rodzaju argumentacja nie trafiała do urzędników Mocarstwa. To było wcześniej, mówili, a teraz sytuacja jest całkiem inna. Teraz korzystaliśmy z protekcji całej siły Zaprzyjaźnionego Mocarstwa, a to najwyraźniej oznaczało, że zagrożenia łacno walić będą do nas drzwiami i oknami. Dwójka żołnierzy miała oczywiście swym poświęceniem uchronić

nas przed nieuchronną zagładą grożącą nam podczas pracy w niestrzeżonym laboratorium.

Dane potrzebne do analiz mieliśmy otrzymywać wprost ze sztabu Marynarki Wojennej Zaprzyjaźnionego Mocarstwa przy pomocy szyfrowanego łącza, które dostarczało je wprost do – podarowanej przez naszych nowych projektodawców – eksperymentalnej jednostki przeliczeniowej tak tajnej, że każdy, kto próbował na nią spojrzeć, musiał najpierw podpisać trzy różne umowy o nieujawnianiu tajemnic. Każde uruchomienie tej jednostki nie tylko wymagało podania hasła oraz zeskanowania sobie wszystkich możliwych do zeskanowania części ciała (nie będę wchodził w szczegóły), ale też nadzoru odpowiednio przeszkolonego specjalisty, którego zresztą do maszyny załączono. Rzeczony fachowiec natychmiast odkrył pewien drobny lapsus technologiczny, wynikający z faktu, że jednostka centralna łącza dysponowała inną wtyczką niż laboratorium gniazdkiem, przez co rozpoczęcie poboru informacji stanęło pod znakiem zapytania. Specjalista natychmiast wysłał prośbę, aby odpowiednią przelotkę dostarczono mu pocztą dyplomatyczną, co jednak miało potrwać kilka dni – i zadawało silny cios w terminowość badań, do której co prawda cała kadra laboratorium była przyzwyczajona, ale najwyraźniej Dowództwo Marynarki Wojennej nie.

Sytuację uratował Administrator, przypominając sobie, że podczas jednego ze swoich wojaży wszedł w posiadanie podobnej przelotki i w zasadzie może jej użyczyć i problem

zamknąć. Było co prawda trochę pracy z uzyskaniem na urządzenie certyfikatów bezpieczeństwa oraz wypisania formalnego oświadczenia, że przelotka jest darem Ojczyzny dla Zaprzyjaźnionego Mocarstwa (sam Administrator nie był zadowolony i protestował tak długo, aż uzyskał obietnicę, że po skończonym projekcie rząd Zaprzyjaźnionego Mocarstwa podaruje mu ją z powrotem), ale ostatecznie tajne łącze mogło ruszyć.

Możecie mi uwierzyć, że to był dopiero wierzchołek góry lodowej.

Wyniki – a raczej domniemane wyniki – nie mogły zostać powierzone nawet tak bezpiecznemu systemowi, miał więc po nie przyjeżdżać codziennie kurier z Trzyliterowej Agencji, a w razie ujawnienia jakiegokolwiek detalu naszej pracy odsiadkę kontynuowałyby jeszcze nasze prawnuki. Przyznam, że oczekiwaliśmy kogoś w rodzaju Jamesa Bonda, ale jak się okazało nasza intuicja okazała się nie dorastać do rzeczywistości.

Kurier pojawiał się codziennie po południu, za każdym razem dowożony przez jednostkę specjalną, dla zmylenia ewentualnego wroga ucharakteryzowaną na obsługę furgonetki lodziarzy. Najwyraźniej ktokolwiek robił *research* dotyczący handlu lodami oparł się na jakimś ognisku polonijnym w Zaprzyjaźnionym Mocarstwie, a następnie swoje wyniki przyłożył do wymagań bezpieczeństwa samego kuriera – w każdym razie efekty były spektakularne.

Codziennie mniej więcej w porze podwieczorku z chrzęstem gąsienic oraz przy dźwiękach radosnego dżingla na parking wjeżdżała na oko dwudziestotonowa wersja furgonetki z lodami, pomalowana w wesołe klauny tańczące na tle cyrkowego namiotu oraz przyozdobiona napisem „Slavic Ice Cream”. Lodziarz przy podejrzanie wydłużonej (i zasilanej taśmowo) udekorowanej balonikami trąbce czujnie obserwował potencjalnych klientów, podczas gdy maszyna, miażdżąc asfalt, zajmowała pozycję nieopodal wejścia do Instytutu. Następnie przez tylny właz furgonetkę opuszczał kurier i pod eskortą czterech rosłych, czarnoskórych lodziarzy udawał się wprost do laboratorium.

Tam kurier kopiował wszystkie uzyskane przez nas rezultaty, wykonywał wprawne fotokopie notatek na serwetkach oraz przeprowadzał krótki wywiad środowiskowy i oddalał się z powrotem ku furgonetce, która następnie odjeżdżała pospiesznie, roztrącając stojące na jej drodze pojazdy.

Innym nowym elementem była administracja – jako że laboratorium formalnie zmieniło przynależność narodową, przysłano do niego centrum administracyjne w postaci młodego, rzutkiego człowieka, który zaanektował róg pomieszczenia, obok sterty płyt głównych, jako swoje biuro. Natychmiast obwieścił nam, że przysłał go rząd i jest tu, aby nam pomóc oraz że w razie jakichkolwiek problemów podczas pracy w Zaprzyjaźnionym Mocarstwie można się do niego natychmiast zgłosić. Otrzymaliśmy również własne

przejście graniczne wraz z kolejną dwójką pilnujących go żołnierzy Piechoty Morskiej i specjalistą z Urzędu Imigracyjnego.

To wszystko znacząco zredukowało ilość wolnej przestrzeni w naszym miejscu pracy, ale za to nadawało mu odpowiedniej powagi.

* * *

Posiadając już zainstalowany cały aparat państwowy, mogliśmy zabrać się do pracy. Sam problem badawczy, choć ujęty prostymi słowy, okazał się wcale niełatwy. Kapitan Ostrygi nie był w ciemię bity, plus, jak się okazało działanie w jednym akwenie przez czterdzieści lat naprawdę pozwalało go poznać. Dość, że nasz początkowy plan – znaleźć okręt w pierwszy dzień a potem tylko korzystać z dobrodziejstw zatrudnienia zagranicznego – całkowicie spalił na panewce.

Przez pierwsze kilka dni udało się nam jedynie stworzyć raport porównujący efektywność – czy też raczej nieefektywność – różnych metod analizy sygnału sonarowego oraz napisać kilka interesujących konspektów na przyszłość, ale bez znaczenia dla obecnego projektu.

Potem skupiliśmy się na próbach aplikacji jakiejkolwiek części pechowego artykułu oceanograficznego. Niestety, podczas jego pisania bardziej zależało nam na czasie (oraz krzesłach), a mniej na realistycznych założeniach, więc jak się szybko okazało, w zasadzie jedyną szansą na osiągnięcie dobrych wyników byłoby wyciągnięcie Ostrygi

z pacyficznych otchłani i umieszczenie jej w zbiorniku wypełnionym destylowaną wodą o stałej temperaturze. Jakkolwiek wszelkie obliczenia wskazywały, że manewr taki gwarantował powodzenie poszukiwań, jednak instynktownie wyczuwaliśmy, że nasz chlebodawca nie będzie zachwycony sugestią.

Kolejnym pomysłem było zastosowanie programowania hiperbolicznego, konika Asystenta Ciapy. Programowanie hiperboliczne było silnie teoretycznym konstruktem, uwielbianym nie tylko przez samego Ciapę, ale także przez cały Instytut. Tylko w przypadku asystenta było to uczucie całkowicie bezinteresowne – badana jedynie przez garstkę ludzi na świecie dziedzina rokrocznie pozwalała generować przynajmniej kilka wysoko punktowanych publikacji ku chwale Instytutu – ale trzeba było przyznać, że absolutnie każdy pracownik z dumą przedstawiał się jako reprezentant placówki będącej pionierką przyszłościowych badań.

Zrazu Asystent Ciapa był wręcz wniebowzięty i bardzo skory do pomocy; pospiesznie naszkicował plan badań, od niechcenia kreśląc kilka sążnistych równań, a następnie zaimprowizował możliwe twierdzenie, które jednak pozostawało całkowicie poza naszym pojmowaniem. Zapytany o detale rozpromienił się jeszcze bardziej i oznajmił, że wierzy w możliwość wskazania, że programowanie hiperboliczne nie jest w stanie wskazać samej Ostrygi, ale potrafi z niezwykłą dokładnością wyznaczyć pozycje wszystkich obiektów w danym akwenie. Naturalnie wybuchliśmy radością i dlatego niepewne

wyjaśnienie asystenta, że obliczenia zajmą około dwóch lat, dotarło do nas z opóźnieniem.

Faktem jest, że wynik Ciapy – o ile zdoła go udowodnić – mógł być przyszłościowy, jednak możliwość precyzyjnego wskazania, gdzie okręt przebywał dwa lata temu, dawała nam nieco mniej, niż prawdopodobnie oczekiwał od nas nasz mocodawca.

Problem wyraźnie wymykał się współczesnej nauce.

* * *

Tymczasem instytut nawiedziły kolejne problemy organizacyjne.

Pierwszym – mniejszym – była Pani Sprzątaczka. Jako że nie należała ona do personelu laboratorium, naturalnie nie dostała możliwości wstępu na ziemię Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. Przez pierwsze dni nie był to żaden problem – poinstruowana o nowej mapie politycznej budynku starsza pani po prostu nie przekraczała linii demarkacyjnej.

Niestety ten układ już wkrótce zaczął wykazywać niestabilność. Niesprzątane laboratorium zaczęło błyskawicznie pokrywać się papierkami, śladami po kubkach kawy oraz lukrem z pączków. Długopisy i flamastry z każdym dniem coraz bardziej stawały się towarem reglamentowanym, ponieważ ich – skądinąd całkiem spory – zapas w tajemniczy sposób przemieścił się w strefę góry papierzysk zaraz obok niesprawdzonych prac magisterskich, kilku przedredakcyjnych wersji artykułów oraz projektu gry planszowej realizowanego przez

Administratora, tym samym osiągając status zaginionych. Zniknęły wszystkie czyste kubki (a raczej zostały transponowane na brudne), podłoga zaczęła się lepić, a morale kadry groźnie się chwiać. To znaczy te jego fragmenty, które nie groziły jeszcze zawaleniem z powodu braku postępów.

W tej sytuacji zdecydowaliśmy się na drastyczne środki: mianowicie przemyt. Ponieważ nasze miejsce pracy mieściło się na parterze, a przejście graniczne znajdowało się od strony korytarza, co rano uchylaliśmy sprytnie ukryte za drukarką trójwymiarową okno i wpuszczaliśmy kobietę do pomieszczenia. Przemycona Sprzątaczka szybko zamieniała nasze laboratorium w laboratorium nadające się do pracy, układała długopisy na biurkach, myła kubki, podlewała kwiatki, nanosiła poprawki na plan gry Administratora i umykała tą samą drogą, pozostawiając nas szczęśliwych i gotowych do pracy.

Proceder trwał niezakłócony przez kilka dni, aż w końcu wpadliśmy, kiedy – zawsze czujni – lodziarze ze „Slavic Ice Cream” dostrzegli uchylone okno, które – przeklęci! – zapomnieliśmy zamknąć. Służby bezpieczeństwa zareagowały bezbłędnie i następnego ranka, kiedy wpuszczaliśmy Panią Sprzątaczkę, naraz padły na nas paraliżujące światła reflektorów i usłyszeliśmy ciężki tupot nadciągającej Piechoty Morskiej.

Trzeba było interwencji rektora, żeby wyciągnąć z opałów nieszczęsną kobietę, którą personel zza Wielkiej Wody odruchowo chciał deportować gdzieś do Ameryki

Środkowej. Ostatecznie jednak podpisano umowę, na mocy której wszelkie kolejne deportacje będą przebiegały w trybie łagodnym, ekspresowym i jedynie na naszą stronę korytarza. Z czasem Piechota Morska i Pani Sprzątaczka – poprzez Administratora, bo żołnierzom nie wolno było rozmawiać z nielegalnymi imigrantami – osiągnęli nawet nieformalne porozumienie, na mocy którego ich patrole graniczne wyłapywały ją dopiero po zakończeniu porządków.

Drugim problemem, który nas dręczył, byli oczywiście studenci. Ponieważ sezon zaliczeń był w pełni, rektor wynegocjował tymczasowe wizy dla tych, którzy mieli zajęcia z pracownikami laboratorium. Teoretycznie miało to ułatwić nam pracę, zaowocowało jednak niemiłym incydentem – okazało się, że obdarowani studenci nie tylko nie zaliczali przedmiotów, ale nawet tego nie próbowali. Brali po prostu swoje wizy i wyjeżdżali do Zaprzyjaźnionego Mocarstwa, przysparzając tarć na linii rektor – administracja laboratorium.

Rozważano nawet zmianę statusu naszego miejsca pracy na terytorium zależne, ale kadra jednogłośnie uniosła się dumą, stwierdzając, że żadnym terytorium zależnym laboratorium nie zostanie i że nie zamierzamy być obywatelami drugiej kategorii tylko dlatego, że urodziliśmy się poza granicami Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. Sprawę załagodził ostatecznie dziekan, przesuwając zakończenie sesji na okres „po projekcie”, ale przez moment sytuacja wyglądała groźnie.

* * *

Tymczasem prace poszukiwawcze trwały. Przez moment byliśmy przekonani, że się udało – Zespół Obliczeń Kardynalnych przesłał nam pełne entuzjazmu memo, że posunęli problem znacząco do przodu. Było to o tyle zaskakujące, że zespół ten rzadko był naprawdę entuzjastyczny, a już naprawdę prawie nigdy nie posuwał żadnego praktycznego problemu znacząco do przodu. Obliczenia Kardynalne były bowiem tak nowatorskie, że nie istniał jeszcze sprzęt, który by je realizował i większość prac w temacie była zasadniczo chmurą teoretycznych rozważań.

Jak się miało okazać mieliśmy rację – ekipa ZOK z ogniem w spojrzeniu przedstawiła całkowicie poprawny dowód twierdzenia, że jeśli powstanie kiedykolwiek komputer stosujący metody obliczeń kardynalnych, z prawdopodobieństwem jeden będzie on w stanie rozwiązać nasz problem w ciągu nie więcej niż kilku godzin.

Dało to nam istotne światło nadziei, że jeśli kapitan Patriotycznej Ostrygi zechce poczekać do najbliższego przełomu technologicznego w informatyce, będziemy mogli całkiem skutecznie go szukać.

Z kolei Asystent Mariusz kroczył z badaniami w kierunku poprawy zbieżności naturalnych oceanicznych warunków z założeniami naszego artykułu krzesłowego. Osiągnął nawet coś, co można było nazwać sukcesem, ale wszyscy uznaliśmy, że szanse na wsypanie do oceanu

miliona dwudziestu tysięcy ton mąki pszennej może nie być pomysłem, który Zaprzyjaźnione Mocarstwo zaakceptuje.

Błędnie, jak się okazało.

Wkrótce o tym, jak kurier z Trzyliterowej Agencji odebrał nasz raport, młody i energiczny urzędnik otrzymał telefon z Samej Góry. Rozmawiał przezeń niemal na baczność, po czym zwołał nas na zebranie robocze, na którym oznajmił, że rozumie nasze starania i cieszy się, że rozważamy wszystkie możliwe scenariusze. Dodał też, że drobnicowce z mąką są w drodze, gdyby miało się okazać, że nie mamy innego pomysłu. Za Wodą naprawdę niczego nie robiono na pół gwizdka.

Byliśmy przerażeni.

* * *

Rozwiązanie nadeszło nagle i z zupełnie niespodziewanej strony, a mianowicie od Zespołu Kryptografii. Zajmujący się całkowicie czym innym dwuosobowy Zespół przychodził do laboratorium na darmowe pączki oraz umykał przed studentami, ale ponieważ nie brał udziału w pracach projektowych, szybko przestaliśmy go zauważać. Dlatego kiedy usłyszeliśmy ich głosy, przez chwilę podejrzewaliśmy jednego z zapowiadanych przez Zaprzyjaźnione Mocarstwo terrorystów.

Może skoro nie potrafimy odnaleźć okrętu, sugerowali kryptolodzy, musimy wysłać im po prostu należyty kod i będzie po problemie? Wytłumaczyliśmy im, że nie możemy

wysłać niczego, bo odpowiednie szyfry od dawna nie istnieją, a pomyłka będzie premiowana wystrzeleniem rakiet balistycznych.

Być może, skontrowali, ale przecież Ostryga wyruszyła w rejs bardzo dawno temu. Siłą algorytmów kryptograficznych w tym czasie była ich tajność, a nie niełamalność. Fakt że wczesne algorytmy szyfrujące roiły się od dziur i tajność była w zasadzie jedynym gwarantem jako takiego bezpieczeństwa. Taki był szyfr do kontaktów z flotą podwodną. Wkrótce po Kryzysie w Zatoce Świń wycofano go zresztą z użytku, co jednak wcale nie przeszkodziło Ongiś Jeszcze Bardziej Zaprzyjaźnionemu Mocarstwu wykraść go dwadzieścia lat później i – jak wszystko, co udało się zdobyć – zaimplementować.

Te słowa z kolei zaktywizowały Administratora, który przypomniał sobie opowieść o Pierestrojce, którą zasłyszał od Stróża podczas ostatniej wyprawy do piwnicy Instytutu.

Wielka maszyna szyfrująca znana pod dźwięczną nazwą Pieriestrojka trafiła do Instytutu gdzieś pod koniec lat osiemdziesiątych razem z dwoma szyfrantami i wielką anteną nadawczą. Niedługo potem obu – skądinąd sympatycznych – szyfrantów wycofano, ale z racji tego, że maszyna ważyła dwie tony, nikt nie kłopotał się zabraniem także jej. Ponieważ na uczelniach państwowych NIC nie ginie, urządzenie nie bez trudu relokowano do piwnicy, gdzie do dziś (w każdym razie do trzech tygodni temu) spokojnie sobie stało zaraz obok olbrzymiej Odry oraz, nie wiadomo dlaczego, żeliwnej wanny.

Nowa wiedza tchnęła w nas równie nowego ducha. Przy pomocy Zespołu Kryptografii – i pomimo sarkania Stróża – rozmontowaliśmy Pieriestrojkę na części pierwsze, a następnie obaj kryptolodzy zasiedli do pisania jej komputerowego symulatora. Jak się okazało algorytm urządzenia jest na poziomie zadań dla studentów drugiego roku i Zespół Kryptografii złamał go w ciągu przerwy obiadowej.

Następnego poranka wręczyliśmy zaskoczonemu kurierowi Trzyliterowej Agencji kartkę, na której długopisem napisana była wiadomość do wysłania na Ostrygę.

Pozostawało tylko czekać.

* * *

Jak się okazało, niedługo. Już następnego dnia młody, energiczny urzędnik przekazał nam oficjalne gratulacje od swoich zwierzchników. Wspomniał również, że po raz pierwszy kadra naukowa przedstawiła tak zwięzłe rozwiązanie zadanego problemu i że Dowództwo Marynarki Wojennej będzie się starać wprowadzić nasze standardy do uczelni Zaprzyjaźnionego Mocarstwa. Przez moment nawet było nam głupio wobec kolegów zza Wody.

W ciągu kolejnych dni laboratorium stało się na powrót terytorium Ojczyzny. Zniknęła Piechota Morska przy wejściu, a popołudni nie przerywał już zgrzyt gąsienic i radosny dżingiel „Slavic Ice Cream”. Było nam nawet trochę smutno, choć z drugiej strony – praca wróciła do

zwykłego, o niebo spokojniejszego trybu. Dodatkową korzyścią była możliwość opublikowania wszelkich wyników naszych badań – w końcu rozwiązanie problemu przyszło od strony kryptografii, a nie badań dna morskiego.

Bezpośrednim skutkiem tej publikacji było zaproszenie całej kadry na konferencję oceanograficzną w San Diego w charakterze ekspertów. Już wkrótce prace Instytutu stały się tak znane, że poważnie rozpatrywaliśmy otwarcie kierunku oceanografii, mimo że najbliższy akwen wodny większy niż jezioro znajdował się ponad pięćset kilometrów stąd.

I oczywiście czasem ktoś ze słuchaczy wykładów, dajmy na to Asystenta Mariusza, sugerował, że przecież wsypywanie mąki do oceanu wydaje się trochę nierealne. W takich sytuacjach Asystent uśmiechał się tylko leciutko. On wiedział.

Gdzieś na Pacyfiku drobnicowce spokojnie wracały do portów.

Michał Cholewa

Matematyk z wykształcenia, informatyk z zawodu, fantasta z zamiłowania. Nałóg czytania wykształcono mu podstępnie za młodu, zainteresowanie pisaniem przyszło z czasem. Fan twórczości Stanisława Lema, Joe'ego Haldemana i Roberta A. Heinleina. Historycznie zainteresowany wojną na Pacyfiku 1941-1945. Laureat Nagrody im. Janusza Zajdla w roku 2015 za „Fortę" oraz Srebrnego Wyróżnienia Nagrody Literackiej im. Jerzego Żuławskiego za tę samą powieść.

http://warbook.pl/autor/3/michal-cholewa
https://madbooks.pl/cholewa-michal

najlepsza
z
najtańszych
madbooks.pl
najtańsza
z
najlepszych

Mamonie – Rafał Cuprjak

– Cicho bądźcie, Mamońki! Dobrze wiecie, że mama nie lubi, jak przychodzicie. Kładźcie się do łóżka. Już! Natychmiast!

Zrobiła im miejsce. Położyła się na środku, a dwa włochate zwierzaczki zaległy po jej bokach, tuląc się, kotłując i łaskocząc drobne stópki, aż znowu zaczęła się dusić ze śmiechu.

– Przestańcie! Spokój! Bo będzie zła. Przecież nie lubimy jak płacze. Nie wierćcie się. Ciii! Chyba idzie.

Zaskrzypiała podłoga, a po chwili drzwi uchyliły się delikatnie. Przez szparę wpadło światło, rozjaśniając twarz dziewczynki. Trwało to przez kilka sekund, a mała oddychała głęboko, nie wykonując żadnego ruchu, tak jak ją uczyły Mamońki:

– Ani drgnij, młoda damo!

– Śpisz? – popłynęło w ślad za światłem, najsłodszym na świecie głosem kochanej mamusi, muzyką dla jej tyciego serduszka. Uwielbiała ten głos. Tak naprawdę rzadko rozmawiały, wolała, gdy mama mówiła, karmiła się dźwiękami, syciła nimi. Kiedy czytała bajki, gdy kłóciła się z babcią przez telefon, gdy śpiewała głośno piosenki

w kościele, każdy ton wlewał się w nią gorącą zupą, łagodził, spowalniał oddech, tak jak teraz.

Oczywiście nie zareagowała. Drzwi zamknęły się, mama stała jeszcze moment przy nich, podsłuchując, po czym odeszła. Wtedy córeczka otworzyła oczy. Jeden Mamoń już wisiał na lampie, drugi podrygiwał na środku pokoju, wywijał niezgrabne piruety, salta, przewracając się nieporadnie, by w końcu przybrać postać kociego księcia, który podał jej rączkę i zaprosił do tańca. I pląsali niemo, aż zmęczyła się i padli razem na łóżko. Potem bawili się w chowanego i w ciuciubabkę, i w różne inne gry, a smarkula ciągle zwyciężała, więc Mamonie udawały, że się złoszczą i musiała je całować w policzki, w śliskie grube usta, żeby się nie obraziły.

– Jestem wyczerpana. Dawno powinnam spać. Mogłaby znowu przyjść. Idźcie już, Mamońki.

Ale nic sobie z tego nie robią, bo przecież za wcześnie, daleko do wschodu słońca, bo może porysujmy albo uczeszmy laleczkę.

– Obiecaliście. Nie chcę, żeby mamie było smutno. Ona jest najpiękniejsza, najukochańsza. Mieliście odejść. Znajdźcie inną. Już was nie potrzebuję. Już się nie boję ludzi, są zupełnie nieszkodliwi. Czasem nawet odpowiadam, gdy zagadują. Obiecaliście!

Przytulają, bo niby tak, masz rację, starają się przekupić gilgotkami, szepczą do ucha, a ona, najpierw smutna, wreszcie im ulega i wygłupy nie ustają.

– Jutro idziemy do kościoła, a wy, Mamońki, nie lubicie kościoła. Nie mam ochoty na histerię. Żadnej histerii! Ma się nie powtórzyć, bo zezłościmy mamusię. Zabierze do lekarza, każe łykać żółte tabletki. Będzie płakać i wrzeszczeć na tatę. Bez histerii, proszę, Mamońki.

Namawiają ją, kuszą, że znikną na zawsze tylko żeby udała gorączkę, kaszel, katar, ból brzucha, ból ucha, cokolwiek. Nieważne! Ma nie iść jutro do kościoła!

– To niesłychanie istotne, panienko, w każdy inny dzień, byle nie jutro.

I dziewczynka denerwuje się, podnosi głos, próbuje je utemperować, a Mamonie szarpią ją za rękaw od piżamy, wybucha kłótnia na całego.

– Zachoruj malutka, musisz zachorować, musisz. Wsadzimy ci palce do buzi, wymiotuj, rzygaj, koniecznie, teraz, już! – powtarzają.

Ale nagle gasną. To przez mamę, chyba coś usłyszała, bo wstała i włączyła światło w kuchni. Dziewczynka znów mocno ściska powieki i znów udaje że śpi, a sen dopada ją nagle, niemal natychmiast przenosząc do kolorowej krainy, w której rodzice jeszcze mieszkają razem, są szczęśliwi i mili dla siebie.

I chodzimy wspólnie na plac zabaw, a zimą na sanki.

* * *

Dlaczego ja?! Dlaczego właśnie mnie przytrafiają się takie rzeczy?! Niby wszystko układało się dobrze, mąż, śliczna córeczka, a ten idealny świat rozsypał się w kilka

dni jak budowla z piasku. Nie zorientowałam się do samego końca. Słaba, ślepa, stara baba. Widziałam ją tysiące razy. U niego w biurze, na zdjęciach z pracy, na wyjazdach. Wiktoria to, Wiktoria tamto. Zostawił mnie, skurwysyn. Powiedział, że nie jest w stanie dłużej żyć w kłamstwie, że się boi, że nie zamierzał nikogo ranić, że samo tak wyszło.

– I tak byś się dowiedziała, kochanie.

Kochanie, kurwa! Po co to dodawałeś?! Nie mogłeś się powstrzymać?! Ja się wcale nie dziwię. Piękna kobieta, taka młoda, zgrabna, gdzie mi tam do niej. Tylko to „kochanie”, kurwa! Po co to mówiłeś?!

Pogodziłam się. Płakałam jak głupia w poduszkę, upijałam się ukradkiem, łykałam prochy, ale w głębi serca od początku byłam pewna, że to słusznie, że widocznie tak miało być, taka karma. Ukrywałam smutek, twarz spuchniętą od łez i bezsenności, żeby nikt nie zauważył, a szczególnie moja najdroższa, najsłodsza istotka. Rozmawialiśmy z nią, przekonywaliśmy.

– Nie przejmuj się, czasem tak bywa, rodzice dalej cię kochają. Oprócz tego, że nie będziemy już ze sobą mieszkać nic się nie zmieni, przyrzekamy.

Zaczęło się jakieś dwa, trzy miesiące później. Obudził mnie głośny śmiech małej, rechotała jak szalona, wpadłam do jej pokoju, nie spała, namiętnie z kimś dyskutowała, z wyimaginowanym przyjacielem.

– Tu nikogo nie ma! Majaczysz! Lunatykujesz! Weź się w garść! Tu nikogo nie ma!

Bzdura, nic takiego – okłamywałam się. *To przez rozwód, przejdzie jej.*

Nie przeszło. Z dnia na dzień było coraz gorzej. Potrafiła przez parę godzin z kimś gadać, a gdy wchodziłam nagle przerywała. Przestraszyłam się. Nie miałam pojęcia jak się zachować. Krzyczeć? Ignorować? Perswadować? Karać?

Mój genialny były mąż umówił nas na wizytę u psychologa. Potem u psychiatry. Jednego, drugiego, trzeciego, bo nie wierzyłam, nie chciałam tego do siebie dopuścić.

– Schizofrenia, droga pani, nie ma innego wytłumaczenia. Ale to przecież nie rak, nie wyrok śmierci. Terapia, tabletki, proszę się nie załamywać, wziąć się w garść. To nie jest koniec świata.

A właśnie że kurwa jest! Nie zamkniecie mi dziecka w domu bez klamek! Nie pozwolę! Ona jest normalna! Przejdzie jej! Pierdolcie się z tą waszą schizofrenią!

I płakałam. A moja królewna pocieszała mnie. Ona! Taka mądra dziewczynka. Obiecała, że się postara, że nie będzie już się z nimi bawić.

– Tak naprawdę udawałam, żartowałam. Nie płacz, mamusiu! Błagam, nie płacz!

Moja siostra – cholerna idiotka – stwierdziła, że to może być opętanie.

– Idź z nią do kościoła, zwyczajnie, na sumę, zobaczysz. Na pewno nie zaszkodzi. Niczym nie ryzykujesz.

Po drodze mała wpadła w histerię, wrzeszczała, darła się tak, że zwątpiłam i dałam sobie spokój z kościołem, mszą, wodą święconą, tylko uspokój się księżniczko, uspokój najdroższa, i tuliłam ją, trzymałam najmocniej jak się da, a ona obrzucała mnie w zamian obelgami, strasznymi słowami w ustach niewinnego dziecka.

A później minęło. Jak ręką odjął. Sądziłam, że wyrzuciła już wszystko, co miała w środku, że wypluła chorobę, diabła, urok czy jak to nazwać. Poprawiło się. W nocy okropnie się wierci, coś gada, ale i tak nie ma porównania z tym, co było. Moim zdaniem to zwykły przypadek, a nie skutek wizyt w kościele, tych całych modlitw, mszy, krucyfiksów. Ale i tak chodzimy tam co tydzień. To nasz niedzielny rytuał. Spacer, po drodze rozmowy, żeby się otworzyła przede mną. Żebym zgłębiła jej tajemnice. Kocham ją, a wydaje mi się, że znamy się jedynie w połowie. Próbuję otwierać niezwykle szczelnie zamknięte drzwi jej duszy. Smakować, analizować to, o czym mówi, czego pragnie, o czym marzy. W domu ją podsłuchuję. Obserwuję, szukam symptomów, śledzę ruchy, spojrzenia. Bo co, jeśli kogoś widzi? Co jeśli się ukrywa przed matką? Chyba jestem trochę przewrażliwiona, powinnam wreszcie odpocząć, pooglądać telewizję, odespać. Czasem czuję się taka bezradna, zmęczona, że aż pusta w środku. Jakby życie wyssało ze mnie życie.

* * *

– Zakładaj buty, bo się spóźnimy.

– Źle się czuję, mamo. Taki mróz, zostańmy w domu. Ten kościół jest brzydki. Pojedźmy dzisiaj do katedry, do miasta.

– Na świeżym powietrzu ci się polepszy. Nie guzdraj się. Gdzie masz czapkę?

– Dotkniesz mi czoła? Sprawdź, czy nie mam gorączki.

– Nie przesadzaj. Kurtka, rękawiczki. Idziemy.

W końcu jakoś udało im się wygrzebać. Spieszyły się. Ciągnęła dziewczynkę za rękę, a ta zwalniała, bo but jej się rozpiął, bo kaszel, bo zapomniała chusteczek, zresztą każdy pretekst jest dobry. Kiedy przechodziły obok przystanku, zaczęła się trząść, aż matce przeszło przez myśl, że może jednak zawrócić, może rzeczywiście jest chora. Ale mała nagle wydłużyła krok, prawie biegła i po chwili już siedziały w zimnej kościelnej ławce.

Przez całą mszę przyglądała jej się, zerkała kątem oka. Wspólna modlitwa, mechanicznie odmawiane zaklęcia, reguły, klękając, podnosząc się, wykonując automatyczne ruchy. Wszystko, by ją uchronić, by odpędzić złe duchy.

Odejdźcie, wynocha! A jeśli już musicie w kimś mieszkać, to zapraszam do mnie, tylko dajcie dziecku spokój – powtarzała w myślach, w kółko, jak mantrę.

Wyszły ostatnie. Córeczka chciała jeszcze posiedzieć, a matka denerwowała się na nią, bo nie miała zamiaru kwitnąć tam w nieskończoność, pomieszanie z poplątaniem, aż człowiekowi brak sił.

Zatrzymały się przy bramie.

– Obejrzałabym tego drewnianego Chrystusa. Tak mi się podoba. Pozwól mi, mamusiu. To zajmie parę minut.

– A obiad? Za tydzień obejrzysz. Zaraz będziemy w domu.

Objęła ją ramieniem i pchnęła delikatnie, ale dziewczynka stała twardo. Zmieniła się nagle. Oddychała głęboko, jak po długim biegu. Z oczu polały się łzy. Czerwone policzki, pot na szyi i skroniach, rozszerzone źrenice, smarki płynące z nosa, dreszcze, odruchy wymiotne.

– Co ci jest? Spokojnie. Już, moja kochana, już.

Wtedy wybuchła. Jakby wcześniej wyłącznie zbierała siły, jakby wszelkie dotychczasowe czynności jedynie na moment powstrzymały eksplozję energii:

– MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!!

Dziadziuś w kapeluszu z laską w ręku stanął jak wryty. Zakonnica zasłoniła dłonią usta. Wikary aż wyjrzał z kościoła, nic nie dostrzegł, więc zamknął drzwi.

Matka wciąż próbuje ją uspokoić.

– MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!!

Chłopiec upadł na ślizgawce. Drugi akurat rzucał w niego śnieżką, ale nie trafił. Śnieżka wbiła się w słup ogłoszeniowy. Gdzieś daleko zawył pies.

Matka delikatnie głaszcze córkę, wyciera jej policzki. Nie ma pojęcia co robić, rozgląda się bezradnie. Płacze, prosi małą żeby przestała.

– MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!! MAMONIE!!!

Rozpędzony samochód zahamował z piskiem opon. Kierowca stracił panowanie nad autem i żółty opel z ogromną prędkością uderzył w grupę przechodniów jakieś pięćdziesiąt metrów od kościoła. Kilkanaście osób, przeważnie starsze panie wracające z mszy. Większość nie miała szans, zginęła na miejscu. Huk, płacz, śnieg brudny od krwi. Autobus zwolnił, otworzyły się drzwi, ale nikt nie wysiada. Tuż obok dziadziuś w kapeluszu, z laską w ręku, podnosi damską torebkę. Zakonnica klęka. Gdzieś daleko przeraźliwie wyje pies. Chłopiec nie potrafi podnieść się ze ślizgawki. Krew z chodnika powolną strużką wpływa na ulicę. Syreny. Dym. Szczególny zapach umierania.

– Wszystko dobrze, mamusiu. Uciekły. Powiedziały, że mnie uratowały i teraz już mogą iść strzec innej dziewczynki, że wypełniły swoje zadanie. Pomachały mi na pożegnanie. Cieszysz się? Ja się cieszę. Już będę zdrowa, zobaczysz, nie musisz się o nic martwić. Minęło, naprawdę. Już nie wrócą. Nigdy. Moje Mamońki. Moje aniołki.

A matka w szoku zasłania ją, otula sobą, jakby chciała uchronić przed tym, co i tak się już wydarzyło. Nie może się połapać. Nie rozumie.

– Najważniejsze, że nic nam się nie stało. Najważniejsze, że nic nam się nie stało – powtarza.

Uchodźca – Rafał Cuprjak

Nie mam pojęcia kiedy zaczęła się wojna. Z głodu wszystko mi się miesza. Nie wiem, ile mam lat, gdzie się podziała mama. Ciągle chce mi się pić. Jest tak zimno. Trzęsę się jak galareta. Żołądek przyrasta do kręgosłupa. Dokucza brak snu. Zamiast kurtki czarny plastikowy worek. Buty znalazłem w śmieciach. Ciepłe kozaki wyrzucili, takie wygodne, najlepszy prezent od dawna, ze szczęścia łzy ciurkiem z oczu lecą.

– Daj dobra pani na bułeczkę. Pić daj kochana, chociaż pięćdziesiąt groszy – powtarzam na okrągło, ale nie słuchają, odwracają głowy.

Inni gapią się z nienawiścią, wołają, że złodziej, brudas, aż muszę uciekać.

– Spieprzaj, gnoju! Won do swojego kraju!

Najbardziej boję się policji. Mogą zamknąć w małej celi, zbić, związać, nawet ukatrupić jak psa, przecież to coś nie zasługuje na życie. Nie mam żadnych papierów. Zgubiłem albo mi ukradli, albo nigdy nie miałem. Nie pamiętam imienia. Czarnuch, Cygan, Rumun, Żyd, zresztą co za różnica? W moich żyłach płynie wolność. Żywię się przestrzenią. Gdy nie ma chleba i wody, słońce mnie karmi. Wędruję łąkami, lasem, krążę od wioski do wioski, żeby

zgubić pościg, bo idą za mną. Jestem pewien, że idą. Wszędzie wyczuwam ich obecność.

Dopiero po zmroku odnajduję moją stodołę. Obok niej drewniana przybudówka, tam również nikt nie mieszka, ale wolę w stodole, wydaje się bezpieczniejsza. Mam wrażenie, że to nie jest zwykły budynek. Może wzniesiono go gdzieś w dalekiej krainie, a on znalazł sposób, by uciec.

Często tu bywam. Jest takie miejsce, w rogu, przy ścianie, nazywam je klęcznikiem. Niby tylko stara drewniana skrzynka, lecz łudzę się, że odkryłem punkt łączący dwa światy. Mam nadzieję, że stamtąd pochodzę, z tamtej zagranicy, że gdzieś po drugiej stronie jest moja ojczyzna, że czekają w niej bliscy, zaginiona rodzina, że tęsknią, że szukają od lat. Padam na kolana, zamykam oczy i nasłuchuję. Wyławiam zagubiony szept, pojedyncze słowa. Czy może to tylko wiatr świszczący między zmurszałymi deskami, spływający jak muzyka do zziębniętego serca?

Uśmiechnąłbym się, ale chyba już nie umiem się śmiać. Zastygłem na klęczniku. Nie potrafię się ruszyć, jakby ktoś ściskał mi ramię imadłem. Po kilku godzinach padam zmęczony i niemal natychmiast zasypiam. Śnię sny, w których jestem małą dziewczynką, a wojny nie ma.

Modlę się do Boga i w nim szukam nadziei, bo jedynie On jest sprawiedliwy i pełen miłości. Modlę się za moją kochaną córeczkę, żeby wróciła do zdrowia. Chociaż lekarze twierdzą, że będzie bardzo trudno, że z pewnymi sytuacjami należy się po prostu pogodzić. Wbrew temu ja zawsze będę nosił głęboko ukryte ziarenko nadziei.

To już prawie dziesięć lat, odkąd uciekłem. Od dziesięciu lat targam w sercu kamień winy. Oczywiście, że żałuję, w każdej minucie.

Mam nową rodzinę w dalekim kraju. Młodą, śliczną żonę, z którą często kompletnie się nie rozumiemy, ale to nie jest aż tak ważne. Dużo pracuję. Od poniedziałku do piątku, od rana do nocy. Weekendy spędzamy wspólnie poza miastem, czasem zdarza się dłuższy wypad. Korsyka, Hiszpania czy Wyspy Kanaryjskie.

Pomimo mojego na pozór szczęśliwego życia, jest coś, co kłuje w środku, bezustannie, sekunda po sekundzie. Drobna zadra pod skórą. Głos, który szepcze, że nie ma cię przy malutkiej, gdy tego potrzebuje. Kiedy się wzmaga, krążę po domu wciąż wyłączony, jakby zgasili mi światło i zostawili w trybie czuwania. Nie mam ochoty z nikim gadać. Nie zauważam ważnych maili w skrzynce. Nie śmieję się na głupich komediach.

– Nie chcę żadnych bachorów – usłyszałem od mojej pięknej jasnowłosej, młodej kobiety. W tym akurat się zgadzamy. Kariera, przyjemności, jeszcze nie teraz, przyjdzie właściwy moment, nie jestem gotowa, brak mi dojrzałości. A jeśli się powtórzy? Jeśli to dziedziczne? Jeśli wciąż w tobie tkwi?! – zbyt wiele powodów, wątpliwości. Nie po to uciekałem. Nie po to tyle wycierpiałem.

Do kraju przyleciałem wczoraj, ale jak zwykle ledwie na kilka dni. Na rosół do mamy, na kawę do brata, jeden wieczór przy piwie ze starymi przyjaciółmi. Ale przede wszystkim ona.

Moja była żona się nią zaopiekowała. Poświęciła się. Wiem, nie powinienem ich opuszczać. Rodzina musi razem nieść swój krzyż. Przecież przysięgałem, że dopóki śmierć nas nie rozłączy. Zresztą, moja była żona już dawno wydała wyrok. Znam ją jak nikogo na świecie. Pogarda, wstręt, nienawiść wymalowane na zmęczonej twarzy. W każdej zmarszczce, w jej dużo bardziej niż kiedyś niebieskich oczach. Oczywiście nic nie powie, nie warto nawet odzywać się do pieprzonego zdrajcy. Zwiał, uchodźca, zwiał przed własnym dzieckiem.

Podchodzę stęskniony do mojej kochanej, a ona klęka przede mną, taka drżąca, niczym w gorączce. Klęka i nie wstaje, chociaż z całej siły próbuję ją podnieść. Nie udaje mi się, nie będę jej szarpał, więc siadam obok, głaszczę i klepię w kółko do najsłodszego uszka:

– Moja córuchna, poznajesz tatusia, poznajesz? – szeptem, żeby nie przestraszyć.

Dziwnie brzmią takie słowa w moim byłym domu, rozpraszają się, jakby to już nie był dom, ale świszcząca przeciągami rozklekotana stodoła. Jakby jego prawdziwa dusza żyła gdzieś daleko, na wygnaniu. A obok drewniana przybudówka, również uchodźca.

* * *

Mam dość, słyszysz? Nie mogę wytrzymać! Znieść tego choćby ułamek sekundy dłużej! Urodziłem się nie taki, jak miałem się urodzić! Nie znoszę miasta! Urządzić się gdzieś w samotności, w oddali, byleby pusto dookoła, nikogo od

horyzontu po horyzont! Krzyczałem niemym językiem. Na okrągło. Latami. Wreszcie się spełniło.

Od zawsze marzyłem, żeby uciec. Czułem się źle w tamtym miejscu. Tylko ta dziewczynka potrafiła mnie pocieszyć. Taka słodka, jej uśmiech rozkładał na łopatki, jedynie ona umiała mnie na moment przytrzymać, przez jedną króciutką chwilkę wzruszyć.

Już za późno. Nie jestem w stanie jej pomóc. To wszystko moja wina. Zachciało mi się buntować. Kiedy odszedłem, nieświadomie zabrałem ją ze sobą. Taką miłą istotkę. Ona też pragnęła być kimś innym. Przeze mnie zachorowała. Najpierw tylko sny o obrazach, o odległych krainach pełnych wędrowców. Potem okazało się, że już nie da się wrócić, a dookoła głód i wojna. Zmieniona w chłopca zagubionego gdzieś na krańcach rzeczywistości. Zniewolona. Żadnych papierów. Nie pamięta imienia. Zamiast kurtki czarny plastikowy worek. Buty wygrzebane z kosza na śmieci.

Czasem cofam się do dawnego kraju. Mój szkielet, fundamenty zostały właśnie tam, tak jak jej drobne ciałko. Matka wyprowadza ją na spacery, daje pić, karmi biedne wygłodniałe dziecko, a mała, jedząc, trzęsie się bezustannie, mimo że lato, upał, żar leje się z nieba. Mówi do niej, stara się nawiązać jakikolwiek kontakt, ale zagubiona córeczka tego nie lubi. Woli być sama, żeby nikt nie dotykał, nie trzymał za rękę. Mama i tak nie spuszcza jej z oczu, wciąż dwa kroki z tyłu, w cieniu. Dziewczynka się ogląda, wyczuwa czyjąś obecność, nie cierpi tego, boi się.

Uwielbia wiatr i słońce. Mogłaby bez końca wędrować łąkami, lasem, krążyć od wioski do wioski.

Najgorzej gdy trzeba ją zaprowadzić z powrotem do domu. Jest przerażona, zachowuje się jakby ktoś zamierzał ją pobić, skrzywdzić.

– Daj dobra pani na bułeczkę. Pić daj kochana, chociaż pięćdziesiąt groszy – powtarza w kółko, a matka kompletnie nic z tego nie rozumie, myśli, że malutka zwariowała.

Jest jeszcze ojciec, zagubiony, przepełniony poczuciem winy. Wyprowadził się. Ma nową kobietę, nową pracę w dalekim kraju.

Idioci. Pasożyty. Niby nieszkodliwi, ale tacy męczący. Nie zdają sobie sprawy z tego, że każdy ma prawo do wolności. Nie dostrzegają duszy w otaczających ich drzewach. Nie dostrzegają jej w zwykłych domach.

Wybudowali mnie lata temu, wydaje im się, że są moimi właścicielami, że to ledwie kilka cegieł, martwe mury, zimny blaszany dach. A ja żyję. I nie chciałem tkwić tutaj, wyglądać tak jak wyglądam. Dlatego uciekłem. Zmieniłem się w starą stodołę, a obok drewniana przybudówka, moja przyjaciółka, również uchodźca.

Powiedzieli, że autyzm, schizofrenia, że raczej z tego nie wyjdzie. Nie ma nadziei. Ślepcy. Gdy się obudzi, napali w piecu i wreszcie coś zje. Ogrzeje stopy i ręce. Uśmiechnie się do mnie, chociaż twierdzi, że już nie potrafi się uśmiechać. Potem spróbuje połączyć dwa światy, modląc się na klęczniku. Nie będzie mogła się ruszyć, jakby ktoś ścisnął jej ramię imadłem. A przecież to tylko ojciec próbuje

ją podnieść, ale nie udaje mu się, więc siada obok i klepie w kółko do najsłodszego uszka:

– Moja córuchna, poznajesz tatusia, poznajesz? – szeptem, żeby nie przestraszyć.

Ale mała nie odpowiada.

– Zburzmy ten dom – mówi wreszcie do swojej byłej żony. – Zburzmy i zacznijmy wszystko od nowa – dodaje.

Rafał Cuprjak

Przyszedł na świat w roku siedemdziesiątym siódmym, gdzieś w cieniu świętej wieży. W szkole podstawowej wzorowy uczeń, później mu przeszło, tak że ledwie skończył średnią i studia. Kontestator i buntownik, większość życia przepracował fizycznie, ale też mu przeszło. Pisze od dziecka, czyli odkąd skończył trzydzieści pięć lat. Za dnia przykładny mąż i ojciec, w nocy wymiotuje słowami w ilościach niezliczonych na ekran komputera. Doświadczenie w sztuce wyższej… brak. Doświadczenie w sztuce jakiejkolwiek… brak. Wycisza go muzyka, punk rock, hip-hop, metal, jazz, nieważne co, ważne żeby szczerze i z sercem, żeby iść za jego głosem, poczuć ciary na plecach, bo chyba o to chodzi.

http://geniuscreations.pl/autorzy/rafal-cuprjak/
https://madbooks.pl/cuprjak-rafal
https://ebook.madbooks.pl/rafal-cuprjak

Patronat medialny

Katedra jest serwisem poświęconym głównie literaturze fantastycznej. Publikuje recenzje, omówienia prasy fantastycznej, wywiady z pisarzami oraz codzienne newsy z rynku fantastycznego; organizuje konkursy, a także udostępnia obszerną bazę książek wraz z ich fragmentami. Portal współpracuje z większością oficyn, które wydają książki fantastyczne. Na Katedrę nie raz powoływały się osoby powiązane z fandomem i branżą fantastyczną.

Cykady nie mają dusz – Maria Dunkel

Kto raz odrodzi się w ciele cykady, ten zawsze nią pozostanie. Będzie powstawał z prochu i w proch się obracał, wypełniając czas swego marnego życia żałobnym lamentem, który w mieszkańcach obozu na pustyni budzi dreszcze. Mówią, że zdaje im się, jakby te wielkie, ciemne owady, plugawe hybrydy świerszczy i much, tylko czekały, by posilić się ich ciałami. A przecież spękana od gorąca ziemia nie zna innej muzyki niż zgrzytliwe requiem cykad.

Kobieta, która natychmiast wzbudza moją nienawiść, przybywa do obozu przy ich akompaniamencie, podobnie jak ja niegdyś. Idzie samotnie asfaltową drogą, której nikt nigdy nie remontował, wpatrzona w wyblakłe już pasy. Nosi dżinsowe szorty, postrzępione, z nierównymi nogawkami, jakby odcięła je w czasie wędrówki do obozu. Ma też na sobie ciemną koszulkę bez rękawów. Jej skóra jest opalona, włosy jasnobrązowe i zwichrzone, a oczy ciemne, ciepłe, dobre.

Wiem, jak Mistrz na nią patrzy, chociaż jego twarz jest dawno zasuszonym obliczem mumii. Wyciąga dłoń ze zbrązowiałymi palcami i kiwa jednym na mnie. Jeszcze chce mnie przy sobie, lecz czuję, że wkrótce się to zmieni. Ogarnia mnie strach, bowiem samo sedno mojej istoty, moje

szczęście, wolność i wola – one wszystkie kończą się tam, gdzie zaczyna się Mistrz.

Na razie wypełzam spod kolczastego krzewu, czując pod brzuchem nagrzaną ziemię. Kreśląc w pyle esowaty ślad, szybko podpełzam do Mistrza. Podnosi mnie czule, jak zwykle, chwytając u nasady łba i w połowie tułowia. Z lubością spoczywam na jego ramionach, okrytych pomarańczowym materiałem szaty. Chcę być blisko, zawsze kiedy to możliwe, nawet jeśli udaję, że wcale o to nie dbam. Jego mlecznobiałe, ślepe oczy z łatwością przenikają wszelkie fasady. Mistrz pozwala mi jednak udawać, a ja łudzę się, wierzę, mam nadzieję, a może tylko pragnę, by stało za tym coś więcej niż tylko łaska pana wobec sługi.

– Witaj – mówi Mistrz, gdy kobieta zbliża się na tyle, by nie musiał podnosić głosu.

Kobieta uśmiecha się pełnymi wargami. Jest w tym grymasie pewność siebie i zwątpienie w resztę świata.

– Jesteś diabłem? – pyta.

– Nie – odpowiada Mistrz. – Jestem strażnikiem Bramy.

– Bramy? – powtarza cicho kobieta i rozgląda się, próbując objąć wzrokiem nieskończony przestwór spękanej ziemi, suchych krzewów i gajów niskich drzew. Siedzący w jednym z nich mieszkańcy obozu patrzą w jej kierunku, ale ona ich ignoruje. Unosi nawet głowę, jakby spodziewała się widoku drzwi na niebie, błękitnym i rozpalonym żarem. – Nie ma żadnej Bramy. Tylko lament zapomnianych dusz.

Przez chwilę słyszę tylko żałobny, hałaśliwy śpiew cykad. Poruszam się na ramionach Mistrza, którego usta,

noszące ślady dawno zdjętych szwów, rozciągają się w uśmiechu.

Uśmiechał się tak samo, gdy ja tutaj przybyłam. To wspomnienie rozdziera mi serce.

* * *

Koszulka kleiła mi się do ciała, spódnica była zbyt obcisła, by się nią wachlować, a brudne, poobcierane stopy zostawiały na gorącym asfalcie krwawe ślady. Buty na obcasach zdjęłam już dawno. Jakiś czas jeszcze niosłam obuwie w ręce, ale wreszcie cisnęłam je w kolczaste krzaki, w których grały cykady. Wtedy myślałam, że umrę; dużo później, z wyschniętym gardłem, bólem głowy i rozpaloną skórą, zrozumiałam, że nie mogę umrzeć. Z każdym krokiem po nieskończonej, zapomnianej drodze, dojrzewałam do akceptacji prawdy. Nie mogłam umrzeć, ponieważ nie żyłam.

Nie istniało inne wyjaśnienie. Mój pijacki poranek, gdy jedną dłonią sunęłam po smartfonie, wracając z klubu do domu, niewyspana i wstawiona, zmienił się nagle w wędrówkę asfaltową drogą przez pustynię. Patrzyłam w ekran, przewijałam muzykę, wchodziłam na jezdnię. Słyszałam pisk hamulców, mignął mi jeszcze rozmazany cień samochodu (zielony, jadowicie zielony, okropny kolor), rozpędzona masa stali zetknęła się ze mną w odrealniony sposób. Nie czułam żadnego bólu, tylko zdziwienie, gdy świat nagle okręcił się wokoło i zasnęłam. I byłam na drodze z taką samą dziurą we wspomnieniach jak kiedyś,

gdy film urwał mi się po tabletce *made in China tylko w celach kolekcjonerskich*, a rzeczywistość wróciła na podłodze w korytarzu mojego mieszkania.

W chwili, w której pojęłam swoją sytuację, ujrzałam oliwny gaj, daleko przed sobą, po lewej. Nie pierwszy, jaki mijałam, ale pierwszy, który po prostu się pojawił. Nie było go na horyzoncie. Co więcej, nie było go w tym miejscu jeszcze chwilę wcześniej i doprawdy, nie dbałam o to. Czas i przestrzeń zawijały się tutaj w sposób może nienaturalny dla znanego mi świata, ale pasujący do tej bezkresnej pustyni.

Po kilku krokach dojrzałam też, że ktoś na mnie czeka. Na wystrzępionym końcu drogi, gdzie niestarannie oderwano kawałek asfaltowego jęzora. Wtedy właśnie po raz pierwszy zobaczyłam Mistrza, mumię w pomarańczowej szacie mnicha. W jego czaszce, obciągniętej ciemną, suchą skórą, bielały ślepe oczy, dwie mleczne tarcze księżyca. W głosie brzmiała ziemia, ale nie swojska, wilgotna, w jakiej mnie pochowano, lecz wyschła, spękana, spalona słońcem umarłych.

– Witaj – powiedział.

Nie czułam strachu ani odrazy, patrząc w jego zmumifikowane oblicze, bowiem tchnęło spokojem i mądrością.

– Gdzie ja jestem? – wydusiłam, nie odrywając od niego oczu. – I czy te cykady mogą się zamknąć?

– Jesteś u Bramy – powiedział cicho Mistrz. – I nie, nie mogą.

Jedna z nich wrzasnęła w kępie cierni u moich stóp, w jej zgrzytliwym głosie brzmiał nieukojony gniew, wściekła żądza zemsty.

– Nie można zamknąć gęby udręczonym duszom? – wyrzuciłam z siebie na wydechu, tknięta impulsem z rodzaju tych, które kazały mi kosztować magicznych grzybków i pić z każdego kieliszka, który mi podsuwano.

Słyszałam suchy szelest skóry Mistrza, widziałam powolny, jakby bolesny ruch jego okaleczonych warg, gdy obnażył zęby w trupim uśmiechu. I zrozumiałam nie tylko, czym naprawdę są cykady, ale także, że stoję przed oświeconym. Zupełnie jakby obmył mnie jego blask.

* * *

Przychodzą przez cały dzień. Mistrz właściwie nie rusza się z krańca drogi, a jeżeli już, to tylko by przysiąść na chwilę. Nie wydaje się znużony. Często śpię przy nim albo spoczywam na jego ramionach, chociaż wiem, że w nocy i tak mnie wezwie. Wówczas będę mu naprawdę potrzebna. Jego dłonie będą pieściły moją śliską skórę, a ja pogrążę się w dzikiej euforii, uświęconym akcie ostatecznego oddania.

Na razie pełznę za kobietą, w brzuch parzy mnie rozgrzana ziemia, przed oczami migają mi jej stopy w obdartych, zakurzonych tenisówkach. Po powitaniu z Mistrzem natychmiast wyrusza, by zwiedzać, zapoznać się z terenem. Spogląda na ludzi, którzy śpią lub siedzą w cieniu drzew. Nie zatrzymuje się. Szuka krańca nieba

albo Bramy. Nie wie, że pustynia nie ma końca, a Bramą jestem ja.

Mijają godziny i kobietę musi dręczyć pragnienie. Zatrzymuje się w końcu, a ja razem z nią. Przykuca, jej krótkie paznokcie orzą wyschłą na wiór ziemię. Zwijam się wygodnie i patrzę na nią pionowymi źrenicami, gdy jęczy i dyszy z wysiłku, żłobiąc dołek. Spędzi na pustyni czterdzieści dni, a jeżeli naprawdę jest podobna do mnie, zdąży przez ten czas przywyknąć do bolesnej suchości w gardle. Jej głos nabierze ochrypłego, zapiaszczonego brzmienia.

Spoglądają na mnie jej brązowe oczy.

– No co? – pyta cicho. – Czemu za mną pełzniesz? Czemu tak się gapisz? Węże powinny wypełzać w nocy.

Powiedziałabym jej, że tak naprawdę wcale nie jestem wężem, lecz mogę tylko patrzeć w głębię jej źrenic i miarowo wyrzucać rozdwojony język, smakujący powietrze, równie suche jak pustynia. Wyczuwam w nim bunt i gniew, które narastają w kobiecie. Podnosi kamień i ciska nim we mnie, ale ja zgrabnie odsuwam się w bok i zwijam z powrotem. Cykady grają wokół, nic ich nie obchodzi nasz milczący pojedynek na spojrzenia.

Kobieta wraca do kopania dołka. Przyglądam jej się, dopóki nie rezygnuje, odkrywszy, że pod twardą, spieczoną warstwą ziemi nie ma nawet grama wilgoci, tylko suchy piach. Prostuje się i idzie dalej, zataczając się lekko. Chrzęszczący odgłos jej kroków zagłuszają cykady. Podążam za nią, cicho i wytrwale.

W ten sposób docieramy do klifu – kobieta i wąż, który jej nienawidzi. Podpełzam na sam jego skraj, tam gdzie i ona się zatrzymuje. Tak jak ona patrzę w dół.

Można pomyśleć, że tam, gdzie jest klif, musi być i morze. Ostro opadający w dół, mocno podmyty u stóp jak zniszczony przy dziąśle ząb. Wody jednak nie ma, w dole ciągną się tylko spękane skały, kolczaste krzewy i oczywiście cała ta gorąca równina rozbrzmiewa hałaśliwym lamentem.

Podobno można przywołać morze. Niekiedy przychodzi samo – wściekłe występuje z brzegów i zabiera tego, po kogo przyszło. Tak mi powiedział kiedyś Mistrz, gdy jeszcze byłam człowiekiem, gdy przez czterdzieści dni czekałam na Sąd Ostateczny i zabijałam czas rozmowami ze strażnikiem. Gdybym tylko siedziała spokojnie w cieniu oliwek, na rozgrzanej ziemi, gdybym nie odkryła w Mistrzu ludzkiej duszy, prawdopodobnie moje serce wciąż należałoby do mnie.

Tak czy inaczej, odkąd tu jestem, nigdy nie widziałam morza.

Kobieta obok mnie postępuje o krok. Rozkłada szeroko ręce i zamyka oczy. Jej ubrania i włosy powiewają, gdy spada, szybko i ciężko jak kamień. Uderza o skały w dole, jej ciało obija się bezwładnie wśród nich, a później zaczyna krzyczeć. Wyje z powodu bólu zgruchotanych kości i rozdartej skóry. Może też z rozpaczy. To nieistotne. Pustynia wysłuchuje wszystkiego, pozwala na wszelkie próby, czasem nawet wydaje się, że rozumie cierpienie

ludzkiego umysłu, chwiejącego się na skraju bezdennej przepaści. Ale nie okazuje litości.

Zawracam i pełznę po piasku w drogę powrotną, do Mistrza. Muszę się zjawić, nim wzejdą gwiazdy i czyjaś czterdziestodniowa pokuta dobiegnie końca.

Kobieta wróci. Oni zawsze wracają. I tak nie mają dokąd pójść.

* * *

Na niebie lśnią gwiazdy, a Mistrz unosi mnie w zasuszonych dłoniach ku nim, jakby chciał złożyć ze mnie ofiarę. Poruszam się delikatnie, ocierając o niego. Chcę mieć go blisko siebie, chcę by czuł pod palcami moje trzepoczące w piersi serce, chcę poddać się jego dotykowi, jego władzy. Gdyby zacisnął pięści, zgniótłby między nimi moje umięśnione sploty i świadomość, że w pełni jestem w jego mocy, wprawia mnie w ekstazę. Chyba go nie kocham; takie ekstatyczne uniesienie nie może być wyłącznie miłością.

Mężczyzna, do którego przyszliśmy, jest stary jak wielu ludzi tutaj. Siedzi w kucki w gaju oliwnym i unosi osadzone w pomarszczonej twarzy jasne oczy. Patrzy na mnie.. Wokół, w milczącym kręgu, czekają inni. Niektórzy pewnie się boją, inni tylko niecierpliwią, spragnieni końca własnej pokuty.

Mistrz opuszcza mnie powoli do sądzonego człowieka. Sprężam się, wyrzucam naprzód trójkątny, płaski łeb, rozwieram przeraźliwie szeroko szczęki. Moje zęby, długie

i zakrzywione, trafiają w szyję starca. Zawsze bezbłędnie. Wstrzykuję w jego żyły jad, czuję jak tężeje jego ciało.

Później rozpada się w piasek. W pysku zostaje mi jego smak.

Wyrzucam z paszczy rozdwojony język. Zrywa się wiatr i targa ubraniami ludzi. Na niektórych z nich czas zmienił je w łachmany. Pomarańczowa szata Mistrza podrywa się, tańczy i łopocze. Dusza ludzka w swej pierwotnej formie jest prochem. Wiatr porywa ją do góry, a gdy cichnie, nie zostaje po niej nic. Zmiażdżona w szprychach koła cierpień, zostaje zabrana, by wstąpić w nowe ciało. Kiedyś do nas wróci.

Mistrz kładzie mnie sobie na ramionach i spogląda na ludzi w oliwnym gaju. Stoją w ciszy, część pochyla głowy, jakby byli świadkami pogrzebu. Nie mają pytań. Szkoda. Mistrz jest tu po to, by na nie odpowiedzieć. By im pomóc. Mógłby nauczyć ich wszystkiego o tej krainie, gdyby tylko chcieli wiedzieć.

Po czterdziestu dniach jestem już tylko ja – a raczej moja trucizna. To ona jest tutaj sędzią. Wstrzyknięta w żyły, uwalnia przywiązane do martwej, cielesnej formy dusze lub wręcz przeciwnie, na zawsze więzi je w czarnym ciele cykady.

* * *

Kiedy nadszedł dzień mojego sądu, Mistrz nie miał jeszcze prawdziwego węża, lecz kielich, którego nóżkę oplatał gad rzeźbiony w srebrze, z oczami z drobnych

bursztynów. Czekałam, siedząc samotnie pośród kolczastych krzewów. Dzień spędziłam w pełnym słońcu i gdy nadszedł wieczór, chłód przyjemnie pieścił moją skórę przez spocone ubranie.

W przeciwieństwie do pozostałych nie chciałam odchodzić.

Nie czułam się przywiązana do swojego życia. Mistrz wielokrotnie mi mówił, że w ten sposób człowiek staje się cykadą. Jeżeli nie potrafi uwolnić się od przeszłości, oczyścić z nienawiści i miłości, wybaczyć sobie i innym, pozwolić sobie na zapomnienie. Ale ja nie zostawiłam niczego i nikogo w moim życiu; może tylko rodziców, którzy od czasu śmierci brata stali się dwoma kukłami, niezdolnymi do jakichkolwiek poruszeń. Rozumiem ich. Kochali brata. Ja też go kochałam. I nikt nie spodziewał się, że pochłonie go rzeka, w której pływał z kolegami w czasie letnich kolonii.

To właśnie wtedy moje życie się skończyło. Wtedy umarła moja dusza. Zielony samochód tylko sprawił, że dołączyło do niej ciało.

Najpierw płakałam i wyłam. Później zaczęłam szukać śmierci, wędrować nocami po klubach, chodzić do toalety z przypadkowymi facetami, częstować się substancjami *made in China*. Nikogo to nie obchodziło. Odejście mojego brata było wstrząsem, który wyczerpał emocje mojej rodziny.

Jakoś przeżyłam. Przeżyłam studia, przeżyłam znalezienie własnego mieszkania, dwa nieistotne związki,

pracę w korporacji. Przeżyłam ze sztucznym uśmiechem z pustką zamiast duszy. A koniec był tak samo pozbawiony znaczenia jak wszystkie te wypalone dni.

Nie miałam do czego wracać. Nikogo nie oskarżałam. Nikogo nie nienawidziłam. Za nikim nie tęskniłam.

Ale nie chciałam także iść dalej. Nie chciałam odrodzić się w nowym wcieleniu i wrócić do świata, odarta ze wspomnień. Mogłam przetrwać rozłąkę z Mistrzem. Świadomość, że go zapomnę, rozrywała mi duszę. Pragnęłam hołubić każde wspomnienie związane z nim, każdy dialog, każdy jego ruch i gest.

Nic nie powiedział. Zawsze żegna umarłych milczeniem. Wyciągnął do mnie kielich. Spojrzałam w jego białe oczy, usiłując cokolwiek z nich wyczytać. Dziś jestem mądrzejsza i wiem, że tylko obnażyłam własną duszę. Mistrz mnie nie kocha. Jest ponad takie uczucia.

Przytknęłam kielich do warg i wypiłam łyk trucizny. Smakowała gorzko jak rozgnieciony antybiotyk. Nie zdążyłam oddać naczynia Mistrzowi

Ból był krótki. Rozpadłam się w proch, lecz wiatr po mnie nie przybył. Zamiast tego nastąpiła kolejna eksplozja cierpienia i tym razem naprawdę myślałam, że zginę. Wyłabym z bólu, gdybym mogła, lecz straciłam mowę. Parzyła mnie każda drobina istnienia, formowana w nowe ciało.

Leżałam na spękanej ziemi.

Mistrz złapał mnie u nasady głowy, uniósł i rozwarł moje szczęki, zaciskając palce. Otworzyły się szerzej niż

kiedykolwiek, jadowe kły rozłożyły się powoli. Mistrz oglądał chwilę kroplę trucizny, która skapnęła z jednego z nich.

– Zdecydowano – powiedział tylko i położył mnie na swoich ramionach. Chyba byłam wtedy szczęśliwa.

W pewnym sensie dalej jestem. Teraz po prostu lepiej znam cenę tego szczęścia.

* * *

Kąsam starowinkę, drżącą, małą i pomarszczoną jak skorupa orzecha. Rozpada się w piasek i odchodzi, niesiona wiatrem. To dobra noc, jeszcze nikt nie przemienił się w cykadę. Wiem, że Mistrza to raduje. Wypełnił swoją rolę jak należy – skutecznie poprowadził tych ludzi do nowego, być może lepszego życia.

Kobieta stoi obok. Jej oczy spoglądają na akt przemiany, zniknęło z nich całe ciepło, pozostała tylko udręka. Nie wygląda na kogoś, kto rzucił się z klifu. Jej ubranie jest miejscami potargane.

I to wszystko.

– Co się z nimi dzieje, gdy zabijasz ich w ten sposób? – pyta.

Mistrz kręci głową i mówi mądrym, suchym, łagodnym głosem:

– Nie zabijam ich. Pozwalam im podążać dalej.

– Do nieba lub piekła?

– Do następnego wcielenia.

Waży to przez chwilę w duszy, a wreszcie wyrzuca:

– Nie wierzyłam w reinkarnację. Nigdy.

– To bez znaczenia – mówi Mistrz.

Dostrzegam na jej twarzy konsternację. W pewnym sensie właśnie to jest najtrudniejsze po zejściu z drogi – pogodzenie się z faktem, że nasza wiara nie jest tu istotna. Nie przechyla szal wagi, chyba że jesteśmy do niej zbyt przywiązani.

– A co z ludźmi, którzy osiągnęli nirwanę? – pyta kobieta, gdy Mistrz już odchodzi.

Odwraca się. Zawsze to robi, gdy z kimś rozmawia. Twarzą w twarz, nigdy inaczej.

– Nie trafiają tutaj – mówi Mistrz. – Tak samo jak dusze roślin i zwierząt.

– Co się z nimi dzieje?

– Nie wiem. Jestem tylko mnichem, pogrążonym w medytacji głębokiej niczym śmierć. Nie znam bardzo wielu tajemnic.

Kobieta przyciska dłoń do dekoltu, przesuwa palce na gardło i muska je czubkami palców. Potem wolno, bardzo wolno, kiwa głową. Wiem już, jakie zada pytanie i wiem, że później będzie spędzała dnie u boku Mistrza, by dowiedzieć się, jak sprawić, by wiatr zabrał ją ze sobą.

– A cykady? – Jest do mnie taka podobna. Mogłaby być moim wcieleniem, gdybym nie została na zawsze na pustyni. – Czyimi duszami one są? Za co zostały przeklęte?

– Duszami uwiązanymi do dawnego życia. Duszami niezdolnymi do rozpoczęcia nowego – wyjaśnia Mistrz. Nauczanie to jego rola, ale czuję się zdradzona. Słyszę

nowy ton w suchym głosie, sympatię, z którą kiedyś odzywał się do mnie. Nie jestem jedyna. Ta prawda pali moje wnętrzności. A skoro ja mogłam zastąpić kielich, być może znajdzie się i zastępstwo dla węża. – Uwięzionymi na zawsze w tej krainie.

* * *

Dzieje się tak, jak przewidywałam. Kobieta podchodzi do Mistrza, gdy tylko może. Nie wędruje już po pustyni, wręcz przeciwnie, trzyma się blisko. Choćbym chciała, nie mogę stracić jej z oczu.

– Mam w sobie dużo gniewu, żalu i bólu – mówi po kilku dniach. – Chcę się ich pozbyć. Chcę iść dalej.

Teraz jeszcze chce. Wkrótce będzie pragnęła tylko trwać u boku Mistrza, który stara się pomóc. Zaleca jej medytację i cały następny dzień mam rozrywkę w przerwach między drzemkami. Widzę, jak kobieta siedzi w cieniu oliwek, nogi ma skrzyżowane, powieki zaciśnięte, dłonie na podołku. Właściwa pozycja, ale promieniuje z niej napięcie.

Następnego dnia znów przychodzi do Mistrza, złamana, zrozpaczona. Wtedy kładzie suchą dłoń na jej drobnym ramieniu, a ja mam ochotę wystrzelić naprzód, zatopić zęby w opalonej kostce kobiety i wtłoczyć ją swoim jadem w ciało cykady.

– Skoro medytacja nie pomaga ci znaleźć spokoju, nie próbuj na siłę – tłumaczy łagodnie Mistrz. – Musisz poddać

się pustyni. Módl się, śpij lub patrz na horyzont. Poszukaj wyciszenia. Masz dużo czasu.

Później widzę ją, jak klęczy pod oliwkami, dłonie ma złożone, głowę pochyloną i szepcze jakieś słowa. Nie jest sama. Na pustyni wielu modli się, zmawiając pacierze lub skłaniając głowę do wyimaginowanej Mekki. Z tego, co pamiętam, ja leżałam na plecach i patrzyłam w niebo.

Obserwuję kobietę. Teraz się nie modli. Oderwała twardy, zdrewniały kawałek krzewu i odziera go z cierni. Ja leżę wygodnie zwinięta w cieniu właśnie tego krzaka. Powoli przymykam oczy, bezwiednie smakując językiem powietrze.

I nagle wyczuwam w nim wilgoć.

Senność ustępuje. Wypełzam ze swej kryjówki i pędzę do drogi. Czuję wodę, sól, jod. Przesycają powietrze. Dopadam do nóg Mistrza, owijam się wokół jego kostek, ale on nawet na mnie nie patrzy, tylko spogląda w kierunku klifu.

– Nie – mówi cicho i pierwszy raz słyszę w jego głosie rozpacz.

Nie wiem, co mam uczynić, podczas gdy horyzont wzbiera wściekłym, spienionym błękitem. Chcę otulić ramiona Mistrza, ale on nie podnosi mnie z ziemi. Jakiś dawny instynkt krzyczy we mnie, że powinnam uciekać.

Słyszę okrzyki ludzi, którzy także dostrzegli morze. Wilgoć i sól są już wyczuwalne w powietrzu. Wraz z nimi przychodzi mokry, niosący drobinki wody wiatr.

Fala jest ogromna. Błękitna, drżąca ściana o spienionym grzbiecie i stopach z huczącej kipieli. Niektórzy rzucają się do ucieczki, ale ja nieruchomieję przy Mistrzu. Zamierzam przy nim pozostać, lecz potężny, obcy żywioł weryfikuje moją decyzję. Spada na mnie ogromna masa wody, podrywa mnie jej niesłychana siła i pędzę, oślepiona, zaduszona niczym kociak, miotana naprzód przez morze. Wokół mnie pieni i mąci się cała pustynia – piach, krzewy, pokutnicy i milczące cykady.

Morze wypluwa mnie wreszcie na piach, w kłębowisko namokłych chwastów. Leżę wilgotna, tak jak ziemia wokół mnie. Czarne owady, które znam tak dobrze, usiłują przywrócić pustyni równowagę. Są zarazem żałosne i zabawne, gdy trzepią mokrymi skrzydłami, przebierają cienkimi kończynami lub ociężale, niezgrabnie jak to one, usiłują poderwać się do lotu.

Wyrzucam język z pyska. Smak soli odchodzi, oddala się, wilgoć jednak pozostaje. Lecz nie na długo. Słońce praży z błękitnego nieba i cała pustynia zdaje się parować. Obserwuję to, leżąc wśród namokłych gałązek, podobna do cętkowanego wodorostu.

Nawet Mistrz ocieka wodą, gdy idzie przez parującą pustynię. Odgarnia krzaki i podnosi mnie.

– Zabrało ją – mówi z napięciem.

Zaśmiałabym się, gdybym miała ludzką formę. Morze wysłuchało moich ukrytych pragnień.

Dobrze wiem, kogo ma na myśli Mistrz i jestem pewna, że on zdaje sobie sprawę z moich uczuć. Kładzie mnie teraz

na ramionach i rusza przez pustynię. Z jego szaty kapie woda, znacząc spękaną ziemię. Przymykam oczy, poddaję się miarowemu kołysaniu kroków Mistrza. Dopiero po chwili pojmuję, dokąd idziemy, lecz to nie wystarczy, aby mnie rozbudzić. Z każdym krokiem powietrze na nowo nabiera posmaku soli.

Leniwie otwieram oczy dopiero, kiedy docieramy do klifu. W dole fale biją o skalną ścianę, ale poza tym błękitny przestwór jest nieruchomy i spokojny. Zastanawiam się, czy to Mistrz go wezwał. Prawdopodobnie tak, za bardzo rożni się od wściekłej, zachłannej kipieli, która uderzyła w nas wcześniej.

Mistrz zdejmuje mnie z ramion.

– Zrób to dla mnie – prosi. – Sprowadź ją.

Dopiero teraz rozumiem. On już wybrał, jeszcze zanim mój jad przeobraził kobietę w nową Bramę.

Rezygnuje z sądów. Wyrzeka się ich. Zamyka Bramę. I robi to wszystko, chwieje światem w posadach, ponieważ chce odzyskać tę kobietę.

Ciska mnie w głębinę. Lecę prosto, wyprężona jak strzała, a potem wpadam w słoną wodę. Próbuję wypłynąć na powierzchnię, lecz pochłania mnie obca moc. Chcę wyciągnąć rękę w górę, po pomoc, ale nie mam rąk. Chcę krzyczeć, ale odebrano mi krzyk.

Nawet cykady mogą lamentować. Tylko ja jestem niema.

* * *

Obudził się przed południem z głową pękniętą na pół i zobaczył naleśniki. Stały na nocnej szafce. Tomek uniósł się na łokciach, żeby spojrzeć na dziewczynę, która usadowiła się wygodnie w fotelu naprzeciwko łóżka, pod reprodukcją „Kurtyzany” van Gogha. Sunęła zaaferowana palcem po ekranie smartfona. Jej krótko obcięte, nastroszone włosy, na końcach ogniście rude, a przy nasadzie czerwone, wydawały się dziwnie nie na miejscu na tle pastelowej ściany.

– Sorry, że grzebałam ci po kuchni – powiedziała dziewczyna głosem ochrypłym od alkoholu i papierosów. – Byłam głodna.

– Spoko – mruknął. – Przypomnisz mi, jak masz na imię?

– Gosia. – Uniosła szare oczy znad ekranu telefonu, żeby na niego spojrzeć. – Nie pamiętasz, jak ktoś ma na imię, ale łzawą historię o swojej siostrze mu opowiadasz?

Tomek się wzdrygnął.

– To nie jest łzawa historia – rzekł sucho.

Odgarnął kołdrę. Miał na sobie bokserki i dobrze. Czuł się z tym zdecydowanie lepiej, skoro Gośka była ubrana w swoją małą czarną i rajstopy. Powlókł się do łazienki. Gdy wrócił, patrzyły na niego szare oczy.

– Jeżeli to prawda, przykro mi – powiedziała Gosia.

– Prawda – wydusił, usiadł na łóżku i sięgnął po talerz.

Naleśniki były pyszne – wypełnione białym serem i polane czekoladą. Tomek przywykł do mrożonek. Szczerze mówiąc… od dawna nie jadł niczego, co nie miałoby posmaku sztucznych aromatów.

– Nie opowiadałbym takich rzeczy, żeby zaimponować dziewczynie – dodał.

Gosia wzruszyła ramionami, jakby chciała powiedzieć, że jej brak wiary w męski rodzaj jak najbardziej to dopuszcza.

– Przykro mi – powtórzyła.

Tomkowi też było przykro. Cholernie przykro. Odkąd jego trzydziestoletnia siostra powiesiła się na strychu domu, w którym mieszkała z rodzicami, przez cały czas odczuwał przytłaczający ciężar smutku. Zupełnie jakby upiorny duch siedział mu na karku, gnąc kręgosłup do ziemi. Nie zostawiła listu. Czasami zastanawiał się, co chciałby w nim przeczytać. „To nie wasza wina. Wszystko jest w porządku. Po prostu odechciało mi się żyć”.

Ale to oczywiście była ich wina. Rodziców i jego, zwłaszcza jego. Nie widział cienia, który padł na życie Moniki, nie dostrzegł smutku w jej oczach, bólu w ruchach, strachu w gestach. Później znalazł jej dziennik – wygrzebał go z szuflady biurka, tej, do której jako nastolatka nigdy nie pozwalała mu zaglądać. Przeczytał od deski do deski i od tamtej pory nie mógł spać spokojnie.

Zgwałcona. Została zgwałcona. Nie napisała kiedy i gdzie. Nie napisała, co z tym zrobiła (Chryste, powiesiła się, naprawdę musiał czytać o jej planach?). Nie opisała szczegółów (dzięki Bogu, bo chyba bym do niej dołączył).

Najgorsze jednak, że nie napisała, kto to zrobił. Tomek mógł tylko wściekać się, kartkować jej dziennik i wierzyć w boską sprawiedliwość, tak często niebyłą. Żadnego

wynajmowania Ukraińców. Nawet nie mógł dopaść gnoja w ciemnej uliczce, zmienić mu gęby w krwawą masę albo sprzedać kosy pod żebra. A bardzo chciał. Mógłby stać się mordercą, gdyby tylko miał jakikolwiek trop.

– Wiesz, zwykle po prostu wychodzę i nikomu nie tłukę się po mieszkaniu. Lubię jeść na mieście – odezwała się Gosia, wyrywając go z pochmurnych myśli. – Pewnie opowiedziałeś mi to wszystko, bo byłeś napruty jak szmata. Ale chyba mogłabym ci trochę pomóc. To znaczy... znam kogoś, kto by mógł.

– Ach, tak? – mruknął sceptycznie Tomek, zastanawiając się, czy chodzi o psychoterapeutę, czy o bioenergetyka. To pierwsze jeszcze by strawił, ale w przypadku drugiego chyba wyrzuci wariatkę za drzwi.

– To jakieś półtorej godziny samochodem – powiedziała Gosia. – Za miastem, w lesie. Mieszka tam wiedźma.

– Że co? – burknął Tomek.

Spojrzał w szare oczy Gosi. Wpatrywała się w niego spokojnie, jej twarz była poważna. Na nosie i policzkach miała bardzo blade piegi. Tomek zaczynał rozumieć, czemu to właśnie ją wyrwał.

– Wiedźma – powtórzyła dobitnie Gosia. – Potrafi ożywiać zmarłych. Może ci pomóc, jeżeli ją przekonasz.

* * *

Nie wiedział, dlaczego to robi. Wszystko mu mówiło, że pomysł jest idiotyczny. Czuł się źle, bolał go żołądek, nie tylko od jedzenia, od którego odwykł, ale też – a może

przede wszystkim – z nerwów. Zaciskał palce na kierownicy tak mocno, że bielały mu knykcie.

Gosia zapadła się w fotel obok niego. Srebrna toyota sunęła szybko dziurawą drogą. Tomek wiedział, że dociska pedał gazu zbyt mocno. Czerwona strzałka prędkościomierza ostrzegała przed zakończeniem podróży w rowie.

Ale tak bardzo chciał wiedzieć. Tak bardzo chciał się przekonać.

Spojrzał we wsteczne lusterko. Zobaczył, że cały czas było źle ustawione. Widział w nim odbicie swoich brązowych, zmęczonych oczu, tkwiących w nieogolonej twarzy.

Toyota wjechała do lasu, baldachim drzew zamknął się nad nią cicho. Gosia poprawiła się wreszcie w fotelu.

– Zwolnij – poprosiła cicho. – Gdzieś tutaj musi być zakręt.

Przestał wduszać gaz, pozwolił samochodowi wytracić chociaż część prędkości. Z naprzeciwka nadjechał biały pojazd, Tomek szarpnął kierownicą, ale i tak niemal musnęli się z tamtym lusterkami.

– W lewo – powiedziała Gosia.

Tomek skręcił na wyboistą, wysypaną żółtymi kamieniami drogę, zwolnił i wrzucił niższy bieg. Nie chciał stracić zawieszenia.

– To nie jest państwowy las? – spytał.

– Jest – odrzekła Gosia. – Ten po drugiej stronie drogi. Reszta należy do mojej rodziny.

– Twojej rodziny?

– No tak. Jestem kuzynką wiedźmy.

Tomek niechętnie pomyślał, że dał się wrobić.

– Ile mnie to będzie kosztowało? – spytał. – Jej rzekoma pomoc?

Gosia westchnęła i pokręciła głową. W jej uszach zakołysały się srebrne kolczyki.

Tomek zobaczył bramę w płocie ze sztywnej siatki, ogradzającym zarośnięty ogród. Pośród wysokich traw i chwastów biegła wydeptana ścieżka, prowadząca do nieco zaniedbanego, parterowego domu z czerwonej cegły. Tomek zatrzymał samochód tuż przed bramą.

– To tutaj? – spytał.

– Tak – potaknęła Gosia i wysiadła.

Tomka kusiło, by wrzucić wsteczny i wcisnąć gaz do dechy, ale tylko pociągnął za klamkę i wysiadł również. Las pachniał wilgocią, powietrze było ciepłe. Zaszeleściły trawy i z kępy pokrzyw wyskoczył wilczur, wielki i siwy. Dopadł płotu i zaczął wściekle ujadać, obnażając potężne, żółtawe kły. Trzasnęły drzwi domu.

Na pierwszy rzut oka było widać, że rzekoma wiedźma jest z Gosią spokrewniona. Jej sięgające ramion włosy miały ciemnorudą barwę, a kiedy się zbliżyła, Tomek dostrzegł, że obie kobiety łączą też inne szczegóły – piegi, szare oczy, czy duże, równe zęby, błyskające między wąskimi wargami. Włosy wiedźmy tworzyły jednak na sklepieniu czoła charakterystyczny trójkąt, którego Gosia nie miała.

Ubierała się również nieco inaczej, nosiła wyraźnie sprane dżinsy i za dużą koszulkę, białą, bez nadruków.

– Cześć, Felka! – zawołała do niej Gosia, przekrzykując psa. – Poznaj Tomka!

– Cicho, Kłak! – fuknęła Felka.

Wilczur ucichł natychmiast, zakręcił się w miejscu i usiadł przy jej nodze, waląc o ziemię ogonem. Wiedźma uchyliła bramę, żeby mogli przejść.

– Chciałbym wiedzieć, ile będzie mnie to kosztowało – powiedział Tomek, wchodząc na ścieżkę.

– Trzy dychy za godzinę – burknęła ironicznie Felka. – A na poważnie, skoro przeszkadza ci gościnność, możesz pić własną herbatę.

– Kiedy mówiłam, że Felka być może ci pomoże, właśnie to miałam na myśli – zapewniła Gosia. – To nie jest biznes. No, chodź.

Ujęła jego dłoń. Tomek dał się pociągnąć w kierunku domu, czując się trochę jak zagnany w pułapkę. W małym, ciasnym przedsionku zdjęli wszyscy buty i gospodyni wprowadziła ich do następnego pomieszczenia, przyjemnej, chociaż małej kuchni ze stołem pod oknem i starym, gazowym piecykiem. Nigdzie nie było śladu suszonych ziół, żabich skórek, szczurzych ogonków czy choćby czarnego kota. Zamiast tego buczała cicho stara lodówka, a kiedy Felka otworzyła szafki, żeby wyjąć naczynia, Tomek dostrzegł tylko talerze.

– Siadajcie – zachęciła ich wiedźma. – I opowiadajcie.

Tomek zajął krzesło. Gosia usiadła przy nim i to ona zaczęła:

– Chodzi o siostrę Tomka.

Był zdziwiony jak szczegółowo powtórzyła opowieść, zaczynając od samobójstwa, poprzez próby odkrycia prawdy, aż po znalezienie dziennika. „Nocą się budzę i ciągle mam wrażenie, że leżę przygnieciona jego ciężarem i horror się powtarza”, napisała Monika w ostatnim wpisie. „Nie zniosę tego. Nie zniosę tych wspomnień. Nie jestem w stanie poprosić o pomoc. Próbowałam, ale słowa zawsze więzną mi w gardle, więc udaję dalej. I czuję, że już nie mogę. Chcę odejść. Wygrał”.

Gosia ucichła, a Tomek siedział z twarzą w dłoniach.

– Nie zapisała nazwiska ani imienia tego gnoja – powiedział stłumionym głosem.

„Nie jestem w stanie poprosić o pomoc. Próbowałam, ale słowa zawsze więzną mi w gardle, więc udaję dalej”. Dlaczego? Jak Monika w ogóle mogła pomyśleć, że się od niej odwrócą? Tomek nie wiedział, jakby ją wsparli, nie miał pojęcia, jak zareagowałby na jej wyznanie, ale na litość boską, na pewno nie pozwoliłby jej na randkę z czerwonym winem i grubym sznurem!

– A co byś zrobił, gdybyś znał to nazwisko? – spytała Felka.

– Wyprułbym draniowi flaki.

– Naprawdę?

– Na pewno bym się z nim policzył – powiedział Tomek.

Felka uśmiechnęła się z politowaniem. Tomek zacisnął pod stołem pięści, gdy postawiła przed nim kubek z parującą herbatą, cukierniczkę i butelkę soku cytrynowego. Śmiała się z niego. Z jego bezsilnego, przepełnionego nieukierunkowaną nienawiścią gniewu.

Gosia wzięła herbatę z rąk kuzynki i uśmiechnęła się do niej kocio. Tomkowi ten uśmiech się podobał. Znalazł drugi powód, dla którego poszedł z nią do łóżka.

– Pomożesz? – spytała cicho Gosia.

Wiedźma wydęła wąskie wargi i prychnęła lekko.

– Tak – zapewniła. – Pomogę. Kobiety powinny okazywać solidarność w pewnych sprawach.

Usiadła ze swoją herbatą po drugiej stronie stołu. Tomek przełknął łyk gorącego napoju. Ledwo przeszedł mu przez zaciśnięte gardło i dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że zapomniał posłodzić napar.

– To co teraz? – spytał. – Jakiś rytuał? Muszę ci coś dostarczyć?

– Nie – powiedziała spokojnie Felka. – Opowiedziałeś mi dość o swojej siostrze. Poślę po duszę, a ona przybędzie, jeżeli nie zapomniała już swojej formy.

– Nie zapomniała swojej formy?

– To ma miejsce, jeżeli upływa dużo czasu. Wtedy dusza nie jest już osobą, która stąpała po tym świecie, więc nie można jej wezwać. Nie zostanie rozpoznana, jeżeli sama nie będzie wiedzieć, kim była.

– Ale zobaczę ją? – spytał Tomek z naciskiem.

– To już zależy od niej – stwierdziła Felka. – Ale nie wiem, czy będziesz chciał. Rzadko przywracam światu zmarłych, tak samo rzadko robiła to moja matka i babka. Oni są gniewni. Zawsze.

– Gniewni? – wydusił Tomek.

– Tak – potaknęła cicho wiedźma, dosypując cukru do swojej herbaty. – Bez względu na to, co czeka na nich w zaświatach, gdy wracają, przepełnia ich nienawiść, gniew i żądza zemsty. Zawsze znajdą kogoś, kto w ich opinii jest winny ich śmierci. Dlatego powiedz mi… na pewno powinnam ci pomóc?

Pochyliła się ku niemu. Tomek spojrzał w jej szare oczy i przygryzł mocno dolną wargę.

Przypomniał sobie, że człowiek, który skrzywdził Monikę, wciąż chodzi po świecie. Wolny, radosny, nieokreślony. Poza jego zasięgiem.

Już niedługo, skurwysynu – poprzysiągł mu. *Już niedługo*.

* * *

Gosia krygowała się, prosiła o podrzucenie na dworzec lub przystanek autobusowy, ale w końcu podała Tomkowi adres. Odwiózł ją do podmiejskiej dzielnicy, wskazała mu dom jak z bajki – piętrowy, ze spadzistym dachem, biało-czerwony, otoczony zielenią króciutko przystrzyżonej trawy i żywopłotu. Zaparkował przed drewnianą bramą, a Gosia wysiadła. Patrzył chwilę, jak gmera w niewielkiej torebce, jakby chowała tam pół świata. Wreszcie otworzyła kluczem

furtkę i ruszyła po żwirowanej ścieżce, w której zapadały się jej obcasy. Odwróciła się w połowie drogi i pomachała Tomkowi. Uniósł rękę, a później odjechał, nie chciał, żeby sobie pomyślała, że jej pilnuje czy co.

Skręcając na końcu ulicy, sięgnął po telefon, leżący w zagłębieniu pod ręcznym hamulcem. Przesunął palcem po ekranie, wpisał w wyszukiwarkę imię Gosi, ale nie miał jej numeru. W gruncie rzeczy to chyba lepiej.

Nie docierało do niego, że właśnie odwiedził wiedźmę i ożywił Monikę. Nie wyciągnięto od niego ani grosza. Chyba wolałby, gdyby wizyta u Felki kosztowała trzy dychy za godzinę. Przynajmniej teraz wściekałby się na własną głupotę, a nie czuł tej dziwnej pustki, jakby wyrwano mu duszę i wysłano w stan nieważkości.

Wrócił do domu i wypił kilka łyków wczorajszej herbaty. Znalazł w lodówce ostatnią butelkę wody mineralnej, a później razem z nią wrócił do rozgrzebanej pościeli, pachnącej potem. Wtulił twarz w poduszkę i wyczuł ulotną, charakterystyczną woń. Chyba wytarł w pościel palce, którymi pieścił Gosię; często właśnie tak robił.

Chciał zasnąć, zapomnieć o suchości w gardle, o tępym bólu głowy i uciążliwym niepokoju. Ale tylko leżał, przytulał do piersi zimną butelkę i wpatrywał się w ścianę. Jak poważnie ranny kot, ukryty pod śmietnikiem, czekający na ozdrowienie lub śmierć.

* * *

Kiedy zadzwonił telefon, było już ciemno.

Tomek przetoczył się na plecy. Czuł silne wibracje na udzie. Sięgnął tam ręką i wygrzebał z kieszeni smartfona. Jego ekran był tak przeraźliwie jasny, że Tomkowi łzy napłynęły do oczu.

Połączenie z telefonu domowego rodziców. Tomek poczuł drgnięcie niepokoju. Ojciec i matka byli zdrowi, ale już wiekowi, a w dodatku ojciec palił jak smok. Nie zwlekając dłużej, Tomek odebrał. O pierwszej w nocy sprawa musiała być poważna.

– Tak? – powiedział ostrożnie, takim głosem, jakby gardło zupełnie zapchał mu śluz.

– Jadę po ciebie.

Spokojny, jasny, obojętnie wypowiedziany komunikat. A jednak Tomek aż wrzasnął:

– Monika!

– Jadę – powtórzyła jego siostra i odłożyła słuchawkę.

Co ona sobie myślała? Co ona w ogóle sobie myślała?

Tomek usiadł gwałtownie, wybrał numer i odczekał kilka sygnałów. Nic. Cisza. Zniechęcony rozłączył się, napił wody i spróbował znowu, ale bez skutku.

To było dziwne. Ktoś powinien się obudzić. Matka zawsze słabo spała.

Tomek zadzwonił po raz trzeci, chociaż sens tego wszystkiego już do niego docierał.

– Bez względu na to, co czeka na nich w zaświatach, gdy wracają, przepełnia ich nienawiść, gniew i żądza zemsty.

I jeszcze:

– Jadę po ciebie.

Tomek zdał sobie sprawę, że się trzęsie. Zadzwonił po raz czwarty, a potem cisnął telefon na łóżko, wstał i niczym pijany ruszył do drzwi. Sprawdził zamki, założył łańcuch. Obszedł mieszkanie, by pozamykać okna. Wrócił do sypialni, zaciągnął zasłony, złapał ponownie telefon i usiadł z nim na podłodze. Przejrzał wszystkie kontakty jeszcze raz, jeden po drugim, chociaż miał ich dobre pół tysiąca. I nic. Parę Goś, ale na pewno nie ta właściwa. Żadnej Felki. Ostatni raz zadzwonił do rodziców i kiedy wsłuchiwał się w sygnał, usłyszał z ulicy cichnący warkot silnika.

Rozłączył się. Siedział. Słuchał. Napinał się, jakby to mogło mu w czymś pomóc, z nadzieją że dotrze do niego odgłos kroków na schodach lub korytarzu.

Pukanie do drzwi kompletnie go zaskoczyło. Telefon wypadł mu z ręki i hałaśliwie wylądował na podłodze.

Zabrzęczał dzwonek, później rozległo się pukanie, bardzo uprzejme. Po nim chwila ciszy. A później ta istota zaczęła skrobać w drzwi. Namolnie, jak uparty pies, jeździła po nich paznokciami.

Tomek drżał. Chciało mu się płakać, ale bał się wydać choćby najcichszy dźwięk. Oddychał szybko, skórę pokrył mu pot. *To tylko twoja siostra* – wmawiał sobie. *Monika, którą dobrze znasz i kochasz*. Lecz w głębi duszy wiedział, że to nieprawda, że za tymi drzwiami stoi coś nienaturalnego, zawróconego w pół drogi.

Gniewnego. Przeraźliwie gniewnego.

Zadzwoniła jego komórka. Przerażony, niemal odruchowo odebrał, ledwie notując, że wyświetlił się służbowy numer ojca. Nie odezwał się, tylko przyłożył słuchawkę do ucha.

– Tomek? – wyszeptała Monika. – Wpuść mnie.

– Nie – wychrypiał.

– Ty mnie tu sprowadziłeś. Teraz mnie wpuść.

Ale nie miał jej już nic więcej do powiedzenia. Siedział i czekał, aż w końcu zaczęła mówić:

– Próbowałam wam powiedzieć, wiesz? Ale nie mogłam. Pamiętasz, ile razy ojciec powtarzał, że jak suka nie da, to pies nie weźmie? A jak matka powtarzała, że muszę uważać, być odpowiedzialna za siebie? A pamiętasz, jak powiedziałeś o Izce, tej Izce, z którą chodziłeś do klasy, że wrobiła tego twojego kumpla w policję i bachora, gdy był narąbany jak szpadel? Wiedziałeś równie dobrze jak ja, że ją zgwałcił. Ale uznałeś, że jest dobrze, bo gwałt na własnej dziewczynie to bardziej *rough sex*, co? To wszystko we mnie siedziało, Tomek. I zawsze, kiedy otwierałam usta, te chwasty rozsiewały się dalej i zapuszczały korzenie głębiej. Aż w końcu wypełniły mnie całą. Czułam je w środku. Czułam, jak do mnie przywarły. Czułam, jak mnie pożerają.

– Odejdź – wychrypiał Tomek, który nie chciał tego słuchać. Nie chciał, by ten demon sączył mu w uszy truciznę. – To nie my cię zabiliśmy. To ten gnój, który cię skrzywdził.

– On mnie skrzywdził – przyznała Monika. – Ale to wy mnie zabiliście, Tomek. Milczałam. Milczałam, aż to mnie

zadusiło. Żebyście tylko nie wydali na mnie wyroku.

– Chryste.

– Rodzice przynajmniej ucieszyli się na mój widok. Cieszyli się nawet, gdy poderżnęłam ojcu gardło. Później matka trochę krzyczała, ale on umarł z uśmiechem na ustach.

Tomkowi drżały dłonie. Chciał się rozłączyć, ale nie mógł odsunąć telefonu od ucha. Jego ręka była sztywną atrapą, niezdolną do zgięcia się w którymkolwiek miejscu.

– Już prawie się uwolniłam – powiedziała Monika. – Już zapomniałam. Już wybaczyłam. A później przywrócono mnie tutaj, na ten świat, z którego chciałam odejść. Nie zostawiłeś mi nawet decyzji o własnej śmierci, Tomek. Tego nie zapomnę ani nie wybaczę.

Rozłączyła się i nagle wszelka siła opuściła Tomka, jakby skończyło się działanie klątwy. Ręce opadły mu ciężko na podłogę, głowa odchyliła się w tył i oparła o łóżko, stopy rozjechały na boki.

W uszy wwiercała mu się absolutna cisza. Ustały dźwięki przy drzwiach, ale Tomek ani drgnął. Czekał, aż rozlegnie się odgłos ich wyważania.

Wreszcie wstał. Odblokował smartfon i ekranem oświetlił sobie drogę na korytarz i do małej łazienki. Brzuch mu się kurczył. Tomek czuł, że zaraz zwymiotuje, nawet tego chciał. Wiedziony instynktem organizm domagał się zrzucenia wszelkich balastów.

Kiedy podniósł klapę toalety (kto w ogóle ją opuścił? Gosia?), wypełzł z niej wąż.

Tomek zobaczył go wyraźnie. Brązowego, z beżowymi cętkami i jasnymi, pustymi, złymi oczami w trójkątnej głowie. Był długi jak jego noga. Wydostał się z toalety w jakiś niepojęty sposób, pchany siłą mięśni w oślizgłym cielsku i pacnął na kafelki.

Tomek wypadł na korytarz, walnął plecami w ścianę, aż zaparło mu dech. O mało nie wypuścił smartfona.

Wąż, ciemna smuga w mdłym, białym blasku ekranu, wypełzł na korytarz za nim, odgrodził Tomka od bezpieczniej sypialni, szybka i oślizgła groza. Chłopak cofnął się do drzwi. Doskonale świadom, co jeszcze przed chwilą za nimi było, otworzył zamek po zamku. Nie miał innej drogi ucieczki, a wąż pełzł w jego stronę, powoli, pewny swego, jakby wiedział, że zagnał ofiarę w kozi róg.

Tomek wypadł z mieszkania, odwrócił się w biegu i zobaczył tylko błysk kuchennego noża, brązowe oczy, burzę włosów i opaloną twarz Moniki. Jego świat zalała krew, a smartfon wypadł mu z dłoni.

Wąż przemknął między jego nogami.

Monika wymierzyła kolejny cios w łeb gada. Bestia była szybsza. Zwinęła się i wystrzeliła naprzód, ocierając się o ostrze, w mgnieniu oka, w czas krótszy niż oddech, w jednej chwili pełzła, w następnej wbijała kły w kostkę Moniki.

Tomek usiadł. Nie miał wyjścia. Nogi się pod nim złożyły. Nie miał sił, by wymacać ranę na rozoranej twarzy. Wiedział tylko, że krew ścieka mu do oka i na ubranie.

Monika trzymała w dłoni pomalowany czerwienią nóż i ruszała się wolno, jak zepsuty automat. Krok do Tomka. Krok w bok. Chwiejnie. Jakby była pijana.

Wreszcie upadła na bok. Targnęły nią spazmy, z brzękiem upuściła nóż. Zaczęła kopać nogami, jakaś straszliwa moc ostatecznych odruchów wstąpiła w całe jej ciało. Przesuwało się gwałtownie, gdy Monika pełzła na boku, suka w agonii, aż dotarła do schodów i stoczyła się po nich z łomotem.

Niech ktoś przyjdzie – błagał w duchu Tomek.

Ale nikt nie przyszedł i tylko jemu było coraz bardziej wszystko jedno.

– Kto cię zgwałcił, Moniko? – zapytał cicho.

Należała mu się odpowiedź.

Na czworakach dotarł do szczytu schodów i spojrzał w dół, ale na półpiętrze nie było siostry. Tomek wstał powoli i zszedł, stopień po stopniu, aż dotarł piętro niżej.

Żadnej Moniki.

Żadnego węża.

Ogłupiały, osłabiony i obolały Tomek wspiął się z powrotem do mieszkania. Wziął nóż i smartfon, wszedł do domu i usiadł za stołem w kuchni. Wybrał numer rodziców i zadzwonił. Nikt nie odebrał. Tomek dotoczył się do okna, odchylił firankę i wyjrzał na zewnątrz. Obok jego srebrnej toyoty parkował czerwony ford taty.

Ktoś go tu przyprowadził, ktoś zakrwawił nóż, ktoś pociął twarz Tomka. Ktoś zamordował rodziców. Ktoś wierzył, że śmierć Moniki jest jego winą.

Może należało zapłacić wiedźmie. Może rzuciła na Tomka urok, bo tego nie zrobił.

Może to były tylko alkohol i narkotyki, a może coś w leśnej herbacie? Ale Tomek wciąż nie widział motywu.

Powlókł się do sypialni, znacząc swój szlak kroplami krwi. Położył się w pościeli, obojętny na to, że wciąż wycieka z niego życie, że twarz drętwieje mu z bólu, że w jednej dłoni ściska zakrwawiony nóż, a w drugiej zakrwawiony telefon.

Czekał, aż przyjedzie policja i powie mu, co zrobił, a co tylko sobie wymyślił.

* * *

Moje ciało jest nieruchome i sztywne, a rany na ogonie, rany po moich własnych zębach, paskudnie się paprzą, pulsując bólem. Wtłoczyłam truciznę w samą siebie, ale nie wiedziałam, jak inaczej mogłabym powrócić.

– Głupia – mówi do mnie Mistrz, podnosząc mnie z piasku. – Myślałaś, że coś się może zdarzyć? Twój sąd już się odbył. Zostałaś tutaj. Uwięziona na zawsze. Tak samo jak cykady.

Ale ja mam tylko jedno wcielenie.

Mistrz rozwiera moje szczęki. Z zębów skapuje mi kropla jadu. Może ją zebrać i podać komuś do picia. Może użyć mnie jak narzędzia, przebijając czyjąś skórę. Od dawna nie czułam już podobnej rezygnacji, uświadamiając sobie, jaką ma nade mną władzę. Krótka wizyta w świecie żywych odebrała mi szczęście. Strach, który mi

towarzyszył, gdy pełzłam kanalizacyjnymi rurami, wiedziona zapachem-nie-zapachem, śladem śmierci, zostawionym przez Monikę. To nie była woń; raczej uczucie, ale bardzo łatwe do zlokalizowania. Coś martwego wdarło się w życie przywołane przez stare moce. Musiałam to zawrócić. A potem ukąsić się sama, bo wolałam umrzeć niż przez wieki rozpamiętywać, że Mistrz mnie odrzucił.

Oczywiście, nie można zabić tego, co od dawna jest martwe.

Mistrz kładzie mnie na swoich ramionach. Jestem sztywna, zatruta, wzrok mi się mąci. Zwisam bezwładnie jak sznur wodorostów.

Idziemy. Idziemy przez nieskończony, suchy, brzmiący cykadami przestwór śmierci.

Owad siedzi na suchej gałęzi samotnej oliwki i lamentuje zgrzytliwie. Mistrz staje i spoglądamy razem na niego. Cykada zdaje się drżeć delikatnie, jakby wkładała ogromny wysiłek w swój ohydny śpiew. Może to tylko powietrze faluje z gorąca.

– Przeszłaby przez Bramę – mówi cicho Mistrz. – Gdyby tylko jej nie zawrócili.

Wiem już, na co patrzę, ale jest mi wszystko jedno. Nawet czuję żal. Naprawdę chciałabym, aby Mistrz czuł się szczęśliwy. Serce mi pęka, że wolałby nosić na ramionach Bramę w innej postaci, duszę tamtej kobiety. Ale skoro tego właśnie pragnął… odeszłabym. W niebyt. W przyszłość. W czarne, sztywne ciało cykady.

Zawracamy do końca drogi. Mistrz siada w kucki przy kolczastym krzewie, by oczekiwać nadchodzących. Układa mnie w cieniu sztywnych gałązek, przesuwa palcem po moim trójkątnym łbie i grzbiecie. Napinam mięśnie pod jego łagodnym, suchym dotykiem, na tyle, na ile mogę.

– Zobaczysz – mówi Mistrz. – Nim zajdzie słońce, poczujesz się lepiej.

Już czuję się lepiej. Ochłap, który mi rzuca zamiast miłości, wystarczy. Nawet dopuszczam do siebie myśl, że Mistrz pragnął przeprowadzić Monikę do następnego wcielenia. Że wcale nie chciał się mnie pozbyć. Spada ze mnie wielki ciężar: zazdrości, gniewu i rozczarowania. Jakbym znowu oczyszczała się, gotując do wkroczenia w nowe życie.

Może kiedyś je dostanę. Może kiedyś będę w stanie pogodzić się z utratą Mistrza i z zepchnięciem go w otchłań niepamięci. Wtedy pęknie łańcuch, wiążący mnie z krainą cykad i moja pokuta dobiegnie końca.

Judasz – Maria Dunkel

Nic z tego, co mnie otacza, nie istnieje. Ani ciemny pokój w luksusowym apartamentowcu, ani wypełniające go skórzane meble, ani pętla, którą wiążę. Nawet ja. Całe rozświetlone neonami Miasto, uliczny ruch, kasyna, żółte taksówki, luksusowe dziwki i nurzający się w grzechu mieszkańcy... To wszystko Jego sen.

Jesteśmy wpisani w działanie programu, który stworzył dla sobie tylko wiadomych celów. Każdemu z nas wyznaczono rolę, którą musimy odgrywać.

Uświadomienie sobie tego to najgorsze, co mnie w życiu spotkało.

* * *

Po raz pierwszy zobaczyłem Mesjasza pewnego upalnego dnia, u mojego dobrego przyjaciela, malarza-abstrakcjonisty Pierre'a Voyagara. Pierre odniósł spektakularny sukces sześć lat wcześniej. Oznaczało to, że teraz mógł chlapnąć na płótno farbą i opchnąć je na aukcji za pół miliona zielonych. Jak większość Artystów Którym Się Udało, przeniósł się do Miasta. Poznaliśmy się w dość zabawnej sytuacji, gdy w jednym z nocnych klubów

poderwaliśmy tę samą tancerkę, w dodatku oferując jej identyczne pieniądze za wspólną noc. Pierre zaproponował, żebyśmy poszli do łóżka wszyscy troje. Zazwyczaj jestem tradycjonalistą, ale wtedy miałem trochę w czubie, więc przystałem na ten pomysł. Imienia tancerki dawno już nie pamiętam, ale od tamtego wydarzenia ja i Pierre spotykaliśmy się często, by razem ćpać, pić i wyrywać dziewczyny.

Siedzieliśmy nad basenem. Wyciągnąłem się na leżaku pod ogromnym parasolem, z zimnym martini, cygarem i nową książką political fiction mojego ulubionego pisarza, Jima Foresta. Pierre opalał wysmarowane olejkiem plecy. Zaprosił kilka wiernych fanek, wytrawnych koneserek sztuki. Tak mi powiedział.

– Nigdy nie wiedziałem, że koneserki sztuki to takie gorące, głupiutkie osiemnastki – stwierdziłem.

– Jedna ma dwadzieścia lat – odrzekł z urazą.

– Wskaż mi, która. Nie lubię pieprzyć próchna.

W rzeczywistości każda „fanka” była warta uwagi w takim samym stopniu. W oko wpadła mi blondyna z lokami upiętymi w wysoki kok, ubrana w odpowiednio skąpy, błękitny kostium kąpielowy i klapki na wysokich koturnach.

Słodkie lenistwo przerwał nam jeden z ochroniarzy Pierre'a, który pojawił się nad basenem, prowadząc drobnego mężczyznę w prążkowanym garniturze. Wskazał w naszym kierunku, a przybysz bez chwili wahania ruszył wzdłuż basenu. Obserwowałem go leniwie. W życiu nie

widziałem równie rudego człowieka, cała jego głowa zdawała się emanować jaskrawy, pomarańczowy blask. Nosił długie włosy i gęstą brodę, przez co trochę przypominał hipisa.

– Chyba masz gościa – rzuciłem.

Pierre stęknął, uniósł się na łokciu i obejrzał przez ramię. Wieczny rumieniec na jego pulchnych policzkach jeszcze się pogłębił. Usiadł. Pomachał przybyszowi, a ten odpowiedział w ten sam sposób. Stanął wreszcie przed naszymi leżakami.

– Josh, nie spodziewałem się ciebie – stwierdził Pierre. – Poznaj Judasa Silvera. Jud, to jest Josh Chris.

– Judas? – powtórzył Josh, unosząc brwi.

– Matka mnie nie kochała – wyjaśniłem z rozbawieniem. Odstawiłem martini, zamknąłem książkę i wsadziłem w usta cygaro, po czym usiadłem, by uścisnąć rękę Josha. – Albo była nawiedzoną ateistką – wymamrotałem.

Skinął głową na znak, że rozumie i zwrócił się do Pierre'a:

– Pewnie mogłem zadzwonić, ale i tak przejeżdżałem obok twojej willi, więc pomyślałem, że wstąpię.

– Zawsze jesteś tu mile widziany – zapewnił pospiesznie Pierre.

Josh go zignorował.

– Musiałem przesunąć datę spotkania z soboty na poniedziałek. Masz czas?

– Jasne, że tak – odpowiedział Pierre.

Josh popatrzył na mnie.

– Może ty też przyjdziesz? – zaproponował.

– Zastanowię się – odrzekłem, chociaż doskonale wiedziałem, że nie przyjdę.

– Napijesz się drinka? – zaproponował Pierre.

– Nie, muszę lecieć – zaprzeczył gwałtownie Josh.

Odszedł wzdłuż basenu, nawet nie zerknąwszy na pluskające się w wodzie piękności. Spojrzałem ciekawie na Pierre'a.

– Co to za palant? – spytałem.

Wtedy dowiedziałem się, że Josh jest Mesjaszem.

* * *

Czym jest Miasto? I dlaczego odpowiedź brzmi: „oazą szaleńców”?

To wrzód na powierzchni ziemi. Biedni istnieją tu, by służyć bogatym, a bogatych to miejsce przyciąga jak magnes. Bawią się w kasynach i nocnych klubach, wylegują nad basenami, trwonią majątki na nurzanie się w zepsuciu.

Weźmy takiego Pierre'a. Dawno odpuścił sobie szukanie „nowych artystycznych dróg”, wytyczanie szlaków i ambicje. Żyje wygodnie w willi, zielonej wyspie w centrum Miasta, osłoniętej od ulicy wysokim parkanem i dźwiękochłonnymi ekranami. Kiedy liczba zer na jego koncie spada, kupuje kilka płócien, po czym chlapie na nie farbą, a następnie dzwoni do agenta, który te twory opycha za grube pieniądze.

Albo ja. Dziedzic ojcowskiej fortuny. Och, nie opierdzielam się… aż tak. Jestem pracowitym człowiekiem.

Noszę ze sobą smartfona, przez którego śledzę notowania na rynku. Czasem sprzedaję akcje, czasem kupuję. Cyferki to wdzięczne istoty, jeśli poświęcić im odrobinę czasu, radośnie skaczą w górę. I nie przestają, chociaż niespecjalnie oszczędzam.

A z drugiej strony pojawia się taki Josh. Też całkiem majętny – w Mieście tylko ludzie będący według światowych standardów bogaczami zasługują na uwagę. Zdrowo nawiedzony. Obwołuje się Mesjaszem, wymyśla niestworzoną doktrynę i nawołuje skupionych na swoich potrzebach, znudzonych wygodnym życiem ludzi do podążania za sobą.

Zaskakujące, że pasożyty mające wszystko, łącznie z możliwością egzystowania przez dziesięciolecia bez kiwnięcia palcem w celu innym niż sprawienie sobie przyjemności, zlatują się do takich dziwaków. Człowiek jednak rozpaczliwie potrzebuje w życiu sensu głębszego od spełniania swoich zachcianek. Stąd wynika wielka popularność kolejnych sekt. Pojawiają się, skupiają dziesiątki ludzi, a później trwają, podtrzymywane z funduszy celebrytów, bądź znikają po pewnym czasie. Są nieodłączną częścią Miasta, tak jak narkotyki, seks i hazard.

Sam kilka razy próbowałem podążać za jakimś „bożym pomazańcem”, ale chyba jestem zbyt trzeźwo myślącym człowiekiem. Nauczyłem się traktować nowatorskie wierzenia jak odskocznie od szarej codzienności. Dlatego kiedy Pierre zaczął namawiać mnie do pójścia na

nabożeństwo Josha, stwierdziłem, że w sumie nie zaszkodzi. Mogłem potańczyć sobie przez godzinkę, pośpiewać jakieś mantry czy wielbić Latającego Potwora Spaghetti. Zawsze istniał cień szansy, że w sekcie znajdzie się kilka ładnych kobiet.

O doktrynę nawet nie zapytałem, bo czemu miałaby mnie obchodzić?

* * *

Miejscem spotkania był penthouse Josha. Mesjasz mieszkał w Trzydziestym Trzecim, jak nazywano jeden z najwyższych drapaczy chmur w Mieście. Rozciągający się z jego szczytu widok zapierał dech w piersiach.

Przeglądałem się w wielkim lustrze w windzie, wygładzając klapy eleganckiego garnituru.

– Wyglądamy, jakbyśmy jechali na raut klubu japiszów – zażartowałem.

Pierre spojrzał na mnie z lekkim niesmakiem. Był bardzo zdenerwowany. Traktował całe to badziewie poważnie, ja wręcz przeciwnie.

– Proszę cię, Jud, nie rób bydła – mruknął.

Skinąłem głową.

Całe życie miałem nie po drodze z religią. Może to trochę wina mojej jebniętej mamuśki, nie wiem. Większość księży nie patrzy przychylnie na dziecko noszące imię biblijnego zdrajcy, a poważne traktowanie jakichkolwiek sekt nie było w moim stylu. Ale Pierre był moim dobrym kumplem i wtedy, w windzie, twardo postanowiłem, że

zrobię mu tę przysługę i powstrzymam wybuchy śmiechu oraz kpiny co najmniej do końca obrzędów.

Chociaż – ta myśl też przeszła mi przez głowę – *może lepiej postąpiłbym, próbując sprowadzić Pierre'a do poziomu zdrowego cynizmu?* Żałuję, że nie zastanowiłem się nad tym dłużej.

Winda dotarła na najwyższe piętro i otwarła się, a wtedy było już za późno.

Znaleźliśmy się w środku nieziemskiej imprezy. Podłogi i ściany zdawały się drgać w rytm głośnej muzyki. Eleganckie, przestronne pokoje pełne były mężczyzn w garniturach oraz kobiet w błyszczących sukienkach. Tańczono, rozmawiano, podawano sobie z rąk do rąk tace z drinkami.

– Podoba mi się twoja religia! – krzyknąłem do Pierre'a.

Uśmiechnął się i skinął mi ręką. Przeszliśmy po puszystym, pomarańczowym dywanie do spiralnych schodów ze srebrnego chromu. Pod nimi, na skórzanych sofach i fotelach, rozsiadło się kilku mężczyzn. Moją uwagę skupiła ustawiona przy stopniach lampa z lawą, sięgająca od podłogi do sufitu. Nie zauważyłem zajmującego całą kanapę Josha, dopóki nie pomachał mi ręką, w której trzymał grubego jointa.

– Rozgość się, przyjacielu! – zachęcił. – Później pomówimy o Prawdzie. Pierre, siadaj!

Skinąłem głową i ruszyłem w tłum, doceniając chwyt Josha. Wierni, ululani hałasem, alkoholem i narkotykami z pewnością byli bardziej podatni na sugestie. Szczerze

mówiąc, ja sam, oszołomiony rozmiarami i przepychem imprezy, stałem się już na nie podatny. Uświadomiłem to sobie i natychmiast doszedłem do wniosku, że muszę uwolnić się do harmidru, przynajmniej na chwilę. Nie lubię, kiedy ktoś próbuje mnie zmanipulować.

Odnalazłem balkon, odgrodzony od mieszkania szklanymi, otwartymi na oścież drzwiami, przez które wpadało do środka duszne powietrze. Ruszyłem w tamtym kierunku, po drodze odmawiając przyjęcia drinka i sięgając po schowaną w wewnętrznej kieszeni marynarki papierośnicę. Zdałem sobie sprawę, że zapomniałem zabrać z domu zapalniczki – coś, co zdarza mi się niezwykle rzadko.

Mówiłem przecież. Figury, statyści, schematy w obracających się trybach losu.

Wyszedłem na balkon, gdzie oprócz mnie była tylko jedna kobieta, ubrana w czerwoną suknię z seksownym rozcięciem na biodrze. Miała ciemne włosy, krótkie i nastroszone oraz jasną, gładką skórę.

– Masz ogień, mała? – spytałem, wyciągając papierosa.

Oderwała wzrok od Miasta i spojrzała na mnie. Jej ciemnoniebieskie oczy były zaczerwienione, pełne łez. Sięgnęła do czarnej kopertówki, wcisnęła mi w dłoń srebrną zapalniczkę i niemal wbiegła do mieszkania, w tłum.

Stałem i patrzyłem za nią. W palcach obracałem zapalniczkę, wodząc kciukiem po zimnym metalu. Ocknąłem się wreszcie, zapaliłem papierosa. Odwróciłem

się, żeby spojrzeć na rozświetlone neonami ulice. Ani tytoń, ani wspaniały pejzaż nie przyniosły mi ukojenia.

Właściwie od tamtej chwili zaznałem go w życiu bardzo niewiele.

* * *

Około pierwszej w nocy towarzystwo przeniosło się na jasno oświetlony diodami dach, z ogromnym basenem i sztucznym trawnikiem. Pierre, Josh i reszta mężczyzn okupujących skórzane kanapy pod schodami, byli już dobrze zjarani. Ja zaczynałem się nudzić. O pierwszej w nocy zwykle następuje kryzys imprezy, a gospodarz niespecjalnie miał ochotę zabawiać gości.

Wypiłem kilka drinków, parę razy zaproponowano mi jointa z haszem, no i rozglądałem się za kobietą z balkonu, żeby oddać jej zapalniczkę. Byłem zmęczony muzyką. Powoli traciłem kontakt z rzeczywistością. Rozważałem całkiem poważnie telefon do szofera i powrót do domu, kiedy wszyscy zaczęli tłoczyć się przy schodach. Pierre chwycił mnie za ramię i pociągnął na stopnie. Przyszedłem *de facto* na jego prośbę; nie wypadało zmyć się, skoro wyraźnie zależało mu, żebym jeszcze trochę został. *Nie dłużej niż pół godziny* – obiecałem sobie.

Znaleźliśmy się na świeżym powietrzu. Josh był już na dachu. Siedział na leżaku nad basenem, zamyślony wpatrywał się w podświetloną lampami wodę. Wszyscy tłoczyli się wokół niego. W tłumie dostrzegłem kobietę w czerwonej sukni. Stała w jednym z pierwszych rzędów,

blisko Josha. Widziałem na jej twarzy skupienie, gniew, smutek – porażającą mieszaninę emocji, z jaką patrzyła na Mesjasza. Sam zostałem z tyłu, pozwoliłem napierającemu tłumowi wypchnąć się niemal na sam skraj dachu i spojrzałem na Miasto.

Usłyszałem głos Josha:

– Judasie Silver? Podejdź tu.

Obejrzałem się. Josh powstał. Tłum się rozstąpił, by zrobić przejście. Wcale nie spodobało mi się, że wymienił mnie z imienia i nazwiska wśród tych wszystkich ludzi. Początkowo nie zamierzałem się ruszyć, ale pod natarczywym wzrokiem nagle zamilkłych gości zrobiłem pierwszy krok, potem drugi, jak we śnie, i tak metr po metrze zbliżyłem się do Mesjasza. Wyciągnął do mnie ręce.

– Jesteś nowy wśród nas – powiedział łagodnie. – Twoją obecność zawdzięczamy Jemu. Możesz dać pokój wiecznym poszukiwaniom każdego człowieka, Judasie. Odnalazłeś swój cel. Jest nim Prawda. – Popatrzył mi w oczy. – Uklęknij.

Uśmiechnąłem się kpiąco. Josh czekał. Spojrzenia jego wiernych wwiercały się w moje plecy. *Wdepnąłem w pieprzone bagno* – pomyślałem wtedy.

Klęknąłem. Nakazywał to rozsądek. Rozsądek i zbyt rozbuchana wyobraźnia, która podsuwała mi wizje długiego lotu ze szczytu Trzydziestego Trzeciego.

Josh położył ręce na mojej głowie.

– Jesteśmy programem Pana – powiedział, unosząc oczy do nieba.

– Jesteśmy programem Pana – odrzekli chóralnie zgromadzeni.

– Jego wola jest naszym czynem.

– Jego wola jest naszym czynem.

– Jam jest jego posłańcem.

– Tyś jest jego posłańcem.

Josh rozłożył szeroko ręce.

– Niech objawi ci się Prawda, Judasie Silver – powiedział łagodnie. – Maggie?

Poruszyła się kobieta w czerwieni. Wyciągnęła do mnie otwartą dłoń, na której leżała mała, biała pigułka. *Narkotyk* – zrozumiałem natychmiast.

Nie miałem najmniejszej ochoty nic łykać. Żywiłem nadzieję, że moja zwłoka da to wszystkim wyraźnie do zrozumienia, ale Maggie nie cofnęła dłoni. Patrzyłem na pigułkę jak na potwora. Powoli oblewał mnie pot.

Jak już mówiłem, byłem członkiem kilku sekt. Ale nigdy nie wywołano mnie z imienia i nazwiska, nie odmówiono nade mną modlitwy, nie kazano łykać syfu. To gówno na dłoni Maggie nie wyglądało na LSD, a nie brałem nigdy nic mocniejszego.

Powolnym ruchem zgarnąłem pigułkę, włożyłem ją do ust i schowałem pod językiem. Odchyliłem głowę. Poruszyłem grdyką.

– Coś do popicia? – spytał uprzejmie Josh.

Pokręciłem głową w odpowiedzi. Maggie cofnęła się, patrząc na mnie badawczo. Wstałem chwiejnie i odwróciłem się do schodów. Tłum rozstąpił się przede

mną. Josh zaczął wygłaszać jakieś kazanie, ale nie słuchałem. Zbiegłem do jego mieszkania, do łazienki, tam wyplułem obślinioną pigułkę do zlewu. Odkręciłem kurek z wodą i pospiesznie przepłukałem usta. Znalazłem papier toaletowy, starannie zapakowałem w jeden kawałek pigułkę, po czym wcisnąłem zawiniątko do śmietnika. Odwróciłem się z ulgą.

Maggie stała w drzwiach, z rękami skrzyżowanymi na piersi. Mogłem wreszcie przyjrzeć się jej uważniej. Miała ładną, ale przeciętną twarz, usta pociągnięte mocną szminką, wytuszowane rzęsy, róż na policzkach. Figurę ekskluzywnej dziwki, z pełnymi piersiami i gładkimi liniami bioder. Długie nogi. Widoczną w rozcięciu sukni łydkę wysmuklał jeszcze obcas. Kobieta była w szpilkach równie wysoka jak ja.

– Mam twoją zapalniczkę – palnąłem i sięgnąłem do kieszeni marynarki.

– On wie, że jej nie połknąłeś – powiedziała cicho.

Oczywiście. Musiałem sam przed sobą przyznać, że zachowałem się tak panicznie i nienaturalnie, jak to tylko możliwe.

– Co z tego? – spytałem.

Oparła się o framugę.

– Nie znalazłeś się tutaj bez powodu – powiedziała.

– Znalazłem się tutaj przypadkiem.

– Wszystkie przypadki są w rzeczywistości Jego wolą.

– Boga? – zakpiłem.

Maggie patrzyła na mnie z lekko rozchylonymi ustami.

– Nie… – wyszeptała, a potem, nieco pewniej, dodała: – Stworzyciela. Tego, który napisał świat.

– Jesteśmy programem Pana. Jasne – odrzekłem z ironią. – Z Jego wolą czy nie, teraz wychodzę.

Wyminąłem ją i przez puste mieszkanie ruszyłem do windy. Usłyszałem za sobą stukot obcasów.

– Poczekaj! Judasie Silver!

Wsiadłem do windy i wdusiłem przycisk oznaczający parter, ale nie zdążyłem. Maggie smukłym ramieniem zablokowała drzwi. Znalazła się w windzie razem ze mną. Powietrze przesycił różany zapach jej perfum.

– Ja też nie wierzyłam – powiedziała cicho. – Też na początku nie połknęłam Prawdy. Ale to nie jest wymysł Josha, Judasie Silver. – Zaczęła nagle szeptać, rozgorączkowana: – Ten świat się zawiesza. Czasami… nie zauważamy tego, ale występują błędy. Nieścisłości. Nasz kod jest niedoskonały. Nazywamy to później cudami albo halucynacjami, ale tak właśnie objawia nam się On – wyszeptała i przełknęła ślinę. – Gdybyś ją połknął… może już teraz byś to zauważył. – Położyła dłoń na moim ramieniu i wskazała panel z przyciskami, nad którymi wyświetlały się numery pięter. Ósme. Dziewiąte. Ósme. – To dzieje się wokół nas cały czas, ale ponieważ jesteśmy częścią programu, nie zdajemy sobie z tego sprawy. Prawda pomaga nam to dostrzec.

Zamrugałem.

Po chwili odzyskałem pewność siebie.

– Uhm – mruknąłem. – Bardzo sprytne. Zepsuty panel.

– Kiedy jechałeś w górę, tak nie było – zauważyła Maggie.

– Nie zwróciłem na to uwagi – odrzekłem obojętnie.

– To takie frustrujące!

– Przykro mi – burknąłem, spoglądając czujnie na panel.

Wszystkie pozostałe liczby się zgadzały.

– Ale mógłbyś mi pomóc – wyszeptała Maggie, gdy zjechaliśmy na drugie piętro. – Wyrwać się z tego.

– Idź na policję – poradziłem. – I na odwyk.

– Nie z sekty – rzuciła ze zniecierpliwieniem. – Z programu.

Parter. Drzwi się otworzyły. Przytrzymałem je nogą.

– Omówimy to u mnie? – spytałem.

Coś z tej całej zmarnowanej nocy musiało przecież wyniknąć.

Maggie patrzyła na mnie.

Program został uruchomiony.

Kobieta skinęła głową i wysiadła z windy razem ze mną.

– Przy okazji, mów mi „Jud” – poprosiłem. – Nie przepadam za swoim imieniem.

* * *

Zacząłem czytać Biblię w wieku lat trzynastu i było to dla mnie przeżycie równie emocjonujące jak oglądanie pornosów pierwszy raz w życiu. To znaczy, cały czas towarzyszyła mi wizja rodzicielskiego gniewu.

Moja matka naprawdę była nawiedzona. Gdybym miał brata, pewnie nazwałaby go Lucyfer. Potrafiła wykłócać się

z nauczycielką o krzyż wiszący w klasie. Kapłanów nazywała „pederastami”, chrześcijan „bandą dupodajów”.

Z pewnością wolałaby gdybym, zamiast czytać Biblię, oglądał pornosy.

Nie ciągnęło mnie do religii. Nic z tych rzeczy. Kierowała mną czysta ciekawość, a mój wrodzony cynizm nie pozwalał matce na pełne zindoktrynowanie mnie jej poglądami.

Byłem trudnym dzieckiem.

Rzecz jasna, z całej Biblii moją uwagę szczególnie przykuwał Judasz. To, jakby nie było, mój patron. A jego historia zawsze trąciła niesprawiedliwością. W końcu ktoś musiał zdradzić Jezusa.

Ta historia nie jest dokładnie tą samą. W żadnym razie. Poza Mesjaszem i Zdrajcą jest tutaj jeszcze trzecia osoba.

Autorska wersja Marii Magdaleny.

* * *

Kiedy otworzyłem oczy następnego dnia po spotkaniu u Josha, wciąż była w moim apartamencie, w mojej sypialni, w moim życiu. Stała przy oknie, ubrana w przepoconą koszulę, którą miałem na sobie tej nocy. Patrzyła na Miasto.

– Dlaczego płakałaś? – spytałem ochrypłym od snu głosem.

– Co? – zdziwiła się, zwracając na mnie niebieskie oczy.

– Wtedy, na balkonie.

Znów spojrzała przez okno.

– To wszystko jest tylko snem. W dodatku cudzym. – Wyłamała palce, jej stawy trzasnęły cicho. – Ty oczywiście w to nie wierzysz – stwierdziła. – Ale, niestety, fakty nie wymagają wiary. – Zwiesiła głowę. – Chciałabym wierzyć, że to wszystko ma jakiś cel... Miasto, my, nasze z góry zaplanowane działania. Odnoszę jednak wrażenie, że jest inaczej. Że jesteśmy tylko zabawkami znudzonego, wszechmocnego dziecka. – Objęła się mocno ramionami. – To okrutne.

– Nie zaprosiłem cię tutaj, żeby słuchać o takich pierdołach – stwierdziłem niechętnie. – Zrobisz mi kawy? Bez cukru i mleka.

Zawahała się przez chwilę, nim wyszła z sypialni. Przeciągnąłem się pod kołdrą, przetoczyłem na brzuch i wtuliłem twarz w poduszkę. Znowu przysnąłem. Obudził mnie dopiero delikatny dotyk na ramieniu.

– Uhm? – mruknąłem.

– Kawa – powiedziała cicho Maggie.

Przewróciłem się powoli na plecy, a potem usiadłem i wyciągnąłem ręce po kubek. Kawa była czarna i mocna. Takiej potrzebowałem. Maggie patrzyła na mnie, obejmując się ramionami. Po chwili nieśmiało usiadła na łóżku.

– Nie jesteś nikim ważnym – stwierdziłem. – W zasadzie nikim nie jesteś. Prawda? – Nie odpowiedziała. – Nie masz własnego apartamentu w którymś z drapaczy chmur, willi w środku miasta, ulubionych projektantów, obrzydliwie bogatych znajomych. Co?

– Nie mam – przyznała oschle. – Spędziłeś noc ze zwykłą dziwką, nie z dziedziczką fortuny.

– Nie pierwszą i nie ostatnią – zapewniłem obojętnie. – Jesteś dziwką?

Popatrzyła na mnie i uśmiechnęła się blado.

– Tancerką.

Pewnie. Tancerką. Wijącym się na rurze ciałem, które odpowiednio bogaci ludzie mogą sobie kupić. Nic dziwnego, że była dobra w łóżku.

– Co robiłaś u Josha?

– Jestem jedną z jego wiernych – odrzekła z urazą. – Poza tym… lubi mnie.

– I dobrze płaci? – Gdy nie odpowiedziała, dodałem: – Ja nie zapłacę.

– Skurwiel – warknęła. – Nie chcę od ciebie pieniędzy.

– Wejdź pod kołdrę – powiedziałem z rozbawieniem. – Powiedz mi coś o sobie. Dzień jest jeszcze młody. Zdążysz do pracy.

* * *

Była tancerką.

Do Miasta przyjechała z innego kraju, pod innym imieniem i nazwiskiem. Maggie – to był jej pseudonim sceniczny. Słowo, które określało jej nowe życie. Jako Maggie pozowała w rozbieranych sesjach, później pracowała w kilku nocnych klubach. Zwykłe życie zwykłej imigrantki w niezwykłym miejscu. Setki, jeżeli nie tysiące

dziewcząt, zjawiało się w Mieście w równie przypadkowy sposób, by zarabiać poprzez sprzedawanie się takim jak ja.

Została zwerbowana przez Josha jako siódma. Zaszczytna, bardzo znacząca liczba. Lubił ją, jak mówiła. Rżnął, czego wprost już nie powiedziała.

Tamtego dnia to ja ją rżnąłem. Gdy już wypiłem kawę. Potem pojechaliśmy na obiad do ekskluzywnej restauracji na Placu Fontann.

Nie pozwoliłem jej pójść do pracy. Była moja, co jej oznajmiłem.

Zgodziła się, oczywiście. Sponsor w postaci bogatego kochanka to było to, na co liczyła każda z nich.

Wmawiałem sobie, że to chwilowe. I że minie. I że robię to z własnej woli, bo akurat mam taki kaprys.

Gówno prawda. Wszystko zostało już zaplanowane.

* * *

Po trzech tygodniach Maggie próbowała namówić mnie, żebym raz jeszcze pojawił się na spotkaniu sekty Josha. Nie miałem na to najmniejszej ochoty. Pokłóciliśmy się i kiedy Maggie krzyknęła, że w takim razie sama pójdzie, chwyciłem ją za ramię i wyrzuciłem za drzwi. Później usiadłem przed telewizorem ze szklanką whisky. Przelatywałem po kanałach, nie zwracając żadnej uwagi na to, co działo się na wielkim, plazmowym ekranie.

Kiedy dopiłem whisky, zapaliłem papierosa. Jej zapalniczką. Westchnąłem, wstałem i ruszyłem do drzwi. Otworzyłem je, żeby wyjrzeć na korytarz.

Maggie już nie było. Może wróciła do swojego mieszkanka, jakiejś małej, obskurnej nory w cieniu drapaczy chmur. Albo – co bardziej prawdopodobne – do Josha. *Trudno* – uznałem. W Mieście nie brakowało kobiet.

To był ponury dzień. Przed południem na niebie pojawiły się chmury, zapowiedź nadchodzącej burzy. Na obiad zjadłem odgrzaną w piekarniku zapiekankę, później usiadłem na skórzanej kanapie z laptopem na kolanach i zająłem się swoimi zaniedbanymi ostatnio akcjami na giełdzie. Spędziłem resztę dnia, naprawiając pierwsze szkody, które poczyniło już moje lenistwo. Zaczęło padać – rzecz raczej rzadka w Mieście, ale nawet tu zdarza się czasem porządna ulewa. Całkiem zadowolony z wyników swojej pracy, położyłem się do łóżka. Włączyłem porno, żeby odgonić samotność, ale było wyjątkowo kiepskie. Zasnąłem w połowie.

Rano, nieprzyzwoicie wcześnie, obudził mnie dzwonek do drzwi. Blade światło poranka sączyło się przez okno sypialni. Kiedy natarczywy dźwięk nie milkł, wstałem na nogi, owinąłem się kołdrą i ruszyłem otworzyć, rozespany. Po drodze zerknąłem na Miasto. Wciąż wilgotne po nocnym deszczu, senne i barwne jak zwykle, parowało już pierwszą zapowiedzią upału. Szczyty najwyższych budynków osnuwała łagodna, srebrzysta mgła. Paliły się jeszcze neony, bledsze niż nocą. Niebo przybrało nieskazitelny odcień błękitu.

Otwarłem drzwi.

W progu stała Maggie. Maggie w tej samej koszuli i spódnicy, w których ją wyrzuciłem. Maggie ze zwieszoną głową, zaczerwienionymi oczami i ustami wygiętymi w podkówkę. Wpatrywała się w czubki moich stóp, wyłamując palce. Nabrała ciężko powietrza, popatrzyła na mnie, ale w końcu nic nie powiedziała. Wciąż miała na twarzy warstewkę makijażu, którą nałożyła poprzedniego dnia, teraz rozmazaną łzami i deszczem.

– Byłaś u niego – wycedziłem.

Pokręciła gwałtownie głową. Nie wiedziałem, czy mam jej wierzyć. Stałem niezdecydowanie w progu, kiedy wreszcie odezwała się łamiącym, ochrypłym głosem:

– Nie byłam, Jud. Byłam… byłam na ulicy. Bałam się wrócić. Nie poszłam do niego. Nie… nie zrobiłabym niczego…

Urwała, rumieniec wpłynął na jej policzki. Znowu zwiesiła głowę.

– Mieszkałaś przedtem u niego, prawda? – spytałem.

Poszłaby do swojego mieszkania, gdyby je miała. Byłem tego pewien.

– Daj mi chociaż płaszcz – wychrypiała. – Błagam cię, Jud.

Przesunąłem się w progu, żeby zrobić jej miejsce. Weszła do środka. Zamknąłem za nią drzwi.

– Idź się położyć – powiedziałem, nie patrząc na nią.

Zdjęła z nóg brudne, mokre pantofle, w których zwykle chodziła po mieszkaniu. Rajstopy miała zachlapane aż po kolana.

Poszedłem do kuchni, zrobić sobie śniadanie. Gdy nastawiłem ekspres na kawę i odwróciłem się, Maggie stała w progu. Podeszła do mnie powoli i przytuliła się do mnie.

Wtedy go zobaczyłem. Przyczepiony do koszuli na jej plecach włos. Długi, sztywny, pomarańczowy jak płomień. Zdjąłem go dwoma palcami. Odepchnąłem Maggie od siebie, aż uderzyła biodrem o kuchenny stół.

– Jud! – jęknęła, widząc włos w moich palcach.

Uderzyłem ją w twarz. Mocno. Wydała z siebie przestraszony skowyt.

Odwróciłem się od niej, rzucając włos na podłogę. Raz dziennie przychodziła sprzątaczka. Odkurzy go.

Kawa była już gotowa. Wyjąłem ją z ekspresu, chociaż w tej chwili znów miałem ochotę na whisky. Wziąłem jabłko z kosza wiszącego nad zmywarką i wyszedłem na balkon, żeby zjeść to skromne śniadanie. Wciąż rozsadzały mnie emocje.

Założyłem, że Maggie i Josha nic nie łączyło, poza seksem za pieniądze od czasu do czasu. Ale co, jeżeli była jego utrzymanką, tak jak później moją? Twierdziła, że była tancerką, ale równie dobrze mogła tańczyć już tylko dla Josha. Albo kłamać. Tak jak kłamała na temat tego, co robiła tej nocy.

Jeżeli jednak należała do niego, popełniłem poważny błąd, zabierając ją do siebie. Dla siebie. W zasadzie, można powiedzieć, że go okradłem. A okradanie ludzi otoczonych wianuszkiem fanatycznych wiernych nie należy do najmądrzejszych posunięć.

Mogło też być tak, że Maggie poszła za mną z jego polecenia.

Kończyłem kawę, gdy pojawiła się na balkonie. Usiadła w wiklinowym fotelu po drugiej stronie małego, okrągłego stolika, przy którym jadłem. Oczy miała zapuchnięte, twarz bladą, naznaczoną ciemnym sińcem tam, gdzie ją uderzyłem. Zrobiło mi się wstyd. Nie powinienem tak postępować, mimo wszystko.

– Nie spałam z nim – powiedziała cicho Maggie. – Poszłam tam. Wiem, że nie powinnam, ale wyrzuciłeś mnie, a nie miałam co z sobą zrobić. Poprosiłam, żeby pozwolił mi u siebie pomieszkać, tylko na jakiś czas, ale on chciał, żebym robiła to, co dawniej.

– Czyli? – spytałem oschle.

– Gdybyś wtedy został dłużej…

– Ale nie zostałem! – warknąłem na nią.

– Kazał mi rżnąć się ze swoimi najbliższymi stronnikami, zadowolony? – krzyknęła. Niemal natychmiast zgarbiła ramiona i wydusiła: – Przepraszam. Nie zgodziłam się. Poszłam stamtąd. Ciągle bałam się wrócić, ale nie miałam wyboru. Mam się wynosić?

Wstała z miejsca. Popatrzyłem na nią. Nawet teraz, pobita, zmarznięta, przestraszona i zmęczona, była dla mnie najpiękniejszą kobietą na świecie. Powoli pokręciłem głową.

– Dziękuję – wyrzuciła łamiącym się głosem. Upadła przede mną na kolana, objęła moje nogi. – Dziękuję, Jud – szepnęła, tuląc się do nich.

Chwyciłem ją pod ramiona.

– Nie jestem nim – warknąłem, próbując ją podnieść, co z siedzącej pozycji było dość trudne. – Uspokój się, dziewczyno. Nie musisz przede mną klękać. – A potem, jakby duch mojej drogiej mamuśki szeptał mi właśnie do ucha, dodałem: – Przed nikim nie musisz.

Zdołałem posadzić ją sobie na kolanach. Przytuliła się do mnie. Głaskałem przez koszulę jej plecy i szeptałem przeprosiny – za mój gniew, za jej ból i strach.

Potem poszliśmy do łóżka.

Wtedy chyba po raz pierwszy uwierzyła, że wyrwała się z programu.

Kiedy zasnęła z głową na moim ramieniu, ja leżałem w łagodnym słońcu dnia, wpatrzony w sufit. Czułem niepokój.

Jakaś część mnie wiedziała już, że nie uciekniemy.

* * *

Pętla gotowa. Ktoś dzwoni do drzwi. Te dwa elementy to za dużo. Zupełnie jakby świat walił mi się na głowę.

Kładę sznur na kolanach. Jest gruby, szorstki w dotyku. Chyba taka właśnie jest śmierć. Nie zimna i ciemna, jak twierdzą niektórzy, ale mocna, nieprzyjemna, szczeciniasta.

Wspominałem już, że ta historia nie jest tą, którą zapisano w Biblii. Gdyby tak było, podążałbym za Joshem, słuchał jego nauk. Miałbym wobec niego zobowiązania.

Ale zdradziłem go. Umarł przez to. Maggie była przy nim, kiedy to się stało. Ja jestem gdzie indziej i wiążę dla

siebie pętlę. Wszystkie postaci są na swoim miejscu.

I ja również, tak jak biblijny Judasz, nieświadomie wypełniłem wolę Wielkiego Programisty.

* * *

Minął prawie rok, a Maggie i ja wciąż byliśmy razem.

To zaledwie dwanaście miesięcy – pewnie ma się nijak do trzydziestu lat, które niektórzy spędzają wspólnie, a związki rozpadają się i po dłuższym czasie – ale w moich oczach stanowiliśmy już niemal małżeństwo. Nigdy nie miałem nikogo na stałe i tylko dla siebie. Kobiety pojawiały się w moim życiu przypadkowo i wkrótce znikały. Było tak nawet, kiedy jeszcze chodziłem do szkoły.

Ale Maggie... kochałem ją. Nie wiem, od kiedy. Nie wiem, dlaczego właśnie ją. Nigdy przedtem nie sądziłem, że w ogóle można kogoś tak kochać.

Pewnego dnia zniknęła.

Obudziłem się rano w pustym łóżku.

– Maggie, zrób kawę! – krzyknąłem.

Nikt mi nie odpowiedział. W pierwszej chwili pomyślałem, że Maggie się kąpie, ale gdy wyszedłem wreszcie z sypialni, nie usłyszałem szumu wody.

– Maggie? – krzyknąłem znowu.

Nic. Cisza.

Usiadłem przy kuchennym stole i zastanawiałem się, dokąd mogła pójść. I dlaczego.

– To takie frustrujące! – krzyknęła rok wcześniej, w windzie u Josha. Ja czułem się tak samo. Maggie należała

do mnie. Była ode mnie uzależniona finansowo. Podobało mi się to. Wiedziała o tym i pochlebiała mi swoim zachowaniem. Nie wychodziła z mieszkania sama. W galeriach handlowych pytała, czy może kupić najmniejszą błahostkę.

A teraz znikła. Świadomość, że wstała rano, ubrała się i wyszła nie wiadomo dokąd i po co, nawet mnie nie budząc, była…

Właśnie. Frustrująca.

Później ktoś zadzwonił do drzwi. Wstałem, by otworzyć.

Na progu stało dwóch policjantów. Dobry i zły, jak w głupich komediach. Jeden wielgachny niczym bawół, drugi mały, chudy i zastraszony. Pomyślałem, mimowolnie, że ten wielki wkłada temu małemu.

– Silver? – spytał bawół. Gdy skinąłem słabo głową, dodał: – Mamy do pana kilka pytań.

* * *

Na portretach pamięciowych, które przynieśli bawół z małym, byli oni wszyscy. Pierre, chudszy niż go zapamiętałem – przez okrągły rok się nie widzieliśmy, bo chciałem odciąć się od całej tej sekty. Josh ze swoją zarośniętą twarzą hipisa. I Maggie, moja Maggie, jej piękne oczy sprofanowano, nadając im szarą barwę ołówka.

Czy wiem, kim są ci ludzie? Tak. Czy wiem, że są członkami sekty? Tak. Czy należę do niej? Nie, chociaż byłem na jednym spotkaniu, zaproszony przez przyjaciela. Tak, tego. Pierre Voyagar. Czy wiem, gdzie przebywają

obecnie jej członkowie? Nie, ale przywódca, Josh Chris, mieszkał w Trzydziestym Trzecim. Czy zdaję sobie sprawę, że ludzie ci wdarli się w nocy do Teatru Narodowego i dokonali na gościach specjalnego spektaklu masakry w imię jakiegoś swojego bóstewka? Nie, nie oglądałem jeszcze wiadomości. Nie wiem, co to za szaleństwo. Które mieszkanie w Trzydziestym Trzecim? W bazach policji przy Joshu podany jest inny adres.

Penthouse.

* * *

Josh wierzył, że przybył na ziemię jako Mesjasz, by zbudzić ludzi, uświadomić im, że żyją według skryptu. Jakie szaleństwo wgryzło się w jego umysł, że postanowił zrobić to, mordując? Nie mam pojęcia.

Ktokolwiek dzwoni do tych drzwi, zaraz wyjdę i zajebię mu. Przysięgam.

* * *

Byli tam. W Trzydziestym Trzecim. Wszyscy. Policję powitali otwarciem ognia z karabinów maszynowych. Zasrany kraj, gdzie na każdym rogu da się kupić broń.

Oglądałem obławę w telewizji. Krótko przed końcem zadzwonił telefon. Odebrałem.

– Witaj, Judasie Silver – powiedział do mnie Josh. – Dziękuję ci.

– Co? – warknąłem na niego. – Josh, co ty odpierdalasz?

– Nasz los jest z góry ustalony – wyszeptał niskim, ochrypłym, niemal namiętnym głosem. – Mówiłem ci o tym, prawda? On posłał mnie na spotkanie z tobą, poprowadził mnie tamtego dnia do willi twojego przyjaciela. Wiedziałem, kim jesteś. Wiedziałem, że mnie zdradzisz, ale… – urwał. – Tak musiało być. Tak miało być. Idę się Mu pokłonić, Judasie Silver – zachichotał. – Maggie idzie wraz ze mną. Pozdrowić ją?

Rozłączyłem się.

Trzy minuty później Josh i jego stronnicy przestali strzelać, a policja wreszcie zdołała wedrzeć się do mieszkania Mesjasza.

Następnego dnia w wiadomościach powiedzieli, że członkowie sekty popełnili zbiorowe samobójstwo. Nazwano to szaleństwem. Psychologowie znów mieli co analizować, okupując każdy talk show i audycję radiową przez najbliższe dni.

Ja nazwałbym to „działaniem programu”.

* * *

To było wczoraj.

Dziś jest nowy dzień. Właściwie schyłek nowego dnia. Albo nowy schyłek dnia.

Bzdura.

Ktokolwiek dobija się do moich drzwi, już nie dzwoni, ale wali w nie pięściami.

Zastanawiam się, o co mam zaczepić pętlę. To wbrew pozorom spory problem. Chodzę po ciemnym mieszkaniu,

wypatrując na suficie jakiegoś dogodnego punktu. Wreszcie go znajduję. Srebrny wieszak w kuchni, na którym dyndają chromowane patelnie. Raczej ozdoba niż coś naprawdę funkcjonalnego, nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek używał tych naczyń. Jeżeli przerzucę przez wieszak mój sznur, przywiążę jeden koniec do stołu, a następnie wejdę na blat pod wieszakiem...

Tak, wtedy wystarczy, że spróbuję zeskoczyć z blatu. Ten stół jest wwiercony w podłogę. Nie ma szans, żeby się przesunął. Gorzej z wieszakiem, może nie wytrzymać mojego ciężaru, ale przecież, wszystko zostało już zaplanowane. Ta historia skończy się trupem Zdrajcy, jestem tego pewien.

W salonie rozdzwania się mój telefon, jednocześnie milknie pukanie do drzwi. Tak jest nawet lepiej.

Ściągam buty. Zaczynam wchodzić na blat, kiedy ten cholerny ktoś na progu atakuje ze zdwojoną siłą. Dzwoni, wali pięścią... chyba nawet kopie moje biedne drzwi.

Tego już za wiele. Chcę umrzeć w spokoju, do jasnej kurwy nędzy!

Klnę jak nigdy. Odwracam się tyłem do prowizorycznego stryczka i niemal biegnę otworzyć. Wyglądam przez wizjer.

A później, drżącymi rękami, nie wierząc w to, co widzę, otwieram.

Jest tam. Blada, zmęczona, w wymiętej koszuli i czarnych, zaprasowanych w kant spodniach. Wygląda

porządnie, nie jak dziwka sekty czy tancerka z nocnego klubu. To przy mnie zaczęła się tak ubierać.

– Dlaczego każesz mi stać na progu? – pyta zmęczonym, cichym głosem. Przeciska się obok mnie, omiata spojrzeniem ciemne wnętrze. – Wyszłam po bułki – mówi z wyrzutem. – Wyszłam po pieprzone bułki na śniadanie, kiedy ty jeszcze spałeś. Jak zwykle. Ty zawsze śpisz za długo i tak bardzo przywykłeś do wysługiwania się innymi, że nigdy nawet nie zapytałeś, skąd mamy co rano świeże pieczywo. – Zapala światło. – Zgarnęli mnie. Nie pozwolili mi nawet zadzwonić. Później nie chcieli wypuścić. Trzy pieprzone dni zajęło im zrozumienie, że nic nie wiem o tej masakrze w Teatrze Narodowym. – Rusza przez pokój, lawirując między skórzanymi meblami. – Mieli mój portret pamięciowy, bo ktoś z sekty, kto sypnął ich wszystkich, pamiętał jak wyglądam. Potrzebuję kawy. Zrobić...?

Milknie. Wiem już, że weszła do kuchni.

Dopiero wtedy zamykam drzwi. Opieram się o ścianę i pocieram twarz.

Gdybym nie otworzył, zabiłbym się. Poszedłbym za nią, tak jak ona poszła za Joshem. Albo raczej jak myślałem, że poszła. Sam już nie wiem. Wszystko mi się plącze.

Opuszczam ręce i wybucham śmiechem. Maggie wraca i patrzy na mnie z przerażeniem na twarzy, ale ja nie mogę przestać. Jeszcze nie.

Podchodzę do niej, otwierając ramiona. Wciąż chichoczę jak obłąkany. Maggie spogląda na mnie z obawą, ale pozwala się przytulić.

Wciągam w płuca jej zapach.

Może to niezrozumiały dla mnie fragment kodu źródłowego a może jednak rację miała moja matka i nie ma żadnego Boga, a wszystkim rządzi ślepy przypadek.

Nieważne. Już jest dobrze.

Ludzie, którym odebrano błoto – Maria Dunkel

Tuż obok budowanej właśnie drogi żołnierze wieszali buntowników. Harwan przystanął na chwilę w cieniu ustawionego na palach domu, aby się temu przyjrzeć.

Żołnierze zjawili się w wiosce w zeszłym roku – wysocy, smagli przybysze w czarnych, skórzanych ubraniach, mówiący niezrozumiałym, gardłowym językiem. Zamiast mieczy i łuków nosili na plecach podłużną broń, plującą ołowianymi pociskami. Nazywali się Dziećmi Ognia i pochodzili z zachodu, a ich obecność na Błotnych Ziemiach była konsekwencją przegranej wojny.

Buntownicy należeli do ludu Rybnych, rdzennych mieszkańców tych terenów, tak samo jak Harwan. Ich skóra miała ciemnoniebieski odcień. Dwóch starszych mężczyzn nosiło krótko obcięte włosy. Ostatni, nieco młodszy, spiął granatowe pasma w kucyk. On i stojąca obok dziewczyna wyglądali na rodzeństwo. Całą czwórkę ustawiono w karny rządek i wpędzono po stromych schodkach na szubienicę, wzniesioną na skraju wsi. Harwan znał ich wszystkich. Wiedział, że dziewczyna zamierzała usidlić jednego z najprzystojniejszych kawalerów z sąsiedniej osady, a dwaj

starsi mężczyźni od trzydziestu lat kłócili się o majątek po zmarłym ojcu.

Zajmujący się budową drogi robotnicy pochodzący z Królestwa Ognia zupełnie nie przejmowali się egzekucją. Pod okiem inżynierów wbijali w bagnisty grunt masywne, zaostrzone pale. Korzystali przy tym z zawieszonego na rusztowaniu ogromnego kamienia, który z ogłuszającym hukiem walił w bale. Na tak powstałych podporach mocowano następnie deski, tworząc rodzaj pomostu. Droga podobno ciągnęła się aż od Świętego Lorei, sześć dni konnej jazdy na wschód od wioski, a zgodnie z planem miała sięgać do leżącego na zachodzie Skraju. Gdyby Harwan nie widział budowy na własne oczy, nigdy nie uwierzyłby, że ktokolwiek ma ochotę tracić tak wiele czasu, sił oraz drewna na podobne przedsięwzięcie.

Buntowników ustawiono już przed przygotowanymi pętlami. Jeden ze starszych mężczyzn miał zaciętą twarz, drugi zgarbił ramiona i zagryzł wargi. Młodzieniec wydawał się przestraszony, za to jego siostra dumnie uniosła brodę, kiedy białowłosa żołnierz w skórzanej kurtce i obcisłych spodniach założyła jej pętlę na szyję. Później identycznie ubrany mężczyzna o zmierzwionej, czarnej czuprynie odczytał wyrok w swoim gardłowym, niezrozumiałym języku.

Zapadnie otwarły się i cztery ciała zatańczyły na konopnych sznurach.

Harwan rozejrzał się. Zobaczył kilku chłopców, przyglądających się egzekucji sprzed jednego z domów.

Jakaś kobieta niosąca wiadra z wodą zerknęła przelotnie na szubienicę. Miała pusty, obojętny wzrok. Harwan zastanawiał się, czy jego twarz jest równie nieruchoma.

Wydostał się z wioski na otwartą przestrzeń i ruszył przez sięgające mu do kostek grzęzawisko w stronę odległego o kilkaset kroków wzniesienia. Białe gęsi skubały porastającą je świeżą trawę, ale na widok Harwana podniosły maleńkie głowy, kołyszące się na szyjach przytwierdzonych do pękatych tułowi. Nawet tu rozbrzmiewało uparte walenie młotów i wielkiego kamienia, wbijającego pale pod budowę drogi.

Lyren czekała na szczycie pagórka, czytając jakąś książkę i od czasu do czasu zerkając na swoje stadko. Na jej widok Harwanowi szybciej zabiło serce. Dziewczyna włożyła dzisiaj ciemnoszarą, luźną kamizelkę i o ton jaśniejszą, długą spódnicę. Czarne włosy upięła wysoko, kilka niesfornych kosmyków opadało na jej twarz. Miała drobny nos, wąskie usta i duże oczy w kształcie migdałów, seledynowe jak górskie jeziora. Pomachała Harwanowi ręką.

Dotarł na szczyt wzniesienia i usiadł koło Lyren. Objęła go za szyję jedną ręką, po czym delikatnie pocałowała. Miała miękkie, ciepłe usta.

– Stęskniłam się od wczoraj – stwierdziła.

Harwan odpowiedział uśmiechem.

– Ja również – przyznał. Spojrzał na książkę, której dziewczyna nie wypuszczała z dłoni. – Poszerzasz horyzonty?

– Trudno tak to nazwać – odpowiedziała. – To czytanka dla dzieci.

– Ze szkoły? – spytał Harwan.

– A skąd?

Wyjął książkę z ręki Lyren i obejrzał okładkę, a później przerzucił kilka stron. Nie potrafił czytać. Litery były dla niego jedynie niezrozumiałym szlaczkami, ułożonymi w równe linijki.

– Książki są drogie – stwierdził cicho.

– Nie w Królestwie Ognia – zaprotestowała Lyren. – Mają tam skrybów, którzy przepisują setki stron dziennie. Nie są tak piękne jak drogocenne księgi – dodała. – Ale dzieciom wystarczą do nauki czytania.

– Chyba do nauki posłuszeństwa – sprostował Harwan. – Nie zbudowali szkoły, żeby uczyć dzieci czytać.

Lyren skrzywiła się. Budowa szkoły w Skraju, odległym od wsi o zaledwie kilka godzin, według niej była czymś bliskim cudu, chociaż odpowiadały za nią Dzieci Ognia. Nauczyciel, który prowadził lekcje dla dzieci z miasta i okolicznych wiosek, prawie nie znał języka Rybnych. Lyren była jedną z zaledwie trzech osób, które postanowiły pomóc mu w porozumiewaniu się z uczniami. Przy okazji musiała nauczyć się odmiany kahrańskiego używanej przez Dzieci Ognia a ponieważ brała udział we wszystkich lekcjach, sama zaczynała powoli czytać i pisać.

– Zapewniam cię, że w tej czytance nie ma ani słowa o podłych buntownikach, łaskawych zaborcach i podobnych

głupotach – powiedziała teraz. – Chociaż większość ludzi sądzi inaczej, te czytanki nie mają nic wspólnego z polityką.

– Ale są po kahrańsku, prawda? Nie w naszym języku.

– Trudno żeby nauczyciel z Królestwa Ognia nauczał w języku, którego nie zna – stwierdziła Lyren.

– Mamy też swoich nauczycieli – zwrócił jej uwagę Harwan.

– Oczywiście – prychnęła. – Jakoś nie zauważyłam, żeby palili się do nauczania dzieci bez wynagrodzenia.

– Ten twój ukochany nauczyciel też raczej nie pracuje za darmo. Pewnie pobiera sporą pensyjkę z Biura Propagandy czy czegoś podobnego.

– Biura Propagandy? – Lyren uniosła brwi. – Podziwiam twoje oddanie ojczyźnie, Harwanie, ale nie zgadzam się z tobą. Odkąd Dzieci Ognia zjawiły się na naszych ziemiach, wiedzie się nam o wiele lepiej.

– Czyżby? Powiedz o tym czwórce wisielców, którą zobaczysz, wracając do domu – zakpił Harwan.

– Och – jęknęła Lyren. – Kolejni…?

– Oczywiście. Wybiją nas co do jednego, żeby oddać naszą ziemię własnym osadnikom.

– Lorei! – Lyren wykrzyczała imię bogini wód i przewróciła oczami. – Harwanie, czasami bywasz idiotą!

– Doprawdy? – zagadnął. – Mojemu ojcu odebrano połowę jego gruntów, żeby nadać je rodzinom żołnierzy, które przypełzły tu z Królestwa Ognia.

– Po co twojemu ojcu ten grunt? – prychnęła Lyren. – Mojej rodzinie też zabrano część ziemi, Harwanie, ale nie

przesadzaj… to tylko błoto, nic więcej. Mogło być gorzej.

– Na przykład?

– Na przykład Keran Złotousty mógł nie potraktować poważnie sojuszu Dzieci Ognia i Kahru, i po prostu zignorować groźbę inwazji i doszczętnego zniszczenia kraju – wyjaśniła Lyren. – Sprzymierzeni zagrozili, że obrócą Błotne Ziemie w krainę popiołów, jeżeli Złotousty nie złoży im hołdu. Wierzę, że byliby do tego zdolni. Możemy tylko dziękować Lorei, że Złotousty narobił w spodnie i natychmiast poddał kraj.

– Powiedziałbym, że to było tchórzostwo – zaprotestował Harwan. – Keran Złotousty poddał kraj tylko dlatego, że obiecano mu tytuł namiestnika Błotnych Ziem… chociaż podobno jego bezpieczeństwa strzegą teraz Kahrańczycy, gotowi w każdej chwili uwolnić go od ciężaru głowy. Dekapitacja to ich sport narodowy. – Harwan wykrzywił wargi w niechętnym grymasie. – Powinien walczyć o kraj i o swoich poddanych.

– Walczyć? – powtórzyła Lyren. – To ty poszedłbyś, żeby zginąć za ojczyznę? Dzieci Ognia przeszłyby po twoim trupie i użyły tych swoich… karabinów… żeby wyrżnąć Rybnych do nogi.

– Poległbym, walcząc o wolność.

Dziewczyna roześmiała się gorzko.

– Poległbyś, walcząc o błoto – sprostowała. – Tam, w dole, leży trochę. Możesz je sobie wziąć. – Otworzyła swoją obcojęzyczną czytankę. – Pomyśl o tym, Harwanie. Budują nam drogę. Widziałeś wcześniej prawdziwą drogę?

Nasze dzieci, jeżeli kiedyś się ich doczekamy, będą umiały czytać i pisać.

– Po kahrańsku.

– Co za różnica? – prychnęła Lyren.

– Zapomną o tym, że są Rybnymi, Lyren. Zginie nasza kultura, zginą nasze tradycje...

– Naprawdę są warte aż tyle? – spytała obojętnie dziewczyna.

– Owszem, dla mnie. Dzieci Ognia już wzniosły swoją świątynię...

– Ale nie spaliły naszej – zauważyła Lyren. – Myślę, że z nimi da się żyć, Harwanie. – Zmarszczyła z namysłem brwi. – Wątpię, by twoje dzieci nie znały naszego języka. W końcu będą słyszały go w domu. Przekażesz im też nasze tradycje i religię, jeżeli się postarasz – uśmiechnęła się. – Powiedz mi szczerze, obchodzi cię, że Złotousty musi grzecznie słuchać Królestwa Ognia i Kahru? Albo do czyjego skarbca płacisz podatki?

Harwan czuł, że jeżeli posłucha jej jeszcze chwilę, sam stanie się zagorzałym wielbicielem Dzieci Ognia. Walenie kamienia o drewniane pale, słyszalne aż tutaj, zaczęło go irytować. Podniósł się z ziemi.

– Idę już – zakomunikował. – Ojciec chciał dzisiaj ubić kilka świń. Powinienem mu pomóc.

– Spotkamy się w nocy? – spytała Lyren.

Harwan zawahał się.

– U ciebie czy u mnie? – spytał w końcu.

– Matka sprosiła na wieczór sąsiadki. Wolałabym, żeby nie przyłapała nas przy tak gadatliwych świadkach – odrzekła Lyren.

– W porządku. Ojciec pewnie po świniobiciu będzie zmachany i zaśnie kamieniem. – Harwan uśmiechnął się lekko. – Do wieczora.

Lyren odpowiedziała uśmiechem. Miło było poczuć, że przynajmniej między nimi wszystko jest jak dawniej.

* * *

Kiedy matka jeszcze żyła, powtarzała Harwanowi, że słońce i księżyc doskonale do siebie pasują, gdyż w rzeczywistości są stronami tej samej monety. Harwan czuł coś podobnego w stosunku do Lyren. Ich osobowości zazębiały się, tworzyły pełnię. Chociaż urodzili się w tej samej wiosce i od najwcześniejszego dzieciństwa widywali się codziennie, dopiero niedawno pojęli naturę łączącego ich uczucia. Harwan był pewien, że właśnie wtedy jego życie zyskało ostateczny sens.

– Powinniśmy im powiedzieć – stwierdził, leżąc w chłodnej i cichej spiżarni własnego domu. Zadbał o odpowiednią oprawę schadzki, znosząc do ciasnego pomieszczenia koce i poduszki. – Chociaż mój starzyk i tak chyba się domyśla.

Lyren uśmiechnęła się sennie i przymknęła oczy.

– Jesteś na to gotowy? – spytała.

– Żeby wziąć cię za żonę? Tak, sądzę, że tak.

Przekręciła się na brzuch, wymierzając mu przypadkowego kuksańca pod żebra. Białka jej oczu błyszczały w mroku.

– Nareszcie. Zastanawiałam się, czy kiedykolwiek to powiesz.

– Chcesz mnie, Lyren? – Odnalazł jej delikatną dłoń i pocałował czubki smukłych palców.

W odpowiedzi dziewczyna uniosła się lekko i usiadła na nim. Przesunął dłońmi po jej nagich bokach, aż na miękkie, krągłe pośladki.

Ktoś załomotał w drzwi, najpierw raz, a potem drugi i trzeci. Lyren zsunęła się z Harwana, który zaklął przez zęby.

– Obudzi ojca – mruknął, podnosząc się z posłania.

– Uważaj – ostrzegła Lyren. – To dziwna pora na odwiedziny.

– Zostań tu – poprosił Harwan, wciągając przez głowę długą, luźną koszulę noszoną do snu. – Obiecuję, że będę ostrożny.

Po omacku wyszedł ze spiżarni. Walenie w drzwi nie ustawało. Przez chwilę Harwan nieudolnie próbował zapalić stojącą na stole świecę.

– Harwan! – zawołał ojciec z tylnej izby.

– Już! – odkrzyknął chłopak.

W końcu zapalił świecę i powlókł się do drzwi. Otworzył zamek, ale nie zdjął krótkiego, grubego łańcucha. Nacisnął klamkę i wyjrzał przez szparę na zewnątrz.

– Harwan? – rzucił stojący na progu młodzieniec. – Harwan, mój stary, poznajesz mnie?

Zdumiony Harwan zdjął łańcuch i otworzył szerzej drzwi. Wpatrywał się w niespodziewanego gościa wielkimi oczami. Równy mu wiekiem chłopak, w finezyjnym kapeluszu z ogromnym rondem oraz ciemnoniebieskiej pelerynie, ze skrzywionymi w wiecznym grymasie wąskimi wargami. W jednej ręce trzymał wodze zdrożonego srokacza. U pasa nosił miecz o cienkim ostrzu.

– Arwigan? – zdumiał się Harwan. – Wróciłeś? Po co?

– Kopę lat – powiedział ze wzruszeniem Arwigan. – Ile to już? Trzy? Więcej! Cztery lata minęły, odkąd byłem tu ostatnio. Szmat czasu, mój stary, szmat czasu... – uśmiechnął się lekko, chociaż jeden kącik ust pozostał nieporuszony. – Dopiero co wróciłem. Wiem, że pora taka sobie, ale czy mógłbym cię prosić o gościnę, Harwanie? Tylko na tę noc, rzecz jasna.

Harwan obejrzał się niepewnie. Ojciec stał w wejściu do tylnej izby. Jego okrągła twarz zdradzała pewien niesmak, a rzadkie włosy przykleiły się do spoconej czaszki.

– Ojcze? – spytał niepewnie Harwan. – Pamiętasz Arwigana?

– A jakże, pamiętam – potwierdził mężczyzna. – Dla starych przyjaciół mojego syna nie zabraknie pod tym dachem miejsca. Powinieneś zaprowadzić konia do szopy, naszego gościa również.

– Ojcze! – zawołał zdumiony Harwan. – Arwigana? Do szopy?

– Nie ma problemu – zapewnił pospiesznie nocny gość. – Wasza szopa jest na pewno czystsza niż studenckie izdebki na... i wygodniejsza niż niektóre karczmy, w których nocowałem.

Harwan wzruszył ramionami. Zabrał świecę i wyszedł z chaty, cicho zamykając drzwi. Wraz z Arwiganem obszedł budynek po wąskiej, drewnianej werandzie. Szopa mieściła się z tyłu.

Zamknięte w zbitych z desek kojcach świnie zaczęły kwiczeć na widok światła. Rozgdakały się też kury w drewnianych klatkach. Harwan wziął wodze srokacza i wprowadził go do prymitywnego boksu, który kiedyś zajmował osiołek, zarekwirowany do budowy drogi.

– Co tutaj robisz? – spytał Harwan, gdy upewnił się, że w żłobie jest woda, a w paśniku wystarczy siana.

Arwigan wzruszył ramionami i zabrał się za rozkulbaczanie wierzchowca.

– Wróciłem – powiedział. – Do korzeni.

– Znudziły cię studia?

Arwigan, syn starosty wsi, był jednym z niewielu znanych Harwanowi chłopców, którzy mogli pozwolić sobie na nauczyciela. Kiedy miał szesnaście lat, wyjechał do Świętego Lorei na tamtejszy uniwersytet. A teraz, nagle i bez zapowiedzi, stanął przed Harwanem niczym duch przeszłości.

– Można tak powiedzieć – przyznał niechętnie Arwigan. Dźwignął siodło z końskiego grzbietu i powiesił je na

drzwiach boksu. – Mogę być z tobą szczery, Harwanie? Wciąż jesteśmy przyjaciółmi?

– Jasne, że tak – zapewnił Harwan.

– Więc jeżeli naprawdę cię to interesuje, musiałem uciekać – westchnął ciężko Arwigan. – Wiesz, jak Kahrańczycy i Dzieci Ognia podzielili nasz kraj? Tereny na wschód od Bagiennej kontrolują ci pierwsi. To im przypadło Święte Lorei – powiedział i oblizał wąskie wargi. – Duch patriotyzmu jest bardzo silny w środowiskach akademickich, Harwanie. Zaangażowałem się w politykę. Trochę za bardzo.

– W politykę... przeciwko Kahrańczykom? – upewnił się Harwan.

– Oczywiście, że tak! – prychnął Arwigan. – Nie rozumiem, jak ktokolwiek może nie chcieć z nimi walczyć.

– Jacy oni są?

– Kahrańczycy? Są prawie tacy sami jak Dzieci Ognia. – Wyszli z boksu. Arwigan rzucił swój bagaż – zaledwie jeden wypchany plecak – na stertę słomy. – Podobno mają wspólnych przodków, dlatego współpraca idzie im tak dobrze. Wydaje mi się jednak, że Kahrańczycy są trochę inteligentniejsi, chociaż nie mają tych... no...

– Karabinów – podsunął mu Harwan.

Arwigan spojrzał na niego z niezadowoleniem. *Zupełnie jakbym był kmiotkiem, który wszedł w słowo wielkiemu panu* – pomyślał Harwan.

– Tak – potwierdził Arwigan. – Miałem to na końcu języka – odchrząknął i kontynuował: – Dzieci Ognia

wieszają cię zaraz po tym, jak zaczniesz przejawiać jakiekolwiek buntownicze skłonności. Kahrańczycy przesłuchują cię, bez przerwy grzebią, węszą i kontrolują. Bardzo trudno cokolwiek utrzymać w konspiracji, kiedy ma się z nimi do czynienia.

Harwan pomyślał, że Arwigan trochę przesadza, jeśli chodzi o porywczość Dzieci Ognia, ale zachował to spostrzeżenie dla siebie.

– Rozumiem, że wpadli na trop spisku, w którym uczestniczyłeś – powiedział zamiast tego.

– Cóż, rzeczywiście, tak było – przytaknął z zauważalną niechęcią Arwigan. – Studencki ruch oporu został zdekonspirowany, a ja przeniosłem się na zachodnią stronę Bagiennej w nadziei, że Kahrańczycy mnie nie dopadną na ziemiach ich drogich krewniaków. Nie pomyliłem się, jak widać – dodał z dumą. – Udało mi się też nawiązać kontakt z pewnymi kręgami tutaj, w okolicach Skraju… ale to już nie twój kłopot, przyjacielu.

– Nie jestem tego tak do końca pewien – powiedział Harwan. – Śpisz pod moim dachem.

– Przykładasz zbyt wielką wagę do snopka słomy w budzie zbitej z kilku desek – odrzekł lekceważąco Arwigan. – Nie martw się. Mówię ci, skoro nie dopadli mnie Kahrańczycy, nie zrobią tego Dzieci Ognia… – zawahał się. – Czy Lyren…?

Arwigan i Lyren byli parą, zanim ten pierwszy wyjechał na studia, ale dziewczyna do dziś wspominała go ciepło.

Harwan zazwyczaj starał się nie przesadzać z zazdrością, niemniej...

– Uważaj na Lyren – powiedział, myśląc bardzo szybko. Znał sposób, by zniechęcić Arwigana do odnowienia znajomości z dziewczyną i zamierzał z niego skorzystać. – Ona współpracuje z Dziećmi Ognia. Ciągle się za mną szwenda, udając przyjaciółkę z dzieciństwa, ale wszyscy wiedzą, że donosi.

Arwigan jęknął cicho.

– Nasza piękna, cudowna Lyren – westchnął. – Kolejna ofiara prania mózgów, które urządzają nam te sukinsyny. – Położył rękę na ramieniu Harwana. – Ale ty jesteś z nami, prawda?

– Jeżeli jesteście wrogami Dzieci Ognia, owszem – odrzekł ostrożnie Harwan.

– Dobrze. – Arwigan pokiwał głową. – Będziesz wiedział... zobaczysz... ufam ci, przyjacielu. Nie wydaj mnie, a przysięgam, że staniesz się jednym z nas i wtedy nie będzie już między nami sekretów. Jak za dawnych, dobrych czasów.

– Tak – powiedział niepewnie Harwan. – Domyślam się, że jesteś zmęczony. Obudzić cię jutro na śniadanie?

– Tak – potwierdził Arwigan. – Masz rację. Przespałbym się już teraz. A śniadanie też chętnie zjem – ziewnął rozdzierająco. – Im dłużej o tym myślę, tym bardziej jestem śpiący. Dzięki za wszystko, stary.

Harwan skinął głową i wyszedł z szopy, zabierając ze sobą świecę.

Zaczynał kropić deszcz. Harwan zgarbił ramiona i pospieszył do domu, żeby ukryć się pod dachem, nim rozpada się na dobre.

Ojciec i Lyren siedzieli przy stole w kuchni, nad zapaloną świecą. Policzki dziewczyny płonęły czerwienią, ale na widok Harwana uśmiechnęła się lekko.

– Harwanie, na przyszłość uważaj, gdzie zostawiasz tę młodą panienkę – powiedział surowo ojciec, smarując pajdę chleba konfiturą. – Poszedłem do spiżarni po słoik czegoś słodkiego i prawie na nią nadepnąłem.

– Och... – Harwan rozdziawił usta. – Mhm. Dobrze – wydukał. – Znasz Lyren, prawda, ojcze? – próbował ratować sytuację.

– Na litość Lorei! – westchnął stary. – Oczywiście, że ją znam. Odkąd wyrośliście z pieluch rzadko widywałem was osobno – mruknął i odgryzł wielki kęs chleba. – Gadałeś z tym szmaciarzem? Czego chce?

– To naprawdę Arwigan? – dociekała Lyren.

– Tak. I tak – odpowiedział im obojgu Harwan. – Nie wiem, czego chce. Stwierdził, że znudziło go studiowanie – skłamał. – Jego ojca powiesiły Dzieci Ognia, a dom spłonął, więc nie miał dokąd pójść.

Zdał sobie nagle sprawę, że Arwigan, chociaż musiał wiedzieć o śmierci starosty, nie wspomniał o niej ani słowem.

– No, nie wiem – powiedział z namysłem ojciec. – Nie podoba mi się ten paniczyk. Nigdy mi się nie podobał. Mam tylko nadzieję, że nie wpędzi nas w kłopoty. – Przeżuł

i połknął kolejny wielki kawał chleba. – Odprowadź drogą Lyren do domu, Harwanie. Jest już późno. Oczywiście, jeśli chce, może u nas nocować.

– Nie – zaprzeczyła dziewczyna. – Powinnam wracać.

Harwan spojrzał na Lyren, która siedziała na samym skraju krzesła, zgarbiona i wyraźnie zawstydzona, skubiąc rąbek swojej kamizelki.

– Ojcze – powiedział. – Chciałbym, żebyś porozmawiał z matką Lyren.

Stary aż się wzdrygnął.

– Z tą strzygą? Po licho? – Zerknął na dziewczynę. – Wybacz mi, Lyren.

– Chciałbym Lyren za żonę – wyjaśnił Harwan.

Ojciec westchnął ciężko.

– No, nareszcie – powiedział tylko. – Dobrze, pójdę jutro.

– Dlaczego nikt nie jest zdziwiony, kiedy wspominam o tym ślubie? – spytał Harwan.

– Dlaczego ktoś miałby być zdziwiony? – zdumiał się ojciec. – To znaczy, zastanawiałem się, czy zaczniesz działać zanim umrę...

– Nie jesteście jeszcze tacy starzy – wymamrotała Lyren. – Dlaczego macie umrzeć?

– Ha! Wreszcie ktoś dostrzegł, że nie jestem jeszcze stary – ucieszył się ojciec. – Nie chodziło mi o mój wiek, moja droga. Raczej o tempo, w jakim Harwan brał się do rzeczy.

– Wystarczy już tego – powiedział ostro Harwan. – Chodź, Lyren, odprowadzę cię.

– Pada – zauważyła, zerkając w okno.

– Tak, tak. Pożyczę ci płaszcz.

Kwadrans później szli już w strugach deszczu między ustawionymi na palach domami. Minęli dwójkę Dzieci Ognia patrolujących ulicę, mężczyznę i kobietę. Oboje nosili ubrania z czarnej skóry oraz karabiny. Mężczyzna próbował, mimo deszczu, zapalić grubą, skręconą z brązowych liści rurkę. Kobieta obróciła głowę za Harwanem i Lyren, zarzucając ciemnofioletowym końskim ogonem.

– Dlaczego zawsze jesteś taki uparty? – spytała dziewczyna. – Mogliśmy przeczekać ten deszcz.

– Jest coś, co pilnie chciałbym ci powiedzieć – wyjaśnił Harwan.

W miarę jak opowiadał jej, co naprawdę usłyszał od Arwigana, twarz Lyren bladła i poważniała coraz bardziej.

* * *

Kiedy Harwan wszedł do szopy, by zaprosić Arwigana na śniadanie, ten już nie spał. W rękach obracał jakiś kamień, lśniący jak żywe srebro.

– Co to jest? – spytał z niepokojem Harwan.

Arwigan uśmiechnął się chytrze i schował kamień do plecaka.

– Prezent – odpowiedział. – Dla Dzieci Ognia. – Wstał. – Zjemy śniadanie w domu?

Harwan zastąpił mu drogę.

– Powiedz mi, co to jest – zażądał kategorycznie. – Albo cię nie wypuszczę.

Arwigan uśmiechnął się kpiąco.

– To narzędzie zemsty, Harwanie – powiedział. – Co jeszcze musisz wiedzieć?

– Narzędzie zemsty na kim?

– Na Dzieciach Ognia. Już mówiłem. – Arwigan spoważniał. – Zabili mi ojca. Matkę i dwóch braci. Puścili dom z dymem. Rozdali majątek. A dlaczego? Bo ojciec odważył się nazwać ich najeźdźcami i mordercami, którymi są, i nawoływał do walki przeciwko nim. – Młodzieniec zacisnął usta w wąską linię. – Nawet tu, w tej wsi, żyją odważni ludzie, którzy w konspiracji walczą z Dziećmi Ognia. Wiem, że do nich nie należysz, Harwanie. Nie widzę tym samym powodu, by zdradzać ci nasze plany.

– Zabijecie żołnierzy?

– Zabijemy każdego, kto należy do tej brudnej rasy – odpowiedział Arwigan. – Jeżeli nas zdradzisz, zabijemy także ciebie. Czy teraz mnie przepuścisz?

Harwan przełknął ślinę.

– Odejdź – powiedział. – Idź do jednego ze swoich zakonspirowanych przyjaciół, ale nie wciągaj w to mojej rodziny.

Arwigan przyglądał mu się z uwagą.

– Pewnego dnia możesz tego żałować – ostrzegł.

– Nie zamierzam cię zdradzić, Arwiganie – zniecierpliwił się Harwan. – Ostatecznie, jesteśmy

przyjaciółmi. Albo przynajmniej byliśmy. Ale został mi tylko ojciec. – Spojrzał w oczy Arwigana, niebieskie jak turkusy. – Nie chcę, by skończył na stryczku, to wszystko. Ja też ich nienawidzę. Dzieci Ognia. Nienawidzę i życzę im śmierci.

– Więc pozwól mi zostać – naciskał Arwigan. – Za dwa dni wszystko się rozstrzygnie. Później zniknę.

– Nie możesz rzucać się w oczy.

– Nie zamierzam – zapewnił Arwigan. – Obiecuję też, że nikt tu nie będzie przychodził. Wszystko jest już ustalone. Muszę po prostu przeczekać gdzieś te dwie doby.

Harwan pokiwał głową.

– Dobrze – poddał się. – Przyniosę ci śniadanie. Zostań tu.

– Wiedziałem, że mogę na ciebie liczyć – powiedział Arwigan.

Harwan jedynie wzruszył ramionami.

* * *

Deszcz siekł podmokłe łąki, na których pasło się ptactwo. Harwan szedł spacerkiem ku otwartym przestrzeniom. Zachodnia część wioski, w której się znajdował, składała się niemal wyłącznie z nowych budynków i była zamieszkana przez osadników z Królestwa Ognia. Z okien spoglądały na Harwana ich dzieci. Kilkoro zgromadziło się pod jedynym drzewem w okolicy, zakorzenionej w miękkim gruncie topoli. Pokrzykiwały w swoim gardłowym języku, gdy jakaś dziewczynka, najwyżej siedmioletnia, wspinała się po mokrych gałęziach.

Poślizgnęła się nagle na mokrej korze, krzyknęła urywanie i zawisła na jednej ręce, dobre trzy metry nad ziemią. Po króciutkiej chwili, kiedy rozpaczliwie próbowała chwycić gałąź drugą dłonią, spadła. Harwan stał na szczęście dość blisko, by podskoczyć do dziecka i złapać je w locie. Impet upadku zwalił go w mokrą trawę.

– Ostrożnie – powiedział do oszołomionej dziewczynki.

Dzieci otoczyły go półkolem. Mówiły jedno przez drugie, pokazując w górę. Harwan podniósł głowę i zobaczył małego, pręgowanego kociaka wczepionego w gałąź topoli. Zwierzątko miauknęło rozpaczliwie.

Dziewczynka w ramionach Harwana zaczęła mówić bardzo szybko, pokazując kota. Czarne włoski rozsypały się jej na ramionach. Wielkie, zielone oczy spoglądały na przemian na Harwana i na zwierzątko.

Chłopak wstał, postawił dziecko na nogi i zaczął wspinać się na topolę.

Co ja wyprawiam? – myślał, podciągając się na grubym konarze. Mokre liście biły go po twarzy. Gałęzie uginały się pod jego stopami, a kora była śliska. Dzieci pokrzykiwały z dołu. Harwan z najwyższym trudem dotarł do miejsca, z którego wcześniej spadła dziewczynka, nie mogąc nadziwić się jej sprawności fizycznej.

Zobaczył Lyren, która, jak codziennie, pieszo wracała ze szkoły w Skraju, prowadząc za sobą gromadkę uczniów. Harwan zaklął przez zęby, ale nie było już mowy o wybiegnięciu jej na powitanie. Chłopak skupił się na wspinaniu po coraz cieńszych konarach.

W końcu dotarł do miejsca, gdzie stał w miarę pewnie i mógł dosięgnąć kociaka, uczepionego gałęzi nad jego głową. Wyciągnął rękę. Kot zasyczał i drapnął go pazurkami w wierzch dłoni.

– Ty mały sukinsynu – warknął Harwan, gwałtownie cofając rękę.

Znów spróbował złapać kociaka, ale ten przesunął się trochę na gałęzi. Harwan musiał postąpić krok za nim.

– Co ty tam robisz?

Zerknął w dół. Lyren dotarła niemal do stóp topoli. Idący za nią uczniowie unosili głowy, żeby przyjrzeć się Harwanowi. Byli starsi od Dzieci Ognia zgromadzonych na dole, ale ich usta rozdziawiły się w identycznym grymasie zachwytu i napięcia. Harwan przez chwilę miał wrażenie, że ratuje nie głupiego kota, lecz cały świat.

Sięgnął ręką po raz trzeci i tym razem ucapił zwierzaka za kark. Kot syknął, ale Harwan to zignorował. Wcisnął kociaka za pazuchę i zaczął powoli schodzić z drzewa. Im częściej zerkał w dół, by upewnić się, że jego stopa napotka gałąź, tym bardziej trzęsły mu się kolana.

W końcu zszedł na ziemię. Czarnowłosa dziewczynka podbiegła do niego, wyciągając ramiona. Gdy Harwan oddał jej kotka, wyrzuciła z siebie jedno krótkie słowo. Mimo obcego języka dziecięce „dziękuję” zachowało swój niepowtarzalny wdzięk.

Dziewczynka odbiegła w kierunku jednego z domów, unosząc kociaka w ramionach. Na jego werandzie stała kobieta, posiwiała już i skurczona. Spoglądała posępnie na

Harwana. Z całej jej postawy promieniowała nieufność. Gdy mała do niej podbiegła, położyła powykręcaną ręce na jej ramieniu i skinęła Harwanowi głową, powoli i z wahaniem.

Oni są tu obcy – dotarło do Harwana. *Co więcej,* d*obrze o tym wiedzą. I boją się nas, tak samo jak my ich*.

– Zostałeś bohaterem – powiedziała wesoło Lyren.

Harwan spojrzał na nią. Przełknął ślinę. Nie mógł wydobyć głosu. Właśnie coś do niego dotarło.

– Zabijemy każdego, kto należy do tej brudnej rasy.

Dzieci, kobiety? I dlaczego tylko ich rasy? Dlaczego nie ludzi, którzy pochwalali głośno przynoszony przez najeźdźców podstęp? Dlaczego nie dziewczyny, zachwycające się czytankami w obcym języku?

Dlaczego nie Lyren?

Jakże głupi był Harwan, myśląc, że plany Arwigana nie dotyczą go w żaden sposób!

– Pani Lyren, możemy już wracać? – spytał jeden z chłopców zgromadzonych wokół dziewczyny. – Bolą mnie nogi i jestem głodny.

Lyren uśmiechnęła się.

– Idziesz? – spytała Harwana. – Wszystko dobrze? – dodała na widok jego poszarzałej twarzy.

– Tak – odpowiedział. – Nie – odetchnął głęboko. – Niech Lorei mi wybaczy. Jest coś, co muszę ci powiedzieć.

* * *

Przez tydzień zdążył przywyknąć do aresztu. Garnizon żołnierzy nie został zbudowany z myślą o długotrwałym

więzieniu kogokolwiek, toteż były w nim ledwie dwie czy trzy jasne cele, przegrodzone żelaznymi kratami. Do jedzenia Harwan dostawał rybi gulasz z kaszą, a do picia wodę. Raz poprosił o gorącą miętę, kiedy z jakiegoś powodu doskwierały mu kiszki, i otrzymał ją.

Kiedy w końcu w jego celi zjawił się ubrany w czarne skóry żołnierz, z karabinem zawieszonym na szerokim pasie przecinającym pierś, chłopak był gotów. Nie zrozumiał ani słowa z krótkiej wypowiedzi mężczyzny. Gdy ten wyszedł z celi, Harwan po prostu ruszył jego śladem.

Zabrano go do niewielkiej izby, gdzie za kwadratowym stołem siedział inny mężczyzna, z długimi, białymi włosami związanymi na karku. Czarne rękawy jego skórzanej kurtki lśniły od wojskowych odznaczeń. Harwan zgadywał, że to dowódca wioskowego garnizonu. Za jego krzesłem stała kobieta o fioletowych włosach, ta sama, którą widział na patrolu w noc powrotu Arwigana. W czasie swojego uwięzienia Harwan odkrył ze zdumieniem, że w wiosce jest zaledwie kilkunastu żołnierzy. Nigdy wcześniej im się nie przyglądał. Teraz powoli zaczynał kojarzyć twarze.

Harwana posadzono na sztywnym krześle przed mężczyzną z odznaczeniami. Ten spoglądał na niego chwilę. Miał głęboko osadzone, ciemnobrązowe oczy okolone długimi, smoliście czarnymi rzęsami.

– Jesteśmy wdzięczni za informacje, które nam pan przekazał – przemówił wreszcie z silnym, gardłowym akcentem. – Pozwoliły nam ocalić życie wielu niewinnych ludzi.

– Co z moim…? – zaczął Harwan i nagle się zaciął.

– Pański dawny przyjaciel, Arwigan, zrozumiał swój błąd – odpowiedział dowódca garnizonu. – Podobnie jak wielu innych spiskowców, których udało nam się wyśledzić. Obawiam się, że dwa dni temu pan Arwigan miał spotkanie z katem.

– Rozumiem – zapewnił Harwan.

Coś dławiło go w gardle. Przełknął ślinę, ale to nie pomogło.

– Kamień, o którym pan mówił, to w istocie dość rzadka broń magiczna. Uwolnienie jej mocy odpowiednim poleceniem głosowym powoduje nader widowiskową eksplozję. O ile się nie mylę, wysadzenie budynku, w którym teraz siedzimy, miało stać się hasłem dla rozpoczęcia rzezi. – Mężczyzna wykrzywił wargi w uśmiechu. – Jak mówiłem, jesteśmy panu wdzięczni. Jako żołnierze przywykliśmy do myśli o śmierci dla Królestwa… ale śmierć naszych rodzin, które zamieszkały w waszej wsi, to coś zupełnie innego.

– Co będzie ze mną? – spytał wprost Harwan, nie mogąc znieść niepewności.

– Wykluczyliśmy wszelkie pana powiązania z buntownikami. Jest pan bez wątpienia niewinny. Proszę się nie obawiać. Zapewnimy panu stosowną ochronę.

– Ochronę? – powtórzył Harwan. – Przed czym?

– Przed pańskimi rodakami, oczywiście. Wiemy z doświadczenia, że ludzie tacy jak pan nie cieszą się sympatią wśród swoich – wyjaśnił cierpliwie dowódca. –

Wydał pan nam swego przyjaciela, powodowany zapewne najszlachetniejszymi pobudkami… obawiam się jednak, że pańscy rodacy nie odbiorą tego w ten sposób.

– A w jaki? – zdziwił się Harwan.

– Ujrzą w panu zdrajcę – odrzekł brutalnie żołnierz. – Nie byłoby bardzo nierozsądne, gdyby zaczął pan rozglądać się za mieszkaniem w innej części Błotnych Ziem.

Oszołomiony Harwan skinął tylko głową. Dowódca garnizonu dał znak dłonią. Kobieta z fioletowymi włosami chwyciła Harwana za łokieć i wyprowadziła go z izby prosto na zalaną słońcem werandę.

Lyren czekała u stóp pomostu, po którym schodziło się do poziomu gruntu. Harwan ruszył w jej kierunku jak pogrążony we śnie. Wyciągnął ręce, a dziewczyna wsunęła w nie swoje smukłe dłonie.

– Twój ojciec rozmawiał z matką – powiedziała. – Zgodziła się. Oboje spieniężą część majątku, którą dostaniemy w dniu ślubu.

Harwan patrzył na nią. Gardło miał ściśnięte.

– Kupimy za to dom – wydusił w końcu.

Lyren skinęła głową.

– Chciałabym, żebyśmy zamieszkali w Skraju. Nie zrezygnuję z pomagania w szkole.

– Dobrze – powiedział natychmiast. – Dlaczego nie?

Patrzył w ukochaną twarz i przez chwilę – krótką, ulotną chwilę, nim ruszyli między domami, odprowadzani przez niechętne spojrzenia swoich rodaków – czuł w sercu radosną beztroskę.

Jego i Lyren zawsze łączyło wiele, a teraz oboje zostali zdrajcami.

Odcienie pustki – Maria Dunkel

Dryfował przez kosmiczną pustkę i patrzył na gwiazdy, które niczym świetliki unosiły się wokół. Chociaż zdawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, by pochwycić jedną z nich, były daleko, tak daleko, że ich pola grawitacyjne nie mogły powstrzymać niosącego go nurtu próżni.

Z Ziemi czerń wypełniająca nocne niebo fascynowała jak kurtyna, za którą schowano największe sekrety Wszechświata. Lecz w samym jej środku piękno umierało. Chłód docierał do ludzkiego ciała nawet przez gruby skafander. Nie kąsał brutalnie, nie wywoływał dreszczy. To był ten rodzaj chłodu, który zimą zagląda pod kokon wełnianych koców i którego nie może skutecznie odegnać nawet kubek kakao. Przynosił świadomość, że tam, na zewnątrz, poza grubym materiałem chroniącym kruchą, białkową istotę, temperatura jest zabójcza.

Ani wewnątrz, ani na zewnątrz nie było jedzenia czy wody. Tlen również musiał się skończyć, prędzej albo później. Paradoksalnie, każdy życiodajny oddech przybliżał do śmierci.

Ponadto: brak góry, dołu, boków, kompletne poczucie zagubienia, oszałamiająca samotność i niezmierzona przestrzeń.

Mógł tylko dryfować i karmić się świadomością, że jeszcze długo po jego śmierci owinięte skafandrem ciało tak samo bezcelowo będzie płynęło przez próżnię.

* * *

Kiedy mrugał, słyszał szelest własnych rzęs.

Powietrze, które wciągał w płuca, miało w porównaniu z czystym tlenem z butli bogaty posmak. Było winem o wykwintnym bukiecie na języku kogoś przywykłego do tanich sikaczy.

Ciepło spowijało go wraz z jedwabną pościelą. Cudowne, życiodajne ciepło, napełniające każdą komórkę ciała głębokim przekonaniem, że senny koszmar prysnął.

Otworzył oczy i ujrzał nad sobą sufit, podtrzymywany przez belki z gładkiego drewna między którymi pająki rozsnuły lepkie sieci. Powoli uniósł się na łokciach i kołdra ześlizgnęła się z jego piersi.

Leżał na futonie, w pomieszczeniu wyłożonym ściśle przylegającymi do siebie matami, nad którymi unosił się zapach kurzu. Łagodne, stłumione światło sączyło się przez okna, zasłonięte nie szybami, ale delikatnymi konstrukcjami z drewnianych listewek i poszarzałego papieru.

Wako podniósł się na nogi, przeciągnął nieznacznie i sięgnął po ubranie. Szybko włożył jedwabną koszulę i luźne spodnie, w kilku miejscach zacerowane niezdarnie. Jego gospodyni była na tyle miła, by dać mu igłę i jedwabiste nici, ale cerować za niego nie zamierzała. Podobnie jak prawie nie sprzątała, pozwalając, by dom

pokrywał się kurzem. Jeżeli robił to Wako, czasami dziękowała, ale spotykali się bardzo rzadko.

Odsunął drzwi, tak samo jak okno zbudowane z delikatnej sklejki i papieru. Przed nimi, na podłodze wąskiego, ciemnego korytarza, stała taca. Miska z zupą, pieczona ryba z ryżem i mały dzbanek herbaty. Wako wziął wszystko i skręcił w korytarz. Przechodził między wieloma zasuniętymi drzwiami. Początkowo ciągle gubił się w tym ogromnym domu, podobnie jak w otaczającym go ogrodzie. Nauczył się rozkładu pomieszczeń w mniej więcej jednej czwartej. Na skraj ogrodu nie dotarł jeszcze nigdy.

Nie musiał wiele wiedzieć. Dom wypełniały głównie księgi, dziwne obrazy i tablice zapisane gąszczem znaków i cyfr, których nie rozumiał. Poza tym była kuchnia i jasny pokój, gdzie jadali obiady, a także sala do medytacji. Wako wyczuwał, że nie jest mile widziany w tych pomieszczeniach, jakby sam budynek drażniła jego obecność. Do prywatnych pokoi gospodyni, zajmujących ogromną powierzchnię, nie wolno mu było wchodzić.

Wako nie czuł się najlepiej w głębinach ciemnego, ciasnego, zakurzonego domu. Wolał ogród. Dlatego swoje śniadanie wyniósł na werandę. Tam usiadł w kucki na nagim drewnie, postawił tacę i zaczął jeść.

Słońce świeciło jasno na niebie, zalewając otoczenie blaskiem. Żwirowane ścieżki wiły się wśród chaszczy, w które zmienił się pozostawiony sam sobie trawnik. Nie zarosły chyba tylko dlatego, że Wako codziennie przez nie wędrował i przy okazji wyrywał co większe chwasty. Także

gospodyni musiała niekiedy z nich korzystać, bywały dni, gdy przepadała jak kamień w wodę, nie stawiając się nawet na posiłki. Wtedy nie przynosiła mu śniadań i sam musiał zachodzić do kuchni.

Wśród chaosu rozrosłych chwastów warzywne poletka przypominały bastiony. O nie gospodyni dbała, podobnie jak o wiśnie, śliwy i jabłonie. Karmiła też słodkowodne ryby, które zamieszkiwały strumień przepływający przez ogród. W jednym tylko miejscu wodna wstążka przecinała ścieżkę. Wako wędrował kiedyś wzdłuż niej i z rozczarowaniem odkrył, że nie jest to twór naturalny. Za domem znajdował się duży staw, w nim buczał ciągle pracujący filtr. Z tego stawu strumień brał swój początek i do niego wpływał. Ryby były skazane na życie w zamkniętym obiegu, dopóki gospodyni nie podała którejś z nich jako posiłku.

Gospodyni była najwcześniejszym wspomnieniem Wako. Wszystko, co przeżył przedtem, rozmywało się w sennych koszmarach o dryfie przez niezmierzoną pustkę. Nie widział związku między nimi a tym domem. Te sny, nawiedzające go niemal co noc, przynosiły zbyt wiele strachu, by chciał wnikać w ich naturę, w przyczyny i skutki. Wciąż nie był na to gotowy, po całych tygodniach spędzonych w bezpiecznym, japońskim domu.

Obudził się pewnego dnia, leżąc w jedwabnej, przepoconej pościeli, z głową pełną lodowatej nicości. Gospodyni siedziała obok posłania, wzorowo, po japońsku, łydki i stopy płasko na matach. Oczy miała bardzo czarne, podobnie włosy. Z jej wschodnich rysów nie potrafił

wyczytać wieku, ale na pewno nie była już młódką. Sama twierdziła, że jest po trzydziestce.

– Gdzie jestem? – spytał.

– W moim domu.

Jej głos był dość dźwięczny, ale niezupełnie czysty, przywodził na myśl smak herbaty, którego goryczkę przełamano łyżką miodu. Później Wako przekonał się, że gdy gospodyni jest rozbawiona, ta fałszywa nuta zmienia się w ochrypły dźwięk, podobny do szczeknięcia lisa.

– Czyli gdzie? – dociekał, lecz do głowy przyszło mu ważniejsze pytanie: – Kim jestem?

Milczała chwilę i patrzyła na niego z pozbawioną wyrazu twarzą.

– Nie wiesz? – upewniła się.

– Chryste, nie wiem! – wydusił przerażony, unosząc się na łokciu.

– Spokojnie – powiedziała łagodnie, lekki uśmiech wykrzywił jej blade wargi o kształcie równie subtelnym jak kształt płatka róży. – Nic ci tutaj nie grozi. Przyniósł cię dryf.

Myślami Wako zawładnęła zimna, lodowata pustka, w której były tylko głód, pragnienie, poczucie zagubienia i oddech, przybliżający nieuniknioną śmierć. I strach, zwierzęcy, obezwładniający strach.

Gospodyni zobaczyła, co się dzieje. Nic dziwnego, bo zaczął się trząść, jakby dostał ataku epilepsji.

– Jesteś jak bohater tych starych opowieści. Jak wako, pirat, którego morze wyrzuciło na brzeg, a on nie wie, kim

jest ani skąd się wziął – rzuciła żartobliwie.

Odetchnął głęboko. Myśl o morzu go uspokoiła. Morze nie odbiera człowiekowi orientacji. Woda, chociaż lodowata, nie napawa aż takim strachem. Ostatecznie jest czymś sama w sobie. Jeżeli wedrze się do płuc, zabija niemal natychmiast. Skoro jednak przyniósł go dryf, być może uczepił się jakiejś deski, kiedy jego statek uległ zagładzie... Być może sny o próżni wywołało wychłodzenie organizmu, długie unoszenie się wśród zimnych, morskich fal.

Gospodyni mówiła do niego „wako”, co było dobrym imieniem, skoro nie pamiętał żadnego innego. On nigdy nie nazwał jej inaczej.

Tutaj, w tym tradycyjnym domu, gdzie codziennie jadał ryż z poletek porastających część ziem gospodyni, pił herbatę zerwaną jej dłońmi, widział wschodzące i zachodzące słońce, a pustka była odpowiednio daleko... Cóż, tutaj myśl o dryfie w kosmosie zdawała się mu śmieszną mrzonką. Koszmarem zrodzonym z traumy, którą musiało być zatopienie macierzystego statku, a później unoszenie się wśród potrzaskanych resztek, aż woda wyrzuciła go na brzeg. Co prawda ogród zewsząd otaczały góry, lecz był pewien, że gdyby powędrował ścieżką na jego koniec, a później przedostał się przez przełęcz... Tak, stamtąd na pewno ujrzałby lazurowe fale, bijące o żółte piaski. Prawdopodobnie tam znalazła go gospodyni, w czasie jednej z wypraw, gdy wszelki ślad jej obecności znikał z tych włości.

Nigdy nie poszedł sprawdzić. Raz zdobył się na to, by wydusić przy obiedzie:

– Chyba powinienem stąd odejść. Zobaczyć, co jest... no... za górami.

Gospodyni spojrzała na niego z drugiej strony stołu. Jej oczy przypominały onyksy, oszlifowane w szlachetny kształt i ukośnie osadzone w oprawie kruczych rzęs. Włosy zawsze miała tak samo upięte na czubku głowy, dwie nefrytowe szpile sterczały z nich jak kły.

– Oczywiście, możesz odejść, Wako – powiedziała, pałeczkami unosząc do ust trochę ryżu. – Ale na twoim miejscu jeszcze bym tego nie robiła.

– Jeszcze? Więc kiedyś będę mógł?

– Tak – odpowiedziała spokojnie, z uśmiechem i niezachwianą pewnością.

– Kiedy?

– Daj sobie czas. Nie zmuszaj się do niczego.

– Myślisz, że mogę... wyleczyć się z tych snów? – pytał z rozpaczliwą nadzieją. – Wygrać z nimi?

Gospodyni powoli odłożyła pałeczki. Palce miała dziwnie pozbawione krągłości. Przywodziła na myśl marmurową figurę, której twórca wyrzeźbił twarz misternie i w niemal idealnej harmonii, ale nie chciało mu się uczynić tego samego z dłońmi.

– Nie powinieneś walczyć – powiedziała łagodnie. – Życie nie jest walką. Otwórz się, przyjmij to, co przyjdzie. Nie wkładaj wysiłku w ucieczkę od tego, co cię przeraża, bo jesteś jak człowiek, który szaleńczo młóci rękami w wodzie,

zamiast pozwolić nurtowi rzeki ponieść się tam, dokąd chce.

Była to dziwna rada, a jej realizacja nie należała do najłatwiejszych, ale Wako nauczył się już, że gospodyni rzadko mówi prosto i zwyczajnie. To, co na pierwszy rzut oka zdawało mu się filozoficznym bełkotem, zastosowane w praktyce przynosiło często bardzo dobre skutki. Dlatego jej słuchał... czasami.

* * *

Po śniadaniu Wako odwiedził łaźnię. Nie przepadał za tym miejscem, wiedział jednak, że nie powinien cuchnąć. Nie znał swojego imienia, nie miał pojęcia, skąd się tu wziął, ale amnezja nie zdjęła z niego piętna przystosowania społecznego. Rozbierał się do snu, ubierał co rano, kąpał regularnie i nie potrafił jeść pałeczkami. Zresztą, widział po swoich jasnych włosach i zielonych oczach, że nie pochodzi z krajów wschodnich, więc dlaczego miałby to opanować? Na szczęście gospodyni miała kilka kompletów europejskich, plastikowych sztućców.

Łaźnia znajdowała się za domem i kojarzyła mu nieprzyjemnie z bambusowym pudełkiem. Nie było w niej tradycyjnej wanny, jedynie wysoki brodzik i wspaniały, kaskadowy natrysk, z którego wodospad gorącej wody lał się na głowę, plecy i twarz. W ścianie bez przerwy szemrał filtr. Budził w Wako ten sam rodzaj niepokoju co zamknięty obieg wody w strumyku karpi, równania na tablicach oraz widelec ze sztucznego tworzywa. Wydawało się, że nie

pasuje do tradycyjnego, japońskiego domu, do kwitnących wiśni, papierowych drzwi i opowieści o piratach.

Ale z drugiej strony, może zwyczajnie tych elementów nie pamiętał? Uciekły mu z głowy jak imię i wszystkie wydarzenia, przez które się tutaj znalazł?

Rozmyślał nad tym długo, stojąc pod gorącą wodą, zasłuchany w monotonne buczenie filtra. Wreszcie otrząsnął się i wyszedł spod prysznica. Starł dłonią parę, która cienką, białą warstewką powlekła lustro. Podniósł z umywalki jednorazową maszynkę do golenia i zaczął ścinać zarost.

Zaniósł ręcznik, mydło i maszynkę do swojego pokoju. Później wyszedł na korytarz, nasłuchując dziwnego dźwięku – delikatnych stuknięć, podobnych do ćwierkania wróbla. Ruszył do sali, w której jadali obiady, odsunął drzwi.

Gospodyni siedziała za stołem i budowała Mur. Wznosiła go z prostokątnych Kamieni, wykonanych z bambusowego drewna. Każdy przyozdobiony był barwnym znakiem. Monety, bambusy, kanji; wiatry wschodu, zachodu, północy i południa; czerwony smok, zielony oraz niewidzialny biały, oznaczony tylko niebieską ramą; stylizowane kwiaty; symboliczne pory roku. Mahjong.

Wako usiadł naprzeciwko gospodyni, na miejscu Wiatru Zachodniego i zaczął budowę Muru po swojej stronie. Milczeli oboje, tylko Kamienie uderzały o siebie, ćwierkając jak wróble. Gra w mahjonga była ich rytuałem, jedną z niewielu wspólnych czynności. Zawsze inicjowała ją gospodyni, a robiła to dość często. Lubiła filozofię

rozgrywek, która umykała Wako. Uśmiechała się nad mahjongiem w bardzo charakterystyczny sposób, wyginając kształtne usta niczym zadowolony kot.

Nie wiedział, co czuje do gospodyni poza zwyczajną wdzięcznością i sympatią. Nie mógł nazywać jej przyjaciółką, właściwie się nie znali. Gdy jej nie widział, zdawało mu się, że mógłby ją kochać, ale gdy się pojawiała, nie czuł fali ciepła, napływu pożądania, niczego. Była chłodna i niedostępna niczym rzeźba, którą można podziwiać z przyjemnością, lecz nie sposób się do niej przytulić.

Strząsnęła długi rękaw kimona, który przeszkadzał jej w układaniu Muru. Zawsze ubierała się tak samo, w czarny jedwab, w talii wiążąc szerokie obi oszczędnie zdobione srebrną nicią. Miała kilka bardzo podobnych strojów, różniących się nieznacznie skromnymi haftami. Ich rękawy spływały do samej ziemi, swobodne zupełnie niepraktyczne. Wako nie chciał być wścibski, ale nie mógł się powstrzymać i zapytał ją kiedyś, dlaczego nosi się w tak zdumiewający sposób.

– To żałoba – odrzekła tonem ucinającym wszelką dyskusję, nim ta w ogóle rozgorzała.

Później nie widział jej przez dwa tygodnie. Nie mogła w czytelniejszy sposób przekazać mu, że przekroczył pewną granicę w ich relacjach. Przyjął to do wiadomości i nigdy więcej nie drążył tematu, tak jak nigdy nie przestąpił progu jej pokoi. Nie czuł nawet wielkiej ciekawości. Było mu dobrze w ciepłym kokonie stagnacji, którym otulał się,

mieszkając w tym domu. Chronił go przed strachem, czyhającym wszędzie dookoła.

Mahjong.

Kamienie ćwierkały, uderzając o siebie.

– Znowu śniłem o pustce – powiedział cicho Wako.

– Ostatnio śnisz o niej prawie co noc – zauważyła gospodyni.

– Tak. Twoja terapia z poddawaniem się nurtowi chyba nie działa.

Uśmiechnęła się do niego lekko, na chwilę odrywając onyksowe oczy od blatu.

– Na pewno mu się poddajesz?

Wzruszył ramionami.

– Myślę, że ten strach nie jest taki zwyczajny – rzekł. – Nie można z nim wygrać jak z arachnofobią.

– To nie jest walka. Z niczym nie musisz wygrywać.

– Ciągle to powtarzasz, ale w gruncie rzeczy skąd możesz wiedzieć? Jesteś nihilistką.

Uniosła brwi, gęste, czarne łuki.

– Nihilistką? – powtórzyła z rozbawieniem.

– No... buddystką. – Uniosła brwi wyżej, więc mówił dalej: – Dążysz do nirwany. Do niczego. Budda mówił o gaszonej świeczce. Psst i nie ma. To w końcu nihilizm, więc jak możesz zrozumieć mój strach przed pustką?

Gospodyni przygryzła na chwilę wargi, jej koci uśmiech zgasł.

– Nirwana to nie nicość, Wako. Ani stan trwania jako różowawa galaretka na haju – powiedziała.

Parsknął śmiechem, ona również uśmiechnęła się szeroko. Wrócili do gry i przez chwilę milczeli.

– Opowiedz mi o swojej pustce – poprosił Wako. – Moją znasz. Jest zimnem, samotnością i śmiercią.

Gospodyni skinęła głową.

– Najpierw nirwana, Wako. Nirwana to wolność od samsary, cyklu narodzin i śmierci. Wolność od cierpienia i od iluzji. Jak długo trwasz w samsarze, jesteś tylko wodą, wlewaną z jednego naczynia do innego. W nirwanie zostajesz uwolniony, stajesz się górskim strumieniem.

– Lubisz porównania do wody, prawda?

– Są po prostu trafne – stwierdziła i wzruszyła ramionami. – Jeden z moich nauczycieli, gdy jeszcze ich miałam, powiedział mi, że każdy z nas jest istotnie strumieniem, płynącym bez początku i bez końca.

– Miałaś mówić o pustce, nie o umiejętnościach zmiennokształtnych – powiedział żartobliwie.

Błysnęła zębami w uśmiechu, krótko, pokazując same ich czubki.

– Dobrze. Wyobraź sobie, że nie ma czasu i spójrz na ten Kamień. Teraz tu jest. Teraz go zabieram i już go nie ma. Zależy to od czasu i moich działań, ale istnienie kamienia w tym miejscu samo w sobie jest tylko ułudą, prawda? – Kiwnął niepewnie głową. – Tak samo jest z nami, ludźmi, naszymi „ja” i ze wszystkimi zjawiskami. Jeżeli oderwiesz cokolwiek od wielkiego systemu, świata, jeżeli usuniesz działanie czynników zewnętrznych i czas, dojdziesz do wniosku, że samo w sobie nic nie istnieje.

Wszystko zależy od wszystkiego. Wszystko jest ze sobą powiązane. Nic nie ma odrębności – powiedziała i uśmiechnęła się lekko. – To jest najprostsze wyjaśnienie buddyjskiej pustki i powiedz mi, czy ma ona jakikolwiek związek z nihilizmem… albo z tym, czego się boisz?

* * *

Nocą budzą się koszmary i jest to truizm, który zna każde dziecko.

Ale Wako nie śnił. Szedł cichymi, ciemnymi korytarzami domu. Nie mógł odpędzić od siebie natarczywego, irracjonalnego wrażenia, że zza rogu wypadnie gospodyni. W tej agresywnej wizji poły jej kimona łopotały jak krucze skrzydła. Trzymała w ręku nóż i miała policzki rozprute od kącików ust aż do uszu, niczym Kuchisake-onna, demon z japońskich horrorów.

Oczywiście, nic takiego się nie stało. Gospodyni pewnie spała, zatopiona w miękkości futonu. Wako cicho wyszedł na werandę, tam włożył plecione z trawy buty i powoli powędrował żwirową ścieżką pod niebem hojnie obsypanym gwiazdami.

Pozwolił, by poniósł go nurt.

Pragnął się przede wszystkim uwolnić, uciec od strachu i pytań jak Budda uciekł z zaklętego kręgu samsary. Jego umysł obmył oczyszczający strumień przemyśleń, które zrodziły się pod wpływem rozmowy nad mahjongiem. Wako zrozumiał z całą wyrazistością, że dłużej nie może się już oszukiwać.

Nie było tu dokuczliwych komarów, meszek, pcheł.

Nigdy nie widział ptaków na niebie.

Nie istniały pory roku.

Nikt nie odwiedzał tego domu, nikt nie zawędrował tu przypadkiem. Na świecie nie może istnieć żadne aż tak odludne miejsce.

Był tutaj bezpieczny, osłonięty kokonem od pustki kosmicznej, zimnej i zabójczej. Ten kokon spleciono jednak nie z jedwabiów, ale z kłamstw.

Idź dalej, coraz dalej.

Nawet z bliska góry były piękne, chociaż pozbawione szczegółów i nienaturalnie małe. Wako wyciągnął przed siebie dłoń, położył ją na zimnej krzywiźnie ściany. Pejzaż przypominał zatopiony we szkle malunek.

Życie pod kloszem. Życie w kokonie.

W miejscu, do którego doprowadziła go ścieżka, widać było ledwie widoczny zarys prostokątnych drzwi. Czarne szpary cięły sztuczny krajobraz gór, stąd będący już tylko doskonałej jakości obrazem. Nie otwierano ich futurystycznym przyciskiem, ale prostą, wtopioną w ścianę dźwignią.

Wako spojrzał na niebo, na którym dawno zdążyło wstać sztuczne słońce i na ogród, skąpany w jego pozornie naturalnym blasku. Domu nie było stąd widać, zasłoniły go trawy i owocowe drzewa.

Pociągnął dźwignię. Drzwi zasyczały jak rozjuszony wąż i rozsunęły się. Wako wszedł w korytarz, zupełnie inny od

tego fragmentu świata, który dotąd pokazywała mu gospodyni. Drzwi zamknęły się za nim, po czym znów zasyczały gniewnie. Zielona lampka nad jego głową zapłonęła czerwienią i Wako poczuł, że unosi się do góry, gdy pole grawitacyjne… może nie znikło całkiem, ale na pewno osłabło.

Popłynął korytarzem, który przypominał gładkie i wąskie gardło bestii. Łapał się uchwytów, porastających ten przewód jak grzyby, podciągał irracjonalnie lekkie ciało raz za razem. Żołądek podpełzał mu do gardła, miał też lekkie zawroty głowy, ale poza tym nie obeszła go zmiana grawitacji. Był już tam, gdzie ona w ogóle nie istnieje.

Zatrzymał się przy bulaju, ziejącym czernią w ścianie korytarza. Uczepiony uchwytów, wyjrzał przez niego.

W bezkresnej, lodowatej ciemności świeciły słabo punkciki gwiazd.

Wako poczuł uderzenie gorąca. W gardle go dławiło, dłonie zaczęły drżeć. Jego kokon unosił się cały czas w pustce, tkwił w nim uwięziony tak samo, jak przedtem w skafandrze. Łudził się, jedynie łudził. Być może jego zapasy tlenu już się skończyły. To by wyjaśniało ten ból, wypełniający klatkę piersiową. Nie! To jego serce galopowało tak szybko, jakby chciało się wyrwać na wolność. Żołądek zwinął się, wciskając w przeponę. Stąd ten ból.

Uciekł. Uciekł od bulaja, z powrotem do drzwi. Pole grawitacyjne włączyło się, a wrota raju rozszczelniły. Wbiegł na żwirowaną ścieżkę. Przewrócił się. Zgubił gdzieś

jeden but i drobne, białe kamyczki boleśnie wbiły mu się w stopę. Dyszał ciężko, siedząc pod namalowanym krajobrazem gór, uparcie patrzył na ogród. Serce wciąż wygrywało kankana, łomocząc w piersi jakby chciało pęknąć na pół.

Jeżeli taka była cena prawdy to nie chciał, nigdy nie chciał jej poznać! Ten strach nie opuści go już nigdy. Nie odnajdzie bezpieczeństwa.

Chrapał jak koń, którego zmuszono do samobójczego cwału. Wiatr, delikatny, syntetyczny wiatr głaskał trawy, które kołysały się i pyliły. Z głośnym buczeniem nadleciała pszczoła, wylądowała ciężko na nogawce Wako. Kręciła się chwilę, badając ją włochatymi odnóżami, nim przekonała się, że oszukano jej ograniczone zmysły. Później odleciała.

Wako podniósł się i ruszył przed siebie.

* * *

– Proszę, wybacz – powiedziała, gdy zbliżył się do niej, nieruchomej na werandzie, pięty pod pośladkami, plecy proste. – Za bardzo się bałeś. Chciałam, byś sam to odkrył.

Usiadł obok niej. Bawił się bezwiednie zerwanym kłosem trawy, badając czubkami palców jego gładką, zieloną żywość.

– Daleko uciekłaś z tą swoją żałobą.

Patrzyła na własne splecione dłonie. Nie odpowiedziała.

– Jak się tu znalazłem?

– Dryfowałeś, gdy akurat wyszłam na zewnątrz. Byłeś nieprzytomny, w złym stanie. Miałeś szczęście, że… no,

niewiele brakowało, a bym cię nie dosięgła.

– Szokujący zbieg okoliczności.

– Tak. Miałeś ogromne szczęście.

– Co to za miejsce?

– Po prostu statek, jednoosobowa wyprawa. Jestem tylko elementem ludzkim. Wszystkim zajmują się inteligentne maszyny, ja zajmuję się nimi. Naprawdę interesuje cię, dokąd i po co lecimy?

Wako milczał przez chwilę.

– Tak. I nie – powiedział. – Za ile lat będę mógł odejść?

– Z pewnością zawiniemy po drodze na jakąś stację badawczą. Tam będziesz mógł zostać, złapać inny statek... cokolwiek.

– To zależy ode mnie? Czy od ciebie?

– Nie przeszkadzasz mi, jeśli o to pytasz – odrzekła. – Możesz zostać. Możesz odejść. Dla mnie to bez różnicy.

Oczywiście. Był elementem krajobrazu, takim samym jak ule, owocowe drzewa i strumień.

Skinął głową, wstał i poszedł wziąć prysznic.

* * *

Rozumiał ideę tego domu. Ktoś, kto nosi żałobę, kto uciekł przed światem w pustkę kosmosu, szukać swojej drogi do nirwany w samotności, oszalałby, gdyby go nie miał. To miejsce stanowiło odseparowaną od świata wieżę, tysiąckroć piękniejszą niż szklane zamki ze znanych Wako bajek.

Było ucieczką. I kotwicą zarazem.

Zamierzał jeszcze przez jakiś czas wierzyć, że nigdy nie dotarł na kraniec ścieżki.

Zimowa kraina – Maria Dunkel

Trzech przemarzniętych łowców brnęło przez ośnieżony las. Posuwali się naprzód boleśnie powoli, a ich ciężki chód zdradzał znużenie. Jeden prowadził na smyczach sforę długowłosych chartów, które niespokojnie węszyły w powietrzu. Inny ciągnął za wodze małego, włochatego kucyka. Z ust ludzi i pysków zwierząt z każdym oddechem buchały białe obłoczki. Z nieba zaczynał sypać śnieg.

– Znów zawieja – odezwał się barczysty blondyn z odmrożonym nosem.

– Nie kracz, Puszczyk – mruknął ten z psami, również jasnowłosy, a przy tym wysoki i żylasty. – Może przejdzie.

– Nie przejdzie – powiedział ponuro ostatni łowca, który prowadził towarzyszy po krwawym, wilczym tropie. Drżał bez przerwy, twarz miał czerwoną od mrozu, jego brązowe włosy były krótko obcięte, a policzki porośnięte krótkim, szczeciniastym zarostem, dużo nędzniejszym od wspaniałych bród kompanów. – Może zdążymy wytropić cholerstwo zanim całkiem zasypie ślady – dodał.

– Trop, Ogar, trop – zarechotał Puszczyk. – Jesteś lepszy niż charty. Znajdziesz bestię.

– Zależy ile uszła – powiedział żylasty.

– I kto teraz kracze, Niedźwiedź, hę?

Niedźwiedź w odpowiedzi wzruszył ramionami.

Wlekli się dalej w milczeniu, zmarznięci i zmęczeni długimi łowami, ale nieugięci. W ciągu ostatniego tygodnia wytropili już i zabili w Złym Gaju około trzydziestu wilków, których futra sprzedali po przyzwoitej cenie osiemdziesięciu rubli od sztuki. Dawało to osiemset rubli na głowę. Przy podobnej ilości przez resztę miesiąca każdy z nich zarobiłby ponad trzy tysiące. Wobec podobnego argumentu perspektywa kary śmierci za kłusownictwo nie wydawała się wystarczająco straszna, by zrezygnować z polowań.

Trop ciągnął się dalej wśród iglastych drzew. Łapy wilka odbiły się głęboko w puszystym śniegu. Zwierz był ranny, krople jego krwi znaczyły trop. Ogar znalazł miejsce, w którym drapieżnik usiadł, by przez chwilę odpocząć. Później ślady poprowadziły go dalej.

Śnieg padał coraz gęściej, lecz łowcy uporczywie parli naprzód.

Nagle charty wyczuły zwierzynę. Szarpnęły się na smyczach i zaczęły warczeć. Niedźwiedź je wypuścił. Psy pognały w las, ujadając wściekle. Kłusownicy ruszyli w ślad za sforą, wlokąc kucyka, który niechętnie przyspieszył kroku.

Psy rzuciły się do korzeni wielkiej, starej sosny. Szczekając jak szalone, rozkopywały śnieg.

– Schował się w jamie, skurwysyn – powiedział Puszczyk, obracając w rękach długą włócznię. – Musi być z nim kiepsko. Dobrze go urządziłeś, Ogar.

Z tymi słowami łowca podszedł do rozwścieczonych psów.

Wilk rzeczywiście ukrył się w norze, najwyraźniej borsuczej, bo ledwo się w niej zmieścił. Szczerzył zęby, warczał na psy i chwytał za pysk każdego, który śmiał podejść zbyt blisko. Z jego prawej pachwiny sterczała ułamana strzała. Ranny, nie mógł nadążyć za watahą ani schwytać zdobyczy. Na widok myśliwego zaczął bronić się jeszcze zacieklej.

Puszczyk wbił włócznię prosto w łeb drapieżnika. Grot z chrupotem przebił czaszkę. Wilk szarpnął się w śmiertelnym spazmie, po raz ostatni ugryzł powietrze i oklapł.

Charty odstąpiły, zdyszane i podniecone. Wywiesiły z poranionych pysków ozory. Niedźwiedź chwycił ponownie ich smycze. Tymczasem Puszczyk i Ogar wywlekli z nory ciało wilka. Ważył z dziewięć kamieni. W milczeniu przewrócili go na grzbiet, a później wzięli się za skórowanie.

Śnieg sypał już tak gęsto, że wokół nich nie było nic poza bielą.

* * *

Tego dnia nie mogli już dłużej polować. Zawieja zapędziła ich pod ogromny świerk. Z innego drzewa odłamali gałęzie, które oparli o pień choinki, tworząc w miarę wygodne, chociaż ciasne schronienie. Konia – starannie okrytego pledami, z workiem paszy na pysku –

uwiązali na zewnątrz. Niedźwiedź okręcił smycze psów wokół pnia. Wiatr wył, szarpał wściekle koroną drzewa i miotał śnieg w ściany prymitywnego szałasu. Oparty o pień Ogar sączył gorzałę ze swojej manierki. Puszczyk mościł sobie posłanie z kolczastych gałązek i koców. Niedźwiedź zapalił cuchnącą fajkę i nasłuchiwał.

To była najdłuższa zamieć, jaką trzech łowców kiedykolwiek przeżyło. Gdy pokładli się spać, śnieg wciąż padał, a wiatr zawodził potępieńczo, mieszając się z żałosnym skomleniem psów.

* * *

Niedźwiedź ocknął się w ciemności. Wiatr ucichł. Sfora ujadała. Koń kwiknął ostro.

Łowca zaklął i odrzucił okrycie. Zimno przeszyło go do szpiku kości. Szczękając zębami, wzuł buty i chwycił łuk. Wstał. Stęknął cicho, naciągnął cięciwę i wyjął z kołczanu kilka strzał.

– Gdzie idziesz? – wymamrotał sennie Ogar.

– Koń…

– Pieprzyć konia, Niedźwiedź.

– Słyszałem…

– Ja też. Już po nim. To wilki albo coś jeszcze gorszego. Kładź się.

– Nie będą żarły mojego konia – odrzekł Niedźwiedź.

Rozchylił gałęzie tworzące ścianę szałasu. Obsypał go świeży śnieg. Łowca zadrżał, gdy kilka zimnych grud spadło

mu za kołnierz. Przedostał się przez miękką zaspę i stanął po kolana w śniegu.

Noc była jasna i mroźna. Psy warczały, śliniły się i ujadały. Niedźwiedź włożył strzały w zęby. Jedną nałożył na cięciwę. Powoli obszedł drzewo. Śnieg skrzypiał mu pod nogami.

Ogromny, biały wilk wlókł w głąb lasu końskie truchło, zostawiając za sobą szeroką, poznaczoną krwią ścieżkę. Na widok Niedźwiedzia wypuścił zdobycz i warknął głucho, po czym ruszył w kierunku kłusownika.

Mężczyzna uniósł łuk.

Wilk skoczył.

Łowca zwolnił cięciwę i jednocześnie krzyknął.

* * *

Ogar jeszcze przez chwilę nasłuchiwał ujadania psów. Wreszcie niechętnie odrzucił koce, owinął się starannie w gruby, futrzany płaszcz i sięgnął po własny łuk. Wciągnął buty, nie zawracając sobie głowy ich sznurowaniem. Trącił pochrapującego cicho Puszczyka.

– Idę po Niedźwiedzia – mruknął.

– Co z nim? – zaniepokoił się drugi kłusownik.

– Poszedł sprawdzić, co zżarło nam konia.

Ogar wydostał się z szałasu. Psy rzuciły się ku niemu, zaślinione i oszalałe z zapału. Z trudem uwolnił się z masy skłębionych cielsk.

Zrobił dwa kroki i stanął nad ciałem Niedźwiedzia. Łowca leżał z rozrzuconymi rękami wśród rozsypanych

strzał. W jednej dłoni wciąż kurczowo ściskał łuk. Oczy i usta miał szeroko rozwarte. Na jego twarzy zastygł grymas strachu i determinacji. Z rozszarpanego gardła zwisały strzępy skóry i mięsa.

Ogar podążył wzrokiem za śladami wielkich łap. Zobaczył leżące nieco dalej truchło konia z kawałami mięsa wyrwanymi z brzucha oraz krwawy trop, prowadzący między drzewa. Przeszedł kilkanaście kroków po śladach. Mógł sobie wyobrazić, jak wilk biegnie, kulejąc, a jucha skapuje z jego rany, znacząc ślad – zawsze tej samej łapy.

Zaciął usta i wrócił do prymitywnego szałasu.

* * *

Puszczyk został, by pochować Niedźwiedzia. Ogar wyruszył po zemstę. Nie bał się samotnego wilka, nawet pieprzonego ludożercy.

Psy chętnie chwyciły świeży trop. Biegły z nosami nad krwawym śladem. Ślina zamarzała im na pyskach. Oddechy parowały w powietrzu. Ogar trzymał smycze i spowalniał sforę, chociaż szedł najszybciej jak potrafił. Mróz szczypał go w twarz. Było straszliwie zimno, ale pogodnie. Drzewa trzeszczały cicho, jakby ich pnie pękały od wewnątrz. Świat ogarnął bezruch. Łowca i jego psy zdawali się być cieniami albo zbłąkanymi duszami, prącymi naprzód w szarówce wczesnego poranka.

Nagle Bystra, łaciata suka, zatrzymała się. Zadarła łeb, poruszając małymi, spiczastymi uszami. Jej długi ogon

uderzał po udach. Bez ostrzeżenia rzuciła się naprzód. Za nią popędziły inne psy.

Ogar potknął się i wypuścił z rąk smycze. Sfora poszła w las. Szczekanie chartów zmieniło tonację, zlewając się w jeden ciągły, śpiewny jazgot.

Kłusownik zdjął z pleców łuk i pobiegł ile sił w nogach. Patrzył pod nogi, badając ślady. Charty wydeptały w miękkim śniegu szeroką ścieżkę. Wiła się między drzewami, pod wykrotem, przez kępę suchych, połamanych krzaków.

Ujadanie brzmiało w uszach Ogara coraz głośniej. Sfora dopadła ofiarę, otoczyła ją i zatrzymała się.

Oczom łowcy ukazały się zaśnieżone zabudowania, majaczące wśród drzew. Zwolnił. W płucach go żgało. Zbliżył się na tyle, by rozpoznać kształty kilku dużych, zrujnowanych chat, obsypanych śniegiem. Straszyły ich puste okna i obdarte, oprószone bielą ściany. Dachy uginały się pod ogromnym ciężarem śniegu, jeden zapadł się głęboko.

Psy obskoczyły potężny, stary świerk rosnący pośród zabudowań, zadarły łby i szczekały zajadle. Strzępy śliny spływały im z pysków, zamarzając, nim jeszcze dotknęły ziemi. Zjeżone zwierzęta skakały i stawały na tylnych łapach, zupełnie jakby się wściekły. Ogar zagwizdał, ale żaden z psów nie zareagował.

Łowca zastanawiał się, co mogło być powodem podobnej furii. Przez myśl przeszło mu, że to północny tygrys ukrył się w koronie drzewa, ale gałęzie iglaka nie

wytrzymałyby podobnego ciężaru. Zbliżył się jeszcze kilka kroków i wtedy ją dostrzegł.

Jednego z niższych konarów rozpaczliwie czepiała się kobieta, owinięta w białe futro. Pomachała mu ręką.

– Możesz zabrać psy, panie? – zawołała niskim, ochrypłym głosem.

Ogar wydał nieokreślony dźwięk, ale podszedł i spróbował jakoś opanować rozszalałą sforę. Psy warczały na niego, odgryzały się, gdy chwytał je za sierść i szarpał smycze. W końcu zdołał odciągnąć je od drzewa i przywiązać do młodej sosny. Bystra zaczęła gryźć, więc nadepnął jej na łapę. Suka warknęła i ukąsiła go w łydkę. Zaklął, sypnął jej śniegiem w pysk, po czym odszedł, kulejąc.

Kobieta powoli złaziła z drzewa. Pośliznęła się na ostatniej gałęzi, krzyknęła cicho i spadła w miękki śnieg. Ogar podbiegł, żeby jej pomóc.

– Dziękuję – jęknęła, chwytając jego rękę i siadając.

Futro, którym się okryła, należało do wielkiego wilka – jego szczęka ozdabiała kaptur. Włosy kobiety były platynowe, skóra niewiele od nich ciemniejsza. Twarz miała lekko zaokrągloną, z wysokim czołem i delikatnymi rysami. Oczy błyszczały zielenią. Wstała, jedna noga ugięła się pod nią. Upadłaby, gdyby Ogar nie złapał jej w ramiona.

– Coś nie tak? – spytał.

– Jeden z twoich psów mnie ugryzł – poskarżyła się cicho. – Widzę, że ciebie też.

Ogar zerknął na poszarpaną łydkę. Wzruszył nieznacznie ramionami.

– Powinniśmy to opatrzyć. – Kobieta chwyciła go za zgrabiałą dłoń i pociągnęła w kierunku zrujnowanej chaty.

Poszedł za nią bezwolnie. Kim była? W jakim dziwnym, opuszczonym miejscu się znalazł? Pytania kłębiły mu się w głowie.

Kuśtykając, dotarli do oblepionych śniegiem drzwi. Kobieta pchnęła je i wciągnęła Ogara do ciemnego wnętrza chaty. Przez puste okiennice wpadało zimne powietrze. W środku nie było żadnych mebli. Niemal przemocą wleczony przez izbę łowca nie zdążył nawet się rozejrzeć, bo jasnowłosa otwarła kolejne drzwi i wepchnęła go do mniejszego pomieszczenia.

Tutaj w oknie była szyba, zupełnie zamalowana szronem, a poza tym proste palenisko, rozgrzebane łóżko i stolik z krzesłem, na którym posadzono Ogara. Oszołomiony mężczyzna nie protestował. Patrzył na swoją gospodynię, która klęknęła przed paleniskiem. Pomyślał, że powinien jej pomóc, ale nim zrobił jakikolwiek ruch, iskra zatańczyła na suchej podpałce i po chwili ogień palił się na całego. W izdebce zaczęło robić się gorąco.

Ogar chwilę rozcierał czerwone od mrozu, zgrabiałe dłonie, a potem ściągnął futro, zostając w baranim kaftanie, białej koszuli i spodniach z ciepłej wełny. Obserwował kobietę, która rzuciła wilczy płaszcz na łóżko, postawiła na palenisku garnek i bez zapału mieszała w nim drewnianą łyżką. Jej wytarte, skórzane odzienie maskowało sylwetkę.

Zdjęła wreszcie naczynie z ognia i postawiła je przed Ogarem. Chwycił łyżkę i spróbował gorącego gulaszu z kaszą.

– Dziękuję – wymamrotał. – Ale nie chciałbym się narzucać...

Machnęła ręką i opadła na łóżko. Twarz jej wyraźnie poszarzała. Usiadła tyłem do Ogara. Słyszał, jak szeleści ubraniami i domyślił się, że chce zobaczyć ślad po psim ugryzieniu.

– Jak się nazywasz? – spytał.

– Kita.

Pospolite imię – pomyślał. *Całkiem ładna... Że też sama tu mieszka. Albo i z kimś*?

– A... – zaczął.

Nagle krzyknęła cicho, a zaraz potem zaklęła. Przestraszony Ogar poderwał się na nogi.

– Co, do...? – jęknął i pobladł.

Kita podwinęła wyżej spódnicę i wyrwała z biodra fragment strzały. Znaczną jej część musiała ułamać wcześniej – od okrwawionego grotu pozostało najwyżej pół dłoni drzewca. Teraz z rany bryzgnęła na pościel czerwona struga. Kita przycisnęła do tego miejsca rękę, ale lepka, gorąca krew przeciekała jej między palcami.

Ogar poczuł, że cały gulasz, który zdążył zjeść, cofa się mu do gardła. Przełknął z trudem i spytał:

– Kim ty jesteś?

– Jedz.

– Kim?

Próbowała się podnieść, ale pchnął ją z powrotem na łóżko. Szybkim ruchem zanurzyła dłoń pod poduszkę i wyciągnęła spod niej wielki nóż do szlachtowania zwierząt. Ogar odskoczył, wpadł na krzesło i przewrócił się, uderzając głową w ścianę. Przed oczami zatańczyły mu mroczki.

Szedłem po tropie wilka – pomyślał, rozpaczliwie chcąc sobie wszystko poukładać. *Rannego wilka. I wpadłem w pieprzoną pułapkę*. Jakim cudem dzika bestia stała się kobietą i co znaczyły chaty w środku lasu Ogar nie wiedział wciąż, ale przynajmniej wyjaśniła się gwałtowna reakcja psów.

Kita zaatakowała. Zdołał chwycić ją za nadgarstek, nim wbiła mu nóż w gardło. Zaklął.

– Po… cholerę… mnie tu…? – wycedził.

Była silna. Ledwo udawało mu się opierać. Pochyliła się nad nim. Jej oddech cuchnął zgnilizną.

– Mogłam cię nakarmić, łowco, i dać ci trochę przyjemności przed spokojną śmiercią we śnie. Sam wybrałeś swój los.

Zgiął nogę w kolanie, po czym kopnął kobietę w brzuch. Poleciała do tyłu i klapnęła na deski podłogi, ale nie wypuściła z ręki ostrza.

– Cholerna wariatka! – wrzasnął Ogar.

Kita poderwała się na nogi. Cięła szeroko. Wciąż oszołomiony Ogar, który zdołał wreszcie się podnieść, uchylił się przed ciosem. Rzucił się do drzwi. Wystarczyła jej sekunda nieuwagi. Zaatakowała, uderzając łowcę

w plecy. Rąbnął w drzwi szczęką. Ostrze noża dotknęło jego szyi, ale zdążył unieść rękę i chwycił zimną klingę.

Krew bryzgnęła z przerżniętych palców. Zacisnął zęby z bólu. Kita zaklęła, złapała łowcę za kark i szarpnęła nożem.

Rzucił się do ucieczki, ale nim wyrwał się Kicie, pchnęła na oślep w jego plecy. Krzyknął z bólu i upadł na próg. Kobieta przygniotła go swoim ciężarem. Zamachał bezradnie rękami, ale zdołał tylko wyrwać garść białych włosów.

– Nie musimy tak tego rozegrać! – zawołał.

Znów przyłożyła mu ostrze do gardła. Szarpnął się jak ryba. Zdołał zrzucić z siebie kobietę.

– W zimowej krainie obowiązuje tylko jedno prawo – warknęła, unosząc okrwawioną broń. – Musisz zabić lub zostać zabitym. Nie ma kompromisów.

Zaatakowała. Ogar ledwo zdołał uchylić się przed morderczym cięciem. Kita siekła powietrze tuż przed jego nosem.

Przed chatą rozbrzmiało szczekanie sfory.

Kita zamarła. Ogar skorzystał z okazji i rzucił się ku niej, chcąc wyrwać z ręki kobiety nóż. Uderzył w jej nadgarstek okrwawioną dłonią, drugą pięścią zdzielił w wargi. W odpowiedzi ugryzła go mocno, odepchnęła i skoczyła na łóżko.

Charty wpadły do chaty, ujadając szaleńczo.

Kita okryła się futrem, naciągnęła kaptur i wyskoczyła przez okno.

Ogar poderwał się z ziemi. Między sterczącymi z okiennicy odłamkami szkła zobaczył białego wilka umykającego w las. Był ogromny, chociaż wychudzony. Jego ruchy wydawały się rwane, rana wyraźnie dokuczała Kicie.

Psy nie dały za wygraną. Skoczyły przez okno śladem swojej ofiary. Wściekła, pstrokata sfora popędziła za kulawym wilkiem.

Na końcu do chaty wpadł Puszczyk z włócznią w rękach. Trząsł się jak liść.

– Idziemy! – powiedział do Ogara.

Ranny łowca zachwiał się i usiadł na podłodze. Emocje związane z walką opadły. Czuł się tak, jakby zaraz miał umrzeć. Zgiął pocięte palce. Szumiało mu w głowie. Rana w plecach zabolała. Z jękiem osunął się na bok. Puszczyk pochylał się nad nim, coś jeszcze mówił, ale on nie słuchał.

Zemdlał.

* * *

Ocknął się na łóżku. Z paleniska buchał żar. Czerwony blask był jedynym, co rozświetlało mrok nocy. Puszczyk siedział na krześle przy ogniu.

Ogar zacisnął zęby i usiadł. Zakręciło mu się w głowie. Zza wybitej szyby powiało lodowatym zimnem.

– Obudziłeś się – powiedział Puszczyk. – Trzeba się wynosić. To nie jest dobre miejsce.

– Jest tu ogień – jęknął Ogar. Jego głos brzmiał ochryple. – Mamy dach nad głową. Co aż tak ci się tu nie podoba?

Puszczyk spojrzał na niego z obawą, jego oczy błyszczały w mroku.

– To Wiedźmowy Dom – wyjaśnił cicho. – Kiedyś, gdy na północy rządziła jeszcze magia, mieszkały tu wiedźmy.

– Domyśliłem się – mruknął Ogar.

– Porywały dziewczęta i szkoliły je w swojej podłej sztuce, właśnie tu, w tych chatach. Rzucały stąd uroki i terroryzowały prostych ludzi. Ich bezpieczeństwa strzegło stado wargów...

– Wargów? – powtórzył Ogar.

Puszczyk z powagą skinął głową.

– Ogromnych wilków, które potrafiły przybrać ludzką postać. Są bardzo nieliczne. Kiedyś po Północnym Płaskowyżu grasowało pięć watah, dzisiaj jest ich mniej. Nie boją się ludzi. Nienawidzą ich. To podłe i niebezpieczne istoty.

Ogar z powrotem opadł na poduszki, bo świat wirował mu przed oczami.

– Co z Kitą? – spytał sufitu. – Z tym… wargiem, tak?

– Gdy cię opatrzyłem, poszedłem za sforą. Psy dopadły ją niedaleko stąd. Rozdarła cztery i uciekła. Ale widziałem, że Bystra ma w pysku pełno jej futra. Musiały ją nieźle poszarpać, cholery – wyszeptał i umilkł. – Za tobą ruszyłem zaraz po tym, jak zakopałem Niedźwiedzia. Kiedy zorientowałem się, że zmierzasz do Wiedźmowego Domu, pobiegłem. To zawsze było złe miejsce. Ludzie z Północy nigdy się tu nie zapuszczają – rzekł trwożliwie i rozejrzał się. – Jesteś dobrym łowcą, Ogar, ale za krótko polujesz

w tych lasach. Tutaj trzeba uważać na pozostałości Przedwieków, na resztki magii, na wszystkie te rzeczy, które powinny umrzeć, a jednak trwają.

– Zauważyłem – burknął Ogar. – I przeszła mi ochota na zemstę. Dajmy sobie spokój z tym wilkiem, wargiem czy czymkolwiek. Wracajmy do domu.

– Nie jesteś w stanie wrócić do domu – powiedział powoli Puszczyk. Wstał z krzesła. – Możliwe, że nie przeżyjesz. Zostawię ci Bystrą i trochę zapasów. Lubię cię, ale nie zginę za ciebie.

Rzucił na łóżko obok Ogara pakunek sucharów i suszonego mięsa. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, ranny wycedził:

– Skurwysyn.

Nie był głupcem. Wiedział, że zostawiono go na pewną śmierć. Może nawet sam postąpiłby podobnie, gdyby to na niego spadło zadanie opiekowania się rannym towarzyszem w dawnym siedlisku wiedźm i wargowej norze.

Otarł obandażowaną ręką spocone czoło. Okrył się pierzyną. Przywiązana do wezgłowia Bystra popiskiwała niespokojnie, szarpiąc się na smyczy. Wreszcie położyła długi pysk na poduszce obok głowy Ogara. Objął ramieniem szyję psa, zapatrzył się w okopcony sufit. Dokuczał mu ból. Zjadł jednego suchara, przewrócił się na bok i zasnął.

* * *

Obudziła go Bystra. Trawiony gorączką, trząsł się pod okryciem. Suka przegryzła smycz i skakała na drzwi,

warcząc wściekle.

– Bystra. Bystra, chodź tu, maleńka – zawołał cicho Ogar.

Pies nie posłuchał jego ochrypłego głosu.

Drzwi otwarły się.

Bystra ryknęła i dała potężnego susa, wpadając na stojącą w progu Kitę. Kobieta osłoniła się ramieniem. Upadła na ziemię. Przez chwilę szarpała się z psem, wreszcie zrzuciła go z siebie. Zmieniła się w wilka. Gdy Bystra przyskoczyła, chwyciła ją za gardło i zaraz odsunęła się, warcząc.

Suka zaskamlała. Stanęła na szeroko rozstawionych nogach i pochyliła łeb. Z jej rozprutej szyi ciekła ciemna, gęsta krew. Po chwili przewróciła się na bok. Szarpnęły nią drgawki.

Wreszcie znieruchomiała.

Kita obserwowała to mętnymi ślepiami, półsiedząc na podłodze. Później podniosła się. Utykała na zranioną tylną łapę, jedną przednią podkurczyła, jej uszy zwisały w strzępach, a sierść pozlepiała krew. Pysk, od nosa aż po lewe oko, szpeciła paskudna szrama. Padła na deski podłogi tuż przy dogasającym powoli palenisku.

Targany dreszczami Ogar patrzył na to półprzytomnie. Chciał się podnieść, ale zabrakło mu sił. Przewrócił się na bok, plecami do zabitej suki i leżącej nieruchomo wilczycy. Po chwili ponownie zmorzył go chorobliwy sen.

Śnił o wędrówce przez bezkresne, zaśnieżone pustkowie, o bestiach w lodowatych głębinach i płonących

lasach wśród białego bezkresu. *Musisz zabić lub zostać zabitym. Nie ma kompromisów.*

Obudził się dopiero następnego dnia, rażony jasnym światłem słońca. Zobaczył pochyloną nad paleniskiem Kitę. Wyczuła chyba jego wzrok, bo zerknęła przez ramię. Szrama na jej twarzy błyszczała ciemną czerwienią zakrzepłej krwi. Na powitanie kobieta skrzywiła się, po czym wzięła garnek i z wyraźnym trudem podeszła do łóżka. Opadła ciężko na jego skraj, po czym nabrała na łyżkę pływającego w gęstym sosie mięsa i wcisnęła ją Ogarowi w usta.

Zaskoczony, zakrztusił się, zaraz potem przełknął i zakaszlał. Gorący kawał ledwo przeszedł mu przez gardło.

– Nie… – zaczął.

Kita wepchnęła w jego usta kolejną porcję. Tym razem przeżuł i połknął, a potem usiadł z trudem. Pozwolił wcisnąć w siebie jeszcze jeden kawałek, nim zdecydowanie wyjął z ręki kobiety naczynie i zaczął jeść samodzielnie.

Obserwowała go w milczeniu.

– Jesteś silny – stwierdziła wreszcie.

Zaskoczony, chciał odpowiedzieć, ale zakrztusił się tylko i znowu zaczął kaszleć. Sos prysnął mu przez nos. Wcale nie czuł się silny.

– Dlaczego mnie nie zabiłaś? – wychrypiał. – Wtedy, zaraz potem jak uwiązałem psy ani teraz…

– Jedz – zachęciła, wciąż zamyślona.

Tym razem jej posłuchał, tym bardziej, że mięso smakowało nieźle. Gdy skończył, rozejrzał się po izbie. Na

palenisku płonął słaby ogień. Obok drzwi, tam gdzie wczoraj padła Bystra, ujrzał plamę wsiąkniętej w deski krwi i kilka kłaków. Wilcze futro leżało w nogach łóżka.

– Pies… – zaczął Ogar.

– Właśnie go zjadłeś – powiedziała Kita, zabierając mu garnek.

Wstała i odstawiła puste naczynie na palenisko. Odwróciła się do Ogara, mierząc go uważnym spojrzeniem. Zamarł. Zmusił wycieńczone ciało do gotowości na jej atak.

Kita zaczęła ściągać ubranie.

Zrzucała z siebie kolejne warstwy odzieży, odsłaniając blade ciało. Ślady psich ukąszeń oraz stare blizny znaczyły niemal każdy jego skrawek. Kobieta była straszliwie chuda, każda kość i każdy twardy mięsień rysował się wyraźnie pod jej skórą.

Ogarowi odebrało mowę.

Kita podeszła do niego, odsunęła skraj kołdry i usiadła okrakiem na jego udach. Rozwiązała mu spodnie. Delikatne muśnięcia jej palców oraz widok tego niezwykłego ciała mu wystarczyły. Gdy go dosiadła, chciał objąć ją ramionami. Pchnęła go zdecydowanie na poduszki i ujeżdżała, dysząc ciężko.

Za oknem znów padał śnieg.

* * *

Następne tygodnie należały do najbardziej szalonych w życiu Ogara. Przestał zadawać pytania. Jadł to, co dawała

mu Kita. Jej towarzystwo wpływało na niego kojąco. Nie była piękna, a jednak miała w sobie coś pociągającego.

Przez pierwsze dni rekonwalescencji walczył z gorączką i ropą wypełniającą ranę na plecach. Później nastąpiło krótkie załamanie, kiedy na przemian tracił przytomność i leżał bezsilnie na brzuchu, kontemplując ból. Wreszcie rozpoczął się powolny proces zdrowienia. Po dwóch tygodniach wstał. Obrabiał zwierzynę, którą przynosiła Kita. Dzielił mięso na surową porcję dla niej i na tłusty gulasz dla siebie.

Wkrótce po tym, jak podniósł się z łóżka, zauważył zmianę w zachowaniu Kity. Rzadziej inicjowała zbliżenia. Zerkała na niego gniewnie, gdy dzielił między nich mięso. Raz przyniosła śnieżnego zająca i nie pozwoliła mu go tknąć, dopóki sama się nie najadła. Wreszcie pewnego wieczoru, gdy próbował zdjąć z niej ubranie, odepchnęła go z wściekłym warknięciem.

– Zostaw mnie – rozkazała.

Narzuciła na siebie wilczy płaszcz, przemieniła się i pobiegła na polowanie.

Ogar zrozumiał, że nadszedł czas, aby odejść.

Okrył się swoim starym, cuchnącym futrem. Znalazł za chatą miejsce, gdzie Kita zakopywała resztki zdobyczy. Zardzewiałą siekierą odrąbał od zamarzniętego jeleniego udźca mięsne szczapy, którymi napełnił tobołek. Zabrał łuk i strzały, po czym niemal biegiem ruszył w las, jak najdalej od łowieckich terenów Kity.

W powietrzu czuć było wiosnę. Noce i poranki stawały się cieplejsze, śniegi topniały, strumienie zaczynały szemrać pod cienką warstwą lodu. Ogar uparcie zmierzał na południe. Następnego wieczoru, prawie dobę po ucieczce z Wiedźmowego Domu, wydostał się ze Złego Gaju.

Zaledwie wyszedł spomiędzy drzew, przystanął. Rozejrzał się. Pofałdowane, zmarznięte Przedgórze rozciągało się daleko na wschód i zachód. Na południu majaczyły skaliste, zaśnieżone szczyty Srebrnych Grani, najwyższego pasma gór Szeran.

Ogar odetchnął głęboko. Był wolny.

* * *

Powrócił do Złego Gaju w pełni lata. Zaledwie miesiąc wcześniej rozprawił się z Puszczykiem w zaułku za jedną z gospód w Kirkken. Miał już pewność, że potężny łowca nie porzuci więcej żadnego towarzysza.

Ziemia obrodziła bogactwem karłowatych zarośli, mchu oraz ostrych, twardych traw. W powietrzu unosiły się chłód i wilgoć. Ogar przedzierał się przez rzadkie, zielone poszycie. Nad głową miał baldachim ciemnych igieł. Tym razem wybrał się na łowy samotnie, bez psów i kompanii.

Wiedźmowy Dom znalazł bez większego trudu. Mała izdebka z wybitym oknem wyglądała na porzuconą. W sienniku na łóżku zalęgły się myszy, pod sparciałymi kocami mieszkało robactwo, a palenisko wypełniał stary popiół. Także spiżarka za chatą ziała pustką. Wyglądało na to, że ruiny opustoszały na dobre.

Ogar spędził noc na łóżku, wyglądając przez okno. Nad ranem upolował królika, zjadł posiłek i przespał się, by wieczorem znów rozpocząć czuwanie.

Zjawiła się czwartej nocy, krótko przed świtem. Dojrzał jej białą sylwetkę, gdy przemykała między drzewami. Wciąż była chuda i wyraźnie kulała na jedną łapę.

Ogar chwycił swój łuk i kołczan i wypadł przed chatę. Kita mignęła mu jeszcze wśród drzew. Rzucił się w tamtym kierunku. Biegł na oślep, wypatrując jakiegokolwiek tropu. Przebył mały strumyk, wspiął się na niski pagórek i niemal wpadł do ogromnego parowu. Stanął gwałtownie, opierając się o pień drzewa.

Nora znajdowała się pod wykrotem ogromnej sosny. W wejściu do niej wylegiwał się tłusty szczeniak. Dwa inne przewalały się wśród ciernistych krzaków, warcząc na siebie. Wszystkie miały sierść o brązowym odcieniu. Ich matki Ogar nie widział.

Przynajmniej dopóki go nie zaatakowała.

Musiała przyczaić się w innym parowie albo gdzieś wśród poszycia. Gdy ją zauważył, było już za późno. Skoczyła na niego z impetem i zwalili się na ziemię. Przerażone szczeniaki prysnęły do nory. Ogar zgubił broń. Wbił palce w luźną skórę na szyi warga i rozpaczliwie odpychał od siebie ogromny łeb. Kita kłapała mu szczękami tuż przed twarzą, bryzgając śliną. Jej żółte kły zwierały się z przerażającym zgrzytem.

Zdołał kopnąć ją w brzuch. Wilczyca odskoczyła. Stanęła między nim a norą, zjeżona i wściekła.

– To ja – powiedział Ogar. – To tylko ja.

Warkot grzmiał w gardzieli Kity, ale jej nastroszone futro opadło. Spazm szarpnął jej ciałem, rozległ się nieprzyjemny odgłos, jakby rozdzierano materiał. Zmieniła się w siedzącą w kucki kobietę. Poprawiła płaszcz na ramionach.

– Czego tu szukasz? – spytała ostro.

– Odpowiedzi – odrzekł.

Przyglądała mu się z namysłem.

– Głupiec – stwierdziła w końcu. – Myślałeś, że nie zabiłam cię z miłości? Że postanowiłam okazać ci łaskę?

– Myślę, że nie zabiłaś mnie, bo nie zdążyłaś – powiedział spokojnie. – Odszedłem, zanim wbiłaś mi nóż pod żebra.

– Tak. Musiałam przez to opuścić Wiedźmowy Dom. Nie mogłam pozwolić, żebyś wrócił tam z bandą swoich przyjaciół i wszystko zmarnował. – Obnażyła pożółkłe zęby. – Zbyt wiele kosztowało mnie znoszenie twojego dotyku przez tak długi czas.

– To głupie oskarżenie – stwierdził Ogar. – Pieprzyliśmy się z twojej inicjatywy.

– Nie dla mojej przyjemności.

– Domyśliłem się. Oszczędziłaś mnie, żebym spłodził dzieci.

– Tak.

– Przedtem próbowałaś mnie zabić.

– Przedtem nie znałam twojej wartości – wyjaśniła z irytacją. – Zabrałam cię do chaty, z dala od psów.

Powinnam poderżnąć ci gardło, zanim zaczęłam wyciągać strzałę, ale cholernie mi dokuczała. To był błąd – warknęła i umilkła na chwilę. – Zabiłabym cię tak czy inaczej, gdyby nie pojawił się twój kompan. I tak powinieneś zdechnąć. Tymczasem, gdy uciekłam psom i wróciłam, miałeś się całkiem nieźle jak na kogoś, kto dostał w plecy tasakiem.

– I uznałaś, że ktoś tak wytrzymały będzie odpowiednim ojcem dla wargów? Jak to możliwe, że urodziły się wilczętami?

– Jedno było ludzkie – powiedziała Kita. – Zwykle wystarczy, że jedno z rodziców jest wargiem, by dzieci również nimi były. Ale ludzkie dzieci czasem trafiają się w miotach mieszańców.

– Co się z nim stało? Z tym ludzkim dzieckiem?

– Zabiłam je.

Ogar przełknął ślinę. Pokiwał głową.

– Mogłem się domyślić.

– Mogłeś – przyznała.

Patrzyli na siebie.

– Czy nie ma innych wargów? – spytał Ogar. – Byłaś aż tak zrozpaczona, aby...

– Nie ma – przerwała mu Kita. – Jak długo na północy żyły wiedźmy, wargowie trwali u ich boku. Byliśmy ze sobą nierozerwalnie związani. Kiedy przybyli tu ludzie z Cesarstwa i zaczęli wykorzeniać magię, wiedźmy i wargów spotkał wspólny los. Ci, którzy przetrwali wielkie prześladowania wiedźm, wmieszali się między wilki i kryli tchórzliwie po lasach, narażeni na śmierć z rąk takich jak

ty… – urwała. – Łowcy zarżnęli mi matkę, ojca, brata i wielu innych pobratymców. Ja przetrwałam. I tak, byłam ostatnim z wargów. Teraz znów jest dla nas nadzieja – oblizała wargi. – Jak ci smakuje wiedza, za którą zapłacisz życiem?

Ogar sięgnął po broń, lecz Kita była szybsza. Przemieniła się błyskawicznie, skoczyła na niego, przygniotła białym cielskiem. Wsadził przedramię między jej szczęki, chroniąc gardło przed wilczymi kłami. Lewą ręką wyrwał zza pasa nóż i wcisnął ostrze pod łapę zwierzęcia.

Kita odskoczyła w bok. Ogar podniósł się na kolana, unosząc broń. Wilczyca warknęła groźnie. Mierzyli się wzrokiem.

Łowca poderwał się na nogi i rzucił do ucieczki.

Usłyszał za sobą miękki tupot wilczych łap.

Musisz zabić lub zostać zabitą – pomyślał. *Nie ma kompromisów*.

Ból rozrywał mu płuca. Kita dyszała w kark. Jej kroki dudniły tuż za nim. Szelest miażdżonych wielkimi łapami roślin wypełniał jego uszy.

Ogar dotarł do Wiedźmowego Domu resztkami sił. Czuł, że dalej nie pobiegnie. Odwrócił się, unosząc nóż.

Las za jego plecami był cichy i pusty. Ogar zaczął rozglądać się na wszystkie strony.

Nikt go nie ścigał.

Odetchnął z ulgą.

Kątem oka dojrzał jakiś ruch. Odwrócił się, ale było za późno.

Kita wypadła z parowu, zasłoniętego przez gęsto rosnące młode choinki. Pognała w kierunku Ogara. Czekał na nią z nożem w dłoni.

Dopadła go. Osłonił się ramieniem. Runął na twardą ziemię. Dźgał nożem powietrze i ciało. Kita wyszarpała mu z ręki kawał mięsa. Odgryzła ucho. Rozpruła rękaw wraz z bicepsem. Zmiażdżyła w szczękach nadgarstek dłoni, w której trzymał nóż. Krew ciekła z jej poranionych nożem barków i pociętego pyska.

– Mogę was ochronić! – wychrypiał Ogar. – To też moje dzieci, na litość…

Złapała go za gardło, rozdarła je szarpnięciem i odstąpiła na sztywnych łapach.

Mężczyzna leżał bezwładnie, wpatrzony w błękitne niebo. Życie wypływało z niego czerwoną rzeką.

Nie wiedział, czego się spodziewał, wracając do Złego Gaju. Rodzinnej sielanki? Wyznań miłości? Prawdy mniej okrutnej od tej, którą dostał? Bez względu na to, o czym myślał, podejmując postanowienie o powrocie, zapomniał o podstawowej kwestii.

W zimowej krainie jedyną karą za zlekceważenie jej praw jest śmierć.

Maria Dunkel

Rocznik 1993. Mieszka w Katowicach, obecnie pracuje jako programista. Lubi wiele rzeczy, przede wszystkim fantastykę, herbatę i wchłanianie zbędnych informacji. Interesuje się także Dalekim Wschodem i Skandynawią. Nie rozumie, jak można nie kochać zwierząt i sernika. Nie słodzi kawy. Pisać zaczęła w wieku lat dwunastu, po lekturze Władcy Pierścieni. Nie przestała do dzisiaj, ma jedynie nadzieję, że wychodzi jej to lepiej. Laureatka kilku konkursów, mniej i bardziej istotnych. Zadebiutowała w „Esensji" w 2012, na papierze zaś rok później w „Fantastyce Wydaniu Specjalnym". Publikowała także w „Fahrenheicie", „QFancie", „Szufladzie", „Creatio Fantastica" i „Lost&Found Mega*zine".

http://geniuscreations.pl/autorzy/maria-dunkel/

Inny Zabójca Smoków – Marcin A. Guzek

– Prawdziwa sztuka wymaga cierpienia – stwierdził Juri i wepchnął sobie kij do tyłka. Nie wiem, ile było w tym sztuki, ale wyraz jego twarzy zdecydowanie nie przywodził na myśl męczarni, powiedziałbym, że wręcz przeciwnie. „Cierpienie uszlachetnia” – powiedział ktoś inny.

Ta osoba nie była szlachetna, raczej żałosna. Myślę, że na początku ludzie wymyślili te powiedzenia, by przetrwać, znaleźć jakiś sens w swoim bólu. Potem przyszli ci, którzy w to uwierzyli i zaczęli dążyć do tego uczucia, by się uszlachetnić. A na koniec pojawili się ci, dla których było to tylko usprawiedliwienie, by dążyć do cierpienia. Masochiści, że użyję uczonego określenia.

Ja nie lubię bólu. Ale kiedy już cierpię, to na całego. Uwielbiam wchodzić w rolę męczennika, użalać się nad sobą w nieskończoność. Chyba wszyscy czasami to robimy. Ktoś mądry kiedyś stwierdził, że każdy cierpi najbardziej. Tak naprawdę wszyscy jesteśmy w jakiś sposób masochistami.

Czekoladowy?

Dziwne uczucie, nie mogę sobie przypomnieć jej twarzy. Jakby to wspomnienie ukryło się za murem wyobrażeń, na temat tego, jak powinna ona wyglądać. To chyba nic

dziwnego, ostatecznie po tych wszystkich historiach tłoczonych do mojej głowy przez całe życie, musiałem mieć cały system wyobrażeń na temat tego, jak powinna wyglądać Królewna. Rzeczywistość nigdy nie pasuje do naszych wyobrażeń.

Nie twierdzę przez to, że Królewna nie była piękna. Naprawdę była olśniewająca, ale po prostu inna niż w mojej wyobraźni. Pewnie mógłbym teraz z nią być, zamiast tkwić na tym cholernym pustkowiu.

Truskawkowy?

– *Co tak cię przeraża?* – tak powitał mnie Wielki Mędrzec, kiedy pierwszy raz go spotkałem. Szczerze mówiąc, wcale nie był on taki mądry. Był za to naprawdę stary. Jeśli ma się dużo czasu i nic do roboty, to nietrudno zostać mędrcem. Ale z tym przywitaniem trafił świetnie, choć wtedy o tym nie wiedziałem. Później okazało się, że wszystkich wita podobnym stwierdzeniem. Zawsze trafia. W sumie nic dziwnego, każdego coś dręczy, przeraża, martwi, smuci. Każdy ma swoje demony.

Marchewkowy?

Sam już nie wiem, jakby z każdym łykiem smak tego napoju się zmieniał. Tak już jest z magicznymi miksturami, produkowanymi przez stare zbzikowane wiedźmy. Ale daje niezłego kopa, lepszego niż grzybki Śmieszka.

Pewnie na tym etapie zastanawiasz się już, po co to piszę. Dobre pytanie. Bo potrafię? Nie śmiej się, to całkiem dobra odpowiedź. W wiosce, z której pochodzę, nikt nie potrafił czytać i pisać. Ja sam nauczyłem się zaledwie kilka

dni temu, a może tygodni lub miesięcy… Trudno powiedzieć, w tym miejscu łatwo stracić poczucie czasu. I użyłem określenia „nauczyłem się”, chociaż to nie do końca prawda, bo sugeruje ono, że tego chciałem i poświęciłem na to czas, włożyłem jakiś wysiłek. A ja po prostu nagle zyskałem tę zdolność i wiedzę o takich trudnych słowach jak „zdywersyfikować” i „chronologicznie”. Kiedy tylko tu trafiłem. Zaraz po tym, jak zabiłem swojego pierwszego smoka. A może to on zabił mnie? Jeszcze tego nie ustaliłem. się powinienem chyba się przedstawić: jestem Inny i zawodowo zajmuję się zabijaniem smoków. Ale może po kolei, chronologicznie.

Urodziłem się w małej, urokliwej wiosce, gdzieś w puszczy. Jej nazwa nic ci nie powie. To tylko słowo, które nie ma już znaczenia ani dla mnie, ani dla tej historii. Lubiłem tę wioskę, moje życie tam było beztroskie i pozbawione tego całego chaosu. To był dom. Ale równocześnie to nie moje miejsce. Zawsze znajdowałem się trochę na uboczu. Widzisz te dzieciaki ścigające sflaczały rybi pęcherz udający piłkę, próbujące przekopać go między tymi dwoma słupkami, dumnie zwanymi bramką? Ja jestem tym, który siedzi obok i patrzy w niebo. Próbuje siłą woli zmienić pogodę albo sprawić, żeby ten duży dzieciak, który zawsze mnie popychał, potknął się na piłce. Naprawdę wierzyłem, że to potrafię, że jestem wyjątkowy.

Nie byłem.

Ale przeskoczmy trochę do przodu, do momentu kiedy to naprawdę się zaczęło. To było krótko przed moim

„przejściem”, to taka tradycja w mojej okolicy. Symboliczne wejście w dorosłość. Daje prawa, obowiązki i jest okazją do dużej popijawy dla reszty wioski. Gówno prawda, nigdy nie widziałem, by ten dzień kogoś zmienił. W życiu nic nie zmienia się z dnia na dzień. Ale znów przeskoczyłem na inny temat, po tym eliksirze trudno się skupić, za dużo różowych słoni biega mi przed oczami.

W każdym razie… Tego dnia Starszy Wioski zebrał nas wszystkich w karczmie i powiedział, że w pobliskim lesie pojawił się smok, który pożera zwierzynę łowną, a niedługo przyjdzie na obiad do naszych zagród, a nawet domów. I ogłosił zbiórkę, żeby wynająć jakichś awanturników, co to się zawsze włóczą po traktach. I wtedy stało się coś dziwnego, sam do końca nie wiem, jak do tego doszło. Po prostu nagle pomyślałem, że mógłbym stanąć do walki, z jakiegoś powodu wydało mi się to wręcz konieczne, więc wstałem i powiedziałem, że sam zabiję smoka. Wszyscy popatrzyli na mnie z mieszanką zaskoczenia i politowania. Bo niby jak miałbym zabić smoka, ja, ten dzieciak, który nigdy nie potrafił nawet trafić sflaczałym pęcherzem w bramkę? Ale to dodało mi sił, fakt, że nikt nie wierzył w moje powodzenie. Postanowiłem zrobić to na przekór im wszystkim. A poza tym, co miałem do stracenia? Już wspomniałem, że lubię robić z siebie męczennika? Zapamiętaj to, bo może ci wyjaśnić wiele z moich kolejnych decyzji.

Tym sposobem stałem się łowcą smoków. Teraz przejdę dalej. Oszczędzę ci opisów tego, jak wymiotowałem ze

strachu, rozważałem ucieczkę z wioski, „przypadkowe” uszkodzenie się, i tym podobne. Przejdę do ostatniego dnia mojego życia, przynajmniej takiego, jakie znałem.

Wstałem wcześnie rano – nerwy nie pozwalały mi na sen. Wyszedłem z domu, po raz ostatni przekraczając ten próg. Jest coś bardzo symbolicznego w podobnych scenach. Szedłem przez wioskę prostą drogą, obok kolejnych budynków. Witałem mijanych ludzi, przechodziłem obok znanych zakątków. Przez chwilę zatrzymałem się na skraju osady. Stałem tam, obserwując pranie wywieszone na pobliskim podwórku.

Było ciepło i słonecznie, obłoki leniwie przesuwały się po niebie, pchane lekkim wiatrem, z oddali dobiegał śpiew ptaków – doskonały dzień na walkę ze smokiem. Kiedy ruszyłem dalej, byłem rześki i pełen sił. Minąłem grupę dzieci ścigających sflaczały pęcherz i wyszedłem poza ostatnie zabudowania. Nie sądziłem wtedy, że więcej już nie ujrzę rodzinnej wioski. Oczywiście liczyłem się z wielce prawdopodobną możliwością zostania zabitym i pożartym, ale część mnie już widziała oczami wyobraźni obraz chwalebnego powrotu z głową smoka. Fizyczny dowód mojej wyjątkowości. *Śmierć lub chwała* – powtarzałem sobie. Jak w legendach o wielkich herosach. Oczywiście, myślę, że była też druga część mnie…

Ta, której było po prostu wszystko jedno.

Jaskinia, w której ukrywał się potwór, była olbrzymia. O wiele większa, niż mogłoby się wydawać z zewnątrz. Nie miałem oporów przed wejściem doń. To znaczy, oczywiście,

mój żołądek wyczyniał dziwne rzeczy, usta wyschły tak, że nie mogłem przełknąć śliny, ręce trzęsły się gorzej niż starcowi mieszkającemu w chacie na skraju wioski, a serce najwyraźniej próbowało wyskoczyć z klatki piersiowej i uciekać jak najdalej. Ale mój umysł był spokojny, pewny. *Śmierć lub chwała* – powtarzałem w myślach, kiedy wkraczałem do leża bestii, zasłaniając nos chustą, by obronić zmysł powonienia przed brutalnym atakiem odoru rozkładających się ciał. A tych było tu sporo – pod moimi stopami pękały kości, które zaścielały podłogę. Niemal ślizgałem się na pokrywającej wszystko posoce. Już samo to wystarczyło, by skruszyć moją pewność siebie, ale to nie było wszystko. Na samym środku komory, przy sporych rozmiarów podziemnym jeziorze, leżał ON… a może raczej TO.

Smok.

Wielki jak stodoła, pokryty szkarłatną łuską, z paszczą zdolną pomieścić mnie w całości. Wylegiwał się z ogonem zanurzonym w wodzie i leniwie spoglądał na mnie jednym okiem.

– Smoku! – wrzasnąłem, bo uznałem, że wypada coś powiedzieć. – Przybyłem tu, by cię zabić!... Na chwałę i tego... No...

I ruszyłem. Szarżowałem niczym dzielny rycerz, tyle że bez rumaka, i z kosą zamiast kopii. Co było dalej? Trudno to opisać. Zwłaszcza, że mniej więcej w połowie drogi do potwora moje oczy jakoś tak się zamknęły. Potem w coś uderzyłem… brzuchem. I nagle zdałem sobie sprawę, że

górna część mojego ciała jest uwięziona wewnątrz czegoś, co najprawdopodobniej było paszczą bestii. Tak drogi czytelniku, wygląda na to, że smok po prostu rozwarł swój wstrętny pysk, i pozwolił mi wszarżować do środka. Czułem już, jak potężna szczęka zaciska się na mojej talii, z zamiarem oddzielenia pozostających na zewnątrz, nóg od reszty ciała.

Nie mając nic więcej do stracenia i działając w panice, wbiłem kosę w podniebienie stwora, i pchnąłem z całej siły. Później poczułem pęd powietrza z głębi cielska potwora, usłyszałem straszliwy, ogłuszający ryk, a moje nogi oderwały się od ziemi. Przez chwilę wrzeszczałem zdezorientowany, potem coś bardzo ciężkiego wpadło do wody, zaś paszcza bestii zaczęła napełniać się cieczą. Odruchowo machając rękami, wypchnąłem się na zewnątrz i zdałem sobie sprawę, że tonę. Olbrzymie cielsko znikało gdzieś w głębinach, opadając bezwładnie na dno jeziora, do którego smok najwyraźniej wpadł po moim ciosie. Czy moja kosa trafiła w coś ważnego? A może zadławił się mną? Albo lubił pływać po posiłku? Nie wiem, nie jestem pewien, co się stało. Ale, biorąc pod uwagę okoliczności, mogę chyba przyjąć, że udało mi się go zabić.

Nie, żeby miało to znaczenie w tamtym momencie. Niewiele rzeczy ma znaczenie, kiedy się tonie.

Pamiętam jeszcze światło, gdzieś w głębinach. Uczucie wyzwolenia, zasłużonego odpoczynku. Śmierć. Chyba chciałbym postrzegać śmierć jako koniec możliwości. Zamiast tego stanowiła koniec męczarni. Odpoczynek.

Potem były obrazy, słowa i wiedza. Przemierzałem oceany poznania, łykając kilka kropel tu, kilka tam. Dowiedziałem się, jak wygląda słoń i co oznacza słowo „subiektywny”. Ale obiektywnie mówiąc, nie poznałem niczego wartościowego. Była to pusta wiedza, nie zmieniła mnie, nie podpowiedziała, jak ją wykorzystać. Była środkiem, nie celem.

Nie wiem, ile to trwało, może sekundy, może tysiąclecia. W każdym razie kiedy się obudziłem, wiedziałem sporo rzeczy i umiałem pisać. To znaczy, przyjmując, że się obudziłem, i to wszystko nie było tylko pokręconym snem lub śmiercią. Ale przejdźmy dalej, bo teraz dochodzimy do ciekawej części.

Mojego nowego życia.

* * *

Kiedy otworzyłem oczy, oślepiło mnie słońce. Był piękny dzień, a w powietrzu dało się poczuć zapach wiosny, odurzający i pełen życia. Gdzieś z oddali dobiegał głos barda, śpiewającego o cieniach, wysokich drzewach, oceanie, ogniu, i październiku. Leżałem tak, wsłuchując się w słowa, a te mówiły o czymś utraconym, do czego nie można wrócić, nieważne jak bardzo by się tego chciało.

Powoli się podniosłem i rozejrzałem. Znajdowałem się na łące, dookoła roztaczał się sielankowy krajobraz. Gdzieś w oddali widniały majestatyczne góry, po drugiej stronie, na granicy horyzontu zbierały się czarne chmury. Było w nich

coś złowrogiego, jakby wielka trwoga, skryta tuż za zasięgiem wzroku.

– Co cię tak przeraża? – spytał głos za moimi plecami, kiedy tak wpatrywałem się w te chmury. Niemal podskoczyłem, tak mnie przestraszył. Ale kiedy już odwróciłem się i zobaczyłem właściciela głosu, przestałem się bać. Oto stał przede mną niezwykle chudy staruszek. Chociaż nie, właściwsze byłoby określenie „zasuszony dziadek”. Ubrany był w długie, obszyte złotą i srebrną nicią fioletowe szaty i gigantyczny szpiczasty kapelusz, którego oklapłe rondo niemal zasłaniało twarz. Mimo garbienia się, przewyższał mnie co najmniej o głowę, a jego twarz była tak zarośnięta siwymi włosami, że w pierwszej chwili nie wziąłem go nawet za człowieka.

– Słucham? – spytałem niepewnie.

– Pytałem, co cię tak przeraża? – powtórzył głębokim, dudniącym głosem.

– Nic – odparłem pośpiesznie, nie zastanawiając się nawet nad złożonością zagadnienia.

– Ciekawe… W takim razie zobaczymy się później. – Odwrócił się powoli i ruszył w swoją stronę.

– Czekaj! – zawołałem za nim. – Kim jesteś? I gdzie ja jestem?

Przez chwilę przyglądał mi się badawczo, jakby szukając w moim pytaniu ukrytego sensu.

– Jestem Wielkim Mędrcem – odparł wreszcie. – A ty jesteś tutaj.

– Ale gdzie jest tutaj?

– No… tutaj – wskazał na miejsce, gdzie stałem.

– Ale co to za miejsce? Jak się nazywa? – dopytywałem.

– No cóż, jesteśmy w środkowo-zachodniej części Krainy, a to konkretne miejsce zwykle określane jest jako „w okolicach Wieży Wielkiego Mędrca”.

Rozejrzałem się w zamyśleniu. O czym on mówił? Nigdy nie słyszałem o takim miejscu. Może umarłem, może to zaświaty albo jakiś pokręcony sen.

– Wybacz, ale te nazwy nic mi nie mówią – stwierdziłem wreszcie.

– To zrozumiałe, już z daleka widać, że jesteś tu nowy – powiedział takim tonem, jakby stwierdzał coś oczywistego.

– Co to znaczy „nowy”?

– No, nowo przybyły. Już dawno nie mieliśmy w krainie nikogo nowego. Nikogo „stamtąd”.

– To znaczy?

Nic z tego nie rozumiałem.

– Niech zgadnę. Robiłeś coś, aż tu nagle bum! I lądujesz tu, masz głowę wypchaną wiedzą i nie wiesz, gdzie jesteś. Widziałem to już wiele razy.

– Chwila, chcesz powiedzieć, że to się… Że gdzieś mnie przeniosło?

Całkowicie nie rozumiałem sytuacji, a może raczej jej nie akceptowałem. – Ale jak wrócić do domu?

– Nie da się – powiedział z przekonaniem. – Wielu już próbowało, ale to po prostu niemożliwe. Ale nie martw się, przyzwyczaisz się do naszego świata. Jest dokładnie taki

sam jak wasz, tylko zupełnie inny. A tak właściwie, to jak cię zwą?

– Inny.

Sam nie wiem, czemu to powiedziałem. Jakoś samo wyszło z moich ust. Dopiero po chwili zrozumiałem, że nie pamiętam żadnego innego imienia.

– To chyba nie do końca imię – stwierdził starzec. – Choć „Wielki Mędrzec” chyba nie jest lepsze. Spotkałem się już z dziwniejszymi imionami. A czym się zajmujesz, Inny?

– No cóż, ostatnio ubiłem smoka.

– Zabójca Smoków – ożywił się. – Wybornie się składa! Słyszałem, że w królestwie za górami i lasami ostatnimi czasy panoszy im się smok. Za zabicie go ponoć dają rękę Królewny i pół królestwa.

– Co?

– To typowy zwyczaj, prawda? Zawsze za smoka dają Królewnę…

– Chwila, chcesz mi powiedzieć, że królestwo nazywa się „za górami, za lasami”?

– Nie nazywa się, tylko jest. – Starzec wskazał na pobliskie szczyty. – Dokładnie za tymi górami. I jednym lasem, ale już utarło się, by mówić w liczbie mnogiej. A skoro już masz odpowiedni ekwipunek, to pomyślałem…

– Co? Jaki ekwi…? – Dopiero teraz zerknąłem w dół i okazało się, że mam na sobie kolczugę, a przy pasie wisi miecz. Co dziwniejsze, zdawało mi się nawet, że potrafię nim władać. – Skąd to się wzięło? – spytałem zmieszany.

– Niewłaściwe pytanie, ale to częsty błąd u nowych. Nie skąd, ale dlaczego – poprawił mnie. – Masz ten ekwipunek, ponieważ jesteś zabójcą smoków. To logiczne.

Nie było w tym nic logicznego, ale wolałem nie dyskutować.

– Tak czy inaczej, na mnie już czas – stwierdził Mędrzec, odwrócił się, i – mimo moich obiekcji – odszedł.

Początkowo szedłem za nim. Kraina, w której się znajdowałem, przerażała mnie. Wszystko wydawało się tu znajome, ale całkowicie inne, niż być powinno. Tak, jakbyś miał pewne wyobrażenie o tym, jak powinien wyglądać świat, ale kiedy już mu się przyjrzysz, okazuje się, że nie pokrywa się ono z prawdą.

Co mam na myśli? Najprostszy przykład – wieża, w której mieszkał Wielki Mędrzec, nachylała się nad ziemią pod kątem mniejszym niż 45°, a mimo to nie upadała. Co to znaczy 45°? To znaczy, że nie tak, jak powinna. Nie czepiaj się, nie moja wina, że żadna magiczna moc nie wcisnęła do twojej głowy masy niepotrzebnej wiedzy.

Że co? Wcisnęła, tylko nie magiczna? Tym gorzej dla ciebie. A wracając do mnie… Pomysł wędrowania góry i lasy, by zabić smoka i zdobyć Królewnę, średnio mi się wtedy spodobał. Zamiast tego udałem się do miasta. Skąd wiedziałem, którędy do miasta? Nie pytaj, po prostu poszedłem, a ono tam było. To miejsce tak działa. Jak każdy dom wariatów, powoli zmienia cię na swoje podobieństwo. Prędzej czy później dostosujesz się lub zginiesz.

Miasto było brzydkie. Zapachem przypominało stertę śmieci, wysypanych na pełnej kwiatów łące. Jego zabudowę stanowiły obskurne, drewniane baraki, ustawione przy pozbawionych jakiejkolwiek organizacji ulicach. Sam nie wiem, jak tam dotarłem – w jednej chwili spacerowałem po lesie, a w następnej byłem na skraju osiedla. Szedłem środkiem ulicy, mijając ludzi odzianych głównie w szmaty. Nie patrzyłem na nich. Byli szarzy, brzydcy i smutni. Każdy zmierzał przed siebie, nie zwracając uwagi na nic dookoła. Na kolejnej ulicy dostrzegłem pstrokato ubrany tłum, tańczący do niesłyszanej przeze mnie muzyki. Wszyscy mieli na twarzach maski z narysowanymi uśmiechniętymi twarzami. Obok nich przeszedłem jeszcze szybciej, gdyż mnie drażnili. Dotarłem na spory plac.

To miasto było niczym labirynt, mogłem tak krążyć przez wieki. Postanowiłem zapytać kogoś o drogę. Podszedłem więc do wysokiego mężczyzny, ubranego w elegancki frak i cylinder. Mężczyzna miał długie czarne włosy i połowę twarzy wymalowaną białą farbą, niczym klaun. Ta część jego twarzy wydawała się pogodna i radosna. Po drugiej stronie jedyny makijaż stanowiła wielka czarna łza namalowana pod okiem.

– Przepraszam… – zacząłem, ale przerwało mi poruszenie na środku rynku.

Jakaś młoda kobieta biegła między ludźmi. Była piękna w pewien nieuchwytny, niemal eteryczny sposób. Nie potrafiłem powiedzieć, co było w niej tak niezwykłego, ale całość dawała wspaniały efekt. Kiedy przebiegała obok

mnie, przez chwilę schwyciłem jej spojrzenie. Smutne błękitne oczy, w niemy sposób błagające o pomoc. Ale zanim mogłem tę pomoc zaoferować, jej już tam nie było, wpadła w tłum i zmieniła się w lisicę, zwinnie lawirując między ludźmi. Zniknęła, ukryta w szarej masie zaśmiecającej ulice. Po chwili, z kierunku, z którego przybiegła, wybiegł wielki, czarny wilk. Roztrącał ludzi niczym szmaciane lalki, pędząc za swą ofiarą. Ja sam ledwo uniknąłem stratowania przez bestię. Po chwili i on zniknął w tłumie. Ta fala potrafiła wchłonąć wszystko.

– Chciał pan czegoś? – spytał człowiek, którego wcześniej zagadnąłem.

– Ach, przepraszam. Jestem nowy w tym mieście i szukam jakiegoś noclegu.

– Witam! – energicznie podał mi rękę. – Nazywam się Juri i jestem artystą.

– Inny – powiedziałem i dumałem przez chwilę. – Zabójca Smoków.

– Och, wybornie. Jeszcze nigdy nie spotkałem zabójcy smoków. Proszę za mną. Zaprowadzę cię do najlepszej karczmy w mieście. Właśnie myślałem sobie, jak to…

– Przepraszam, czy mogę zadać pytanie?

– Proszę.

– Ta kobieta, która przebiegła obok nas i zmieniła się w lisa, kim ona była?

Przez chwilę zastanawiał się.

– Ona ucieka – stwierdził wreszcie. – A ten wielki czarny wilk ją ściga. Kiedy ją dogoni, zabija. Potem ona się odradza

i wszystko zaczyna się od początku. I tak w kółko, przez wieczność.

– Trochę to dziwaczne, nieprawdaż?

– Czy ja wiem? Właściwie to dosyć powszechne. Kiedy się nad tym zastanowić, to jest niesamowicie symboliczne. No i… ona przynajmniej ma przed kim uciekać. Nie to, co Ucieczka.

– Kto?

– Pewnie się na nią jeszcze natkniesz. Biega po krainach w tę i z powrotem, zawsze w ruchu. Nikt nie wie, przed kim ucieka, ale zawsze to robi. Dlatego nazywamy ją „Ucieczka”.

Zastanowiło mnie to, ale nie będę wybiegał przed historię, zdradzę jedynie, że Ucieczka jeszcze pojawi się w tych wspomnieniach.

Karczma, do której poprowadził mnie Juri, była brudna, cuchnąca i pełna głośnych ludzi. Jak całe to cholerne miasto. To właśnie tam, zanurzony w mgle dymu papierosowego, popijając dziwne napoje i słuchając, jak mój przewodnik rozwodzi się nad urodą niedawno spotkanej niewiasty, poczułem *to* po raz pierwszy. Ledwo namacalne uczucie strachu. Jeszcze nic poważnego. Ukłucie. Nawet nie zwróciłem na to uwagi. Juri okazał się dobrym rozmówcą, choć za dużo rozwodził się nad sobą i swoimi nieistniejącymi jeszcze dziełami. Tak mijały kolejne godziny, na siedzeniu tam w dymie i rozmawianiu. A może dni lub tygodnie, kto to wie.

To przyszło, kiedy obudziłem się rano. Czułem się źle, oddychałem płytko, serce waliło jakby chciało uciec, w dłoniach i stopach czułem mrowienie, ledwo nimi ruszałem. Gardło miałem suche niczym pustynia, ale nie mogłem sięgnąć po kubek stojący na stoliku. Nie mogłem się poruszyć. Znasz określenie „sparaliżowany strachem”? Właśnie taki byłem.

Myśli pędziły chaotycznie, dusiłem się, musiałem stamtąd uciec, ale nie mogłem się ruszyć. Bałem się odejść, bałem się zostać. Czułem, że tak już pozostanie, że będę tak leżał przez wieczność, że będę się tak czuł zawsze. Wreszcie zsunąłem się na podłogę i zwymiotowałem. Rzygałeś kiedyś ze strachu? Zapewniam cię, nic przyjemnego.

Potem było lepiej, podniosłem się, ubrałem, i wyszedłem z pokoju. Na myśl o śniadaniu zrobiło mi się niedobrze, przeszedłem więc przez główną salę i wydostałem się na zewnątrz. Chciało mi się płakać. Tłum, w którym się zatopiłem, doprowadzał mnie do szału, brakowało mi powietrza.

Pobiegłem. Byle naprzód, byle dalej stąd. Wybiegłem wreszcie z miasta, z dala od ludzi. Dopiero tu zwolniłem, zacząłem iść, wreszcie upadłem. Oddychałem spokojniej. Oto strach we własnej osobie przyszedł i złożył mi wizytę. „Nie ma się czego bać, poza samym strachem”, jak mówi przysłowie.

Po jakimś czasie wstałem i wróciłem. Przemierzałem znajome uliczki. Znajome? Tak, znałem je. Znałem to

miasto. Nie wiem, jak długo tam byłem, ale stałem się już jego częścią. Zlałem się z szarą masą wypełniającą jego ulice. Byłem miastem, a ono było mną. W pewnym momencie usłyszałem cichą prośbę o pomoc. Na środku ulicy siedziała osoba nieokreślonej płci, ubrana w brudne, cuchnące szmaty. Nikt z przechodzących ludzi zdawał się jej nie dostrzegać. Ja też ją minąłem, patrząc w inną stronę. Nie, nie taka była kolejność.

A może?

Nie jestem pewien, pobyt w tym mieście zlewa mi się w jedno. Może to ten eliksir, a może jakaś dziwaczna właściwość tamtego miejsca. Postaram się jednak zapisać to, co pamiętam. Na czym stanąłem? Ach, prośba o pomoc. Tak, przeszedłem obok. Ty byś podszedł? Jeszcze byś się czymś zaraził. Prawda jest taka, że wszyscy lubimy pomagać dobrze ubranym ludziom o sympatycznym wyrazie twarzy. Gdyby leżała tam seksowna blondynka, zaraz cały tłum facetów rzuciłby się na ratunek. Ale tam leżał ktoś brudny, śmierdzący, pewnie pijany. Tacy nie otrzymują pomocy, tak po prostu jest.

Poza tym, to nie było moje miasto, nie mój problem. I ogólnie ja aspołeczny jestem. Ale są tacy, którzy pomagają. Nigdy naprawdę ich nie rozumiałem. Gdzieś później w tym tekście mogę mówić o potrzebie pomocy innym i narzekać na wszechobecną znieczulicę. Zignorujcie to, po prostu jestem hipokrytą. A co, ty nie jesteś? No właśnie.

Więc wszyscy zgadzamy się, że świat jest nie taki, jaki być powinien. Ale może nie wypada mi mówić za innych. Powiem więc za siebie.

Myślę, że świat jest zły, społeczeństwo wynaturzone i pełne patologii. To wszystko wymaga zmian. Ktoś powinien coś z tym zrobić. I co? I nic. Po prostu zaakceptowałem ten fakt i wróciłem do swoich spraw. Bo przecież sam nic nie zmienię, jak głosi moja ulubiona wymówka. Tak naprawdę święcie wierzę w pewne ideały, po prostu we własnym życiu stosuję je dosyć wybiórczo.

Innym razem, kiedy przemierzałem miasto, nagle zabiły dzwony. Tłum szarych padł na kolana i zaczął mruczeć coś, co brzmiało równocześnie podniośle i dołująco. Równocześnie ci w maskach, jak na złość, zaczęli tańczyć z jeszcze większym zapamiętaniem. Trwało to przez chwilę, a potem dzwony znów zabiły i wszystko wróciło do normy. Coś takiego powtarzało się prawie codziennie. Zabawna sprawa, ale kiedyś dołączyłem do tego. Bezwiednie. Po prostu złapałem się na tym, że klęczę.

Podobnie było z innymi rzeczami. Szarzałem powoli z każdym dniem. Już nawet nie pamiętałem, co tam robiłem. Po prostu szedłem za tłumem. Przeraziło mnie to jeszcze bardziej. Musiałem uciec. Więc upadłem.

Wiesz, ja nie potrzebuję innych ludzi. Nigdy ich nie potrzebowałem. Przynajmniej tak myślę, kiedy jest źle. Może to dlatego, że wtedy nigdy ich nie ma. Nie było też Juriego, gdzieś zniknął. Miał to w zwyczaju, zawsze gonił za swoją muzą, szukał nowych inspiracji i podniet.

Artystycznie wyrastał ponad to wszystko, co mnie przytłaczało. Choć to nieprawda, on po prostu sprawniej uciekał, ale w ostatecznym rozrachunku był tu uwięziony w równym stopniu, co ja. A może nawet bardziej, bo ja przynajmniej byłem gotów przyznać to przed samym sobą.

Rany, ale ten eliksir mocno bije po głowie, naprawdę powinienem był zostać z Królewną. Wciąż pamiętam jej zapach, jej uśmiech. Nie, nie teraz, chronologicznie.

Więc umarłem. Tak jakby. Szedłem ulicą, przerażony szarością w której się pogrążam, kiedy znów minęła mnie grupa ludzi w uśmiechniętych maskach. Z moich opisów można chyba wywnioskować, że w tym mieście poza mną i Jurim byli tylko szarzy i uśmiechnięci.

To nie tak, byli też ludzie, ale niewielu. I prędzej czy później zmieniali się w jedno z powyższych. Czasami jakaś jednostka wyróżniała się czymś oryginalnym, ale zaraz przykrywała ją znów fala innych, podobnych, znów wciągając w odmęty szarości. Ale wracając do tamtego momentu i ludzi w maskach. Uderzyłem jednego z nich. Denerwowało mnie to, że się śmiał. Chciałem by przestał, chciałem zrobić mu krzywdę.

Chyba wszyscy naprawdę jesteśmy zdolni do zła. Każdy z nas ma demona tkwiącego gdzieś w odmętach umysłu. Czasami myślę, że potrafiłbym robić naprawdę okropne rzeczy. Nie, czasami to wiem. Gdybym tylko stracił kontrolę. Wtedy nie straciłem. Uderzyłem go tylko kilka razy, ale nawet nie zareagował, nadal tańczył jakby był czymś odurzony.

Zdjąłem maskę, by móc spojrzeć mu w oczy. Pod spodem nie było nic. Tylko pustka. Puściłem go, przerażony. Oparłem się o pobliski mur i spoglądałem, jak powoli i smętnie odchodzi. Dusiłem się ze strachu, znów chciałem się wydostać. Nie mogłem tego znieść, tego miasta, tej szarości. Tego wszystkiego. Ten świat to było za dużo, a równocześnie za mało. Wciąż miałem w rękach maskę zdjętą tamtemu człowiekowi. Założyłem ją. To było wspaniałe. Wszystko przestało się liczyć, byłem wolny, byłem poza tym, byłem martwy.

Tańczyłem, kręciłem się, śpiewałem i krzyczałem w niebogłosy. Ruszyłem za korowodem, szczęśliwy na niby. Słyszałem człowieka grającego na tamburynie, a maska coraz mocniej przywierała do twarzy. Chyba była magiczna. Maska zapomnienia, maska uśmiechu. Maska.

Po raz kolejny straciłem poczucie czasu. To nic nowego, przyzwyczaiłem się już. Czas i tak nie jest linearny.

Pamiętam, że siedziałem na ziemi w jakimś ciemnym pomieszczeniu, dookoła biegali ludzie w maskach, a ja patrzyłem w wiszące na przeciwległej ścianie lustro i zastanawiałem się, kogo tam widzę. A potem znów usłyszałem głos barda. Śpiewał o czterdziestu, poddaniu się, niezapomnianym ogniu i złym. O desperacji, przesunięciu, separacji, potępieniu, objawieniu, wewnętrznej pokusie, izolacji, pustce i odpuszczeniu sobie.

Ta muzyka mnie zatrzymała, głos przebił się przez moją maskę, dotarł głębiej. Wstałem i podszedłem do lustra. Przez chwilę wpatrywałem się w twarz, która uśmiechała

się do mnie z odbicia. Potem zamknąłem oczy i drżącą ręką sięgnąłem do ust. Powoli, wstrzymując oddech, zdjąłem maskę. Potem otworzyłem oczy. Z niewyobrażalną ulgą stwierdziłem, że widzę własne odbicie. Równocześnie przeraziło mnie, jak niewiele zabrakło. Wybiegłem stamtąd, wróciłem na szarą ulicę i szedłem dalej, jak najdalej od tego miejsca. Pomyślałem wtedy, że oni mnie okłamali. To miasto, ten świat. To wszystko było jednym wielkim kłamstwem, stworzonym by odebrać mi wiarę, cel. By zabić sny. Nie musiało tak być, nie musiałem wybierać między szarością i maską, nie musiałem się zabijać, by być szczęśliwym. Przynajmniej taką mam nadzieję…

Mogę się mylić.

* * *

Wyszedłem więc z miasta. Później Wielki Mędrzec powiedział mi, że większość się stamtąd nie wydostaje. I co zrobiłem wtedy? No cóż, to co powinienem zrobić już na początku. Poszedłem zabić smoka. Królestwo za górami i lasami oczekiwało na swego wybawcę. No i była kwestia Królewny. Ostatecznie, kto nie chciałby zdobyć Królewny?

Drogę przez góry wspominam dobrze. Kręte ścieżki, strome stoki, dzikie zwierzęta i świeże powietrze. Jest coś wspaniałego w takiej wędrówce. Parcie naprzód, zdobywanie kolejnych szczytów, zawsze w górę, zawsze do kolejnego małego celu, który przybliża cię do upragnionej nagrody. Oczywiście, czasami spadnie na ciebie deszcz, czasami potkniesz się i zjedziesz kawałek po stromiźnie. Ale

to nieważne, nie zatrzymało mnie. Deszcz, mimo że uciążliwy, był też oczyszczający. A upadki pozwalały mi odpocząć, zastanowić się. Nieczęsto zawracam z raz obranej drogi, lubię myśleć, że to zaleta. Ale prawda jest taka, że jestem po prostu zbyt uparty, by wiedzieć, kiedy należy zrezygnować.

Nie mówię tu o tych górach, przejście ich było proste. Były pełne szczytów i dolin, ale wypełniało je życie. Były czymś więcej niż to pustkowie, nawet jeśli kosztowały mnie obdarte kolana i przemoczoną odzież. To nic w porównaniu z uczuciem, jakie miałem, stojąc na szczycie kolejnego wzniesienia. Chyba w tamtej chwili ostatni raz naprawdę oddychałem.

Jestem zagubiony. Teraz, leżąc na tym pustkowiu, wtedy, wyruszając na te wyprawę, i jeszcze wcześniej, w wiosce. Zagubienie to chyba to, co najczęściej czuję. I oczywiście strach. Sam nie wiem, które jest gorsze, chyba obydwa wynikają z siebie nawzajem. Wiesz, leżę sobie tu i zastanawiam się nad tym wszystkim, tak już jest, kiedy zaczniesz wspominać, zawsze prędzej czy później próbujesz dojść do jakichś wniosków.

Jaki jest mój wniosek? Potrzebujemy smoków. Zwykle nie dostrzegam tego tak wyraźnie, ale to one dają mi życie. Nienawidzę ich z całego serca, ale nadają mi kierunek. Wskazują drogę, są tam nawet wtedy, gdy nie jestem pewien, czy chcę z nimi walczyć. Nawet kiedy stwierdzam, że nie będę ich atakował i uciekam w przeciwnym kierunku, one nadal tam są, jak latarnia wskazująca potencjalny

kierunek. Więc poszedłem w tym kierunku, bo czemu nie. To lepsze, niż czekać na kolejnego smoka… Wiesz co? Jednak wolę zagubienie od strachu. By pokonać zagubienie, wystarczy z całych sił biec w kierunku najbliższego smoka.

Strach jest o wiele bardziej podstępny. Ukrywa się w cieniach i atakuje znienacka. Jego obślizgłe macki owijają się wokół twojego mózgu i zmuszają cię, byś uciekał, nie wiedząc przed czym ani dokąd. Tak chyba było z Ucieczką. Mówiłem, że jeszcze pojawi się ona na stronach tej historii, prawda? Otóż spotkałem ją trzeciego dnia przeprawy przez góry. Właśnie dochodziłem do siebie po porannym stanie przerażenia. Nie wiem czemu to zawsze przytrafia mi się zaraz po przebudzeniu. Może tak bardzo przeraża mnie początek kolejnego dnia? A może po prostu wtedy strach nie jest jeszcze zagłuszany przez rozsądek? Bo w sumie czego tu się bać?

W każdym razie spotkałem ją. Wybiegła zza zakrętu drogi, kiedy gasiłem ognisko po śniadaniu. Było w niej coś eterycznego, jakby unosiła się nad ziemią, frunąc na niewidzialnych skrzydłach. Ale nie, to było złudzenie, tak naprawdę jej bose, pokryte pęcherzami stopy mocno wbijały się w podłoże, jakby za mocno. Nawet teraz, z twarzą wykrzywioną grymasem przerażenia i oczami pełnymi łez, nadal można było dostrzec jej piękno. W chwilach kiedy nie uciekała, musiała być olśniewająca. Jestem pewien, że dostrzegała o wiele więcej niż ja. Może to zmuszało ją do ucieczki.

– Witaj – powiedziałem.

Przez chwilę przyglądała mi się nieufnie, wyglądając jak gotowa do biegu sarenka. Wreszcie odpowiedziała.

– Cześć, cześć.

Powiedziała to powoli, smutno. Jakby cień radosnego powitania, do którego już nie była zdolna.

– Jestem Inny – przedstawiłem się, próbując wyglądać jak najmniej groźnie, na szczęście dla mnie nie było to trudne. – Zabójca Smoków.

– Jestem Ucieczka – odpowiedziała. – Uciekam.

Cisza. Chyba żadne z nas nie chciało mówić dalej. Ale co dziwne, nie poczułem się niezręcznie. Zwykle kiedy rozmowa zamiera, człowiek ma natychmiastową potrzebę, by coś powiedzieć. Tu było inaczej. Po prostu oboje staliśmy tam, wpatrując się w niebo i chwytając wiatr, owiewający nam twarze. Czułem z nią dziwny związek, jakby była pokrewną duszą. Kimś, kto rozumie mój strach, kto rozumie ucieczkę.

– Miło mi – powiedzieliśmy równocześnie. Uśmiechnęliśmy się do siebie. Pokazałem jej, by usiadła przy ognisku. Sam spocząłem obok.

Rozmawialiśmy, krążyliśmy po tematach, unikaliśmy pytań i odpowiedzi. Wreszcie postanowiłem jednak poruszyć kwestię, która od początku wisiała w powietrzu.

– Przed czym uciekasz?

Zastanowiła się. Ale ja już znałem odpowiedź.

– Nie wiem. Po prostu uciekam.

– Długo?

– Odkąd pamiętam. A ty?

– Ja nie uciekam – odpowiedziałem energicznie.

– Uciekasz – stwierdziła smutno. – Ale ty robisz to, idąc naprzód lub stojąc w miejscu.

Przytaknąłem skinieniem głowy.

– Niezła z nas para – powiedziałem. – Ty zawsze uciekasz.

– Ty zawsze zostajesz.

Roześmialiśmy się. W naszej sytuacji było coś tak absurdalnego, że mogliśmy się tylko śmiać.

– Zostaniesz ze mną? – spytałem z nadzieją, lecz tak naprawdę znałem już odpowiedź.

– Nie.

– Uciekniesz.

– Ja ranię ludzi, tak już jest.

– Dlatego uciekasz? A może na odwrót, ranisz ich właśnie tym, że uciekasz?

– Kiedyś przestanę – stwierdziła, z nieobecną dotąd w jej tonie pewnością. – Kiedyś zatrzymam się, znajdę swoje miejsce i uda mi się tam zostać.

– Tego ci życzę.

Wstała powoli. Syknęła przy tym z bólu.

– Twoje stopy do tego nie przywykły – zauważyłem.

– To nic, będzie dobrze. Po prostu kiedyś stąpałam lekko, czując trawę pod stopami, ale już nie, nie kiedy uciekam. Teraz nie mogę się wzbić na skrzydłach.

– Skrzydłach? – zdziwiłem się.

– Miałam kiedyś skrzydła, ale wyrwałam je, kiedy uciekałam.

– Dlaczego?

Odpowiedziała jedynie smutnym spojrzeniem. Podszedłem i przytuliłem ją. Być może potrzebowałem tego nawet bardziej niż ona. Ludzki dotyk, już zapomniałem jakie to uczucie.

– Jesteś pięknym dziwakiem – wyszeptałem jej do ucha.

– Dziękuję – uśmiechnęła się. – Nawzajem.

– Jeśli kiedyś będziesz potrzebowała towarzystwa w uciekaniu, daj znać.

– Na pewno. Uważaj na siebie, głupeczku – odpowiedziała i ruszyła dalej.

To spotkanie dało mi do myślenia. O samotności i o ucieczce. Każdy się czegoś boi, każdy przed czymś ucieka. Dobrze jest wiedzieć przed czym, to ułatwia wybranie kierunku. Ja nie wiem, przed czym uciekam. Mam kilka teorii – może przed wszystkim? Niektórzy uciekają przed całym światem. To trudne, trzeba szybko biegać. Ale bywa gorzej. Są ludzie, którzy próbują uciec przed sobą. Przed własnym jestestwem. Żal mi ich, bo nic we wszechświecie nie pozwoli ci biec wystarczająco szybko, by przed tym uciec. Prędzej czy później zawsze dopadnie cię w ciemnościach twojego własnego umysłu. Czasami zastanawiam się, czy nie jestem jednym z tych ludzi.

A samotność? To już temat na inny moment. Wiesz, kiedy schodziłem z gór, znów usłyszałem głos barda. Tym razem śpiewał jedną piosenkę. Była ona o uczuciu, które przychodzi po raz pierwszy. O kimś, kto uczy śpiewać, pokazuje kolory i daje nadzieję. O bracie który podąża za

nami. O ojcu, dającym puchar złota i klucze do posiadłości. I o tym, jak można te klucze odrzucić, gdy to uczucie przyjdzie. Jak można poświęcić wszystko. Nie wiedzieć czemu, zapłakałem przy tej melodii. Było w niej coś pięknego, kiedyś radosnego, a teraz już smutnego. Muzyka ucichła, a ja poszedłem dalej. Trochę odmieniony, po raz pierwszy naprawdę wierząc, że jest coś więcej niż tylko zwykły strach przed samotnością. Później wiele razy traciłem wiarę, ale ta melodia była dla mnie niczym azyl, malutki skrawek nadziei na oceanie zwątpienia i goryczy.

Teraz wybacz, muszę się chwilę zdrzemnąć, ale potem wrócę do opowiadania. W sumie dla ciebie będzie to tylko przerwa między akapitami.

* * *

Nowy akapit. Dziś rano znalazłem but. Leżał sobie spokojnie na środku pustkowia, od kto wie, jak dawna. Ktoś musiał go zgubić, przechodząc tędy. Więc ktoś już tędy szedł, w sumie nie ma się co dziwić, zawsze ktoś już tędy szedł. O dziwo, to wcale nie pociesza, nie czyni mniej samotnym na tym pustkowiu. Każdy lubi myśleć, że dotarł gdzieś jako pierwszy, nawet jeśli to tylko środek Nigdzie.

„Podążać tam, gdzie nie dotarł jeszcze żaden człowiek.”.

To zdanie naprawdę zawsze działało mi na wyobraźnię. Taka odskocznia od codziennego zwątpienia. Ten but sprawił, że pomyślałem, jak pełne zawodów jest nasze życie. Właściwie codziennie się o nie potykamy. Nie, to nie

tak, znów dzielę się wnioskami wysnutymi z uczucia chwili. Po prostu w tym momencie czuję się zawiedziony. Chyba liczyłem, że ktoś się tu zjawi. Może uważałem, że jeśli zrobię z siebie męczennika, idąc przez to pustkowie, to jakaś wyższa siła nagrodzi mnie…

No właśnie, czym? Sam tego nie wiem.

Czymś.

Wierzyłem, że ta droga gdzieś mnie zaprowadzi, do miejsca, które rozwiąże moje problemy. „I żyli długo i szczęśliwie.” Nie znoszę tego zdania, ale chyba tak naprawdę, mimo wszystko, jakaś część mnie nigdy nie przestała w nie wierzyć. Może po śmierci…

Przyjmując, że ten pierwszy smok mnie nie zabił i to nie są zaświaty. Jeśli miałoby tak być, to Bóg ma zdecydowanie spaczone poczucie humoru. Wszechmogący, kolejna ciekawa kwestia. Jak twór doskonały mógł stworzyć tak niedoskonały świat?

A może było na odwrót, może to świat zrodził Boga? Może jest on wszystkim tym, co na tym świecie doskonałe? Choć z drugiej strony, prawdziwa perfekcja może istnieć tylko w sferze potencjalności. A to oznacza, że Bóg jest co najmniej potencjalny. Ale odsuwając na bok takie rozważania, naprawdę wierzę, że istnieje coś więcej. Nie sądzę, by był to siwy, brodaty starzec siedzący w jakimś pałacu w chmurach. To raczej coś niematerialnego, istniejącego w sferze duchowej. Uczucie, którego nie da się ubrać w słowa. Wszystko.

Ale dosyć o tym, i tak za bardzo już się zagalopowałem. To temat dla filozofów i teologów. I tak już zbyt wielu laików uważa, że w tej dziedzinie ma monopol na prawdę. Jeśli kiedyś będę twierdził, że jestem mędrcem i wiem coś na pewno, zignorujcie mnie. To znaczy tylko, że nic nie wiem. A ja skupię się na bardziej przyziemnych kwestiach. Oto po zejściu z gór wkroczyłem w las. Ze szczytów widziałem już królewski zamek, dzięki czemu cel mojej podróży stał się bardziej realny. Teraz więc kroczyłem przez puszczę, niby idąc szybciej, prosto do celu, którego wieżyce widoczne były czasami z wyższych wzniesień. Zamek, Królewna, smok, cel. Ale szybko zauważyłem coś dziwnego.

Kiedy tylko twierdza znikała z moich oczu na dłużej, ulatniał się mój zapał. Zaczynałem czuć rozgoryczenie. Dni przychodziły i odchodziły, a cel, chociaż wydawał się na wyciągnięcie ręki, nadal nie był bliżej. Mimo wszystko szedłem, musiałem. Czułem, że gdybym się zatrzymał lub zmienił kierunek, to upadłbym, a wszystkie te myśli i marzenia które dodawały mi sił, mogłyby mnie pogrążyć. Znasz to uczucie, kiedy coś tak bliskiego i oczywistego, uparcie pozostaje tuż za zasięgiem ręki? Niemniej szedłem, bo co innego miałem do roboty?

Trzeciego dnia natrafiłem na chatę. Stara, rozpadająca się chałupa, ukryta w leśnej gęstwinie. Mógłbym ją przeoczyć, gdyby nie zapach. A raczej mieszanka wszystkich znanych i nieznanych zapachów, która rozchodziła się w powietrzu dookoła domku, jakby dając do zrozumienia, że to niezwykłe miejsce.

– Czego tu? – spytał głos za moimi plecami, kiedy przyglądałem się budynkowi. Tym razem nie podskoczyłem. Powoli obejrzałem się za siebie.

– Witam. Jestem Inny, Zabójca Smoków.

– Stara Wiedźma – przedstawiła się kobieta, i to powinno w pełni wystarczyć za jej charakterystykę. Przypomnij sobie wszystkie obrazki i opisy z bajek czytanych w dzieciństwie. Nieważne, czy w tej chwili masz przed oczami brzydką czarownicę, czy miłą babcię zielarkę, masz rację. Nie pytaj, jak to możliwe, w Krainie po prostu tak jest. Za każdym razem, kiedy wspominam tę staruszkę, pamiętam ją trochę inaczej. – Czego tu?

– Podróżuję, chciałem odpocząć.

Przez chwilę przyglądała mi się uważnie.

– To wchodź, co będziesz tak na progu stał.

No i wszedłem. Szczerze mówiąc, podobnie jak w przypadku samej Wiedźmy, jej siedziba zmienia postać w moich wspomnieniach. Raz jest to obskurna izba, pełna dziwnych ziół i ususzonych kawałków zwierząt, z wielkim kotłem na środku, w którym coś nieprzyjaźnie bulgocze. Innym razem pamiętam przestronne wnętrze, z podłogą przykrytą puszystym dywanem i masywnymi, dębowymi meblami, gdzie w powietrzu unosił się zapach świeżych ciasteczek. I jest jeszcze masa innych obrazów, zależnie od tego, którą część pobytu wspominam.

Szczerze mówiąc, całą wizytę tam pamiętam trochę jak przez mgłę jak sen. Gdyby nie butelka magicznej mikstury, którą właśnie dopijam, gotów byłbym przyjąć, że właśnie

tym była. Jednym wielkim urojeniem. Co robiłem w chatce Wiedźmy? Głównie spałem. Po raz pierwszy od przybycia do Krainy śniłem. Do tego momentu, sądziłem, że może całość tego świata jest tylko snem i szczerze mówiąc, chyba nadal tak sądzę.

Co mi się śniło? Wszystko i nic. Ziemie skąpane we krwi, góry, śmierć, życie, wojna, spokój, smutek, szczęście. Wszystko w wysokiej jakości obrazu i dźwięku. Budziłem się, płakałem na myśl o powrocie do życia, i zasypiałem ponownie. Wpadłem w kolejną pułapkę zastawioną na mojej drodze. Ale tym razem jeszcze mniej chciałem się z niej uwolnić. Wtedy byłem szczęśliwy na niby, teraz na niby był tylko powód. Nawet głos barda nie mógł mnie od tego odwieść.

A on znów śpiewał, śpiewał o ulicach które nie mają nazw, o kraju Boga, o tym, by zestrzelić niebieskie niebo, o aniołach, pożądaniu, srebrze i złocie. Wreszcie w snach dostrzegłem ją, jedyną, wybraną. Podążałem za nią, z jednego snu w drugi, lecz zawsze uciekała wraz z pojawieniem się pierwszych promieni słońca. Wreszcie zdałem sobie sprawę, że nie dogonię jej nigdy. Nic nie jest tak doskonałe jakby się chciało, ale to było jeszcze mniej doskonałe niż prawdziwe życie.

To było marzenie, którego nie można dotknąć, nieustająca potencjalność, która nigdy nie przeistoczy się choćby w niedoskonałą rzeczywistość. Pewnego dnia wstałem i wyszedłem. Stara Wiedźma na pożegnanie dała mi kilka buteleczek swojego magicznego eliksiru.

– To odgoni strach, ale tylko na chwilę – stwierdziła. – Jeśli zostaniesz, nie poczujesz strachu już nigdy.

– Ale tylko dlatego, że stanę się człowiekiem-nikim. Nikt nie może czuć strachu.

– Na pewno jesteś gotów zapłacić cenę? Mój świat, nawet mimo tego, że nieprawdziwy, jest lepszy.

Szczerze mówiąc, nadal nie jestem pewien, czy dobrze wybrałem. Zastanawiam się, czy nie zrobiłem tego tylko dlatego, że uważałem to za właściwą rzecz do zrobienia. Znów umęczyłem się dla sprawy, chyba licząc na jakąś nagrodę od siły wyższej. A może naprawdę nie mogłem znieść sztuczności? Kto to wie. Smutna prawda, z którą jakoś nigdy nie mogę się w pełni pogodzić, jest taka, że i tak nic nigdy nie będzie tak dobre, jak powinno być. Tylko rzeczy potencjalne mogą być naprawdę doskonałe.

Przemierzając ostępy leśne, natknąłem się na Nimfę. Wynurzyła się nagle z mijanego jeziorka, piękna i wyniosła, niczym bogini. Odbite od tafli wody promienie słońca delikatnie muskały jej ciało, wyglądające tak, jakby wykuł je w marmurze najdoskonalszy rzeźbiarz w dziejach. Wszystko, od czubka głowy po palce u stóp, było czystą perfekcją, kiedy kroczyła po wodzie w moim kierunku. Zdaje mi się, że gdzieś w oddali słyszałem nawet uwodzicielską muzykę.

Niespodziewanie czar tej chwili zniszczyło przeciągłe gwizdnięcie przy moim prawym uchu.

– O kurwa, ale ostra dupcia! – usłyszałem, odwracając głowę.

Właścicielem głosu okazała się postać dosyć dziwaczna, choć to akurat nic nadzwyczajnego w Krainie. Pierwszą rzeczą, która rzucała się w oczy, była otoczona długimi, sklejonymi brudem włosami, twarz szaleńca. Pełne obłędu ciemne oczy spoglądały znad orlego nosa i wykrzywionych uśmiechopodobnym grymasem ust. Głowa osadzona była na wątłym ciele, okrytym brudnymi szmatami. Najwyraźniej porządne ubrania, ale dopadł je już pośmiertny rozkład.

– Ale gdzie moje maniery! Jestem Śmieszek – przedstawił się mężczyzna.

– Inny – odpowiedziałem.

– A, to co innego – zaśmiał się. – To co, bierzesz się za nią?

Wróciłem wzrokiem do Nimfy. Stała zaledwie kilka kroków ode mnie, przekrzywiała lekko głowę, prezentując nienaturalnie wręcz kusząco wyglądającą szyję, i spoglądała zalotnie swoimi wielkimi, zielonymi oczami.

– Nie, dziękuję – stwierdziłem, ukłoniłem się i odszedłem.

– Chwila, co ty wyprawiasz? – próbował mnie zatrzymać Śmieszek.

– Odchodzę.

– Ale to Nimfa. A wiesz, co mówią o Nimfach! – podążał kilka kroków za mną.

– Co?

Przez chwilę się zmieszał.

– Nieważne co mówią, popatrz jak ona wygląda.

– To może sam spróbuj szczęścia – zaproponowałem.

– Chciałbym, uwierz mi. Ale niestety, dziś już pofolgowałem mym chuciom – przyznał ze smutkiem. – Ale czemu odchodzisz?

– Po prostu nie mam ochoty.

– Jesteś eunuchem?

– Nie.

– Wolisz mężczyzn?

– Nie.

– To masz na nią ochotę – stwierdził ze zdecydowaniem. – Więc w czym problem?

– Śpieszę się – odpowiedziałem, mając go dość.

– Gdzie? – zaciekawił się.

– Do pobliskiego zamku. Muszę zabić smoka i zdobyć Królewnę.

– Królewnę? – Przyśpieszył kroku by mnie dogonić. – Co to za Królewna? Jak wygląda? Jaką ma miseczkę? Jakie…?

– Nie wiem, jeszcze jej nie widziałem – uciąłem.

– Więc może być szpetna.

– Nie – w sumie nie wiedziałem, skąd ta pewność. – To Królewna – jakby to miało być argumentem udowadniającym moje zdanie.

– I co?

– Królewny są zawsze ładne.

– Nieprawda. Z dobrych źródeł wiem, że niektóre mają końskie gęby – zapewniał Śmieszek. – I wiem to od jednego króla…

– No cóż, ta jest ładna! – przerwałem mu, trochę gwałtowniej, niż zamierzałem.

– Dobra, spokojnie. Po co te nerwy? Ale wiesz, zanim tam dojdziemy, możesz szybko się zabawić z Nimfą.

Zerknąłem jeszcze za siebie, na niemal już niewidoczną postać boginki.

– Nie – stwierdziłem.

– Czemu?

Śmieszek nigdy nie doczekał się odpowiedzi. Sam chyba jej nie znam. To po prostu wydawało się nie na miejscu. Właściwie za zrobieniem tego przemawiał tylko popęd fizyczny i fakt, że jako samiec, powinienem. A może po prostu nie podobało mi się, że musiałbym zrobić to, co radził mi ten obleśny błazen. Zapewne większość z was myśli teraz, że powinienem, gdzieś w waszych umysłach rodzi się myśl, że jestem frajerem i mięczakiem. Pewnie macie rację. Po prostu stchórzyłem.

Śmieszek podążał ze mną. Był denerwujący, ale zawsze to jakieś towarzystwo, miła odmiana po czasie samotnej wędrówki. Nawet jeśli to tylko obleśny, cyniczny szaleniec, który mówić potrafi głównie o niewiastach i swoich cudownych grzybkach. Raz ich spróbowałem, naprawdę dają kopa. Później przez pół dnia widziałem zbrojne bandy maślaków, które z pomocą kukułczych zwiadowców toczyły wojnę z krówkami. To wszystko sprawiło jednak, że trochę mniej myśli poświęcałem zbliżającemu się zamkowi.

Pewnego dnia, gdy siedzieliśmy przy obiedzie, mój wzrok znów skierował się w kierunku czarnych chmur, które zawsze zdawały się wisieć gdzieś na horyzoncie.

– Ciemność – stwierdził Śmieszek, kiedy go o to spytałem. – Tam, daleko na wschodnim skraju Krainy, leżą ziemie Mrocznego Pana.

– Kogo?

– To główny czarny charakter w Krainie, nawet gorszy niż smoki i inne potwory. Mieszka w mrocznej Krainie Ciemności, razem ze swoimi mrocznymi pomocnikami i mroczną armią. Od czasu do czasu knuje mroczne plany podbicia Krainy i zamienienia ją w bardzo nieprzyjazne miejsce. To ogólnie dosyć mroczna postać.

– Tak, zauważyłem – nie mogłem nie przyznać mu racji. – Ale jeśli jest taki zły, to czemu nikt z tym czegoś nie zrobi?

– Mroczny Pan jest nieśmiertelny, zawsze wraca. A poza tym, co byśmy zrobili bez większego zła?

– Większego zła? – zdziwiłem się.

– Właściwie to największego – poprawił się Śmieszek. – Dlatego zawsze widać chmury nad jego mrocznym terytorium, niezależnie od tego, z którego miejsca w Krainie się patrzy. To ma nam przypominać, że on tam jest, że musimy być gotowi i że walka dobra ze złem to nie tylko idea, ale coś, co dzieje się naprawdę.

– Działa?

– Nie – przyznał szczerze. – I tak zwykle jego plany krzyżuje jakiś wybraniec lub grupa awanturników. A chmury na horyzoncie większość ludzi ignoruje. Lub wręcz przeciwnie, dochodzą do wniosku, że w zestawieniu z większym złem ich czyny nie są wcale takie… złe. Tak to już jest.

Wbiłem spojrzenie w ciemność. Mogłem niemal dostrzec to, co się tam czaiło. Coś niezrozumiałego i przerażającego, ale zarazem pociągającego. Coś, co wewnątrz mnie też zawsze kryło się gdzieś na granicy wzroku. Zło. Zastanawiałeś się kiedyś, co tak właściwie oznacza to słowo? Chyba dla każdego ma ono inne znaczenie, podobnie jak wszystkie inne ważne słowa. Teoretycznie, można by stwierdzić, że to wszystko, co sprzeczne z naszymi zasadami moralnymi. Ale tym sposobem uznajemy, że zło jest pojęciem względnym, i może rzeczywiście w większości przypadków takie jest. Ale nie dajmy się zwieść, istnieje zło bezwzględne. Wiem, bo widzę je nawet teraz, na horyzoncie własnego umysłu.

Te rozważania przerwał mi głos barda, który tym razem śpiewał o dziwnych drogach, ślepocie, brudnym dniu, wędrówce i ostatniej nocy na ziemi.

– Słyszysz? – spytałem Śmieszka.

– Co?

– Muzykę, głos barda.

– Ach, to. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Nie.

– Co?

– Ale nie przejmuj się, wierzę, że ty słyszysz – uspokoił mnie.

– Niech zgadnę, to normalne.

– Dosyć. Większość ludzi w krainie widzi lub słyszy coś, czego nie dostrzega nikt inny. Czasami to muzyka, czasami poezja, innym razem jakieś obrazy. To nic, czym należałoby

się martwić. Po prostu dotrzymuje nam towarzystwa i niekiedy dodaje otuchy.

– A ty masz coś takiego? – spytałem.

– Nie – odpowiedział, i chyba jedyny raz usłyszałem w jego głosie nutę smutku.

Byliśmy już bardzo blisko zamku, kiedy to poczułem. Całkowite przerażenie. Nagle wizja spotkania Królewny i walki ze smokiem wydała się całkowitym absurdem. Chciałem uciec albo po prostu zatrzymać się, zrezygnować. Zmusiłem się wreszcie, by jednak pójść dalej. I tak wydostałem się z lasu. Pod koniec i tak zrobił się monotonny, a nawet trochę nieprzyjazny. Chyba im dłużej w nim s przebywałem, tym robił się gorszy, zdecydowanie gorszy niż góry. Bardziej banalny, płaski. Mniej żywy. Choć to i tak było niebo w porównaniu z miejscem, w którym jestem teraz. Ale nie wyprzedzajmy faktów. Moje oczekiwanie wreszcie się skończyło, miałem ujrzeć Królewnę i pokonać smoka. Wreszcie miało się udać, miało zadziałać zgodnie z planem… No cóż, nic nigdy nie idzie zgodnie z planem.

* * *

Zamek wyglądał dokładnie nie tak, jak powinny wyglądać tego typu budowle. Nie było tu kamiennych murów, groźnych blanek, masywnych budynków i oddziałów straży. Zamiast tego były białe, marmurowe wieże, szerokie, pełne kwiatów trawniki, przestronne wnętrza, oświetlone promieniami słońca wpadającymi przez

olbrzymie okna. Wszystko było czyste i pachnące, jak w bajce. Niemal oczekiwałem, że zaraz zza zakrętu wybiegnie jednorożec.

Strażnik przy bramie tylko spojrzał na mnie i, jeszcze zanim się odezwałem, wpuścił uprzejmie do środka.

– Witamy, witamy! Spodziewaliśmy się pana.

– Mnie? – zdziwiłem się.

– Jesteś, panie, zabójcą smoków, prawda?

– Tak, ale skąd…

– Doskonale, twoi towarzysze już oczekują, podobnie jak Król. – Strażnik poprowadził mnie przez bajkowo piękny dziedziniec.

– Towarzysze?

– Oczywiście, zabójca smoków podczas takiej wyprawy musi mieć dzielnych towarzyszy. Wojowniczka i czarodziej przybyli wczoraj, więc wiedzieliśmy, że ty zjawisz się najpóźniej dzisiaj po południu. Tak jak to uczyniłeś.

– Ale skąd wiedzieliście?

Wiem, po tym całym czasie powinienem do tego przywyknąć.

– No cóż, poszukiwacze przygód, łowcy smoków i inni awanturnicy zawsze zjawiają się w odstępach nie większych niż kilkadziesiąt godzin – wyjaśnił cierpliwie. – Przy czym w karczmach ten czas topnieje do kilkudziesięciu minut.

Wolałem nie drążyć tematu. Nie miało to sensu.

W głównej sali, do której wkroczyliśmy z dziedzińca, czekał na nas dosyć charakterystyczny człowiek. Niewysoki, chuderlawy, ubrany w długie niebieskie szaty,

przyozdobione srebrnymi gwiazdkami. Opierał się na metalowym kosturze zakończonym stylizowanym półksiężycem, a na głowie nosił szpiczasty kapelusz. Obydwa te elementy bezbłędnie zdradzały jego profesję.

– Niech zgadnę – zaryzykowałem. – Jesteś czarodziejem.

– Dokładnie – ożywił się mężczyzna. – Nazywam się Gustav i jestem magiem oraz astronomem.

– Inny, Zabójca Smoków. A to…

– Śmieszek. Jego towarzysz.

Z jakiegoś powodu pomyślałem, że tych dwóch się nie polubi. Może to nadnaturalne przeczucie, a może nienawiść, z jaką na siebie patrzyli.

– Jej wysokość Król i jego córka już nas wyczekują – poinformował entuzjastycznie czarodziej.

– Och, chyba padnę z podniecenia! – stwierdził z pełną powagą Śmieszek, trochę dezorientując tym Gustava.

– Chodźmy – zarządziłem, przejmując z jakiegoś powodu rolę przywódcy. Ktoś musiał, a ja jednak byłem tu smokobójcą, czyli niby specem od tego, na co się porywaliśmy.

Dotarcie do komnaty Króla zajęło nam kilkanaście minut błądzenia korytarzami, schodami, krużgankami, dziedzińcami i galeriami. Rozmiary i przepych tego zamku całkowicie mnie onieśmielały. Choć może nie aż tak, jak ostatni członek naszej drużyny, oczekujący tuż przed drzwiami sali tronowej. Wysoka, atletycznie zbudowana, rudowłosa piękność. Jej doskonałą figurę podkreślała zbroja, która zdawała się istnieć wyłącznie w tym celu.

Zatrzymam się na chwilę przy owym pancerzu, bo był on zaprawdę niezwykły. Zlepek kawałków skóry i stali, połączonych w taki sposób, że nie mógł po prostu spełniać funkcji obronnej. Za to z pewnością sprawiał, że trudno było oderwać wzrok od noszącej go kobiety. Co ciekawe, dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że strój ten wcale nie odkrywał wszystkiego, co było do odkrycia, w rzeczywistości pozostawiając odpowiednio dużo pola dla wyobraźni.

– Ty pewnie jesteś zabójcą – przemówiła, mierząc mnie wzrokiem. – Jestem Diana, wojowniczka.

– Inny – skłoniłem się.

Było w niej coś onieśmielającego, siła, wyniosłość… a może po prostu boję się silnych kobiet. Biorąc pod uwagę wszystkie moje pozostałe fobie, jest to bardzo możliwe.

– Ciekawy strój – szepnąłem do Śmieszka.

– To tradycyjny strój wojowniczek w jej kraju – skomentował cicho. – Ma chyba dekoncentrować męskich oponentów… Jak dla mnie, działa doskonale – uśmiechnął się obleśnie.

I tak dotarliśmy do sali tronowej. Wielkiej, majestatycznej, wypełnionej pięknymi ludźmi w cudownych, kolorowych strojach. Na ścianach, za zgromadzonymi dworzanami, wznosiły się olbrzymie gobeliny, przedstawiające mityczne sceny, wielkich herosów i przepiękne krajobrazy. Na końcu sali znajdował się wielki, pięknie zdobiony, drewniany tron na którym zasiadał stary, siwy Król. Idąc po grubym, puszystym dywanie, zbliżyliśmy

się do władcy tej krainy i skłoniliśmy się, zgodnie z protokołem, którego przed przybyciem tutaj nawet nie znałem. Teraz przyszedł czas, bym przemówił. Był to trudny moment, gdyż musisz wiedzieć, drogi czytelniku, że zawsze miałem drobne problemy z występami publicznymi. Ale co robić, trzeba było odgrywać swoją rolę.

– Witaj, Królu. Jestem Inny, Zabójca Smoków. A to moi towarzysze: Śmieszek, Gustav i Diana.

– Witaj, Inny – przemówił Król, gładząc swoją białą brodę. – Cieszymy się…

Nie słuchałem co mówił dalej. Nie miało to znaczenia, ponieważ ja już znalazłem wzrokiem to, czego szukałem. Obok tronu ojca, otoczona damami dworu, stała ona. Królewna odziana była w długą, czarną spódnicę i czarny kubrak, włożony na białą koszulę z bufiastymi rękawami. Przy każdym ruchu głowy promienie słońca tańczyły na jej ciemnych, długich do ramion włosach, tworząc złudzenie jaśniejszych pasemek. Duże, ciemne oczy spoglądały przenikliwie, ale ich spojrzenie było zarazem ulotne. Trochę smutne i zagubione. Oczy marzycielki.

– Piękna – szepnąłem bezwiednie.

– No. Świetnie wyglądałaby w gorsecie – stwierdził Śmieszek obok mojego ucha.

– Tak – przyznałem, dopiero po chwili orientując się, czemu tak właściwie przytakuję. – Nie! Znaczy, tak, ale… – zamotałem się. – To znaczy z pewnością wyglądałaby doskonale w takim… stroju. Ale nie o to chodzi.

– Znaczy nie rozbierasz jej wzrokiem?

Przez chwilę się zastanawiałem.

– Tak – byłem szczery. – Jestem jednak samcem. Ale to coś więcej, jej uroda nie jest czysto fizyczna. Ona jest po prostu… piękna.

– Pfff… To tylko hormony w twoim mózgu.

– Nie – zaprzeczyłem twardo. – One mogą być środkiem, co nie oznacza, że nie stoi za nimi coś więcej.

– Jasne…

Ileż sarkazmu było w jego słowach! Po chwili kontynuował:

– A ja uważam, że po prostu nie możesz się pogodzić z tym, że kieruje tobą zwykły, zwierzęcy pociąg. Bo uważasz, że jesteś czymś więcej, masz rozwiniętą wrażliwość. Dlatego dorabiasz do tego instynktu poezję.

– Nie – pewność, z jaką zaprzeczyłem, niemal mnie przekonała.

– …i tym sposobem uwolnisz nas od straszliwego smoka – zakończył swą przemowę Król.

Zgromadzeni na sali zaczęli bić brawo. Ustaliliśmy jeszcze, że wyruszymy jutro o świcie, by dotrzeć do leża smoka około południa. Następnie udaliśmy się na kolację i na spoczynek do pokojów gościnnych, na szczytach poszczególnych wieżyc. Mój umysł uparcie błądził wokół obrazu Królewny. Zastanawiałem się, czy jej sypialnia znajduje się gdzieś niedaleko. To niesamowite, jak czasami coś potrafi ci się przyczepić do głowy i za nic nie chce się odkleić. Nawet smok przestał mieć takie znaczenie. Starałem się skupić na czymś innym, ale moje myśli cały

czas wracały do jej oczu. Niepewność, strach, pożądanie i nadzieja, wszystkie eksplodowały równocześnie w mojej głowie, tworząc chaos, nad którym nie sposób zapanować. Chciałem już ubić smoka i wrócić z jego łbem. Świat wirował tak szybko i tak powoli zarazem. Znów dobiegł mnie głos barda, który tym razem śpiewał o pięknym dniu, latawcu, łasce i tym, co widzi, kiedy patrzy na świat. Jego głos wreszcie ukołysał mnie do snu.

Śniłem o mojej rodzinnej wiosce. O lepszych czasach, kiedy żyłem tam pełen beztroski. W tym śnie powróciłem tam, znów przechadzałem się wśród znajomych zakątków i obserwowałem dzieci kopiące rybi pęcherz. Ale coś było nie tak. Coś się zmieniło, nie było na swoim miejscu. Sprawiało, że już tutaj nie pasowałem. Dopiero po chwili zdałem sobie sprawę, że tym czymś byłem ja sam.

W momencie kiedy zabiłem pierwszego smoka, straciłem cząstkę siebie, która łączyła mnie z tym miejscem. Oczywiście, zawsze będę nosił w sobie kawałek tej wioski, ale już nigdy nie będę mógł tu wrócić. Wioska była teraz dla mnie tylko tym. Snem. I sam nie jestem pewien, czy kiedykolwiek była czymś więcej. Będąc tam, nie potrafiłbym nawet zrozumieć tego miejsca. Chyba dlatego odszedłem, by móc być tutaj, rozumieć, nawet za cenę niewinności. Myślę, że chciałem, by tamten smok mnie zabił. To uwolniło mnie od starych strachów, ale niestety sprowadziło też masę nowych.

Obudziłem się z uczuciem samotności tak wielkim, że mogłoby mnie pochłonąć. Samotność to dziwna rzecz,

wszyscy próbujemy ją pokonać, otaczając się ludźmi, ale równocześnie wszyscy boimy się naprawdę z niej zrezygnować. By to odgonić, myślałem o Królewnie. Ta myśl dodała mi sił. Znalezienie sobie odpowiedniej nagrody zawsze dodaje sił przed walką ze smokiem. Łyknąłem też trochę eliksiru od Starej Wiedźmy. Pomagał na mój strach. Nie byłem gotowy, chyba nigdy nie jest się naprawdę gotowym na te ważne sprawy, ale to nic. I tak nie było już odwrotu.

Po śniadaniu zebraliśmy się na zamkowym dziedzińcu na oficjalne pożegnanie. Tłum zebranych ludzi wiwatował, Król wygłaszał kolejną mowę, grała muzyka. Było uroczo. Nie mogłem oderwać oczu od Królewny. A może tylko chciałem, by tak było. Ostatecznie tak długo jej poszukiwałem, tak wiele nadziei z nią wiązałem. Kto wie, czy naprawdę pragnąłem jej jako osoby, czy może tylko potrzebowałem jej jako idei. To w sumie i tak nieważne, biorąc pod uwagę, jak to wszystko się skończyło. Zastanawiam się nad tym, bo nie mam nic ciekawszego do roboty na tym pustkowiu, chyba z tego samego powodu to piszę. Ale wracając do tamtego dnia i tamtego pożegnania… Wbrew temu, co może wynikać z mojego opisu, Królewna nie była doskonała, bez trudu mogłem dostrzec kilka wad, właściwie mój umysł sam wyolbrzymiał niektóre z nich, by mnie zniechęcić lub osłabić upadek.

Ale to nic, tak naprawdę nikt nie jest obiektywnie doskonały. Ale mogę ich takimi czynić w moim opisie, to jedna z zalet opisu literackiego, tylko tam można być

doskonałym, wystarczy, że autor użyje tego słowa do opisania kogoś. No cóż, z drugiej strony, może przynajmniej jesteśmy doskonali w swojej niedoskonałości. Spoglądałem na nią, próbując uchwycić jej spojrzenie. Niestety, ona zwykle odwracała wzrok. Zabawna sprawa z patrzeniem w oczy innym ludziom – zastanawiałeś się kiedyś, jak duże znaczenie przypisujemy kontaktowi wzrokowemu? Ja należę do ludzi, którzy zwykle go unikają, sam nie wiem czemu, w języku ciała jest coś, co zawsze mi umyka. Nie lubię tego. Teraz jednak dążyłem do tego, uparcie próbowałem pochwycić jej spojrzenie, choć na kilka sekund, jakby miało to jakieś znaczenie albo mogło mi powiedzieć coś o niej. Zabawna sprawa, ale dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, że nie wiem tak naprawdę nic o Królewnie. Nie przeszkadzało mi to, pewnie po prostu naprawdę potrzebowałem swojego bajkowego zakończenia.

Kiedy Król wreszcie przestał mówić, zaczęły się owacje. Na szczęście nie wymagano ode mnie przemowy, więc tylko się skłoniłem i razem z pozostałymi wyruszyliśmy w drogę. Jeszcze przez kilka minut po przekroczeniu bramy towarzyszyli nam miejscowi bardowie, grający podniosłą melodię.

– Czemu oni to robią? – spytałem.

– Początek wyprawy musi mieć odpowiednią oprawę – stwierdził z przekonaniem Gustav.

– Poza tym później ta melodia lepiej się sprzeda – dodał Śmieszek. – No wiesz, na zasadzie: „To może zagram

ścieżkę dźwiękową z początku wyprawy Innego.”. Ludzie kochają takie fragmenty z historii o bohaterach.

Bohaterach? To wydało mi się zabawne. Wielce bohaterski czyn w wykonaniu kogoś, kto z każdym krokiem odkrywał, że boi się wszystkiego naokoło. Tak naprawdę nie byłem żadnym herosem, ja po prostu musiałem to zrobić, bo nic innego mi do zrobienia nie zostało.

* * *

I tak wyruszyliśmy. Prosto do jaskini smoka. Oszczędzę ci, drogi czytelniku, dokładnego opisu tej wędrówki. Powiem tylko, że mój nastrój w jej trakcie przeszedł wszystkie możliwe stadia. Wypada chyba też wspomnieć kilka słów o moich towarzyszach podróży. Śmieszka już opisałem: cynik, wiecznie częstujący wszystkich dookoła sarkastycznymi komentarzami i swoimi specjalnymi grzybkami. Pierwsze bywało zabawne, drugiego unikałem. Ta Kraina była dla mnie już i tak wystarczająco pogmatwana i niejasna, nawet bez halucynacji.

Czarodziej Gustav był marzycielem, romantykiem o wiele większym ode mnie. Głęboko wierzył w świat dobra i zła, gdzie jasność zawsze wygrywa, a główny bohater na końcu odjeżdża z Królewną. Trochę mu tego zazdrościłem. Zaś Diana była zupełnie inną historią, silna i wyniosła wojowniczka, od której trudno oderwać wzrok. Już po pierwszych kilkunastu minutach podróży prawie złamała rękę Śmieszkowi, za jego komentarze odnośnie do jej ubioru. Komentarze rzeczywiście były nieprzyzwoite, ale

bądźmy szczerzy, czego spodziewała się w takim stroju. Tak czy inaczej, po tym incydencie zaprzestaliśmy dalszych uwag, ograniczyliśmy też spojrzenia. Brutalna siła w arsenale kobiety ma w sobie coś przerażającego. Jak każdy facet, wolałbym chyba zostać pobity do nieprzytomności przez łysego wielkoluda niż przez niewiastę.

Kiedy dotarliśmy do jaskini, wszyscy wydawali się mocno podenerwowani. Co dziwne, w jakiś sposób mnie to uspokajało. Widok ludzi bardziej zestresowanych niż ja zawsze działał na mnie odprężająco.

– No cóż – stwierdziłem, że wypada coś powiedzieć. – Oto przybyliśmy.

Śmieszek zaczął bić brawo. Trochę zbiło mnie to z tropu.

– Teraz zabijemy smoka – dodałem niepewnie.

– To cały twój plan? – spytał Gustav.

– Zasadniczo – powiedziałem i dopiero teraz zrozumiałem, że nie mam planu, nawet nie wiedziałem, jak ten smok będzie wyglądał. – Nawiążmy kontakt z wrogiem, a później się zobaczy. Ostatnio zadziałało.

– Mi pasuje – stwierdziła Diana, i wbiegła do środka, krzycząc coś w swoim języku, chyba imię jakiegoś boga wojny. Nie chcąc być gorszymi od kobiety, pobiegliśmy za nią. Właściwie można chyba uznać, że po prostu ustąpiliśmy jej miejsca.

Pierwszego dopadło Śmieszka, już na początku korytarza. W pewnym momencie po prostu zatrzymał się

i tępo spojrzał przed siebie. Stała tam kobieta, otoczona słupem ognia. Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę. Próbował jej dotknąć, ale nie mógł, ogień zbyt mocno parzył. Śmieszek upadł na ziemię, przerażony i zrezygnowany, było już dla niego za późno. Zbyt długo uciekał przed tym płomieniem.

Drugi upadł Gustav. Byliśmy już w połowie korytarza, gdy na jego drodze pojawił się on sam. Odmieniony, cięższy, wyraźniejszy, jakby bardziej cielesny. Z wielkim płaszczem cienia pokrywającym większość ciała, ukrywającym się za oczami. I czarodziej też upadł z krzykiem przerażenia.

Byliśmy już na końcu korytarza, tuż przy kolejnym pomieszczeniu, kiedy upadła Diana. To było najmniej widowiskowe, żadnych słupów ognia ani postaci. Po prostu zatrzymała się, padła na kolana, i nie mogła już biec dalej, wstać czy choćby krzyczeć. Tylko cicho płakała z przerażenia..

Do głównej groty wkroczyłem bez kompanów, ale gotowy do walki. Gotowy na wszystko… No może z wyjątkiem tego, co zastałem. Nie było tam smoka ani żadnej innej bestii. Nie było nic. Absolutna pustka, ciągnąca się po nieskończony, ciemny horyzont.

– *Horror vacui* – powiedział szyderczo głos gdzieś w oddali.

Zerwałem się, próbowałem pobiec, uciec stamtąd. Nie mogłem, nieważne jak szybko biegłem, tak naprawdę wcale się nie przemieszczałem. Upadłem więc na kolana, płacząc i wrzeszcząc. Krzyczałem tak, aż moje gardło odmówiło

posłuszeństwa, ale nikt się nie zjawił. Byłem całkowicie sam, jak zawsze. Wreszcie straciłem nadzieję i położyłem się, chciałem zasnąć. Odejść w ciepły, przyjemny sen, który obiecywał ucieczkę od tej zimnej, przerażającej pustki.

– Cześć, cześć – wyrwał mnie z półsnu głos Ucieczki.

Podniosłem wzrok i spojrzałem na nią. Siedziała obok, uważnie mi się przyglądając. Jej widok pocieszał mnie, a równocześnie wywoływał strach. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale tak było. Może czułem, że ona zbyt głęboko patrzy we mnie albo bałem się tego, że na chwilę mogę opuścić gardę i zdjąć maskę, a może po prostu ona zmuszała mnie, bym konfrontował się z częścią siebie, o której starałem się nie myśleć.

– Co tu robisz? – spytałem.

– Dotrzymuję ci towarzystwa – odpowiedziała spokojnie i podała mi swoją dłoń.

Złapałem ją tak mocno, jak tylko mogłem. Ludzki dotyk mnie orzeźwił. Dodał sił. Może nadal byłem samotny, ale teraz przynajmniej nie byłem sam. Miło jest mieć kogoś, kto dzieli z tobą twoją samotność. Wstałem powoli, słysząc gdzieś w oddali znajomy głos barda. Nadal byłem przerażony, ale mogłem znów iść. Ruszyłem więc, niosąc ze sobą jakiś kawałeczek Ucieczki, wiedząc, że i ona poniosła w swej dalszej podróży kawałeczek mnie.

Bard śpiewał o cudownym leku, mieście oślepiających świateł, okruchach ze stołu i tym, że nie zawsze można dać radę samemu. Słuchałem go, biegnąc, i nagle zrozumiałem. Nagle, po raz pierwszy, naprawdę usłyszałem. To było

niesamowite uczucie, którego nie sposób opisać. Moment całkowitej jasności i zrozumienia, kiedy wszystkie kawałki układanki nagle wskoczyły na swoje miejsce. Nadzieja stała się silniejsza niż wszystko inne, a droga przede mną, choć kręta i pełna wybojów, wydała się przyjazna i zapraszająca. Moment doskonały, kiedy na kilka sekund cały strach uleciał, i po prostu wiedziałem, że na końcu wszystko będzie dobrze.

Wystarczy iść i mieć nadzieję.

Gdzieś w oddali bard zaśpiewał pieśń o oknie w niebiosach, a ja stałem na środku groty, z głową smoka w ręce. Wygrałem, choć raz, na krótką chwilę pokonałem strach. Nie zmieniło to drastycznie mojego życia. Wręcz przeciwnie, takie wydarzenia, choć początkowo obiecują zmianę, wreszcie przemijają i wszystko wraca do normy. I ze mną było tak samo, zagubienie, strach i pustka nadal towarzyszyły mi na każdym kroku, ale teraz przynajmniej wiedziałem, że da się je pokonać.

Wziąłem więc głowę smoka i ruszyłem w drogę powrotną. Czekał na mnie bajkowy zamek i Królewna. Moje nowe życie, moje marzenie. Wreszcie.

Jednak kiedy w końcu białe wieżyce zamku pojawiły się na horyzoncie, ja zatrzymałem się, odwróciłem i odszedłem.

– Co cię tak przeraża? – Wielki Mędrzec pojawił się jakby znikąd, tuż za moimi plecami.

– A jak dużo masz czasu? – odparłem, uśmiechając się cynicznie.

Popatrzył na mnie z aprobatą, jakby takiej odpowiedzi właśnie oczekiwał od samego początku.

– Nie idziesz na zamek? – spytał.

– Nie – odpowiedziałem. – Mógłbyś odnieść to do Króla? – Podałem mu głowę smoka. – I gdybyś spotkał moich towarzyszy, podziękuj im ode mnie. Chyba zgubiłem ich gdzieś po drodze.

– Tak zrobię – odpowiedział spokojnie.

– I powiedz Królewnie… – zawahałem się. – Powiedz jej po prostu, że jest piękna.

– A jak mam wyjaśnić twoją nieobecność?

– Wymyśl coś, nie wiem… Powiedz im, że poszedłem ubić kolejnego smoka – uśmiechnąłem się, a gdzieś w oddali Bard śpiewał o butach do tańca i ziemi pod jej stopami. – Tym sposobem chyba nawet nie skłamiesz, bo jak powiedział pewien mój przyjaciel: „Zawsze znajdzie się jakiś smok.”.

I ruszyłem przed siebie. W kierunku horyzontu i nieprzebytych pustkowi.

* * *

To było dawno. Nie jestem pewien, kiedy dokładnie. Od tamtej pory jestem tutaj, sam na oceanie pustki. Choć nie, znalazłem przecież stary but, a to oznacza, że nie jestem tu całkiem sam, od właściciela buta dzieli mnie tylko czas. Co rano popijam eliksir Starej Wiedźmy. To odgania strach, uspokaja. Dzięki niemu mogę iść dalej.

Wiesz, drogi czytelniku, nie wystarczy wiedzieć, czego się boisz. Ja wiem, mam cały katalog swoich fobii, ale nie pomaga mi to w przeciwstawianiu im się, jedynie ułatwia wybór kierunku, w którym będę uciekał. Mogłoby się wydawać, że dla kogoś, kto boi się pustki, to odludzie nie jest najlepszym wyborem ucieczki.

Czemu więc tu jestem? Dobre pytanie. Chyba sam nie wiem. Może bałem się, że to, do czego tak bardzo dążyłem, okaże się tego niewarte. Może wolę śnić o czymś doskonałym, niż naprawdę dostać coś niedoskonałego. Albo boję się, że to nie pokonałoby pustki, i tym sposobem odebrałoby mi nadzieję, że da się z nią wygrać. I wreszcie, może po prostu za bardzo przyzwyczaiłem się do bezpiecznego schronienia samotności. Kto to wie? O, znów go słyszę. Bard grający swą nową pieśń. Tym razem śpiewa o horyzoncie, na którym nie ma żadnych linii, oddechu, cedrach i chwili zwątpienia. Chciałbym mu uwierzyć, naprawdę tak bardzo chciałbym mu uwierzyć.

Czasami chyba nawet wierzę, jako ostatniemu…

Czasami.

No cóż, wypadałoby chyba zakończyć tę historię jakimś morałem lub pozytywnym akcentem. Na pierwsze niestety, drogi czytelniku, nie masz co liczyć. Jeśli chodzi o drugie, no cóż… Nadal idę. Może to mało, ale na żadne szczęśliwsze zakończenie mnie nie stać. Więc chyba po prostu będę szedł dalej.

Łzy Niebios – Marcin A. Guzek

Niebo płakało. Łzy uderzały o ziemię, pokrywały wszystko wilgocią i spływały strużkami z gałęzi drzew. Okrągłe krople spadające z mrocznych czeluści niebios, z czarnych chmur blokujących dostęp życiodajnym promieniom słońca. Ravan poprawił kaptur. Deszcz już mu nie przeszkadzał – był czymś normalnym. Zdawało się, że był tam zawsze, że słoneczne dni są tylko miłym snem z przeszłości. Z całą pewnością dla niego. Obejrzał się za swoją towarzyszką. Tissaia szła w ciszy. Jak zawsze pogrążona we własnym świecie. Ravan czasami naprawdę jej tego zazdrościł.

Gdzieś przed nimi w zasłonie ciemności pojawił się wyłom. Małe światełko, przeświturające przez zabite deskami okno jakiegoś budynku – starej, zrujnowanej chaty. Ravan sięgnął po miecz i powoli zbliżył się do drzwi wejściowych.

Podobne miejsca zwykle były kryjówkami dla bandytów lub jeszcze gorszych istot. Powoli i niemal bezszelestnie otworzył drzwi.

W środku nie było żadnych mebli, ozdób czy innych oznak tego, że miejsce jest zamieszkane. Obok kominka, w którym płonął niewielki płomień, siedziała jakaś postać.

– Witam – odezwała się wesoło. – Wejdźcie, miejsca nie braknie. A towarzystwo na pewno nie zaszkodzi! Lecz gdzie moje maniery! Jestem Wilhelm. Podróżnik.

Ravan powoli wszedł do pomieszczenia, nie odpowiedział, nie odłożył również miecza.

– Spokojnie, nie musisz się mnie obawiać. Chociaż mógłbyś się przedstawić.

Tissaia wolnym krokiem przeszła przez pokój i usiadła przy kominku, całkowicie ignorując zaistniałą sytuację. Jej towarzysz zastanawiał się jeszcze przez chwilę, po czym schował miecz i usadowił się między nią a nieznajomym.

– Od razu zrobiło się przyjemniej, prawda? – stwierdził z uśmiechem Wilhelm. – Może teraz w końcu się przedstawicie.

– Nasze imiona nie są twoją sprawą, człowieku – odparł nieufnie elf.

– Skąd ta wrogość? Zawsze myślałem, że starsza rasa jest bardziej otwarta. Może coś zjecie? – zapytał Wilhelm, sięgając do torby.

Reakcja była natychmiastowa. Ravan płynnym ruchem dobył sztyletu i przystawił go gospodarzowi do gardła.

– Doskonale, przyda się do obierania jabłek! – Podróżnik nie tracił dobrego humoru. – O ile ktoś woli bez skórki.

Po chwili wyciągnął z torby trzy jabłka. Elf jeszcze przez chwilę patrzył na niego, w końcu cofnął sztylet. Odmówił gestem przyjęcia owoców. Jego towarzyszka była

mniej wybredna. Przyjęła poczęstunek, przez chwilę spoglądała nań mętnym wzrokiem, po czym zaczęła jeść.

Wilhelm przyglądał się Ravanowi z uśmiechem.

– Najwyraźniej to prawda. To co mówią o was, o elfach. Nawet głodni i przemoczeni macie więcej godności niż większość ludzkich władców. Zawsze mnie zastanawiało, czy macie coś poza nią?

– Nawet jeśli nie, to jest to wyłącznie wasza wina. Człowieku – ostatnie słowo wypowiedział z wyraźnym obrzydzeniem.

– Ach, rozumiem! – uśmiechnął się szerzej podróżnik. – Co takiego zrobili moi ziomkowie tym razem?

– Uważasz to za zabawne? – przez twarz elfa przemknął grymas wściekłości.

– Nie. Tego akurat nie. – Wilhelm po raz pierwszy przemówił poważnym tonem.

W pomieszczeniu zapadła cisza. Zakłócona jedynie łzami, uderzającymi o dach. Nagle Tissaia wyciągnęła rękę i sięgnęła nią w płomienie. Ravan złapał ją w ostatniej chwili. Przez chwilę się siłowali, ale elfka w końcu zrezygnowała. Cofnęła rękę, przez chwilę patrzyła na swego towarzysza z wyrzutem, a później odwróciła się w kierunku okna.

– Co jej się stało?

– Straciła rozum – odpowiedział bezbarwnie elf.

Wilhelm przez chwilę się mu przyglądał. Starał się dostrzec jakikolwiek ślad emocji, nie dostrzegł nic. Jedynie puste, pozbawione blasku oczy.

– Późno się zrobiło. Chyba pójdę już spać. Zaproponowałbym, żebyśmy zmieniali się na warcie. Ale wątpię, byś zasnął z człowiekiem czuwającym nad twoim bezpieczeństwem.

Ravan nie poruszył się nawet. Siedział jedynie i wpatrywał się w ogień. Człowiek położył się na swoim płaszczu i zasnął. Jakiś czas później zasnęła również Tissaia. Na zewnątrz wciąż królował deszcz i wiatr, a w środku panowała cisza. Cisza i pustka.

* * *

Ravan przeciągnął się na gałęzi drzewa. Był piękny słoneczny dzień. Światło przedzierało się przez zielone sklepienie lasu. Elf zwinnie zeskoczył na ziemię i przez chwilę przysłuchiwał się wygrywanej przez puszczę symfonii. Najwspanialszej symfonii, stworzonej przez samo życie i brzmiącej na cześć życia właśnie. Tysiące muzyków, tysiące dźwięków zlewających się w przepiękną całość. Przez chwilę zagubił się w tej melodii. Odleciał, poczuł leciutki powiew we włosach, promienie słońca delikatnie gładziły jego twarz. Chciał trwać tak w nieskończoność…

* * *

Ravan powoli otworzył oczy. Ogień w kominku powoli przygasał, na zewnątrz wciąż padało. Przez chwilę był zdezorientowany, rozglądał się niepewnym wzrokiem po pomieszczeniu.

– Coś się stało? – zapytał Wilhelm.

– Nic – odparł pośpiesznie elf. – Tylko zły sen.

Był już ranek, ale słońce wciąż nie mogło się przebić przez zasłonę chmur. Tissaia siedziała w kącie i patrzyła na małego pajączka. Wilhelm siedział naprzeciwko i przyglądał się jej badawczym wzrokiem. Elfka była dosyć młoda, zapewne o wiele młodsza od swego towarzysza, może nawet o setki lat. Było w niej coś nieobecnego. Jej wyraz twarzy, sposób w jaki się poruszała. Wszystko to sprawiało wrażenie, jak gdyby nie do końca wiedziała co się dzieje dookoła. I było w niej również coś smutnego, niewyobrażalny żal. Bił on przede wszystkim z jej oczu. Tak, jej oczy. Dwa przepiękne, błękitne oceany smutku.

Wilhelm wyciągnął rękę, zacisnął pięść, a później dmuchnął w nią i, nie wiadomo skąd, w jego dłoni pojawił się kwiat. Tissaia przez chwilę spoglądała na niego smutnym wzrokiem, a później wzięła kwiat, powąchała go i powoli zaczęła wyrywać płatki, rzucając je na podłogę.

– Od dawna taka jest?

– Od kilku lat. Nie jestem pewien. Trudno mi mierzyć czas według waszych miar.

– Zapewne byłoby o wiele łatwiej, gdybyście znaleźli sobie jakieś miejsce i zamieszkali tam na stałe. Zamiast włóczyć się tak po świecie ludzi.

– Szukamy kogoś.

– Wy? Czy ty?

Ravan nie odpowiedział, spoglądał jedynie na bawiącą się kwiatem elfkę.

– A kiedy już znajdziesz tego kogoś, co wtedy?

– Zabiję go.

– To chyba niezbyt elfie zachowanie.

– Nie. Zdecydowanie nie.

* * *

Niebo wciąż płakało, niczym matka, pochylająca się nad losem swych nieszczęsnych dzieci. A dzieci biegały dookoła, taplając się w błocie jak żaby. Horda małych stworzonek grających w grę pozbawioną zasad, niemyślących nawet, że ktoś mógłby nad nimi płakać. Bo czym były łzy? Czym był prawdziwy smutek? Jedynie wymysłem dorosłych. Tych dużych osób, które nie umiały się już bawić.

Tissaia stała na skraju drogi i przyglądała się dzieciarni. Płakała. Ravan i Wilhelm stali z tyłu. Nie przeszkadzali jej. Byli zajęci rozmową.

Podróżowali wspólnie od rana. Początkowo elf nie chciał się na to zgodzić, ale człowiek przekonał go, że odejdzie, gdy dotrą do pobliskiej wioski. Teraz kiedy ta wyrosła przed nimi, nadszedł czas rozstania. Ale wcześniej Ravan chciał zadać jeszcze jedno pytanie.

– Chodzi mi o ten kwiat, człowieku. Czy to była magia?

– Nie. Nie jestem czarodziejem. Znam jedynie kilka przydatnych sztuczek – odparł z uśmiechem Wilhelm. – Ale po sposobie, w jaki zadałeś to pytanie, wnioskuję że nie przepadasz za czarodziejami. Czy to właśnie jednego z nich szukasz? – zmienił nagle ton na poważny.

– Czarnoksiężnika – odparł spokojnie elf.

– Ponoć kilka dni drogi stąd mieszka jeden z nich.

– Słyszałem.

– Ponoć jest bardzo potężny.

– To też słyszałem – stwierdził bez emocji elf. – Tissaia, czas na nas – krzyknął, ruszając w jej stronę.

– Spójrz na tę wioskę – odezwał się za jego plecami człowiek. – Przez ostatnie dziesięć lat trzy razy przeszły tędy wojska, paląc, mordując i grabiąc. A mimo to wioska wciąż stoi, jej mieszkańcy wciąż żyją i cieszą się każdym dniem.

– Sugerujesz mi coś?

– Być może… Być może moglibyście się jednak czegoś od nas nauczyć.

– Nauczyliście nas już wystarczająco dużo. Człowieku.

* * *

Ravan biegł. Nie ścigał, nie uciekał. Po prostu biegł. Biegł przed siebie, w głąb lasu. Słońce świeciło wysoko na nieboskłonie. Leśne stworzenia leniwie schodziły mu z drogi. Nie uciekały, nie bały się. No bo i czego. Przecież to tylko Ravan. Stary, dobry, spokojny, wrażliwy elf. On nie zabijał bez potrzeby. Zabijał tylko jeśli nie miał wyboru, tylko jeśli nie było innego wyjścia. Zwierzęta to rozumiały, w jakiś niezwykły, niewyobrażalny sposób. Rozumiały to i nie bały się. Ale Ravan teraz nie polował. Tylko biegł. Biegł bez celu, pchany czystą wolą życia, czystą radością…

* * *

Obudził się zlany potem. Krople deszczu uparcie uderzały o dach prowizorycznego szałasu. Było już późne popołudnie. Musiał zasnąć, kiedy zatrzymali się żeby odpocząć. Ravan zmełł w ustach ludzkie przekleństwo. Te sny coraz częściej go dopadały. Migawki z dawnego życia. Obrazy szczęścia, radości i spokoju. Najgorsze możliwe koszmary. Dopiero po chwili zorientował się, że coś jest nie tak. W szałasie nie było Tissai. Natychmiast zerwał się i wybiegł na zewnątrz. Jak długo spał? Jak daleko zdołała odejść? Dokąd? W którym kierunku? Myśl, myśl… Dzieci na drodze? Wioska? Co jeszcze tam było? Ludzie? Nie… Ale coś było. Coś, co nie dawało mu spokoju, ukryte gdzieś na dnie umysłu. Myśl, myśl… Ptaki krążące nad jakimś miejscem za wioską, ludzie w czerni mijani na drodze, idący z tamtego kierunku. Żałoba, śmierć, pogrzeb… Cmentarz!

* * *

Cmentarz był bardzo stary. Sądząc po rozmiarach, służył całej okolicy. Kamienne grobowce, małe nagrobki i drewniane krzyże wbite w ziemię. Nawet wobec śmierci nie było równości. Nawet teraz jednym spojrzeniem dało się rozróżnić, gdzie leży wielki pan, a gdzie żebrak. I na co to komu? Ostatni pomnik ludzkiej próżności.

Odnalazł ją bez trudu, klęczała w błocie nad jakimś grobem i płakała. Grób był mały, zapewne należał do dziecka. Nie było żadnego nagrobka, jedynie wbity w ziemię kołek. Pewnie mogiłka jakiejś sieroty. Jakiegoś zapomnianego małego człowieka, którego los nikogo nie

obchodził. Tym bardziej nie obchodzi nikogo jego grób. Ravan miał już podejść i zabrać Tissaię, ale wstrzymał się. Przez szum deszczu przebiła się cicha, ledwie słyszalna melodia. Melodia, którą dobrze znał. Stara elfia kołysanka o chłopcu który zgubił się w lesie i nie może znaleźć drogi do domu. Dopiero po chwili zrozumiał, że to Tissaia śpiewa. Płacze, łyka łzy z deszczem i śpiewa. Bardzo smutno. O wiele smutniej, niż pamiętał.

– Co tu się dzieje? – padło pytanie gdzieś z boku. Słowa wypowiedział uzbrojony w widły chłop. Było z nim jeszcze kilkadziesiąt uzbrojonych osób. Ravan zaklął bardzo nieelfio – dał się otoczyć.

– Czary jakieś odprawiają, mówiłam! – krzyczała jakaś mała dziewczynka, przytulona do matczynej sukienki. – Jak tylko ich zobaczyłam, to wiedziałam, że to jakieś dziwacy.

– Niech dziewka przestanie czary rzucać – warknął ten z widłami.

– Ona nie rzuca czarów, tylko śpiewa – wyjaśnił cierpliwie Ravan, równocześnie powoli zdejmując z pleców łuk, jakby chciał go odłożyć.

– Już ja słyszałem o waszych elfich pieśniach. My nie głupie, nie damy na się uroku rzucić. Niech zawrze pysk albo nadzieję na widły!

Tissaia nie przestawała, chyba w ogóle nie zauważyła, że coś się dookoła niej dzieje. Jeden z chłopów zrobił krok naprzód. Ravan jednym płynnym ruchem podniósł łuk i nałożył wyjętą nie wiadomo kiedy strzałę. Chłop się cofnął.

– Wszystkich nas nie wystrzelasz – krzyknął ten z widłami.

– Nie. Ale pierwszy, który podejdzie, zginie na pewno. No dalej. Co? Słyszeliście o elfich łucznikach? I bardzo dobrze. A teraz odwróćcie się i spokojnie wróćcie do swoich chat.

Chłopi nie poruszyli się. Czekali.

– Nie godzi się tak – odezwał się ktoś z tyłu. – Pozwolić tym stworom zmarłych bezcześcić.

– Właśnie, co na to bogo…

Nie dokończył, wszystko stało się błyskawicznie. Jakiś młokos skoczył od prawej. Myślał, że zdąży, nim elf się odwróci. Nie zdążył. Następny szedł już z lewej. I kolejny. Ravan wystrzelił jeszcze raz, a później dobył miecza. Krew tryskała, mieszając się z deszczem. Kolejne ciała padały na nagrobki. Padały w błoto. Świst miecza, krzyki rannych, uderzające o ziemię krople deszczu, cicha elfia kołysanka. Wszystko mieszało się w koszmarnej symfonii śmierci. Ravan rozorał szyję tego z widłami. Przeskoczył przez nagrobek i walnął na odlew dwóch stojących tam parobków. Nie zasłaniali się, nie blokowali jego ciosów, nie potrafili. Nie mieli czym. Zbyt się bali. Obok przebiegło coś małego. Elf wstrzymał cios w ostatniej chwili. Mała dziewczynka tuliła się do ciała tego z widłami, pewnie jej ojca. Ravan nie miał czasu o tym myśleć. Dookoła wciąż było wielu ludzi. Zbyt wiele tych wstrętnych, odrażających istot. Krzyczeli, płakali, wymiotowali. A on chciał ich uciszyć, starał się zabijać jednym ciosem, by nie musieć słuchać ich krzyków.

A ich wciąż było tak wielu. Biegali dookoła niczym mrówki. Uciekali, krzyczeli, niektórzy próbowali jeszcze atakować, ale było ich coraz mniej. Ktoś próbował zajść go od tyłu. Uderzył instynktownie. Kolejne ciało upadło w błoto. Ciało kobiety. Tej do której wcześniej przytulała się dziewczynka.

Ravan rozejrzał się. Cmentarz był już prawie pusty. Wszyscy uciekli lub zginęli. Jedynie mała dziewczynka klęczała przy ciałach martwych rodziców. I płakała. A Tissaia wciąż śpiewała cichutko.

– Przestań – odezwał się do niej. – Przestań, proszę.

Ale nie przestała. Deszcz wciąż padał. Jacyś ranni jęczeli. A dziewczynka wpatrywała się w niego przez łzy. Patrzyła smutnym, pustym wzrokiem.

– Przestań! – krzyknął Ravan.

Patrzył na wymieszaną z błotem krew. Na dziesiątki wykrzywionych ciał. Zatoczył się, zrobiło mu się niedobrze.

– Przestań!! – krzyczał już nie do elfki. Ale również do nieba które płakało, do dziewczynki która mu się przyglądała. Podszedł do Tissai i chciał ją podnieść, wyprowadzić z tego cmentarza. Ale ona wzdrygnęła się na widok krwi. Popatrzyła na niego jak ta dziewczynka. Tym samym wzrokiem.

– PRZESTAŃ!!! – krzyczał już do całego świata. Całego, wstrętnego i tak znienawidzonego świata. – Przestaaaaaaaaaaaaań, proszę… – dokończył już niemal szeptem.

A niebo wciąż płakało, jak gdyby wierząc, że jego łzy mogą zmyć krew, zmyć cały ten ból.

* * *

Uciekali przez las. Ravan wiedział, że prędzej czy później ruszy pogoń. Wątpił, by byli potrafili wytropić go w lesie, ale wolał nie ryzykować. Tak przynajmniej sobie wmawiał. Ale prawda była inna. Uciekali tak szybko, ponieważ chciał jak najbardziej oddalić się od tego miejsca. Tego przeklętego cmentarza, tych trupów i tych pustych oczu. Usłyszał za sobą hałas. Tissaia znów się wywróciła. Nie wytrzymywała tempa. Wrócił, by pomóc jej wstać. Złapał ją za ramię, ale ona próbowała go ugryźć. Cofnął się i usiadł na jakimś pieńku. Dopiero teraz zauważył, jak bardzo jest zmęczony. Dopiero teraz zauważył, że całe jego ubranie pokrywa zaschnięta krew. Jego umysł mimowolnie przywołał obraz niedawnej rzezi. Konających ludzi, krzyków, płomieni… Nie, to nie ten obraz! Ale było już za późno. Stare wspomnienia przełamały tamę. Wspomnienia, które zepchnął w najdalsze zakamarki umysłu. Krzyki umierających, śmiech napastników, swąd palonych ciał. I płacz. Cichy płacz. I kołysanka. Ravan otworzył oczy. Odgonił od siebie wspomnienia. Zdusił je. Zaczął głęboko oddychać. Dopiero po chwili zauważył czyjąś obecność.

– Czego chcesz, człowieku?

– Niczego – odparł cicho Wilhelm. – Przyszedłem jedynie popatrzeć.

– Na co?

– Na upadek.

– Odejdź! – krzyknął elf.

– Inaczej co? Zabijesz mnie? Tak jak tych ludzi w wiosce?

– Nie chciałem tego! To oni zaatakowali! Miałem czekać, aż nas zabiją?

– Mogłeś. Mogłeś również zranić kilku i przestraszyć resztę. Mogłeś zrobić cokolwiek. Ale wybrałeś zabijanie. Rzeź…

– Nie chciałem!!! Myślisz, że zrobiłem to specjalnie?! Że chciałem ich pozabijać?!

– Myślę, że tak – odparł spokojnie człowiek. – Ale to chyba nieistotne, co ja myślę. Chodźcie za mną, mam tu niedaleko chatę. Możecie się tam ukryć i przeczekać.

– Czemu miałbym ci zaufać?

– A czemu nie? – Wilhelm uśmiechnął się przyjaźnie i podszedł do Tissai.

Elfka przez chwilę przypatrywała mu się. Po czym wyciągnęła rękę, by pomógł jej wstać. Ravan patrzył zdumiony. Tissaia nie pozwalała się dotykać innym. Więc czemu wyciąga ręce do tego człowieka? I jak on ich tu znalazł? Skąd wiedział o cmentarzu? Nie było go tam, nie mogło być. Ravan dopiero teraz zrozumiał, że nie ma do czynienia ze zwykłym człowiekiem. Jeśli w ogóle można było go nazwać człowiekiem.

* * *

Coś było nie tak. Coś zaburzyło spokój umysłu. Ptaki nagle zerwały się do lotu. Uciekały. W całym lesie można było wyczuć napięcie. Coś było nie tak. Ravan ruszył

w kierunku wioski. Narastał w nim niepokój. Wdzierał się do jego świadomości. Gwałcił beztroskę. To nic, mówił sobie. Ale niepokój narastał. Zaczynał zaciskać mu gardło. Bezwzględnie zarzynał szczęście. Coś było nie tak. Biegł, biegł ile sił w nogach. Biegł ze strachem. Biegł z przerażeniem. A później zobaczył dym. Usłyszał krzyki…

* * *

Obudził się z wrzaskiem. Pot spływał po twarzy. Brakowało powietrza. Powoli rozejrzał się po pomieszczeniu. Było puste. Całkowicie puste. Za oknem padał deszcz.

Znalazł ich bez trudu. Siedzieli na zewnątrz. Ukryci przed deszczem pod gałęziami olbrzymiego drzewa. Rozmawiali. Ravan zamarł. Tissaia nie rozmawiała z nikim. Więc dlaczego? Zauważyli go. Elfka przez chwilę spoglądała na niego smutno, a później wstała i ruszyła do chaty.

– Musimy porozmawiać – zwrócił się do człowieka.

– Czekałem na to – odparł z uśmiechem Wilhelm.

* * *

Odeszli kilka kroków. Deszcz padał niemiłosiernie. Tak samo było od kilku dni. Może od zawsze? Co za różnica?

– Kim jesteś? – spytał w końcu Ravan.

– Już mówiłem. Podróżnikiem, zwykłym wędrowcem.

– Zwykłym?

– Jedyne co różni mnie od innych, to pokonany dystans. I czas, jaki mi to zajęło.

– Dopiero teraz to zauważyłem – stwierdził elf ze smutkiem. – Powinienem to zauważyć już na początku. Kiedyś zauważyłbym to na początku. Kiedyś… Ale ona to dostrzegła, prawda? Dlatego pozwoliła ci się zbliżyć. Mimo wszystko, ona chyba widzi więcej niż ja…

– Twoje oczy – podjął po chwili zadumy. – Można zmienić wygląd. Ale nie oczy. Oczy zawsze pozostają te same. Są odbiciem duszy. A twoje oczy są bardzo stare. Starsze niż jakiegokolwiek elfa. Starsze niż można sobie wyobrazić.

– Jak mówiłem. Jestem zwykłym wędrowcem. Wyróżnia mnie tylko przebyty dystans i poświęcony czas.

– Czemu tu jesteś?

– By obserwować. Tym się właśnie zajmuję. Badam ludzką naturę.

– Nie jestem człowiekiem.

– Nie. Ale w gruncie rzeczy, co za różnica. Żyjesz, czujesz, kochasz, nienawidzisz. Jak człowiek.

– Nie jestem człowiekiem – powtórzył z naciskiem Ravan.

– Elfem też już raczej nie jesteś. Więc czym?

Odpowiedzią była cisza. Długa cisza. Wilhelm naruszył ją pierwszy.

– Ten czarnoksiężnik którego szukasz. Opowiedz mi o nim.

– Po co?

– Ponieważ chcę zrozumieć.

– Mam wrażenie, że rozumiesz dość dobrze.

– Więc może chcę, żebyś ty zrozumiał.

– Czy to coś zmieni?

– Pewnie nie.

– Dobrze więc – przemówił po chwili elf. – Od czego zacząć? – Przez chwilę zastanawiał się, aż w końcu podjął. – Żyłem w małej wiosce, w Północnym Lesie. Miałem żonę i trójkę dzieci. Same córki. Byłem głównym łowcą wioski. Zajmowałem się polowaniem i patrolowaniem okolicy. Wypatrywaniem zagrożeń. Całe tygodnie mogłem spędzać w puszczy. Z naturą. Miałem wszystko. Wszystko… – przerwał na chwilę. Opowieść sprawiała mu wyraźny ból. – Tamtego dnia byłem poza wioską. Nie polowałem. Bawiłem się tylko. Jak dziecko. Kiedy zorientowałem się, że coś się dzieje, było już za późno. Znad wioski unosił się dym… Kiedy dotarłem na miejsce, było już po wszystkim. Wszyscy zginęli. Nie, to złe słowo. Zostali zarżnięci. Dookoła leżały trupy. Zakrwawione, rozrąbane, ociekające krwią. Wszędzie unosił się swąd palonych ciał. Moich braci palono żywcem, razem z domami. Niektórzy dopiero konali. Krzyczeli z bólu. A ja nie mogłem im pomóc. Ich rany były zbyt poważne. Wszędzie dookoła. Elfy które znałem całe życie. Setki lat. Ale oni mnie nie obchodzili mnie. Biegałem dookoła, szukałem swojej rodziny. Swojej żony i córek. I znalazłem. Znalazłem to, co z nich zostało. Zakrwawione resztki. Nadpalone, śmierdzące. Ledwo zdołałem je rozpoznać. A później usłyszałem płacz. Dochodził z pobliskich krzaków. Płacz i cichą kołysankę. I znalazłem ją. Była córką starszego wioski. Zaledwie kilka lat wcześniej wyszła za mąż. Miała

małą córeczkę. Kilkuletnią. Czym jest kilka lat dla elfa? Była wtedy taka szczęśliwa. A teraz. Teraz leżała tam. Posiniaczona, naga, cała we krwi i… – jego twarz wykrzywił grymas gniewu. – Nie wiem czemu jej nie dobili. Może chcieli ją zostawić na później. W każdym razie leżała tam. Płakała i śpiewała. A kilka metrów dalej leżało ciało jej córki. Jej odciętą głowę nabito na włócznię. Stałem tak, nie wiedząc, co zrobić. A później to usłyszałem. Śmiech. Okrutny, obleśny rechot. Chwyciłem za miecz i ruszyłem w tamtym kierunku. Było ich trzech. Zostali, by wszystkiego dopilnować. Straż tylna. Zabiłem ich. Tak po prostu. Nie w obronie. Nie zdążyli nawet wyjąć mieczy. Nie dałem im szansy. Po prostu zarżnąłem ich. Jak zwierzęta. Gorzej. Jak potwory. Potwory którymi byli… Później pochowałem moich współplemieńców. Wziąłem ekwipunek i ruszyłem w pogoń. To było cztery lata temu – ton elfa znów nabrał obojętności. – Od tamtej pory wytropiłem ich wszystkich. To była banda najemników. Czarnoksiężnik zatrudnił ich, by pomogli mu w ataku. Chciał zdobyć jakiś artefakt przechowywany przez starszego wioski. Wiedział, że nie oddamy go po dobroci. Później jego ludzie się rozeszli. Wytropienie wszystkich zajęło wiele czasu. A teraz został już tylko on. Dotrę do jego wieży jutro. Wtedy wszystko się skończy.

– I co później?

– Nie wiem. Kogo to obchodzi?

– A co z nią?

– Nie wiem.

Wilhelm przez chwilę przyglądał mu się badawczo.

– Czemu ją ze sobą wziąłeś?

– Nie mogłem jej tam zostawić. Wiesz jaka ona jest. Zamknęła się w sobie. Żyje we własnym świecie. Nie przeżyłaby sama.

– Nie o tym mówię. Ciągniesz ją za sobą od czterech lat. Na pewno mogłeś ją zostawić w jakiejś elfiej wiosce.

– Może… może nie chcę. Widzisz, ona jest moim ostatnim łącznikiem. Ostatnią pamiątką, jaka została z dawnego życia. Dawnego ja. Wiesz, kiedyś byłem inny. Kiedyś czułem wiatr na twarzy. Czułem promienie słońca. Potrafiłem wyczuć zmianę pogody. Potrafiłem zachwycić się wschodem słońca. Widziałem wszystko. Widziałem piękno… A teraz. Teraz widzę tylko to – wskazał na ciemne chmury. – Zmieniłem się. A ona jest ostatnim łącznikiem z tamtym ja. Tamtym ja, które już nie żyje.

– A może po prostu nie może wyjść spod tej całej nienawiści? Spod tej maski, pod którą je ukryłeś? Którą stworzyłeś, by przetrwać. By wytrzymać ból. Ale ból już się zmniejszył. Więc może najwyższy czas zdjąć maskę.

– Nie. Jeszcze nie. Muszę zrobić jeszcze jeden krok.

– To może być krok za daleko.

– Niech więc tak będzie.

– Więc wybrałeś już los. Los dla was obojga.

– Co masz na myśli?

– Nie widzisz tego? Tylko pomyśl. Od czterech lat pchasz ją przez ten koszmar. Nie pozwalasz odpocząć. Nie pozwalasz jej zapomnieć. Zmuszasz, by przeżywała to na

nowo. Mówisz, że ona jest łącznikiem z przeszłością. Nieprawda. Używasz jej, by karmić swą nienawiść.

– To nie tak. Robię to dla niej. By zapłacili za to, co jej zrobili!

– A co ty jej robisz? Zrozum to wreszcie. Ona nie chce zemsty. Ty chcesz zemsty i wmawiasz sobie, że ona również. To nieprawda. Ale możesz zawrócić. Możesz…

– Nie. Nie było cię tam. Nie widziałeś, co oni zrobili! Co zrobili jej!! Co zrobili mojej rodzinie!!! CO ZROBILI MI!!!

Ravan oddychał głęboko. Cofnął się o kilka kroków i padł na kolana. Schował twarz w dłoniach.

– Powiedz mi – odezwał się po chwili Wilhelm. – Co sprawia, że wstajesz rano z łóżka?

– Nienawiść – odparł bez wahania elf.

– To chyba kiepski powód.

– Lepszego nie mam.

– A ona? Mógłbyś żyć dla niej. By się nią opiekować. Być może wtedy tamto życie mogłoby powrócić. Mówiłeś, że ludzie nauczyli cię już wystarczająco dużo. A może się mylisz? Może mogę was nauczyć jeszcze jednej rzeczy?

– Nie. Tamto życie już minęło. Nie jesteśmy tacy jak wy. Nie umiemy się przystosować.

– Podobno nie znacie nienawiści. Skoro obaliłeś już jeden mit, może czas obalić następny?

– Czego ty chcesz? Czemu tak bardzo ci zależy, by mnie przekonać?

– Już mówiłem. Nie chcę cię przekonać. Chcę jedynie, żebyś zrozumiał. To jest właśnie najważniejsze.

Zrozumienie.

– Więc nie powstrzymasz mnie?

– Nie.

Zapadła cisza, zakłócana jedynie szumem deszczu.

– Kiedy ostatnio płakałeś? – spytał spokojnie Wilhelm.

– Nie wiem… Dawno…

– Może już najwyższy czas.

– Nie – głos elfa znów nabrał zdecydowania. – Jeszcze nie. Na razie ono płacze za mnie – powiedział i wskazał niebo.

* * *

Dokoła panowało piekło. Płomienie, krzyki konających, krew. Wszystko wirowało. Tworzyło jakiś nierealny, niemożliwy do zaakceptowania koszmar. Biegał po resztkach wioski. Potykał się o ciała. Krzyczał. W końcu je znalazł. Podszedł bliżej. Spojrzał na swoją piękną żonę, na swoje urocze córki. I zwymiotował. A później klęczał na ziemi i płakał. Płakał z całych sił. Z całych sił wmawiał sobie, że to się nie dzieje. Że to tylko koszmarny sen. Że to tylko… Ale nie. To się dzieje. Ta wiedza powoli i uporczywie przebijała się do jego świadomości. A wraz z nią przychodziło coś jeszcze. Coś, czego dotąd nie znał. Czego dotąd nie czuł. Coś, co plugawiło jego duszę. Zabijało sedno jego jestestwa. Niszczyło tego, kim był do tej pory. To, czym był do tej pory. Nienawiść. Czysta, niepohamowana nienawiść. Zdławił w sobie płacz, zdławił wszystko. Wszystko, co mogło ją powstrzymać. Wszystko, co mogło

przeszkodzić. Została tylko ona. Nienawiść i pragnienie mordu…

* * *

Niebo płakało. Jego łzy upadały na wzniesioną z szarego kamienia wieżę. Na leżące przy drzwiach ciała strażników. Na krew. Niebo płakało rzewnie. Czemu? Kto to wie? Może uznało, że ludzie pod nim płaczą za mało. Może naiwnie wierzyło, że jeśli ono zapłacze, oni już nie będą musieli. A może płakało za tych, którzy już tego nie potrafili.

* * *

Wieża była prawie pusta. Poza strażnikami przy wejściu właściwie nikt jej nie bronił. Ravan wiedział, że to oznacza pułapkę. Lecz nie obchodziło go to. Szedł naprzód. Tissaia szła za nim. Zwykle nie zabierał jej ze sobą. Ale tym razem było inaczej. Tym razem jej się to należało. Należało jej się, by patrzeć, jak umiera ten, który to wszystko spowodował. Ten, przez którego tak żyją. Tak, zasłużyła, by na to patrzeć. Niezależnie od tego, który z nich zginie.

Potężne drzwi stały otworem. Na środku dużej sali, na tronie, siedział czarnoksiężnik. Był to stary, pomarszczony człowiek. Wyglądał jak gdyby stał nad grobem. Jak gdyby nie miał sił się ruszyć. Ravan nie dał się zwieść. Czarnoksiężnicy potrafili kontrolować swój wygląd. Wystarczyła prosta iluzja.

– Witaj – odezwał się cicho starzec. – Oczekiwałem cię, elfie.

Ravan nie odpowiedział. Podszedł bliżej. Zatrzymał się kilka kroków od czarownika i dobył miecza.

– Czas umierać, starcze – powiedział beznamiętnie.

– Tak szybko? Chyba nie chcesz mi powiedzieć, że po tym wszystkim tak po prostu mnie zabijesz? Żadnych tortur? Żadnej przemowy?

– Nie jestem tobą.

– Nie? Wręcz przeciwnie. Dlatego cię tu wpuściłem. Ponieważ jesteś dokładnie taki jak ja. Obydwaj jesteśmy niewolnikami swoich błędów.

– Błędów? Nazywasz to błędem? Zniszczyłeś moje życie! Zniszczyłeś jej życie! Wymordowałeś całą wioskę! I nazywasz to błędem?!

– A jak nazwać to, co ty zrobiłeś na cmentarzu?

– Co?

– Tak, widziałem to! Obserwowałem cię od dwóch lat. Od kiedy dowiedziałem się, że na mnie polujesz. Obserwowałem i czekałem. A teraz pytam!

– To coś innego – stwierdził ze złością Ravan. – Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli. Nie chciałem ich zabić… Tylko…

– Tylko nie zapanowałeś nad tym. Otóż to. Ja cztery lata temu popełniłem podobny błąd. Wynająłem nieodpowiednich ludzi. Chciałem tylko nastraszyć starszego wioski, by oddał mi sztylet, którego potrzebowałem do eksperymentów. Ale on się stawiał. Moim ludziom puściły

nerwy. Doszło do walki. Starszy okazał się sprawnym czarodziejem. Zanim się z nim uporałem i zdobyłem sztylet, było już po wszystkim. Dookoła była rzeź.

– Nie wierzę ci.

– A czemu miałbym kłamać? Obserwuję cię od dwóch lat. Już dawno mogłem się was pozbyć. Mogłem zamienić moją wieżę w twierdzę. Ale nie zrobiłem tego. Pozwoliłem ci tu dotrzeć. Jaki cel miałbym w kłamstwie?

– Coś knujesz. Próbujesz mnie jeszcze bardziej pognębić.

– Po co? Miałem zamiar udawać tego złego czarnoksiężnika, którego się spodziewałeś. Pozwolić ci nasycić się swoją zemstę, znaleźć w niej ukojenie. Ale spotkałem kogoś, kto przekonał mnie, że to zła droga. Dlatego mówię ci prawdę. Całą prawdę!

– NIE!!! – Ravan czuł, jak jego pewność siebie topnieje. – Kłamiesz!

– Spytaj ją – czarnoksiężnik wskazał Tissaię.

– Co? – oniemiał elf.

– Myślisz, że jakim sposobem przeżyła? To ja ją ocaliłem. Odgoniłem ich w ostatniej chwili. Użyłem magii, by zasklepić rany. Nie dziwiło cię, skąd ta cała krew na jej ciele? Skoro miała jedynie siniaki i otarcia, żadnych głębszych ran?

– Przestań – szepnął Ravan.

– Chciałem ją zabrać. Ale zorientowałem się, że nadchodzisz. Więc zabrałem swoich ludzi. Wiedziałem, że jeśli zastaniesz nas w wiosce, to poleje się krew…

– Przestań – powtórzył głośniej.

– A tamtego dnia przelano się dosyć krwi. Dlatego ewakuowałem ich. Zostawiłem ją, byś mógł ją znaleźć. Niestety trzech moich ludzi postanowiło wrócić…

– Przestań!!! – wrzasnął elf. Czuł, jak coś w nim pęka. Patrzył na Tissaię, szukając jakiejś reakcji. Jakiegoś zaprzeczenia słów czarnoksiężnika. Nie znalazł. Wiedział, że nie znajdzie. Wiedział, że starzec mówi prawdę. Wszystko w co wierzył, wszystko czym był – wszystko się rozpadało. Umierało. Ulatywała z niego nienawiść. A ten starzec wciąż mówił. Czemu nie przestanie? Niech przestanie! Chwycił się tej myśli. Przytulił do niej całą swą nienawiścią. Złapał niczym ostatniej szansy.

– PRZESTAŃ!!! – rzucił się do ataku. Uniósł ręce do ostatniego ciosu. Ale coś go zatrzymało. Dwie drobne dłonie chwyciły jego ręce, powstrzymując cios. Przez chwilę wpatrywał się w jej smutne oczy. A później jego miecz wysunął się z rąk i spadł na ziemię. Ravan powoli osunął się na kolana. W jego oczach pojawiły się łzy. Tissaia schyliła się i przytuliła go. Objęła całą sobą. A on bezwładnie oparł głowę o jej ramiona…

I zapłakał.

* * *

Słońce świeciło na niebie. Nigdzie nie było nawet śladu chmur. Jedynie czysty, jasny błękit. Tissaia chodziła po zielonej łące. Przyglądała się motylom. Ravan siedział na pieńku, kilkanaście metrów od niej. Wsłuchiwał się w las.

– Widzę, że nadal żyjesz – odezwał się za nim głos Wilhelma.

– Jak widać – odparł pogodnie elf.

– Domyślam się, że czarnoksiężnik też żyje.

– Zgadza się.

– Porzuciłeś swoją zemstę?

– Może uznałem, że jednak mogę się czegoś nauczyć od ludzi.

Człowiek uśmiechnął się szeroko. Usiadł obok elfa.

– I co zamierzasz teraz?

– Znajdę jakieś spokojne miejsce. I zacznę wszystko od nowa. Zaczniemy wszystko od nowa.

– Mądra decyzja.

– Powiedz mi coś. Czy ona kiedyś…

– Będzie taka jak dawniej? Nie wiem, nie znam się na elfiej psychice. Ale, szczerze mówiąc, wątpię w to. Przeżyła zbyt duży wstrząs. Ale jej obecny stan nie jest chyba taki zły – stwierdził wędrowiec, patrząc, jak elfka bawi się z motylami. – Przynajmniej jest szczęśliwa.

– Tak – przyznał w zamyśleniu elf. – Mam jeszcze jedno pytanie. Czarnoksiężnik mówił, że ktoś go przekonał, by powiedział prawdę. To byłeś ty?

– Tak.

– Czemu?

– Ponieważ uważałem, że zasługujesz na prawdę. Całą prawdę.

– Rozumiem. Chyba czas na nas. Domyślam się, że nie będziesz nam towarzyszył.

– Nie. Muszę odwiedzić jeszcze wiele miejsc.

– Spotkamy się jeszcze?

– Może. W innym miejscu i innym czasie. Ale nie liczyłbym na to.

– W takim razie żegnaj, Wilhelmie.

– Żegnaj, Ravanie.

Słońce powoli sunęło po nieboskłonie, obdarzając świat życiodajną energią. Tissaia podbiegła do wędrowca i wręczyła mu kwiat. Taki sam jak ten, który wyczarował przy ich pierwszym spotkaniu, kilka dni temu. A może w innym życiu? Teraz wydawało się to prawdopodobne. Wilhelm przyjął kwiat i ukłonił się dwornie. Zadowolona z siebie elfka uśmiechnęła się wesoło. I uśmiech ten przyćmił na chwilę słońce. Niczym pierwszy prawdziwy uśmiech od mileniów. Spojrzała na Ravana i kiwnęła głową, wskazując kierunek, po czym zerwała się i radośnie ruszyła w dalszą drogę.

– Zastanawiam się, kto tu kogo prowadzi – stwierdził wesoło człowiek.

– Ja również – odpowiedział elf i wybuchnął śmiechem. Szczerym, radosnym śmiechem.

Potępieniec – Marcin A. Guzek

Czekam na ocalenie.

Wyczekuję zbawienia w ciasnej, cuchnącej celi. Małe, zakratowane okienko tuż przy suficie wychodzi na plac, na którym właśnie przygotowują mi szafot. Już tylko minuty dzielą mnie od katowskiego miecza, ale nadal nie tracę nadziei. Wiem, że ktoś przyjdzie i mnie ocali, wierzę w to całym sercem.

Bo cóż innego mi pozostało?

Czemu tu jestem? Bo zgrzeszyłem. Popełniłem zbrodnie, o jakich nawet mi się nie śniło. Nie pamiętam czasów przed tym, nie pamiętam jak normalnie żyć, nie będąc ściganym przez te demony. Nie czekać na ocalenie.

Drzwi się otwierają, a do celi wchodzą strażnicy. Przyglądam się uważnie każdemu z nich. Z nadzieją wodzę wzrokiem po ich twarzach, poszukując choć najmniejszej oznaki, że to któryś z nich. Że oto nadszedł mój wybawiciel.

Lecz znajduję jedynie rozczarowanie. Znów. Wyciągają mnie z pomieszczenia i ciągną długim, krętym korytarzem. Łudzę się, że za każdym zakrętem jest mój zbawca, lecz znów się zawodzę.

Wychodzimy na plac, tłum rzuca we mnie zgniłymi warzywami i kamieniami. Ignoruję ich wrogość, wyglądam

choć jednego przyjaznego spojrzenia, tej jednej osoby zdolnej mnie ocalić.

Wprowadzają mnie powoli na przygotowane wcześniej podwyższenie. Drewniana konstrukcja mojego ołtarza skrzypi lekko, kiedy wstępuję na kolejne stopnie, docierając wreszcie na szczyt. Posępna postać kata już czeka, powoli ostrząc miecz. Wielkie ostrze sprawiedliwości, poznaczone kroplami zaschniętej krwi. Przez moment mój umysł przebiega myśl, że może to właśnie mój wybawca. Miecz, który zakończy moje cierpienia. Ta myśl szybko ustępuje. Wiem, że piekło nie pozwoli mi się wywinąć tak łatwo. Nie ma już ucieczki w śmierć, nie kiedy zawrze się układ z diabłem. Mimo to nadal nie tracę nadziei na ocalenie za życia.

Katowski miecz powoli się unosi, a ja resztką sił spoglądam na tłum, jestem pewien, że zaraz wyskoczy stamtąd urodziwa niewiasta, krzycząc „Mój ci on!”. Ale nie, ostrze opada, a ja zaciskam powieki. Cios nie nadchodzi, zamiast niego dobiegają mnie krzyki. Wrzaski mordowanych, rozrywanych na strzępy ludzi. I przerażający śmiech demonów, które rozpętały dookoła piekło.

Nie otwieram oczu. Nie muszę, obraz tego co się dzieje był zbyt mocno wyryty w mojej pamięci. Moje własne, osobiste piekło, bez szans na odkupienie.

* * *

Otwieram oczy. Dookoła panuje już cisza, demony odeszły, pozostawiając za sobą zmasakrowane ciała

wszystkich, którzy mieli pecha znaleźć się na placu. Powoli wstaję i obojętnie przechodzę obok pobojowiska. Tym razem ocalenie nie przyszło, ale idę dalej. Wiem, że gdzieś tam jest ktoś, kto może mi pomóc; ktoś, kto mnie ocali. Muszę tylko iść dosyć długo i wytrzymać otaczające mnie piekło. Tylko tyle.

* * *

Cóż za przygnębiające otwarcie. Ale nie martw się, drogi czytelniku, teraz kiedy wyrwaliśmy narrację z rąk tego Potępieńca, czas na coś przyjemniejszego. Przywołaj w swoim umyśle następujący obraz. Piękne, wiosenne przedpołudnie. Wspaniała pogoda – aż trudno było wyobrazić sobie lepszą. Traktem, wzdłuż malowniczej łąki, jechał powóz. Właściwie karoca. Gustownie zdobiona, ale pozbawiona taniego przepychu, typowego dla miejskich kupców i szlachciców. To był środek transportu, który wręcz krzyczał, że należy do kogoś z klasą, przedstawiciela starej arystokracji, który nie musi podkreślać swojej pozycji tandetną krzykliwością. Wewnątrz siedział właściciel – młody, przystojny, ubrany gustownie ale bez przepychu.

Teraz skup się, drogi czytelniku, bo to bardzo ważne. Wyobraź sobie ideał młodego arystokraty, doskonale wychowanego, uprzejmego, pewnego siebie, ale rozsądnego. Oto właśnie osoba siedząca w środku. Marvin, bo tak miał na imię, przez całą podróż zabawiał rozmową towarzyszącą mu niewiastę – młodą i urodziwą pannę z dobrego domu. Wyglądali jak wyjęci z obrazka. Zaprawdę,

każdy prawdziwy arystokrata z aprobatą uśmiechnąłby się na ich widok.

Ależ co ja mówię, każdy człowiek byłby zachwycony podobną sceną! Dwoje tak pięknych ludzi, flirtujących ukradkiem pomiędzy zdaniami. Niejedna wspaniała ballada miłosna zaczyna się w ten sposób. Oczywiście, dla dobra fabuły, musi być i przeszkoda, ziejący ogniem smok. Tutaj, by dochować wierności tradycji, rolę potwora pełni Niania. Starsza pani, która siedzi obok i uważnie przygląda się dwójce młodych.

Oczywiście, nawet jej zimne serce mięknie na ten widok, i jedynie poczucie obowiązku przeszkadza jej w daniu naszej parze gołąbków odrobiny prywatności. Ale to nic, kiedy podróż ta dobiegnie końca, rodzina dziewczyny na pewno wyrazi zgodę na ślub z tak dobrze ułożonym i zamożnym młodzianem. Niania oczami wyobraźni już widziała małe, rozkoszne dzieciaczki, którymi wkrótce będzie się opiekować.

Zaprawdę wspaniała scena.

Niestety, w rzeczywistości coś tak idealnego się nie zdarza. Ważne jest, byś zrozumiał, drogi czytelniku, że to wszystko to iluzja, maska i kłamstwo. Ludzie zawsze tworzą podobne wizje szczęścia i doskonałości. Lubimy o nich słuchać w balladach, oglądać je na deskach teatralnych, w romantycznych komediach, których tyle ostatnio można ujrzeć na scenach wędrownych trup. To chyba jedna z cech rasy ludzkiej, staramy się stworzyć namiastkę doskonałości w świecie, który nie jest, nie był i nigdy nie będzie

doskonały. Jaka jest prawda? Niania w ciągu miesiąca umrze bardzo bolesną i cuchnącą śmiercią. Dziewczyna jest słodką idiotką, która pod maską skromności i uroku kryje ignorancję. Jej wspaniałe blond włosy, urodziwa twarz i niezaprzeczalnie pociągające ciało sprawiają, że całą pewność siebie włożyła w urodę. Co więcej, jej wianek został skradziony już lata temu przez chłopca stajennego. Od tamtej pory oddawała się każdemu, kto okazał jej choć odrobinę zainteresowania, którego tak brakowało naszej pannie w rodzinnym domu. Szczerze mówiąc, gdyby nie Niania, już dawno zdjęłaby suknię i rzuciła się na Marvina. Weźcie to pod uwagę, kiedy będę opisywał dalszy ciąg wydarzeń. Żeby dopełnić obrazu, dodam jeszcze, że jest ona obciążona poważną wadą genetyczną, która sprawia, że jej urocze dzieci urodzą się ciężko chore i zapewne nie dożyją dziesiątych urodzin. Aha, i tak naprawdę nienawidzi Niani. Jest jeszcze młodzian. Nie, on naprawdę jest czarujący i dobrze wychowany. Maska, którą nosi, jest prawdziwa, choć niestety nie do końca. Ale po raz kolejny, nie chcę wyprzedzać faktów. Skoro już zburzyłem w twoim umyśle piękno tej sceny, jesteś gotów przejść dalej. Pozwól, że jeszcze przez chwilę utrzymam ten bajkowy, romantyczny styl opisu.

Karoca zatrzymała się na postoju w przydrożnym zajeździe. Podczas gdy Niania rozprostowywała nogi, nasza dwójka gołąbków wymknęła się cicho. Poruszeni pięknem tej pary słudzy Marvina odwrócili wzrok i pilnowali, by Niania przypadkiem się nie zorientowała. Tymczasem

zakochani zaszyli się w małym pokoiku na tyłach zajazdu. Było tam trochę ciasno, ale im to nie przeszkadzało. Całowali się namiętnie, z pasją i miłością. Dziewczyna skromnie i z wdziękiem zaczęła podwijać suknię, mężczyzna uśmiechnął się, a potem stwierdził z lekką nutką zawodu:

– Nie, to jednak zbyt proste.

– Co?

Cios był całkowitym zaskoczeniem. Pięść zderzyła się z piękną, delikatną twarzą. Trafiona dziewczyna padła na ziemię, łapiąc się za obolały policzek. Zanim jej umysł zorientował się, co właściwie zaszło, kolejny cios dosięgnął jej młodego, jędrnego ciała. Kopnięcie trafiło w brzuch, kolejne w twarz, a usta zalała krew ze złamanego nosa. I kolejna fala bólu, promieniująca z uderzonej ręki. Dziewczyna krzyczała, próbowała się zasłaniać, nie pomagało, kolejne razy wzmagały cierpienie. Gdzieś pomiędzy tym wszystkim słychać było radosną melodię – to nasz młody panicz nucił pod nosem, wymierzając coraz silniejsze ciosy.

Wreszcie złapał ją za włosy i podniósł do góry.

– I jak teraz? – spytał z uśmiechem. A potem pchnął bezwładną dziewczynę na stół. Potężnym szarpnięciem wyrywał jej pęk włosów i spokojnie powąchał. Zapach ziołowego szamponu, zmieszany ze słodką wonią świeżej krwi.

– Co to ma znaczyć?!

Do pomieszczenia wpadła Niania. Mężczyzna nie wahał się nawet przez sekundę, wyciągnął zza pasa sztylet i jednym płynnym ruchem poderżnął staruszce gardło. Była to krwawa, ale jednak miłosierna śmierć, w porównaniu z tym, co ją czekało. Oczywiście mężczyzna nie wiedział o jej chorobie, inaczej pewnie by się zawahał.

– Dlaczego? – spytała krwawa maska, która dwie minuty temu była przepiękną twarzą dziewczyny.

– Dlaczego? – odpowiedział Marvin z rozbrajającą szczerością i podszedł do niej, powoli rozpinając pas u spodni.

– Nie wymagam tego, ale nie będę protestował, jeśli postanowisz krzyczeć.

Doskonale wiedział, że nie napotka już żadnych innych oznak oporu.

* * *

Kiedy Marvin wyszedł na zewnątrz, nadal był piękny, słoneczny dzień. Wziął głęboki oddech i wygładził na sobie ubranie, którego – co ciekawe – nie znaczyła nawet jedna plamka krwi. Lata wprawy. Jego ludzie natychmiast zaczęli zbierać się do wyjazdu. Doskonale znali swojego pracodawcę i jego zwyczaje.

– Co z dziewczyną? – spytał jeden z nich z wyraźną nadzieją.

– Jest nieistotna. Możecie się zabawić, a później odstawcie ją do najbliższego burdelu. Tylko jakiegoś podłego, do porządnego się nie nadaje – stwierdził

z wyraźną nutką rozczarowania w głosie i ruszył w kierunku karocy. Nie było mu jednak dane tam dojść od razu, wcześniej wiatr zawiał mocniej, słońce jakby trochę przygasło, a wszyscy dookoła zatrzymali się gwałtownie. Nie to nie tak, nie chodzi o to, że przestali się poruszać, oni raczej zamarli w całkowitym bezruchu. I nie tylko oni, stanęło właściwie wszystko poza wiatrem. Piwo wylewające się z potrąconego kufla, pies łapiący szmacianą piłeczkę w locie, nawet ptaki na niebie. Zupełnie jakby zatrzymał się czas.

– Witam – odezwał się głos za Marvinem.

Właścicielem głosu był siedzący na dachu gospody mężczyzna. Człowiek ten mógłby być bratem naszego szlachcica, tak bardzo przypominał go wyglądem i ubiorem. Szlachetny profil, czarne jak noc, modnie uczesane włosy, ciemne oczy i dokładnie przystrzyżony zarost. Różniło ich to, że przybysz ubrany był całkowicie w purpurę, podczas gdy Marvin nosił się, zgodnie z najnowszą modą, w zieleni i błękicie.

– A kim ty masz być?

– Miłośnikiem twojej pracy! – Mężczyzna nagle pojawił się tuż obok. – Możesz mi mówić Magnus, choć oczywiście nie jest to moje prawdziwe imię.

– Miałem na myśli, czym jesteś? – Trzeba przyznać, że nasz młody szlachcic zachował stoicki spokój.

– Demonem oczywiście – odparł z rozbrajającą szczerością przybysz. – Ale nie o mnie mamy tu rozmawiać. Przybyłem tu, by udzielić ci odpowiedzi na twoje pytanie,

ale zanim do tego przejdziemy, sam chciałbym o coś spytać, jeśli mogę.

– Cóż, raczej nie posunę się do tego, by zabraniać czegoś demonowi.

– Jak miło, choć trochę mnie dziwi, że zupełnie się mnie nie boisz. Zwykle ludzie reagują trochę gorzej.

– Gdybyś chciał mnie skrzywdzić i tak nie zdołam cię powstrzymać, sądząc po tym, jak łatwo zatrzymałeś moją obstawę. Poza tym… wyglądasz dosyć przyjaźnie.

– Dziękuję, staram się. – Demon błysnął perłowo białymi zębami. – Miło, kiedy ktoś docenia takie szczegóły. Ale wracając do tematu i mojego pytania… Gwałt i pobicie? To dosyć mało wyrafinowane, nie sądzisz? Spodziewałem się czegoś bardziej… subtelnego.

– No cóż, pierwotnie miałem zamiar doprowadzić ją do punktu, w którym sama poderżnie gardło tej staruchy. Niestety, czas goni, a to zajęłoby jeszcze kilka godzin.

– Hmm, tak, to o wiele bardziej mi się podoba. Chyba trafiłem na właściwą osobę. Choć kilka godzin to sporo jak na tak prostą manipulację, ale cóż, nie wszyscy mamy tysiąclecia praktyki w ściąganiu ludzi na „złą” drogę. A teraz odpowiedź na twoje pytanie.

– Które pytanie? Zadałem ich w życiu sporo. – Marvin nadal mówił spokojnym tonem, starając się nie pokazać, jak wielkie wrażenie zrobiła na nim pochwała od demona.

– Oczywiście jedyne, które zawsze się dla ciebie liczyło. To, które zadajesz sobie każdego dnia po przebudzeniu, to, które setki razy nie pozwalało ci zasnąć. Jedyne pytanie we

wszechświecie, które ma znaczenie. – Magnus podszedł bliżej i stanął z młodzianem twarzą w twarz. – „Czy jestem wyjątkowy?”. – Nachylił się i szepnął mu do ucha. – Jesteś.

Cofnął się kilka kroków, z satysfakcją zauważając, że stojący przed nim człowiek, wreszcie odrzucił maskę obojętności.

– A właściwie możesz być, już niedługo. Przed zachodem słońca. Musisz tylko udać się karczmy Na rozdrożu, zamówić jakiś napój i posiedzieć kilka godzin w spokoju. A przeznaczenie samo do ciebie przyjdzie. Tak czy inaczej, do zobaczenia.

Postać w purpurze zniknęła, razem z nią odszedł wiatr, słońce znów zaświeciło z pełną siłą, a świat powrócił do nieustającego ruchu.

– Jedziemy, szefie? – spytał woźnica.

– Tak, ale do karczmy Na rozdrożu, Hugo. Wygląda na to, że mamy umówione spotkanie z przeznaczeniem.

* * *

Dziennik Inkwizytora Mathiasa Lucjusa.

Zadanie nr 113, odnalezienie i wyeliminowanie potwora określanego przez Oficjum jako Potępieniec.

Przed wyruszeniem zapoznałem się z obszernymi aktami tej sprawy, która wydaje się ciągnąć już od stuleci, dłużej niż istnieje samo Oficjum. Sposób działania zawsze jest taki sam – potwór pojawia się pod postacią żebraka, przemierza świat, udając niegroźnego, wręcz żałosnego. Później, w najmniej oczekiwanym momencie, sprowadza na

ziemię piekło. Zmasakrowane, rozrywane na strzępy ciała znajdowane są w różnych odstępach czasu. Czasami kilka razy w miesiącu, czasami raz na kilka dziesięcioleci.

Nie sposób znaleźć w tym metody.

Trudno również stwierdzić, czy Potępieniec jest jedną, długowieczną istotą, czy może na przestrzeni wieków było ich wielu. Jedno jest pewne: przez te wszystkie stulecia ofiarami bestii padły dziesiątki tysięcy ludzi. W tym wielu dobrych, sprawiedliwych Inkwizytorów, próbujących zakończyć to szaleństwo. Najnowsze doniesienie pochodzi z miasta Vesgran, gdzie doszło do masakry podczas egzekucji. Ponad trzydzieści ofiar. Kolejne biedne dusze, oczekujące sprawiedliwości.

Świadkowie widzieli włóczęgę opuszczającego miasto i udającego się na północ. Natychmiast podjąłem pogoń, mimo że zdaję sobie sprawę, że nikomu nie udało się jeszcze powstrzymać Potępieńca. Być może jeszcze przed zachodem słońca dołączę do jego ofiar, jestem jednak pogodzony z takim losem. Przyjąłem wolę bogów w dniu, kiedy podjąłem się tej ciężkiej i wymagającej służby, dla dobra i ochrony ludzkości. Pociesza mnie jedynie fakt, że jeśli zawiodę, zawsze znajdą się kolejni gotowi podjąć moje zadanie. Nie spoczniemy, dopóki bestia nie zostanie powstrzymana i ukarana za swe zbrodnie.

Wpis uzupełniający:

Po drodze natknęliśmy się na grupę rabusiów przewożących pobitą i zgwałconą niewiastę. Zbrodnia była oczywista, mimo to oddałem ich odpowiednim władzom na

uczciwy proces. Na szczęście dziewczynę udało się ocalić, ale była w zbyt dużym szoku, by mówić. Będę się modlił, by z czasem doszła do siebie i wróciła bezpiecznie do dawnego życia, choć zdaję sobie sprawę, jak bardzo jest to nieprawdopodobne po takich doświadczeniach. Wydaje się, że rabusie byli jedynie pachołkami prawdziwego sprawcy tej zbrodni. Niestety, moja obecna misja nie pozwala mi go odszukać, ale prędzej czy później i jego spotka kara. Ja tymczasem muszę odnaleźć dużo gorszego potwora.

* * *

Czy jestem potworem? Czy taki jest mój los? Kolejna zbrodnia, kolejny stos trupów, już nawet przestało mi to przeszkadzać, zobojętniałem na cały ból, który zadaję wszystkim dookoła. Minęło już tak dużo czasu, tyle stuleci. Nawet nie próbuję z tym dłużej walczyć. Kiedyś, na początku, było inaczej. Odwiedzałem potężnych magów, odnajdywałem cudowne artefakty, łapałem się każdej możliwości. Teraz tylko idę i czekam, wierząc zapewnieniom demona.

– Kopę lat!

W pierwszej chwili ignoruję głos rozbrzmiewający za mną. Już dawno przestałem zwracać uwagę na innych ludzi. Ale po chwili dociera do mnie, że coś jest tu inaczej. Znam ten głos.

– Ty! – Odwracam się, po raz pierwszy od dziesięcioleci naprawdę wstrząśnięty. Za moimi plecami stoi przystojny

młodzian ubrany w purpurę. Bez trudu jestem w stanie przejrzeć ten kamuflaż. – Daemonicus.

W pierwszej chwili chcę się na niego rzucić, ale później uderza mnie znaczenie tej wizyty.

– Czemu teraz? Nie widziałem cię od wieków. Od tak dawna nie zrobiłem nic, co mogłoby przykuć twoją uwagę. Czemu teraz?!

– Zgaduj.

– To nadchodzi, prawda? Moje ocalenie, mój ratunek. Inaczej by cię tu nie było.

– Nadchodzi zmiana, to fakt – przyznaje, uśmiechając się przyjaźnie, lecz ton jego głosu nie jest w stanie mnie zmylić. – Czy to twoje ocalenie, to się jeszcze okaże. W tej chwili są co najmniej dwie osoby, które bardzo chcą cię spotkać. Obydwie pędzą na złamanie karku, by móc zamienić z tobą choć kilka zdań. Czujesz to napięcie? Tyle planów, tyle ambicji, a wszystkie skupione wokół twojej nieistotnej osoby. Naprawdę, nie cieszyłeś się takim zainteresowaniem od czasu tej afery z Koroną Władzy! Ale mieliśmy wtedy ubaw, co?

– Twoje poczucie humoru jest zaprawdę demoniczne.

– Dziękuję, a ponoć mnie nie lubisz.

– Co mam zrobić? Co mam zrobić, by to wreszcie się skończyło?

– Nic. Po prostu idź naprzód i zatrzymaj się w następnej karczmie. Resztę zostaw przeznaczeniu.

Znika. Znów jestem sam na trakcie. Przez chwilę wpatruję się w pustkę, a potem ruszam szybciej. Co to? Coś

czego nie czułem już od tak dawna. Podekscytowanie? Prawdziwa nadzieja? O bogowie, cóż za niesamowite uczucie. Niemal biegnę. Już tak dawno nie zdarzyło mi się śpieszyć. Oby to nie był tylko okrutny żart. Proszę.

* * *

Karczma Na rozdrożu znajdowała się, jakżeby inaczej, na rozdrożu. Podróżni, zatrzymywali się tutaj, by zjeść posiłek, napić się i nabrać sił na kolejny etap tułaczki. Zwykle było tu tłoczno i głośno. Wprawdzie ten dzień nie miał być zwykły, ale niestety ludzkość nie zdawała sobie jeszcze z tego sprawy, co za tym idzie, było tu pełno gości i hałasu. Dziewki karczemne uwijały się pomiędzy stolikami, roznosząc jadlo. Jakiś bard grał wesołą melodię na lutni, kilka osób tańczyło. Panowała niepodzielna atmosfera wesołości i wypoczynku.

Zapewne domyślasz się już, drogi czytelniku, do czego zmierza ten niemal idylliczny opis. Lecz zanim tam dojdziemy, zerknijmy na jeden ze stolików – jedyny, przy którym nie rozlegały się śmiechy. Siedział tam Marvin i ze znudzeniem dopijał najdroższe wino, popadając w coraz większą frustrację. Czas mijał, a absolutnie nic się działo. Zaczynał już wątpić, czy naprawdę spotkał wcześniej tego demona, kiedy, jak to zwykle bywa, demon pojawił się na krześle naprzeciwko.

– Witam ponownie! – Po raz kolejny zademonstrował nieskazitelną biel swoich zębów. – Cieszę się, że postanowiłeś przybyć.

– Szczerze mówiąc, to zaczynam tego żałować. Na co tak właściwie czekam?

– Na pewnego człowieka, powinien zjawić się tu już niedługo.

– Co to za człowiek?

– Zobaczysz. Nie chcę wyprzedzać faktów. Ważne jest, że kiedy już go spotkasz, musicie się śpieszyć. Natychmiast opuścicie karczmę i udacie się na opuszczoną farmę, jakieś dwie mile na północ stąd. Powinniście trafić bez trudu. Kiedy już tam będziecie, pozostanie wam jakaś godzina na rozmowę.

– Ktoś ściga tego człowieka?

– Jego, ciebie, w sumie trudno powiedzieć. Tak czy inaczej, wasz czas nie jest nieograniczony.

– Ale o czym niby mam z nim rozmawiać i niby jak go rozpoznam?

– Oh, nie martw się, rozpoznasz go. A on ciebie. I zapewne będzie miał do ciebie prośbę. Co stanie się później? – Demon wzruszył ramionami. – To już zależy od decyzji, jakie podejmiecie w ciągu tej godziny.

Marvin dolał sobie wina, uważnie przyglądając się swojemu rozmówcy. Ten wydawał się z zainteresowaniem przyglądać ludziom dookoła. Co jakiś czas zatrzymywał na kimś wzrok, a na jego twarzy wykwitał złośliwy uśmieszek.

– Uwielbiam twoją rasę! Jesteście tak pełni energii i tacy... zakłamani, to chyba właściwe słowo. A właśnie! – Magnus przerzucił wzrok z powrotem na Marvina. – Tak się zastanawiałem... Jesteś dwulicowy, bezwzględny,

pozbawiony sumienia i ogólnie… zły. Trochę jak ja, z tym, że ja zostałem takim stworzony. Jaka jest twoja wymówka?

– Bo czemu nie? – odparł beznamiętnie młodzian. – Spójrzmy obiektywnie na historię ludzkości. To jedno wielkie pasmo mordów, zbrodni i cierpienia. Pewien filozof powiedział mi kiedyś, że wszyscy jesteśmy z natury dobrzy. Bzdura. Gdybyśmy pragnęli tylko spokojnego i bezpiecznego życia, nie byłoby tylu wojen. Wiesz, w jednej z wiosek należących do mojego rodu mieszka pewien kapłan. Jest naprawdę przyzwoitym człowiekiem, pomaga wdowom, utrzymuje sierotki, naucza o miłości i poszanowaniu bliźniego. Wspaniały człowiek. Pewnego dnia przyprowadzili do niego kobietę, oskarżoną o to, że czarami uwiodła żonę piekarza. Nasz dobrotliwy kapłan torturował niewiastę przez dwa dni, aż przyznała się do winy, a potem spalił ją na stosie, ku ogólnej radości zgromadzonych. To było prawdziwe święto, alkohol lał się strumieniami, ludzie tańczyli. Aż dziw, że nikt nie wpadł na pomysł, by upiec kiełbaski przy ognisku – mówi i uśmiecha się cynicznie.

– I co chcesz mi w ten sposób udowodnić?

– Że jesteśmy źli. Wszyscy. Każdy z nas nosi w sobie potwora, każdy jest zdolny do okropności. Większość z nas nie chce tego zaakceptować i szuka wymówek. Wzniosłe idee, religia, rozkazy. Idealiści działający w imię większego dobra sprawiają, że ja wyglądam jak mały urwis. Ludzie złapią się każdej wymówki, by nie musieć przyznawać się przed sobą do prostej prawdy. Zrobili to, ponieważ chcieli,

ponieważ podjęli taką decyzję. Ja po prostu jestem szczery... i wolny. Wolny od żartu zwanego moralnością. Wolny od zasad społecznych i sumienia. Jeśli chcę komuś pomóc, to pomogę, jeśli chcę go zabić, to zabiję. Dlatego, że tak chcę, że taka jest moja decyzja. Żadnego usprawiedliwiania się, żadnych wymówek. Oto prawdziwa wolność. Oto mój wybór.

– Hmm, przekonywujące, ale... – Daemonicus przez chwilę się zastanawiał. – Wiesz, że większość ludzi uznała by cię za psychopatę?

– Być może. A może ja po prostu widzę wyraźniej. Szaleństwo i normalność to bardzo płynne pojęcia. W niektórych kulturach normalnym jest zjadanie innych ludzi. Kim jestem ja, by to oceniać?

– A miłość?

Twarz Marvina wykrzywił cyniczny uśmiech.

– Sposób natury, by wrobić nas w płodzenie nowych ludzi.

Demon otworzył usta by coś powiedzieć, ale zawahał się. Uniósł głowę, jakby czegoś nasłuchiwał, wreszcie uśmiechnął się.

– No cóż, na mnie czas. Do zobaczenia.

* * *

Oto wkraczam do karczmy. Przybywam, kierując się wezwaniem demona. Czy naprawdę mogę ufać istocie stworzonej z kłamstw i okrucieństwa?

Nieważne, już za późno, dotarłem na miejsce, teraz już nie ma odwrotu. Idę przez główną salę, rozglądam się

dookoła, szukając wzrokiem swojego wybawcy. Już nie pamiętam, kiedy ostatnio byłem tak podekscytowany, jest tu tylu ludzi i każdy niesie w sobie obietnicę mojego odkupienia. Może tamten rycerz albo tamta niewiasta?

Które z nich?

– Ej, ty! Nie wolno tu wchodzić żebrakom! – Podchodzi do mnie jakiś podpity osiłek, kilku podobnych podąża za nim.

– Przepraszam, szukam kogoś – próbuję tłumaczyć.

– Słyszeliście? Szuka kogoś! – Wybuchają śmiechem. – Tu są sami porządni ludzie, raczej nie znajdziesz swoich znajomych – warczy i popycha mnie.

– Proszę, nie chcę, by komuś stała się krzywda! – rozglądam się z coraz większym zaniepokojeniem. Kiedy wybawca do mnie podejdzie?

– Grozisz mi?! – wrzeszczy i wyciąga nóż.

– Nie, nie rób tego, nie rozumiesz, co może się…

Klinga zagłębia się w moim brzuchu. To nic, nie czuję bólu, nie krwawię. Kiedy wyciąga ostrze, nie mam nawet rany. Ale to bez znaczenia, już za późno. Zamykam oczy i padam na kolana. Po moich policzkach spływają łzy zawodu, kiedy dookoła rozpętuje się piekło. Znów te krzyki, te okropne dźwięki. Ale tym razem coś jest inaczej, wyczuwam to, coś się zmieniło. Powoli otwieram oczy i widzę jego. Młodzieńca o szlachetnym obliczu, który stoi w środku tego koszmaru. Prześladujące mnie demony nie czynią mu krzywdy, jakby nie mogły go dotknąć. Czy to

możliwe? Tak, to musi być on. Mój wybawca. Moje ocalenie. Mój anioł.

* * *

Wpis uzupełniający 2: Spóźniłem się, potwór zaatakował po raz kolejny. Dwadzieścia jeden ofiar w karczmie. Kiedy tam dotarłem, krew była jeszcze świeża. Rozminąłem się z nim najwyżej o kilkadziesiąt minut. Ale mam wyraźny ślad: świadkowie widzieli włóczęgę odjeżdżającego w towarzystwie młodego szlachcica. Zakładnik, wspólnik, ofiara zatrzymana na później? Trudno powiedzieć, we wszystkich raportach włóczęga zawsze był sam. Być może ta zmiana to moja szansa. Jechali w kierunku opuszczonej farmy położonej jakieś dwie mile dalej. Właśnie zmierzam tam z moimi ludźmi. Niedługo wszystko się wyjaśni. Modlę się tylko, by nie zabrakło mi sił i bym z godnością stawił czoła temu, co nadchodzi.

* * *

Mój wyzwoliciel zabrał mnie na opuszczoną farmę. Miejsce jest zarośnięte. Same budynki, zabite dechami, wyglądają, jakby miały się zaraz zawalić. Siedzimy na podłodze, w czymś, co kiedyś było główną izbą. Wszystkie meble już dawno stąd wyniesiono, jedyną pamiątką po poprzednich lokatorach jest wielka plama zaschniętej krwi na środku pomieszczenia. Czuję tu śmierć. Nie, to coś więcej. Cierpienie. Tak samo czuję się w izbach tortur. Doszło tu do czegoś strasznego, tak okrutnego, że na

zawsze naznaczyło to miejsce. Nawet zwierzęta go unikają. Nie mogę oprzeć się myśli, że to doskonałe miejsce na ostatni akt tej tragedii.

– Więc… – Marvin przerywa ciszę, cały czas uważnie mi się przyglądając. – Niby jak mam ci pomóc?

– Zabić mnie.

– Ludzie zwykle nie są wdzięczni za coś takiego.

– Ludzie zwykle nie mieli takiego życia jak ja.

– To znaczy? – Widzę w jego oczach rosnące zainteresowanie. No cóż, może rzeczywiście należy mu się ta opowieść, by mógł zrozumieć.

– Kilkaset lat temu byłem władcą wielkiego, pięknego miasta. Jego nazwa nic ci nie powie, nie zachowała się nawet w legendach. Miałem żonę, dzieci, byłem szczęśliwy. Teraz wydaje mi się, że to przytrafiło się to innemu człowiekowi – mówię, po czym milknę na chwilę i zbieram siły, by móc opowiedzieć moją historię. Już tak dawno nie wracałem do tego myślami. – Pewnego dnia wybuchła epidemia. Straszliwa zaraza, rozprzestrzeniająca się jak ogień. Całe wioski wymierały w straszliwych cierpieniach. Organy wewnętrzne chorych dosłownie rozpływały się i umykały na zewnątrz wszystkimi otworami ciała. To był koszmar. Zamknęliśmy bramy miejskie i czekaliśmy na najgorsze. Wszystkie miasta dookoła upadały, za pomocą magii dostawaliśmy raporty z coraz odleglejszych miejsc, wydawało się, że niedługo ta plaga ogarnie cały kontynent. Ale nie nas, w mieście nie było nawet jednego zachorowania. Myślałem wówczas, że po prostu bogowie

się nad nami zmiłowali. Ale wtedy nadszedł on, szlachcic w purpurze.

– Magnus?

– To jedno z jego imion, mnie przedstawił się jako Daemonicus. Nie ukrywał kim, a raczej czym jest – od razu wyjaśnił, że to on utrzymuje zarazę poza naszym miastem. A potem pokazał mi… nie wiem jak to zrobił, ale sprawił, że zobaczyłem to wszystko. Zobaczyłem, jak choroba rozprzestrzenia się na cały znany nam świat i dalej, do miejsc, których próżno szukać nawet na mapach. Jak dotyka każdego człowieka na świecie. Spytałem, jak wielu zginie. Odparł, że z każdej dziesiątki sześciu. Sześciu! Wyobrażasz to sobie? Ale ja i moja rodzina będziemy bezpieczni, zapewnił. Plaga nigdy nie przekroczy murów mojego miasta. A potem zaproponował układ. Powinienem był wiedzieć, że układy z demonem nigdy nie kończą się dobrze. Powiedział, że może to zatrzymać. Wyleczyć zarazę, ocalić wszystkich tych ludzi. Ale ja będę musiał zapłacić cenę, straszliwą cenę. Powiedział, że moja kara będzie długa i niezliczoną ilość razy będę błagał o śmierć, ale ta nie nadejdzie, dopóki klątwa się nie dopełni. – Mój rozmówca zamilkł i wpatruje się we mnie z rosnącą ciekawością. Po chwili kontynuuje:

– Jak mogłem odmówić? Nawet jeśli moi najbliżsi byli bezpieczni, sam nie mogłem patrzeć na taką potworność, na tyle cierpień. Więc zgodziłem się, podałem mu rękę, dobiłem targu. I po tygodniu zaraza się skończyła, nie było kolejnych zachorowań, chorzy zdrowieli, byliśmy ocaleni.

Tygodnie mijały i pomyślałem, że może o mnie zapomniał, albo to był tylko sen. I wtedy nadeszła ta noc… – zawieszam głos, kiedy setki przerażających obrazów zalewają moją głowę. Mimo wszystkiego co stało się później, to jedno wspomnienie nadal wydawało się najgorsze. – Obudziły mnie krzyki, straszliwe wrzaski. Kiedy wstałem, te stwory były wszędzie, przerażające potwory mordujące wszystkich w pałacu. Na moich oczach powoli rozrywały na strzępy moją żonę i córki, a ja nie mogłem nic zrobić. Wybiegłem na zewnątrz, ale ten koszmar dotarł wszędzie. Zabudowania płonęły, ludzie ginęli w męczarniach, miasto było stracone, nikt nie uszedł z życiem. Świt zastał mnie na zgliszczach, pośród trupów, na wpół oszalałego z rozpaczy. A potem nadszedł on, Daemonicus. Pojawił się znikąd, z tym swoim cynicznym uśmieszkiem, jakby właśnie opowiedział dobry żart. Wyjaśnił mi moją klątwę. To, że już zawsze będę przez ścigany, że gdziekolwiek pójdę, stanie się dokładnie to samo. Spytałem go więc, czy tak będzie zawsze, czy ta klątwa jest wieczna? Odparł, że nie. Że kiedyś spotkam kogoś, kto będzie mógł mnie wyzwolić. Od tamtej pory minęły stulecia.. Przez ten czas próbowałem wszystkiego. Potężnej magii, niezwykłych artefaktów, wzywania demonów by mnie zabiły. Próbowałem odseparować się od ludzi, wieść żywot pustelnika albo udać się do odległych krain goblinoidów. Ale nic nie pomagało, ludzkość zawsze mnie doganiała, inaczej marna byłaby z tego klątwa. Co najgorsze, próbowałem też nad nią zapanować. Ujarzmić tę moc, by mi służyła. Ale to nie działało, bo można jej użyć

tylko do zbrodni. O bogowie, jakich straszliwych rzeczy dopuszczałem się, by tylko zachować resztki kontroli nad tym… – szepcę i milknę. Nie mam już sił o tym mówić. – Ale teraz tu jesteś, teraz to wreszcie się skończy. Jesteś moim ocaleniem.

Marvin milczy, zastanawia się nad czymś. Przez tych kilka minut umieram z napięcia i zniecierpliwienia. Wreszcie przemawia, a to co mówi, napawa mnie przerażeniem.

– Mogę cię ocalić. Mogę zakończyć ten koszmar w którym żyjesz i przejąć twoją klątwę. Ale wiedz, że dla mnie to nie będzie przekleństwo. Wręcz przeciwnie, będzie to błogosławieństwo. Bo ja nie zawaham się jej użyć. Wezmę tę moc i z jej pomocą sprowadzę tu piekło. Mówisz sześciu z dziesięciu. Ha! Sprawię, że będzie to dziewięciu z dziesięciu! Ba! Dziewięćdziesięciu dziewięciu ze stu. To będzie koszmar, prawdziwy koszmar. Teraz, kiedy już to wiesz, czy nadal jesteś chętny? – Wyciąga nóż. – Czy te stulecia cierpienia złamały cię do tego stopnia, że jesteś gotów oddać tę moc potworowi? – przystawia mi ostrze do gardła. – Wybieraj, starcze!

* * *

Kiedy inkwizytor i jego ludzie dotarli do opuszczonej farmy, był już późny wieczór. Słońce powoli skrywało się za horyzontem, tworząc wręcz romantyczną scenerię. Zbliżający się do zabudowań mężczyźni nie zwracali jednak na to uwagi. A szkoda, bo tak niewiele pięknych widoków

zostało jeszcze na tym świecie. Im zostało jeszcze mniej. Oczywiście zdawali sobie sprawę, że mają zmierzyć się z potworem, który zabił już dziesiątki tysięcy. Zabawne, że mylili się i mieli rację zarazem. Człowiek, którego szukali, nie był potworem, niemniej z całą pewnością skrywał się tu potwór.

Ostrożnie podeszli do starej chaty. Przygotowali broń, zmówili modlitwy, popatrzyli po sobie, próbując zebrać jak najwięcej odwagi. Kiedy wreszcie byli gotowi, zaczął się koszmar. Zabite deskami okna eksplodowały, a z wnętrza budynku zaczęły wylewać się hordy demonów. Niektóre wielkości niemowląt, inne rozmiarów rumaka bojowego. Jedne humanoidalne, inne przypominające plątaninę macek.

Dopadły ludzi inkwizytora w ułamku sekundy, ale śmierć nie nadeszła szybko. Po latach ograniczeń wreszcie nastał nowy pan. Nie powstrzymywał, nie poganiał, wręcz przeciwnie. Po raz pierwszy od stuleci mogły rozkoszować się ofiarami, rozrywać je na kawałki, powoli pożerać żywcem. Nie chodziło bynajmniej o mięso, ale o strach, cierpienie. Oto prawdziwy pokarm tej piekielnej hordy. Dziś, po wiekach postu, wreszcie nastał czas uczty.

W tym pandemonium tylko jeden człowiek pozostał nietknięty. Inkwizytor Mathias Lucjus stał pośrodku, z przerażeniem przyglądając się rozgrywającym się dookoła scenom. Modlił się rozpaczliwie, niezdolny do najmniejszego ruchu.

A potem, kiedy krzyki umilkły, drzwi do chaty powoli otworzyły się i stanął w nich sprawca tego koszmaru. Odziany w cienie i mrok. Z czarnymi jak smoła włosami i oczodołami ziejącymi pustką. Wyciągnął przed siebie rękę, a ciało inkwizytora zesztywniało i uniosło się w powietrze. Potem dla Mathiasa nastała ciemność.

* * *

Wpis uzupełniający 3: Kiedy się obudziłem, on nadal tam był. Siedział na tronie z ciał moich ludzi i czytał mój dziennik, co kilka zdań wybuchając śmiechem. Kiedy mnie zauważył, powiedział, że się myliłem. Że potwór, którego poszukiwałem, był tylko małą, wystraszoną myszką. Potem rzucił mi głowę jakiegoś żebraka, mówiąc, że moja misja jest zakończona. Następnie podniósł się, oddał mi dziennik i powiedział, że teraz mam prawdziwego potwora do ścigania. Zastanawiał się głośno, czy nie wystraszył mnie za bardzo tym popisem. Zapewniłem, że będę go ścigał choćby na koniec świata. Uśmiechnął się tylko i odszedł spokojnie, powtarzając, że nie może się doczekać. Wracam teraz do najbliższej siedziby Oficjum, by donieść o tych wydarzeniach i zebrać siły. Później ruszam w dalszy pościg – teraz, kiedy widziałem już wroga, nie zawaham się ponownie, nie pozwolę, by znów zwyciężył mnie strach. Dopadnę go, choćbym miał poświęcić wszystko.

* * *

Była już późna noc, kiedy na środku pewnej małej wioski spotkało się dwóch młodych szlachciców. Obydwaj przystojni, nienagannie ubrani. Gdyby ktoś z mieszkańców osady wyjrzał przez okno, zapewne pomyślałby, że oto dwóch porządnych młodzian zaszczyciło to miejsce swoją obecnością.

– Gratuluję udanego debiutu – powiedział przyjaźnie demon. – Jak na mój gust trochę przesadziłeś z całą tą mroczną otoczką, ale faktem jest, że takie rzeczy robią doskonałe wrażenie na maluczkich.

– Dziękuję, przyznaję, że chyba trochę mnie poniosło. – Marvin skłonił się lekko. – Szczerze mówiąc, przez chwilę jakaś część mnie miała nadzieję, że odmówi. Cóż to byłby za pokaz heroizmu, coś niesamowitego!

– Ale nie odmówił.

– Oczywiście, że nie, ostatecznie był tylko człowiekiem. Powiedz mi, Magnus, czy jak mam cię nazywać… Jak potężny teraz jestem?

– Jeśli uznać, że zwykły człowiek jest małą, wystraszoną myszką, to ty jesteś wielkim, złym kotem.

– Jeśli zatem człowiek jest myszą, a ja kotem, to kim w tej metaforze jesteś ty?

– Straszliwym demonem – uśmiechnął się szlachcic w purpurze. – No, cóż. Czuję, że powinienem ci powiedzieć coś mądrego, jako twój mentor. Powiedziałbym, że z wielką mocą przychodzi wielka odpowiedzialność. Niestety z doświadczenia wiem, że to bzdura. Z wielką mocą przychodzi… wielka moc.

– Akurat do tego doszedłem sam.

Z mijanej chaty dotarły do nich odgłosy śpiewu i śmiechu. Życie toczyło się jak gdyby nigdy nic, świat nie dostrzegł zmiany, która w nim nastąpiła. Nigdy nie robi tego na czas.

– Co zamierzasz teraz zrobić ze swoją mocą?

– Och, na pewno nie będę się śpieszył. O ile się nie mylę, mam co najmniej kilka stuleci czasu, więc najpierw trochę poszaleję, poznam granice swoich możliwości. Potem założę jakąś sektę albo wymyślę utopijny system społeczny, coś chwytliwego, żeby przyciągnąć ludzi. Po jakimś czasie, kiedy już ugruntuję swoją pozycję, wskażę nam wroga, winnego całemu złu albo ogłoszę, że większe dobro wymaga poświęceń. Wiesz, coś klasycznego. A potem rozpętam piekło. Nawet nie użyję mocy. Nie będę musiał, po prostu przekonam ich, by sami się wymordowali. Podejrzewam, że to będzie najprostsza część. Sprawić, by się zabijali, by dopuszczali się okrucieństw, jakich ten świat jeszcze nie widział. Aż sąsiedzi będą ćwiartować sąsiadów, a matki bały się własnych dzieci. Aż moje dzieło dotrze do najdalszych zakątków świata i wciągnie wszystkich w tą jedną, wielką, radosną spiralę strachu, nienawiści i okrucieństwa.

– Brzmi ciekawie. I jak długo będziesz to ciągnął?

– To chyba oczywiste! Będę to ciągnął, aż zrozumieją. Aż pewnego dnia spojrzą na zgliszcza świata i nie będą mogli zaprzeczyć, nikt z nich nie będzie mógł zaprzeczyć. Aż nie zostanie żaden listek figowy, którym mogliby okryć

wstydliwą prawdę, że wszyscy są egoistycznymi, pełnymi nienawiści bestiami, zdolnymi do najgorszego zła. Będę to ciągnął, aż stanie się jasne i niezaprzeczalne, że wszyscy są dokładnie tacy sami… jak ja.

Marcin A. Guzek

Urodzony w 1986 r. magister historii, fantasta, bloger, zapalony RPGowiec, długoletni członek Stowarzyszenia Rzeszowski Klub Fantastyki „Nawigator”. Okazjonalnie pisuje na portalu Bestiariusz, do jego dorobku pisarskiego należą opowiadania: 47. Oddział Zwiadu Imperialnego (antologia I żywy stąd nie wyjdzie nikt); Tamta Kobieta (35 numer „Kwartalnika literacko-artystycznego „sZAFA””) i Szatnia („Creatio Fantastica”, nr 3 (45) 2014).

http://geniuscreations.pl/autorzy/marcin-guzek/

Patronat medialny

Wiele mądrych głów powtarzało niestrudzenie, że w życiu trzeba wszystkiego spróbować. Parałam się zatem różnych zajęć: sprzedawałam marzenia i towary bardziej namacalne, straszyłam we włoskiej fabryce cieczy czerwonej, a w przypływie głupawki udałam się na studia nauczycielskie.

Ale nie o mnie. O blogu. Pomysł kiełkował długo, wreszcie zrealizowany został na początku marca 2013. Z początku nie łudziłam się, że ktoś to w ogóle będzie czytał. Ot, kolejna kobita próbuje swoich sił, kolejna gdera o tym, co lubi, a czego nie. Kobiecina, co mało kiedy sięga po babskie książki, bo miłość może być piękna i cudowna, lecząca raka i inne dolegliwości, ale nie urzeknie wcale, gdy na kartach powieści nie przejedzie czołg. Tak, delikatność i subtelność na poziomie imadła.

Trzy lata. Sama w to nie wierzę, tyle niedługo stuknie od momentu, gdy postanowiłam swoje wypociny wstukiwać w Internet. Zapiski z przypomnianych krain stały się kawałkiem mojego życia: opowieścią o książkach dobrych, częściej o tych trochę mniej (czasami bardzo mniej), ludziach zakręconych na punkcie literatury, akcjach literackich, komiksach...

Uzbierało się. Nie żałuję.

Zapiski
z
przyszłych
lat

...według Obolewian – Wiesław Gwiazdowski

Kwiecień 013

Zaczęło się od tego, że mgła znad rzeki Czarnej zabrała starą Iwanową. Pod koniec kwietnia, tuż po świętach, przypadkowy wędkarz znalazł ją wbitą w trzciny i muł, niczym mały statek żaglowy osiadły na mieliźnie. Koszula uczepiona trzcin do złudzenia przypominała podniesiony żagiel, a podkurczone kolana wzgórza nad zatoką. Wielu śmiało się później, że Iwanowa wybrała się w ostatni rejs.

Przyjechała policja i lekarz. Dokonali oględzin, oznaczyli teren, zabrali trupa i odjechali.

Po tygodniu sołtys Maciej przyniósł wieść, że stara zmarła od utonięcia, co dla nikogo nie było nowiną, wiedziano bowiem, że Iwanowa pływać nie umiała.

Ledwie ucichły plotki, gruchnęła następna nowina – krawiec Bonifacy powiesił się w salonie!

Pół wsi zbiegło się pod piętrówkę, by przyjrzeć się bliżej wydarzeniu.

Bo zaiste dziwna to była śmierć. Otóż, choć musiano wyważyć drzwi wejściowe, zamknięte od środka (tak samo

jak drzwi zapasowe i okna, również piwniczne), co wskazywało na samobójstwo, pod wisielcem nie znaleziono krzesła czy stołka, na którym mógłby stanąć, by dokończyć żywota, a jedynie mokrą plamę. W pomieszczeniu nie było żadnego przedmiotu prócz liny. Jak się więc powiesił? Podciągnął się na pętli, a potem nałożył ją sobie na szyję i zawisł? Pół metra nad podłogą?

Czy może morderca wlazł przez komin? Co mogło być prawdopodobne, bo zmarły miał czarne paznokcie.

Od razu pojawiły się przypuszczenia, że to duch starej Iwanowej przyszedł po swego kochanka, nie było bowiem tajemnicą, że stara mimo siódmego krzyżyka na karku na wszystko przedkładała towarzystwo mężczyzn, a zwłaszcza krawca Bonifacego, o którym mówiono, że ma złote ręce do wszelakiej roboty, babską słabiznę zaś zna jak mało kto i nie odmawia w potrzebie.

Poza tym delikatny był nad podziw. A o jego przyrodzeniu opowiadano legendy.

Wyniesiony przez pielęgniarzy trup cały był siny na twarzy, a język zwisał mu aż za brodę, co niejako potwierdzało plotki o Bonifacym jako mistrzu miłości francuskiej. Ubrany był w czarny garnitur, na nogach miał czarne lakierki, a włosy wypomadowane.

Kilka kobiet rozbeczało się na jego widok. Najgłośniej zaś ryczała czterdziestoletnia dziewica Anna, która zaklinała się w młodości, że prędzej się diabłu odda niż mężczyźnie z krwi i kości. Plotka jednak niosła, że na przedwiośniu to ona pierwsza biegła w las, by przebłagać

kłobuka, ażeby ten dał jej prawdziwego chłopa. Co ponoć czynił już nieraz.

Ona też zresztą policję wezwała, jako że sprzątała u Bonifacego i nieobecność gospodarza wydała jej się dziwnie podejrzana. Podejrzenia okazały się słuszne.

Mistrz Mateusz kiwał głową i ocierał kapiący nos. Na pytania sąsiadów nie odpowiadał, smarkał tylko na boki dla odpędzenia nudziarzy.

Przeziębił się po ostatniej wizycie u szwagra Gaudentego, który w sąsiedniej wsi zamieszkiwał. Okazji do picia w zasadzie nie było, dlatego spróbowali na początek po kieliszeczku. Skończyło się na litrze. Mateusz uparł się wracać, nie dopiął kombinezonu i nim doleciał do siebie, a synkowie wyłowili go ze stawu, wiedział, że odchoruje gościnę.

Od dnia w którym uruchomił katapultę, rzadko kiedy siadał w samochód, wolał Ikarowym lotem okolicę z góry oglądać. Bliżej nieba był wówczas. I marzeń z dzieciństwa.

Początkowo korzystał z wyrzutni sam, potem udostępnił ją synom i sąsiadom. Krawiec Bonifacy był drugim, który zasiadł w teleporterze.

Tak więc wiosna tego roku przyniosła do Obolewa śmierć dwóch osób i niemałe zamieszanie. Albowiem, choć starej Iwanowej nikt nie opłakiwał, krawiec był osobą powszechnie szanowaną i wielu jego odejście wytrąciło z równowagi.

Po południu wioskowy kolektyw udał się do gospody. U Boruty (wieść niosła, że drewno na ściany budynku

pochodziło z dębu tysiącletniego, którego liście mimo najsroższych mrozów i najdzikszych wichrów nie spadały) goście rozsiedli się za stołami i wyciągnęli kości, by grą umilić rozmowę. Dwa potężne wiatraki miesiły powietrze, skutecznie przeganiając wiosenny upał. Dwie anielskiej urody barmanki uśmiechały się zza szynkwasu.

Tak zwinnych, gibkich i kształtnych ciał nie było w okolicy, zazdrośnice szerokim łukiem obchodziły zatem bar. A że tegoroczna wiosna okrutnie zbiesiła dziewczyny, mężczyźni lgnęli do zawsze uśmiechniętych Borutek. Zwłaszcza że te nie obrażały się za niewinne poklepywanie czy gwizdy rozochoconych klientów i bez zmrużenia oka pobierały napiwki. A na dodatek kręciły zgrabnymi tyłkami jak grzechem w kościele. Najstarszym mieszkańcom osady przypominały przeszłość – odległą i już zapomnianą – o hołubieniu najpiękniejszych latorośli.

Wioskowy poeta zwany Jasiem tysiąc wierszy ułożył na ich cześć, tysiąc kolejnych miał w głowie.

Barmanki w podzięce głaskały go po głowie. Jakby był kotem lub psem, który łasi się do swych pań.

Nawet śmierć Bonifacego nie powstrzymała go przed wygłoszeniem nowego utworu.

– Jesteście jak czerwień, więc kiedy krwawię wami, pozwólcie mi płynąć, po wieki wieków, amen – wykrzyczał na cały głos zaraz po wejściu.

Ten i ów zawiesił na nim wzrok, ten i ów pokiwał głową. Rozumieli go, podziwiali za konsekwencję i współczuli.

Zapominali równie szybko.

Albowiem nie Jaś Poeta był ich największym zmartwieniem. Nie jego przeklinali, lecz tych, którzy doprowadziwszy ukochany kraj nad skraj przepaści, krzyczeli, by zrobić krok do przodu, nie stać w miejscu. Przeklinali biedę i beznadzieję swego żywota. Nieurodzaj i brak perspektyw. Marazm prowadzący równią pochyłą na skraj rozpaczy.

Na końcu przeklinali wino owocowe, które pochłaniało skromne zasiłki i emerytury.

Dlatego śmierć Bonifacego stała się głównym tematem wszystkich rozmów. Tajemniczość pobudzała wyobraźnię. Nawet ci, którzy fantazji nie mieli zbyt wiele, starali się zabrać głos.

– Ani chybi duch starej zabrał krawca – stwierdził Alojzy, rolnik na czterech hektarach, po dwóch klasach podstawówki, które z trudem zmęczył.

– Albo Marsjanie – wtrącił siedzący przy tym samym stoliku syn Mateusza, Antoni, dziewiętnastoletni bezrobotny, z wykształcenia mechanik, z zamiłowania fantasta. – W Stanach udokumentowano setki przypadków porwań i tajemniczych zaginięć. W przypadku Bonifacego mogło być tak, że kosmici zostawili powłokę cielesną, a zabrali astrala. Odkąd na Marsie odkryto pozostałości nieznanej cywilizacji, tajemnica Czerwonej Planety dołączyła do ekskluzywnego grona priorytetowych zagadek NASA. Profesor Witos z University of Columbia twierdzi wręcz, że za życiem na Ziemi stać mogą istoty wcześniej zamieszkujące Czerwoną Planetę.

– Interesujący wykład. Zgodzić się jednakże z nim jest nie sposób. – Boruta przeczesał kruczoczarne włosy. – Nie udowodniono bowiem, że Marsjanie odwiedzili Ziemię. A zdarzenie na farmie mego kuzyna Williama Brazela w Roswell w stanie Nowy Meksyk dziś wiąże się z katastrofą balonu szpiegowskiego Amerykanów, którym badania jądrowe Rosjan dały się mocno we znaki.

– A Trójkąt Bermudzki?

– Zwykły metan, który uwalnia się co jakiś czas z dna oceanu.

– A Jezus?

– Miesiąc temu znaleziono jego grób z zasuszonym trupem.

– Nie sposób dyskutować o rzeczach oczywistych – wtrącił się sołtys Maciej, przerywając przedłużający się spór. – Tam, gdzie ludzki umysł gubi się w domysłach, najprościej przyjąć wszystko na wiarę. Jałowy spór nie prowadzi do niczego, może oprócz drzwi.

– Zatem śmierć Bonifacego stała się za Bożym przyzwoleniem? Czy tak?

– Tak jak każda śmierć. Problem tkwi w tym, czy ktoś w tym dopomógł, czy nie.

– Kosmici?

– Iwanowa?

– Wyrzuty sumienia – stwierdził Benedykt, górnik z pobliskiej kopalni żwiru, o którego żonie mówiono, że częściej u krawca bywała niż w domu.

Tłumaczyła się zawsze, że Bonifacy lubił wylizywać jej patelnię, a że Benedykt przepadał za naleśnikami, często jej używała. I dzięki temu dogadzała obu mężczyznom.

* * *

Wczesnym majem we wsi pod lasem zginął z tuzin psów, i jakby mniej kotów włóczyło się po okolicy, choć te drugie chodziły własnymi ścieżkami, więc trudno było to ocenić dokładnie. Ktoś podpalił stodołę kłusownika Leopolda, a z obory starej Persefony zginął dorodny knurek, którego kobiecina jak dziecka doglądała. Rozchorowała się potem biduleńka i o mały włos ducha nie wyzionęła. Sołtys Maciej wezwał policję, by mundurowi dochodzenie przeprowadzili w związku z tą i innymi sprawami, jednocześnie jednak zebranie w remizie zrobił i zarządził zbiórkę na kupno nowego kabanka dla Persefony. Żal mu było bowiem starowinki, a w skuteczność władzy nie wierzył od dziecka.

Pod koniec maja Bazyli spod lasu znalazł mokrą kurę powieszoną za skrzydła na młodym świerku, a najstarsza córa sołtysa, Scholastyka, o której mówiono, że nie odmawia tylko pacierza, spadła z drabiny i połamała obie ręce.

Stary Kacper ogłosił powrót złych mocy, a młody Wojciech po jedenastym kuflu piwa przyznał się, że tego wieczoru, co Scholastyka miała wypadek, chędożył ją na pięterku w stodole i pchnął zbyt mocno biodrami,

a raczkująca dziewczyna, z lewą ręką między nogami, nie utrzymała się balika i poleciała na klepisko.

Sensacyjna opowieść jeszcze tego samego wieczoru dotarła do Macieja. Maciej pięścią podziękował Wojtkowi. Wojtek odszczekał wszystko, co powiedział, a nawet więcej – wyznał, że jego jedyną miłością są samochody i tak naprawdę jest jeszcze prawiczkiem, któremu dziewczyny nie w głowie. Słuchacze szybko zapomnieli o pomówieniach.

Rankiem delegacja Obolewian udała się nad rzekę, do staruchy Jagi, która znana była z rzucania uroków i znajomości zaklęć wszelakich.

– Ja? Ja kurę bym na drzewie wieszała? – zaskrzeczała z oburzeniem. – Lepiej bym ją w gar wrzuciła. Od roku rosołu nie jadłam! Od roku, sąsiedzi mili! A wy, sołtysie, widzę kilka kilo znów przytyliście. Drób zdrowy jest, dobry na kondycję. A i smaczny. Nikomu z was do głowy nie przyszło, żeby tę kurę do mnie przynieść? Już ja bym znalazła tego, co ją powiesił. A jak nie, to nie zmarnowałaby się na pewno.

Najzagorzalszy wróg Jagi, Pankracy, któremu z niewiadomych przyczyn łońskiego roku padły trzy zdrowe jak byki mleczne krowy, przystawił jej widły do szyi.

– Gadaj po dobroci – zasyczał jak wąż jadowity. – Wiemy dobrze, żeś na nauki wudu do samego Harlemu jeździła.

– A jeździłam. Nie wolno to starej świata zobaczyć?

– Wolno, nie każdego stać tylko.

– Sprzedaj butelki – odszczeknęła Jaga, a potem nagłym ruchem chwyciła widły i szarpnęła, wytrącając Pankracego z równowagi, następnie zdzieliła go w czoło końcem trzonka i powaliła na ziemię.

Delegacja cofnęła się momentalnie. Sołtys w pokojowym geście podniósł ręce do góry.

– Przyszliśmy w dobrej wierze – rzekł. – O radę prosić. Sama wiecie, Jago, że się źle w Obolewie dzieje. Nerwy ludziom puszczają. Nie obrażajcie się z byle powodu.

– Nie obrażam. – Starucha wbiła widły w ziemię, widać jednak było, że czujna jest i strzyże spiczastymi uszami na boki, niechętnie na trącego czoło Pankracego spoglądając. – W niczym pomóc jednak nie mogę. Przypomnijcie sobie, jak to z Genowefą było.

A było to ubiegłej jesieni. Kończył się wrzesień, gdy wieś wieść obiegła o niepokalanym poczęciu, które Gienki stało się udziałem, albowiem dziewczyna dziewicą była, tak przysięgała. Niedowiarkowie śmiali się, że za poczęciem owym niejaki petting uprawiany z Jędrzejem pod wierzbo-gruszą Izydorową stoi, dziewczyna klęła się jednak, że prawdę mówi i nawet zaświadczenie od ginekologa przyniosła. Dopiero na chrzcinach na jaw wyszło, że ginekolog dalekim krewnym był dziewczęcia, choć i tak na bieg rzeczy wpływu to nie miało.

Izydor bezdzietny był i pragnienie tylko jedno miał – ażeby grusza, którą na wierzbie zasadził, owoc wydała. No i wydała. Gruszek jeść się nie dało, bo smak miały nieco drewniany, Gience jednak w ciążę zajść pomogły.

– Plemnik do tygodnia żyć może w ciele kobiety – rzekła wówczas Jaga, wieś bowiem, na dwa obozy podzielona, do niej po poradę przyszła. – Znane są przypadki narodzin bliźniąt, z których jedno białe, a drugie czarne było. Dzieje się tak wówczas, gdy niewstrzemięźliwa kobieta często partnerów zmienia, zabezpieczenia nie biorąc. Nie dziwi mnie więc niepokalane poczęcie Olafowej córy. Wiadomo, że plemnik nie niedźwiedź, wszędzie wleźć potrafi, tak i wlazł pewnie gdzie nie powinien.

– Plecie stara jak nawiedzona – oburzył się Kleofas. – Łaciate bliźniaki ubzdurała. Mleka za dużo, jędzo, pijecie. To i na mózg wam padło.

– Głupia Jaga.

– Głupia, głupia – podchwyciły dzieci.

Ksiądz proboszcz trzy razy dziewczynie na kolanach kościół okrążyć kazał, bić się przy tym w wyjątkowo obfite piersi i modlitwę do Najświętszej Maryi Panny odmawiać, nie mogło być bowiem, by znana z upodobania do dyskotek, palenia tytoniu i picia w nadmiarze wina gronowego Genowefa przyrównana być mogła do Matki Chrystusowej.

– W Kanie Galilejskiej też wino spożywano – tłumaczył rodzic dziewczyny, co to na pięciu hektarach gospodarzył i ledwie koniec z końcem wiązał, a miał siedmioro gąb do wyżywienia, jako że od dawien dawna lubił z babą po ciemku wieczorami przesiadywać. Złośliwa plotka rozum i urodę Olafowej z głowy między nogi przerzuciła. Córki ponoć zaraziły się od matki.

Sołtys Maciej podrapał się po głowie, świadom niesłusznego skrzywdzenia Jagi, które się przy wspomnianym zdarzeniu dokonało.

– Każdy pomylić się może – rzekł. – Dziś ważniejsze sprawy mamy w Obolewie. Od miesiąca psy giną po wioskach, bo nie tylko u nas czworonogów mniej jakby, Bonifacy się powiesił, Iwanowa utopiła. Co o tym myślicie, Jago?

– Ano myślę, że w tym macki topielica maczać mogła.

– Topielica, mówisz? – Jak bumerang do Macieja wróciło zdarzenie sprzed roku; dzień, gdy się na ryby z Bonifacym wybrał. Krawiec omal nie utopił się wówczas. Śmiał się z niego, że co ma wisieć, nie utonie.

– Słyszałam, że deski pod Bonifacym mokre były, a i kura wyglądała jakby ją z wody wyciągnięto.

– Istotnie – potwierdził Maciej. – Wszyscy jednak wiemy, że topielica wody się trzyma i bez potrzeby na brzeg nie wyłazi. A psy z obejść ginęły, tak jak i kaban Persefony.

– Topielica to mit i bajka – wtrącił się syn Mateusza. – W dobie komputerów i lotów kosmicznych wiara w duchy nieistniejących poczwar przybliża nas do ciemnogrodu, którego świat cywilizowany boi się jak zarazy. Pora skończyć z zabobonami.

– Mówisz, synku, jakbyś wszystkie rozumy pozjadał, a na takiego mi nie wyglądasz.

Antoni skrzywił gębę, jakby piołunu się napił. Chciał zakląć, nie zdążył.

– Gaudenty leci. – Wyciągnięta ręka Pietrka, najmłodszego syna Olafa, skierowała spojrzenia delegatów w przestworza, i tym samym zakończyła wizytę u Jagi, która nic mądrego nie powiedziawszy, u nikogo zainteresowania dalszą rozmową nie wzbudziła.

Jak jeden mąż zawrócili wszyscy do obejścia Mateusza, gdzie w specjalnie w tym celu wykopanym stawie lotnicy lądowali.

– Idźcie, idźcie – zaśmiała się starucha. – Tam, gdzie swój pomóc nie może, obcy dać radę powinien. Gaudenty jest znany z gadulstwa. Czasami udaje mu się powiedzieć coś rozsądnego.

Nie słuchali jej. Gość przybył z wizytą, musieli godnie go powitać.

Gdy dotarli na miejsce, Gaudenty siedział już w ogrodzie przy szwagrowskim stole i popijał jabłecznik z dzbana, znany był bowiem z przywiązania do napojów owocowych jasnej barwy. Powitali go jak należy i, głodni wieści, obstąpili jak krzyż pański.

On jednak pił niespiesznie, delektując się trunkiem. Co raz tylko zerkał na synów szwagra oglądających sieć, w którą spadali katapultowani.

Gdy skończył, rzekł:

– Bądźcie pozdrowieni, ludzie dobrzy. Przyleciałem tu do was, by wieści o tym, co się u nas mówi, przekazać. A mówi się, że topielica, nie mogąc znieść zatrutej nawozami rzeki, na brzeg wyszła. Mówi się też, że kłusownicy kłobuka przegonili, co zbiesiło baby, a mężów

zagoniło do gospody, przez co gospodarstwa nie są należycie pilnowane. Słyszałem również głosy o pojawieniu się kształtów świetlistych w okolicy, które jak wiadomo raz na sto lat przybywają, by dusze ludzkie porywać. W przeddzień śmierci Bonifacego obłąkana Berta świadkiem dziwnego błysku nad brzegiem Czarnej była, w co nikt wierzyć jej nie chciał, bo ponoć grzybów poszła tam szukać. Dzisiaj inaczej się już mówi, a młodzi pytają coraz głośniej – tu znacząco spojrzał na Antoniego – czy to aby nie forpoczta Marsjan zbulwersowanych piosenką Kazika sprzed kilku lat. Jak wiadomo, Marsjanie ciał nie mają, a jedynie kształt cieni, stąd niepostrzeżenie wszędzie zakraść się mogą. Gorących głów uspokoić nie sposób, dlatego uradziliśmy wczoraj wieczór, by obławę przyszykować, las przeczesać i, wraz z rzeką, wodą święconą skropić. Przyleciałem, by zaprosić was do nagonki. Macieju, co ty na to?

Sołtys popatrzył na ludzi, odchrząknął i zgodził się bez gadania. Bezrobocie we wsi było straszne, a przy okazji polowania na duchy i potwory niejednego zwierza ubić można było, a tym samym głód najbiedniejszych zaspokoić.

Przepili do siebie na zgodę, ucałowali i Gaudenty wracać postanowił.

Nałożył kombinezon, wdrapał się na katapultę i z głośnym – Ahoj! – poszybował ku swoim.

Odprowadzał go wzrok zadumanych Obolewian, Chińczykami przezywanych na cześć dziewczyny o wdzięcznym imieniu Zefiryna, która to, wiążąc włosy

w kok, tak mocno naciągała skórę na skroniach, że oczy jej niebieskie stawały się lekko skośne. Z odpowiednim makijażem cała twarz nabierała egzotycznych, intrygujących cech.

Przezwisko przylgnęło z biegiem czasu do całej wsi.

* * *

Zefiryna była wesołą młódką, na którą niejeden młodzian ostrzył zęby. Poruszała się z rękami założonymi na ponętne piersi, z dumnie podniesioną głową i oczami zmrużonymi w poszukiwaniach. Czego dokładnie szukała, nie wiedział nikt. Być może rozumu, być może wczorajszego dnia. Kilka lat temu Jeremiasz zapytał ją o to, a ona spojrzała na niego tak jak miała w zwyczaju i odpowiedziała:

– Być może ciebie?

Chłopaka zamurowało, choć z budowlanką niewiele miał wspólnego, i nim oprzytomniał, minęło sześć długich miesięcy wspólnych spacerów, żartów i wypadów na łąki nadrzeczne. Nie wiedział Jeremiasz, czy to miłość była, czy fascynacja urodą i nieśmiałością Zefiryny. Opowiadał później, że takiego uczucia nigdy nie doświadczył z żadną dziewczyną. Opowiadał, że na dźwięk jej głosu przechodziły go ciarki, a gdy zajmowała się swym młodszym braciszkiem, Beniaminem, wyglądała piękniej niż Pieta.

– Raz w życiu spotyka się taką miłość – tłumaczył zasłuchanym kumplom, a Teodor z nieodłączną puszką piwa w dłoni kiwał głową i uśmiechał się wyrozumiale.

– Raz w życiu można odmówić sobie piwa – mruczał w odpowiedzi. – Raz w życiu.

– Kiedy patrzę na nią, kiedy dotykam delikatnej jak jedwab skóry i kiedy całuję jej usta słodsze od najsłodszego miodu, wiem, że żyję, i wiem, że istnieją na tym świecie rzeczy, których nie da się piórem opisać, słowami opowiedzieć. To po prostu trzeba przeżyć. Trzeba być tam, gdzie dzieje się nieuchwytne, próbować łapać i zatrzymać na krótką chwilę. Albowiem nie zawsze można wrócić. Albowiem *déjà vu* zdarza się tylko w snach...

Towarzysze jego gier i zabaw milczeli zasłuchani w opowieści o wspaniałościach Zefiryny, wyobrażali sobie, jak szczęśliwy musi być Jeremiasz, i zazdrościli mu w duchu.

Jaś, który również życie całe szukał ideału, wzdychał, słuchając Jeremiasza, wspominał miłość swą z dziecięctwa, Izoldę, tak bliską, a zarazem tak nieosiągalną, i układał wierszyki o szczęściu:

TUŻ POD SKÓRĄ POD ŻEBRAMI
BIJE KAMIEŃ SERCEM ZWANY.
WEŹ TEN KAMIEŃ W SWOJE RĘCE
DOBRZE PRZYMIERZ I RZUĆ WE MNIE.
WIEM ŻE ŚWIATA SAM NIE ZMIENIĘ
W STOS UŁOŻĘ SERC KAMIENIE
TWOJE GDZIEŚ NA SAMYM SZCZYCIE
IMITOWAĆ BĘDZIE ŻYCIE.
W KRĘGU SERC MOICH PRZYJACIÓŁ

KTÓRZY DZISIAJ NIC NIE ZNACZĄ.
JUTRO ZAMKNĘ KAMIEŃ W SŁOWIE
BY TWE SERCE MIEĆ PRZY SOBIE
MÓWIĄC SZEPTEM TWOJE IMIĘ
ŚMIECH ZAMIENIAĆ W MARTWĄ CISZĘ.

Potem zastanawiał się długo w nocy, czy spotka kiedyś tę jedyną – magnes przyciągający metal. Nie mógł zasnąć. A gdy zmęczenie skleiło powieki, śnił koszmary i częstokroć budził się, zdezorientowany, niepewny czasu i miejsca.

– Czy widziałeś, jak się porusza? – opowiadał Jeremiasz. – Delikatnie, jakby stąpała po kobiercu z kwiatów tkanym ręcznie w dalekiej Turcji. Sama jak kwiat najpiękniejszy, podlewany i doglądany przez oddanego ogrodnika.

– Chciałbyś być tym ogrodnikiem, co? – Jaś uśmiechał się wyrozumiale, znał bowiem doskonale uczucia targające kumplem. Oraz kilka z jego wcześniejszych dziewcząt, o których wypowiadał się może nieco mniej pochlebnie, jednak bez złości czy pomówień.

– Zaprawdę, powiadam ci, chciałbym.

– Spaliście ze sobą?

– Nie, Jasiu. To nie jest ten rodzaj miłości. Sama obecność jest wystarczająco silna i piękna, by być ze sobą. Zefiryna jest zupełnie inna niż dziewczyny, które znałem dotychczas. No wiesz, takie na jedną noc, takie, którym nie zależy na uczuciach, tylko chwilowej przygodzie. Ona jest jak anioł, który zszedł na ziemię.

– Rozumiem.

Czyż jednak demony również nie są aniołami?

Maj 013

Brzask, jak co rano, rozbudził duchy rzeki. Mgła znad Czarnej zabarwiła się wschodem słońca, rozeszła nad łąkami setką mlecznobiałych pasm. Objęła trzciny i powolny nurt. Grzbiet okonia łupieżcy mignął zieloną srebrzystością na łagodnej fali, przepadł w odmętach, które zarówno śmierć, jak życie niosły.

Barnaba zarzucił wędzisko, spławik z korka po winie gronowym wypitym przedwczoraj lekko opadł na wodę, zakręcił się w wirze, wpłynął w zatoczkę, zatrzymał.

Mężczyzna oparł się o drzewo, leniwie gapił się na niemrawą przynętę. Głód ściskał żołądek, spływał śliną do gardła. Wędkarz nie próbował go nasycić, upatrując w udręczaniu ciała swoistej pokuty, cierpliwie znosił mdlące ssanie.

Żyłka napięła się nagle. Nad nurtem błysnął ogon kilkudziesięciocentymetrowej ryby. Barnaba przełknął ślinę i opuścił niżej wędzisko z leszczynowej witki.

– Teraz – szepnął do siebie i poderwał wędkę.

Na końcu haczyka zatańczyła łokciowej długości zdobycz – pstrąg.

– Mam cię! – Na twarzy łowcy pojawił się nikły uśmiech, który momentalnie znikł. Po drugiej stronie rzeki z poświaty rannego słońca i ustępującej mgły wyszły dwie nieokreślone postaci. Mężczyzna przylgnął do drzewa, odrzucił wędzisko,

tracąc zainteresowanie szamoczącą się rybą. Wpatrzył się w tańczące kształty.

Otarł pot z czoła i splunął trzykrotnie przez lewe ramię. Gdy małym był chłopcem, dziad przed snem opowiadał mu o demonach pojawiających się wraz z brzaskiem nad brzegiem Czarnej, duchach, które wracały do swych utraconych pieleszy, by sycić się duszami nieświadomych ludzi. W pradawnych czasach tu wszędzie rozciągała się dziewicza puszcza, pod dębami żercy składali krwawe obiaty. W czasie drugiej wojny, światową nazwanej, wielu żołnierzy na zawsze z życiem się pożegnało. Las pełen był grobów obu wrogich armii.

Barnaba przykucnął i rakiem zaczął wycofywać się spod drzewa. Oczy utkwione w tańczących zjawach ani mrugnęły. W pamięci miał widok rozłożonej na marach Iwanowej...

* * *

W dniu polowania, siódmego maja, całe Obolewo i Żywe zgromadziły się przy lesie. Z księdzem proboszczem i sołtysami obu wsi na czele. Dzieciarnia wrzeszczała ile sił w płucach, psy szczekały, a staruszkowie opowiadali, jak to drzewiej na polowaniach bywało.

Jaś Poeta z nieodłącznym notesikiem i ołówkiem w dłoni przechadzał się bez celu w szumie i zieleni drzew, poszukując natchnienia na kolejny mes do swej nowej sympatii, Marianny. Ułożył ich już z tuzin, lecz wciąż było mu mało. Wiersze były swoistym oczyszczeniem,

przeżyciem raz jeszcze czegoś, co nigdy nie zaszło, czasami próbą odgadnięcia przyszłości.

– Po wojnie wielu widziało dziki wielkości rocznego cielaka – opowiadał zasłuchanej dzieciarni stary Radomir. – Nie bały się niczego i zdarzało się, że potrafiły samotnego człowieka zaatakować. Nikt tamtymi laty sam do lasu nie chodził, a jak trzeba było, z widłami w kilka osób się szło. Mówiono, że to przez to, że zwierz dziki ludzkiego mięsa się najadał i tak się w nim rozsmakował, że nijak zapomnieć nie mógł. Co mogło być prawdą, nieprzyjaciel bowiem wielu tu swoich stracił i do dziś pod drzewami kości ich leżą, zapomniane przez Boga i ludzi.

Jaś przechadzał się, rozmyślał o wojnie i miłości. Nie fascynował go przelew krwi, chciał oglądać piękno i być pięknem. Patrząc na Radomira i zgromadzoną wokół staruszka dzieciarnię, ułożył dla swej nowej muzy wiersz o zabijaniu:

WŁAŚNIE UMARŁEM I JUŻ NIE ŻYJĘ
BO WREDNE JEST ŻYCIE I WREDNA JEST MIŁOŚĆ.
NIE POTRZEBUJĘ OD ŚWIATA NICZEGO WIĘCEJ
TWOJA NIENAWIŚĆ ZABIŁA MI SERCE.

Tymczasem zgodnie ustalono, jak nagonka pójdzie i gdzie łowczy się ustawią, potem rozległ się donośny głos rogu, kołatki zakołatały i nagonka szerokim łukiem weszła w las.

Ksiądz ręce do modlitwy podniósł. Wyrecytował kilka wersów za pomyślność łowów, kilka za miłościwie nam panującego i jego poplecznikόw (wielu na krzyż założyło palce, by to, co powtarzają za kapłanem, nie wiązało ich umową). Potem pokropił kropidłem stojących szeregiem myśliwych i wygłosił kazanie, którego nie powstydziłby się sam Piotr Skarga. Skończywszy, odchrząknął w pięść i popił mszalnego wina. Chciał powiedzieć coś jeszcze, coś zapewne mądrego, gdy niespodziewanie krzyk straszliwy spomiędzy drzew doszedł. Liście brzóz zaszeleściły trwożliwie, a igliwie posypało się, szumiąc jak deszcz.

Z wykrotu wyskoczył zając, wyprężając słuchy, stanął słupka, rozejrzał się i pomknął skrajem puszczy, wyciągając skoki niczym baletnica. Wioskowy malarczyk Kryspin, Dalim przezywany, uwiecznił tę scenę na jednym z tysiąca swych obrazów. Po jego śmierci dzieło nazwane „Umykający przeznaczeniu” zostało sprzedane nieznanemu kolekcjonerowi za okrągłą sumę miliona euro.

Tymczasem szarak przepadł w krzakach leszczyny, a spomiędzy drzew wybiegli pierwsi ludzie. Ze strachem w oczach, niczym więźniowie obozu koncentracyjnego, którym sowieci wolność zwrócili. Duchy przeszłości, które nieznana siła obudziła do życia. Korowód ślepców pędzonych pejczami kapo do komór gazowych. Polacy z krwi i kości.

Łowcy odrzucili broń, oszczepy i łuki, widły i na sztorc nabite kosy, bosaki, sieci obciążone ołowianymi kulami, wybiegli im naprzeciw.

– Co się stało? Coście widzieli? Co się stało?

– Kto tam jest?

Minęła wieczność, nim padła odpowiedź.

– Umarli z grobów powstali – brzmiała.

– Gdzie?

– W lesie,

– Umarli z grobów powstali…

Przerażenie do szpiku kości zmroziło Obolewian, śladem księdza rzuciło na kolana.

– Od głodu, moru i wojny wybaw nas, Panie – słowa modlitwy spłynęły z warg ojca Grzegorza. – Od głodu, moru, ognia i wojny…

* * *

Nie wiadomo, kto zadzwonił na policję. Albowiem gdy zjawił się radiowóz, cała wieś modliła się na klęczkach, nie mając dość odwagi, by się z nich podnieść.

– Wioska cudów – stwierdził sierżant Paschalis, wysiadając ze służbowej alfy, wypluł łupinkę fistaszka, rozejrzał się za zwalistą postacią sołtysa. Gdy ją wypatrzył, ruszył z miejsca.

– Witajcie, Macieju – rzekł, przystając przy klęczącym. – Wstańcie, porozmawiamy.

Maciej podniósł głowę i uczynił, jak mu Paschalis radził. Pustkę miał w oczach i pytania, na które nie znal odpowiedzi.

– Co się stało? – przerwał milczenie policjant.

– Umarli z grobów powstali.

– Gdzie? Tutaj?

– W lesie. Ludzie widzieli. Śmierć szła za nimi.

Paschalis popatrzył na asystującego mu aspiranta Gabriela, poprawił czapkę z daszkiem.

– Sprawdzimy – odparł. – Daleko ci umarli powstali?

– Gdzieś tam... – kiwnął głową sołtys.

– Dobrze. Pójdziecie z nami.

– Ja? Za co?

– Za miłość do ojczyzny. Rozumiecie, Macieju? – Paschalis przyjacielskim gestem objął sołtysa i poprowadził przy sobie.

Uszli ze sto metrów, gdy spomiędzy drzew wychynęły trupy.

– O, w mordę! – Gabriel stanął jak wryty, a z jego otwartej dłoni posypały się fistaszki.

Patrzyły na nich puste oczodoły ludzkich czaszek. Esesmańskie mundury czerniły się wśród liści, kościste palce wyciągnięte w geście władzy kierowały się w niebo.

Paschalis wyrwał się z zaskoczenia, wszedł między umarlaków, rozejrzał. I cofnął na widok zwisającego z gałęzi obdartego ze skóry psa.

– Robota satanistów – ocenił aspirant Gabriel, kiedy ochłonąwszy, dołączył do Paschalisa. – Widocznie dobrali się do poniemieckich grobów. Pamiętacie, sierżancie, demolkę z ostatniej niedzieli?

– Pamiętam. Skurwysyny jedne. Trzeba będzie powiadomić Komendę Główną, wezwać archeologów i zabezpieczyć teren, żeby nikt śladów nie zadeptał. Jeśli to

ta sama banda, weźmiemy się za nią ostrzej niż ostatnio. Pałami.

– Doradzałem wam to wcześniej, panie sierżancie.

– Nie każdy jest tak stanowczy jak ty, Gabrielu, niestety – westchnął Paschalis na wspomnienie Klaudyny, ukochanej swej małżonki, która w ich ogromnej sypialni posługiwała się kajdankami sprawniej od niego. A w lateksie wyglądała wprost bosko.

– Nic tu po nas – stwierdził. – Ale wy, sołtysie, się przydacie. Ktoś przypilnować tego musi. Inaczej zniknąć może.

– Ja?

– Nie boicie się chyba szkieletów sprzed sześćdziesięciu lat?

– Boję się.

– To przestaniecie. Najlepszym sposobem na walkę ze strachem jest stawienie mu czoła. Skorzystajcie z dobrej rady. – Paschalis poklepał Macieja po plecach i kiwnął na Gabriela, by szedł za nim.

Wkrótce las zaroił się od funkcjonariuszy, archeologów, tajniaków z psami i znawców przedmiotu.

Psycholodzy zajęli się świadkami, a aspirant Gabriel rozpoczął spisywanie zeznań.

* * *

Dwa dni trwało przeczesywanie lasu, dwa dni Obolewo przeżywało oblężenie mundurowych. Gdy wyjechał ostatni samochód, sołtys Maciej zwołał zebranie.

– Mówcie, co kto wie – zaczął bez wstępów. – Bo bajka o satanistach jest dobra dla małych dzieci, mnie nie przekonuje. Miastowi mają swój pogląd na sprawę, ja swój. I muszę rzec wam, że posiadam zgoła odmienny. Źle jest, gdy sołtys dowiaduje się o wszystkim ostatni.

– Ja stawiałbym na kosmitów – rzekł syn Mateusza, Antoni. – Czytałem o wielu niewyjaśnionych przypadkach nekromancji, które zdarzyły się w świecie. Nawet ksiądz może potwierdzić jeden, bardzo spektakularny i opisany przez naocznych świadków.

– Głupiś! – Stary Kleofas oderwał się od szklanicy piwa. – Taka sama to prawda, jak to, że na księżycu zwanym Europa życie być może. Stara Jaga rzekła ci, co myśli o kosmitach i tego powinieneś się trzymać.

– Sam głupiś – odciął się Antoni. – Wszechświat wielki jest i nie takie rzeczy dziać się w nim mogą.

– Spokój! – Sołtys wtrącił się do przybierającego na sile sporu. – Dowodu nam trzeba, a nie kosmitów. Tych zawsze obarczyć winą możemy. Gadajcie lepiej, czyście czegoś dziwnego nie widzieli i jak ryby biorą.

– Biorą dobrze – mruknął Wiktor. – A nawet lepiej, odkąd dzieciaki przestały na kłomię chodzić.

Kilka głosów potwierdziło, że tak jest w istocie. Albowiem strach strachem, ale głód głodem.

– Zatem zapomnijmy o topielicy.

– I o sprawie – wtrącił Boruta. – Najlepiej rzecz całą policji zostawić. Niech mądrzejsi od nas głowy sobie łamią. Od tego są.

– A jakże. Tylko że jak sami sobie nie pomożemy, wkrótce nikt z chałupy nie wyjdzie, bo bać się będzie złego za węgłem. A o mądrości policji nie wspominajcie, bo tam tacy sami ludzie jak i u nas. Zastanówcie się przeto, czy warto.

– Nie warto – poparł sołtysa Mateusz. – Rzecz tylko w tym, że mnie osobiście nic do głowy nie przychodzi, a i dziwnego nic nie widziałem. Może jedynie Borutki na łące pod lasem zabawiające się w to, co zwie się od staropolskiego słowa patelnia, czyli petting. A było to ze dwie niedziele temu, jakem leciał do Gaudentego.

– Wielkie mi dziwo – obruszył się Boruta. – Młode są to życia używają. Nawet stara Iwanowa nie odmawiała sobie przyjemności.

– Dlatego nie nazywam tego dziwem. Mówię tylko, co widziałem.

– Albo podglądnąłeś.

Mateusz wstał z ławy, okręcił się na pięcie i przepadł w drzwiach gospody. Sołtys Maciej zerwał się, by biec za nim, powstrzymał się w ostatniej chwili.

– Jeszcze słowo, Boruta, a każę bar zamknąć – warknął wściekle. – Zawrzyj gębę i siedź cicho, jak nie masz niczego mądrego do powiedzenia. Nie po to zebranie zwołałem, byśmy sobie do gardeł skoczyli. Wszyscy pamiętamy awanturę, jaka po budowie katapulty wybuchła i nie radzę nikomu do tego wracać, bo jak psa na kopach pogonię. A wy – rzucił do stojących za ladą dziewcząt – gadajcie, jak było. Albo pasem na gołe tyłki lać będę.

– Tak jak Mateusz mówił – potwierdziła Merita, ani myśląc prawdy taić, Maciej znany był bowiem z ciężkiej ręki i krótkiego namysłu. – Aleśmy niczego złego nie robiły. Niedziela była, tośmy we dwie na łąkę poszły, poopalać się trochę.

Faktycznie, skóra obu sióstr ciemniejsza niż zimą była, ponętnie jasnobrązowa, i dało się to zauważyć na pierwszy rzut oka. Tylko że wspomniana niedziela wyjątkowo pochmurna była i zasłanianie się opalaniem nijak się miało do rzeczy.

– Rozumiem zatem, że i petting był na tej łące razem z wami.

– Był. Ale przez godzinkę tylko, sołtysie.

– No to patrzcie, żeby to był ostatni raz. – Maciej pogroził palcem. – W łazience, w domu, co innego, ale na oczach ludzi to grzech! Co innego, gdybyście mnie o tym powiadomiły albo po poradę przyszły, co by krzywda się wam jaka nie stała – urwał, odwrócił głowę. – Mówcie – ponaglił milczące towarzystwo. – Albo do rana będziemy tu siedzieć. A jak trzeba, to i dłużej. Słucham.

Ten i ów obejrzał się na sąsiada, ktoś chyłkiem szklankę do ust podniósł, ktoś inny komara na stole przygwoździł. Jakoś nic nikomu do głowy nie przychodziło. No bo o czym tu mówić, jak się nic nie widziało, a nawet jak się widziało, to w zasadzie nic ważnego.

Aż nagle Klemens, rolnik na trzech hektarach gospodarujący, kawaler czterdziestoletni, z krzesła się podniósł i odchrząknął jak to miał w zwyczaju, małomówny

był bowiem i zazwyczaj zachęty potrzebował, by zabrać głos.

– Słuchamy – rzekł sołtys.

– Widziałem, jak Bonifacy wieczorem w przeddzień śmierci do lasu czegoś biegł – rzucił Klemens w zupełnej ciszy. – Pomyślałem, że może kłobuka szukać albo grzybów, choć za wcześnie jeszcze, no i trochę późno było. Potem dwie postaci wśród drzew mi mignęły, alem myślał, że to majak jaki, bo bardziej mi na zjawy wyglądały niż istoty z krwi i kości. Zresztą pełnia wtedy była, tom nie poszedł za nimi.

Usiadł na powrót.

– I jam je widział – mruknął Barnaba. – Nad Czarną.

– No, to już coś – stwierdził Maciej. – Wiemy, że w sprawę las i rzeka mogą być zamieszane. Zatem być może i esesmani mają z tym coś wspólnego. O ile mi wiadomo, krawiec do satanistów nie należał, teraz jednak wykluczyć tej możliwości nie można. Jak wiadomo, Bonifacy na msze nie chodził. A dziad jego, Tymoteusz, groby w wojnę kopał i partyzantów dokarmiał, coby się kanibalizmem nie parali. Z samym Jeleniem się przyjaźnił.

Znów zapadło milczenie. Kleofas chyłkiem piwo sączył, by przydługie stanie piwa na stole procentów nie wyciągnęło; Aureliusz gryzł paznokcie, niwecząc zabiegi żony, która manikiurzystką była; Dezyderiusz układał na stole utłuczone komary; Klemens w nosie dłubał i celność sprawdzał, kozami w obraz dwóch brzydkich kacząteк

Czarną płynących ku wschodowi słońca, ręką Kryspina zwanego Dalim skreślonych, strzelając.

Ten i ów starał się sobie przypomnieć, co widział wtedy, gdy wydawało mu się, że nic nie widzi, jednak szło to wyjątkowo opornie, i choć czas biegł, nikt sensownego słowa powiedzieć nie potrafił. W widziane przez Barnabę zjawy mało kto uwierzył – wiedziano, że na ryby zawsze dwie butelki wina gronowego zabierał, a potem plótł o dziwach rodem z kosmosu. Dziad i ojciec Barnaby, Barnaby obaj, mieli podobne skłonności. Talent do bajdurzenia najwyraźniej uaktywnił się w trzecim pokoleniu.

– Czeka nas długa noc – mruknął sołtys i kiwnął na dziewczęta, żeby mu piwo przyniosły.

Tak zastał ich ranek.

Równo o szóstej Maciej wstał od stołu, rozejrzał się i pokiwał głową.

– Nie chcecie mówić? Dobrze. Nie mówcie. Ale jakby się coś komuś przypomniało, wiecie, gdzie mnie szukać – powiedział, wychodząc z baru.

Miał bowiem robotę w polu i głodną babę w domu, a siedzenie w gospodzie ani o krztę tej, ani tej sprawy nie mogło do przodu posunąć.

* * *

Jeremiasz, podobnie jak Jaś i cała młodzież, śmiał się z niespodziewanych wydarzeń w Obolewie i by na darmo nie strzępić języka, nie dyskutował wiele na temat.

Zostawiał je starszym od siebie. Od tygodnia planował zorganizowanie pierwszego w tym roku ogniska i incydent z truposzami esesmanów nie mógł pokrzyżować zamierzeń. Był młody i chciał żyć, bawiąc się do upadłego. Szybko, irracjonalnie, mocno. Wciągał do tej zabawy Jasia, Teodora, Gracjana, Medarda. I jeszcze kilku chłopaków, z którymi nie był na wojennej ścieżce. Oczywiście Borutki również były zaproszone, bo bajdurzenia starych w gospodzie na ich temat nikt nie brał poważnie.

Z samego rana Jeremiasz zadzwonił do poety i razem wybrali się w odwiedziny do dziewcząt, by wywiedzieć się. czy mimo wszystko nie wsadzały w całe to zamieszanie swych delikatnych palców.

– Oskarżacie nas i zapraszacie na ognisko? – wyrzut pojawił się w słowach starszej z sióstr. – Nie jesteśmy satanistkami!

– Nikt nie mówi, że jesteście. Wszyscy wiedzą, że lubicie wieczorami włóczyć się po lesie, dlatego przyszliśmy zapytać, czy czegoś nie widziałyście. Zapytać nie wolno?

Merita ziewnęła, przeciągając się sennie, jej młode i jędrne piersi zarysowały się lubieżnie pod cienką bluzeczką. Jaś poczuł bolesne uwieranie w spodniach i zerknął na Jeremiasza. Kumpel miał się podobnie. Borutki kusiły i żaden prawdziwy mężczyzna nie był w stanie im się oprzeć. Faceci wypatrywali za nimi oczy, dziewczyny zazdrościły i plotkowały.

– Niepotrzebnie pytaliśmy – mruknął Jeremiasz. – To było głupie. Nie obrażajcie się. Przyjdziecie na ognisko?

– Ależ owszem, czemu nie? – Adaila uśmiechnęła się, a uśmiech zaprawdę piękny miała.

– Chciałbym się z wami umówić – wyrwało się poecie.

– Z obiema na raz?

– Tak, po ognisku.

– Jeśli tylko znajdziemy czas. – Merita przeczesała palcami kasztanowe włosy, jej oczy błyszczały w promieniach wpadającego przez okna słońca.

– I ja! – krzyknął Jeremiasz.

Jaś popatrzył z niedowierzaniem na kumpla, na zaskoczone dziewczyny. *Ożeż ty!* – pomyślał. *Na łatwiznę idziesz.*

– Byłem, jestem pierwszy – mruknął, wstając z fotela.

Jeremiasz wstał również, a był o głowę i pół wyższy od Poety. Popatrzyli sobie w oczy z gniewem i wrogością. Jak nigdy wcześniej. W głowach obu zaświtała myśl o pozbyciu się konkurenta.

– Ostatni będą pierwszymi – rzucił Jeremiasz i wymierzył Jasiowi haka pod brodę.

Poeta zachwiał się, nie mając miejsca, by się cofnąć, potknął się o stojący za plecami fotel i wpadł weń. Ręce przeciwnika zacisnęły się na jego szyi. Chwycił je powyżej nadgarstków i odciągnął, po czym kopnął Jeremiasza w brzuch.

– Dość! – Merita wpadła między przyjaciół. – Co wy sobie myślicie? Odbiło wam, idioci? Na pastwisku samic sobie poszukajcie, nie tutaj. Wynocha, ale to już!

Wyszli jak niepyszni, wściekli na siebie, bez słowa. Nie widzieli, jak siostry objęły się, a potem ich języki splotły się w pocałunku. Dłonie myszkowały pod ubraniami, sięgały piersi, pośladków, ud.

– Po kres świata ludzi – szept opuścił ściśnięte gardła, odbił się uśmiechem i błyskiem w na wpół przymkniętych oczach.

* * *

Kilkanaście dni panował względny spokój. Aż nagle dnia któregoś rankiem straszliwy hałas wyrwał Mateusza ze snu. Narzuciwszy szlafrok, wybiegł z chałupy i stanął jak wryty – katapulta na bok przewrócona bowiem leżała, a betonowe słupy, które w ziemi ją trzymały, teraz bezsilnie kłuły niebo.

W kronikach zapisano później, że krzyk, który zrodził się w gardle Mateuszowym, w sąsiedniej wsi Żywe słychać było, Obolewo zaś całe ze snu zostało wyrwane. Ludzie, i tak już zdrowo wystraszeni, wybiegli przed domy i biegiem ruszyli do obejścia wynalazcy sprawdzić, czy aby krzywda mu się jakaś nie stała. Ujrzeli go przy wyrzutni, całego we łzach. łkającego jak niemowlę.

Antoni śladami stóp w ziemi odciśniętych podążał, żona Mateusza stała w progu, kiwając się w tył i w przód, a najmłodsza Melpomena do sukni matki się tuliła.

Drugi syn Mateusza, Dominik, w mieście u sympatii bawił.

Ludziska przyglądali się, najpierw nie wiedząc, czy wierzyć w to, co widzą, choć w świetle ostatnich wydarzeń

wydawać się mogło, że nic ich zdziwić już nie powinno, potem zaczęli przekrzykiwać się bez ładu i składu, próbując zrozumieć nierealną sytuację. Albowiem Mateusz wrogów nie miał.

– A Boruta? – zawołał Klemens, który, jak wiedziano, choć mówił niewiele, wiele widział.

Ten i ów podchwycił zawołanie i nagle pamięć kłótni w barze wróciła bumerangiem, zakręciła ludźmi. Jak jeden mąż wyskoczyli z obejścia, asfaltową równą drogą do Boruty pomknęli w gości.

– Wyłaź, Boruta! – Maciej wyhamował przed domem, wrzasnął ile tchu miał w płucach, kilka głosów powtórzyło za nim. – Pogadać chcemy!

Drzwi otworzyły się, a gospodarz stanął w progu.

– Czego? – warknął, kijem bejsbolowym o otwartą dłoń uderzając. – Włóczycie się po nocy, spać nie dajecie. A potem pretensje, że plony małe, a południca drób porywa.

– Zawrzyj pysk, kurwa mać, bo nie po to tu przyszliśmy. Katapultę Mateuszową ktoś z ziemi wyrwał. I zdaje się nam, żeś mógł w tym palce maczać.

– To źle się wam zdaje.

– A córki gdzie? Może to ich sprawka? – Młodzik Bartłomiej wyrwał się przed starszych, urazę bowiem do Borutek żywił, odkąd wyśmiały go publicznie, gdy miłość im wyznał. Co bolało tym bardziej, że by zdobyć się na odwagę, cały zasiłek wówczas przepił. Śmiano się później z niego po kątach i za plecami, żeby jak chce pouzywać, jechał do Płoci, wsi za lasem, gdzie młodzi chłopcy tracili

nieodpłatnie dziewictwo w ramionach drag queen, o wdzięcznym imieniu Laetitia, przed przemianą zwyczajnie i swojsko, Sławomir.

– Śpią córy moje – odparł spokojnie Boruta. – Co i wam radzę. Won mi z podwórza!

– Kto won? My won? Zejdź no na dół, to inaczej pogadamy. – Bartłomiej chwycił się dwóch najbliższych sąsiadów, sugerując, że zaraz skoczy Borucie do gardła, ci jednak przytrzymali go w porę, od szaleńczego kroku chroniąc.

– Nie oskarżamy cię o nic. – Maciejowi wrócił spokój. – Pamiętamy jednak, jak się żeś z Mateuszem o podglądanie sczepił. Po złości zniszczyć katapultę mogłeś.

– A niby jak? Gołymi rękami, rozumiem?

– Samochodem. – Sołtys obejrzał się na szemrzący tłum za plecami, faktem było bowiem, że Boruta, od wypadku, w którym stracił żonę, auta nie miał.

– Słyszę, sołtysie, że i wam się pełnia udzieliła. – Gospodarz zerknął znacząco na monetę księżyca, która nikła właśnie za dachami chałup, ustępując miejsca monecie słońca. – Czas widać taki mamy, że każdy wie lepiej, jakby wszystkie rozumy pozjadał.

Gromada popatrzyła po sobie, ten i ów mruknął coś pod nosem. Nagle przepadła pewność, która ich tu przyprowadziła.

– Zadzwońcie lepiej, Macieju, na policję – doradził Boruta. – Zanim ślady zadeptacie. Bo znów plotkować o nas

będą, że Obolewo to wioska cudów. A zdaje mi się, że nikomu takie żarty przyjemne nie są.

Stojący na szarym końcu zbiegowiska Kleofas odchrząknął, splunął i zabrał się z Borutowego podwórza. Inni powoli poszli za nim.

Nikt słowem gospodarza nie przeprosił, ten jednak nie liczył na przeprosiny, dlatego tak jak zawsze o dziesiątej gospodę otworzył i osobiście pierwszy kufel piwa nalał.

* * *

W południe Gaudenty z Żywego przyjechał, aby rzecz całą osobiście zbadać. Przyjrzał się drobnym odciskom stóp i linie zaczepionej o wsporniki. Na drodze pomedytował chwilę.

– Czołg miał jej nie przewrócić – mruknął, kiwając głową. Wierzyć mu się nie chciało, że znalazł się ktoś, komu katapulta przeszkadzała.

Zawróciwszy, raz jeszcze wszystko obejrzał.

– Na policję dzwoniliście? – zapytał Heloizę, żonę Mateusza.

– Nie dzwoniliśmy.

– To zadzwońcie. Póki odciski zdjąć można. Jak Mateusz?

– Siedzi przy stole.

Gaudenty w zamyśleniu pokiwał głową, dostrzegł idącego drogą Macieja. Podniósł rękę na powitanie. Sołtys skręcił w obejście.

– Witajcie, kumie – mruknął. – Stara rzekła mi, żeście przybyli do nas z wizytą. Przydałaby się wasza rada. Źle się bowiem dzieje w Obolewie.

– Ano – przytaknął gość. – Wrogie siły musiały sprzysiąc się przeciw Chińczykom i tylko w skośnym widzeniu świata dostrzegam nadzieję.

– Szkoda, że ja jej nie widzę wcale. Nawet śmierć Iwanowej wzbudza dziś większe emocje niż na początku. A jak Klemens sobie przypomniał, że w przeddzień widział Bonifacego idącego w las, a za nim dwa cienie, niektórzy zaczęli je kojarzyć z Borutkami, choć mnie dziewczyny w niczym nie zawiniły i daleko mi do takich sądów. Niestety nie brak u nas zazdrośników, a i plotkarzy mamy najgadatliwszych w okolicy.

– Bieda zabija w ludziach rozsądek. Wilkiem patrzą na znajomych, wilkiem patrzą na obcych. Słyszałem takich, którzy zazdrościli odwagi Bonifacemu. Najgłupsi uważają, że siedzi już po prawicy Boga i śmieje się z nas w kułak.

– Życie im zbrzydło? – mruknął Maciej. – Ano nie im tylko. Mnie samemu czasami się widzi, że nie doszedłem dalej niż do płotu. Lecz nie winię za to sąsiadów, tym bardziej Boruty i jego córek.

– Cóż, Boruta nie jest prawdziwym Obolewianinem – przypomniał Gaudenty. – Jeździł niemieckim samochodem.

– To nie powód, by go od razu łajnem obrzucać.

– Nie zaprzeczę.

Umilkli. Stojąc przed domem, pochłaniali bielą koszulek promienie majowego słońca. Perfumowanymi chusteczkami

higienicznymi ocierali spocone czoła. Zaprawdę, wiosna tego roku dziwna była.

Na krańcach osady pojawił się radiowóz, zajechał na podwórze. Sierżant Paschalis z nieodłącznym aspirantem Gabrielem wysiedli z samochodu. Uściśnięciem dłoni powitali gospodarzy.

– Porządku, sołtysie, nie pilnujecie – stwierdził Paschalis, wypluwając łupinę orzeszka. – Wczoraj zbiorowa halucynacja, teraz to. Od plotek cała okolica huczy. Nawet na komendzie za Biblię ateiści się łapią, Apokalipsa im się widzi. A przecież powiedziano: Ostatni będą pierwszymi. Nie występujcie przed innych, Macieju. Nie występujcie. – Pan władza pokiwał palcem.

– Nic nie poradzę. Bieda w ludziach najniższe instynkty wyzwala. – Maciej nie zamierzał dyskutować z władzą, choć dobrze wiedział, że Paschalis niewierzący był od dziecka i słowa z Biblii w jego ustach dziwnie mu zabrzmiały. – Stracili wszelką nadzieję, a to źle wróży.

– To niedobrze. Niedobrze. Na szczęście śledztwo w sprawie Bonifacego posuwa się do przodu. Woda, która kałużą pod wisielcem stała, wcześniej zamrożona była. Znaczy się, Bonifacy, nim sobie pętlę założył, na bryle lodu stanąć musiał. Sęk w tym, że nie wiadomo, dlaczego powiesił się w ten sposób. Poza tym zbadano ziemię pod jego paznokciami i stwierdzono, że pochodzi z lasu, dokładnie z miejsca, w którym znaleźliście trupy esesmanów.

– Może chciał zwrócić na kogoś uwagę?

– Ha! Tylko na kogo? A poza tym, nie łatwiej byłoby napisać?

– Pewnie łatwiej, ale wtedy nie byłoby zagadki.

– W dupie mam takie... – Gabriel aż podskoczył z nerwów. – Wasze pojmowanie rzeczywistości rzeczywiście musiało się wykoślawić. Albo to loty na tej piekielnej machinie przemroziły wam mózgi. Do karceru, do separatek, w izolatkach by was wszystkich pozamykać, może byście się czegoś nauczyli. I zmądrzeli.

Sołtys popatrzył na Paschalisa, Paschalis na aspiranta.

– A tobie co, Gabriel? – zapytał. – Ze starą się pokłóciłeś, że tak mordę drzesz? Won mi do samochodu, jak panować nad sobą nie umiesz.

– Kto won? – Podwładny ani myślał ustąpić. – Za co won?

– Ożeż ty! Przełożonego nie słuchasz?! – Sierżant doskoczył do Gabriela i schwycił go za służbową koszulę, potrząsnął jak gruszą. – Ja cię nauczę moresu!

Sczepili się i dawaj przepychać w tę i we w tę. Twarze im poczerwieniały, oddechy przyspieszyły rytm i zwiększyły zakres decybeli.

Sołtys skoczył, aby ich rozdzielić – przywitany hakiem wyciągnął się jak długi.

Gaudenty cofnął się na próg, wepchnął do chałupy Heloizę.

– Nie nasza to rzecz – mruknął, zerkając na gramolącego się z ziemi Macieja. – Gdy się władza ze sobą bije, maluczcy przyglądać się z dala powinni i ani palcem

ruszyć. Stańcie przy mnie, Sołtysie, i przyglądajcie się tak jak ja. Nie zaszkodzi to wam ani mnie.

Maciej, rad nierad, posłuchał rady i choć od uderzenia piekła go broda, a od emocji świerzbiały ręce, dołączył do Gaudentego. Przyglądali się i słuchali wyzwisk.

– Kurwa – warczał aspirant.

– Kurwa – odpowiadał sierżant.

Zatoczyli nieforemne koło, potknęli się o własne ambicje, wywrócili. Tarzając się i wyzywając, dotoczyli się do katapulty, Paschalis docisnął podwładnego do stalowej konstrukcji i uderzył jego głową raz i drugi. Krew spłynęła po szyi Gabriela, zalała mundur, rozsierdziła aspiranta jeszcze bardziej. Zaatakował ze zdwojoną siłą. Ostatnim rozpaczliwym zrywem machnął ręką na oślep – Paschalis, uderzony niespodziewanie w grdykę, zacharczał, oślinił się, zwolnił uchwyt, rzężąc, przetoczył się na plecy i nagle zdjęły go agonalne drgawki.

Nim Gaudenty zerwał się z progu i dobiegł, sierżant już nie żył.

Sołtys, trąc obolałą szczękę, stanął nad Paschalisem, potem podszedł do Gabriela. Nie musiał sprawdzać, by wiedzieć, że żadnemu pomoc nie będzie już potrzebna. Aspirant miał pękniętą czaszkę, sierżantowi grdyka przebiła tchawicę.

– Oto brat wystąpił przeciw bratu, a umarli z grobów powstali – szepnął, kierując spojrzenie na Gaudentego.

Popatrzyli na siebie tak, jak nie patrzyli nigdy wcześniej.

– Oto brat wystąpił przeciw bratu, a umarli z grobów powstali – powtórzył Gaudenty.

Splunął nagle i odszedł kilka kroków.

– Ja ich nie tknąłem – warknął.

Dwa trupy szczerzyły się do słońca tuż obok. Jak zapowiedź nieszczęścia, którego tylko patrzeć. Gaudenty z Maciejem rozglądali się, unikając nawzajem swych spojrzeń, kiwali głowami, mruczeli przekleństwa. Heloiza patrzyła przez okno, bez sił by wyjść z domu. Mateusz leżał na tapczanie i tępo gapił się w telewizor, nieświadom wydarzeń na własnym podwórzu. Antoni w mieszkaniu sympatii Dominika wraz z nim trzecie piwo rozpijał. Zastanawiał się, jak bratu o tym, co mu chodzi po głowie, powiedzieć.

– Nie wiem jak ty, kumie, ale ja niczego tu nie wymyślę – rzekł Maciej. – Stało się, co się stało. Czasu nie cofniemy.

– Nie cofniemy. – Gaudenty uśmiechnął się półgębkiem. – Zła wiosna nastała nam tego roku. Zaprawdę zła – szepnął i nagle zdał sobie sprawę, że wcale go to nie martwi.

Dłonie samoczynnie zacisnęły się w pięści.

* * *

Boruta wyszedł przed bar – kawalkada radiowozów przemknęła ulicą na sygnale i z piskiem opon wtoczyła się na Mateuszowe podwórze.

– Ki czort? – Mężczyzna podrapał się po kudłatej łepetynie, obejrzał na Kleofasa, który jako jedyny nie opuścił gospody, gdy Onufry wołał, by za nim biec. Stary

siedział na ławce i popijał ze szklanki swój ulubiony płyn złocisty, gadał coś do siebie.

Boruta machnął ręką i zamknął bar. Biegiem pomknął do swego domu. Wpadł do piwnicy i odbezpieczył tajne drzwi.

– Policji u Mateusza pełno – rzucił do przebywających w chłodni dziewcząt. – Zbierajcie się, zajrzą tu pewnie. Pogadać zechcą.

– Mówisz tak, jakbyś się czegoś obawiał – szepnęła Merita.

– Tym razem to nie stara Iwanowa, której po lesie przy pełni łazić się chciało, i nie Bonifacy, psia jego mać, casanova z doskoku, z uczuleniem na niskie temperatury.

– Boisz się – rzuciła Adaila, przeciągając blade jak kreda ciało. – Choć wiedziałeś, ojcze nasz, że stąpamy po kruchym gruncie. Odrodzenie czystej rasy...

– Wiedziałem – Boruta przerwał dziewczęce wyrzuty.

– Ciesz się zatem. Albowiem nasza misja dobiega końca. Tak jak zostało zapisane, umarli powstali z grobów. A to oznacza tylko jedno.

– Wiedz także, że dzień ten pamiętać będą wszystkie pokolenia Ziemi – dodała Merita. – Oto Bóg ulitował się nad tobą, Boruto, i twoimi braćmi. Wkrótce wszyscy zasiądziecie po Jego prawicy.

– Co zamierzacie, córy moje?

– Odprawić sąd nad tymi, którzy posiedli wolną wolę. Nie robiłyśmy bowiem tego wszystkiego po to, by zawisnąć na krzyżu, lecz by was na nim powiesić.

Boruta skłonił głowę.

– Jak wielu zostanie osądzonych? – zapytał.

– Osądzimy wszystkich.

Gospodarz wyszedł z chłodni, biegiem wpadł na piętro. Ze skrzyni stojącej przy ścianie wyciągnął pas z amunicją i rozpylacz o sześciu obrotowych lufach, dokładnie taki sam, jakiego niepokonani bohaterowie używali w filmach. Przymierzył się, uśmiechnął.

– Dla ciebie, Eurydyko – szepnął.

Dokładnie dziś mijała trzecia rocznica wypadku, w którym zginęła jego ukochana. Trzy lata od zrozumienia tęsknego głosu ziemi i spotkania z aniołami na starym cmentarzu poniemieckim. Wracali z imienin starego kumpla z wojska, Sykstusa, Boruta prowadził mimo kilku głębszych, które rozbudziły w nim instynkt rajdowca. Opowiadał jakiś dowcip, kiedy pojawił się zakręt, a na liczniku wskazówka doszła do cyfry 166. Nie wyhamował – audi przeleciało nad rowem, zahaczając o barierki mostu, odbiło się od pagórka i zaryło zderzakiem w dno rzeki. Głowa Eurydyki zatrzymała się na szybie, córki…

Obudziło go zimno brzasku, wiosna tego roku była wyjątkowo zimna i kapryśna. Wygrzebał się przez rozbitą szybę w drzwiach i legł w mokrej od rosy trawie. Jeszcze nie rozumiał, co się stało, ból głowy, klatki piersiowej i nóg plątał myśli. Oddychał z trudem.

Tak zastał go wieczór.

Trzy dni spędził na cmentarzu, przy boku żony i córek, klnąc i modląc się, w strachu przed tym, co nadchodziło,

i samym sobą. Zabił jedyne osoby na świecie, które kochał! Stojąc nad ciałami, błagał je o przebaczenie, wzywał Boga.

Aż brzaskiem trzeciego dnia obudził się i ujrzał Meritę i Adailę pochylające się nad Eurydyką. Zerwał się, roniąc łzy i krzycząc podziękowania za ocalenie.

Potem ujrzał krew na rękach i twarzach dziewcząt, potem nogi zaczęły giąć się pod nim jak zdradziecki mszar.

– Posil się, ojcze – usłyszał łagodny głos. – Trzy dni nie miałeś nic w ustach. Starczy dla nas trojga.

Uwierzył, że tak chciał Bóg, nigdy nikomu nie opowiedział o tym, co się stało. Bał się o siebie i o nie. Stracił tę, którą kochał miłością prawdziwą, nie chciał stracić krwi z jej krwi.

Napisane było w Piśmie – a trzeciego dnia zmartwychwstał...

Na chwilę odłożył rozpylacz, z głębi skrzyni wydobył dwa mniejsze karabinki i przerzucił je przez ramiona, za pas wetknął kilka magazynków i dwa dziewięciomilimetrowe austriackie glocki. Gdy był gotów, zbiegł na dół.

Dwie blade postaci już czekały w salonie.

– Powiedziane zostało: „Po to Bóg stał się człowiekiem, aby człowiek mógł stać się Bogiem” – usłyszał miły dziewczęcy szept. – Niech się zatem stanie. Bóg czeka. Eurydyka czeka. Nadszedł czas oczyszczenia. Pora oddać diabłu to, co diabelskie.

Wyszli przed dom.

* * *

Major Symeon splótł ręce za plecami. Gryzł go dziwny niepokój, że wszystko, co widzi, widzi po raz ostatni – w nocy miał sen, w którym przy boku Boga zwiedzał łąki niebiańskie. Nareszcie był wolny i szczęśliwy. Nareszcie spotkał się z kimś, z kim mógł swobodnie porozmawiać.

Od piętnastu lat służył prawu. I widział jego nieskuteczność. Od piętnastu lat oglądał zbrodnie i cierpienie. Miał dość po stokroć.

Obudził się z ciężkim sercem, popatrzył na śpiącą w zasięgu ręki żonę, złożył ojcowski pocałunek na jej czole i wziąwszy poduszkę, docisnął ją do ust małżonki. Chwilę trzepotała rękami, chwilę próbowała bronić się przed nieuniknionym.

Zjadł przygotowane wieczorem kanapki, popił wodą gazowaną z miejscowej rozlewni i wyszedł do pracy. Na stole zostawił wiadomość dla córki Franciszki, która zapowiedziała się z wizytą. Miał przeczucie, że już się z nią nie zobaczy.

Teraz stał na podwórku Mateusza zwanego Wynalazcą i gapił się na swych podwładnych i tłum wieśniaków, wydawało mu się, że wszystko, co widzi, widzi po raz ostatni. Miał wszak sen, w którym przy boku Boga zwiedzał łąki niebiańskie.

Pocisk minął go o włos. Nie próbował się przed nim uchylić – sięgnął po służbowy pistolet i, niemal nie mierząc, wystrzelał cały magazynek. Był pewien, że nawet jedna kula nie minęła się z celem. Przyglądając się robocie Boruty, załadował gnata i dołączył do rzezi.

Zamieszanie było tak wielkie, że nikt nie zwrócił uwagi, w kogo celuje. Nikt się nie zorientował, gdy kilku funkcjonariuszy sięgnęło po gładkolufowce i po przeładowaniu dołączyło do majora.

Zdezorientowani ludzie padali jak muchy, krew i strzępy ciał rozpryskiwały się fontannowymi kaskadami. Rozpylacz Boruty dymił w rękach, z charakterystycznym wizgiem wirującego łożyska siał śmierć i panikę. Trupy kładły się jeden na drugim…

Heloiza wyszła na próg i wznosząc siekierę do ciosu, popędziła w kierunku najbliższego policjanta. Uderzyła go w środek czaszki. W następnej sekundzie seria z rozpylacza zmiotła ją z nóg. Upadając, uśmiechała się do wizji ze snu, który nawiedził ją tej nocy – oto siedziała po prawicy Boga, a w rękach ściskała róg obfitości…

* * *

Po Ziemi Matce niósł się zew przeszłości, po Ziemi Matce mknęły świetliste rozbłyski do małych piorunów podobne. Wezwanie na sąd.

Duchy zmarłych wstępowały w żywych, kierowały ich myślami i poczynaniami. Cienie anielskich demonów mknęły niebem, wodą i powietrzem – nadszedł czas żniw, najpiękniejsza pora lata. Z umysłu do umysłu niósł się przekaz o Apokalipsie.

Dzieci Ziemi, zbudźcie się! Dzieci Ziemi, chwyćcie za broń!

Merita z Adailą stały na progu baru, trzymając się za ręce. W ich szeroko otwartych oczach lśniła czerń.

* * *

W odległym o sześć kilometrów mieście Antoni dostrzegł na dnie szklanki uradowaną twarz matki i zgniótł szkło w dłoni. Nie pamiętał, kiedy ostatnio widział radość na jej obliczu. Skoczył na sympatię brata. Przygniótł ją do sofy, zamknął głowę w dłoniach i ostro przekręcił w bok. Dominik wyszedł z kuchni, obojętnym wzrokiem wpatrzył się w gasnące oczy Brygidy, kiwnął na Antoniego, by poszedł za nim.

Zatrzymali się przy drzwiach sąsiadów, Dominik nacisnął dzwonek. Nie spodziewał się ataku. Nóż sąsiadki, atrakcyjnej czternastolatki o piwnych oczach i włosach koloru kasztana, bezbłędnie zagłębił się w pierś chłopaka i dotarł do serca. Antoni, w milczeniu przyglądający się tragedii, oblizał wargi – oto bowiem ujrzał tę, o której śnił nocami. Doskoczył do morderczyni i odtrąciwszy uzbrojoną rękę, wepchnął dziewczynę do mieszkania. Na podłodze zadarł jej spódnicę i… umarł w niespełnieniu, nie zauważywszy kobiety, która zaalarmowana szamotaniną, z tasakiem przybiegła córce w sukurs. Krew z rozciętego karku niedoszłego gwałciciela poplamiła parkiet i sukienkę młodocianej. Jednak ani ona, ani jej matka nie zwróciły na to uwagi, gdyż w mieszkaniu pod ich mieszkaniem kryli się odwieczni wrogowie – uzbrojone w tasak i nóż wybrały się do nich z wizytą…

Gerwazy przyjął je w przedpokoju, kijem bejsbolowym – dziwne przeczucie sprzed minuty podpowiedziało mu, by być gotowym na atak, dlatego uderzył pierwszy. Głowa starszej kobiety trzasnęła jak balon z czerwoną farbą, zanim jej nóż sięgnął odwiecznego wroga. Karolina przeskoczyła nad trupem matki – nie zdążyła dopaść mordercy. Kij okazał się szybszy i dłuższy. Gasnące oczy nastolatki dostrzegły jeszcze parę nóg wystających zza drzwi sypialni, po czym zapadły się w otchłań pełną sekretnych pragnień.

Gerwazy wyszedł na klatkę.

* * *

Zenobiusz K., mechanik samochodowy z serwisu znanej japońskiej marki, przeładował kałasznikowa, zabezpieczył i wyjął magazynek, by uzupełnić naboje. Potem poprawił marynarkę i przejrzał się w lustrze. Wyglądał świetnie i tak samo się czuł. Jeszcze nie onanizował się tego dnia, miał jednak przeczucie, że coś innego da mu spodziewaną satysfakcję. Mierzył metr osiemdziesiąt, w bicepsie przekraczał czterdzieści pięć centymetrów i był szalenie przystojny. Dziewczyny szalały na jego punkcie – ledwie je zauważał, kolekcja filmów dla dorosłych z ekskluzywnej serii, którą nabył w Holandii, wypełniała mu znakomicie czas między pracą a treningami.

Wyszedł z mieszkania i zbiegł po schodach, bez zainteresowania minął dźgającego nożem na oślep znajomego o imieniu Gerwazy. Ofiara musiała już nie żyć od

kilku dobrych sekund, morderca jednak zdawał się tego nie zauważać.

Na chodniku przed blokiem zatrzymał się i rozejrzał. Dostrzegł kilka spojrzeń, które ostrzegły go przed niebezpieczeństwem. Odruchem wyuczonym na dziesiątkach przebytych lekcji paintballu odskoczył na klatkę, poderwał karabin i puścił serię w przechodzący tłum. Miał szczęście. Kula nieznanego strzelca minęła go o włos.

Kryjąc się za ścianą, zmienił magazynek.

Nie zauważył mężczyzny, który zaszedł go od tyłu i okrwawionym nożem zadał precyzyjny cios w tętnicę. Upadając, dostrzegł Gerwazego schylającego się po kałacha i uśmiechnął się, wiedząc, że to jeszcze nie koniec.

Miał sen, w którym na jednym atlasie ćwiczył razem z Bogiem swoje ulubione partie mięśni.

Bóg był niezwykle silny, Zenobiusz wierzył jednak, że jest w stanie się z nim zmierzyć.

* * *

Bożydar podniósł się z Ksymeny, zwierzęcym warknięciem kończąc godzinny akt miłosny, który już niebawem mógł stać się jego małżeńskim obowiązkiem. Przez głowę przeszło mu, że trudno będzie mu się przyzwyczaić do braku atrakcji, miał jednak w pamięci poprzednie nieudane związki i zdawał sobie sprawę, że nie każdy musi mieć lekko. On nigdy nie miał. By wyrwać laskę, musiał ją najpierw spić, a potem uśpić czujność. Czasami

podszywał się pod kogoś, kim nie był. Tak minęła mu trzydziestka z hakiem, a rodzice żądali coraz częściej, by znalazł sobie porządną dziewczynę. Sęk w tym, że te porządne, które mu się podobały, były już zajęte albo nie chciały dawać.

Ksymena miała cellulit i nie paliła się do wycieczek w nieznane rejony seksualnych przyjemności. Najlepiej było po bożemu i nocą, i nie za często. Nie żądała od Bożydara nadludzkich wysiłków, zadowalała się byle czym i Bożydar potrafił to uszanować. Zresztą, gdy zostawał sam, dla zabicia czasu bawił się w autofellatio, które umożliwiała mu operacja bioder przebyta w dzieciństwie oraz hojność natury, a to znakomicie wynagradzało wstrzemięźliwość partnerki.

Owszem, na początku proponował to i owo. Starał się znaleźć wyjście z mocnego postanowienia Ksymeny zachowania dziewictwa do ślubu. Na szczęście po kilku miesiącach jej przeszło, po imprezie u Edwarda i dziesięciu drinkach, ale i tak nie było kolorowo.

Miał piękny dom i solidne zabezpieczenie na koncie, jeszcze przed trzydziestką posadził kilka drzew, brakowało mu tylko żony, a jak stare porzekadło głosiło: jak się nie ma, co się lubi…

Trzymał się tej prawdy. I Ksymeny.

Siadł na łóżku i odruchowo przykrył się kołdrą. Było już po dwunastej, wydawało mu się jednak, że usłyszał odgłos kroków na schodach.

Nie mylił się. Po minucie zapaliło się światło w przedpokoju, a po kolejnej nieforemny cień zza szyby pociągnął klamkę i otworzył drzwi.

– To grzech tak przed ślubem – usłyszał głos ojca swego, a w następnej sekundzie huk wystrzału, który okazał się ostatnim dźwiękiem w jego życiu.

Ksymena podniosła głowę znad poduszki, ujrzała dymiącą dwururkę w rękach starszego mężczyzny i uśmiechnęła się, nie wiedząc, co powiedzieć. Był to ostatni widok w jej życiu. Palec puścił, wystrzał wstrząsnął domem, rozsypał pierze po całym pokoju, a Ksymenę przygwoździł do łóżka.

Starszy mężczyzna rozejrzał się, pokiwał głową i powoli załadował strzelbę. Z trudem włożył koniec lufy do ust. Od tygodnia śnił mu się jeden sen: stał nad brzegiem niezmierzonego morza, a straszny głos mówił, że ci, którzy grzeszą, i ci, pod których pieczą rodzi się grzech, nie dostąpią bram niebieskich, a ci, którzy sprawiedliwie rozliczą się z grzesznikami, zostaną wysłuchani, zaś ich winy mogą być odpuszczone.

Dziś wieczorem postanowił sprawdzić, czy sen był snem proroczym, czy tylko majakiem.

* * *

Izolda usiadła przed lustrem i przez kilka minut przyglądała się swemu odbiciu, potem zdjęła opaskę z włosów, by tleniony blond opadł na jej szyję i ramiona. Wciąż wydawała się sama sobie atrakcyjna i zmysłowa, a to

– wśród narzekających bez przerwy koleżanek – było w jej oczach atutem wartym zazdrości. Lubiła zwracać na siebie uwagę. To dawało jej pewność siebie, tak potrzebną w dzisiejszym świecie, i satysfakcję tak potrzebną jej samej, by normalnie funkcjonować.

Pięć minut temu wróciła z pracy, zajrzała na sekundę do sypialni, gdzie spał Tristan z ich śliczną córeczką, po czym włączyła gaz w kuchence i poszła do salonu, by sprawdzić jakość swego wyglądu. Czuła się usatysfakcjonowana. Lustro nie kłamało – wierny i oddany przyjaciel, który nigdy jej nie zdradził. Bo kłamstwa i zdrady brzydziła się najbardziej. Owszem, była w stanie wybaczyć, lecz nie zapomnieć.

Dla przykładu: Jaś Poeta. Pisał wierszyki, plótł komplementy, zabierał na przejażdżki, bawił i rozśmieszał. Aż niespodziewanie zainteresował się inną, Amandą z plebsu, w hierarchii normalności i przyzwoitości stojącą dobrych pięć klas niżej. Bez powodu, z dnia na dzień, zostawił ją jak lalkę szmacianą w magazynie staroci.

Trzy dni była zła, potem trzy miesiące, w końcu trzy lata.

Mimo że Jaś i tak nie miał u niej szans.

Dziś nie zaprzątała sobie głowy nieistniejącymi poetami i w ogóle przeszłością. Ważna była córeczka i mąż, atrakcyjność, o którą musiała dbać, i kilka przemyśleń, które nawiedzały ją od kilku tygodni. Nic więcej.

Poprawiła włosy i makijaż, wypiła łyk soku i rozpłakała się bez powodu.

Później zapaliła papierosa.

Pół bloku w tej samej sekundzie wraz z nią wyleciało w powietrze.

Kwiecień 013

Bonifacy wszedł między drzewa, obejrzał się na idące za nim dziewczęta. Marzył, aby posiąść je tej samej nocy, tego samego dnia, w tej samej chwili. Wejść między ich uda tak jak między drzewa. Rozpanoszyć się. Trysnąć starym mleczem w młode ciała.

Od kilku lat miewał mokre sny z córami Boruty w roli głównej. Zapinając żony swych sąsiadów i znajomych, miał przed oczami niewinne ciało Merity lub Adaili. W swych fantazjach najczęściej brał je od tyłu, nie naruszając ich dziewictwa.

– W czasie wojny w tych lasach kryli się chłopcy Jelenia – rzekł. – Dziad mój dokarmiał ich, czasem opatrywał rannych i grzebał trupy.

– Kim był Jeleń?

– Partyzantem. Legendy opowiadano o kolekcji zgromadzonych przez niego czaszek. Miał kilkanaście ziemianek w najgłębszych ostępach, krył się tam i zbroił swoje oddziały. Ponoć zimą sypiał w żeremiach bobrowych. Sławny był i okrutny, nawet okoliczni mieszkańcy bali się wejść mu w drogę. Mówiono, że to woda z Czarnej dawała mu taką siłę. Do dziś niewielu go wspomina.

– Wiesz, gdzie są jego ziemianki?

– Nikt nie wie. Po wojnie Jeleń wraz z całym oddziałem wpadł w zasadzkę Rosjan. I przepadł jak kamień w wodę, a z nim jego tajemnice. Mówiono, że nie przeżył tortur.

Zatrzymali się przy wiekowym dębie nad brzegiem Czarnej. Korzenie drzewa schodziły do rzeki, czerpiąc z niej całą swą siłę.

– To gdzieś tutaj – mruknął Bonifacy. – Jeśli dziad dobrze pamiętał.

– Pokaż nam.

– Co?

– Ciała.

Mężczyzna skrzywił się z niesmakiem.

– Odbiło wam? Takie głupie żarty... – nie dokończył zdania.

Stojąca o krok dziewczyna niespodziewanie dotknęła jego silnej dłoni. Dłoni, która potrafiła doprowadzić każdą kobietę do obłędu. Dłoni, która czekała na ów dotyk trzysta sześćdziesiąt pięć dni w roku od lat czterech.

– Zrób to – prośba spłynęła z ponętnych, czerwoną szminką podkreślonych ust. – Dla nas.

Przełknął ślinę o przyjemności, której doświadczy, i o cierpieniu, które jest cierpliwością. Oto nadszedł dzień wymarzonej zapłaty, one i on, samotni w lesie, tu, gdzie nawet najgłośniejszego krzyku nikt nie usłyszy. Objął spojrzeniem dziewczęta, ich piersi, miejsce złączenia ud, widoczne spod krótkich spódnic kolana i łydki. Tak, tego chciał, jak kania dżdżu, jak niedźwiedź miodu. Miał w sobie dość sił, aby zaatakować i zwyciężyć.

Bez słowa ściągnął koszulkę, ukląkł i zaczął rozgrzebywać palcami ziemię.

Wtulone w siebie dziewczęta przyglądały się mu z boku i uśmiechały się rozkosznie.

Las szeptał do ich uszu opowieści sprzed dziesiątków lat. Ziemia, która je zrodziła, przynosiła obrazy wielkości swych dzieci.

Gdzieś tutaj święty Wojciech z bratem Gaudentym… Gdzieś tutaj młody Bolko Mieszkowic przezywany Chrobrym… Gdzieś tutaj Kazimierz, po latach ogłoszony Wielkim…

Smutna była ziemia, smutne drzewa wokół. Albowiem w niepamięć odeszły czasy Olbrzymów. Dni chwały i zwycięstw. Potomkowie wielkich skarłowacieli, zhańbili się po stokroć. Po tysiąckroć.

– Z prochu w proch – szeleściły liście.

– Z ziemi do ziemi – odpowiadały konary sosen i świerków.

Dzieci Ziemi, chwyćcie za broń!

Siostry wsłuchiwały się w głosy, ich oczy szeroko otwarte zaszły czernią. Las zadrżał, ziemia zadrżała.

Wezwanie na sąd niosło się po lesie.

Przybądźcie ci, którzy krwią swoją nakarmiliście tę ziemię!

Bonifacy podniósł głowę, popatrzył w szemrzący dziwnie gąszcz, na rozedrgane konary świerków, korony sosen. To tylko wiatr, myśl wypełniła umysł.

– Nie minie cię nagroda – usłyszał kojący szept tuż za plecami. – Wkrótce, Bonifacy, wkrótce…

Dłoń Adaili dotknęła jego ramienia, paznokcie wbiły się w skórę, aż pokazała się krew. Przyjemne ciarki przebiegły po kręgosłupie mężczyzny.

Pochylił się, wbił palce w miękką ziemię.

Echem niosła się prośba o osąd karłów, którzy z olbrzymów wyrośli…

Czerwiec 013

Zbytygniew wyrzucił przez okno skręta, odetchnął umykającym w przeciągu zapachem trawki, popatrzył na Matyldę karmiącą dziecko – wyglądała jak Pieta w burzy farbowanych na kasztanowo włosów. Jej wielkie piersi tuliły twarz półrocznego niemowlęcia, jej ramiona kołysały się w rytm polo-rap-hip-disco-hopu. Przed godziną skończyli kolejną kłótnię, dwie godziny temu szybki numerek; miał nie kończyć, nie zdążył.

– Omal nie zadławiłam się! – Wisząca od rana w powietrzu awantura znalazła w końcu dostęp do istnienia i przewaliła się przez pokój jak tornado, zbudziła śpiące dziecko, cofnęła wyciągnięte pięści kochanków.

Zbytygniew sięgnął za fotel, dłoń namacała trzonek bejsbolowego kija, palce zacisnęły się powoli i rozluźniły na chwilę. Nie odrywając wzroku od matki karmiącej dziecko, wstał i precyzyjnym zamachem uderzył w głowę Matyldy. Kość trzasnęła jak nadepnięty nogą patyk, smuga krwi

i mózgu poplamiła ścianę. Matczyne ręce w ostatnim przedśmiertnym odruchu przycisnęły do piersi niemowlę, odcinając mu dopływ powietrza...

Zbytygniew pokiwał beznamiętnie głową, wyszedł na balkon, a potem wspiął się na barierkę oddzielającą go od sześciopiętrowej przepaści. Myśląc o przezroczystych wodach jeziora Żywe, nad którego brzegami spędził wiele miłych chwil, skoczył na główkę.

* * *

Mikołaj obejrzał się mimowolnie za idącą do łazienki Zofią, a gdy ta znikła za drzwiami, jednym doskokiem dopadł Rozalii i przewrócił ją na brzuch. Nim zdążyła krzyknąć, szybkim ruchem ściągnął jej biodrówki, a następnie jedną ręką przycisnął jej głowę do poduszki, a drugą sięgnął po nabrzmiały członek. Sprawnym pchnięciem zakotwiczył w zatoce skrytej wśród niezdobytych szczytów.

Zofia wyszła z łazienki, chwilę przyglądała się zmaganiom swego kochanka, zawróciła do kuchni i z szuflady pod zlewem wyciągnęła rzeźnicki tasak. Biegiem wróciła do pokoju i jednym precyzyjnym zamachem, w chwili, gdy oczy Mikołaja zaćmiły się z nadchodzącej rozkoszy, cięła go w szyję. Gdy rzężąc agonalnie, spadł na podłogę i wyprężył się, by oddać to, czego nie zdążył, z ustami otwartymi w niemym proteście dopadła siostry.

Źle wymierzony cios minął cel, ostrze zahaczyło tylko pośladek i rozorało tapczan. Rozalia z wrzaskiem skoczyła do gardła Zofii, jej palce z niezwykłą siłą zacisnęły się na siostrzanej krtani i wbiły grdykę do gardła. Oczy i twarz dziewczyny nabiegły krwią, zakrztusiła się z nagłego braku powietrza, spuchła jak bańka mydlana i wymachując wkoło ramionami, wpadła na ścianę. Osunęła się po niej, wydając ostatnie tchnienie.

Z martwiejącej dłoni siostry Rozalia wyjęła tasak i wyszła z mieszkania na klatkę schodową. W jej głowie brzmiał wierszyk Jasia Poety, który otrzymała przed kilkoma miesiącami. O miłości niespełnionej, tej fizycznej, zabronionej. Odpisała, aby spierdalał, a on nie odezwał się już więcej. Idąc schodami w dół, powtarzała go jak mantrę, bowiem w wierszyku tym było to, co dał jej dziś Mikołaj, bolesna przyjemność.

Nienasycenie podpowiadało jej, że nim dopełni swego żywota, musi choć raz jeszcze zakosztować owej rozkoszy.

– Kochana ślicznotko, ty moja miss bata, pojechałbym na tobie na sam kraniec świata...

* * *

Boruta odrzucił dymiący rozpylacz, zza pasa wyciągnął bliźniacze glocki i rozejrzał się po pobojowisku.

– Tutaj – przywołała go Merita.

Podszedł i – niemal nie mierząc – pociągnął za spust. Dziewięciomilimetrowy pocisk idealnie zagłębił się

w czaszkę Macieja. Mglistymi oczami odebrał ostatni zrozumiały obraz – Mateusza stojącego przed domem.

Boruta zawiesił wzrok na Wynalazcy. Depcząc po trupach, zbliżył się do mężczyzny, oparł lufy glocków o jego pierś.

– Dziękuję – rzekł Mateusz.

Dwie wystrzelone w tej samej sekundzie kule wbiły się w jego serce i rozrywając tkanki, wyszły plecami.

– Byliście ostatni, będziecie pierwsi – szepnęła Merita, pochylając się nad umierającym. – W ogrodach Boga stoi wiele wspaniałych wynalazków. Wkrótce zasiądziesz po Jego prawicy.

Nikły uśmiech pojawił się na stygnących wargach, a w umyśle zalęgła się myśl o nieuchwytnym szczęściu będącym na wyciągnięcie rąk.

– Wynajęłyśmy dla was Niebo…

W lśniących przepięknym brązem oczach zatańczyły iskierki rozbawienia.

Nad pobojowiskiem zszarzało od zdążających ku niebu dusz.

* * *

Moja matka zabiła mego ojca. Mam siekierę. Za godzinę będę u ciebie. Edward.

Jaś odłożył notatnik i wyszedł z domu, biegiem wpadł w Mateuszowe obejście.

Boruta odwrócił się ku niemu, popatrzył na świetlistą postać.

– Czekałyśmy na ciebie – szept spłynął z rozkosznie ponętnych ust. – Boruto?

Mężczyzna zdjął jeden z przewieszonych przez pierś karabinków. Podał go Poecie.

– Chciałeś być Bogiem przez kilka chwil. Oto te chwile.

Jaś wziął broń, odbezpieczył i pociągnął za spust. Seria rozorała brzuch Boruty, odebrała nogom siłę, oczom jasność spojrzenia.

– A teraz wy. – Morderca zwrócił się do emanujących światłem kształtów. – Za miłość, której wam brak. Za miłość...

Huk wystrzału zagłuszył dalsze słowa, pocisk idealnie wbił się w czaszkę, odłupał część kości, rozrzucając mózg mężczyzny na cztery strony świata.

Glock wypadł z dłoni Boruty, słabnąca ręka opadła tuż za nim.

– Nawet w poetach drzemie zwierzęcy instynkt... – dziewczęcy głos wtopił się w martwą ciszę. – Zaprawdę nikt nie zna odpowiedzi, kim jest człowiek. Po co został stworzony i czy jest dziełem natury, czy też może boskim eksperymentem. Byłyśmy w raju i wiemy, jak tam jest. Nie spotkałyśmy tam ludzi. A Bóg... Ma lustro. Nigdy nie jest sam.

Centurion – Wiesław Gwiazdowski

Znów ten sam sen. Stoję na wzniesieniu obok trzech krzyży, z których zwisają skazańcy. Niebo jest granatowe, niemal czarne od gromadzących się chmur. Wieje zimny, złowieszczy wiatr, a ziemia drży. Grupka kobiet modli się do ukrzyżowanych. Łzy płyną po ich policzkach, usta trzęsą się z bólu i chłodu.

U stóp otwiera się przepaść. Wiem, że w nią spadnę.

Nie powinienem tu stać. Nie teraz. Nie dziś. Lecz stoję i widzę. Jestem świadkiem końca epoki, końca życia.

– Dobry człowieku, skróć mu cierpienia! – prośba smaga jak bicz.

Patrzę na kobietę, na jej łagodną, zmęczoną twarz, duże proszące oczy, ręce złożone do modlitwy. Oceniam ją na pięćdziesiąt lat, choć równie dobrze może być znacznie starsza. Ma długie, przyprószone siwizną włosy, czarną chustę na głowie, czarne rękawiczki na dłoniach. Półmrok utrudnia ocenę. Nie znam jej, tak samo jak dwóch pozostałych kobiet, z których młodsza może być jej córką. Ma złote kolce w uszach i wargach, a w brązowych oczach można się zatracić. Przyszły wraz z orszakiem żałobnym, lecz choć inni odeszli, one zostały. Kim są? Nie wiem. Nie zastanawiałem się nad tym. Może matki, może żony

ukrzyżowanych? A może zwykłe ladacznice, którymi zwykli się otaczać skazańcy? Zawsze dziwiło mnie to, dlaczego tak łatwo złoczyńcy zdobywali serca niewiast.

Za co wiszą? Za kradzież i bluźnierstwa. Ten w środku kazał nazywać się Synem Bożym.

Gdy spoglądam na niego, nie dostrzegam nawet źdźbła boskości. Jedynie zmęczenie, jedynie cierpienie. I krew. Krew jest wszędzie. Biczowano go, nim wdrapał się na wzgórze, a potem zawisł. Upływ krwi pozwoli mu szybciej umrzeć. Dwaj pozostali będą męczyć się całą noc albo i dzień. Będę przy nich. Będę patrzył na ich cierpienia, a potem na agonię. I chociaż już to oglądałem, wiem, że znów nie będzie to przyjemny widok. Ból wyniszczonych twarzy zostaje pod powiekami, burzy sny, niszczy od środka. Wraca. Nocą i za dnia.

Gdybym wiedział, że przestanę widzieć, wydłubałbym sobie oczy. Lecz wiem, że to nic nie da. Prócz kalectwa i ślepoty.

– I tak już jesteś ślepy – odzywa się środkowy wisielec.

Skądś wiem, że mówi do mnie. Odrywam oczy od starszej kobiety, kieruję wzrok na skazańca.

– Co powiedziałeś? – pytam.

– Jesteś ślepy – słyszę niewyraźną odpowiedź.

Z popękanych warg cieknie zakrwawiona ślina. Mówienie musi być dużym wysiłkiem.

– Takiś mądry? Zejdź, jeśli potrafisz – mówię. – Ponoć jesteś Bogiem.

Nie otrzymuję odpowiedzi. W szeroko otwartych oczach widzę jedynie żal.

Niebo jest ciemne od chmur. Niesiony wiatrem pył wbija się pod powieki. Odwracam głowę. Cała noc przede mną. W samotności pełnej niepokoju. I chrapliwych oddechów.

Czego chcą te kobiety? Po co tu stoją? Na co czekają?

– Precz! – mówię, opuszczając włócznię.

– Pomóż mu – prosi najstarsza.

Zaciskam zęby. Wypluwam drobinkę piachu. To wszystko jest tak nierealne! Nie powinno mnie tu być. Nie powinno.

Pod powieki wciska się pył, oczy zaczynają łzawić.

Podchodzę do wisielca i wbijam Mesjaszowi grot włóczni pod żebra. Okręcam, by poczuł, kto ma władzę. I że to ja jestem panem życia i śmierci, nikt inny!

Sumienie mówi mi, że przecież spełniam prośbę. Wewnętrzny lęk krzyczy, że zabijam Boga!

Z okrwawionych ust skazańca wydobywa się jęk. Kilka słów, których nie rozumiem. Brzmią zbyt cicho, zbyt niewyraźnie. Jak błogosławieństwo?

Odchodzę kilka kroków, pięć, może sześć. Mrużąc podrażnione oczy, patrzę na kobiety. Z podłużnymi czarkami, które przypominają kielichy, podbiegają pod krzyż i łapią wypływającą z rany krew. Wiem, że powinienem je przegnać, lecz nie znajduję dość sił, by im zabronić. Przyglądam się, zapominając, że to ja jestem panem wzgórza i krzyży.

To przecież tylko sen. To nie dzieje się naprawdę!

Krew płynie coraz wolniej, spływa po brzuchu na przepaskę biodrową, a potem kroplami w dół do nadstawionych naczyń. Kap, kap, kap – słyszę miarowe uderzenia.

– Ojcze…?! – jęk, który równie dobrze może być krzykiem, wydobywa się z ust ukrzyżowanego.

Skarga i pytanie w jednym słowie. *Kogo wołasz?* – chcę zapytać, lecz głos więźnie mi w gardle. Niebo rozstępuje się i nagle w szum wiatru wdziera się łopot skrzydeł. Zaciskam palce na włóczni.

Anioły to, czy demony?

Wpatruję się w opadające na wzgórze zastępy.

Istoty przypominają ludzi, są jednak brzydkie, przeraźliwie chude i wysokie, wykoślawione i chorobliwie blade. Pod białą skórą ciągną się ścięgna skrzydeł, jak nienaturalnie długie palce oplatające klatki piersiowe.

Cofam się o krok, o krok, bo tuż za mną zieje przepaść. Oglądam się. Nie ma drogi ucieczki. Dalej jest tylko bezdeń.

Kobiety kryją w fałdach szat kielichy z krwią skazańca i upadają na kolana.

Słudzy niebiescy gromadzą się wokół krzyży. Milczą. Ich blade ślepia przypominają przesłonięte bielmem oczy ślepca. Ich wykrzywione odnóża to kończyny kalek.

Jedna z istot wyciąga rękę. I widzę coś, co przeczy naturze rzeczy. Ręka wydłuża się. Palce dotykają rany ukrzyżowanego i zanurzają się w ciało. Skazaniec szarpie się i unosi opuszczone powieki.

– Ojcze, zabierz ode mnie swe sługi – ledwie zrozumiały szept dochodzi do mych uszu.

Istoty cofają się, podrażnione słowami, zaczynają syczeć, wykrzywiając gniewnie oblicza. Niektóre rozkładają skrzydła, roztrącając sąsiadów. To powoduje nagłą wrzawę i zamieszanie. Między bladymi wargami pojawiają się zwierzęce kły. Stwory warczą na siebie, wyginając groteskowe ciała. Zachowują się tak, jakby za chwilę miały skoczyć sobie do gardeł.

Kobiety odpełzają, nie podnosząc się z klęczek. W czarnych szatach, pod granatowym niebem, wyglądają jak cienie. Cienie demonów, których nie dopuszczono do stołu. Czuję, że powinienem pójść za nimi, lecz nie mogę zrobić kroku.

Istoty syczą, tłocząc się u stóp krzyży, drepczą jak ptaki, którym umknął żer. A może właśnie na żer czekają? Tego nie wiem. Przyglądam się, czując, że koszula, mokra od potu, klei mi się do pleców. Krępuje ruchy i potęguje chłód.

Zmierzch granatem chmur rozciąga się nad wzgórzem, tłumiąc biel niebieskich sług.

Wiem, że śnię, lecz gdy istoty w końcu mnie dostrzegają, czuję strach. I nagle zaczynam się zastanawiać, czy jestem tylko świadkiem, czy może uczestnikiem. I czy przypadkiem sen nie jest snem, lecz jawą.

Zwę się Gaius Cassius i jestem centurionem. Polecono mi stać na wzgórzu i pilnować ukrzyżowanych. Jutro. Po egzekucji, która ma odbyć się jutro.

Jedna z istot rozkłada skrzydła, wzbija się w powietrze i ląduje o krok ode mnie. Cofam się w nagłym lęku, zapominając o przepaści za plecami. Ziemia umyka mi spod nóg. Spadam. Białe ślepia patrzą nienawistnie, między bladymi wargami szczerzą się kły. Spadam. Z włócznią zaciśniętą w dłoni. Z obrazem demonicznego anioła pod powiekami. Spadam.

I wtedy z nicości wyłania się śmiertelnie blada ręka…

* * *

– Gaius… Gaius…

Nagłe otwarcie ust i zaczerpnięcie powietrza.

U brzegu łoża znajoma twarz, umiłowana Laetitia.

– Czy coś się stało? – Wyraz jej twarzy sprawił, że musiałem ją zapytać, nim sama się zdobędzie na wyjaśnienia.

– Syn Boży… – nie dokończyła zdania.

– Co? – ponagliłem, unosząc się na łokciach, bo jej niepokój nie był mi obcy.

Znów miałem sen. Sen o ukrzyżowanym. Po raz pierwszy pojawił się przed dziesięcioma dniami, na dzień przed egzekucją. I już mnie nie opuścił. Wspominałem go, idąc na miejsce kaźni, myślałem, patrząc na chłostę, i w chwili, gdy krzyże postawiono do pionu. Starałem się zrozumieć. I zapomnieć, że tam byłem.

Przyglądając się ludziom, odnalazłem kobiety ze snu. A u stóp szczelinę w ziemi. Zabrakło mi odwagi, by podejść do niewiast. Później nie mogłem tego odżałować.

– Wczoraj odkryto odsunięty głaz zasłaniający wejście do grobowca, w którym go złożono – wyjaśniła.

– Kto? Kto znalazł?

– Niewiasty. Jego matka i… – umilkła, lecz nie musiała kończyć. Wiedziałem, o kim nie chciała mówić. Były w mym śnie. Od kilkunastu dni śniłem jeden i ten sam sen. Śniłem, próbując przypomnieć sobie, kto podał mi rękę, chroniąc przed zderzeniem z dnem przepaści.

– Muszę je odnaleźć – szepnąłem, bo czułem, że kobiety mogły mi pomóc rozwiązać zagadkę.

– Znajdziesz je przy grobie. Modlą się.

– Byłaś tam?

– Tak.

Mimo wszystkich niedorzeczności, które towarzyszyły człowiekowi zwanemu, Mesjaszem, krąg jego wyznawców rósł każdego dnia. Rozprzestrzeniał się niczym zaraza. Objął również Laetitię. Nie wzbraniałem jej nowej wiary. Byle tylko była przy mnie.

– Chcesz pójść ze mną? – zapytałem.

– Tak.

– On umarł.

– Jego ziemskie ciało umarło, Gaiusie, nie on. Obiecał, że wróci.

– Byłem przy jego śmierci.

Odwróciła głowę. Nie chciałem jej zranić, lecz każda inna odpowiedź byłaby kłamstwem.

Przytuliłem ją i ucałowałem włosy i policzki. Pachniała dymem domowego ogniska, młodością pełną niepokoju.

I słońcem. Znów spałem do południa. Gdyby nie Laetitia, przespałbym cały dzień. Egzekucja… Ech, nie musiałem przy niej być.

– Narzucę coś na siebie i pójdziemy – szepnąłem.

Ukochana odpowiedziała skinieniem głowy. Miała łzy w oczach. Ukrzyżowanie było dla niej wstrząsem, z którego nie umiała się wyzwolić. Widywałem ją na progu domu, gdy wyglądałem przez okna, szukając granatowych chmur zwiastujących zagładę, patrzącą w niebo, z niemą skargą wypisaną na twarzy i żalem. Nieśmiertelny odszedł jak zwykły człowiek, ubiczowany i ukrzyżowany. W towarzystwie dwóch łotrów, którzy otrzymali obietnicę królestwa niebieskiego. Gdy plotka się rozeszła, wielu prawych obywateli żałowało, że nie oni zamiast złoczyńców konali wówczas na wzgórzu. Niepojęty obłęd zawładnął umysłami. Ludzie gromadzili się w grotach i miejscach odosobnienia, powstawały sekty fanatyków głoszące rychłe nadejście końca świata. Inne wzywały do pokuty i umartwienia. Nic nie pomagały częstsze patrole i groźby. Nowa wiara rozprzestrzeniała się niczym zaraza.

Może była zarazą?

* * *

Po południu, po przedarciu się przez ludzką ciżbę i kordon legionistów, ujrzeliśmy grób. Znałem to miejsce, bo byłem jednym z tych, którzy nieśli ciało skazańca. Pozdrowiłem setnika strzegącego porządku, pytając

jednocześnie, czy możemy wejść do środka. Rufus wzruszył ramionami.

– Nie polecono mi, bym ci tego wzbraniał, Gaiusie – odparł.

Podziękowałem skinieniem i trzymając Laetitię za rękę wszedłem w cień pieczary.

Była pusta.

– Widzisz? – w głosie mej ukochanej pojawiła się radość. – Odszedł do domu ojca. Tak, jak zapowiedział. Powstał z grobu. Czy to nie cud, Gaiusie?

Milczałem. Widziałem przecież, jak wisiał, wbiłem mu włócznię w bok, a potem…

Czyż nie prosiłem go, by zszedł z krzyża? Nie odrzekł ani słowa.

Znów stanął mi przed oczami widok skazańców. Dlaczego ten różnił się od innych? Co było w nim takiego, że nawet śmierć nie powstrzymała fanatyków przed nazywaniem go Mesjaszem?

Wziąłem Laetitię za ramię i wyszliśmy z pieczary. Obejrzałem głaz, którym było przywalone wejście i bez namysłu naparłem nań barkiem. Drgnął lekko, lecz nie na tyle, by przesunąć się choć o grubość palca.

– Musiałby być golemem, by wyjść sam – mruknął Rufus.

– Był cieślą – odparłem. – Od dziecka nawykł do wysiłku.

– Znałeś go lepiej ode mnie, Gaiusie. Czy wyglądał na osiłka?

– Jak mam to rozumieć?

– Ubiczowano go. Byłeś wśród tych, którzy zagnali go na Czaszkę. Stracił wiele krwi.

– Wiem – uciąłem, nie chcąc wdawać się w jałową dysputę. – Nie zapominaj, Rufusie, komu służysz. Kto pilnował grobu?

Wskazał stojących na uboczu gwardzistów. Towarzyszyło im kilka kobiet lekkich obyczajów.

– One były z nimi? – zapytałem.

Rufus wzruszył ramionami. Nie musiał mi odpowiadać. Wiedziałem, że tak. W jego rudych włosach i na hełmie odbijały się promienie słońca, dając złudzenie krwawej poświaty. Wyglądał jak… Anioł?

Ponoć widziano anioły przy grobie.

Spojrzałem na tłum, który tłoczył się poza kordonem gwardzistów. W większości byli to Żydzi. Naród wybrany. Lecz nie tylko. Dostrzegłem również obywateli Rzymu, kupców i urzędników, stateczne matrony, matki z córkami. A także ladacznice, które towarzyszyły ukrzyżowanemu zawsze. Nawet podczas ostatniej drogi sypały mu kwiaty pod stopy, by nie ranił ich na kamieniach. Choć i tak ciągnął za sobą purpurowy ślad.

Po przemarszu fanatycy białymi prześcieradłami ścierali krew z piachu. Po co?

A kobiety ze wzgórza? Czyż nie podstawiły naczyń?

Musiałem je odnaleźć i zapytać.

I zasnąć raz jeszcze, wyśnić do końca niekończący się sen.

– Wracajmy – rzekłem do ukochanej.

Poddała się bez słowa, lecz czułem, że chce jeszcze zostać, z oczekującym kolejnych cudów tłumem, obok opuszczonego grobu.

– Zmartwychwstał… – ledwie zrozumiały szept przechodził z ust do ust.

Choć przecież nie było świadków, bo w słowa pijanych legionistów, którzy całą noc spędzili w towarzystwie ladacznic, trudno było uwierzyć. Ci, którzy chcieli, wierzyli. Ja nie potrafiłem. Nie miałem w sobie tej naiwności co Laetitia. Zbyt wielu skazańców przewinęło się przez me ręce i zbyt wiele razy mój miecz kończył czyjś żywot.

Ludzie przepychali się, by dojść jak najbliżej miejsca cudu. Legioniści stali niewzruszenie.

– Fałszywy prorok, nie Mesjasz! – Bogato odziany i gruby od dostatku człowiek, rozepchnąwszy łokciami ciżbę, rozdarł się tuż obok nas. – Niech będzie przeklęty dzień, w którym się narodził…

Nie rzekł nic więcej. Nagle zachwiał się i upadł, a na jego czole pojawił się krwawy ślad. Po kilku sekundach znieruchomiał. Kamień potoczył się między ludzi.

Rozejrzałem się, szukając sprawcy, lecz tłum był zbyt wielki, by stwierdzić, kto rzucił. Bez wątpienia jakiś fanatyk. A wkrótce być może bohater. Nowa wiara, jak spalona słońcem ziemia wody, potrzebowała męczenników i herosów, o których biegli w mowie i piśmie mogliby układać legendy. A potem być może wprowadzić ich w poczet nowych bogów? Skoro starzy się znudzili.

Przytuliłem mocniej Laetitię i już miałem ruszyć w tłum, gdy nagle je ujrzałem. Stały nieopodal, przyglądając się trupowi. Szeptały coś między sobą z dłońmi przy twarzach. Kobiety z mego snu.

Jak mogłem nie zauważyć ich wcześniej?

– Są – szepnąłem do Laetitii, ciągnąc ją za sobą.

– Zaczekajmy, kochany – odparła, opierając się niespodziewanie.

W tej samej chwili niewiasty podeszły do zwłok, a najmłodsza, ze złotymi kolcami w dolnej wardze, uklękła przy nich i pochyliła się tak, że widziałem jedynie jej plecy.

Szemrzący, rozedrgany tłum znieruchomiał nagle i umilkł. Jak okiem sięgnąć spojrzenia wszystkich skierowały się na klęczącą kobietę. Nawet gwardziści przestali gapić się bezmyślnie na morze pejsatych głów.

– Mówię ci, wstań! – łagodny głos dziwnie głośno rozszedł się w kompletnej ciszy.

Mężczyzna, którego do niedawna miałem za trupa, podniósł się niespodziewanie i rozejrzał lekko nieprzytomnym wzrokiem. Przyłożył dłoń do czoła i zaczął je intensywnie trzeć. Dostrzegłem, że na przedramieniu ma niewielką ranę, z której sączy się krew.

– Co się stało? – zapytał.

– Dostąpiłeś cudu, Gamalielu. Byłeś martwy, lecz w imię tego, który zmartwychwstał, powstałeś do nowego życia.

Mężczyzna zastygł w bezruchu, popatrzył dookoła i niespodziewanie rzucił się w tłum, by niebawem zniknąć

mi z oczu. Nikt nie próbował go powstrzymać. Skamieniali ludzie wyglądali tak, jakby wrośli w ziemię.

Zdarzyło się coś, co przeczyło rozumowi. Nawet słowa utknęły w gardle. Jutro, może pojutrze, całe miasto i okolice wrzeć będą od plotek o nowym cudzie.

Kobiety zaczęły odchodzić.

Nie namyślając się, ruszyłem za nimi. Musiałem rozmówić się z nimi, zapytać o sny. I o ukrzyżowanego. Nowa wiara zaczynała ciekawić mnie coraz bardziej.

Po kilkudziesięciu krokach spostrzegłem, że choć niewiasty nie szły szybko, to dystans między nami zaczął się niepokojąco powiększać. Szliśmy najszybciej jak się dało, a mimo to wciąż byliśmy daleko z tyłu.

Zeszliśmy ze wzniesienia, by zanurzyć się w cień wąskich uliczek miasta. Forsowny marsz zrosił mi czoło potem, a dłoń Laetitii była tak mokra, że wyślizgiwała się z uścisku.

W prawo, na lewo, prosto. Czasem na oślep, poddając się instynktowi łowcy. Zatraciwszy poczucie czasu i rzeczywistości.

Zbliżał się wieczór, a my nie przybliżyliśmy się do niewiast nawet na krok. Czasem któraś obejrzała się, jakby sprawdzając, czy idziemy. Czasem przystawały na chwilę, poszeptały, i znów szły dalej.

Rozsądek mówił, żeby poniechać pogoni, upór pchał naprzód. Ciekawość nie dawała spokoju.

Dzieciaki gnały ulicami, staruszki siedziały w cieniu ścian. Słońce zachodziło krwawo ponad dachami.

Dwukrotnie obeszliśmy miasto i wszystkie możliwe zaułki, uliczki i place, nim zniechęcenie odebrało nam chęci.

– Wracajmy – prośba, kolejna, zatrzymała mnie w miejscu.

Rozejrzałem się i z rezygnacją skinąłem głową. Szukanie cieni ze świadomością nadchodzącej nocy nie miało większego sensu. Nie starałem się nawet zrozumieć nierealności sytuacji.

– Wierzysz, że ten człowiek zmartwychwstał? – zapytałem Laetitię.

– Tak – odparła żarliwie.

* * *

Ten sen zaczyna się tak samo, jak poprzednie, lecz biegnie inną ścieżką. Stoję na wzgórzu, a niebo nad mą głową czernieje od granatowych chmur. Zrywa się zimny, przenikliwy wiatr. U stóp otwiera się czeluść bez dna. Ziemia drży.

Trzech skazańców zwisa z poprzecznych belek krzyży. Król żydowski, złodziej i oszczerca. Trójca, do której modlą się klęczące poniżej kobiety.

Nie znam niewiast, lecz ich twarze nie są mi obce. Widziałem je wcześniej. Dwie starsze rzucały kwiaty pod nogi tego, który niósł swe brzemię na miejsce kaźni. Młodsza ścierała pot z jego twarzy i czoła.

– Pomóż mu – kobiecy, łagodny głos wyrywa mnie z zadumy.

– Komu?

– Jemu. – Kobieta kiwa głową w stronę środkowego skazańca.

– Co mam zrobić?

– Ulżyj jego cierpieniu.

Dlaczego mnie o to proszą? Kim są? Dlaczego miałbym komukolwiek pomagać?

– Jak? – dopytuję.

– Wiesz jak. Jego krew nie może się zmarnować.

– Dlaczego?

– Bo to żywa krew!

Nie rozumiem, lecz coś mówi mi, żebym się nie sprzeciwiał i że na zrozumienie przyjdzie pora. Podchodzę do środkowego krzyża i wbijam grot włóczni w bok mężczyzny. Wyrywam go jednym szarpnięciem.

Niewiasty rzucają się pod nogi ukrzyżowanego, omal mnie nie przewracając. Łapią w kielichy wypływającą z rany krew. Przyglądam się z góry. Nigdy wcześniej nie widziałem podobnych naczyń. Są ze srebra?

– Po co wam jego krew? – pytam.

Najmłodsza z niewiast, ze złotymi kolcami w wargach i uszach, podnosi głowę i przygląda mi się przez chwilę. Jest bardzo ładną dziewczyną. Ma czarne włosy i brązowe duże oczy.

– Do życia – mówi, i nagle chowa naczynie pod szatę, wycofuje się szybko. Towarzyszki idą w jej ślady.

Patrzę w górę. I cofam się odruchowo. Z nieba spływa zastęp niebieskich sług. Mimo zachmurzonego nieba

przybysze lśnią srebrzyście. Są wysocy i przeraźliwie chudzi, wyglądają niczym żywe szkielety, kości obleczone skórą. Ścięgna skrzydeł łączą się sinymi węzłami na wysokości piersi.

Jeden z przybyłych podnosi rękę i dotyka rany po mej włóczni. Wbija palec w ciało, a potem wkłada go do ust i smakuje. Szczerzy się, obnażając kły.

Gdybym potrafił, zapadłbym się pod ziemię, lecz nie potrafię, więc stoję, przyglądam się i czuję, że zaczynają drżeć mi łydki. Bo to nie mogą być anioły. Raczej demony, które przybyły po duszę grzesznika.

– Ojcze, zabierz ode mnie swe sługi – szept ukrzyżowanego dziwnie głośno rozchodzi się w martwej ciszy.

Istoty zaczynają rechotać. Biją się dłońmi po udach i trzepoczą potężnymi skrzydłami. Jak ptaki, które zbiegły się na ucztę, przestępują z nogi na nogę. Zaraz rzucą się na swą ofiarę i rozerwą ją na strzępy!

I wtedy mnie dostrzegają.

Jedna z istot wybija się ponad inne i ląduje z hukiem. Przygląda mi się białymi ślepiami, tak, jakby chciała przeszyć mnie wzrokiem na wylot. Mimo iż stoi, na ugiętych nocach, jest o co najmniej dwie stopy wyższa ode mnie.

Nagle z na wpół otwartych ust dobiega syk. Nie wytrzymuję. Zapominając o przepaści u stóp, robię krok w tył. I spadam.

Ze świadomością, że za chwilę ujrzę rękę we mgle…

* * *

– Gaiusie… Gaiusie…

Laetitia?

Siedziała na skraju łoża, przyglądając mi się z zatroskaną miną. Od kilkudziesięciu dni, od ukrzyżowania, niczym mój osobisty stróż.

– Coś się stało? – zapytałem.

– Spotkałam Salome i kilku uczniów.

– I?

– Poprosiłam ją, by z tobą porozmawiali.

Siadłem gwałtownie, przeganiając z głowy resztki snu.

– Kiedy? Gdzie?

– Wieczorem. Mam przyprowadzić cię na misterium. Podobno przed paroma dniami kilku wybrańcom ukazał się Mesjasz. Syn Salome będzie uzdrawiał żywą krwią.

– Znam go?

– Nie wiem. Ma na imię Jan. Jest jednym z uczniów.

– Dopuszczą mnie? Wiedzą, kim jestem?

– Powiedziałam im. Ciekawią ich twoje sny, Gaiusie. Chcą, byś o nich opowiedział. Uważają, że miałeś jasnowidzenie i dopatrują się cudu. Mówią, że możesz być wybrańcem.

Parsknąłem śmiechem. Może jeszcze poproszą, bym został jednym z nich? Zwerbowanie człowieka na moim stanowisku z pewnością poprawiłoby pozycję sekty i uwiarygodniło niezwykłość nowej wiary.

– Nie śmiej się – szepnęła ukochana. – Oni naprawdę w to wierzą.

– Fanatycy! – warknąłem rozeźlony. – Wydaje im się, że wyprą starych bogów? Kim są, by burzyć tysiącletni porządek?!

Laetitia opuściła głowę, kryjąc pod powiekami lęk. Wystraszyła się mego krzyku.

Przytuliłem ją i ucałowałem włosy. Wyszeptałem kilka tkliwych słów. By ją uspokoić i by nie płakała. By wynagrodzić za trud. Albowiem czy mogłem ją winić za jej dobroć i naiwność? Nie. Tym bardziej, że z własnej woli poszła do kobiet, które od kilkudziesięciu dni dręczyły mnie w snach, a tym samym mogła przyczynić się do rozwiązania zagadki.

Wiedziałem, że muszę pójść na misterium. Bez względu na zagrożenie i odpowiedzi, które uzyskam. Obraz ukrzyżowanego nie chciał mi zejść sprzed oczu. Czasami miałem wrażenie, że mnie prześladuje.

Od dnia zmartwychwstania bezskutecznie szukałem kobiet ze snu. Jakby zapadły się pod ziemię.

– Pójdziemy razem? – zapytałem.

– Tak. Nie dopuszczą cię samego, ukochany.

– Wiem. Naprawdę go widzieli?

– W czasie wieczerzy, gdy spożywali posiłek. Przyszedł i usiadł wśród nich, a potem jadł chleb i pił wino. Pozwolił im dotknąć swych ran – żarliwość w głosie Laetitii, gdy opowiadała o ukrzyżowanym, mogła zarazić nawet największego niedowiarka. – Gaiusie, on naprawdę zmartwychwstał. Coraz więcej ludzi przyłącza się do jego uczniów.

– Zdaje się, że został wydany zakaz zgromadzeń – zauważyłem.

– Ich wiara jest silniejsza od strachu. Nauczyciel zmartwychwstał i wrócił, aby dać życie wieczne tym, którzy mu zawierzą. Najwierniejsi z jego uczniów otrzymali dar uzdrawiania.

– I wyciągania trupów z grobu – mruknąłem.

– Sam zobaczysz.

Skinąłem w milczeniu. Zobaczę, a jakże. A przy okazji może pozbędę się snów.

* * *

Nocą udaliśmy się poza miasto, do jaskiń zajmowanych przez włóczęgi, bezdomnych i żebraków. Patrole zaglądały tu tylko w razie konieczności, czyli niemal nigdy, albowiem władze wolały mieć biedotę tutaj niż w murach.

Minęliśmy kilka grup, nikt jednak nas nie zaczepił. Dopiero przy wejściu do jaskini zapytano, kim jesteśmy. Laetitia w kilku słowach wyjaśniła, że przybywamy spotkać się z Salome i jej synem. I że jestem centurionem.

Chwilę trwało, nim strzegący pieczary mężczyźni wpuścili nas do środka, dając jednocześnie przewodnika z kagankiem. Tak jak przypuszczałem, nie poprowadził nas prostą drogą, lecz zaczął kluczyć, i minął dobry kwadrans, nim doszliśmy na miejsce spotkania.

– Tyś jest Gaius? – Młodzieniec o długich włosach odłączył się od grupy rozmawiających i zatrzymał się o krok od nas.

– Jam jest – przytaknąłem.

– Witam cię otwartym sercem, ufając, że staniesz się jednym z nas.

– Nie po to tu przybyłem.

– Czyżby? Wierz mi, że gdy stąd wyjdziesz, nie będziesz już taki sam. On zmartwychwstał. Czy rozumiesz? Nic już nie jest i nie będzie takie jak dawniej. Bogowie Rzymu muszą odejść. Syn Boży umarł na krzyżu, płacąc swym życiem za grzechy ludu. A jego śmierć stała się początkiem życia wiecznego. Kto w niego uwierzy, posiądzie nieśmiertelność.

– Wasza wiara nie jest w stanie cofnąć śmierci – odparłem.

– Może jednak stać się początkiem nowego życia. Przypuszczam, że nikt nie chciałby żyć wiecznie na tym padole łez i cierpienia. Bóg Ojciec czeka na wszystkich, którzy uwierzyli, ze swym synem po prawicy.

– To on jednak nie zmartwychwstał?

– Człowieku małej wiary! On może wszystko. Był wśród nas zaraz po zmartwychwstaniu, rozmawiał, pił i jadł. Widziałem go tak jak ciebie teraz. Jest wszystkim, więc może być wszędzie. Zstąpił z nieba, by żyć wśród ludzi i swą świętą krwią odkupić ich winy. Nie widziałeś tego, co my, dlatego wątpisz i zadajesz kłam mym słowom.

– Byłem przy nim, gdy umierał.

– Czy myślisz, że bez powodu? Zostałeś wybrany, by towarzyszyć mu w ostatniej drodze. To oczywiste. Czyś się jeszcze tego nie domyślił?

– Nie.

– Pokażę ci jego moc. Nie wszyscy ufają słowu, lecz każdy może dostąpić łaski nawrócenia. Wielu nawraca się, ujrzawszy cuda, które dzieją się za jego przyzwoleniem. Albowiem on jest władcą świata, źródłem życia i nieśmiertelności.

– Chciałbym go ujrzeć.

– Człowieku małej wiary. Wciąż go widzisz.

– Gdzie?

– Rozejrzyj się. On jest wszędzie. Jest powietrzem, którym oddychasz i ziemią, po której stąpasz. Czy nie rozumiesz, że przez niego wszystko się stało?

– Nie. Byłem przy jego śmierci.

– Czyżby? Jesteś pewien, że to on wisiał na krzyżu? A nie wyłącznie jego ziemskie ciało?

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Jan mówił gładko i bez zająknięcia. Z charyzmą, której pozazdrościć mu mógłby niejeden wybitny orator. Czułem, że gdybym przebywał z nim dłużej, wmówiłby mi cokolwiek.

– Chodźcie za mną – rzekł, odwracając się plecami.

Poszliśmy za nim, trzymając się za ręce. Bliskość Laetitii dodawała mi odwagi i pewności siebie. Nie podobało mi się to miejsce, a nawet to, że dałem się namówić, by tu przyjść.

Przeszliśmy do sąsiedniej groty, znacznie mniejszej i po brzegi wypełnionej ludźmi, którzy gdy tylko nas ujrzeli, zaczęli kłaniać się Janowi.

Pośrodku jaskini, na kamiennym łożu, leżał człowiek. Na pierwszy rzut oka martwy. Miałem jednak w pamięci wątpliwy cud ożywienia przy grobie i nie wyciągałem zbyt daleko idących przypuszczeń. Mężczyzna, mocno wychudzony i zarośnięty mógł być po pięćdziesiątce. Z jego lewego ramienia wystawało coś, co wyglądało mi na bardzo cienką trzcinę. Jej górny koniec ginął w podwieszonym do sklepienia srebrnym wrzecionowatym naczyniu. Byłem niemal pewien, że w takie same kielichy niewiasty z mego snu zbierały krew ukrzyżowanego Mesjasza. Zresztą, jedna z nich stała u wezgłowia.

Jan przyłożył palec do ust, nakazując obecnym milczenie, po czym podszedł do podestu i pochylił się nad mężczyzną. Zaczął coś szeptać, lecz nie zrozumiałem ani słowa. Mówił zbyt cicho i niewyraźnie, bym wychwycił sens.

Wszyscy stali jak skamieniali i tylko szmer oddechów zakłócał ciszę.

Nagle Jan odgiął się i, rozłożywszy ręce, krzyknął wielkim głosem, od którego pył ze sklepienia posypał nam się na głowy.

Leżący mężczyzna siadł gwałtownie. Ze świstem wciągnął powietrze.

– Janie? – rzekł.

– Łazarzu – odparł zagadnięty.

– Wróciłem?

– Tak.

Mężczyzna rozejrzał się i nagle rozryczał się jak dziecko. Łzy spłynęły po jego pobrużdżonych policzkach.

– Chwalmy pana! – gromki krzyk podrażnił uszy.

Ludzie upadli na kolana. Ja z nimi, ściągnięty w dół przez Laetitię. Nie opierałem się, choć spektakl, którego stałem się świadkiem, bardziej wyglądał mi na z góry zaplanowany pokaz niż autentyczny cud. Klękając, dostrzegłem, jak stojąca przy ołtarzu kobieta wyciąga trzcinę z ramienia mężczyzny i obwiązuje ją płótnem. Potem znikła mi z oczu.

Jan mówił słowa modlitwy, tłum powtarzał za nim. Łazarz łkał, co chwila wznosząc ręce nad głowę i wykrzykując podziękowania.

Nie wiem, ile to trwało. Poczułem jednak ogromną ulgę, gdy obrządek dobiegł końca. Jan ucałował Łazarza i wymienił z nim kilka słów, po czym podszedł do nas.

– Pan jakiś czas temu wyrwał go śmierci – rzekł. – Mogłeś o tym słyszeć.

– W istocie – odparłem, bo opowieść o Łazarzu rzeczywiście odbiła się szerokim echem w cesarstwie, i nie sposób było jej nie znać, choć wielu w nią nie wierzyło. – Zatem co widziałem dziś?

– Kolejny cud zmartwychwstania. Po ukrzyżowaniu Nauczyciela Łazarz nie mógł zaznać spokoju i przestał jeść i pić, aż zmarł z głodu. Zapomniał, że Pan nie czynił cudów bez powodu. Łazarz wrócił do żywych, by wykonać boski plan. Dlatego po raz drugi doznał łaski.

– Ogłosisz się Mesjaszem?

– Nie! – uśmiechnął się Jan. – Nie takie mam zadanie, Gaiusie. Tak samo jak ty, zostałem wybrany, by służyć

sprawie. Moja matka mówiła mi, że nawiedzają cię sny. I że miałeś je, zanim odbyła się egzekucja.

– To prawda – przytaknąłem.

– Może mógłbym ci pomóc. Opowiesz mi o nich?

Skinąłem głową.

Jan słuchał w milczeniu i nie przerwał mi ani razu. Był równie uważnym słuchaczem, jak wprawnym mówcą. Nie było cudu w tym, że ciągnął za sobą tłumy, słuchano go i niemal czczono. Człowiek był gliną, która oddana w zdolne ręce mogła zostać urobiona na tysiąc różnych sposobów. Wszak nawet kropla wody drążyła skały. Jan był kroplą, a motłoch skałą.

– Bez wątpienia, pan cię naznaczył – rzekł, kiedy skończyłem. – To wielki dar i łaska znaleźć się w boskich planach. Byłeś przy jego ukrzyżowaniu i pomogłeś w zebraniu jego krwi…

– Po co wam ona? – przerwałem mu szybko, by nie zgubić sprawy, która mnie tu przywiodła.

– Do życia.

– Przecież żyjecie.

Uśmiechnął się.

– By poznać tajemnicę wskrzeszeń, musiałbyś przystąpić do nas. Inaczej niczego nie pojmiesz, a nawet jeśli, to zawsze będziesz wątpić. Nie potrzeba nam ludzi, których wiara oparta jest wyłącznie na ciekawości.

– Być może potrzebuję zobaczyć, by uwierzyć?

– Czy nie dość widziałeś?

– Nie.

– Twoje wątpliwości, Gaiusie, to przepaść bez dna, w którą spadasz. Ja zaś jestem ręką, która może cię z niej wyciągnąć.

– Ha! – nie mogłem powstrzymać się przed parsknięciem.

Oto w jak prosty, a zarazem wygodny dla siebie sposób Jan wytłumaczył mi znaczenie snów. Doprawdy, nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

– Znasz odpowiedź! – Szarlatan wszedł mi w myśli. – Przyłącz się do nas. On cię wyzwoli. I poprowadzi. Wyprostuje ścieżki twoje i wskaże drogę, którą powinieneś pójść. Zostałeś wybrany z tysiącgłowej rzeszy, by nieść wiarę w ukrzyżowanego, wszędzie tam, gdzie tej wiary potrzebować będą. Razem możemy zbawić świat!

– Gaiusie? – błagalny szept Laetitii przypomniał mi, że nie jestem sam.

– Jesteście szaleni!

– My? Rozejrzyj się. Tylko ty jesteś tu sam.

Miał rację. Byłem sam w gnieździe żmij. Bo chociaż tłum nie wyglądał groźnie, czułem, że wystarczyłby jeden gest, by rozszarpał mnie na strzępy. I pożarł.

Jan obejrzał się za siebie i kiwnął ręką.

– Magdalena da ci lek, który uspokoi twe sny – rzekł. – Wszak po to tu przyszedłeś? Potem będziecie mogli odejść.

– Puścisz mnie wolno?

– Tak. Po cóż miałbym cię zatrzymywać? Nie jesteś jednym z nas. Byłeś i widziałeś, a mimo to nie uwierzyłeś. Odejdź w pokoju. – Odwrócił się i odszedł, niknąc w tłumie.

Nie próbowałem go zatrzymać.

A potem, cóż, wszystko stało się tak szybko, że mogło być przywidzeniem.

Zanim się spostrzegłem, niewiasta, o której wspomniał Jan, była już przy nas, wzięła mnie za rękę i ścisnęła z niezwykłą siłą.

– Ani drgnij – rozkazała i wbiła mi ostro zakończoną trzcinę w nabrzmiałą żyłę na przedramieniu. Potem nacisnęła przytwierdzony do trzciny woreczek.

Ogień popłynął ręką, przyćmił wzrok, zacisnął zęby. Upadłbym, gdyby nie Laetitia.

– Co mi…? – wydusiłem z siebie.

Magdalena uśmiechnęła się i odwróciła, nie odpowiadając. Skoczyłem za nią i przytrzymałem. – Co mi…? – zapytałem.

– Dostałeś nowe życie, Gaiusie. Jego krew – odparła. – Raduj się.

* * *

Dziś wiem, że Jan miał rację, mówiąc, iż był ręką, która uchroniła mnie przed upadkiem na dno przepaści. Nie osądzam go, tak jak inni, którzy twierdzą, że ożywiając Łazarza, użył zbyt dużo żywej krwi. Nie zastanawiam się też, ile jest prawdy w opowieściach o Nauczycielu. Bóg jest we mnie i dlatego moja wiara, mimo upływu lat i nadchodzącej starości, jest niezachwiana i pewna. Śnię same dobre sny. Mimo iż nastały ciężkie dni, chodzę

i nauczam wraz z tymi, którzy się nie wykruszyli. Zwę się Longinus, włócznia. Już nie jestem centurionem.

Myśliwi – Wiesław Gwiazdowski

Powiedzieli nam, że zbrodnia jest czymś złym i nieludzkim, a później nauczyli nas zabijać.

* * *

Luna – otoczony fioletem neonów bar na rogu ulicy. Automatycznie rozsuwające się kraty, antywłamaniowe tafle w oknach. Naklejki firmy ochroniarskiej – KATANA sp. z o.o. – umieszczone w widocznych miejscach. Już dwukrotnie w pobliżu eksplodowały ładunki wybuchowe, lecz właściciel nie wniósł skargi. Policjanci spisali protokół, a ubezpieczenie pokryło koszty zakupu nowych neonów.

Właściciel lokalu jest bratem prezydenta Suwałk.

Zatrzymaliśmy się naszym audi na parkingu po drugiej stronie ulicy. Wysiedliśmy, rozprostowaliśmy kości wygładziliśmy granatowe garnitury, po czym, poprawiwszy okulary przeciwsłoneczne, weszliśmy do baru.

Mimo przedpołudniowej pory tylko jeden stolik był wolny. Przeważała młodzież, głodna nowych wrażeń i niebezpieczeństwa. Eksplozje uczyniły z Luny najatrakcyjniejszy obiekt w mieście. Warto pokazać się tam, gdzie coś się dzieje.

Myśleliśmy podobnie.

Zatrzymaliśmy się tuż za drzwiami, dając zgromadzonym wewnątrz czas na przyjrzenie się naszym eleganckim postaciom. Z takim wyglądem nietrudno zrobić odpowiednie wrażenie. Na to liczyliśmy.

Zapadła cisza, w którą wdarło się nerwowe brzęczenie muchy. Sam chwycił ją w palce i położył na ladzie. Barman głośno przełknął ślinę. Był postawnym mężczyzną po trzydziestce i widać było, że miewał już styczność z podobnymi do nas gośćmi, czyli z najgorszym.

– Nie wie pan, czy sezon łowiecki się już rozpoczął? – zapytał Abra.

Mężczyzna otworzył usta, lecz nie wyrzekł słowa.

– Jesteśmy myśliwymi – rzucił Abra. – Jeżeli to pana przekona, możemy pokazać nasze legitymacje. – Włożył dłoń pod marynarkę.

– Nie, nie – wykrztusił barman.

Wyczuliśmy drżenie w jego głosie. Cholera, nie ma to jak dobre wejście. I odpowiedni tekst na początek.

– Więc wie pan, czy nie?

– Niestety nie.

– Polujemy na jelenie – wyjaśnił grzecznie Sam. – Słyszeliśmy, że widziano je w tym rejonie.

– Nie przypominam sobie. Ale to możliwe. Las za płotem.

– A jednak… – uśmiechnęliśmy się z Samem, prawdziwie uszczęśliwieni.

– Jesteś mi winny piwo – przypomniałem Melowi.

– Ano – przytaknął z kwaśną miną.

– Na razie – rzuciliśmy barmanowi i wyszliśmy na zewnątrz.

– Cholerny świat – zaklął Mel, nieczęsto przegrywał zakłady. Cenił własne słowa i martwił się każdą porażką.

– Za godzinę jesteśmy umówieni – rzekł Abra. – Nie zamierzacie chyba stać tu do końca świata.

– Nie – przytaknęliśmy, wchodząc na jezdnię.

Wsiedliśmy do samochodu.

– Z kim się umówiłeś? – zagadnął Mel.

– Na imię ma Leila. Poznałem ją w War Zone. Jest kurewsko piękna, kurewsko inteligentna i równie bezwstydna. Gdybyście widzieli, jak tańczy, jak się porusza...

– Zakochałeś się?

– Leila jest niesamowita.

Wyjeżdżając z parkingu, odruchowo zerknęliśmy na bar. Z okien i drzwi wyglądały ku nam zaciekawione twarze. Czyjeś usta literowały numer rejestracyjny naszego wozu.

Sam docisnął pedał gazu. Z piskiem wszedł w zakręt i przyhamował, ratując się przed stłuczką. Włączyliśmy się do ruchu.

– Wcześnie się umówiła – zauważyłem.

– Bywa. Może pójdziemy do kina albo do parku. Jeszcze nie zdecydowałem. Co byście proponowali?

– Hotel – podrzucił Mel.

Sam skręcił na parking. Zdjęliśmy okulary i marynarki, szybko wysiedliśmy i, zmieniwszy rejestracje, wskoczyliśmy

do zaparkowanego obok samochodu. Bel uśmiechnął się zza kierownicy.

Nie ma co, zgrana z nas paczka.

* * *

Powiedzieli nam, że gwałt rodzi gwałt, a dotknięte nim umysły wypaczają się bezpowrotnie. Potem uczynili z nas jego fizyczną postać.

* * *

Obudziłem się i popatrzyłem na zegar. Dochodziła dziesiąta. Włączyłem odbiornik i ze wzrokiem utkwionym w suficie wysłuchałem reklam. Siadłem, gdy zaczęły się wiadomości.

– Zaostrzenie konfliktu na Wschodzie... Delhi w ogniu... Rozporządzenia ONZ i NATO... Światowa wycinka lasów...

W końcu najważniejsze.

– Tablice z napisem „Sezon polowań rozpoczęty” pojawiły się dzisiejszego ranka i gdyby nie fakt, że zdobią słupy w pobliżu baru Zenona J., zwanego Jeleniem, zdarzenie to nie miałoby znaczenia. Świadkowie wiążą je z mającą miejsce przed dwoma dniami wizytą czterech charakterystycznie ubranych mężczyzn. Nie wiadomo czy byli to mafiosi. Policja zasłania się dobrem śledztwa i nie udziela żadnych informacji. Przypomnijmy, że przed lokalem Zenona J. już dwukrotnie eksplodowały ładunki wybuchowe. Na szczęście nikt nie został ranny...

Wstałem, opłukałem się i wyszorowałem zęby. Później zjadłem lekkie śniadanie i zaparzyłem herbatę.

Na którą byłem umówiony? Na dwunastą.

Siadłem na podłodze i zamknąłem oczy. Wróciłem myślami do czasów dzieciństwa. Wyobraziłem sobie Urszulę, najładniejszą koleżankę z podstawówki i rozebrałem ją wzrokiem. Profesor i uczniowie przyglądali mi się z lekkimi uśmiechami na twarzach. Czułem, że nie wierzą, że przeprowadzę praktyczny test z wychowania seksualnego. Rzeczywiście, pogubiłem się i nie zdałem.

Po dziś dzień nie wybaczyłem sobie tamtej słabości. Wiem, że to przez nią boję się ładnych kobiet.

Dlaczego nie mam żadnych miłych wspomnień?

Za pięć dwunasta wyszedłem przed blok. Uprzejmie uśmiechnąłem się do kilku podstarzałych sąsiadek, odkłoniłem się sąsiadowi. Życie w społeczeństwie wymaga wyrzeczeń, trzeba się dostosować.

Po dziesięciu minutach zjawił się Bel.

– Korki – mruknął, ruszając.

Po dwóch kwadransach byliśmy na miejscu. Sam, Mel i Abra czekali już w lancii.

– Nareszcie! – usłyszeliśmy zamiast powitania. – Wskakuj.

Przesiadłem się bez pośpiechu.

– Zdążymy – powiedziałem.

– Jasne – rzucił Sam. – Opowiadaj, Abra. Jak było?

Abra uśmiechnął się.

– Doskonale.

– I co? To wszystko?

– Tak. Było doskonale.

Domyśliłem się, że miał im opowiedzieć o wieczorze z Leilą. Jakoś trudno mi było uwierzyć, że jest cudowna i w ogóle. Przyznawałem jednak, że mogła być taką w oczach Abry.

– Przedstawisz ją? – zapytałem.

– Może.

Auto skręciło w boczną uliczkę.

– Przebieramy się – zarządził Sam.

Wyskoczyliśmy szybko i wyciągnęliśmy z bagażnika garnitury. Byliśmy gotowi w trzy minuty.

Kolejne dwadzieścia zajął nam dojazd.

– To ona – rzucił Mel.

Wyprzedziliśmy gówniarę i Sam zatrzymał wóz. Abra i ja wysiedliśmy.

– Przysłał nas twój ojciec. – Abra pokazał jej urzędową legitymację. – Masz pojechać z nami.

– Nie znam was.

– Nie musisz, panienko. To dla twego bezpieczeństwa.

– Zadzwonię do ojca – odparła, sięgając po komórkę.

– W porządku.

Mała Alicja była blondynką o pulchnej twarzy i małym nosku upodabniającym ją do świnki Piggy. W tym roku kończyła podstawówkę.

– Halo? – Milczenie i gniewne fuknięcie. – Nie odbiera.

– Zadzwonisz później z samochodu – zaproponowaliśmy. – Zgoda?

Przyglądała się nam chwilę.

– Tak. Całkiem możliwe, że jesteście sztywniakami. A jak nie… – nie kończąc, wgramoliła się na tylne siedzenie.

Wsiedliśmy za nią.

Po dziesięciu minutach milczenia małolata zaproponowała przejażdżkę po mieście w poszukiwaniu – jak to się wyraziła – rzeczy ulotnych i dziwnych. Ostrzegliśmy, że nie spodoba się to jej staremu, lecz byliśmy zadowoleni, że inicjatywa wyszła od niej. Smarkatej imponowało nasze towarzystwo. Również to, że może nam rozkazywać, choć nie byliśmy tymi, za których się podawaliśmy. Po godzinie jazdy wyśmiała nasze legitymacje. A po kolejnych dwóch godzinach zapytała, czy może zadzwonić do domu.

– Dzwoń – odparliśmy.

Nie kryła zdziwienia.

– Mogę?

– Oczywiście. Rodzice powinni wiedzieć, gdzie jesteś.

– Nie boicie się, że powiem o was?

– Nie. Dzwoń.

Wystukała numer i przed dobrych pięć minut trajkotała jak najęta. W końcu Mel nie wytrzymał i, zabrawszy jej telefon, rzucił krótko:

– Mamy ją.

Po czym przerwał połączenie.

Milczała przez dłuższą chwilę.

– Co chcecie ze mną zrobić? – zapytała drżącym głosem.

– Nic – odparł Abra. – Jesteś przecież córką prezydenta.

Nagle wybuchła płaczem.

Pomyślałem, że nie chciałbym mieć takiego dziecka i to chyba dobrze, że trochę boję się kobiet.

Kilka minut po dziewiętnastej odstawiliśmy ją pod pałac. Nie wiedziała, co się dzieje i nie chciała wysiąść, musiałem wyrzucić ją na siłę. Odjechaliśmy z piskiem opon.

– Jest trochę podobna do Leili – zauważył sentymentalnie Abra i pomyślałem, że nikt nie zna dnia ani godziny.

– Z puszystą możesz wszystko – zaśmiał się Mel, powtarzając slogan z reklamy mąki.

– Życie, myśliwi – szepnął Sam.

* * *

Powiedzieli, że Bóg jest tylko jeden i pokazali nam tysiące jego postaci.

* * *

Codzienność to pobudka, śniadanie i wymarsz na bagna. Nurzanie się w błocie i potyczki, po których wielu krwawi. Bieg do utraty tchu, nago, z ostrym jak brzytwa nożem przymocowanym do łydki. Zabawa w łowców i zwierzynę – uciekasz, wypluwając płuca. Twoje zaangażowanie zostanie ocenione i znajdzie się w karcie osobowej – oddanie ojczyźnie jest ważniejsze niż twe marne życie.

Codzienność to zmęczenie i głód, wściekłość mgłą zasnuwająca oczy, szaleństwo i koszmary snów na jawie.

Zastrzyki, na które nie reagujesz. Wykonujesz polecenia i zatracasz się w dokładnym wypełnianiu obowiązków. Czekasz na koniec tygodnia – co sobotę jest kąpiel i zmiana bielizny. W co drugą nadzorcy przyprowadzają kobietę. Gdy ją gwałcisz, wiesz, że mogłeś trafić gorzej.

Oto codzienność, którą kochasz. I której nienawidzisz.

A wszystko po to, by żadne wywrotowe siły nie przejęły władzy w kraju. By wróg nie podniósł zakonspirowanych głów. By ojczyzna była silna i niezachwianie opierała się obcym mocarstwom.

I żeby pamięć o nim, o świętym Antonim, który stworzył jednostki takie jak nasza, nie umarła.

Byliśmy dobrymi pasterzami, którzy oddzielali czarne owce od stad. Wyrywali chwasty spośród zdrowych łanów zbóż. Nie pozwalaliśmy, by ferment rozlazł się na nieskażone umysły.

Wspomnienie dzieciństwa wbija się cierniem w umysł, pobudza złość. I przynosi opamiętanie. Bo nie jesteś już ofiarą, zwierzyną.

Jesteś myśliwym.

* * *

Obudziłem się i popatrzyłem na zegar. Dochodziła dziewiąta. Wstałem, opłukałem się, wyszorowałem zęby. Później zjadłem lekkie śniadanie i zaparzyłem herbatę. Pomyślałem o Urszuli, ale nie podjąłem kolejnej próby zmiany przeszłości. Ostatni raz widziałem ją ponad dziesięć

lat temu, musiała już żyć własnym życiem. Kto wie, może nawet założyła rodzinę?

O dziesiątej włączyłem telewizor.

Słowa popłynęły z głośników.

– Zaginiona córka prezydenta, Alicja, wieczorem szczęśliwie wróciła do domu. Nie wiadomo jeszcze kto i dlaczego uprowadził dziewczynkę i czy była to próba porwania. Z relacji świadków wynika, że Alicja została zabrana sprzed szkoły przez kilku mężczyzn wyglądających na urzędników państwowych. Dowiedzieliśmy się jednak, że nie byli to przedstawiciele pałacu prezydenckiego. Specjalna komisja rozpoczęła śledztwo w tej sprawie.

Wiedziałem, że dochodzenie utknie w martwym punkcie.

Na którą byłem umówiony? Na dziewiętnastą.

O piętnastej ktoś zadzwonił do drzwi. Wyjrzałem przez wizjer i odryglowałem zamki.

– Dzień dobry, sąsiedzie. – Kobieta w średnim wieku, dobrze zakonserwowana, uśmiechnęła się rzędem białych zębów.

– Dzień dobry – odparłem grzecznie. – W czym mogę pomóc?

– Moje nazwisko Lipska, mieszkamy nad panem.

– Wiem.

– No właśnie. Taka głupia sprawa. Pan mieszka tu sam, więc pomyśleliśmy z mężem i córką, że może mógłby wpaść pan do nas na kolację. Taką skromną, rodzinną.

– Dzisiaj nie mogę.

– To może jutro? Będzie nam bardzo miło.

– Jeżeli tylko będę mógł, to bardzo chętnie.

– Doskonale. To jesteśmy umówieni? Nie przeszkadzam. Do jutra, panie Wiesławie.

– Do widzenia.

Zamknąłem i zaryglowałem drzwi.

Lipscy – rodzina o robotniczej przeszłości. On na rencie inwalidzkiej, dorabia jako parkingowy cieć. Ona niepracująca, dawniej zatrudniona w sklepie mięsnym. Córka Anna – dwudziestotrzyletnia panna, fryzjerka w salonie urody Wioletta, przeciętnej urody. W sam raz dla takiego kawalera jak ja. Tylko że nie byłem nią zainteresowany.

Oglądając telewizję, doczekałem umówionego terminu i zszedłem pod blok. Tym razem Sam zjawił się punktualnie.

– Jak minął dzień? – zapytał.

– Tak samo.

– To tak jak u mnie. Ciekawe, jak Abra?

W dwa kwadranse później zabraliśmy jego i Mela, a po kolejnych dwóch byliśmy na miejscu. Jakieś dwie, trzy godziny przed czasem, lecz zgodnie z zaleceniami. By zabić czas, mówiliśmy o niczym.

O dziewiątej zadzwonił telefon.

– Jedzie – rzucił Sam.

Zaczekaliśmy jeszcze dwadzieścia minut i ja z Abrą wysiedliśmy. Było ciemno, dość chłodno i wietrznie; mknące niebem chmury co chwilę przesłaniały księżyc.

Samochód pojawił się zgodnie z planem, kiwnęliśmy Melowi i zaczęliśmy iść chodnikiem. Na szczęście, pora była dość późna, więc nikt nie włóczył się po blokowiskach.

Wszystko trwało może minutę. Mel podszedł do mężczyzny wysiadającego z auta i po chwili ujrzeliśmy, jak tamten upada. Mel oddalił się błyskawicznie. My również.

Noc była cicha.

* * *

Powiedzieli, że zbrodnia zawsze zostanie osądzona i ukarana. Być może kiedyś.

* * *

Któregoś dnia przybył człowiek, którego nazywaliśmy Bogiem. Padliśmy na twarze i zaczęliśmy się modlić, nie chcąc go rozgniewać.

Wyglądał groźnie i wydawał się ucieleśnieniem zła. Jego oczy ciskały błyskawice, a twarz emanowała zimnem. Trzęśliśmy się ze strachu, słuchając tego, co miał do powiedzenia.

A mówił o posłuszeństwie i nagrodzie za karność, wyniesieniu ponad prawo i życie, dorównaniu ideałom.

– Najlepsi z was posiądą nieśmiertelność! – krzyczał. Poprzez cierpienia wasze i krew staniecie się równi bogom!

Nie rozumieliśmy wówczas, co chciał przez to powiedzieć. Jednak te słowa na zawsze wryły się nam w pamięć.

* * *

Obudziłem się i spojrzałem na zegar. Dochodziła dziesiąta. Włączyłem telewizor i z zamkniętymi oczami wysłuchałem reklam. Pomyślałem o Urszuli i nagle znów usłyszałem jej krzyk. Siadłem gwałtownie, tak jak wtedy, gdy przerwała mi sen – nie zasnąłem już wówczas, a rankiem dowiedziałem się, że od tego wrzasku w gabinecie profesora popękały szyby, a on sam, ugodzony w szyję odłamkiem szkła, wykrwawił się na śmierć.

– Wczoraj w nocy, około godziny dwudziestej drugiej, z rąk nieznanego sprawcy zginął komendant główny policji, Paweł Słucki. Policja prosi o pomoc świadków zdarzenia…

Pomyślałem, że na kolacji u Lipskich zabójstwo będzie tematem numer jeden i będę musiał się wykazać inwencją. Nic nie robi takiego wrażenia jak błyskotliwa bajeczka o niczym. Bo Słucki wiedział o naszym istnieniu, tylko pewnie przez głowę mu nie przeszło, że tak skończy. A przecież wielokrotnie wykonywaliśmy wyroki.

Metoda z tak zwaną mafią kontrolowaną sprawdziła się w obu Amerykach i Azji, dlaczego miałaby zawieść u nas? Odpowiedzialność zawsze można na kogoś zrzucić.

A my? Cóż, byliśmy niezawodni. Implanty dbały o naszą dyscyplinę. Zastrzyki uzależniały. Wiedza i możliwości… dawały do myślenia.

Zresztą staliśmy ponad prawem i oprócz wolności mieliśmy wszystko. Nawet nieśmiertelność.

Uśmiechnąłem się do lustra i siadłem na podłodze. Zamknąłem oczy, a implant odizolował mnie od

rzeczywistości.

O osiemnastej poszedłem do Lipskich. Gospodyni przywitała mnie swoim uśmiechem, gospodarz energicznym potrząśnięciem dłoni, córka nieśmiałością odrobinę niepoważną w jej wieku.

Po krótkiej rozmowie zaprosili mnie do stołu. Jedliśmy, rozmawiając o zabójstwie i przestępczości. Po kolacji Lipski zaproponował wódkę. Zgodziłem się na jeden kieliszek, lecz stanowczo odmówiłem kolejnych, co spotkało się z nieskrywaną aprobatą całej rodziny. Nawet milcząca Anna nabrała odwagi.

– Chciałbym zapytać, panie Wiesławie, czy nie uzna pan tego za nietakt, jeżeli włączę telewizor? – zapytał Lipski po toaście.

– Oczywiście, że nie – odparłem, ciekaw wiadomości.

Tematem dnia było oczywiście zabójstwo, coś innego jednak przykuło uwagę moją i gospodarzy.

– Plac Zbawiciela stał się areną niecodziennego zjawiska – sączył się z głośników monotonny głos spikera. – Około godziny czternastej pojawiła się tam kobieta, która ogłosiła się nową zbawicielką ludzkości. Tłum przez pięć godzin blokował ulice, a interwencja policji spotkała się z jego gwałtowną reakcją. Kilku funkcjonariuszy odniosło niegroźne obrażenia. Nie wiadomo, kim jest kobieta-mesjasz. Hipnotyzerką, iluzjonistką czy może zbiegłą z zakładu chorą psychicznie? Poproszony o wypowiedź rzecznik Episkopatu odmówił komentarza. Anonimowy duchowny wyraził jednak przypuszczenie, że być może,

w świetle pogarszającej się moralności społeczeństwa, nadszedł już czas ponownego przyjścia Mesjasza…

– Powariowali – stwierdziła pani Lipska.

Milczałem.

* * *

Powiedzieli, że życie ludzkie nie jest nic warte, a później obdarowali nas nieśmiertelnością.

* * *

Obudziłem się, usiadłem i przez chwilę gapiłem bezmyślnie, starając się przypomnieć sobie, gdzie jestem. Po dobrej minucie rozpoznałem swój pokój. Wstałem i podszedłem do lustra. Ostrożnie dotknąłem gojących się ran.

Zarobiłem je wczoraj, gdy ochroniarz z Luny wygarnął do nas ze scorpiona. Uderzył, gdy odjeżdżaliśmy. Wypstrykał cały magazynek i myślał, że już koniec. Wtedy Mel odczepił nóż od łydki i – choć dostał sześć kul – podszedł do palanta i wbił mu ostrze w serce.

– Kto mieczem wojuje, ten od miecza ginie – zaśmiał się, wsiadł do auta i stracił przytomność.

Nim dojechaliśmy do Bela, Mel skonał. Będzie nam go brakowało.

Przeciągnąłem się ostrożnie. Trochę bolało, nie był to jednak nieprzyjemny ból. Zrobione przez Bela zastrzyki niemal całkowicie go uśmierzyły. Niestety, zmiany, których bogowie dokonali w dzieciństwie w naszych organizmach,

nie zawsze były skuteczne. Jednak dawały złudzenie wieczności.

* * *

Pięć dni później zadzwonił Bel. Zapytał, czy słyszałem o zbawczyni ludzkości i przefaksował instrukcje. Zapoznałem się z nimi i wróciłem do snu.

Ocknąłem się następnego dnia przed dziewiątą. Opłukałem się, wyszorowałem zęby i zjadłem małe co nieco. Za pięć dziesiąta zszedłem pod blok. Sam zjawił się punktualnie.

Po godzinie dotarliśmy na miejsce.

– Cholera – krótko skwitował sytuację Abra. – Coś w tym musi być.

Tłum ciągnął się jak okiem sięgnąć, samochody blokowały ulice i parkingi. Skręciliśmy w boczną uliczkę i zaparkowaliśmy po jakichś trzystu metrach.

Wysiedliśmy, a Sam wyciągnął z bagażnika dwa nesesery. Blok znaleźliśmy po półgodzinie. Windą dojechaliśmy na siódme piętro. Drzwi były już otwarte.

– Za dziesięć dwunasta – mruknął Abra.

Rozłożyliśmy sprzęt i usadowiliśmy się w oknach.

– Pogłupieli ci ludzie – rzucił Sam.

– Dzięki tej głupocie jesteśmy tutaj – uświadomiłem mu, przykładając lunetę do oka.

Rzeczywiście było w tym coś dziwnego. Z każdą chwilą tłum gęstniał, a wszyscy zachowywali się jak w transie. Pierwszy raz widziałem coś podobnego.

– Lud pragnie nowych bogów – zauważył Abra. – I pewnie zmian. Od tysiącleci Bogiem jest mężczyzna, może gdyby zastąpiła go kobieta, wszystko potoczyłoby się inaczej.

Spojrzeliśmy na niego jak na wariata.

– Chciałbyś oddać władzę w ręce kobiet?

– Lubię dominy – uciął krótko.

No tak, Leila musiała być naprawdę niesamowita.

Przyłożyłem oko do lunety i przesunąłem ją nad ciżbą. Mogła już liczyć nawet i dwieście tysięcy głów, a wciąż przybywały nowe.

– Jest – szepnął Sam.

Odnalazłem Zbawczynię i zatrzymałem na niej wzrok. Na głowie nosiła kask z przyciemnioną szybą od czoła po brodę zasłaniającą twarz, z ramion spływała jej biała peleryna. Mogła mieć ponad metr siedemdziesiąt wzrostu i stanowiła dobry cel.

– Jest chyba cyklistką – stwierdził Abra i dodał. – Na trzy.

– Na trzy – potwierdziliśmy.

Zbawczyni uniosła ręce i nagle… usłyszeliśmy jej głos.

– Miałam trzynaście lat, gdy mój nauczyciel zaprosił mnie do swego gabinetu i tam zgwałcił. Zabiłam go!

– Cholera! – zaklął Sam.

Wpatrywaliśmy się w nią z palcami na spustach.

– Kara nigdy nie równa się winie – mówiła Zbawczyni. – Gwałt gwałtowi nierówny! Są nas miliardy i każdy ma

własne ja, każdy ma swego Boga! My umrzemy, ów Bóg zaś pozostanie!

– Raz – mruknął Abra.

– Nie jestem Bogiem! Nie jestem nawet jego córką czy synem. Przyjrzyjcie się mi i odpowiedzcie sobie sami, kim jestem. Albowiem dla każdej i dla każdego z was jestem kimś innym!

– Cholera – mruknął Sam.

– Dwa! – rzucił Abra.

Oblizałem wargi.

– Dlaczego więc chcecie mnie zabić?!

– Trzy...

Zbawczynią rzuciło w tył. Odskoczyliśmy od okien i zaczęliśmy rozkładać broń. Pomyślałem, że głupota ludu nie ma granic.

– Zaczekajcie! – ton głosu Sama zmusił nas, byśmy wyjrzeli przez okno.

– Ona nie... – zaczął Abra, lecz nie skończył.

Stała twarzą zwróconą ku nam, z oskarżycielsko wyciągniętą ręką.

– Kamizelka – szepnąłem, lecz nie było w tym przekonania.

Patrzyłem, nie mogąc oderwać wzroku.

– Dlaczego chcecie mnie zabić? – jej niesamowity głos zawibrował gdzieś wewnątrz mego mózgu. – Cóż wam uczyniłam? Czy nie widzicie? Czy nie słyszycie? Czy nie czujecie? – Urwała tylko na chwilę. – Chodź do mnie. Czekam!

Zostawiliśmy broń i zjechaliśmy na dół, a później przeszliśmy aleją utworzoną przez tłum i stanęliśmy przed Zbawczynią. Czułem jej zapach i majestat, dziwny spokój, być może radość, że mogłem być tak blisko.

– Witam was, bracia moi – powiedziała i ukazała nam swą twarz.

– Urszula? – szepnąłem.

– Tak, to ja – odparła. – A kim ty jesteś?

– Tym, który nie zdał testu.

Jej twarz rozświetlił uśmiech.

– Pamiętam. Przyłączysz się do nas?

– Implant – przypomniałem jej.

– I zastrzyki – dodała. – Spójrzcie na mnie. Jestem wolna. Mam władzę, której nikt i nic nie może się przeciwstawić. Z każdym dniem staję się silniejsza.

– Chcieliśmy cię zabić.

– Lecz żyję, prawda? I wy wciąż żyjecie.

Rzeczywiście, implanty powinny się już uaktywnić. Popatrzyłem na Sama i Abrę.

– Jeżeli zechcesz, będziemy żyć wiecznie – powiedziała Zbawczyni i nagle poczułem, że jeżeli zechcę, stanie się tak w istocie.

* * *

Dziś już nie jestem myśliwym. Dziś jestem łowcą ludzkich serc. I wiem, że uczyniłem dobrze, albowiem ta z postaci Boga, której służę, jest tą najpiękniejszą.

Stanisz – Wiesław Gwiazdowski

Lato dobiegało końca. Spadające z drzew liście mieniły się kolorami, pająki przędły sieci, ospałe dziki buszowały pod dębami. Chłopi z Brzezin odpoczywali po żniwach.

Nawet czas jakby zwolnił, próbując się zatrzymać.

– A ty znowu dokąd? – Kobiecy głos doścignął biegnącą dziewczynę.

– Na żołędzie – odkrzyknęła dzierlatka, podciągając spódnicę nad kostki.

I pomknęła w las, nie słuchając narzekań matki.

Spieszyła się. Nad jeziorkiem czekał jej ukochany. Tak samo, jak przez kilka ostatnich dni, lecz przecież o tym nikt wiedzieć nie musiał. I nie mógł.

Mieli dla siebie tak mało czasu, że każda wspólna chwila była niczym skarb najdroższy. Kryli się przed światem, by nikt jej nie ukradł.

Ukochany, ukochany…

Pnie migały jak senne mary, pękający chrust trzaskał pod łapciami.

Nim się obejrzała, była nad jeziorkiem. Z uśmiechem wpadła w ramiona oczekującego na brzegu młodzieńca.

– Jesteś – szepnęła, czując, jak jej stopy odrywają się od ziemi.

– Jestem – odparł chłopak, okręcając się w radosnym tanie.

Nasyciwszy się pierwszą chwilą, ułożyli się na trawie. Chłopak podał dziewczynie garść malin, które uzbierał, czekając na nią.

Ukochana, ukochana…

Jak długo jeszcze będą się kryć? Każda chwila wydawała się tak cenna.

Pochylił się nad dziewczyną i po chwili wpatrywania się w jej duże niebieskie oczy przywarł do pełnych ust. Zęby zazgrzytały na zębach. Ślina o smaku malin zmieszała się ze sobą i spłynęła gardłami. Dłoń chłopaka zacisnęła się na piersi lubej. Palce dziewczyny znikły w portkach młodzieńca.

Dziewczyna była ciepła i miękka jak kromka chleba z bochna wyjętego z pieca, która zaspokaja pierwszy głód. Zwali ją Dziewanna.

Chłopak był synem starosty Gozda i zwał się Stanisz.

Kończyło się lato, liście żółkły i czerwieniały, rankami rosa skrzyła się w słońcu. Szła jesień. Kiedy, jeśli nie po żniwach, wyrwać się z zadymionych izb, by pobyć ze sobą choć przez chwilę i zapomnieć się w miłowaniu?

Stanisz oderwał się od Dziewanny.

– Miłuję cię nad życie – rzekł.

– I ja cię miłuję, miły – odparła dziewczyna, unosząc się na łokciu. Zgarnąwszy pełną garść malin z usypanej obok kupki, rozsmarowała je na torsie i brzuchu młodzika.

Stanisz wplótł palce w jasne włosy dziewczyny i zamknął oczy.

Dobrze im było razem. Oj, dobrze. Mogliby tak leżeć do nocy albo i noc całą. Głodni swej nagości i ciepła, wśród białokorych brzóz. Nim przyjdą chłodne dni, a potem śnieg i mróz.

Na szczęście jeszcze dziś i pewnie jutro, dopóki nie było pilnej roboty w polu, mogli cieszyć się sobą do woli.

– Miły mój.

– Miła moja.

Dziś i jutro. Lecz nie mogli przewidzieć, jak długo.

Dziewanna wstała i zrzuciła kieckę.

Stanisz oparł się na łokciu i patrzył jak ukochana, kołysząc biodrami, idzie do jeziorka, wchodzi powoli w zimną toń. Istna rusałka z jasnymi włosami do pasa, które zaczęły unosić się na powierzchni niczym spódnica z liści wokół lilii wodnej. Tylko głupiec i ślepiec mógł jej nie miłować.

Dziewczyna zanurzyła się po szyję, rozgarnęła ramionami wodę. Ciągnąc za sobą złoty welon, popłynęła ku środkowi jeziorka.

– Ech, dola – westchnął Stanisz i zmrużył oczy, oślepiony wyglądającymi zza chmur promieniami popołudniowego słońca.

Dlaczego z tym czekali? Tyle razy ogarniała go złość, kiedy budził się z mokrą plamą na brzuchu, przeganiając senną marę. Lecz Dziewanna, mimo iż pozwalała na pieszczoty i sama potrafiła się odwzajemnić, a musiał

przyznać, że palce i usta miała delikatne i niezwykle czułe, wciąż uparcie broniła swego dziewictwa. Czasem młodzik odnosił wrażenie, że mogłaby mu oczy wydrapać, gdyby pozwolił sobie na więcej.

Westchnął na wspomnienie dużych piersi o twardych sutkach. Gdy był mały, ojciec opowiadał mu baśń o wyprawie rycerzy po złote runo. Gozd umiał opowiadać. Po powrocie z dworu księcia często siadał przy ogniu i bajał. Nie było dzieciaka, który by nie słuchał z otwartą gębą, a potem dumał o wyprawie za morze.

Dziś Stanisz nie musiał się nigdzie wyprawiać. Swoje złote runo miał pod ręką i na dodatek o smaku malin…

Uniósł dłoń do czoła. Chwilę gapił się na niebo, po czym spojrzał w skrzącą się toń.

Gdzie…?

Wstał powoli. Nigdzie nie mógł dostrzec dziewczyny. Powierzchnia jeziora była idealnie spokojna i pusta. Stanisz wiedział jednak, że Dziewanna pływa doskonale, poza tym nie pierwszy raz nikła mu z oczu. Spędzili tu wiele popołudni. Nieraz pływali na wyprzódki, śmiejąc się jak dzieci. Zapewne znów zachciało się jej bawić w kotka i myszkę.

Zszedł nad brzeg i kucnąwszy, zanurzył ręce w wodzie i przetarł twarz.

Nagły plusk poderwał chłopaka na nogi. Z dłonią przy czole wpatrzył się w ciemną taflę jeziora. Nie dostrzegł dziewczyny. Jedynie dziwnie chłodny powiew wiatru sprawił, że Stanisz poczuł dreszcze na plecach

i niezrozumiały lęk. Odruchowo obejrzał się na las. Brzozy szumiały sennie.

– Dziewa! – krzyknął i zrzuciwszy odzienie, wszedł w wodę.

Na igry ci się zebrało? – pomyślał, próbując zamienić lęk w żart.

Wypłynął na środek jeziora, zanurzył się, pod wodą dopłynął do trzcin. Nie dostrzegłszy nic, odbił w drugą stronę i wrócił. Zatrzymał się i wpatrzył w ciemną powierzchnię. W tej samej chwili coś chwyciło go za nogi. Wierzgnął, lecz nie dał rady się wyrwać. Wciągnięty pod wodę, omal się nią nie zachłysnął. Kopnął z całych sił, raz i drugi. Coś zacisnęło się na lewej kostce niczym palce utopca.

Szarpnął się rozpaczliwie i wyrwał z pułapki. Waląc ramionami, rzucił się na oślep do brzegu. Zachłysnął się wodą, po czym dopadł kamienistej skarpy. Pośliznął się na kępie traw, poderwał, jakby trafił dłońmi na rozżarzone węgle. Skoczył naprzód, ciągnąc za sobą obrośnięty wodorostami sznur.

Odwrócił się dopiero na skraju lasu. Spojrzał na jezioro. Zakaszlał, plując wodą, i otarł załzawione oczy.

– Dziewa! – krzyknął.

Jezioro było puste i ciche.

* * *

Na ostatnich nogach Stanisz wpadł do wsi, a potem do chaty Dobka, rodzica Dziewanny. Rwącym się głosem

opowiedział o nieszczęściu. Stary siadł na pniu przy ścianie, zgarbił się, mać padła na kolana i zaniosła się płaczem.

– Szukać jej trzeba – wyjęczał młodzian.

Dobek spojrzał Staniszowi w oczy. Zacisnął zęby. Nigdy nie miał bratanka za kpiarza.

– Leć po Gozda – rzekł. – Uradzić się wpierw musim.

Młodzik wypadł z chałupy, omal nie wpadając na nadchodzącego chłopa.

– Ojciec… – jęknął.

Gozd minął go bez słowa.

– Bracie? – Bez wypytywania spojrzał na Dobka. Domyślił się, że Dziewannie musiało przytrafić się coś złego. Widział, jak młodzi wymykają się z osady, a potem samotnie wracającego syna.

– Mów. – Dobek kiwnął głową na chłopaka.

W milczeniu wysłuchali opowieści.

Gospodarz kręcił głową, tarł brodę. Rok w rok klecha z grodu kropił łąki, puszczę i wody wszelakie, odprawiając tajemne praktyki. Na rozstajach, przy głazie Dadźboga, od lat kilkudziesięciu stał krzyż nowego boga, Krysta. Nawet skrzaty wyniosły się z chałup. A ten tu, choć bratanek, plótł banialuki o wodniku.

Mało to się namodlili, krzyżem należeli, na klęczkach wieś obeszli, by się pozbyć dawnych bóstw i upiorów? Grododzierżca srogo karał, jeśli doszły go słuchy o czczeniu starych bogów.

– Do grodu posłać trzeba – przerwał milczenie Gozd. – Po ojca Wita.

– Ojciec? – jęknął Stanisz. – Dobek? Wszak wasza to córa…

Cały dzień minie, nim do grodu wieść zaniosą, a potem też nie wiadomo, czy ktokolwiek zechce wysłuchać skargi. A jeszcze Wit pewnie sklnie za wzmiankę o wodniku albo i precz przegoni. Nie po to klechą został i jeziora kropił, krzyż nad nimi kreślił, by teraz byle młokos podważył moc święcenia i wiarę w Boga jedynego.

Chłopi znali zaciętość Wita i nie mniejszą grododzierżcy Sobierada.

– Ano, czasu szkoda – rzekł Dobek, bo sam czuł, że z Witem może być trudna przeprawa, a póki dzień, mogli choć bosakami wodę skłuć, ciała szukając i utopca.

– Nie ukryjesz prawdy – mruknął Gozd. – Kryst mocny bóg.

Chłopi spojrzeli sobie w oczy. Nie musieli mówić, by znać swe myśli. Stało się.

– Poślę Dzierżka – rzekł gospodarz. – Będzie, co ma być. A ty, Stanisz, wołaj chłopów.

Gozd skinął głową. Popatrzył na zawodzącą Krasę i na jej złożone dłonie. Ot, babska to dola ślozy toczyć. I modlić się.

Nie ma powrotu do wiary przodków. Zrąbane książęcymi toporami dęby dawno spróchniały, przy kamieniach nikt nie zostawiał strawy dla bożątek.

Czy w jeziorze poświęconym Krystowi mógł pojawić się wodnik?

Gozd wyszedł z chaty i splunął, żegnając się zamaszyście.

Wzięli ze sobą, co mieli. Bosaki, widły, siekiery, sieci. Lubor zjawił się z zardzewiałym mieczem. Gozd aż uniósł brwi, widząc dwuręczny oręż. Nie zapytał jednak, skąd mężczyzna wyciągnął żelazo. Patrzył tylko i milczał. Zbroili się jak na wyprawę wojenną, mimo że prócz słów Stanisza nie mieli żadnych dowodów na istnienie stwora. Nikomu jednak nie przyszło na myśl, że za zniknięciem dziewki może stać młodzik. Dobek mu wierzył i Gozd. To wystarczyło za wszelkie tłumaczenia. Od dzieciństwa młodzi wychowywali się razem.

Krasna była dziewka z Dziewanny. Oj, krasna. Niejeden wypatrywał za nią oczy albo po kątach wzdychał.

Nad jeziorem rozdzielili się na kilka grup. Kilku poszło w las, kilku zaczęło kłuć bosakami wodę przy brzegu, a Stanisz z Dobkiem wleźli do dłubanki i wypłynęli na jezioro.

Gozd został na brzegu z siekierą w ręku. Nie wierzył w powodzenie poszukiwań. Zmienił się od powrotu z książęcej siedziby. Napatrzył się i nasłuchał dość, by zrozumieć, że stare umarło wraz z wycinanymi dębami. To, co było dobre dla pradziadów i w powrót czego wierzyli dziadowie, nie mogło się odrodzić. Tak jak żelazo zastąpiło kamień, a kamień drewno, tak Kryst zajął miejsce Dadźboga, Peruna i Welesa. Jeden Bóg zamiast wielu. Jeden strach. Szło nowe i Gozd nie zamierzał mu się przeciwstawiać.

Był przy tym, gdy Wit kropił jezioro, szedł za klechą krok w krok po łąkach i uroczyskach, pokazując miejsca, które niegdyś czcili przodkowie. Żegnał się i klękał jak na rozkaz, szeptał niezrozumiałe modlitwy.

– Bóg widzi – przestrzegał.

Gozd z pochyloną głową poddawał się jego słowom.

Zresztą… czyż on jeden?

A tymczasem Stanisz, pierworodny…

Starosta splunął w wodę i rozejrzał się wokół. Chłopi nie ustawali w poszukiwaniach. Nawoływania niosły się lasem. Bosaki siekły wodę, darły muł i przybrzeżne szuwary. Pomarańczowe słońce mieniło się między liśćmi.

Dlaczego akurat tu?

Jezioro nie było duże – dobry łucznik mógł z powodzeniem przenieść strzałę na drugą stronę – ani głębokie. Nie nadawało się na siedzibę wodnika. Zresztą Gozd nie przypominał sobie, by ktokolwiek się w nim utopił. Tak przed, jak i po święceniu. A że ryb było mało?

– Dziewa?! – niósł się krzyk.

Gozd podniósł mokry sznur po starej sieci i rzucił go w krze. Splunął. *Ot, wodnik* – pomyślał.

* * *

Sobierad wyjrzał przez okno i cisnął monetą. Na placu opodal rozsiedli się kuglarze. Od tygodnia bawili mieszkańców grodu, a gawiedź w podzięce karmiła ich i poiła, drąc się na widok połykacza ognia czy linoskoczka.

A najbardziej gdy tancereczka Inka, podwinąwszy spódnicę, ruszyła w tan.

Nie pierwszy raz trupa odwiedzała gród. Starszego nad włóczykijami, Kosmę, grododzierżca znał niemal od szczenięctwa. Obaj rośli w drużynie młodego księcia Leszka, póki jego wuj zwany Białym nie kazał wydrzeć bratankowi oczu i wrzucić do lochu, gdzie zgnił.

Sobierad został na służbie u Białego, Kosma poszedł w świat.

– To mówisz, synku, że wodnik się wam objawił? – Włodarz zwrócił się do młodzika, nie odwracając się od okna.

– Tak, jasny panie.

– Tyś Dobkowy syn?

– Ano, panie.

Sobierad zerknął na stojącego opodal mężczyznę.

– Ojcze Wicie? Co wy na to?

– Nic. – Klecha skrzywił nieznacznie wargi, lecz zaraz dodał: – Dopóki oczy moje nie zobaczą, uznaję rzecz za wierutne kłamstwo. Zmowa musiała być jakaś między młodymi.

– Jesteście jak niewierny Tomasz, ojcze.

– Nie bluźnijcie, panie, bo to nie przystoi.

Sobierad uniósł ręce, powstrzymując klechę przed wygłaszaniem dalszych morałów. Wiara w Boga jedynego to jedno, a całodzienne słuchanie kazań to drugie. Dni święte święcił jak należy, od datków się nie uchylał, srodze karał za wiarołomstwo i nieprzestrzeganie przykazań. Lecz

pouczeń, chyba że z ust żony, nie znosił. Po dziesięciu latach urzędowania w kościele ojca Wita grododzierżca z rozrzewnieniem wspominał jego poprzednika, Jana.

O, Jan, to był druh. I do wypitki, i do rozmowy.

– Wszelako ludzi posłać trzeba – rzekł klecha. – Mniejsza o dziewkę, lecz lepiej, żeby plotki nie rozeszły się między pospólstwem, bo to wiadomo, że jeden coś powie, drugi dopowie i zaraz będziemy mieć pod grodem całe gniazdo maszkar i gromadę obieżyświatów. A tego, myślę, Sobieradzie, ani wy, ani ja byśmy nie chcieli.

– Nie – uciął grododzierżca, z niechęcią przyznając rację rozmówcy. – Dość mam pachołków, by biedzie zaradzić.

– To i dobrze. Poślę z nimi brata Tomasza z kropidłem i słowem bożym. Niech siła nieczysta wie, że nie z byle kim ma do czynienia.

– Jeśli za zniknięciem owej dziewki siła nieczysta stoi – zauważył Sobierad, patrząc znacząco na Dzierżka, który, ani drgnąwszy, stał z pochyloną głową.

Wit zamlaskał wargami, powstrzymując się przed upomnieniem gospodarza. Wszak sam zaledwie przed chwilą został przyrównany do niewiernego Tomasza. Ot, natura ludzka.

– Niech nas Bóg wszechmogący przed Złym chroni. – Klecha przeżegnał się, zezując, czy obecni powtórzą gest. – Kiedy zamierzasz się tam udać, panie?

– Ja? – Sobierad odgiął się w tył ze zdziwienia. – A do czegóż ja tam potrzebny? Dość mam roboty tu, Krup

pojedzie. Lepszego, ojcze, nie znajdziecie. Jak jest wodnik, to go wywlecze choćby spod ziemi. A jak nie ma, da chłopom popalić, że im w pięty pójdzie. Niechby się tylko ludzie zwiedzieli, że grododzierżca Sobierad pojechał wodnika szukać. Tfu! – Klasnął w dłonie, przywołując siedzącego w przedsionku pachołka, a gdy ów się zjawił, rzekł: – Leć po Krupa.

Sługa, wciąż pochylony w ukłonie, znikł za drzwiami.

– No to o świtaniu możecie, ojcze, przysłać chłopaka. A potem się zobaczy. – Sobierad wyjrzał oknem, zatrzymując wzrok na Ince, tancereczce Kosmy. – No, no – mruknął.

Dziewka wygięła się w tył, oparła na rękach i podniosła nogi nad głowę, by po chwili stanąć na nich i zakręcić się w szalonym piruecie. Kolorowe spódnice zawirowały jak zdjęta z nieba tęcza. Słomiane kosy zalśniły czerwienią w promieniach chylącego się ku dachom słońca.

Zmierzchało.

Nawet jeśli poszli szukać, dziś nie znajdą – ta myśl ściągnęła Sobieradowi twarz. Miał dość pilnych spraw na głowie, a wciąż mnożyły się nowe. *Żal dziewki.*

Znał Dziewannę niemalże od dziecka. Robiąc objazd przynależnych mu z urzędu opól, nie omieszkał, będąc w Brzezinach, zawiesić na dziewoi oka. Pachoły za nią ślepiły, aż śmiech brał. Gdyby nie stan małżeński, pewnie wziąłby ją do siebie, by mu poduchy przed snem grzała, albo i co więcej. Taki grzech jak ona mógł wziąć na swe barki.

Inka wirowała w takt gęśli i fujarki w kole utworzonym przez gawiedź. Oczy za nią szły, oderwać się nie było można. Umiała czarować. Lecz choć krasna, cycata i roześmiana, to nie tak ładna jak Dziewa. Udała się córa Dobkowi.

– Nad czym dumacie, panie? – Wit przerwał przedłużające się milczenie.

– Na kuglarzy patrzę – odburknął włodarz. – Z Kosmą, który ich wodzi, u księcia razem służyliśmy. Walny był z niego woj. Drugiego takiego ze świecą szukać. Ile wrażych łbów zrąbał, zliczyć nie sposób. Dzieciska rozrywał, białki ze skóry obdzierał, pachołów na pale nadziewał niby kiełbasy. A teraz gawiedź bawi. Ludzie go karmią i datki dają, zapraszają pod dach. A i pewnie niejeden córy mu pod kołdrę wpycha, bo wielki i zamożny z niego mąż. Na dworach się pokazuje. Może nawet z wielmożami jada jak równy?

– Jeśli przykazań nie przestrzega i Złemu służy…

– Nie plećcie bzdur! – Grododzierżca nie pozwolił klesze dokończyć, lecz i sam zamilkł, dostrzegłszy śmierć z kosą, która pojawiła się tuż przy Ince, by przyłączyć się do tanu. Trzeba było mieć iście diabelski pomysł, by do przedstawienia zatrudnić kostuchę.

Nawet gawiedź cofnęła się w przestrachu, bo śmierć wielka była jak góra.

– Oj, Kosma. – Sobierad pokiwał głową, lecz mimo to dalej gapił się na przedstawienie. Może i nie po bożemu dokazywali, jednak było miło patrzeć na przebierańców.

– Wzywałeś mnie?

Krup. Na końcu świata Sobierad rozpoznałby ten głos. Z całej grodowej drużyny jedynie Krup jak równy stawał przeciw Kosmie. Ziemia drżała, gdy chwytali się za bary. A i pół dnia mogli się przepychać, jeśli nikt nie wszedł im w paradę. Dreszcze szły plecami na widok wykrzywionych w walce gąb.

– Brzaskiem pojedziesz do Brzezin – rzekł grododzierżca, odwracając się od okna. – Stanisz Gozda twierdzi, że wodnik porwał Dziewannę, Dobkową córę.

– Ilu wziąć ludzi?

– Weź Sulika i Gorma. Do tego ojciec Wit posyła Tomaszka z kropidłem i modlitwą. Jeśli prawdą jest, co gada Stanisz, nie zaszkodzi jeziora raz jeszcze poświęcić. Tylko miejcie na chłopca baczenie, żeby sobie krzywdy nie zrobił, bo mi Wit łeb urwie.

– Wodnika ubić czy żywcem brać?

– Ubić. I zakopać, żeby się nikt nie zwiedział.

Krup kiwnął głową, że rozumie, i zawrócił bez słowa. Zatrzymał się w progu.

– A jeśli to nie wodnik? – zapytał.

– To zrobisz, co zechcesz.

No i jak nie mieć wątpliwości, skoro wszyscy je mają? – Sobierad skrzywił się i znów wyjrzał przez okno, lecz nie ujrzał już śmierci ani Inki. Jeden z kuglarzy żonglował płonącymi pochodniami, a inny, pokraczny karzeł, którego grododzierżca sobie nie przypominał z wcześniejszych

wizyt rybałtów, z czapką obchodził krąg, zbierając datki. Za suty dar dziękował fikołkiem.

* * *

Jezioro było małe i przy brzegach zarośnięte trzciną, a z grzbietu konia wydawało się jeszcze mniejsze. Nad wodą unosiły się mleczne opary.

Oparłszy łokieć na łęku siodła, Krup rozejrzał się i zeskoczył na zdeptaną trawę. Podszedł na brzeg. Chłopi zrobili dobrą robotę – stratowali wszystko, co mogło być pomocne w odkryciu sprawcy porwania.

– Tomaszu?

Młodzian zsunął się z osiołka. Wygrzebał z juków kropidło i odczepił konew z wodą. Drżały mu ręce, bo opowieść Stanisza sprawiła, że na samą myśl o poczwarze miał gęsią skórkę.

Po drodze zaczepili o Brzeziny, by wywiedzieć się, jak znaleźć nawiedzone jezioro, a przy okazji czego lub kogo szukać. Krup ledwie słuchał, gapił się na strzechy i rozglądał wokół, dopiero przed odjazdem odciągnął Gozdowitę na bok i szeptał z nim przez chwilę.

O czym gadali? Diakon nie śmiał spytać.

Woj zrzucił odzienie i, nie czekając na święcenie, z nożem w zębach wlazł do wody. Wypłynął na środek. Okręcił się kilka razy, obserwując taflę jeziora i okalające je trzciny. Zanurkował. Wypłynął kilka długości ciała dalej i znów zapadł się pod wodę. Długo go nie było.

Wynurzył się niedaleko brzegu, prychając jak wyciągnięty z topieli kot.

Diakon przerwał błogosławieństwo i zerknął spod oka na mężczyznę. Z włochatej, przeciętej dwiema bliznami piersi spływały strumyki wody niczym deszcz z mchu, przez brzuch i niżej na uda. Tomaszek przeżegnał się.

– Boże, bądź miłościw mnie grzesznemu…

Cóż wodnik, gdy tuż obok takie dziwo. Czy w ogóle jest możliwe, by człek niby koń…

Krup minął młodzieńca i bez słowa zarzucił odzienie na mokre ciało. Prócz porwanych sieci nie znalazł nic, choć i po prawdzie niczego znaleźć się nie spodziewał. Trupa, jeśli był takowy, powinni wyciągnąć chłopi, a w wodnika nie wierzył.

Rozejrzał się za Gormem i Sulikiem. Musieli pójść dalej w las, bo nie dostrzegł żadnego z nich. Zatrzymał wzrok na diakonie.

– Nie boisz się, chłopcze, że czart cię wciągnie w topiel? – zapytał.

– W Bogu pokładam nadzieję i wiarę.

– Jednakowoż niebezpiecznie stać tak blisko.

Młodzian odsunął się o krok, o dwa. Krup wykrzywił się w uśmiechu i bez słowa ruszył w las.

Tomaszek obejrzał się za wojem. Spojrzał na jezioro i odstawiwszy konew, poczłapał za Krupem. Bo lepszy swój wróg niż nieznane zło.

Mgła stała wśród drzew. Ciężka od rosy trawa czepiała się skórzni i nogawic. Z liści sypały się zimne krople

deszczu, który nie spadł z nieba.

Chłopak gapił się na plecy woja. Czasem zerkał w bok. Służąc Bogu, zapomniał, że kiedyś, nim został oddany przez ojca na nauki, całe dnie spędzał w puszczy, czy to szukając grzybów, czy orzechów, poziomek, malin, jeżyn. Dzieciństwo jawiło się jak odległy sen, który nigdy się nie wyśnił. Idąc, młody diakon czuł, że las jest mu obcy i że minione nie wróci. Bał się.

Zatrzymali się po przeciwległej stronie jeziora.

– Sulik?! Gorm?! – krzyk Krupa poniósł się brzeziną.

– Ohooo!

– Ohooo!

Głosy nadleciały z dwóch różnych stron.

– Zaczekamy – mruknął Krup, rozglądając się po lesie. – Jak było tej dziewce?

– Dziewanna.

– A jemu?

– Stanisz. Czyżbyście zapomnieli? – zdziwił się diakon.

Nie doczekał się odpowiedzi. Krup nie zapomniał. Znał młodzika, choć nie tak dobrze jak jego ojca i wuja. Dziewannę również przydarzyło mu się spotkać, gdy wsie objeżdżał z Sobieradem i Witem, i w samym grodzie. Nie był ślepy. Ilekroć zaglądali do Brzezin, grododzierżca nie omieszkał zahaczyć o Dobkową chałupę. Napatrzył się dość, by wiedzieć, że rankiem Stanisz nie bez przyczyny rzucił mu się do nóg, błagając o zabranie ze sobą. Aczkolwiek dziwnym mu się wydało, że brat tak po stryjecznej siostrze toczy ślozy. Dobek, wszak ojciec, stał twardo i ledwie gębę

skrzywił, a Gozd nawet słowa nie rzekł. Widać było, że jakąś złość w sobie dusi.

Krup podszedł na skraj trawiastej łachy, która ciągnęła się dobrych kilkanaście łokci w głąb jeziora. Postawił stopę na kołyszącej się skorupie. Trzy kroki dalej zapadł się po kolana i zawrócił. Obejrzał się z brzegu. Na łasze zostały dobrze widoczne czarne ślady, wypełnione wodą z błotem. Niedorzecznością była myśl, by ktokolwiek mógł tędy przejść, zwłaszcza z brzemieniem na grzbiecie.

Co zatem stało się z ciałem?

Zza chaszczy wyłonił się Sulik.

– Znalazłeś co? – zapytał Krup.

– Nic. Gdybyśmy zjechali tu wczoraj z wieczora, to może. A tak, jakby stado bydła przeszło do wodopoju. Stratowane wszystko.

– Ale śladów racic żeś nie dostrzegł?

– A gdzie tam – odparł mąż i zastygł z otwartą gębą, widząc uśmiech na twarzy Krupa.

– Czyli nie czart.

– Wodnik ma błonę między palcami, jak żaba – wtrącił Tomaszek.

– Nie inaczej – przytaknął Krup, gapiąc się na jezioro. Czy błona mogła pomóc w przejściu przez łachę? Żabom pomagała z pewnością, lecz maszkarze wielkości człowieka?

Zza drzew wyłonił się Gorm. Na pytające spojrzenia wzruszył ramionami.

– Za mną – mruknął Krup i zawróciwszy na pięcie, poszedł w las. Szybko, nie rozglądając się i nie oglądając za siebie.

Jak daleko mógł dojść człek z dziewką na grzbiecie, jeśli wiedział, że zjawią się chłopi? Milę, dwie? Licząc, że musiałby odpoczywać po drodze i przedzierać się przez chaszcze, nie uszedł daleko. A jeśli dziewka żyła, dodatkowo dochodził postój na zakneblowanie i związanie ofiary.

Jeśli żyła…

Woj wiedział, że Sobieradowi nie chodzi o dziewczynę, tylko o względy Wita, który trzymał grododzierżcę jak wieprzka na postronku, i dlatego on, Krup, musiał dopaść wodnika, kimkolwiek by ów nie był.

Kilka wiorst dalej, przeszedłszy stratowaną połać lasu, weszli między chojaki, na bardziej suchą ziemię. Tu zatrzymali się na chwilę. Sulik skręcił na lewo, Gorm na prawo.

Krup, kiwnąwszy na diakona, poszedł prosto, za instynktem łowcy, który rzadko go zawodził. Stanisz rzekł mu, że od jakiegoś czasu wymykali się z Dziewanną nad jezioro. Lubili się, jak to krewniacy. Skończyły się żniwa, kończyło się lato, a maliny obrodziły jak rzadko.

Woj nie pytał o szczegóły. Widział je w oczach młodzika. Twarz Stanisza była jak otwarta karta. Chłopak kłamał, lecz czy Krup mógł mu się dziwić? W końcu to nie po bożemu gzić się między rodzeństwem. Na dworach królewskich

owszem, lecz nie w chłopskiej zagrodzie, zwłaszcza pod bokiem Wita. Ciężki grzech.

Woj czuł, że odpowiedź, co stało się z Dziewanną, była gdzieś tu.

Tylko jak na nią wpaść? Czego szukać? W którą stronę pójść?

Staję dalej natrafili na dukt.

– Tośmy doszli – mruknął, przyglądając się przecince.

Od dawna nikt nie ciągnął nią zwałów, bo zdążyła zarosnąć wszelakim chwastem, brzózkami i chojakami, lecz w miękkiej ziemi czerniły się wyraźnie odciśnięte ślady kół. A pomiędzy nimi mniej widoczne odciski kopyt. Krup patrzył na nie chwilę, wyprostował się i przyłożywszy dłonie do ust, zahuczał przeciągle.

– Dobre wieści – rzekł do diakona. – Mamy, po cośmy przyszli.

Tomaszek milczał, niezupełnie pojmując, co mają, bo oprócz zarośniętej drożyny nie widział nic. A przecież szukali wodnika.

Nie próbował zgadywać. Ściskając szkaplerz w dłoni, bez słowa poszedł za wojem. Sulik z Gormem dołączyli po drodze.

Pół mili dalej dukt skrzyżował się z traktem.

– Wodnik, psia mać! – warknął Krup.

Mógł się mylić, lecz to, że o milę stąd, gdzie stali, był gród, nie podlegało wątpliwości. Wystarczyło pójść na zachód.

* * *

Sobierad odgryzł kęs z kurzego udka, przeżuł, przełknął i popił cienkuszem. Zerknął na małżonkę i dwie siedzące za połowicą córki. Nie wyobrażał sobie, by mógł którąkolwiek z nich stracić. Co prawda ślubna postarzała się znacznie, lecz i on posunął się w latach, posiwiał i utył. Nawet przejażdżki konne od jakiegoś czasu przypłacał bólem pleców.

Piąty krzyżyk na karku, ot co. Przebywając na dworze księcia, grododzierżca nasłuchał się mądrych dysput o tym, jak przedłużyć młodość. Władca lubił otaczać się uczonymi mężami, a przez to i gościom dane było pobyć w ich towarzystwie i posłuchać, o czym prawili. Po powrocie zagadnął Wita, czy możliwe jest, by krew dziewic zmieszana z kozim mlekiem mogła dać długowieczność. Odpowiedź kapelana wystarczyła, by nie pytał więcej, choć żałował czasem, zwłaszcza przeglądając się w zwierciadle czy zimą, kiedy ziąb ciągnął po kościach i zaczynało łamać w stawach.

Tak, Wit nie był dobrym kompanem do rozmów. Za to Danuta jak najbardziej. Kiedyś karmiła go swym ciałem, teraz potrafili, leżąc w łożnicy, gwarzyć do późnej nocy.

– Cóż, mężu? – Uwadze kobiety nie uszedł zamyślony wzrok męża.

– Dumam o owej uprowadzonej dziewce.

– W Bogu nadzieja. Dopóki nie ma ciała, wierzyć trzeba, że wszystko skończy się dobrze. A nuż znudziło się dziewczynie chłopskie życie?

– Być może – mruknął Sobierad i zastygł nad uniesionym do ust udkiem, ujrzawszy głowę zaglądającego zza framugi sługi. Machnął mięsiwem.

– Krup wrócił, włodarzu – rzucił pachoł.

– Niech wejdzie – przyzwolił pan przez wzgląd na małżonkę, bo zazwyczaj w biesiadnej nie przyjmował.

Woj widać czekał za drzwiami, bo ledwie przebrzmiały słowa, pojawił się w progu. Skinął głową Danucie i dziewczynkom.

– Mów, coś wskórał. – Sobierad odłożył udko. – Dobre wieści?

– Dziewki ani wodnika żeśmy nie odnaleźli – odparł woj.

– Zatem z czym wracasz?

Mężczyzna wyciągnął przed siebie puste dłonie.

– Krup, na litość boską. Towarzystwo Tomaszka ci zaszkodziło, że kluczysz jak szarak? Nie mów mi, żeś się niczego nie dowiedział.

– Na przecince opodal jeziora natrafiliśmy na ślady kół. Zgubiliśmy je na trakcie. Pewności nie mam, jednak mniemam, że wóz dojechał tu.

– Do grodu? – Sobierad podniósł się z ławy.

– Ano.

Włodarz popatrzył z ulgą na małżonkę. Jednak nie wodnik. Krup nie zwykł rzucać słów na wiatr i nie plótł trzy po trzy. Nie powiedział wprost, lecz jasno dawał do zrozumienia, że Dziewanna żyje.

– Czyli gadka o wodniku to zwykły wymysł?

– Tak sądzę, włodarzu.

– Wit wie?

Krup nie zdążył odpowiedzieć. Najpierw usłyszeli odgłos szybkich kroków, a w chwilę potem pojawił się zdyszany kapelan.

– Tomaszek rzekł mi wszystko – rzucił od progu. – W imię Ojca i Syna, Bogu niech będą dzięki.

– Nie ma za co dziękować – rzekł Sobierad. – Wciąż nie wiemy, gdzie jest dziewka? – Spojrzał pytająco na woja, który skinął głową.

– Wszelako wieść o czarcie została obalona – zauważył duchowny. – Czyż nie? – Popatrzył tryumfalnie po twarzach zgromadzonych, bo przecież od początku nie wierzył w słowa Stanisza. – A to kończy sprawę.

– Nie kończy, dopóki nie znajdziemy dziewki lub jej ciała. Krup, masz jakieś podejrzenia? Rozumiem, że byłeś w Brzezinach?

– Byłem. I sądzę, że Stanisz rzekł prawdę.

– Że co? – Wit podniósł głos. – Przed chwilą…

– Ojcze! – Tym razem Sobierad się uniósł, na co w stosunku do duchownego pozwalał sobie bardzo rzadko. – Nie podlega dyskusji, że wodnik to wymysł. Jednak ciekaw jestem, kto porwał dziewkę i w jakim celu. Czy was, ojcze, to nie ciekawi?

– Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, synu.

– Zatem nic was nie obchodzi los dziewczyny?

– Tego nie twierdzę. – Kapelan uniósł dłonie, jakby chciał się nimi zasłonić przed niesłusznym oskarżeniem. – Winny powinien zostać ukarany. I wiem, że zrobicie

wszystko, by tak się stało. Jednak równie ważne, jeśli nie ważniejsze, jest to, by plotka nie znalazła potwierdzenia. Gdyby się rozeszło, że słowo boże i święcenia…

– Nie musicie mi tego, Wicie, przypominać. Moja wiara w Boga jest równie silna jak wasza. Od lat tępię zabobon i nie przestanę, pókim żyw.

Wit skłonił głowę.

– A zatem zastanówmy się, jak zbója znaleźć – zaproponował włodarz.

* * *

Krup oparł się o węgieł ratusza, wyjął zza pazuchy kawał wędzonej świńskiej skóry i włożył do ust. Przez chwilę przyglądał się Ince, po czym spojrzał na zachmurzone niebo. Zmierzchało. Po tygodniu skwaru zapowiadała się plucha, jak to jesienią.

Rybałci pakowali dobytek. Sądząc po ilości zakupionych antałków z piwem i miodem, opłaciły się dwutygodniowe wygłupy.

Od trzech dni Krup włóczył się po grodzie, zaglądając do szop, obór i stajni. Każdego ranka i wieczora obchodził podgrodzie. Miał dziwną pewność, że Dziewanna gdzieś tu jest, a to powodowało, że zaczynał czuć respekt do porywacza. Schować brankę pod okiem grododzierżcy mógł tylko ktoś wyjątkowo cwany.

Po tym, jak Wit na niedzielnej sumie ogłosił bezwzględną walkę z zabobonem i przy okazji wspomniał o wodniku z Brzezin, gawiedź nie gadała o niczym innym.

Inka wygięła się w tył, oparła na rękach i uniosła nogi. Prawą dłonią chwyciła lewą stopę.

Zza wozu wylazł karzeł. Kiwając się jak kaczka, podszedł do dziewki, chwycił ją w talii i podniósł nad głowę. Kuglarka zachichotała na cały głos. Pokurcz zakręcił się jak fryga i nagle wyprostował ugięte ręce. Dziewczyna na dobre trzy łokcie wyleciała w górę, by po chwili wylądować w ramionach konusa.

Krup połknął skórę. *Silny rab* – pomyślał nie bez podziwu, gapiąc się na żabie stopy pokurcza.

I zapadł się w ciemność.

* * *

Przebudzenie było jednym wielkim bólem rozsadzającym czaszkę. Spróbował poruszyć ręką lub nogą, lecz nie był w stanie. Otworzył oczy. Dostrzegł jasne nieokreślone plamy, cienie, kształty. I ruch. Kołysanie. Jakby… jakby czas zwolnił.

Zacisnął szczęki, opanowując omdlewającą słabość. Pociągnął nosem. W gardle rozlał się ciepły słodki smak. Krew.

Wówczas dotarło do niego, że wisi głową w dół ze skrępowanymi na plecach rękami jak złapany w paść szarak. Szarpnął ciałem raz i drugi, zakołysał się. Uszy wychwyciły szelest. Ktoś się zbliżał.

Wykrzywił głowę, wytężając wzrok. Cień kiwał się z boku na bok jak kaczka. Idąc, dłońmi dotykał ziemi. Zatrzymał się, nachylił do ucha wisielca i szepnął:

– A Pan przyszedł do mnie i rzekł mi: „Bądź posłuszny, a dam ci ziemię i ludy wszystkie na własność.”.

Krup pamiętał ten głos. Tak. Tylko skąd? Nie mógł sobie przypomnieć. Plątały mu się myśli. Musieli zajść go od tyłu i walnąć po łbie, dlatego tak go rwało i nie mógł się skupić. Spojrzał w górę, lecz przez spływającą do oczu krew niewiele widział. Opuścił głowę.

– Tylko ten przezwycięży śmierć, który bać się jej nie będzie. Tylko ten żyć będzie wiecznie, kto posiądzie rząd dusz nieśmiertelnych – płynął chrapliwy szept.

Tam, w dole. Stopy? Łapy? Karykaturalnie duże, z błoną między palcami. Nieludzkie. Żabie. Tomaszek mówił… W imię Ojca i Syna… Wodnik?

Nowy cień przesłonił słońce.

– Dajcie kielich.

Głos był twardy, rozkazujący i również znajomy.

– Nim śmierć przyniesie nieśmiertelność, to oto ciało stanie się naszym pokarmem na najbliższe dni. Ten, który zebrał krew Pańską, przemieni to, co jest grzeszne, i da nam siłę.

Uderzenie odebrało Krupowi oddech.

* * *

Zakrzywiony nóż po rękojeść wbił się w brzuch ofiary i, kierowany ręką oprawcy, przeciął przeponę i doszedł do kości. Gdy krew wypełniła kielich, mężczyzna włożył dłoń w ranę i wyrwał z niej serce.

– Oto ciało i krew – rzekł. – Jedzcie i pijcie. Chrystus jest naszym Panem i Bogiem. Prostuje nam ścieżki i wskazuje drogę. Błogosławieni, którzy się smucą, albowiem oni będą pocieszeni.

– Błogosławieni, którzy łakną i pragną sprawiedliwości, albowiem oni będą nasyceni.

– Błogosławieni miłosierni, albowiem oni miłosierdzia dostąpią.

– Błogosławieni czystego serca, albowiem oni Boga oglądać będą.

– Błogosławieni, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości, albowiem do nich należy królestwo niebieskie.

Podawany z rąk do rąk kielich wędrował wśród ludzi stojących w kręgu.

– Panie, daj nam siłę, uwolnij od lęków i grzechu, ustrzeż przed nienawiścią ludzką, spraw, byśmy mogli żywić się krwią uświęconą przez Graala. Po wieki wieków.

– Amen.

* * *

Sobierad wyjrzał przez okno, pokręcił głową i spojrzał w niebo. Zbierało się na pierwszą tej jesieni burzę. *Dawno nie padało* – pomyślał.

Przy dobrej aurze chłopi szybko zebrali plony. Dość, by starczyło na daninę dla księcia i Wit nie był stratny, a w spichlerzach zostało więcej niż zawsze.

To był dobry rok.

Tylko ta Dziewanna… Diabli znów namieszali. A jeszcze, jakby tego było mało, Krup przepadł jak kamień w wodę.

– Tfu! – Grododzierżca splunął przez lewe ramię i na wszelki wypadek przeżegnał się trzykrotnie.

Mijał trzeci dzień. Za wcześnie, by przesądzać, ale i tak coś nie dawało spokoju, a niepokojący dreszcz plątał myśli. Drużynnik przez wzgląd na stare czasy miał wielką swobodę, nie pozwalał sobie jednak na zbyt wiele.

Do tego ten Stanisz. Przylazł dwa dni temu, waląc do drzwi, wszystkich obudził, po czym jak kołek w płocie albo jakiś przygłup tkwił po drugiej stronie placu i gapił się w okna. Grododzierżcy żal było chłopaka, dlatego jeszcze nie kazał go przegnać, lecz ilekroć wyjrzał, wzbierała w nim na to ochota. Durny kmiot! Ubzdurał sobie, że wystoi powrót dziewki, zamiast pójść do kaplicy i legnąć krzyżem albo gromnicę zapalić za duszę zmarłej.

Krasna była, lecz czy ona jedna na świecie?

Za Danuśką też ze dwadzieścia lat temu niejeden wypatrywał oczy. A córki poszły w matkę. I dobrze, bo ładnemu lżej w życiu. Sobierad był niezwykle dumny z latorośli. Syna się nie doczekał, lecz cóż, widocznie Bóg tak chciał.

Oderwał się od okna, podszedł do stołu i siadł ciężko na ławie. Jak to jesienią, znów zaczynało łamać go w kościach. Oparł łokcie o blat i schował głowę w dłoniach. Byle tylko srogiej zimy nie było. Miał dość nieprzespanych nocy i pilnowania ognia.

Szybko narastający odgłos kroków sprawił, że włodarz opuścił ręce. Kogo znów czarci nieśli?

W izbie pojawił się pachoł.

– Krupa znaleźli! – wydyszał, nie czekając na gest pana.

– Gdzie? Kto znalazł? – Grododzierżca ledwie drgnął.

– W lesie, panie. Na gałęzi.

– Mów jaśniej.

– Ano, zaszlachtowali go jak wieprzka.

– Kto? Na Boga żywego? Kto?! – Sobierad zerwał się z ławy.

Pachoł nie wiedział, co odpowiedzieć.

– Gdzie trup?

– Na wozie. Chłopi przywieźli.

Włodarz wypadł z izby, jakby gnało go stado diabłów. Omal nie połamał kulasów, pędząc schodami na dół.

Zaprzęgnięty w wyliniałą chabetę wóz stał na środku dziedzińca. Obok kilku wojów, dwóch smardów i Stanisz. W kilku susach Sobierad dopadł fury i aż się cofnął na widok złożonego na dechach ciała.

– Wszelki duch pana Boga chwali – jęknął, czyniąc pospiesznie znak krzyża.

Wiele w życiu widział, tego się jednak nie spodziewał. Trup ledwie przypominał woja, którego pamiętał. Poszarzały, wychudły, ze sczerniałą dziurą w piersi, bardziej jak upiór niż człowiek. Jednak bez wątpienia był to Krup.

– Gdzieście go znaleźli? – Włodarz z trudem wydobył głos.

– W lesie, panie – odburknął jeden z chłopów, pochylając kudłatą głowę. – Zdjęlim go z gałęzi.

– Gdzie w lesie?

– Nad jeziorem, opodal Grądów.

Nagły lęk wysuszył Sobieradowi gardło. Wodnik? Nie, niemożliwe. Zeszłego roku jeździł tam z Witem. Duchowny poświęcił wodę jak należy. Grododzierżca stał obok, modlił się szczerze, z dłońmi na piersiach. Cała wieś towarzyszyła obrządkowi, zaśpiew powtarzali chórem. Niechby zresztą któryś gębę miał zawartą… Pachoły dostały rozkaz obserwować chłopów.

Grądy. Trzy mile od grodu, prawie pod nosem. Ale i Brzeziny niedaleko. Konno w parę godzin można w dwie strony obrócić. Diabli nadali.

Patrząc na trupa, grododzierżca czuł, że nie może zbójom popuścić, lecz z drugiej strony, kogo szukać, wiatru w polu? Wodnik był mrzonką i tylko dureń…

– Panie?

Sobierad spojrzał na Stanisza.

– Czego chcesz? – odwarknął.

– Zezwólcie jechać z wami do Grądów – wydukał młodzian.

– A skąd ci do łba przyszło, że mam zamiar tam jechać, a?

– Toć to Krup, wasz człek. – Niechętne pytanie nie zraziło młodzika.

Sobierad zmełł w ustach przekleństwo. Nie skrzyczał jednak otroka. *Hardyś* – pomyślał tylko. *Gozdowy syn*.

A głośniej rzekł:

– Krup mi powiedział, że dziewka była ci miła. Prawda to?

– Prawda. Miłowaliśmy się, panie.

– A nie wiesz, że to grzech z siostrą stryjeczną?

Młodzik opuścił głowę. Nie sądził, że ktokolwiek pozna prawdę, tym bardziej włodarz. A skoro wiedzieli w grodzie, niezadługo wiedzieć będą we wsi. Oj, ojciec nie strzyma ręki.

– Skąd wiesz, że to nie czart ci dziewkę porwał za to, co żeście robili nad jeziorem? – Grododzierżca ani myślał odpuścić. Z gniewu spurpurowiał na twarzy. Przez sprośną chuć chudopachołka stracił najlepszego woja! – Wodnika żeś sobie ubzdurał, ale o tym, że was diabeł chronił, ani słowa. A nie lepiej było prawdę rzec i nie zawracać mi głowy? – Sobierad chwycił Stanisza za ucho i pociągnął w górę. – Kuciapę wiedziałeś, jak znaleźć! To może i miłośnicę znajdziesz?! Won mi oczu! Won! – Pchnął młodzika, obalając go na ziemię. – Won!

Chłopak zerwał się na nogi. Nie prosił już o nic.

– I żebym cię tu więcej nie widział! – krzyk grododzierżcy gonił Stanisza. – Pokażesz się, to każę pasy drzeć! W jamie zdechniesz jak pies! Tfu! Diabelskie nasienie. Tfu!

Sobierad spojrzał na furę, na milczących pachołów i chłopów, a potem na trupa. Oparł ręce o kłonicę. Za jakie grzechy? Nie potrafił odpowiedzieć na pytanie. Sporo zła

miał Krup na sumieniu, oj, sporo. Drugiego takiego ze świecą przyjdzie mu szukać.

Otarł łzę, która zamgliła na chwilę lewe oko. Kto by pomyślał, że sprawią woja jak wieprzka? I to za co? Za bajdy o wodniku?

Tfu!

* * *

Stanisz wypadł z grodu, nie przystając nawet dla zaczerpnięcia oddechu. Zatrzymał się za bramą, zdyszany i zły, z płucami robiącymi jak miechy. Jedno miał w głowie: Grądy. Jak wyruszy od razu, może znajdzie jakiś ślad. Pomacał za pazuchą: zostały mu ćwiartka chleba i połeć słoniny, które zabrał z Brzezin. Na dziś starczy, a jutro jak Bóg da. Chabeta, która ciągnęła furę, nie wyglądała na zdrożoną.

Tylko w którą stronę iść? Zapomniał smardów spytać, gdy o trupa zagadnął. Ot, dureń.

Wrócił się do wrót.

– Grądy daleko? – zapytał opierającego się o włócznię pachoła.

– A bo co? – Bramny wypluł łupinkę orzecha, starł w zębach ziarenko. Jak wszystko, orzechy nadzwyczaj obrodziły tego roku.

– Ano, bo sprawę mam.

– Sprawę masz? A jaką? – Woj rozgryzł nowy orzech.

– Moja rzecz. – Stanisz nastroszył się jak kogut.

– Twoja rzecz? To z Bogiem.

– Coś taki zły? – Młodzik spojrzał na pachoła. – Jam ci nie wróg. Siostrę mi wodnik porwał…

Pachoł zakrztusił się, zgiął wpół, opluł i załzawił. Charknął od serca gęstą flegmą wprost na mur.

– A żeby cię czart – warknął, ocierając brodę. – Ty z Brzezin? Gozdowy syn?

– Jam.

– To przez ciebie Krup głowę dał. Tfu! – Wojak splunął na portki młodzika i opuścił włócznię, kierując czubem w pierś Stanisza. – Idź precz, pókim dobry!

– Pójdę, rzeknij tylko, w którą stronę Grądy.

– W drugą, smarku. Won! – Bramny zrobił krok do przodu, wypychając drzewce, aż grot oparł się o pierś młodzika.

Chłopak cofnął się powoli i zawrócił na pięcie. Nie próbował się stawiać. Jak nie, to nie. Spyta po drodze, po to ma język i nogi. Nie daruje temu, kto porwał Dziewannę, kimkolwiek by nie był.

Z pewnością Krup wpadł na jakiś ślad, dlatego zginął. Byle kmiot nie porwałby się na człeka grododzierżcy. Sobierad z pewnością nie popuści. Roześle ludzi albo i do księcia pośle.

– Tfu! – splunął przez ramię. Drużynnik nie dał rady, a on, smard, myśli, że da.

Z nerwów gorąc wybił Staniszowi na twarz. Chłopak całe życie siedział w Brzezinach. Czasem, na Kupałę albo za jaką potrzebą, odwiedzał sąsiednie Gzdy, no i gród. Dalej nie był. Siedemnaście wiosen przeżył w ojcowej chacie,

pomagając rodzicielowi w polu i w lesie. Nie tążył za innym życiem. Miał Dziewannę, niwy do obrobienia, ryby w rzece. O wojowaniu mógł pomarzyć. Gdy kilka lat temu Sobierad rozesłał wici, poszedł ojciec, Dobek i jeszcze paru starszych, którym nieobca była wojenka. Młodych nie chcieli, choć niejednego rwało w świat.

Stanisz zatrzymał się na rozstajach. Po lewej droga wiodła ku Brzezinom, po prawej w nieznane. Westchnął, gapiąc się na puszczę. Zdałby się jakiś towarzysz, ktoś doświadczony. Ktoś, kto znał świat.

Gdyby nie strach, że musiałby wyznać prawdę, poprosiłby Gozda lub Dobka. Gdyby…

Westchnął ciężko.

Jeśli Bóg mu nie pomoże, nie pomoże nikt.

* * *

Gozd wyszedł przed chatę. Otarł wąsy i spojrzał na ciemne niebo. Ciężkie chmury ciągnęły nad puszczą. Zapowiadał się deszcz.

Niech pada. Już po zbiorach.

Popatrzył na Dobkową chałupę. Od dnia porwania bił się z myślami, czy powiedzieć bratu, co widział, i o ostatniej rozmowie z Dziewanną. O tym, że w chwili słabości, przed siedemnastu laty, po powrocie z Pragi, gził się z bratową i że dziecko, które się narodziło później, mogło być jego. Krasa nigdy nie rzekła mu tego w oczy, lecz widział w jej spojrzeniu, a i po zachowaniu mógł się domyślać, że Dziewa była owocem grzesznej chuci.

Ech, Krasa. W młodych leciech uganiali się za nią z Dobkiem jak psy za suką. Zresztą nie było we wsi takiego, który by za nią nie ślepił. Dlaczego poszła za brata? Czort wie. Nie rozmawiali o tym z Krasą nigdy, nawet gdy leżeli na sianie, tuląc się do siebie.

Miesiąc później Dobek wrócił z wysługi u księcia.

Lata mijały, dzieci rosły. Dziewa poszła w matkę, Stanisz wyrósł na silnego byczka. Pokrewieństwo i sąsiedztwo sprawiły, że widywali się niemal codziennie. Nikt nie widział w tym niczego złego. Może gdyby mać chłopaka żyła…

Gozd przeżegnał się za duszę Jagody. Jak na złość wróciło wspomnienie ostatniej rozmowy z Dziewanną.

Zaczaił się na dziewkę, gdy szła nad jezioro. Już wcześniej spostrzegł, że młodzi wymykają się ze wsi. Nigdy razem, chytrze. On jednak też nie był głupi.

– Odpuść Stanisza – powiedział, zachodząc dziewczynie drogę. – Młoda jesteś, ładna. Znajdziesz lepszego męża.

– Co wy, stryju?

– Widziałem was nad jeziorem. I co żeście robili. To grzech. Chcesz, żeby matka się dowiedziała albo ojciec? Albo Wit? Chcecie złe na wieś sprowadzić?

Dziewczyna patrzyła szeroko otwartymi oczyma.

– Nie jestem ci wrogiem – mruknął Gozd. – Ale zrozumieć musisz, że nic z tego być nie może. Albo ty odpuścisz, albo Stanisza do księcia na dwór poślę. Jak będzie?

– Jak każecie, stryju.

Nazajutrz syn wymknął się z chałupy. W trzy dni później takoż.

Gozd patrzył z ukrycia, kiwał głową. To jego, co się nagadał. Następnego dnia poszedł do grodu, Witowi się wyspowiadać z grzechów młodości. I nie tylko swoich.

– Gozd, co tak dumacie? – Krzyk sąsiada Goluba wyrwał go z zamyślenia.

– Iii, na niebo patrzę – odparł starosta niechętnie. – Deszcz idzie.

– To i dobrze, że idzie. Ziemia spalona na proch. Do grodu się nie wybieracie?

– A po co?

– Ano, o Dziewę spytać. A i Stanisz, jak poszedł…

– Nie wasza rzecz! – odparł Gozd.

– Nie moja – przytaknął Golub. – Ino dziewczyny żal. Krasna z niej była łania. Wasza bratanica…

Gozd zawarczał wilczo. W kilku susach pokonał drogę, złapał chłopa za koszulę i przyciągnął do siebie.

– Zamknij pysk, niemoto! – warknął w przerażoną twarz. – Albo inaczej pogadamy.

Pchnął z obu ramion, odwrócił się i poszedł w las.

Stojący w progu Dobek popatrzył za bratem, potem spojrzał na gramolącego się z ziemi Goluba. Ki czort? Dawno nie widział, by Gozd rzucił się z łapami.

Kiwnął głową ku sąsiadowi.

– O co poszło? – zapytał.

– O twoją – odburknął chłop.

* * *

Wozy jechały niespiesznie traktem, skrzypiąc i turkocząc na wyschniętej ziemi. Mężczyzna na pierwszym koźle żuł źdźbło trawy. Woźnica drugiej fury drzemał, zdając się na siedzącą obok dziewczynę. Czas wlókł się niemiłosiernie.

Za parę dni powinni dotrzeć do przeprawy, jeśli nie zatrzymają się gdzieś na dłużej. Chłopi po obfitych żniwach byli wyjątkowo gościnni i nie szczędzili jadła ani napitku. Żal było nie brać, kiedy dawali. Co się obżarli i opili, to ich. Gdyby nie tęsknica za wędrówką i nieznanym, która pchała do przodu, mogliby osiąść w jakiej wsi.

Wałachy szły ze zwieszonymi łbami, wbijając podkowy w piach. Psotnik wiatr podrywał pył, tańczył między osiami fur.

Szło na deszcz. Przez cały dzień z północy ciągnęły skłębione i ciemne chmury.

Pod wieczór spadły pierwsze krople, ciężkie i duże. Żłobiąc dziury w pyle drogi, zadudniły niczym dobosz na bębenku.

Wozy zjechały z traktu w brzezinowy zagajnik.

– Zostajemy na noc? – ni to stwierdziła, ni zapytała dziewczyna.

– Zostajemy – potwierdził mężczyzna z pierwszej fury, zeskakując z kozła.

Dziewka z karłem schowali się pod budę. Pokurcz skrzesał ogień i zapalił lampę, po czym przysunął ją do skulonej w kącie branki. Mimo potarganych włosów, a także więzów na rękach i nogach, nic nie straciła ze swej urody.

Wciąż kusiła gładkim licem i ślepiami, w których można było się zatracić. Piersi ledwie mieściły się pod przyciasną koszulą.

Konus zwilżył wargi.

– Jak ci się leży? – zapytał. – Nie uwiera co aby?

Dziewczyna odwróciła głowę.

– Jam ci nie wróg – mruknął. – Przywykniesz. Zobaczysz, dobrze ci z nami będzie.

– Świat poznasz – dorzuciła Inka. – Cudeńka takie, że oko bieleje, gdy się na nie patrzy. Nie to, co w chacie miałaś. Książęta kłaniać ci się będą. Liściki miłosne słać, zaproszenia, podarki wszelakie. Ho, ho. Ładnaś, to i starających mieć będziesz tylu, że się nie opędzisz. Ale nie bój nic. Jak któryś łap nie strzyma, Kosma łby pourywa, nim się spostrzegą. Nie tak, Bratko?

– Ano – przytaknął skwapliwie konus. – Z Kosmą zadrzeć to jak Panu Bogu na odcisk nadepnąć. Łapciem przygniecie, zdusi i po bohaterze.

– Coś taka markotna? – Inka przysiadła obok Dziewanny. – Krzywda ci się jaka stała czy co? Nawet jednego sińca nie masz, choć żeś Bratka zdrowo obiła. Dwie będziemy. Kuglarskie życie ciekawsze od chłopskiego. Jeszcze nam podziękujesz.

– Nigdy.

– O, jak chcesz, to i mówić umiesz. Czego ci żal? Matuli, ojca? Roboty w polu? Mało to się karku nazginałaś? A u nas zatańczysz, kiecką zawiniesz, uśmiechniesz się do jakiego wielmoży i grosz sam spłynie do sakwy. Potem kupisz sobie,

co zechcesz. Korale, bransolety, spódnice, zapaski. Wszystko. O nim też w końcu zapomnisz.

Dziewa ryknęła płaczem.

– No, czego? – Inka przesunęła dłonią po plecach młódki. – Cichaj, cichaj.

Karzeł ułamał z bochna słuszny kawał, wbił zęby. Gapił się rybimi ślepiami na skuloną dziewczynę, wzdychając ciężko. Uwierało go w kroczu tak, że usiedzieć nie mógł. Miał ją gołą na rękach i już wtedy ledwie strzymał chuć. Dwa razy rymnął w krzaki, tak się na cycki i łono zapatrzył. I liczko śliczne jak malowane. Inka uchodziła za ładną, lecz do Dziewanny było jej daleko. Oj, daleko. Jak jezioru do morza.

Nie skorzystał. Najpierw ze strachu, że dziewka się przebudzi i będzie krzyczeć, a potem, jak otworzyła oczy i zaczęła go walić piąstkami po gębie, musiał jej usta zatkać i tak drałował do wozu, bojąc się, że ktoś ich zobaczy lub usłyszy. Aż dech wtedy stracił.

A teraz gryzł go żal, a nawet złość. Kosma zakazał tykać, a słowo Kosmy rzecz święta.

Zresztą przysięgali sobie. Klęli się na krzyż. Kładli ręce na Graalu, a potem pili z kielicha własną zmieszaną krew. Bracia na wieki.

Czyjaś ręka odsunęła płachtę. W pełgającym świetle lampy pokazała się twarz Kosmy.

– Jak tam? – zapytał były woj, patrząc na brankę. – Gada?

– Nie – odparła Inka.

– Nakarmcie ją. Przyzwyczai się. Ma czas.

I znikł.

– Słyszałaś? – mruknęła Inka. – Masz zjeść. Bratko, dawaj chleb.

Karzeł odkroił pajdę z napoczętego bochna i podał. Skulony w swym kącie, przyglądał się, jak Dziewanna je. Śledził ruchy ust, dłoni, rąk, powiek. Patrzył na rozszerzające się przy oddechu nozdrza, unoszące się piersi, słomiane włosy i lekko spiczaste uszy.

Wzdychał.

Mógł ją mieć. Wtedy nad jeziorem.

Po raz pierwszy od lat, gdy spostrzegł swe odbicie w oczach dziewki i ujrzał jej przerażenie, zabolała go świadomość ułomności, z której niekiedy był dumny.

Kalectwo otworzyło przed Bratkiem świat. Zamknęło jedne drzwi, lecz uchyliło inne. Po spotkaniu Kosmy uwierzył, że do lepszego życia. W śmiechu gawiedzi nie doszukiwał się pogardy, a jedynie zwykłej radości. Śmiech był nagrodą za trud.

Aż ujrzał ją.

* * *

Dziewanna żuła powoli i przełykała z trudem. Po tym, co zrobili z Sobieradowym wojem przed dwoma dniami, zamknęła się w sobie, ucichła. Przestała pytać, wyrywać się i krzyczeć. Kazali jeść, jadła. Wyganiali za potrzebą, szła w krzaki. Pokonała nawet wstyd wypróżniania się przy Ince.

Gdy do oczu napłynęły łzy, ocierała je rękawem i zaciskała zęby.

Tylko myśleć nie mogła przestać. Stanisz stawał jej przed oczyma jak żywy. Brat Dzierżek, mać, ojciec. Nawet Gozd i ich ostatnia rozmowa. Nie posłuchała stryja. Miłowała Stanisza nad życie. Nie mogła odejść. Łudziła się, że jakoś się ułoży. Bóg dopomoże.

Ech, dziewczęca naiwność.

Tyle razy wymykali się z wioski…

Czy miłowanie mogło być grzechem? Czym był grzech?

Wit tłumaczył, a przed nim ojciec Jan, że jest to wystąpienie przeciw Bogu, sprzeniewierzenie się bożym przykazaniom. To zło, za które przyjdzie odpowiedzieć na Sądzie Ostatecznym. Błogosławieni dostąpią królestwa niebieskiego, potępieni piekielnych czeluści.

Łzy napłynęły do oczu Dziewanny. Miłowali się, nie występowali przeciw Bogu. Gdzie tu grzech?

Chleb stanął gulą w gardle. Przełknęła z trudem. Jeszcze niedawno miała buzię pełną malinowego nasienia. Z podkasaną spódnicą biegała po lesie, pluskała się w jeziorze.. A teraz je to, co da ten obrzydliwy karzeł, wysłuchuje jego gadek i wdycha dławiący zapach.

Na początku myślała, że Inka jest inna. Szybko zrozumiała, że nie.

Gdy wrzucili na wóz owego woja, co go potem sprawili jak wieprzka, to Inka krępowała mu ręce i nogi. Później zaś piła jego krew. Była najgorsza ze wszystkich.

Kosmę widziała dwa razy. Podobnie linoskoczka Czabora i połykacza ognia Niestka, którzy zdawali się w ogóle jej nie dostrzegać. Wszyscy trzej jechali pierwszym wozem, lecz o ile Kosmie zdarzało się zajrzeć pod budę, tamci dwaj nie czynili tego w ogóle.

Kuglarze, przeklętniki, łotry, zbóje.

Na samą myśl, że będzie z nimi żyć, przechodziły Dziewannę zimne dreszcze. Wypatrywała sposobnego momentu, ale dobrze pilnowali. Nawet na postojach nie ściągali jej więzów, a karzeł nie odstępował na krok, jakby mu zrobiła jaką krzywdę. Wciąż gapił się rybimi ślepiami, oblizywał się i mlaskał. Aż drżał, kiedy znalazł się blisko. Ruszał nozdrzami niby dziki zwierz, wiercił się, przebierał nogami, grzebał w portkach. Podlec. Szczęściem Kosma zakazał, by którykolwiek ją tknął.

Nie rozumiała, dlaczego. Była branką i spodziewała się najgorszego, tymczasem traktowali ją znośnie. Inka dała starą koszulę i spódnicę. Zagadywała, próbując pocieszyć. Żmija.

Ech, Stanisz… Jam już nie dla ciebie…

– Czego znów buczysz, głupia? – zapytała kuglarka. – Za miłym tążysz? Im szybciej zapomnisz, tym lepiej. Nie po to cię Kosma na wóz wziął, żeby oddać. Ciesz się, że Bratko się ulitował i ci chłopa nie poharatał. Jak mądry, to znajdzie sobie inną, a ty innego. Pół światu tego kwiatu, zobaczysz. Przywykniesz. No, nie bucz, bo liczko spuchnie i nikt się nawet nie obejrzy. A jeszcze Kosmę zezłościsz. Stary musi mieć jakiś zamysł co do ciebie, bo nie takie jak ty w rzekach

spławiał albo w przerębli topił. Pamiętam, jak ze trzy lata temu też taką dziewkę schwycił. Cięgiem próbowała zwiać, aż jak żeśmy się przez rzekę przeprawiali, skoczyła głupia do wody, nurt ją porwał i byłaby się utopiła, gdyby nie Bratko. Wyciągnął ją na brzeg, musiała się jednak wody opić, bo we łbie się jej pomieszało i zgłupiała jeszcze bardziej.

– I co? – zapytała Dziewanna.

– Ano, zostawiliśmy ją, bo była niezdatna do niczego. Teraz pewnie gnije w ziemi. Kto by chciał brać garb na plecy? Tedy patrz, żebyś sama tak nie skończyła. Kuglarskie życie lepsze od niejednego. Zobaczysz. Nie tak, Bratko?

– Nie inaczej, nie inaczej – przytaknął śpiesznie karzeł. – Gawiedź ma wielki szacunek do sztuki kuglarskiej. A jak dobry rok, plony obfite, potrafi się szczodrze odwdzięczyć. Biedy nie zaznasz. Bylebyś tylko słuchała, co Kosma każe. A mnie nie wiń, żem cię schwycił. Krzywda ci się żadna nie stała.

– Brzydki on – dodała Inka – ale serce ma złote. Jeszcze się przekonasz, że nie ma lepszego kompana nad Bratka. Rozśmieszy, pocieszy, a jak trzeba, to i na ręce weźmie. Łatwo mu, bo ma łapy jak bochny chleba.

Dziewanna zerknęła na pokurcza. Wciąż siedział w kącie, gapiąc się rybimi ślepiami. Czart jeden wiedział, co mu chodziło po głowie. Mówił gładko, ale czy nie krył czegoś pod maską kalectwa? Malował się przed występem, stroił miny do zwierciadła, powtarzał na głos wersy Biblii,

którymi potem raczył widownię. Doskonale grał swą rolę. Jak oni wszyscy.

Nigdy nie zapomni tego, co ujrzała przyklejona do szpary między dechami, po tym jak Niestek i Czabor wywlekli Sobieradowego woja. Z dłońmi przyciśniętymi do ust, by powstrzymać krzyk, patrzyła, jak Kosma bez zająknięcia wyrywa ofierze serce, Inka podstawia pod wisielca kielich, a pozostali mruczą święte psalmy.

Gdy po ludożerczej uczcie Bratko właził na wóz, wciąż miał w kącikach ust świeżą juchę.

I ona miała im uwierzyć? Dać życie? Swą młodość i miłowanie?

Podsłuchała, że jadą na przeprawę. Dobrze. Przyczai się, poluźni więzy. A potem zda się na bożą łaskę. Pływała jak bóbr. Jeśli się karzeł w porę nie spostrzeże, może mu umknie. A jak nie, lepsza śmierć albo kalectwo niż kuglarstwo.

Ech, Stanisz, Stanisz… Przysięgałeś, że nigdy nie zostawisz. W ogień pójdziesz, przeciw ojcu i grodowemu klesze. Gdzieżeś się zapodział? Nie ma cię, kiedyś potrzebny.

– No, cichaj, bekso. – Inka nie mogła się nadziwić, skąd tyle łez. – Płaczem doli nie odwrócisz.

– A jeszcze jakie licho ściągniesz – dorzucił karzeł. – Na burzę się zbiera. Lepiej nie kusić złego.

Dziewanna milczała.

* * *

Grądy. Tylko jedno młodzik miał w głowie. Dojść na miejsce, wypytać chłopów, odnaleźć polanę, na której zbóje sprawili Krupa. Musiał zostać ślad, plama krwi, cokolwiek. Pójdzie tropem z nosem przy ziemi, nie odpuści. Byle deszcz nie spadł.

Chmurzyło się od samego rana.

Parę staj od grodu Stanisz natknął się na jadącego wozem chłopa. Od niego dowiedział się, że dobrze idzie. Pierwsze pół mili przebiegł. Zziajał się, zgrzał, kolka zaczęła kłuć w boku. Musiał przystanąć, by odetchnąć.

Odpoczywając, sam siebie karcił za głupotę.

Przeżegnał się kilka razy, nim ruszył dalej. Zacisnął zęby i już nie gnał na złamanie karku. Jeśli Dziewanna była gdzieś tam, to z pomocą bożą ją odnajdzie. Wierzył, że tak. Wspomnieniami wspólnie spędzonych chwil odpędzał ponure myśli.

Przysiągł, że nigdy jej nie opuści, uchroni przed złem, przed ojcem i zawistnymi spojrzeniami, przed klechą. A tymczasem… Łzy kręciły się w oczach.

Wiał coraz silniejszy burzowy wiatr.

* * *

Deszcz zdybał Stanisza na skraju wsi i porządnie zmoczył, zanim chłopak dopadł najbliższej chałupy i załomotał w drzwi.

– Kto tam? – Najpierw doleciał głos, a po nim pokazała się rozczochrana głowa.

– Z Bogiem, gospodzinie – rzucił chłopak.

– Z Bogiem. – W odpowiedzi nie było czuć sympatii.

– Przyjmiecie pod dach?

Chłop obejrzał młodzika.

– Gość w dom, Bóg w dom – odparł, cofając się w głąb izby.

Stanisz wszedł za nim, pokłonił się w progu i pozdrowił z Bogiem. Przy kołowrotku siedziała kobieta, na polepie opodal komina bawiła się wystruganym z drewna ptaszkiem trójka dzieci. Pod ścianą kiwała się babuleńka.

– Siądźcie – zaprosił gospodarz, wskazując ławę pod ścianą, i rzucił do baby: – Rusz się, stara, gość głodny – rzucił i znów zagadnął Stanisza: – Z daleka to?

Chłopak starł deszczówkę spływającą z czoła do oczu i siadł opodal komina. Całą drogę dumał, co rzec w Grądach. Ci dwaj, co przywieźli trupa, cięgiem gadali o wąpierzu. Ponoć pod wisielcem znaleźli ledwie kilka kropel krwi.

– Z Sobieradowego grodu – odparł. – Gdzieś tu woja ubili. Prawda to?

– Ano prawda. Włodarz cię posłał? Nie wyglądasz na drużynnika.

– Krup był mi stryjem. Bogu przysiągłem, że odnajdę zbójów. Potrzebny mi ktoś, kto wskaże miejsce, gdzie to się stało.

– Aaa… – burknął chłop.

– Pomożecie?

– Dziś już późno. Burza idzie. Nie lza po nocy iść w las.

– Wszelako – jęknął chłopak, czując, że mu się łza w oku kręci – nie odmówicie?

Gospodarz popatrzył spode łba. Widać było, że nie w smak mu poszła prośba. Wahał się, co odpowiedzieć.

– Był mi lepszy niż ojciec – mruknął Stanisz. – Nie popuszczę tym, którzy go ubili.

– Głupiś. Woj nie dał rady, a ty, smard, dasz, a? Gołymi rękami? Umu zbyłeś?

– Możem i zbył. Dziewkę mi porwali, a stryja ubili.

Chłop siadł naprzeciwko gościa. Patrzył i dumał. Żal mu się zrobiło młodzika. Był na polanie, widział trupa. Ledwo poznał, kto zacz. Dopiero jak Niemir rzekł, że to Krup, Sobieradowy zaufany, przyjrzał się wyschniętej twarzy i dostrzegł podobieństwo.

– Ano, rodowa to sprawa, nie inaczej. Zaprowadzę cię.

Kobieta postawiła na stół michę, doniosła kubek z wodą. Gość chwycił łychę, zaczerpnął kaszy i wepchnął do ust.

Deszcz bębnił o strzechę, a wiatr wył w kominie i jęczał między balami.

* * *

Rankiem chłop obudził Stanisza i po szybkim posiłku, wcisnąwszy chłopcu węzełek na drogę, poprowadził przez las. Nie padało, lecz niebo wciąż było zachmurzone. Z drzew sypał się deszcz zimnych kropel.

Polana przylegała do traktu. Na jej skraju, przy lesie, rósł rozłożysty dąb i dlatego pewnie tu łotrzykowie zabili

Krupa. Grube gałęzie w sam raz nadawały się, by powiesić ciało i je sprawić.

Stanisz obszedł drzewo, obmacał korę, potem zgięty wpół okrążył polanę. Odkrył kilka krzyżujących się ze sobą kolein i sczerniały krąg po ognisku.

– Dwa wozy – mruknął do siebie. Mimo nocnej ulewy ślady były dobrze widoczne. Fury musiały być mocno obciążone.

– Dokąd wiedzie trakt? – zapytał.

– Na Głogów – odparł chłop.

– Daleko to?

– Pieszo? W jedną niedzielę powinieneś dojść.

– No to bywajcie. Z Bogiem! – Chłopak skoczył na drogę.

Chłop popatrzył za nim i pokiwał głową. *Narwaniec* – pomyślał. *Wąpierzowi nie dasz rady*. Przeżegnał się i poszedł w las. W chałupie czekały baba i dzieciska.

Staję dalej Stanisz zwolnił. Znalazł trop i gnało go, lecz po wczorajszej przebieżce czuł sztywność w nogach. Nie nawykł do forsownego marszu.

Zbóje mieli trzy dni przewagi, dużo. Jeśli jednak jechali w dwie fury, to zapewne robili postoje, by dać wytchnąć szkapom, a on na nocleg zatrzymywać się nie zamierzał. Byle trochę snu podłapać. Miał też tę przewagę, że wiedział o nich, a oni o nim nie. Łudził się, że trafił na trop, który doprowadzi go do Dziewanny. Nie wiedział, co innego może zrobić, by dowiedzieć się o losie lubej.

Gdy tylko wspominał o wodniku albo napomknął, by raz jeszcze skłuć jezioro bosakami, ojciec patrzył na niego jak na wariata.

– Głupiś – tyle miał Gozd do powiedzenia.

Stanisz siadał pod ścianą, krył głowę w dłoniach i zaciskał powieki, by powstrzymać łzy. Przez trzy dni i noce nie zmrużył oka, aż zmęczenie zwaliło go z nóg. Gdy się obudził, chwycił, co wpadło w ręce, i pognał do grodu. Miał dość myślenia i czekania na cud.

Człowiek grododzierżcy nie wrócił się do Brzezin, a to zrodziło w Staniszu nadzieję, że Dziewa żyje. I że nie wodnik stał za jej zniknięciem.

Nie potrafił sobie odpowiedzieć, kto, lecz może to i lepiej? Bo a nuż samemu Bogu nie spodobała się ich grzeszna miłość? Nie bez przyczyny diakon towarzyszył Krupowi.

Krysta bali się wszyscy.

Młodzik przeżegnał się i obejrzał za siebie. Popatrzył w niebo. Byle między ludzi – pomyślał. Wygrzebał z węzełka kawał chleba, ugryzł i schował na później.

Odnajdę cię, miła. Na końcu świata, w niebie albo w piekle. Wykradnę cię Szatanowi, wyrwę z rąk Boga. Ani zastępy anielskie, ani hordy diabelskie nie staną mi na przeszkodzie.

* * *

Głogowa.

– Prrr, malutki! – Kosma ściągnął lejce, zatrzymując wałacha. Przeżegnał się i ucałował zawieszony na szyi krzyżyk. Nareszcie. Zabawią parę dni, albo i dłużej, jak Bóg da, i pojadą dalej. Mimo hojności chłopów jak wilka do lasu ciągnęło ich do miast. Do szynków pachnących piwem i miodem, do rozbrykanego towarzystwa. Poza tym im większy gród, tym więcej datków i kwatery do spania zacniejsze. Odpoczną, pohałasują, a jak się znajdzie chętny i ochota do bitki, sprawią zapaleńca.

Bratko stanął na koźle, przeciągnął się, aż coś strzeliło w kościach. Po trzech dniach deszczu, telepania się na wybojach i spania na deskach wozu marzył o przytulnej izbie z miękkim legowiskiem. O ogniu trzaskającym w kominie i dławiącym zaduchu szynków.

– Co tam? – Inka wyjrzała z budy. – Jesteśmy – odpowiedziała sama sobie i znikła z oczu karła. – Dojechaliśmy – rzekła do Dziewanny. – Rozprostujesz kości. Ludzi zobaczysz. Tylko pamiętaj: spróbujesz uciec albo co, to Kosma obedrze cię ze skóry. Mówiłam ci. Lepiej z nim nie zadzieraj, bo gorzko pożałujesz. Znałam takie, którym się wydawało, że modlitwą wywiną się śmierci. Pojmujesz?

Branka skinęła głową.

– Pojmuję – odparła.

– To dobrze. Bo wiesz, co? Polubiłam cię odrobinkę. Głupiutka jesteś, ale się wyrobisz. A jak już przywykniesz, może Kosma da ci się napić z Graala? Kto wie?

– Nie chcę – szepnęła Dziewanna, mając w pamięci krwawą ucztę z polany.

– Głupiaś. To kielich z Ziemi Świętej. Ten sam, w który zebrano krew Chrystusa, a potem pili z niego apostołowie, by czynić wszelakie cuda. Kosma mówi, że ten, kto z niego pije, będzie żyć wiecznie.

– A skąd go ma?

– Był na wyprawie przy grobie Jezusa. Nie chce o tym mówić, ale czasem coś mu się wymknie. Bratko wie więcej, choć też się nie chwali. O, Kosma to pan. Czytać i pisać po łacinie umie.

Wozem szarpnęło, poturlał się rozmokłą drogą, zostawiając za sobą dwie głębokie koleiny.

Inka siadła przy Dziewannie. Bratko pogwizdywał na koźle.

* * *

Miasto otoczyło Stanisza zgiełkiem, ciasnotą i kałużami. Po trzydniowym nieprzerwanym opadzie ziemia nie zdążyła wchłonąć nadmiaru wody i tam, gdzie drogi nie były wyłożone kamieniem, błocko sięgało po kostki.

Wszedłszy przez bramę, młodzik przeżegnał się, polecając duszę Bogu. Przeraził się, widząc ludzki tłum ciągnący we wszystkie strony, lecz wiedział, że nie ma odwrotu i musi stawić temu czoło. Gdzieś tu…

Luba moja…

Zagapił się i omal nie wpadł pod konia. Nagły kopniak zwalił go z nóg. Zarył rzycią w błoto.

– Niemota! – usłyszał nad głową wściekły głos i koński ogon przejechał mu po twarzy. Nim zdążył się podnieść,

jeździec zniknął w bramie.

Ktoś zaśmiał się, ktoś inny obejrzał, jakiś dzieciak wystawił język, dwie przechodzące opodal dziewki zakryły liczka. Nikt jednak nie wyciągnął ręki, by pomóc.

Stanisz podniósł się powoli i na ile mógł, starł błoto z portek. Zachciało mu się, ech. Niemota – tak krzyknął jeździec. Gdyby tylko dostał go w ręce, pokazałby mądrali, gdzie raki zimują. Jak widać, drużynnicy wszędzie byli tacy sami. Pierwsi do bitki czy wypitki i grubiańscy do obrzydliwości.

Ruszył naprzód, obiecując sobie, że następnym razem nie da się tak poniżyć. Był chłopem, nie rabem.

Rozglądał się, szukając czegoś, co naprowadziłoby go na jakiś ślad. Wpatrywał się w twarze mijanych ludzi, zaglądał na przejeżdżające obok wozy, podchodził do tych, które stały bezpańsko pod ścianami. Najpierw pośpiesznie, jakby ktoś go gonił, potem coraz wolniej.

Nagle doszło do niego, że nic nie jest tak proste, jak mu się wydawało w dniu, gdy opuszczał Brzeziny. Tam był u siebie, tu zaś wszędzie obcy. Nie miał pojęcia, kogo mógłby poprosić o pomoc.

Zaczynał się bać, że nie tylko nie odnajdzie lubej, ale i sam przepadnie. Podążający we wszystkich kierunkach tłum przypominał ławicę ryb lub wezbraną rzekę. Woje, kupcy, mieszczanie, żebracy, chłopi. Niewiasty ciągnące wrzeszczące dzieci, straganiarze nawołujący do kupna towaru, biedacy proszący o datek.

Jak w tej rozbrykanej ciżbie znaleźć kogokolwiek?

Pod wieczór chłopak natrafił na stajnię przy szynku. Siadł na kupie siana i wyciągnął ostatni okruch chleba. W kościach czuł zmęczenie minionych dni. Spał tyle, co nic, jadł niewiele więcej. Na stopach od marszu i wody porobiły się pęcherze. Porozrywał bąble, lecz i tak szło mu się trudno, bo rany nie chciały się goić.

– Hej, ty!

Stanisz podniósł głowę. Spojrzał w stronę, z której dobiegł głos.

– Coś za jeden? – zapytał oparty o wrota pachoł.

– Bo co?

– Bo się pytam.

– A ty kto, że się pytasz?

– A ty kto, że nie odpowiadasz? Pierwszy pytałem.

Stanisz wstał. Otrzepał się z siana i odwrócił, by odejść. Był zbyt zmęczony na sprzeczki.

– Hej, nie gonię cię. Możesz tu zostać – rzucił nieznajomy. – Jam ci nie wróg. Pierwszy raz w Głogowie

– Ano. – Stanisz zatrzymał się po dwóch krokach. Po prawdzie to nie miał dokąd pójść, a ten człek nie wyglądał groźnie.

– Z daleka?

– Z Brzezin. A ty kto?

– Jędrek, stajenny, bydląt pilnuję. Podejdź no, nie będziemy się przekrzykiwać. W stajni cieplej. Siądziemy na sianie.

Stanisz dumał chwilę. Pachoł nie wyglądał na zbója. Był niższy o pół głowy, chudy i szczerbaty, starszy nie więcej niż

o dziesięć wiosen. Do tego kulał na lewą nogę.

W szopie było ciepło i przytulnie. Przy wejściu rudawy kot wylizywał sierść, w zagrodach stały konie, dalej kozy, wół. Był też pies, który widząc obcego, podbiegł i zawarczał ostrzegawczo.

Jędrek położył dłoń na łbie Burka.

– Swój, swój. Siad. – Kiwnął głową na gościa. – No, chodź. Krzywdy ci nie zrobię. We dwóch milej się siedzi, samemu nudno.

– Nie strach ci obcego pod dach brać?

Pachoł parsknął śmiechem i nagle zamachał nożem przed oczami Stanisza.

– Nie takich jak ty sprawiałem – pochwalił się. – Myślisz, że szynkarz dałby kpa do pilnowania dobytku? Nie byle jacy woje zostawiali tu konie. Ale ty nic się nie bój. – Nóż powędrował za pasek pod koszulą. – Chyba żeś zbój albo rab.

– Miłej szukam – odburknął zaskoczony pokazem młodzik, nie bardzo wiedząc, co odpowiedzieć. – Żaden ze mnie zbój, zwykły chłop.

– To i widać. Siądźmy. A ta miła to kto? Zemknęła ci przed słowem czy po?

– Wodnik ją porwał.

Jędrek otwarł gębę i nagle zaniósł się śmiechem, aż konie zaczęły rżeć niespokojnie i walić kopytami. W głębi zaryczał wół, zabeczały kozy.

Stanisz oparł się o bal i osunął się powoli na siano. Podkurczył nogi i wsparł czoło o kolana.

– Ano – szepnął. – Ano.

Co mógłby rzec więcej? Choć sam stracił wiarę w wodnika, innej prawdy nie znał.

– Niech cię czarci – sapnął Jędrek, ocierając ślozy. – Sam żeś to wymyślił?

– Co ty tam wiesz.

– Nie złość się. – Pachoł klapnął na siano obok Stanisza. – Mnie tam jedno, bacz tylko, żeby nie opowiadać o tym każdemu, bo cię wezmą za głupka. A pośmiewiskiem, mniemam, byś nie chciał być, co?

– Widziałem maszkarę jak ciebie.

– Nie przeczę, żeś widział. Tylko nie każdemu takie gadki pójdą w smak. Jakby się nasz księżulo o tym zwiedział, ho, ho. Nie wywinąłbyś się od kijów. Mnie rzec możesz, ale drugiemu nie radzę. Jezu Kryst mocny Bóg. – Jędrek przeżegnał się pośpiesznie i dodał: – Jak się wygadasz, będzie ci lżej. Cała noc przed nami.

– Lepiej dałbyś co zjeść. Głodnym okrutnie.

– Racja. – Pachoł poderwał się na nogi. – Gość w dom, Bóg w dom – rzucił i wypadł ze stajni, jakby go wilcy gnali.

Stanisz westchnął tylko i ledwie podniósł głowę.

* * *

Szare chmury ciągnęły niebem na południe.

Gozd zatrzymał się i rozejrzał, oparł się o pień. Pół dnia biegł. Odpocząłby, lecz czas naglił. Na szczęście las się przerzedził, a gdzieniegdzie brązowiły się karcze ściętych drzew, zatem musiał być niedaleko.

Po opuszczeniu Grądów parł na przełaj mokrym lasem. Sypiał w wykrotach, na ściętej faszynie, pod byle jakim zadaszeniem, aby tylko na głowę nie leciało. Odwykł od wojackiego życia, mimo to ani mu przez myśl nie przeszło, by iść traktem.

Wyliczył, że jeśli nic nie stanie na przeszkodzie, do Głogowa powinien dojść w tym samym czasie co Stanisz lub dzień po nim. Z tego, co rzekł mu chłop, i ze śladów pod dębem wywnioskował, że tylko tam mógł skierować się chłopak.

Od Brzezin Gozd pluł sobie w brodę, że pozwolił synowi opuścić wieś. Nie przyszło mu do głowy, że wyrostek tak się zbiesi. Osiemnasta wiosna szła pierworodnemu. Miłowaniem można się zarazić, ale głupim trzeba się urodzić.

Może gdyby maci Stanisza nie zagryzły wilki, gdy jej mąż poszedł z księciem na wyprawę, wszystko potoczyłby się inaczej. Może mając przy boku połowicę, Gozd nie pchałby łap do Krasy? Kto wie? Albo zauważyłby, że przyjaźń między młodymi przekroczyła granicę?

Wymawiał sobie głupotę i parł naprzód. Stracił żonę, pierworodnego nie mógł, po prostu nie mógł. Mimo iż nie uważał się za zgrzybiałego dziada, nie ciągnęło go do żeniaczki, a tym bardziej do dzieci. W młodości lubił pouzywać babskiej słabizny i brał, co mu podeszło pod lędźwie, lecz ostatnimi laty oklapł i stracił wigor.

Las przerzedził się, pojawiły się karcze po ściętych drzewach i wykroty z kłującymi niebo obumarłymi

korzeniami, ścieżki wydeptane ludzką stopą.

Przyspieszył i po przejściu dwóch staj wyszedł na pole, za którym leżał gród. Zatrzymał się i przeżegnał.

Doszedł, lecz najtrudniejsze było jeszcze przed nim.

* * *

Stanisza obudziło parskanie. Uniósł głowę, nadstawiając uszu.

Jędrek wyprowadzał konia. Gadał z kimś, choć równie dobrze mógł mówić do bydlęcia. Stanisz nie rozumiał słów. Łeb mu pękał od niewyspania.

Nie wsłuchiwał się – uznał, że to nie jego rzecz. Wdzięczny był stajennemu, że wziął go pod dach i nakarmił. Był tak głodny, że z wieczora wtrząchnął michę kaszy ze skwarkami i parę pajd chleba. Objadł się za wszystkie czasy. Tak jak wcześniej skręcało go z głodu, tak później z przejedzenia. Ledwie dopadł dziury, do której załatwiał się pachoł.

Potem opowiedział o spotkaniu z wodnikiem i o poszukiwaniach porwanej, które zaprowadziły go do miasta.

Jędrek drapał się po kudłatym łbie i mruczał coś pod nosem, aż rzekł:

– Widziałem tu takiego, który pasowałby jak ulał. Przejdziemy się jutro na plac, pokażę ci pokrakę. Istny wodnik: łapy wielkie, ślepia żabie. I silny jest nad podziw, choć z garbem na plecach. A dziewka przy nim krasna tańczy, aż patrzeć wstyd, takie się w łepetynie zdrożne

myśli lęgną. Choćby pogadać z taką, to już lżej na sercu. Ech, jednemu Bóg szczęści, drugi schnie z tęsknicy.

Stanisz słuchał jednym uchem, dumał nad dolą. Bo gdzieżby wodnik tu, na suchej ziemi, z dala od wody, między ludźmi jak swój?

Wieczorem, kiedy zasnął, przyśniła mu się Dziewa jak malowana. Cały dzień, który spędzili ze sobą nad jeziorem, przewalił mu się przez głowę. Wiercił się i jęczał, próbując schwytać marę. Calusieńką noc ją gonił, dlatego obudził się zmęczony i zły.

Siadł, słysząc kroki.

– Ano, dawaj – rzucił stajenny. – Pójdziemy kuglarzy obaczyć. Bać się nie ma czego, a jakby co… – Poklepał się po ukrytym pod koszulą nożu. – Burek z Semkiem bydląt popilnują. – Wskazał stojącego z tyłu chłopaka.

Stanisz wstał i otrzepał się z siana i błota, które przez noc zaschło skorupą na portkach.

– Obmyjesz się, jak wrócimy – ponaglił Jędrek, zawracając na pięcie. – Wody u nas dostatek, choć wodnika brak.

Gość skinął głową i bez słowa poszedł za gospodarzem.

Dopiero na zewnątrz Stanisz zorientował się, że przespał pół dnia. Dochodziło południe. Między chmurami przeświytywało słońce.

Jędrek pogwizdywał wesoło. Raz za razem zerkał na idącego obok młodzika. Jak tylko ujrzał przybłędę, ukłuło go coś w boku. Przydałby się druh, bo mu się w stajni ckniło niemiłosiernie, a szynkarz miał twardą rękę. Gdyby nie to,

że nie miał się gdzie podziać i lubił konie, poszedłby w świat.

Ulica, uliczka, przesmyk między składami. I rynek, gdzie w zaułku obok straganów rozsiedli się kuglarze.

– Tam. – Stajenny wyciągnął przed siebie rękę. – Jak malowany.

Stanisz spojrzał i zamarł. Na koźle ustawionego pod ścianą wozu stał karzeł. Pokraczny i brzydki jak sam diabeł, z wybałuszonymi nienaturalnie ślepiami. Walił pałeczkami w bębenek i darł się do nielicznej gawiedzi, zachwalając tańczącą dziewkę i żonglera.

Jędrek pociągnął młodzika za koszulę. Podeszli bliżej.

– Jej się przypatrz – rzekł pachoł, zatrzymując się przy stole garncarza. – Nie ona to?

Dziewczyna kręciła się jak fryga, wywijając ramionami, tylko kosy latały wokół głowy. Ładna była, lecz nie tak jak Dziewa.

– Nie – burknął Stanisz, wpatrując się w pokurcza.

– Ale niczego sobie dzierlatka, co?

Młodzik nie odpowiedział. Czy ów konus mógł porwać mu miłą? A potem próbował jego wciągnąć w topiel? Mimo swej brzydoty kurdupel nie wydawał się groźny. Ot, ktoś go pewnie przeklął i urodził się ułomny. Był raczej śmieszny, zwłaszcza gdy waląc w bębenek, podskakiwał na koźle. Dzieciarnia śmiała się w głos na widok tych wygłupów.

Nagle karzeł wywinął fikołka i spadł obok dziewczyny, chwycił ją w talii i uniósł nad głowę. Zakręcili się w szalonym tanie.

– I jak? – zagadnął stajenny, zerkając na towarzysza. – Podobny? Ej, coś się tak zapatrzył? Niby lubej szukasz, a na inną ślepisz, jakbyś baby na oczy nie widział.

– Nie na nią patrzę.

– Akurat. Dziewka śliczna jak malowanie. Piersiasta, dupiasta, a jak kosami zakręci, ech, a jak się uśmiechnie… Palce lizać.

– Gadasz tak, jakbyś nigdy dziewki nie miał.

– A jakbym i miał, to co? Patrzeć nie grzech.

– Ech, ty.

– Co ja? Nie mnie wodnik miłośnicę porwał.

– Ano – zgodził się Stanisz.

Gapił się na karła. Czasem zerknął na Inkę i na kryte wozy. Dumał nad dolą. Czy kuglarze mogli stać za porwaniem? Słyszał, że gościli u Sobierada w tym samym czasie. Dwa dni i dwie noce stał na placu, dość się nasłuchał.

Tylko po co im Dziewanna? Do igrów? Gawiedź bawić?

– Niezgorsza dzierlatka – plótł Jędrek. – Chwycić taką w pasie, pociągnąć na siano i wymiętosić słabiznę. Ho, ho. Działoby się, oj, działo. Szkoda jej dla takiej pokraki. Jak chcesz, to zagadam, może i ona porwana? – zaproponował naraz.

– Nie wygląda na taką.

– Aha, ty się znasz. W lesie żeś był, drzewa widział. Gadasz jakbyś nie po dziewkę tu przylazł. Nie bój nic, zagadam, jak sama będzie.

– To idź.

Pachoł pokiwał głową. Już w dniu, kiedy ujrzał Inkę, miał ochotę rzec jej słowo, tylko jakoś wstyd mu było i powodu nie miał. Co innego z brzydkiej panny się pośmiać albo na siano zaciągnąć i ulżyć cierpieniu, co innego do takiej urodnej gębę otworzyć. Aż mu się trafił Stanisz z wodnikiem. Dziewka musiałaby serca nie mieć, żeby nie wysłuchać. A potem, kto wie… Na samą myśl dyszel stwardniał mu na kamień. Różnie dola plotła. Najważniejszy pierwszy krok. Zaśmiał się do siebie, zadowolony z pomysłu, i poklepał po plecach druha.

– Nie bój nic – rzekł. – Niech tylko dziewka od wozów odejdzie.

Nie czekali długo. W dwa kwadranse po tym, jak Inka znikła pod jedną z bud, ujrzeli ją znów, idącą między straganami.

– Zaczekaj tu – rzucił Jędrek.

Stanisz odprowadzał go wzrokiem, dopóki pachoł nie znikł w tłumie. Ot, ni z tego, ni z owego znalazł sprzymierzeńca w biedzie. Uśmiechnął się do siebie. Bóg dopomógł, nie na darmo się modlił. Może choć o kapkę przybliży go to do rozwikłania zagadki?

Z głodu zaczęło chłopakowi burczeć w brzuchu. Oczekiwanie przeciągało się. Jędrek przepadł i nie wracał. Stanisz zaczął się niecierpliwić. Jak długo można gadać z dziewką?

Aż podskoczył, czując czyjąś dłoń na barku.

– Tuś mi! – Stajenny zaśmiał się, rad, że przestraszył młodzika. – No, możemy wracać. Załatwione.

– Coś wskórał?

– Ano, zmówieni jesteśmy.

Stanisz aż się cofnął, zaskoczony wieścią. Na gębie Jędrka zagościł szeroki uśmiech.

– Z początku nie chciała gadać – zaczął opowieść – a i potem co raz oglądała się za siebie. Dopiero jak jej powiedziałem o tobie i całą resztę, odciągnęła mnie na bok i szepnęła, że musi się z tobą zobaczyć, bo ma coś ważnego do powiedzenia.

Stanisz schwycił Jędrka za ramiona.

– O Dziewie? – wydyszał.

– Nie wiem. Zmówiłem się, że będziemy czekać w stajni. Dała słowo, że przyjdzie, kiedy tylko karzeł zaśnie. Boi się go, bo ponoć knyp zna się na czarach i silny jest niezwykle. Tyle mi zdążyła rzec, bo już jej wyglądali. Odczekałem mało wiele na wszelki wypadek i oto jestem.

– Więżą ją?

– Ano. Mówiłem ci, że to podejrzana kompania.

– A jak nie przyjdzie?

– Co ma nie przyjść? Pod krzyżem się klęła.

– Pilnować jej mogą. Jak zobaczą, to po nas.

– Spokojna głowa. Pięciu ich ledwie, a tylko karzeł jest groźny. Reszta słucha się go we wszystkim.

– Jeśli z czartem się skumał…

– Coś widzę, że cię strach obleciał, co? O lubej zapomniałeś? I na czarta są sposoby. Krzyż, woda święcona, słowo boże.

Stanisz milczał.

Jędrek pogwizdywał wesoło. Takiej gładkiej jeszcze nie chędożył…

* * *

Gozd zatrzymał się na rynku, rozejrzał. Ludu co niemiara, straganów zatrzęsienie. Aż miło popatrzeć. Dawno nie był w Głogowie. Piętnaście lat? Synaczek miał ze trzy. Zmieniło się w mieście przez te lata, cegła i kamień wyparły drewno.

Przypomniał sobie Pragę, zamki nad Wełtawą.

Zasiedział się w Brzezinach, zdziadział. Przez pierwsze lata ciągnęło go w świat, tążył za bitką bardziej niż za babami. Jednak pierworodny rósł i rosła też Dziewanna. Miło było patrzeć na dzieci. Przywykł, zapomniał o wojackim życiu. Czasem, siedząc przy ogniu z bratem, wspominali dawne czasy i zasypiali w swych ramionach.

Spojrzał ponad ciżbą. Dostrzegł idącą przez targ Inkę, potem Kosmę przy wozach. Ruszył w ich stronę i nagle zamarł, schował się za stragan.

Na lewo od niego stał Stanisz. Mówił z kimś. Gołowąs wyglądał na niewiele starszego. Bez wątpienia gapili się na kuglarzy. Gozd otarł czoło, widząc, jak synowy druh idzie w tłum. Odczekał chwilę i poszedł w ślad za nim.

Minął się z Inką, przy straganie balwierza kucnął, kryjąc się za spódnicami przekupek i przed spojrzeniem dziewczyny.

Nie dosłyszał początku rozmowy. Zbyt duży rozgardiasz panował na placu, a za blisko podejść nie mógł. Przez to

omal nie stracił młodych z oczu. Na szczęście odeszli na bok.

– …dziewkę mu wodnik porwał – doszedł Gozda męski głos. – Pomóc mu trzeba, bo oszaleje z rozpaczy. Dwa razy próbował targnąć się na życie. Jak tylko zobaczył karła, chwycił siekierę i chciał go ubić, bo mu się zdało, że widzi wodnika, co go w topiel chciał wciągnąć.

– Gdzie on teraz?

– Czeka na mnie w stajni. Nie puszczam go między ludzi, żeby komu krzywdy nie zrobił. Młody, to i narwany.

– Czego chcesz ode mnie?

– Żebyś mu rzekła jakie dobre słowo.

– Nie wiem, czy się wyrwę. Pilnują mnie. Bratko zobaczy, ubije na miejscu. Czary zna.

– Nie bój nic. Nie takim dawałem radę.

– Nie wyglądasz na zabijakę.

– A karzeł to niby wygląda?

Dziewka nie odpowiedziała od razu.

– Przyjdę – obiecała. – Muszę już iść. Będą się niepokoić. Lepiej żeby nie zobaczyli nas razem.

– Moja w tym głowa.

Gozd odwrócił się, schylił do skórznia. Spódnica Inki musnęła go po kubraku. Odczekał chwilę i spojrzał za dziewką. Przyszedł w samą porę. Musiał tylko zdecydować, czy pokazać się synowi, czy zaczekać i sprawdzić, co uknują kuglarze. Gdy usłyszał o czarach, przestał wierzyć w dobre intencje Inki. Słodką buzią mogła zwieść gołowąsa, nie jego. Nie na darmo wędrowała z trupą Kosmy.

* * *

Dzień ciągnął się niemiłosiernie. Gdy zapadł zmierzch, Stanisz nie mógł usiedzieć w miejscu. Łaził po całej stajni, zaglądał do zagród, głaskał konie. Nawet byk załapał się na pieszczotę.

Jędrek, siedząc na pniaku, ostrzył nóż. Śmiał się z młodzika, choć sam czuł, że drżą mu ręce. Nie wiedział, czy z ochoty przed tym, co planował, czy przed spotkaniem z dziewczyną. Jak nic, musiała rzucić na niego urok. Taki los. W życiu nie widział ładniejszej dzierlatki. Napatrzył się na śliczne liczka dość, by mieć porównanie i oceniać.

Tak, Inka wiodła prym wśród Jędrkowych miłośnic.

A karzeł? Cóż, siły Jędrkowi nigdy nie brakło, to i pokurczowi da radę. Nie takim gardła podrzynał, by zdobyć mieszek.

Stanisz łaził w kółko, czasem przysiadł na pniaku, wstawał, znów chodził. Niecierpliwił się. I zarazem czuł strach przed tym, co może usłyszeć. Czy kuglarze wiedzieli coś więcej o porwaniu? Czy karzeł mógł być wodnikiem? Gdzie podziewała się Dziewa?

Boże, dopomóż mnie grzesznemu… – modlił się o siebie, o swą duszę i o miłą.

Noc przyszła pochmurna i ciemna.

Jędrek zapalił latarnie przy szynku i jedną na kamiennej dobudówce stajni. Potem stanął przy wrotach. Co rusz macał zatknięty za pas nóż. Czuł się dziwnie nieswojo. Do wieczora wychłeptał pół wiadra wody, by ugasić ogień

w gardle, a i tak piekło go niemiłosiernie. Do tego pocił się i śmierdział.

No bo jak długo można czekać?

Chwycił kubek, zaczerpnął wody z wiadra i wypił, nie odejmując od ust. Zimno rozlało się po ciele, poszło w zęby. Burek zawarczał ostrzegawczo z kąta, w którym ogryzał kość.

Jędrek potarł dłonią dziąsła i podszedł do wrót. Wyjrzał przez szparę między dechami.

– Idzie – syknął.

W bladym świetle latarni dziewczyna wydawała się jeszcze piękniejsza. Można było rozmiłować się w niej na zabój.

– Mów, co wiesz – wyrwał się Stanisz, kiedy tylko dzierlatka weszła do stajni.

Inka rozejrzała się, od stóp po głowy obejrzała młodzieńców, a dopiero potem odparła:

– To tobie wodnik porwał miłą?

– Mnie.

– Nie dziwota. Wiem niewiele. Tyle tylko, że ze dwie niedziele temu Bratko znikł na cały dzień, ale gdzie był, tego nie wiem. Kilka dni później przywiedli jakiegoś woja i obwiesili go na gałęzi.

– Zwał się Krup – szepnął brzezinianin.

– Znałeś go?

– Był drużynnikiem Sobierada. Widziałem, jak chłopi przywieźli trupa do grodu.

– A Sobierad co? Wysłał ludzi?

– Nie wiem. Kazał mi iść precz.

Zamilkli.

– Jeśli miałabym coś ci poradzić, to tylko żebyś o niej zapomniał – Inka odezwała się pierwsza.

– Zapomnieć? – Młodzik aż się cofnął, z niedowierzaniem patrząc na dziewczynę.

– Jej nie uratujesz, a sam możesz życia zbyć. Młodyś. Znajdziesz inną.

– Dobrze prawi – wtrącił Jędrek.

– Co ty tam wiesz? – Stanisz odszedł pod ścianę i siadł na pieńku.

Ot, przyjaciół w biedzie sobie znalazł. Pół dnia czekał, by usłyszeć, że nic tu po nim. Miałby wrócić? Dokąd? Po co? Drugą znaleźć? Takiej jak Dziewanna nie znajdzie. Patrząc na kuglarkę, mimo jej urody czuł, że inne mu nie w głowie. Gdy wszedł do miasta, stracił wiarę w odnalezienie lubej, jednak to, co usłyszał, wywołało w nim złość, której od dawna nie czuł. Znów ktoś uważa, że jest mądrzejszy, i radzi mu, co ma robić. Plącze w głowie.

Zacisnął pięści i zerwał się z pniaka. Wyskoczył ze stajni.

– Nie! – Inka wrzasnęła jakby ją żywcem odzierali ze skóry. Chciała pobiec za narwańcem, gdy Jędrek chwycił ją od tyłu i przytrzymał.

– Niech biegnie – usłyszała tuż przy uchu. – Nic tu po nim.

Kuglarka szarpnęła się, lecz pachoł trzymał mocno.

– Puść – szepnęła. – Czego chcesz?

– Ciebie, suczko – mruknął Jędrek, przystawiając dziewce nóż do szyi.

– Puść!

– Puszczę, jak się dobrze sprawisz. A jak nie – przycisnął ostrze do gardła, tamując jej oddech – to inaczej pogadamy. Pojmujesz?

– Pu…

Pachoł ścisnął mocniej i pociągnął charczącą dziewczynę w głąb stajni. Próbowała się wyrywać, nie miała jednak dość sił, a każdy ruch powodował coraz większy ból.

Krótki krzyk z zewnątrz, zatrzymał Jędrka. Czyżby dziewka nie przyszła sama? Nie byłoby w tym nic dziwnego. Nie namyślał się. Namacał wiszący na kołku powróz i podciął brance nogi, przewalając ją na klepisko. Potem siadł dziewczynie na plecach i związał ręce, a następnie z całej siły uderzył pięścią w bok głowy.

W kilku susach znalazł się przy wrotach i wyjrzał przez szparę.

Na granicy światła, rzucanego przez latarnię przy szynku, dostrzegł schylonego nad czymś mężczyznę. Po chwili ujrzał drugiego, który z pomocą pierwszego podniósł się z ziemi. Jędrek rozpoznał Stanisza.

Zaklął i wyszedł przed wrota, a potem, rozejrzawszy się przezornie, pokuśtykał przez dziedziniec. W połowie odległości dostrzegł leżące na ziemi dwa ciała.

– Mój ojciec – wyjaśnił Stanisz, kiwnąwszy głową ku towarzyszącemu mu mężowi.

– Nie wspominałeś, że…

– Bo nie wiedział – wtrącił Gozd. – Gdzie dziewka?

– W środku.

– Sama?

Pachoł podrapał się po łepetynie.

– Ano.

– Muszę z nią pogadać.

– A ci dwaj to kto?

– Kuglarze. – Gozd splunął na jedno z ciał. – Posłuchamy, co dziewka ma do powiedzenia, a potem podumamy, co z nimi zrobić. Chodźmy. Szkoda czasu na jałowe gadanie. Aha, zwiąż ich – rzucił do Jędrka. – Bo jak nam Kosmę sprowadzą… – Nie dokończył i z wspierającym się na jego ramieniu synem poszedł ku stajni.

Pachoł pokuśtykał za nimi. Tak się dobrze schadzka zapowiadała… Jak widać, nieszczęścia chodziły parami. Drgnął, gdy doszło go skomlenie Burka, lecz nie rzekł ani słowa. Wziął powróz i wyszedł na dziedziniec, po czym związał nieprzytomnych i odciągnął ciała pod ścianę. Było dobrze po północy, przez co nikt nie włóczył się w okolicy.

Wrócił do stajni.

Młody brzezinianin siedział na pniaku, stary klęczał przy dziewce.

– Dobrześ ją zdzielił – mruknął chłop, nie przerywając cucenia dziewczyny. – Byle nie za mocno.

– A tamci dwaj? Nie lepiej tamtych wziąć na spytki?

– To ożywieńcy. Nic nie powiedzą.

– Że kto? – Pachoł nie zrozumiał. – Spróbować warto. Z ostrzem przy kuśce najtwardsi miękną.

– A ty skąd o tym wiesz? – Gozd obejrzał się nagle, popatrzył na Jędrka, wstał i podszedł do niego.

Stanął tak, że niemal się dotykali. Był wyższy o głowę, szerszy w barach i ledwo przypominał chodzącego za radłem chłopa. Stajenny ugiął się pod spojrzeniem gościa, odstąpił o krok.

– Bo co? – zapytał.

– Bo coś mi się widzi, że umiesz wiązać dziewki.

– Przygarnąłem ci syna…

Gozd odwrócił się powoli.

– Racja – rzucił po kilku krokach. – Dlatego daruję ci życie.

– A ty kto, żeby… – Pachoł nie dokończył. Ledwie mrugnął, gdy poczuł zaciskające się na kubraku dłonie, a naprzeciw oczu ujrzał wykrzywioną twarz gościa. Zamachał bezradnie nogami.

– Ojciec? – Stanisz wstał z pnia.

Gozd poluźnił chwyt i opuścił ręce. Nie rzekłszy słowa, wrócił do cucenia Inki.

Jędrek oparł się o ścianę i wcisnął koszulę w portki. O chędożeniu mógł zapomnieć. Tfu! Dostał za swoje. Miał Stanisza za słabeusza, a tu proszę! Tak się zląkł byle chłopa, że ledwie stał na nogach. Klapnął na ziemię, przyrzekając na wszystkie świętości, że nie daruje zniewagi. A zwłaszcza dziewki, bo stracił nadzieję, że zakosztuje jej wdzięków.

Spode łba spoglądał na Gozda. Stary musiał znać się na cuceniu, bo nie trwało długo, a Inka otworzyła oczy i słaby

jęk wyrwał się z jej gardła.

– Pamiętasz mnie? – zapytał chłop.

Patrzyła chwilę, próbując przypomnieć sobie twarz. W końcu skinęła głową.

– To dobrze – pochwalił Gozd. – Bo chciałem cię spytać, co Kosma zamierzał zrobić ze Staniszem.

– Nie wiem.

– Wiesz. Wiem, że wiesz. Piłem z kielicha na długo przed tobą. – Gozd pochylił się, zaglądając dziewczynie w oczy. Twarz mężczyzny przesłonił cień, coś obcego zakradło się do myśli dziewki i wypełniło głowę. Zdjął ją strach, pierwotny, obrzydliwie śliski. Jak robak drążący zepsute mięso wpełzł do umysłu i przyniósł ból. Inka zwinęła się w kłębek i niczym ryba wyrzucona na brzeg w niemym krzyku otwarła usta. Wyciągnęła przed siebie ręce, próbując odsunąć ulotne zimno śmierci. Kostucha przystanęła, zwabiona ciepłotą ciała. Skłębiona czerń uwięzionych dusz spłynęła z oczodołów i zwiewnością niebytu otoczyła niespodziewanego gościa, odbierając oddech i świeżość.

Gozd odchylił się, przerywając czar.

Inka wciągnęła ze świstem powietrze.

– Kim jesteś? – wycharczała, czując, że nie wytrzymał jej pęcherz.

– Demonem twego serca – szepnął Gozd i włożywszy dłoń pod koszulę na piersiach dziewczyny, wbił palce w skórę. – Mów.

– Niestek z Czaborem mieli go nastraszyć.

– A potem? Zjeść?

– Nie wiem. – Inka skuliła się ze strachu.

– Gdzie Kosma?

– Przy taborze.

Mężczyzna obejrzał się na syna. Przez własną głupotę mógł go stracić. Przez swą wiarę w Boga, który wie i widzi wszystko, i nie wybacza łamania ustanowionych praw.

A przecież nie tak dawno, lat temu kilkanaście, Gozd czuł się mu równy. Bluźnił i mordował z bożym imieniem na ustach. Skąpana krwią spływającą z Gozdowych rąk Praga klęczała u stóp najeźdźców, prosząc o zmiłowanie.

Nie okazali łaski, bo nie mieli jej w sercu.

Nad gęstą od trupów Wełtawą Gozd poznał Kosmę. I po raz pierwszy napił się ludzkiej posoki.

W dniu, w którym nad jeziorkiem ujrzał Stanisza leżącego z Dziewanną, ćma naszła mu na oczy. Wściekł się, lecz miast wkroczyć z łapami, padł na kolana. Modlitwa sprawiła, że gniew minął. Uznał swe podejrzenia za niedorzeczne, lecz nie mogąc uwolnić od nich myśli, zaczął śledzić syna. Nie czekał długo na potwierdzenie najgorszych przypuszczeń.

Dwa tygodnie miotał się, nie wiedząc, co zrobić, aż przypomniał sobie o Wicie. Niewiele myśląc, poszedł do grodu, do spowiedzi. Za siebie i za syna.

Nie dotarł do kaplicy. Dostrzegł Kosmę i czart go podkusił, by zagadnąć dawnego druha. Od słowa do słowa opowiedział o strapieniu.

Kuglarz obiecał pomóc. Przyniósł kielich. Przysiągł, że rozdzieli młodych, nie czyniąc im krzywdy.

Gozd zgodził się i przez to znalazł się teraz w Głogowie, choć jeszcze parę niedziel nazad nawet by mu przez myśl nie przeszło, że tu zawita.

– Co z Dziewanną? – zapytał Inkę.

– Żyje.

– Jest tu?

– Tak.

Musiał spotkać się z Kosmą, a potem wyjaśnić młodym swój udział w porwaniu. Wyznać grzech.

Przeżegnał się szerokim krzyżem i rzekł do Jędrka:

– Weźmiecie ją między siebie. Pójdziemy odwiedzić kuglarzy.

– Może zawołać kogo do pomocy? – zapytał stajenny.

– Nie trzeba. No, ruszcie się, póki noc.

Nie patrząc, wyszedł ze stajni na zimny jesienny wiatr.

Nie czuł strachu – zostawił go w brudnych wodach Wełtawy, gdy ze strzałą w piersi i rozciętą czaszką unosił się na falach. Piękna była wiosna owego roku, a lato jeszcze piękniejsze. Pogodził się ze śmiercią, lecz nie było mu dane jej spotkać. Kiedy otworzył oczy, ujrzał obcą zarośniętą twarz i zrozumiał, że żyje. Tak poznał Kosmę.

* * *

Szli w milczeniu. Gozd przodem, za nim Jędrek, dziewka i Stanisz.

Miasto trwało ciche i uśpione, tylko wiatr wył w zaułkach. Czasem zaszczekał pies, zamiauczał kot. Z piskiem przemknął nietoperz. Nawet straż nocna schowała się w wieży. Znów zbierało się na deszcz.

Na rynku Gozd przystanął. Popatrzył ku kołyszącym się na wietrze latarniom, które zawieszono nad wozami kuglarzy.

– Któryś się odezwie, obedrę ze skóry – rzucił, ruszając.

Nim doszli, od jednej z fur oderwał się pokraczny cień. Chybotliwym, kaczym krokiem wyszedł im naprzeciw.

– Gozd? – Na twarzy karła odmalowało się zdziwienie. – Skądżeś tu?

– Gdzie Kosma? – Chłop nie miał zamiaru odpowiedzieć.

– Tu. – Od fur doszedł twardy głos.

Kuglarz zeskoczył z wozu.

– Witaj, bracie – rzekł, podchodząc do gości. – Czekałem na ciebie. Dobrze, że jesteś.

– Martwiłem się o syna.

– Niepotrzebnie. Nie zrobiłbym mu krzywdy. Jest twoją krwią, bracie.

– Chciałem mieć pewność. Cień plącze w głowach. Widziałem, jak sprawiliście Krupa.

– Zawadzał nam. Sam wiesz. Chcesz zobaczyć córkę?

– Ojciec?! – Stanisz wyrwał się z tyłu.

– Milcz! – Gozd obejrzał się, wpatrzył w syna. – Twój grzech nas tu przywiódł.

– Bratko, przyprowadź dziewkę – polecił Kosma. – Tylko ostrożnie, żeby ci ślepi nie wydrapała. – Uśmiech wykrzywił

usta kuglarza. – Twarda z niej dziewczyna, pamiętliwa. Chcesz ją zabrać z powrotem?

– Nie. Zbyt wiele zaszło.

– Rozumiem. A co z nim? – kiwnął głową ku młodzikowi.

– Nie wiem.

Bratko zeskoczył z fury, za nim Dziewanna. Przez moment nie wiedziała, co się dzieje. Patrzyła szeroko otwartymi oczami, nie mogąc uwierzyć, aż nagle pognała ku Staniszowi.

– Miła! – Chłopak chwycił dziewczynę w ramiona, przycisnął do piersi.

Jędrek przełknął ślinę. Dużo ładnych dzierlatek widział, ale takiej jak ta jeszcze nigdy. Inkę uważał za piękną, lecz do Dziewanny było jej daleko.

– Młodzi – mruknął Kosma, kładąc dłoń na barku Gozda.

Chłop westchnął. Co miał rzec? Z jego grzechu wzięło się zło. Gdyby nie chwila słabości przed kilkunastu laty, pewnie nie byłoby go tutaj.

Tylko co dalej? Co teraz? Wyznać winy, zdradzić tajemnicę? Patrzył na młodych i nie miał sił, by ich rozdzielić. Jeśli wrócą do Brzezin, pytania nigdy się nie skończą. Nie ukryje prawdy. Przed Sobieradem, przed Witem. Na świętej spowiedzi…

Jedno kłamstwo zrodziło drugie, a potem kolejne. Kłamstwa bez końca…

– Jeśli nie będziemy zawadzać – zwrócił się do Kosmy – zostalibyśmy z wami.

Kuglarz rozwarł ramiona i objął dawnego druha.

– Niech się stanie – rzekł.

Wiesław Gwiazdowski

Rocznik 1973. Dzieciństwo spędził we wsi Sobolewo, opodal Suwałk, od jakiegoś czasu wraz z żoną Magdaleną i córką Leną, na emigracji w Wielkiej Brytanii. W oczekiwaniu na przyjście drugiego potomka. Debiutował tekstem Salonin w „Nowej Fantastyce” z grudnia 1995 roku. Wielokrotnie publikował w: „Nowej Fantastyce”, „Science-Fiction”, oraz „Science Fiction, Fantasy i Horror”.

http://geniuscreations.pl/autorzy/wieslaw-gwiazdowski/

Patronat medialny

Bestiariusz to serwis poświęcony szeroko pojętej fantastyce. Na jego łamach pojawiają się dodatki do różnych systemów RPG, recenzje gier, książek i filmów fantastycznych, opowiadania oraz relacje i zdjęcia z konwentów.

Koriana – Agnieszka Hałas

Był koniec marca i w powietrzu wyraźnie czuło się wiosnę. Nad gmachem teatru muzycznego śmigały jaskółki. Potężna budowla z szarego kamienia, ozdobiona mnóstwem płaskorzeźb oraz gargulców, w blasku poranka wyglądała majestatycznie niczym pałac. W załomach jej murów wciąż jeszcze zalegały płaty bieli, jak gdyby żegnająca się z miastem zima opuszczała to miejsce z najwyższą niechęcią.

Wychodząc z bocznych drzwi teatru, Rainer zamrugał oślepiony dziennym światłem. Zgarbił się, gdy lodowaty wiatr dmuchnął mu w twarz, wyciskając z oczu łzy. Pośpiesznie zapiął wyświechtaną kurtkę, a następnie ruszył przed siebie energicznym krokiem, omijając kałuże.

Skręcił w ulicę wiodącą w kierunku portu. Skrzypienie wozów, szczekanie psów, nawoływanie przekupek oraz sto innych odgłosów zlewało się w gwar, ponad którym w regularnych odstępach czasu rozlegało się srebrzyste ding-ding-ding dzwonów pobliskiej świątyni. Rainer nie przepadał za miejskim zgiełkiem, ale tego dnia nic nie było w stanie mu popsuć humoru. Uśmiechnął się do obdartej dziewczynki, która sprzedawała na rogu orzechy, a ona pomachała mu ręką.

– Na bok, ludzie! – zabrzmiało wołanie. Rozległ się turkot i trzaski z bata; przechodnie pierzchali przed nadjeżdżającą karocą, zaprzężoną w cztery siwe konie.

Rainer uskoczył, unikając rozbryzgów błota. Uczepiony z tyłu karocy lokaj o upudrowanej twarzy krzyknął coś nieprzyjaźnie. Młodzieniec zaśmiał się i pokazał mu figę.

U wylotu ulicy zatrzymał się, żeby popatrzeć na migoczące w dali morze i okręty stojące w porcie, szybko jednak ruszył dalej. Korciło go, żeby jak najprędzej podzielić się z kimś dobrymi wieściami.

Po lewej stronie czerniały zabudowania najstarszej dzielnicy Żagli. Rainer zagłębił się w plątaninę cuchnących alejek. Drewniane domy wzniesiono tak blisko siebie, że w górze ich fasady niemal się stykały, bo wyższe piętra wystawały nad dolnymi. Umorusane dzieci bawiły się w błocie.

Jeden budynek wyróżniał się z daleka – był murowany, a jego kryty czerwonym gontem dach, chociaż omszały, zachował resztki dawnej świetności. Przy drzwiach brakowało jednak kołatki; na pociemniałych ze starości dębowych deskach widniał jaśniejszy ślad, widocznie świśnięto ją niedawno.

Rainer zastukał do drzwi. Był lekko zdyszany, na policzkach wykwitły mu rumieńce. Odczekał chwilę, potem zastukał ponownie, trochę mocniej. Po drugiej stronie zaszurały ociężałe kroki.

– Zara, zara – zabrzmiał gderliwy głos. Drzwi uchyliły się.

– Dzień dobry, pani Seget – ukłonił się grzecznie. – Ja do Kaspara.

– Aaa, niech wchodzi. No już, prędzej, bo zimno leci! – Kobieta odsunęła się, wpuszczając go do ciemnej sieni, w której zalatywało stęchlizną, kiszoną kapustą i myszami. Była przysadzista, zakutana w tyle chust i kaftanów, że wyglądała jak chodząca sterta szmat. Zasunęła z powrotem rygiel, potem poprowadziła przybysza schodami na górę.

Zza uchylonych drzwi na piętrze dobiegał bulgot.

– A ten znowuż cuduje, warzy swoje przeklęte dekokta, chociażem prosiła do znudzenia – mruknęła gniewnie gospodyni. – Ostatnim razem jak mu się cosik zajęło, wraz garnek dobry zmarnował, a swądu takiego narobił, że szkoda gadać. Dom mi kiedy podpali…

Rainer zapukał do drzwi i nie czekając na odpowiedź, wszedł.

Znalazł się w obszernej, lecz mrocznej izbie, której ściany zajęte były przez półki uginające się pod ciężarem ksiąg. W kominku żarzyły się węgle. Na stole przykuwało wzrok mnóstwo naczyń i butelek, kamienny moździerz, a także dziwne instrumenty ze stali, miedzi i mosiądzu, których przeznaczenia nie sposób było się domyślić.

Przy stole siedział Kaspar Fitz we własnej brodatej osobie, z zakasanymi rękawami, w skórzanym fartuchu i z monoklem w oku. Zawzięcie mieszał drewnianą łyżką w garnuszku. Na widok gościa uniósł brwi.

– A, to ty! No i jak poszło? Co powiedział Horbeck?

– Był zachwycony fragmentami, które przyniosłem! Obiecał w przyszłym tygodniu wypłacić zaliczkę i kupi operę, jak tylko ją skończę!

– Proszę, jak miło z jego strony – stwierdził cierpko Fitz. – A publiczność dowie się, czyje to dzieło?

Radość malująca się na twarzy młodzieńca przygasła.

– Nie – przyznał. – Jako autor będzie figurował Horbeck.

– Do diabła, Rainer, jak tak można? I ty się cieszysz? Że ten stary chytrus kradnie twoje utwory, a tobie płaci jakieś marne grosze?

– Bez przesady, nie takie znów marne. Zresztą dobrze wiesz, czemu taki układ mi pasuje.

– Wszystko jedno. Przecież to łajdactwo w biały dzień! – Alchemik chciał walnąć pięścią w stół, ale w porę przypomniał sobie, że wciąż jeszcze trzyma kubek z miksturą. Bardzo ostrożnie odstawił go na blat. Nagle jęknął: – O, psiakrew...

Maź w garnuszku zaczęła syczeć, a w następnej chwili buchnęła niebieskawym płomieniem. Rainer bez namysłu otworzył okno i wyrzucił palące się naczynie na zewnątrz. Rozległ się okropny huk.

– Coś ty narobił! – przeraził się Fitz. – Pani Seget gotowa apopleksji dostać!

Wyjrzeli ostrożnie. Dym już się rozwiewał. Na podwórku w ziemi ziała dziura, ale niezbyt głęboka.

– E, nic się nie stało. Dobrze, że nie strzeliło tutaj. – Rainer zamknął okno, po czym nieoczekiwanie rozkaszlał

się, aż oczy zaszły mu łzami. Wygrzebał z kieszeni chustkę, żeby wytrzeć usta.

Alchemik wyjął monokl i popatrzył na przyjaciela podejrzliwie.

– Ejże, dobrze się czujesz?

– Tak... – Młodzieniec z wysiłkiem chwycił oddech. – Naprawdę, to nic takiego. Wszystko przez ten zaduch. Powinieneś tu częściej wietrzyć.

– Żeby mnie przewiało? Nie ma głupich. O tej porze roku zimne powietrze to śmierć. Skoro już o tym mowa, powinieneś się cieplej ubierać, Rainer. Gdzie twój płaszcz? Tylko nie mów, żeś go zastawił albo sprzedał.

– Nie zastawiłem ani nie sprzedałem. Nikt by nie kupił, chyba że gałganiarz na szmaty.

– No to czemu go nie nosisz? Z całym szacunkiem, jesteś głupi jak but. Płuca ma się tylko jedne, a wilgoć w tej przeklętej dzielnicy prędzej czy później wykończy najsilniejszego. Herbaty chcesz?

– Czemu nie.

Alchemikowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Zdjął kociołek znad ognia, a na jego miejscu zawiesił czajnik z wodą. Oczyściwszy róg stołu z aparatury i szpargałów, wyjął z szafy fajansową puszkę oraz dwa umiarkowanie czyste kubki, które dla pewności wytarł jeszcze skrajem szaty.

Gawędzili o drobiazgach, czekając, aż woda się zagotuje. Nagle Rainer znowu się rozkaszlał. Otarł wargi chustką i pośpiesznie schował ją do kieszeni, ale Fitz zdążył

zauważyć, że były na niej ślady krwi. Poważniejąc, ujął przyjaciela za ramię.

– Na litość boską, zatroszcz się w końcu o siebie, idź do lekarza.

– Pójdę, jak mi wypłacą zaliczkę. Dajże już spokój, Kaspar. Nudzisz jak stara baba.

* * *

Tej nocy Rainer miał dziwny sen.

Śnił mu się zapuszczony, zdziczały ogród, oświetlony blaskiem księżyca. Kwitł tam jaśmin, piwonie i malwy. Cyprysy rzucały w poprzek grządek długie, tajemnicze cienie.

Przez skrzącą się od rosy trawę szła dziewczyna w czarnej sukni, z naręczem ziół. Rainer chciał ją zawołać, ale w tej samej chwili światło księżyca stało się czerwone jak krew, a miejsce kwiatów zajęły falujące języki płomienia. Potem wszystko się rozwiało.

Otworzywszy oczy, zadrżał; w izdebce, jak zwykle nad ranem o tej porze roku, panował przeraźliwy chłód. Piecyk wystygł przez noc, a w szparach dachu gwizdał wiatr. Przynajmniej na wodzie w dzbanku nie utworzyła się warstwa lodu, tak jak to się zdarzało zimą.

Rainer obmył w miednicy twarz i ręce, ale z goleniem dał sobie spokój. Ubrał się i zszedł do kuchni. Tu było ciepło, pachniało świeżo upieczonym ciastem. Na wyciągniętej z pieca blasze stygły podpłomyki.

Mateczka Stina siedziała w kącie z robótką. Uśmiechnęła się na widok lokatora.

– Patrzcie no, nasz śpioch raz wstał wcześniej. Widziałeś, jakie dzisiaj niebo czyste?

Różnica temperatur pomiędzy poddaszem a kuchnią jak zwykle sprawiła, że Rainer rozkaszlał się i nie mógł odpowiedzieć. Staruszka zmarszczyła brwi.

– Co z tobą, choryś?

Zaprzeczył ruchem głowy, wciąż jeszcze się krztusząc. W końcu udało mu się złapać oddech. Wytarł usta chustką i siadł na ławie.

Lubił to pomieszczenie. Zawsze dobrze się tu czuł. Kuchnia była przestronna, skąpana w półmroku. Ściany, przed laty pobielone wapnem, dawno zdążyły zszarzeć. W wielkim, poczerniałym ze starości kredensie połowa półek była pusta. Na piecu stało trochę garnków z polewanej gliny. Żadnych błyszczących rondli czy fajansowych talerzy.

Mateczka Stina, wdowa po strażniku miejskim, na jesieni zgodziła się wynająć Rainerowi izdebkę na poddaszu, chociaż uprzedził, że nie zawsze będzie go stać na płacenie w terminie. W zamian pomagał w cięższych pracach wokół domu. Gospodyni była osobą o macierzyńskim usposobieniu i tylko dzięki jej życzliwości przetrwał zimę bez stałego źródła utrzymania. Dając lekcje gry, mógł zarobić na jedzenie albo na czynsz, ale nie na jedno i drugie.

– Martwię się o ciebie – podjęła z troską staruszka. – Schudłeś, wyglądasz jak cień. I nie podoba mi się ten twój kaszel.

– To nic takiego – odparł. – Nie warto się przejmować, proszę pani. Przejdzie mi, jak tylko na dworze się ociepli.

Bury kot wsunął się zwinnie przez uchylone okno, zeskoczył na podłogę i miauknął, ocierając się o nogę od stołu.

– Dajże coś biedactwu, zobacz, jak prosi. – Mateczka Stina schyliła się, żeby pogłaskać ulubieńca, ale zaraz stęknęła i wyprostowała się, rozcierając krzyż.

Rozejrzawszy się po kredensie, Rainer rzucił kotu trochę podeschniętych resztek boczku. Zwierzak obwąchał je, siadł i bez pośpiechu zabrał się do konsumpcji. Młodzieniec dopiero na ten widok poczuł, że chyba też jest głodny. Wziął z blachy jeszcze ciepły podpłomyk i ukroił sobie kawałek ostro pachnącego, przerośniętego błękitną pleśnią sera. Po sąsiedzku mieszkał człowiek, który wyrabiał takie specjały. Mawiano, że w piwnicy, w której te sery dojrzewają, nie postawi łapy żadna mysz, bo sam zapach przegania je na cztery wiatry.

– Coś dla mnie zrobisz – odezwała się staruszka, kiedy kończył jeść. – Krzyż mi tak dokucza, że niech ręka boska broni, nigdzie się nie mogę ruszyć, a moja najmłodsza wnusia kończy dzisiaj siedem lat. Zaniesiesz jej coś od babci. – Wskazała leżący na ławie koszyk, przykryty czystym płótnem. – Tylko ostrożnie, w środku jest strucla.

* * *

Niebo było bezchmurne, słońce przyjemnie przygrzewało. Rainer odnalazł na przedmieściu chatę z warsztatem, w której mieszkał trudniący się stolarką syn Mateczki, i oddał koszyk jego żonie. Potem, ponieważ pogoda kusiła, żeby dłużej zostać na dworze, powędrował dalej przed siebie.

Minąwszy ostatnie zabudowania, wychodziło się na długi pas zaśmieconej wodorostami plaży, gdzie zawsze suszyły się rybackie sieci i kołowały mewy. Dalej nie było już nic, tylko skalisty, niegościnny brzeg, o który rozbijały się fale, bryzgając pianą. W pewnej odległości od wody przez zarośla wiodła ścieżka, którą Rainer dobrze znał. Ruszył nią, rozkoszując się świeżym powietrzem i tym, że dla odmiany nie kaszle. Wkrótce zostawił miasto daleko za sobą – domy zmalały do rozmiaru punkcików, potem zasłonił je cypel.

W końcu dotarł do miejsca, gdzie morze wcinało się w ląd trochę głębiej, tworząc zatoczkę o piaszczystych brzegach. W jej głębi miał ujście strumień, wypływający z zarośniętego chaszczami wąwozu. Dzikie róże, jarzębina, rokitnik oraz bujne, szarawe trawy dzielnie czepiały się cienkiej warstwy ziemi na stromych zboczach.

Miejsce było odludne. Latem, kiedy owocował rokitnik, dzieci rybaków przychodziły tam, żeby zbierać pomarańczowe, podobne do jagód kulki. Przez resztę roku na zboczach było pusto; tylko ptaki ćwierkały w zaroślach, dmący od morza wiatr poruszał gałęziami, przez trawę czasem przemykał lis.

Rainer odkrył ten zakątek jeszcze w sierpniu poprzedniego roku i później przez całą jesień przychodził tam, ilekroć miał czas. Gdy czuł się zagubiony i pełen obaw o przyszłość, co zdarzało się często, w wąwozie odzyskiwał spokój. Niekiedy zabierał ze sobą skrzypce, siadał nad strumieniem i grał; wiatr niósł dźwięki, póki nie utonęły w szumie fal, a drzewa i kamienie słuchały.

Gdy nastały mrozy, na cztery miesiące musiał zapomnieć o wyprawach za miasto. Nie w starym, wytartym płaszczu i rozpadających się butach. Teraz też trochę marzł, pomimo słońca. Z rękoma w kieszeniach i postawionym kołnierzem wspiął się na krawędź wąwozu, żeby rozejrzeć się z góry. Zarośla były jeszcze brązowoszare, bez żadnych oznak zieleni. Tu i ówdzie w zacienionych miejscach leżały resztki śniegu.

Gdy tak stał, patrząc na suchą trawę i bezlistne krzaki, nagle przypomniał sobie swój sen. Kwiaty i cyprysy w blasku księżyca.

Tego wieczoru jak zwykle długo pracował przy świecy. A kiedy w końcu udał się na spoczynek, przyśniło mu się po raz drugi to samo.

I nazajutrz po raz trzeci.

Czwartej nocy nadeszła zmiana. Tym razem śnił, że o wschodzie słońca stoi na plaży u ujścia wąwozu. Wiał lekki wiatr, morze skrzyło się złociście, a on grał na skrzypcach jedną ze skomponowanych niedawno melodii – beztroskiego walca.

Nagle zapadła ciemność, na niebie zabłysły gwiazdy. Wąwóz zniknął; strumień płynął teraz samym środkiem ogrodu. Piwonie chyliły ku trawie ciężkie białe pąki, jaśmin pachniał upajająco.

Melodyjny głos zawołał jego imię. Z cienia krzewów wyłoniła się dziewczyna w czerni. I wtedy Rainer obudził się z bijącym mocno sercem.

Przemknęło mu przez myśl, że mógłby się udać do wróżki celem wyjaśnienia, co to wszystko znaczy, ale rozsądek szybko wziął górę – wróżki kazały sobie słono płacić.

Kolejnej nocy sen powtórzył się ze wszystkimi szczegółami. I znowu Rainer ocknął się, mając w uszach głos nieznajomej, pełen tęsknoty i smutku. Uznał, że sprawa dojrzała do tego, by jednak zasięgnąć u kogoś rady.

* * *

– Co wiesz o snach, Kaspar? O ich interpretowaniu?

– Głównie tyle, że to fascynująca i trudna dziedzina. – Alchemik odważył na aptekarskiej wadze szczyptę białego proszku, wsypał ją do retorty i starannie wytarł szpatułkę mokrą szmatką. – Dlaczego pytasz?

Muzyk pokrótce wyjaśnił, dlaczego.

– Ciekawe, ciekawe. Zaczekaj chwilę. – Fitz zdjął z półki księgę, przekartkował szybko, odłożył i sięgnął po następną. – Ech, psiakrew, gdzie to było… Mam.

Przez chwilę czytał w milczeniu, po czym zatrzasnął tomiszcze, wyjął monokl i pomasował powiekę.

– Powiadasz, że zawołała cię po imieniu?

– Tak, wyraźnie słyszałem.

– I znasz miejsce, w którym stałeś na samym początku snu. Gdzie to jest? Gdzieś w twoich rodzinnych stronach?

– Skądże. Tutaj, bliziutko, zaraz pod miastem.

– Więc idź tam o wschodzie słońca, zagraj to, co grałeś we śnie, i zobacz, co się stanie – poradził z uśmiechem alchemik. – Chyba że się boisz?

* * *

Rainer się nie bał.

Następnego dnia wstał, gdy na dworze było jeszcze ciemno. Ubrał się ciepło, zabrał futerał ze skrzypcami i wyszedł z domu. Ranek był zimny, para szła z ust. W połowie drogi do wąwozu młodzieniec rozkaszlał się tak, że musiał się na dłuższą chwilę zatrzymać i odpocząć, ale mimo to nie zawrócił.

Stanął przy ujściu strumienia dokładnie w chwili, gdy pierwsze promienie słońca ozłociły morze. Oparł skrzypce na ramieniu i zaczął grać.

Nic się nie stało. Miał ochotę roześmiać się z własnej głupoty. Ale grał dalej, bo melodia w połączeniu z przestrzenią, wiatrem i szumem morza brzmiała dużo ładniej niż na jego poddaszu. Pozwolił myślom odpłynąć, bez reszty skupił się na muzyce.

Gdy wybrzmiała ostatnia nuta, wstrzymał oddech.

Słońce, błękit nieba, morze – wszystko to zniknęło. Stał w ogrodzie, a naokoło panowała noc. Strumień srebrzył się

w księżycowej poświacie, cykały świerszcze.

Oszołomiony i trochę przestraszony Rainer opuścił skrzypce. Z bijącym sercem dotknął trawy, na której perliły się krople rosy, i poczuł zimną wilgoć. Sprawdził, czy kolce róż kłują. Kłuły.

Rozejrzał się. Ogród wyglądał na zapuszczony, ścieżki niknęły w gęstwinie kwiatów i chwastów. W oddali, za drzewami, na tle nieba rysował się czarny kontur wieży. Rainer już chciał ruszyć w tamtym kierunku, gdy nagle usłyszał za sobą głos.

– Kim jesteś?

Odwrócił się. Na drugim brzegu strumienia stała dziewczyna z jego snu.

Wyglądała dokładnie tak, jak zapamiętał, ubrana w czarną suknię o dziwnym, staroświeckim kroju. Rozpuszczone jasne włosy połyskiwały w blasku księżyca. Na szyi miała złoty medalion na cienkim łańcuszku – jedyny szczegół, którego muzyk sobie nie przypominał.

– Co tu robisz? – spytała.

– Ja… – Rainer zająknął się. – Przepraszam, ja…

Przeraził się, że nieznajoma jest czarodziejką, a on wtargnął bez pozwolenia na jej ziemie. Doszedłszy do wniosku, że najlepszym wyjściem będzie szczerość, zaczął pośpiesznie wyjaśniać, jak się tu znalazł. Zamiast zamienić go w żabę czy uczynić coś równie niemiłego, jasnowłosa z uśmiechem przerwała te nieskładne wyjaśnienia.

– Przekroczyłeś niechcący granicę mojej enklawy. Nie bój się, nic ci tu nie grozi. Witaj.

Przeszła przez wodę, ostrożnie stawiając bose stopy na śliskich kamieniach, i zbliżyła się, spoglądając na niego z ciekawością.

– Rainer – przedstawił się, przypomniawszy sobie o dobrych manierach.

– Przybyłeś tu z Żagli, Rainerze?

– Tak, pani.

– Nie tytułuj mnie tak – poprosiła. – Nazywam się Koriana.

– Koriano, co to za miejsce?

– Enklawa, nigdy o nich nie słyszałeś? Można zaklęciami przerzucić nieduży obszar do innego wymiaru i odgrodzić. W enklawie czas płynie inaczej i wszystko rządzi się odmiennymiprawami niż w materialnym świecie.

– Po co z nim rozmawiasz, zwariowałaś? Niech się wynosi tam, skąd przybył! – przemówił zachrypnięty, ponury głos. Spomiędzy krzewów wyłonił się karzeł w kapeluszu z szerokim rondem. Stąpał ciężko, podpierając się, nie wiedzieć czemu, nie laską, tylko miotłą.

– Wracaj do domu, Bertrandzie – rozkazała dziewczyna. – Nic tu po tobie.

– Twój ojciec nie byłby zadowolony – stwierdził Bertrand. Jego niesamowite, podobne do gorejących węgli oczy zwęziły się.

– Wracaj do domu – powtórzyła stanowczo Koriana. Posławszy jej jeszcze jedno kwaśne spojrzenie, karzeł usiadł okrakiem na swojej miotle, której gałązki ku zdziwieniu

muzyka buchnęły ogniem. Wzbił się w powietrze i odleciał w stronę wieży, zostawiając w powietrzu smugę iskier.

Rainer szeroko otwartymi oczami śledził jego lot. Potem rozejrzał się niepewnie, zastanawiając się, czy aby na pewno nic mu nie grozi w tym dziwnym miejscu, do którego trafił jako nieproszony gość.

– Możesz stąd odejść, kiedy tylko zechcesz – odezwała się dziewczyna, odgadując jego myśli. – Wystarczy, że rozkażę enklawie, by cię wypuściła. Ale byłoby miło, gdybyś został jeszcze trochę. Może zagrasz coś? Lubię muzykę.

Spełnił jej prośbę, po części dlatego że bał się odmówić. Koriana usiadła na trawie, obejmując rękami kolana, i słuchała z zamyślonym wyrazem twarzy.

– Chodź, usiądź koło mnie – zaproponowała, gdy utwór dobiegł końca. – Od tylu lat nie rozmawiałam z nikim z zewnątrz. Nikt mnie tu nie odwiedza, a ja nie mogę przekraczać granic enklawy.

– Czemu? – odważył się spytać Rainer.

– Mój ojciec był srebrnym magiem i nie umiał się pogodzić z myślą, że mogłoby mnie spotkać coś złego, gdy go zabraknie. Dlatego przed śmiercią stworzył ten ogród, swoje najwspanialsze dzieło. A potem uwięził mnie tu… – jej głos lekko zadrżał. – Za siecią czarodziejskich barier. Założył, że jeśli kiedyś stanę się wystarczająco biegła w magii, żeby je przełamać, będzie to znaczyło, że nie potrzebuję już ochrony. Ale przecenił moje możliwości – zakończyła z westchnieniem. – Nie potrafię się uwolnić.

Tkwię tu jak w klatce, a przecież od dawna już nie jestem dzieckiem! Rządzę rzeczywistością enklawy. Spójrz!

Klasnęła w ręce i róże z najbliższego krzewu zerwały się do lotu, przemienione w chmarę białych motyli. Klasnęła po raz drugi – niebo ożyło deszczem spadających gwiazd. Skinęła dłonią i naokoło rozkwitły storczyki o fantastycznych kształtach. Rainer walczył z chęcią przetarcia oczu i upewnienia się, że nie ma przywidzeń. Różne rzeczy opowiadano o umiejętnościach i wyczynach czarodziejów, ale co innego usłyszeć pogłoski, a co innego samemu się przekonać.

– To ja sprawiłam, że śniłeś o tym miejscu – kontynuowała Koriana, uśmiechając się jakby z zawstydzeniem. – Po wielu wysiłkach udało mi się tak osłabić zaklęcia broniące granic enklawy, żeby przy sprzyjających okolicznościach mógł tu dotrzeć ktoś z zewnątrz. Nie gniewasz się, mam nadzieję?

– Ale dlaczego ja?

– Nie wiem. Może ty mi powiesz? Nie tobie jednemu zesłałam sny. Wielu ludzi śniło i śni o moim ogrodzie, ale ty pierwszy odnalazłeś do niego drogę.

Rainer poczuł zakłopotanie. Szczerość Koriany onieśmielała go.

– Od jak dawna tu mieszkasz? – spytał, by zmienić temat.

– Nie wiem dokładnie. Miałam dwanaście lat, kiedy ojciec umarł. Nie umiem powiedzieć, ile czasu upłynęło w materialnym świecie. A skoro o tym mowa, może lepiej

wracaj już do siebie – dodała, zerkając na niebo. – Nie chcę, żeby się okazało, że przeze mnie straciłeś na przykład kilka dni.

– Mogę wrócić jutro, jeśli chcesz – zaproponował w przypływie odwagi. Koriana roześmiała się.

– U mnie to nie będzie jutro, tu nie ma czegoś takiego. Ale w porządku, przyjdź. Enklawa da mi znać, że jesteś. Pamiętaj tylko, żeby zabrać skrzypce.

Wymienili słowa pożegnania, po czym dziewczyna klasnęła w dłonie. Świat zawirował, a gdy muzyk oprzytomniał, ujrzał, że stoi sam jeden nad brzegiem morza. Zachodzące słońce barwiło fale czerwienią.

* * *

Wrócił nazajutrz, tak jak zapowiedział. I po kilku dniach ponownie.

Za każdym razem gdy przekraczał granicę enklawy, Koriana zjawiała się po chwili. Grał dla niej, a ona słuchała, zapatrzona w dal. Czasami później rozmawiali, ale nie zawsze. Zdarzało się, że tylko siedzieli w milczeniu, słuchając, jak szemrze strumień, a wiatr szumi w zaroślach.

Ani razu nie widział jej za dnia; ilekroć pojawiał się w enklawie, panowała tam noc, a księżyc nie zmieniał swojej pozycji na niebie. Kiedyś muzyk złapał się na podejrzeniu, że ma do czynienia z duchem. Ta myśl przyprawiła go o dreszcz. Lecz potem przypomniał sobie uśmiech Koriany, kwiaty, które rozkwitały na skinienie jej dłoni.

Kimkolwiek była, nie potrafił się zdobyć na to, by przestać ją odwiedzać.

Nie miał odwagi pytać jej o cokolwiek, więc jeśli rozmawiali, to na neutralne tematy. Jak na kogoś, kto żyje w osamotnieniu, Koriana zaskakująco dużo wiedziała o świecie.

– A od czego mam księgi i kryształową kulę? – wyjaśniła z uśmiechem, gdy Rainer wyraził zdziwienie tym faktem. – Zresztą jest jeszcze Bertrand. To kłobuk, mówi ci coś ta nazwa?

Przytaknął. Słyszał to i owo o tajemniczych ognistych stworzeniach, umiejących podróżować między wymiarami i wypełniających rozkazy magów.

– Bertrand dostarcza mi z materialnego świata żywność i wieści. Przez lata służył mojemu ojcu, teraz jest już stary. Ostatnimi czasy zupełnie się rozleniwił.

– Mieszkacie tu całkiem sami? Ty i on?

– Tak. Nie wiem, co bym zrobiła bez niego – dodała posmutniałym nagle głosem. – Tu jest czasem tak strasznie pusto...

Rainer chciał powiedzieć coś dodającego otuchy, ale zamiast tego zaczął kaszleć. Mimo że w materialnym świecie na dobre nastała wiosna, czuł się coraz gorzej. Nie miał apetytu, źle sypiał i podczas kaszlu odczuwał ból w klatce piersiowej.

– Przecież ty jesteś chory – stwierdziła z niepokojem dziewczyna. – Czemu nic nie powiedziałeś?

– To nic takiego – odparł, wzruszając ramionami, ale Koriana nie dała się zbyć.

– Mogę ci pomóc. Nie mów nic przez chwilkę, dobrze?

Przymknąwszy oczy, zaczęła coś szeptać w nieznanym języku. Rainer mógłby przysiąc, że światło księżyca na sekundę przygasło, a wiatr zaszumiał głośniej, jakby w odpowiedzi. Potem zdjęła z szyi swój złoty medalion.

– To talizman, który chroni noszącego. Weź go i noś bez przerwy, w dzień i w nocy. Pod ubraniem, aby dotykał skóry.

Zawahał się, niepewny, czy powinien przyjąć kosztowny z wyglądu przedmiot.

– Gdy wyzdrowiejesz, oddasz mi go – dodała, odgadując źródło jego wątpliwości. – Weź, inaczej zaklęcia nie zadziałają tak, jak powinny.

Nie odważył się odmówić. Wziął medalion, zauważając, że wygrawerowane są na nim wizerunki słońca, księżyca i planet. Gdy dotknął metalu, poczuł w opuszkach palców leciutkie mrowienie.

Przezwyciężając nieufność, zawiesił talizman na szyi i ukrył go pod koszulą.

* * *

– Gdzie twój medalion? – wykrzyknął kłobuk, ledwie weszła do jadalni. Był tak poruszony, że upuścił kosz, w którym miał łupy z ostatniej wyprawy. Cebule, marchewki i rzepy potoczyły się na wszystkie strony. – Nie mów, że mu go oddałaś?!

– Tylko pożyczyłam. Nie denerwuj się tak.

– Jak mogłaś?! Dziewczyno, czy wiesz, czym to grozi?

– Wiem. Będziesz mi teraz suszył głowę, póki go nie dostanę z powrotem. Jakoś przeżyję. – Koriana zmarszczyła brwi, patrząc na rozsypane warzywa. – Bertrand, wstydź się. Tyle razy ci mówiłam, żebyś nie okradał chłopów, a ty co, dalej swoje? I to na przednówku? Jeszcze dzisiaj odniesiesz to wszystko z powrotem.

– Nie ma mowy! Jestem zmęczony. Zresztą na ziemi jest teraz dzień. – Karzeł wzdrygnął się na samą myśl. Kłobuki, jak wiele innych czarodziejskich stworzeń, nie znosiły słonecznego światła.

– To poczekasz, aż zapadnie noc. Bertrandzie, proszę cię. Nie możemy objadać biedaków. Zrobisz tak, jak powiedziałam, a potem nałowisz mi ryb i przyniesiesz trochę mąki z jakiegoś dworu albo trochę ziarna z miejskich spichlerzy.

– Od zimnej wody znów mnie rozbolą kości – mruknął markotnie kłobuk.

– Największa ryba, jaką przyniesiesz, będzie dla ciebie. Usmażę ci w panierce, tak jak lubisz.

Bertrand mlasnął mimo woli, ale potem nachmurzył się.

– Zmieniłaś temat! Nie myśl, że się dam tak łatwo zbyć! Co ci przyszło do głowy, żeby...

– Jemu jest bardziej potrzebny – ucięła Koriana, odwracając głowę. Patrzyła w uchylone okno, za którym na czarnym niebie trwał nieruchomy księżyc. – Nie bój się, odda. To tylko kilka tygodni, co się może stać przez ten czas?

– Ktoś, kto potrafi czytać znaki, mógłby się z tego talizmanu wiele dowiedzieć. Zbyt wiele.

– Rainer nie zna mowy magów.

– On nie, zgoda. Ale gdyby ktoś inny...

– Kto, Bertrandzie? Bez przesady. Rainer nie obraca się w towarzystwie czarodziejów.

Zaczęła zbierać warzywa z podłogi i wrzucać je z powrotem do kosza. Kłobuk nie spuszczał z niej spojrzenia świecących oczu.

– Twój ojciec miał rywali, gotowych na wiele, byle poznać sekrety jego sztuki. Są tacy, którzy nie uwierzyli, że przed śmiercią spalił swoje księgi, wciąż szukają schedy, spuścizny po nim. A gdyby dostali się tutaj... Koriano, czemu ryzykujesz? Czemu nie szanujesz ostatniej woli ojca? Enklawa i talizman miały ci zapewnić bezpieczeństwo...

– Więc dobrze, tkwię tu, bezpieczna – prychnęła dziewczyna, wrzucając do kosza ostatnią cebulę. – I jaki z tego pożytek?

Kłobuk nie odpowiedział. Koriana usiadła przy stole, opierając głowę na rękach.

– Jaki pożytek? – powtórzyła cicho.

* * *

Przez cały następny tydzień lało. Wyprawy za miasto nie wchodziły w rachubę.

Rainer przesiadywał na swoim poddaszu, usiłując pracować, lecz z marnym skutkiem. Za nic w świecie nie mógł się skupić. Patrzył na stertę zapisanych arkuszy

papieru nutowego, zaś oczami wyobraźni widział księżyc nad wierzchołkami cyprysów.

Deszcz jednostajnie bębnił w zamknięte okiennice, a muzyk myślał o Korianie. O pogrążonych w ciszy komnatach czarnoksięskiego domostwa, o jej księgach, kryształowej kuli i smutnym spojrzeniu.

Lewa dłoń mimo woli powędrowała do góry, by dotknąć medalionu, jej medalionu. Odkąd go nosił, nie zakaszlał ani razu.

Zamoczył pióro w kałamarzu i uniósł je, żeby wykreślić zbędny akord, ale myśli biegły własnym torem.

Nie było go stać na żadne podarunki, chyba że na symboliczny kwiat. Jednak miał też dość rozumu, by wiedzieć, że na córce czarodzieja ani suknie, ani klejnoty nie zrobiłyby wrażenia. A róż miała dość w swoim ogrodzie.

Nagle uśmiechnął się, już wiedząc, w jaki sposób się odwdzięczy.

Jego uśmiech zgasł, gdy muzyk spostrzegł, że atrament skapujący z końca pióra zdążył tymczasem utworzyć na papierze wielki kleks. Ze złością zmiął arkusz i odrzucił go w kąt.

* * *

– Umieszczę cię w następnej operze. – Rainerowi błyszczały oczy. – Córka czarodzieja uwięziona w zaklętym ogrodzie, przecież to kapitalne. Muszę pogadać z librecistą. To będzie twój motyw, posłuchaj. Skrzypce i flet. – Zaczął

grać prostą, delikatną melodię. Koriana uśmiechnęła się melancholijnie.

– Miło z twojej strony. Szkoda, że nie będę mogła usłyszeć całości, gdy już ją skończysz.

Radość Rainera ulotniła się w okamgnieniu. Poczuł się jak dureń. Jak mógł zapomnieć…

– Nie przejmuj się – dorzuciła dziewczyna. – Naprawdę, miło mi. A że… Nie twoja wina.

Nie wiedział, co odpowiedzieć, więc nie rzekł nic. Zebrał z ziemi nuty, a skrzypce schował do futerału.

Koriana siedziała na trawie, otulona staromodnym wełnianym szalem, choć nie było chłodno. Swoim zwyczajem objęła ramionami kolana i patrzyła w dal, na gwiazdy migoczące ponad koronami drzew.

– O czym myślisz? – spytał, żeby przerwać niezręczne milczenie.

Nie odpowiedziała. Zerwała stokrotkę i bawiła się nią, obrywając płatek za płatkiem.

– Mogę cię o coś zapytać? – odezwała się ni stąd, ni zowąd.

– Śmiało.

– Rainer, ty nie jesteś byle grajkiem. Zamiast się zajmować nie wiadomo czym, powinieneś koncertować na salonach, korzystać z mecenatu…

– Już przeszedłem przez to wszystko, o czym mówisz – odparł, wzruszając ramionami. – Zapraszano mnie na salony. Byłem w łaskach u możnych…

Urwał, ale uwadze Koriany nie umknęła gorycz w jego głosie.

– I co? Co się stało?

– To długa historia – westchnął. – Opowiem ci, jeśli siądziesz bliżej.

Po chwili wahania przysunęła się. Rainer odchrząknął.

– Urodziłem się w Alkarze – zaczął. – W miasteczku, którego nazwa nic ci nie powie. Wywodzę się z niezamożnej szlachty. Rodzice umarli, gdy byłem chłopcem. Mój starszy brat odziedziczył całą ziemię, bo mieliśmy jej tak niewiele, że nie było sensu dzielić. W zamian miał zadbać, żebym zdobył wykształcenie i do czegoś doszedł. Uczęszczałem do szkoły klasztornej, śpiewałem tam w chórze. Jego dyrygent zauważył, że mam dobre ucho, więc zaczął mnie w wolnym czasie uczyć gry na skrzypcach, a kiedy skończyłem szesnaście lat, to i na organach. Coraz częściej proszono, żebym grał podczas uroczystości, aż w końcu przeor, który mnie lubił, zdecydował, że wyślą mnie do stolicy, do Ponte Auria, bym studiował w konserwatorium. Brat nie chciał o tym słyszeć, bo miał nadzieję, że będę się uczył na prawnika albo pójdę do szkoły oficerskiej. Zapowiedział, że jeśli wybiorę muzykę, nie dostanę od niego więcej ani grosza, ale ja i tak wyjechałem. Dotrzymał słowa, sądząc, że najdalej po roku dam za wygraną i wrócę. Nie wróciłem. Stypendium, które mi ufundował klasztor, ledwie starczało na życie; jadłem byle co i chodziłem w dziurawych butach, ale ukończyłem konserwatorium z najlepszymi notami. Listy polecające od profesorów pomogły mi wejść w środowisko

artystów związanych z dworem i na początku nie było źle. Koncertowałem i pisałem dużo lekkich utworów, głównie muzykę do tańca. Mówiono o mnie dobrze, jak o kimś, kto rokuje nadzieje. Zacząłem dostawać coraz więcej zleceń, raz czy drugi dostąpiłem zaszczytu audiencji u samego króla. Ale tu zaczęły się schody. W środowisku dworskim sam talent daleko cię nie zaprowadzi. Jeśli nie ma się tytułów ani znajomości, trzeba umieć to nadrobić: podlizywać się, schlebiać komu trzeba... Ja tak nie potrafię, więc nie wychodziłem na swoje. Chwalono moje utwory, i owszem, ale na tym koniec. Pieniędzy nadal nie miałem za wiele, w perspektywie może dorobienie się jakiejś pozycji, ale za dwadzieścia lat. A najgorsze w tym wszystkim było to, że dla zarobku musiałem tworzyć byle co. Muzyczkę do grania na przyjęciach, między jednym a drugim daniem, przy której tańczą karły i akrobaci! Przez cały czas miałem wrażenie, że rozmieniam się na drobne. Skarżyłem się na to przyjaciołom jak głupi, a jeszcze nie wiedziałem, co mi szykuje los… Któregoś razu podczas bankietu w pałacu zagadnął mnie gruby jegomość. Cały w świecidełkach, na milę było widać, że nowobogacki. Przedstawił się jako kupiec i patron wszelkiego rodzaju sztuk, ale nietrudno było zgadnąć, że tak naprawdę to jakaś szycha z półświatka. W paru słowach streścił dość... ciekawą propozycję. Zaoferował mi swoją protekcję; lepszą od królewskiej, tak powiedział. Pieniądze. Duże. W zamian... W zamian miałem być odtąd jego okiem i uchem na salonach. Śledzić ludzi, w miarę możliwości podsłuchiwać

rozmowy, przeglądać listy... Banalne, prawda? Aż trudno uwierzyć.

Koriana zmarszczyła brwi.

– Dziwne rzeczy opowiadasz. Gildia przestępcza chciała, żeby szpiegował dla nich kompozytor? Czy jakiś lokaj nie byłby lepszy?

– A widzisz, ulegasz schematom. Nie. Służących zawsze podejrzewa się w pierwszej kolejności. Lepiej wybrać kogoś mniej oczywistego, a bardziej przydatnego z różnych względów. Kogoś, kto bywa na audiencjach, przyjęciach, nie musi się zniżać do podsłuchiwania przez dziurkę od klucza. Piśmiennego, co też nie jest bez znaczenia. Zresztą nietrudno zgadnąć, czemu musiałem się wydawać dobrym kandydatem. Ambitny chłopak, szlachcic, a bez grosza przy duszy... Tacy zazwyczaj są gotowi na wszystko, byle się odbić od dna. Ale zawiedli się na mnie.

– Jak to?

– Tak to, że jak ostatni kretyn uniosłem się honorem. Wściekłem się i zagroziłem, że doniosę, komu trzeba. Do dziś zachodzę w głowę, jak mogłem być tak głupi. Nie darowali mi, rzecz jasna.

– Zemścili się?

– Oczywiście. A co myślałaś? Wkrótce potem na dworze wybuchła afera w związku z nieudanym zamachem na życie króla i kilku dostojników. Ktoś próbował ich otruć podczas uczty, ale źle wyliczył dawkę i tylko się pochorowali. Podczas śledztwa odkryto sfałszowane listy, z których

wynikało, że byłem jednym z głównych uczestników spisku. Król wyznaczył cenę za moją głowę.

– Jak się uratowałeś?

– Przyjaciele ostrzegli mnie w porę. Dzięki ich pomocy uciekłem z miasta. Na piechotę, w byle jakich łachach, jak pospolity włóczęga. Przez kilkanaście dni tułałem się po lasach, potem udało mi się dostać na kupiecki statek i ostatecznie wylądowałem tutaj, w Żaglach.

– Czemu akurat tu?

– Z banalnego powodu. Nie miałem pieniędzy, żeby podróżować dalej.

– Nie boisz się, że prędzej czy później cię wyśledzą?

– Nie. Ostatecznie minęło, ile? Prawie półtora roku. Mój wygląd trochę się zmienił od tamtego czasu, nie używam dawnego nazwiska. Jestem teraz ubogim skrzypkiem z przedmieścia, nikim. – Zaśmiał się gorzko.

– I co dalej? Zamierzasz zostać w Żaglach?

– Kiedy trochę zaoszczędzę, może wyjadę i spróbuję szczęścia gdzie indziej. Zobaczymy. – Wzruszył ramionami. – Czasem myślę sobie, że to wszystko bez sensu, że równie dobrze mógłbym przez resztę życia mieszkać na poddaszu, komponować utwory, które przypisze sobie potem kto inny, i uczyć gry za marne grosze.

– Już nie chcesz być sławny i bogaty? – Koriana uśmiechnęła się nieznacznie.

– Złoto nie przynosi szczęścia. Sława… też niekoniecznie. Kiedy byłem młodszy, bardzo chciałem, żeby moje nazwisko stało się znane. Teraz zmądrzałem… i wiesz,

zdaje się, że przestało mi zależeć na czymkolwiek. Wszystko, co cenne, można stracić w ciągu paru chwil.

– Mówisz jak ktoś stary i zgorzkniały.

– Moje młodzieńcze marzenia umarły razem z dawną tożsamością, Koriano. Co do jednego.

– Więc może nadszedł czas, żeby się postarać o nowe – szepnęła.

Nie odpowiedział.

* * *

Słońce przeświecało przez grube szybki w oknie pracowni, rzucając na ścianę zielonkawe plamy. Fitz z monoklem w oku i rękawami koszuli podwiniętymi powyżej łokci dłubał w trzewiach ozdobnego zegara ściennego. Miał rękę do wszelkiego rodzaju mechanizmów, toteż ludzie przynosili mu różne rzeczy do naprawy. Dorabiał sobie w ten sposób, bo eksperymenty, którymi najchętniej się zajmował, nie wzbudzały zainteresowania laików.

– I co, skończyłeś operę? – spytał, nie unosząc głowy.

– Skończyłem – odparł wesoło Rainer. – Dziś rano zaniosłem Horbeckowi całość.

Alchemik z pełną niesmaku miną dokręcił śrubkę. Zegar ożył, zaczął tykać, po czym nieco ochryple wybił godzinę.

– Zapłacił ci chociaż?

– Zapłacił, zapłacił.

– No to nie ma przeproś, chłopcze, stawiasz mi wino.

– Wiedziałem, że to powiesz. – Rainer wyjął z przyniesionej torby butelkę. – Czerwone, półwytrawne. Z moich stron, powinno być dobre.

Nie było złe. Sączyli je, pogryzając pierniczki wypieku pani Seget, suche i nieco zwietrzałe – świeżo odkurzane, jak się wyraził alchemik. Naprawiony zegar tykał donośnie, gdzieś w kącie za regałem skrobała mysz.

– Rainer, już wiem, co mi nie gra – odezwał się nagle Fitz. – Ty nie kaszlesz! I wyglądasz zdrowo, niech mnie dunder świśnie, jakbyś nigdy nie chorował.

Mówił prawdę. Rainer, który rzadko spoglądał w lustro, nie uświadamiał sobie, jak wyraźna jest zmiana. Jego cera nie była już ziemista, na policzkach przestały się pojawiać niezdrowe rumieńce. Wzruszył ramionami.

– Mówiłem, że przejdzie, i przeszło.

– Aż trudno uwierzyć. Pamiętam ten twój kaszel, brzydki jak wszyscy diabli.

Rainer mimo woli dotknął medalionu schowanego pod koszulą. Przez chwilę czuł pokusę, żeby powiedzieć przyjacielowi o wszystkim, ale powstrzymał się pod wpływem zdrowego rozsądku. Mruknął coś zdawkowo i zmienił temat.

* * *

Gdy wychodził od Fitza, zmierzchało. Dzielnica, oględnie mówiąc, nie należała do bezpiecznych, ale Rainer niespecjalnie się tym przejmował. Często wracał tędy po zmroku i nigdy nic złego mu się nie przytrafiło – nosił się

tak nędznie, że opryszkom nie opłacało się go zaczepiać. Dlatego też, gdy drogę zastąpiły mu dwie zakapturzone sylwetki, jego pierwszą reakcją było raczej zdziwienie niż strach. Zaczął się bać dopiero w momencie, gdy niższa z postaci odsłoniła trzymaną w ręku latarnię, a wyższa ściągnęła kaptur, uwalniając grzywę białych jak śnieg włosów.

Stanął plecami do muru, starając się zachować zimną krew, choć serce łomotało mu jak szalone. Gdyby jak za dworskich lat miał przy boku szpadę, dobyłby jej.

– Ładne cacko nosisz na szyi, chłopcze – oznajmiła właścicielka białych włosów. Ubrana w męski strój, twarz miała młodą i piękną, a pionowe źrenice jej oczu fosforyzowały sino w świetle latarni. Była żmijką, *ka-ira*. – Tak, wiem, że to talizman. Wiem też, jak działa. I wiem, od kogo go masz.

– Tylko spokojnie – dorzucił jej towarzysz, przygarbiony stwór o obliczu, jakie może się zwidzieć w koszmarnych snach, łączącym w sobie cechy psie i żabie. – Nie chcemy ci zrobić krzywdy.

Muzyk opanował się już i postanowił nie okazywać strachu.

– Z kim mam przyjemność? – spytał chłodno.

– Jestem Iris Vandemere, a to Alberik, mój sługa. Przejdźmy do rzeczy. Gdzie ona się ukrywa?

Rainera zmroziło. Ale dalej udawał spokojnego.

– Nie wiem, o kim mówisz, pani.

– Wiesz doskonale, nie udawaj głupiego. Koriana, córka Einara zwanego Szalonym. Einar rozgłosił swego czasu, że umarła w dzieciństwie, a ty nosisz talizman, który mogłeś dostać tylko od niej.

– Skąd ta pewność?

Iris Vandemere uśmiechnęła się. Uśmiech, choć piękny, miał w sobie coś wilczego.

– Jest na nim jej imię. Talizmany o takiej mocy grzebie się razem z właścicielem. Nie wyglądasz mi na rabusia grobów. Doprowadź nas do niej, a w zamian…

– Dostaniesz złoto – wszedł jej w słowo odmieniec. – Dużo złota.

Rainer przypomniał sobie przysłowie, że historia lubi się powtarzać. Przez myśl przemknęło mu, że los ma czasami doprawdy parszywe poczucie humoru.

– Nie ma mowy – odparł krótko.

Iris Vandemere wpatrywała się w niego, krzywiąc usta, ale nie uczyniła żadnego ruchu, który wskazywałby, że szykuje się do rzucenia zaklęcia.

– Przemyśl to – powiedziała spokojnie. – Duma to piękna rzecz, mój młody artysto, ale czy naprawdę tak miło jest chodzić zimą w dziurawych butach? Kiedy beztalencia jeżdżą powozami i sypiają w atłasowej pościeli?

– Są rzeczy ważniejsze od pieniędzy – odparł Rainer. – Nawet jeśli brzmi to cokolwiek banalnie.

Powiedział to nonszalanckim tonem, lecz tak naprawdę z całych sił starał się nie zdradzić, jak bardzo się boi. Nie wątpił, że gdyby chciała, żmijka mogłaby bez trudu odebrać

mu talizman, a następnie wymazać pamięć, lub też – w zależności od kaprysu – zafundować bolesną, straszną śmierć. Ale ona tylko zaśmiała się dźwięcznie.

– Jak uważasz, chłopcze. Zatem idź, nie zatrzymujemy. Może odezwie się w tobie głos rozsądku, kiedy następnym razem będziesz łatał kapotę. Gdybyś zmienił zdanie, znajdziesz nas przy rynku, w zajeździe Pod Złotym Łososiem.

Rainer skłonił się w milczeniu, wyminął ją i odszedł.

Nie podążyli za nim. Ale tej nocy przyśnił mu się paskudny sen.

Stał na ulicy, pod ścianą jakiegoś budynku, w padającym śniegu. Okutani w futra przechodnie mijali go obojętnie.

Najpierw uświadomił sobie, że gra rzewną melodyjkę, idiotycznie prostą. I nie na skrzypcach, lecz na jakiejś żałosnej fujarce obwiązanej drutem.

Potem spostrzegł leżący na ziemi kapelusz. Sfatygowany, z postrzępionym rondem. Z paroma miedziakami w środku.

Popatrzył po sobie, już bojąc się tego, co zobaczy. Ujrzał, że jest odziany w brudne łachy, stopy ma owinięte szmatami. Ogarnęła go fala wstydu i przerażenia.

Ulicą nadchodziły dwie młode kobiety w szubkach lamowanych łabędzim puchem. Na ich widok coś zakłuło go w sercu, ale nie przestawał grać. Ta niższa, o jasnych włosach związanych zieloną wstążką, popatrzyła na niego.

Wyczytał w jej wzroku współczucie. Wrzuciła monetę do kapelusza. Ukłonił się nisko, dziękując…

Wszystko rozproszyło się jak dym porwany podmuchem wiatru. Rainer otworzył oczy.

Pyłki wirowały w smudze światła wpadającej przez szparę w okiennicy. Na sznurze nad piecykiem suszyła się biała koszula. Skrzypce stały pod ścianą.

Sen mara – pomyślał muzyk ze złością. Ubrał się, zszedł do kuchni i krzyknął ze zdumienia na widok postaci siedzącej na stole.

– Bertrand?!

– Za daleko to zaszło – przemówił kłobuk. – Ani ty dla niej, ani ona dla ciebie.

Zeskoczył na podłogę i podszedł, wyciągając rękę.

– Oddaj talizman. Nie potrzebujesz go już, a Koriana owszem. Nie wiedziałem, że oddanie tej błyskotki będzie miało takie skutki, inaczej odebrałbym ci go od razu.

– Co masz na myśli? – spytał ostro Rainer, czując ukłucie niepokoju. Zdjął z szyi medalion, ale nie podał go Bertrandowi. – Nie oddam go, póki nie powiesz, o co chodzi.

Kłobuk długo patrzył na niego, mrużąc ślepia.

– Chodź ze mną, wyjaśnię ci wszystko – oznajmił w końcu.

Klasnął w ręce i wszystko wokół nich zawirowało. Rainer zamrugał.

Stali w innej kuchni, bardziej zagraconej i mroczniejszej, z pojedynczym zakratowanym oknem.

Z sufitu zwieszały się pęczki suszonych ziół, w powietrzu unosił się ich aromat. Muzykowi serce zabiło szybciej, gdy zrozumiał, że są w enklawie, w wieży, gdzie mieszka Koriana. W wieży, do której dotąd nie dane mu było nawet zajrzeć.

– Oto i dom – odezwał się z cieniem ironii kłobuk. – Tyle lat tu spędziłem, psiakrew, choć serce tęskni za wolnością. Ech, pohulałoby się dla odmiany po gwiezdnych szlakach… Ale tkwię tutaj, łowię dla niej ryby, kradnę zboże, ziemniaki i kapustę. Wiesz, czemu? Oczywiście lubię tę dziewczynę, zdążyłem się do niej przywiązać. Jest miła, niegłupia i dobrze gotuje. Ale nie w tym rzecz, Rainerze. Moje główne zadanie to pilnować, żeby nie się wydostała na wolność. Po to Einar mnie tu zostawił, spętanego czarami, które nie straciły mocy wraz z jego śmiercią.

Westchnął ciężko.

– Tak, chłopcze. Koriana nie do końca uświadamia sobie, kim jest, ale wie dostatecznie dużo, żeby pilnie strzec swojego sekretu. Nie powiedziała ci, z jakimi siłami miał konszachty jej ojciec i jak się to skończyło. Medalion poproszę. – Nie czekając na odpowiedź, wyjął go muzykowi z ręki i kontynuował: – Nie zastanowiło cię, czemu zawsze to nosiła, choć przecież w enklawie i tak jest bezpieczna? Talizman, który chroni przed złem… Sęk w tym, że w tym przypadku nie miał chronić właściciela przed złem z zewnątrz…

Przerwał, bo drzwi się otworzyły. Koriana stanęła jak wryta w progu.

– Rainer?! Co ty tu robisz?

Muzyk drgnął, nagle pełen niedobrych przeczuć.

Nigdy jeszcze nie widział jej tak ubranej. Miała na sobie płaszcz z kapturem naciągniętym nisko na czoło, a twarz dodatkowo owiniętą szalem.

– Bertrand, mam rozumieć, że to twoja sprawka? – spytała zimnym tonem, jakiego Rainer nigdy wcześniej u niej nie słyszał.

Strach dostarczył mu impulsu do działania. Przypadł do niej i zanim zdążyła zareagować, strącił kaptur, zerwał szal. Koriana opierała się jak mogła, ale Rainer był silniejszy. Odwrócił ją twarzą ku światłu i wzdrygnął się.

Jej skóra przybrała trupi, siny odcień, a oczy jarzyły się żółto.

– Co ci się stało?! – wykrztusił.

– Okłamałam cię – jęknęła dziewczyna, unikając jego wzroku. – Ojciec nie stworzył enklawy po to, żeby mnie chronić… Raczej żeby chronić świat przede mną.

– Dalej, powiedz mu wszystko – zasyczał kłobuk. – Przyznaj się, czym była twoja matka.

– Mormolyke – szepnęła Koriana, a Rainer poczuł się tak, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg.

Mormolyke. Krwiożercze demony o ciałach kobiet i czarnych ptasich skrzydłach, gnieździły się w górach, jaskiniach i niedostępnych leśnych ostępach. W bezksiężycowe, bezgwiezdne noce opuszczały swoje kryjówki, żeby polować. Potrafiły przelatywać wiele mil w poszukiwaniu ludzkich osiedli…

Puścił Korianę jak oparzony, wpatrując się w nią z otwartymi ustami. Dziewczyna podeszła do krzesła i opadła na nie.

– Ty mi opowiedziałeś o sobie – odezwała się martwym tonem. – Więc i ja jestem ci winna wyjaśnienia, Rainerze. Mój ojciec, choć był srebrnym magiem, zapałał pożądaniem do mormolyke, krwiopijczyni, dziecięcia nocy. Spętał ją czarami, omamił tak, że była mu oddana. Ale w końcu zaklęcie posłuszeństwa przestało działać i musiał ją zabić, inaczej to ona zabiłaby jego. Jednak wcześniej zdążyła powić niemowlę...

– Einar nie umiał się zdobyć na to, by pozbawić życia własną córkę – podjął kłobuk, bo głos dziewczyny zaczął niebezpiecznie drżeć. – Wiedział, że dziecko nie będzie do końca... normalne... ale wychowywał ją. W odosobnieniu, w tajemnicy. A potem zaniemógł. Zachorował tak ciężko, że żadne leki i zaklęcia nie pomagały. Miał wrogów. Zapewne nie stało się to bez ich udziału... ale mniejsza z tym. Wiele wskazywało, że bez jego opieki w małej rychło obudzi się dziedzictwo matki. Einar przed śmiercią sporządził ochronny talizman o potężnej mocy, ale obaj obawialiśmy się, że to może nie wystarczyć, dlatego zdecydował się odizolować dziewczynkę w miejscu, gdzie dla nikogo nie będzie stanowiła zagrożenia. Resztę znasz.

– Talizman i enklawa to nie wszystko – podjęła Koriana już spokojniej. – Ojciec w dniu śmierci zapowiedział, że jeśli kiedykolwiek stanę się jak mormolyke... przeleję ludzką krew... ściągnę na siebie jego przekleństwo. Enklawa

rozpadnie się wówczas, a ja zginę. Ale to bez znaczenia, Rainerze. Cokolwiek sądził mój ojciec, nie jestem potworem. Bez talizmanu moje oczy stają się żółte, skóra zmienia kolor... ale to wszystko, przysięgam.

– Nie! – uciął stanowczo Bertrand. – Dość, Koriano. Chciałabyś, żeby ten miły młodzieniec nadal cię odwiedzał, prawda? Może on byłby gotów ci zaufać, ale mnie do tego daleko.

– Nie jestem potworem! – powtórzyła dziewczyna. – Rainer, proszę, uwierz mi!

– Nie zdajesz sobie w pełni sprawy z tego, czym jesteś – odrzekł nieustępliwie Bertrand. – A ja mam podstawy, by sądzić, że po tym jak go zdjęłaś na tyle dni, talizman już nie będzie cię skutecznie chronił. Dziś masz żółte oczy, a wkrótce być może obudzisz się spragniona krwi... Rainerze – kłobuk zwrócił się do młodzieńca – wystarczająco dużo się dowiedziałeś, pora cię wysłać z powrotem. Niestety, będę zmuszony zadbać, byś tu już więcej nie trafił. Za duże ryzyko dla ciebie i dla niej.

– Nie masz prawa decydować za niego! – Koriana zerwała się z krzesła.

– To moja rzecz, czy chcę ryzykować, czy nie – przytaknął muzyk, ale Bertrand potrząsnął głową.

– Nie, chłopcze. Wracaj do swojego świata, a o nas zapomnij, jeśli zdołasz. Wierz mi, tak będzie dla ciebie lepiej.

Klasnął w ręce, a Rainer znów poczuł, że świat zaczyna wirować.

– Nie! – krzyknęła Koriana widząc, że muzyk zniknął. – Bertrandzie, nie rób mi tego!

– Muszę – powiedział ze smutkiem kłobuk. – Wybacz, dziecko.

* * *

Gdy Rainer oprzytomniał, ujrzał, że stoi na plaży u ujścia wąwozu.

– Nie! – wrzasnął wściekły. – Bertrandzie, niech cię diabli porwą!

– A któż to taki ten Bertrand? – przemówił tuż obok znajomy głos. – Czy nie chodzi czasem o kłobuka, który służył Einarowi?

Zanim Rainer zdążył zareagować, poczuł w całym ciele dziwny, mrowiący chłód i zdał sobie sprawę, że nie może się poruszyć, nie może nawet drgnąć. Iris Vandemere podeszła nieśpiesznie.

– Proszę, proszę. Kogo my tu mamy?

– Jaka miła niespodzianka – zawtórował Alberik, wyłaniając się z zarośli.

– Znalazłeś portal? – Żmijka odwróciła się ku niemu.

– Musi być gdzieś w pobliżu. – Odmieniec pociągnął nosem, węsząc. – Czuję echo... Jest bardzo dobrze ukryty. Daj mi chwilę czasu, pani. – Opadłszy na czworaki, zaczął węszyć tu i tam, oddalając się powoli w głąb wąwozu.

Żmijka odstąpiła od sparaliżowanego Rainera, rozglądając się uważnie.

– Tu stała jego wieża – powiedziała z błyskiem w oku, zatrzymując wzrok na kępie czeremchy. – Wygląda na to, że przeniósł ją w całości do enklawy. Wkrótce się zresztą przekonamy. Alberik? Masz coś?

– Strumień – sapnął odmieniec, podnosząc się na klęczki. – Tędy biegnie spojenie. Strumień płynie w obu wymiarach.

– W obu wymiarach, powiadasz… – Iris w zadumie potarła podbródek. – A portal? Co z portalem?

– Nie da rady. Za dobrze zakamuflowany.

– Hm, to trochę utrudnia sprawę. – Myślała przez chwilę, potem odwróciła się do Rainera. – Hej, ty! Wiem, że wchodziłeś do enklawy. Jak otwierałeś portal? Formułą, kluczem? Mów, nie mam czasu!

Uniosła dłoń i Rainer poczuł przeszywający, upiorny ból w całym ciele. Iris trzymała go pod zaklęciem przez dłuższą chwilę – gdy w końcu je zdjęła, jęknął, z trudem łapiąc oddech.

– Mów!

– Tam można wejść… tylko o wschodzie słońca – wykrztusił.

– Ha! Zaraz się przekonamy, co można, a co nie – oznajmiła żmijka pewnym siebie tonem.

Jęła szeptać zaklęcie, przymknąwszy oczy. Rainer ujrzał, że nad strumieniem zaczynają się unosić i gęstnieć smużki ni to mgły, ni dymu.

Nagle z przeraźliwym trzaskiem rzeczywistość rozdarła się, na jeden obraz świata nałożył się drugi; przez mgnienie

oka muzyk widział księżyc obok słońca, róże wyrastające z piasku. Potem miejsce dziennego światła zajęła ciemność i oto stali w ogrodzie pod nocnym niebem. Iris Vandemere zaśmiała się z satysfakcją, Alberik wydał krótkie, tryumfalne wycie.

Rainer dyskretnie poruszył ramionami, przestąpił z nogi na nogę. Zaklęcie paraliżujące powoli przestawało działać. Postanowił nie zdradzać się z tym, poczekać na rozwój wypadków.

Nie czekał długo. Za cyprysami coś zamigotało, zajarzyło się czerwienią, a ziemia ożyła cieniami.

– Intruzi! – krzyknął kłobuk, wyłaniając się zza drzew na swojej płonącej miotle. – Koriano, uciekaj! Wracaj do wieży, ja się nimi zajmę!

Wzbił się i spikował na nich ostro. Jednak Iris tylko skinęła różdżką i miotła skręciła z gwałtownym szarpnięciem, potem stanęła dęba. Kłobuk nie utrzymał się na niej – runął w dół. Usłyszeli głuchy odgłos uderzenia.

– Bertrand! – krzyknęła rozpaczliwie Koriana, wybiegając z zarośli. I zamarła. Iris Vandemere uśmiechnęła się swoim wilczym uśmiechem.

– Cóż za szczęśliwe spotkanie, córko Szalonego Einara.

– Czego chcesz? – spytała dziewczyna, wpijając w nią spojrzenie niesamowicie żółtych oczu. Sprawiała wrażenie spokojnej, ale Rainer widział, że jest napięta jak struna, cała drży.

– A jak sądzisz, czegóż mogę chcieć? Schedy po twoim ojcu, moja miła. Księgi, pergaminy, instrumenty, klucze do

wieży. Ty zaś... Widzę, że posiadasz ciekawe... hm... zdolności... Będziesz mi służyć, córko Einara. A jeśli ładnie poprosisz, może nawet oszczędzę tego sympatycznego młodzieńca.

Koriana stała bez ruchu, jak zastygła.

Nagle krzyknęła dziko, przenikliwie, a z jej pleców wyrosły czarne ptasie skrzydła. Przemiana dokonała się tak błyskawicznie, że Iris Vandemere w pierwszej chwili nie zareagowała, gapiła się tylko. Alberik, szybciej myślący albo obdarzony lepszym refleksem, skoczył ku Korianie. Chciał ją obalić na ziemię, ale nie zdołał – wywinęła się zręcznie, a w przelocie chlasnęła go ręką, której paznokcie wydłużyły się i zakrzywiły na podobieństwo szponów. Ryknął, łapiąc się za twarz.

Żmijka, otrząsnąwszy się z osłupienia, cisnęła w dziewczynę kulą błękitnego ognia. Koriana zwinnie wzleciała w górę, a sypiący iskrami pocisk zamiast w nią ugodził w Alberika. Odmieniec runął jak podcięty, targnął się w konwulsjach. Znieruchomiał.

Krzycząc w mowie magów, Iris gestykulowała gwałtownie, szykując następny czar. Koriana też krzyknęła, nieswoim, ochrypłym głosem. Machnęła ręką – chmara wielkich ciem wyfrunęła spod trawy, by opaść żmijkę. Iris nie dokończyła zaklęcia, wrzasnęła gniewnie, opędzając się.

Mormolyke spadła na nią z góry jak drapieżny ptak.

Rainer odwrócił głowę, żeby nie patrzeć. Iris Vandemere wrzasnęła raz jeszcze – cienko, przeszywająco,

okropnie. I umilkła. Gdy odważył się znowu spojrzeć, ćmy zniknęły, a żmijka leżała skulona na ziemi.

Zdał sobie sprawę, że nagle zrobiło się bardzo cicho. Słyszał gorączkowe bicie własnego serca.

Koriana klęczała, podpierając się rękami. Skrzydła zniknęły. Potargane jasne włosy zasłaniały jej twarz. Rainer nie wiedział, czy powinien podejść, czy raczej modlić się, żeby go nie zobaczyła.

Cisza wydawała się trwać całe wieki.

Nagle w oddali głucho, groźnie przetoczył się grzmot. Potem odezwał się drugi, głośniejszy.

Trzeci wprawił ziemię w drżenie. Na horyzoncie coś zajaśniało, jakby odległa łuna.

Koriana uniosła głowę. W jej oczach już nie palił się żółty blask.

– Przekleństwo mojego ojca – szepnęła. – Co ja zrobiłam…

Kolejny grzmot wstrząsnął ziemią, niebo poczerwieniało. I nagle z góry lunął deszcz płomieni. Ogień z trzaskiem objął zarośla, wystrzelił wysoko, przesłonił wszystko.

* * *

Rainer najpierw w przerażeniu zakrył ramionami głowę. Potem powoli opuścił ręce. Wrażenie było niesamowite. Naokoło szalało inferno, ale płomienie nie czyniły mu krzywdy. Zamiast żaru muzyk czuł przenikliwy ziąb, jakby stał pośrodku śnieżycy.

Nie wiedział, jak długo to trwało, ale wreszcie pożar zaczął przygasać, aż w końcu już tylko gęste opary wznosiły się znad spalonej ziemi. Ogród był teraz spopieloną pustynią, w niebo sterczały czarne szkielety drzew. Rainer poczuł, że coś dławi go w gardle, i nie wiedział, czy to dym, czy łzy.

Wrogowie zniknęli. Z dreszczem uświadomił sobie też, że nigdzie nie widać Koriany.

Odpychając podsuwane przez wyobraźnię straszne obrazy, ruszył, by jej poszukać. Nagle zatrzymał się, słysząc jęk.

Kawałek dalej leżał Bertrand, blady i zalany krwią. Nie wydawało się, żeby zaczarowany ogień uczynił mu coś złego, ale było jasne, że obrażenia odniesione podczas upadku są i tak wystarczająco poważne. Rainer przykląkł, gorączkowo zastanawiając się, co robić. Kłobuk otworzył ślepia, których blask ledwie się tlił.

– Umieram – odezwał się spokojnie. – Widzisz, do czego doprowadziłeś? Obudziła w sobie mormolyke, przelała krew i ściągnęła na swoją głowę ojcowskie przekleństwo. A wszystko przez ciebie, chłopcze z materialnego świata. Gdyby nie oddała ci talizmanu…

– Broniła ciebie i mnie – powiedział cicho Rainer. – Czy tak zachowuje się mormolyke?

Kłobuk zaśmiał się sucho, boleśnie.

– No cóż, takiego obrotu spraw Einar nie przewidział. – Kaszlnął, z wysiłkiem zaczerpnął tchu. – Rainerze, zrób dla

mnie… dla niej… jedną rzecz. Pochowaj jej ciało, jeśli je znajdziesz.

Muzyk znów poczuł się tak, jakby ziemia usuwała mu się spod nóg. Chciał krzyknąć, zaprotestować, że Koriana na pewno żyje, ale Bertrand westchnął dziwnie, zamknął oczy i nie poruszył się więcej.

Rainer zmusił się, żeby wstać. Coś mówiło mu, że musi szybko odszukać dziewczynę. Dym gęstniał z każdą chwilą, ziemią raz po raz wstrząsało drżenie. Gdy muzyk obejrzał się ponownie, zwłoki kłobuka płonęły.

Wstrzymując oddech, szedł naprzód przez spalone zarośla, wzbijając chmury pyłu. Wszędzie naokoło kwiaty i łodygi rozsypywały się w szary proch.

W końcu, gdy już tracił nadzieję, odnalazł Korianę.

Klęczała nad strumieniem, z którego pozostało tylko wyschnięte łożysko. Ogień również nie wyrządził jej żadnej krzywdy.

Wyglądała już normalnie, po przemianie w mormolyke nie pozostał nawet ślad. Płakała, łzy mieszały się z popiołem rozmazanym na twarzy. Rainer chwycił ją za ramię.

– Chodź! Musimy się stąd wydostać!

Spojrzała na niego ogłupiałym, zagubionym wzrokiem.

– Jak? Enklawa rozpada się, a ja nie mam już żadnej mocy, nie kontroluję granic. Przekleństwo ojca pozbawiło mnie magicznych zdolności. Nie wydostaniemy się. Rainerze, tak mi przykro.

Ziemią wstrząsnął kolejny grzmot, głośniejszy od wszystkich poprzednich. Niebo ściemniało prawie do czerni. Potem rozległ się przeraźliwy, suchy trzask, jakby pękały niewidzialne wiązania. I nagle muzyk zrozumiał.

– Jeśli enklawa się rozpadnie, przeżyjemy – powiedział ze spokojną pewnością. – Zaklęcia, które cię tu więziły, właśnie tracą moc. Bez nich to miejsce jest jak sen, z którego można się obudzić.

Koriana potrząsnęła ze smutkiem głową.

– Sam nie wierzysz w to, co mówisz.

– Nie muszę wierzyć. Wiem.

Objął ją mocno i zamknął oczy.

Gdy je otworzył, oślepiło go dzienne światło. Oboje klęczeli na piasku u ujścia wąwozu, a ciszy nie mąciło nic prócz szumu fal.

Koriana szybko odsunęła się od niego. Rozglądała się z przestrachem.

– Bogowie... Musiałam stracić wszystko, żeby się wydostać...

– Ale żyjesz – odparł z uśmiechem Rainer. – Oboje żyjemy.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Sprawiała wrażenie zdezorientowanej i zrezygnowanej, ale wszystko wskazywało na to, że przynajmniej fizycznie nic się jej nie stało. Zatem to ona mówiła prawdę, a kłobuk się mylił – miała w sobie tak niewiele z mormolyke, że przetrwała utratę tej cząstki bez żadnej szkody.

Rainer zauważył też, że jej twarz jest czysta, naznaczona tylko smugami łez. Również na ubraniach obojga nie było widać śladów popiołu. Wszystko zniknęło w momencie, gdy opuścili rzeczywistość enklawy.

– Bertrand...? – spytała cicho dziewczyna, tonem wskazującym na to, że domyśla się prawdy.

– Przykro mi. – Rainer spuścił wzrok. Oczy Koriany na nowo wypełniły się łzami.

– Co ja zrobiłam... Bertrandzie, przyjacielu, wybacz. – Ukryła twarz w dłoniach, a jej ramiona zadrżały.

Nagle zakłopotany muzyk wstał, odszedł aż nad sam brzeg wody. Ale po chwili wrócił. Zauważył to, czego dziewczyna nie dostrzegała, a gdyby dostrzegła, byłoby jej wszystko jedno – słońce stało nisko na niebie, długie cienie drzew kładły się wzdłuż plaży.

– Lepiej stąd idźmy, niedługo zrobi się ciemno. Na noc zamykają bramy miasta, nie mam ochoty nocować na dworze.

Koriana jakby go nie usłyszała. Zaczerpnęła dłonią garść piasku i patrzyła, jak ziarenka przesypują się między palcami.

– Straciłam wszystko – powtórzyła drżącym głosem. – Moją magię... Dom... A Bertrand zginął...

– Ale ty żyjesz. Chodź, nie możesz tu zostać. – Wziął ją za rękę, lecz Koriana nie chciała wstać.

– Nie musisz... – Dalsze słowa zdławił szloch. Wzięła głęboki oddech. – Rainer, daj sobie spokój. Zostaw mnie tu, wracaj do miasta.

Muzykowi opadły ręce. Nie wiedział, czy w większym stopniu przemawia przez nią rezygnacja, czy źle pojęta duma. Ale zmusił się, żeby mówić spokojnie i ciepło.

– Koriano, spójrz na mnie. Nie zostawię cię, nie ma mowy. Wrócisz ze mną do Żagli, a co potem, to się okaże. Dobrze? Czekaj. – Wyjął z kieszeni chustkę. – Weź, jest czysta.

Dziewczyna spojrzała na niego tak, jakby zastanawiała się, czy go nie uderzyć, ale chustkę wzięła. Osuszyła łzy, wytarła nos i wstała.

Ruszyli plażą w kierunku ścieżki. Nagle Rainer stanął jak wryty.

Przez chwilę nie był pewien, co właściwie widzi. Potem spostrzegł osmalony, częściowo przysypany piaskiem łachman płaszcza i zrozumiał. Rozpadająca się enklawa wyrzuciła doczesne szczątki Iris Vandemere i jej sługi.

To, co z nich zostało, w zasadzie nawet nie przypominało zwłok. Spalone strzępy odzienia, sterczące kości podobne do zwęglonych patyków...

Palce Koriany kurczowo wpiły się w jego ramię. Rainer przestraszył się, że dziewczyna może zemdleć, ale ona nie była z tych mdlejących. Opanowała się szybko.

– Chodźmy – powiedziała, odwracając wzrok. – Przypływ zrobi z nimi porządek.

* * *

Przez całą powrotną drogę żadne nie odezwało się ani słowem.

Gdy dotarli na rogatki, słońce już skryło się za horyzontem, lecz wbrew obawom muzyka brama miejska była jeszcze otwarta – zamykano ją dopiero po zapadnięciu ciemności. W jej cieniu jak zawsze kulili się jęczący żebracy. Koriana na ich widok zadrżała i znów chwyciła Rainera za rękę.

– Wszystko w porządku? – spytał, gdy oddalili się kawałek.

– Przepraszam, to nic. – Spuściła głowę zawstydzona. – Tyle tylko, że… Już zapomniałam, jak różne rzeczy wyglądają z bliska.

Nie wiedział, co odrzec, więc nie powiedział nic. Zastanawiał się, czy córka czarodzieja kiedykolwiek przyzwyczai się do rzeczywistego świata. Ile nauczyły ją księgi i co potrafi poza rzucaniem bezużytecznych teraz zaklęć.

Uznał, że będzie się tym martwił później. Na razie zaprowadził ją do chaty Mateczki Stiny, trochę się bojąc, jak zareaguje na widok ubogiego domostwa. Jak się okazało – niepotrzebnie.

– Jaka przytulna kuchnia – powiedziała Koriana, zrzucając płaszcz, i nie wyczuł, żeby kłamała z uprzejmości.

W kuchni rzeczywiście panowało przyjemne ciepło a w piecu tlił się żar. Przy oknie schło świeżo rozwieszone pranie, ale staruszki nie było nigdzie widać, zapewne już udała się na spoczynek. Rainer postanowił, że wyjaśni jej wszystko nazajutrz. Tymczasem rozdmuchał ogień, nastawił wodę na herbatę, wyjął z kredensu chleb, ser i wędzoną

rybę. Dziewczyna nie okazała niechęci na widok skromnego posiłku.

– Bertrandowi rzadko chciało się kraść dla mnie coś lepszego – stwierdziła, uśmiechając się blado. – Ale nie, nie dam rady teraz nic przełknąć. Przepraszam cię. Może później.

Usiadła w kącie przy piecu i zapatrzyła się w przestrzeń.

Rainer postanowił nie zostawiać jej samej. Po kolacji, żeby nie siedzieć bezczynnie, przyniósł z piwnicy drwa, obejrzał jabłka w skrzynce za drzwiami i wyrzucił dwa zepsute. W końcu postawił na stole łojówkę i zabrał się do cerowania swojej kurtki – syzyfowa praca, materiał był tak przetarty, że rozłaził się pod igłą.

Kiedy świeczka zaczęła się dopalać, stracił cierpliwość. Dotknął ramienia Koriany. Spojrzała na niego niezbyt przytomnie.

– Mam sobie iść?...

– Nie, dziewczyno, nie. Proponuję tylko, żebyśmy się wynieśli z kuchni. Ja w każdym razie idę na górę.

Spuściła głowę, kręcąc w palcach pasmo jasnych włosów.

– Ja... chyba zostanę. Posiedzę tu do rana...

– Nie wygłupiaj się, dobrze? Możesz spać w moim łóżku.

– A ty?

– Prześpię się na podłodze. Nic mi nie będzie.

Wzruszyła ramionami i bez dalszych protestów pozwoliła się zaprowadzić na poddasze. W ciasnej izbie wyraźnie ogarnęło ją zakłopotanie. Pośpiesznie obmyła w miednicy twarz i ręce, po czym położyła się, nie zdejmując sukni.

Rainer rozścielił w kącie koc, na nim swój stary płaszcz. Zdmuchnął kaganek i wyciągnął się na zaimprowizowanym barłogu, przykrywając się kurtką. Tak jak przewidział, było mu twardo, zimno i niewygodnie, ale pomyślał, że za jakiś czas zmęczenie zrobi swoje.

– Nie śpisz jeszcze?... – usłyszał nagle szept. – Wiesz co, połóż się przy mnie.

Zawahał się, zbity z tropu. Z jednej strony w skrytości ducha o niczym bardziej nie marzył, z drugiej – wspomnienie żółtych oczu i szponów było jeszcze aż nazbyt wyraziste.

– Wiem, że jesteś dobrze wychowany – dodała pośpiesznie, trochę zawstydzona – więc jeśli o mnie chodzi, możesz się przenieść ze swoim dobrym wychowaniem tutaj, zamiast marznąć w kącie.

– Skoro tak mówisz.

Do głowy by mu nie przyszło zachować się niestosownie wobec dziewczyny, za którą czuł się teraz odpowiedzialny, trochę jak za siostrę. Ale w łóżku było wygodniej niż na podłodze, to musiał przyznać. I cieplej.

Włosy Koriany łaskotały go w policzek. Przełamując zakłopotanie, objął ją. Przytuliła się do niego jak zwierzątko spragnione bezpieczeństwa.

Leżał z otwartymi oczami i wirem myśli w głowie, słuchając jej oddechu.

– Rainer?.. – odezwała się po raz kolejny, kiedy był pewien, że już zasnęła.

– Aha?

– Dziękuję.

– Za co?

– Za wszystko. A świat… cóż, jakoś się przyzwyczaję.

Agnieszka Hałas

Kim jestem? Urodziłam się w Lublinie w Sylwestra 1980 roku (jestem z tego samego rocznika, co Harry Potter, i obchodzę urodziny w tym samym dniu, co Voldemort). Łącznie ponad sześć lat spędziłam za granicą (najpierw USA, potem Niemcy), ale obecnie mieszkam znów w rodzinnym mieście. Uwielbiam góry, długie spacery, koty (one zwykle też mnie lubią) i muzykę.

http://halas-agn.blogspot.com/
https://madbooks.pl/halas-agnieszka

W oczekiwaniu – Sebastian Hejankowski

Naczelny Egzekutor Tarentos spojrzał na gruz tarasujący wyjście z jego więzienia. Pomimo nadziei na inny widok domyślał się, że zobaczy to samo, co zwykle. Stał na środku wąskiego korytarza, a delikatna, niebieskawa poświata z linii oświetleniowych umieszczonych na ścianach pozwalała mu dojrzeć każdy szczegół osuwiska. Już dawno poradził sobie z mniejszymi kamieniami i odłamkami skał, które teraz leżały poukładane w częściowo zawalonej kwaterze naukowców, znajdującej się tuż obok. Problemem pozostawał fragment samego korytarza – potężna metalowa płyta tak ciężka, że nie sposób było jej ruszyć.

Ani się pod nią przedostać, ani roztrzaskać – pomyślał z żalem Egzekutor.

W tej tajnej, ukrytej pod ziemią placówce badawczej już od dawna nie było żadnych narzędzi górniczych – konstrukcja została ukończona na kilka lat przed kataklizmem. Poza tym Tarentos wątpił, by jakikolwiek kilof miał choć cień szansy w starciu ze wzmacnianą alchemicznie płytą ze stopu oranium. Tutaj potrzebny był specjalistyczny sprzęt i wytrzymałe wiertła, a tych Naczelny Egzekutor nie posiadał.

Jeden z najpotężniejszych ludzi w Cesarstwie zazgrzytał zębami w bezsilnej złości. Nie potrafił przestać analizować swojego położenia, nie zdołał powstrzymać się przed szukaniem kolejnych rozwiązań. Choć dobrze wiedział, że przez cały czas uwięzienia zdążył rozważyć każdą możliwość ratunku – nawet tę najbardziej nieprawdopodobną i szaloną – to mimo to nie potrafił przestać. Sam nie wiedział, dlaczego to robi.

Poddawanie się nie leżało w naturze Naczelnego Egzekutora, ale nie mógł też powiedzieć o sobie, że nadal walczy. Trwał w dziwnym stanie nieustannego napięcia, bez możliwości działania, z jednoczesnym brakiem poczucia rezygnacji. Tak jakby jego determinacja i pragnienie przetrwania przeniosły się na jakiś tajemny, głębszy poziom, a umysł samodzielnie pracował nad poradzeniem sobie z przeszkodami, bez udziału jego woli.

Przyłożył okrytą stalową rękawicą dłoń do zaklinowanej płyty i poczuł delikatne wibracje.

Nawet z takiej odległości eksperymentalna fontanna magii daje o sobie znać – pomyślał.

Znajdująca się kilkaset metrów dalej instalacja zbierała całą energię generowaną przez źródło, którą potem wykorzystywano do zasilania warsztatów i napędzania ciężkich machin bojowych. Wszystkie inne fontanny potrafiły magazynować jedynie nikłą część energii, nieustannie wydostającej się ze źródeł magii. Tylko ta była wyjątkowa. A teraz, po katastrofie, urządzenie nadal działało, lecz nie było możliwości wykorzystania jego mocy.

Po wielkim trzęsieniu ziemi linie przesyłowe do innych budowli Cesarstwa zostały przerwane, korytarze dostępowe zasypane, a większa część placówki została zniszczona, grzebiąc pod tonami metalu i skał dziesiątki magów energetyków i wielu członków oddziału Spiżowego Bractwa dowodzonego przez Naczelnego Egzekutora, które za wszelką cenę miało chronić instalację.

Tarentos dobrze pamiętał słowa Cesarza Draka, który był zarazem jego najbliższym przyjacielem:

– Strzeż tej fontanny niczym najukochańszego dziecka – powiedział wtedy władca. – W razie potrzeby oddaj za nią życie. Jest to bowiem skarb, który pozwoli nam w końcu przerwać impas i wygrać wojnę.

Naczelny Egzekutor z furią uderzył w metalową płytę. Tak bardzo zawiódł zaufanie Draka! Instalacja przetrwała tylko dlatego, że była specjalnie zabezpieczona przed drganiami, ze względu na gigantyczną energię, która wprawiała całą maszynerię w nieustanne wibracje. Potężny system resorów i pneumatycznych wsporników jakimś cudem uchronił fontannę przed zniszczeniem, podczas gdy cała reszta placówki obracała się w pył, przy ogłuszającym akompaniamencie pękających skał i wrzasków miażdżonych ludzi.

Mogłem tylko patrzeć i mieć nadzieję, że w jakiś sposób uda mi się wyjść cało – pomyślał, choć dobrze wiedział, że tylko się usprawiedliwia. Pamiętał, że w krytycznej chwili był bardziej zainteresowany ratowaniem własnego życia niż wypełnieniem misji zleconej przez Cesarza. Cóż za hańba!

Z ust kapłana-wojownika wydostał się syk gniewu, który zaraz potem zamienił się w jęk żalu i wstydu.

Teraz, wraz z resztką swoich ludzi, tkwił w zamknięciu, oczekując na ratunek. Według jego obliczeń ekipy górników z Rasun powinny dotrzeć na miejsce katastrofy już dawno temu. Nikt jednak nie przybył. Tarentos wielokrotnie zastanawiał się, cóż to może znaczyć.

Czyżbyśmy w międzyczasie przegrali wojnę? Czy to możliwe, że Cesarstwo upadło? A może to jakaś kara, wymierzona mi przez samego Draka za niedopilnowanie placówki? Ale przecież nie mógł spisać na straty najnowocześniejszej fontanny magii oraz doborowego oddziału Spiżowego Bractwa…

Naczelny Egzekutor westchnął głośno i powoli zsunął dłoń z płyty. Jakby nie było, kolejny raz odwiedzał jedyny korytarz prowadzący do wyjścia i kolejny raz spoglądał na rumowisko, które blokowało drogę ucieczki. Nic się nie zmieniało, ale Tarentos uparcie wracał w to miejsce w nadziei, że następnym razem ujrzy coś zupełnie innego. Lecz zamiast uśmiechniętych twarzy ratowników z Rasun widział metalową płytę zablokowaną w poprzek korytarza. Wiedział doskonale, że kiedy przyjdzie w to miejsce następnego dnia, ujrzy to samo, jednakże zdawał sobie sprawę także z tego, że na pewno się tu pojawi. Tak jak następnego dnia i kolejnego. Naczelny Egzekutor Tarentos po prostu nie potrafił się poddać.

* * *

Deryl Antros jeszcze raz dokładnie przyjrzał się podłużnemu, zakurzonemu przedmiotowi, spoczywającemu w jego dłoni. Dmuchnął i palcem usunął bardziej uparte zabrudzenia. Odgarnął z czoła siwe, lepiące się od potu włosy, by nie przeszkadzały mu w obserwacji i sięgnął do paska z narzędziami. Wyciągnął stamtąd szkło powiększające i, przymykając jedno oko, spojrzał przez soczewkę. Po chwili uśmiechnął się szeroko i roześmiał radośnie.

Błyskawicznie wstał i natychmiast tego pożałował, gdyż od razu zrobiło mu się ciemno przed oczami. Pochylił się do przodu, próbując odzyskać panowanie nad wzrokiem i uspokoić bijące szaleńczo serce. Upał panujący na pustyni wcale mu w tym nie pomagał.

– Kurwa, wykończę się jeszcze na tym zadupiu – mruknął stary archeolog i oparł się plecami o najbliższą skałę. Po chwili odzyskał ostrość widzenia.

Najpierw dojrzał dolinę, w której pracował przez kilka ostatnich miesięcy. Łagodne zbocza smagał gorący pustynny wiatr, a gdzieś na samym dole widać było ślad po wyschniętej przed wiekami rzece. Cały krajobraz, oświetlony ostatnimi promieniami zachodzącego słońca, usiany był rdzawymi kamieniami i karłowatą roślinnością. Deryl zdawał sobie sprawę, że ta dolina nie różniłaby się niczym od tysięcy podobnych miejsc na kontynencie Matanary, gdyby nie fakt, że właśnie tutaj znajdować się miały zabudowania pochodzące jeszcze z czasów Cesarstwa Zła. Przedmiot, który archeolog trzymał w ręku, raczej nie

potwierdzał informacji odszyfrowanych ze starożytnych manuskryptów przez calderryjskich naukowców. Jednakże mimo to, po raz pierwszy od rozpoczęcia wyprawy, Deryl Antros poczuł prawdziwą ekscytację.

Owszem, nie wstrząśnie to światem nauki, ale na pewno będzie stanowiło dowód na poparcie mojej teorii prawdziwego zasięgu wpływu Królestwa Zimby.

Kiedy tylko przedstawiciel Wydziału Archeologicznego Sił Zbrojnych Calderry wyjaśnił naukowcowi, czego będą szukali w tym odległym miejscu, Deryl sądził, że zapowiada się nudna ekspedycja w pogoni za mrzonkami i legendami. Cesarstwo Zła było znane tylko z późniejszych tekstów historycznych, stworzonych w królestwach, które już dawno pogrążyły się w piachu pustyni. Co prawda w wielu miejscach Matanary odnajdywano starożytne przedmioty, które mogły pochodzić z czasów Cesarstwa Zła, a być może z jeszcze bardziej mitycznego Pierwszego Cesarstwa, jednakże naukowcy traktowali wzmianki o obu imperiach raczej w kategoriach legendy niż prawdy historycznej. Taka opinia panowała wśród królestw Oremiath, ale jak zauważył archeolog, ludność Matanary podchodziła do tego tematu z większą wiarą.

Starszy naukowiec prychnął, ponownie rozbawiony ironią sytuacji. On, autor pracy, która kładła na łopatki naiwne teorie na temat pochodzenia wielu przedmiotów uznawanych za artefakty z czasów Cesarstwa Zła, został opłacony do wzięcia udziału w wyprawie mającej ostatecznie udowodnić istnienie tego mitycznego tworu.

Kiedy archeolog wreszcie poczuł, że jego organizm doszedł do siebie po nagłej zmianie pozycji ciała, zaczął powoli schodzić w dół doliny. Kierował się w stronę rozstawionych namiotów, pomiędzy którymi kręcili się pozostali członkowie wyprawy. W przeważającej części byli to wojskowi z Calderry, którzy, ze względu na wysoką temperaturę, najczęściej narzucali na siebie tylko luźne koszule i spodnie zamiast kompletnych brunatnych mundurów polowych. Wyróżniali się bladością skóry pośród nielicznych tragarzy, których udało się wynająć z okolicznej ludności. Ci zaś nosili, zwykle mocno zakurzone, powłóczyste szaty, którymi owijali swe ciała w taki sposób, by chroniły ich od słońca w dzień, a od zimnego wiatru w nocy.

Deryl zagłębił się w obozowisko, ściskając w dłoni odnaleziony przed chwilą skarb. Mijał otwarte namioty, w których dokładniej przyglądano się losowo wybranym kawałkom skał, wydobytym z przeszukiwanych wcześniej miejsc. Miało to na celu wychwycenie ewentualnej pomyłki ekip pracujących przy wykopach. Ostrożnie przeszedł nad napiętą liną umocowaną w ziemi za pomocą stalowego trzpienia i minął kilka wygaszonych ognisk – mimo że w dzień panował upał, w nocy robiło się przeraźliwie zimno i ciepło płomieni okazywało się niezbędne.

Wreszcie dotarł do namiotu, który na swoją kwaterę wybrał pułkownik Sił Zbrojnych Calderry, Hersom Hlatir. Archeolog zatrzymał się przed wejściem i zmusił się do tego, by zamienić uśmiech triumfu w maskę powagi. Był

bardzo ciekaw, czy wojskowy będzie w stanie prawidłowo ocenić wartość odnalezionego przedmiotu.

Antros odetchnął głęboko dwa razy i wszedł do środka. Hersom Hlatir siedział za lekkim, rozkładanym biurkiem i właśnie uzupełniał wpis w dzienniku. W odróżnieniu od swoich ludzi, miał na sobie kompletny, zawsze nieskazitelnie czysty mundur. Jedynym odstępstwem od regulaminowego wyglądu była koszula, lekko rozpięta na samej górze.

Pułkownik uniósł wzrok znad dziennika i spojrzał na archeologa poważnymi, jasnobłękitnymi oczami. Na jego twarzy nie było widać nawet śladów zarostu – do swoich obowiązków podchodził niezwykle poważnie i w każdych okolicznościach chciał godnie reprezentować Siły Zbrojne Calderry, także swoim wyglądem.

– Witaj, Derylu – powiedział spokojnym, niskim i dźwięcznym głosem wojskowy. Do swoich ludzi odnosił się z szacunkiem, ale zwykle zwracał się do nich, używając stopni, tylko dla starszego archeologa robił wyjątek i mówił do niego po imieniu. – Jak postępy w pracach?

Antros wzruszył ramionami, starając się ze wszystkich sił, by nawet najmniejsze drgnienie twarzy nie zdradziło, że przynosi wyjątkowo dobre wieści.

– Tak samo, jak wczoraj, panie pułkowniku – powiedział lekko drżącym głosem, więc odchrząknął na końcu zdania. – Ten pył z pustyni dostaje się wszędzie.

– Rozumiem – mruknął Hlatir i umoczył pióro w atramencie, by dokończyć zdanie. – Kopacze nie natrafili

na nic ciekawego?

Deryl pokręcił przecząco głową, ale kiedy zauważył, że pułkownik ponownie skupił się na dzienniku, postanowił odpowiedzieć na głos:

– Nie, nic.

– Więc może powinniśmy zmienić miejsca kopania – stwierdził pułkownik, kreśląc kolejne słowo. Po chwili dmuchnął na stronę zapisaną kształtnymi literami, by szybciej wysuszyć atrament.

– Może powinniśmy – odparł archeolog. Pułkownik jakby wyczuł, że coś jednak się święci, spojrzał ponownie na starszego naukowca swoimi świdrującymi oczami. Nic nie powiedział, tylko obserwował, a jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

Antrosowi trudno było przyznać się do tego przed samym sobą, ale bał się pułkownika Hlatira. Jego chłodnego spojrzenia, analitycznego umysłu, inteligencji i pewności siebie. Kiedy wojskowy na niego patrzył, ostre rysy jego twarzy przypominały głowę orła, szykującego się do ataku na nieświadomą niczego ofiarę.

– Może chciałbyś na to spojrzeć, pułkowniku? – powiedział wreszcie lekko pobladły Deryl i podał wojskowemu przedmiot, który odnalazł na zboczu doliny.

Wyraz twarzy Hlatira nie zmienił się, kiedy chwycił podłużną rurkę i przyjrzał się jej powoli. Zbliżył ją do twarzy, stuknął paznokciem, po czym zadrapał.

– Na pewno zostało wykonane przez człowieka – powiedział spokojnie, oglądając przedmiot z różnych stron.

– To nie szkło, lecz jakiś ceramiczny materiał. Sposób, w jaki przylegają te kawałki skały, sugeruje, że pochodzi z bardzo dawnych czasów.

Deryl Antros słuchał rzeczowej wypowiedzi pułkownika Hlatira z coraz większym podziwem. Domyślał się, że wojskowy posiada całkiem solidną wiedzę na temat historii Matanary i doceniał jego znajomość technik archeologicznych, ale nie zdawał sobie sprawy z tego, że jego obeznanie jest aż tak duże.

– Czegoś takiego nie był w stanie wytworzyć żaden z tutejszych koczowniczych klanów – kontynuował swoją myśl Hlatir. – Nawet Południowe Królestwa nie posiadają odpowiednich technologii, by wyprodukować taki materiał. Wygląd sugeruje, że to jedno z tradycyjnych zdobień nieistniejącego już Królestwa Zimba.

Zadowolony Deryl kiwnął głową, doszedł bowiem do tego samego wniosku. Królestwo Zimba przeszło do historii już przed wiekami, a rurkami podobnymi do tej, jego mieszkańcy ozdabiali korytarze w swoich domostwach. I mimo że nie był to dowód na istnienie Cesarstwa Zła, to jednak odkrycie to miało spore znaczenie dla archeologii. Nikt bowiem – oprócz samego Deryla – nie przypuszczał, że Królestwo Zimba rozciągało się tak daleko na zachód. To rzucało nowe światło na rozwój tutejszych kultur. Archeolog sądził, że wojskowy skończył swoją wypowiedź, lecz pułkownik Hlatir nieoczekiwanie zabrał głos ponownie:

– Niektórzy z archeologów sugerują, że rurki zdobiące korytarze domów w Królestwie Zimba były wzorowane na

rozwiązaniach znacznie starszej kultury i są w istocie nieudolną kopią, odzwierciedleniem technologii z czasów Cesarstwa Zła. Zimbaczycy wytwarzali je z kolorowego szkła, a ten materiał definitywnie nim nie jest. Poza tym, widzę w środku ślady jakiejś niebieskawej substancji. Śmiem twierdzić, że mamy do czynienia z oryginałem, na podstawie którego powstały zdobienia w Królestwie Zimba…

– Co? – wykrztusił Deryl i rzucił się do przodu, by jeszcze raz przyjrzeć się kawałkowi rurki. Gorączkowo próbował znaleźć lukę w toku rozumowania pułkownika. Jednakże im dłużej nad tym myślał, tym bliższy był konkluzji, że jego wniosek jest jak najbardziej sensowny. Owszem, trudny do udowodnienia, ale jednak bardzo solidny.

– Gdzie to znalazłeś? – zapytał nadal spokojny Hlatir, oddając archeologowi ceramiczną rurkę.

– Na skarpie, nieco powyżej obozu – odparł mechanicznie Deryl, niedbałym machnięciem ręki wskazując orientacyjny kierunek. Archeolog jeszcze raz przyjrzał się rurce i zajrzał do środka. I faktycznie, w środku zauważył ślady jakiejś niebieskawej substancji, która wyglądała jak stwardniała żywica.

– Dobra robota – powiedział pułkownik i wstał zza biurka. Zbliżył się do archeologa, który przyglądał się przedmiotowi z coraz większymi wypiekami na twarzy, a kiedy go mijał, klepnął go lekko po ramieniu. – Bardzo dobra robota.

– Jutro wyślemy w to miejsce wszystkich naszych ludzi – powiedział, kiedy odetchnął. I mimo że jego twarz pozostała bez wyrazu, w oczach pojawił się błysk zadowolenia. – Zobaczymy, do czego uda nam się dokopać...

* * *

Powietrze w pobliżu fontanny magii miało charakterystyczny zapach rozgrzanego pieca, a w ustach zostawiało metaliczny posmak. Temperatura w tym miejscu była zdecydowanie wyższa niż w reszcie zrujnowanego podziemnego kompleksu, a nad wszelkimi innymi dźwiękami dominowało nieustanne, pulsujące buczenie maszynerii. Źródło magii zostało ze wszystkich stron obudowane szczelną konstrukcją, zabezpieczenia te nie zdołały jednak wytłumić jego negatywnych właściwości.

Tarentos stał kilka metrów od fontanny i zaczynał odczuwać jej moc. Energia oddziaływała na jego ciało, sprawiając mu tępy ból. Naczelny Egzekutor miał wrażenie, że jego mięśnie i kości są na przemian rozciągane i kurczone, ale uczucie to w żaden sposób nie przypominało masażu.

Energia magiczna wpływała również na umysł. Logiczne myśli Naczelnego Egzekutora były co jakiś czas przerywane dziwacznymi obrazami, a ich tok często schodził na boczne tory. Tarentos musiał stale mieć się na baczności i utrzymywać ciągłe skupienie, by w ogóle pamiętać, co robi w tym miejscu.

Postąpił kilka kroków do przodu, aż ból stał się tak silny, że kapłan-wojownik musiał napiąć wszystkie mięśnie i zacisnąć zęby, by sobie z nim poradzić. Zatrzymał się, jęknął z wysiłku i zgiął się wpół. Po chwili jednak sapnął gniewnie i ponownie wyprostował się, jakby rzucał wyzwanie skomplikowanej maszynerii. Stał już na wyciągnięcie ręki od fontanny i gdyby nie ochronna konstrukcja, która łagodziła skutki oddziaływania magicznej energii, ciało Tarentosa zapewne już dawno zostałoby rozdarte na strzępy.

Naczelny Egzekutor wyciągnął przed siebie rękę, z fascynacją obserwując drgającą rękawicę wykutą z oranium. Nie przypominała już ciała stałego, a raczej powierzchnię wody w nieustannie potrząsanej szklance. Wybrzuszenia w formie małych bąbli pojawiały się i znikały, a co jakiś czas przez pancerz przechodziły serie większych deformacji, niczym pojedyncze fale na jeziorze.

Ciekawe jak teraz wygląda moje ciało i organy wewnętrzne.

Zaraz jednak jego rozmyślania zastąpiła seria dziwacznych, krwistoczerwonych wizji. Tarentos zapomniał, po co w ogóle znalazł się w tym miejscu, przestawał zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa. Obrazy zmieniały się jak w kalejdoskopie, kolory przybierały różnorodne kształty i wirowały w szaleńczym tańcu. Światło atakowało zmysły kapłana-wojownika, a otępienie spowodowało, że Tarentos zapomniał nawet, kim jest. Wtedy ból stał się nie do

zniesienia i, paradoksalnie właśnie dzięki temu, Naczelny Egzekutor zdołał odzyskać przytomność umysłu.

Pospiesznie wycofał się, oddychając ciężko. Doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że igra z ogniem – każda kolejna próba sił w starciu z mocą źródła magii mogła się dla Tarentosa skończyć tragicznie. Jednakże siła tej czystej energii fascynowała go, podobnie zresztą, jak trzech pozostałych przy życiu członków jego oddziału Spiżowego Bractwa. Każdy z nich przychodził regularnie w to miejsce i sprawdzał siłę swego ciała i umysłu. Jak dotąd tylko Naczelny Egzekutor zdołał dotrzeć na tyle blisko, by dotknąć urządzenia.

Kiedy dochodził jeszcze do siebie, poczuł wstrząs, a do jego uszu dobiegł huk dalekiej eksplozji. Wtedy wszystko się zmieniło. Nie potrafił tego określić słowami, ale było to niezwykle nieprzyjemne odczucie. Miał wrażenie jakby coś wyrwało dziurę w niewidzialnej barierze, z której istnienia do tej pory nie zdawał sobie sprawy. I przez ten powstały nagle otwór zaczęło przedostawać się coś obcego. Coś, co niosło ze sobą zapowiedź nieprzyjemnych i bolesnych zmian.

W pobliżu fontanny magii nagle pojawili się pozostali trzej wojownicy, pospiesznie zakładając na siebie części zbroi. Tarentos uniósł brwi ze zdumienia, kiedy ich zobaczył. Nie wiedział, czy to jeszcze efekt niedawnej próby ze źródłem magii, czy wpływ tej tajemniczej obcej siły, ale miał wrażenie, że postacie członków jego oddziału rozpływają się w powietrzu. Otaczała ich jakby drgająca,

ciemna chmura, za którą czaiło się coś przerażającego. Naczelny Egzekutor miał coraz gorsze przeczucia, gdy spojrzał na własne, zaciśnięte w pięści dłonie. Ze zgrozą zauważył, że także jego postać otacza poruszająca się chmura. Obłok reagował tak, jakby żył własnym życiem, to przylegając do jego ciała, to znów odsuwając się. Z każdym takim ruchem Tarentos czuł szarpnięcie i ból oraz coś, czego nie odczuwał już bardzo długo. Autentyczny, paniczny strach.

Naczelny Egzekutor miał wrażenie, że obca siła, która wtargnęła do jego więzienia, próbuje go obedrzeć z czegoś, co nie było wyłącznie fizyczne, ale stanowiło jego integralną część. Szarpała go, ciągnęła w kilka stron jednocześnie i potrząsała nim.

– Ach! – z gardła Tarentosa wydobył się okrzyk strachu, kiedy ta moc rzuciła go na kamienną podłogę.

Ból odczuwał nie tylko ciałem, ale i duszą. Miał wrażenie, że nieznana potęga szarpie jego jestestwo, że dotyka sedna tego, kim jest. Czuł się obnażony jak nigdy wcześniej, obca energia docierała do każdego zakamarka jego ciała i umysłu. Ciemna chmura otoczyła go niemal bez reszty, a jego ciało drgało od kolejnych szarpnięć i wstrząsów. Tarentos ledwo widział, co działo się kilka metrów dalej, jego ludzie byli tylko rozmazanymi plamami wijącymi się na podłodze. Do uszu Naczelnego Egzekutora dobiegł dziwny, szeleszczący i chrapliwy okrzyk. Trwał długo i wybrzmiewało w nim prawdziwe cierpienie oraz ból. Głos wwiercał się w czaszkę i odbijał się echem od ścian.

Wtedy Tarentos zdał sobie sprawę z tego, że ma otwarte usta i że ten obco brzmiący wrzask wydobywa się właśnie z nich. Poczuł chłód, a włosy stanęły mu dęba.

Nagle pojawiło się kolejne uczucie. Specyficzna sztywność mięśni, charakterystyczne mrowienie całego ciała, tak jakby właśnie wracało w nim krążenie. Tarentos poczuł niespodziewanie, jak ból zanika, a wraz z nim odchodzi jakaś część jego duszy, pozostawiając po sobie puste, krwawiące miejsce. Była to strata tak dojmująca, że Naczelny Egzekutor jęknął i zapłakał rozdzierająco. Łzy pociekły po jego wysuszonych policzkach, a zęby zachrzęściły, kiedy zacisnął szczęki.

Z sapnięciem, które wznieciło kurz, przewrócił się na brzuch i podniósł na rękach okrytych zniszczonymi i pokrytymi pyłem rękawicami. Oranium straciło połysk i teraz przypominało raczej starożytne żelastwo. Z wysiłkiem zgiął nogi w kolanach i uklęknął, spoglądając z przerażeniem na swoich towarzyszy. Trzej żołnierze nadal wili się na podłodze, a ich wygląd również uległ przemianie. Ich pancerze się rozpadały, a skóra była pociemniała i wysuszona. Jednakże w ich oczach czaił się blask tajemniczej mocy.

Naczelny Egzekutor podniósł się przy akompaniamencie skrzypiących kości i chrzęstu zardzewiałego metalu. Jeszcze raz spojrzał na swoją postać, z której sypał się pył. Zacisnął pięści, co przyszło mu z trudem – dłonie, podobnie jak cała reszta jego ciała, były zesztywniałe. Po chwili rozprostował palce i ramiona, a gdy

poruszył głową, coś strzyknęło mu w karku. Boleśnie odczuwał stratę swego dawnego ja. A może to była tylko iluzja?

Tarentos sapnął ponownie i pokręcił głową z niedowierzaniem. Ile czasu musieli tutaj spędzić?! Czyżby fontanna magii w jakiś cudowny sposób zakonserwowała ich ciała, a umysły utrzymała w przeświadczeniu pozornie upływających dni, miesięcy, lat...? A może sami to sobie wmówili, trwając poza czasem w tym przeklętym, zapomnianym przez świat miejscu?

W tym samym momencie Naczelny Egzekutor przypomniał sobie o wstrząsie i wybuchu. Dotarło do niego, że skoro minęło nie wiadomo ile czasu, to najprawdopodobniej jego przyczyną nie mogła być misja ratunkowa ze strony Cesarstwa, a na pewno nie z Cesarstwa, które znał.

Naczelny Egzekutor Tarentos spojrzał na pozostałych członków Spiżowego Bractwa oczami błyszczącymi od mocy i powiedział półszeptem:

– Przygotować miotacze i miecze!

Trzej starożytni kapłani-wojownicy, którzy zdążyli podnieść się z podłogi, zasalutowali z trudem i, kuśtykając, skierowali się w stronę zbrojowni.

Tarentos oparł dłonie na biodrach. Ktokolwiek nie próbowałby się wedrzeć do placówki, Naczelny Egzekutor miał zamiar wypełnić polecenie Cesarza Draka – chronić fontannę magii za wszelką cenę.

* * *

Zafascynowany Deryl Antros przyglądał się zdobieniom korytarza. Jeszcze kilka godzin temu wydawało się, że nie znajdą niczego w tym miejscu, kiedy jeden z kopaczy nagle wpadł w dziurę w ziemi. Szybkie prace pozwoliły odkryć znajdujące się wysoko na skarpie, przysypane kamieniami wejście do korytarza. Okazało się, że do tej pory szukali w niewłaściwym miejscu, wychodząc z założenia, że budynki znajdowały się gdzieś w dolinie. Tymczasem konstrukcja była ukryta w ziemi, pod stromym zboczem pagórka!

– Ciekawe, bardzo ciekawe – szepnął Deryl, spoglądając z bliska na szczegóły zdobień. – Poświeć tutaj.

Jeden z wynajętych tragarzy drżącą ręką przesunął pochodnię, by oświetlić żądany fragment korytarza. Był blady i pocił się. Archeolog rozumiał bardzo niewiele z tego, co tragarze i kopacze najęci z lokalnych klanów koczowniczych mówili między sobą od chwili odkrycia wejścia, ale rozpoznał słowa takie jak „klątwa” i „złe miejsce”. Deryl miał tylko nadzieję, że nie uciekną, bo wtedy cała wyprawa miałaby poważne problemy logistyczne. Ale te myśli pojawiały się w umyśle Antrosa z rzadka, stary naukowiec był za bardzo podekscytowany odkryciem, by martwić się o cokolwiek.

Deryl przesunął dłonią po wyraźnie zaznaczonych, jakby wtopionych w ścianę rurkach, podobnych do fragmentu, który znalazł poprzedniego dnia. Wyciągnął szkło powiększające i przyjrzał się zdobieniom dokładniej.

– Wyglądają inaczej niż w Królestwie Zimba – stwierdził po chwili, z wyraźnie słyszalną zadumą, ale i wahaniem w głosie. – Do tej pory spotykałem się tylko ze zdobieniami z rurek umieszczonych na ścianach, przytwierdzonych za pomocą haków czy innego rodzaju mocowań. Tutaj jest inaczej... Jakby były integralną częścią samej ściany.

To powiedziawszy, wyprostował się i spojrzał w głąb korytarza.

– Jeśli to faktycznie ruiny z okresu Cesarstwa Zła...

Archeolog wyraźnie wzdrygnął się, kiedy poczuł na swoim ramieniu dłoń pułkownika Hlatira.

– Jeśli faktycznie, to co wtedy, Derylu? – zapytał wojskowy, jak zwykle spokojnym tonem. W oczach odbijał mu się płomień pochodni, co nadawało mu demoniczny wygląd.

– Wtedy obawiam się, co możemy tam znaleźć... – wyszeptał Antros i zadrżał na całym ciele.

– Zapewne większość tych strasznych historii o Cesarstwie Zła – zaczął Hersom, kładąc dłonie na biodrach i odważnie spoglądając w mrok korytarza – to zwykłe, przesadzone i pełne przesądów legendy...

Deryl Antros naprawdę chciał się poczuć pewniej, kiedy usłyszał słowa pułkownika, ale wygląd wojskowego sugerował, że jednak należy mieć się na baczności. Hersom Hlatir, podobnie zresztą jak dwudziestka jego ludzi, przed wejściem do korytarza założył na siebie pełną zbroję w tradycyjnych barwach Sił Zbrojnych Calderry. Połyskujący błękitem i bielą pancerz był idealnie czysty

i wypolerowany, ale dla archeologa stanowił wyraźny sygnał, że Hersom spodziewa się kłopotów. Choć może to tylko zwykła ostrożność? Deryl był przekonany, że na pewno nie chodzi tutaj o względy estetyczne czy prestiż – pułkownik był zbyt praktyczny jak na tego typu przesłanki.

Hersom lekko poprawił przewieszoną przez ramię tarczę i położył dłoń na rękojeści miecza.

– Za mną – rzucił tonem pozbawionym emocji i pewnym krokiem ruszył w głąb korytarza. Tuż za nim podążała cała grupa, złożona z żołnierzy i wystraszonych koczowników.

Ich marsz trwał dość krótko – korytarz po kilkunastu metrach kończył się rumowiskiem.

Hersom Hlatir spojrzał na stertę kamieni z powątpiewaniem.

– Wiecie, co robić – powiedział swobodnie do swoich ludzi oraz tragarzy, a sam usunął się na bok korytarza. Zarówno żołnierze, jak i członkowie koczowniczych klanów zaczęli przenosić kamienie, powoli odsłaniając dalszą część podziemnej budowli. Praca szła bardzo sprawnie przez następne półtorej godziny, kiedy natrafiono na kolejną przeszkodę. Blokująca przejście metalowa płyta połyskiwała pomiędzy odłamkami skał.

Deryl Antros gwałtownie doskoczył do znaleziska i gwizdnął z podziwem, kiedy tylko je ujrzał.

– Nigdy nie widziałem podobnego pisma – powiedział powoli. – Poza tym ta stal… Aż dziwne, że nie skruszała…

– To nie jest zwykła stal – powiedział spokojnie pułkownik Hlatir – tylko specjalny stop, którego sposób

wytwarzania sięga dalej niż historia Cesarstwa, bo aż do Starożytnego Aldaru. W Wydziale Archeologicznym mówimy na to stal aldarska.

Deryl wyprostował się gwałtownie i zaskoczony zamrugał oczami. Każdy doskonale znał legendy na temat Starożytnego Aldaru, wyspy, na której powstała, rozkwitła i upadła zaawansowana cywilizacja w czasach, kiedy mieszkańcy Oremiath żyli jeszcze w jaskiniach i używali kamiennych narzędzi. Archeolog zastanawiał się, jakim cudem pułkownik mógł posiadać taką wiedzę, bo na temat tej kultury istniały tylko nieliczne informacje. Aldar był bowiem niezwykle niebezpiecznym miejscem, pełnym bardzo agresywnych stworzeń, prawdopodobnie spokrewnionych z człowiekiem. Jedyne wiarygodne relacje mówiły o zaginionych w dżungli ruinach niezwykłych budowli i dużej ilości źródeł magii, których strzeliste, oślepiająco jasne promienie były widoczne z odległości wielu kilometrów. Poza tym Aldar znajdował się po drugiej stronie Oremiath i ewentualna wyprawa z Calderry musiałaby przebyć ponad półtora tysiąca kilometrów lądem bądź morzem.

Z drugiej strony… Obecna ekspedycja pokonała jeszcze większą odległość, by znaleźć się w samym środku Matanary.

Tak czy siak, archeolog nie potrafił w żaden sposób wytłumaczyć takiej wiedzy u pułkownika.

– Skąd…? – zaczął Deryl, ale po chwili tylko machnął ręką. – Zresztą, to nieistotne. Ważne żeby pozbyć się tej

przeszkody i przejść dalej.

Szybko okazało się, że stalowa płyta nie da się przesunąć nawet o centymetr, pomimo wykorzystania siły kilku ludzi oraz dźwigni z metalowych drągów. Żołnierze, ciężko dysząc, stali oparci o ścianę korytarza po kolejnej wyczerpującej próbie, kiedy pułkownik Hlatir podjął decyzję.

– Przynieść ładunki – powiedział i przeniósł spojrzenie na archeologa. – Będziesz miał okazję obejrzeć nasz najnowszy wynalazek, Derylu. Ujarzmioną energię magii, skondensowaną do tego stopnia, że po uwolnieniu niszczy wszystko dookoła.

I gdyby ktokolwiek inny powiedział coś takiego, archeolog roześmiałby mu się w twarz – szczególnie zabawne było połączenie słów „wynalazek” oraz „magia”. Ale biorąc pod uwagę niezwykłą wiedzę pułkownika i jego poważne podejście do wypowiadanych słów, Deryl uznał to oświadczenie za wiarygodne.

Po kilku minutach żołnierz, który został wysłany do obozu, wrócił, niosąc na plecach wypchany worek. Pułkownik podszedł do niego i pomógł mu postawić na ziemi niewygodny pakunek. Worek lekko uderzył w podłogę, wydając charakterystyczny metaliczny brzęk. Hlatir wraz z żołnierzem ukląkł obok i wspólnie zaczęli wyciągać ze środka metalowe sześciany. Miały boki długości kilkudziesięciu centymetrów i ścianki z cienkich blaszek.

Deryl zamrugał, kiedy zauważył, że powietrze w pobliżu przedmiotów faluje, niczym nad rozgrzanym piaskiem pustyni. Po dłuższej chwili musiał pogodzić się z faktem, że była to prawda, a nie efekt zmęczenia. Archeolog z ciekawością uklęknął obok i zbliżył dłoń do sześcianów, ale nie poczuł od nich żadnego ciepła. Poza tym Hersom Hlatir dotykał ich zupełnie bez żadnych zabezpieczeń.

– Tak naprawdę to akumulatory magiczne ładunków przeciążonych – powiedział po chwili pułkownik nauczycielskim tonem. – Działają na podobnej zasadzie jak zwykłe akumulatory magiczne, które wykorzystujemy do napędzania naszych prototypowych maszyn, ale, w przeciwieństwie do nich, posiadają o wiele większe ładunki. Są przez to bardziej niestabilne i niebezpieczne, ale do czasu, aż ktoś ich nie upuści z większej wysokości, nie powinno stać się nic groźnego. W każdym razie, wystarczy je uruchomić w ten sposób, by rozpocząć proces destabilizacji, który kończy się gwałtownym uwolnieniem magicznej energii. Bardzo przydatne chociażby do rozsadzania skał.

– Dlaczego mi to wszystko mówisz? – wystraszył się Deryl Antros, cofając się nieco na klęczkach.

Hersom Hlatir spojrzał na archeologa swoimi świdrującym wzrokiem, ale nie odpowiedział. Po chwili wyprostował się i zaczął ostrożnie ustawiać przedmioty zwane ładunkami w pobliżu płyty tarasującej przejście.

– Lepiej wyjdźcie na zewnątrz – zakomenderował pułkownik, stając przodem do rumowiska, a tyłem do

swoich ludzi. Calderryjscy żołnierze posłuchali natychmiast, szybkim krokiem wycofując się w kierunku wejścia do korytarza. Tragarze przez chwilę stali niezdecydowani, ale widząc błyskawiczną reakcję wojskowych, natychmiast poszli ich śladem.

Archeolog chciał jeszcze o coś zapytać i już otwierał usta, by coś powiedzieć, kiedy pułkownik nagle się odezwał:

– Ty też, Derylu. – Hersom nadal się nie odwracał. – Nie chciałbym, by eksplozja zdmuchnęła ci głowę.

– Dobrze, dobrze – mruknął archeolog, rezygnując z pytania i na tyle raźnym krokiem, na ile pozwalało mu ciało, wyszedł z korytarza. Kiedy wydostawał się na zewnątrz musiał przymknąć oczy, porażony jasnością dnia. Odniósł wrażenie, jakby pod ziemią przebywał długi czas, ale musiało mu się tylko wydawać – słońce wisiało jeszcze wysoko nad horyzontem. Kilkanaście metrów dalej zobaczył ustawionych półkolem żołnierzy i członków koczowniczych klanów. Calderryjczycy wyglądali tak, jakby czekali na przedstawienie kuglarzy, natomiast tragarze byli wyraźnie zaniepokojeni, tym co się działo. Deryl podszedł do nich, zastanawiając się, jak będzie wyglądał efekt użycia ładunków.

– Słyszycie? Chyba biegnie! – powiedział podekscytowany żołnierz i zapatrzył się w ciemny wylot korytarza.

Deryl odwrócił się i po chwili usłyszał charakterystyczny stukot wojskowych butów. Archeolog po raz pierwszy w życiu widział, by ktoś poruszał się tak

szybko w pełnej zbroi. Pułkownik Hersom Hlatir wybiegł z korytarza i natychmiast skręcił, ustawiając się obok wejścia. Dokładnie w momencie, w którym zasłonił sobie uszy dłońmi, ziemią wstrząsnął gwałtowny spazm i wszystkich poraził ryk grzmotu. Jednocześnie z otworu wystrzeliły kamienie, pył i ciemna chmura dymu.

Wszystko to było tak głośne, silne i niespodziewane, że Deryl Antros cofnął się kilka kroków i z głośnym sapnięciem upadł na tyłek.

– Bogowie! – powiedział z szeroko otwartymi oczami i ustami, kiedy siedział otępiały na piasku.

Tragarze, wrzeszcząc ze strachu, rozbiegli się po całym obozie, a niektórzy z nich nie zatrzymali się pomiędzy namiotami, ale popędzili dalej, wprost na pustynię. Jedyną reakcją Calderryjczyków było tylko lekkie skulenie się i radosne komentowanie siły wybuchu.

Drobne kamyczki i pył po chwili zaczęły opadać, i z nich wyłonił się, wyraźnie z siebie zadowolony, pułkownik Hlatir. Podszedł do nadal siedzącego archeologa i, chyba po raz pierwszy od początku ekspedycji, na jego twarzy pojawił się cień uśmiechu.

Deryl nie od razu zauważył wyciągniętą w jego kierunku dłoń, ale wreszcie chwycił ją i z pomocą pułkownika podniósł się na nogi.

– I jak ci się podobało, Derylu? – zapytał Hersom z błyskiem w oku.

– Podobało?! – wyszeptał drżącym głosem stary archeolog. – Jestem przerażony!

– A to tylko niewielki pokaz naszych najnowszych technologii – powiedział już normalnym tonem Hlatir. Przez moment spoglądał w stronę wystraszonych tragarzy, ale po chwili strzepnął pył z naramienników i odwrócił się w stronę wejścia do korytarza.

– Wchodzimy – zakomenderował i swobodnym krokiem ruszył przed siebie.

* * *

Znajdowali się właśnie niecałe sto metrów od miejsca, w którym do tej pory kończył się jedyny korytarz prowadzący na zewnątrz placówki, kiedy Naczelny Egzekutor zatrzymał się. Usłyszał bowiem przed sobą jakieś głosy, rozmawiające w nieznany mu języku. Gestem dłoni dał znać swoim ludziom, by nie ruszali się z miejsca, a sam podszedł do zakrętu korytarza i ostrożnie wyjrzał zza rogu.

Kilkadziesiąt metrów dalej stała grupa zbrojnych, którzy z fascynacją dotykali jarzących się na niebiesko linii oświetleniowych. Tarentos z ciekawością przyglądał się ich pancerzom i uzbrojeniu. Nigdy wcześniej nie widział takich wzorów, żaden oddział z Cesarstwa nie nosił biało-niebieskich pancerzy. Nie słyszał także o takich barwach w żadnym z Buntowniczych Królestw.

Starał się dojrzeć, czy ich broń była wspomagana magicznie, ale nie zauważył żadnych miotaczy, a i miecze wyglądały na zwyczajne. Jednak nie miał pewności. Tarentos nie obawiał się przewagi liczebnej intruzów; było wiadomo, że członkowie Spiżowego Bractwa są

najsprawniejszymi wojownikami w całym Cesarstwie, a Naczelny Egzekutor miał przecież zaszczyt dowodzić najlepszymi z nich.

Wtedy jeden ze zbrojnych nagle się wyprostował, a na jego twarzy pojawiła się czujność. Kiedy nieznajomy zaczął odwracać się w kierunku Tarentosa, ten natychmiast schował się za rogiem. Odczekał chwilkę, a gdy przerwana dyskusja prowadzona w dziwnym, obcym języku rozgorzała na nowo, po cichu wrócił do swoich trzech braci-wojowników.

Naczelny Egzekutor przeanalizował sytuację i podjął decyzję.

– Pozwolimy im wejść głębiej – powiedział szeleszczącym szeptem. – Na pewno zainteresuje ich dźwięk fontanny magii, więc zaskoczymy ich w centralnym pomieszczeniu. Atakujecie tylko na mój znak.

Tarentos nie miał zamiaru jedynie pozbyć się intruzów – chciał także czegoś się o nich dowiedzieć, zanim ich wszystkich zabije.

* * *

Deryl Antros prawie płakał ze szczęścia, kiedy przyglądał się świecącym na niebiesko rurkom, wtopionym w ścianę korytarza z litej skały. Musnął je opuszkami palców, ale poczuł jedynie chłód kamienia. Przedmiot nie wydzielał żadnego ciepła, tylko jednostajne błękitne światło. Archeolog zachichotał i stuknął w rurkę

paznokciem. Miejsce, którego dotknął, lekko pociemniało, ale po chwili odzyskało jasność.

– Czyż to nie piękne? – zapytał łamiącym się głosem. – W najśmielszych marzeniach nie oczekiwałem, że dokonamy takiego odkrycia. Pułkowniku, przecież to kamień milowy w naszym postrzeganiu historii!

Wtedy przerwał i przyłożył całą dłoń do ściany. Zmarszczył brwi i przesunął ją po powierzchni skały.

– Dziwne, czuję jakieś drgania – powiedział powoli archeolog ze skupioną miną.

Hersom natychmiast zdjął rękawicę i położył dłoń obok ręki Deryla. Po chwili westchnął głośno, a jego oddech wyraźnie przyspieszył. Kiwnął głową, nie mogąc powstrzymać delikatnego uśmiechu.

– Jednak to prawda – powiedział pułkownik, a ton jego głosu wyraźnie wskazywał, że jest podekscytowany. – Ona naprawdę działa!

– Ona? – zapytał z wahaniem Deryl. Spodziewał się, że skoro pułkownik tak chętnie opowiedział mu wcześniej o ładunkach, to być może zechce zdradzić kolejny sekret.

– Fontanna magii – stwierdził po prostu Hersom Hlatir. Badawczym spojrzeniem przyjrzał się archeologowi, jakby podejmując jakąś ważną decyzję, po czym westchnął cicho i zaczął mówić.

– Na pewno kojarzysz źródła magii na Aldarze. Strzelające pionowo w górę wiązki czystej energii, energii tak ogromnej, że nie sposób się do nich zbliżyć. Mamy w Wydziale Archeologicznym dowody na to, że

w zamierzchłych czasach kultury takie jak Starożytny Aldar, Cesarstwo czy Cesarstwo Zła potrafiły wykorzystywać tę energię, tworząc skomplikowane konstrukcje, które ją zbierały, magazynowały i przetwarzały. Zwano je właśnie fontannami magii...

Tutaj pułkownik Hlatir przerwał nagle i wyprostował się czujnie, kładąc dłoń na rękojeści miecza w odruchowym geście. Żołnierz omiótł spojrzeniem oświetlony niebieskim nikłym światłem korytarzu, ale po chwili wyraźnie się rozluźnił.

– Coś się stało? – zapytał Deryl i sam także rozejrzał się dokoła, ale nie zauważył niczego ciekawego.

– Miałem dziwne wrażenie, to wszystko. – Hlatir machnął ręką, po czym potarł brodę. – W każdym razie, z naszych informacji wynikało, że jeśli gdzieś istnieje czynna fontanna magii, to właśnie tutaj. To ona musi zaopatrywać korytarze w światło. Poruszajmy się ostrożnie, bo kto wie, co jeszcze może tutaj działać...

– Niesamowite – szepnął Deryl łamiącym się głosem. – Ile mogło minąć od czasu budowy tego miejsca? Dwa tysiące lat? Trzy tysiące? Starożytni musieli dysponować niezwykłą wiedzą, by zbudować coś, co nadal będzie działało po tak długim czasie. Niewiarygodne!

Cała grupa ostrożnie przemierzała kompleks pomieszczeń i korytarzy. Większa część podziemnej konstrukcji została zniszczona przez czas i kataklizm, ale mimo to jej rozmach oraz ogrom był imponujący. Deryl Antros co rusz wydawał cichy okrzyk zachwytu i podbiegał

do kolejnego zauważonego przez siebie przedmiotu. Delikatnie strącał z niego pył i przyglądał się z różnych stron, próbując odgadnąć jego przeznaczenie. Najczęściej nie miał pojęcia do czego służyły te skarby, mimo to zbierał do swojej torby wszystko, co według niego było niebywale interesujące. Po krótkim czasie jego wypchany do granic możliwości bagaż przypominał ogromnego jeża.

Pułkownik Hlatir stał właśnie na kolejnym skrzyżowaniu korytarzy i, położywszy sobie dłonie na biodrach, przekrzywiał głowę, próbując zlokalizować źródło niskiego, wyraźnie słyszalnego już dźwięku. Wiedział, że są coraz bliżej fontanny magii i nie mógł się doczekać, by ją ujrzeć. Po chwili stwierdził, że dźwięki płynące z odnogi prowadzącej na prawo, brzmią bardziej obiecująco, więc skierował całą grupę w tamtym kierunku.

Wreszcie po kilku godzinach krążenia po labiryncie korytarzy, ślepych zaułków i zawalonych pomieszczeń dotarli do centralnej komory kompleksu, w której znajdowała się wielka konstrukcja.

Fontanna magii przypominała gigantyczny dzban, do którego ktoś doczepił dziesiątki wypustek i kabli. I jak wszystko, co do tej pory mijali pokrywał pył i drobne kamienie, tak sama konstrukcja zbierająca energię magiczną była od nich wolna. Kiedyś jej powierzchnia musiała być gładka, teraz jednak nosiła wyraźne ślady oddziaływania czasu. Urządzenie drżało od przepływającej przez nie gigantycznej mocy, a wokół rozlegał się niski, pulsujący dźwięk. Jak zauważył pułkownik, w tym

pomieszczeniu było zdecydowanie cieplej, a wszędzie rozchodził się specyficzny zapach, który pozostawiał w ustach dziwny posmak.

– Bogowie… – wyszeptał Deryl, zadzierając głowę by dojrzeć szczyt urządzenia. I tak jak wcześniej wydawał się zachwycony, tak teraz wyglądał jakby przeżywał prawdziwą ekstazę. Przeszedł kilka kroków, próbując podejść do fontanny, ale pułkownik Hersom Hlatir chwycił go w samą porę.

– Nie podchodź, to zbyt niebezpieczne – powiedział żołnierz. – Źródło rozerwie cię na strzępy, jeśli za bardzo się zbliżysz.

Wtedy wszyscy zauważyli ruch. Zza fontanny wyłoniła się jakaś postać i, omijając konstrukcję łukiem, zaczęła zbliżać się do całej grupy. Hersom Hlatir natychmiast wyciągnął miecz. W ślad za gestem swojego przywódcy poszła reszta członków oddziału, również dobywając broni.

Po chwili stało się jasne, że zbliżająca się istota nosi zbroję. Deryl Antros z rosnącym przerażeniem dostrzegł, że oczy nieznajomego jarzą się niebieskawo w szczelinie hełmu. Wtedy, jak za dotknięciem magicznej różdżki, z dwóch bocznych korytarzy oraz z przejścia, którym weszli, wyłoniły się trzy kolejne postacie. Niosły na barkach jakieś podłużne urządzenia, podobne do rur, których wyloty były skierowane w stronę Calderryjczyków.

* * *

Żołnierze zbili się w ciasną gromadę, czekając na rozwój wypadków i patrząc niepewnie w stronę czwórki tajemniczych istot. Deryl Antros zdał sobie sprawę z tego, że drżą mu kolana, ale mimo to przyglądał się nieznajomym z fascynacją, notując w pamięci każdy interesujący szczegół ich wyglądu.

Zbroje napastników były zakurzone i matowe, dotknięte erozją. Dało się jednak zauważyć, że zostały wykonane z podobnego stopu jak płyta do niedawna tarasująca korytarz wejściowy. Sposób ich wykonania był jednak niepodobny do niczego, co widział do tej pory. Każdy element pancerza był perfekcyjnie dopasowany do reszty i sprawiał wrażenie jakby dokładnie przylegał do ciała, jednocześnie nie krępując jego ruchów. Zbroje miały wiele zaokrągleń i owalnych kształtów i bardzo różniły się od topornych – w porównaniu z nimi – pancerzy królestw Oremiath. Nieliczne prześwity, przez które można było dojrzeć coś więcej niż stop stali, zdradzały, że skóra istot jest ciemna i wysuszona. Jednakże najbardziej niepokojące były świetliste oczy nieznajomych, które spoglądały na Calderryjczyków z niczym niezmąconym spokojem.

– Shtark ker anaro – powiedziała dziwnym, szeleszczącym głosem istota, która pojawiła się jako pierwsza. – Tars gord intu oblatro?

Deryl zwilżył wysuszone wargi i wstrzymał oddech z wrażenia, kiedy dotarło do niego, że istota posługuje się niespotykanym dialektem języka starozimbackiego, języka,

którym jako jeden z niewielu ludzi na świecie potrafił się przecież posługiwać!

– Pyta, kim jesteśmy – powiedział niepewnie archeolog, czym skupił na sobie uwagę wszystkich Calderryjczyków. – Zdaje się, że pyta też o to, który mamy rok...

– Rozumiesz go? – zapytał pułkownik z niedowierzaniem.

– Tak, wyrywkowo – potwierdził Deryl, popierając swe słowa gestem dłoni. – To jakaś wersja starozimbackiego, więc mogę nie zrozumieć wszystkiego.

– Powiedz mu, że przybywamy z kontynentu Oremiath – powiedział Hlatir, nadal czujnie obserwując istotę, która przemówiła. W przeciwieństwie do pozostałej czwórki nie miała przy sobie ruropodobnego urządzenia, jedynie miecz, spoczywający bezpiecznie w pochwie, a dłonie trzymała daleko od rękojeści. – Podaj mu też rok.

Deryl skinął głową i próbował przetłumaczyć słowa pułkownika najlepiej jak potrafił. Jego słowa spowodowały, że istota wyraźnie się nim zainteresowała, jakby zaskoczona jego zdolnościami lingwistycznymi.

Nieznajomy ze spokojem wysłuchał tego, co mówił archeolog, po czym sam wypowiedział kilka krótkich zdań.

– Określił nas mianem prymitywów – powiedział z powątpiewaniem Deryl. – Chyba jest zaskoczony, że na Oremiath w ogóle są jakieś państwa. I kazał też podać datę w kalendarzu Cesarstwa...

– A skąd u licha mam wiedzieć, który to rok według ich kalendarza? – zirytował się pułkownik, poprawiając chwyt

na rękojeści miecza. – Powiedz mu, że Cesarstwo Zła nie istnieje od ponad dwóch tysięcy lat.

Archeolog odetchnął głęboko i przetłumaczył słowa pułkownika Hlatira powoli i dokładnie. Wyraźnie było widać, że na wszystkich czterech istotach wiadomość wywarła duże wrażenie. Ich rozmówca wskazał archeologa palcem i zadał jakieś pytanie.

– Pyta, dlaczego zebrałem te wszystkie przedmioty – powiedział Deryl, niezbyt szczęśliwy z faktu, że przyciąga zainteresowanie uzbrojonego osobnika.

– No to mu wytłumacz, czym się zajmujesz – stwierdził po prostu Hlatir. – Może kiedy się dowie, że to wyprawa naukowa, łatwiej będzie nam się dogadać?

Archeolog kiwnął głową, po czym, jak mógł najlepiej, opowiedział o swojej pracy, badaniach, ekspedycjach i fascynacji dawnymi kulturami. Istota, tak jak wcześniej, słuchała w milczeniu, nie ruszając się z miejsca. Kiedy Deryl skończył, nieznajomy nie odzywał się jeszcze przez chwilę, aż wreszcie kiwnął głową i powiedział:

– Khar de ulles, tiar pokhto!

Stary archeolog mógł to przetłumaczyć tylko jako:

– Zabić wszystkich prócz starego!

Derylowi zrobiło się gorąco. Zdążył przetłumaczyć w myślach rozkaz istoty i jedynie otworzyć usta, by ostrzec pozostałych, kiedy się zaczęło.

Dwa z trzech starożytnych miotaczy, trzymanych na barkach przez członków Spiżowego Bractwa, zadziałały prawidłowo i wystrzeliły wiązki skondensowanej energii

w stronę calderryjskich żołnierzy. Rozbłysło światło, rozległ się trzask, a kiedy kilku członków ekspedycji upadło na podłogę z dymiącymi ranami oraz nadtopionymi pancerzami, w powietrzu rozeszła się specyficzna woń, mieszanka spalenizny i zapachu, który pojawiał się zwykle zaraz po burzy.

Antros wpadł w panikę, nigdy wcześniej nie uczestniczył w walce, a już na pewno nie miał do czynienia z tak tajemniczym i przerażającym przeciwnikiem. Trzymając się za głowę, opadł na podłogę, choć nie został trafiony. Dopiero po chwili zdał sobie sprawę z tego, że krzyczy ze strachu. Jak się zorientował, nie był jedynym.

Część z calderryjskich żołnierzy próbowała uciec od strasznej, miotającej broni, niektórzy chcieli atakować, a jeszcze inni nie wiedzieli, co robić. Korzystając z chwili zamętu, trzej członkowie Spiżowego Bractwa odrzucili nieprzydatne już miotacze i dobyli mieczy, rozpoczynając jatkę.

Jedynym, który zaczął działać natychmiast po ataku, był pułkownik Hersom Hlatir, który potężnym susem doskoczył do Naczelnego Egzekutora Tarentosa, próbując ciąć od góry. Napotkał jednak na swojej drodze wzniesione w obronnym geście ostrze miecza, którego tamten błyskawicznie dobył. Ich spojrzenia spotkały się na moment – obaj byli wyjątkowo spokojni. Niewzruszony wzrok zawsze opanowanego pułkownika sił zbrojnych Calderry napotkał płonące niebieskawą energią oczy istoty, która powoli zaczynała rozumieć, że jest już tylko reliktem zapomnianej

epoki. Ale przecież Naczelny Egzekutor Tarentos nigdy się nie poddawał.

Hlatir zaatakował, wkładając w to wszystkie swoje i siły. Zauważył, że chociaż jego przeciwnik posługiwał się archaicznym stylem walki, był on na tyle skuteczny, by opierać się agresywnemu natarciu. Mimo wszystkich swoich umiejętności Tarentos był zmuszony cofać się, krok za krokiem. Zesztywniałe ciało Naczelnego Egzekutora nie chciało odpowiednio reagować na polecenia wysyłane przez umysł, czym wprawiało go w coraz większe zdenerwowanie. Bardzo irytujący był też fakt, że on, jeden z dziesięciu najlepszych wojowników w Cesarstwie, był w stanie jedynie cofać się przed atakami jakiegoś jaskiniowca z Oremiath!

I mimo że Tarentos wolałby, aby to jego umiejętności przesądziły o wyniku tego starcia, stało się to za sprawą fontanny magii. Naczelny Egzekutor cofając się, wkroczył w obszar jej niszczącego wpływu, ale nawet tego nie zauważył, gdyż był w znacznym stopniu uodporniony na jej oddziaływanie. W przeciwieństwie do pułkownika Hlatira.

Dowódca ekspedycji, zajęty walką, nie dość szybko zdał sobie sprawę z tego, że znalazł się za blisko konstrukcji. Nie poczuł bólu, bo adrenalina krążyła mu w żyłach. Nie zwracał uwagi na dziwne wizje i urywane myśli, kładąc to na karb bitewnych emocji. Żołnierz działał instynktownie i dopiero kiedy potworny ból trzewi rzucił go na kolana, zrozumiał, że właśnie przegrał.

Tarentos skorzystał z okazji i potężnym cięciem znad głowy zmasakrował naramiennik Hlatira i ciało, które

pancerz miał osłaniać. Rozległo się przyprawiające o mdłości mlaśnięcie, kiedy ostrze przecinało metal, mięśnie i kość. Naczelny Egzekutor obrzucił spojrzeniem leżącego we krwi przeciwnika i uznał, że reszty dokona fontanna magii. Przeszedł ponad nim, zamierzając wesprzeć swoich towarzyszy w walce z przeważającym przeciwnikiem.

Deryl siedział pod ścianą i jedyne, co mógł zrobić, to drżeć na całym ciele. Jego serce biło niczym oszalałe, a oddech przypominał sapanie zmęczonego psa. Patrzył tylko, jak zorganizowany opór calderryjskich żołnierzy powoli zamienia się w bezwładną rąbaninę. Istoty wyraźnie górowały nad przybyszami zarówno pod względem umiejętności, jak i jakości wykonania ekwipunku. I mimo że starożytny, ich oręż rozszczepiał tarcze i łamał calderryjskie miecze, a pancerze wykonane ze stopu oranium wytrzymywały nawet najsilniejsze ciosy. Co chwilę któryś z członków ekspedycji lądował na zbrukanej krwią posadzce martwy albo niezdolny do dalszej walki. Kiedy jeszcze do walczących dołączyła istota, z którą wcześniej archeolog rozmawiał, Deryl zdał sobie sprawę z tego, że to tylko kwestia czasu, kiedy calderryjscy żołnierze zostaną wybici do nogi.

Pułkownik Hersom Hlatir zwijał się z bólu na podłodze. Przez jego głowę przetaczały się przerażające, krwistoczerwone wizje. Miał wrażenie jakby nie tylko całe jego ciało, ale również sama istota jego egzystencji była rozrywana przez energię źródła magii. Z rzadka w jego

głowie pojawiały się sensowne pomysły, jak ten, żeby wstać i przesunąć się dalej, ale zaraz zalewała je kolejna porcja dziwacznych obrazów i paraliżujący ból. Jęczał, choć jego głos nie był słyszalny pośród odgłosów walki. Powoli zapomniał co tu właściwie robi, jaka była jego misja i dlaczego w ogóle ktoś w tym miejscu walczy. Wszystko widział jak przez mgłę, poza tym otoczenie przestawało mieć dla niego jakiekolwiek znaczenie. Najważniejsze były fale bólu, które przetaczały się przez jego umęczone ciało. Wtedy nastąpiło coś nieoczekiwanego. Zamiast poddać się energii fontanny magii i być rozerwanym na części, pułkownik Hersom Hlatir zaczął się uspokajać i przejmować kontrolę nad zbuntowanym umysłem.

Nie – pomyślał gniewnie.

– Nie – warknął po chwili, stawiając opór mocy fontanny magii.

Zacisnął wargi i sapnął z wysiłkiem, kiedy starał się zdyscyplinować szalejące myśli. Z trudem odegnał od siebie szkarłatne wizje i zaczął odczołgiwać się od starożytnej konstrukcji. Niezauważony przez nikogo, zdołał po chwili niepewnie podnieść się na nogi. I mimo tego, że obficie krwawił, a cały świat wirował mu przed oczami, szybko ocenił sytuację. Zdał sobie sprawę z tego, że jego oddział jest właśnie wyrzynany przez czwórkę pradawnych istot, które miały nad Calderryjczykami znaczącą przewagę.

Mógł zrobić tylko jedno.

Nie zwracając na siebie uwagi, pułkownik Hlatir trudem pochylił się nad interesującym go przedmiotem.

Prawie upadł ponownie na podłogę, kiedy podnosił miotacz, ale udało mu się. Istoty nadal były zajęte wybijaniem jego ludzi, ale już go to nie obchodziło. Teraz liczyło się jedynie, by on sam wraz ze swoją zdobyczą zdołał wydostać się z podziemnego kompleksu. Nie wiedział, czy uda mu się ocalić skórę – czuł, że jego rana jest poważna.

Wtedy Hlatir napotkał wzrok przerażonego archeologa. Deryl chyba zdał sobie sprawę z tego, co zamierzał uczynić pułkownik, bo w jego spojrzeniu i wyrazie twarzy odmalowało się rozczarowanie i wyrzut. Hersom nie mogąc znieść jego wzroku, po cichu odwrócił się i zagłębił w jeden z korytarzy, po czym skierował się w stronę wyjścia.

Naczelny Egzekutor z zadowoleniem posłał na posadzkę ostatniego z przerażonych Calderryjczyków i rozejrzał się dokoła. Odnotował fakt, że stary archeolog nadal siedzi, sparaliżowany strachem. Kiedy jednak obrócił się, by sprawdzić, co się stało z dowódcą grupy, okazało się, że nie ma go tam, gdzie go zostawił, a krwawe ślady na podłodze sugerowały, że zdołał uciec.

Tarentos zaklął szpetnie i westchnął głośno. Rozkazał najbardziej poobijanemu członkowi Spiżowego Bractwa pilnować archeologa, a sam wraz z pozostałą dwójką ruszył w ślad za uciekającym. Naczelny Egzekutor zaklął raz jeszcze, kiedy zorientował się, że ze względu na sztywność ciała nie mógł się poruszać tak szybko, jak kiedyś, zrozumiał też, że pomimo swej rany pułkownik Hlatir ma szanse umknąć. Mimo to nie zaniechał pościgu. Dokładnie

znał rozkład placówki, więc wiedział, jak najszybciej dostać się do wyjścia.

Jednak im bardziej zbliżał się do celu, tym silniej ogarniało go dziwne uczucie, jakby coś z zewnątrz blokowało jego ruchy, przez co coraz trudniej było mu funkcjonować. Kiedy spojrzał na swoich towarzyszy, okazało się, że nie tylko on odczuwa ten nietypowy efekt. Oddech Tarentosa stał się jeszcze cięższy niż do tej pory, przechodząc w szeleszczący świst. Jego kończyny stawały się coraz cięższe i coraz więcej sił musiał poświęcać na to, by w ogóle nimi poruszać. Naczelny Egzekutor miał wrażenie, że cały świat zewnętrzny stał się dla niego zabójczy, tak jakby tylko wnętrze kompleksu i wpływ fontanny magii utrzymywały go przy życiu. Po kolei każdy z członków Spiżowego Bractwa przystawał i osuwał się na ścianę, nie mogąc już kontynuować pościgu. Po kolejnych kilku minutach Tarentos samotnie ścigał pułkownika.

Wreszcie Naczelny Egzekutor wyszedł zza rogu i ujrzał pułkownika Hlatira kilkadziesiąt metrów przed sobą. Calderryjski oficer stał twarzą zwróconą w jego kierunku i trzymał w dłoni jakiś przedmiot, połączony długim kablem z sześcianem ustawionym na podłodze. Tarentos zdał sobie sprawę z tego, że znajduje się w miejscu, do którego przychodził wielokrotnie, tylko tym razem płyta, wcześniej tarasująca przejście stała przy ścianie.

Od tak dawna Naczelny Egzekutor liczył na to, że wreszcie ujrzy czyste przejście. Taki widok miał teraz przed

oczami i to właśnie przez ten korytarz, z którego usunięto przeszkodę, wlewała się trująca energia z zewnątrz.

Wtedy pułkownik Hlatir przekręcił dźwignię w przedmiocie, który trzymał i nagle sześcian znajdujący się na podłodze eksplodował gwałtownie. Siła wybuchu rzuciła Tarentosa do tyłu, a w jego pancerz uderzyły odłamki skał. Chwilę potem nastąpił głośny trzask i korytarz zawalił się z ogłuszającym hukiem. Kiedy pył zaczął powoli opadać, Tarentos ujrzał przed sobą zwały gruzu, z których turlały się jeszcze pojedyncze kamienie. Przez jakiś czas Naczelny Egzekutor przyglądał się rumowisku bez słowa, a po chwili cisza w korytarzu została przerwana przez pełen cierpienia jęk starożytnego dowódcy...

* * *

Z dzienników Hersoma Hlatira.

Tamtego pamiętnego dnia udało mi się wydostać z podziemnego kompleksu. Ciężko ranny, u kresu sił i wytrzymałości, przemierzałem pustynię przez kolejne długie dni. W dłoniach ściskałem moją zdobycz – starożytny miotacz wydarty z rąk stworzeń, które dawno powinny przestać istnieć. Prawdziwy skarb!

Maszerowałem bez żadnej pomocy. Tragarze z lokalnych klanów koczowniczych już wcześniej rozpierzchli się ze strachu, a moich ludzi zostawiłem na pewną śmierć. Jednak nie mam wyrzutów sumienia! Poświęciłbym dziesięciokrotnie, stukrotnie większy oddział

po to tylko, by Wydział Archeologiczny dostał w swoje ręce starożytne urządzenie.

Miotacz posłużył naszym naukowcom za materiał do kolejnych badań. I choć jeszcze długo nie będziemy w stanie samodzielnie zbudować działającego egzemplarza tak małych rozmiarów, to jednak, kiedy piszę te słowa, opracowywane są większe wersje, do zamontowania na nowych, eksperymentalnych zbrojach kroczących. Tym jednym przedmiotem udało nam się posunąć calderryjską technologię o kilkadziesiąt lat do przodu. Być może nawet o całe stulecie!

Co prawda nigdy nie odzyskałem pełnej władzy w ramieniu, ale byłbym skłonny zapłacić o wiele większą cenę, po to tylko by zobaczyć, jak Calderra staje się prawdziwą potęgą. Już niedługo nasze nowoczesne armie będą przemierzały Oremiath!

Jednakże cały czas sen z powiek spędza mi to, co obudziliśmy tamtego dnia. Pradawna siła rodem z Cesarstwa Zła ponownie zyskała dostęp do tego świata. I obawiam się, że tym razem zawalony korytarz nie utrzyma jej w zamknięciu na długo...

Sebastian Hejankowski

Urodzony w 1983 roku fantasta, niegdyś aktywnie działający w bydgoskim fandomie. Swoją obecność zaznaczył w takich grupach jak Klub Fantastyki MASKON, czy Grupa Twórcza ATLANTIS. Wielki fan RPG, karcianek i bitewniaków (jako jeden z nielicznych pamięta jeszcze bydgoskiego „Złotego Smoka"), gier komputerowych, a także ezoteryki oraz magii – może dlatego niektórzy określają go mianem „czarujący". Z wykształcenia dziennikarz, ale na chleb zarabia w branży IT. Jeżeli akurat nie pracuje i nie spędza czasu z dziewczyną, to gra lub pisze (najczęściej słuchając ciężkich brzmień, które uwielbia).

http://geniuscreations.pl/autorzy/sebastian-hejankowski/

Igła – Anna Hrycyszyn

– Jest piękna, prawda? – zapytał właściwie retorycznie Karan.

Rakieta, stojąca pośrodku obrysowanego ośmioramienną gwiazdą lądowiska, zachwycała perfekcyjnym kształtem, trawionymi w metalu otaczającym środkowy człon delikatnymi – i z pewnością niepotrzebnymi – zdobieniami, lecz przede wszystkim bijącą z niej zapowiedzią przygody.

Tymczasem Aurora przyglądała się jej bez emocji, jakby Eksploratory były czymś, co oglądała przynajmniej raz na tydzień między śniadaniem a pierwszym wykładem.

– Nazwę ją Henrietta – powiedział, chcąc przerwać ciszę.

Kobieta spojrzała na niego, a w jej wzroku pojawił się błysk rozbawienia.

– EX-HN-04, jak rozumiem, nie jest odpowiednim imieniem dla kochanki?

* * *

Równina wciąż jeszcze spała, choć ciemność nocy rzedła wyraźnie i dzień zdawał się wybiegać naprzeciw

idącym z zachodu dzieciom. Odkąd dojrzeli pierwsze oznaki świtu, szli pewniej i – mimo zmęczenia całonocną wędrówką – szybciej. Przynajmniej ścieżka przestała się przed nimi chować. Wyraźne cięcie biegło przez morze traw, które jeszcze musieli pokonać.

– Patrz, Eline! – Chłopiec zatrzymał się gwałtownie. – Patrz!

Na tle jaśniejącego nieba w równej linii horyzontu wyróżniał się jeden punkt.

– Widzisz, Eline, widzisz? – W piskliwym głosie chłopca dźwięczało podniecenie. – No czemu nic nie mówisz? – Poirytowany obojętnością siostry, złapał ją za ramię i potrząsnął.

– Przecież widzę – parsknęła Eline, wyrywając się z uścisku. – Ślepa jestem? I nie drzyj się tak, wiesz, jak tu się głos daleko niesie?

– A ty niby wiesz? Jak tu nigdy nie byłaś?

– Wiem. Płasko jest! Ten twój wrzask może dolecieć do samej Igły i nic go nie zatrzyma! – Dziewczynka obrzuciła brata spojrzeniem pełnym potępienia, ale zaraz się uśmiechnęła, bo i do niej dotarło, jak blisko są celu. – No już! Nie rób takiej miny. Idziemy! – Na poparcie komendy ruszyła przodem, a gdy nie usłyszała za sobą kroków, odwróciła się z westchnieniem. – No chodź, Miha! Nie bądź dzieciak, przecież nic ci nie zrobiłam.

Miha przełknął łzy, które pojawiły się nie wiadomo skąd.

– Byłaś dla mnie niemiła. Obiecałaś, że nie będziesz.

Eline westchnęła. Kochała brata, ale czasem fakt, że był od niej o całe dwa lata młodszy i wciąż jeszcze potrafił zachowywać się jakby nie wyszedł spod matczynej spódnicy, niepomiernie ją drażnił.

– Przepraszam – powiedziała bardziej dla świętego spokoju niż z powodu rzeczywistej skruchy. – Nie chciałam być niemiła, tylko nacieszyć się nią w ciszy. – Wyciągnęła rękę w stronę Igły, jakby mogła istnieć wątpliwość co do powodu jej radości. – Ludzie są różni – rzuciła jeszcze zasłyszaną niegdyś mądrością dorosłych.

Miha wzruszył ramionami.

– W porządku – powiedział, wiercąc piętą dziurę w miękkiej ścieżce. Miał nadzieję, że jego postawa jest wystarczająco nonszalancka i siostra puści w niepamięć fakt, że znów omal się nie rozpłakał. Nienawidził łez, które wciąż go zawstydzały, mimo że z całej siły starał się nad nimi panować. – Ja lubię się cieszyć głośno – wyjaśnił, by mieć ostatnie słowo i w końcu ruszył z miejsca.

Wąska ścieżka powodowała, że stykali się ramionami, obydwoje jednakowo wysocy mimo dzielącej ich różnicy wieku. Świt poczynał sobie coraz śmielej i Igła z każdą chwilą stawała się lepiej widoczna. Pojedyncza kolumna, wystająca z całkowicie płaskiego podłoża. Wokół niej, jak okiem sięgnąć, nie było niczego, co mogłoby przykuć uwagę obserwatora.

Płaskowyż Środkowego Krańca słynął z monotonii krajobrazu i soczystych traw, na których pasły się stada dzikich owiec. Znacznie ciekawszy widok rozciągał się za

plecami maszerującego zgodnie rodzeństwa. Najbliżej Płaskowyżu falowały zalesione wzgórza z rozłożonym na ich zboczach miasteczkiem i kilkoma wioskami, a za nimi, złudnie blisko dla niewprawnego oka, wznosiły się strome szczyty odległych Gór Granicznych.

– Jak myślisz, bardzo nas spiorą, jak wrócimy? – Miha nie potrafił długo milczeć, a kwestia, którą poruszył, dręczyła go od początku wyprawy.

Eline wykrzywiła usta. Baty nie dość, że były pewne, to jeszcze w pełni zasłużone. Trudno wymagać od rodziców, by odpuścili tak wyraźne złamanie zakazu i, kiedy przyjmowała wyzwanie rzucone pogardliwie przez Arnego Wikulina, miała pełną świadomość konsekwencji.

– Nie ma co o tym teraz myśleć. – Nie potrafiła zdobyć się na kłamstwo, ale nie chciała też straszyć brata. – Myśl lepiej o minie Arnego, gdy pokażemy mu dowód – uśmiechnęła się triumfalnie, patrząc na Igłę, u stóp której słońce rozpoczynało codzienną wspinaczkę.

– Jasne – zgodził się skwapliwie Miha, choć wcale nie czuł się pewnie. Mimo niewątpliwej ekscytacji w głębi duszy żałował, że dał się namówić siostrze. Dziewczyny potrafiły być strasznie głupie, ale przecież nie mógł pozwolić, by szła sama. Młodszy czy nie, to on powinien się nią opiekować. Był w końcu mężczyzną. – To będzie bardzo głupia mina, nie?

Eline roześmiała się odrobinę sztucznie i przyspieszyła kroku. Chciała już mieć to z głowy. Dotrzeć do Igły, znaleźć coś, co mogłoby posłużyć za dowód, wrócić, wziąć w skórę

i… po prostu mieć to z głowy. Bolały ją nogi: droga okazała się znacznie dłuższa, niż którekolwiek z wioskowych dzieci zakładało. Paski plecaka wrzynały się w ramiona, burczało jej w brzuchu i była pewna, że wzięli za mało wody. A na dodatek wyrzuty sumienia dręczyły ją za każdym razem, gdy myślała o mamie, tacie i babci Adeline. Nie była złym dzieckiem i rzadko okazywała nieposłuszeństwo. Jednak nie mogła pozwolić, by triumfował nad nią Arne, który ostatnio stał się zupełnie nieznośny. Antypatia między ich rodzinami istniała chyba tak długo, jak długo istniała wioska Tren, ale nigdy nie osiągnęła takiego poziomu, na jaki obecnie wspinał się najmłodszy z Wikulinów. Dokuczał jej zawsze ilekroć ją spotkał i Eline zdołała znienawidzić szkołę, targowisko, plac z huśtawkami, a także każde inne miejsce w wiosce poza własnym domem, gdyż nikt, kto nosił nazwisko Wikulin, nie miał prawa pojawiać się w granicach obejścia Adeline Hruix.

Na wspomnienie okrągłej twarzy swego wroga i jego kpiących oczu dziewczynka zacisnęła pięści i znów poczuła, że nie mogła postąpić inaczej. Nie mogłaby się pokazać na ulicy, gdyby stchórzyła.

– Dzięki, że ze mną poszedłeś, Miha… – Niespodziewanie dla samej siebie otoczyła chude plecy brata ramieniem. – Porządny z ciebie chłopak.

Miha zmieszał się, a na policzki wypełzł mu nieproszony rumieniec. Czuł, że chwila jest niezwykła i nie chciał jej zepsuć, mówiąc coś głupiego, więc tylko lekko wzruszył ramionami i poklepał siostrę po dłoni. Podpatrzył ten gest

u ojca, podobnie jak krzywy uśmiech, który zaprezentował chwilę później.

Eline też się uśmiechnęła – doceniła powściągliwość brata, tak niezwykłą dla jego natury.

– Już niedaleko – rzuciła pozornie lekkim tonem i podjęła marsz z nową energią, a chłopiec dotrzymywał jej kroku, dopóki nie zarządziła przerwy na posiłek.

Igła zbliżała się nieubłaganie i mogli być pewni, że dotrą do niej w ciągu następnych kilku godzin, a najdalej pojutrze wieczorem będą w domu.

* * *

– Myślisz, że będzie bardzo trzęsło?

Aurora zadała pytanie, zanim jeszcze Karan zdołał uspokoić oddech i przez chwilę – bardzo krótką chwilę – mężczyzna nie potrafił znaleźć w nim sensu. Przetoczył się z pleców na bok i położył rękę na nagim brzuchu kobiety.

– Zawsze trzęsie przy starcie, przecież wiesz. Wrażenia z symulatora nie odbiegają znacząco od rzeczywistości.

Aurora wciągnęła gwałtownie powietrze, a potem powoli je wypuściła. Pod palcami Karana kurczyły się i rozprężały mięśnie. Kobieta, do tej pory wpatrzona w sufit, spojrzała wprost na niego. Tęczówki – zazwyczaj błękitne – za sprawą rozszerzonych do granic możliwości źrenic wydały mu się siwe.

– Myślisz, że wrócimy do domu?

* * *

Oczy chłopca błyszczały gorączkowo. Drżał, napędzany zarówno emocjami, jak i zmęczeniem. Dziewczynka oddychała płytko, kucając przy zrzuconym z obolałych ramion plecaku. Oboje zadzierali głowy, wpatrując się w górującą nad nimi Igłę.

– Ogromna…

Wysoka niczym dziesięć albo i piętnaście domów ułożonych jeden na drugim, zdawała się nieproporcjonalnie cienka.

– Gdyby się na nią wspiąć, można by zobaczyć Tren…

Miha nie czuł już strachu i niepewności. Wszystkie uczucia poza fascynacją wyparowały w zetknięciu z niezwykłością Igły.

– Eline, czym ona jest? – Odwrócił się do siostry, która już nie patrzyła w górę, a zamiast tego przeglądała zawartość plecaka. – Zawsze myślałem, że to skała, ale teraz nie jestem już pewny.

– Nie wiem. – Siostra wzruszyła ramionami. – Musimy podejść bliżej.

Od ukrytej w gęstych krzewach podstawy kolumny dzieliło ich jeszcze kilkadziesiąt metrów. Mniej więcej godzinę wcześniej roślinność wokół nich zaczęła się zmieniać. Trawy o długich, szerokich źdźbłach ustępowały początkowo pojedynczym krzakom, później całym ich kępom, a te z kolei rosły tym gęściej, im bliżej byli celu. Za Igłą widzieli ciemną ścianę lasu, która – jak uznała Eline – musiała być Małą Puszczą. Tyle że na studiowanej przez nią

szkolnej mapie drzewa rosły znacznie dalej niż w rzeczywistości.

Sama Igła była tak samo zielona, jak jej otoczenie. Pokryta masą oplatających ją pnączy, kwitnących kwiatów i kępek trawy, wyglądała jak gigantyczny klomb o nietypowym kształcie.

– Masz. – Eline w końcu przestała grzebać w plecaku i wyciągnęła w stronę brata rękę z niedużą kromką chleba. Miha dopiero teraz poczuł, że burczy mu w brzuchu. – Jest jeszcze kawałek kiełbasy i dwa jabłka.

– Mało… – Chłopiec usiadł obok siostry i z wahaniem wziął od niej chleb. – Jemy po równo – zaznaczył, na wypadek gdyby planowała oddać mu wszystko, i podzielił kromkę na dwie części.

Eline zrobiła to samo z kiełbasą i przez chwilę oboje intensywnie żuli. Posiłek nie trwał długo, a z jabłek zostały tylko ogonki, które teraz gryźli w identycznym zamyśleniu, przyglądając się Igle. Gdyby ktoś mógł ich teraz zobaczyć, nie miałby wątpliwości, że łączy ich bliskie pokrewieństwo, choć na pierwszy rzut oka bardzo się różnili. Włosy Mihy były jasne, Eline ciemne loki wzięła po matce. Jednak identycznie mrużyli oczy, gdy się nad czymś zastanawiali i identycznie przekrzywiali głowy, by dostrzec wszystkie szczegóły. Gdy dziewczynka wstała i – westchnąwszy – skrzyżowała ręce na piersi, chłopiec niemal natychmiast powtórzył każdy jej ruch. Stali ramię w ramię, wpatrzeni w czubek Igły wznoszący się kilkadziesiąt metrów ponad nimi.

Dwie drobne figurki w cieniu nieznanego.

* * *

Po pół godzinie przedzierania się przez niezwykle gęste krzewy, szarpiące włosy i zostawiające zadrapania na nagich rękach, dotarli do stóp wbijającej się w niebo kolumny. Wbrew temu, czego się spodziewali, roślinna pokrywa była szczelna i nie dało się przez nią dostrzec powierzchni Igły.

A przecież rośliny musiały na czymś rosnąć – myślała intensywnie Eline. *Czy pod spodem faktycznie była skała? Czy może Igła to dzieło rąk ludzkich? Wieża strażnicza? Drogowskaz?*

Dziewczynka, jak każde dziecko pochodzące ze wzgórz, wiedziała, że zbliżanie się do samotnej kolumny jest surowo zabronione. W wędrówkach na wschód omijano ją z daleka, choć nigdy nie mówiono dlaczego. Tak po prostu było i należało się podporządkować. I już to wystarczało, by każde dziecko w ich wiosce i zapewne w każdej sąsiedniej marzyło o wyprawie, na którą odważyła się ona z bratem. Tak naprawdę nie musieli mieć żadnego namacalnego dowodu. Owszem, Arne Wikulin z pewnością go zażąda, starając się ich zdyskredytować, jeśli wrócą z pustymi rękami. Jednak już to, że będą mogli określić wysokość Igły, wymienić nazwy roślin ją porastających, opowiedzieć o bliskości Małej Puszczy oraz o kilku innych szczegółach, dawało Eline i jej bratu przewagę nad wrogiem.

– Wdrapię się na górę – powiedział Miha, który milczał już zdecydowanie zbyt długo jak na jego możliwości. – Może wyżej te rośliny są mniej gęste.

Eline nie próbowała go powstrzymać. Miha był zręczny i silny, a przy tym lekki. Wspinał się najlepiej ze wszystkich chłopców we wsi, więc siostra ani przez moment się o niego nie bała.

– Tylko nie szarżuj, to wysoko. Oszczędzaj siły.

Miha kiwał głową, skupiony na zadaniu. Nie bez trudności obszedł Igłę raz jeszcze, żeby wybrać najlepsze miejsce do rozpoczęcia wspinaczki. Potem sięgnął do szyi i rozplątał chustkę, pod którą następnie starannie ukrył włosy. Eline przyglądała mu się z siostrzanym pobłażaniem, ale i nie bez dumy. Gdzieś zniknął rozmazany dzieciak, który jeszcze rankiem omal się nie rozpłakał, bo była dla niego niemiła. Teraz miała przed sobą kogoś, kto wie co robi: doświadczonego specjalistę. Aż dziw, że miał dopiero dziesięć lat.

W końcu chłopiec znalazł miejsce, które mu odpowiadało. Eline widziała, jak pochylił głowę i przez chwilę szeptał coś, czego nie mogła słyszeć. Rozmowy z Duchami Opiekunami to sprawa intymna, a Miha zawsze traktował je znacznie poważniej niż ona.

Początkowo wszystko szło dobrze. Zbita roślinność dawała dobre oparcie i Eline, odchylona do tyłu, spokojnie obserwowała brata. Miha wspinał się powoli, nie tylko ze względu na radę siostry, ale też – a może głównie – dlatego, że sporo czasu poświęcał na poszukiwanie jakiegokolwiek

wystającego fragmentu powierzchni, którą szczelnie pokrywały rośliny. Znajdował się na wysokości dwóch trzecich kolumny, gdy jego wzrok przykuł błysk. Po lewej, nieco wyżej od niego, pnącza były odrobinę rzadsze. Chłopiec zatrzymał się i wyrównał oddech. Mięśnie, mimo przyzwyczajenia do wysiłku, dawały pierwsze oznaki zmęczenia, więc kolejno rozluźniał je, potrząsając kończynami, a jednocześnie szukał najlepszej drogi do swego odkrycia.

– Tam coś jest! – krzyknął, nie odwracając się. – Na lewo!

Eline poderwała się na nogi.

– Ostrożnie!

Miha odetchnął ostatni raz i zaczął przesuwać się w bok. Im wyżej się wspinał, tym pędy były cieńsze i trudniej było znaleźć oparcie dla stóp, musiał więc znacznie bardziej polegać na rękach. Powoli, lecz uparcie, zbliżał się jednak do intrygującego miejsca. Spod liści przeświytywała jaśniejsza plama. Trochę jak ciało odsłonięte przez rozdarcie materiału. Podciągnąwszy się po raz kolejny, chłopiec zatrzymał się, by ponownie uspokoić szybko bijące serce. Wysiłek zaczynał dawać mu się we znaki, a podniecenie bliskością odkrycia nie ułatwiało zadania.

– Miha! W porządku? – Eline stała wyprężona w bezruchu, przyciskając dłonie zaciśnięte w pięści do piersi. Czuła suchość w ustach: strach powoli opanowywał jej ciało.

– Zaraz dotknę! – odkrzyknął chłopiec i zdobył się na kolejny wysiłek, po którym był już w stanie sięgnąć między liście, do wyrwy. – To metal, Eline! Metal! Jest chło…

Ostatnie słowo przeszło w krzyk, który długo jeszcze wibrował w uszach Eline. Sam Miha nie potrafił potem powiedzieć, czy z nadmiaru emocji popełnił błąd, czy po prostu któryś z pędów nie wytrzymał jego ciężaru – nagle po prostu spadał i rozpaczliwie próbował powstrzymać upadek, chwytając się wszystkiego, czego mógł dosięgnąć. Trwało to ledwie ułamki sekundy, a całość wypełniona była trzaskiem rwanych roślin, szarpiącym bólem wyrywanych raz po raz stawów i pędem powietrza. A potem już leżał na plecach u podstawy Igły, walcząc o napełnienie płuc, a nad nim pochylała się przerażona siostra. Dziewczynka – z twarzą białą niczym mleko – mówiła coś, ale on nie słyszał ani słowa, skoncentrowany na walce o oddech i panicznej próbie zlokalizowania obrażeń. Niemożliwym przecież było, aby po takim upadku nic mu się nie stało. Odkrył, że bolą go plecy, za co winę ponosiły najpewniej połamane krzewy, na które spadł. Lewa noga i lewa ręka płonęły cierpieniem, a w ustach czuł słony, metaliczny smak krwi. Tak się tego wystraszył, że z ulgą przyjął kolejne ognisko bólu, jakim okazał się przygryziony język.

Mniej więcej w tym momencie dotarły do niego rozpaczliwe słowa siostry. Właściwie nie niosły w sobie żadnej treści. Eline w kółko powtarzała jego imię, coraz bardziej błagalnym tonem. Oczy miała suche, ale trzęsła się cała i Miha przez wzgląd na nią spróbował coś powiedzieć.

Za pierwszym razem się nie udało i z jego ust wyszedł tylko słaby jęk. Spróbował inaczej i skupiwszy się, zdołał unieść rękę.

– Pa…

Oczy Eline zajaśniały. Siostra nie zwróciła uwagi na to, co starał się jej pokazać, lecz przypadła do niego, na przemian całując go i głaszcząc, jak wiele lat temu, gdy jeszcze nie potrafił dobrze chodzić.

Nie przeszkadzał jej. Nie miał siły.

– Spadłeś – powiedziała głupio, w końcu się odsuwając.

– Tak, ale popatrz! – Znów mógł normalnie oddychać i słowa zabrzmiały wyraźnie, choć wciąż wirowało mu w głowie. – Odwróć się i popatrz!

Eline zamrugała jak wyrwana z transu i posłusznie się obróciła. Gdy jej brat pokonywał upiorną drogę w dół, widziała tylko walczące o oparcie ciało, zupełnie nie zwróciła uwagi na szramę, którą jego upadek wyrwał w roślinnej masie. Tu i ówdzie poszarpane pnącza zwisały, pozbawione podtrzymujących je wąsów. Oberwane kwiaty leżały w kiściach na otaczających dzieci krzewach. Jednak najważniejszy element stanowiła przybrudzona biel, wynurzająca się spod zieleni. W kilku miejscach była widoczna bardzo wyraźnie i, mimo wciąż trapiącego ją lęku o brata, dziewczynka nie mogła powstrzymać cichego okrzyku radości.

– I mówisz, że to metal?

Miha skinął głową.

– I siatka.

– Siatka? – nie zrozumiała Eline.

– Ze sznurka, na nią wspinają się pnącza! Złapałem się jej, rozcięła mi rękę. – Na dowód pokazał siostrze zakrwawione wnętrze dłoni.

– Trzeba to obmyć!

– Daj spokój – zaprotestował słabo, lecz Eline nie dała się przekonać.

Z plecaka wyjęła niewielką butelkę wypełnioną mocnym alkoholem i sprawnie opatrzyła posykującemu chłopcu dłoń. O tym, czym grozi niezabezpieczona rana wszystkie dzieci ze wzgórz uczyły się bardzo wcześnie i żadne z rodzeństwa nie było pod tym względem wyjątkiem, więc Miha nie bronił się. Co najwyżej niecierpliwił, chcąc jak najszybciej wrócić pod Igłę.

– Nie będziesz się już wspinał! – krzyknęła za nim siostra, gdy się podniósł i zrobił pierwszy niepewny krok. – Już wystarczy dowodów!

– Nie chcę się wspinać – odparł, walcząc z mdłościami. – Chcę tylko sprawdzić, czy da się ją usunąć – wyjaśnił, wyciągając zza paska nóż w skórzanej pochwie.

Eline nie potrzebowała pytać, by wiedzieć, że Miha mówi o siatce. Sięgnęła po własny nożyk o wygiętym ostrzu, którego używała na co dzień do ścinania ziół i ruszyła za bratem.

* * *

– Nie wiem, czy bardziej ci współczuję, czy jednak zazdroszczę. – Śmiech Jaydena Kreu, dowódcy Drugiego

Eksploratora, niósł się między zakamarkami hangaru. – Inteligentna ślicznotka, choć na mój gust trochę za bardzo pyskata.

Karan wiedział, że Aurora mimo odległości słyszy każde słowo. Potrafił rozpoznać to napięcie ramion i pozornie swobodny ruch ręki, poprawiającej rude włosy. Ukryta pod koszulą obrączka, której obecność wciąż jeszcze go zdumiewała, nagle zaciążyła.

– Myślisz, że da się poderwać? Chętnie wziąłbym ją do łóżka.

Aurora zastygła w bezruchu, jakby czekała na reakcję męża. Karan wątpił, aby się złościła, była raczej zwyczajnie ciekawa. Zignorował ją; nie mógł przecież pozostawiać Jaydenowi – ani nikomu innemu – pola do domysłów.

* * *

Bliżej podłoża pnącza były znacznie grubsze i mocniejsze niż te, które udało się chłopcu oderwać, gdy spadał. Przebicie się przez nie za pomocą niewielkich, nawet jeśli ostrych, noży zajęło sporo czasu i kosztowało rodzeństwo niemało wysiłku. W końcu jednak, pracując bez słowa skargi, doczekali się nagrody. Miha pierwszy dotarł do sznurkowej siatki, którą pokryta była Igła, a chwilę później i Eline położyła dłoń na chłodnej metalowej powierzchni.

– Jaka gładka – wyszeptała.

– Nie jest gładka – zaprotestował chłopiec, który przesuwał właśnie palce wzdłuż rys pokrywających

fragment, do którego udało mu się dobrać. – Jakby podrapana. – Pionowa zmarszczka przecięła jego czoło. – Chcę wiedzieć, co to jest! – rzucił gniewnie. – Ktoś musiał to przecież wybudować! Po co?

Eline wzruszyła ramionami, a jej brat podjął pracę z zaciętą miną, świadczącą wyraźnie o tym, iż zrobi wszystko, by rozwiązać zagadkę. Tymczasem dziewczynka zagryzła wargę, próbując stłumić niepokój, który na nowo zagościł w jej myślach. Wcześniej, w miarę jak zbliżali się do coraz lepiej widocznego celu, i potem, gdy wreszcie dokonywali swych odkryć a Miha spadł, co innego zaprzątało jej myśli: zapomniała, że z jakiegoś powodu Igła była uznawana za niebezpieczną. Teraz zakazy dorosłych, ostrzeżenia i snute szeptem opowieści bez początku i końca, wróciły do niej, wywołując gęsią skórkę na karku.

– Miha, może już dość. – Głos dziewczynki ledwie docierał do chłopca, zagłuszony przez przyspieszony oddech i szum krwi w uszach. – Weźmiemy kawałek tej siatki i starczy. Miha!

Odwrócił się do niej, ale nie przestał ciąć.

– Jestem blisko. Spójrz, to może być wejście! – Ekscytacja wylewała się z niego i, miast posłuchać siostry, przyspieszył pracę, tępiąc ostrze na opornym sznurku. – Lepiej pomóż! Zobacz, jakieś znaki!

Eline podeszła bliżej, zła na brata, lecz zaciekawiona. Chłopiec zdołał oczyścić spory fragment powierzchni, odsłaniając biegnącą pionowo, głęboką rysę, wzdłuż której

faktycznie rozmieszczone były znaki, odrobinę przypominające litery.

– Próbowałem nożem, nie da się tego podważyć – kiwnął głową w stronę rysy, nie przestając piłować. – Ale może gdzieś tu jest klamka.

– Myślisz, że to drzwi?

– A ty nie? To na pewno nie skała. Czyli ktoś to zbudował. A po co budować coś, co nie ma wejścia?

Eline poczuła na języku krew i wzdrygnęła się – nie zauważyła nawet, że przegryzła wargę.

– Słońce już nas minęło – powiedziała, siląc się na stanowczość. – Nie chcę tu zostawać na noc.

– Eline! Przecież jesteśmy tak blisko…

– Blisko czego?! – Nieokreślony niepokój przerodził się w strach; znów pożałowała, że pozwoliła się sprowokować Arnemu. – Co chcesz tu znaleźć?

– Nie wiem! – odkrzyknął ze złością; nawet teraz nie przestał ciąć kolejnych sznurków. Coraz większy płat siatki zwisał, ciągnięty przez obciążające go rośliny. – Ja tu w ogóle nie chciałem przychodzić, to ty mnie namówiłaś! Ale nie chcę tego zmarnować. Myślisz, że jeszcze kiedyś uda nam się tu wrócić?

Nie myślała i, prawdę mówiąc, nie chciała tego więcej robić. Dotarło do niej, że zostając tu po upadku Mihy, kusili los, który już raz okazał się dla nich nad wyraz łaskawy. Powiedziała to bratu, ale on inaczej postrzegał swoje szczęście.

– To znak. Znak od Duchów Opiekunów. Nie mogę teraz przestać.

Pierwszy raz widziała w nim taką stanowczość. To nie był dziecinny upór, a determinacja mężczyzny. Poświęciła chwilę na przyglądanie się słońcu, które, przekroczywszy zenit, powoli wędrowało na zachód, w stronę wzgórz. Potem westchnęła, stanęła obok brata i zaczęła ciąć.

* * *

Słońce przeszło połowę drogi między zenitem a zachodem, gdy odsłonili ograniczony głębokimi rysami prostokąt, mogący być drzwiami, gdyby posiadał klamkę. Tej jednak nie było. Zawód zniechęcił chłopca tylko na chwilę. Eline, kontemplując ból opuchniętych palców, patrzyła jak brat odsłania coraz większy obszar wokół rzekomych drzwi. Wejście – jeśli to było wejście – wydawało jej się niewygodnie niskie: dorosły człowiek musiałby je pokonywać niemal zgięty wpół.

Dziewczynka miała dosyć. Wszystkie uczucia, jakie buzowały w niej od początku wyprawy – ekscytacja, ciekawość, wreszcie strach – zniknęły, zastąpione przez prozaiczny głód i zmęczenie.

Szukała słów, którymi dałaby radę przekonać brata do porzucenia daremnego wysiłku, kiedy Miha wydał zduszony okrzyk.

Jeszcze raz stanęła tuż za nim i w milczeniu przyglądała się kolejnemu znalezisku. Nie była w stanie wykrzesać z siebie entuzjazmu. Nawet gdy zobaczyła, jak naciśnięcie

odkrytego przez chłopca wybrzuszenia wywołuje efekt w postaci zgrzytów i pisków. Zadziałał mechanizm wciąż ukryty pod siatką i Miha natychmiast zajął się odsłanianiem go.

Małe drzwiczki ukazały dzieciom szereg kostek oznaczonych pojedynczymi znakami. Chłopiec natychmiast wyciągnął ku nim rękę, a Eline poczuła, że coś – jedno z tych niejasnych przeczuć – łapie ją za gardło. Miha nacisnął losowo wybraną kostkę i przez chwilę nic się nie działo, a potem wokół niej zaczęło pulsować czerwone światło. Chłopiec zmarszczył brwi i nacisnął kolejną kostkę, a potem jeszcze jedną. Pulsowanie stało się intensywniejsze, a z wnętrza Igły dobiegły kolejne zgrzyty.

– Odsuńcie się!

Gdy rozległ się okrzyk, Eline zareagowała instynktownie, szarpiąc brata do tyłu. Później, gdy już odtworzyła ten moment w myślach niezliczoną ilość razy, zrozumiała, że uratowała mu wtedy życie. Jednak w tamtym momencie nie czuła się bohaterką. Leżeli oboje na ziemi, a Miha wrzeszczał rozdzierająco, patrząc na własną poszarpaną rękę i krew, która wylewała się z niej na koszulę siostry.

– Nie wstawajcie! – Głos należał do siwowłosej kobiety, która podpełzła do nich i skrzywiła się na widok ręki chłopca.

Nieznajoma nie traciła czasu na rozmowy. Wyjęła pasek ze swoich spodni i zacisnęła go nad łokciem Mihy. Krew zwolniła i wkrótce przestała płynąć. Chłopiec zamilkł,

oddychał szybko i pojękiwał, a z jego oczu płynęły strumienie łez. Wciąż leżeli, a obca ostrożnie zbadała rękę, po czym zmyła z niej krew wodą wygrzebaną z własnego plecaka.

– Mam spirytus – powiedziała Eline, a kobieta skinęła głową.

– Idź, tylko się nie podnoś!

Słowa wypowiedziane tonem rozkazu dały efekt: dziewczynka przycisnęła ciało do podłoża, niemal w tej samej chwili, gdy zaczęła napinać mięśnie potrzebne do wstania. Drogę do plecaka i z powrotem pokonała na brzuchu, wyczekując momentu, gdy jej ciało przeszyje ból, jaki musiał odczuwać jej brat.

Nic takiego jednak się nie stało i wkrótce prowizoryczny opatrunek był gotowy. Miha płakał, dopóki nie zemdlał zmożony bólem.

– Skąd jesteście?

Eline poderwała głowę, smagnięta pytaniem; nawet przez moment nie przyszło jej do głowy, że mogłaby odmówić odpowiedzi.

– Z Tren.

– Dobrze. – Uważne spojrzenie siwych oczu obcej przesunęło się po twarzy dziewczynki, a potem przeniosło na widoczne w oddali wzgórza. – To w sumie niedaleko – skwitowała i przyjrzała się chłopcu. W jej wzroku Eline zobaczyła mieszankę złości i rozpaczy, której źródła nie mogła pojąć. – Razem jakoś go zaniesiemy, bo wątpię, żeby w tym stanie dał radę iść.

* * *

Aurora stała na tyle blisko, że Karan nie tylko słyszał przyspieszony oddech, ale mógł także wyczuć zapach jej potu.

– Spóźniła się pani! – Głos koordynatora projektu kipiał wściekłością. – Na odprawę przed startem! Piękny przykład niesubordynacji! I piękna wróżba na przyszłość!

Nikt spośród członków załóg zgromadzonych w pomieszczeniu nie próbował mu przerywać. Karan, sam jednocześnie zły i zaniepokojony, starał się zachować wyraz twarzy chłodnego profesjonalisty. Aurora zagryzała wargi, unikając wzroku przełożonych.

– Panie Wogsen, myślę, że nikt z nas nie wierzy we wróżby. – Dyrektor Kompanii Eksploracyjnej zdecydował się w końcu zakończyć tyradę. – A co do niesubordynacji… – Ciężkie spojrzenie mężczyzny spoczęło na Karanie. – Nie jesteśmy wojskiem, ale wszyscy znamy zasady. Jestem pewien, że dopilnuje pan, by pańska podwładna ich przestrzegała.

* * *

Droga powrotna nie miała w sobie nic z triumfalnego marszu, jaki wyobrażała sobie jeszcze wczoraj Eline. Szły powoli, gdyż dziewczynce ze zmęczenia plątały się nogi, a dla starej kobiety ciężar chłopca stanowił brzemię niemal przekraczające możliwości.

Nie rozmawiały – to wymagało energii, której żadna z nich nie miała. Po prostu szły: krok za krokiem, wsłuchane we własne oddechy i brzęczenie nocnych owadów kryjących się w trawach. Eline ani razu nie obejrzała się na Igłę. Nie miała ochoty jej oglądać.

Zbliżała się północ, gdy w księżycowej poświacie zamajaczyła przed nimi wioska Tren. Chwilę później na drodze stanął im Arne Wikulin. Chłopak dyszał ciężko, pot zlepił mu włosy nad czołem.

– Eline – wystękał na powitanie, po czym wyrzucił z siebie kolejne, rwane płytkimi oddechami, zdania. – Widziałem was przez lunetę. Codziennie was wypatruję. Szukają was strażnicy. Co mu się stało?

Miha był nieprzytomny, przez całą drogę na przemian budził się i zasypiał z płaczem, a Eline cieszyła się, że nie mogła w ciemnościach widzieć jego ręki.

– Dotarliśmy do Igły – odpowiedziała tonem, w którym nie było nawet cienia satysfakcji. – Zdarzył się wypadek i ona nam pomogła.

To było krótkie wyjaśnienie, ale na więcej nie miała siły. Wyminęła Arnego, jak wcześniej zrobiła to obca, która nawet się nie zatrzymała, uparcie prąc w kierunku wioski.

Chłopak dogonił dziewczynkę parę kroków później.

– Źle z nim? – spytał drżącym od poczucia winy głosem.

– Nie wiem. Z jego ręką jest źle.

– Eline…

Zupełnie niespodziewanie Arne ją uścisnął. Zmieszana, stanęła w miejscu, nie wiedząc jak się zachować.

– Cieszę się, że wróciłaś – powiedział jej największy wróg, a potem rzucił się biegiem w kierunku wioski.

Dziewczynka jeszcze chwilę stała w bezruchu, a potem potrząsnęła głową i podbiegłszy zrównała krok z kobietą, coraz bardziej uginającą się pod ciężarem jej brata. Niecałe pół godziny później wchodziły do wioski, która mimo późnej pory nie spała. W każdym domu ktoś tkwił przy oknie, spojrzenia otaczały je zewsząd i zdawały się przepalać ich sylwetki, gdy kluczyły między obejściami. Jednak nikt nie wyszedł im na spotkanie, aż do samego podwórza Hruixów. Tu, gdy tylko skrzypnęła pchnięta przez Eline furtka, drzwi domu otworzyły się i stanęła w nich Adeline.

– Zorza – rzuciła kobieta, a jej głos był lodowato zimny. Eline nie miała pojęcia, że babcia potrafi mówić z taką nienawiścią, tak jak nie miała pojęcia, że Adeline Hruix może znać nieznajomą. – Wróciłaś i od razu przynosisz nieszczęście. Tyle lat, a ty nic się nie zmieniłaś.

Przez chwilę dwie stare kobiety trwały w milczeniu, tocząc walkę na spojrzenia. W końcu Zorza odwróciła wzrok i unosząc przed sobą nieprzytomnego chłopca niczym tarczę, poprosiła:

– Pozwól mi go wnieść do środka. Ktoś powinien szybko znaleźć dobrego lekarza.

Adeline zacisnęła pięści, lecz zrobiła krok do tyłu i obca z Mihą na rękach weszła do środka. Eline słyszała krzyk matki i pytania ojca o nią. Strach o własną skórę na krótką wstydliwą chwilę wypchnął z jej serca lęk o brata. Nie odważyła się wejść do domu: stała sztywno, wsparta czołem

o framugę, słuchając zmieszanych głosów rodziców i babki oraz cichych wyjaśnień tej, którą Adeline nazwała Zorzą.

– Myślałam, że ją zabezpieczyłam. Że to się już nie powtórzy. Ale dzieciaki zawsze będą ciekawskie, każde pokolenie jest takie samo. Powinnam była to przewidzieć, zniszczyć ją już dawno, przepraszam Adeline, przepraszam…

Reszta jej słów utonęła w krzyku Mihy i szlochu matki. Eline skurczyła się, wyobrażając sobie, jak ktoś wreszcie odwija opatrunki ze zmasakrowanej ręki jej brata. Słyszała ojca, który próbował uspokajać żonę, i babcię, żądającą od syna natychmiastowego sprowadzenia starego Wikulina.

Chwilę później drzwi, pod którymi wciąż tkwiła dziewczynka, otworzyły się gwałtownie. Drew Hruix zatrzymał się na chwilę, patrząc na córkę surowo.

– Porozmawiamy o tym, Eline – powiedział. – Nie myśl, że zapomnę.

Odprowadzała ojca wzrokiem, dopóki nie zniknął na końcu drogi. Serce waliło jej mocno i bardzo chciała się rozpłakać, ale nie potrafiła. Nie potrafiła też wejść do domu i kiedy Drew wrócił, prowadząc ze sobą dziadka Arnego, wciąż tkwiła oparta o ścianę w tym samym miejscu, w którym ją zostawił. Tym razem w spojrzeniu ojca oprócz surowości dostrzegła też współczucie i przyniosło jej to odrobinę ulgi.

Nadal jednak nie czuła się na siłach, by spojrzeć w oczy matce, a gdy jej brat znów zaczął krzyczeć, zasłoniła uszy

rękami i odbiegła od domu tak daleko, jak pozwalało ogrodzenie wyznaczające obejście Hruixów.

* * *

To Zorza znalazła ją za stodołą, siedzącą na wąskiej ławce i wpatrzoną w ogromną tarczę księżyca. Eline nie czekała, aż kobieta się odezwie. Na wszelki wypadek zaatakowała pierwsza.

– Słyszałam wszystko! Wszystko! Powiedz, czemu jej nie zniszczyłaś? – Głos dziewczynki drżał z oburzenia. – To twoja wina! Ręka Mihy… Wszystko!

Zorza nie odpowiedziała od razu. Przez chwilę przyglądała się jej w milczeniu. Szkliste starcze oczy wypełnione były smutkiem. W końcu usiadła ciężko obok i dopiero wtedy zaczęła mówić.

– Tak. To moja wina, choć mogłabym też powiedzieć, że twoja, skoro złamałaś zakaz, a do tego zabrałaś brata ze sobą. – To wystarczyło: wstrzymywany płacz wreszcie znalazł ujście i Eline zaniosła się szlochem. – Ale ty jesteś dzieckiem, a ja jestem dorosła. – Zorza ostrożnie poklepała dziewczynkę po ramieniu, a potem czekała cierpliwie, aż łzy się skończą. Dopiero wtedy podjęła: – Opowiem ci historię, posłuchasz?

Eline otarła oczy rękawem koszuli i powoli skinęła głową. Nie wierzyła, że wysłuchanie Zorzy w czymkolwiek pomoże, ale i tak przecież nie chciała jeszcze iść do domu.

Tymczasem kobieta odetchnęła głęboko i na chwilę zamknęła oczy.

– Dziwne – powiedziała cicho. – Teraz, kiedy wreszcie czuję, że mogę to komuś opowiedzieć, spróbować wyjaśnić dlaczego nie zniszczyłam Henrietty, jak nazywaliśmy z Karanem Igłę, nie wiem od czego zacząć…

– Z Karanem? – spytała mimo woli zaciekawiona Eline i to pytanie wywołało na twarzy obcej delikatny uśmiech.

– Karan to mój mąż i przełożony zarazem – wyjaśniła. – Złe połączenie, moje dziecko, zapamiętaj to sobie. Małżonkowie nie powinni razem pracować, a na pewno nie w takim układzie.

Eline chciała powiedzieć, że jej rodzice zawsze razem pracują i nie dzieje się nic złego, ale zrezygnowała, nie chcąc sprawiać nieznajomej przykrości.

– Pracowaliśmy razem i właściwie powinnam go zawsze słuchać, ale w wielu sprawach się z nim nie zgadzałam. Dużo się kłóciliśmy, a jednak żadne z nas nawet nie pomyślało, że mogłoby zostawić to drugie. Myślę, że się kochaliśmy. Twoi rodzice też się kochają, to widać, wiesz zatem, o czym mówię.

Dziewczynka skinęła głową i Zorza znów się uśmiechnęła, równie łagodnie jak poprzednio, a potem mówiła dalej.

– Poznaliśmy się, gdy kompletowano załogi do Eksploratorów.

Obce słowo zabrzmiało dziwnie w uszach Eline i konsternacja musiała się odbić na jej twarzy, bo Zorza przerwała, obserwując ją uważnie.

– Widzisz… My nie jesteśmy stąd, dziecko.

– Przybyliście zza Małej Puszczy?

Obca potrząsnęła głową.

– Nasz dom jest dużo, dużo dalej… Masz na imię Eline, tak?

Dziewczynka potaknęła, marszcząc brwi. Czuła, że zaraz usłyszy coś ważnego, coś, co ją zmieni, i wystraszyła się.

– A więc, Eline… – ciągnęła tymczasem Zorza. – Igła jest… pojazdem międzygwiezdnym… nie… inaczej… jest wozem, którym można się poruszać między światami.

– Między światami? Jesteś umarła? – Dziewczynka zerwała się na równe nogi. Serce waliło jej mocno. – Miha umarł, tak? Przyszłaś po niego? Jesteś Duchem!

– Nie, nie! Daję słowo, że nie jestem duchem, a twój brat żyje! Eline, daję słowo, wierzysz mi? – Eline nie zmieniła pozycji, wciąż stała sztywno, blada i przerażona. – Pomyśl… – Głos Zorzy wypełniła rozpacz. – Po co miałabym go tu nieść? Mogłam go zabrać od razu spod Igły, prawda?

To brzmiało rozsądnie, ale Eline nie czuła się przekonana.

– Nie ma innego świata niż świat żywych i świat umarłych – powiedziała niepewnie.

– Jest, Eline, jest ich wiele, nieskończenie wiele, ale są bardzo daleko od siebie i by móc między nimi podróżować, potrzeba specjalnych pojazdów. Wiem, że to wszystko dla ciebie niezwykłe, ale posłuchaj mnie, spróbuj po prostu posłuchać, dobrze? Usiądź, proszę.

W oczach obcej błysnął strach i dziewczynka pojęła, że z jakiegoś powodu dla kobiety ta rozmowa jest o wiele ważniejsza niż dla niej. Usiadła z powrotem i postanowiła już więcej nie przerywać, nawet gdyby Zorza mówiła jeszcze większe bzdury.

– Tak daleka podróż to bardzo trudna sprawa. Ci, którzy się jej podejmują, muszą się długo uczyć i być bardzo odpowiedzialni. Przestrzegać zasad. Nawet jeśli to trudne. Jedna z nich mówiła, że jeśli się jest z kimś w tej samej załodze… drużynie… to nie wolno się w nim zakochiwać. To mądra zasada, ale serce często nie jest mądre.

– Ty i Karan byliście w jednej drużynie, tak? I złamaliście zakaz?

– Tak. Jak widać, brak rozsądku nie jest zarezerwowany wyłącznie dla dzieci.

Tym razem uśmiech Zorzy był pełen goryczy. Kobieta zamknęła oczy i milczała tak długo, aż Eline nie wytrzymała.

– Po co w ogóle podróżowaliście?

– Szukaliśmy pustych światów. Takich, na których mogliby zamieszkać ludzie z naszego.

– A wasz wam nie wystarczał?

– To dobre pytanie, Eline. – Zorza znów się zamyśliła. – Najwyraźniej nie, może to właśnie nasz problem? Zachłanność? A może pchało nas do działania to, że potrafiliśmy to zrobić?

– Trochę jak Mihę, kiedy się wspina…

Niekontrolowany skurcz przeciął twarz dziewczynki na wspomnienie o bracie, a Zorza obdarzyła ją spojrzeniem pełnym współczucia.

– Tak, to dobre porównanie – powiedziała cicho po chwili milczenia. – W każdym razie po to wyruszyliśmy. Takich drużyn jak nasza wysłano kilkanaście, każda miała określony cel podróży. Mieliśmy ten cel sprawdzić, zbadać najlepiej jak się da i przywieźć zapiski na nasz świat. Jednak stało się tak, że trzeciego dnia po wylądowaniu na waszym Płaskowyżu pokłóciliśmy się z Karanem bardziej niż zwykle. Wybiegłam na zewnątrz wściekła, równie wściekły Karan zmienił hasło otwierające drzwi. Potem coś się popsuło. Nie mam pojęcia co, ale on nie mógł wyjść, a ja nie mogłam wejść, bo nie potrafiłam tego hasła odgadnąć.

– Skąd wiesz, że nie mógł wyjść? Może po prostu nie chciał?

Tym razem w oczach staruszki pojawił się ból.

– Na początku na pewno nie chciał. Ale myślę, że Karan nie był złym człowiekiem, gdyby mógł, nie dopuściłby do niczyjej śmierci. A przecież widział, co Henrietta robiła z tymi, którzy próbowali wejść do środka. On nie był zły – powtórzyła niby twardo, choć w jej głosie słychać też było coś, co dla Eline zabrzmiało jak prośba. – Nie mieliśmy w środku nieskończonych zapasów. – Patrzyła przed siebie, wpatrzona w coś, co mogła widzieć tylko ona. – Myślę, że umarł z głodu jakieś trzydzieści, może trzydzieści pięć lat temu.

Nim do Eline w pełni dotarły jej słowa, Zorza zdążyła się otrząsnąć.

– Wtedy powinnam była zniszczyć Henriettę. Tyle, że tylko ona łączyła mnie z domem, a ja nigdy nie przestałam wierzyć, że w końcu uda mi się wejść do środka i po prostu odlecieć, Eline. A poza tym wtedy już wiedziano, że do Igły, jak ją nazwali miejscowi, nie wolno się zbliżać. Wypadki przestały się zdarzać tak często. Za twojego życia nie było żadnego, prawda? Gdyby był, nie poszlibyście tam przecież…?

Między nimi zawisł znak zapytania. Zorza czekała na odpowiedź, jakby miała jej ona przynieść rozgrzeszenie. Eline milczała, czując, że w tym pytaniu-niepytaniu było coś niewłaściwego.

– Eline!

Obydwie z jednakową ulgą podniosły się z ławki.

– Tata mnie woła – wyjaśniła niepotrzebnie dziewczynka. – Muszę iść.

Zorza skinęła głową i uśmiechnęła się, próbując przelać w ten uśmiech choć cień otuchy.

* * *

Chętnych do pomocy przy budowie stosu było wielu. Niemal pół wioski znosiło gałęzie i karczowało teren w promieniu kilkudziesięciu metrów od Igły, by pożar nie wymknął się spod kontroli. Jednak to Zorza podłożyła ogień. Czuła, że jest to winna Karanowi, ale też wszystkim dzieciom, które niefortunny los, zwykła ciekawość

i niepokój odkrywcy kiedykolwiek przyprowadziły pod Eksploratora. Wiedziała, że zwlekała zbyt długo. Widziała to, patrząc na Drewa Hruixa, obejmującego ramieniem plecy żony, która z kolei tuliła do siebie chłopca z kikutem ręki owiniętym białym płótnem. Widziała to w oczach Adeline Hruix, twardych i nieprzejednanych tak samo jak kilkadziesiąt lat wcześniej, gdy jej brat – tak jak teraz wnuk – próbował odkryć tajemnicę Igły i nie miał tyle szczęścia co Miha. Sama Eline stała w pewnym oddaleniu od reszty rodziny. Towarzystwa dotrzymywał jej pucułowaty chłopiec, w którym Zorza rozpoznała dzieciaka, który wybiegł im naprzeciw, gdy wracały spod Henrietty ledwie dwa tygodnie wcześniej.

Suche pnącza, ułożone w kilkunastometrowy lont, płonęły szybko i Zorza wystraszyła się, że na swoich starych nogach nie zdąży odejść na bezpieczną odległość, nim zrobią swoje ładunki prochowe wykonane i podłożone według jej wskazówek u podstawy rakiety. Płomienie wspinały się coraz wyżej, liżąc i wysuszając odcięte od korzeni pnącza. Ogień powoli obnażał Igłę przed oczami obserwatorów. Widok zwężającej się ku górze konstrukcji, podzielonej na człony elastycznymi dawniej przegubami, spowodował ukłucie w sercu Aurory. Zupełnie jakby ostry czubek, mieszczący w sobie końcówki czujników, przebił jej pierś.

Stojąc na granicy linii bezpieczeństwa, omywana podmuchem gorącego powietrza, patrzyła, jak pod wpływem opóźnionej eksplozji konstrukcja przechyla się na

bok i majestatycznie upada, łamiąc się w kilku miejscach. Dolny człon, w którym zlokalizowane były zbiorniki paliwa dla silników startowych, praktycznie przestał istnieć.

Przepraszam – pomyślała i zamknęła oczy.

Anna Hrycyszyn

Rocznik 1978. Lubi dyskutować, czyta od zawsze, pisze od niedawna. Szczur lądowy, beznadziejnie zakochany w morzach, statkach i okrętach. Wielbicielka rewolucji przemysłowej i architektury obronnej. Wychodzi z założenia, że wszystko może być inspiracją, lubi zabawy kompozycją, a jej pisanie to ciągła walka o pogodzenie formy z treścią. Błąka się po forach literackich, a w drugim tomie Fantazji Zielonogórskich znaleźć można jej opowiadanie Manifest. Autorka bloga Ziarno Myśli, na którym dzieli się wrażeniami z lektury i trudami pracy twórczej. Zdarzyło jej się popełnić kilka artykułów na portalu Literka.info.

http://geniuscreations.pl/autorzy/anna-hrycyszyn/

Niespokojny Ogród – Paweł Imperowicz

Sierżant Dwayne Chapman spojrzał w niebo, pozwalając, by kilka kropel piekącego deszczu rozbiło się na jego skórze.

Nienawidził tej planety. Układ Temidy dawał się mu we znaki od kiedy tu dotarli. Nie cierpiał światów, które nie poddały się w pełni procesowi terraformowania, a przez to były równie paskudne jak ten. Przywitała ich wszechobecna dżungla, kwaśny, piekący deszcz, skażone ujęcia wody, a także rośliny gotowe rozpruć pancerz wspomagający i wyżreć żołnierzowi bebechy.

Opuścił głowę i splunął na płytę lądowiska. Zdawało się, że Federacja Dwóch Słońc postawiła sobie za punkt honoru, że skolonizuje każdy świat w podbitym przez siebie układzie. Te, które do niczego się nie nadawały, były zwykle wciągane na listę miejsc przeznaczonych do zaawansowanego terraformowania. Nowoczesne urządzenia mające przystosować powierzchnię planety zrzucano z orbity, wysyłano kilku śmiałków, którzy doglądali całości, a potem wracano po dziesięciu latach, by z wielką pompą osiedlić tam wiernych obywateli. Przez ten czas pozorne pustynie zmieniały się w bujne gaje pełne soczystej roślinności, sucha ziemia stawała się korytem dla

szemrzących rzek, a czerwone niebo na skutek zmiany pierwiastków przyjmowało kolor przyjaznego błękitu – tak bliski sercu każdego człowieka. Przysyłani ludzie budowali pierwsze osiedla i ujarzmiali planetę. Mijało kolejnych parę lat, a Federacja zaczynała odcinać kupony od swej niebywale kosztownej inwestycji. Nieskażony, nowy świat był bowiem łakomym kąskiem dla każdego, kto mógł sobie na to pozwolić. Mogło niewielu, i właśnie oni płacili. Za nimi przybywali następni i tak kawałek po kawałku nowe planety zasiedlały się potomkami mitycznych Adama i Ewy.

Niestety, nie zawsze wszystko szło gładko. Czasem z obsługą terraformerów tracono kontakt, innym razem koloniści spotykali się z formami życia, przed którymi nie potrafiły ich ochronić nawet siły rządowe, przysłane do zaprowadzenia jako takiego porządku. Jednak bywało i tak, że sprawy pieprzyły się na całej linii, a biliardowa inwestycja planowana skrupulatnie przez lata, która pochłaniała środki przekraczające jakiekolwiek wyobrażenie, rozpadała się jak zamek z piasku zbudowany zbyt blisko zachłannego morza.

– Słucha mnie pan, sierżancie?

Chapman jeszcze przez chwilę patrzył na kałużę formującą się przy jego butach. Na tafli wody, która według mądrych głów miała być cudowną, pitną deszczówką widział tęczowe, oleiste plamy.

Nie odpowiedział – jedynie wyjął papierosa, złamał filtr i wciągnął do płuc gryzący dym.

– Przez takich jak pan, inspektorze, nie mogę mieć normalnego oka – westchnął, strzepując popiół.

Mimo pozornego wyrzutu tkwiącego między słowami, po twarzy pełgał mu łobuzerski uśmiech. Blizna biegnąca przez prawe oko poruszyła się w rytm skurczów mięśni, dzięki czemu przypominała błyskawicę narysowaną dziecięcą ręką. Dwayne przejechał dłonią po kompletnie łysej głowie.

– Może pan żyć i służyć Federacji – odpowiedział beznamiętnym tonem inspektor.

Sługusy popapranej idei. Chapman nie przepadał za dupkami, którzy trzęśli niemal całą Federacją – inspektorzy czystości, popieprzeni narwańcy stojący na straży wydumanego założenia, że człowiek i maszyna nigdy nie mogą być jednym. Cybernetyka mogłaby oddać mu oko! Cholerne oko, które stracił w służbie dla Federacji. I co za to dostał? Bezwartościowy uścisk dłoni i świecący medal, który mógł przypiąć sobie do galowego munduru. „Za zasługi dla niezależności Federacji, za wyróżniające się męstwo i inspirującą postawę”. Och, jak chętnie by tym wszystkim nadętym generałom wsadził ten cudowny medal głęboko w dupę. Ofiarowali mu pochwały i poklepywania po plecach, nie wiedząc jak miał na to wyjebane.

A teraz stał przed nim mężczyzna w ciemnym płaszczu, z wysokim kołnierzem postawionym aż do samej linii uszu. Chapmana nie irytował jego władczy i nieznoszący sprzeciwu ton, nie miał niczego do cholernie drogich rękawiczek z prawdziwej skóry, nie uśmiechnął się, widząc

symbol pełnionej funkcji – tatuaż który biegł ponad łukiem brwiowym. Wkurzał go jedynie czip czołowy, który wystawał temu dupkowi z głowy. On chciał niewiele – zaledwie nowe oko. Pragnął widzieć jak inni – stereoskopowo czy jakoś tak. Nie chciał gałki z podczerwienią, noktowizją czy innymi cudeńkami, które z łatwością mógłby dostać w którymś świecie poza granicami Federacji. Irytowało go, że tu są równi i równiejsi. Pieprzony inspektor czystości mógł mieć kawał metalu, który czynił z niego supermana, a on, cholernie zasłużony bohater, musiał uczyć się żyć bez głębi widzenia.

– Życie i służba sprawiły, że mam to, co mam. – Odparł, wypuszczając z ust siwy obłok.

– Proszę uważać – rzekł inspektor, unosząc jeden z kącików ust. – Ktoś mógłby poczytać to za obrazę.

Nieopodal wystartował kolejny prom transportowy. Niewielki ośrodek badawczy stopniowo pustoszał. Federacja rzadko porzucała swoje inwestycje, ale czasem trzeba było powiedzieć dość, zwłaszcza gdy pacjenta – mimo najlepszych starań – nie dało się uratować.

– Ewakuacja przebiega zgodnie z planem – rzekł na pozór obojętnie inspektor, rozkładając nad głową staromodny parasol. – Niedługo nie będzie tu już nikogo. Proces terraformowania możemy uznać za nieudany.

Dwayne nawet nie silił się na pojedynczy gest. Miał w dupie czy planeta miała stać się w niedługim czasie rajem dla bogatych baranów, czy może miał ją trafić szlag. Nie zwykł martwić się podobnymi rzeczami. On miał tu

jedynie posprzątać. On. Zabawne. Był jedynie maleńkim trybem. Nieistotną płotką. Sierżantem.

– Odzyskano już trzy z czterech matryc formujących – kontynuował inspektor – ostatnia znajduje się blisko dwadzieścia kilometrów stąd, w największej jednostce zrzuconej tu przed czterema laty.

Chapman miał już czterdzieści dwa lata na karku. Skóra na twarzy, nie licząc bruzd i parszywej blizny, zaczęła się już marszczyć, dając świadectwo mijającym latom. Dłonie miał silne, spracowane, a plecy i solidne mięśnie na karku nauczyły się przez czas trwania służby trzymać głowę prosto. Wojsko zabrało mu oko, zafundowało kilka złamanych kości, zerwane ścięgna, naderwane mięśnie, jednak w swej szczodrości dało coś w zamian – doświadczenie.

Właśnie ono podpowiadało Chapmanowi, że pieprzony inspektor czystości nie gada do siebie. Mówił, by zabawić się jego kosztem.

– Co ciekawe, musi on tam pozostać. – Inspektor pokiwał głową, patrząc na kolorowe kleksy, bezustannie zmieniające kształty na powierzchni kałuży. – To ośrodek nadzorujący. Wyłącza się go z orbity.

Sierżant wciągnął ostatnią dawkę gęstego dymu i wyrzucił niedopałek w sam środek oleistej kałuży. Deszcz siąpił niemiłosiernie. Dwayne słyszał kolejne komunikaty obsługi prowadzącej ewakuację, widział ludzi ładujących drogocenną aparaturę na pokład transporterów. Warkot pracujących silników był muzyką dla jego uszu. Przywykł do

niej. Sądził, że hałas zniechęci inspektora. Przecież ktoś taki jak on nie miał szansy przywyknąć do wojskowego bałaganu. Niestety ten człowiek zdawał się doskonale bawić, obserwując ewakuację.

– Znam dobrze przebieg pańskiej służby, panie Chapman – znów podjął wątek, nie doczekawszy się żadnej odpowiedzi ze strony sierżanta. – Pierwsze lata służby mogłyby posłużyć za niedościgły wzór dla innych żołnierzy. Szkolenie ukończone z wyróżnieniem. Stopień sierżanta już po pierwszej misji stabilizacyjnej. Kapitan oddziału ciężkiego wsparcia po pięciu latach. – Inspektor pokiwał głową z uznaniem, jakby dopiero teraz zapoznawał się z jego karierą. – Naprawdę, godne pochwały. Miał pan otwartą drogę do prawdziwych zaszczytów, panie Chapman. Z pana danych wynika, że sektor Agamemnona wiele panu zawdzięcza. Pozwoli pan, że powołam się jedynie na obronę głównej siedziby rządu w mieście Cayyis, gdzie wrzała rebelia mająca obalić ówczesnego prezydenta sprawującego władzę z ramienia Federacji.

– Tubylcy nie lubią porzucać swoich przyzwyczajeń – odparł, patrząc jak kolejny prom transportowy wzbija się w powietrze. – Zwierzchność Federacji nie musi się nikomu podobać.

– Lubi pan ryzykować. – Spojrzał na niego z zaciekawieniem. – Za takie słowa mógłbym postawić pana przed sądem i doprowadzić do szybkiego skazania.

– Mówię jak jest. – Nie dał po sobie poznać, jak mało obeszły go słowa inspektora. Widział już w życiu dość, by

taki napakowany władzą bubek mógł go zastraszyć. – Ludziom, którzy żyli w układach z dala od Federacji, nie uśmiecha się przyjmowanie nowych praw. Ja ich rozumiem. Gdyby ktoś najechał moją rodzinną planetę…

– Nie najeżdżamy żadnych planet, panie Chapman. – Inspektor zdawał się bawić w najlepsze. – Odszukujemy jedynie zagubione dzieci.

– Słowa.

– Być może. – Sierżantowi nie spodobało się to, jak łatwo inspektor oddał pole. – Wróćmy jednak do pańskiej błyskotliwej kariery, do obrony Cayyis, którą okupił pan stratą oka.

– Nie ma o czym gadać – odparł niedbale, wiedząc że w rozmowie z inspektorem podobne teksty mogą wystawiać na próbę jego szczęście.

– Ależ jest. Proszę mi wytłumaczyć, jak to możliwe, że bohater z Cayyis, kapitan elitarnego oddziału i ktoś, kto odnosi sukces za sukcesem, miesiąc po odznaczeniu medalem za zasługi dla wolności Federacji zostaje zdegradowany do stopnia sierżanta?

– Doskonale zna pan moje dokumenty.

– Wolę poznać pańską wersję. Wie pan, kim jestem. Trudnię się dociekaniem prawdy.

– Nie mam nic do dodania. Złożyłem swój raport…

– …który pokrywa się ze słowami pańskich przełożonych.

– Zgadza się.

Dwayne wyjął kolejnego papierosa, podejrzewając, że rozmowa, której wcale nie miał ochoty prowadzić może się przedłużyć. W normalnych warunkach kazałby dociekliwemu śledczemu spieprzać, ale z tym człowiekiem pewne rzeczy nigdy nie uszłyby mu płazem. Nie rozmawiał z podrzędnym śledczym, wojskowym niuchaczem czy detektywem z lokalnej policji. Uczepił się go inspektor czystości, ktoś, kto miał niemal nieskończoną władzę. Ktoś, kto mógł własnoręcznie osądzić, skazać i przeprowadzić egzekucję człowieka, którego czyny uznałby za zagrażające integralności Federacji – cokolwiek miałoby to oznaczać. Jeśli Ziemia miała w swej zamierzchłej historii inkwizytorów, którzy w imię religijnych ideałów wysyłali na stos całe wioski, to Federacja doczekała się ich odpowiedników właśnie w osobach inspektorów czystości.

Niektórzy, gdyby znaleźli się na miejscu Chapmana, już zaczęliby szykować się na sąd polowy. Usprawiedliwiał się – miał to w genach i nie potrafił się tego pozbyć. Nie próbował nawet nazwać owej przywary. Arogancja, bezczelność? Być może. Zapatrzenie w siebie? Kto wie? Przekonanie o własnej wyjątkowości… Doprawdy, podobne określenia można byłoby mnożyć.

– W raporcie zostało dobitnie zaznaczone, że uderzył pan przełożonego.

– Zgadza się.

– Dodatkowo zarzucono panu niesubordynację, podburzanie członków oddziału…

– Nikogo nie podburzałem. Moi ludzie zawsze idą za mną.

Inspektor uśmiechnął się.

– Chyba właśnie to chciałem usłyszeć.

Nie brzmiało to najlepiej.

– Mam dla pana propozycję, panie Chapman, jednak taką, którą musi pozostać miedzy nami. – Wymownie spojrzał na przepaskę zasłaniającą brakujące oko. – Każdy z nas może mieć z tego coś dla siebie.

– Zamieniam się w słuch. – Dwayne wyrzucił papierosa i spojrzał na niego uważnie. Umiał czytać między wierszami.

* * *

– Ostatni tydzień służby w tym gorącym parku – westchnął Semus i przejechał nożem po głowie, ścinając włosy, które miały czelność wyrosnąć ponad poziom jego czarnej jak smoła skóry. – Czekają już tam na mnie. Są gorące i chętne – zagwizdał, wciągając gwałtowniej powietrze.

– Góra godzina i będziemy na orbicie – dodał West, któremu spieszyło się tak jak i pozostałym.

Patrzyli tęsknym wzrokiem za kolejnymi promami transportowymi, które odrywały się od płyty lądowiska.

– Trzy do czterech tygodni na plażach Nowej Papty – kontynuował Semus, spoglądając spod półprzymkniętych powiek na jeden z pojazdów, który rozcinał gęste chmury, szczelnie zakrywające niebo. – Cudowny urlop, nie ruszę

dupy z leżaka. Wszystko będą mi przynosić gorące kocice o skórze spieczonej słońcem i udach…

– Jak cię znam to będziesz siedział sam podłączony do jakiś stymulatorów. Z tym ryjem przecież niczego nie poderwiesz – zaśmiał się Tylion i, jak miał to w zwyczaju, poprawił chustę zawiązaną na głowie. – No może ślepą.

– On nie chciał wyrywać – ryknął na cały głos Daiki, wstukując ostatnie dane na ręcznym holopanelu. – Jak znam tego czarnucha. to już dawno zaczął odkładać żołd by raz sensownie się zabawić.

– Śmiej się, skośnooka mordo – rzucił Semus do o głowę niższego żołnierza, kiwając w jego stronę czubkiem noża. – Zaraz mogę ci załatwić operację twojego niedorobionego ryja. – Błysnął ostrzem w powietrzu. – I kąciki oczu spotkają się z tyłu głowy.

Tylion wstał ze skrzyni, w której opuszczający planetę naukowcy trzymali swoje znaleziska i położył dłoń na ramieniu czarnoskórego przyjaciela. Postąpił o krok dalej, wychodząc spod rozpostartej nad ładunkiem płachty. Pozwolił, by kwaśny deszcz przez chwilę moczył jego bujne wąsy i długą brodę, aż wreszcie splunął na mokry asfalt i odwrócił się do pozostałych.

– Mały żółtek dba o ciebie, naprawdę nie masz większych szans, brachu.

– Spieprzaj – warknął Semus, patrząc na niego spode łba. – Po prostu zazdrościcie czarnemu bratu…

– Zamknij się – szepnął West, spoglądając w kierunku sierżanta Chapmana, który szedł w ich stronę.

– Co żeś powiedział? – Semus wbił nóż w jedną ze skrzyń. – Powtórz, to a…

– Baczność! – wrzasnął Dwayne i wszedł pod przemakającą plandekę, gdzie siedzieli jego ludzie.

Zerwali się na równe nogi. Dopiero po chwili zauważyli mężczyznę, który podążał tuż za sierżantem. Inspektor czystości. Rozpoznali go, gdy tylko złożył parasol. Wtedy ich oczom ukazał się lśniący czip tkwiący nad prawą brwią.

Widok kogoś należącego do ławy czystości sprawił, że wyprężyli się jeszcze bardziej.

– To oni? – spytał inspektor, nawet na nich nie patrząc. Znacznie większą uwagę poświęcił wodzie, która ściekała mu po rękawach płaszcza niż ludziom, o których mówił.

– Tak. Cała czwórka.

– Wyśmienicie. Mają być gotowi za dwadzieścia minut. Spotkajmy się na obrzeżu dżungli, na wschód stąd.

Nie salutując, rozłożył parasol i wyszedł spod plandeki.

– O cholera – sapnął Daiki, kiedy Chapman pozwolił spocząć. – Coś spieprzyliśmy?

– Skończ marudzić – odparł Dwayne. – Zbierzcie sprzęt.

– Nadajniki? – spytał West.

– Żadnych nadajników.

– A skąd będą wiedzieli, gdzie jesteśmy i że już trzeba nas zabrać?

– Nie będą wiedzieli, to misja nieoficjalna.

– Co jest grane? – spytał Semus, któremu niezwykle szybko rzedła mina.

– Federacja nas potrzebuje, ale za to, co zrobimy, nie dostaniecie medalu. Pewnie nie będziesz się mógł tym nawet pochwalić matce nad grobem – odpowiedział mu, uśmiechając się kpiąco.

– Czyli co, nie mamy dziś żadnych szans na orbitę? – Tylion spróbował szczęścia.

– Zbierajcie graty. Macie dwadzieścia minut – odparł, wychodząc.

Zaklął pod nosem. Nie słyszeli tego. Przyklejony uśmiech szybko zmył z jego twarzy piekący, kwaśny deszcz.

* * *

Dżungla była gęsta, mokra i piekielnie gorąca. Wysokie drzewa tylko pozornie chroniły przed deszczem. Ich rozłożyste liście i długie liany jedynie spowalniały wodę, która zachłannie dążyła ku ziemi.

– Semus. – Dwayne wskazał brodą gąszcz przed nimi. – Rozejrzyj się.

– Urządzenia skanujące...

– Powiedziałem: rozejrzyj się.

– Tak jest – odparł niechętnie ciemnoskóry zwiadowca, odgarniając gęste liście.

– Zbyteczny trud – wtrącił inspektor. – Planeta nie przeszła pełnego procesu terraformowania i jest opustoszała.

– Daiki. – Dwayne nie zamierzał ryzykować. – Chroń jego czarną dupę.

– Ta jest, sierżancie! – Choć skośne oczy kryły się teraz pod wielosoczewkowymi goglami, to Chapman mógłby przysiąc, że zaśmiały się do niego serdecznie.

– Na Uranosie dało się chociaż wyciąć ścieżki – westchnął Tylion. – Pieprzona gęstwina.

– Czy widzisz tu coś normalnego? – West otarł spocone czoło i poprawił hełm. – Olej kapie z nieba, drzewa wyglądają jakby ścigały się do chmur, a te wilki, które nagrał patrol Delta…

– Nawet mi o nich nie wspominaj – syknął Tylion, wsuwając na głowę, hełm, by aktywować skaner. – Pusto – odetchnął z ulgą.

– Ta planeta dopiero się rozwija, żołnierzu – rzekł inspektor, z wyraźną odrazą mijając liść, który próbował otrzeć się o jego ramię. – Gdybyśmy zostawili tę planetę przy życiu, zwierzęta pojawiłyby się tu dopiero za kilka lat.

Tylion tylko skinął głową. Wiedział co widział, ale nie miał zamiaru dyskutować z inspektorem. Słyszał już dość parszywych opowieści o członkach ławy czystości, by wyrobić sobie konkretne zdanie. Podobno ludzie przez nich znikali – szybko, cicho i bez zbędnych pytań, gdyż ci, którzy mogli je zadać, nie chcieli podzielić ich losu. Tylion nie miał zamiaru znaleźć się w tym chlubnym towarzystwie i to tylko za próbę przekonania bubka w skórzanym płaszczu do swojego zdania.

Przedzierali się dalej przez upalny gąszcz i choć woda notorycznie lała się im na łby, to próżno było szukać w niej ochłody.

– Sierżancie, mamy poruszenie. – Syk w komunikatorze sprawił, że Chapman przyłożył dłoń do krtani.

– Dokładne współrzędne, Semus – odpowiedział i jednocześnie dał znak pozostałym, by się zatrzymali i byli w gotowości.

– Osiemdziesiąt metrów przed nami. Czekam na pozycji.

Dwayne przerwał transmisję.

– Cicho i powoli. Mamy poruszenie.

Odbezpieczył karabinek Nautilus – cud sztuki rusznikarskiej, który wyszedł spod ręki projektantów i techników oddających swój talent na usługi Federacji Dwóch Słońc. Cztery lufy nieznacznie wysunęły się z korpusu, który przypominał wydłużoną muszlę morskiego ślimaka. Dwayne od razu zobaczył przed oczami komunikat o gotowości broni i obecnym stanie amunicji. Systemy w hełmie nie tylko badały jego tętno i stan zdrowia, ale również wspomagały użycie broni.

Podchodzili wolno, tak jak rozkazał. Gdyby nie obraz ze skanera, na którym Semus i Daiki byli widoczni jako dwa niebieskie punkty, pewnie nigdy by ich nie zauważył. Zwiadowcy wyśmienicie kryli się w gęstym listowiu, przez co przeciwnik odarty ze zdobyczy technologicznych nie miałby w walce z nimi najmniejszej szansy.

– Tam. – Wskazał zwiadowca, gdy Dwayne znalazł się obok niego.

– Instrumenty milczą.

– Tam coś jest – syknął.

– Nie mieliście prawa nic dostrzec w tej ulewie, żołnierzu – rzekł inspektor, któremu wyraźnie nie było w smak, że musi brudzić sobie ubranie. – Nie usłyszelibyście też niczego. Jeśli skanery milczą, to…

– Wiem, co widziałem – warknął Semus, który najwidoczniej nie przejmował się statusem inspektora.

– Jest tam jeszcze? – spytał Dwayne.

– Nie. – Pokręcił głową. – Odeszło.

– Wybornie – westchnął inspektor, wstając z klęczek. – Powtarzałem już, że planeta jest opustoszała, a jeśli nie zamierzacie spędzić tu reszty życia, to proponuję skierować się w tę stronę.

Poszedł przodem.

Dwayne dał znak Daikiemu i Tylionowi, by trzymali się blisko niego. Jeden westchnął cicho, drugi zaklął pod nosem, lecz – jak zawsze – usłuchali rozkazu.

– Wiem, co widziałem – wyszeptał przez zęby Semus, łapiąc Chapmana za rękaw.

– Oczy czasem są zawodne… – West próbował go ostudzić.

– Wiem, co widziałem! – wycedził przez zaciśnięte zęby. – To nie był ruch liści czy powiew wiatru. Wychowałem się w miejscu takim jak to.

– Co widziałeś? – Chapman spojrzał na niego poważnie, dając tym samym do zrozumienia, że mu wierzy.

– Nie wiem.

– Nie pierdol.

– Na pewno coś żywego. Przemykało górą.

Dwayne kiwnął głową i dał znak, by ruszali dalej. Nie potrzebował żadnych niespodzianek, tym bardziej takich, które mogły zatłuc ich na miejscu. Czy to możliwe, że trafili na opustoszałą planetę, na której jednak coś było? Jakim cudem jego najlepszy zwiadowca widział ruch, podczas gdy skanery milczały? A na dodatek na ręce patrzył im spokojny inspektor czystości, który przesadnie wierzył w raporty dotyczące przebiegu procesu terraformowania. Czy ktoś tak przebiegły jak członek ławy czystości mógł się mylić? Przecież wszyscy wiedzieli, że proces nie dobiegł końca i popieprzył się pod drodze. Jednocześnie Chapman brał poprawkę na wszystko, co mówił Semus. Słyszał o wilkach, które znalazł oddział Delty. Tak naprawdę był to okrutny żart i nabrało się na niego wielu żołnierzy. Wilki nie były stąd. Przywieziono je z jakiejś odległej planety. Zwały się Dal'szi, a przynajmniej tak mówili na nie Wikingowie. Zajadłe bestie. Ktoś w dowództwie wpadł na idiotyczny pomysł, by je udomowić. Nikt nie wiedział czemu przywieźli je tutaj. Część uciekła, rozszarpując treserów. Potem we wszystko wmieszała się Delta i odstrzeliła wszystkie. By chore pomysły znudzonych rutyną generałów nie wyszły na światło dzienne, Dal’szi przyklejono łatkę dzikich wilków. Poszło na tutejszą faunę.

Mimo obaw Semusa dotarli w pobliże terraformera nie niepokojeni przez nikogo. Olbrzymia machina przypominająca budynek mieszkalny albo okazałą stację badawczą stała na wzniesieniu, które górowało nad otaczającą je dżunglą.

Terraformery zrzucano z orbity, zakotwiczano w ziemi i zostawiano same sobie. Resztą miała się zająć sztuczna inteligencja i kilogramy krzemu, po których pędziły jej sztuczne myśli. Później docierała pierwsza tura obsługi. Tu poprzestano na drugiej, kiedy okazało się, że planeta zostanie spisana na straty.

– Po czym poznać, że to gówno działa? – spytał Tylion.

– Nie spodziewaj się kominów rzygających w niebo dymem i głośnego ryku silników. – Daiki przełączył system dalekosiężnych soczewek. – To ekologiczne monstrum. Zamiast pluć spalinami, zmienia trujące gazy w tlen i inne przydatne dla życia składniki. Zaawansowane algorytmy dopasowują nasiona w zasobnikach do środowiska, a potem dają im ostrego kopa sterydowego.

Wykonał kilka ruchów dłonią, a okulary dopasowały się tak, by pokazywać jeszcze ostrzej istotne szczegóły.

– Dobra – westchnął. – Chyba mamy wszystko.

Uaktywnił panel zamontowany na przedramieniu i wywołał holograficzny projekt budynku.

– Nie ma oznak życia, główne wejście znajduje się…

– Czy moglibyśmy skończyć tę farsę?! – warknął inspektor. – Wiecie doskonale, że planeta jest niezasiedlona, a mimo to posuwamy się tak wolno, jakby czekała na nas wataha O'kha'sza.

– To ostrożność – odparł Chapman, ścierając z policzka krople deszczu. – Nie wziął nas pan ze sobą dla towarzystwa w dżungli. Jesteśmy tu na wszelki wypadek i właśnie ów wszelki wypadek ubezpieczamy.

– Sprytnie, sierżancie. – Inspektor uśmiechnął się, splatając ręce za plecami.

Nie odezwał się już więcej podczas gdy oni analizowali plan.

– Oby przeszło spokojnie. – Semus przesunął w dłoni koralik modlitewny.

– Daj spokój. – Tylion klepnął go w ramię. – Ani się obejrzysz, a będziemy na orbicie.

Mężczyzna tylko pokręcił niechętnie głową.

* * *

– Czysto! – Daiki wszedł pierwszy, zalewając wnętrze światłem szperacza podczepionego pod lufami karabinu.

– West, Semus, ubezpieczajcie wejście.

Żołnierze przyjęli rozkaz Chapmana spokojnym skinieniem głowy.

Wnętrze okazało się jednym wielkim systemem maszynerii, pomiędzy którym wił się pojedynczy korytarz.

– W tej odnodze znajduje się magazyn części. – Inspektor dotknął panelu ściennego, dzięki czemu węzły świetlne umiejscowione pod sufitem zalały korytarz chłodnym blaskiem. – Wszędzie coś może się popsuć… – kontynuował – …a łatwiej naprawić to od ręki, niż czekać, aż ktoś łaskawie przybędzie z orbity.

Skręcili w lewo.

– Tu z kolei – wskazał na dwie odnogi – znajdują się pomieszczenia załogi.

– Ktoś może tam być? – spytał Tylion, a kiedy tylko skupił na sobie wzrok inspektora od razu pożałował przesadnej ciekawości.

– Nie, obsługa została już ewakuowana.

– Więc czemu nie wyłączyli maszynerii? – Daiki nie miał podobnych oporów. – Po to tu jesteśmy, prawda?

– Tego dokonuje się z orbity. – Inspektor tylko uśmiechnął się zagadkowo, a Chapman dał znak, żeby nie tracili czasu na zbędne pytania.

– Z kolei tu znajduje się serce kompleksu! – Rozłożył ręce, wchodząc do sporej sali.

Ekrany holograficzne otaczały ich ze wszystkich stron. Inspektor odwrócił się do żołnierzy i pokiwał głową.

– Cud technologii Federacyjnej, czyż nie? – Zachowywał się jak gospodarz, który chwali się swym najwspanialszym dokonaniem.

– Niech pan zrobi, co ma zrobić i zabierajmy się stąd.

– Naturalnie – odparł miękko.

Dwayne wycofał ludzi tak, by stali na progu pomieszczenia. Obserwował, jak dłonie inspektora mkną po holopanelach. Trudno było wywnioskować cokolwiek z twarzy, która teraz przypominała maskę wykutą z brązu. Jedno zmrużenie oczu. Tyle zauważył Chapman, nim w komunikatorze odezwał się głos Semusa.

– Sierżancie, mam poruszenie.

Dwayne przełączył transmisję tak, by słyszał ją cały oddział.

– Skanery?

– Milczą.

Nie odrywając palców od krtani, dał znak Tylionowi i Daikiemu, by poszli to sprawdzić.

– Zostań na pozycji.

– Semus bez odbioru. – Głos zwiadowcy brzmiał upiornie.

Dwayne odprowadził żołnierzy wzrokiem. Nie sądził, by zarówno skanery, jak i ich wywiad przeoczyli jakąkolwiek formę życia. Semus miał dość. Od kilku tygodni marudził o urlopie. Doskwierało mu zmęczenie i Chapman właśnie w to chciał wierzyć.

– Doprawdy zastanawiające – szepnął inspektor. – Niech pan wycofa ludzi do korytarza.

– Słucham?

Dwayne nie był głupi. Wiedział, co inspektor starał się przez to powiedzieć.

– To nie czas na pytania, sierżancie – mówiąc to, nawet nie oderwał wzroku od holopanelu. – To nie rozkaz. Jedynie dobra rada.

– Semus. Wycofajcie się do wnętrza korytarza.

– Ta jest, sierż… Widziałeś?!

Chapman nie słyszał wyraźnie, odpowiedź Daikiego utonęła pośród krzyków.

– Semus, melduj! Co się dzieje?!

– Mam widoczną istotę. Humanoid. Nie widać go na skanerach.

– Nasz? – Dwayne już ruszył w jego stronę. – Wiking?

– Ani to, ani to. – Do dźwięku jego słów dołączył się znajomy syk aktywowanych luf karabinu.

– To jakiś pieprzony mutant! – wywrzeszczał West do komunikatora. – Ciało ludzkie ale ręce i nogi jak u wyrośniętej modliszki!

– Proszę o zgodę na otwarcie ognia!

Formalność.

– Udzielam.

Był już za nimi. Karabiny zaterkotały.

Kiedy tylko pierwszy pocisk dotknął tajemniczej istoty, ta odskoczyła gwałtownie i zniknęła im z pola widzenia.

– Co to było, do cholery?! – warknął Tylion.

– Mówiłem wam! – Semus był nabuzowany adrenaliną.

– Przecież planeta miała być opustoszała!

Dwayne nie powiedział niczego. Mechanizmy same dopięły hełm.

– Otwarta łączność – wydał polecenie pozostałym, włączając komunikator na krtani. – Semus, West, idziecie ze mną. Daiki i Tylion, osłaniacie. Pozostajemy w kontakcie wzrokowym.

– Chcę to dopaść – syknął zwiadowca, gdy wyszli przed terraformer.

Gdziekolwiek spoczywał ich wzrok, tam kierowały się lufy karabinów.

– Widzisz coś? – szepnął do Semusa.

Ten tylko pokręcił głową. Dżungla wkradająca się zielonymi mackami na wzniesienie była cicha i spokojna, jeśli nie liczyć kropel nieustannie padającego deszczu.

Skanery milczały.

– Przecież to niemożliwe – usłyszał w komunikatorze głos Daikiego. – To coś było jak duch. Nie można tak po prostu zniknąć! Cholera, mamy najnowocześniejszą technologię w galaktyce!

– Zamknij się! – uciął Chapman. – Tylko ważne informacje.

– Tam. – Semus wskazał nieznacznym ruchem kępę roślinności.

– Nie widzę.

– Bo się nie rusza. – Włączył holograficzny panel naramienny. – Oznaczam pozycję.

Wyświetlacz stanowiący przesłonę hełmu pokazał miejsce, o którym mówił zwiadowca. Jednak nawet to niespecjalnie pomogło. Wiedzieli, gdzie patrzeć. Nie wiedzieli na co. Dla nich miejsce wskazane przez Semusa było jedynie dżunglą.

– Na mój znak – powiedział Dwayne. – Strzelać na mój znak.

Odległość – dokładnie pięćdziesiąt metrów. Idealny zasięg dla ich broni. Poszerzyli formację.

– Jest tam nadal? – zapytał z powątpiewaniem sierżant, nadal nie dostrzegając celu.

– Siedzi i czeka na nas – wyszeptał Semus, wolno pocierając palcem mechanizm spustowy.

– Dobra.

Karabiny zagrały monotonną melodię, szatkując pociskami roślinność. Trafili. To, co początkowo zdawało się

być jedynie zbiorowiskiem liści, lian i gałęzi, wierzgnęło wściekle. Fala pocisków niemal rozerwała dziwoląga na dwie części.

– Wstrzymać ogień. – Chapman uniósł pięść, uciszając kanonadę.

Semus ruszył pierwszy.

– Osłaniacie nas? – Dwayne odruchowo nacisnął na już aktywny komunikator.

– Póki co czysto – zapewnił ich Tylion.

Szli wolno, choć każdego z nich rozsadzała ciekawość. Ubezpieczali się wzajemnie. Chapman był pewien, że gdyby walczyli z normalnym przeciwnikiem, to nikt nie byłby w stanie ich zaskoczyć. Niestety ich obecny wróg wymykał się normom i konwencjom.

Dziwnie było poruszać się po dżungli, która nie wydawała z siebie żadnych odgłosów. Brakowało pohukiwania zwierząt, rechotu żab, czy śpiewu ptaków, którym niestraszny był wszechobecny, kwaśny deszcz.

Semus podszedł pierwszy do zarośli. Chapman nie musiał mu mówić, by uważał. Zwiadowca zdawał się mieć nerwy napięte do granic wytrzymałości.

Delikatnie odsunął liście.

– Zdycha i krwawi! – splunął na truchło. – To zawsze dobry znak.

Istota wyglądała dokładnie tak, jak opisali ją wcześniej. Humanoid, nieco wyższy od człowieka. Jego nogi przypominały tylne odnóża konika polnego, właściwie były czymś pomiędzy kończynami człowieka a owada. Patrzyli na

jego ręce – co ludzkie kończyło się zaraz przed łokciem. Dalej próżno było szukać nadgarstka, dłoni czy palców. Zastępowało je zakrzywione ostrze.

– Co to jest? – spytał West, patrząc na ludzką głowę, którą porastała dziwna zrogowaciała tkanka. – Wygląda jak grzyb, jak pieprzona huba.

– Znaleźliście to? – W komunikatorze rozległ się głos inspektora.

– Tak – odparł Chapman.

– Dobrze. Zaczekajcie tam, chcę to zobaczyć.

Wyłączyli komunikatory niemal równocześnie.

– Nie był specjalnie zdziwiony – wysyczał Semus przez zęby.

– Sierżancie, do cholery, nadstawiamy dupę a nic nie wiemy. Co tu jest grane? – West zdjął hełm.

– Mam nadzieję, że zaraz będziemy wiedzieć znacznie więcej.

Inspektor nie kazał na siebie długo czekać. Towarzyszyli mu Daiki i Tylion. Pochylił się nad truchłem, nie zwracając uwagi na żołnierzy.

– Tak… – mruknął pod nosem. – Intrygujące.

– Czy może pan wyjaśnić co się tu dzieje? – Głos Chapmana zdradzał wyraźnie, że w tym pytaniu niewiele zostało ze służbowej uprzejmości.

– Nie sądzę – odparł powoli.

– Nie wie pan, czy pan nie chce?

Dopiero teraz inspektor oderwał wzrok od zmutowanego ciała.

– Proszę potraktować to jak radę. Inspektor wie wszystko, nie ma rzeczy, które kryją się przed jego czujnym umysłem. Pamiętajcie, sierżancie, że ludzie tacy jak ja niechętnie dzielą się swoją wiedzą. Ona stanowi broń. A to niezbyt roztropne pchać oręż w cudze ręce.

– To nie żadne gierki – warknął Dwayne. – Chcę wiedzieć, czym jest ta istota.

– Zaraz. – Inspektor wstał i spojrzał uważnie na ziemię. – Znaleźliście tylko jedną.

– Tylko?

– To bardzo źle – westchnął.

Nie dane było mu powiedzieć nic więcej. West zawył, kiedy z jego piersi wyłoniły się dwa ostrza. Potwór niemal rozerwał go na pół. Dwayne nie musiał wydawać rozkazów. Nautilusy już pracowały, puszczając w pogoń za uciekającym łowcą serie pocisków.

– Wycofać się do terraformera! – krzyknął dowódca.

– Nie zostawimy go! – Semus ruszył w stronę zwłok kolegi.

– To rozkaz! – warknął Dwayne. – Osłaniaj żywych.

Wracali szybko, pilnując każdej ze stron.

Gdy byli już przy wejściu, kolejny mutant spadł na Tyliona. Ten zdążył jedynie wdusić spust. Choć seria pocisków przedarła się przez ciało mutanta, to Tylion zapłacił za to najwyższą cenę, przyszpilony do ziemi długimi odnóżami. Leżał teraz na plecach, łapiąc z wyraźnym trudem kolejne hausty powietrza. Na jego ustach pojawiła się krwawa piana.

Daiki szybko chwycił go za ramię. Kopniakiem zrzucił z przyjaciela truchło odmieńca. Kiedy tylko znaleźli się w korytarzu, wyjął środki medyczne.

– Wyjdziesz z tego, stary.

Wbił w jego ciało iniektor. Nie słyszał kanonady, którą wygrywały lufy karabinów, nie docierały do niego głosy pozostałych żołnierzy.

Tylion bladł, starając się coś powiedzieć. Zamiast słów z jego ust dobył się niezborny charkot. Szybko chwycił Daikiego za rękę, ten jednak nic sobie z tego nie robił.

– Skończ z tym pieprzeniem bo zaraz się rozkleję – rzucił, rozrywając zębami opakowanie maści regeneracyjnej.

Tylion uśmiechnął się. Raz. Potem przestał oddychać. Daiki walczył jeszcze przez chwilę, klnąc, prosząc wszystkich znanych i nieznanych bogów by dali mu jeszcze szansę. Odpuścił dopiero wtedy, gdy Dwayne położył mu dłoń na ramieniu. Był tak skoncentrowany na ratowaniu przyjaciela, że nie zauważył zamkniętych drzwi i sztucznego światła, które lało się z sufitu.

– Zabiję sukinsyna. – Daiki był wściekły.

Chapman szybko stanął między nim a inspektorem.

– To, że się teraz pozabijamy nic nie da.

– Nie my. Zabiję tylko jego. On wiedział o tym gównie, sierżancie.

– Kiedy twój przyjaciel umierał, też o nim wiedział – odparł beznamiętnie inspektor. – Jak widać, nie umiał tej wiedzy należycie spożytkować.

– Zabiję!

Chapman zatrzymał żołnierza i grzmotnął go z całej siły w brzuch.

– Opanuj się! – warknął, gdy Daiki opadł na kolana.

Kiedy Dwayne odwrócił się do inspektora, ten szedł już w kierunku sterowni.

– Pilnujcie wejścia – rzucił przez ramię do Semusa. – Zajmij się nim. – Wskazał brodą na zbierającego się z ziemi żołnierza. – Nie pozwól, by narobił więcej głupstw.

Był wściekły. Wiedział jednak, co dobre dla jego ludzi. Ból brzucha i urażona duma już jutro będą ledwie wspomnieniem. Inspektor mógłby zastrzelić Daikiego, a potem wyślizgać się z morderstwa, ukrywając winę pod płaszczem integralności Federacji i wyższej konieczności. Sukinsyn. Po prawdzie Dwayne nie był pewien, czy sam zapanuje nad gniewem, gdy dorwie tego gnoja z czipem w łbie.

– Właśnie tak mamy współpracować? – spytał, spokojnie wchodząc do sterowni.

– Czy ktoś wspominał o współpracy? – odparł z rozbrajającą szczerością inspektor, wyjmując układ pamięci z głównego bloku sterującego terraformera. – Mamy już to, po co przyszliśmy. Możemy wracać.

– Wezwijmy wsparcie.

Inspektor uśmiechnął się kpiąco.

– To nie wchodzi w grę. Nikt nie wie, że tu jesteśmy i chciałbym, by tak pozostało.

– Wyjdziemy, a to coś nas pozabija. Nie wiem nawet, z czym walczę. – Zacisnął pięści. – Jeśli chce pan, byśmy szli przez dżunglę, muszę wiedzieć, co na nas poluje – warknął Dwayne i tym razem był pewien, że nie udało mu się ukryć wściekłości.

– Pewnie uważa pan, że dzięki temu lepiej mnie ochroni?

– Pana, siebie i swoich ludzi.

Inspektor zmrużył oczy, oblizał kąciki ust i wolno, acz niechętnie pokiwał głową.

– Dobrze. Może nie jest to najgłupsze wyjście. Proszę wezwać swoich ludzi, bo powiem to tylko raz.

Chapman dotknął komunikatora.

– Zabezpieczcie drzwi i zgłoście się do pomieszczenia sterującego.

Czekał na nich nie dłużej niż kilka sekund. Daiki wszedł, wbijając wzrok w podłogę. Uczył się. Dla nich wszystkich to było najlepsze wyjście. Z kolei Semus nie krył swoich uczuć. Gdyby spojrzenie mogło zabijać, inspektor nie zdążyłby nawet sięgnąć po broń.

– Wasz sierżant nalegał więc powiem wam, czym to jest. – Zyskał ich zainteresowanie, lecz nie przychylność. – Ława czystości podejrzewała możliwość pojawienia się anomalii. Wynikają one z błędów procesu terraformowania.

– Anomalii? – Daiki nawet nie starał się zatrzymać wybuchu wściekłości. – Te pieprzone anomalie zabiły dwóch naszych kumpli!

– Jeśli pozwolicie mi dokończyć, z chęcią wszystko wyjaśnię. To istoty, które nigdy nie powinny się tu pojawić. Ich wystąpienie jest głównym powodem, dla którego ewakuujemy planetę.

– Wyglądają na wyspecjalizowanych drapieżników – wtrącił Semus.

– To tak naprawdę naukowcy z tego terraformera – odparł Inspektor. – Coś poddało ich ciała mutacji. – Spojrzał w górę, jakby spodziewał się tam dostrzec jeszcze jednego odmieńca. – Sami widzicie, że ta planeta nie wygląda tak, jak powinna. Te chmury, ciągły skażony deszcz, dziwna, drapieżna roślinność, niezdatne do użytku ujęcia wody. Moglibyśmy długo wymieniać.

– Dobra – przerwał mu Dwayne. – Gówno mnie obchodzi ta zafajdana planeta. Miał pan powiedzieć, co to za potwory.

– Mówiłem już – odparł spokojnie inspektor. – To mutanci, których nigdy nie powinno tu być.

– Ilu było naukowców? – Semus oparł się o ścianę, wyjął papierosa i rzucił paczkę sierżantowi.

– Trzech. Zabiliście już dwóch, zatem gdzieś tam kryje się jeszcze jeden. – Teraz wiecie już, z czym się mierzycie, chyba… – na chwilę zawiesił głos – … że walka z nimi was przerosła.

– Zaskoczyli nas, to wszystko. – Daiki odwrócił wzrok.

– Zaryzykuję stwierdzenie, że wydawali się szybsi i bardziej zabójczy niż typowi żołnierze słońc.

– Może. – Semus zlekceważył jego wątpliwość. – Żołnierze myślą, oni nie.

– Moim zdaniem strzelaliście na oślep. – Inspektor uśmiechnął się nieznacznie.

– Kryli się w dżungli – odparł Daiki.

– Tak, dżungla. Ona ma tłumaczyć waszą nieefektywność? – parsknął. – Zabiliście dwóch, tak?

– Zgadza się – odparł Chapman, wypuszczając z ust chmurę dymu. – Pańskie obawy o kompetencje moich ludzi są bezzasadne.

– Doprawdy? – Inspektor uniósł brew. – Dwóch żołnierzy za dwóch mutantów, to raczej kiepski bilans. Moim zdaniem efektywność jest poniżej oczekiwań, ale może się mylę. – Postukał palcem w brodę. – Domysły są dobre dla demagogów, ja wolę fakty. Czy mógłbym zobaczyć któryś z waszych nautilusów?

Sierżant kiwnął głową i dał znak Daikiemu, by oddał inspektorowi broń. Gdy tylko nautilus zmienił właściciela, dłoń w rękawiczce przebiegła po jego korpusie. wywołując zbiór informacji na bocznym wyświetlaczu.

– Osiemdziesiąt cztery pociski na dwa trupy – westchnął inspektor. – Poprawka. Jednego z nich rozstrzelał wasz umierający towarzysz. Zatem osiemdziesiąt cztery na jednego. Kiepska efektywność.

– Skanery milczały. – Wzruszył ramionami Daiki. – Dlatego…

– Dlatego żołnierze Federacji tracą swój instynkt i zdają się na przyrządy wspomagające? – Inspektor pokręcił

głową, kiedy Daiki wyciągał dłoń po karabin. – Poprawmy zatem statystykę.

Chapman nigdy nie miał okazji zobaczyć, do czego są zdolni inspektorzy czystości. Ten był wyjątkowo szybki. Dwa strzały rozerwały szyję Daikiego. Semus nie zdążył wypuścić papierosa, gdy jego głowa rozbryznęła się na kawałki. Dwayne też zareagował zbyt wolno. Przy inspektorze był jak ospała mucha, która nie miała szans uciec przez zwinnym drapieżnikiem. Jeden pocisk trafił go w dłoń. Drugi rozerwał kolano. Sierżant padł na posadzkę, słysząc jedynie swój własny krzyk.

– Ból mija – rzekł inspektor, odrzucając karabin. – Chciałem podzielić się z panem pewną refleksją, a nienawidzę rozmawiać przy świadkach. – Przysunął sobie puste krzesło. – Ten terraformer musi działać, a urządzenie, po które przybyliśmy – obrócił w palcach układ pamięci – nadal jest tu potrzebne. Kłamałem sierżancie. Nie chciałem stąd niczego zabierać, choć pewnie podejrzewał mnie pan o to. Chcę, żeby to miejsce istniało. Powinno trwać z dala od ciekawskich oczu ludzi podobnych do mnie. Ma istnieć pomimo, że Federacja nie będzie o nim wiedzieć. Widzi pan, sierżancie… szkopuł w tym, że na świecie zbyt dużo jest szpiegów, którzy nigdy nie powinni dowiedzieć się, co tutaj mamy. Raport musi brzmieć jednoznacznie. Odlecieliśmy, zabierając wszystko co mieliśmy zabrać, z poziomu orbity udało nam się wyłączyć terraformery, a całą planetę spisaliśmy na straty.

– Nie uda ci się tego ukryć – wysyczał Dwayne, zaciskając zęby z bólu. – Zdechniesz, pieprzony zdrajco!

– Zdrajco? – zaśmiał się inspektor. – Wy, żołnierze, macie niebywale wąskie pole widzenia. Myślałem, że pan, nie zawsze postępujący zgodnie z bezmyślnymi rozkazami, doceni mój geniusz. Zapewniam, że gdyby wiedział pan tyle co ja, nie nazwałby mnie w podobny sposób. Jeśli postrzegamy świat w odcieniach czerni i bieli, to ja jestem tym dobrym. – Wstał i wstukał coś na panelu. – Bardzo dobrze. Program już działa. Kiedy tylko sygnał wyłączenia terraformera dotrze do urządzeń, one nie zaprzestaną swojej pracy, a co najlepsze odeślą komunikat „wszystkie systemy wyłączone”. – Niemal klasnął w dłonie z zadowolenia. – Piękne i proste zarazem.

– Nie uda ci się – powtórzył Chapman, wolno sunąc palcami w kierunku kabury na udzie. – Satelity, sondy gwiezdne i teleskopy międzygalaktyczne zauważą, że życie na tej planecie nadal istnieje.

– Myślicie sierżancie, że ktoś nadal będzie interesował się tym miejscem?

– Istnieją ludzie równie wścibscy jak ty, draniu!

– Masz rację. – Zmrużył oczy, wyciągnął swój pistolet i strzelił prosto w dłoń, która niemal dotarła do kabury. – Są ludzie, którzy widzą wiele, a chcą widzieć jeszcze więcej.

Przeszedł obok żołnierza, nie kłopocząc się jego krzykiem. Odkopnął nautilusa, wyjął broń z jego kabury i przyjrzał się jej uważnie.

– Tacy ludzie jak ja potrafią przewidywać kolejne zdarzenia, sierżancie. – Rzucił pistolet w przeciwległy kąt. – Myśli pan, że te anomalie pogodowe to przypadek? Otóż zdradzę panu sekret. Nic, co pan tu widzi, nie jest przypadkowe. Mutanty, o których mówiliście z taką odrazą, zostały wyhodowane z ludzkich tkanek. To żadni naukowcy. Wystarczyło nieco zmienić im kod genetyczny, by stały się tym, czym są teraz. Pański przyjaciel nazwał ich właściwie. To doskonali zabójcy – powiedział i wytarł brudną od krwi rękawiczkę w mundur Chapmana.

– Chmury ochronią tę planetę przed wścibskimi satelitami. Są jak szczelny płaszcz, spod którego nic nie widać. Kwaśny deszcz sprawi, że nikt nie będzie chciał się tu zapuszczać. – Spojrzał na niego kpiąco. – Czy gdyby był pan kosmicznym włóczęgą, chciałby pan spędzić choćby część życia w miejscu takim jak to? – Uśmiechnął się, widząc ból na jego twarzy. – Cieszę się, że się zgadzamy. Moje dzieci są połączeniem ewolucyjnej przewagi człowieka z prostotą i instynktem owadów. Są cudowne, a jednocześnie roślinożerne. – Wrócił na miejsce przy konsolecie. – Tak, sierżancie. Nie muszą jeść mięsa, a przez to mają tu wszystko czego potrzebują, by rozmnażać się i rosnąć w siłę. Jednocześnie zaszczepiłem w nich gen dominacji i polowania. Z miesiąca na miesiąc będą stawać się coraz lepszymi zabójcami. Idealne istoty. – Pokręcił głową, zapewne nie mogą uwierzyć w swój geniusz.

– Nie zapanujesz nad nimi.

– I znów się pan myli, sierżancie! To ja je stworzyłem, ja sprawiłem, że ich kruche ciała wybornie pochłaniają większość promieniowania i fal dźwiękowych, przez co są niewykrywalne dla ludzkich urządzeń, ja sprawiłem, że atakują szybko i bezlitośnie, wreszcie to dzięki mnie potrafią się regenerować. – Spojrzał na Dwayne'a, a w oczach zalśniły mu iskry fantazji. – Czy zdaje sobie pan sprawę, że te, które rozstrzelaliście, już niebawem podniosą się i będą żyć dalej? Tak, tak, proces regeneracji przebiega u nich niezwykle szybko.

– Bawisz się w boga, gnoju, a do tej pory nikomu nie wyszło to na dobre!

– Nie jestem jednym z wielu, panie Chapman. Te istoty uważają mnie za swojego ojca. Czy też raczej króla, samca alfa. Każda z nich powstała na bazie mojego DNA. Czyż to nie piękne? – uśmiechnął się, odsłaniając lśniące zęby.

Teraz, kiedy stał skąpany w świetle holograficznych ekranów, wyglądał doprawdy upiornie.

– Jesteś szalony. – Dwayne przemógł ból i przekręcił się na bok.

– Myli się pan. Nie jestem wizjonerem, szalonym geniuszem ani wariatem wiedzionym impresją czy poczuciem chwili. Te istoty to projekt wykonany przez setki naukowców.

– Których zabiłeś.

– Cóż… Budowanie lepszego jutra wymaga poświęceń. Ani pan, ani żaden z nich nie wiedział nic o wrogach

Federacji. Nie wiedział, że każdego dnia ci, którzy stoją w cieniu zbroją się i …

– A ty tworzysz swoją prywatną armię, z którą ruszysz na krucjatę i będziesz podbijać nowe światy.

– Właśnie o tym mówiłem. Jest pan niebywale prostolinijnym człowiekiem, panie Chapman. – Schylił się do niego i poklepał umazany krwią policzek. – Nie zrozumie pan idei, która mi przyświeca. Wrogowie to nie zawsze ci, którzy są daleko. Często znajdują się znacznie bliżej. Czasem są tuż, tuż, na wyciagnięcie ręki. Czasem może to być jeden z twoich braci, którego uważasz za sojusznika.

– Po co mi to wszystko mówisz?

– Panie Chapman! – cmoknął inspektor. – Czy nie widzi pan geniuszu, który wyziera z każdego zakamarka mego planu?! Wybitni architekci to niezwykle próżni ludzie. Pragną poklasku, by ktoś doceniał ich dzieła, dostrzegł w nich błysk ideału, a przy okazji pochwalił niebywałą wizję. Jak sam pan rozumie, nie miałem nikogo, kto mógłby zachwycić się moim tworem. Wybrałem więc pana.

– To chore!

– Niestety, ale znów jest pan w błędzie. To broń, której nie spodziewają się wrogowie Federacji. To broń, która może czekać w ukryciu i z każdym dniem staje się lepsza, jak madiańskie wino – westchnął spokojnie i pokiwał głową. – Pewnie zastanawia się pan, czemu was tu przywiodłem. Zdążył pan już zrozumieć, że nie potrzebowałem żadnej eskorty, gdyż moje dzieci traktują mnie jak ojca. Żadnemu z nich nie przyszłoby do głowy spróbować mnie skrzywdzić.

Każde z radością oddałoby za mnie życie. – Postukał się w brodę. – Myśli pan teraz, po co ten szalony inspektor zabrał nas ze sobą? Odpowiedź jest prosta, jednak boi się pan do niej przyznać. Tak, to prawda. Musiałem upewnić się, że te istoty są zabójcze. Potrzebowałem dowodów albo raczej godnych przeciwników, którzy staną naprzeciw nich. – Zmarszczył czoło, przyglądając się masce bólu, która kryła prawdziwe emocje sierżanta. – Powinien się pan czuć zaszczycony. Mogłem wybrać kogokolwiek, ale słyszałem, że pański oddział jest jednym z najlepszych.

– Był – poprawił go Dwayne, czując, że z minuty na minutę słabnie.

– Ma pan rację – Inspektor uniósł broń. – Był, ale może pan umrzeć, wiedząc że spisaliście się tak, jak oczekiwałem.

– Będą nas szukać. – Nie próbował już nawet grać na czas. Wiedział, że jest po wszystkim, mimo to chciał choć raz zobaczyć w oczach inspektora ludzkie uczucie, chciał zobaczyć jak w jego sercu rodzi się niepewność. – Nie wytłumaczysz się, dlaczego na odludnej planecie zniknął cały odział. Pięciu doświadczonych żołnierzy. Może nikt nie postawi cię przed sądem polowym, jednak smród pozostanie.

– Panie Chapman, panie Chapman! – Inspektor pokręcił głową z dezaprobatą. – Czy sądzi pan, że byłbym w stanie przygotować całe to przedsięwzięcie, sfinansować je z budżetu Federacji, ukryć przed szpiegami moich wrogów, ale potknąć się na kimś takim jak pan? – Znów uśmiechnął

się kpiąco. – W żadnym razie. Pamięta pan, co powiedziałem na płycie lądowiska?

– Że to tajna misja.

– I…? – ponaglił go ruchem dłoni.

– Mieliśmy wyłączyć komunikatory z częstotliwości ogólnej, by nie dało się nas namierzyć.

– Zgadza się. Kiedy spotkaliśmy się na obrzeżu dżungli, było już po wszystkim.

– Po wszystkim? – Chapman czuł, że zaraz straci przytomność. Kiedy spojrzał na kałużę krwi, zrobiło się mu niedobrze.

– Dowódca na orbicie wie, że podejrzewam was o działania sabotażowe. Wiedział o tym już od tygodnia, jednak dla dobra śledztwa chciałem, by o niczym nie wspominał. Wie, że możecie należeć do większej grupy wichrzycieli.

– Przecież to nonsens!

– Czyżby? – Inspektor poruszył wolno głową i rozmasował zmęczony kark. – Zniknęliście bez słowa. Bez żadnych ustaleń z przełożonymi. Nie ma z wami kontaktu, a co najgorsze, zrobiliście to zaraz po tym jak wspomniałem o konieczności zgłoszenia się do moich kwater celem odbycia niezobowiązującej rozmowy.

– O niczym pan nie wspominał!

– Doprawdy, panie Chapman. Istnieją dwie wersje. Jedną zna pan, drugą dowództwo.

– To tylko pomówienia – warknął, tracąc ostrość widzenia.

– Ależ nie. – Przysunął się do niego bliżej. – Proszę posłuchać, teraz zaczyna się najlepsze. – Otarł kąciki ust. – Wasze działania sabotażowe przyniosą skutek. W czasie gdy my ucinamy sobie teraz pogawędkę, jeden z promów zmienia się w ognistą kulę na skutek podłożonych przez was ładunków wybuchowych. Pamięta pan sprzęt naukowy? Płyta lądowiska? Tam gdzie siedzieli pańscy ludzie? Jeśli nie, to proszę się nie kłopotać. Inni o nim pamiętają. – Zaśmiał się szczerze, gdy zobaczył złość i zaskoczenie pojawiające się na twarzy Chapmana. – Widzieli was przy sprzęcie. Okazało się, że jest pełen ładunków wybuchowych. Eksplozja nastąpiła prawdopodobnie zbyt szybko. Jak mniemam, chcieliście wysadzić cały krążownik, a nie tylko jeden transporter. Cóż. Kiedy zobaczyliście, że was ścigam, zadowoliliście się małą zdobyczą.

– Jesteś potworem!

– Nieprawda i dobrze pan o tym wie. Czasem trzeba poddać kilka pionków, by odwrócić uwagę przeciwnika od znacznie ważniejszych figur. Wróćmy jednak do sedna, bo opowieść, którą pozna dowództwo jest doprawdy wyborna. Zatem, kiedy tylko zrozumiałem, że uciekliście, rzuciłem się za wami w pościg. Nie było czasu, by wzywać posiłki. Podejrzewałem, że gdzieś tu mogą się czaić wasi sprzymierzeńcy. Większa grupa wichrzycieli, pamięta pan? – Mrugnął porozumiewawczo. – Chciałem dopaść was wszystkich, a niepotrzebne wsparcie mogłoby tylko popsuć mój kamuflaż. A ja chciałem dojść, jak to mawiają… – postukał się lufą własnego pistoletu laserowego w czip

czołowy – ….po nitce do kłębka. Nie udało mi się uratować tych biednych ludzi, których wysadziliście, gdy zmierzali na orbitę. Nie udało mi się również pojmać was żywych. Wywiązała się gwałtowna wymiana ognia. Zginęliście, a ja przejąłem wasz ślizgacz, który czekał ukryty w dżungli.

– Jaki ślizgacz? – wyszeptał słabym głosem.

– Gwiezdny ślizgacz, którym mieliście zamiar uciec z planety po udanym zamachu. Czy zapomniałem wcześniej o nim wspomnieć?

– Najwyraźniej. – Chapman czuł, jak powieki ciążą mu coraz bardziej.

– A zatem. – Inspektor westchnął, wstając z miejsca. – Historia jest kompletna, geniusz objawiony, a pan… martwy.

To powiedziawszy, pociągnął za spust. Wiązka lasera przebiła się przez głowę sierżanta, gasząc tlącą się w jej wnętrzu resztkę życia.

Inspektor uśmiechnął się, lecz jednocześnie zmrużył oczy, przyglądając się sylwetce sierżanta – coś wzbudziło jego niepokój – ranna dłoń schowana pod ciało. Podszedł bliżej i kopnął zwłoki. Granat. Odbezpieczony. Jeden oddech. Detal. Jeden. Szczegóły zawsze potrafiły przesądzić o perfekcji całości. Czy jego idealny plan miał zostać zniszczony przez jedno małe niedopatrzenie?

Nigdy nie poznał odpowiedzi na to pytanie. Eksplozja rozerwała go szybciej, niż myśl zdążyła dotrzeć do świadomości.

* * *

– Tu k*ondor jeden. Orbitalne gniazdo,* jak mnie słyszysz?

– Tu *orbitalne gniazdo*, słyszę cię świetnie.

– Odnotowaliśmy stratę jednego transportera. Wewnętrzna eksplozja. Ponadto na powierzchni planety w okolicy głównego terraformera pojawiła się anomalia, duże rozładowanie energetyczne.

Chwila ciszy.

– Wstrzymuję ewakuację sił stabilizacyjnych, *kondor jeden*, powtarzam, wstrzymuję ewakuację. Nim opuścimy tę planetę, trzeba to sprawdzić. Czy potrzebujesz wsparcia?

– Nie, orbitalne gniazdo, mam dość ludzi i sprzętu, by przeczesać teren.

– Przyjąłem, *kondor jeden*. Czekamy na raport gdy znajdziesz się na pozycji. Melduj o postępach…

Paweł Imperowicz

Rocznik ’84. Fan fantastyki i literatury pochodnej od kiedy czytanie było czymś więcej niż tylko smutnym obowiązkiem związanym z lekturami szkolnymi. Zapalony RPGowiec i miłośnik gier bitewnych, które złośliwcy nazywają „żołnierzykami”. Gra we wszystko i na wszystkim, kiedy tylko może, kiedy ma czas, kiedy nie pisze. Z wykształcenia i wyboru entuzjasta filozofii i logicznego myślenia, z zawodu administrator zasobu ludzkiego. Wielbiciel wszystkiego co żyje, jak i samego życia, w jego niezwykłej, zaskakującej formie. Personel dla jednego kota i dwóch królików. Niektórzy mawiają, że jest niepoprawnym adoratorem pierogów. Zodiakalny rak, choć na co dzień zachowuje się jak zwyczajna sowa, która bez kilku kaw nie jest w stanie otworzyć oczu. Nocami tańczy na klawiaturze, zmieniając wybujałe fantazje na kilobajty tekstu.

http://geniuscreations.pl/autorzy/pawel-imperowicz/

Patronat medialny

GameExe jest jednym największych portali fantastycznych w Polsce, tworzonym przez fanów i dla fanów. Każdego dnia publikujemy nowości i grach, filmach, książkach, a także zamieszczamy ich recenzje. Na naszej stronie czekają Was też atrakcyjne konkursy z nagrodami przez cały rok. Dołącz do nas!

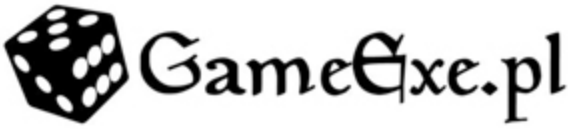

Czarny Roman – Marcin Jamiołkowski

Jestem uwięziony.

Kiedyś żyłem z łamania prawa, pieniądze płynęły szerokim strumieniem, przychodziły, odchodziły i wracały pomnożone. Rolki z forsą. Rulony. Bałem się tylko dwóch rzeczy – aresztowania i utraty tego wszystkiego. A kiedy to nastąpiło, nawet nic nie zauważyłem. Może przez chwilę. Mój szmal zniknął, a ja zostałem zamknięty. Zamknięty we własnej głowie.

Być może szaleństwo skradało się ku mnie wcześniej małymi krokami, wsączało się do umysłu, kiedy słuchałem niekończącego się szelestu banknotów, wpychało się w podświadomość, gdy liczyłem złotówki i dolary. Kotwiczyło się w mózgu jak tasiemiec, ale ostrożnie, finezyjnie, bym nic nie spostrzegł. Koledzy cinkciarze pewnie kiedyś mówili, że przeginam, żebym na siebie uważał. Ale kto by słuchał takiego pieprzenia, kiedy leje się zimna wódka i przytulają się chętne dziewczyny?

– Mam pełny piter i złoty sikor – odpowiadałem im bełkotliwie. – Nic więcej nie chcę i niczego nie żałuję. *Żeneregreterję!* – dodawałem „po francusku” ze śmiechem, kiedy głośno protestowali.

A kiedy szaleństwo rozpostarło czarne skrzydła i owinęło mnie szczelnie, było już za późno. Zostałem okradziony, straciłem wszystko i w jednej chwili – pstryk! Nie było mnie.

Był On.

Nawet nie pamiętam, jak się wcześniej nazywałem. Zepchnął mnie w głąb siebie, zamknął, zamurował i ubezwłasnowolnił. Pozostało mi jedynie obserwowanie. On nawet nie zdaje sobie sprawy z mojego istnienia, nie wie, że patrzymy razem, że wspólnie czujemy. On w ogóle mało rozumie z otaczającego nas świata.

Ale teraz to On rządzi.

Za każdym razem kiedy zaczynamy nowy dzień, budząc się w norze, którą on nazywa w myślach swoim domem, rozpaczam nad wszystkim, co utraciłem.

A kiedy staje w łazience przed lustrem i zdarzy mu się spojrzeć na swoje odbicie, chcę zamknąć oczy i krzyczeć.

Ale nie mogę.

Niegdyś golił się gładko, dokładnie, teraz zaprzestał zupełnie tego rytuału, tak jakby coraz bardziej puszczały więzi łączące go z dawnym życiem, moim życiem. Zapuścił paskudną brodę, zaniedbany siwo-czarny wiecheć. Przestał się czesać.

Jeszcze niedawno ubierał nas w czarny garnitur, zakładał skórzane rękawiczki i kapelusz w tym samym kolorze, dodający nam odrobinę szyku. Mijani na ulicach ludzie mogli odnieść wrażenie, że spotykają osobę starszą,

nieco tylko zaniedbaną, ale ciągle starającą się trzymać fason.

Sprawdzało się, dopóki nie zaczynał mówić.

Nie zauważyłem, kiedy porzucił ten styl. Czasami, ostatnio coraz częściej, zapadałem w dziwną pustkę, niebyt, tak jakby On spychał mnie w nieistnienie. Nie wiem czy robił to świadomie, chyba jednak nie, byłem dla niego niewiele znaczącym brzęczeniem w głowie. Coraz mniej słyszalnym, ledwo dającym się zauważyć. A może po prostu to ja sam, mający coraz mniej wspólnego z rzeczywistością, rozpływałem się, roztapiałem. Znikałem.

On przestał się ubierać w garnitur. Teraz nosił na głowie coś, co od biedy można było nazwać kapeluszem, bardziej przypominało wojskowy hełm czy czapkę Rumcajsa. Przynajmniej był czarny. Nie wiem, skąd brał ciuchy. W ubiegłym roku, w lecie, chodził ubrany w różowe ogrodniczki. I różowy kapelusz, z szerokim rondem. Kapelusz był jego symbolem.

Czasem, idąc po Warszawie, zatrzymywał się przy przypadkowo napotkanej osobie. Czasem sam był zaczepiany. Wygłaszał wtedy bezsensowne tyrady, puste, ociekające przekleństwami przemówienia, które rozmówcy przyjmowali ze śmiechem, niekiedy z wyraźną obawą.

Nikt nie lubi wariatów.

Różnie go nazywali, ale ja sam nie pamiętam już swojego imienia. Może Jan, może Wiesław. On mawiał o sobie „Nieśmiertelny”.

Czasem zachodziliśmy do kawiarni i siadaliśmy przy stoliku, gapiąc się w witrynę i na ludzi przechodzących za oknem.

Czasem szliśmy na długi spacer.

Kiedyś, w upalny dzień, On ułożył się na wznak na chodniku i grzał w promieniach słońca, nie niepokojony przez nikogo. Nawet patrole straży miejskiej nie zwracały na nas uwagi. Staliśmy się elementem miasta, częścią jego folkloru. Miejską legendą. Patrzyli na nas, wytykali palcami, śmiali się.

Kiedy tak leżał, słuchałem jego myśli. Przypominały kłąb niespójnych obrazów, fragmentów jeszcze mojego życia, które sam ledwo pamiętałem, zmieszanych z wyczytanymi w gazetach wydarzeniami. Wszystko łączyło się w bezkształtną pulpę informacji, zbitą masę słów, które wyłaziły z Niego podczas przypadkowej rozmowy. Czasem wieszczył śmierć wszystkim przechodniom. Ale niekiedy mówił z sensem, wspominał o zdrowym odżywianiu albo częstował orzechami. Nie wiem, skąd brał to wszystko. Ostatnio zasypiam na zbyt długo.

Tak jak wtedy, na tym rozgrzanym chodniku.

Kiedy się zbudziłem, była wiosna.

On zwykle nie oddalał się od Śródmieścia. Najczęściej trzymał się Marszałkowskiej, Alei Jerozolimskich, często chadzał Nowym Światem na Stare Miasto.

Tym razem z trudem zorientowałem się, gdzie jesteśmy. To na pewno był park. Ale nie Ogród Saski, do którego czasem zaglądaliśmy. Nie tym razem. Dopiero gdy

wynurzyliśmy się spomiędzy drzew i gdy ujrzałem pomnik Chopina, zasłuchanego w szum wierzby, zrozumiałem, że byliśmy w Łazienkach Królewskich.

Było pięknie, zielono. Poczułem, jak On bierze głęboki oddech i przez chwilę także ja cieszyłem się tym oddechem. Zbliżał się wieczór.

Tuż obok usłyszałem przeciągły, długi, trąbiący krzyk, który poniósł się w głąb parku. Uklękliśmy.

Przed nami stał paw. Długi, złożony ogon rozciągał się za nim jak tren za panną młodą. Spoglądał w naszą stronę, wyciągając błękitną szyję, czub na głowie drgał przy każdym poruszeniu, a grzbiet połyskiwał szmaragdowo w promieniach zachodzącego słońca.

– Po co mnie tu sprowadziłeś? – dobiegł mnie Jego głos. Mój głos. Mam wrażenie, że zmienił się przez lata, niegdyś nie był tak chropawy i niski, tak nieprzyjemny.

Paw przekręcił głowę, obserwując nas czujnie jednym okiem. Otworzył dziób i znowu wydał z siebie przenikliwy okrzyk, od którego odruchowo wciągnęliśmy głowę w ramiona.

On roześmiał się.

– Jesteśmy nieśmiertelni – powiedział. – Nic nam się nie stanie.

Ptak zrobił dwa kroki i łypnął paciorkowatymi oczami. Otworzył i bezgłośnie zamknął na powrót dziób.

Miałem wrażenie, że rozmawiają. Że porozumiewają się w sposób, który mi umyka. Znowu poczułem Jego myśli i zalał mnie potok obrazów. Zobaczyłem krew i szkło, miecz,

dzwon i monokl, zobaczyłem ludzi o pokiereszowanych twarzach i ogień trawiący miasto.

– Niepotrzebna nam magia, by żyć – usłyszałem.

Paw z szumem rozłożył ogon. Był tak blisko, że poczuliśmy delikatny podmuch na twarzy. Kolorowy wachlarz uniósł się do pionu i nastroszył.

Ptak krzyknął znowu.

Opuściliśmy głowę na trawę.

– Skoro ona tak każe – powiedział On.

Paw poruszył się i odwrócił. Odszedł z dumnie podniesioną głową, nie zaszczycając nas nawet spojrzeniem. Na trawie pozostało długie pióro z pięknym granatowym okiem.

Chwyciliśmy je i schowaliśmy do wewnętrznej kieszeni marynarki. Zauważyłem, że dziś ubrał nas znowu na czarno. W prążkowany garnitur.

Potem On odwrócił się i wszystko zgasło.

Ocknąłem się na ławce, na Chmielnej. Było bardzo wcześnie, noc już niemal ustąpiła porankowi. Obok nas siedział młody, najwyżej trzydziestoletni mężczyzna o ciemnych włosach i zmęczonym spojrzeniu. Na jego czole i policzku zobaczyłem drobne skaleczenia. Miał posiniaczoną twarz, a jedno ucho było wyraźnie napuchnięte.

– Masz. Zjedz ze mną – powiedział On.

Wyciągnął w stronę mężczyzny reklamówkę. We wzroku nieznajomego pojawiła się nieufność.

– To maca – dodał On uspokajająco. – Zdrowa.

Mężczyzna wyjął kawałek placka z reklamówki i wsunął go do ust.

– Czujesz tę noc? – usłyszałem.

Sam już nie wiem, kto wypowiedział te słowa.

Ale na mnie ta noc działa. Coś przepływa przez miasto i rozpełza się po nim, rozpływa po jego tkance i wsącza w każdy zakątek. Coś, co sprawia, że powoli zanikam. Jego głowę znowu zalewają chaotyczne obrazy i mam ochotę odpłynąć, usnąć. Nie mogę już tak dłużej. Nie chcę być tylko widzem, chcę coś zrobić, poruszyć ręką, przecież to moja ręka! Moja, nie jego! Denerwuję się, jednocześnie staję się coraz spokojniejszy. Wydaje mi się, że jeśli zasnę, to już nigdy więcej się nie obudzę, nie spojrzę na świat. Odejdę na zawsze.

Chcę krzyknąć!

Ale On mnie nie słyszy, sięga za pazuchę i wydobywa pawie pióro, które otrzymaliśmy w Łazienkach. Wręcza je nieznajomemu.

– Jego właściciel też jest nieśmiertelny – oznajmia.

Dodaje coś jeszcze, ale znowu gubię się w odmętach Jego wizji. Coś każe mi współczuć temu mężczyźnie, wiem, że spadnie na niego coś, czego się nie spodziewa.

Widzę kobietę o zielonych oczach i chłopaka w okularach.

Widzę piegowatego rudzielca.

Widzę ogień.

Chciałbym znowu zasnąć.

Niedaleko nas zatrzymuje się kilkoro młodych ludzi. Dwóch chłopaków i dziewczyna. Śmieją się i krzyczą coś w naszą stronę.

– Śmiej się, śmiej, aniołeczku – mówi On do dziewczyny. – Śmiej się, bo umrzesz dokładnie za dwa lata, o czternastej.

Może to sprawia Jego chrapliwy głos, być może szalone spojrzenie, ale uśmiech dziewczyny znika, a jej ładną twarz wykrzywia strach. Jakby to sama noc ścisnęła jej gardło szponami przerażenia.

On ogląda się.

* * *

Mężczyzny już nie ma.

On mruga i w tej krótkiej chwili wiem, że z nas dwóch tylko On jeszcze zobaczy następny poranek. Między opuszczeniem a podniesieniem naszych powiek czas spowalnia i prawie się zatrzymuje. Nie dla nas. Dla mnie. Nasze oczy otwierają się, ale niczego już nie widzę. Źrenice kurczą się pod wpływem światła z okolicznych witryn, ale to już nie są nasze źrenice, tylko Jego. Tuż przed zaśnięciem czuję ostatni podmuch powietrza na nie swojej brodzie.

Wydaje mi się, że z oddali dobiega krzyk pawia.

Joachim – Marcin Jamiołkowski

Joachim nie był nikim ważnym. Na dobrą sprawę po prostu był nikim.

Wiódł bezbarwne i puste życie – problemy omijały go z daleka, a szczęście trzymało się w bezpiecznej odległości.

Kiedyś, podczas kąpieli, Joachim zastanowił się, co wypłynęłoby z niego, gdyby otworzył sobie żyły. Och, oczywiście wiedział, że krew, ale miał dziwne przeczucie, że nie tylko. Naturalnie Joachim był niespełna rozumu. Kiedyś podobna myśl pewnie by go przeraziła – ostre narzędzie, okaleczenie się, ból – okropność! Ale tym razem nie poczuł zwykłego wstrętu czy obrzydzenia, bardziej ciekawość.

Tego dnia nic z tym nie zrobił.

Jednak pomysł zagnieździł się w głowie Joachima, zapuścił korzenie i przypominał o sobie regularnie, podczas kolejnych kąpieli.

Siódmego dnia Joachim podjął decyzję.

Sposób w jaki tego dokonał nie był istotny, ważne było, że nie zawiodło go przeczucie i wraz z krwią, której obecność traktował jako efekt uboczny eksperymentu, wypłynęły wspomnienia. Wysączyły się z niego powoli, wlały do wanny i otoczyły szczelnym kokonem.

Najpierw zaczęły go mrowić palce u nóg. Poczuł nimi nagrzany piasek plaż Turcji i Egiptu, ale też i grubsze ziarenka znad rodzimego Bałtyku. Zanim zdążył się nacieszyć tym wspomnieniem, na łydce poczuł zęby psa, który ugryzł go przed dwudziestoma laty. Podkurczył odruchowo nogę, a wtedy w pośladek trafił klaps, ten sam, który dostał od swojej ukochanej, zanim odeszła. Mówiła, że ma fajny tyłek. Wspomnienie, które sięgnęło podbrzusza, sprawiło, że Joachim zawstydził się pruderyjnie. Ale potem coś wymierzyło mu cios, trochę pod pępkiem. Rozpoznał to przewlekłe kłucie – zapalenie wyrostka sprzed trzech lat. A potem poczuł astmatyczną duszność w piersi. Nogi znowu biegły przez pobliskie pola, kiedy jeszcze dbał o zdrowie. Zacisnął dłoń na starym dłucie, którym usiłował kiedyś rzeźbić w kawałku drewna. Dłuto zmieniło się w glinę, którą dawno temu ugniatał na zajęciach plastyki. Pod nos podpłynął zapach pierogów.

Wsłuchany we wspomnienia Joachim siedział tam tak długo, póki nie umarł.

Ale nie wiedział o tym, bo rozpuścił się w wodzie.

Właściwie to żył jeszcze w wannie pełnej wspomnień, nawet kiedy jego ciało zostało z niej wydobyte, zapakowane w czarny worek i wywiezione do kostnicy.

Aż na koniec ktoś wyjął korek i świadomość Joachima rozproszyła się w ściekach. Płynąc rurami, Joachim zdążył się zastanowić, czy jego jaźń stopi się w jedność z miejską oczyszczalnią.

Oczywiście tak się nie stało.

Mohernet – Marcin Jamiołkowski

Pułkownik Stanisław Kalina czekał.

Krzesło było twarde i niewygodne, a tępy ból w krzyżu i kolanach przypominał o niedawno zdiagnozowanym reumatyzmie. Stojąca na biurku popielniczka sugerowała, że można palić, sięgnął więc do kieszeni po paczkę.

Zdążył wypalić dwa papierosy zanim drzwi do gabinetu otworzyły się i w drzwiach stanął generał Jedlik.

– Jesteś w końcu – warknął Kalina. – Dupa mi zdrętwiała od siedzenia, a nieczęsto się to zdarza.

– Wiadomo, hartowana w najgorszym ogniu. – Po Jedliku nie widać było nawet śladu współczucia. Obszedł biurko i zasiadł w swoim fotelu: dużym, skórzanym i miękkim, jak ocenił pułkownik.

– Mógłbyś chociaż zasalutować. – Jedlik otworzył szufladę i również wyjął papierosy.

– Nie przyszedłem lizać ci butów. Czekam chyba z pół godziny, gdybym wiedział, że się spóźnisz...

– Sprawy służbowe – powiedział generał i zaciągnął się z lubością, po czym wypuścił dym w stronę sufitu. – No co tam, Stasiek? Tylko streszczaj się, czasu nie mam.

– Potrzebuję pożyczyć od ciebie agentkę.

– Uuuuu! – Jedlik wydął usta – No wiesz, da się załatwić. Jakieś szczególne wymagania?

– Ma być sprawna. I najlepiej z jedynką.

Jedlik parsknął rozbawiony.

– Gdzie ty sprawną jedynkę znajdziesz, Stasiu?

– Nie pierdol mi tu, Andrzej, wiem, że takie macie. To ważne, nie zawracałbym ci dupy, jakbym nie miał pewności.

Jedlik westchnął.

– Lata w wywiadzie uczą ostrożności – mruknął, otwierając laptopa. Postukał chwilę w klawiaturę i odwrócił komputer w stronę gościa.

– Mamy obecnie trzy aktywne jedynki. – Na ekranie ukazały się zdjęcia trzech kobiet w wieku około siedemdziesięciu lat. – To królowe Kier, Karo i Trefl. Królowa Pik przeszła ostatnio na emeryturę, jeśli wiesz, co mam na myśli.

Kalina wiedział. W żargonie agencji „emerytura” oznaczała przedłużający się w nieskończoność pobyt na cmentarzu.

Przypatrzył się kobietom. Wszystkie powoli zbliżały się emerytury. Tej agencyjnej, bo sądząc po wieku, świadczenia od państwa pobierały już od dobrych dziesięciu lat.

– Stare pudła – powiedział cicho, ale generał i tak dosłyszał.

– Nam też niewiele brakuje – rzucił krótko. – Którą chcesz?

– Bo ja wiem? Ty mi poleć.

Generał wybrał zdjęcie z lewej.

– Królowa Kier, Zenobia Zbych, lat dziewięćdziesiąt, czarny pas w ubiegłorocznych mistrzostwach „Kontra Renta”, gdzie rozniosła w pył siedemnastu lekarzy-orzeczników. Jej znak rozpoznawczy to wydrążona drewniana laska zakończona ostrym bolcem. Niezwykle sprytna, w firmie mawiają, że to nie ona będzie miała problem z demencją, tylko demencja z nią. Niestety od kilku lat zbyt nerwowa, a często wręcz agresywna. Mamy trochę materiałów z akcji, w której brutalnie przegania dziennikarza podczas jakiegoś wiecu. Wszystko utajnione, to ci nie pokażę.

Kalina skrzywił się.

– Eeee, i tak nie chcę takiego zakapiora. Potrzebuję kogoś do wtopienia się w tłum, a nie „krejzolki”, która będzie świrować na lewo i prawo.

Jedlik pokiwał głową ze zrozumieniem, kliknął w środkowe zdjęcie i wyświetlił inne akta. Zaczął streszczać:

– Królowa Karo, Janina Kowalska, siedemdziesiąt trzy lata. Emerytka i rencistka, pierwsza grupa inwalidzka orzeczona osiem lat temu i niemożliwa do podważenia, choć lekarze na zusowskich komisjach stawali na głowach, żeby się dopieprzyć. Zawsze ma w rękawie potrzebne zaświadczenie, wygrała niejedno odwołanie. Utalentowana symulantka, wyszkolona hipochondryczka, bezwzględna w sytuacjach skrajnych. Chcesz zobaczyć wideo?

– Pewnie. To jakieś nagranie operacyjne?

– Tak, patrz.

Film, nagrywany ukrytą kamerą, ukazywał Kowalską na przystanku tramwajowym. Ubrana była w długą, plisowaną spódnicę w paski i puchową kurtkę spod której wystawał szary, wełniany sweter. W ręku ściskała kulę ortopedyczną, na której lekko się opierała. Ciemnozielony beret na głowie trzymał się jak przyklejony, kiedy kobieta rozglądała się na boki. Otaczał ją spory tłum spieszących do pracy ludzi. Tramwaj stojący na przystanku ruszył powoli i ustąpił miejsca drugiemu, właśnie nadjeżdżającemu. Oczekujący zaczęli się przemieszczać nerwowo po przystanku, poszukując najlepszego miejsca, ale agentka Karo zrobiła jedynie niewielki krok w bok i stanęła wyczekująco.

Drzwi zatrzymały się dokładnie przed jej nosem.

– Widziałeś? – wtrącił Jedlik – Za chwilę miały się zmienić światła, nie było do końca pewne czy poprzedni tramwaj zdąży odjechać, czy zostanie, a to mogło kosztować ją bieg do drugiego. Ale nie. Bestia była w stanie wszystko skalkulować: wymierzyć odległość, obliczyć czas i ustawić się w najlepszej pozycji. Patrz teraz.

Ktoś z przechodzących zasłonił na moment obiektyw kamery, a kiedy znowu było widać co się dzieje, Kalina pokiwał z uznaniem głową. Nikt nie zdążył jeszcze wysiąść z tramwaju, a Kowalska była już w połowie schodów do środka. Jakiś mężczyzna usiłował ją odepchnąć, ale kula – niby przypadkiem – zaplątała mu się między nogi i facet mało nie wypadł na przystanek. Jeszcze dwa kroki i Królowa Karo przepychała się już w środku pojazdu. Kamerzysta przesunął się w prawo, podążając za agentką.

Przez szyby widać było, jak staruszka szuka wolnego miejsca. Na chwilę Kalina stracił z oczu zielony beret, ale zaraz odnalazł ponownie – Kowalska pochylała się nad siedzącą młodą kobietą. Agentka powiedziała coś głośno. Nie było dźwięku, ale Kalina zauważył konsternację u otaczających ją ludzi. Głupie uśmieszki, niesmak na twarzach. To charakterystyczne odwracanie głowy w rodzaju „nie mieszam się do tego”.

Młoda kobieta wstała z trudem i skierowała się do wyjścia. Kowalska zajęła jej miejsce wyraźnie zadowolona. Na zbliżeniu Kalina ujrzał, jak usta Królowej Karo poruszają się nerwowo, jakby przeżuwała resztki jadu, którym tak hojnie obdarowała swoją ofiarę.

Kamera podążyła za wychodzącą. Kobieta wyszła z tramwaju, przytrzymując się poręczy. Młoda dziewczyna, ocenił Kalina. Może dwadzieścia pięć lat. Po jej twarzy płynęły łzy, ramiona drgały nerwowo. To nie płacz, to szloch! Kamera zrobiła oddalenie i dopiero teraz spostrzegł, że dziewczyna jest w zaawansowanej ciąży.

– I ona ją tak jednym zdaniem….? – zapytał pułkownik.

– No. Bach! – Jedlik klasnął w dłonie. – Niezła, co? Prawdziwa ninja. Bierzesz?

– Biorę!

– Świetnie! – Jedlik zamknął z trzaskiem pokrywę laptopa. – To jeszcze powiedz, po co ci ona.

Kalina westchnął. Oczywiście, operacja była tajna, ale zdawał sobie sprawę, że tutaj obowiązuje handel wymienny.

– Rozpoczynamy inwigilację Mohernetu – przyznał w końcu niechętnie.

– Czego? – Generał zatarł ręce. – To coś nowego? Mów, mów, posłucham z chęcią.

– Jak wiesz, jakiś czas temu ktoś rozpoczął propagandową operację antyrządową. Nie udało się namierzyć sposobu rozchodzenia się wiadomości i przekazywania poleceń do grup zorganizowanych. A regularnie mamy do czynienia z małymi okupacjami. To grupa staruszków stanie tu, to tam, protestują raz przeciwko temu, raz tamtemu. Dopiero miesiąc temu wpadliśmy na to, że ktoś nimi steruje. Zrobiliśmy symulacje, próbowaliśmy zbadać propagację informacji, kierunek rozchodzenia się zmian, tempo... Ktoś zrobił sieć z... moherów. Ktoś puszcza wiadomość – informacja rozłazi się po całym kraju, bez dostępu do radia, mediów, bez Internetu. Często przekaz zostaje zniekształcony, a mimo to zachowuje swój rdzeń, jakby oś przekazu. Tempo propagacji bywa różne, czasem minie kilka dni nim ogarnie cały kraj, czasem trwa to dłużej. Nie mogliśmy się z tym połapać. Aż ostatnio jeden z moich ludzi trafił na dziwną korelację. Chodzi o to, że informacja utyka w okolicach weekendu i dystrybucja zostaje podjęta dopiero od poniedziałku. I to był dobry kierunek. Widzisz... okazało się, że ktoś rozpuszcza informację przez staruszków. Najpierw zaszczepiają wiadomość jednej, podatnej osobie. Następnie wymiana informacji odbywa się w miejscach, które nazywamy “węzłami sieci”. To oddziały ZUS, urzędy

pocztowe, miejsca, w których są kolejki i łatwo o kontakt. Największe węzły to przychodnie i ławki pod gabinetami lekarskimi. Tam przepływ informacji jest największy. Nasi informatycy pracują nad rozszyfrowaniem protokołów komunikacyjnych. Musimy oczyścić sygnał, wyeliminować elementy redundantne i dotrzeć do nadawcy. Potrzebujemy do tego agentki, która wmiesza się w taką sieć, to bardzo ułatwi nam pracę...

– Dobra, przestań już gadać – przerwał mu Jedlik, krzywiąc się. – To jakiś bełkot. Myślałem, że to coś ciekawego, a to te wasze informatyczne bzdury.

– Taka praca – uśmiechnął się kwaśno pułkownik. – To kiedy dostanę tę... Królową Karo?

– Przyślę ją jutro do twojego biura.

Obaj wstali. Kalina wyciągnął rękę.

– Dzięki, Andrzej.

– Jasne. Spadaj, bo za chwilę mam kolejne spotkanie.

* * *

Dwa tygodnie później pułkownik Kalina zwijał się ze słuchawką przy uchu, tłumacząc się telefonicznie Jedlikowi. Minę miał nietęgą.

– Andrzej, przepraszam, nie wiem jak ją zidentyfikowali. Wiem, że jest spalona, ale...

– Spalona?! Spalona, do cholery! – wydzierał się generał – Załatwiliście mi najlepszą agentkę! Ktoś sypnął! Cofnęli jej grupę inwalidzką. Coś na nią znaleźli. I zorientowali się, że emeryturę zaczęła pobierać o cztery

lata za wcześnie! Recepty, które chciała zrealizować w aptece – wszystkie nieważne! Podobno jakiś błąd w numerze PESEL! Dostała tyle wezwań do różnych urzędów, że targnęła się na życie. Wiesz jak się targnęła, Stasiek?! Wiesz jak?! Odkręciła gaz! I co? I gówno, bo już jej zdążyli odłączyć! Rozumiesz?! Nawet kulę jej świsnęli w sklepie, na jakiejś przecenie…

– Rozumiem, ale to nie nasza wina. Mohernet jest zorganizowany lepiej niż przypuszczaliśmy!

– Niech cię szlag, Kalina!

Generał rozłączył się, a Kalina zapalił papierosa. Trudno. Jakoś to się wyprostuje. Agenci czasem są demaskowani i Jedlik na pewno sobie poradzi. Załatwi jej jakiś dom spokojnej starości albo inny przybytek. Należy się za lata służby.

Ale ofiara Królowej Karo opłaciła się. Ustalili najważniejsze. Znaleźli wektor rozchodzenia się informacji.

Wszystkie sygnały miały źródło w Toruniu.

Nowy Rok – Marcin Jamiołkowski

Gdy go spotkaliśmy, był sylwestrowy wieczór. Jechaliśmy na imprezę, oczywiście przebrani, zgodnie z wymogami organizatora. Pewnie dlatego nie zdziwił nas zataczający się przy drodze facet z siwą brodą, ubrany w czerwony, za duży płaszcz ciągnący się po ziemi. Sylwester, rozumiecie? Ale przebranie Mikołaja po świętach? Kiedy każdy ma dosyć grubasa z workiem prezentów? Co za dużo, to niezdrowo, prawda?

A tu nie dość, że facet był idiotycznie przebrany, to bujał się wąskim poboczem, nocą, przy nieoświetlonej drodze i oczywiście bez żadnych odblasków. O mało go nie przejechaliśmy, kiedy zarzuciło go nam pod koła. Odbiłem w lewo, skontrowałem i – ledwie unikając poślizgu – zahamowałem. Spojrzałem na siedzącą obok Marikę i dopiero wtedy dotarło do mnie, że coś krzyczy. Musiałem ją nieźle przestraszyć.

– Zabiłeś go, zabiłeś!

Drżały mi ręce. Włączyłem awaryjne i pokręciłem głową. Marika zawsze miała skłonności do przesady, przecież nawet faceta nie drasnąłem.

– Idź do niego! Sprawdź!

Westchnąłem i wysiadłem z samochodu, omiatając zderzaki ukradkowym spojrzeniem. Spoko. Upadek zawdzięczał tylko temu, że był kompletnie pijany. Ale o tym przekonałem się dopiero kiedy do niego podszedłem.

Siedział z rozłożonymi szeroko nogami i nieudolnie próbował wstać. Pomogłem mu, a kiedy jako tako trzymał się już w pionie, podniosłem z ziemi jego czapkę. Wciągnął ją na głowę i skinął w podziękowaniu. Pociągnął nosem. Wzrok miał rozbiegany, a białe wąsiska mokre od smarków.

– Kręci się w głowie? – zapytałem uprzejmie.

– Skądże znowu! – zaprzeczył bełkotliwie – Nic mi się w głowie nie kręci, to świat się obraca. Pan się obraca.

Nie chciałem się kłócić z pijanym. Złapałem go za kołnierz, kiedy znowu stracił równowagę i próbował klapnąć na tyłek.

Zawył wiatr.

– Dokąd szanowny pan zmierza? – zapytałem najgrzeczniej jak umiałem i przytrzymałem mocniej.

Ledwo uskoczyłem, kiedy rzygnął. Wymiociny rozbryznęły się na ulicy i chlapnęły mi na buty.

Pociągnąłem grubasa w bok i posadziłem na ziemi.

Machnięciem przywołałem Marikę. Podeszła naburmuszona i niezadowolona z faktu, że musiała opuścić ciepłe wnętrze samochodu.

– Popilnuj go – poprosiłem, a sam pobiegłem do auta i przez chwilę kopałem w bagażniku, aż wygrzebałem kamizelkę odblaskową. Ledwo ją znalazłem, nie pamiętałem, że wepchnąłem ją pod koło zapasowe.

Wróciłem i zacząłem ubierać w nią grubasa. Marika na ten widok pokiwała głową z aprobatą. Schowała telefon, który ściskała w ręku i przykucnęła obok. Pomyślałem z ulgą, że z nas dwojga to ona ma lepiej poukładane w głowie: kazała mi się zatrzymać, sprawdzić czy z facetem wszystko w porządku i zadzwoniła po pomoc.

Gdyby jeszcze nie narzekała tak na moje guzdranie się. Starałem się, jak tylko mogłem.

Kiedy skończyłem wciągać mu na grzbiet kamizelkę, koleś coś wymamrotał. Nachyliłem się ostrożnie, żeby uniknąć ponownego obrzygania.

– Nieważne dokąd ja zmierzam – wyszeptał i splunął. – Ważne dokąd wy zmierzacie.

Odsunąłem się gwałtowanie, kiedy znowu coś zagulgotało mu w gardle.

Wstałem, złapałem Marikę pod łokieć i zaprowadziłem do samochodu.

– Chodź. Zostawmy go tutaj, zajmą się nim.

Marika potuptała chwiejnie, trzymając się mnie kurczowo. Obcasy grzęzły jej w błocie.

Dopiero dwie godziny później, już na imprezie, spocony i podpity, zrozumiałem, że tam, na ciemnej drodze, Marika wcale nie wezwała pomocy.

– Dwieście lajków – powiedziała ze śmiechem, podsuwając mi pod nos sześciocalowy wyświetlacz, z którego pijanym wzrokiem spoglądał w obiektyw znajomy grubas.

Dopiero wtedy zastanowiłem się, co miał na myśli, mówiąc „wy”.

Wypiłem podsuniętą mi przez kogoś wódkę i odwróciłem się do Mariki, żeby ją zrugać za głupotę.

– Dziesięć! – krzyknęli nagle wszyscy wokół.

Rozejrzałem się po rozgorączkowanych twarzach moich przyjaciół.

– Dziewięć!

Nadchodził Nowy Rok.

Szarawa – Marcin Jamiołkowski

– Przykro mi, proszę pana, ale to nie był pożar, tylko wybuch gazu.

Rainhard gapił się na agenta ubezpieczeniowego wzrokiem pełnym niezrozumienia. I urazy. W spoglądaniu urażonym wzrokiem był niekwestionowanym mistrzem. Potrafił nim wywołać wyrzuty sumienia w największych twardzielach.

– Ale… – zaczął i przerwał na moment, żeby dodać: – Ale przecież…

Ubezpieczyciel westchnął. Minę miał zbolałą, ale był to wyćwiczony przez lata grymas, i smutne oczy Rainharda, podszywającego się aktualnie pod Burkowskiego, nie robiły na nim żadnego wrażenia.

Mężczyzna poprawił palcem okulary, używając do tego obu rąk, po czym zebrał w kupkę leżące przed nim dokumenty, uniósł je i postukał o stół, wyrównując brzegi, a następnie odsunął na bok.

– Panie Burkowski, powtórzę to jeszcze raz. Był pan ubezpieczony od pożaru, prawda?

– Byłem – potwierdził Rainhard, kiwając głową.

– Ale cały budynek, w którym mieści… mieściło się pańskie mieszkanie, zawalił się. Czyż nie?

– To prawda.

– Zatem nie było pożaru?

– Technicznie rzecz biorąc, budynek najpierw się zapadł, owszem. Ale w następstwie tego naruszona instalacja gazowa wywołała pożar, więc… moje mieszkanie uległo spaleniu.

– Ale już po tym, jak rozpadło się na kawałki – zaperzył się ubezpieczyciel.

– I tu dochodzimy wreszcie do sedna! – Rainhard uśmiechnął się triumfalnie. – Moje mieszkanie przetrwało upadek bloku.

– Co?

– To był parter. Blok nie zapadł się pionowo w dół, ale przechylił na bok. Moje mieszkanie ocalało i trwało w tym stanie nienaruszone, póki nie strawił go ogień. Co potwierdzają te dokumenty.

Rainhard schylił się do leżącej przy stole reklamówki i wyciągnął folder ze zdjęciami, relacjami naocznych świadków i opiniami biegłych. Położył to wszystko przed ubezpieczycielem, który rzucił się na dokumentację jak głodny szakal.

Zresztą, mężczyzna od pierwszego spotkania przypomniał Rainhardowi szakala. Może trochę przez przygarbione plecy, a może przez odrobinę wydłużony nos. A może to przez zawód? Rainhard nie był pewny.

Szakal-ubezpieczyciel przejrzał dokładnie każdy – najmniejszy nawet – karteluszek leżący przed nim na stole. Niektóre nawet kilkakrotnie.

– W tych okolicznościach będę musiał... – zaczął. – Rozumie pan, że nie mogę podjąć teraz decyzji? Muszę skontaktować się z... hm... przełożonymi.

– Naturalnie. – Rainhard wstał i uspokajająco podniósł rękę, widząc jak mężczyzna nerwowo składa zdjęcia i protokoły z oględzin. – Może pan je zatrzymać. To kopie specjalnie dla pana.

– D... dobrze – wydukał zaskoczony ubezpieczyciel. Zerkał niepewnie to na dokumenty, to na swojego gościa i zastanawiał się, jak to się stało, że umoczył tak prostą sprawę. To znaczy – nic jeszcze nie było pewne, póki szefowie nie zdecydują o wypłacie, być może będą woleli iść do sądu, ale to może się odbić na jego wynikach...

– Do widzenia panu – pożegnał się już z progu Rainhard. – Życzę miłego dnia.

* * *

Znalazłszy się za drzwiami, wpakował do ust papierosa i przypalił go jednorazową zapalniczką. Zaciągnął się, wydmuchnął dym, kaszlnął odruchowo i ruszył w stronę przystanku tramwajowego.

Było ciepło i słonecznie, co tutaj zdarzało się niezbyt często. Rainhard często słyszał żart o tym jak to w Szarawie przez dziewięć miesięcy jest ponuro i zimno, a potem to już tylko słońce, słońce, słońce... O ile nie zawodziła go pamięć, słyszał ten dowcip w swoim świecie, i nie o Szarawie, tylko o Rosji, i nie o pogodzie, tylko o porach roku, ale trzymał to dla siebie. Tutaj nie było Rosji, a wszelkie pytania

o sąsiadów Rzeczpospolitej grzęzły w niezręcznej ciszy i podejrzliwych spojrzeniach lub wymienianych za plecami Rainharda znakach, z których pukanie w czoło należało do tych względnie łagodnych. Szarawa leżała w państwie, którego nazwy Rainhard jeszcze nie odgadł, ale też przyznawał się przed sobą, że nie poszukiwał jej zbyt namiętnie – po prostu nie było mu to do niczego potrzebne.

Sposób, w jaki znalazł się w Szarawie, był okryty nieprzeniknionym woalem tajemnicy.

Krótka historia wyglądała tak: najpierw był tam, w domu, a potem nagle tu. Koniec.

Dłuższa opisywała w szczegółach imprezę, na której Rainhard spił się jak świnia, przedstawiała drobiazgową listę spożywanych drinków, zaczepianych kobiet i obrażanych mężczyzn, powrót do domu i nazwę ostatniej ulicy, którą udało mu się z jakiegoś powodu zapamiętać, co nie miało żadnego znaczenia. W pobliżu końca opowieść dochodzi do miejsca, w którym Rainhard usypia przytulony do mokrego trawnika i budzi się w Szarawie. I owszem, ciągle na trawniku, za to suchym – może i Szarawa przez większość roku była ponura, ale nie znaczyło to, że ciągle padało. Po prostu było brzydko. Jeśli istniało jakieś miejsce we Wszechświecie, gdzie mieszkali – ze względu na częste braki promieniowania słonecznego – rekordziści niedoboru serotoniny i melatoniny, to na pewno była to Szarawa.

Dłuższa historia niewiele wyjaśniała, stąd Rainhard skrócił ją do niezbędnego minimum, ale też faktem było, że dzielenie się nią z kimkolwiek w Szarawie kończyło się

totalnym niezrozumieniem (pukanie w czoło, dobrotliwe spojrzenia, palec wskazujący kręcący kółka na wysokości skroni). Uznał, że nie warto tracić dobrego imienia przez tę dziwną historię.

Ponieważ w „normalnym” świecie uznawał się za nieudacznika bez przyszłości, stwierdził, że Szarawa przytuliła go po prostu do swojego łona. Nie starał się zbyt mocno dociekać co było tego przyczyną ani skąd tu tak naprawdę się wziął.

Zaakceptował to miasto, tak jak ono zaakceptowało jego.

Rainhard pamiętał dobrze swoje pierwsze przebudzenie.

Był ponury dzień. Nic rewelacyjnego w Szarawie, ale wtedy Rainharda to trochę zaskoczyło i nie bardzo wiadomo dlaczego, bo przecież w jego świecie akurat padało.

Choć średnio to pamiętał.

Gramolił się, uwalany w błocie jeszcze ze starego świata i przyozdobiony w tutejsze już liście i źdźbła trawy, próbując odzyskać utracony w nocy pion. Kiedy w końcu stanął na nogi, usłyszał wrzask – wołanie o pomoc.

Usiłował skierować się w stronę tego krzyku, ale jego ciało, w odróżnieniu od umysłu jeszcze nietrzeźwe, wyciągnęło w przód lewą nogę, zginając prawą w kolanie. Grawitacja, zazwyczaj tak łagodna i opiekuńcza dla wszelkiego rodzaju pijaków, wyczuła najwyraźniej, że poziom alkoholu w Rainhardzie zbliżył się niebezpiecznie do zera i pociągnęła go ku ziemi. Rainhard rozkraczył się

w dziwacznej odmianie siadu płotkarskiego, a jego lewa noga znalazła się nagle na chodniku, podcinając przebiegającego tamtędy mężczyznę. Mężczyzna potknął się, i zrobił jeszcze tylko dwa kroki, zanim splątane zupełnie nogi uniemożliwiły mu kontynuowanie biegu. Padł na twarz, kreśląc na chodniku czerwony ślad z rozbitego nosa i tracąc przytomność.

Grawitacja odnotowała, że leżący jest najzupełniej trzeźwy, tak więc mogła śmiało wykonać kolejne nacięcie na czasoprzestrzeni.

(Taka forma trofeum. Grawitacja w Szarawie najbardziej lubiła obserwować małe, ledwo chodzące dzieci, które rodzice puszczali samopas na parkowych chodnikach. Najczęściej okrzyki „No chodź szybciutko do mamusi!” kończyły się szybkim startem malucha i jeszcze szybszym jego upadkiem. Grawitacja również wtedy stawiała nacięcia na czasoprzestrzeni, ale mniejsze, symbolizujące głupotę).

Rainhard zastanawiał się, czy takie dwa małe-białe, co leżały obok głowy faceta, to były zęby, czy może to leżało tu wcześniej.

Zza drzewa wybiegła potargana kobieta i przypadła do leżącego.

Właściwie Rainhard na początku próbował się wykręcić, zaprzeczyć jakoby miał cokolwiek wspólnego z potknięciem się mężczyzny. Pozycja, w której się znajdował, zdradzała jednak tak jednoznacznie co się wydarzyło, że pozostawało tylko podnieść się z godnością i otrzepać. Uczynił to, dokonując jedynie kosmetycznej

zamiany godności na utratę równowagi, a otrzepanie na rozmazanie błota po spodniach.

Następnie zwrócił się do kobiety, którą w pierwszej chwili omyłkowo wziął za jakąś znajomą leżącego.

Otworzył usta do przeprosin, ale zanim powiedział cokolwiek, od kompromitacji uratowała go sama nieznajoma, rzucając mu się prawie na szyję i dziękując za zwrócenie torebki, która spoczywała na ziemi, obok dwóch małych-białych.

– Ten drań mi ją wyrwał! – wyjaśniła, biorąc kompletnie zbaraniałe spojrzenie Rainharda za coś w rodzaju łagodnego zdziwienia.

Tymczasem drań się nie ruszał, chociaż zauważalnie oddychał. Rainhard sięgnął do kieszeni po telefon, żeby zadzwonić po pomoc, lecz okazało się, że najwyraźniej go zgubił.

Kobieta okazała się wytrzymała. Widząc, jak jej zbawca chodzi ze spojrzeniem wbitym pod nogi, zapytała uprzejmie czego szuka.

– Komórki – odpowiedział Rainhard z roztargnieniem.

Kobieta okazała się wytrzymała dokładnie do tej chwili. Stukanie obcasów na chodniku dało Rainhardowi znak, że powiedział coś głupiego. Nie miał pojęcia, o co chodziło.

Naturalnie o tym, że w Szarawie nie używa się telefonów komórkowych, a króluje stacjonarna telefonia oparta o wybieraki impulsowe, dowiedział się jakiś czas później. Rzuciło to trochę więcej światła na ucieczkę nieznajomej z parku.

Ale wtedy o tym nie wiedział, więc poczuł się dość zaskoczony. Pomyślał, że może kobietę przestraszył złodziej, który wracał do przytomności, więc sprawdził to. Ale złodziej nigdzie nie wracał.

Rainhard wzruszył ramionami.

Później często sięgał myślami do tego wydarzenia i zastanawiał się co go natchnęło. Czy sam fakt pomocy nieznajomej (niezamierzony, co prawda, ale jednak dokonany), czy może był to alkohol, grawitacja, a może samo pojawienie się w Szarawie zmieniło w nim coś, o czym nie przypuszczał, że istnieje.

Wymyślił sobie profesję.

Został awatarem.

Zanim wyszedł z parku, cała koncepcja wykrystalizowała się mu w umyśle.

– Ludzie są leniwi i tchórzliwi – mówił do siebie i także trochę o sobie. – Są leniwi i tchórzliwi i potrzebują więcej wolnego czasu.

Są przecież sprawy, których nie mogą załatwić, które są pilne, ale nie mogą się nigdy doczekać realizacji. Czy to złożenie pozwu, wystawienie samochodu na aukcji internetowej, dostarczenie bielizny do magla, zwiezienie dzieci na wieś do dziadków, czy inne wydarzenia bez precedensu, o których na tym etapie planowania jeszcze nie było nic wiadomo – Rainhard postanowił stać się człowiekiem do zadań specjalnych. Odrobinę prawnikiem, trochę notariuszem, ćwierćsługą, chłopcem na posyłki, załatwiaczem – złotą rączką. Po prostu awatarem. Pod

przybraną postacią zleceniodawcy, w jego imieniu, będzie mógł zrealizować najtrudniejsze zlecenia.

Łatwo się domyślić, że Rainhard nie miał jeszcze wtedy pojęcia, że będzie potrafił zmieniać swą powierzchowność jak ludzki kameleon i kopiować wygląd swojego klienta. Nie wiadomo dokładnie (pomijając alkohol, rzecz jasna) co podpowiedziało mu, że to w ogóle będzie możliwe w Szarawie. Najpewniej jednak przechodził w tym miejscu czasoprzestrzeni, w którym akurat Grawitacja stawiała nacięcie i to wywołało swoistą odpowiedź pobudzonego kwantowo mózgu. Czy też po prostu spowodowało spięcie w synapsach.

Trochę później – kiedy poznał nazwę miasta – Rainhard skorygował nazwę swojego zawodu. Postanowił nazwać go Szawatarem. Bardziej mu to pasowało.

Zdarzało się potem dość często, że miewał problemy z wytłumaczeniem tubylcom genezy tej nazwy. Zwykle próby opowieści o pochodzącej z hinduizmu koncepcji inkarnacji, kończyły się stwierdzeniem, że nikt w Szarawie nie słyszał o czymś takim jak Indie Palec Wokół Skroni.

A wyjaśnienie nazwy jako pochodzącej z Internetu graficznej reprezentacji użytkownika kończyły się podobnym fiaskiem – to wtedy Rainhard dowiedział się o impulsowych wybierakach oraz niedoborze serotoniny i melatoniny. I o tym, że mieszkańcy Szarawy cierpieli również na permanentny niedobór Internetu.

A właściwie na zupełny jego brak.

Prawie zapomniał o pozostawionym na pastwę losu, leżącym bez przytomności złodzieju, ale wychodząc z parku, trafił na patrol policji.

Rosły policjant i trochę mniej rosła policjantka spisali jego zeznania. Po właścicielce torebki niestety nie został żaden ślad, ale na szczęście znalazło się kilku świadków rozboju, dzięki którym Rainharda nie oskarżono o ciężkie pobicie (jego przypuszczenia co do dwóch małych-białych okazały się słuszne). Co więcej, policjanci dość łatwo odkryli, że Rainhard jest imigrantem – czy jak to nazywali potocznie: „zrzutem” – zadając kilka kontrolnych pytań w stylu:

– Gdzie pan mieszka?

– Eeee...

– Jaki jest pana zawód?

– Szawatar!

– Ile pan widzi palców?

– Jeden, kręci nim pan w pobliżu głowy, panie władzo.

Policjanci zwolnili go, dając mu jednak wcześniej namiary na Urząd Imigracyjny, w którym przeszedł krótki proces rejestracji w społeczności Szarawy.

Urzędniczka Działu Ewidencji Ludności, która wpisała Rainharda do oficjalnego spisu (grubego rejestru oprawionego w czarną skórę), była niezwykle uprzejma. Zagadywała Rainharda o prywatne życie w przerwach pomiędzy pytaniami czytanymi z leżącej przed nią listy. Rainhard odpowiadał zarówno na te pierwsze, jak i na drugie, dziwiąc się ich szczegółowości. Właściwie to

dopiero podczas tej rozmowy zrozumiał, że stało się coś dziwnego, że nie jest w swoim mieście. Zapewne to alkohol przytępił jego zmysły, inaczej szybciej kojarzyłby fakty. Rozmowa z policjantami, którzy dziwnie na niego zerkali. Albo ten urząd, gdzie młoda i urocza urzędniczka o nazwisku Lena Kraska słysząc niektóre z jego odpowiedzi, spinała się leciutko i uśmiechała ostrożnie. I sam pomysł na pracę – awatar.

Kiedy padło pytanie o pracę, Rainhard wypluł z siebie to słowo z dumą, choć sam do końca nie był przekonany co do jego nowego znaczenia. Liczył, że urzędniczka zapyta o pochodzenie i miał nawet w głowie przygotowaną odpowiedź – krótką historię o Dalekim Wschodzie i komputerach – ale Lena Kraska nie zapytała, tylko zanotowała coś w swoim rejestrze. I to był kolejny argument za tym, że coś jest nie tak – brak komputerów. A kiedy jeszcze zadzwonił telefon na biurku.... Rainhardowi narzuciło się lepsze słowo – zaterkotał – bo był to dźwięk jaki wydaje przytrzymany dzwonek do roweru: płaskie, mechaniczne stukanie, powielone stukrotnie.

Obserwował jak Lena podnosi do ucha wielką, zieloną słuchawkę i rozmawia przez chwilę. Rainhard nie wsłuchiwał się w jej słowa, zastanawiał się, kiedy miał okazję dotykać telefonu stacjonarnego. Żałował, że zgubił swoją komórkę.

Na koniec urzędniczka podniosła się i uroczyście wręczyła mu ręcznie wypisaną kartkę wielkości legitymacji

szkolnej, na której przystawiła kilka stempli i złożyła parę parafek.

Rainhard wstał również i obejrzał dokument.

Było tam napisane, że Lena Kraska, starszy referent w Dziale Ewidencji Ludności Szarawy, działając z upoważnienia Prezydenta Miasta Szarawy, nadaje Pawłowi Rainhardowi obywatelstwo – a jakże – Szarawy.

Rainhard zrozumiał, że jego wizyta w biurze dobiegła końca. Uścisnął ostrożnie wyciągniętą rękę Leny, puścił ją, oklapł i opadł z powrotem na krzesło.

– Jak to się stało? – zapytał.

Starszy referent Kraska westchnęła i dotknęła lekko jego dłoni.

– Różnie to bywa. Na pewno słyszał pan o ludziach, którzy znikają w pana mieście, prawda? Część się odnajduje, część nie, bo trafia do nas. Tak jak pan.

Spojrzała na niego.

Ale jak to możliwe? – pytały jego oczy.

– Nie wiem, jak to możliwe – odpowiedziała. – Zdaje się, że nasze światy nie leżą daleko od siebie...

Rainhard wyłączył się na chwilę, zapatrzony w zieleń oczu Leny Kraski. Dzięki temu ominął go wykład o przypuszczalnym położeniu obu światów w multiwersum, ciągle tworzących się wszechświatach niemowlęcych i pęknięciu w p-branach oddzielających od siebie wszechświaty Rainharda i Szarawy.

Gapił się z uśmiechem na jej mały nosek i ciemne włosy, słuchał barwy jej głosu, puszczając mimo uszu rozważania

dotyczące strzałek czasu, entropii i śmierci cieplnej. Na marginesie świadomości zanotował jedynie, że dziewczyna ma lepsze wykształcenie niż to niezbędne na jej stanowisku pracy.

Potem, kiedy Lena opowiadała o energiach potrzebnych na skuteczne przebicie p-bran i o zwiniętych wymiarach, Rainhard myślał o tym, że podczas wpisywania do rejestru jego danych kobieta zadała zdecydowanie za dużo osobistych pytań.

Zrozumiał dlaczego.

Wyjaśnienia Leny dotyczące jego pojawienia się w Szarawie skrócił i wytłumaczył po swojemu – najpewniej wracając do domu, potknął się i wpadł w jakąś szczelinę czy też dziurę, przez którą przeleciał jak Alicja goniąca Białego Królika. Oczywiście Alicja nie była tak bezwładna i pijana jak Rainhard, a w pobliżu nie było żadnego zwierzęcia, ale podobieństwo sytuacji nadal było uderzające. No i nigdzie nie widział ciastek czy flaszek z napisem „zjedz mnie”, „wypij mnie”. Nic z tych rzeczy.

Ale teraz zrozumiał coś jeszcze. Zrozumiał ciekawość Leny.

Poderwij mnie – przeczytał w jej oczach.

– Umówisz się ze mną? – wypalił, przerywając jej wykład z kosmologii.

Starszy referent rozpromieniła się.

Ich związek nie potrwał długo. Może trochę dlatego, że Lena była za dobrze wykształcona i Rainhard nie rozumiał często trzech czwartych z tego, co opowiadała

o otaczającym ich świecie. Ekscytowały ją odkrycia naukowe, począwszy od biologii i genetyki, aż po najnowsze zdjęcia z głębokiego kosmosu, a Rainhard był za bardzo skupiony na najbliższej okolicy.

A może chodziło o to, że bardziej interesowała ją fizyka niż fizyczność, co wychodziło nocą w łóżku, kiedy Lena nie mogła lub nie chciała drugi raz, i pomimo próśb, zaklęć i błagań Rainharda obracała się na drugi bok, zasypiając z błogim uśmiechem.

Była jednak znakomitą przewodniczką po Szarawie i Rainhard zawdzięczał jej wszystko – od mieszkania, po zorganizowanie pracy.

Rozstali się już po miesiącu, ale w zgodzie i jako przyjaciele, bo choć polubili się, to ten związek nie był tym, czego oboje oczekiwali.

Niemniej Lena nauczyła go bardzo dużo, łącznie z tym, że Szarawa jest magiczna. Naturalnie to tylko Rainhard dostrzegał magię tam, gdzie była to zwykła różnica w międzywszechświatowej fizyce. Ot, pewne kosmiczne i matematyczne wartości uniwersalne miały inną wartość, na przykład stała grawitacji była odrobinę większa, a liczba pi – minimalnie mniejsza (choć ciągle niewymierna, a różnica była tak niewielka, że i w Szarawie wartość 3,14 wciąż była wystarczającym przybliżeniem dla większości mieszkańców, którzy w ciągu dnia potrzebowali wyliczyć obwód bądź pole koła).

Były to jednak drobiazgi, które umykały Rainhardowi i nie przywiązywał do nich większej uwagi. Dla niego było

magiczne to, że woda czasem płynęła tu pod górę (co Lena tłumaczyła zakłóceniami laminarnymi w przepływie turbulentnym cieczy) albo że ludzie pojawiali się niekiedy znienacka jakby umieli się teleportować (co tłumaczyła faktycznie teleportacją, ale zupełnie odmienną od wyobrażeń Rainharda, czyli mówiła znowu coś o splątaniach kwantowych atomów, o fermionach, barionach i wymionach, choć co do tego ostatniego Rainhard nie był pewien, czy się nie przesłyszał).

No i do tego dochodziły pewne różnice kulturowe i obyczajowe.

Kiedy jeszcze byli razem, trzy dni po rozpoczęciu znajomości, Lena zaprowadziła Rainharda na Rynek Pracy. Nie był to czysto wirtualny byt, jak w jego świecie. W Szarawie Rynek Pracy istniał namacalnie. Był to obszerny plac na południu miasta, otoczony przez wysokie kamienice, w oknach których często stali potencjalni przyszli pracodawcy.

Na samym placu ustawiali się ludzie poszukujący pracy, wyposażeni w tabliczki lub transparenty – istniała tu pełna dowolność – zachwalające kandydata i wymieniające jego zalety i umiejętności.

Już pierwszego dnia, właściwie po pierwszej godzinie spacerowania pomiędzy innymi poszukującymi pracy, Rainhard stwierdził, że ma doskonały pomysł, aby zrewolucjonizować Rynek Pracy Szarawy. A właściwie nie zrewolucjonizować, ale na nim zarobić. Po pierwsze – pracodawcy. Wynajmujący mieszkania na godziny

w okalających Rynek kamienicach, wystawiający głowy z okien i czytający transparenty. Rainhard wymyślił sobie, że otworzy wypożyczalnię lornetek. Aż takie proste! Dlaczego nikt nie wpadł na to wcześniej? Bo ogłoszenia pracowników pisane były olbrzymimi literami, dobrze widocznymi z daleka.

Ale gdyby tak otworzyć sklep z nadrukami na koszulkach, gdzie za drobną opłatą mógłbym wypisać cokolwiek tylko kandydat by potrzebował? – myślał Rainhard. I tak z jednej strony koszulki, z drugiej lornetki. Rainhard zacierał dłonie.

A gdyby udało się jeszcze wejść w porozumienie z Urzędem Pracy Szarawy, aby sponsorowali te nadruki na koszulkach w ramach jakiegoś programu pomocy bezrobotnym... Rainhard wiedział, że najlepsze kontrakty zawiera się właśnie ze służbą publiczną, To była żyła złota.

Pewnie i zająłby się tym tematem, ale coś innego zaprzątnęło mu głowę.

A właściwie ktoś.

Był to jeden z bezrobotnych szukających pracy, niski mężczyzna, ale dobrze zbudowany, na ile Rainhard mógł ocenić, bo większość jego ciała skrywały dwie tablice powieszone z przodu i na plecach. Napisy głosiły, że człowiek noszący ogłoszenie jest utalentowanym hydraulikiem z wieloletnim doświadczeniem. Nieco niżej wymienione było kilka nazw, które Rainhard zakwalifikował jako poprzednie miejsce zatrudnienia, choć nic mu nie mówiły.

Mężczyzna poruszał się nietypowo, bardzo dziwnym, tanecznym nieco krokiem, przepychając się w tłumie i rozpychając pomiędzy innymi bezrobotnymi. Dwa kroki do przodu, potem w bok, obrót, coś w rodzaju przykucnięcia. Rainhard z fascynacją obserwował kolejną różnicę kulturową – oto mężczyzna usiłował ściągnąć na siebie uwagę pracodawcy tym nietypowym tańcem – nie godowym, a... szukał przez chwilę odpowiednich słów, aby określić ten rodzaj tańca. „Zawodowy” i „profesjonalny” nie przypasowały mu, ale już „roboczy” było bliżej...

Oto człowiek... wykonujący Taniec Pracy – pomyślał Rainhard.

– Czego się pan tak gapisz? – wkurzył się hydraulik, poirytowany zainteresowaniem jakie budził w nieznajomym. – Szczać mi się chce, do ciężkiej cholery!

– Przepraszam bardzo – skrzywił się Rainhard, którego teoria właśnie rozsypała się proch. Wymemłał jeszcze dodatkowo coś, co miało uspokoić niedoszłego tancerza.

– Co? – zapytał tamten, nadal przestępując z nogi na nogę.

– Wydawało mi się, że hydraulik nie powinien mieć problemu ze znalezieniem pracy.

– Oj, źle się panu wydawało.

– Dlaczego?

Mężczyzna dał znowu dwa kroki do przodu, Rainhard powędrował za nim.

– Przez rury. Przez spisek producentów rur i złączek!

– Spisek?

– Tak. Proszę sobie wyobrazić, że w Szarawie zastosowano wyjątkowo trwałe materiały do produkcji kanalizacji. A przy okazji używa się rur o dużym przekroju. Tym samym zapychają się bardzo rzadko, a pękają jeszcze rzadziej. Dodatkowo, proszę sobie wyobrazić, przyłącza armaturowe w ścianach zostały zaprojektowane w ten sposób, aby nawet dziecko mogło sobie poradzić z podłączeniem baterii. Rozumie pan?!

– Rozumiem. Dlaczego zatem wybrał pan ten zawód?

– Jestem ofiarą systemu edukacji – wyjaśnił z rezygnacją hydraulik. – Szkoła zawodowa, a nawet studia, a potem okazuje się, że ten rynek jest płytki jak kałuża latem. A hydraulika to jedyna rzecz, którą robię naprawdę świetnie. Zaraz się zjulam – zakończył z mocą.

– Dlaczego pan nie pójdzie się załatwić? – zapytał zdziwiony.

– Widzi pan tam? – Hydraulik skinął głową w stronę jednej z kamienic. – Na drugim piętrze, trzecie okno od lewej. Stoi tam pracodawca. Zwrócił na mnie uwagę już kilka razy, ale ciągle jeszcze szuka i się rozgląda. Nie mogę przepuścić okazji.

Do Rainharda powróciła wizja, której doznał kilka dni wcześniej w parku.

Przypomniał sobie, co chciał robić i postanowił spróbować. Miał przecież zostać awatarem!

Szawatarem – poprawił się w myślach, uśmiechając się.

(To był ten moment, kiedy wymyślił nazwę).

– Pomogę panu – zaproponował hydraulikowi. – Niech mi pan da te tablice, postoję tu za pana, a pan niech leci ulżyć pęcherzowi.

– Serio? – Na twarz hydraulika wypełzła radość, ale szybko starł ją grymas bólu.

– Serio.

Rainhard pomógł mężczyźnie zdjąć tablice i zawiesił je sobie na ramionach. Kiedy podniósł głowę, dostrzegł jedynie plecy biegnącego hydraulika.

– Nazywam się Henryk Flos! – zdążył krzyknąć, zanim zniknął w tłumie.

A Rainhard zaczął się kurczyć. Jego jasne włosy pociemniały, usta jakby napuchły, nos skluchowaciał, za to mięśnie wyraźnie nabrały kształtu i – co Rainhard odnotował z pewnym niezadowoleniem – w majtkach mu jakby czegoś przybyło. Ubranie, które dotychczas miał na sobie, czyli niebieskie dżinsy i wypuszczona na wierzch czarna koszula, również dokonało transformacji, zamieniając się w należące do Flosa czarne dżinsy (niewielka zmiana) i granatową koszulkę bez żadnych nadruków.

Ponadto Rainhard, dość dobrze znający się na męskiej anatomii (żył kiedyś ze studentką medycyny) i wyczulony na takie rzeczy – zauważył, że prostata zrobiła się cokolwiek za duża.

Zająłby się swoją hydraulika – pomyślał rozsądnie Rainhard, zanim ukłucie w podbrzuszu nie sprawiło, że dał krok do przodu i pochylił się.

Zachciało mu się siku jak nigdy jeszcze żadnemu człowiekowi w Szarawie.

– Flooooos! – ryknął, przyciągając uwagę pracodawców w oknach. – Pospiesz się!

Powinien był zastanowić się, co spowodowało przemianę w hydraulika. Czy wystarczyło wcześniejsze pragnienie, sama deklaracja przemiany w Szawatara, którą złożył wcześniej? Powinien był pomyśleć, czy zrobił coś jeszcze, oprócz pożyczenia rzeczy należących do Flosa, coś co stało się katalizatorem przemiany, ale nie jej przyczyną.

Powinien był, ale nie miał czasu na rozmyślania – tańczył akurat „Taniec Pracy”.

I tak zastał go Henryk Flos, który powrócił kilkanaście minut później.

Zdziwił się oczywiście na widok swojego sobowtóra. Co więcej jego zdziwienie, biorące się z niewiedzy, szybko przerodziło się w niezrozumienie, a ono – naturalną już, ludzką drogą – w strach. Zacisnął pięści i gotów był obić porządnie Rainharda, ale ten odruchowo sam zacisnął pięści i Flos na widok swoich własnych naprężonych muskułów nieco stracił rezon.

Szawatar zdjął tablice i oddał je oryginalnemu hydraulikowi. Ten przyjął je bez słowa, łypał jednak spod oka, kiedy Rainhard powracał do swojej normalnej postaci. Rozejrzeli się obaj.

Mimo że na Rynku znajdowały się setki osób, ta dziwna zamiana przeszła bez echa. Mężczyźni i kobiety, rozmawiający ze sobą, poklepujący się po plecach,

pocieszający i dodający sobie otuchy, najczęściej wlepiali dyskretnie (a czasem nie) wzrok w okna z nadzieją, że otrzymają wymarzoną (albo i nie) pracę.

– Co to było? – zapytał Flos.

– Jestem Szawatarem – powiedział dumnie Rainhard.

– Czy to jest uleczalne? – zaniepokoił się hydraulik. – Znam świetnego doktora.

– Nie, nie! – Rainhard zamachał nerwowo rękami. – Taki sobie wymyśliłem zawód. Pomagać ludziom, przyjmując ich fizyczną formę.

– Czy to znaczy, że będziesz żądał ode mnie zapłaty? – zaniepokoił się Flos. – Ja naprawdę jestem bezrobotny.

Szawatar zmachał rękami ponownie.

– Absolutnie nie. Dopiero dzięki tobie dowiedziałem się, że to w ogóle możliwe. Teraz zastanawiam się, w jaki sposób mogę na tym zarobić. Od ciebie nic nie wezmę, daj spokój.

Na twarzy Flosa odmalowała się widoczna ulga. I odrobina zamyślenia.

– Będziesz pomagał ludziom się wysikać? – zapytał ostrożnie.

– Również – westchnął Rainhard. – Obawiam się, że twój potencjalny pracodawca, no wiesz, ten z trzeciego okna od lewej... Wybrał kogoś innego.

Henryk Flos zapadł się w sobie, ale po chwili jakby odzyskał siły witalne, wyprężył się na powrót.

– Nic to! – powiedział z godnością. – Nie dziś, to jutro. Nie jutro, to za tydzień.

Rainhard obserwował hydraulika i myślał. Usiłował powrócić do chwili, kiedy przybrał postać Flosa, do momentu, gdy wpadł na pewien pomysł.

– Wiem! – zakrzyknął, aż Flos zrobił krok do tyłu.

Pociągnął hydraulika za rękę, w stronę wyjścia.

– Co robisz? – warknął pociągnięty.

Rainhard zatrzymał się.

– Przecież to głupie, żeby Szawatar pomógł tylko w wysikaniu się, prawda? Mam coś lepszego, coś co ci pomoże, a co przyszło mi do głowy, gdy znalazłem się na twoim miejscu.

– Tak?

Rainhard rozejrzał się dyskretnie i nachylił się do Flosa.

– Jesteś hydraulikiem, prawda? Widziałem, gdzie pobiegłeś, kiedy cię przyparło. Wybiegłeś z rynku. Pobiegłeś w krzaki, tak? – i nie czekając, aż Flos pokiwa głową, ciągnął – Wiesz co zrób? Wybuduj tu, na Rynku, szalet. Niech to na początek będzie przenośny ustęp, ale dogadaj się z Ratuszem, zainwestuj i wybuduj tu wielki, wielokabinowy kibel. Skanalizuj go. Doglądaj. Ustawisz się na jakiś czas.

Flos stał jak wryty. Otwierał i zamykał usta.

– Genialne – szepnął, próbując jednocześnie w myślach oszacować swoją zdolność kredytową – Jesteś geniuszem, Szawatarze!

– Wiem! – ucieszył się Rainhard trochę na wyrost, bo przecież wcześniej tego nie wiedział.

Flos chwycił go w objęcia.

– Co więcej – hydraulik zapalał się coraz bardziej do pomysłu – postawię takie szalety w całym mieście i będę pobierał niewielkie opłaty za korzystanie z nich!

Rainhard nie wiedział, że Szarawa jest tak uboga w publiczne toalety.

(Dopiero później dowiedział się, że były tak często spotykane jak Internet)

– Jak się nazywasz, Szawatarze?

– Rainhard.

– Co to właściwie znaczy?

– Nic, to nazwisko. Można próbować to rozbić na dwa słowa jak „rain” i „hard”, czyli coś w stylu „deszcz” i „ciężki”, więc można śmiało założyć, że chodzi o jakieś oberwanie chmury...

– Nie! – przerwał mu hydraulik. – Szawatar! Co to znaczy?

– A! – zmitygował się Rainhard – Wiesz coś o komputerach, hinduizmie albo Dalekim Wschodzie?

– Nie.

– W takim razie to... – Rainhard szukał właściwego słowa. – To taki podwójny neologizm – wybrnął w końcu, mając na myśli fakt, że do oryginalnego słowa dosztukował „Szarawę”.

Ale Flos był już myślami gdzie indziej.

– Słuchaj Rainhard. Szawatarze. Pomogłeś mi. Podsunąłeś pomysł. To czasem najcenniejsza rzecz, jaką jeden człowiek może podarować drugiemu...

Rainhard nie był akurat tego pewien, ale pokiwał jedynie głową w milczeniu, nie chcąc przerywać słowotoku Flosa.

– Jeśli mi się uda... Nie, co ja mówię, musi się udać! A zatem kiedy mi się uda, będziesz mógł korzystać bezpłatnie z moich szaletów na terenie całej Szarawy. Co ty na to?

– Doskonale! – odrzekł zapytany. Właściwie nie spodziewał się przecież żadnego wynagrodzenia, a bezpłatny szalet w skrajnej sytuacji mógł uratować niejedne spodnie.

Flos położył ręce na ramionach Rainharda.

– Dziękuję ci! – powiedział.

Rainhard poczuł się trochę niezręcznie. Mimo wszystko lepiej już było wrócić do domu. Pierwsze spotkanie z Rynkiem Pracy miał za sobą. Potrzebował teraz przygotować sobie tablice z napisami na następny dzień. No i musiał spisać zakres odpowiedzialności swojej nowej profesji.

Zaczął się wycofywać rakiem.

Flos oczywiście nie chciał go puścić, ale w końcu dał mu spokój. Zapisał swój adres i numer telefonu na kartce, wcisnął ją w dłoń Rainharda, odprowadził do wyjścia z rynku i tam pożegnał serdecznie.

Hydraulik obserwował z rozrzewnieniem jak jego zbawiciel odchodzi długą alejką i znika za zakrętem.

W domu Henryk Flos opowiedział wszystko swojej żonie Joannie. Wszystkie sprawy biznesowe pojęła w mig, bo

miała do tego najwyraźniej talent. Dręczyło ją jedno.

– Co to właściwie znaczy „Szawatar”? – zapytała w końcu, późno w nocy, kiedy leżeli już w łóżku.

– To taki podwójny geologizm, kochanie. Chyba chodzi o coś, co zostało podwójnie wykopane z ziemi. Nie przejmuj się tym.

Rainhard natomiast słusznie uznał, że na zastępowaniu bezrobotnych na Rynku Pracy nic nie zarobi, wobec czego skupił się na pracodawcach. Z pomocą Leny zbudował swoją pierwszą tablicę na szyję, na której wysmarował nazwę swojej profesji oraz coś w rodzaju transparentu, umieszczonego na pojedynczym kiju, który mógł unosić wysoko nad głowę.

Na obu napisane było:

..::: SZAWATAR :::...
..::: NIE MASZ NA NIC CZASU? :::...
..::: POZWÓL SIĘ ZASTĄPIĆ PROFESJONALIŚCIE! :::...

Ozdobniki, umieszczone wokół każdego zdania, pożyczył od znajomego programisty, jeszcze ze starego świata, który nadużywał ich, ozdabiając tak nagłówki w tekstach swoich programów. Rainhard uznał, że wyglądają profesjonalnie, jak na warunki Szarawy. Nie mieli tu programistów, zatem wzorek był nowatorski.

Nie zjawił się Rynku nazajutrz, ale dopiero dwa dni później, ponieważ pod napisem umieścił dodatkowo numer

telefonu, a chciał żeby farba na transparentach dobrze wyschła.

Lecz kiedy się w końcu zjawił, wzbudził oczywiście sensację – zarówno wśród poszukujących pracy, jak i wśród pracodawców, którzy byli dość zaskoczeni. Zdarzało się nawet, że pokazywali go sobie palcami.

Pierwszego dnia nie miał żadnych zapytań czy zleceń, ale nie zniechęcał się. To samo drugiego dnia i trzeciego, aż w końcu trzy tygodnie później uznał, że pomysł chyba nie był zbyt chwytliwy. Wtedy zadzwonił telefon, a serce Rainharda zatrzepotało w uniesieniu. Okazało się, że to jednak nikt z Rynku, a ktoś z polecenia od Henryka Flosa, który nie próżnował, a wychwalał pod niebiosa umiejętności Rainharda wśród swoich przyjaciół. Też dobrze. Oczywiście Flos wszystko ubarwiał i przeinaczał, ale mimo wszystko zdołał narobić wśród znajomych tyle szumu, że jeden z nich postanowił w końcu się skontaktować.

Rainhard odebrał telefon po drugim dzwonku.

– Słucham? – zapytał grzecznie.

– Czy to pan Szawatar?

– Technicznie rzecz ujmując, nazywam się Rainhard...

– Czyli nie Szawatar?

– Szawatar – potwierdził szybko Rainhard. – Słucham.

Szybko zrozumiał, że w Szarawie lepiej za dużo nie mówić. O dziwo, nigdy nie nauczył się tej sztuczki w swoim świecie.

– Mówi Tomasz Burkowski. Mam sprawę.

* * *

Burkowski zlecił mu uzyskanie od firmy ubezpieczeniowej wypłaty należnego mu odszkodowania. Dom się zawalił czy coś.

Rainhard pewnie by nie wziął tej roboty, jakoś nie pod drodze było mu z zastępowaniem ludzi w czymś tak trywialnym (od samego początku nastawiał się na wielkie rzeczy, a życie, jak to życie, naprędce to nastawienie zweryfikowało), ale kiedyś chodził z dziewczyną, która pracowała jako ubezpieczyciel i był święcie przekonany, że zna sposób myślenia całej tej sitwy naciągaczy. Poza tym, dziewczyna z nim zerwała, pozostawiając w ego Rainharda sporej wielkości wyrwę, bo nie dość, że puściła go kantem, to przeprowadziła się od razu do innego faceta i jeszcze tego samego dnia przysłała go do domu Rainharda po walizkę z rzeczami. Rainhard nigdy nie wybaczył jej i wszystkim ubezpieczycielom (jej nowy kochaś również parał się tą profesją) i przełożyło się to trochę na podjęcie trudnej decyzji w temacie „brać czy nie brać robotę Burkowskiego”.

Rainhard nie wiedział do końca, co nowy zleceniodawca sobie wyobrażał na temat zawodu Szawatara. Facet po prostu zadzwonił, poinformował, że budynek w którym znajdowało się jego mieszkanie właśnie się zawalił i zapytał, czy Szawatar weźmie się za załatwienie sprawy z ubezpieczycielem. Rainhard nie wiedział, co Burkowskiemu naopowiadał Flos (w rozmowie często powoływał się na hydraulika), może brał go za jakiegoś magika, jednak od słowa do słowa, klient w końcu

powiedział czego oczekuje, a w trakcie rozmowy zdołał nawet przeczytać na głos treść polisy oraz zapewnił o sowitym wynagrodzeniu.

Rainhard zdecydował się.

Spotkali się na chwilę, aby Szawatar mógł wziąć rzecz należącą do zleceniodawcy. Potem zebrał kilka niezbędnych materiałów, w tym szmatkę i butelkę spirytusu, a następnie, już pod postacią Burkowskiego, udał się pod wskazany adres.

Na miejscu znajdowała się policja i jednostka straży pożarnej oraz dwie karetki, o dziwo puste. Okazało się, że w budynku w momencie wybuchu nikogo nie było. Godzina była młoda, a wszyscy lokatorzy znajdowali się akurat w pracy, oprócz pewnej starowinki, którą wszyscy nazywali „pani Jałowcowa”. Kobieta wyszła z psem na długi spacer. To ona zostawiła odkręcony gaz. Przypadkiem, naturalnie. Jałowcowa nigdy nie przejawiała skłonności autodestrukcyjnych.

Nie zmieniało to faktu, że sąsiedzi, którzy właśnie stracili mieszkania i wracali pod resztki swojego bloku, składali pod adresem staruszki życzenia długiego i pomyślnego współżycia z jej pupilem. I na odwrót.

Po wybuchu budynek osunął się na bok i przewrócił, pozostawiając nienaruszone jedynie dwa mieszkania na wysokim parterze, w tym jedno należące do Burkowskiego.

Korzystając z zamieszania, Rainhard zwinął kask jednego ze strażaków i wsunął go sobie na głowę. Jako strażak (czyli, jak to sobie nazwał – „szawatarując”) mógł

podejść swobodnie do mieszkania Burkowskiego, następnie dyskretnie nasączył szmatkę spirytusem, wsunął w butelkę, podpalił i wrzucił do mieszkania przez rozbite okno.

Potem zwrócił kask i poczekał, aż wszystko się dokładnie rozpali.

Na koniec jako Burkowski wyciągnął pożyczony aparat fotograficzny i rozpoczął dokumentowanie pożaru. Spisywał nazwiska stojących obok ludzi przyglądających się, jak mieszkanie ogarniają płomienie, oraz notował numery służbowe znajdujących się na miejscu policjantów i strażaków.

Na drugi dzień zebrał od kogo się tylko dało zeznania, wywołał zdjęcia u fotografa (w Szarawie było sporo miejsc, gdzie można było kupić błony fotograficzne do archaicznych, z punktu widzenia Rainharda, aparatów), wykonał kopie dokumentów (usługi ksero na szczęście już raczkowały) i udał się do ubezpieczyciela celem wyłudzenia odszkodowania.

Dokonawszy tego, wrócił do domu.

* * *

O swoim pierwszym zleceniu opowiedział Lenie trochę później, już po miłosnych zapasach, których do których doszło na podłodze pokoju, i po tym jak przenieśli się do łóżka, żeby odpocząć.

Lena wysłuchała go ze skupieniem, ale radość Rainharda przygasła nieco, kiedy zarzuciła mu nieuczciwość. Trochę się pokłócili.

Męczyło go za to jeszcze jedna sprawa. Coś czego nie pojmował, a na co Lena mogła rzucić trochę światła. W końcu zapytał:

– Czy mogłabyś tak racjonalnie i bez odnoszenia się do magii, wyjaśnić w jaki sposób zmieniam swoją postać? Czyli szawataruję – dodał dumny z nowego neologizmu.

Lena odpowiedziała mu, używając wyrażeń takich jak „transformacja” czy „selektywna mutacja” i doprawiając wszystko „transgresją” i „migracją”.

Oczywiście Rainhard zgubił się bardzo szybko i po drugim zdaniu wyjaśnienia słuchał już tylko uspokajającego tonu głosu Leny, kiwając energicznie głową kiedy dziewczyna wyraźnie tego od niego oczekiwała.

W pewnym momencie ocknął się z zasłuchania i stwierdził, że może by tak drugi raz...

Wyciągnął rękę, ale Lena już spała.

Rainhard przewrócił się na wznak i włożył ręce pod głowę.

Szarawa – pomyślał. *Może nie będzie tu tak źle?*

Marcin Jamiołkowski

Uzależniony od programowania kofeinista, wychowany przez Atari 65 XE i wykarmiony przez magnetofon kasetowy, twierdzi, że pamięta czasy, kiedy gry komputerowe były nadawane przez radio. Autor serii książek o warszawskim magu – Herbercie Kruku, awanturniczej space opery pt. „Keller” oraz kilkunastu opowiadań i drabbli rozsianych po sieci i zbieranych do zbioru opowiadań o nazwie „Migawki”. Uważa, że drabble mają specyficzny rytm, a on poszukuje najlepszego. Kiedy nie pisze programów i gier na smartfony, pisze książki i więzi je w szufladach. Pierwszą książką SF, którą przeczytał był „Bal na pięciu księżycach” Bohdana Peteckiego. Od tej pory ukochał nie tylko fantastykę, ale i bal – sam nie wie, które woli bardziej.

http://geniuscreations.pl/autorzy/marcin-jamiolkowski/
https://madbooks.pl/jamiolkowski-marcin
https://ebook.madbooks.pl/jamiolkowski-marcin

Patronat medialny

„A Safe, Warm Place with Books” – blog powstały z potrzeby posiadania własnego, przytulnego miejsca pełnego książek, w świecie, w którym o takie miejsca trudno. Prowadzony jest przez parę: Vyar, wiedźmę i zielarkę, wielbicielkę puchatych kotków i paskudnych wirusów, oraz Milczka, cyberpunkowego asasyna, z wieloletnim doświadczeniem w prowadzeniu gier RPG. Książkowy zakątek zajmuje się głownie tematyką fantastyczną, wliczając w to książki, komiksy, podręczniki do RPG oraz planszówki, z okresowo pojawiającymi się przepisami na coś umilającego czytanie.

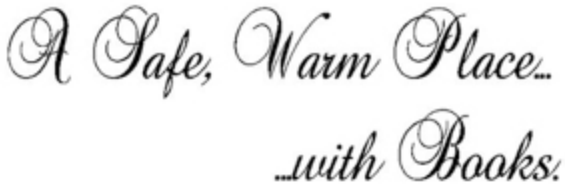

Ekstrakcja – Dawid Kain

Wszystko jest czarne. Tkwię w samym środku czegoś, czego nie potrafię nawet nazwać. A wokół chwiejnie tańczą cienie, piętrzą się bezimienne kształty.

Wszystko takie ciężkie, takie zimne i twarde.

Wszystko czarne.

– Ekstrakcja zakończona – mówi ktoś.

Rozglądam się, ale nikogo nie widzę.

Unoszę te dwie… Jak one się nazywały? „Ręce”? Unoszę „ręce”. Para bladych plam. Nie czuję ich, chociaż nimi poruszam. W ogóle należą do mnie?

Co mogę zrobić? Teraz żadne działanie nie jest wystarczająco sensowne.

Dotykam… Czego? Tego z przodu, miękkiego, gdzieniegdzie porośniętego czymś, gdzieniegdzie zupełnie gładkiego. Jak się na to mówiło? „Twarz”? Dotykam „twarzy”. Zdrętwiała. Trochę jak blizna. Ale też mokra.

Łzy.

Pewnie i one kiedyś miały jakiś sens.

– Pierwszorzędny, naprawdę pierwszorzędny Ekstrakt.

Kto to powiedział?

Gdzie ja jestem?

* * *

– Skoro nie wierzę w żadnego Boga, to chyba oczywiste, że nie wierzę też w istnienie duszy.

– Czemu więc pańską twórczość określa się mianem „metafizycznego koszmaru”?

Chyba wydaje jej się, że zagięła mnie tym pytaniem. Publika wstrzymała oddech. Jaka tam zresztą publika? Na sali jest może ze trzydzieści osób. Prowadząca, Matylda, mruga nerwowo, ale dobrze wiem, że to tylko gra, dobrze wiem, że teraz czuje się bardziej pewna siebie niż jeszcze pół godziny temu, gdy zaczynaliśmy. Dziewczyna początkowo traktowała tę rozmowę jako intelektualne wyzwanie, teraz chyba bardziej jako odwet na całym literackim świecie. Nie chcieliście przyjąć mnie w swoje szeregi, więc się zemszczę.

Wiem, że ona też pisze, i wiem też, że pisze słabo. Kiedyś przysłała mi jakieś opowiadania, których nawet nie miałem siły krytykować. W tej chwili ma okazję chociaż przez chwilę górować nad gigantem. Może bezkarnie zdeptać sterty moich papierowych światów swoim granatowym pantofelkiem, westchnąć i wybuchnąć udawanym śmiechem.

– Właśnie dlatego, że w moich tekstach wszelka metafizyka okazuje się mitem. I to jest źródło najgłębszej, najbardziej paraliżującej grozy. Fakt, że jesteśmy tylko zwierzętami, których celem pozostaje kopulacja i zdominowanie innych osobników. A ci, którzy nie poradzili sobie z tym całym „życiem”, zaczęli snuć opowieści, że

istnieje coś więcej, jakaś druga przestrzeń. Nie istnieje. Są tylko miliardy zwierząt z lekkim bądź ciężkim szmerglem, które mnożą się i zdychają. Nic ponadto.

– A jak się ma do tego zdanie otwierające pana trzecią powieść, „Miss Entropia”: „Skoro ludzie pieprzą ciała, to bogowie muszą pieprzyć umysły”?

Wzdycham, wiercąc się w fotelu. To chyba jakiś żart.

– Naprawdę nie zwróciła pani uwagi na to, że to najbardziej autoironiczna z moich książek? Po miażdżącej krytyce współczesnej cywilizacji i jej dokonań w dwóch wcześniejszych powieściach postanowiłem ten jeden raz skupić się na sobie. Co do przytoczonego fragmentu – tak właśnie odpowiedziałem recenzentom, twierdzącym, że moje teksty „dziurawią psychikę czytelników”. A jak oni to sobie wyobrażali? Miernoty piszą dla rozweselenia bydła, ja piszę po to, żeby zwielokrotnić się w głowach odbiorców. Czemu niby miałbym być jak inni? Stałbym się przecież parodią samego siebie.

* * *

Podczas małego *afterparty* w klubie Ambrozja wymknęliśmy się z Matyldą do toalety i zrobiliśmy to tak, jak przystało na ludzi, którzy czują do siebie jednocześnie odrazę i fascynację. Ujeżdżała mnie przez jakieś dziesięć minut, potem wstała i wyszła bez słowa. Nie pierwszy i pewnie nie ostatni raz. Nasza relacja zaczęła przypominać coś w rodzaju pogłębiającego się uzależnienia. Słowne pojedynki przerywane erotycznymi ekscesami. Fizyczna

harmonia niemożliwa do pogodzenia z ewidentnym niedopasowaniem charakterów.

Matylda była uosobieniem wszystkiego, czego nie znosiłem: pretensjonalną absolwentką jakiegoś humanistycznego kierunku na snobistycznej uczelni, zaczytaną wyłącznie w literaturze wysokiej i zaciekle wstawiającą na fejsa cytaty z klasyków. W jej mniemaniu literatura jest jak orgazm po dniu wypełnionym nudnymi obowiązkami. Jak ucieczka od życia, przyjemność z najwyższych półek, po którą sięgają nieliczni. Znałem takich już setki. Płuca pełne westchnień, uniesione wysoko głowy i absolutne przekonanie o własnej niepowtarzalności. Tylko czemu one wszystkie tak mnie przyciągały? Czemu nie mogłem przestać o nich myśleć?

Po powrocie do stolika zauważyłem, że przysiadł się do nas jakiś sympatycznie wyglądający staruszek w kaszkiecie i czarnych rękawiczkach. Okulary w grubych oprawkach, usta zdające się nieustannie uśmiechać, oczy jaśniejące pełną aprobatą dla świata. Po przejściu na emeryturę pewnie nie odpuszcza sobie żadnego „wydarzenia kulturalnego” w rozkładzie. Biblioteki, kina, muzea, teatry. Bo niby co innego miałby robić? Starość.

– Pan naprawdę tego w sobie nie czuje? – powiedział, nawet się nie przedstawiając.

– Czego? – spytałem, odpalając sobie papierosa od stojącej na blacie świeczki.

– Duszy.

Z roztargnieniem rozejrzałem się po sali, szukając wzrokiem Matyldy. Nie wiem, czego więcej mógłbym od niej chcieć. Mimo zbieżnej branży nie znajdowaliśmy przecież wspólnych tematów. Każda nasza dyskusja prędzej czy później przeradzała się w awanturę. Nieustanne kolizje naszych światopoglądów nigdy nie zwiastowały niczego dobrego. Ale seks był świetny.

– Jak można czuć coś, czego nie ma? To by było zwykłe urojenie.

– Według ostatnich badań niemal każdy człowiek wierzy, że ma duszę. Więcej ludzi wierzy w istnienie duszy niż w Boga. Co pan na to?

Siedzący przy stoliku znajomi zamilkli i w napięciu czekali na moją odpowiedź. Twarze zupełnie jak maski, pod którymi nic się nie kryje. To jest właśnie odpowiedź na każde z metafizycznych pytań: za tym wszystkim czai się wyłącznie pustka. Życie odwraca od tego naszą uwagę. Od faktu, że pod cywilizacją, historią, narodem, społeczeństwem, rodziną, osobowością i człowieczeństwem kryje się Nic.

– Cóż, może po prostu nie jestem człowiekiem.

Wszyscy zanieśli się śmiechem, jakby to był świetny żart. Tylko ja i staruszek zachowaliśmy powagę. On dalej wyglądał tak, jakby przepełniało go niewysłowione szczęście, ja zaś żałowałem, że nie odwołałem zawczasu dzisiejszego spotkania, że nie zostałem w domu, z butelką czegoś mocniejszego przed telewizorem.

– Napije się pan ze mną? – spytał tamten, wyjmując z wewnętrznej kieszeni marynarki do połowy opróżnioną setkę bez etykiety.

W pierwszym momencie wzdrygnąłem się, ale po chwili dotarło do mnie, że łyk bimbru zrobi mi lepiej niż wszystkie piwa i drinki oferowane w Ambrozji. Trzeba mi teraz czegoś, co naprawdę mnie rozpali. A skoro Matylda gdzieś poszła…

– Zdrowie – powiedziałem. Pociągnąłem niewielki łyk, a potem oddałem buteleczkę sympatycznemu dziadziusiowi. Przytknął ją do ust, nie przestając się uśmiechać. Sekundę później już chował ją do kieszeni.

Cokolwiek to było, smakowało bardzo dziwnie. Trochę paliło w gardle, ale przede wszystkim miało lekko słonawy smak i powodowało wrażenie, jakby w cieczy wirowały tysiące niewidzialnych igiełek wbijających się w język.

– Niezłe – skłamałem.

– Nazywają to Ekstraktem.

– Chwytliwa nazwa.

– Taka buteleczka kosztuje ponad pięćdziesiąt tysięcy euro, więc mam nadzieję, że doceni pan mój gest.

Jego słowa tak mnie zaskoczyły, że papieros aż wysunął mi się spomiędzy palców i upadł pod stolik.

Jeszcze przed momentem nawet nie przyszłoby mi do głowy, że siedzi przede mną kompletny szaleniec. Jednak nie powinno mnie to aż tak dziwić – na spotkaniach autorskich często zjawiają się ludzie, delikatnie mówiąc, zwichnięci.

Postanowiłem zabawić się trochę jego kosztem, póki miałem na to ochotę.

– Musi pan być bardzo bogaty, skoro stać pana na coś tak drogiego.

– Ależ nie, źle pan zrozumiał, ja tego nie kupuję. Jestem producentem Ekstraktu. Jest nas w Europie ledwie kilkunastu, klientelę za to można już liczyć w setkach. Oczywiście nikt o tym głośno nie mówi, bo niespecjalnie się z tym naszym produktem afiszujemy. Można powiedzieć, że w pewnych kręgach chodzą słuchy, że oferujemy napój bogów.

Widząc, że dosiada się do nas Matylda, staruszek zamilkł.

Spojrzała na mnie tymi swoimi wielkimi oczami jelonka Bambi i pomyślałem, że albo jest zakochana, albo wzięła kokę. Jak to możliwe, że w jeden wieczór z zimnej suki starającej się sprowadzić mnie do parteru – najpierw niewygodnymi pytaniami, potem argumentami cielesnymi – zmieniła się w kogoś takiego.

– Mogę to zresztą państwu pokazać.

– Co pokazać? – spytała Matylda, kładąc mi dłoń na kolanie.

– Ekstrakcję. To naprawdę fascynująca sprawa.

* * *

– To bez sensu – powtarzała raz za razem Matylda, ale ja byłem podekscytowany jak nigdy wcześniej. Rozsadzała mnie jakaś dziwna energia i czułem opętanie duchem

kreatywności: następną książkę napiszę właśnie o tym. Będzie nosić tytuł „Ekstrakcja” i będzie jedną wielką kpiną z ludzkiej duchowości, niekonwencjonalnym żartem, na jaki dotąd się nie odważyłem.

Staruszek szedł kilka kroków przed nami: zgarbiony, milczący przewodnik po wyludnionych ulicach nocnego miasta.

– Czemu po prostu nie pojedziemy do mnie?

– Ćśś. Czytelnik prowadzi, trzeba podążać za nim – odparłem, szczerząc się jak maniak.

Nagle nasz towarzysz zatrzymał się.

– Tutaj – powiedział.

Rozejrzałem się dookoła. Jakaś niezidentyfikowana, słabo oświetlona uliczka, ponure kamienice, kilka zaparkowanych na chodniku samochodów. Oprócz nas nie było tu nikogo.

– Wydobędzie pan ten cały Ekstrakt spod ziemi? – spytałem, niemal parskając śmiechem.

– Młoda damo, potrzebny mi będzie twój telefon – zwrócił się do Matyldy.

Popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

– Daj – szepnąłem jej na ucho. – Przecież i tak nie zużyje ci tych wszystkich darmowych minut.

Podała staruszkowi komórkę, krzywo się uśmiechając.

– Początkowym etapem – zaczął wyjaśniać, wystukując na klawiaturze telefonu jakiś numer – jest tak zwane wystawienie obiektu na próbę ciemności. Czego pan się najbardziej boi, panie Tkaczyk?

– Chyba tylko tego, że naprawdę mam rację – odparłem, z trudnym do wyjaśnienia zachwytem przyglądając się pobliskim kamienicom. Ich ściany wydały mi się nienormalnie kruche, wystarczyłoby lekko zastukać, by wybić w nich dziurę. Z czego je zrobiono? Z gliny? Wiele na to wskazywało. W ogóle co za szalony pomysł: mieszkać w kilkupiętrowych budowlach z gliny. Przecież to wszystko może się zawalić, runąć w każdej chwili.

– Załóżmy więc, że tak właśnie jest, że trwa bezwzględna wojna wszystkich przeciw wszystkim, że ludzie to tylko dzikie zwierzęta, które nieustannie pożerają się nawzajem. A pani?

– Nie mam bladego pojęcia… Wiem tylko, że takimi podejrzanymi uliczkami zazwyczaj nie chadzam, bo boję się, że ktoś mnie zgwałci i zabije. Albo zabije i zgwałci.

– To bardzo powszechny lęk – odparł tamten. – Zgwałci i zabije, połączy przyjemne z pożytecznym. Przepraszam na moment. – Przyłożył słuchawkę do ucha, poprawiając na głowie kaszkiet. Po chwili odezwał się całkowicie zmienionym, damskim głosem. Głosem Matyldy. – Błagam, pomóżcie mi… on… on mnie zgwałcił… Beniamin Tkaczyk zaciągnął mnie do toalety klubu Ambrozja i tam… tam… Mój Boże, on tu jest! Idzie za mną!

Nie mogłem uwierzyć własnym uszom.

Co to wszystko miało znaczyć?

Jak ten dziadzio to robił? I po co?

Rozłączył się i jak gdyby nigdy nic oddał komórkę Matyldzie. Minę miała taką, jakby niewiele jej brakowało do

płaczu.

– To nie było śmieszne! – powiedziała. – Pan jest chory. Powinien się pan leczyć.

Zemdliło mnie. Nie mogłem zebrać myśli. Nie mogłem się nawet ruszyć.

Czułem się tak, jakbym nagle zaczął grać w filmie reżyserowanym przez jakiegoś psychopatę. W dodatku po wypiciu syfu, którym ten świr mnie poczęstował, wszystko wydawało mi się takie... nierealne.

– W myślach nazywacie mnie staruszkiem. Nazywacie mnie dziadziem. Wyglądam na sympatycznego, pogodnego człowieka. Zawsze tak wyglądałem. To bardzo pomaga mi w pracy. Ułatwia skomplikowany proces ekstrakcji. Musimy przecież budzić zaufanie.

– Coś jest nie tak – powiedziałem bełkotliwie. – Lepiej stąd chodźmy.

– Dusza małej dziewczynki uwięziona w ciele dorosłego mężczyzny, który osiągnął niewiarygodny sukces. Jaki ona miała smak? Ta dusza, którą pana poczęstowałem? Bardziej cierpka niż słona, nie uważa pan? Zdecydowanie więcej w niej niepokoju niż podekscytowania. Proporcje zmieniają się w ekspresowym tempie. Znam się na tym. Tamten Ekstrakt przygotowałem specjalnie na dzisiejszą okazję.

Chciałem uciekać, ale nie mogłem zrobić nawet kroku. Wszystko wokół zaczęło nagle puchnąć. Właśnie tak: puchnąć. Jakby tego świata z każdą sekundą robiło się coraz więcej. A ja tylko kurczyłem się w sobie. Wyparowywałem.

Nagle usłyszałem zduszony krzyk Matyldy. W całej swojej megalomanii pomyślałem jednak, że krzyczy, bo ze mną dzieje się coś niedobrego.

* * *

Kolejne wydarzenia były tak nieprawdopodobne, że uznałem je po prostu za przedłużający się koszmar. Być może tamtej nocy uderzyłem się w głowę, być może byłem teraz w głębokiej śpiączce i dlatego właśnie uczestniczyłem w tym, w czym uczestniczyłem.

Pamiętam tylko niektóre rzeczy. Nagłówki gazet: „Znany pisarz zabija z zimną krwią?!”, „Tkaczyk oskarżony o gwałt i pobicie ze skutkiem śmiertelnym!”. Nie wiem nawet, czy je wyśniłem, czy widziałem naprawdę… Urywki przesłuchań, podczas których czułem się coraz bardziej bezsilny, nie mogąc nikomu wytłumaczyć, co się tak naprawdę wydarzyło. Bo okazało się, że nikt poza mną nie widział wtedy towarzyszącego nam staruszka. Moi znajomi zeznali, że z Ambrozji ja i Matylda wyszliśmy całkiem sami. Twierdzili, że wcześniej zachowywałem się „bardziej ekscentrycznie niż zazwyczaj”. Podobno dyskutowałem sam ze sobą na temat jakiegoś „Ekstraktu”. Podobno byłem „pijany jak świnia”.

Wszystkie dowody przemawiały przeciwko mnie. Policja dysponowała nie tylko nagraniem Matyldy wrzeszczącej do telefonu, że ją zgwałciłem, ale też materiałem genetycznym jednoznacznie potwierdzającym moją winę.

Nie potrafiąc racjonalnie wyjaśnić tego, co się dzieje, wpadłem w swego rodzaju histerię. Pewnego dnia zacząłem się po prostu śmiać i nie byłem w stanie przestać. Śmiałem się opętańczo, gdy mnie skazywano i gdy przewożono mnie do więzienia. Śmiałem się, gdy zamknięto mnie w celi i gdy dwóch współwięźniów, łysych wyrostków nieznających żadnych rozrywek poza brandzlowaniem się i wyciskaniem na więziennej ławie, spuściło mi taki łomot, że straciłem przednie zęby. Trząsłem się ze śmiechu, gdy jeden trzymał mi but na karku, a drugi mnie gwałcił. Potem zamienili się rolami, a ja śmiałem się tak bardzo, że aż zacząłem się dusić.

Spadając w siebie i tracąc czucie, słyszałem jeszcze echo swojego histerycznego chichotu.

Cieszyłem się, że umieram i że ten cały makabryczny żart wreszcie się kończy.

Jakże naiwny byłem.

* * *

Przeżyłem. Kiedy odzyskałem przytomność, już nie było mi do śmiechu. To działo się naprawdę: stałem się zwykłym cwelem, niemal codziennie gwałconym i lanym przez skurwieli porozumiewających się monosylabami. Wielki prozaik Beniamin Tkaczyk sięgnął samego dna.

W końcu zacząłem wierzyć, że sam sobie na to zasłużyłem. Paraliżujące poczucie winy i przekonanie, że przez kolejne lata nic się nie zmieni, w szybkim tempie doprowadziły mnie poza granice obłędu.

I gdy byłem już absolutnie pewien tego, że jedynym rozwiązaniem jest samobójstwo, gdy już zacząłem je w najdrobniejszych szczegółach obmyślać, niespodziewanie dowiedziałem się, że mój ojciec przyszedł na widzenie. To tchnęło we mnie nowe siły. Choć z ojcem nie miałem kontaktu od prawie pięciu lat, choć wcześniej kłóciliśmy się raz za razem, bo on nie aprobował ani mojego zawodu („zająłbyś się, chłopie, czymś poważnym”), ani trybu życia („założyłbyś wreszcie rodzinę, ustatkował się”), to przecież teraz pojawiła się szansa, że mnie wysłucha i zrozumie, że zostałem wrobiony w tę zbrodnię, że jakiś szaleniec zabawił się moim kosztem.

Czekając na pojawienie się ojca, w myślach starałem się dobrać odpowiednie słowa, żeby moja historia brzmiała wiarygodnie i przejmująco zarazem. Do diabła, byłem przecież pisarzem i gdy opowiadałem o życiu wymyślonych postaci, wszyscy czuli, że trafiam w sedno, a teraz, kiedy mam powiedzieć coś prawdziwego na swój temat, nie jestem w stanie sklecić nawet najprostszego zdania.

– No i jak ci się żyje w świecie zwierząt, których celem pozostaje kopulacja i zdominowanie innych osobników? – spytał znajomy głos. – Nie zacząłeś marzyć o jakiejś drugiej przestrzeni, jakiejś duszy, którą mógłbyś jeszcze w sobie ocalić?

Podniosłem wzrok. Przede mną siedział ten psychopatyczny staruszek. Wyglądał zupełnie jak wtedy, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy: kaszkiet, okulary w grubych oprawkach, usta wykrzywione w nieznacznym

uśmiechu, oczy jaśniejące niewytłumaczalną radością, czarne rękawiczki na dłoniach.

– Czemu mi to zrobiłeś, skurwielu?! – spytałem łamiącym się głosem. – Co chciałeś udowodnić?

– Nic. Dostałem zamówienie na Ekstrakt pisarza, więc wybrałem tego, który akurat był pod ręką. Gdybym tamtego wieczoru poszedł na inne spotkanie autorskie, teraz na twoim miejscu byłby ktoś inny... Tłumaczyłem ci przecież, że ekstrakcja jest dość skomplikowanym procesem. Niełatwo wyłuskać duszę z ciała, szczególnie w przypadku kogoś, kto nie wierzy, że w ogóle ją ma. Trzeba przejść przez piekło, żeby to zrozumieć. Ekstrakt wydostaje się z obiektu tylko w chwili największych opresji... Wtedy, gdy człowiek nie widzi już żadnego sensu w swoich poczynaniach.

– Skończ już z tym. Wygrałeś. Miałeś rację. Przestań się mną bawić!

– To nie zabawa. To praca, niezwykle ciężka praca. Dobrze płatna, lecz pełna wyzwań. A teraz pozwól, że zakończę proces. Nie będziesz dłużej cierpiał.

Poczułem przeszywający ból w okolicach przepony, zupełnie jakby ktoś wbił mi tam ostrze i powoli je obracał. Jęknąłem, walcząc o oddech. Do oczu napłynęły mi łzy.

W takich chwilach człowiek podobno odtwarza w pamięci całe swoje życie, ale ja widziałem tylko bezmiar cierpienia, na które naraziłem bohaterów moich powieści. Przez chwilę byłem nimi i wiedziałem, że ich zawiodłem.

Skazałem ich na koszmary, z których tkałem moją fikcję. Zabrałem im nadzieję, bo sam jej nie miałem. Aż do teraz.

* * *

Widzę dłoń w czarnej rękawiczce.

Widzę szklaną buteleczkę, a na jej dnie odrobinę przezroczystej cieczy.

Potem cały świat gaśnie…

– Ekstrakcja zakończona – mówi ktoś.

Wszystko wokół jest czarne. Nie wiem, gdzie jestem, i nie wiem, skąd się tu wziąłem. Wiem tylko, że teraz jest mnie mniej niż kiedyś. Odrobinę mniej. A to przecież nie powinno robić żadnej różnicy, prawda?

Wszystko takie ciężkie, takie zimne i twarde. Wszystko czarne.

Tylko cienie tańczą.

Epilepsja jest tańcem – Dawid Kain

Coca-Cola czy Pepsi? – oto jest pytanie.

Wpatruję się w krzywe odbicie mojej twarzy w szybie, za którą piętrzą się puszki i butelki, nęcąc obietnicą niepowtarzalnego smaku i niezapomnianych wrażeń. No no no, one są w stanie zmienić twoje smutne i bezbarwne życie wraz z pierwszym łykiem, obrócić je do góry nogami. Ach tak, mmm, to jest to, *enjoy*, i uśmiechnij się, bo jutro może nie nadejść.

Na wyimaginowanych szalach ważę wszystkie za i przeciw. Pepsi jest zbyt słodka, Coca-Cola za to nadmiernie wzbogacona gazem. A gdyby tak istniała tylko jedna marka, gdyby tak produkty tylko jednego rodzaju wypełniały półki współczesnych świątyń konsumpcji. A gdyby nie musieć wybierać, gdyby po prostu się zabić? Choć i tu dylemat: pętla, żyletka, tabletki czy może skok pod koła pociągu? Pytania wyrastają niczym nowe wieżowce pośród industrialnego krajobrazu, gdzie kolaże szkła, betonu i stali rozregulowują twój wewnętrzny kompas; tu nigdy niczego nie będziesz pewny i nigdy mowa twoja nie będzie brzmiała: tak, tak, nie, nie. Amen.

Zawsze miałem problemy z decyzjami. Chyba nawet w trakcie porodu nie wiedziałem, czy wychodzić wreszcie

na to jasne światło, w nieprzyjemne objęcia lekarza, czy zostać w przytulnym, cienistym i ciepłym wnętrzu matki. Bo niby świat ma swoje zalety, swoje plusy, ale nikt mi nie wmówi, że akwen wód płodowych jest pozbawiony specyficznego klimatu…

Nie mogąc przestać się wahać, kupuję wodę mineralną i zawstydzony swoim haniebnym czynem, tą umysłową rejteradą, wychodzę ze sklepu szybkim krokiem. Na szczęście wystarczy kilka sekund, bym doszedł do pocieszającego wniosku, że Pepsi i Coca-Cola to też w rzeczywistości tylko odmiany wody, jednej i tej samej, no może z jakimiś delikatnymi domieszkami. A jeśliby spojrzeć z boku, z szerszej perspektywy, to i ja sam jestem wodą, składam się przecież w większym procencie z niej właśnie, tylko skórą i flakami różnię się od brudnych kałuż, od szarych chmur na niebie, spuszczających się nad byle czym całymi dniami, tych ścierek, tych szmat, a być może nawet nie różnię się wcale.

Po co w ogóle cokolwiek kupowałem?!

W progu zderzam się z jakimś zgarbionym mężczyzną, jakby parodią Świętego Mikołaja. Ma dredy i jest ubrany w śmierdzące chemikaliami łachmany. Twarz niczym zbyt często obracana w dłoniach moneta. Nie wiem, czy jest prawdziwy, czy tylko udaje. Tego na pierwszy rzut oka nie da się skojarzyć. Czy to aktor, czy może autentyczny żebrak, sto procent zawartości menela w człowieku, bez zbędnych barwników? Mamroczę ciche przeprosiny choć to on stanął mi na drodze, a nie odwrotnie, no rany!

– O, szanowny panie, nie ma za co, nie ma za co – mówi. Jego zęby mają barwę chodnikowych płyt, włosy przypominają gniazdo węży, z których każdy żyje własnym życiem. – Ale skoro już na siebie wpadliśmy, to mam dla pana ofertę nad ofertami, coś nie do odrzucenia!

Nim zdążę pomyśleć, co to za oferta, nim zdoła mnie porwać diabelski młyn możliwości, a każda lepsza od poprzedniej, każda warta poświęconego czasu i wydanych na nią pieniędzy, facet wciska mi w dłoń jakąś ulotkę.

Na pewno szkoła językowa albo nowa pizzeria – szepcze sarkastyczny głos w mojej głowie.

Ewentualnie zakład pogrzebowy, na który jeszcze nieco za wcześnie, kolego – dodaje po chwili. I właśnie wtedy mój wewnętrzny narrator nagle wybucha szatańskim śmiechem. Swoją drogą, nie cierpię frajera. Zawsze próbuje mi sprzedać swoje trzy grosze, choć jego opinia mnie zupełnie nie interesuje. Naprawdę – ani trochę. Przypuszczam nie bez racji, że to mój syjamski bliźniak, który jeszcze w matczynym łonie zagnieździł się we wnętrzu mojej czaszki, a teraz nie daje mi spokoju; nie ma rączek, nie ma nóżek, nie ma głowy, a urządza prelekcje jak pełnoprawny obywatel tego zapchlonego państwa. Dajcie mi otwieracz do konserw, bym mógł go wydobyć. Dajcie mi korkociąg, bym mógł mu urządzić własnoręczną trepanację. Dajcie mi…

– Nawet szanowny pan nie spojrzy? – dziwi się Sędzia Dred.

Ulegając naciskowi, wlepiam wzrok w ulotkę.

„Epilepsja jest tańcem” – głosi tytuł, a poniżej, napisane maczkiem, którego nie byłbym w stanie przeczytać, gdybym nie miał kartki pięć centymetrów od gał, widnieją interesujące hasła: „pokaz sztuk, jakich nie znacie”, „show nieporównywalny z niczym innym”, „noc niezapomnianych wrażeń”; na samym dole dostrzegam adres i jutrzejszą datę.

– Cieeee… kaaaweee – odpowiadam, wywołując na twarzy menela uśmiech godny reklamy zakładu psychiatrycznego.

– Pewnie. Serdecznie zapraszamy szanownego pana.

Nie chcąc kontynuować tej porywającej wymiany poglądów, obchodzę mężczyznę i oddalam się, mówiąc „do widzenia”, chociaż w rzeczywistości mam nadzieję nie spotkać go nigdy więcej.

* * *

– Co? Nie rozumiem… Jak to zrywamy?! – piszczę do słuchawki, ta zaś z każdym zdaniem staje się coraz cięższa, jakbym ściskał w dłoni puchnącą z sekundy na sekundę cegłę.

– No zrywamy, zrywamy, po ludzku, normalnie.

– Ale czemu? – dziwię się, bo jeszcze wczoraj wszystko było świetnie, wszystko elegancko, miałem wierną dziewczynę z piegami i dyskretnym makijażem, na dodatek zgrabną i powabną, chodziliśmy tu i tam, kochaliśmy się na zabój, snuliśmy wspólne plany, a teraz wszystko wali mi się

na łeb, zupełnie jak kiedyś, z innymi laskami, których bywało może i wiele, ale zawsze bez sensu, niestety.

– Poznałaś kogoś? – pytam, z naciskiem na kogoś i domyślnym przypisem kim ten ktoś może być.

– A chciałbyś usłyszeć, że kogoś poznałam?

Co za idiotyczne pytanie!

– Chcę poznać prawdę.

– Słuchaj, Adam, zapomnijmy o całej sprawie. Znaliśmy się dwa miesiące i niech tak zostanie. Oboje pójdźmy dalej, rozwijajmy się, zamiast rozpaczać nad rozlanym mlekiem.

– Ale ja żadnego mleka, kurwa, nie rozlałem! – krzyczę, choć mój głos jest już na granicy płaczu, jeszcze słowo, a rozbeczę się jak dzieciak, który chciał na plac zabaw, a zamiast tego dostaje od starszego jedno wielkie molestowanie.

– Nie wyszło nam i tyle. Nie mam ci nic więcej do powiedzenia. Dobranoc.

Głucha cisza po tym, jak się rozłączyła, była gorsza niż huk wystrzału z lufy skierowanej prosto w moją skroń.

W gardle miałem gulę wielkości Tadż Mahal...

Dlaczego?

Czemu tak nagle i bez żadnych racjonalnych powodów, żadnych wyjaśnień?

Czy to ja jestem jakiś nieudany?

To jasne! Wkurzyło ją moje ciągłe niezdecydowanie, moja nieumiejętność życia w tak zwanym ludzkim stadzie, gdzie każdy ma swoją ściśle przypisaną rolę. Ja nigdy nie miałem żadnej. Zawsze działałem bez planu i bez

znaczących przesłanek. Może powinienem wreszcie rozpisać sobie jakiś scenariusz, wyznaczyć zadania. Może…

Boże, zaraz padnę.

Przecież mieliśmy iść dzisiaj razem do knajpy. Miało być piwo lub dwa, później upojny seks na moim skrzypiącym tapczanie, a potem papierosy i dym sączący się w sufit jak widmowa macka. A tu jedno wielkie Gie! I mały Ha!

Jedno jest pewne, nie mogę teraz zostawać tutaj sam…

Nerwowym ruchem wyciągam z kieszeni ulotkę, którą wczoraj przed południem wręczył mi Sędzia Dred. Cud, że się jej nie pozbyłem, bo zwykle od razu wyrzucam takie śmieci.

– Epilepsja jest tańcem – czytam, starając się skoncentrować na poszczególnych słowach, a nie na szumie, który wypełnia mi pustą przestrzeń między uszami, hucznie zwaną czasem umysłem, mózgiem czy czymś takim.

Czemu nie, równie dobrze mogę wybrać się na ten pokaz. Lepsze to niż siedzenie w tym ponurym mieszkanku i zastanawianie się, czy skok z okna na trzecim piętrze to już samobój, czy może tylko głupota i dożywotnie kalectwo.

Dziesięć minut później jestem w tramwaju.

Muszę bez ogródek przyznać, że to była najszybsza decyzja od niepamiętnych czasów. Żadnego wahania się. Sam siebie w tamtym momencie nie poznawałem.

* * *

Budynek, którego adres wyczytałem z ulotki, był jedną z wielu powojennych ruder straszących na ulicach naszego

miasta, wyróżniał go może nieco żółtawy kolor, nie taki znowu powszechny tu, pośród różnych odcieni szarości, ciągnących się z prawa do lewa jak przedszkolna wycinanka. W takich miejscach powinno się zachowywać szczególną uwagę, bo nigdy nie wiadomo, czy zza rogu nie wyskoczy jakiś typek uzbrojony w butelkę lub kosę, nigdy nie wiadomo, czy cię tu nie podziurawią zardzewiałym ostrzem, chcąc zdobyć kasę na mało szlachetny napitek w postaci *Château de Jabol*, rocznik najlepszy z możliwych, czyli bieżący.

Było już ciemno i strach o takiej porze włóczyć się po równie podejrzanych zaułkach, ale byłem zdesperowany. Poszedłbym nawet do siedziby samego Szatana, byle tylko zapomnieć o Oli po tym, gdy wykręciła mi taki numer bez żadnej zapowiedzi, żadnego uprzedzania, jak się sprawy mają. W najgorszych koszmarach nie spodziewałbym się, że okaże się aż taką suką. Zawsze wydawała się raczej opanowana i godna zaufania, bez względu na okoliczności. „Zrywamy, zrywamy”. Żebym ja ci, franco, nie zerwał łba z karku!

Nic mi się nigdy nie udawało, taka prawda, więc niech mi chociaż dzisiaj wyjdzie ta wieczorna eskapada, niech zobaczę coś, co wreszcie wyrwie mnie z marazmu, bo już powyżej duszy mam codziennej monotonii, w której tkwię niczym szczur w szambie…

Wszedłem w słabo oświetloną bramę i w półmroku dostrzegłem na odrapanej, ozdobionej wykonanymi markerem nieprawomyślnymi hasłami ścianie tabliczkę

z napisem „Pokaz sztuk nieznanych”, a pod spodem strzałkę, kierującą mnie spiralnymi schodami w dół, w dół, w dół, do jakichś piwnic czy innych katakumb, gdzie na drodze stanęły mi w końcu masywne metalowe drzwi, w które zapukałem bez cienia wahania.

Równie pewny siebie nie byłem od lat. Wszystko stało się w moich myślach piekielnie jasne, każdy krok oczywisty, wybrana ścieżka jedyną możliwą, wkurwienie na Olę coraz większe, rozrastające się niczym rak, karmiony myślami o tym, jak dobrze nam było razem i jak ona mogła nagle tak bezczelnie to spierdolić. Cóż, na pewno poznała innego, nie ma chuja, przystojniejszego, lepiej zbudowanego, zarabiającego krocie, dbającego o nią w sposób, jaki nigdy nie przyszedłby mi do głowy, bardziej wprawnego w szeroko pojętych zapasach łóżkowych niż ja: kochaś, kurwa, od siedmiu boleści, szalejący jeśli już to w pozycji klasycznej bądź sześć dziewięć, bez grama wyobraźni, pomysłu, w jaki sposób te nasze fikołki ubarwić.

Ależ by było fajnie, gdyby faktycznie ktoś mnie tu napadł, złamał mi kark jak zapałkę. A później Ola by się o tym dowiedziała i kompletnie się załamała. Zaczęłaby płakać i nie mogła przestać. Ryczałaby tak bardzo, aż oczy kropla za kroplą wypłynęłyby jej z oczodołów, aż odwodniłaby się na amen i żadne karetki, lekarze ani anioły stróże nie mogliby już nic na to poradzić. Jedna wielka kaplica i nie ma to tamto.

Po paru sekundach w progu stanął znajomy dredziarz. Gniazdo na jego głowie wydawało się jeszcze większe niż

wtedy, gdy pierwszy raz się spotkaliśmy. Teraz był ubrany w staromodny garnitur, który pasował do niego mniej więcej tak samo, jak moje dzisiejsze zdecydowanie do mnie, niezdolnego do wyborów wiecznego dzieciaka. Wciąż śmierdział substancjami, których nazw nawet nie mogłem skojarzyć, nie mając nigdy z chemii oceny wyższej niż wymęczony dostateczny.

– O, proszę, witamy szanownego pana! Jednak się pan skusił, no kto by pomyślał. A więc te ulotki to nie była taka kompletna bzdura, jak wszyscy opowiadali.

Kiwnąłem głową w zadumie, myśląc raz jeszcze, czy aby dobrze zrobiłem, gnając w taką okolicę, gdzie o poważne tarapaty łatwiej niż o śliwkę pod okiem.

– Ile za wjazd? – spytałem, nie mając ochoty na dyskutowanie i roztrząsanie spraw, które się stały i już się nie odstaną.

– Dwie dyszki.

Co?! W pierwszym odruchu chciałem krzyknąć, że za tyle to mogę iść do Multikina, ale przełknąłem to pełne oburzenia zdanie i wygrzebałem z portfela banknot o wymaganym nominale.

Zrozumcie moją sytuację: zarabiałem śmiertelnie mało, w ostatnich miesiącach utrzymywałem się z pisania tekstów dla internetowego portalu „Absurdy naszego świata”, co generalnie polegało na wyszukiwaniu w sieci najgłupszych rzeczy, na jakie dało się trafić. Na ten przykład wiadomości o kobiecie, która żyła ze sprzedaży własnych dzieci, po prostu, rokrocznie rodząc nowe maleństwa, a później

wciskając je za horrendalne kwoty starszym małżeństwom z zagranicy, które z różnych powodów nie doczekały się własnego potomstwa. Ona zarabiała dziesiątki tysięcy, ja zaś dostawałem sześć i pół stówki na rękę. W częstych chwilach przygnębienia, myśląc o tej sprawie, żałowałem, że nie jestem kobietą ciężarną. Wtedy dopiero mógłbym się ustawić. Ach, że też, cholera, musiałem urodzić się z tym przeklętym kutasem…

– Jak pana wołają? – spytał niespodziewanie Sędzia Dred.

– Adam – odparłem, choć nie miałem bladego pojęcia, na co mu ta informacja, czy prowadził jakieś imienne statystyki, czy inne gusła tutaj teraz odprawiał.

– No to, panie Adamie, zapraszam za mną. Proszę uważać na stopień.

Mimo ostrzeżenia i tak się potknąłem. Jak zawsze.

Ruszyliśmy gdzieś ciemnym korytarzem. Śmierdziało tu, jakby ściany właśnie wymalowano albo ktoś po prostu rozlał rozpuszczalnik. Niech Ola żałuje, że ze mną skończyła i nie mogliśmy razem iść w to zajebiste miejsce, obojętne już, cokolwiek teraz miało się wydarzyć, jakikolwiek cud miałby za moment rozproszyć ten mrok swoim blaskiem, niech żałuje i niech ten żal tkwi jej w krtani jak drzazga.

Szybko wyszło na jaw, że moje myśli były omenami. Nagle, po lewej, rozbłysło jaskrawe światło i ujrzałem tam niewielkich rozmiarów pomieszczenie, odgrodzone od nas szklaną ścianą. Wewnątrz po turecku siedział nagi starzec.

Wyglądał, jakby ubrał na siebie skórę o kilka numerów za dużą – zwisała mu z kończyn jak wylinka z węża. Kąciki ust ciążyły gościowi w dół, co sprawiało wrażenie jakby był smutny od kilku dobrych dziesięcioleci i żadna, nawet najzabawniejsza rzecz, nie mogła go rozśmieszyć. Trochę się go bałem, przyznaję bez bicia; takie dziadki nadają się nieźle do filmowych horrorów, gdzie wyskakują zza rogu na Bogu ducha winnych bohaterów, a widz przed ekranem zaraz ma pełne gacie.

– Oto pierwszy z naszych artystów: pan Antoni. Niegdyś ubogi emeryt, obecnie gwiazda wieczornych pokazów – powiedział mój przewodnik.

Jakby słysząc te słowa i chcąc się popisać własnym rzadkim talentem, pan Antoni przyłożył pomarszczone, żylaste dłonie do oczu i zaczął coś przy nich kombinować. Otwarł bezzębne usta i wywalił białawy jak śnięta ryba język.

Poczułem ścisk w gardle. *Nie rób tego, cokolwiek zamierzasz* – pomyślałem.

Szybko okazało się, o co mu tak naprawdę szło. Nim się zorientowałem, wyjął sobie gałki z oczodołów i zaczął nimi żonglować, coraz szybciej i szybciej, najpierw z ręki do ręki, a później każdą osobno. To było po prostu niewiarygodne. Szklane oczy wyjątkowo dobrze odbijały padające z sufitu światło, więc już chwilę później, wirując opętańczo w powietrzu, przestały być dla mnie widoczne, a na drodze, którą pokonywały, dostrzec można było tylko parę jaskrawych okręgów, to powiększających się, to znów

kurczących, niczym metalowe obręcze, lewitujące nad wprawnymi palcami artysty. Była to bez wątpienia jedna z najbardziej zaskakujących i najdziwniejszych rzeczy, z jaką się kiedykolwiek zetknąłem, a zważywszy na charakter mojej pracy, z absurdalnymi zjawiskami stykałem się wyjątkowo często.

Z jednej strony ogarnęło mnie dojmujące obrzydzenie, z drugiej nie mogłem wyjść z podziwu, w jak szybki ruch wprawił te szklane kulki starzec, że stały się czystym światłem, kreślącym w przesiąkniętym nieprzyjemną wonią powietrzu hipnotyzujące okręgi.

Patrzyłem na to niczym zaklęty, niczym świr poddawany lobotomii, lękając się nie na żarty tego, co jeszcze mogło czekać mnie tej szalonej nocy. W pewnym momencie poczułem wręcz, że od nadmiaru bezsensu, którego właśnie byłem świadkiem, zaczynam opuszczać własne ciało, jakby moja dusza ulatywała wolno pod sufit, niby puszczony przez dziecko balonik, wzbijający się w niebo gdzieś nad odległym wesołym miasteczkiem.

Czemu akurat wesołym miasteczkiem? – tego nie wiedziałem.

Ale wizja była tak realna, że wręcz słyszałem śmiech wyobrażonych gówniarzy, odległe strzały na strzelnicy, radosne pokrzykiwania, świst mknącego *rollercoastera*, monotonny szum karuzeli, huk zderzających się gokartów, płacz dziewczynki, która zgubiła gdzieś mamę. Uderzyła mnie też wyraźna mieszanina woni cukrowej waty i spalin. Podłoże drżało od pracy niezliczonych, piekielnie głośnych

maszyn, które pracowały bez ustanku, nawet wtedy, gdy klientów można było policzyć na palcach jednej ręki.

Gdy byłem już dosłownie o krok od poddania się zupełnej schizofrenii, od całkowitej utraty zdrowych zmysłów, światło w pomieszczeniu za szybą zgasło, a my jak gdyby nigdy nic poszliśmy dalej, zostawiając pana Antoniego żonglującego oczami gdzieś tam, w gęstych ciemnościach, w śmierdzących piwnicznościach, co gorsza bez choćby sekundy oklasków, na które przecież w pełni zasłużył.

Zrobiło mi się naraz smutno i odczułem dotkliwy brak niezwykłości, których stałem się w sensie ścisłym głodny. Myślałem tylko o tym, jak bardzo chciałbym dalej na to patrzeć, dalej podziwiać artystę w pełni oddanego swojej pracy, gdy moja świadomość tymczasem oddalałaby się ode mnie, przebijając sufity i mknąc ku nieznanym, niezbadanym niebom innych światów...

Kolejny pokaz zaprezentowała nam kobieta imieniem Maria. Światło rozbłysło tym razem po mojej prawej, wybijając mnie z ponurych rozważań. Ujrzałem czyste piękno. Stuprocentowy ideał, jakiego każdy mężczyzna pragnąłby choć raz w życiu zaznać.

– Była tak zwaną dublerką erotyczną w kilkunastu polskich filmach ubiegłej dekady – wyjaśnił Sędzia Dred. – Mimo młodego wieku obecnie już trochę zapomniana, co wcale nie znaczy, że mniej wybitna niż kiedyś.

Kobieta, podobnie jak wcześniej pan Antoni, oddzielona była od nas ścianą z grubego szkła. Siedziała na łóżku

w samej bieliźnie, była tak szczupła, że ocierała się chyba o anoreksję, choć jej widok budził tylko pozytywne uczucia, w żadnym razie wstrętu, znanego wszystkim, którzy patrzyli kiedyś na prawdziwie chorą osobę. Obok znajdował się manekin o skórze ziemistej barwy, pozorujący mężczyznę.

To, co zdarzyło się chwilę później, przeszło moje najśmielsze oczekiwania.

Maria chwyciła manekina i tak pokierowała jego rękami, że najpierw objął jej twarz, potem szyję, a potem zaczął macać niewielki biust, z coraz większym pożądaniem. Wrażenie, że tak naprawdę siedzi tam mężczyzna, a nie zwykła kukła z plastiku, było nieodparte. Kierowany przez kobietę, poruszał się jak żywa osoba. Momentami zdawało mi się nawet, że oddycha, że jego klata unosi się, a usta rozchylają się nieznacznie.

Rozpiął jej stanik i zaczął całować piersi. Zmysłowość wprost promieniowała od tej niezwykłej pary. Potem ona wprawnymi ruchami zrzuciła z niego ubranie, a następnie zdjęła bieliznę i dosiadła go na łóżku. Poruszała się tak intymnie, jakby naprawdę uprawiała seks, a nas tu wcale nie było: oniemiałych widzów za szkłem, niczym przed gigantycznym ekranem. Całe jej ciało drżało z rozkoszy, ściskane w dłoniach ręce manekina błądziły po jej piersiach, brzuchu i pośladkach, niczym wskaźniki, które podkreślają wszystkie atrybuty kobiecości, jeszcze je uwypuklając. Gapiłem się na to z wypiekami na twarzy, jak

gówniarz, który po raz pierwszy w życiu ogląda film erotyczny.

Naraz przypomniały mi się te wszystkie dni, kiedy jako nastolatek wyobrażałem sobie, co będę robił z pierwszą chętną dziewczyną, jaką spotkam na swojej drodze, jakich figur nie stworzymy, nieznanych nawet akrobatyce, jakich orgazmów nie osiągniemy, aż ziemia będzie się trzęsła, zawirują igły sejsmografów, a niebo podrze się nad naszymi głowami niczym para przechodzonych lewisów. Ale nawet w najpiękniejszych wizjach mój pierwszy raz nie był tak udany, tak w każdym calu perfekcyjny, jak to, czego teraz byłem świadkiem.

Gdy Maria zaczęła jęczeć z rozkoszy, zrobiłem się już tak podniecony, że chciałem tylko czym prędzej rozbić szybę i zająć miejsce jej plastikowego partnera. Nim jednak zdołałem wprowadzić ten zamysł w czyn, światło za szkłem zgasło, a ja w mroku usłyszałem chrapliwe słowa przewodnika:

– Dlatego jest tak dobra, bo jeszcze nigdy nie kochała się z nikim naprawdę. Uwierzyłby pan, panie Adamie, że tak kipiąca seksem kobieta może wciąż być dziewicą? I to wieku trzydziestu jeden lat! Niesamowita sprawa. Zupełnie, jakby bycie pięknym i pociągającym uzyskiwało się przez pozostawaniem poza zasięgiem mężczyzn.

Ruszyliśmy dalej. Dosłownie kotłowało się we mnie. Chciałem wrócić i patrzeć całymi godzinami. Chciałem podziwiać, stać się idealnym obserwatorem, który nie zamyka oczu nawet na chwilę potrzebną do mrugnięcia.

Byłbym kimś takim, gdyby tylko dano mi szansę. Wiedziałem, czego chce, ale to zostało w ciemnościach, za naszymi plecami…

Kolejny – i jak się potem okazało: ostatni – artysta miał na imię Tadeusz. Jego *performance* zaskoczyło mnie równie mocno jak dwa poprzednie, a może nawet bardziej.

– Właśnie od „twórczości” Tadka zaczerpnęliśmy nazwę całego show: „Epilepsja jest tańcem”. Nie muszę chyba panu tłumaczyć, co to oznacza.

Nie musiał.

Tadek miał może z dwadzieścia wiosen na karku, ale w jego spojrzeniu była jakaś tajemnica, coś, co kazało przypuszczać, że duchowo jest znacznie starszy, niejedno przeżył, niejedno przecierpiał i w niejednej wojnie odniósł rany.

Stał po prostu w ciszy, patrząc na nas przenikliwym wzrokiem, choć przypuszczałem, że szyby mogą być w rzeczywistości lustrami weneckimi, a oni wszyscy wiedzą, kiedy zacząć przedstawienie tylko dzięki zapalającemu się w odpowiednim momencie światłu. W przeciwieństwie do poprzednich artystów ten był w pełni ubrany. Stał, patrzył, jego mocno umięśniona klata unosiła się powoli, rytmicznie. Czekał. Czekaliśmy i my.

Wtedy niespodziewanie uderzyła nas muzyka. Tak, „uderzyła” to najlepsze słowo. Była na tyle głośna, że poczułem ją głęboko w sobie, gdzieś wewnątrz klatki piersiowej. To był jakiś masakrycznie szybki utwór elektroniczny, z bitem walącym po kościach niczym

pneumatyczny młot. Wszystko aż zawirowało przede mną, dostałem mdłości.

Tadek z początku nie reagował na to, co się stało. Po kilku sekundach zaczął nieznacznie poruszać ustami, jakby krzyczał na nas, ale było tam tak głośno, że nie dało się usłyszeć słów, jeśli w ogóle jakieś padały. Potem wywrócił oczami, co sprawiło, że dreszcz przebiegł mi po plecach. Był chory, nie mogłem mieć wątpliwości. Zbladł, wyglądał jakby zaraz miał upaść i już się nie podnieść. Ścięgna na jego szyi napięły się mocno, niby cięciwy łuków gotowych do strzału. Kończyny zaczęły mu drżeć, najpierw tylko lekko, niemal niewidocznie, a potem tak mocno, że cała jego sylwetka się chwiała.

Nie trzeba specjalnej spostrzegawczości, by wiedzieć, że niekontrolowane ruchy jego ciała były w każdym calu sprzężone z bombardującą nas muzyką. Nie mogłem tego pojąć. Jak to się działo, że atak przebiegał tak idealnie równolegle do padających z głośników dźwięków?

Wpatrywałem się w artystę niczym maleńki człowieczek stojący przed gigantyczną zagadką, sekretem, którego ujawnienie nada jego życiu najgłębszy możliwy sens. Tadek trząsł się już cały, momentami upadając na podłogę i odbijając się od niej od razu jak na sprężynie. Przypominał marionetkę, której sznurkami szarpie sam Bóg. Każdy jego ruch, każde drżenie mięśni czy ścięgien było tak perfekcyjnie zsynchronizowane z muzyką, że trudno było w to uwierzyć. Miałem do czynienia z chorobą, w której

tkwiło tak wielkie piękno, że chyba sam chciałbym na nią zapaść.

Czułem rozchodzące się po moim ciele ciepło, coś jakby światło wypełniające moje żyły i tętnice, płynące w stronę serca, by uczynić mnie innym człowiekiem, istotą zupełnie odrębnej kategorii, kimś, dla kogo społeczeństwo nie utworzyło jeszcze odpowiedniej szufladki. I gdy byłem już dosłownie o centymetr od objawienia, o centymetr od przeistoczenia się z larwy w wielobarwnego motyla, światło zgasło, we mnie i na zewnątrz równocześnie, a muzyka ucichła jak nożem uciął.

Wrażenie jakby ktoś wyrwał mi z rąk ukochaną, a następnie uśmiercił ją na moich oczach…

Nie mogłem uwierzyć, że to już koniec. Błagałem o więcej, choć w portfelu zostały same drobniaki, z których w życiu nie uzbierałbym dwóch dych.

Półprzytomny wyszedłem z budynku, z tych magicznych niczym sklepy cynamonowe piwnic, z tych śmierdzących nieznaną mi chemią korytarzy, a później do białego rana błąkałem się po ulicach miasta, ślepy na przechodniów i mijające mnie samochody, ze spojrzeniem wbitym w widmowe kształty tańczące jeszcze gdzieś przed moimi oczami, zahipnotyzowany, kompletnie poza własnym ciałem, zupełnie jakby moja dusza utkwiła zaklęta w tamtych podziemiach niczym dżin w butelce, tak odległa ode mnie, że już nigdy nie zdołam jej odzyskać, za żadne skarby.

Nie pamiętam, jak wróciłem do domu. Nie pamiętam, co robiłem przez kolejne dwie doby. Może spałem, może

siedziałem na podłodze i kołysząc się rytmicznie do fal ogarniającej mnie raz za razem choroby sierocej, mamrotałem słowa, których nie zna żaden język tego świata.

Kiedy tylko jako tako doszedłem do siebie, uzbrojony w kilka dwudziestozłotowych banknotów ruszyłem z powrotem na ten niesamowity pokaz. Nawet w najgorszych koszmarach nie mogłem jednak przypuszczać, jak to się skończy…

Wróciłem na tamtą ulicę, tak, zgadza się, ale za nic w świecie nie mogłem odnaleźć budynku, w którym cała rzecz miała miejsce. Jakby gdzieś wyparował, zniknął z powierzchni ziemi. Szukałem chyba ze dwie godziny, mimo że ulica była jedną z mniejszych w naszym mieście, miała może trzysta metrów długości, nie więcej. Pytałem przechodniów, pukałem do mieszkań, dręczyłem kobiety z pobliskiego sklepu mięsnego, nachodziłem staruszka z jakiegoś kiosku. Nikt nic nie wiedział, nikt nigdy nie widział opisywanego przeze mnie budynku ani w nim nie był. Pod tym numerem znajdowała się teraz zupełnie inna, nowa kamienica. Zapach niedawno nałożonej farby był jednak taki sam, mocny na tyle, że można było poczuć wręcz narkotycznego kopa.

Zdałem sobie sprawę, że najprawdopodobniej straciłem wszystko, na czym mi jeszcze zależało.

A najgorsze, że gdy zrozpaczony w końcu wyjąłem z kieszeni wymiętą ulotkę, którą wtedy przed spożywczakiem dał mi zgarbiony dredziarz, zamiast show

„Epilepsja jest tańcem” znalazłem na niej tylko reklamę pizzerii, z żałosnym hasłem „kup jedną, drugą dostaniesz gratis!”, które wkurwiło mnie już nie na żarty, doprowadziło wręcz do pasji, a tę byłem w stanie wyładować na pierwszym lepszym przechodniu, który nawinął mi się na piąchę…

Tak zaczęła się moja obsesja.

To wydarzyło się ponad dwa lata temu. Stare czasy, choć zawsze będę pamiętał. Teraz, bezdomny i bezrobotny, zarazem szalony i boleśnie normalny, żyjący wyłącznie złudzeniami, a jednocześnie żywcem odarty z wszelkich złudzeń, błąkam się po Polsce, na gapę jeżdżąc od miasta do miasta, błądząc po ciemnych zakamarkach, zakazanych dzielnicach, opuszczonych uliczkach, budynkach, gdzie mieszkają już tylko bezpańskie koty i psy, a przez wybite okna włamuje się wyłącznie wiatr. Szukam, szukam, bez końca szukam miejsca, w którym z ulgą spotkam Sędziego Dreda i znów zobaczę artystów, którzy tchną w moje smutne i bezbarwne życie nowy sens, nową nadzieję, artystów, których dzieło, tak ulotne i nieokreślone, zostanie ze mną już na zawsze. Bo wiem, mój Boże, wiem bardziej niż kiedykolwiek, że oni gdzieś tam są, czekają, aż przyjdę zobaczyć, spojrzeniem omiatając ich sylwetki niczym reflektor, tańczą, żonglują i kochają się, mimo że wszystkie światła już dawno pogasły.

Kto wie, może mnie kiedyś spotkacie. W wymizerowanej twarzy i rozbieganym wzroku dostrzeżecie cień człowieka, którym kiedyś byłem. Wtedy, nim jeszcze postanowiłem

z dnia na dzień porzucić wszystko i ruszyć w trasę. Być może z mapy moich zmarszczek odczytacie ścieżki, którymi w ostatnich miesiącach podążałem, splątane, błędne i zawsze kończące się ślepymi zaułkami. Całkiem też możliwe, że miniecie mnie po prostu, jak każdego innego menela, odwracając wzrok z nieukrywanym wstrętem, tak przecież robi większość, czemu niby miałbym się oszukiwać, że wy będziecie inni. Podobno nadzieja umiera ostatnia, ale ja czuję, jakby we mnie już dawno wszystko umarło, zostały tylko ruiny, pył tańczący w promieniach słońca, jedno wielkie nic, tęskniące za dawną pełnią, której już nie osiągnie…

Jeszcze nigdy nie byłem tak bardzo zdeterminowany, jeszcze nigdy mój cel nie był tak jasny.

Na szyi mam zawieszony niewielki woreczek, w którym niezmiennie trzymam banknot dwudziestozłotowy. Podskakuje rytmicznie, gdy biegnę przed siebie, czy to uciekając przed policją, czy to podążając za widmem tamtej kamienicy, prześladującym mnie niczym fatamorgana. Nie ruszam go nawet wtedy, gdy dosłownie umieram z głodu, bowiem trzeba wam wiedzieć, że ludzie niechętnie wręczają drobne wariatom, choćby ci byli na skraju śmierci. Nie wydam tej kasy nawet wtedy, gdy będę konał z zimna w jakimś zapomnianym przez Stwórcę zaułku, w jakimś mieście, które nie ma nawet nazwy, którego nie ma na żadnych mapach, a musicie zdać sobie sprawę, że zima jest już śmiertelnie blisko, już czuję jej lodowaty oddech na

karku. Ale nie tknę tych pieniędzy, nie, choćbym miał zdechnąć jak kundel.

Biegnę, cel jest wyraźny, krok równy, oddech coraz płytszy, ale wiem, że nigdy, przenigdy nie mogę się zatrzymywać.

Cokolwiek się nie stanie, gdy wybije moja godzina, muszę mieć te cholerne dwie dychy na mój bilet do raju.

Incydent – Dawid Kain

Ani rodzice, ani nikt z dorosłych nie wiedział o tym, co się wtedy wydarzyło. Ja sam czułem jednak, że tamten przedziwny incydent z czasów dzieciństwa wywarł znaczny – a może nawet decydujący – wpływ na moje późniejsze losy.

Ile mogłem mieć wtedy lat? Pięć, może sześć, nie więcej. Zbliżał się Nowy Rok. Mama z tatą już od kilku dni żyli tylko Sylwestrem i planowaną imprezą u wujka Staszka. Bardzo się cieszyli, mogąc wreszcie wyrwać się z domu, a i ja byłem zadowolony, że uznano mnie za na tyle dużego, bym spędził tę noc pod opieką siedemnastoletniego kuzyna, Andrzeja.

Andrzej był całkiem fajny i często do nas przychodził. Pokazywał mi różne gry na konsoli i opowiadał historie o duchach – trochę straszne, trochę śmieszne, a przede wszystkim ciekawe. Kiedyś podsłuchałem, jak rodzice mówili, że ten Andrzej to taki dziwak, bo jeszcze nigdy nie miał żadnej dziewczyny i nie jest nigdzie zapraszany. *Jeśli każdy dziwak jest taki jak Andrzej, to i ja mogę zostać dziwakiem* – myślałem sobie.

Kuzyn przyszedł równo o dziewiętnastej. Rodzice zaczynali imprezę o dwudziestej, a jeszcze przecież musieli

dojechać.

– Pierwszy od dziesięciu lat Sylwester poza domem, wypadałoby się nie spóźnić – powtarzała mama, pośpieszając tatę, który zawsze robił wszystko na ostatnią chwilę, więc zaczął się kąpać i przebierać dopiero przed dziewiętnastą.

Andrzej zaraz po przyjściu powiedział mamie, że przyniósł dla mnie kilka bajek i będzie oglądał je ze mną.

– Tylko niech Michałek nie siedzi za długo, bo potem nie zaśnie – stwierdziła, nie mogąc ani na sekundę oderwać wzroku od lustra, przed którym stała już od pół godziny.

W końcu wyszli. W całym domu zrobiło się strasznie cicho. Andrzej siedział w fotelu przed telewizorem, założył sobie nogę na nogę i patrzył w swoje odbicie na czarnym, zgaszonym ekranie.

– To puścisz mi te bajki? – zapytałem, nie wiedząc, czemu jeszcze z tym zwleka i czy cały wieczór będzie tak nudno, jak teraz.

– Jak umiesz, sam sobie puść – odpowiedział, ciskając we mnie paroma wyciągniętymi z plecaka płytami.

Trochę zachciało mi się płakać, że tak zrobił, ale skoro byłem na tyle duży, by zostać w domu bez opieki rodziców, to byłem też za duży na płacz z byle powodu.

Pozbierałem płyty z podłogi, a Andrzej wstał i powędrował do barku. Kiedy próbowałem wyjąć DVD z plastikowego opakowania, słyszałem, jak kuzyn stuka głośno butelkami. Zrozumiałem, że jest na coś zezłoszczony,

więc dziś chyba nici z zabaw i wspólnego oglądania bajek. Muszę sobie radzić sam. Trudno.

Wsunąłem płytę do odtwarzacza i nacisnąłem odpowiedni przycisk na pilocie. Nieźle mi z tym poszło, w końcu nieraz widziałem, jak mama z tatą puszczali sobie filmy na DVD.

Od strony barku dobiegało ciche bulgotanie, jakby kuzyn łapczywie pochłaniał zawartość jakiejś wielkiej butli.

Ekran się zaświecił, a ja klęczałem przed nim, czekając w napięciu, co będzie dalej. Pojawił się czerwony napis, którego nie zrozumiałem, a potem zaczęła się nie żadna bajka, tylko prawdziwy film z aktorami. Był to film bez żadnej muzyki, bardzo cichy i nudny. Nie za bardzo wiedziałem, o co w ogóle w nim chodziło.

Na początku zobaczyłem starego pana, siedzącego na takim jakby tronie. Pan nosił brodę i długie siwe włosy. Był ubrany na czarno. Paznokcie miał dłuższe niż mama, tylko że niepomalowane. Spomiędzy włosów wystawały mu dwa guzy, ale nie było wyjaśnione, jak je sobie nabił. Ruszał palcami w powietrzu, jakby coś pisał. Nawet gdybym wtedy umiał dobrze czytać, to i tak bym nie zapamiętał aż tylu niewidzialnych słów. Potem na ekranie pojawiło się dużo gołych ludzi, którym działa się chyba jakaś krzywda, bo strasznie jęczeli, wzdychali, sapali i płakali. Jedni uderzali o drugich, szarpali ich z całej siły. Było pełno jasnych, bladych kolorów i też trochę różowych. Jednej pani z oczu popłynęły białe, pieniące się łzy, a potem druga zlizała je z jej policzków. Wtedy znów pokazano starego pana, który

teraz trzymał się za swój długi ogon i szarpał nim mocno, jakby chciał urwać.

– Coś ty włączył, gnoju!

Andrzej był zły i śmierdziało od niego wódką albo czymś podobnym.

– Przepraszam – powiedziałem, chociaż to wcale nie była moja wina. To on przyniósł ten film.

Popatrzył na ekran i przestał się ruszać. Oczy miał dzikie, jak taki jeden pies, co mnie kiedyś gonił po podwórku i pewnie by ugryzł, gdyby nie był na trzymetrowym łańcuchu. Pomyślałem, że coś w Andrzeja wstąpiło i trochę się bałem, bo kiedyś on sam opowiadał mi o człowieku, w którego wstąpił diabeł i to było dużo straszniejsze niż wszystkie historie o duchach, dużo, dużo gorsze, i w nocy śniły mi się koszmary, ale chociaż obudziłem się z krzykiem, to rano nic nie pamiętałem.

Tym razem też tak było. Pamiętam tylko, że Andrzej miał złość na twarzy i gapił się na ten cichy, jęczący i wzdychający film, a ja się coraz bardziej bałem, że mój kuzyn nie jest już sobą, tylko coś go opętało. Zamknąłem oczy i życzyłem sobie, żeby już było jutro, żeby już wreszcie było to głupie jutro i żeby rodzice wrócili, a jak je otworzyłem, leżałem w swoim łóżku, za oknami było całkiem jasno. Rodzice spali w pokoju obok. Chrapali tak głośno, że zachciało mi się śmiać.

Potem w ogóle nie pamiętałem, co działo się poprzedniego wieczoru. Kiedy rodzice pytali: Michałku, jak się bawiłeś, mówiłem, że fajnie. A gdy pytali, czy oglądałeś

jakieś ciekawe bajki, mówiłem, że bardzo dużo różnych. I nawet opowiadałem im o tych bajkach, opowiadałem, co się w nich działo, chociaż równie dobrze to mogły być zupełnie inne bajki, które widziałem kiedy indziej i mi się wszystko pomyliło, co się w jaki dzień działo.

Czy kuzyn Andrzej w ogóle puszczał mi jakieś bajki? Nie mogłem sobie przypomnieć. Dopiero parę lat później zaczęło mi się przypominać, że to ja sam sobie coś puściłem i to był jakiś dziwny film, w którym ludzie jęczeli z bólu i łzy kapały im z oczu na podłogę. A staruszka, który tam siedział na tym tronie i szarpał się za ogon, spotykałem na każdym kroku, w snach i na jawie. Jak zacząłem chodzić do szkoły, to potem widywałem go w szatni, patrzył na dzieci zza krat, bo szatnię mieliśmy ciemną, ponurą i okratowaną.

Raz tak się go przestraszyłem, że posikałem łóżko. Ale to było we śnie. To znaczy bałem się go we śnie, ale łóżko to naprawdę posikałem i rodzice mieli dziwne miny, bo miałem już w sumie jedenaście lat. Stary posiwiały pan stał między drzewami, w niewielkim lasku, który rósł niedaleko naszego domu i jak byłem młodszy to panicznie się go bałem. Tak mnie przerażał, że często miałem o nim różne koszmary, ale w tamtych koszmarach między drzewami nic nie było, tylko ciemność albo mgła, albo gęste pajęczyny, a teraz zamiast tego wszystkiego pojawił się ten staruszek z filmu, co mi go przyniósł Andrzej. Guzy na głowie urosły mu jakby trochę większe. Był ubrany w taką czarną szatę, pod którą chyba nic nie założył, nawet majtek, bo w rozcięciu widziałem bladą, pomarszczoną skórę. Starzec patrzył na mnie i się

nie odzywał, ale w oczach miał coś dzikiego, jak ten pies, co kiedyś prawie mnie użarł. Wystawił do mnie rękę. Miał długie paznokcie, dłuższe niż mama kiedykolwiek, i wtedy poczułem się tak, jakby złapał mnie na niewidzialne lasso. Nie mogłem ani uciec, ani w ogóle się ruszyć. Nie mogłem krzyczeć, ani nawet oddychać. Szarpałem się, ale w pewnym momencie zrobiło mi się ciepło pomiędzy nogami i zrozumiałem, że szarpię się we własnej kołdrze, a nie w…

* * *

– Co tam piszesz, Andrzej?

Szybko zamykam Worda i odwracam głowę. Ewelina stoi w progu, uśmiecha się do mnie, słabe światło z korytarza wisi nad nią jak przygaszona aureola. Nie miałem pojęcia, że już wróciła do domu.

– Nic takiego – odpowiadam, starając się nie zarumienić ze wstydu. Dobrze, że w pokoju oświetlanym wyłącznie blaskiem monitora niewiele można dostrzec.

– Idę pod prysznic, później pogadamy – mówi i znika w łazience.

Nie powiedziałem jej, że znowu piszę opowiadanie, już piąte w tym miesiącu, bo zaczęłaby pytać, o czym, a potem dziwić się, że nagle zacząłem pisać prozę, choć nigdy tego nie robiłem, zupełnie nie interesowałem się książkami ani niczym takim. Tylko że to wcale nie jest żadna proza, to w ogóle nic nie jest.

Miesiąc temu był telefon od mamy, że coś się stało, że był taki potworny incydent, i Michałek nie żyje, wyskoczył przez okno. Miał dopiero piętnaście lat, to taka tragedia dla rodziny i w ogóle wszystkich.

– Jaki incydent? Jak to nie żyje? Jak to Michałek nie żyje? – powtarzałem i dobrze, że wtedy w mieszkaniu nie było Eweliny, bo wpadłem w prawdziwą histerię, przestałem nad sobą panować.

Mam dwadzieścia siedem lat, a zareagowałem jak dziecko, które nic nie dostało pod choinkę. Jak dziecko, któremu zdechł ukochany zwierzak.

Nie mogłem się uspokoić, przez kolejne noce śniłem o czasach, gdy bawiłem się z Michałkiem, pokazując mu gry, bajki, komiksy i książeczki. I zaczęło mi się przypominać coś, o czym zupełnie zapomniałem, tamten sylwestrowy wieczór, gdy zostaliśmy całkiem sami. Przypomniało mi się, jaki wtedy byłem wkurwiony, bo prawie wszyscy znajomi poszli na jakieś imprezy, na które mnie nikt nie zaprosił. Nie miałem zresztą żadnych bliskich przyjaciół, którym przyszłoby to do głowy. Byłem klasowym dziwakiem, popychadłem, chłopakiem siedzącym w ostatnich rzędach i zawsze izolującym się od całej reszty. A najgorsze, bo czułem, że wszystko mogłoby być zupełnie inaczej, gdyby nie coś, co spotkało mnie gdy jeszcze byłem dzieckiem.

Przyszedł Sylwester, zostałem sam z Michałkiem i byłem na niego zły, jakby moje marne położenie wynikło z jego winy. Rzuciłem w niego płytami, na których były

pościągane z sieci bajki, a potem poszedłem do barku jego rodziców i złapałem za napoczętą butelkę Smirnoffa, upijając parę łyków, a potem jeszcze za coś, jakbym chciał w ciągu paru minut urżnąć się do nieprzytomności. I potem zobaczyłem, co sobie puścił Michałek, co było na jednej z płyt, które dla niego nagrałem. Jakiś skurwiel wrzucił w sieć chorego, satanistycznego pornola, udając, że to zwykła bajka. Michałek z nietęgą miną siedział przed ekranem. Byłem zszokowany, wściekły i pijany. Ale jak zobaczyłem, że w tym filmie jest ten dziwny starzec, siedzi na tronie i wali konia, patrząc na pieprzące się pary, to odbiła mi kompletna szajba. Nie pamiętam, co dokładnie zrobiłem, ale czuję, że coś zrobiłem, może nawet coś złego, potwornego. Oczywiście zupełnie wymazałem to z pamięci, ale kiedy dowiedziałem się, że Michałek popełnił samobójstwo, wszystko zaczęło mi się przypominać i poczułem się winny, tak strasznie winny.

Dobrze, że Ewelina o niczym nie wie. Nikt nigdy nie powinien się dowiedzieć o tym incydencie. Ani o tym wcześniejszym. Ani o podobnych, które przydarzyły się innym dzieciakom. Mogę już tylko pisać te opowiadania, próbując ułożyć sobie w głowie zdarzenia, które w jakiejś części na pewno są prawdziwe, choć wyczuwam w nich też mnóstwo fałszu, mnóstwo zmyśleń i kłamstw. Może w życiu każdego trafia się co najmniej jeden taki incydent, nie wiem. Tylko że jedni przez to przebrną, zapomną, pójdą przed siebie, a inni zostaną w tym samym mrocznym miejscu na zawsze i w końcu spotka ich to, co spotkało

Michałka. Sam jeszcze nie wiem, do której z tych dwóch grup się zaliczam, jeszcze nie zdecydowałem, ale z każdą kolejną wersją pisanego tekstu coraz wyraźniej widzę ten ponury las, który rósł przy naszym domu, i tego dziwnego, ubranego na czarno starca, wyłaniającego się spomiędzy drzew, wołającego mnie. Nie mam pojęcia, dlaczego wtedy nie uciekłem, dlaczego zacząłem uciekać dopiero, gdy było już po wszystkim. Jeśli w moich koszmarach tkwi choć okruch prawdy, nigdy nie wyszedłem z tamtego lasu i jeszcze na dodatek zaciągnąłem do niego Michałka.

Słysząc szum prysznica i wołającą mnie Ewelinę, nie mogę przestać myśleć, że jeśli w porę nie zrobię tego, co zrobił mój mały kuzyn, sam też się w końcu taki stanę. To ja będę tym potwornym starcem, wyłaniającym się z lasu i łapiącym dzieciaki na niewidzialne lasso.

Macam palcami głowę, nie ma jednak na niej tych dwóch symetrycznych guzów. Widocznie nie wyrządziłem jeszcze tyle złego, by zaczęły rosnąć. Być może, żeby wyczuć między włosami te dwie twarde narośle, potrzeba setek albo tysięcy podobnych incydentów.

Kasuję plik z opowiadaniem tak jak cztery poprzednie i idę do Eweliny. Rozbieram się, a potem klękam przed nią, ciepła woda spływa mi po twarzy i plecach. Całuję ją w brzuch, a ona chichocze słodko. Jest w czwartym miesiącu. Szczęśliwa jak nigdy. Ja też muszę taki być. Nawet mimo faktu, że nie ma już Michałka, nie ma już jedynej ofiary mojego dawnego szaleństwa. Ale czarne lasy

wciąż rosną we mnie, gęstsze i dziwniejsze niż kiedykolwiek przedtem.

Dawid Kain

Prozaik, tłumacz, czasem nawet redaktor. Absolwent prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim i podyplomowego edytorstwa na Uniwersytecie Pedagogicznym. Prekursor polskiego bizarro fiction, horroru eksperymentalnego i grozy postmodernistycznej. Autor m.in. powieści „prawy, lewy, złamany” (2007), „Gęba w niebie” (2010), „Za pięć rewolta” (2011) oraz „Punkt wyjścia” (2012), a także zbioru opowiadań „Makabreski” (2010). Tłumaczony na czeski i angielski, publikowany w licznych pismach oraz antologiach krajowych i zagranicznych (ostatnio: „17 Szram”, „Księga Wampirów” i amerykańskie „Bizarro Bizarro”).

http://geniuscreations.pl/autorzy/dawid-kain/
https://madbooks.pl/kain-dawid
https://ebook.madbooks.pl/dawid-kain

Sztuka porozumienia – Anna Kańtoch

Kiedy wszedłem, już na mnie czekała – spowita w półmrok bladoskóra postać na tle panoramicznego okna, za którym powoli ciemniała Kopuła. Odwróciła się w moją stronę miękkim, kocim ruchem, suknia w kolorze błękitnego lodu zafalowała wokół zgrabnych nóg. Włosy też miała jasne, niemal białe. Jak duch albo Królowa Śniegu, która niespodziewanie zjawiła się w moim biurze.

Zamknąłem drzwi, podkręciłem światło i spróbowałem przybrać profesjonalny wyraz twarzy. Rzadko człowiek ma okazję przyjmować tak piękne klientki, choć mnie – z oczywistych względów – zdarza się to częściej niż innym.

– Witam – powiedziałem. – W czym mogę pomóc, pani…? – celowo zawiesiłem głos, ale mój niespodziewany gość albo nie zrozumiał aluzji, albo nie miał zamiaru się przedstawić. Z wielu powodów stawiałem na to drugie.

– Naprawdę powinien pan zainwestować w lepszą sekretarkę, panie Delamere. Ten automat w poczekalni potrafi tylko powtarzać: „Proszę czekać” i „Podać kawę?”.

Jak na możliwości starej Susie to i tak było sporo – moja pracownica zazwyczaj ograniczała się do przecierania biurka albo mało zrozumiałego rzężenia.

Rzuciłem kapelusz na stolik i posłałem w kierunku blondynki niezobowiązujący uśmiech.

– Przyjechała pani sama? To niebezpieczna dzielnica, zwłaszcza dla kobiet. Zwłaszcza teraz.

Przyglądała mi się przez chwilę, jakby sprawdzała, czy nie żartuję, a potem wzruszyła ramionami.

– Chodzi o morderstwa Brązowego Kapelusza? Niech pan da spokój, to nigdy nie było bezpieczne miasto. Nie tylko dla kobiet.

Skinieniem głowy przyznałem jej rację. Zresztą tak tylko sobie mówiłem, bez szczególnej troski. Wcale mi nie zależało.

– Nawiasem mówiąc – wypomniała blondynka – obiecanej kawy nie dostałam. Nie, proszę się nie kłopotać, i tak jestem już spóźniona. Może po prostu przejdziemy do rzeczy?

Nie miałem zamiaru parzyć kawy, ale nie chciałem też wyprowadzać nowej – i w tej chwili jedynej – klientki z błędu. Zgodziłem się więc, że owszem, czemu nie, możemy przejść do rzeczy, i wskazałem kanapę, która najlepsze lata miała za sobą, podobnie jak całe wyposażenie biura.

Usiadła, zakładając nogę na nogę i prezentując doskonałą linię łydki. Gapiłem się przez chwilę bez specjalnego poczucia winy – jej ciało zostało stworzone do tego, by się na nie gapić. Nie omieszkałem przy tym zauważyć, jak mocny stanowimy kontrast: ja, o skórze czarnej niczym sumienie diabła, i ona, wzorzec

skandynawskiego piękna. Pasowalibyśmy do siebie jak noc do dnia, jak krem czekoladowy do waniliowego ciastka – i nie mówcie mi, że nie potrafię być romantyczny.

– Chcę, żeby odnalazł pan dla mnie pewną dziewczynę. – Sięgnęła po papierośnicę, obracała ją przez chwilę w szczupłych palcach, a potem zrezygnowanym ruchem wsunęła z powrotem do torebki. – Ma pan włączoną sieć?

Skinąłem głową, a ona przesłała mi zdjęcie, które pojawiło się w lewym górnym rogu pola widzenia. Mógłbym prześledzić połączenie, złamać kod i sprawdzić, z jakiego konta wysyła wiadomość, jednak – z oczywistych powodów – nie wypadało mi tego robić.

Ściągnąłem zdjęcie niżej, aby mieć je przed oczami. Zrobiono je dwa dni wcześniej; było ziarniste i niezbyt wyraźne, w tle widziałem coś, co wyglądało jak przeszklone drzwi do biurowca – w poprzek biegł napis, lecz ktoś rozmazał go komputerowo, tak że nie potrafiłem przeczytać ani literki. Sprytne. Jednak nie wystarczająco sprytne, abym nie umiał rozpoznać kadru z monitoringu. Schwytana w oko kamery dziewczyna miała szesnaście, może siedemnaście lat i wyglądała jak konspiratorka z tanich filmów: czujny wyraz twarzy, kaptur bluzy nasunięty na czoło tak nisko, że ledwo widać oczy. Na ramiona spływały jej kręcone ciemne włosy, cerę miała śniadą. Włoszka? Hiszpanka? Stawiałem na to pierwsze – ta ciepła, miękka uroda przywodziła na myśl rozciągnięte na wzgórzach oliwkowe gaje i dziewczęta, które flirtują, oparte o ramy rowerów, podczas gdy wiatr podwiewa im letnie sukienki.

Jak mówiłem, bywam romantykiem, mam też słabość do klasycznej literatury i oglądam zdecydowanie zbyt dużo starych filmów, nie tylko SF. Najdziwniejsze jednak było, że brunetka na zdjęciu wydała mi się w pewien sposób znajoma, niczym ktoś z odległej przeszłości, kogo pamięta się jak przez mgłę. Zamrugałem, ale wrażenie nie znikło, choć nadal nie potrafiłem nigdzie umiejscowić tej dziewczyny. Może spotkałem ją kiedyś przelotnie, a może była podobna do jakiejś znanej aktorki czy celebrytki.

– Nie wie pani, jak ona się nazywa?

– Nie, to po prostu nastolatka, która wzięła coś, co do niej nie należało. Chcę, żeby pan tę rzecz odebrał. To nic szczególnego, zwyczajny zapis na dyskietce. I od razu mówię: może pan darować sobie próby odczytania. I tak nie zrozumiałby pan, o co chodzi, bo to sprawy interesujące jedynie dla bardzo wąskiego kręgu.

Dla kogo ta kobieta pracowała? Ubrana była elegancko, szczerze mówiąc – zbyt elegancko jak na tę dzielnicę i jak na biuro prywatnego detektywa, którego nie stać na nowy model sekretarki. Dlaczego nie poszukała kogoś w centrum, w znacznie większych agencjach?

Wątpliwości musiałaby odbić się na mojej twarzy, bo blondynka wyjaśniła:

– Nie zależy nam na ukaraniu dziewczyny, jedynie na odzyskaniu naszej własności i przede wszystkim na dyskrecji, a o to łatwiej, jeśli o wszystkim wie jak najmniej osób. Pana poleciła mi znajoma; podobno dobrze radzi pan

sobie ze znajdowaniem osób, które nie chcą zostać znalezione. I nie jest pan zwolennikiem narracji, prawda?

– Nie jestem zwolennikiem ładnych kłamstw, owszem.

– Kogoś takiego właśnie mi potrzeba. – Uśmiechnęła się, mrużąc oczy, w których miała nieokreśloną obietnicę. Większość facetów w tym momencie byłaby gotowa wybić głową dziurę w suficie, byleby dobrać jej się do majtek. Ja nie. Może za dużo takich uśmiechów widziałem, a może zwyczajnie byłem już za stary. – Poza tym to prosta sprawa, dziewczyna zrobiła głupstwo, żadna z niej profesjonalna złodziejka.

Skinąłem powoli głową. Argumenty brzmiały rozsądnie, jednak miałem nieodparte wrażenie, że tak naprawdę chodzi o coś zupełnie innego. Bo podstawowa różnica między dużymi a małymi agencjami detektywistycznymi wygląda tak, że te pierwsze, z uwagi na częste kontrole, muszą ściśle trzymać się przepisów, podczas gdy drugie… Powiedzmy, że zarówno mnie, jak i moim kolegom po fachu zdarza się od czasu do czasu przymykać oko na takie czy inne prawne subtelności. Czy blondynka tego właśnie oczekiwała?

– Weźmie pan to zlecenie? – Pochyliła się w moją stronę, tak że bez najmniejszego problemu mogłem w głębokim dekolcie dostrzec zarys piersi.

Chciałbym w tym miejscu napisać, że długo wahałem się przed podjęciem decyzji, rozważając wszystkie za i przeciw, a niewinna buzia ciemnowłosej nastolatki poruszyła moje sumienie. Prawda wyglądała jednak tak, że

od dwóch miesięcy zalegałem z czynszem, a poza tym zdawałem sobie sprawę, że jeśli odmówię, moi koledzy nie będą mieli skrupułów, by przejąć zlecenie.

Wyglądało na to, że dziewczyna o włoskiej urodzie weszła właśnie między wilki, a ja byłem jednym z nich.

* * *

W tym samym czasie, lecz zupełnie innym miejscu dziewczyna wiedziała już, że jest ścigana. Czuła to głęboko w kościach i jeszcze głębiej w sercu, gdy odwracała się do gęstniejącej za jej plecami ciemności. Słyszała w szeleście liści nad głową, trzasku ściółki pod stopami i szumie krwi, tętniącej w uszach. Musiała cały czas pozostawać w ruchu, mylić tropy. Nigdy nie zatrzymywała się w jednym miejscu dłużej niż na kilka godzin; tyle wystarczało, żeby wypić kilka łyków wody, zjeść pośpiesznie kromkę zeschniętego chleba i zdrzemnąć się przed dalszą drogą. Kiedy ostatni raz miała w ustach ciepły posiłek? Kiedy spała w prawdziwym łóżku?

Pamiętała rodzinę drwali, którzy przygarnęli ją, gdy zapadł zmrok i las rozbrzmiał wilczym wyciem, podzielili się skromną strawą i ofiarowali kąt z wypchanym słomą siennikiem. Zdarzyło się to wczoraj czy może przed tygodniem? Gdy biegła, gałęzie smagały jej delikatne ciało, a kolce dzikich malin rozrywały skórę, aż gęsta, czerwona krew kapała na ziemię. W nocy drżała z zimna, w dzień rozłożyste korony buków ledwo chroniły przed rozpalonym niebem. Znalazła źródełko i napełniła bukłak, choć woda

miała smak żelaza i pływały w niej martwe jesienne liście. Dziewczyna napiła się, obmyła poranione stopy, a potem spojrzała w górę na korony drzew, w których skrywały się lekkie jak wiatr duszki. Płakały nad jej losem, ale żaden nie miał odwagi sfrunąć i pomóc przerażonej dziewczynie, bo to, co ją ścigało, było potężniejsze i straszniejsze od wszystkich dobrych stworzeń w lesie. Zadrżała, nie wiedząc, co począć, i jej dłoń, jak wiele razy wcześniej w podobnych chwilach, sięgnęła do szyi, by chwycić zawieszony na rzemyku kryształ – prawdopodobnie najcenniejszą rzecz, jaka istniała na świecie.

* * *

Resztę wieczoru spędziłem, przeczesując sieć. Rezultaty nie były imponujące, bo wyszukiwarka twarzy najpierw wyrzuciła kilka tysięcy zdjęć młodocianych gwiazdek albo po prostu dziewczyn bawiących się na imprezach – cóż, moja tajemnicza brunetka nie miała zbyt oryginalnej urody. Zawęziłem więc stopień podobieństwa do 95%. Tym razem wyników było ledwo kilkanaście, niemal wszystkie z Bay City. Brązowowłosa nastolatka na trawie, w towarzystwie brodatych łachmaniarzy, grająca na gitarze i pijąca tanie wino prosto z butelki. Przyglądając się jej, zapaliłem papierosa. Nie była piękna, ale miała w sobie cały urok beztroskiej i niewinnej młodości. Nikt, kto skończył osiemnaście lat, nie potrafi się tak uśmiechać. Do licha, w Argei nie uśmiecha się tak już większość dwunastolatków.

Zdusiłem papierosa w popielniczce, nalałem sobie whisky na dwa palce i zamknąłem okno, przez które wdzierał się chłód. Oto uroki mieszkania na pustyni – w dzień ogłuszający upał, nocą zimno jak w psiarni. Idiotyzm, biorąc pod uwagę, że żyliśmy pod stalowym niebem, które jaśniało i ciemniało, naśladując ziemski rytm dobowy. Nie wiem, kto zdecydował, by wpompować pod Kopułę kilka tysięcy ton ziemskiej atmosfery, a jednocześnie zachować pustynny klimat. Może tak było łatwiej, może projektanci uznali, że będzie to dla turystów dodatkowa atrakcja. A może po prostu mieli wszystko w dupie.

Wypiłem whisky i zerknąłem na ostatnie zdjęcie – jedyne, które zrobiono nie w Bay City, a przed urzędem miasta. Przedstawiało kilkudziesięciu pikietujących, ociekających potem, a mimo to pełnych entuzjazmu. Moja brunetka w jednej ręce trzymała transparent z napisem „Zostawcie w spokoju Wielkiego Jima”, a drugą obejmowała w pasie ciemnowłosą koleżankę. Pamiętałem ten protest jak przez mgłę – chodziło o Stockwell Company, które zamierzało rozebrać najsłynniejszy argejski szkielet i postawić w tym miejscu kolejny drapacz chmur. Sprawa przez dzień – dwa przewijała się przez każde wydanie aktualności, ludzie łączyli się ze studiem i wygadywali bzdury, wypowiedziało się nawet kilku oburzonych naukowców. Później wszystko przycichło. W naszym mieście nawet największa sensacja ma krótki żywot. Zresztą zaraz potem zaczęły się morderstwa Brązowego Kapelusza, a z nimi Wielki Jim nie mógł konkurować.

Wróciłem myślami do mojej brunetki i zastanowiłem się, co właściwie o tej dziewczynie wiem.

Prawdopodobnie bez stałego miejsca zamieszkania, prawdopodobnie bez stałej i legalnej pracy. Nie chodziła do szkoły, a przynajmniej nie tutaj, bo w przeciwnym wypadku znalazłbym jej zdjęcie w którymś z sieciowych albumów. Hippiska? Anarchistka? Zaangażowana politycznie? Pokój, natura i wolna miłość zamiast nowoczesnych technologii?

Ktoś taki prędzej czy później musiał wejść w drogę prawu.

Włamanie się na policyjne serwery zajęło mi pięć minut (miałem wprawę), przeszukanie ich kolejne pięć. Brunetki jednak nigdzie nie było. Znalazłem sporo podobnych dziewczyn, owszem, ale za każdym razem wskaźnik podobieństwa był nie wyższy niż 91%.

Znowu chciało mi się palić, a przecież próbowałem ograniczać. Poza tym minęła już północ i powinienem wracać do domu. Diabli wiedzą, co robiła tam Sara, moja młodsza córka. Zamiast jednak podnieść tyłek, nalałem sobie jeszcze trochę whisky, żeby naoliwić komórki mózgowe.

Albo brunetka nigdy glinom nie podpadła, albo, co bardziej prawdopodobne, w chwili aresztowania była na tyle młoda, że jej dane nie znalazły się w bazie.

Niewiele myśląc, wybrałem numer Berniego Spinka, który był mi winien przysługę.

Sterana życiem, dziobata twarz pojawiła się niemal natychmiast w lewym górnym rogu pola widzenia.

Nastroszony wąs i ulizana na żelu fryzura nie dodawały jej uroku, choć Bernie z pewnością sądził, że jest prawdziwym latynoskim Casanovą. Czy raczej gormyjskim, bo mój kumpel to prawdziwy Obcy – nieczłowiek, inna planeta, odmienna biologia, rozumiecie, te sprawy.

– Co tam, amigo?

Wyłuszczyłem mu sprawę. Bernie słuchał, poruszając szczęką jak przeżuwająca krowa. Potem w zamyśleniu podłubał w zębach. Nigdy nie twierdziłem, że mam eleganckich znajomych.

– Zawracasz mi dupę jakąś laską, kiedy w mieście grasuje morderca? – powiedział wreszcie. – Nie masz nic lepszego do roboty?

Oznajmiłem, że nie mam.

Ruszał jeszcze przez chwilę szczęką, co oznaczało u niego wysiłek umysłowy, a potem niechętnie skinął głową.

– Jeśli ta mała była kiedyś zatrzymana jako nieletnia, do jutra rana będziesz miał jej dane, OK. Ale to koniec, łapiesz? Jesteśmy kwita.

Potargowałem się jeszcze przez chwilę i ostatecznie zdołałem przekonać Berniego, żeby podał mi też nazwiska osób, w towarzystwie których dziewczyna była aresztowana – o ile faktycznie była. Nie wyglądał na zachwyconego, ale jego dobre samopoczucie w tej chwili stanowiło najmniejsze z moich zmartwień.

Dopiłem whisky, po czym, ignorując parę mniej ważnych przepisów, ruszyłem w stronę domu.

* * *

Argea to miasto, które nigdy nie zasypia. Banał, wiem, to samo można powiedzieć o każdej większej metropolii od chwili wynalezienia elektryczności. Ale do Argei takie określenie wyjątkowo pasuje. Zbudowano ją na pustyni, która kiedyś była morzem. Woda wyschła przed tysiącami lat, pozostawiając po sobie połacie czerwonego piasku i wystające z niego gigantyczne, dziwacznie powyginane szkielety, które zachwyciłyby samego Lovecrafta. Część wywieziono do muzeów na większych i bogatszych planetach, sporo jednak zostało i wyjazd na pustynię „żeby zobaczyć kości” to dziś obowiązkowy punkt każdej wycieczki. Wciąż także od czasu do czasu przylatują do nas ekspedycje naukowe składające się z nieśmiałych, zbyt dużo pijących studentów i profesorów, którzy z kolei piją za mało, ale za to chętnie gapią się kelnerkom na cycki. Argea zresztą na początku była placówką badawczą, która potem przekształciła się w port przesiadkowy na trasie do Nowej Tuluzy. Wokół portu wyrosło miasto i teraz zarabiamy przede wszystkim na obsłudze podróżnych, którzy spędzają u nas dwanaście godzin – dokładnie tyle, ile trzeba, żeby zatankować oraz dokonać wymaganego prawem przeglądu wahadłowca.

Stałych mieszkańców Argea ma nie więcej niż trzydzieści procent, reszta to „element napływowy”, jak mówią w mediach, albo po prostu spragnieni rozrywek turyści. Mamy więcej parków rozrywki niż szkół, więcej kasyn niż Gormowie czczą bogów i więcej kurew niż aniołów kiedykolwiek tańczyło na czubku szpilki. O ósmej

rano, kiedy w innych miastach ludzie spieszą do pracy, u nas panuje nastrój jak w piątkowy wieczór, z otwartych knajp słychać karaoke, a ulicami przetaczają się gromady podpitych przebierańców. Życie w Argei to nieustający karnawał i zabawa – któż może wiedzieć o tym lepiej niż ja?

Myślałem o tym, zmierzając w stronę domu, gdzie czekała na mnie Sara. Miałem nadzieję, że będzie na tyle rozsądna, by wrócić wcześniej, odrobić lekcje i pójść spać. Niewielką nadzieję. Nie należy spodziewać się rozsądku po czternastolatce, choć w porównaniu ze swoją starszą siostrą i tak była zdumiewająco dojrzała.

Na Franklin Avenue drogę zatarasowała grupa dwugłowych Nikaryjczyków, z których każdy dźwigał na ramionach nagą prostytutkę, Czekając, aż policja spędzi ich z powrotem na chodnik, zapaliłem papierosa i przywołałem w pamięci szczegóły morderstw, które w ostatnich dniach wstrząsnęły miastem – przynajmniej media twierdziły, że wstrząsnęły, bo ludzie i nieludzie wokół mnie nie wyglądali na przesadnie przejętych. Zaczęło się od śmierci tancerki hula, którą znaleziono za kulisami półtorej minuty po występie, równiutko przeciętą na pół. Wzdłuż, nie wszerz, co jeszcze byłoby zrozumiałe. Cięcie biegło przez nos, usta, pomiędzy piersiami, aż do krocza. Obok leżał brązowy kapelusz, do którego nikt nie chciał się przyznać i dlatego prasa spekulowała, że mógł należeć do mordercy, choć osobiście miałem co do tego wątpliwości.

Potem były inne ofiary, wszystkie zabijane w tak samo błyskawiczny, okrutny i zdumiewająco niezgodny z prawami

prawdopodobieństwa sposób. Mąż, którego żona przysięgała, że straciła go z oczu ledwo na kilkanaście sekund, a który, siedząc spokojnie w fotelu, skończył z głową ugotowaną jak w mikrofalówce; nikaryjska dziewczyna, której ktoś połamał absolutnie wszystkie kości, nie naruszając przy tym w najmniejszym stopniu skóry. Szef policji twierdził, że są już na tropie, że lada moment morderca znajdzie się za kratkami – wiecie, całe to pieprzenie, które w przypadku takiej sprawy trzeba odwalić. Nie trzeba było jednak spostrzegawczości Einsteina, by zauważyć, że facet nie wierzy w ani jedno słowo i ze strachu robi w gacie. Nikt już chyba serio nie wierzył, że tę sprawę kiedykolwiek uda się rozwiązać.

Na miejscach zbrodni nie znajdowano śladów, nie było żadnych motywów ani powiązań między ofiarami. Niektórzy dziennikarze twierdzili, że to jakaś tajemnicza sekta, inni, że to robota obcych (którychkolwiek obcych), a ci bardziej nawiedzeni, że Bóg postanowił pokarać Argeę za grzechy. Mnie nikt nie pytał o zdanie, ale gdyby jednak zapytał, powiedziałbym pewnie, że to zgnilizna moralna wypływa od czasu do czasu na wierzch, a kiedy zbierze się jej wystarczająco dużo, następuje wyładowanie przypominające uderzenie pioruna, paroksyzm ohydy i okrucieństwa, po którym pozostają kolejne zwłoki.

Nie była to dobra teoria, ale też wcale nie gorsza niż inne.

Minąłem ostatnie skrzyżowanie dzielące mnie od domu. Mimo późnej pory i zimna Argea tętniła życiem, z knajp

słychać było muzykę, a przy fontannach obściskiwały się pary różnych płci i gatunków. To jeszcze jeden z uroków naszego miasta: nikt i nic nie jest w stanie przeszkodzić nam w rozrywce. Miałem wrażenie, że jestem jedyną osobą, która nie bawi się dobrze – a nie bawiłem się, ponieważ od chwili, kiedy opuściłem biuro, miałem nieodparte wrażenie, że jestem śledzony, że ktoś jedzie za mną tak dyskretnie, jak to tylko możliwe w zatłoczonym mieście. Chwilowo jednak nic nie mogłem na to poradzić, więc dałem spokój. Zresztą może tylko mi się zdawało. Po latach pracy w moim zawodzie człowiek czasem zaczyna świrować.

Zaparkowałem pod domem i ruszyłem do drzwi. Sara siedziała w salonie z nogami na szklanym stoliku, jadła popcorn i oglądała holowizję.

– Spóźniłeś się – rzuciła w moją stronę, gdy zdejmowałem płaszcz.

– A ty dawno powinnaś już spać.

Wzruszyła ramionami, aż zafalowały jej różowe włosy. Nie powiedziałem nic na temat makijażu, kolczyków, których nie było jeszcze rano, ani sukienki wyglądającej, jakby ktoś uszył ją z podartej firanki. Po prostu skierowałem się w stronę lodówki i wyciągnąłem piwo, ignorując wyświetlające się na drzwiczkach ostrzeżenie o szkodliwości alkoholu i pustych kaloriach.

Sara stanęła w drzwiach.

– Nie powinieneś tyle pić – pouczyła mnie.

– Mam nadzieję, że ktoś odprowadził cię do domu – zignorowałem jej słowa. – Argea jest...

– Niebezpieczna, wiem. – Ziewnęła. – Wyluzuj, tato. Byłam z Tomem.

– To jakiś nowy chłopak?

Znowu wzruszyła ramionami. Dawniej mogliśmy rozmawiać godzinami, ale wszystko zmieniło się, odkąd jej matka zwiała z moim dentystą, a starsza siostra wyprowadziła się, żeby „odnaleźć prawdziwą siebie", cokolwiek, u diabła, miało to znaczyć. Teraz mogłem się uznać za szczęściarza, jeśli Sara zamieniła ze mną parę zdań. Może brakowało jej matczynej troski albo tęskniła za Chrissie, a może chodziło jeszcze o coś innego. Nie mam pojęcia. Chrissie trzymałem krótko, ale kiedy odeszła, zaczęło mnie gryźć sumienie, więc Sarę dla odmiany rozpuściłem – i z tego powodu też czułem się winny, zwłaszcza teraz, kiedy młodsza córka niebezpiecznie zbliżała się do wieku, w którym uciekła starsza. Czasem po prostu nie ma dobrego wyjścia. Jeśli chcecie mi zarzucić, że nie mam pojęcia o wychowywaniu dzieci, to będę pierwszym, który przyzna wam rację, ale nie wydaje mi się, żeby tak naprawdę ktokolwiek się na tym znał – niektórzy jedynie udają nieco lepiej niż inni.

Dopijając piwo, przypomniałem sobie czasy, gdy nazywałem Sarę moją małą księżniczką. Gdzie się podziały wszystkie te dni i kim byłem dla niej teraz? Surowym, ale sprawiedliwym ojcem, z którego zdaniem trzeba się liczyć, czy tyranem, którego lepiej oszukać? Zrzędą, którego przestrogi puszcza się mimo uszu, czy kumplem? Prawdopodobnie nigdy się tego nie dowiem, tak jak nigdy

nie będę wiedział, kim jest moja córka w szkole: inteligentną outsiderką, dziewczyną, której inne dokuczają, bo skrycie jej zazdroszczą, czy może jeszcze kimś innym. Od kiedy skończyła trzynaście lat, zgodnie z prawem nie miałem już wpływu na to, w jakim świecie żyć będzie Sara.

Niech diabli porwą narrację.

– Chrissie wysłała mi wiadomość – oznajmiła Sara, kiedy już założyłem, że nic więcej nie powie. – Chciała z tobą rozmawiać. Chyba, bo słabo ją rozumiałam. Strasznie bełkotała. Większość zdań była kompletnie bez sensu.

– Następnym razem przekieruj ją do mnie.

Zgniotłem puszkę i wrzuciłem ją do kosza na śmieci, który natychmiast zabrał się za przetwarzanie metalu. Było późno, a ja zaczynałem odczuwać pierwsze oznaki kaca, choć wcale dużo nie wypiłem. Może faktycznie robiłem się za stary na tę pracę. Wziąłem prysznic i powędrowałem do łóżka, żeby przespać choć kilka godzin. Śniła mi się Chrissie w różowej sukience i z kokardami; wspomnienie z jej czwartych urodzin, kiedy po przyjęciu poszliśmy na karuzelę. To był jeden z tych dobrych, słonecznych dni, gdy problemy wydają się odległe o całe mile. W takich chwilach człowiek niemal wierzy, że będzie żył wiecznie, a jego dzieci na zawsze pozostaną uroczymi maluchami.

Śniłem o Chrissie, śmiejącej się i machającej do mnie z drewnianego kucyka, który obracał się, coraz bardziej odległy, aż wreszcie moja córka odeszła tak daleko, że jej krzyki zamieniły się w bełkot, a ja nie rozumiałem ani słowa.

* * *

Dziewczyna nie była sierotą, choć czasem tak się czuła. Jej ojciec mieszkał w obcym kraju, za górami i lasami, tak daleko, że wszyscy tam mówili zupełnie innym językiem, nosili dziwne stroje i używali magii nawet do tego, żeby zrobić sobie owsiankę na śniadanie. Był błędnym rycerzem, jednym z tych, którzy nie mają pana, ale codziennie walczą o sprawiedliwość. Gdyby dziewczyna zwróciła się do niego o pomoc, na pewno by nie odmówił, nie wiedziała jednak, jak wysłać mu wiadomość. Bała się powierzyć ją swawolnemu wiatrowi, któremu wszystko wylatywało z głowy, gdy tylko wciągnęła go nowa zabawa, nie ufała zdradliwej wodzie ani zbyt powolnej ziemi.

Dlatego postanowiła, że wrzuci swoje słowa w ogień. Zatrzymała się na polanie pośrodku lasu, przy świetle księżyca nazbierała chrustu i rozpaliła ognisko. Płomienie strzeliły w górę, błękitne, żółte i czerwone, rozświetlając ciemność. Dziewczyna ogrzała zgrabiałe dłonie, a potem poprosiła ogień o pomoc. Zgodził się chętnie, zatańczył, zasyczał i obiecał, że prędko pobiegnie do obcego kraju, za góry i lasy, do ojca rycerza, który walczy ze złem, ale nie pamięta o swojej córce.

Później zasnęła przy dogasającym ognisku i spała aż do świtu.

* * *

Można spędzić całe życie w Argei, nie wiedząc nawet o istnieniu Bay City. Można też trafić tu przypadkiem, jeśli zapędzimy się za daleko w poszukiwaniu egzotycznych rozrywek albo jeśli wkurzymy taksówkarza dowcipnisia. Założę się, że każdy z takich pechowców czuł się jak Dorotka odkrywająca, że nie jest już w Kansas. Nawet ci z wyższymi poziomami narracji, którzy nie dostrzegali brudu i zaćpanych nastolatków o twarzach staruszków, doskonale czuli, że Bay City to zupełnie inny świat. Kilka przecznic od tętniących zabawą ulic rozciągała się dzielnica, w której czas nie tyle zatrzymał się, co raczej zastygł przed półwieczem. Mijałem odrapane budynki z trudem unoszące się na sfatygowanych poduszkach powietrznych i rdzewiejące przy krawężnikach wraki samochodów, a pod kołami mojego chryslera chrzęściły śmieci, które wysypywały się z przepełnionych kontenerów.

Gdy wysiadłem, upał uderzył mnie jak bokser wyprowadzający na ringu cios. Skrzywiłem się, próbując nie oddychać zbyt głęboko. Gorąco i zapach taniej gormyjskiej kuchni to kiepskie połączenie, które staje się jeszcze gorsze, jeśli dorzucić do niego ciche, ale uporczywe bzyczenie piaskowych trzmieli, żerujących na resztkach czyjegoś obiadu i truchle niewielkiego ptaka. Poza tym panowała cisza. W pobliżu nie było żywej duszy, jedynie zagłodzony kundel, któremu jakiś dzieciak dla żartów przywiązał do ogona puszkę, patrzył na mnie błagalnie. Wyciągnąłem papierosa i zapaliłem, by pozbyć się z ust smaku starego, wielokrotnie przypalanego tłuszczu. Nie

widziałem nikogo, ale byłem pewien, że zza zakurzonych okiennic obserwują mnie czujne oczy.

Rzuciłem papierosa na ziemię, przydepnąłem go i ruszyłem w stronę budynku oznaczonego wyblakłym numerem 5. Kundel zaskowyczał, gdy go mijałem.

– Nie dziś, kolego – powiedziałem. – Radź sobie sam. Nie jestem w nastroju do pomagania.

Długo musiałem dzwonić, zanim w kamerze przy drzwiach pojawiła się wynędzniała twarz.

– Czego?

– Szukam Velmy Verringer – brzmiało jak pseudonim gwiazdki porno, więc pewnie dziewczyna nazywa się zupełnie inaczej, ale w tej chwili nie miało to znaczenia. – Ładna, brunetka, jakieś szesnaście, siedemnaście lat. Mieszka tu.

– Nie mieszka.

– Numer 12, trzecie piętro.

– Idź pan w cholerę.

Wyciągnąłem banknot i pomachałem nim przed okiem kamery.

Drzwi rozsunęły się i zarośnięty stanął w progu w całej okazałości. Nie było na co patrzeć: niski, chudy, w dawno niepranych portkach, tak krótkich, że odsłaniały porośnięte czarnymi włosami łydki. Pod pachą dźwigał zewnętrzny mózg starego typu, jeden z tych, co to pozwalają jako tako funkcjonować ludziom, którym narkotyki wypaliły neurony. Bez niego facet miałby inteligencję pastewnego buraka.

Wyciągnął rękę po banknot, po czym spróbował zamknąć mi drzwi przed nosem, ale wsunąłem stopę między nie a futrynę i jednocześnie popchnąłem chudego w głąb korytarza. Nieładnie jest popychać kalekę, wiem.

– Czego? – zaskrzeczał. Mimikę miał dziwnie nieskoordynowaną, widać w mózgu siadała bateria.

– Zaczynasz się powtarzać, przyjacielu. I masz krótką pamięć. Brunetka, mówiłem ci, młoda, ładna. Jest u siebie?

– Nie widziałem jej od paru dni – jęknął. – Idź w cholerę.

– Powinieneś wgrać sobie trochę nowego słownictwa – pouczyłem go, po czym skierowałem się w stronę schodów, rozsądnie zakładając, że winda prawdopodobnie i tak nie będzie działać. W jednym z mieszkań, przy otwartych drzwiach, chudy narkoman onanizował się bez specjalnego zapału do holowizyjnego porno; z innego dobiegały odgłosy, które bezbłędnie rozpoznałem jako alkoholową kłótnię kochanków. Kobieta błagała o coś, a potem chyba dostała w twarz, ale nie zatrzymałem się, żeby sprawdzić. Jak wspomniałem wcześniej, nie byłem dziś w nastroju do pomagania, a poza tym miałem mnóstwo własnych problemów.

Na przykład taki, że beznadzieja tego miejsca przywierała do mnie mocniej niż smród zjełczałego tłuszczu i tanich narkotyków.

Albo taki, że na trzecim piętrze jedno i drugie było już wyraźnie mniej wyczuwalne, a zastąpiło je coś innego, znacznie bardziej niepokojącego – słodkawa woń

rozkładającego się w upale mięsa, nie do pomylenia z żadną inną.

Znacie to uczucie, kiedy zmierzacie do drzwi i wiecie już, że wcale nie chcecie oglądać tego, co jest za nimi, a mimo to nie zatrzymujecie się, bo jeśli to zrobicie, nie będziecie w stanie iść dalej?

Tak właśnie się czułem. Pchnąłem otwarte drzwi i wszedłem do maleńkiego przedpokoju, a potem do równie mikroskopijnego pokoiku, który niemal w całości zajmował rozłożony tapczan. Leżała na nim ciemnowłosa dziewczyna, naga i bez wątpienia martwa. Poznałem ją po kolorze włosów, bo cokolwiek ją zabiło, zdarło jej twarz, a także spory pas skóry z szyi i dekoltu, aż do prawej, równo odciętej piersi. Kończyny miała rozrzucone pod niewiarygodnymi kątami – nie jakby były po prostu złamane, ale jakby ktoś próbował zawiązać je w supły. I najwyraźniej prawie mu się udało.

Nigdy wcześniej nie widziałem zwłok pozostawionych przez Brązowego Kapelusza, ale postawiłbym połowę mojego wynagrodzenia, że to jego robota.

Ostrożnie obszedłem tapczan, by dostać się do małej szafki. Otworzyłem ją i przeszukałem, dotykając wszystkiego przez chusteczkę.

Znalazłem trochę dziewczyńskich fatałaszków, kosmetyki w różowych i żółtych opakowaniach, jeden nadgryziony batonik i parę sztuk modnej ostatnio nikaryjskiej biżuterii. Nic ciekawego. Dopiero w ostatniej szufladzie natknąłem się na coś, co mnie zainteresowało.

Był to plik ulotek antykorporacyjnych i antyrządowych, kilka z nich głosiło dość radykalne hasła. Pod nimi leżał stary komputer. Dziewczyna rzeczywiście musiała być oryginałem, skoro używała czegoś takiego, podczas gdy 99% społeczeństwa nosiło wszczepy. Prawdziwa hippiska w tych opanowanych przez bzdurne technologie czasach, kto by pomyślał. Zaczynałem czuć do niej sympatię.

Odpaliłem urządzenie, w ciągu paru minut złamałem prościutkie hasło i wszedłem na pocztę. Przejrzałem wiadomości. Pogaduszki, zaproszenia na imprezy, dziewczęce głupstewka. A wśród tego mail od kogoś używającego nicka *falcon2332*. Wiadomość zawierała tylko jedno słowo: „Dzisiaj”.

Wysłana siódmego marca o siedemnastej czterdzieści pięć – kilka godzin przed tym, jak Velma została sfotografowana w gustownym kapturze i z miną spiskowca.

Żadnej dyskietki ani niczego, co by ją przypominało.

Wyłączyłem komputer. Ekran wielkości dłoni pożegnał mnie gasnącym zdjęciem roześmianej dziewczyny.

W coś ty się wpakowała? – zapytałem w myślach, dotykając palcem jej policzka.

Potem wróciłem na dół, złapałem zarośniętego i – nie zwracając uwagi na protesty – wykasowałem mu z elektronicznej pamięci ostatnich piętnaście minut. Kiedy wychodziłem, siedział przy stole i śliniąc się, czekał na restart mózgu. Widziałem warzywa sprawiające wrażenie bardziej bystrych niż on w tej chwili.

* * *

Przejrzałem przysłaną przez Berniego listę osób aresztowanych razem z Velmą. Była tam jeszcze jedna dziewczyna i czterech chłopaków, wszyscy w wieku od szesnastu do dwudziestu lat. Poza Velmą aktualny okazał się tylko adres Jaofy, który jako jedyny z grupy po wyjściu z więzienia zdecydował się wieść uczciwe życie – o ile można nazwać tak pracę w podrzędnej knajpie tuż przy porcie kosmicznym.

Jaofa był Rakhańczykiem. Klasyczny wygląd: skóra w szarozielonym kolorze, wielka głowa w kształcie gruszki i czarne oczy bez wyrazu. Wyciągnąłem go z zaplecza, gdzie kroił właśnie marsjańską ośmiornicę. Wyszedł, wycierając oblepione śluzem i granatową krwią dłonie w fartuch, który i tak nie był już pierwszej świeżości.

– Velma Verringer – powiedziałem. – Szukam jej znajomych, przyjaciół, wszystkich, którzy trzymali się z nią blisko. Zwłaszcza Muriel Lagardie. – Pamiętałem, że dziewczyny na zdjęciach wyglądały na bardzo zaprzyjaźnione. Jeśli ktoś miał tę dyskietkę, prawdopodobnie była to ona.

– Glina?

– Po prostu ktoś, kto szuka informacji i może za nią zapłacić. To jak, dogadamy się?

Skrzywił wąskie, bezkrwiste wargi.

– Nawet jakbym chciał, to nie dam rady ci pomóc, człowieku. Nie widuję się już z nimi. Jestem teraz czysty, kapujesz? Nie mam nic wspólnego z Velmą. To wariatka.

– Wariatka?

– Wycięła sobie narrację i poszła na pustynię, łapiesz, człowieku? Całkiem sama. Spędziła trzy noce pod kościami Wielkiego Jima, a potem wróciła i bredziła coś o tym, że objawił jej się Bóg, czy może Szatan, albo jedno i drugie. Nie wiem, bo z trudem ją rozumiałem.

– Kiedy to było?

– Z tydzień temu. Nie mam z tym nic wspólnego…

– Z czym nie masz nic wspólnego?

– Z niczym – umknął spojrzeniem w bok. Dopiero teraz w pełni dotarło do mnie, że to faktycznie dzieciak. Wszyscy Rakhańczycy, młodzi i starzy, z mojego punktu widzenia wyglądali tak samo.

– No dalej, zwierz się wujkowi. Będzie ci lepiej.

– Z tym włamaniem… – wymamrotał. – Kiedy Velma wróciła z pustyni, wytrzasnęła skądś tego gościa, nazywał się George Phillips, ale kazał na siebie mówić Falcon. On pracuje w Stockwell Buildings. Podobno mieli tam jakiś dowód, który Velma chciała zdobyć.

– Dowód na co?

– Nie wiem! Poważnie, człowieku, zwiałem od nich, jak tylko zrozumiałem, że gadają na serio o tym włamie. Wystarczyło mi jedno aresztowanie. Jestem na warunkowym i nie chcę mieć więcej problemów.

– Jasne. A pozostali kumple Velmy? Wiesz, gdzie ich szukać?

– Nie mam pojęcia. Muriel przez jakiś czas mieszkała z nią, może wciąż tam jest.

Przyjrzałem mu się uważnie. Trudno cokolwiek wyczytać z rakhańskiej twarzy, ale instynkt podpowiadał mi, że chłopak mówi prawdę.

Wcisnąłem mu dwudziestkę i zostawiłem go, żeby wrócił do krojenia ośmiornicy. *Co teraz?* – zastanawiałem się, zerkając w lusterko. Czy mi się zdawało, czy ten brązowy austin faktycznie za mną jechał? Zatrzymałem się, ale samochód zniknął, ruszyłem więc dalej.

Jeśli dziewczyna wycięła sobie narrację, to otwierało cholernie dużo nowych możliwości. Moje pokolenie było twardsze, ale młodzi ludzie, od dzieciństwa przyzwyczajeni do życia w sztucznym świecie, źle znosili nagły powrót do prawdziwego. Niemożność porozumienia z nikim, kto ma narrację powyżej piątego poziomu, osamotnienie, rzeczywistość, która nie wygląda tak, jak chcemy... To czasem prowadziło do poważnych psychoz, a mówiąc prościej – do świra.

Wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby się okazało, że Velma trafiła na ostry dyżur.

Ryzykując wypadek, odpaliłem sieć. Jednym okiem wciąż śledziłem, co się dzieje na drodze przede mną, a drugim przeszukiwałem bazy argejskich szpitali. Velmę Verringer znalazłem w trzecim z kolei. Data przyjęcia: ósmego marca. Data wypisu: również ósmego marca.

Szybka jest nasza służba zdrowia, nie ma co.

Dwadzieścia minut później parkowałem już przed solidnym, otynkowanym na biało budynkiem, który miał chyba wzbudzać w pacjentach otuchę, ale wyglądał tylko

jak zaniedbane mauzoleum. Wewnątrz przywitała mnie sącząca się z głośników neutralna muzyka i rozpylony w powietrzu zapach kwiatów. W recepcji siedziała słodka blondynka, która widząc, że zmierzam w jej stronę, podniosła wzrok znad starannie opiłowanych paznokci i uśmiechnęła się różowymi usteczkami.

– W czym mogę pomóc? – zaćwierkała.

Gdy wyjaśniłem jej, w czym może, wciąż jeszcze się uśmiechała, ale była już zdecydowanie mniej słodka, a bardziej ostrożna.

– Nie możemy ujawniać takich informacji obcym. Chyba że pan jest krewnym…?

Najwyraźniej miała nadzieję, że jestem, jednak musiałem ją rozczarować.

– Nie jestem, ale, widzi pani, szukam tej dziewczyny na prośbę jej rodziny. To miliarderzy. Biedna Velma uciekła od nich pół roku temu. Jedyna córka i spadkobierczyni. Nic dziwnego, że szaleją z niepokoju i zrobią wszystko, żeby ją odzyskać. Prawdziwie romantyczna historia, jak w holowizji. Jeśli mi pani pomoże, obsypią panią złotem. Proszę pomyśleć, mogłaby pani rzucić tę pracę i do końca życia opalać się na Księżycowych Plażach. Mogę się założyć, że ślicznie by tam pani wyglądała, panno… – zerknąłem na plakietkę – Fern.

– Och – powiedziała słabo. Nie uwierzyła w ani jedno słowo, ale chyba jej się spodobałem. – Niezły z pana numer, co?

Potwierdziłem, uśmiechając się łobuzersko. Pięć minut później była już wystarczająco zmiękczona, by zerknąć dla mnie do prywatnej bazy szpitalnej – tej, która nie była podłączona do ogólnej sieci.

– Velma była u nas tylko trzy godziny – powiedziała. – Przyjęto ją z rozpoznaniem psychozy po odłączeniu narracji. Uważała, że ścigają ją źli ludzie, ponieważ zrobiła coś zabronionego. Lekarz zalecił wszczepienie nowej narracji, która pomogłaby jej się uspokoić.

– Jakiej?

Powiedziała mi, a ja ze zdumieniem odkryłem, że pracownice służby zdrowia jednak mają sumienie, bo zarumieniła się przy tym lekko: – Nie była ubezpieczona, rozumie pan... Zresztą bajki są miłe, prawda?

– Jasne. – Narracji powyżej siódmego poziomu nie zalecano urzędnikom państwowym, a te powyżej dziesiątego były zabronione w większości zawodów. – I co, dobry doktor ją wypisał?

– Nie. – Rumieniec się pogłębił. – Miała zostać u nas parę dni, aż do ustabilizowania się narracji, ale uciekła.

– Uciekła, aha. – Blondynka nie doczekała się złośliwego komentarza. Czasem naprawdę rozczarowuję ludzi. – A jej rzeczy? Ma pani spis tego, co miała przy sobie?

– Kolczyki, szminka, torebka miętowych cukierków, bilet do parku rozrywki... – wymieniała.

– Żadnej dyskietki?

Przeczytała spis jeszcze raz, marszcząc brwi i poruszając ustami. Chyba nie była zbyt bystra.

– Nie widzę niczego takiego.

– W porządku, wielkie dzięki. I niech pani pamięta, gdyby wybrała się pani na Księżycowe Plaże, proszę absolutnie nie zabierać kostiumu. Gormyjczycy uważają, że kąpanie się w ubraniu przynosi pecha.

Kiedy zmierzałem w stronę drzwi, czułem wyraźnie na plecach jej smutne spojrzenie.

* * *

Kiedy słońce stało już wysoko na niebie, a pomoc wciąż nie nadeszła, dziewczyna zrozumiała, że ogień ją zawiódł. Usiadła i zapłakała. Płakała i płakała, aż wokół jej stóp powstała kałuża, do której przyleciał mały błękitny ptaszek. Spróbował wylanych łez, zatrzepotał skrzydełkami i zapytał:

– Dlaczego jesteś smutna, dziewczyno?

– Jestem smutna, bo demony zabijają dobrych ludzi w lesie i choć wiem, jak je powstrzymać, nikt mnie nie słucha – odpowiedziała. – Chciałam poprosić o pomoc ojca, ale nie wiem, jak przekazać mu wiadomość. Ogień mnie zawiódł, a boję się zaufać swawolnemu powietrzu, zdradliwej wodzie czy zbyt powolnej ziemi.

– Znam się z ogniem od dawna – zaćwierkał ptaszek – i wiem, że cię nie zawiódł, tylko nie potrafił powtórzyć twoich słów tak, żeby zrozumiał je ojciec rycerz, który mieszka w obcym kraju i mówi obcym językiem.

– Co więc mam zrobić? – zapytała dziewczyna.

– Musisz znaleźć słowa, które brzmią tak samo w twoim języku i języku twojego ojca. Ja mogę je zanieść. Latam szybko i wysoko; dotrę do kraju za górami i lasami prędzej niż ogień.

Dziewczyna długo myślała, jak dobrać właściwe słowa. Zapomniała o głodzie, zapomniała o upale i tylko pisała patykiem po ziemi. Wreszcie, kiedy zrobiło się chłodniej, a las znowu zaczął ciemnieć, wezwała do siebie ptaka.

– Mam gotową wiadomość – powiedziała. – Tylko proszę, powtórz ją dokładnie, bo jeśli się pomylisz i ojciec nie przybędzie mi z pomocą, wszyscy zginiemy.

* * *

Zjawili się, ledwo wszedłem do hallu, zanim nawet zdążyłem o cokolwiek spytać. Dwóch wielkich jak góry facetów o tępych twarzach wykidajłów, ubranych w eleganckie garnitury, które wyglądały na nich równie stosownie jak frak na dobermanie. Jeden czarny, drugi biały. Ktoś tu miał poczucie humoru.

– Pójdzie pan z nami – powiedział biały. – I nie będzie pan robił problemów. Nie chcemy tego.

– Ja chcę. – Czarny wyszczerzył zęby. – Bardzo chcę, żeby robił problemy.

– Niech zgadnę: jeden z was jest tym bardziej bystrym, a drugi wrednym, tak?

Zaprowadzili do mnie do windy, która w ciągu paru sekund wyniosła nas na wysokość czterdziestego piętra. Gdy wysiadałem, żołądek obijał mi się o zęby, a twarz

musiałem mieć zieloną jak wiosenny szczypiorek. Obaj goryle znieśli jazdę znacznie lepiej.

Poszedłem za nimi do gabinetu, w którym zmieściłoby się całe moje mieszkanie. Wszystko tu było w najlepszym guście: od obić na fotelach po piękną blondynkę, siedzącą na miejscu sekretarki. Zastanowiłem się, czy dziewczyna jest prawdziwa – pewnie tak, automat nie potrafiłby w ten sposób zmierzyć mnie wzrokiem. Takiego wyrazu profesjonalnego znudzenia i lekkiej pogardy uczą tylko na kursach dla asystentek po pięćset dolarów za tydzień.

– Pan Stockwell czeka na pana – powiedziała, po czym wróciła do ważniejszych spraw, czyli do przeglądania sieci. Sądząc z rumieńców, miała otwarty portal randkowy albo i coś lepszego.

Stockwell stał przy oknie i spoglądał w dół na rozciągające się u jego stóp miasto. Podszedłem bliżej i też zerknąłem – maleńcy jak mrówki z tej wysokości Nikaryjczycy odprawiali właśnie jakiś cudaczny rytuał, krążąc po trawniku w kolorowych strojach. Wyglądało to, jakby na skwerze rozkwitały i więdły gigantyczne kwiaty, jakby składały się i rozkładały barwne wstęgi. Zakręciło mi się w głowie i zrobiłem krok w tył. Duży ze mnie facet, ale czasem bywam słaby jak szczenię.

Stockwell nawet nie spojrzał w moją stronę.

– Co pan tam widzi? – zapytał. – Walca? Tai chi? Zaskakujące, jak ludzie potrafią tłumaczyć sobie obcość na coś, co już znają. Teraz mamy narrację, ale wcześniej też to robiliśmy. Pierwszym pozaziemskim gatunkiem, który

spotkaliśmy, byli Gormowie, pamięta pan? Nie różnili się od nas aż tak bardzo: ot, inny język, inna kultura i nieco obrzydliwy z naszego punktu widzenia wygląd. Bez trudu dawało się z nimi dogadać. Potem zjawili się Nikaryjczycy, zdecydowanie bardziej dziwaczni, ale nadal pod wieloma względami do nas podobni. Potem Rakhańczycy – o, ci już dali nam popalić. Wie pan, że specjalistom wyposażonym w najnowocześniejszy sprzęt rozszyfrowanie ich języka zajęło pięć lat? Ludzi, którzy potrafią dogadać się z nimi bez narracji, można policzyć na palcach obu rąk. I wreszcie T'Verthlianie, tak obcy, że nasi naukowcy z początku omal nie oszaleli od prób zrozumienia tej rasy. Co będzie dalej? Czy trafimy kiedyś na gatunek, w którym, z narracją czy bez, nie dostrzeżemy nawet żywych, świadomych istot? Gatunek, który przemówi do nas językiem, w którym nie rozpoznamy języka?

Nie fatygowałem się z odpowiedzią, zresztą chyba nawet jej nie oczekiwał. Tacy ludzie nie potrzebują niczyjego poparcia. W zamian za to przyjrzałem się stojącej na biurku makiecie, która przedstawiała planowane inwestycje Stockwell Company. W miejscu Dużego Jima znajdował się tam hotel Róża Pustyni.

– Argea ma piętnaście milionów mieszkańców – ciągnął Stockwell, nie odwracając się w moją stronę – i niemal nikt nie wie, jak to miasto naprawdę wygląda. Nie uważa pan, że to na swój sposób zabawne? Piętnaście milionów osób, z których każda żyje w swoim własnym świecie?

Wzruszyłem ramionami.

– Ludzie lubią się karmić złudzeniami, zawsze tak było. Kto chciałby na co dzień oglądać parszywe gęby Gormów, wdychać smród szczyn na chodnikach i słuchać bluzgów zaćpanych prostytutek?

– Pan?

– Ja jestem wyjątkiem, panie Stockwell. I chyba nie wezwał mnie pan tu po to, żeby dyskutować o moich gustach.

Odwrócił się wreszcie w moją stronę – niski człowieczek o ziemistej cerze, z ufarbowaną na czarno czupryną i zmarszczkami, które po osiemdziesiątych urodzinach zaczynały wygrywać z kremami i chirurgią plastyczną. Miał na sobie garnitur tak doskonale nijaki, że musiał kosztować ze trzy moje pensje.

– Nie życzę sobie, żeby pan tu węszył – oznajmił. – Moja pracownica wynajęła pana, żeby odnalazł pan dyskietkę, którą ukradła ta dziewczyna, a nie żeby zjawiał się tu pan i niepokoił moich ludzi.

– Dziewczyna nazywała się Velma Verringer. Włamania dokonała w porozumieniu z George’em Phillipsem, który dla pana pracuje. Szukam go, bo może mieć teraz dyskietkę.

– A dziewczyna?

– Leży martwa w swoim mieszkaniu. Kolejna ofiara Brązowego Kapelusza.

Zmarszczył brwi.

– To pechowo, bo Phillips nie przyszedł dziś do pracy.

– Byłoby prościej, gdyby powiedział mi pan, co jest na tej dyskietce.

– To nie ma znaczenia, moja pracownica już panu mówiła. Pana zadaniem jest odnaleźć skradzioną rzecz, nic więcej. I wolelibyśmy, żeby zrobił pan to jak najszybciej.

Odwrócił się z powrotem w stronę okna, najwyraźniej czekając, aż wyjdę. Nie miałem zamiaru tego robić.

– Naprawdę chcecie rozebrać Wielkiego Jima? – zapytałem, wskazując makietę. – Obrońcy tradycji dobiorą wam się za to do tyłków.

– Mam dobrych prawników – odparł cierpko. – Poza tym to tylko wielka kupa kości.

– A postęp wymaga ofiar?

Tym razem to Stockwell nie zaszczycił mnie odpowiedzią. Patrzyłem jeszcze przez chwilę na makietę, a potem, ponieważ nie wpadłem na żaden lepszy pomysł, skierowałem się w stronę wyjścia. Jasnowłosa sekretarka pożegnała mnie spojrzeniem jeszcze bardziej pełnym pogardy, za co nie mogłem jej winić.

W ramach samoumartwiania postanowiłem zejść schodami zamiast zjechać windą. Zajęło mi to dwadzieścia minut i na parter dotarłem spocony jak koń zaprzęgowy. Miałem nadzieję, że dzięki wysiłkowi odzyskam dobry humor, ale osiągnąłem tylko tyle, że potwornie rozbolały mnie łydki.

* * *

Przyszła do mojego biura pod wieczór, gdy wzdłuż ulic zapłonęły latarnie, a na trawnikach włączyły się zraszacze. Pachniało kwiatami jacarandy, a ona miała na sobie śnieżnobiałe futro, zarzucone na suknię tak cienką, że wyglądała, jakby zrobiono ją z pajęczyny. Mogłem obserwować, jak poruszają się pod nią jej piersi i biodra, gdy szła w stronę drzwi.

Spodziewałem się tej wizyty.

Usiadła na kanapie, założyła nogę na nogę i wyjęła papierosa. Patrzyliśmy na siebie przez obłok sinoniebieskiego dymu. W jej oczach widziałem rozbawienie i obietnicę zarazem.

– I co ja mam z panem począć, panie Delamere? – zapytała, nie kłopocząc się tym, żeby obciągnąć skraj sukni, który podwinął się tak wysoko, że nawet dla kogoś wychowanego w Argei wyglądało to nieprzyzwoicie. – Ostrzegałam pana, żeby nie próbował pan węszyć.

– Na tym polega moja praca.

Skinęła powoli głową. Nie mogłem oderwać wzroku od jej oczu, połyskujących w blasku lampy jak dwie srebrne monety na dnie bardzo zimnego jeziora. Zastanawiałem się, czy to kwestia oświetlenia, czy jakiś nowy model soczewek kontaktowych, o których dotąd nie słyszałem. Zastanawiałem się, kim jest tam, w głębi, w swoim własnym świecie, i kim ja jestem dla niej. Zastanawiałem się, czego właściwie ode mnie chce. Wszystko to robiłem, aby nie myśleć o tym, czy założyła dziś majtki i czy jeśli spojrzę w dół, pomiędzy uda, które od czasu do czasu rozchylała

kusząco, zobaczę cienki pasek materiału, czy też nie. Jak widzicie, mam czasem odrobinę przyzwoitości. A może tym razem był to po prostu instynkt samozachowawczy.

– Powiedział pan panu Stockwellowi, że dziewczyna nie żyje. To prawda?

– Tak.

– W takim razie – zgasiła papierosa – pora się pożegnać.

– Nie wykonałem zadania.

– Nieważne. Pana usługi nie będą już potrzebne. – Podniosła się, ja też wstałem. Przesunęła smukłymi palcami po moim policzku; jej dotyk był chłodny i elektryzujący, jakbym głęboko na dnie jeziora napotkał węgorza z rodziny Gymnotidae. – Choć może zostanę tu jeszcze chwilę. Mogę skorzystać z łazienki?

Oszołomiony, pokazałem jej drogę, a potem opadłem z powrotem na fotel. Za plecami słyszałem szum odkręcanej wody i coś, co mogło być odgłosem rozsuwanego zamka przy sukni, ale być może podpowiadała mi to rozgorączkowana wyobraźnia. Uznałem, że pora trochę ochłonąć, włączyłem więc sieć i podpiąłem się do kanału policyjnego.

Morderstwa, kradzieże, narkotyki i awantury barowe – w jednym momencie zalał mnie cały ten syf. Przedzierając się przez dziesiątki wiadomości, które pozostawiały posmak zastarzałego brudu, jak tłusta warstwa na knajpianym stoliku, przy którym siedziało już zbyt wiele osób, szukałem tej jednej, która mogłaby mnie zainteresować.

Przez jakiś czas nasłuchiwałem dobiegających z łazienki odgłosów. Potem przestałem. A jeszcze później zorientowałem się, że od dłuższego czasu nie słyszę nic. Wreszcie dłuższy czas zmienił się w niepokojąco długi czas – wtedy wstałem, nadal podpięty do sieci, z szambem z całego miasta zalewającym moje zmysły.

Zapukałem do drzwi.

– Jest pani tam?

Żadnej odpowiedzi. *Do diabła z wymogami przyzwoitości* – pomyślałem i przekręciłem gałkę.

Drzwi okazały się otwarte, za nimi znalazłem blondynkę. Była naga, tak jak się spodziewałem. Była też martwa, co stanowiło dla mnie niespodziankę. Leżała na posadzce z głową przekręconą o sto osiemdziesiąt stopni i patrzącą na szczupłe plecy; brakowało jej też sporego kawałka skóry zdartego z prawego ramienia i lewej nogi od kolana w dół. Mimo to w łazience nie było ani kropli krwi. Widziałem wyraźnie białe kości i ciemnoczerwone, prążkowane mięśnie – wewnątrz moja klientka była równie piękna jak na zewnątrz.

...ciało należy do Muriel Lagardie, lat osiemnaście, szukamy współlokatorki ofiary, szesnastoletniej Velmy Verringer...

Wycofałem się powoli z kompletną pustką w głowie. Zamknąłem drzwi łazienki, ale to niewiele pomogło – wciąż widziałem twarz blondynki, tak spokojną, jakby zmarła we śnie.

* * *

Ledwo ptak odleciał, dziewczyna znowu zaczęła płakać. Płakała i płakała, aż wokół jej stóp powstała kałuża, do której przypełzła mała zielona żmija. Spróbowała wylanych łez, zakołysała ogonem i zapytała:

– Dlaczego jesteś smutna, dziewczyno?

– Jestem smutna, ponieważ nawet jeśli mój ojciec przybędzie z pomocą, nie będę potrafiła go ostrzec. Mogę pokazać mu kryształ, ale on nie pojmie moich słów. Jak wytłumaczę mu, że demony chcą się z nami jedynie porozumieć, by ocalić jednego ze swoich?

– Nie martw się – powiedziała żmija – twój ojciec nie ma serca, więc kiedy i ty wyrwiesz sobie swoje, zrozumie cię się od razu. Już to kiedyś zrobiłaś, pamiętasz?

Dziewczyna pamiętała i za radą żmii wyrwała sobie z piersi bijące, czerwone serce, a kiedy to uczyniła, kałuża łez pod jej stopami pociemniała od szkarłatnej krwi.

* * *

Wsiadłem do samochodu i pojechałem na pustynię. Nie była to najmądrzejsza decyzja, jaką podjąłem w życiu, jednak potrzebowałem chwili, żeby odetchnąć i zastanowić się, co dalej. Jasne, bywało już, że tkwiłem w gównie po uszy, ale nigdy tak głęboko jak teraz. Jeśli gliny dowiedzą się, że dwa razy znalazłem się tak blisko ofiar Brązowego Kapelusza, zrobią ze mnie kozła ofiarnego szybciej niż wyskakujący z szafy dzieciak krzyczy „bu”.

Paliłem papierosa i patrzyłem w ciemną Kopułę. Gdybym był bohaterem rozgrywającego się na Ziemi

starego filmu, widziałbym tam lśniące srebrzyście gwiazdy, ale ponieważ byłem tylko sobą, musiałem zadowolić się blaskiem błękitnych lamp, które podświetlały wystające z piasku szkielety. Za nimi widziałem przez chwilę czarne kształty T'Verthlian, przypominające sunące przez mrok wagony pociągu, czy może segmenty ogromnej, wielonogiej gąsienicy. Wzdrygnąłem się: jeśli podejdą bliżej... Na szczęście zniknęli w ciemności tak nagle, jak się z niej wynurzyli, pozostawiając za sobą szelest przesypującego się piasku. Mogłem wrócić do swoich rozważań.

Co powinienem teraz zrobić?

Minuty mijały, papieros się kończył, a ja wciąż nie miałem żadnego sensownego pomysłu, jak wydobyć się z tego bagna. Trudno, wyglądało na to, że będę musiał wrócić do biura i pozbyć się zwłok. Nie byłby to pierwszy raz, ale nigdy wcześniej grałem o tak wysoką stawkę.

Wyrzuciłem papierosa i już miałem ruszać, kiedy przyszła wiadomość od Sary.

„Zrozumiałam wreszcie, co mówi Chrissie. Chce się z tobą zobaczyć przy Wielkim Jimie dziś o jedenastej. Nie spóźnij się, bo to chyba bardzo ważne!".

Była dziesiąta trzydzieści siedem.

Zakląłem głośno. Jeśli chciałem zdążyć, powinien ruszać już teraz. Wyglądało na to, że martwa blondynka w mojej łazience będzie musiała poczekać na swoją kolej.

Jechałem przez pustynię, mijając sterczące z piasku podświetlone szkielety, które za szybą chryslera rozmazywały się w ciągi biało-błękitnych plam. Zimny wiatr

uderzał mnie w twarz przez otwarte okno, droga była pusta, tylko od czasu do czasu obok przemykały autokary, zwożące spóźnionych turystów z powrotem do hoteli i barów. Zastanawiałem się, co powiem córce, kiedy ją wreszcie zobaczę. Wcześniej często wyobrażałem sobie to spotkanie: skruszona Chrissie wracająca do domu, złoty cielec dla córki marnotrawnej, opowieści o tym, jak źle jej było bez tatusia w tym okrutnym świecie. Teraz wcale nie byłem pewien, czy mam na cokolwiek z tego szansę. Zresztą do diabła ze skruchą. Byłbym szczęśliwy, gdybym choć zobaczył Chrissie. W końcu to moja najstarsza córka, a pierworodne dzieci zawsze są w pewien sposób… szczególne, choćbyśmy nie wiem jak temu zaprzeczali.

Było dwie minuty po jedenastej, gdy zaparkowałem pod Wielkim Jimem – szkieletem tak olbrzymim, że musiałem porządnie zadzierać głowę, by dojrzeć miejsce, gdzie powinna znajdować się głowa. Oczywiście nie było jej tam – przykładanie ludzkiej miary do stworzeń, które dawno temu żyły na Argei, nie miało sensu. Jeśli szkielet cokolwiek przypominał, była to raczej plątanina moebiusowskich, oślepiająco białych linii, przecinających się pod kątami, które nie powinny istnieć w naturze. Turyści na ten widok zawsze wzdychali – częściowo ze zgrozy, a częściowo z zachwytu, a potem odwracali twarze, walcząc z mdłościami, i czym prędzej zajmowali się czymś zwyczajnym, czymś ze swojego świata: sięgali po kanapki, próbowali żartować albo szturchali swoje dziewczyny czy chłopaków i robili zdjęcia ich wystraszonych min.

O tej godzinie pod Wielkim Jimem nie było już żadnych turystów. Pozostały po nich na piasku jedynie zgniecione puszki, mnóstwo papierków i szkło z rozbitej kamery monitoringu. Nad ranem zjawią się służby porządkowe, by wszystko posprzątać i naprawić, teraz jednak byłem sam.

Albo i nie.

Zauważyłem ją dopiero po chwili, tak dobrze skrywała się w cieniu kości. Drobna, dziewczęca sylwetka, skulona, z głową schowaną w ramionach. Poczułem pierwsze ukłucie niepokoju.

– Chrissie?

Mój głos zabrzmiał obco, głucho. Strach o własne dziecko zawsze jest najsilniejszy, sięgający do mrocznych, prymitywnych instynktów, o których bezdzietni nie mają pojęcia.

– Chrissie?

Podszedłem do niej, schyliłem się i ostrożnie dotknąłem ciemnych włosów. Dziewczyna z trudem uniosła głowę. Z jej czoła spływała krew, w błękitnym świetle latarni niemal czarna. Zalewała oczy, ale i tak bez trudu mogłem poznać, że to nie moja córka.

Miałem przed sobą Velmę Verringer.

Zanim zdążyłem zrozumieć, co to oznacza, usłyszałem za plecami szczęk odbezpieczanej broni. Odwróciłem się powoli. Za mną stał jeden z goryli Stockwella, ten biały, bystrzejszy. Celował do mnie z rewolweru, który w jego wielkich łapskach sprawiał wrażenie zabawki.

– Odsuń się od niej – powiedział.

– Przyszedłem spotkać się z córką. Gdzie Chrissie?

– To jest twoja córka. Nie miałeś pojęcia, co? – zaśmiał się. – Efekt Lozelle'a, powinieneś o nim słyszeć, skoro jesteś takim cwaniakiem. Zdarza się, kiedy dwie narracje są bardzo niekompatybilne i szwankuje tłumaczenie.

Wyprostowałem się. W pierwszej chwili nie chciałem uwierzyć. Moja córka? Jakim cudem? Słowa goryla docierały do mnie powoli, z oporami. To mogła być Chrissie, nawet jeśli wciąż nie potrafiłem rozpoznać jej twarzy. Takie przypadki się zdarzały, facet miał rację. A jeśli przyjąć, że… Nareszcie wszystko stało się jasne: wizyta blondynki w moim biurze, wrażenie, że jestem śledzony, cała ta cholerna, pokręcona od początku sprawa nagle nabrała sensu.

– Wynajęliście mnie, bo wiedzieliście, że dyskietkę ukradła Chrissie – powiedziałem. – Założyliście, że spróbuje się ze mną skontaktować i poprosi o pomoc, dlatego podrzuciliście mi urządzenie namierzające. Ta wasza blondynka musiała mieć niezły ubaw, kiedy wynajmowała mnie do poszukiwania mojej własnej córki.

Goryl przesunął językiem po wąskich wargach. Znałem takich typów i wiedziałem, że ma ochotę strzelić. Aż drżał z niecierpliwości, czekając, aż zrobię coś głupiego.

– Pochyl się nad nią, sięgnij do kieszeni spódnicy i znajdź tę dyskietkę – powiedział. – Ostrożnie, tak, żebym cały czas widział twoje ręce. Żadnych numerów.

Zrobiłem, co kazał. Przy okazji szybko sprawdziłem Chrissie puls; był słaby, ale wyczuwalny. Moja córka straciła

sporo krwi, wyglądało jednak na to, że będzie żyć, jeśli tylko ktoś szybko udzieli jej pomocy.

Jeśli.

– Masz, a teraz pozwól mi się nią zająć.

Goryl schował dyskietkę, po czym strzyknął śliną na piasek. W jej oczach połyskiwała chorobliwa fascynacja, jak u dziecka przyglądającego się psu, którego przed chwilą wyrzuciło z okna.

– Co jej jest?

– Wycięła sobie narrację. – Starałem się być cierpliwy. Z Chrissie uciekało życie, ale ten drań miał wycelowaną we mnie broń. Nie mogłem ryzykować. – Potrzebuje pomocy, więc spadaj, kolego. Masz już to, po co tu przyszedłeś.

– Nie ma mowy – oznajmił. – Dziewczyna za dużo wie.

Facet mówił poważnie, dobry Boże. W jednej chwili rozważyłem swoje szanse na to, że zdążę sięgnąć po własną broń (zerowe), że goryl się rozmyśli (tak samo) albo że zdarzy się cud (ujemne). Zrozumiałem, że umrzemy tutaj, na pustyni, wśród śmieci pozostawionych przez rechoczących i pstrykających idiotyczne fotki turystów. Ja i Chrissie, córka, dla której nie byłem wystarczająco dobrym ojcem, by zatrzymać ją w domu.

Co za cholernie głupia śmierć.

* * *

Trzy sekundy później cud się wydarzył.

Wszystko działo się tak błyskawicznie, że ledwie zdążyłem cokolwiek zarejestrować: ciało goryla

podrywające się, jakby uniosła je niewidzialna dłoń, skręcające się pod nieprawdopodobnym kątem, deszcz ciepłej krwi, która zrosiła moją twarz i piasek. Potem mężczyzna spadł na ziemię. W oczach miał zdumienie, jakby wciąż nie mógł uwierzyć, że jest martwy.

Właśnie byłem świadkiem morderstwa dokonanego przez Brązowego Kapelusza.

Minęło kolejnych kilka cennych sekund, zanim zdołałem się ruszyć – takich rzeczy nie widuje się na co dzień. Podbiegłem do Chrissie, zatamowałem krwawienie i owinąłem ją własnym płaszczem. Wziąłem na ręce drobne ciało – ważyła nie więcej niż dziecko – i już zamierzałem zanieść do samochodu, kiedy coś mnie tknęło.

Położyłem córkę na ziemi, pochyliłem się nad gorylem i odszukałem dyskietkę – nie wiem, na co właściwie miałem nadzieję, ale tak czy inaczej przeliczyłem się, bo dyskietka zamieniła się w kawał zgniecionego plastiku, równie przydatny do czegokolwiek jak walające się wokół Wielkiego Jima foliowe opakowania po kanapkach.

Bałem się zawieźć Chrissie do szpitala, zabrałem ją więc do domu, opatrzyłem i zostawiłem pod opieką Sary. Powrót do biura i pozbycie się ciała zajęły mi ponad dwie godziny, tak że kiedy z powrotem znalazłem się w domu, było już dobrze po pierwszej. Sara, moja mała księżniczka, trzymała się dzielnie, choć w oczach miała dwa wielkie znaki zapytania.

– Tato, co się dzieje? – Dreptała za mną, kiedy szedłem do pokoju starszej córki. – Proszę, powiedz mi, co się

dzieje!

– Wszystko będzie dobrze – uspokoiłem ją. Jeśli miałem rację, Stockwell i jego kumple nie zaczną szukać Chrissie szybciej niż za kilka godzin. Do tej pory zdążę coś wymyślić. – Chrissie się obudziła?

– Tak, ale tato...

– Przynieś jej coś do picia.

Spojrzała na mnie wielkimi oczami i chyba chciała zaprotestować, ale zrezygnowała i poszła do kuchni. Miło wiedzieć, że człowiek ma jeszcze posłuch we własnym domu.

Usiadłem przy łóżku Chrissie i wziąłem ją za rękę. Uśmiechnęła się do mnie. Teraz, kiedy wiedziałem już, że patrzę na córkę, jej rysy z każdą chwilą wydawały się coraz bardziej znajome, aż wreszcie zmieniła się w dziewczynę, którą dawno temu zabrałem na karuzelę.

– Jesteś bezpieczna. – Pogłaskałem ją. Jej skóra była czarna niczym węgiel, dokładnie tak jak moja. – A teraz opowiedz tatusiowi, co się stało. Co było na tej dyskietce?

Otworzyła usta i powiedziała:

– Cisza i jabłka, cienką nicią wszyci w niebo, oko za okiem. Spadają ptaki wypchane śmiercią. Kwiaty pełzają pod piaskiem i nie mają już smaku. Jak dawniej, teraz, w mroku. Straciłam tej nocy dwie najczerwieńsze kości.

Anna Kańtoch

Urodziłam się 28 grudnia 1976, z wykształcenia jestem arabistką, mieszkam w Katowicach. W 2003 podjęłam jedną z najważniejszych i najlepszych decyzji w życiu, czyli zapisałam się do Śląskiego Klubu Fantastyki – od tej pory jestem związana z fandomem na dobre i złe. Stan posiadanych kotów: dwa, w porywach do trzech.

http://zabawki-anneke.blogspot.com/
https://madbooks.pl/kantoch-anna

Patronat medialny

Insi.pl, czyli Twierdza Insimilion, to poświęcona fantastyce strona internetowa z kilkunastoletnim stażem. Zaczynaliśmy jako niekomercyjny portal, poświęcony serii „Icewind Dale”. Z czasem rozszerzyliśmy zakres działalności, chcąc stworzyć największą w Polsce encyklopedię gier cRPG oraz zrzeszając ich miłośników. Publikowaliśmy materiały i informacje pisane przez fanów dla fanów. W ostatnich latach profil portalu został rozszerzony o szeroko pojętą fantastykę.

Obecnie na naszej stronie można znaleźć teksty o różnego rodzaju grach wideo, grach bez prądu i literaturze. Jednak Insimilion to nie tylko portal, gdzie żądni wiedzy gracze mogą znaleźć ogrom informacji o grach, książkach, filmach i komiksach. Insi to również społeczność. To grupa ludzi, których połączyły wspólne zainteresowania i chęć tworzenia. To wszyscy ci, którzy, szukając ucieczki od codzienności, znajdują podobnych sobie miłośników fantastyki. Rozmawiamy przez forum, dzielimy się doświadczeniami i spostrzeżeniami, spotykamy się na żywo na corocznych zlotach. I choć w życiu prywatnym każdy z nas jest inny, łączy nas wspólna pasja, jaką jest fantastyka.

INSI
The Gamers' Spirit
WWW.INSIMILION.PL
facebook.com/Insimilion

Serce z lodu – Anna Karnicka

Wei nucił cicho, uderzając młoteczkiem w dłuto, by chociaż trochę nadkruszyć warstwę lodu pokrywającą skalną ścianę. Przejęty przydzielonym mu zadaniem nie zorientował się nawet, kiedy przed stanowiskiem badawczym zatrzymała się terenówka. Jednym z pasażerów była niewysoka kobieta w czarnym kombinezonie. Jej twarz była właściwie niewidoczna pod grubymi goglami i naciągniętą na czoło wełnianą czapką.

Doktor Lennart Vanhamen niechętnie oderwał się od materiałów pomiarowych i jęknął.

– Cholerny Illmar – mruknął, wyciągając z kieszeni kurtki paczkę papierosów. – Przecież mówiłem im rano, na jakim jesteśmy etapie.

– Znasz ich. – Maks, jego rosyjski asystent, wzruszył ramionami, dla rozgrzania zacierając ręce. – Nie uwierzą, dopóki na własne oczy nie zobaczą, że szybciej się nie da.

Kobieta w kombinezonie zatrzasnęła za sobą drzwiczki i ruszyła w ich kierunku, z wysiłkiem brnąc przez sięgające kolan śnieżne zaspy.

– Hej, Ukryte Smoki! – zawołała, gdy podeszła na tyle blisko, że nie mogli po prostu udawać, że jej nie słyszą.

– Ukryte Smoki to ci, którzy robią pomiary w jaskiniach – odparł z rezygnacją jedyny szwedzki członek zespołu, Orvar. – My jesteśmy Srebrzyste Smoki.

– Chryste Panie, nie mogliście się ponazywać jakoś normalniej? – burknęła kobieta, zatrzymując się przed nimi. Ściągnęła gogle, odsłaniając zaczerwienioną od mrozu i wysiłku twarz. Kilka pasemek ciemnych, kręconych włosów wyślizgnęło się spod czapki.

– Srebrzyste, bo całe oszronione – obruszył się Maks. Mówił z wyraźnie słyszalnym rosyjskim akcentem. – Przecież to logiczne.

– Logiczne byłoby, jakbyście się nazwali Illmar Norrbotten Research Team – odparła z przekąsem.– Ale chyba za dużo od was wymagamy… Jak pomiary?

Doktor Lennart zrobił minę cierpiętnika.

– Dokładnie tak samo, jak wtedy, kiedy składałem ci raport przed opuszczeniem bazy, Jenny – odparł przez zaciśnięte zęby, siląc się na uprzejmość.

Jenny lekko uniosła brwi. Jej pogodna, okrągła twarz nagle nabrała bardzo zasadniczego wyrazu.

– Nie macie nic nowego? – spytała z godnością. – Wyraźnie podkreśliłam przecież, że Illmarowi zależy na czasie… – Zaplotła ręce na piersi. – To na kiedy konkretnie się wyrobicie?

Naukowcy wymienili pełne rezygnacji spojrzenia.

– Może byłabyś na tyle miła, by wyjaśnić nam, czemu to jest aż tak pilne, że musicie dopominać się o to pięć razy dziennie? – Lennart zmarszczył brwi. – Dlaczego mamy

ryzykować pośpiech w sytuacji, kiedy każda nieostrożność może się skończyć tragedią?

Jenny zacisnęła usta w wąską kreskę.

– To poufna informacja – odparła. – Zastrzeżona wyłącznie dla opiekuna projektu, czyli mnie.

Przez dłuższą chwilę ona i doktor Lennart mierzyli się wzrokiem. Powietrze między nimi zdawało się elektryzować.

– *Cut through the heart, cold and clear! Strike for love and strike for fear*! – zanucił wesoło Wei, wciąż nieświadomy obecności przełożonej. – *There's beauty and there's danger here! Split the ice apart! Beware the frozen heart…*

– Więc? Kiedy będę miała te pomiary? – naciskała Jenny. – I co właściwie on śpiewa? – dodała, najwyraźniej przegrywając z ciekawością.

– Wei śpiewa piosenkę z „Frozen” – pospieszył z odpowiedzią Maks. – Chyba dlatego, że mu zimno i próbuje się rozgrzać. A poza tym to ironiczne, biorąc pod uwagę, że od bladego świtu staramy się przebić przez ten lód….

– Mniejsza o to – westchnęła, z rezygnacją kręcąc głową. – Dobra, umawiamy się, że dostarczacie mi te wyniki do końca dnia albo wszyscy będziemy się tłumaczyć przed Illmarem. Pamiętajcie, że gramy w jednej drużynie – zapewniła. Naukowcy wznieśli oczy ku niebu. – Wracam do bazy – dodała, wycofując się w stronę samochodu. – Do zobaczenia później, Lenny!

– Zastanawiam się, jak jej delikatnie uświadomić, że szło by nam znacznie szybciej, gdyby nie przyjeżdżała co dwie godziny sprawdzić jak idzie – powiedział melancholijnie Orvar, patrząc w ślad za nią.

– Nie da się – odparł z żalem Maks. – Nie przetłumaczysz. – Zaprzestał uporczywego wpatrywania się w ekran z odczytami i odkręcił termos. – Komuś herbaty z rumem?

– Może później – mruknął bez entuzjazmu Lennart, wracając do pracy. – Naprawdę chcę to skończyć przed zmrokiem.

– Czyli za jakąś godzinę – spostrzegł zgryźliwie Maks. W Laponii zimowy zmierzch zapadał szybko.

– Wkurza mnie już ta sytuacja – przyznał z niesmakiem Orvar, przejmując termos z rąk towarzysza. – Po uszy mam cholernego Illmaru i cholernej Jenny ciągle patrzącej nam na ręce. Co im się tak spieszy?

– Moim zdaniem to trochę dziwne – powiedział najmłodszy członek zespołu, Wei, na moment odrywając się od dłubania w oblodzonej skale. – Ta cała Jenny dzwoni do nas pięć razy dziennie i każe się spieszyć, podczas gdy profesor Sigfridson wyraźnie mówił, że trzeba powoli, dokładnie, bez zbędnego pośpiechu… że najważniejsza jest ostrożność.

– Każdemu to powtarzał – odparł z prostotą Maks. – Miał świra jeśli chodzi o szczegółowość.

Doktor Lennart i Orvar westchnęli cicho i wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Wei spuścił głowę. Maks

sięgnął do kieszeni po paczkę papierosów i poczęstował kolegów. Przez chwilę palili w milczeniu. Pochodzili z różnych krajów i mieli różne doświadczenie, ale każdy z nich darzył zmarłego niedawno profesora Linusa Sigfridsona szczerym uwielbieniem. Przez lata pracy na uniwersytecie w Umeå zdołał zgromadzić wokół siebie grupę najzdolniejszych i najlepiej rokujących studentów geologii, geoekologii i nauk pokrewnych

– Kiedy z nim rozmawiałem po raz ostatni, powiedział mi to samo, co Weiowi – powiedział doktor Lennart, przerywając ponure milczenie. – Nie powinniśmy się spieszyć ani dać się poganiać, dlatego staram się w miarę możliwości pacyfikować Jenny. Profesor wspominał, że tutaj, na Kebnekaise, pośpiech może nas drogo kosztować.

Maks zrobił zdziwioną minę. Zakręcił termos i schował go do swojej torby.

– Niby dlaczego?

– Tego już nie wytłumaczył. W ogóle, był bardzo tajemniczy. Nie wiem… – ściszył głos. – Moim zdaniem nie za bardzo im wszystkim ufał…

– Ale przecież to on załatwił nam współpracę z Illmarem, prawda? – upewnił się Orvar. – I to on nalegał, żebyśmy to właśnie my pojechali. Przecież nie pakowałby nas w to, gdyby miał z nimi jakiś problem…

– A może właśnie dlatego nas wysłał? – zasugerował Wei, opierając się plecami o skalną ścianę. Pozostali naukowcy spojrzeli na niego pytająco. – No bo… wszyscy widzimy, że nie ufał Illmarowi, a jednocześnie wielokrotnie

zapewniał mnie, że ufa nam jak nikomu innemu… Więc może rzeczywiście coś mu nie grało i wysłał nas, żebyśmy to sprawdzili w jego imieniu?

Maks roześmiał się przyjaźnie i lekko poklepał go po ramieniu

– Mitoman – mruknął. – Wysłał nas, bo potrzebujemy kasy i doświadczenia, a Illmar zapewnia i jedno, i drugie.

– Ale zastanówcie się! – nalegał Azjata. – Chociaż przez chwilę. Przecież ich główna branża to farmacja… To w takim razie czemu ich obchodzą badania geologiczne w jakiejś dziurze na północy? Ktoś z was w ogóle wie, czym oni się naprawdę zajmują i czemu tak strasznie cisną o te pomiary?

Zanim zdążył uzyskać odpowiedź, okolicą wstrząsnął głuchy grzmot. Wei gwałtownie odsunął się od skalnej ściany. Maks zatkał uszy. Doktor Lennart i Orvar rzucili się, by osłaniać czuły sprzęt pomiarowy. Ziemia drżała pod ich stopami. W ogromnej ścianie lodu, przy której znajdowało się stanowisko, powstało pęknięcie stopniowo rozgałęziające się na mniejsze rysy. W akompaniamencie głośnego łoskotu ogromna masa lodu spadła dokładnie między Maksem a Lennartem.

– Uciekajcie! – krzyknął naukowiec, porywając ze sobą jeden z aparatów pomiarowych. Orvar próbował złapać drugi, ale nie zdążył. Kolejna bryła lodu na jego oczach rozgniotła sprzęt.

– I teraz Jenny nas zabije… – stwierdził Maks, patrząc na to, co zostało z ich stanowiska badawczego.

– Nie martw się tym teraz, wiej! – warknął Lennart i dla wzmocnienia przekazu szarpnął go za rękaw kurtki.

Pomruk nasilał się, przechodząc w ogłuszający ryk, narastający z każdą chwilą. Stali znieruchomiali – Lennart wciąż z aparatem pomiarowym w objęciach – kompletnie sparaliżowani, niezdolni się poruszyć, Myśl o ucieczce zupełnie ich opuściła. Pozostała pustka i ogłuszający, dudniący łoskot odzywający się wibracjami gdzieś głęboko w kościach. Wwiercał się głęboko w mózg, szarpał nerwy, wywoływał nieznośny ból. Z każdą chwilą utwierdzali się w przekonaniu, że to coś znacznie więcej niż zwykła lawina. Maks złapał się za głowę, próbując osłonić uszy, ale bezskutecznie. Hałasowi towarzyszyły niemożliwe do zarejestrowania ultradźwięki doprowadzające niemal do szaleństwa, odbierające kontakt z rzeczywistością. Niesamowite i przerażające.

Trzecia ze spadających brył lodu spadła na Weia, unieruchamiając go i niemal miażdżąc mu nogę. Krzyk chłopaka zlał się z wszechogarniającym łoskotem. Pozostali nie byli zdolni ruszyć mu na pomoc, obezwładnieni przez ryk rozwścieczonego żywiołu. Ból w złamanej nodze był tak silny, ze wypełnił mu cały świat. Sprawił, że na moment ten przerażający, niesamowity hałas zszedł na dalszy plan. W nagłym, ostrym przebłysku przytomności Wei zdołał dostrzec postać człowieka – widoczną w lodzie jakby za grubą, szklaną szybą. Widział, jak sylwetka przybliża się coraz bardziej. Mężczyzna w kurtce oparł dłonie o taflę

lodu, a następnie, jak gdyby nigdy nic, przeszedł przez nią. Chwilę później Wei stracił przytomność.

* * *

– Na raz, na dwa, na trzy! – zakomenderował mężczyzna. Przy pomocy sprytnej dźwigni zdołali oswobodzić nogę Weia z lodowej pułapki. Chłopak wrzasnął z bólu.

– Chyba odzyskał przytomność – powiedział Maks, spoglądając na stojącego obok mężczyznę i oczekując potwierdzenia diagnozy.

– Zdecydowanie odzyskał – potwierdził doktor Lennart. Mężczyzna imieniem Stieg nachylił się nad rannym. Polowym nożem rozciął materiał spodni. Azjata znów zawył, bezskutecznie próbując się odsunąć.

– Otwarte złamanie nogi – orzekł poważnie ich nowy znajomy. Zmarszczył brwi, co nadało jego młodej twarzy dziki, nieco wilczy wyraz. Szare oczy były czujne, pełne niepokoju. – Musi jak najszybciej trafić do szpitala.

Lennart spojrzał na wyświetlacz telefonu. Wciąż nie było zasięgu. Niedobrze.

– Cholera, jak ich człowiek nie potrzebuje, to przyjeżdżają sami z siebie co kilka godzin, a jak coś się wykrzaczy kilka kilometrów od nich to ani widu, ani słychu – burknął z oburzeniem.

– To musiało być Rå tej góry – powiedział w zadumie Stieg, grzebiąc w przewieszonej przez ramię skórzanej torbie. Maks śledził jego ruchy z zainteresowaniem.

Próbował zajrzeć do torby, ale nowy znajomy pilnie strzegł swoich sekretów.

– Wyglądało na bardzo wkurzone Rå – mruknął w zadumie Orvar, z troską okrywając Weia zapasową bluzą.

– Też byś był wkurzony jakby średnio raz na kilka lat ktoś próbowałby włamać się do ciebie i skraść twój największy skarb – odparł z filozoficznym spokojem mężczyzna, wciąż skoncentrowany na zawartości torby. Lennart, przeklinając pod nosem, nadal próbował walczyć z telefonem.

– Skarb? – zaciekawił się Maks.

– Nie chciałbym wam przeszkadzać – wycedził przez zaciśnięte zęby Wei, wciąż krzywiąc się z bólu. – Ale o czym wy właściwie mówicie?

– W skandynawskim folklorze Rå to strażnik i opiekun danego terenu, na przykład lasu, jeziora lub góry – odparł Stieg. W jego dłoni znalazła się niewielka szklana fiolka wypełniona czarnym płynem. Szybko odkorkował ją i podsunął pod nos rannego, który skrzywił się pod wpływem intensywnej woni. – To konkretne *bergsrå* strzeże Kebnekaise, najwyższej góry w Szwecji. Pilnuje jej serca.

– To… to Kebnekaise ma serce? – dopytywał Azjata. Ból zelżał, wzmogły się natomiast zawroty głowy.

– Każda góra ma serce – odparł poważnie Stieg. – Najczęściej to po prostu złoża żelaza albo miedzi, których ludzie poszukują. – Poklepał go lekko w policzek, upewniając się, że zawartość fiolki, czymkolwiek była, zadziałała. Widząc, że ranny jest nieprzytomny, wyciągnął

z torby nieco pożółkłe bandaże. – Góra Kebnekaise nie ma jednak w sobie żadnych drogocennych metali, inaczej wydrążono by ją tak, jak góry u podnóża których leży Kiruna – wyjaśnił na użytek Maksa i Orvara, którzy przyglądali mu się z mieszaniną podejrzliwości, szacunku i niedowierzania.

– Ale go skasowało – mruknął, spoglądając to na Azjatę, to na leżącą na śniegu fiolkę.

Doktor Lennart wciąż toczył nierówną walkę z telefonem, od czasu do czasu zerkając podejrzliwie na nowego towarzysza i upewniając się, że Weiowi nie dzieje się żadna krzywda. Wiedział, że powinni się cieszyć, że Stieg był w okolicy kiedy przydarzył się wypadek. Bez jego pomocy i szybkiej reakcji Wei wciąż byłby przygnieciony bryłą lodu i pewnie wykrwawiły się lub zamarzł. Nie zdziwił się, gdy mężczyzna przedstawił się jako pracownik Illmaru. Rozpoznawał symbol organizacji wyszyty na jego znoszonej zimowej kurtce. Problem polegał na tym, że doktor Lennart – znany ze swojej legendarnej pamięci do twarzy – był przekonany, że nigdy wcześniej nie widział tego człowieka. Nie pamiętał go z licznych spotkań z przedstawicielami firmy, nigdy nawet nie minęli się na korytarzu bazy. Owszem – mężczyzna mógł po prostu pracować dla jednostki zlokalizowanej w innej części kraju.

Ale w takim razie czemu nagle znalazł się w samym sercu Laponii?

Pojawił się w takim momencie, że właściwie nie było czasu na dyskusję ani wymianę uprzejmości. Wszyscy

skupili się na tym, by pomóc Weiowi i w miarę możliwości oddalić się z miejsca zagrożenia. Pozostało tylko czekać na pomoc. Z tak ciężko rannym pracownikiem i tak nie byli w stanie odejść zbyt daleko, poza tym zaczynało się ściemniać.

Od zastanawiania się nad tym, czy nowy znajomy nie jest psychopatą zamierzającym zakopać ich pod warstwą śniegu, oderwał Lennarta dzwonek telefonu. Zasięg postanowił wrócić, przynosząc ze sobą dwadzieścia nieodebranych połączeń od Jenny i drugie tyle wiadomości.

– Lenny, co wy do cholery wyprawiacie? – wydarła się na niego kobieta, gdy oddzwonił.. – Chcecie, żebym padła na serce?! Wszyscy żyją? Nie jesteście ranni? – zasypała go pytaniami. – Nie ruszajcie się nigdzie, już po was jedziemy, zaraz będziecie w bezpiecznym miejscu! Nawet nie wiesz, jak się wystraszyłam, myślałam, że już po was! Lenny? Jesteś tam?! LENNY!

Zapewnił ją, że wszyscy żyją a Wei jest ranny, ale otrzymał pierwszą pomoc. Stieg przysłuchiwał się całej rozmowie z wyraźnym zaciekawieniem, nie zdobył się jednak na żaden komentarz. Aż do przybycia helikoptera ratunkowego zajmował się poszkodowanym, okładając ranę nasączonymi czymś bandażami i posykiwał ze zniecierpliwieniem na Orvara i Maksa, którzy próbowali go przekonać, że to głupi pomysł, gdyż opatrunek bezwzględnie powinien być jałowy, a nic, co znajdowało się w skórzanej torbie na jałowe nie wyglądało. Uparcie twierdził, że wie lepiej i powinni mu zaufać.

Jenny pojawiła się chwilę po tym, jak ratownicy medyczni wraz z Weiem odlecieli helikopterem do bazy. Uściskała naukowców na powitanie. Jej radość z tego, że żyją i nie odnieśli większych obrażeń wydawała się całkowicie autentyczna i nieco zbijająca z tropu, biorąc pod uwagę to, ile razy w ciągu tego dnia zdążyli nazwać ją „cholerną Jenny”. Zamarła na widok Stiega. Nieufnie spojrzała do góry, napotkała szare, spokojne oczy i spuściła wzrok.

– A to jest właśnie nasz wybawca – powiedział Lennart, stając między nimi. – Podobno też pracuje dla Illmaru. Nazywa się…

Uświadomił sobie, że nie potrafi sobie przypomnieć nazwiska mężczyzny. Oczywiście, przedstawiał im się zaraz na początku. Zapamiętali imię, bo było proste i krótkie i często je powtarzali, próbując jakoś zorganizować ewakuację ze stanowiska badawczego, ale nazwisko jakoś rozmyło się w pamięci. Możliwe, że nie wypowiedział go zbyt wyraźnie. Możliwe, że zagłuszył je hałas spadających kawałków lodu. Przybysz uśmiechnął się kpiąco i wyciągnął rękę do Jenny.

– Stieg – przedstawił się – Stieg Sigfridson.

Usta Jenny rozchyliły się lekko w wyrazie całkowitego zdumienia i zmieszania.

– Sigfridson? – powtórzyła. – Nie… – Zrobiła krok do tyłu. – To niemożliwe. To jakaś pomyłka! – Stieg oraz naukowcy popatrzyli na nią z zaciekawieniem. – Stieg

Sigfridson nie żyje! Zaginął na Kebnekaise trzydzieści lat temu!

* * *

– Ale numer – powiedział Maks, dosiadając się do plastikowego stolika, przy którym siedzieli Orvar i doktor Lennart. Obaj wydawali się bardzo przygnębieni i pozbawieni energii.– Z tym całym Stiegiem. Kto by się spodziewał?

– Jak Wei? – spytał Orvar. Zdjął okulary, by wyczyścić szkła rękawem szarego, wełnianego swetra. – Będzie żył?

– Będzie, będzie – odparł pogodnie Rosjanin. – Nawet mu nogi nie utną. Podobno te bandaże były nasączone jakimś dziwnym środkiem który powstrzymuje zakażenie. Siedziałem u niego przez chwilę, ale dali mu takiego ogłupiacza, że chłopak nie ogarnia. Mniejsza z młodym, wyliże się. Cały oddział aż huczy od plotek.

– Nawet nie wiedziałem, że profesor Sigfridson ma brata – westchnął Orvar.

– Ja też nie – przyznał ze smutkiem doktor Lennart. – Nigdy nie chciał rozmawiać ze mną o swojej rodzinie, twierdził, że to niezbyt ciekawy temat… Nie wnikałem, wiadomo, że z rodziną najlepiej wychodzi się na zdjęciach, nie chciał gadać, to nie. A teraz no… trochę za późno. Szkoda, że już nie będą mieli okazji się spotkać…

– Nie ma pewności, czy faktycznie są spokrewnieni – stwierdził Orvar, marszcząc brwi. Ponownie założył okulary. – Może to tylko zbieżność nazwisk albo jakaś pomyłka…

– Pamiętacie, co mówiła Jenny? Facet zaginął trzydzieści lat temu, nawet jeśli rzeczywiście przetrwał i wrócił, nie wyglądałby tak młodo…

– Ja tam nie wiem – mruknął Maks. – Zimno konserwuje…

– W każdym razie Illmar zamierza to dokładnie zbadać – obwieścił poważnie Rosjanin. – Muszą potwierdzić jego tożsamość, zweryfikować czy jest tym, za kogo się podaje… Podobno przydzielili do tego Jenny.

– Nic dziwnego – odparł z przekąsem doktor Lennart. Upił łyk z trzymanego w obu dłoniach kubka kawy. Nagle wydała mu się całkowicie pozbawiona smaku. – My go znaleźliśmy, a że jesteśmy jej zespołem, to cała odpowiedzialność spadła na nią.

– Może i dobrze – mruknął melancholijnie Maks, również sięgając po swój kubek z kawą. – Znajdzie sobie jakieś konstruktywne zajęcie i przestanie nam truć dupę o pomiary.

– Nie to, żebyśmy mieli jeszcze jakieś urządzenia pomiarowe – sprowadził go na ziemię Orvar. – Znając życie, oddelegują Jenny do tego, żeby zajęła się tym całym Stiegiem, a nas wywalą na zbity pysk i będziemy mieć szczęście jeśli nie każą nam płacić za zniszczenie sprzętu.

– Nie każą – sprzeciwił się Maks. – Co, nasza wina, że jakiś tam strażnik góry się wkurzył? Ich teren, ich góra, ich problem, że nie dbają o satysfakcję lokalnych duchów opiekuńczych.

Doktor Lennart z rezygnacją pokręcił głową. Z logiką Maksa momentami trudno było dyskutować. Kilku pracowników Illmaru oczekiwało na zagotowanie się wody na herbatę. Nie łudził się – on i jego zespół byli teraz głównym tematem plotek nie tylko w tej bazie, ale prawdopodobnie w całej organizacji.

– Mam dziwne przeczucie, że jednak nie odeślą nas do domu tak po prostu – powiedział cicho. Orvar i Maks popatrzyli na niego pytająco. – Widzieliśmy coś, czego nie powinniśmy widzieć, dlatego tak łatwo się nas nie pozbędą.

* * *

– Imię?

– Stieg.

– Nazwisko?

– Sigfridson.

Jenny zacisnęła usta w wąską kreskę.

– Cóż, w takim razie…. Przykro mi z powodu twojego brata – powiedziała cicho. – Nie mieliście okazji się spotkać.

– Zawsze mogło być gorzej – odparł spokojnie. Zmarszczył nos, bo cały gabinet lekarski był przesiąknięty ostrą wonią środka dezynfekującego. – Szczerze mówiąc, zdawało mi się, że spędziłem tam więcej czasu, tamto Rå wspominało coś o wypuszczeniu mnie na dzień przed Ragnarokiem… A tymczasem wróciłem w momencie, kiedy wciąż jeszcze żyją ludzie, którzy znali mojego brata i byli jego serdecznymi przyjaciółmi. Żałuję, że nie miałem

możliwości porozmawiać z nim w cztery oczy ale… mogło być gorzej.

Jenny nie skomentowała w żaden sposób wzmianek o byciu przetrzymywanym i o Ragnaroku. Wolała nie poruszać tematu przeszłości Stiega, dopóki nie upewni się, że jego grupa krwi i inne dane są zgodne z tymi przechowywanymi w bazie.

– Mógłbyś podwinąć rękaw? – poprosiła. – Muszę ci pobrać krew – wyjaśniła, widząc wyraz uprzejmego zdziwienia w oczach rozmówcy. – Do badań.

– To nie jest robota pielęgniarek? – zagadnął Stieg, kładąc dłoń na oparciu krzesła.

– Wyjątkowo postanowiliśmy odstąpić od tej zasady.

– Szczególne traktowanie dla szczególnego pacjenta? – zakpił.

– Powiedzmy. Rękaw.

Posłusznie wykonał polecenie. Gdy podwinął rękaw szarego swetra, kobieta wytrzeszczyła oczy. Od nadgarstka aż do ramienia skóra mężczyzny pokryta była tatuażami. Stanowiły niezwykle skomplikowaną plątaninę znaków: widziała tam zarówno runy, jak i symbole alchemiczne.

– Miałam właśnie pytać, czy nie boisz się igieł – zagadnęła, zębami rozrywając sterylne opakowanie. – Ale widzę, że chyba niepotrzebnie.

– Niepotrzebnie – przyznał rozbawiony.

Nie spuszczał oczu z jej dłoni w silikonowych rękawiczkach, czujnie obserwował każdy ich ruch. Nie

zaprotestował, kiedy zacisnęła pasek na jego przedramieniu.

– Rozluźnij dłoń i znów zaciśnij – poprosiła. Przesunęła palcami po zgięciu jego łokcia w poszukiwaniu żyły

– Możesz poczuć lekkie ukłucie… – powiedziała cicho, wbijając igłę. Zaklęła pod nosem. Probówka jakoś nie chciała się napełnić. Stieg zerkał na nią spod przydługiej ciemnoblond grzywki.

– Jakiś problem? – spytał uprzejmie.

– Źle się wkłułam – przyznała. – Obawiam się, że będę musiała jeszcze raz. Przepraszam… Nie chciałam…

– Właściwie po co wam te badania? – spytał, obserwując, jak w jego skórę wbija się kolejna igła. – Zamierzacie sprawdzić czy jestem wampirem albo inną Istotą z Cienia?

– Zamierzamy sprawdzić, czy jesteś zdrowy – odparła, przyciskając gazik i delikatnie wyciągając igłę. – Przybyłeś nie wiadomo skąd, podajesz się za człowieka, który zaginął trzydzieści lat temu…. To chyba miło z naszej strony że oferujemy ci darmowe badania lekarskie.

– Tylko jeśli rzeczywiście są darmowe – przyznał, posłusznie uciskając powstałą rankę. – Więc… właściwie czym się teraz oficjalnie zajmujecie? – zagadnął, przyglądając się jej z zaciekawieniem. – No wiesz, jako Illmar?

– Jesteśmy niezależnym instytutem badawczym poszukującym nowych metod leczenia rzadkich schorzeń.

Stieg zaśmiał się szyderczo.

– Bardzo trafnie – przyznał. Odpowiedź kobiety wyraźnie wprawiła go w dobry nastrój. – Sam bym tego lepiej nie wymyślił. Trzeba wam to oddać, macie tupet.

Jenny przygryzła wargi, zastanawiając się, co odpowiedzieć. Wypowiedzi mężczyzny bardzo dobitnie świadczyły o tym, że zna Illmar od podszewki i że jest doskonale świadom tego, czym naprawdę się zajmują. Ciekawe, czy wiedział też, jaki był cel wysłania grup badawczych na Kebnekaise.

Chyba dostrzegł w jej oczach niezadane pytanie, bo tylko uśmiechnął się jeszcze szerzej. W jakiś sposób ten uśmiech upodobnił go do wilka.

– Niech zgadnę, serce z lodu? – mruknął. Wzięła głęboki oddech i pokiwała głową. – Rzeczywiście, mówi się, że ma uzdrawiające właściwości… że jeśli znajdzie się jego okruch, nigdy już nie będzie się czuło bólu… nie będzie się niczego czuło. To naturalne, że zainteresowała się nim organizacja od dziesiątek lat skupiająca się na odnajdowaniu przedmiotów i substancji, którym legendy przypisują nadzwyczajne, lecznicze właściwości. Tak… Niezależny instytut badawczy to dobra nazwa.

– A teraz ściągnij sweter – poprosiła. – Osłucham cię.

Nie protestował. Posłusznie złapał krawędzie swetra i podciągnął go do góry. Jenny aż westchnęła. Stieg miał tatuaże nie tylko na ręku. Całe jego plecy pokrywał ogromny rysunek przedstawiający Yggdrasil, drzewo życia.

– Sam to sobie zrobiłeś? – spytała, zanim zdążyła ugryźć się w język. Zaśmiał się cicho.

– Obawiam się, że jednak przeceniasz moje umiejętności – odparł. – Illmar mi to zrobił. Kiedy miałem szesnaście lat.

– Ale… dlaczego? – spytała. – Po co?

Nie odpowiedział. Sięgnęła po stetoskop i lekko przesunęła nim po jego szerokich plecach.

– Oddychaj – poprosiła. – Muszę osłuchać twoje płuca.

Wziął kilka spokojnych, głębokich wdechów.

– Zrobili to, bo byłem rekrutem w ich szeregach – odparł spokojnym, pełnym zadumy głosem. – Kiedy do nich dołączałem, tatuowali to wszystkim nowym pracownikom… A przynajmniej wszystkim tym, których wysyłano w teren. Ale, sądząc po twojej zdziwionej minie – zagadnął, odwracając się w jej kierunku – to chyba już dawno zaprzestali tej praktyki. Wygląda na to, że sporo się tu pozmieniało…

– Jeszcze kilka wdechów – poprosiła, kładąc stetoskop na jego odsłoniętej klatce piersiowej. Tam nie miał już tatuaży, tylko jasną, ukośną bliznę.

– Ci ludzie, którym wtedy pomogłem, byli pod twoją opieką – zagadnął, wykorzystując to, by spojrzeć jej w oczy. – Więc… o ile dobrze rozumuję, w przypadku uzyskania pomiarów wskazujących na to, że miejsce jest bezpieczne, to właśnie ty miałaś tam wejść, by je zdobyć? Taką rolę wyznaczył ci Illmar?

Nie zaprzeczyła.

– Zostałaś do tego odpowiednio przeszkolona i przygotowana? Powiedzieli ci, że możesz zginąć albo

zostać uwięziona w lodowej ścianie na kilkadziesiąt lat?

Nieznacznie zbladła.

– Nie jestem pierwszą osobą, której przydzielili to zadanie, prawda?

– Po tym, jak ja zostałem uwięziony, zrobili jeszcze dwa podejścia – sprecyzował Stieg. – Widziałem to z mojej lodowej trumny. Rå które mnie uwięziło, pozwoliło mi obserwować, jak giną.

– Dlaczego nie zabiło ciebie?

– Nie mam pojęcia – przyznał. – Może jej się spodobałem czy coś. Może byłem jej trofeum. Dość, że tak bardzo poganiałaś tych swoich chłopców do roboty, że co prawda nie znaleźli dla ciebie serca ani nie sprawdzili czy droga do niego jest bezpieczna, ale za to wykuli mi drogę na wolność. Wygląda na to, że wiszę wam flaszkę.

– Nie ma o czym mówić – wzruszyła ramionami. Wsunęła dłonie do kieszeni laboratoryjnego fartucha narzuconego na szary sweter. – Sprzęt pomiarowy został zniszczony, nie zachowały się żadne dane. Illmar porzuci ten projekt, przynajmniej na jakiś czas…

– A jeśli nie? – spytał. – Jeśli są tak bardzo zdeterminowani, że są gotowi wysłać cię nawet mimo tego, że rozgniewaliśmy Rå?

Wróciła do stołu i zajrzała do dokumentacji medycznej. Starannie zapakowała fiolki z krwią do koperty i opisała, żeby zanieść je do laboratorium.

– To na razie wszystko, jeśli chodzi o badania – powiedziała cicho. – Idź odpocząć. Odezwę się do ciebie,

kiedy przyjdą wyniki.

– O ile wcześniej nie wyślą cię po serce z lodu – spostrzegł, ponownie zakładając sweter. – Daj znać, jeśli będziesz potrzebowała pomocy.

– Dziękuję, chyba jednak dam sobie radę,

– Mimo wszystko daj znać – powiedział, zanim zamknęły się za nim drzwi gabinetu. – Do zobaczenia wkrótce, Jenny.

* * *

– Jakoś mi się to nie podoba – powiedział Lennart, spoglądając na wąskie wejście do jaskini. Orvar i Maks również nie wyglądali na specjalnie uszczęśliwionych nowym zadaniem przydzielonym przez Illmar. Jeszcze mniej uszczęśliwieni byli obecnością Jenny, która uparła się im towarzyszyć i teraz wraz z nimi stała w progu jaskini, w kombinezonie i z ogromnym plecakiem.

– Najnowsze wyniki badań dostarczone przez Ukryte Smoki wyraźnie mówią, że nie ma żadnego zagrożenia – powiedziała poważnie.

– To, że banda grotołazów uznała, że ta jaskinia jest względnie bezpieczna, o niczym nie świadczy – odparł naukowiec, zerkając na nią ze złością. – Zwłaszcza, że na własne oczy widzieliśmy, że coś, co tu mieszka, jest bardzo wkurzone i bardzo nas nie lubi.

– To jest tylko góra, Lenny – odparła Jenny, przybierając protekcjonalny ton. – Góra. Może być dzika i nieobliczalna jak każdy inny element środowiska naturalnego, ale nie może cię nie lubić. Jasne? Ktoś ma jeszcze jakieś

zastrzeżenia? – zwróciła się do Maksa i Orvara. – Skoro nie, to musimy ruszać. Czeka nas długa wyprawa, te jaskinie są naprawdę głębokie.

– Jeśli mogę przeszkodzić… – Za ich plecami rozległ się znajomy głos. – Chyba brakuje wam jednego członka grupy. Chciałbym iść jako jego zastępstwo.

Jenny zmarszczyła brwi, wyraźnie zaskoczona.

– Stieg? – spytała ze złym błyskiem w oku. – Co tu robisz? Powinieneś być w bazie!

– A ty powinnaś była mi powiedzieć, że kazali wam tu wrócić – odparł surowo. – Całe szczęście że wpadłem na Weia na szpitalnym korytarzu – dodał, zanim kobieta zdążyła zapytać, jak właściwie się dowiedział.

Jenny popatrzyła na niego z powątpiewaniem.

– Jesteś pewien, że dasz sobie radę? – spytała z przekąsem. – Jeśli wierzyć tej twojej historyjce, byłeś tu uwięziony przez ostatnie trzydzieści lat. Nie skończyliśmy twoich badań, może się okazać, że masz jakiś ukryty zespół stresu pourazowego czy coś. A jeśli wejdziesz tam, spanikujesz i narobisz nam kłopotu?

Odpowiedział zaczepnym uśmiechem.

– Co, jeśli to ty spanikujesz i narobisz nam kłopotu, bo nigdy wcześniej nie byłaś w jaskiniach Kebnekaise? – odpowiedział pytaniem. – Byłem tu uwięziony, więc to logiczne, że znam to miejsce jak nikt inny i powinienem iść.

– Dlaczego właściwie tak bardzo ci zależy?

– Sam nie wiem – odparł chłodno. – Może dlatego, że mimo braku doświadczenia bierzesz ze sobą przyjaciół

mojego brata, a ja chcę zapewnić wam bezpieczeństwo? Nie wiecie, czego się spodziewać. Ja wiem i czuję się za was odpowiedzialny. W czym problem?

– Ja tam bym go zabrał – mruknął Maks, nachylając się nieco w stronę Orvara. – Potrafi ją zmusić do zamknięcia buzi na więcej niż pięć sekund, to rzadki dar…

Kobieta chyba to usłyszała, bo obdarzyła Rosjanina morderczym spojrzeniem. Po chwili zerknęła na tarczę elektronicznego zegarka.

– Chodźmy – zaproponowała. – Chcę mieć to jak najszybciej z głowy.

Zapaliła latarkę na kasku i, nie oglądając się na resztę grupy, ruszyła przez siebie, prosto w ciemność wąskiego, skalnego korytarza. Doktor Lennart wzruszył bezradnie ramionami i podążył za nią, zachęcając swoich podwładnych by wzięli z niego przykład. Pochód zamykał Stieg, który nucił cicho pod nosem. Wędrówka zdawała się ciągnąć w nieskończoność. O ile na zewnątrz wszechobecność bieli potrafiła doprowadzić do szaleństwa, tu panowała ciemność, z trudnością rozpraszana przez wątłe światła ich latarek. Droga wiodła to w górę, to w dół, często skręcała niespodziewanie lub rozwidlała się na węższe korytarze. Przy trzech pierwszych rozwidleniach Jenny bez problemu wybrała dalszą drogę, przy czwartym miała wątpliwości, przy piątym zaś zarządziła postój. Mieli już za sobą dobre kilka godzin marszu przez ciemność i zmęczenie coraz bardziej dawało im się we znaki. Zimne, wilgotne powietrze jaskini wcale nie ułatwiało podróży.

Zatrzymali się, rozłożyli maty i śpiwory i usiedli pod skałami, by chociaż trochę odetchnąć. Tylko Stieg krążył wokół pospiesznie zaaranżowanego obozowiska, od czasu do czasu od niechcenia przesuwając palcami po skalnych ścianach. Kilka razy przyklękał i podnosił coś z ziemi.

– Co to właściwie było? – spytała Jenny, gdy wreszcie przysiadł obok niej na sporym kamieniu.

– Środki ochronne – odparł, przeszukując plecak w poszukiwaniu prowiantu. – Przydadzą się, uwierz.

– Środki ochronne przed czym? – dopytywała się kobieta.

Stieg uśmiechnął się tajemniczo..

– Myślę, że wkrótce sama się przekonasz. Nie ma sensu psuć ci niespodzianki.

Przez chwilę obserwowała, jak dość nieporadnie próbuje otworzyć paczkę z liofilizowanym makaronem.

– Daj – powiedziała wreszcie z rezygnacją, wyciągając dłoń po paczkę. Walczył jeszcze minutę, zanim się poddał i niechętnie pozwolił jej otworzyć opakowanie. Nieufnie powąchał zawartość.

– Tak mam to jeść? – spytał z niesmakiem.

– Trzeba do tego dolać wrzątku – odparła. Wskazała ruchem głowy na Maksa i Orvara, którzy gotowali wodę na turystycznej kuchence. Stieg nie wydawał się przekonany do tej idei i wciąż spoglądał z powątpiewaniem to na Jenny, to na paczkę, jakby miał nadzieję, że to żart. – W sumie to cię podziwiam – przyznała w zadumie.

– Miło to słyszeć. Dlaczego?

– Jak na człowieka rzekomo uwięzionego gdzieś przez trzydzieści lat całkiem nieźle sobie radzisz z szokiem technologicznym. Albo tak dobrze się odnalazłeś, albo szybko się uczysz, albo aż tak dobrze łżesz.

Stieg westchnął i lekko pokręcił głową.

– Zostałem zamrożony na trzydzieści lat, nie na sto – zauważył. – Nie wiem jak reszta świata, ale Illmar nie zmienił się aż tak bardzo. Przynajmniej nie w tym obszarze, w którym z nim współpracowałem. Mamy lepszy prowiant, lepszy sprzęt, lepsze i szybsze sposoby komunikacji, ale jeśli chodzi o sposoby działania, to wszystko zostało po staremu. Ostatecznie jednak wysłali cię tutaj, tak jak podejrzewałem. To o czymś świadczy, prawda?

Zanim zdążyła wymyślić odpowiednio ciętą ripostę, Stieg podszedł do pozostałych członków wyprawy i posłusznie pozwolił napełnić swoją torebkę makaronu ciepłą wodą, spokojnie wysłuchał też instrukcji odnośnie do dalszego postępowania z prowiantem. Jenny przyglądała mu się z namysłem. Z tego co wiedziała o sytuacji Stiega, do tej pory nie miał kontaktu ze światem poza bazą. Nie widział współczesnej Szwecji, nie oglądał wiadomości – był tylko obiektem badawczym Illmaru. Żyłka naukowca, którą przecież posiadała, mówiła jej, że obserwowanie go w naturalnym środowisku może być fascynujące. Empatia natomiast podpowiadała tylko jedno słowo – “biedaczek”.

– Jedno mnie zastanawia – mruknął, znów zajmując miejsce obok niej. Przeniósł wzrok na pogrążonych w cichej rozmowie naukowców. – I uważam, że ciebie też powinno.

– A mianowicie?

– Co oni tu robią? – Dyskretnym ruchem głowy wskazał na towarzyszy podróży. – Dlaczego wzięłaś ich ze sobą?

– Rozkazy z góry.

Nieznacznie uniósł brew.

– Rozkazy z góry. No tak. – Pokiwał głową i uśmiechnął się szyderczo. – I oczywiście nawet nie przyszło ci do głowy ich kwestionować, bo to logiczne, że wysyłają po serce z lodu pracownika bez przeszkolenia w terenie oraz grupę naukowców, którzy nie mają pojęcia o tym, w jakiej misji biorą udział. Zwłaszcza w miejscu, w którym nie dalej jak tydzień temu doszło do wypadku. Gwarancja sukcesu.

Przez chwilę w milczeniu gryzła swojego zbożowego batonika. Rzeczywiście, zastanawiała się nad tym rozkazem, dla niej też nie miał on większego sensu. Przełożeni dysponowali przecież dużą ilością terenowych pracowników, przygotowanych do pozyskiwania rzadkich artefaktów i niebezpiecznych substancji. Mogli z nich skorzystać, z jakiegoś powodu wybrali jednak grupę, która jako pierwsza miała do czynienia ze Stiegiem.

– Jeśli rzeczywiście chcieli się nas pozbyć, dlaczego nie wysłali wszystkich? – spytała ściszonym głosem. – Mogli po prostu poczekać, aż Wei wyzdrowieje i wysłać nas gdzieś, gdzie mogłoby nas coś zeżreć albo rozpłaszczyć.

– Zastanów się, co jest bardziej opłacalne – zasugerował. – Inwestować w rehabilitację pracownika i czekać na kolejną potencjalnie niebezpieczną sytuację albo nawet wyreżyserować ją samodzielnie, czy też

skorzystać z pierwszej lepszej okazji na pozbycie się reszty niewygodnego zespołu, a z chorym pracownikiem rozprawić się w inny sposób?

– Niby jaki?

– Wypadki chodzą po ludziach.

– Nie sugerujesz chyba, że Illmar mógłby wykorzystać naszą nieobecność by zabić Weia?

– Aż tak daleko bym się nie posunął, ale jestem prawie pewien, że gdyby potwierdzono naszą tragiczną śmierć w kolejnym incydencie, Wei też nie pożyłby długo.

– Wei jest w szpitalu – przypomniała mu. – Unieruchomiony. Istnieje ograniczona ilość sposobów na upozorowanie wypadku w takich warunkach. Nikt nie uwierzy w przedawkowanie środków przeciwbólowych, nie te czasy…

– Wbrew temu, co sobie myślisz, za moich czasów też istniały kroplówki – odparł w zadumie. – I sprawienie, że przypadkiem dostanie się do nich balonik powietrza powodujący zator nie było szczególnie trudne.

– Dzięki za uspokojenie – mruknęła, obejmując ramiona dłońmi. Nagle zrobiło jej się bardzo zimno. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że organizacja, dla której pracowała tak długo, mogłaby wpakować ją w coś takiego.

– Hej. – Stieg lekko oparł dłoń na jej ramieniu. – Nie martw się, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żebyśmy wyszli z tych jaskiń. Spróbuj się nieco przespać – poradził przyjacielsko. – Ja popilnuję obozowiska. Kolorowych snów, Jenny.

* * *

Obudziło ją wycie. W pierwszym momencie zignorowała je, przekonana, że to po prostu wiatr świszczący w skalnych szczelinach. Rzeczywiście, czuła na skórze powiew chłodu, nigdy jednak do tej pory wiatr nie brzmiał jak dziesiątki potępionych dusz jednocześnie opłakujących swój los. Przerażona, usiadła i otworzyła oczy. Cały korytarz rozświetlony był dziwnym, zielonkawo-sinym światłem. Dziesiątki oczu w powykrzywianych cierpieniem ludzkich twarzach spoglądały na nią ze skalnych ścian korytarza wewnątrz góry. Wszystkie miały oszronione brwi i sine usta. Tak jakby cały czas były uwięzione w skałach i teraz próbowały wyrwać się na wolność lub porwać ich i również uwięzić. Zbliżały się coraz bardziej, wyciągały do nich trupioblade ręce o długich palcach. Wrzasnęła. Zamknęła oczy i skuliła się w swoim śpiworze, szeptem błagając, żeby to był tylko sen, żeby po otworzeniu oczu to zniknęło. Czuła płynące po policzkach łzy.

Otworzyła oczy. Skalna ściana wciąż była przezroczystą szybą, za którą tłoczyły się dziesiątki potępionych dusz. Teraz jednak na tej szybie widniały płonące czerwienią znaki. Rozpoznała je od razu – te same znaki były wytatuowane na przedramieniu Stiega. Rozejrzała się w poszukiwaniu mężczyzny. Stał między pogrążonymi we śnie naukowcami a skalną ścianą. Jedną rękę miał wyciągniętą przed siebie, drugą nerwowo szperał w przyczepionej do pasa skórzanej torbie. Stał nisko na nogach, czujny, napięty jak wilk gotujący się do ataku.

Wreszcie znalazł to, czego szukał. Wyciągnął przedmiot z kieszeni i cisnął nim o ścianę. Wycie umilkło jak nożem uciął. Zapadła przerażająca, pełna napięcia cisza.

– Co… – wyszeptała Jenny, wpatrując się z przerażeniem w ciemność. – Co to było?!

Stieg odwrócił się do niej i przyłożył palce do ust, nakazując milczenie. Nie wydał z siebie żadnego odgłosu, ale jego usta ułożyły się w jedno słowo: „śpij”.

Usłuchała.

* * *

– Co to, do cholery, było?! – ponowiła pytanie, gdy zwijali obozowisko i szykowali się do dalszej wędrówki w głąb góry. – To wczoraj, w nocy? Ty coś zrobiłeś, prawda? Jakoś ich przegoniłeś! Widziałem te znaki i…

Stieg zapiął klamry swojego plecaka.

– Rutynowe działania zabezpieczające – odpowiedział krótko. – Jak widać: skuteczne.

– Kim oni byli? – dopytywała. – Czego szukali?

– To wszyscy, którzy przegrali w Kebnekaise. Wędrowcy, którzy zamarzli, próbując ją zdobyć, spadli w przepaść lub zagubili się w podziemnych korytarzach. Ich dusze nigdy nie opuściły góry. Przyszli tu, bo jesteśmy żywi – wyjaśnił. – Bo nasze serca biją i pompują krew, która rozgrzewa nasze ciała. Zazdroszczą nam tego.

– Są bardzo niebezpieczni? – Zerknęła przez ramię na naukowców, którzy zbici w ciasną grupę bez przekonania

jedli szybkie śniadanie. – Znaczy… no wiesz… mogliby nam zrobić krzywdę?

– Zazwyczaj okazują się niegroźni, potrafią jednak namieszać w głowie i doprowadzić podróżników do obłędu i śmierci. Ci byli wyjątkowo agresywni, pewnie domyślili się, że chcemy ich okraść.

Pokiwała głową.

– Lenny! – zawołała, obracając się w kierunku naukowców. – Szybciej tam! Musimy już ruszać!

Stieg lekko oparł dłoń na jej ramieniu.

– Wszystko w porządku, Jenny? – spytał cicho.

Popatrzyła na niego pytająco.

– Czemu miałoby nie być w porządku?

– Obudziłaś się, widziałaś ich, to dostatecznie dużo. Czasem efekty spotkania z Drugą Stroną dają o sobie znać z opóźnieniem – wytłumaczył. – Jeśli poczujesz się gorzej albo zauważysz coś dziwnego, musisz mi powiedzieć – zażądał.

Popatrzyła na niego ze złością. Odpowiedziało jej surowe, czujne spojrzenie szarych oczu. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem jak rewolwerowcy. Maks zagwizdał cicho pod nosem. Jak na komendę oboje zwrócili się w stronę naukowców, którzy wciąż jeszcze nie byli do końca spakowani.

– Daruj sobie ten rozkazujący ton – poradziła szorstko Jenny, zakładając plecak. – Jeśli uznam, że powinieneś o czymś wiedzieć, dowiesz się. Lepiej im pomóż, do końca

życia się nie zbiorą – dodała, chociaż Stieg chyba sam doszedł już do tego samego wniosku.

– Świetnie. – Lekko poklepał ją po ramieniu. – Tak trzymać.

W milczeniu obserwowała jak pomaga Maksowi przytroczyć śpiwór do plecaka. Naprawdę wszystko było w porządku. Fakt, że w jednym z korytarzy widziała majestatycznie unoszące się w powietrzu świetlne kule, o niczym jeszcze nie świadczył.

* * *

Radziła sobie całkiem nieźle, przynajmniej do momentu, gdy dotarli do końca korytarza. W miejscu, gdzie skalny tunel rozszerzał się i wznosił, zmieniając w ogromną, wysoko sklepioną salę, jakby nigdy nic stały sobie cztery widma. Miały sine usta i oszronione brwi, podobnie jak zjawy, które widziała w nocy. Były jednak znacznie wyższe i zdecydowanie bardziej realne. Dyskretnie obejrzała się przez ramię. Ani doktor Lennart, ani Orvar, ani Maks chyba jeszcze nie zdawali sobie sprawy z ich obecności. Twarz Stiega była nieprzenikniona.

To tylko przywidzenia – powtarzała sobie w myślach, krok za krokiem brnąc przed siebie, w ich kierunku. *Stres, nic więcej*.

Jednak w miarę jak się zbliżali, sylwetki stawały się coraz wyraźniejsze. Ich płaszcze miały taki sam krój i barwę jak ubranie, które Stieg miał na sobie gdy spotkali

się po raz pierwszy. Widziała nawet wyszyty na nich symbol Illmaru.

Stieg przecisnął się do przodu i ręką zagrodził drogę pozostałym członkom zespołu.

– Co? – zdziwił się doktor Lennart, rozglądając się nerwowo. – Co się dzieje?

– Wystąpiły drobne komplikacje – oświadczył Stieg, spoglądając to na Jenny, to na widma przy drzwiach. – Uważam, że powinniśmy zawrócić.

– Kolejne trzęsienie ziemi? – zaniepokoił się Orvar. Maks przełknął ślinę. Wspomnienie ostatniego wypadku wciąż jeszcze było zbyt świeże.

– Nie, nie trzęsienie ziemi – odparł szybko ich przewodnik. – Ale może zrobić się niebezpiecznie. Doradzałbym strategiczny odwrót.

– Strach cię obleciał? – zakpiła Jenny, siląc się na pełen wyższości uśmiech. Mimo kilku warstw odzieży trzęsła się jak osika. – Idziemy dalej, panowie, bez ociągania. Mamy tutaj robotę do wykonania.

– Nie – powiedział z godnością Lennart. – Zaczekaj. Chcę najpierw usłyszeć, co Stieg ma do powiedzenia. Dlaczego mówisz, że może być niebezpiecznie? Co nam grozi?

Kierowniczka ekspedycji otworzyła już usta, by zaprotestować, ale Stieg uciszył ją jednym spokojnym spojrzeniem.

– Tak się składa, że drogi do samego serca góry strzegą cztery upiory – oświadczył. – Skoro ich nie zauważacie, to

dobrze dla was – dodał szybko, widząc pełne powątpiewania spojrzenia naukowców. – To znaczy, że nie jesteście jeszcze pod wpływem Drugiej Strony. Ja za to widzę je doskonale z miejsca, w którym stoję i jestem przekonany, że Jenny również – powiedział z naciskiem. Kobieta niechętnie pokiwała głową. Doktor Lennart i Orvar wymienili zaskoczone spojrzenia. – Jenny, uważasz że mogą być niebezpieczne? – zagadnął.

Niechętnie wzruszyła ramionami.

– Nie wiem – przyznała. – Trudno powiedzieć. Wyglądają na zmarznięte.

– Nie wiesz – powtórzył z przekąsem. Mimo woli skuliła ramiona i nieco pochyliła głowę, jak uczennica przyjmująca reprymendę od nauczyciela. – A mimo to byłaś gotowa przejść ze swoim zespołem obok nich, nie wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje! – Pierwszy raz od kiedy go spotkała, tak wyraźnie wyczuwała w jego głosie złość. – Jeśli dalej tak bardzo chcesz zdobyć serce z lodu dla Illmaru, nie będę cię zatrzymywał. Idź i poproś Kebnekaise, żeby ci je dała, może ci się poszczęści. Ale nie pozwolę ci wciągać w to przyjaciół mojego brata, chyba że sami zadecydują inaczej.

Jenny zacisnęła zęby. Chciała wykrzyczeć coś o podważaniu autorytetu, ale jak na złość Stieg miał rację: jej ludzie mogli być w niebezpieczeństwie. Oddychała szybko, przez nos, czując narastającą frustrację. Za nic nie chciała iść dalej sama, ale nie mogła przecież wrócić

z pustymi rękami. Równie dobrze mogła w ogóle nie wracać.

– Więc jak będzie? – zagadnął naukowców przewodnik, nic sobie nie robiąc ze wzburzenia Jenny. – Zawracamy, czy idziemy dalej?

– Czy ja wiem... To chyba trochę przekracza zakres naszych obowiązków – spostrzegł ostrożnie Orvar..

– A ja tam bym poszedł – powiedział z filozoficznym spokojem Maks. – Nie co dzień trafia się taka impreza. Jestem ciekaw, co z tego wyniknie.

Wszystkie oczy zwróciły się na doktora Lennarta. To do niego należał decydujący głos. Zanim zdołał wymyślić odpowiednio wyważoną odpowiedź, od strony drzwi dobiegł ich zachrypnięty, świszczący głos.

– Sigfridson!

Naukowcy rozejrzeli się, wyraźnie zaniepokojeni. Jenny wiedziała, że głos należy do jednego z upiorów, który krok za krokiem zaczął iść w ich kierunku. Ani Orvar, ani Lennart, ani Maks wciąż niczego nie widzieli. Dla nich głos dochodził zupełnie znikąd.

– Sigfridson, To naprawdę ty?

– To ja, Yorg – odparł poważnie Stieg, zwracając twarz w kierunku widma. – Nie próbuj mnie atakować – poradził, ostrzegawczo wyciągając przed siebie rękę. – Wiesz, że potrafię się obronić.

– Nie sądziłem, że tu wrócisz – odezwał się Yorg. Naukowcy wciąż rozglądali się w popłochu, poszukując źródła dźwięku. Żarówka w latarce zamontowanej na kasku

doktora Lennarta zamrugała i zgasła. Zrobiło się nieco ciemniej. – I nie sądziłem, że będziesz miał tyle czelności, by przyprowadzić tu nową grupę. Nie po tym, co przytrafiło się podczas naszej wyprawy.

Jenny wlepiła w Stiega pytające spojrzenie, które oczywiście zostało zignorowane. Lennart wyglądał jak ktoś, komu właśnie potwierdziły się najgorsze przypuszczenia i jedyne, co mu zostało, to pełen gorzkiej satysfakcji uśmiech.

– Nie ja ich tu przyprowadziłem – powiedział Stieg. – Wysłali ich tu nasi wspólni znajomi, ja tylko ubezpieczam.

– Oby twoje ubezpieczanie skończyło się dla nich lepiej niż dla nas – powiedział ponuro upiór. – Kebnekaise wie, że tu jesteś. Chce się z tobą zobaczyć.

Stieg powoli pokiwał głową.

– W takim razie pozwól nam przejść – powiedział poważnie. – Przyszliśmy z nią porozmawiać

– Proszę bardzo – odpowiedział Yorg, kłaniając się nisko. Teraz zaczęła zawodzić również latarka Maksa. – Możesz iść dalej, twoi koledzy też, ale ta suka z Illmaru zostaje z nami.

– Co? – spytali jednym głosem naukowcy.

– Przecież… – głos Jenny zabrzmiał słabo i piskliwie.

Upiór zignorował ich i znów zwrócił się do Stiega.

– Nie sądziłeś chyba, że pozwolę jej wyjść stąd cało! – Roześmiał się ponuro. – Nie co dzień w ręce wpada nam ktoś z centrali Illmaru. Nie co dzień trafia się okazja, żeby się zemścić za to, co nam zrobili… Co zrobili tobie

i twojemu bratu, Stieg! Chyba nie pozwolisz na to, żeby tak po prostu stąd wyszła – w głosie widma zabrzmiało oburzenie. Orvar gwałtownie wciągnął powietrze, kiedy zgasły też pozostałe dwie żarówki. Jedynym źródłem światła była teraz tylko latarka zamontowana na kasku Stiega która też mrugała już niepokojąco. – Oddaj ją nam! Nasza zemsta na Illmarze się dokona, wreszcie będziemy wolni!

W ogarniającej ich ciemności Jenny nie widziała twarzy Stiega, zaledwie jej kontur. Mocno zaciskał szczękę, mięśnie na szyi były napięte. Wiedziała, że rozważa tę propozycję. O ile dobrze zrozumiała, te upiory były jego dawnymi współpracownikami. Obwiniali Illmar za to, że zostali uwięzieni we wnętrzu góry i chcieli dokonać zemsty na przedstawicielce organizacji, którą ze sobą przyprowadził. Co, jeśli im na to pozwoli? Co, jeśli dlatego właśnie postanowił im towarzyszyć?

Zanim podjął decyzję, otoczyła ich ciemność. Nie zwyczajny półmrok, jaki panował tu do tej pory, ale ciemność absolutna, do której oczy nie mogą się przyzwyczaić. Głęboko pod ziemią nie było żadnego innego źródła światła, nie było szczelin, przez które przeświecałoby słońce, ściany nie emitowały też błękitnawego półblasku. Tylko czerń i cisza.

Przerwał ją ostrzegawczy okrzyk Stiega i odgłosy szarpaniny. Ktoś popchnął Jenny, ktoś podciął jej nogi. Uderzyła policzkiem w lodowato zimną skałę i przywarła do niej, bojąc się poruszyć. Była przekonana, że jeszcze chwila i do niej przymarznie. Ktoś przeskoczył nad nią i pobiegł

przed siebie w panice, ktoś wpadł na ścianę. Dźwięk, który usłyszała później sprawił, że przyłożyła pięść do ust, by zdusić krzyk. Był to dźwięk noża powoli przecinającego kolejne warstwy tkanki, a następnie charkot i odgłos upadającego na ziemię ciała. Wszystkie odgłosy walki umilkły.

Jenny słyszała własny oddech i dudniące bicie serca. Nie miała odwagi się odezwać, zapytać, kto tu jest i co się dzieje. Bała się, że jest tutaj tylko ona i demony, że jej towarzysze uciekli lub zginęli, a ona została sama na pastwę upiorów tylko marzących o tym, by odegrać się na niej za jakieś przewinienia Illmaru. Przerażona nie zwróciła uwagi na odgłosy kroków. Ktoś pochylił się nad nią, zarzucił sobie jej rękę na ramię i podniósł ją do pozycji stojącej. Szła posłusznie, zbyt przerażona i zszokowana, żeby zaprotestować. Zrobiło się nieco jaśniej, znów dało się rozróżnić kształty i kontury. Z sali na końcu korytarza promieniowało jasne, chłodne światło. Przy wejściu czekali Lennart, Orvar oraz Maks – ku ogromnej uldze Jenny wszyscy cali i zdrowi. Dopiero wtedy odważyła się spojrzeć na osobę, która ją prowadziła. Stieg upewnił się, że kobieta może stać samodzielnie, po czym odsunął się. Wolną ręką pospiesznie przeglądał zawartość skórzanej torby.

– Przyłóż sobie do policzka – poradził, podając Jenny kawałek nieco pożółkłego bandażu. – Jest nasączony ziołami, pomoże ściągnąć opuchliznę.

Posłusznie przyjęła opatrunek. Dopiero gdy przyłożyła rękę do policzka, zorientowała się, że jest obolały i lekko

opuchnięty. Widocznie upadek w ciemności był poważniejszy, niż podejrzewała.

– Co się stało z… z tamtymi? – zagadnęła, próbując przebić się wzrokiem przez ciemność korytarza za nimi. Naukowcy wzruszyli ramionami, zbyt zszokowani i wstrząśnięci, by zdobyć się na komentarz.

– Nie będą cię już niepokoić – odparł spokojnie Stieg. – Rozmówiliśmy się po męsku, daliśmy sobie po pyskach, odeszli w swoją stronę.

– Myślałam, że… słyszałam…

– Szkoda czasu – powiedział. – Przyszłaś tu przecież po serce z lodu, prawda?

Nikt nie zaprotestował. Weszli do wysoko sklepionej skalnej komnaty. Zimne, śliskie skały pod stopami zmieniły się w szklaną taflę lodu pokrytą cieniutką warstwą śniegu – prawdopodobnie podziemne, zamarznięte jezioro, którego wody emanowały jasnym, chłodnym światłem. Na samym środku ktoś stał. Postać ruszyła w ich kierunku niespiesznie, nie zostawiając śladu na pokrywającej lód warstwie śniegu. W miarę jak się zbliżała, dało się dostrzec długie, srebrzyste włosy opadające na pelerynę z niedźwiedziego futra. Bez wątpienia mieli do czynienia z kobietą. Miała blade, niebieskie oczy i alabastrową cerę, która wzbudziła w sercu Jenny trudne do stłumienia uczucie zazdrości.

– Witaj, Kebnekaise! – zawołał Stieg. – Nie chcemy cię skrzywdzić ani okraść. Przyszliśmy porozmawiać!

– Wygląda na to, że Illmar znów połakomił się na moje serce? – zagadnęła. Miała cichy głos, jednak ogromna sala sprawiła, że roznosił się głośnym, grzmiącym echem. – Tyle porażek, a jednak nie zaprzestajecie prób. Dlaczego aż tak strasznie wam zależy?

– Legendy mówią, że mając choćby okruch tego serca, nie odczuwa się bólu – odparła Jenny, starając się, by jej głos brzmiał pewnie. Po tym, co niedawno przeszła nie było to takie łatwe. – Kiedy zwykłe metody zawodzą, należy sięgnąć po te niezwykłe i niebezpieczne. Illmar od lat robi wszystko, by pomagać ludziom w walce z ich dolegliwościami, żeby znajdować coraz to nowe sposoby leczenia.

– Miło, że wreszcie wiem, czym zajmuje się firma, dla której pracuję – mruknął z przekąsem Lennart.

– Lepiej późno niż wcale – odpowiedział Maks.

– Zaufały nam już tysiące pacjentów i producentów leków – ciągnęła Jenny, całkowicie ich ignorując. – Dlatego tu jesteśmy. Dlatego tak bardzo zależy nam żeby na sercu z lodu.

– Serce z lodu nie jest większe od ludzkiego serca – odparła Kebnekaise, wyciągając rękę, żeby zaprezentować wielkość. – Nie wystarczy go dla wszystkich, którym chcecie pomóc.

– Wiem – odparła Jenny, chociaż z każdą chwilę duch opiekuńczy góry coraz bardziej ją onieśmielał. Nie była już pewna, czy powinna dostarczyć artefakt Illmarowi. – Potrzebujemy tylko małej próbki. Chcemy je przebadać,

sprawdzić, co sprawia, że ma taką moc, może uda się nam wyprodukować coś podobnego. Możesz nie uwierzyć, ale mamy ludzi, którzy się na tym znają…. Nie potrzebujemy dużo, dlatego proszę… oddaj nam serce z lodu, chociaż kawałek. Nie każ nam wracać z pustymi rękoma!

Kebnekaise zachichotała jak mała dziewczynka, ale echo przekształciło jej śmiech w tubalny, szyderczy rechot. Lód pod nimi zadrżał lekko. Przybysze wymienili pełne dezorientacji spojrzenia.

– Wygląda na to, że mój dowcip wyszedł lepiej, niż się spodziewałam – stwierdziła opiekunka góry, gdy już przestała się śmiać. Wciąż wydawała się niezwykle rozbawiona i bardzo zadowolona z siebie.

– Dowcip? – spytał nieufnie Stieg.

– Serca z lodu nie ma w podziemnych halach Kebnekaise. To znaczy jest – poprawiła się. – Ale obawiam się, że jego zdobycie nie będzie łatwe.

Jenny pytająco uniosła brwi.

– Można jaśniej?

Nie otrzymali odpowiedzi od razu. Duch opiekuńczy góry sunął w ich kierunku, oczywiście nie zostawiając śladów. Kobieta zatrzymała się przed nimi i wyciągnęła dłoń w stronę Stiega.

– Serce z lodu jest tutaj – powiedziała, delikatnie kładąc drobną, białą dłoń na jego klatce piersiowej.

– Że co?! – wyrwało się Maksowi. Kebnekaise nawet na niego nie spojrzała.

– Chyba nie sądziłeś, że przez trzydzieści lat pozostałeś młody tylko dlatego, że zimno konserwuje – zakpiła. – Oddałam ci moje serce, Sigfridson. Bije w twojej piersi. Jeśli Illmar chce je sobie wziąć, musi je z ciebie wyjąć, a nie sądzę, żebyś to przeżył.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Cisza była tak wszechogarniająca, że słychać było nawet krople wody powoli skapujące po ścianach.

– Powiedziałbym, że to najbardziej romantyczna rzecz, jaką słyszałem w życiu – wykrztusił wreszcie Stieg. – Ale mam wrażenie, że to wcale nie miało być romantyczne.

Znów się roześmiała, sprawiając, że od sufitu oderwało się kilka stalagmitów.

– Nie pochlebiaj sobie za bardzo – poradziła. – Jestem duchem opiekuńczym góry, stać mnie na o wiele lepszą partię niż ty. Oddałam ci moje serce bo uznałam, że będzie bardzo zabawnie, jeśli któryś z twoich kolegów z Illmaru przypadkiem cię znajdzie i zabierze ze sobą, nie wiedząc, że to, czego szuka, jest cały czas obok. Z tego co zrozumiałam, podsłuchując członków twojej poprzedniej ekspedycji, pełnisz bardzo szczególną rolę. Byłam ciekawa, jaką decyzję podejmą.

– I nie szkoda ci było tego serca? – zaciekawił się Orvar. – Jesteś Rå najwyższej góry w Szwecji, oddałaś swój skarb przypadkowemu śmiertelnikowi tylko po to, żeby zrobić na złość Illmarowi?

– Powiedzmy, że bycie Rå najwyższej góry w Szwecji to dość nudne zajęcie, czasem trzeba zrobić cokolwiek, żeby

przełamać rutynę. Poza tym wiem, że serce z lodu prędzej czy później do mnie wróci, w ten czy inny sposób. Nie można go zniszczyć ani rozkruszyć. Nawet jeśli zabiorą ci je i umrzesz, znajdzie się szalony, zakochany głupiec, który postanowi mi je zwrócić. No! – Klasnęła. – Tak czy inaczej sprawa załatwiona, wy w pewnym sensie macie to, po co przyszliście, audiencja skończona. Do zobaczenia wkrótce, Sigfridson.

Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się i ruszyła przed siebie po lodzie.

– Sigfridson – odezwała się Jenny. – Proszę cię, bądź tak dobry i wytłumacz mi, co do jasnej cholery…

Stieg uciszył ją gestem dłoni.

– Nie teraz, Jenny – powiedział cicho. Wydawał się tak smutny i zagubiony, że prawie zrobiło jej się go żal. – Muszę pomyśleć.

* * *

Myślał przez całą drogę powrotną. Nie odezwał się, gdy naukowcy zadecydowali, że trzeba rozbić obozowisko, bo nie da się pokonać tej trasy jednorazowo. Owszem, znów nakreślił ochronne znaki, później jednak usiadł plecami do towarzyszy, pogrążony w zadumie. Naukowcy próbowali zaprosić go na kolację, a Maks zaoferował mu nawet trochę wódki z piersiówki, jednak mężczyzna całkowicie ich ignorował. Jenny również wolała się do niego nie odzywać. Powiedział, że chce pomyśleć, i – z tego co zrozumiała – miał nad czym. Ona sama zresztą też miała poważny

problem. Po powrocie do bazy Illmaru będzie musiała złożyć raport. Jak wyjaśni to, że wrócili bez serca z lodu? Może oczywiście powiedzieć, że ktoś ich ubiegł, ale co, jeśli i tak dojdą tym tropem do Stiega? Wyjawienie tego, co przekazała im Kebnekaise nie wchodziło w grę. To była ostatnia rzecz na jaką miała ochotę, poza tym Lenny i pozostali zlinczowaliby ją, gdyby wpadła na taki pomysł. Było coś jeszcze: zemsta na Illmarze. Tamto widmo wspominało coś o krzywdzie wyrządzonej zarówno Stiegowi jak i jego bratu. Owszem, zamrożenie na trzydzieści lat całkowicie usprawiedliwiało niechęć wobec organizacji, ale co dokładnie Illmar zrobił profesorowi Linusowi Sigfridsonowi? To było coś, co powinna sprawdzić, jeśli chce naprawdę zrozumieć Stiega i przekonać go do pomysłu, który już od jakiegoś czasu chodził jej po głowie.

Chyba nikt tak naprawdę nie spał i nie skorzystał z odpoczynku.

Kontynuowali podróż w milczeniu. Im bliżej byli jej kresu, tym wyraźniej dawało się poczuć powiew rześkiego, zimowego powietrza. W środku góry zupełnie stracili poczucie czasu. Kiedy wreszcie dotarli do wyjścia z jaskini, okazało się, ze jest środek nocy. Jenny zatrzymała się i zapatrzyła w niebo jak urzeczona.

– Zorze polarne – wyszeptała, przyciskając obie dłonie do piersi. – Nigdy wcześniej ich nie widziałam…

Orvar wzruszył ramionami i wyciągnął papierosa. Doktor Lennart uśmiechnął się lekko, również napawając się widokiem i świeżym powietrzem.

– Widziałem je kilka razy – powiedział w zadumie Maks, zatrzymując się obok niej i zdejmując plecak. – Ale jakoś nigdy nie zdołałem przyzwyczaić się do tego, że są takie piękne.

– Nie da się przyzwyczaić do piękna – stwierdził sentencjonalnie Stieg, opierając się o skalną ścianę przy wejściu do jaskini. Jego szare oczy chłonęły kolorowy spektakl rozgrywający się przed nimi na niebie.

– Co, jednak umiesz mówić? – spytała Jenny, zanim zdążyła ugryźć się w język. Nie chciała rujnować momentu idealnego spokoju, ale mężczyzna tak zirytował ją wyniosłym milczeniem, że nie miała zamiaru mu tego odpuścić. – Bo powoli zaczynałam w to wątpić. Przemyślałeś sobie, co miałeś przemyśleć?

Uroczyście skinął głową. Nie odwrócił się w jej stronę, cały czas był zapatrzony w niebo.

– I jaka decyzja? – drążyła. – Porozmawiasz z nami o tym, co się wydarzyło?

Westchnął i uśmiechnął się lekko.

– Nie za bardzo jest o czym rozmawiać – powiedział i rozłożył bezradnie ręce. – Wracamy do Illmaru, Jenny zdaje raport, ja ląduję na stole operacyjnym jako mimowolny dawca organu.

– Bzdury! – zaprotestował żywo Lennart. – Nie pozwolę skrzywdzić brata mojego przyjaciela – zapowiedział. – I nie obchodzi mnie, co Illmar ma na ten temat do powiedzenia, Jenny! – dodał, widząc, że kobieta otwiera usta, żeby wyrazić swoje zdanie. – Czekaliście na tę błyskotkę ponad

trzydzieści lat, możecie poczekać jeszcze trochę, aż znajdzie się ktoś, kto jest na tyle bezwzględny i głupi, żeby się na to zgodzić.

Maks i Orvar potwierdzili to zdecydowanymi skinięciami głowy i niechętnymi spojrzeniami kierowanymi w stronę Jenny.

– Jeśli nie wrócę z wami do bazy, padną niewygodne pytania – ostrzegł ich Stieg. – Ja się jakoś przyczaję. Mnie nie znajdą, ale wy możecie mieć kłopoty. To tylko kwestia czasu, aż znów wyślą was w teren na pewną śmierć. Staniecie się dla nich bezużyteczni i na dodatek niewygodni, więc prędzej czy później znajdą sposób, by się was pozbyć. Nie zdołam was upilnować!

Jenny zastanawiała się nad tym przez chwilę.

– Co z twoją zemstą, Stieg? – spytała, mierząc go uważnym spojrzeniem. Pytająco uniósł brwi. – Tamten upiór powiedział, że też chcesz zemścić się na Illmarze. Dlaczego nie zrobiłeś tego, kiedy miałeś okazję? Mogłeś mnie zostawić na ich pastwę, tak jak proponowali… pomóc im się uwolnić.

Z rezygnacją pokręcił głową.

– Moi dawni towarzysze broni i tak nie należą już do tego świata. Wbrew temu co sądzili, twoja śmierć nie zwróciłaby im wolności – wyjaśnił. – Poza tym chcę się zemścić na samym Illmarze, a nie na szeregowej pracownicy, która po prostu wykonuje polecenia. – Uśmiechnął się na widok oburzenia w jej oczach.

– Więc jednak zamierzasz to zrobić? – naciskała. – Zemścić się na nich?

– O tak, możesz być pewna – odparł, z drapieżnym błyskiem w oku. – Czekam tylko na właściwą okazję.

Przez chwilę w milczeniu mierzyli się wzrokiem, ignorując to, że Maks znowu mówi coś do Orvara, pokazując ich palcem.

– Powiedz… – Jenny zaczerpnęła tchu. – Wtedy, kiedy przemierzałeś podziemne korytarze ze swoim poprzednim zespołem, pełniłeś szczególną rolę, prawda? Kebnekaise powiedziała, że wybrała ciebie, bo jesteś ważny dla Illmaru i mieliby opory przed zabiciem cię. Co to dokładnie była za rola?

Westchnął cicho i odwrócił się w jej stronę. Jego twarz była spokojna, pełna namysłu.

– Okłamałem cię, mówiąc że wszyscy rekruci mieli tatuaże – powiedział powoli. – Illmar tatuował znaki ochronne tylko niektórym z nich, tym pełniącym rolę jadowników.

– Co robi jadownik?

– Towarzyszy zespołowi wyznaczonemu do zdobycia poszukiwanego artefaktu. Sporządza wszystkie ochronne i lecznicze substancje jakie mogą okazać się potrzebne. Leki dla rannych, trucizny dla wrogów, proszki odganiające demony. Kreśli ochronne znaki, wykorzystuje nabyte umiejętności by za wszelką cenę chronić ludzi, którym towarzyszy przed Drugą Stroną. Udziela pomocy medycznej, jeśli zachodzi taka potrzeba. Każdy jadownik

odbył gruntowne szkolenie, miał dostęp do najpilniej strzeżonych tajemnic, technik i substancji, jeśli tylko zwiększały szanse zespołu na przetrwanie.

– Było od razu mówić, że to specjalista do spraw BHP – mruknął z rozbawieniem Maks.

– Przydałby się nam ktoś taki – powiedziała poważnie Jenny. – Mogłabym pogadać z moimi przełożonymi. Wytłumaczyć im, że jesteś nam potrzebny… że można by do tego wrócić, że skoro działało wcześniej, to może teraz też.

Stieg lekko przekrzywił głowę, wyraźnie rozważając propozycję.

– Nie powiemy im o sercu z lodu – zapewniła Jenny, mając nadzieję, że to go ostatecznie przekona. Doktor Lennart popatrzył na nią z wyraźnym uznaniem i pokiwał głową. – Jeśli będą pytać, powiemy, że nie zdołaliśmy go odnaleźć. Nawet jeśli zaczną się czegoś domyślać, nie pozbędą się ciebie tak po prostu. Będziesz naszym specjalistą do spraw bezpieczeństwa. Jeśli oczywiście przyjmiesz moją ofertę.

Mężczyzna uśmiechnął się krzywo.

– Ciekawa propozycja. Chcesz dać mi okazję do zemsty? – spytał, nachylając się lekko w stronę Jenny. Nie odwróciła wzroku.

– Być może – odparła powoli. Stieg wydawał się nieco zaskoczony jej odpowiedzią, podobnie jak naukowcy.

– Nawet nie wiesz, czy mam dobre powody by się mścić – spostrzegł ostrożnie, wyraźnie nie wiedząc, co myśleć.

– Musisz mieć. Ludzie tacy jak ty zawsze mają powód – powiedziała zdecydowanie. Doktor Lennart pokiwał głową, najwyraźniej zgadzając się z jej stwierdzeniem.

– Wysłali nas do tej cholernej góry bez przygotowania i bez żadnej pomocy, na pewną śmierć – powiedział, poprawiając czapkę. – My też mamy z nimi rachunki do wyrównania, chłopcze. Bardzo chętnie będę z tobą współpracował.

Jenny w milczeniu pokiwała głową. Nie dodała nic od siebie. Nie wspomniała o upiorach, które w ciemności korytarzy szeptały do niej, że zostaną z nią już na zawsze. Będą ją dręczyć tak długo, aż oszaleje i wróci do jaskiń Kebnekaise, by do nich dołączyć. Nie musiała o tym mówić, Stieg i tak zdążył już wyczytać to z jej oczu.

– Zespół, z którym pracowałem ostatnio, jest tam. – Mężczyzna wskazał na wnętrze jaskini. – Nie mam specjalnie powalających referencji – powiedział i zmierzył towarzyszy wzrokiem. – Naprawdę chcielibyście ze mną pracować?

– Tak – powiedział stanowczo doktor Lennart. – Jesteś bratem Linusa, na pewno ucieszyłby go fakt, że trzymamy się razem.

– Tak – odpowiedział lakonicznie Orvar, zaciągając się papierosem.

– Potrafisz uciszyć cholerną Jenny, więc jak najbardziej tak – stwierdził Maks, narażając się na wyjątkowo wrogie spojrzenie przełożonej. Stieg popatrzył pytająco na Jenny.

– Wracamy razem do bazy – zadecydowała, wskazując na stojącego u zbocza góry nieco zaśnieżonego jeepa. – Porozmawiam z ludźmi z góry, zrobię wszystko, żeby przywrócili cię na dawne stanowisko. Najwyższy czas, by nasza grupa wzbogaciła się o jadownika.

– Jadownika, który ma mściwe zamiary i serce z lodu – spostrzegł Stieg, spoglądając jej w oczy. Wytrzymała jego spojrzenie.

– Myślę, że jakoś damy sobie radę.

Anna Karnicka

Rocznik ’89. Fizycznie spod Łodzi, duszą i sercem z Krakowa. Studiowała na Uniwersytecie Łódzkim. Tłumacz języka angielskiego. Pasjonatka literatury, szczególnie fantastyki, a zwłaszcza Tolkiena oraz powieści dla młodzieży. Lubi się bać. Fascynuje się miejskimi legendami i strasznymi opowieściami krążącymi po Internecie. Uwielbia podróżować, a w szczególności jeździć pociągiem. Zbiera klucze.

http://geniuscreations.pl/autorzy/anna-karnicka

Drugi – Tomasz Kilian

Obudził go ból głowy, nie głód. Intensywny, pulsujący, powolny i wkurwiający tak bardzo, że Kuzniecow pragnął krzyczeć, gdyby nie to, że nawet szept sprawiał, że ból odzywał się zwielokrotniony. *Milczeć* – pomyślał, obrócił się na drugi bok i zwymiotował. *Tylko milczeć.*

– Jak się czujemy?

Miło, że pan pyta – chciał odpowiedzieć, ale to kurwiszcze usadziło go skuteczniej niż torpedy krążownik. Pokiwał więc tylko głową, choć nie miał pojęcia co niby miało to znaczyć.

W ustach czuł smak rzygowin, krwi i żółci, metaliczny i gorzki. Coś wielce niepokojącego działo się z jego organizmem, bo równocześnie – choć nadal miał przemożną ochotę zwymiotować wnętrzności – poczuł się głodny. Nabrał ochoty na pieczonego kurczaka i… ciasto owocowe. Absurdalne, bo doskonale wiedział, że przy najmniejszym kęsie rozerwałoby go na strzępy.

– Cóż… Zawsze są pewne niedogodności

– Kim… – Tylko na tyle było go stać. Ktoś spoza ograniczonego zasięgu jego wzroku podał mu szklankę z jakimś świństwem. Kuzniecow nie pytał, tylko wypił jednym haustem. Gorzki smak zmył gorycz żółci. Odstawił

szklankę na podłogę, a może tylko tak mu się wydawało, podobnie jak wydawało mu się, że szklanka potoczyła się, uderzając rytmicznie o drewniane klepki podłogi.

Klap, klap, klap.

– Niech pan odpoczywa. Porozmawiamy później, kiedy pan wydobrzeje, kapitanie Kuzniecow.

Ktoś odszedł cicho, stawiając kroki z wprawą baletmistrza. Gdy zamknął drzwi, świat zaczął robić się ciemny.

Trzy minuty później Kuzniecow usnął.

* * *

– Komora, pamięta pan?

Mężczyznę, który przed nim siedział, poznawał po brodzie i w zasadzie po niczym więcej. Broda miała dość charakterystyczny kształt fajki, ale wcześniej wydawało mu się, że była czarna, a tymczasem miała jasny kolor. *Widziadła i sny, nic więcej* – pomyślał, kuląc się na krześle, choć w pomieszczeniu grzały dwa kaloryfery.

– Nie – odparł Kuzniecow. – Nic nie pamiętam.

– W tym momencie, ale to nie potrwa długo. Musi pan zlepić teraźniejszość z kawałków. Jeden po drugim. Przyglądał mi się pan i sądzę, że już coś pan rozpoznał. Co takiego?

– Broda – przyznał Kuzniecow, choć nie miał zamiaru dać się wciągnąć w rozmowę.

– Specjalnie nadałem jej taki kształt. Najszybciej przypominamy sobie charakterystyczne elementy. Chciałem

ułatwić panu zadanie, majorze.

– Wczoraj nazywał mnie pan kapitanem.

– To było dzisiaj rano. – Mężczyzna poprawił się na krześle, odsunął się odrobinę od stołu i rozsiadł wygodniej. – I dostał pan awans. Gratuluję.

– Za?

– Za to, co pan zrobił. I za to, co pan jeszcze zrobi, majorze.

– Jesteśmy w Moskwie?

– Na przedmieściach. A ja nazywam się Antonow. Profesor Witalij Antonow. Pan…

– Czemu tak do mnie mówicie, towarzyszu? Czy Związek Radziecki upadł?

Antonow zaśmiał się z tego niezamierzonego żartu. Poprawił okulary i splótł dłonie, jakby chciał się za moment pomodlić za rozum interlokutora. Kuzniecow nie czuł się komfortowo w tej małej klitce, która przypominała pokój przesłuchań i chyba nim była. Pamiętał, co opowiadano mu na temat Łubianek. Dostał awans, a może był o coś podejrzewany? Nie zamierzał jednak pytać, nie ze strachu, po prostu pragnął zobaczyć, jak to wszystko się rozwinie… No i nadal nie pamiętał wielu rzeczy. Zwłaszcza tego, co działo się z nim przez ostatnie dni.

– Nie, próbujemy pana od czegoś odzwyczaić. Od stereotypowego myślenia, od nawyków. Także tych słusznych, towarzyszu majorze.

– Więc jeśli będziecie do mnie mówić na „pan”, to już dobre?

– Lepiej. Ale to tylko fragment całości. Pamięta pan, jaką mamy sytuację geopolityczną, majorze?

Kuzniecow pamiętał Zatokę Świń. Kryzys kubański, okręty podwodne, które Amerykanie namierzyli i wściekającego się Chruszczowa, którego Kennedy zmusił do wycofania się. Potem wiele spraw zatarło się, przypominały sen, raz jasny, raz zamglony, lecz wciąż niepewny. Wojna… wojna? Czy wybuchła?

– Jesteśmy w stanie wojny ze Stanami Zjednoczonymi. Minął już prawie rok od momentu, kiedy zaatakowali nasz okręt podwodny. B-59, to pan pamięta?

Kuzniecow musiał zaprzeczyć. Nic nie układało się w logiczną całość. Ani trochę mu się to nie podobało.

– Można powiedzieć, majorze, że nie byliśmy do tego konfliktu odpowiednio przygotowani. Wojna w Europie początkowo toczyła się po naszej myśli, ale źle oszacowaliśmy liczebność amerykańskich Thorów na terenie Wielkiej Brytanii. Od chwili kiedy konflikt wszedł w fazę wojny jądrowej, zaczęliśmy przegrywać.

– Dlaczego nic nie pamiętam? – Kuzniecow nawet nie udawał, że skupia się na słowach Antonowa.

– Zaraz to panu wytłumaczę, majorze.

– B-59 odpalił torpedę.

Antonow zamilkł, co tylko pokazało Kuzniecowowi, że się nie myli.

– Więc teoretycznie to my zaczęliśmy.

– To już teraz nieważne. Przegrywamy, to jest istotne. I musimy zrobić wszystko, by losy wojny się odwróciły.

– A jest taka możliwość?

– Owszem. – Antonow wstał i zaczął przechadzać się po klitce, rytmicznie stukając obcasami. Wreszcie usiadł w momencie, w którym Kuzniecow gotów był już usadzić go siłą.

– Chcecie coś powiedzieć? Proszę mówić, towarzyszu profesorze.

Antonow wziął haust powietrza i wypuścił je wraz ze słowami.

– Musi pan zabić Kennedy’ego, majorze Kuzniecow.

* * *

Musiał się śmiać zbyt donośnie, bo w klitce pojawił się strażnik i spytał, czy nic się nie stało.

– Wszystko w porządku – uspokoił go Antonow. Strażnik popatrzył na Kuzniecowa podejrzliwym wzrokiem, ale odszedł bez słowa. Przy pasie miał przytroczoną kaburę z dziewięciomilimetrowym makarowem, którym z tej odległości podziurawiłby Kuzniecowa jak szwajcarski ser. Gdyby wszystko nie było w porządku.

– Zwariował pan! – odpowiedział w końcu Kuzniecow. Kolejny raz patrzył na swoje dłonie. Martwiło go, że ich nie czuje, choć z impulsami nerwowymi wszystko było jak należy. Chodziło raczej o to dziwne wrażenie, że nie należą do niego. Jeśli ktokolwiek w tym pomieszczeniu zwariował, to raczej nie Antonow.

– Wyjaśnię dlaczego właśnie pan, majorze. Ale muszę najpierw o coś zapytać. Wierzy pan w Boga?

Cała ta konwersacja zaczęła Kuzniecowa przerastać. Zamarzył mu się papieros, ale kiedy o niego poprosił, Antonow odmówił.

– Nie pali pan od miesiąca.

– Pieprzyć to! – wypalił major. – Pieprzyć miesiąc, którego nawet nie pamiętam! Moje płuca też najwyraźniej go nie pamiętają, więc co za różnica?

– Może później – zbył jego prośbę Antonow. – Zresztą… palenie to kolejny stereotyp, który chcemy w panu przełamać. Tam, dokąd się pan udaje, nie ma papierosów.

– Mówże wreszcie, o co w tym wszystkim chodzi. Mam dosyć waszej zasranej enigmy!

– Nie odpowiedział pan na pytanie.

– Bo i co tu odpowiedzieć? Marks twierdził, że Bóg to…

– Nie interesuje nas w tej chwili co twierdził Marks! – przerwał mu po raz pierwszy tak ostro Antonow. – Ani Engels. Ani nawet Lenin. Jesteśmy tu i teraz, a oni nie żyją. Interesuje nas natomiast pana opinia. Zatem?

– Może – przyznał Kuzniecow. – W Coś. Nie nazywam tego. To żaden Jezus ani ten drugi… Allah. Nic z tych rzeczy. Po prostu coś. Czy to w jakikolwiek sposób mnie deprecjonuje?

– Skądże znowu! Wręcz przeciwnie!

Zagadki Antonowa robiły się coraz bardziej nieznośne. Wysiedzieć na miejscu, po prostu wysiedzieć na miejscu…

– Teraz mnie pan posłucha, majorze, i nie będzie pan przerywał. Później pan to sobie przemyśli, w swoim pokoju, ale śmiech, wątpliwości i uwagi proszę w tym momencie

zachować dla siebie. Zwłaszcza, że muszę to powtarzać po raz trzeci.

Kuzniecow nie skomentował ostatniego zdania, ale od razu dotarł do niego jego sens. *Już to przerabialiśmy* – pomyślał. *A ja z jakiegoś powodu straciłem pamięć*.

– Od końca lat trzydziestych nazistowscy naukowcy pracowali nad zjawiskami, które najprościej, zwłaszcza jeśli nie chce się wnikać w nużące szczegóły, można by nazwać elektrograwitacją albo grawitacją indukowaną przez elektromagnetyzm. Rzecz niezwykła już w tym momencie, ale nawet oni nie spodziewali się, jak bardzo. Grawitacja bowiem stanowi klucz do czegoś jeszcze innego: do manipulacji czasem i przestrzenią. Elektromagnetyzm zaś pozwoli odkryć zagadki ludzkiej świadomości. Pominę tutaj kolejne fazy odkryć, nie ma to w tej chwili znaczenia. Dość powiedzieć, że w roku 1943 przywiodło ich to do projektu „Komora”. Projektu którego efektów nie zdążyli w pełni wykorzystać, a którego dokumentację udało nam się zdobyć. Bardzo by się pan zdziwił, widząc rezultaty ich prac. Niemcy stwierdzili bowiem, że świat, jaki znamy, nie powstał wskutek przypadku, a za jego kreację odpowiedzialna jest superświadomość, którą nazwali Demiurgiem. Dawno temu Demiurg pojawiał się sporadycznie, ingerując w wydarzenia na Ziemi, później jednak zamilkł. Lecz co jakiś czas na Ziemi rodzą się wybitne jednostki zmieniające bieg dziejów – Aleksander Wielki, Napoleon czy Hitler w momentach, które oni sami nazywali punktami węzłowymi. Każdy z tych punktów jest

powiązany z innym punktem, znajdującym się w innym czasie, z reguły w przeszłości. Dlaczego? Z powodu ludzi, tych właśnie wybitnych jednostek, których my nazwaliśmy kreatorami-destruktorami, bo tylko oni potrafią przenicować i odwrócić historię tak, jak im się podoba. Można pragnąć ich śmierci, można próbować ich zabić, jednak jest to z góry skazane na porażkę, bo kreatorów-destruktorów chronią ich mentalne sobowtóry.

Antonow mówił poważnie. Każde jedno cholerne słowo, które wyszło z jego ust. Żadnych żartów, więc albo nie kłamał, albo zwyczajnie zwariował. Najpewniej nie on jeden.

– Jeśli sobowtór spokojnie przeżyje życie, nie ma siły aby kreator-destruktor zginął gwałtowną śmiercią. Dlatego aby go zabić, najpierw trzeba wyeliminować jego sobowtóra. Wie pan, majorze, czemu Hitler przeżył zamach w Wilczym Szańcu? Bo od 1943 roku pilnowali, aby jego mensobowi, tak ich nazywamy, nie spadł włos z głowy. Gdyby Hitler sam ze sobą nie skończył, żyłby do dziś. Ale to nas nie interesuje, w tej chwili mamy ważniejsze sprawy do załatwienia. Znów pojawił się kreator-destruktor, a jeśli chcemy wygrać wojnę, musimy się go pozbyć.

– Zgadłem już, ale chcę, żeby pan mi to powiedział profesorze.

Antonow znów poprawił okulary.

– Kennedy, majorze. Kennedy.

* * *

Chorobę i śmierć Iriny przeżył chyba tylko dzięki pracy. Było lato 1958 roku, a Kuzniecow właśnie kończył szkolenie wojskowe w bazie w Irkucku, gdy przyszła wiadomość, że Irina trafiła do szpitala z podejrzeniem nowotworu. Poprosił przełożonych o przepustkę i jeszcze tego samego dnia poleciał do Moskwy.

Lekarze byli zdumieni faktem, że pacjentka z tak wieloma przerzutami i tak zaawansowanym rakiem przez większość czasu nawet nie podejrzewała, że jest chora. Kuzniecow prosił tylko o prawdę i prawdę dostał. Irina miała dwa, może trzy miesiące czasu i były to bardzo optymistyczne rokowania. Po tygodniu zabrał ją, za zgodą lekarzy, do domu i przez kolejne dziewięć tygodni – aż do jej śmierci – opiekował się nią samodzielnie.

Były to najgorsze dwa miesiące w jego życiu. Do pewnego momentu kontrolowała się, wciąż będąc świadomą i wciąż powtarzając te frazesy, że „wszystko jakoś się ułoży”, że „zapomni o niej i znajdzie sobie kogoś innego”, że „życie toczy się dalej”. Tonęła w sztucznych uśmiechach, jeśli tylko miała na nie siły i próbowała udowadniać mu, że właściwie nic takiego się nie stało – ot, to tylko umiera kolejna osoba, wielkie rzeczy.

Później jednak, gdzieś w trzecim tygodniu jakiś ponury elektryk tam wyżej wyłączył Irinę i na jej miejsce wstawił jakąś przerażającą kreaturę. Przestała go poznawać. Zrobiła się ordynarna, pełna nienawiści i wściekłości, którą wyładowywała przy każdej okazji. Ale nie to było najgorsze. Większość czasu wypełniał ból, ból, cierpienie i jęki tak

donośne, że Kuzniecow sądził, że muszą słyszeć je w piekle. Zaledwie po tygodniu zaczął modlić się, by umarła. Sam nie rozumiał do kogo, jego naiwne wierzenia zawsze miały tę mglistą niedookreśloność: „ktoś, coś – może jest, może nie". Ale jego modlitwy nie zostały wysłuchane. Mimo to opiekował się nią najlepiej, jak mógł – myjąc, przewijając i zmieniając kroplówkę, którą dostarczyli mu ze szpitala, gdy nie mogła już samodzielnie jeść.

Ostatniego dnia poczuła się lepiej. Poznała go, po raz pierwszy od ponad miesiąca, ale była zbyt słaba, by mogli normalnie porozmawiać.

– To już niedługo – usłyszał od niej i wiedział, że to prawda. – Dasz sobie radę?

Pokiwał głową.

– Zapamiętaj, że Irina cię kochała i chciała… chciałam… ale nie wyszło… – Wzruszyła ramionami i uśmiechnęła się przepraszająco, jakby chodziło tylko o jakąś drobnostkę. – Ciekawe, czy coś tam jest… Nigdy w to specjalnie nie wierzyłam, ale może? A gdyby Bóg też był komunistą?

Zaśmiał się z jej żartu, choć lód w trzewiach ledwo pozwolił mu wydobyć z siebie głos.

Odeszła następnego ranka, a Kuzniecow poczuł ulgę. I wściekłość, wściekłość na to, że ulga okazała się silniejsza niż smutek. Nie było jednak czasu na rozpacz i wręcz się z tego cieszył. Po pogrzebie wrócił do bazy, a kilka miesięcy później został awansowany na stopień kapitana wojsk lądowych. W czerwcu 1960 roku wysłano go na Kubę w charakterze szkoleniowca, ale wrócił stamtąd szybko, bo

już wiosną 1961 roku był z powrotem w Moskwie. Nie myślał zbyt wiele o Irinie, nie chciał myśleć. Była miłością jego życia na tyle, na ile ktoś taki jak on potrafił kochać. W październiku następnego roku, kiedy zaczęła się kubańska zawierucha, Kuzniecow stacjonował w Leningradzie. Owszem, przypomniał sobie okręt, tego bezczelnego kapitana, który chciał wystrzelić torpedę i być może to zrobił. Tu pamięć Kuzniecowa z jakiegoś powodu zawodziła, ale liczył na to, że sobie przypomni. Wolałby wymazać obraz śmierci Iriny, jednak nie był w stanie. Czy dało się przegapić całą wojnę nuklearną?

– Chcę to zobaczyć – powiedział, a Antonow natychmiast przyniósł mu artykuły prasowe, zdjęcia i filmy. Kuzniecow przeczytał wszystko uważnie, a przynajmniej próbował, bo co jakiś czas odzywały się u niego trudne do opanowania zawroty głowy. Tak samo było z wyjściem – przewieźli go kawałek do jednej z peryferyjnych dzielnic Moskwy, ale gdy tylko znalazł się na ulicy, zawroty głowy zmusiły go, by wrócił do auta.

– To normalne – wyjaśnił mu później Antonow. – Organizm reaguje tak po wizycie w komorze.

– Ile razy już tam byłem? – Kuzniecow pragnął cokolwiek zrozumieć z tego, w co się wpakował.

– Był pan już dwa razy w komorze. Dwa razy próbowaliśmy dokonać transpozji we właściwe miejsce.

– Transpozji?

– To nasze określenie. Komora to nie taki wehikuł czasu, o jakim pan myśli. Ona działa na poziomie

świadomości i to pana świadomość jest dostarczana na miejsce. Prosto do ciała, którego staje się pan tymczasowym użytkownikiem. Ale dwie pierwsze próby się nie powiodły. Coś blokowało pana przejście. Za drugim razem skończyło się gorzej. Amnezja, zawroty głowy, wszystko to skutki tamtego podejścia. Jednak wydaje mi się, że uporaliśmy się z problemami i tym razem powinno się udać.

Powinno się udać… Kuzniecow skrzywił się na ten zwrot. Dwa dni poświęcił na wertowanie gazet i oglądanie zdjęć – zniszczone od wybuchów atomowych miasta, przerażająca liczba ofiar, a to wszystko w zaledwie kilka miesięcy…. i teraz proszą go, żeby to jeszcze pociągnął, zabił amerykańskiego prezydenta, a właściwie jego psychosobowtóra, czy jak mu tam.

Tylko… czemu on?

– Jestem jakiś wyjątkowy? – spytał w końcu. Antonow przyniósł kawę tak smaczną i aromatyczną, że Kuzniecow pozwolił sobie na moment relaksu i słaby uśmiech. Wspomniał chwile, kiedy z Iriną siadali na tarasie i pili kawę, podziwiając ptaki buszujące w konarach drzew.

– Pyta pan, dlaczego pana wybraliśmy?

Kuzniecow skinął głową.

– Tak, majorze. My wiemy gdzie jest mensob Kennedy’ego. I wiemy, gdzie dokonamy transpozji pana świadomości. Problem polega na odrzuceniu. To trochę jak z transplantologią… przeszczep świadomości też musi się przyjąć. I decydują najczęściej parametry fizyczne –

podobna budowa ciała, wzrost, masa, ale nie tylko. Padło na pana, a pan się zgodził. Nie musiał pan, majorze.

– Zgodziłem się?

Antonow jakby tylko czekał na ten moment i sięgnął do teczki, którą wciąż ze sobą nosił i wyjął jakiś papier. Kuzniecowowi nawet nie chciało się tego czytać, zobaczył jedynie swój podpis i odsunął kartkę.

– W porządku. Ale czy to pomoże?

– Co konkretnie?

– Śmierć Kennedy’ego.

– A czy śmierć Hitlera w Wilczym Szańcu coś by zmieniła?

– Wszystko.

– Tak samo jest tutaj.

– Ale Kennedy to nie dyktator, ma doradców…

– Najważniejsze decyzje pochodzą od niego. Nie chodzi nawet o wygranie wojny, majorze. Obecnie zadowoli nas nawet remis. Przywrócenie status quo. Chruszczow okazał się nieodpowiedzialny, ale nasz nowy przywódca nie popełni tego błędu. A świat… świat uda się odbudować. Zawsze tak było.

– Zatem kiedy?

– Kiedy poczuje się pan lepiej. Byle nie za późno.

– Jaki mamy dzisiaj dzień?

– Dziewiętnasty października tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego trzeciego roku, majorze.

To śmieszne – pomyślał Kuzniecow o zbiegu okoliczności. Dwudziestego października czterdziestego

ósmego poznał Irinę.

– Jutro – odparł. – Niech będzie jutro. Gdzie mnie przenosicie?

– Chodzi panu o miejsce i czas?

– Tak profesorze. O miejsce i czas.

– Wszystko panu wyjaśnię, majorze. Wszystko dokładnie panu wyjaśnię.

* * *

Na pierwszy rzut oka komora przypominała przeszklone pomieszczenie z siedziskiem umieszczonym dokładnie pośrodku – ot, sala przesłuchań w miniaturze, uszczelniona od zewnątrz i opleciona zestawem kabli u podstawy. Do środka wchodziło się przez plastikowe, dosyć tandetne drzwi, przez co znów można było nabrać podejrzeń, czy to aby nie jakiś żart. Jednak Antonow nie dość, ze nie wyglądał na kogoś, kto potrafi żartować, to nawet nie drgnęła mu powieka kiedy prowadził Kuzniecowa prosto do komory.

Wpuszczą gaz – pomyślał Kuzniecow. Komora, gaz, wszystko się zgadzało…

Mimo to wszedł bez szemrania.

Po minucie zamigotały światełka umieszczone tuż nad jego głową, czego początkowo nie zauważył. Przyglądał się kolorom – niebieski, czerwony, niebieski, czerwony, niebieski…

Nie miał pojęcia kiedy ani jakim sposobem niebieski zamienił się w zielony, a czerwony w brązowy, ale zrobiło

mu się nagle bardzo sennie i wesoło – wesoło o tyle, że dookoła wyrosły przedziwne widziadła. Już nie siedział w komorze na plastikowym siedzisku, lecz na łące, a tuż nad jego głową latały smoki, ziejąc wielobarwnymi płomieniami. Gdy wreszcie zdziwienie przeszło w zachwyt, a śmiech uwiązł w gardle, zarówno smoki, jak i łąka zniknęły. Pozostała ciemna, zimna pustka.

Kuzniecow zniknął ze świadomości świata.

Przywitały go drzwi.

Nowoczesność odeszła razem z tandetą, bo to, co miał przed oczyma wyglądało tak prymitywnie, że nie mógł nawet użyć słowa „klasyczny” ani „antyczny”. Był to odłamek drewna zaszpachlowany i zabezpieczony niedbale kawałkami gliny. Kiedy go szarpnął, glina odpadła, a Kuzniecow wszedł do ciemnego pomieszczenia cuchnącego zwierzęcym tłuszczem i brudnymi ludzkimi ciałami. Przywitały go okrzyki, nieznane mu, zupełnie niezrozumiałe dźwięki, które dopiero po krótkiej chwili zamienił na właściwe słowa.

– Ka aan He? Ka aan He?

Jesteś przybyszem z He?

Kuzniecow pomyślał z rozbawianiem o języku rosyjskim I o tym co może im odpowiedzieć.

Nie, sukinsyny! Przybywam ze Związku Radzieckiego i chcę zabić Kennedy’ego.

– Owszem – odparł, kiedy jego świadomość uzyskała dostęp do informacji psychosobowtóra. – Przybywam z He.

– Szaman cię oczekuje – rzekł jakiś mężczyzna, którego Kuzniecow nawet nie widział. Oczy z trudem przyzwyczajały się do ciemności, lecz najwyraźniej mieszkającym tu ludziom to nie przeszkadzało.

– Jest noc – zauważył tylko, ale okazało się, że nie jest to ważki argument.

– Szaman czeka i w nocy. Miałeś zjawić się wcześniej.

Sprawy służbowe, wiecie. Wojna atomowa.

– Zatem jestem.

Zastanowiło go od razu, że ani trochę nie wyglądali na zdziwionych jego nagłym pojawieniem się… znikąd? Po prostu otworzył drzwi, wszedł jak do siebie, jakby mieszkał tu od zawsze. Wprost z roku 1963.

Było ich tam pięcioro. Troje dorosłych – mężczyzna, kobieta i drugi znacznie starszy mężczyzna, najpewniej ojciec jednego z nich – oraz chłopiec i dziewczynka. Słabe, nienawykłe do ciemności oczy Kuzniecowa wychwyciły jedynie zarysy ich sylwetek, ale najprawdopodobniej wszyscy byli brudni, śmierdzący i zapewne zawszeni. Na to nikt go nie przygotował. Antonow przewidywał różne scenariusze, lecz nie przewidział, że Kuzniecow zarazi się jakąś cholerą z przeszłości i zdechnie tutaj bez szans na powrót. Dopiero w tym momencie uświadomił sobie, jak sytuacja naprawdę wygląda. Jego ciało, jeśli Antonow miał rację, nadal pozostawało w komorze, a ciało psychosobowtóra najpewniej nawykło do tutejszych mikrobów. Jedyne co rzeczywiście groziło Kuzniecowowi to szaleństwo, ale z tym już sobie kiedyś poradził.

Po paru minutach okazało się, że świadomość Kuzniecowa coraz lepiej uczy się panować nad swoim zastępczym ciałem. Czuł coś, jak delikatne wiercenie z tyłu głowy i wiedział, że była to jaźń gospodarza, jednak nie próbowała walczyć, po prostu spała. Obudzi się, kiedy to wszystko się skończy. Przynajmniej takie rozwiązanie byłoby najwłaściwsze.

Nawet mu się nie przyglądali. Dzieci spały, przytulone do siebie jak małe szczeniaki. Kobieta zarzuciła mężczyźnie tłustawą, brudną nogę na biodro. Tylko starzec czuwał. Ten, który prowadził Kuzniecowa, szepnął coś do niego. Nestor pokiwał głową i podniósł się z podłogi. Z bliska wyglądał jak suszona śliwka, w której ktoś wyciął otwory na oczy. Mógł mieć równie dobrze dwieście, jak i czterdzieści lat. Zresztą nikt nie raczył poinformować majora ile lat wstecz zostanie przeniesiony. Ani dokąd. Profesorek obiecywał, ale skończyło się na ogólnikach. Wiemy tylko tyle, nie mamy pewności, to nie jest istotne dla powodzenia misji… Wspaniale. Cholerny Antonow poleciał sobie w kulki, a Kuzniecow dał się wrobić jak idiota.

Starzec wskazał im drabinę. Wspinali się po skrzypiących pod naporem ciała skręconych byle jak patykach. Kuzniecow już widział, jak leci w dół, na łeb na szyję. Ucieszył się, kiedy dotarli na dach. Niebo rozświetlały gwiazdy, te same, które tak dobrze pamiętał, gwiazdozbiory układały się w kształty znane mu z zachodniej półkuli. Mimo to było coś innego i niesamowitego w ich wyglądzie. Jakby oglądał je po raz

pierwszy. I ta świeżość w powietrzu, którą prawie się zachłysnął…

Musiało go cofnąć naprawdę daleko w przeszłość.

Rozgwieżdżone niebo było jego jedyną latarnią, ale bez większego problemu widział otoczenie. To miasto, gdziekolwiek się znajdowało, miało bardzo nietypowe rozplanowanie. Dom przy domu, wszystkie identyczne, kwadraty z otworami na dachu. Żadnych ulic ani uliczek, zaułków czy przejść, budynki posklejane w jedną bryłę. Podłoże było miękkie, jakiś piaskowiec, może wapień. Ale nie znał się na tym i nie miał pojęcia, czy z takich surowców kiedykolwiek budowano domy.

– Chodźmy – ponaglił go przewodnik. – Szaman czeka.

Przeszli dachami. Z jednego na drugi, niczym koty. Kuzniecow pomyślał, że przydałaby się latarka. Do cholery, choćby lampa gazowa albo świeczka. Ale ten świat nie znał jeszcze żadnego z tych wynalazków.

Poczuł jakąś irracjonalną złość na Antonowa. Czemu profesorek nie poinformował go dokładnie, gdzie wyląduje? A może sam nie wiedział? Jak działała ta cała komora? Typowe dla tych idiotów z dowództwa. Przejęli jakąś technologię i testują na ludziach, jak na królikach. Tylko dlatego, że grunt pali się im pod nogami. Ateiści, a gotowi uwierzyć w Boga i jeszcze bić przed nim czołami, byle tylko Amerykańcom dać po dupie. Kuzniecow nie powinien się zgadzać. Powinien…

– Schodzimy.

Przewodnik zniknął w dziurze w kolejnym dachu. Major spojrzał w dół. Ciemność. Nie widział nawet szczebli drabiny. Znów przypomniał sobie o spadaniu. Trzy metry, więcej nie mogło tam być, ale to i tak wydawało się zbyt wiele. Nie marzyło mu się potłuczenie, a tym bardziej złamane kończyny. *Nie jesteś w swoim ciele* – podpowiadał głos. A drugi dodawał natychmiast: *będziesz czuł ból. Będzie bolało*.

Zszedł na dół bez specjalnego namysłu.

– Usiądź – oznajmił mu nowy głos. W środku było ciemno, znacznie ciemniej niż w pierwszym domu. Usiąść, ale gdzie? Zrobił to tam, gdzie stał. Pod plecami poczuł ścianę. Była rozgrzana niczym powietrze tego wieczora. Najwidoczniej cały czas panowały tu dość wysokie temperatury. Południe? Bliski Wschód? Turcja? Czy jeszcze dalej?

– Przyszedłeś, a to jest dobry czas. – Kuzniecow próbował wyobrazić sobie szamana, lecz jedyne obrazy, jakie podsuwała mu wyobraźnia, pachniały dawno czytanymi książkami. Ludzie pomalowani ochrą, okadzeni dymem, kołyszący się w przód i w tył w rytm muzyki, szepczący niezrozumiałe zaklęcia. Maski i modły do bóstw.

– Co znaczy, że jest dobry czas? – zapytał, choć nie miał pojęcia, czy powinien. Ale uważali go za obcego, więc chyba byli skłonni mu wybaczyć niewiedzę.

– Oni się silą! – Szaman używał dziwnych słów. W zaanektowanym przez Kuzniecowa umyśle niektóre z nich przypominały intensywne błyski, obce dla człowieka

z przyszłości, zrozumiałe dla miejscowego. – Może nie być lepszej okazji. Jeśli przyjdą, wszystko przepadnie.

– Kto się sili?

Usłyszał, jak ktoś podnosi się z podłogi. Dopadła go duszność, a płuca zapadły się do środka. Upadł, rozpaczliwie próbując złapać się czegokolwiek, ale palce ześlizgnęły się po miękkiej powierzchni. Z podłogi wzbiła się chmura kurzu. Kuzniecow zdążył tylko poczuć zapach zeschniętych krowich odchodów i wapna, nim stracił przytomność.

* * *

Zdawało mu się, że przechodzi przez grube warstwy jakiejś materii. Czasem była chropowata i nieprzyjemna, czasem miękka i aksamitna, niekiedy zaś przypominała galaretę. Kolejne i kolejne, ułożone jak nadzienie jedna po drugiej. *Rzeczywistość robi sobie wolne* – pomyślał Kuzniecow. Starał się nie bać. Nie wychodziło mu, ale nadal próbował. Strach zabijał zdolność obserwacji, a on chciał wiedzieć. Nie kryła się za tym tylko zwykła chęć przetrwania. Ani ciekawość. Wewnętrzna potrzeba poznania odezwała się pierwszy raz od dawna.

Za zasłoną może ją spotkałeś, wiesz o tym? W miejscu gdzie umysły są wolne od ciała…

Warstwy stawały się coraz lżejsze. Budyń, wata, puch. Powietrze.

Czysta myśl.

Znalazł się w sali. Kilkadziesiąt drzwi. Kilkadziesiąt krzeseł. Nad każdym krzesłem kandelabr ze świecą. Na drzwiach wydrapano symbole. Jakieś koła, krzyże, prostokąty. Z niczym mu się nie kojarzyły.

Muszę przez nie przejść – pomyślał nagle. *Przez któreś z nich.*

Coś pociągnęło go w tył, a mocny uścisk dłoni nie pozwolił mu się wyrwać, choć Kuzniecow szarpał się z całych sił. Z powrotem przez warstwy – myśl, powietrze, puch, budyń. Wapień, kamień. Dalej, byle dalej od sali.

Chciał odwrócić się i potraktować intruza pięścią.

Wówczas zrozumiał, że nie ma ciała.

* * *

Świtało.

– Zgubiłeś się – powiedział szaman. Kuzniecow nie rozpoznawał twarzy, ale przypomniał sobie głos. Leżeli na jednym z dachów, pierwsze promienie słońca świeciły prosto w twarz. Podniósł się powoli, uważając, by nie spaść z dachu. Dopiero po chwili przypomniał sobie, że mu to nie grozi. Nie było przerw pomiędzy budynkami.

– Co to wszystko ma znaczyć?

– Też chciałbym wiedzieć – odparł szaman. Miał na sobie luźną szatę z jakiegoś płótna, może lnu, a na szyi kościane koraliki. Był szczupłej budowy, raczej wysoki, choć nie przekraczał metra osiemdziesięciu. Obok stał przewodnik Kuzniecowa – znacznie niższy, chudy i żylasty. Przy nim szaman wyglądał imponująco.

– Powiedziałeś, że się zgubiłem.

– Odszedłeś od nas. Na długo. Poszedłeś za mgłą.

– Nic nie pamiętam – skłamał major, lecz szaman pokręcił głową.

– Pamiętasz. Ale nie wolno ci tam być. To złe miejsce. Początek, rozumiesz?

Kuzniecow nic nie rozumiał.

– Najstarsi jeszcze to pamiętają. Nie było tego miejsca. Tylko jaskinie na południu. Mieszkaliśmy tam. Cała nasza społeczność. Jak zwierzęta. Walka o żywność. Gdy wschodziło Słońce, szliśmy polować. Nie zawsze się udawało i dlatego głodowaliśmy. Atakowały nas dzikie bestie z lasu. Wielu umierało. Znacznie więcej niż teraz. Wiesz, co się wówczas stało? Przyszli bogowie. Słońce zstąpiło z nieba. Spłynął Księżyc. Nadszedł Zachodni Wiatr. I… Zimna Noc. Słońce, Księżyc i Zachodni Wiatr powiedzieli nam co mamy uczynić, by odmienić nasz los. Powiedzieli nam, że powinniśmy tu przyjść. I stworzyć Sa. Byliśmy pierwsi. Później inni zaczęli robić to samo. Tak powstało He, zresztą dobrze o tym wiesz. I Ahk. I Hnu. Ale nie wszyscy poszli za nami. Do niektórych przemówiła Zimna Noc. A jeśli czyjeś serce posmakowało jej obietnic, ścinał je lód. Jej wybrańcy to już nie ludzie. Wyglądają, jak my, zrodzili się z mężczyzny i kobiety, lecz Zimna Noc ich odmieniła. Nie mają litości. Nie mają współczucia. Nie wiedzą co to wspólnota. I chcą tylko jednego.

Kuzniecow zrozumiał, że szaman czeka, aby zapytał.

– Czego?

Szaman odwrócił głowę, wypatrując czegoś daleko na północy.

– Tam – powiedział. – Tam są. Silni jak nigdy dotąd. Czekają i szykują się, ale możemy jeszcze być pierwsi.

– O czym mówisz?

– Zimna Noc chce, by wypełnili zadanie. Nawet jeżeli mają zginąć. Zresztą własna śmierć niewiele ich obchodzi. Zależy im tylko na tym, by nas zniszczyć i cofnąć wszystko do czasów ciemności i chłodu.

* * *

Jestem z He – przypomniał sobie. *A co, gdybym im powiedział, skąd naprawdę pochodzę? Jakby zareagowali? I czemu w ogóle pojawił się tutaj jego psychosobowtór?* Ta informacja pozostała ukryta, choć przecież wszystkie inne mógł przeglądać, niczym na kinowym ekranie. Wspomnienia jak klisze. Zapachy. Smaki. Uczucia. W He jego psychosobowtór był kimś ważnym. Znał się na ziołach, lecz potrafił również doskonale walczyć. Wołano na niego Ku-Kah. Tam, podobnie, jak tutaj, słowa były krótkie. Krótkie imiona, krótkie nazwy idealnie pasujące do prostego i nieskomplikowanego życia. Nadużywali spółgłosek, jakby łamanie sobie języka było naturalną potrzebą. Ku-Kah.

– Mówili mi niewiele – postanowił zaryzykować. – Mówili, że wy powiecie mi więcej.

Gdyby się odważył, zapytałby czemu nie zdziwiło ich jego nagłe pojawienie się w chacie. Uznał jednak, że

mogłoby to u nich wywołać wątpliwości co do tego, kim naprawdę jest.

– Musimy tam pójść – rzekł szaman. Nadal nie zeszli z dachu, ale Kuzniecow nie miał na to najmniejszej ochoty. W środku było ciemno i duszno, żadnych okien, zresztą i tak jedyne, co mogliby przez nie podziwiać, to identyczny wystrój wnętrza sąsiedniego domu. Inni najwyraźniej myśleli tak samo. Przez wykusze zaczęli wychodzić ludzie. Prostowali się i prężyli, odganiając sen, a później witali się z sąsiadami. Życie towarzyskie miało się tutaj chyba całkiem nieźle.

– Na północ? – domyślił się major.

– Tam właśnie siedzą.

– Jak wielu ich jest?

– Więcej. – Szaman próbował pokazać mu coś na palcach. Kuzniecow skoncentrował się na moment, przeglądając umysł swojego psychosobowtóra. Stosowali liczby do sześćdziesięciu, powyżej było tylko „więcej”.

Mogło być ich tam zarówno sześćdziesięciu jeden, jak i tysiąc.

– Poprowadzisz nas! – Szaman wreszcie określił jego rolę w tym przedstawieniu. – Jesteś najlepszym wodzem-wojownikiem czterech miast. Twoi przybędą, gdy zajdzie Słońce. Ruszymy, kiedy wzejdzie po raz kolejny.

– Tamci są bardzo niebezpieczni?

Może nie powinien zadawać tego pytania, ale kartoteka milczała. Albo jego psychosobowtór głęboko ukrywał te informacje, albo zwyczajnie nic nie wiedział.

– Nie wszyscy, ale ci, których pocałowała Zimna Noc… Musisz być świadom, z kim masz do czynienia. I nie chodzi o to, że nie mają litości. Oni są jak bestie. Potwory, rozumiesz? Pojąłbyś, gdybyś zobaczył kamienny las.

– Kamienny las?

– To coś jak świątynia. Gdy nadchodzi Zimna Noc, kładą głowy pojmanych na dużym, płaskim kamieniu, by rozbić je maczugami. Gwałcą tam nasze kobiety, a później trzymają je, dopóki nie urodzą dzieci, po czym zabijają. Te dzieci wychowują na kolejnych wielogłowych. Tak nazywamy ich wojowników. Noszą na głowie hełmy z obciągniętych skórą czaszek zabitych. Podobno od małego trzymają ich w ciemnych jaskiniach i karmią surowym mięsem, a gdy nadejdzie czas Zimnej Nocy, przechodzą próbę. Każdy z nich wyrusza przed siebie. Może wrócić tylko wtedy, gdy przyniesie trofeum. Pięć ludzkich głów. Jedną należącą do mężczyzny w sile wieku, jedną do starca, jedną do dziecka, jedną do kobiety. I jedną do niemowlęcia. Gdy wrócą, otrzymują posiłek z ludzkiego mięsa. Dopiero wówczas stają się pełnoprawnymi członkami społeczności.

Nie brzmiało to dla Kuzniecowa przerażająco – raczej jakby ktoś opowiadał mu fabułę jakiejś mało ambitnej powieści grozy o ludożercach. Nie odzywał się jednak ani nie uśmiechał. Szaman wyglądał bowiem, jak ktoś, kto wierzy w każde słowo i nie mówi niczego, czego nie jest pewien. A Kuzniecow bardzo chciał, aby szaman wierzył także w niego.

Traktował to jako element walki o przetrwanie.

– Czy to z nimi będziemy walczyć?

– Tak. Przeraża cię to?

– Nie umiem odpowiedzieć. Nie widziałem ich. Twój opis… Wolę o tym nie myśleć. Walczę, gdy muszę. Przecież wiesz. Dlatego mnie wezwałeś.

Kuzniecow blefował, zakładając, że jego psychosobowtór był powszechnie podziwiany. Przecież powiedzieli mu, że jest najlepszym wodzem-wojownikiem wszystkich czterech miast, a to znaczyło, że…

– Dobrze, że tak myślisz – rzekł szaman. – Chodź, zjedzmy coś.

Nie było to nic wyszukanego, a jednak nie narzekał na smak. Mięso, najpewniej dziczyzna. Bez przypraw. Jakieś leśne owoce. Żadnego chleba, kaszy, nic podobnego. Najwidoczniej nie znali jeszcze rolnictwa.

Kubki smakowe jego psychosobowtóra były przyzwyczajone do takiego połączenia, może dlatego Kuzniecow nie czuł dyskomfortu.

– Wypocznij – poradził mu szaman. – Jutro tam idziemy. Nie spodziewają się nas. To jest nasza jedyna szansa i jeśli nam się nie uda, to wszystko przepadnie, a światem znów będzie rządzić Zimna Noc.

* * *

Wypoczął, jak radził mu szaman.

Cały ten proces był cholernie dziwny, bo jego nowe ciało przyzwyczaiło się do niewygód. Nie widział już niczego niestosownego w spaniu na twardej podłodze,

pośród brudu i kurzu. Porządny twardy sen jeszcze nigdy nie zaszkodził mężczyźnie – powiedziałby jego dawny przełożony sierżant Swierow, a później wykopałby go z ciepłego łóżka w zimną, syberyjską noc, tylko po to, by Kuzniecow przebiegł parę kilometrów, klnąc na czym świat stoi. Tu jednak oferowano mu luksusy, tyle że przez tysiące lat pojęcie luksusu odrobinę się zmieniło.

Smród ludzi dookoła trudno było znieść. Jedna czy dwie osoby w tak ciasnej i słabo wentylowanej przestrzeni wystarczyły, aby atmosfera zgęstniała. Tu spało prócz niego sześć. Ledwo się mieścili i w zasadzie nikt nie mógł sobie pozwolić na własny kawałek podłogi. Tylko Kuzniecow nie opanował wstrętu i strącił bezceremonialnie zarzucone na niego kończyny. W końcu niezwykły wojownik powinien mieć trochę przywilejów, prawda?

Nie tego uczyli cię Marks i Lenin.

Cóż... ale ich tu nie ma, prawda? Jeszcze dużo czasu minie zanim się urodzą.

Która mogła być godzina? Nigdy nie zawracał sobie głowy pozycją Słońca na nieboskłonie, poza tym wszystko zależało od położenia geograficznego. Gdy wyszedł na dach (pozostali jeszcze spali) i spojrzał na niebo przyjął, że jest gdzieś koło siódmej rano. Wcześnie, lecz po innych dachach już kręcili się ludzie.

Tu życie musiało zaczynać się wraz ze świtem.

Dzisiaj – przemknęło mu przez głowę. *To już dzisiaj*.

Cokolwiek miało się zdarzyć, zaczął się bać. I żałować, że zgodził się na tę misję.

Kiedyś uważał, że jest w stanie poświęcić życie dla ojczyzny. Teraz, kiedy opowieści szamana urosły w jego wyobraźni i zadomowiły się w mrocznym zakątku jego duszy, nie był już tego pewien. Szybka, łaskawa śmierć, najlepiej z zaskoczenia. Nie wyprawa do krwistej doliny, by stać się ofiarą jakiegoś popieprzonego Boga.

Zawołali go.

– Jesteś gotów? – spytał szaman. Jego szaty były wymięte, jakby męczyły go koszmary.

Nie, nie jestem.

– Chodźmy, skoro czekają – usta mówiły, lecz mózg nie myślał.

Byli na dole, poza miastem. Stu, może dwustu, tak ocenił na pierwszy rzut oka. Nie więcej niż dwustu pięćdziesięciu.

Armia, której miał przewodzić.

A ilu było tamtych? Nie wiedział.

– Będziemy walczyć – przypomniał mu szaman, zupełnie jakby Kuzniecow zdążył już o tym zapomnieć.

– Czemu mi to mówisz?

– Żebyś pamiętał, że Bogowie, dobrzy Bogowie są po twojej stronie.

Kuzniecow tylko skinął głową. Dobrzy Bogowie? Zawsze tak było. Jedni lepsi, drudzy gorsi. Narody wybrane i oświeceni, którzy im przewodzili. Prorocy, święci mężowie, a po drugiej stronie synowie Bestii. Czy w jego świecie jakkolwiek to się zmieniło? Polaryzacja zyskała jedynie

nowy charakter – dobre systemy, złe systemy; dobrzy przywódcy i imperialiści łaknący krwi niewinnych.

Współcześni Bogowie.

Moja armia – pomyślał, gdy wreszcie zszedł na dół. Stali poza miastem. Niscy, lecz najczęściej dosyć krępi, wyćwiczeni przy fizycznej pracy. Co do jednego zarośnięci, z długimi włosami i brodami, najczęściej bruneci. Określone, wciąż powtarzające się geny. I jedyny znak szczególny – blizna od ostrza w kształcie trójkąta na ramieniu każdego z nich. Zszedł po jedynej drabinie, która tam prowadziła, wykonanej ze sznura. Sześć metrów w dół. Gdy wreszcie po raz pierwszy ogarnął miasto wzrokiem, zrozumiał, że to, co uznawał za niewygodę stanowiło olbrzymią zaletę. Miasto nie potrzebowało zewnętrznych murów, by się bronić. Samo było wielkim murem. Nie dało się do niego tak po prostu wedrzeć, by – przechodząc uliczkami i zaułkami – wyważać drzwi i mordować mieszkańców dom po domu. Wszystko dało się przeprowadzić tylko od góry, a obrońcy mogli skutecznie razić strzałami nawet znacznie liczniejszych wrogów.

Zreflektował się, patrząc na obdartusów, którzy przed nim stali.

To nie moja armia.

To armia człowieka, którego ciało wykorzystywał. Ale zapewne tysiące lat ewolucji myśli wojskowej sprawiły, że Kuzniecow, absolwent Akademii Wojskowej w Moskwie powinien sobie poradzić. Podszedł do niego niski, krępy

mężczyzna i wręczył mu włócznię z kamiennym grotem i niewielki, uformowany w kształt trupiej głowy pięściak.

Poszukał w pamięci psychosobowtóra informacji. Wciąż nie potrafił się do tego przyzwyczaić. Grzebanie w cudzych wspomnieniach przypominało przerzucanie ubrań w koszu na brudną bieliznę. Niektóre rzeczy, na jakie natrafiał, napawały go obrzydzeniem, inne dziwiły. Jego psychosobowtór nie był dobrym ani litościwym człowiekiem, lecz w tych czasach niewielu takich by się znalazło.

A w twoich? Sądzisz, że jest lepiej?

Ale działało.

Trupia głowa okazała się symbolem władzy.

Przyjął ją z wdzięcznością, ale i obawą. Wiedział, że na niego patrzą. Z uwagą i ciekawością, choć wolałby zdecydowanie mniej atencji. Irina… w jej spojrzeniu, w tych dniach, gdy rak zjadał ją ostatecznie, było coś podobnego. Chęć prześwietlenia cię na wylot, sprawdzenia, czy masz drugie, trzecie, piąte, dziesiąte dno. Czy coś ukrywasz, gdzieś głęboko, najgłębiej w sercu. Jakąś ponurą tajemnicę. Jakieś niewypowiedziane kłamstwo.

– Ruszajmy.

Włócznia była czymś nowym i obcym, ale to ciało potrafiło się z nią obchodzić. Z trzydziestu kilku metrów (gdyby znali taką miarę) trafiała w człowieka, przeszywając go na wylot. Te ręce się nie wahały, jego psychosobowtór wielokrotnie z powodzeniem używał włóczni. Kuzniecow wolał nie wiedzieć, ilu ludzi zabił. Jemu samemu nigdy się

to nie zdarzyło. Nigdy nie brał udziału w walkach frontowych… a przynajmniej tego nie pamiętał. *Przewrotność losu* – pomyślał. *Wreszcie dali mi ku temu okazję, ale zamiast karabinu mam włócznię.*

To nie te czasy, kiedy dowódca kierował armią z wygodnej siedziby sztabu albo przynajmniej z namiotu na wzgórzu. Dlatego poszedł w pierwszym szeregu. Czy jeśli to ciało zginie, to jego umysł wróci do przyszłości? Obudzi się w komorze? Czy też zginie tutaj, jak więzień w pierdlu, który nagle pochłonęło trzęsienie ziemi?

Nie myśl o tym teraz.

Szli równiną. Ziemia była twarda, ale pełna rozpadlin z których wyrastały kępy brunatno-zielonej trawy. Większość jego żołnierzy była bosa, on sam miał na nogach prymitywne sandały wiązane skórzanymi rzemieniami. Skąd mieli skórę, skoro nie widział w mieście zwierząt hodowlanych? Czy garbowali skóry tych dzikich, na które polowali? Wciąż wiele spraw było dla niego niejasne.

Brak dostępu do danych. Brak dostępu do danych.

Równina okazała się znacznie rozleglejsza niż początkowo przypuszczał. Na horyzoncie nie pojawiło się nic obiecującego, jedynie miasto zniknęło im z oczu. Bał się, że złapie ich burza, ale niezwykle ciemne chmury przeszły nad nimi, a z nieba nie spadła choćby kropla.

Do jaskiń dotarli, gdy słońce stało w zenicie.

– Tu mieszkają – poinformował go mężczyzna z ciągnącą się wzdłuż policzka wielką, źle zrośniętą blizną. – A przynajmniej zawsze mieszkali.

Na pierwszy rzut oka jaskinie były puste. Owszem, pozostały liczne ślady czyjejś bytności – zgaszone ognisko, kości zwierząt, jakieś skóry. Lecz ani jednego człowieka.

– Mogli wiedzieć, że nadchodzimy?

Jego doradca wzruszył ramionami.

– Nie mam pojęcia, panie. Nikt z nas nie zdradził, jeśli to podejrzewasz…

– Nie podejrzewam. – Wcześniej Kuzniecow nawet nie pomyślał o zdradzie. Nie było to jednak wcale takie głupie wyjaśnienie. A jeśli tak, to może nie należało iść dalej?

– Przeszukajcie jaskinie. Może zeszli głębiej.

Mężczyźni rozeszli się – część przeszukiwała jaskinie, część pobliski las. Kuzniecowa zainteresowało wzgórze.

Wdrapał się na skały, zostawiając włócznię u podnóża. Sandały, na które tak narzekał, okazały się doskonałe do wspinaczki. W kilka minut dotarł na szczyt. Widział stąd równinę. I widział miasto, odległy punkt na horyzoncie…

Zamyślił się. Gdy dobiegły go pierwsze krzyki, nie rozumiał, co oznaczają. Spojrzał w dół. Widział tylko kamienie nadlatujące ze wszystkich stron. Poczuł nagły, gwałtowny chłód. Jego ludzie upadali jak ścinane drzewa.

Jeden z kamieni trafił go w udo i Kuzniecow zaklął szpetnie po rosyjsku, choć pewnie tylko myśli to zarejestrowały, a krtań wypowiedziała słowa w tutejszym języku, ale…

Niczego nie był już pewien.

Kolejny kamień rozbił mu skroń, a major osunął się na ziemię, tonąc w gęstym, ciemnym błocie nieświadomości.

* * *

Nie umarł. Nawet nie stracił przytomności, jeśli to określenie miało w tym przypadku sens. Przeniósł się. Wydostał z ciała swojego psychosobowtóra i pofrunął zmieniony w chmurę cząstek, czystą świadomość. Ta sama sala, te same drzwi, lecz tym razem na krzesłach siedzieli ludzie. Nie znał ich. Różnili się wszystkim – płcią, rasą, wiekiem, wzrostem i budową, stylem ubierania i zapewne epoką z jakiej pochodzili. Każdy z nich siedział sztywno, niczym manekin. Nawet ich oczy były nieruchome i zimne. Nie mrugali.

Drzwi dookoła były pozamykane, poza jednymi. Uchylono je delikatnie, jakby na zachętę. Przed drzwiami siedziała kobieta, bardzo piękna i równie egzotyczna. Kuzniecow nie zdążył się jej przyjrzeć. Znów poczuł to samo szarpnięcie, kolejne warstwy, nieprzyjemne uczucie przedzierania się do czyjegoś ciała. Ocknął się na skale. Tuż nad nim pochylał się jakiś mężczyzna z kamiennym toporkiem. Kuzniecow zadziałał instynktownie. Chwycił rękę tamtego w nadgarstku i okręcił tak, jak uczyli go w Akademii. Pękła kość, napastnik krzyknął i wypuścił broń. Kuzniecow schylił się po toporek i uderzył. Raz, drugi. Zbryzgała go krew. Zrzucił z siebie ciało i spojrzał w dół. Wszędzie dookoła leżały trupy, jeden obok drugiego. Wydarto z nich wnętrzności, rozbito czaszki, wykłuto oczy. To ostatnie celowo, nie miał wątpliwości, że nie rządził tym przypadek. Z oczodołach zastygły już skrzepy. Nieuchwytni

niczym duchy sprawcy zniknęli. Prócz tego jednego, który próbował go zabić.

Kuzniecow starł krew z twarzy i powoli zszedł na dół. Czuł się stary. Zużyty, smutny człowiek. Umysł przeważył nad ciałem. Położyłby się i zasnął, gdyby mógł. Albo umarł.

Zabity przez niego człowiek leżał na wznak. Kuzniecow odwrócił go i przyjrzał się twarzy, którą pokrywała krew. Jej strumień sączył się z rozbitej czaszki Nie chciał już patrzeć.

Na ramieniu zabitego widniał trójkąt.

* * *

Niezrozumienie było jak głęboka, zdradliwa rzeka. Towarzyszyło mu od tak dawna, że powinien już się przyzwyczaić. Mimo to nie potrafił. Nie rozumiał ostatnich chwil życia Iriny, nie pojmował jakim cudem doszło do wojny i co on robił w projekcie. Nie wiedział czemu się tutaj znalazł. I co działo się w lesie w czasie, gdy stracił przytomność i odpłynął ku tajemniczej komnacie pełnej drzwi.

Nie znalazł żadnego innego trupa prócz zwłok własnych ludzi. Leżeli pokotem, ciała pokrywające leśną ściółkę. W jaskiniach też było ich pełno. I u stóp wzgórza.

Nikt nie przeżył. Ale nawet gdyby zostali całkowicie zaskoczeni, powinni zabić choć jednego przeciwnika.

No i dlaczego człowiek z trójkątem próbował pozbawić go życia? Oszalał? Major przypomniał sobie to nagłe obniżenie temperatury. Zimno na całym ciele. Zimno sięgające aż do kości. Dopóki kamień go nie znokautował.

Zimno…

Chciał wracać. Nie do miasta. Do swojego czasu, swojego państwa nawet jeśli toczyła się tam cholerna wojna. Powinni przerwać eksperyment. Nic z tego nie wyjdzie. Niech wyłączą komorę i pozwolą mu wrócić!

Siedział tam do późnego popołudnia zanim zdecydował się ruszyć dalej. Może się dowie, o co chodzi. A może umrze.

Instynkt samozachowawczy poszedł się jebać.

Minął jaskinie i gęsty las. Zrobiło się ciemno. Pohukiwały sowy. Słyszał jakieś ryki, groźne mruczenie, być może niedźwiedzia, wycie wilków. Szedł dalej, nie zatrzymując się, dopóki nie zapadła głęboka noc. Nie widział nic na odległość choćby centymetrów… Zatrzymał się, by pomyśleć, ale szło mu wyjątkowo opornie. Skroń wciąż bolała po uderzeniu kamieniem. Przysunął dłoń, próbując rozgrzać to miejsce, ale syknął, kiedy tylko go dotknął. Antonow powinien tu być, powinien zobaczyć, jak to jest. Choć na chwilę zrozumieć… Ale cholerni naukowcy zawsze siedzieli sobie tylko w wygodnych gabinetach czy laboratoriach i decydowali za innych, wiedząc, że politycy i wojskowi przystaną na ich eksperymenty, jeżeli tylko uznają, że do czegoś może się to przydać.

Z marazmu wyrwał go blask ognia. Kilkadziesiąt metrów dalej ktoś rozpalił ognisko. Trzaskały drwa, a Kuzniecow poczuł głód. Zamarzył mu się kawał pieczonej kiełbasy i wyciągnięte z popiołu ziemniaki.

Nie podejrzewał, że znajdzie tu cokolwiek z tych rarytasów.

Przy ognisku siedział mężczyzna. Grzebał długą gałęzią w żarze, niedbale przewracając drwa. Nie zdziwiła go wizyta Kuzniecowa. Spojrzał tylko i wrócił do poprzedniego zajęcia. Major stał tak chwilę, kompletnie ogłupiały, aż stoicki spokój obcego zaczął mu działać na nerwy.

– Kim jesteś? – spytał w końcu. Przestał na moment kręcić patykiem, ale nie zatrzymał dłużej wzroku na Kuzniecowie. Żar wydawał się bardziej interesujący.

– To raczej ja powinienem o to spytać – odparł. – Przybywasz z daleka, prawda? Z bardzo daleka? Rozumiesz dlaczego cię tu wysłali?

On wie – Kuzniecow nie miał najmniejszych wątpliwości. *Wie, kim naprawdę jestem.*

– Mensob – szepnął. – Nie wiem, czy umiem to wyjaśnić…

– Taak… Wiem, wiem, on mi powiedział o co chodzi. – Mężczyzna uwolnił go od konieczności dalszych wyjaśnień. – Nadal jednak pozostaje pytanie: dlaczego? Nie wiesz tego, prawda?

Majorowi zdawało się, że obcy się uśmiecha. Ale może tylko mu się zdawało. Płomień przyciągał wzrok, przed oczyma latały mu powidoki. Odwrócił się na moment w stronę ciemności.

– Ci tam – obcy machnął patykiem, wskazując gdzieś w stronę miasta – wysłali cię jako ofiarę. Wiedzą dobrze, że nie jesteś tym, za kogo się podajesz, ale nie mają pojęcia

skąd dokładnie się wziąłeś. Mimo to uznali, że twoja śmierć przebłaga Zimną Noc. Nie wahali się nawet poświęcić swoich braci tylko po to, byś dotarł do tego miejsca. Ale ty widziałeś komnatę, prawda?

– Komnata? Widziałem okrągłą salę… i drzwi… i ludzi.

– Właśnie.

– Co to za miejsce?

– Tam chciałeś dotrzeć, lecz na razie dotarłeś tylko tutaj. A ja nie mogę cię zabić. To jedyne, czego nie jestem w stanie zrobić.

– To ty wszystkich pozabijałeś?

– Czemu pytasz, skoro znasz odpowiedź? – zdziwił się nieznajomy. – Pozabijali się sami, gdy pocałowała ich Zimna Noc. I nic nie rozumiesz. Nie wiesz, kto jest twoim wrogiem, a kto przyjacielem.

– Ty jesteś…

– Tylko przewodnikiem. Słyszysz?

Gdy mężczyzna zamilkł, Kuzniecow wsłuchał się w noc. Ale jedynym dźwiękiem było pohukiwanie sowy gdzieś w oddali.

– Nie słyszysz? Może dlatego, że ogłuchłeś od tego hałasu. To nowe. To, co nadchodzi. Krzyczy. Cały czas krzyczy. Jest jeszcze wątłe, ale wciąż nabiera sił. Wiesz po co? By urosnąć i pożreć świat. Zimna Noc jest jedynym prawdziwym Bogiem, lecz nawet ona nie może odmienić ich serc, choć próbujemy. Wszyscy moi ludzie od dawna już nie żyją. Zostałem tylko ja. Ja i ona. Czekamy więc, wciągając ich w pułapki. Jednak ciebie Zimna Noc nie może

pocałować, bo nie jesteś stąd. Więc nich i tak będzie. Zrozum jednak, że potrzebujemy ich strachu, by się bali i by porzucili Nowe, bo inaczej kiedyś, gdzieś świat się skończy. To Zimna Noc jest dobrem, cokolwiek sobie nie pomyślisz. Chce, by ludzie wrócili tam, gdzie ich miejsce. A ich miejsce jest wśród innych zwierząt, z dala od Nowego.

– Cywilizacja? Czy mówisz o cywilizacji? – domyślił się Kuzniecow.

– Tak to nazywasz? Nazwy nie są istotne. Istotne jest to, że wiesz, o czym mówię. Czy czujesz powolny rozkład tam, skąd pochodzisz? Ten delikatny zapaszek śmierci? Czy zbliża się koniec?

Jest bliżej, niż sądzisz.

– Musimy wrócić tam, gdzie nasze miejsce. Tylko to nas uratuje.

Już za późno. Od dawna za późno.

– Ale ty chcesz tylko wejść do komnaty, prawda? Chcesz tylko zabić tego, po kogo kazali ci przyjść?

Kuzniecow niczego już nie próbował udawać.

– Niewiele z tego rozumiem, lecz to jedyny sposób.

– Jeśli mi pomożesz, wskażę ci inny.

Mężczyzna wstał. Był wysoki i potężny, lecz Kuzniecow nie czuł przed nim lęku.

– Zabijemy wszystkich, którzy słuchają Nowego. Wypatroszymy ich na ołtarzu, zjemy ich dzieci. A cała reszta w trwodze wróci z nami do dawnego porządku.

– Jesteś szalony…

– Czyżby? Ile szaleństwa widzisz dookoła, człowieku znikąd? Tam skąd pochodzisz… ile go jest? Wiele? Nie musisz odpowiadać, wiem, że tak. Więc nie próbuj mówić mi o szaleństwie.

– Są inne sposoby!

– Nie ma. Może nigdy nie było. Nowe to choroba, której nie da się tak prosto uleczyć. Więc bądź ze mną albo przeciwko mnie, bo ja nie ustąpię. Teraz, zaraz.

To wszystko mi się śni – pomyślał Kuzniecow i zaczął się śmiać, gdy obcy do niego podszedł, by zacisnąć dłonie na jego szyi. *Jeden bardzo długi sen, brzydki sen, nierealny, ale taki, który udaje, że jest inaczej…*

…nie próbował się bronić, nie chciał się bronić, lecz ciało zadziałało instynktownie, niezależnie od jego woli. Walczyli. Kuzniecow odpłynął. Widział jeszcze, jak obcy, choć większy i masywniejszy, przegrywa, jak ciało jego psychosobowtóra wyrywa się z żelaznego uścisku i z kocią gracją przechodzi do kontrataku. Był już pomiędzy, przechodził przez kolejne zasłony. Obcy upadł, a kamienny toporek opadł mu na czaszkę, która pękła z nieprzyjemnym chrupnięciem. Kolejne uderzenia wydobyły na powierzchnię gąbczastą tkankę mózgu.

Był w komnacie. Tym razem bez możliwości powrotu. Psychosobowtór strząsnął z siebie pasożyta. Mógł ruszyć naprzód.

Wiedział, że to ta kobieta, zanim jeszcze wstała. Uśmiechnęła się. Czy była tu ciałem, czy tylko jaźnią, jak

on? Spojrzał jej w oczy i zrozumiał, że go dostrzega i wie, po co przyszedł.

– Zapamiętaj, że Irina cię kochała i chciała… chciałam… ale nie wyszło – powiedziała, gdy jej twarz zmieniała się w twarz Iriny, nie tę którą kochał, lecz tę którą znienawidził w ostatnim okresie jej życia. Poorane bruzdami choroby oblicze przypomniała mu wszystkie ostatnie ponure i mroczne miesiące walki, smutku i zniechęcenia.

– Jednak istnieje życie po śmierci. To bardzo ciemne, brzydkie miejsce. Jest tam tylko płacz i cierpienie, ale wszyscy tam trafimy. Wszyscy bez wyjątku. Więc nie czekaj, chodź w me objęcia, zaprowadzę cię tam już dzisiaj…

Pomyślał tylko o tym, co chce zrobić. Wezbrała w nim wręcz niewiarygodna fala nienawiści. Obrazy pojawiły się same, głowę wypełniał łoskot. Dźgał ją nożem, leżącą na łóżku i przeklinającą cały świat. Dusił ją, gdy krzyczała z bólu. Tłukł ją metalowym kastetem, kiedy wołała:

– Daj mi to, pierdolony skurwysynu, daj mi więcej morfiny!

Cieszyło go to, cieszyły go jej piski na łożu śmierci. Cieszył go zapach ekskrementów, które wydaliła z siebie, kiedy zadał ostatni cios. Wydawało się, że jego nienawiść nie ma dna.

Zapamiętaj, że Irina cię kochała.

Nagle okazało się, że dzban złości jest pusty. Kobieta leżała przed krzesłem, martwa. Drzwi stały otworem. Wpłynął w nie. Dosłownie.

To ból głowy go obudził. Nie głód.

– Witamy z powrotem, majorze – przywitał go spokojny głos Antonowa. – Wspaniale się pan spisał.

* * *

Ostatnie – a może pierwsze? – słowa Antonowa wciąż rozbrzmiewały w jego głowie.

Nie spał już od godziny, lecz – jak się okazało – przespał poprzednie dwa dni. W komorze, według twierdzeń profesora spędził zaledwie osiemnaście minut. Względność czasu. Kuzniecowa niewiele to obchodziło, ale było to z pewnością najdłuższe osiemnaście minut w jego życiu.

Wstał i ubrał się. Ktoś przyszedł zapytać, czy zje śniadanie, lecz poprosił tylko o kawę. Smakowała mu, choć czuł, że nie jest świeżo zmielona. Do porządku przywołał go zapach jajecznicy. Stwierdził, że jednak jest głodny i zmienił zdanie, po czym dosłownie pochłonął cały talerz jajek na boczku.

Antonow pojawił się kiedy Kuzniecow, niczym bezdomny, który widział pierwszy posiłek od tygodnia i nie był pewien kiedy zobaczy następny, wycierał talerz chlebem.

– Widzę, że panu smakowało, majorze – powiedział przymilnym tonem, jakby wyczuł, że Kuzniecow nie ma ochoty z nim rozmawiać.

– Jedzenie jak jedzenie – odparł major. Odstawił talerz i pozwolił sobie na papierosa. – Jest coś, co mógłbym jeszcze dla pana zrobić, profesorze? Jak sytuacja?

– Bez zmian.

– Wykonałem to wasze cholerne zadanie, choć wydaje mi się teraz, że to było jakieś szaleństwo.

– Jest jeszcze coś, majorze.

Kuzniecow od razu zrozumiał, że nie ma najmniejszej ochoty słuchać dalej.

– Zabił pan mensoba Kennedy'ego, ale tak się składa, że… proszę mi wierzyć, nie spodziewaliśmy się tego wcześniej… otóż…

– Niech pan mówi. Znów mam wskoczyć do komory?

– Nie, to już skończone. Jednak tylko pan ma szansę go zlikwidować.

Kuzniecow parsknął śmiechem.

– Kennedy'ego? Dalej o nim mówimy? Mam go zabić?! Zwariował pan? Poza tym, jak zamierzacie ściągnąć go do Moskwy?

– Rzecz w tym, że już nie jesteśmy w Moskwie.

Zimno – pomyślał, bez związku z czymkolwiek. *Dlaczego jest tak zimno?*

– Gdy spałeś po wyjściu z komory przepłynęliśmy na pokładzie łodzi podwodnej. Jesteśmy w USA, a konkretniej w Dallas. Pojutrze Kennedy będzie tu z wizytą. To doskonała okazja, aby przysłużyć się ojczyźnie. Po raz ostatni. To nie jest misja samobójcza, majorze. Nie damy panu zginąć. Wszystko zostało przygotowane.

Doprawdy? – chciał powiedzieć Kuzniecow. Chciał się zaśmiać, chciał uderzyć Antonowa i bić go, póki nie wyszłyby z niego wnętrzności. Chciał uciec. Tysiąc rzeczy, których chciał, a których nie zrobi.

– Jest pan gotów, majorze – bardziej stwierdził, niż zapytał Antonow. – Dotarł pan dalej, niż którykolwiek z nas mógłby w ogóle przypuszczać. Jeszcze tylko jeden krok. Ostatni, majorze. Nie powinien się pan go bać.

– Każecie mi zabić człowieka.

– Tak, wymagamy takiego poświęcenia. Prosimy o nie. Wie pan, dlaczego Truman użył bomby przeciwko Japonii? Dlaczego pozwolił usmażyć dziesiątki tysięcy cywilów? Nie dla jakieś dzikiej, sadystycznej żądzy zemsty. Wiedział, że ta decyzja pozwolimy ocalić znacznie więcej istnień ludzkich, które niechybnie zginęłyby, gdyby Amerykanie musieli dokonać inwazji. Pan ma zabić jednego człowieka. Tylko jednego. A to pozwoli ocalić miliony, może nawet dziesiątki milionów.

– *Czy czujesz powolny rozkład tam, skąd pochodzisz? Ten delikatny zapaszek śmierci? Czy zbliża się koniec?*

– Próbuje pan mną manipulować. Przywieźliście mnie tutaj bez mojej zgody. A teraz zmuszacie, bym to zrobił.

– Owszem, moglibyśmy na panu wymóc posłuszeństwo – przyznał Antonow. Podał Kuzniecowowi kubek z kawą. – Tylko po co? To nie my pociągamy za spust, majorze. Pan musi to zrobić. Nie jesteśmy w stanie pokierować pana ręką, niestety. A gra toczy się o zbyt wysoką stawkę, byśmy chcieli to spieprzyć.

– Jeśli tego nie zrobię to…

– Chciałby pan usłyszeć jakiś zgrabny szantaż? Że zabijemy pana rodzinę czy coś w tym stylu? Nie, majorze. Nic z tego. Zabije ich kolejne atomowe uderzenie. Wywiad

poinformował nas, że Amerykanie szykują trzy. Jedno z nich w Irkuck, gdzie mieszkają pana matka i siostra.

Kuzniecow zacisnął zęby w niemej rozpaczy.

– Dobrze, profesorze… Jest pan zadowolony? Moja odpowiedź brzmi: tak. Dajcie mi karabin, odstrzelę mu głowę jeszcze dziś… Wspaniale. Czy zostanę później bohaterem Związku Radzieckiego? Przyznacie mi jakieś medale? Daczę na Krymie? Chcę pieprzoną daczę na Krymie i jakieś niemieckie auto, bo od wołgi robi mi się niedobrze… Pisze pan, profesorze? To niech pan pisze, bo mówią, że wszystko ma swoją cenę.

Major skrył twarz w dłoniach i zaczął się śmiać.

– Już. – Pół minuty zajęło mu uporanie się z emocjami. Stal i lód – mógłby powiedzieć ktoś, kto zobaczyłby go od środka. Było też drugie, a nawet trzecie dno, lecz z tego nawet on sam tylko niejasno zdawał sobie sprawę.

Aż do momentu, gdy wszystko eksploduje.

– Jest pan pewien, majorze?

– Proszę nie kazać mi powtarzać. Nie zamierzam tego rozkładać na czynniki pierwsze, bo jeszcze mógłbym dojść do wniosku, że jest pan zręcznym manipulatorem, profesorze.

– Zapewniam pana, że…

– Proszę mnie już o niczym nie zapewniać, towarzyszu. A teraz… czy da mi pan w spokoju wypalić papierosa?

* * *

Dzień przed zamachem Kuzniecowowi przyśnił się kapłan.

Zimna Noc rozgościła się już na dobre. Zdjęci strachem ludzie cofnęli się do jaskiń. Na kamiennych ołtarzach leżały rozczłonkowane ciała noworodków. Nagie młode kobiety dogorywały, krwawiąc obficie z intymnych miejsc. Ogromni, muskularni mężczyźni wznosili gromkie krzyki na cześć okrutnego bóstwa, podnosząc głowy ku niebu. Kapłan patrzył przed siebie, a jego spojrzenie było równie zimne jak demon, któremu służył.

– Kłamstwo zawsze jest silniejsze niż prawda – powiedział. – Zimna Noc jest jedynym prawdziwym Bogiem, lecz nawet ona nie może odmienić ich serc, więc nic lepszego już nas nie czeka.

– Nie chcę – odparł Kuzniecow, lecz natychmiast zapomniał czego nie chciał. Zabić Kennedy'ego? Śmierci Iriny? Całej tej cholernej wojny?

– Odejdź – rzekł kapłan. – Czas, by świat się skończył.

Obudził się spocony jak po ciężkiej walce.

Niewiele mówił przez ostatnie dwa dni. Nie chciało mu się z nikim rozmawiać. Słuchał tylko planów i kiwał głową. Tak, oczywiście. Tak właśnie. Tak to zrobimy.

– To znakomite miejsce, a pan jest świetnym strzelcem.

W jego przestrzeni pojawiali się różni ludzie, nieznani, milczący, niepróbujący nawiązywać z nim bliższego kontaktu. Do kilku chciał się odezwać, zagadać, ale odpowiadali mu jedynie zdawkowym uśmiechem. Badali coś, pobierali mu krew, kazali dmuchać w rurki; sam nie

rozumiał po jaką cholerę. Dostawał dobre jedzenie, wszystko na co tylko miał ochotę, ale nie czuł się głodny, jedynie zmęczony. Gdyby mu pozwolono, spałby dwa dni. Trzy. Pięć. Tydzień. Może miesiąc.

Antonow przyszedł dwa razy. Coś tam biadolił o konieczności, o ocaleniu i zakończeniu wojny. Kuzniecow milczał, choć chciał mu powiedzieć: „Pierdol się, profesorku. Pierdol się i idź w diabły ze swoimi mądrościami. To nie ty będziesz musiał to zrobić. Nie ty!”.

W jakiś trudny dla niego samego do zrozumienia sposób zdołał się wyłączyć. Czuł się trochę tak, jakby znajdował się poza ciałem. Wciąż nim zawiadywał, ale na odległość. To były obce nogi, obce ręce, obce oczy. Te obce nogi poniosą go na miejsce, obce oczy namierzą cel, a obce palce pociągną za spust. Wystarczy? Wystarczy. Poradzi sobie.

Pojawił się jakiś wojskowy. Incognito, bez munduru, lecz Kuzniecow doskonale umiał rozpoznać typowe dla oficera cechy. Chwilę rozmawiali. W przeciwieństwie do profesora nie sprzedawał mu głodnych kawałków o poświęceniu dla ojczyzny, za co major był mu wdzięczny. Mówił natomiast o szczegółach. Gdzie, jak, kiedy. Pokazał mu broń. SWD. Kuzniecow znał ten karabin i miał o nim dobre zdanie, choć produkowano go dopiero od niedawna. Kilkakrotnie zdarzało mu się z niego strzelać, nawet na większe odległości i osiągał naprawdę niezłą skuteczność. Tylko czy wystarczającą, by zabić Kennedy’ego? A jeśli nie? Cóż… To już nie jego zmartwienie.

– Ustawimy cię tam około jedenastej czterdzieści pięć. Kolumna prezydencka będzie przejeżdżać w dogodnym do strzału miejscu gdzieś po dwunastej. Piętnaście minut powinno ci starczyć.

– Ale jakim cudem nikt tego nie zauważy?

– Mamy kilkoro podstawionych ludzi wśród pilnujących. Tym się nie przejmuj. To nasz problem.

– W porządku – stwierdził, choć chyba nic nie było w porządku. – Więc jedyne co mam zrobić to pociągnąć za spust?

– Tak.

– A jeśli chybię?

– Trudno. Będziemy musieli…

– Mnie zabić?

– Wycofać – poprawił go wojskowy. Kuzniecow dopiero teraz przypomniał sobie, że nawet nie zna jego imienia. Wzruszył ramionami, jakby było mu wszystko jedno.

– I co później? Jeżeli mi się uda?

– To samo. Wycofamy cię stamtąd. Okręt podwodny zabierze cię z powrotem do ojczyzny.

– Wszystko macie zapięte na ostatni guzik – w zamyśle miała to być kpina, ale Kuzniecow odkrył, że zabrzmiała raczej jak pochwała.

– Trudno przecenić wagę tej akcji. Od tego zależy…

– Tak, tak wiem – przerwał mu podirytowany major. – Chciałbym teraz zostać sam. Choć na dwie godziny. Potrzebuję snu. Czy to możliwe, czy może w kolejce czeka jeszcze pierwszy sekretarz?

Wojskowy skinął tylko głową i wyszedł. Kuzniecow położył się na łóżku i usiłował zasnąć, a kiedy mu się nie udało, próbował przynajmniej nie myśleć. Lecz jedyne na czym w zastępstwie potrafił się skupić to kapłan, Zimna Noc i to, co tam zrobił.

We wspomnieniach zabita przez niego kobieta patrzyła lodowatym wzrokiem, równocześnie uśmiechając się w tak sugestywny sposób, jakby chciała mu przekazać, że zrozumienie jest na wyciągnięcie ręki. Wszystkie odpowiedzi. Wszystkie. Te najważniejsze. I te najbardziej błahe.

Przyjechali po niego czarnym fordem. Nie znał się na markach, w ogóle dość słabo orientował się w motoryzacji. To Irinę kręciły silniki, suwy, cylindry, elektryka i mechanika. Takie jej małe, niekobiece hobby, choć bardzo socjalistyczne. Kuzniecow zapakował się z tyłu, milczący, stonowany. Próbował zapomnieć, ale nie wychodziło. Właściwie to nic mu nie wychodziło. Przez krótką chwilę miał ochotę krzyknąć na kierowcę żeby się zatrzymał, a później wysiąść i biec przez całe Dallas na oślep. Może zrobić coś szalonego, rozebrać się lub wrzeszczeć. Niech go zgarnie policja. Albo niech go zabiją. Wszystko jedno.

Jednak stać go było jedynie na tępe spoglądanie przed siebie, na ulice, na ludzi, na wysokie budynki, na samochody, skrzyżowania pełne ruchliwych pojazdów. Powietrze wypełniał odór spalin i gwar miasta. Ameryka… Czy Rosja była inna? Może trochę mniej hałaśliwa, lecz w swej naturze identyczna.

Jakież to smutne – pomyślał. *Po co to wszystko robimy? Jesteśmy jak dwa mrowiska toczące bezsensowną wojnę o nic, gdy tymczasem każdy mógłby żyć spokojnie u siebie.*

Zachciało mu się śmiać. Czy po wizycie w komorze się zmienił? Nigdy nie czuł się altruistą, raczej patriotą, choć i to niespecjalnie. A tymczasem nachodziły go coraz dziwniejsze myśli. Zabicie prezydenta USA. A może z nim po prostu porozmawiać, jak człowiek z człowiekiem? „Słuchaj John, jest taka sprawa, kazali mi ciebie sprzątnąć, ale nie chcę tego robić i myślę, że ty też wcale nie chcesz żebym to zrobił więc może się dogadamy? Sprawa jest prosta – kończymy to całe fiku-miku i każdy wraca do siebie. No i co ty na to?”.

– Jesteśmy na miejscu.

– To ten budynek?

– Nie, to stara składnica książek. Jedziemy dalej.

Kuzniecowowi przyszło na myśl, że to nie są ludzie, którzy znają się na swojej robocie. Wysoki, wyglądający na opuszczony budynek byłby świetnym miejscem dla snajpera. Trudno było wyobrazić sobie lepszą lokalizację. Może jednak chodziło o późniejszą trudność z wycofaniem?

Naprawdę w to wierzysz?

Minęli niewielkie, trawiaste wzgórze. Samochód zatrzymał się w wąskiej, nieuczęszczanej uliczce kilkadziesiąt metrów dalej. Kuzniecow zrozumiał, że tam chcą go ulokować. Uśmiechnął się sam do siebie. Jakim cudem ma pozostać niezauważony, przechodząc tak długi odcinek?

– Ulice są zamknięte od tej strony – poinformował go siedzący obok kierowcy szpakowaty typ. – Nikt nie będzie ci przeszkadzał. I nikt nie powinien cię zauważyć. A ludzie, którzy pilnują uliczki, wiedzą o wszystkim.

– Ich też później wycofacie?

– Tym się już nie przejmuj.

To chyba ich ulubiona fraza – pomyślał Kuzniecow z przekąsem. Niech się dzieje co ma się dziać. Nie obchodziła go już ewentualna wpadka. Szpakowaty musiał zauważyć, że nie jest skupiony, bo zanim wysiedli z samochodu, podzielił się z nim ostatnią złotą myślą.

– To tylko chwila, a potem nie będziesz się już niczym przejmował. Wycofasz się ze służby, jeśli tak zdecydujesz. A jeśli nie, to dostaniesz awans. Wiem, że to trudne. Szczególnie jeśli do tej pory nikogo się nie zabiło. Gdybym mógł, zrobiłbym to za ciebie. Ale tamci powiedzieli, że nie mogę, że ty i tylko ty. Sam tego nie rozumiem, słucham rozkazów.

Kuzniecow chciał rzucić jakąś sarkastyczną uwagą, ale tylko wzruszył ramionami.

Dostał pakunek i powiedzieli mu, że na wzgórzu są gęste krzewy, w których można się ukryć. Kolumna prezydencka miała pojawić się za kilkadziesiąt minut. Oni będą czekać w zaułku, po wszystkim major zabierze broń i pobiegnie tak szybko, jak się da. Dziesięć minut po oddaniu strzałów powinni już być daleko.

Dotarł na miejsce w pięć minut. Karabin dziwnie mu ciążył; czuł się, jakby dźwigał kilkudziesięciokilowe

ciężarki, a przecież SWD, nawet załadowany, nie ważył więcej niż pięć, sześć kilogramów. To psychika, nic więcej.

Kuzniecow westchnął i wdrapał się na wzgórze. Krzaki rzeczywiście dawały w miarę dobrą osłonę, choć w promieniu kilometra lub dwóch nikt raczej nie miał się pojawić. Rozpakował zawiniątko, ustawił karabin i wykalibrował lunetę. Widoczność z tego miejsca była świetna. Pozostawało czekać i nie myśleć zbyt wiele. Szpakowaty miał rację. To tylko chwila. Jedna chwila, a świat się zmieni. Nikt nie odda mu Iriny, nawet gdyby zastrzelił pięćdziesięciu prezydentów, ale przynajmniej całe to pieprzone szaleństwo się zakończy.

Obudził go hałas. Chyba jakimś cudem przysnął. Ludzie klaskali, dzieciaki krzyczały. Kuzniecow dopadł lunety. Kolumna prezydencka właśnie wyjeżdżała zza zakrętu. Przygotował się do strzału. Kennedy był doskonale widoczny, jak na dłoni – powiedziałby jego instruktor strzelania. Tyle, że przed prezydentem siedziała jego żona. Kuzniecow celował kilkakrotnie, próbując wymierzyć czysto, prosto w głowę Kennedy’ego, ale za każdym razem zahaczał o Jacqueline. Zaklął po cichu.

Co za różnica? Jedna czy dwie ofiary, to tylko chwila. Zrób to, do cholery. Zrób i uratuj świat.

Samochód już prawie minął najlepszy punkt, lecz Kuzniecow nie nacisnął spustu. *Niech to szlag. Powieszą mnie za jaja* – pomyślał. Mało go to obchodziło. Ale cała reszta…

Ktoś strzelił. Raz, drugi. Kennedy osunął się na bok, jak sflaczały worek treningowy. Jacqueline wstała z miejsca i zaczęła wdrapywać się na tył prezydenckiego lincolna, by pomóc wejść ochroniarzom. Ktoś krzyknął, lecz większość ludzi chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, co się dzieje. Niektórzy wciąż machali.

Kuzniecow odłożył broń. Oddychał ciężko, zupełnie otumaniony. Nie miał pojęcia o co w tym wszystkim chodzi, ale…

…ale w jego stronę biegli już jacyś ludzie. Przecież miał być bezpieczny odwrót.

Usłyszał głosy, wiele głosów.

– Rzuć to i wyjdź stamtąd z podniesionymi rękoma!

To dziwne, bo nie potrafił określić, czy słyszy rosyjski, czy angielski.

– Rzuć to i wychodź!

Wstał, zapominając, że w prawej ręce wciąż ściska karabin. Dostrzegł tylko twarz jednego z policjantów, kiedy padł strzał, a Kuzniecow osunął się w bezpieczną ciemność.

* * *

– *Czy czujesz powolny rozkład tam, skąd pochodzisz? Ten delikatny zapaszek śmierci? Czy zbliża się koniec?*

Gdy tylko się obudził, natychmiast pojawili się ludzie. Jeden, dwóch, pięciu. Zbyt wielu, by nie zakręciło mu się od tego w głowie.

– Prezydent nie żyje… – wycharczał Kuzniecow. Gardło miał suche, jakby ktoś wsypał tam tonę piachu.

– Tak, a ty go zabiłeś. – Wysoki, chudy człowieczek wyglądał na jakiegoś prawnika lub prokuratora. Stereotypu dopełniały okulary oraz wymuskany garnitur i wypastowane na wysoki połysk buty. Mówił świetnie po rosyjsku, bez cienia akcentu.

– Nie… nie zrobiłem tego.

– Zrobiłeś. I jesteś radzieckim szpiegiem.

– O co tu chodzi? W co mnie wpakowaliście?

– Sam się wpakowałeś – odparł niski, dobrze zbudowany gość w typie Marlona Brando. Jego rosyjski był nieco gorszy niż prokuratora, ale posługiwał się nim bez problemu. – Zastrzeliłeś prezydenta.

– Nie strzelałem, możecie sprawdzić moją broń! To ktoś z naprzeciwka, z tej pustej składnicy książek!

– Mamy już twoją broń. Carcano M91. Są na nim ślady po wystrzeleniu dwóch kul. Teraz interesuje nas bardziej kto ci to zlecił. Moskwa?

– Miałem cholerne SWD, nie Carcano! Przecież wiecie, zatrzymaliście mnie!

– Policja zatrzymała cię z karabinem snajperskim Carcano.

Parsknął śmiechem.

– Gdybym chciał strzelać do prezydenta, to na pewno nie z tego badziewia.

– Chciał? – To słowo zainteresowało go bardziej niż opinia majora.

– Chciałem, ale tego nie zrobiłem.

Popatrzyli po sobie, lecz żaden się nie odezwał. Dwóch typów stojących do tej pory w kącie, dryblasów jak z gangsterskiego filmu, skinęło głowami. Kuzniecow nie miał pojęcia co to znaczyło, lecz po chwili wszyscy – dryblasy, prokurator i Marlon Brando wyszli. Został sam.

– Nie zrobiłem tego, cholerne sukinsyny! – zaczął krzyczeć, choć właściwie nie rozumiał po co. – Chciałem, ale nie zrobiłem!

Tłukł pięściami w zamknięte drzwi i wrzeszczał. Przestał, kiedy się zmęczył. A później zasnął.

* * *

To trwało tygodniami. Przesłuchania, raporty, kolejne przesłuchania. Był sławny, mówili o nim w amerykańskiej telewizji, jednak generalnie nie miał pojęcia co się dzieje. Nie wspominano o drugim zamachowcu, nikogo więcej nie złapano. Zresztą po co? Kuzniecow w zupełności im wystarczył.

Rana postrzałowa nie okazała się zbyt groźna, strzelali tak, aby jak najmniej go uszkodzić. Już w drugim tygodniu mógł odstawić leki przeciwbólowe, a bandaż nie zabarwiał się krwią. Fizyczne rany goiły się znacznie lepiej niż psychiczne.

Kilkakrotnie prosił o możliwość rozmowy z Antonowem, lecz odpowiadali mu jedynie wzruszeniem ramion. Nikogo takiego nie znamy, przykro nam, nikt taki tu nie pracuje. I nigdy nie pracował.

Przecież to oczywiste – karcił sam siebie w myślach. *Ktoś przejrzał akcję i wszyscy wpadli. Antonow pewnie jest już od dawna w Moskwie. Albo przesłuchuje go FBI. Jeśli wszystko się posypało to są w poważnych tarapatach*.

Dziwiło go, że właściwie nie próbują go przyciskać. Przesłuchania były pobieżne, długotrwałe i męczące, ale wyjątkowo łagodne. Jakby nie zależało im na poznaniu prawdy. Kuzniecow nie miał zamiaru nikogo wkopywać, choć zrobił to bezwiednie, wspominając o Antonowie. Nawet to nie zwróciło niczyjej uwagi. Coś tu nie grało, cholernie nie grało. Kiedy przy kolejnym przesłuchaniu zapytał jednego z maglujących go facetów (widział go już kolejny raz, ale nie był to ani prokurator, ani Marlon Brando, ci już się nie pojawili) o co tu chodzi i co ukrywają, zapadła krótka, lecz wymowna cisza. Kuzniecow zrozumiał, że się nie myli.

Spał krótko, prawie co noc budził się spocony i rozdygotany ze strzępkami snu pod powiekami. Koszmary, wszystko to były koszmary. Siedział w krzakach, a ktoś strzelał do Kennedy'ego. Tylko że prezydent nie zginął. Odpadło mu pół głowy, ale nadal żył. I uśmiechał się do ukrytego w krzakach majora. A później, później samochód skręcił i zaczął jechać w stronę pagórka. Kuzniecow nie potrafił się ruszyć. Obok Kennedy'ego siedziała nie Jacqueline w swoim nienagannym żakiecie, ale Irina w szpitalnej koszuli.

– Wszyscy służymy tylko Zimnej Nocy – powtarzali. – Czas nadszedł. Czy czujesz powolny rozkład świata?

Kiedy indziej płynął jakąś rozwalającą się drewnianą łodzią przez bezkresny ocean. Nad wodą unosiła się dziwna, fioletowa mgła. Spojrzał w taflę. Spod wody dochodziły go bulgoczące głosy umarłych.

– Twoja kolej, twoja szansa – powtarzali. – To tylko krótka chwila. Zabij się, zabij.

Ostatni sen miał w celi, do której przenieśli go, gdy skończyli wreszcie z przesłuchaniami. Kapłan klęczał przed wielkim, płaskim kamieniem na którym leżało martwe dziecko.

– Wspaniale się spisałeś – powiedział. – Nie mogło być lepiej. Wrócimy do początku. Tam, skąd nigdy nie powinniśmy wyruszać. Tam gdzie nasze miejsce.

– O czym ty mówisz?

Wskazał na dziecko.

– Nowe niedługo umrze. To się już zaczęło. Dzięki tobie znów nadejdzie czas Zimnej Nocy.

Obudził go jego własny krzyk. Serce nie chciało się uspokoić i przez moment major sądził, że sen się zmaterializował, urzeczywistnił. Ale mężczyzna na skraju jego łóżka był jak najbardziej prawdziwy.

– Przyszedłem panu powiedzieć, że został pan skazany.

– Skazany? Nie rozumiem?

– Jutro egzekucja. Zostanie pan powieszony.

– Nie rozumiecie! Komora, to wszystko prawda! – krzyknął i chwycił mężczyznę za przedramiona. Błysk paniki zagościł na moment w spojrzeniu nocnego gościa, lecz natychmiast zgasł. Kuzniecow puścił.

– Musicie… musicie mi powiedzieć o co w tym wszystkim chodzi… Kto mnie w to wpakował… i dlaczego.

Minęło kilka sekund zanim nieznajomy nie pokiwał głową z wyraźnym wahaniem.

– Powiem to panu, choć nie powinienem. Może dlatego, że jutro i tak już pana nie będzie.

Szeptał. Cały czas szeptał.

* * *

– Nigdy nie było żadnych Rosjan. Pan niewiele pamięta, prawda panie Kuzniecow? Sprzed okresu zanim wmówiliśmy panu tę misję z komorą?

– Wmówiliście?

– Dojdę do tego. Proszę mi powiedzieć, co pan pamięta. Nie to, co się panu wydaje, ale co faktycznie pozostało w pana głowie.

– Irina – rzekł natychmiast, bez zastanowienia. – To, jak umierała. I później… zaczęła się wojna.

– Owszem, a raczej coś, co tylko przypominało wojnę. Bo w rzeczy samej to było jedynie prężenie muskułów. Kilka pozorowanych akcji, nic ponad to. Podczas jednej z takich akcji na Kubie złapaliśmy wasz oddział. Poddaliście się wszyscy. Niektórych wymieniliśmy na innych, pan został w jednym z naszych ośrodków. Ktoś, kto się na tym zna orzekł, że będzie się pan doskonale nadawał. Nie pomylił się. Pan pewnie o tym wie. Pracował pan w końcu w sekcji agenturalnej. Są różne sposoby i techniki, żeby wmówić coś człowiekowi. Trzeba mu pozostawić jakiś silny filar,

podstawę która buduje jego osobowość, żywe wspomnienie, może nawet je podkoloryzować. Dla pana takim filarem była śmierć Iriny. Tym łatwiej przyjął pan do wiadomości nieprawdziwe informacje.

– Pranie mózgu?

– Coś w tym rodzaju. Ale nie takie znowu zwyczajne. Otóż Niemcy rzeczywiście pracowali nad projektem „Komora”. To wyszło chyba od Himmlera, tego oszołoma zafascynowanego okultyzmem. W latach trzydziestych poszukiwali czegoś w Tybecie i dotarli do jakichś starożytnych ksiąg, które wspominały o Demiurgu, wybitnych jednostkach i ich sobowtórach – choć są to już oczywiście współczesne określenia. Himmler natychmiast uwierzył w prawdziwość tych informacji i równie szybko znalazł doskonały przykład na potwierdzenie. F*ü*hrer, bo któż inny mógł być ową wybitną jednostką? Tak właśnie został powołany do życia projekt „Komora”. Cel Himmlera był prosty – za wszelką cenę ochronić mensoba Hitlera. Kolejne zbiegi okoliczności tylko utwierdzały go w przeświadczeniu, że ma rację. F*ü*hrer nie powinien przeżyć zamachu w Wilczym Szańcu. Prawie do samego końca wojny nad projektem „Komora” pracował sztab wybitnych naukowców. I faktycznie udało im się stworzyć coś niebywałego, choć nie to, czego się spodziewali. Przejęliśmy te plany w maju 1945 roku. Znam to od podszewki, sam wysłałem oddział w kierunku czechosłowackich Sudetów, gdzie znajdowała się jedna z tajnych baz. Wbrew traktatom i porozumieniom, po

kryjomu, bo tę część mieli akurat wyzwalać sowieci. Ale wielka gra wymaga wielkiego ryzyka, a wówczas wielu już wiedziało, że Rosja stanie się naszym wrogiem na następne dekady. Tak staliśmy się kontynuatorami projektu „Komora", który pozyskaliśmy łącznie z kilkunastoma naukowcami. Tu nikt nigdy nie wierzył w bajania Himmlera, lecz mieliśmy świadomość, że „Komora" to nie tylko gigantyczne oszustwo. Nie ma mentalnych podróży w czasie, panie Kuzniecow. Ani Demiurga. Ani konstruktorów-destruktorów i ich mensobów. Jest za to genialne wprost urządzenie do manipulowania cudzą świadomością. Pan uwierzył we wszystko. Wbudowaliśmy panu fałszywe wspomnienia i skłoniliśmy do tego, by zdecydował się pan zastrzelić prezydenta.

– Nie zrobiłem tego! – natychmiast zaprotestował major, ale mężczyzna tylko się uśmiechnął.

– Byliśmy przygotowani na taką ewentualność. Nie zawsze udaje się złamać czyjeś silne przekonania wynikające z pobudek moralnych. Lecz to i tak nie ma znaczenia. W składnicy książek znajdował się drugi strzelec. Albo raczej pierwszy. Tylko on miał strzelać… dopóki nie zgarnęliśmy pana na Kubie. To fascynat Związku Radzieckiego. Przebywał tam nawet przez kilka lat, jednak to nie to samo co prawdziwy Rosjanin.

– Ale po co? Po jaką cholerę chcieliście zabić własnego prezydenta?!

– Pretekst, panie Kuzniecow. Pretekst.

– Pretekst? Nie rozumiem?

– Kennedy chciał pokoju. Zamierzał dogadać się z Chruszczowem raz. Ale to nie jest droga, to ciągły strach. Ciągła obawa, że zaatakujecie. Możemy to skończyć. Będzie trochę ofiar, jak zwykle. Lecz później świat wróci do normy. Zawsze wraca, po każdej dużej wojnie wydaje się, że przelano zbyt dużo krwi. Jednak po jakimś czasie ludzie zapominają, bo zwykłe życie zmusza ich do tego. Czemu teraz miałoby być inaczej?

– Broń nuklearna, bomby… Tego też zamierzacie użyć?

– Jeśli będzie trzeba, a zapewne będzie. Ale to nie nasza wina. To Rosjanie zaczęli. Od zabicia naszego prezydenta. Pan jest naszym Principem. Cały świat już o tym wie. Postawiliśmy ultimatum, oczywiście Związek Radziecki nie mógł go przyjąć, bo żądamy między innymi całkowitego, jednostronnego rozbrojenia nuklearnego. Odrzucili je wczoraj, jutro wypowiadamy wojnę. A pojutrze…

Histeryczny śmiech Kuzniecowa obijał się o ściany jak spanikowany ptak.

– Nie wzięliście pod uwagę jednego czynnika.

– Jakiego?

Sądzi, że bredzę Kuzniecow. Albo podejrzewa, że chcę mu zrobić krzywdę.

– Że Himmler miał rację.

– Niech pan nie będzie śmieszny. Te bajki…

– Zwą go Zimna Noc. Swoje bóstwo. I wie pan, na czym naprawdę im zależy? Teraz to zrozumiałem. Na powrocie do początku. „Nowe”, tak mówią o cywilizacji. Trzeba je zniszczyć.

– Gada pan bzdury, ale trudno się dziwić, przecież…

Kuzniecow uczepił się rękawa nieznajomego, wpijając w materiał palce.

– Proszę mnie posłuchać! Możecie to jeszcze odwołać! Możecie się zatrzymać! Mniejsza o mnie, nie dbam o to, ale cała reszta… Zimna Noc nie może wrócić!

Mężczyzna się wyszarpnął, i wstał, gdy jak na zawołanie przybiegło dwóch strażników.

– Nie możecie! Nie wolno wam zniszczyć nowego! Nie wolno wam pozwolić, żeby Zimna Noc wróciła!

Bili go gumowymi pałkami. Czuł, że wcale nie chcą go skrzywdzić, ale nie dlatego, że mu uwierzyli.

Śmiał się, kiedy drzwi do celi ponownie się zamknęły.

* * *

Tej nocy znów przyśnił mu się kapłan. Wskazał mu łunę daleko na wschodzie. Pożar trawił świat.

– Czyż to nie piękne? Spójrz. Oglądaj. I czekaj.

Kolejne ognie rozkwitały jak na żądanie. Atomowe grzyby jeden po drugim. Złowrogie blaski zwiastujące rychły koniec. Świat stworzony przez ludzi umierał pięknie.

– Nowe spłonie, a ludzie znów wrócą tam, skąd nigdy nie powinni się ruszać.

Do jaskiń – pomyślał Kuzniecow. Wcale już go to nie przerażało. Na swój sposób wydawało się zabawne.

Dał się wyprowadzić potulnie, nie robiąc spektaklu, choć amerykański naród z pewnością na ten spektakl

czekał. Przyjechała telewizja, może nawet dwie czy trzy stacje. Pewnie będzie w głównym wydaniu wiadomości.

Podsłuchał jak któryś ze strażników mówi, że już się stało. Wojna. Nareszcie. Rozniesiemy sowietów w mgnieniu oka.

Nie słyszał wyroku. Nie przyglądał się twarzom osób z publiczności, choć i tak wiedział, co może na nich wyczytać – nienawiść, złość, lecz pewnie także ekscytację. Gdy zamknął oczy, zobaczył kapłana, choć tak bardzo chciał zobaczyć Irinę.

Świat za jego plecami sczezł już kompletnie, ale mroźny podmuch zapowiadał nowe otwarcie.

Zimna Noc zbliżała się coraz większymi krokami.

Wspomnij mnie – Tomasz Kilian

Wszyscy boimy się świata. Dzień za dniem czarne rzeki pamięci przelewają się nam pod powiekami. Dręczą nas sny i kąsają wspomnienia. Niektórzy nie dają sobie z tym rady, inni potrafią zapomnieć. Lub udają, że potrafią.

Spotkałem go w sześćdziesiątym ósmym, kilka miesięcy po marcowych wydarzeniach. Nasi wjechali do Czechosłowacji, Marek jako dziennikarz „Kuriera Polskiego" musiał pisać popierające interwencję teksty.

– Rzygam już tym kłamstwem – powiedział, gdy przypadkowo spotkaliśmy się na krakowskim Rynku. Kupował coś dla żony, a ja byłem w mieście przejazdem. Traf chciał, że dosłownie wpadłem na niego, gdy stał zapatrzony w ordynarne graffiti „Polska nie dla Żydów" wymalowane na jednym z budynków.

Nie widziałem go ponad dziesięć lat.

Uścisnął mi dłoń i zaprosił na kawę.

– Następny musi coś zmienić – stwierdziłem bez przekonania, kiedy rozmowa zeszła na tematy polityczne i to, czego byliśmy świadkami tak w Polsce, jak i u naszych południowych sąsiadów.

– O Gomułce mówiło się to samo – skwitował, gasząc mój nadmierny optymizm. – Ja już w nic nie wierzę.

Przez moment wahałem się. Nie dlatego, że głupio było mi pytać. Nie byłem pewien, co chcę wiedzieć.

W końcu westchnąłem głośno i zapytałem.

– Pamiętasz?

Pokiwał głową.

– On nie istniał – powiedział.

– A jednak pamiętasz – szepnąłem, uśmiechając się smutno.

* * *

W czterdziestym czwartym ciągle wierzyłem w generała Andersa na białym koniu i brytyjską interwencję.

Przyszło powstanie, nasi sojusznicy z Anglii zrzucali zaopatrzenie z samolotów, co – chociaż w większości trafiało ono w ręce nazistów – dodawało nam otuchy. Walczyliśmy mężnie, i jeszcze we wrześniu, a przynajmniej na początku, wydawało nam się, że nic straconego. Chodziły słuchy, że Anglicy szykują desant z Amerykanami, że Montgomery i Eisenhower przygotowali dwie dywizje spadochronowe, które wylądują w samym środku Warszawy i przechylą szalę zwycięstwa na naszą stronę. W końcu Niemcy zdychali, Hitler tracił zmysły, tylko czekać aż kolejna bomba wreszcie go wyeliminuje. Ja im to mówiłem, ja, dwudziestojednoletni gówniarz, w Armii Krajowej od trzeciego roku wojny. Pisałem wiersze, nie tak dobre jak Baczyński czy Gajcy. Niestety, nie padłem na barykadzie ojczyźnianej chwały. Powstanie się skończyło, lecz my nie.

Dorwali nas gdzieś na Mokotowie. Trwaliśmy w boju, parodii wyrównanej walki. Tylko nasz dowódca, szalony i przerażony zarazem, miał prawdziwy pistolet. Lecz gdy Niemcy przypuścili atak, nie mógł już nam pomóc. Kilkadziesiąt metrów dalej leżało jego ciało, odziane w mundur zbrudzony kurzem, krwią i kawałkami mózgu. Dzielny powstaniec do końca na posterunku. Poddaliśmy się. Butelki z benzyną to za mało na oddział Waffen SS.

Sądziłem, że rozstrzelają nas na miejscu, ale nie brali tego pod uwagę. Powstanie dogorywało, nie musieli się już spieszyć. Zabili tylko Janka – został ranny w nogę i nie chciało im się go wlec ani poganiać, choć zapewnialiśmy, że go zataszczymy, że nie spowolni marszu, że jesteśmy jeńcami, że mamy jakieś prawa. Oficer dowodzący, wysoki szkop o jasnej czuprynie i niebieskich oczach, podręcznikowy Aryjczyk, roześmiał się na to ostatnie, po czym strzelił Jankowi w czoło.

– Cieszcie się, że nie żałowałem naboju i nie kazałem go zaszlachtować – powiedział po niemiecku. Wszyscy zrozumieliśmy. Popędzili nas przed siebie, wiatr pędził tumany kurzu, śmierdziało trupami i uryną. Warszawa, nasza Warszawa stała się kloszardem Europy.

Oddali nas gestapo. Niebieskie mundury uwijały się pracowicie, wydawało się, że im bliżej końca wojny, tym szybciej ich zastępy rosną w siłę, zupełnie jakby rozmnażali się przez podział. Z charakteru, zachowania, nawet wyglądu bezgranicznie oddani Führerowi i równie bezgranicznie okrutni. Ja, Marcinek, Karol, Zosia i Misiek,

oddział Oleskiego, a właściwie jego smutna resztka. Wiedziałem, zanim się to jeszcze zaczęło, że nie wytrzymam. Nie ma ludzi ze stali, są tylko niekompetentni śledczy. Ludzki organizm potrafi znieść ograniczoną ilość bólu, a później zaczyna przemawiać instynkt. Instynkt każe ci mówić, najlepiej prawdę, byle to się skończyło.

Zaczęli od Marcinka.

Nie pamiętam już szczegółów, lecz wówczas pamiętałem. Jeszcze długo później śniły mi się jego krzyki, wchodzące w coraz wyższe tony, pełne krwi i wyrywanych paznokci. Następny był Misiek. Wytrzymał dłużej. Chłop na schwał. Sam przechwalał się, że potrafi obalić czterech rosłych mężczyzn jednocześnie. Może dlatego przywiązali go do krzesła metalową linką.

Trwało to do poranka. Krzyki i utyskiwania. Ciąg niemieckich przekleństw, a później strzał. Czy dlatego, że nie gadał, czy nie wiedział nic pożytecznego? Myślę, że to drugie. Właściwie to jestem tego pewien.

Dwóch gestapowców zgwałciło Zosię zanim przesłuchanie się zaczęło. Mimo to okazała się najtwardsza. Zawsze wierzyłem, że kobiety są od nas silniejsze, a Zosia tylko to potwierdziła.

Jakimś cudem wyrwała broń jednemu z przesłuchujących i zastrzeliła dwóch innych, nim kule z gestapowskich mauzerów poszatkowały jej ciało. Myślę, że po tym, co z nią zrobili zwyczajnie nie chciała żyć, a to było właśnie chwalebne samobójstwo.

– *Jeśli tylko się da, to należy umrzeć, zabierając ze sobą tylu wrogów, ile możliwe* – powtarzał nam jeden z dowódców parę miesięcy przed powstaniem. Zosia bardzo dobrze pojęła tę lekcję.

Kochałem ją. Kochałem i nie zdołałem ochronić.

Przyszli po Karola. Szamotał się. Wiedziałem, że długo nie pociągnie, lecz nie umiałem go żałować. Wciąż myślałem o Zosi. Czekałem, by wkrótce do niej dołączyć. Tam, na górze lub na dole, jeśli żadne „po śmierci” nie istniało.

Jednak scenariusze bardzo szybko się zmieniają – a przynajmniej wtedy się zmieniały. Gestapo zwinęło się pod koniec grudnia, niecały miesiąc przez wyzwoleniem lewobrzeżnej Warszawy przez Sowietów. Pozostawili mnie zamkniętego w celi z kawałkiem czerstwego chleba i odrobiną wody. Gdyby nie to, że przed wojną uczyłem się ślusarki, zdechłbym z głodu, pragnienia albo zimna. Ale miałem drucik, niewielki kawałek metalu, którego mi nie zabrali i trzęsącymi się rękoma, przerażony do granic możliwości zacząłem mocować się z zamkiem.

Tym razem los stał po mojej stronie.

Na schodach natknąłem się na ciało Karola. Cuchnęło, trup zaczynał się już rozkładać. Wydłubali mu oko. Pozostałym oskarżycielsko spoglądał na świat. Przymknąłem mu powiekę i zmówiłem krótką modlitwę.

Skąd wiem, co się z nimi działo, tam na górze w pokoju przesłuchań, skoro siedziałem zamknięty w celi dwa piętra

niżej? Cóż… Taką cenę zapłaciłem za życie kilka lat później. W innym więzieniu, w innych okolicznościach.

Była zbyt wygórowana.

* * *

Wyszliśmy z mroku wojny prosto w pułapkę nowego porządku.

Ludzie wierzyli. Byłem młody, więc także wierzyłem. Już nie w generała Andersa i nie w Brytyjczyków, ale w to, że rozsądek zwycięży. Komuniści też nie wydawali się tacy źli. Słuchałem ich. Mówili o nowej, wspólnej Polsce. Uśmiechali się. Skończył się czas wilka, a zaczęła odbudowa. Klepaliśmy się po ramionach, ochoczo nosiliśmy cegły. Warszawa podnosiła się z kolan. Powoli, lecz systematycznie znikały gruzowiska, pojawiały się domy. Niedaleko naszej budowy ktoś ułożył kwiatowy klomb. Wyglądał mizernie, parę wynędzniałych bratków, kilka mało okazałych róż, lecz cieszył nasze oczy, jakby był co najmniej arcydziełem renesansowych mistrzów. Tamtego lata poznałem Marię. Tak szalone potrafią być tylko wiejskie dziewczyny. Nieskrępowana i swobodna. Zaspokajała pożądliwość tak, jak zaspokajała głód. Robiliśmy to codziennie, gdy tylko wracaliśmy do naszego baraku. Jęczała głośno, kiedy w nią wchodziłem. Mocnymi, spracowanymi dłońmi przyciągała mnie do siebie, pozwalając, bym wlał w nią nasienie. Nie kochałem jej, nie potrafiłem, choć próbowałem, a później, po miesiącu, może dwóch, zacząłem sobie wyobrażać, że to Zosia. Zosia

z którą nie zdążyłem zrobić tego, co robiłem z Marią. Zosia piękna, poetycka, romantyczna i bohaterska. Martwa tak samo jak Warszawa tuż po powstaniu i – w przeciwieństwie do stolicy – już nieożywialna.

Maria zaszła w ciążę. Dałem jej na skrobankę. Nie sprzeciwiała się, zawsze słuchała co mówię, zawsze potakiwała, także wtedy kiedy plotłem trzy po trzy. Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jak bardzo drażni mnie ta uległość. W końcu, gdy uznałem, że nie ma dłużej sensu oszukiwać siebie i jej, decyzja przerodziła się w czyn.

Tydzień później już mnie nie było. Uciekłem bez słowa wyjaśnienia, jak rasowy tchórz. Nie umiałem spojrzeć jej w twarz i powiedzieć, że przez ostatnie pół roku okłamywałem – nie tylko ją, lecz i samego siebie. Może przede wszystkim siebie. Zresztą lepiej, że tak się stało, bo przynajmniej, mam taką nadzieję, ułożyła sobie życie z dala od trosk i problemów. Co bym nie sądził o Marii, czego bym do niej nie czuł, życzyłem jej dobrze. Zasługiwała na to nawet bardziej niż ja.

Aresztowali mnie na początku czterdziestego szóstego. Armia Krajowa, wywrotowiec, knowania przeciwko obaleniu władzy ludowej. Stara śpiewka. To, że kładłem cegły w imię wspólnego dobrobytu niewiele tu znaczyło. Systematycznie wyłapywali chłopaków z AK – od góry do dołu, kogo tylko dali radę namierzyć. Jak i tych, którzy byli na tyle głupi, żeby uwierzyć, że wojna się skończyła i są już bezpieczni.

Cóż mogłem im dać? Nic. Czy chcieli opowieści o walce Dawida z Goliatem, naszych cyrkowych zmaganiach z oddziałami SS, czy może interesowało ich, jak to jest atakować świetnie uzbrojony szkopski oddział bez choćby głupiego pistoletu?

Pierwsze przesłuchanie zniosłem dzielnie, ale i o nic takiego mnie nie pytali. Imię nazwisko, imiona rodziców, data i miejsce urodzenia, bla bla bla. Odpowiadałem jak na spowiedzi. Ten co mnie przesłuchiwał, facecik z cienkim wąsikiem, nawet się uśmiechnął i poklepał mnie protekcjonalnie po ramieniu. Przez moment sądziłem, że mnie wypuszczą. Ale tylko przez moment. Bo chwilę później odprowadzili mnie do celi, dwa piętra niżej. W ciemnej piwnicy moje marzenia wsiąkły w wilgotne ściany.

Nie byłem tam sam. Było nas pięcioro, znów pięcioro. Pięć cel, pięć historii, niczym wierzchołki pentagramu w jakiejś zabawie zwariowanego okultysty. Śmiałem się, myśląc o tym. Śmiałem się i płakałem.

Pierwsze co poczułem, a właściwie czego doświadczyłem, to właśnie wilgoć. Krople wody spływały po ścianach, powietrze przypominało rzekę, oddychało się z trudem. Strażnik zamknął za mną drzwi, ciężka kłódka wchłonęła klucz, zazgrzytał zamek. Nie było światła. Szukałem pryczy, lecz i tej nie znalazłem, jedynie podłoga mogła przyjąć moje zmęczone ciało. Od kamieni bił przeraźliwy chłód, który w połączeniu z wilgocią sprawiał, że całe ciało krzyczało z bólu. Usnąłem, jakby wbrew sobie. Śniłem koszmar, pierwszy z wielu. Stałem pośrodku wielkiej

balowej sali, całkiem nagi, a wszędzie dookoła paliły się reflektory. Silne, wręcz oślepiające snopy światła, które dorównywały mocą lampom artylerii przeciwlotniczej. Wiedziałem, że znów aresztowało mnie gestapo, że ta sala balowa to po prostu kolejna cela, kolejne więzienie. Przyszli po mnie, dwóch, tak samo nagich jak ja, mieli tylko czapki na głowach i drewniane pałki.

– Pójdziesz z nami? – zapytał pierwszy.

– Oczywiście – odpowiedziałem wbrew sobie. Nie musieli mnie nigdzie ciągnąć. Szedłem, bezwolnie lecz szedłem. Nawet we śnie nie umiałem się przeciwstawić temu, co mnie czeka. Za drzwiami znajdowała się druga, podobna sala. Stamtąd nie było już wyjścia, a i drzwi, przez które tu wszedłem, zniknęły. Została tylko ta sala… i metalowy stół. Na samym środku. A na stole, przywiązana rzemieniami do wystających z podłogi prętów ona.

Zosia.

– Teraz ty? – spytała i zaczęła się śmiać. – Wiem, że od dawna tego chciałeś. No chodź, chodź wreszcie. Już mnie przeflancowali i nie jestem dziewicą. Nie musisz martwić się o moją cnotę.

Szedłem do niej, znów wbrew sobie, za to w zgodzie z fallusem, z prymitywnym instynktem, który zostawił we mnie tylko zwierzę. Stanął mi – tak we śnie, jak i w zimnej celi. Wszedłem w nią gładko. Poruszałem się miarowo, postękując, a Zosia się śmiała, cały czas się śmiała. Gestapowcy stanęli po obydwu stronach stołu i zaczęli okładać nas pałkami. Każdy kolejny raz był gorszy od

poprzedniego – tyłek, plecy, głowa, jednak nie chciałem z niej wyjść. Nie mogłem.

– Oddzielimy mięso od kości, tak nam przykazał Bóg.

Obudziłem się.

Nie wiedziałem, czy jest noc, czy dzień, a przede wszystkim – i to było najgorsze – nie wiedziałem, jak długo zamierzają mnie tu trzymać. Ciało mi przemarzło; czułem, jak małe, lodowe igiełki sięgają w głąb kości. Mogło to trwać jeden dzień, mogło dwa, mogło i miesiąc, choć wydawało mi się, że tak długo nie wytrzymam. Gdy zamykałem powieki, wciąż widziałem ten okropny sen. Zosia rozłożona na stole niczym w prosektorium. Gdy otwierałem oczy, witała mnie ciemność. Inne zmysły mówiły mi o wilgoci, stęchliźnie, a nawet o chorobie, która się na mnie czai. Sądziłem, że tam umrę i już pierwszego dnia nie było we mnie woli walki.

Z celi obok dobiegły mnie jęki. Wtedy jeszcze nie sądziłem, że są jakieś cele obok, wydawało mi się, że jestem tu sam – to naiwność sądzić że ubecy poświęciliby takie lochy na takiego nicponia jak ja. Ten co jęczał niewątpliwie był mężczyzną i niewątpliwie cierpiał, lecz bałem się odezwać, zapytać; a zresztą… o co mogłem go zapytać? Jak ci pomóc? W końcu jęki ustały, a po paru minutach odezwał się głos.

– Nowy? – spytał tak po prostu.

– Nowy – odparłem, zdziwiony, że w ogóle z kimś tu rozmawiam.

– Ja siedzę już dwa miesiące. Zdechnę tu.

– Czemu tak…

– Bo tak będzie – przerwał mi. – Nie życzę ci tego, ale masz szansę na podobne zakończenie. Po miesiącu będziesz miał już dość życia. Te lochy je z ciebie wyssają. Nie mam pojęcia, jak je znaleźli, ale gorzej być nie może.

No cóż, wolałem mu nie przytakiwać.

– Gorsze są tylko przesłuchania – pocieszył mnie. – Po drugim, trzecim zaczniesz tęsknić do swojej zimnej celi. Zobaczysz.

Nie chciałem w to wierzyć.

Ale wierzyłem.

Odezwał się jeszcze tego samego dnia, pod wieczór.

– Byłeś w leśnych?

– Nie.

– Podziemie? Brałeś udział w powstaniu?

– Tak.

Zaśmiał się nieprzyjemne. To był śmiech kogoś, kto wie, że koniec świata i tak nadejdzie, niezależnie od tego ile modlitw do Boga wzniosą religijni frustraci.

– Wszystkich w końcu wyłapią. Wszystkich. Zapełnią więzienia aż po sufit. To ich czas, rozumiesz?

Nie chciałem z nim rozmawiać, jednak nie zamierzał zamilknąć. Słuchałem więc wbrew sobie. Głos niósł się, wzmocniony przez mury.

– To stary loch. Ma przynajmniej dwieście lat. Trzymano tu powstańców styczniowych.

– Skąd to wiesz?

– Podejrzewam. Wiele rzeczy podejrzewam. W tych murach różne rzeczy dojrzewały przez lata… wiele lat. Jeszcze się przekonasz.

Wolałem nie pytać co ma na myśli, a on nie miał ochoty nic tłumaczyć. Zresztą miałem go już nie usłyszeć. Przyszli po niego rano. Śmiał się, gdy wychodził z celi. Śmiał się głośno. Mury zapamiętały ten śmiech.

– Żegnam – powiedział tylko i dał się bez oporu poprowadzić.

Wieczorem strażnik przyniósł mi jedzenie.

– Czemu nas tu trzymacie? – spytałem naiwnie, licząc na jakąkolwiek odpowiedź. – To nie są cele, ale lochy. Jest zimno.. i wilgotno…

Spojrzał na mnie i zamknął drzwi.

Żarcie było podłe, lecz nie aż tak podłe, bym go nie tknął. Parę ziemniaków i lichy kawałek twardego mięsa. Zjadłem szybko. Goniąc za potrzebą, odkryłem wiadro. Nie sprawiło mi problemu wypróżnienie się. Nie sprawiał mi nawet problemu leniwy smród gówna, który zresztą szybko utonął w piwnicznej stęchliźnie.

Natomiast na samą myśl o spaniu na zimnej podłodze odczuwałem ból w kościach. Próbowałem przykleić się do kraty, przetrwać tak noc. Nie dałem rady. Musiałem się położyć. Płakałem, później zasnąłem. Zimno nie wydawało się już tak przenikliwe. Tej nocy znów śniłem o Zosi. Tym razem gwałciliśmy ją we trójkę. Śmiała się. Cały czas się śmiała.

Miałem wytrysk.

Przyszli po mnie nad ranem i sądziłem, że nie wrócę już do celi. Z jakichś powodów czułem się winny. Ale czego? Tych chorych snów? A może tego, że jej nie obroniłem? Zanim dotarłem na górę myślałem jeszcze o Marii. Zatęskniłem za prostym życiem, jakie pewnie mógłbym z nią prowadzić. Nie walczyć. Nie jątrzyć. Nie ściągać na siebie problemów.

Szkoda, że nie myślałem tak kilka miesięcy wcześniej.

W sali przesłuchań spotkałem tego samego człowieczka z wąsem, towarzysza z UB. Znów się do mnie uśmiechał. Kazał mi usiąść. Powiedział, że mogę wyjść nawet jutro, jeśli tylko powiem im to, co chcą wiedzieć. Zgodziłem się. Może byłem słaby, a może sądziłem, że o nic wielkiego nie będą pytać.

Pomyłki są wpisane w nasze życie niczym słowa w świętą księgę.

– Nie chodzi nam o ciebie, chłopcze. Wiemy dobrze, że tylko wykonywałeś rozkazy. Władza ludowa nie zamierza karać kogoś tylko dlatego, że popełnił błąd. Wszyscy je popełniamy. Ale twoi mocodawcy… dowódcy… to prowokatorzy. Wszystko co robią, robią z zamysłem. Oni nie chcą, by wojna się skończyła. A ludzie są już wojną zmęczeni. Chcą budować, nie burzyć! Podaj nam ich nazwiska i jeszcze dzisiaj stąd wyjdziesz.

– Nazwiska? – zdziwiłem się. – Mój oddział został rozbity w trakcie powstania. Dowódca zginął. To on kontaktował się z górą. Nie znam nikogo więcej.

Człowieczek z wąsem obszedł moje krzesło. Przez dłuższy moment stał za moimi plecami. Milczał.

Próbowałem się nie bać. Nie udało się.

– To niedobrze, bardzo niedobrze – odezwał się wreszcie. – Niepotrzebnie ich kryjesz. Oni nic dla ciebie już nie zrobią. Ale to twój wybór. Mamy sposoby, by dowiedzieć się tego, czego chcemy.

– Mówię prawdę – szepnąłem mdłym, przerażonym głosem. – Naprawdę nie…

Cios zwalił mnie z krzesła. Miałem wrażenie, że uderzyli mnie grubym, metalowym prętem, lecz gdy się odwróciłem, zobaczyłem, że żołnierz, który mnie bił, walił pięścią owiniętą skórzanym paskiem. Dzwoniło mi w uszach, świat ściemniał na moment, a gdy powróciły kolory, pojawiła się czerwień. Kopnął mnie w żebra. Stęknąłem. Poprawił. Leżałem na ziemi, kuląc się z bólu. Wąsacz chwycił mnie za włosy i podciągnął moją głowę do góry, a później przyjrzał mi się z bliska.

Z bardzo bliska.

– To dopiero początek, chłopcze. Uwierz mi, że nie warto.

Sam nie wiem skąd wziąłem w sobie tyle odwagi, lub głupoty, by mu odpowiedzieć.

– Jesteście… rzeźnikami…

– Witek. – Wskazał na młodego żołnierza, który czekał tylko na to, by znów mnie uderzyć. – On? Może i tak. Robił różne rzeczy. Sam wiesz, jak było… Ale mnie to nie cieszy. Powiem ci szczerze, że tego nie lubię. Te krzyki, łkania… Niejeden się zesra w trakcie przesłuchania. Szczególnie jak

puszcza się przez nich prąd. Zwieracze nie wytrzymują. Czy sądzisz, chłopcze, że lubię zapach świeżego gówna?

– Nie… – Próbowałem wytrzymać jego spojrzenie, patrzyć mu w oczy, lecz było w nich coś tak bezdennego, że bałem się, że mnie pochłonie.

Spadałem w przepaść, topiłem się w nicości.

– Zastanów się dobrze – usłyszałem na odchodne. Już na mnie nie spojrzał. Witek, miły żołnierz, który mnie bił odprowadził mnie do celi.

Miałem krew na rękach. Krew na twarzy. Próbowałem zdjąć mokre od moczu spodnie, ale ręce, te parszywe dwa kikuty – tak sprawne, gdy trzymały karabin, układały cegły czy miętosiły cycki – odmówiły mi posłuszeństwa.

Położyłem się na podłodze i płakałem.

– Czy coś ci zrobili? – głos dobiegał z oddali, jednak był mocny i wyraźny. I tym razem należał do kobiety.

– Po… pobili mnie.

– Pierwsze przesłuchanie?

– Pierwsze.

– Więc jeszcze nic nie przeżyłeś – uprzedziła.

– Kim jesteś?

Nie wiem, czy naprawdę chciałem to wiedzieć. Chyba obawiałem się tej wiedzy.

– Jedną z pięciorga… nie, teraz jest nas czworo. Paweł nie wrócił.

– Paweł siedział w celi obok?

– Wiesz przecież. Zabrali go rano.

– A ty? Kim jesteś?

Zaśmiała się smutno.

– Czy to ważne?

– Nie – wreszcie byłem szczery. – Po co takie miejsce? Czemu nie mogli nas zamknąć w normalnym więzieniu?

– Marzą ci się czyste i suche cele? Ale ta jest dobra. Odpowiada ich intencjom.

– Nawet gestapo nie stosowało… – zacząłem, lecz umilkłem. Już zapomniałem, co robili. Zbyt szybko odczucia tamtych chwil się ulotniły.

– W rzeczywistości… w rzeczywistości nie mam pojęcia, czemu tu tak jest. Tylko oni to wiedzą, a nie zamierzają ujawniać reguł gry.

– Gry? – zdziwiło mnie to określenie. Musiała zwariować, jeśli tak to postrzegała.

– Wielkiej, narodowej gry. Jesteś po jednej albo po drugiej stronie. I nie da się stanąć pośrodku.

Pomyślałem, że za długo tu przebywała, że postradała zmysły i mnie również to czeka. Nawet nie zdążyłem uczepić się tej myśli, gdy zaczęła wyjaśniać.

– Byłam w Armii Krajowej. Teraz więźniowie polityczni bardziej ich obchodzą niż pospolici kryminaliści. Nie ma tylu więzień, by trzymać wszystkich, dlatego łatwiej być szabrownikiem albo zwykłym bandziorem. Wypuściliby cię wtedy, żeby zrobić miejsce dla jakiegoś podziemnego.

– Kiedyś ukradłem bułkę. – Sam czułem słabość tego żartu. O dziwo jednak zaśmiała się. Widać w tych lochach nawet poczucie humoru podupadało na zdrowiu.

– Znasz pozostałych czterech?

– Nie. Nie chcą mówić. Znałam tylko Pawła, bo złapali nas razem. Tu każdy jest tylko numerem celi. Mój numer to osiem. Twój dziesięć. Jesteś więc dziesiątką, a ja ósemką. Uważaj na cienie, dziesiątko.

– Co masz na…

– Dobranoc – pożegnała mnie ósemka. – Śpij dobrze i śnij swoje koszmary.

Nie spałem. Nie tym razem. Gdzieś w głębi duszy przeczuwałem, że po mnie przyjdą, właśnie we śnie, właśnie wtedy, gdy stracę czujność. Było to zapewne tylko urojenie, a z drugiej strony pewna ewentualność, podkarmiana strachem. Bo skoro mogli wszystko, to dlaczego i nie to?

Rano, w nocy… co za różnica kiedy biją?

– *Więc jeszcze nic nie przeżyłeś.*

Wąsacza z pewnością było stać na o wiele więcej niż prymitywne tłuczenie pięścią, kopanie leżącego, wyzwiska i groźby. Przypomniałem sobie jego oczy, emocjonalną pustkę, która z nich wyzierała…

– *Nie da się być bezstronnym, nie da się stać pośrodku…*

Co takiego mogłem im dać? Nazwiska? Jakie? Nie znałem żadnych. Nigdy nie doszedłem dość daleko, by je poznać.

Niczego to w mojej sytuacji nie zmieniało, sprawiało tylko, że czułem się bezsilny i wściekły, choć ta wściekłość wypalała ze mnie resztki sił.

Chodziłem dookoła zimnej celi, później usiadłem wyczerpany. Przypomniałem sobie, że nie tknąłem jedzenia ani wody, którą dostałem po południu. Poczułem nagły, irracjonalny głód. Pożarłem wszystko, oblizałem talerz, a później załatwiłem się do wiadra. Skuliłem się na podłodze, licząc na to, że być może jednak zasnę. Jednak nawet pomimo wyczerpania sen nie nadchodził.

Prosta recepta… Zamknąć oczy i czekać.

– *Śpij dobrze i śnij swoje koszmary.*

Nawet jeśli przysnąłem, to obudziło mnie szuranie. Ktoś przemierzał korytarz. Od razu pomyślałem o kolejnym przesłuchaniu i skuliłem się w kącie, zupełnie jakby mogło mi to pomóc. Drżałem, ale nie z zimna. Szuranie było subtelniejsze niż ciężkie kroki w wojskowych butach. Delikatne, mdłe światło rozświetliło na moment korytarz i wydało mi się, że widzę przed sobą twarz. Światło zgasło zbyt szybko, bym nabrał pewności, że to nie kolejna ułuda. Chwilę później, gdzieś dalej, przy schodach rozległy się szepty. Próbowałem je zrozumieć… Dopiero gdy umilkły pojąłem, że nie ma dla nich żadnego wyjaśnienia. Nie mogli to być strażnicy ani więźniowie. Czy ktoś odtwarzał jakieś nagranie z gramofonu? Nie, szepty brzmiały jak muśnięcia wiatru, delikatne ponaglenia, szemrane zaklęcia.

– *Uważaj na cienie.*

Podszedłem pod kraty, bo chciałem… Sam nie rozumiałem, czego chciałem. Nie, rozumiałem. Musiałem. Musiałem wiedzieć.

Zbliżyło się. Ten sam dźwięk co wcześniej, leniwe szuranie po podłodze. Potem szepty. Poczułem zapach tak znany i obcy jednocześnie, lecz nie umiałem go osadzić w swojej pamięci, przywołać nazwy. Kojarzył mi się z chlewem, z czasami, gdy jako dzieciak karmiłem świnie na wakacjach u dziadków. A może... a może był to też zapach starych ludzi?

Bezwiednie dotknąłem krat i nie natrafiłem na pustkę.

Coś… albo ktoś musnął moje palce.

Odskoczyłem przerażony i upadłem na podłogę. Wszystko nagle umilkło. Chciałem być racjonalny, bo nie uśmiechało mi się oszaleć w ubeckich lochach. Musiałem się przesłyszeć, nie znajdowałem innych wytłumaczeń, choć byłem prawie pewien, że ósemka nie żartowała. Czekałem więc ranka. By się dowiedzieć. By przetrwać.

Rano na schodach zastukały obcasy wojskowych butów.

Otworzyli drzwi jednej z cel. Mężczyzna płakał i krzyczał na przemian. Nie mogłem tego słuchać. Nie chciałem, a jednak ludzka głupota do spółki z nieokiełznaną ciekawością zmuszają nas do rzeczy nieracjonalnych. Słuchałem. Dostał pałką, zgiął się i zaczął wymiotować. Słyszałem, jak go poganiają, jak szarpią za ubranie, jak grożą. Dostał kopniaka. Gdy się przewrócił, został mu tylko śmiech. Nie znałem go, lecz byłem pewien, że właśnie odszedł do krainy nawiedzonych.

– Zrobią z nim dzisiaj porządek – odezwała się ósemka. Wolałbym jej nie słyszeć, jednak nie sądziłem, by

posłuchała, gdybym kazał jej się zamknąć. – Na każdego przyjdzie kolej…

– W nic już nie wierzysz? – odburknąłem. Zaśmiała się w odpowiedzi.

– W śmierć, oczywiście. I w to, że w końcu się złamię. Byłam już na trzech przesłuchaniach. Mało kto wytrzymuje aż tyle.

– Więc wiesz? – poczułem się zaskoczony. Nie wiem dlaczego pielęgnowałem w sobie przekonanie, że siedzę pośród ludzi niewinnych, bezpodstawnie oskarżonych Chrystusów. – Posiadasz informacje, które mogłabyś im dać?

– A ty nie? – tym razem zaśmiała się głośniej, nie kryjąc ironii. – Więc zamknęli cię tutaj, chociaż nic nie wiesz? Biedny, biedny… Gdybyś miał co powiedzieć, śpiewałbyś na pierwszym przesłuchaniu?

– Nie… chyba nie… – Poczułem się urażony. A przecież słusznie podejrzewała. Gdybym cokolwiek wiedział, to gadałbym aż miło. – Ale sądzę, że jest pewien stopień zdrowego rozsądku…

– Wydanie kogoś po kolejnym przesłuchaniu to ten zdrowy rozsądek?

Rozsadzała mnie złość.

– Ci… ci ludzie, niektórzy z tych, których kryjesz… Widziałem wiele podczas powstania. Paru chłopców dostało tylko butelki… Butelki, rozumiesz?! Nawet nie dotarli na miejsce, bo rozerwał ich niemiecki granat! Ale ja mam kryć dowódców, bo… bo tak wypada?!

– Znalazłeś zgrabne wytłumaczenie dla własnej słabości – odrzekła spokojnie. Pragnąłem, by zrozumiała… Ale co tak naprawdę myślałem? Może miała rację?

– To co wczoraj mówiłaś – odezwałem się po dłuższej chwili, gdyż musiałem zastanowić się, czy nie czuję się obrażony. – Uważaj na cienie… co miałaś na myśli?

– Ile lat ma według ciebie to więzienie?

– On już o tym wspominał. Mówił… mówił, że jest z XIX wieku.

– Dodaj jeszcze trochę. Lochy istniały tu już przynajmniej w XVI wieku… a może nawet zanim przeniesiono stolicę do Warszawy. Wielu ludzi się przez nie przewinęło, wielu umarło w żalu i złości, bezsilnych i opuszczonych. Ta ziemia potrafi słuchać wyjątkowo dobrze. Nawet lepiej niż nasi spowiednicy, tam na górze…

– Czy chcesz mnie przed czymś ostrzec?

– Tylko przed tym, byś nie oddawał duszy za bezcen.

– Czy ktoś…

– Nie mów nic więcej. Nie teraz.

Milczałem. Siadłem pod wewnętrznym murem, tam, gdzie było najcieplej i skuliłem się, obejmując kolana dłońmi, zwierając całe ciało i chowając głowę, aby choć przez moment ogrzać oddech. Nieprzyjemne rzężenie pojawiło się już wcześniej. Przebywałem tutaj cztery dni i już byłem chory. A jeszcze niedawno wydawało mi się, że jestem twardy.

Przyprowadzili go po godzinie, może dwóch. Wrzucili do celi – najwidoczniej nie mógł ustać na nogach. Jęki bólu

niosły się długo – ktoś tak skonstruował te lochy, że odbijały i potęgowały zwłaszcza wysokie, nieprzyjemne dźwięki. Majstersztyk. Zatykałem uszy dłońmi, jednak to nie pomagało. Dźwięk wgryzał się w tkankę – stal, drewno, ludzkie ciało. Nic nie stawało mu na przeszkodzie. Jęki. I krzyki. Tej nocy nie spałem.

Gdy nad ranem przyszli pod ósemkę, wyszła godnie, nie opierając się. Kiedy przechodziła obok mojej celi, odwróciła głowę i nasze spojrzenia się spotkały. W półmroku odniosłem wrażenie, że już ją kiedyś widziałem.

– Pamiętaj, co ci powiedziałam. Żegnaj, dziesiątko.

Chciałem coś jej powiedzieć, pocieszyć, a nawet poprosić, by powiedziała im to, co chcieli usłyszeć. Ale bolesna świadomość, że to nic nie zmieni, nie pozwoliła mi otworzyć ust. A dodatkowo gniotła mnie ta głupia obawa, że uzna mnie za tchórza.

Całkiem słusznie. Byłem tchórzem.

Nie wróciła.

Następnego dnia w sąsiedniej celi pojawił się Marek.

Nie rozumiał, dlaczego tu trafił, a ja nie potrafiłem w żaden sposób mu tego wyjaśnić. Jak, skoro sam siedziałem tu dopiero piąty dzień? Z początku milczał. Zagadnąłem go pod wieczór. Nie był zbyt rozmowny.

– Jestem… a właściwie byłem dziennikarzem. W czasie wojny pisywałem w prasie podziemnej. Nie sądziłem, że teraz…

– Ja też nie sądziłem. Nikt nie sądził.

Pytał o to samo, o co i ja pytałem. Być może każdego dręczyła ta niepewność. Po co to, na co, dlaczego tutaj, co ta za miejsce… Lawina pytań, zero odpowiedzi. Nie bawiłem się w ósemkę, zostawiając go z niedopowiedzeniami, za którymi tylko z pozoru kryły się głębokie myśli, a w rzeczywistości była tam tylko pustka. Wzruszałem ramionami, mówiąc:

– Nie wiem. Nie rozumiem.

Co dzień przychodzili strażnicy, by zabrać pełne wiadro i dać mi puste. Dostawałem też dwa posiłki i wodę. Do jedzenia była głównie kasza, z rzadka kartofle, czasem chleb. I woda. Paskudna, śmierdząca, zapewne pełna bakterii. Raz, drugi, zwymiotowałem od niej. Później przywykłem.

Po kilku dniach zapytałem o prysznic. Nie odpowiedzieli mi, lecz następnego dnia zabrali ze sobą i pokazali wystającą ze ściany rurę z zimną wodą i przeraźliwie chłodne kafelki. Tylko to mogli mi zaoferować. Pomimo dręczącej mnie choroby zdecydowałem się wymyć. Ten prysznic był traumatycznym doświadczeniem, lecz starałem się o tym nie myśleć. Myślałem o ciepłych ramionach kobiety.

W tym momencie nie była to Zosia.

Obejrzał mnie lekarz i stwierdził, że grozi mi zapalenie płuc. Sam nie wiem, czym sobie na to zasłużyłem, jednak dostałem nowe, cieplejsze ubranie, materac i kawałek koca. Czułem się jak wybraniec bogów, a jednocześnie dręczył

mnie wstyd, ponieważ inni tego nie otrzymali. Jakbym słyszał w głowie słowa ósemki.

– *Zawsze znajdziesz zgrabne wytłumaczenie dla własnej słabości.*

To było strasznie głupie, lecz obudziła się we mnie nadzieja. Skoro potraktowali mnie lepiej, być może zechcą niedługo wypuścić? Przecież wierzyłem, że komuniści nie są wcale tacy źli, może zaszło nieporozumienie, może zrozumieją, że ja, właśnie ja, powinienem natychmiast wrócić do domu?

Następnego dnia zaprowadzono mnie na górę.

Wąsacz już czekał. Skinął na żołnierzy, by posadzili mnie na krześle i zostawili nas samych.

– Przeanalizowałeś swoje położenie?

Pojęcia nie miałem, jakiej odpowiedzi oczekiwał, lecz skinąłem głową. Najwyraźniej go to ucieszyło.

– Różne rzeczy się tu dzieją, pojawiają się różni ludzie. Wielu z nich nie chce współpracować. Ale to nie ty?

Znów przytaknąłem. Przytakiwałbym mu choćby i przez godzinę, gdyby cokolwiek to zmieniło, gdyby mu to wystarczyło.

– Mów więc – zachęcił mnie.

– Moim dowódcą w lesie był Edward Korsztyn. Wiem tylko, że mieszkał w Warszawie, na Pradze, ale zginął w czerwcu czterdziestego czwartego w czasie niemieckiej obławy. Ja i kilku innych chłopaków wydostaliśmy się. Później brałem udział w powstaniu…

– O czym ty mówisz? Wiemy to wszystko. Nie interesują mnie martwi, ale żywi. Ludzie, których znasz w Warszawie… i nie tylko. Ci, którzy wciąż knują. Tylko to chcę wiedzieć.

– Mówiłem już, nie znam nikogo z dowódców wyższego szczebla…

Zapalił papierosa. Dym cuchnął rozczarowaniem. Przez moment zastanawiałem się na alternatywą. Mogłem go zabić. Byłem osłabiony, lecz wciąż miałem przewagę. Wąsacz był o głowę niższy i raczej chudy. Nie widziałem też, by nosił broń. Zanim zdążyłby zawołać, dopadłbym go i udusił. Czy faktycznie dałbym radę? Byłem tylko i aż zdeterminowany.

Zbliżył się na centymetry i dmuchnął mi w twarz.

Nie ruszyłem nawet ręką.

– Uparłeś się, co? Nie dałeś rady w powstaniu, a teraz chcesz dołączyć do grona bohaterów? Zawiodłeś mnie. Bardzo zawiodłeś.

Nie wykonał żadnego ruchu, żadnego gestu. Nie wcisnął żadnego przycisku, a jednak do sali wszedł żołnierz. Witek. Uśmiechał się. Podniósł mnie delikatnie do pionu.

– Nie trzęś się – poprosił.

Weszło dwóch kolejnych. Nie zostałem im przedstawiony. Przemówiły pałki i pięści.

Pamiętam tylko kilka pierwszych uderzeń, później odszedłem w ciemność. Błądziłem w mroku, pośród cieni, na wpół prawdziwych, na wpół wyimaginowanych tworów

z przeszłości. Dwaj gestapowcy szli przede mną, uśmiechając się.

– Pokażemy ci świątynię – mówili. – Pokażemy ci świątynię naszego Boga.

Zapierałem się, lecz nogi mnie nie słuchały, szły dalej, prosto na szeroki, zalany słońcem plac. A przed nami, niczym wyłowiony lampą błyskową kamienny upiór, pojawiła się schodkowa piramida.

Otrzeźwiła mnie lodowata woda.

– Wiesz, ile tu jest potem sprzątania? Wiesz?! – krzyczał wąsacz. Pałkarze stali z boku, czekając na kolejną rundę. Moje ciało krzyczało. Szok, adrenalina, nic nie mogło zatamować tego bólu. Wydarłem się, lecz od razu dostałem z pięści w gębę. Raz, drugi. Ząb wyleciał z ust z mokrym plaśnięciem. Drugi złamał się na pół. Wyplułem go na podłogę, razem z gęstą, krwawą śliną.

– Nie mamy osobnej sali przesłuchań! – Wąsaty skurwiel nie przestawał się drzeć. Chciałem mu powiedzieć, by się zamknął, lecz zwyczajnie zabrakło mi odwagi. – Będę cię musiał zastrzelić, tak po prostu, żeby oszczędzić nam wszystkim kłopotu.

Jednak miał broń. Poznałem od razu. Stary, dobry vis. Lepszy od mausera, a już na pewno lepszy od tetetki. Miałem takiego przez jakiś czas i nigdy się nie zaciął. Zabiłem z niego trzech Niemców.

To zabawne, ale było mi lżej z wiedzą, że zostanę zastrzelony z visa.

Wąsacz przytknął lufę do mojej głowy i dwa razy nacisnął spust. Zamek kliknął, lecz żaden nabój nie pomknął, by przeszyć mi czaszkę. Mój kat szpetnie się zaśmiał.

Nie podzielałem jego wesołości.

– Odprowadźcie go – nakazał żołnierzom. – Damy mu jeszcze trochę czasu do zastanowienia.

– Zabrać materac? – spytał Witek. Wąsacz zastanawiał się chwilę.

– Nie. Niech ma trochę wygody. Ale zmyć z niego tę krew.

Zaprowadzili mnie pod prysznic. Jeszcze nigdy woda nie sprawiła mi tyle cierpienia. Każda zimna kropla kąsała, każdy lodowaty strumień potęgował ból. Musieli mi wszystko połamać, dosłownie. Każdą kosteczkę. Jednak stałem i zakrywałem się, dygocąc, czekając, aż ta tortura się zakończy. Wreszcie zakręcili wodę. Nie dostałem niczego, bym mógł się wytrzeć, od razu odprowadzili mnie do celi. Wciąż miałem koc. Zdjąłem ubranie i wytarłem się dokładnie. Krzyknąłem, kiedy dotknąłem żeber. Nie miałem wątpliwości, że są połamane i nie miałem wątpliwości, że prośba o lekarza nie zostanie wysłuchana.

Nie tym razem.

Głuche, obce jęki odbijały się od ścian, cegła chłonęła je niczym gąbka. Obce jęki wychodziły z mojej zbolałej gardzieli. Wyłem, tuląc mokry koc, aż wreszcie męczący, ciężki sen zlitował się nade mną. Nie chciałem istnieć – tyle wiedziałem, śniąc o niczym. Pozostali wyrażali swą niechęć,

uderzając w kraty. Ktoś zaklął. Jeśli zaklął, miał jeszcze siły, by żyć. Jeśli walił w kraty, to wciąż walczył. Sześć osób? Pięć? Cztery? Ilu nas było po odejściu ósemki?

W nocnej malignie usłyszałem głos Marka.

– Co ci zrobili? – spytał, tak, jak kiedyś ósemka. Uderzyłem głową o podłogę, zabolało, lecz ból szybko minął, gdy odezwały się żebra… i coś jeszcze. Coś miękkiego w środku dało o sobie znać w sposób tak brutalny, że o mało nie zemdlałem.

– Poobijali mnie – nie chciało mi się wyjaśniać. Trudno było odpowiedzieć inaczej, skoro nie chciało mi się nawet żyć. – Pałkami.

Marek umilkł z wrażenia.

Później jednak, dużo później, zaczął bełkotać.

– Jestem tylko dziennikarzem, nikim więcej, nie powinni mnie tu trzymać, niczego nie wiem, nie rozumiem…

Zatkałem uszy i trwałem tak, póki znów nie zasnął.

Ja natomiast nie potrafiłem już spać. Szukałem dźwięków, odgłosów obcych temu światu, pomiędzy tym co jest, a tym czego nie ma… albo przynajmniej być nie powinno. Znałem wirujące stoliki – przed wojną kilka razy pojawiłem się na seansie. Śmieszyło mnie to, wiedziałem dobrze, że w większości to tanie sztuczki dla naiwnych. W pachnącej spokojem Warszawie żadne duchy nie miały prawa zaistnieć, ale tutaj… tutaj straciłem swoją pewność racjonalisty.

Nic się jednak nie działo. Nie zastukały obcasy, a gdy przyłożyłem ręce do krat, nie poczułem delikatnego

muśnięcia obcego dotyku. Musiało mi się wówczas wydawać, a to znaczyło, że popadałem w obłęd, że mój strach przed przesłuchaniami włączył obwód bezpieczeństwa.

– Słyszysz mnie?

Tylko przez sekundę myślałem, że to Marek. Jednak głos był inny. Na swój sposób pieszczotliwy, na swój sposób stanowczy. Głos kogoś, kto ustanawia prawa. Nie tego, który jest im ślepo posłuszny.

– Tak – szepnąłem. – Słyszę.

– Czego się boisz?

Miałem spytać, kim jest, po co tu przyszedł i dlaczego mnie dręczy, lecz powodowany głębszą potrzebą odpowiedziałem:

– Bólu.

– Ból jest tylko pewną formą istnienia – pouczył mnie. Cały czas szeptał. On szeptał, ja szeptałem. Zdawało mi się, że szept jest właściwą formą wibracji, idealnym pokarmem dla murów lochu. Niech jedzą, głodne, nigdy nienasycone. Niech chłoną.

– Jesteś strażnikiem? – Zamknąłem oczy i próbowałem go sobie wyobrazić. Stał tu, zaraz obok mojej celi albo daleko na schodach. W żaden sposób nie umiałem go umiejscowić, tak jakby struktura szeptu nie poddawała się analizie.

– Jakimś na pewno. Jeśli chcesz, możesz mnie nazywać strażnikiem pamięci. Czy to ci odpowiada? Jeśli nie, to nazywaj mnie Nim. Tak po prostu.

– Nim… – to słowo mi nie smakowało. Było gorzkie i lepkie, starożytne w sposób nieprzywodzący na myśl niczego dobrego. Słowo-klucz pozwalające przekraczać niewidzialne drzwi.

– Nieznane imię – wyjaśnił, choć o to nie prosiłem. – A więzienia są różne, ale największym jest twój umysł… i twoje ciało. Co bardziej cię boli? Wspomnienia, czy połamane żebra?

– Imaginacje, tylko tyle mam – odparłem. – Nic już nie pamiętam.

– O nie! – sprzeciwił się temu uproszczeniu. – Nigdy się nie zapomina. To tylko zewnętrzne warunki sprawiają, że coś staje się odległe… Lecz zapewniam cię, że na krótko. Chcesz się przekonać?

– O czym? Nie znam cię, nie wiem, czego ode mnie chcesz…

– Cii! – uciszył mnie, jak rodzic uciszający niesforne dziecko. – Tylko byś podał mi dłoń. Nie, nie fizycznie. Pomyśl o tym. I pomyśl, co chciałbyś zobaczyć. Wróć tam, gdzie chciałbyś wrócić!

– Nie wiem, czy potrafię…

– Oczywiście, że tak, spróbuj…

Zamknąłem oczy. Ciemna, gruba kotara zafalowała raz i drugi, aż spadło bielmo, urwały się łańcuchy i pojawiło się piękno. Obraz pochłonął mnie natychmiast. Był dwudziesty trzeci, może czwarty. Znów miałem cztery lata, a mama piekła kołacze z miodem. Zapach na moment mnie obezwładnił, chyba nigdy nie czułem niczego aż tak

wspaniałego. Matka odwróciła się i uśmiechnęła. Dała mi całą swoją miłość w jednym grymasie ust. Chciałem, żeby ta chwila trwała. Wyciągnąłem dłonie, by chwycić jej dłonie, spracowane, ale ciepłe, pobrudzone mąką i polepione kroplami miodu. Lecz wszystko zniknęło, wszystko prócz zimnej, złowrogiej celi… i głosu.

– Widzisz? Wszystko można, jeśli się chce.

– To… – nie docierało jeszcze do mnie, że znów tu jestem – …twoja sprawka…

– Poniekąd – przyznał. – Ale tylko wydobyłem z twojej głowy to, co w niej zawsze było. Wspomnienia to zeszyt, ja umiem otwierać je na odpowiedniej stronie. Nic więcej.

– Kim jesteś? – teraz naprawdę nie dawało mi to spokoju. Mógłbym zgadywać, jednak zależało mi na prawdzie.

– Już ci powiedziałem: nazywam się Nim. Niczego więcej się nie dowiesz.

– Zwariowałem…

– To też jedynie pewna forma istnienia. Z wyższej perspektywy nie ma różnicy. Czy pocieszy to wariata, że dowie się, iż zwariował, jeśli wszelkie szaleństwa są dla niego stuprocentowo realne? Lecz… wróćmy tam, gdzie zaczęliśmy. Ból. Przeraża cię ból.

– Tak – powiedziałem. Nie miałem nic do dodania.

– Czego pragniesz? O czym marzysz w tej właśnie chwili?

– O słońcu… i wolności.

– Dostaniesz to… – stwierdził. – Za trzynaście dni. Jeśli przetrwasz…

Nawet nie zapytałem, skąd to wie.

– Oni… przyjdą po mnie znów, prawda?

– Tak. Trzykrotnie. Za każdym razem będzie gorzej.

Zadrżałem.

– Co… co mam zrobić?

– Jeszcze tu wrócę – powiedział i zniknął. Wołałem go. Chciałem pytać i śnić, chciałem, by pozwolił mi wspominać szczęśliwe lata. Ale odszedł i nie pozostał po nim nawet ślad.

Rano zapalili światła.

Nie mam pojęcia po co to zrobili i do tej pory nie przypuszczałem, że w ogóle zainstalowano tu elektryczność. Strażnicy zawsze przychodzili z latarkami, świecili nam po oczach, niczym dzikim zwierzętom. Wydawało mi się, że sczeznę w tym mroku, ale teraz takie rozwiązanie nie wydawałoby się najgorsze. Po raz pierwszy zobaczyłem swoją celę. Była pomazana krwią, a całą tylną ścianę pokrywały krwawe freski. Od góry do dołu ciągnęły się pasy czerwieni, zupełnie jakby ktoś chlusnął posoką, niczym farbą. Wszystko już zaschło, stężało, zapach się ulotnił, lecz widok pozostał. Podszedłem bliżej, bo nie potrafiłem uwierzyć, że się nie mylę. Skrzepy przylgnęły do murów. Brzydziłem się ich dotknąć, chropowata faktura prosiła, by ją zdrapać.

Ktoś musiał tu zginąć. Nie wierzyłem, by po takiej rzeźni wyszedł z tego cało.

Gdy na to spoglądałem, przy drzwiach pojawił się strażnik. Odwróciłem się instynktownie. Nie znałem jego twarzy, więc pomyślałem, że może to on wczoraj tu był, żartował ze mnie, udając kogoś innego, a teraz przyszedł napawać się zwycięstwem. Miałem dosyć ich drwin i okrucieństwa.

– To wasza sprawka, co? Zarżnęliście tu kogoś? A teraz moja kolej? Czy może tam, na górze?

– Nie wiem, co to takiego, ale te ślady tu już były, kiedy zajmowaliśmy budynek – o dziwo, zaczął mi się tłumaczyć. Próbowałem spojrzeć mu w oczy. Odwrócił wzrok. – Przyszedłem po dziewiątkę – wyjaśnił. – Jestem tylko żołnierzem.

– Taak, wszyscy to mówicie – warknąłem i spojrzałem na niego hardo i bez strachu. Ponownie odwrócił wzrok.

Marka przyprowadzili po godzinie. Gdy szedł, widziałem na jego przedramionach pręgi. Nie łamał się. Nie patrzył też w moją stronę. Po prostu dał się odprowadzić do celi. Nie zamierzałem go pytać, lecz pozwoliłem mu sączyć w samotności żal, jaki miał do całego świata. Wiedziałem, że przyjdzie też czas na słowa. Byliśmy do siebie podobni. Obydwaj nie mieliśmy nic do zaoferowania i żadnych oporów, by dać im cokolwiek. Potrzebowaliśmy wolności, lecz tej nie dało się wykupić żadną monetą.

– *Trzynaście dni* – tak powiedział mój sen, moja mara. – *Jeśli przetrwasz.*

Noce wypełniały duszne, gęste sny. Nie śniłem już jednak o gestapo ani o Zosi, lecz o ludziach na górze.

Wąsacz włączał prąd i prezentował mi, co można z nim zrobić.

– Poczujesz się jak lis na skórki, gdy wetknę ci to do dupy.

Budziłem się tuż przed egzekucją, zlany potem, z sercem tańczącym w rytm kankana. Rozglądałem się dookoła, szukałem głosów, węszyłem, lecz czułem jedynie smród fekaliów wydobywający się z wiadra, smród własnego ciała i coś, czego tam nie było – zapach świeżej krwi, leniwie sączącej się ze ścian, zupełnie jakby te zakrzepłe rany znów przemówiły.

Nie było cieni ani Nima. Tylko ja, cela i słabe, choć wciąż piękne wspomnienie z dzieciństwa. Nie ulotniło się całkiem, jak początkowo sądziłem i w chwilach, kiedy było mi źle, przywoływałem je, licząc, że uda mi się tam schować, w schowku może niewielkim, ale najdoskonalszym – we własnym umyśle. Zazdrościłem wariatom budującym własne światy, śmiejącym się, gdy ich torturowano i śpiewającym piosenki, kiedy obdzierano ich ze skóry. Nie potrafiłem udawać, że umiem stać się jednym z nich.

Przyszli po mnie w niedzielę. Tak wyliczyłem, że to była niedziela, choć równie dobrze mogła być sobotą, piątkiem czy poniedziałkiem. Dni były oznaczane przez zmiany – zapalono światło, kogoś zabrano z celi lub pozwolono mu krzyczeć bez ustanku. Reszta nie różniła się niczym, wszak ciemność nie ma odcieni. Ale tamten dzień w moim wewnętrznym kalendarzu był niedzielą. Przyszli po mnie w środku nocy. Kiedy otworzyli celę, uciekłem

w przeciwległy kąt. Chwyciłem wiadro, pełne po wieczornej defekacji. Jakby ten śmieszny protest mógł cokolwiek zmienić.

Gdybym w nich chlusnął, dostałbym tylko w pysk.

– Nie bijcie mnie – prosiłem. Witek się uśmiechnął.

– Nie martw się, mamy coś lepszego.

Nie poszliśmy tą samą drogą. Tuż za schodami skręciliśmy w prawo. Strażnik włączył światło. Długi korytarz miał kolor nieprzyjemnego różu, na środku wisiała gablota. Wewnątrz tylko jedna, odręcznie napisana kartka informowała, że „Więźniów należy…”.

Nie doczytałem reszty.

Na samym końcu mieścił się niewielki pokoik. Opierałem się, kiedy próbowali mnie tam wciągnąć, lecz niewiele ich to obeszło. Witek otworzył drzwi, popchnęli mnie, upadłem, obijając sobie żebra. Syknąłem z bólu. Witek już szturchał mnie butem, żebym się ruszał.

– Co, boli? – spytał, uśmiechając się złośliwie. Zdołałem się rozejrzeć. W niewielkim pokoiku nie stało nic, prócz jakiejś aparatury i krzesła.

– Nieee… – Zacząłem się wyrywać, jednak Witek był silny, za silny. Posadzili mnie na krześle i chociaż się szamotałem, przypięli pasami.

– Zobaczysz naszą najnowszą zabawkę.

Na obydwu rękach przykleili mi do skóry pęk kabli. Próbowałem szarpnąć, zrzucić je, ale dobrze trzymały.

– Włączaj – polecił Witek drugiemu żołnierzowi. Popłynął prąd.

Przez pierwszą sekundę nic nie czułem, a w następnej zmieniłem się w elektryczny łuk. Nie mogłem krzyczeć, wychodził tylko charkot, rzężenie, ślina i znów charkot. Zamiast ciała miałem ból, strumień bólu, przelewający się przeze mnie wraz z ładunkiem. Paliłem się od środka, tak mi się zdawało. Płonęły mi płuca i serce, gotowała się krew. Prąd rozciągał czas, niczym gumową zabawkę i w końcu zegar zupełnie stanął, sekundy, milisekundy, mikrosekundy. Był tylko ból, ból, wszędzie ból.

Ból wszechobecny, jak Bóg.

Wyłączyli.

– Prąd to trzy wartości. – Wąsacz pojawił się znikąd. A może nie zauważyłem jego wejścia? Byłem przekonany, że umieram lub niedługo umrę. Musieli zniszczyć mi wszystko w środku. Słuchałem go jednak, to dziwne, lecz bardzo skupiłem się na tym co mówi. – Napięcie, natężenie. I opór. Napięciem można się nieźle bawić, nie powodując nieodwracalnych strat, chyba że ktoś nie ma wyczucia. Natężenie to już gorsza sprawa. Natężenie pali ciało. Teraz było dość niskie, chcesz się przekonać, jak jest przy wyższym? Został jeszcze opór. Twój opór.

Wiedziałem już co zrobię.

– Powiem, powiem wszystko, powiem! – płakałem szczerze, bez cienia fałszu. – Wszystko co tylko chcecie!

Wąsacz uśmiechnął się triumfalnie

– Wspaniale. Lepiej późno niż wcale, jak mówią. Odpiąć go – polecił żołnierzom. Zdjęli ze mnie kable i skórzane pasy. Z krzesła nie dałem rady wstać sam, musieli mi

pomóc. Poszliśmy do pokoju przesłuchań. Jeszcze nigdy tyle nie mówiłem. Słowa dosłownie wylewały się ze mnie, płynęły potokiem szerokim niczym Dunaj. Wierzyłem w to co mówię od pierwszej do ostatniej wypowiedzianej sylaby. Wierzyłem, choć ani jedno słowo nie było prawdą. Nazwiska i adresy. Funkcje, kontakty, zdarzenia, przygotowywane akcje. Wsypałem kilkanaście nieistniejących osób. Moje zeznania skazały je na śmierć, choć nigdy się nie urodziły. Nie wiedziałem, co będzie ze mną dalej, gdy dowiedzą się, że jednak kłamałem. Lecz w tamtym momencie mi wierzyli. Nie dało się nie wierzyć. Sam Bóg dałby się nabrać.

Nie potrafię powiedzieć, skąd miałem na to siłę. Ale jednego byłem pewien – że chcę przetrwać jeszcze jeden dzień. Choćby jeden. Położyć się na materacu i zasnąć.

Wypuszczą mnie, w końcu mnie wypuszczą. Tak powiedział Nim. Za dwanaście dni. Jeśli przetrwam.

Dlaczego ja w to wierzyłem? Przecież on także mógł kłamać. Co gorsza mógł nigdy nie istnieć, tak jak moi fikcyjni przełożeni z podziemia, których wymyśliłem na sali przesłuchań.

Jak krótkie nogi miało moje kłamstwo? Parę godzin? Dzień? Nie dłużej. Wtedy po raz pierwszy pomyślałem o samobójstwie. Wydawało mi się znacznie prostszym, lżejszym rozwiązaniem, dobrym rozwiązaniem. Skończyć to raz na zawsze. Dwanaście dni – nierealne. Gdy tylko się dowiedzą i tak mnie zastrzelą. Albo gorzej, zafundują mi kolejne przesłuchania. Tortury. Tym razem będą mnie smażyć, wąsacz podkręci natężenie aż po górną kreskę, ale

zostawią mnie jeszcze przy życiu, półprzytomnego z bólu i wycieńczenia, zniszczonego od środka, wrak człowieka… Tylko po to, by powtórzyć zabawę jeszcze raz. Może dwa.

Został pomysł, luźno rzucona myśl, nic poza tym. Leżałem na materacu i próbowałem oswoić ból. Nie dało się. Prąd wciąż we mnie żył.

Nadal czułem ogień. Złamane żebra bolały, ale ten ból zanikał, przykryty przez inny, większy. Paliło mnie. Popsute mechanizmy, strawione tkanki słały sygnał za sygnałem, impuls za impulsem z częstotliwością świateł semafora. Raz za razem. Raz za razem. Elektryczność i ogień tańczyły we mnie, dając mi krótką chwilę wytchnienia, a później znów atakując bez ustanku.

Do wieczora trzy razy zmartwychwstałem. Bóg nie chciał się zlitować. Podobnie Szatan. Zostałem tu sam, nawet moi kaci nie wrócili. Powracał jedynie ból w kolejnych obłąkańczych fazach. Nie umiałem już nawet płakać, potrafiłem się tylko śmiać. Niewiele, ale jednak pomogło. Fakt, śmiech to zdrowie.

Uznałem, że w zasadzie wszystko mi jedno. Byle to się skończyło. Nie zależało mi już bardzo na życiu. Ale zależało mi na braku cierpienia.

Gdy załomotał w kraty wiedziałem, że to on.

– Więc jednak istniejesz. – Próbowałem szukać wzrokiem jakiegoś kształtu, lecz rozbijałem się o ścianę ciemności.

– Oczywiście – znów szeptał, jego szept miał w sobie przyjemną, wibrującą nutę. – Dlaczego w to wątpiłeś?

– Bo nie wiem już, co jest prawdą, a co nie.

– Byłeś na przesłuchaniu – stwierdził. – Pokazali ci, co potrafią zrobić z prądem.

– Tak. Nie wytrzymam dwunastu dni. Zabiją mnie.

– Nie wytrzymasz – zgodził się. – Przyjdą już jutro. Sporo nakłamałeś.

– Nie miałem wyjścia. Inaczej by mnie usmażyli. Przyszedłeś ze mnie drwić?

– Nie. Przyszedłem złożyć ci propozycję.

– Propozycję… – nie wierzyłem w żadne oferty, ale mogłem słuchać. – Mów.

– Zaproponuję ci wymianę. Zabiorę ci jedno wspomnienie… i w zamian dam inne. A ty… gdy tam jutro pójdziesz, nie będziesz czuł bólu.

Zaśmiałem się. Tak, śmiech to zdecydowanie najlepsze lekarstwo.

– W jaki sposób możesz mi to zagwarantować? Nie masz takiej mocy. Jesteś przecież tylko…

– Kim? – przerwał mi. – Naprawdę wiesz, kim jestem? Widziałeś mnie kiedykolwiek? Znasz mnie? Czy tylko zakładasz coś, co wydaje ci się najbardziej prawdopodobne? Uważasz, że jestem jednym ze strażników? A może człowiekiem, który nocami chodzi po starych lochach, bo nie ma nic innego do roboty? Twoje pewność siebie jest nieadekwatna do sytuacji w której się znalazłeś. Więc lepiej się nad tym zastanów.

– Jeśli nie jesteś… jednym z nich, to skąd wiesz tyle o dzisiejszym przesłuchaniu? I o tym, że skłamałem?

– No właśnie: skąd? Przecież oni też jeszcze o tym nie wiedzą. I wiem, że myślałeś o samobójstwie. Tuż po przesłuchaniu. Ale nie jesteś gotów, by to zrobić.

– Wiem, do czego jestem gotów, a do czego nie – odgryzłem się.

– Przynajmniej sam siebie nie okłamuj. Mnie i tak nie oszukasz. Masz szansę. Może ostatnią. Więcej nie przetrzymasz, ale do niczego cię nie namawiam.

Milczałem. Zrozumiałem, że jest tak, jak mówi. Nie pojmowałem kim jest, lecz trafił w sedno. Nie powinienem oszukiwać sam siebie i wierzyć, że cokolwiek zmienię. Nie tutaj, nie teraz. Następne przesłuchanie, następna porcja elektrycznego bólu. Nic, absolutnie nic co do tej pory przeżyłem nie mogło się z tym równać.

– Poczekaj! – Bałem się, że już go nie ma. Ale był. Stał tam. Gdzieś. – Zgadzam się. Co chciałbyś dostać?

– Może to, co przypomniałeś sobie ostatnio?

Moje dzieciństwo. Matka. I pachnący kołacz.

– Bierz – powiedziałem bez chwili wahania. – Co dostanę w zamian?

– Nie tak szybko. Zobaczysz.

– Czy… czy oni jutro…

– Przyjdą – nie pozostawił mi złudzeń. – Liczyłeś, że będzie inaczej? Sprawdzili już, że jesteś świetnym kłamcą. Chcą ci pokazać, że tak nie należy postępować. Ale umowa to umowa. Zaufaj mi. Nic więcej nie musisz robić. Ból… fizyczny jutro cię nie dotknie. Wiem jednak, że trudno w to

uwierzyć. Dlatego dam ci coś, co potwierdzi moje słowa. Sprawdź. Uderz się w żebra, tam gdzie bolało.

Nie uderzyłem się. Dotknąłem. Nic nie poczułem. Więc dotknąłem mocniej.

– Uderz – zachęcił.

Zrobiłem to, posłałem delikatnego kuksańca w bok. Spodziewałem się, że ból będzie tak gwałtowny, że zegnę się wpół. Ale nic się nie stało.

– Jesteś…

– Magikiem, co? Nie zastanawiaj się nad tym, kim jestem. Przyjdę przed kolejnym przesłuchaniem.

– Nim? – zawołałem go, lecz nie odpowiedział. Chciałem go zapytać, chciałem, by potwierdził, że naprawdę istnieje, nie jest tylko wytworem mojej oszalałej z cierpienia wyobraźni. Czy jednak jakikolwiek dowód by mnie przekonał?

Przez pół nocy dokładnie sprawdzałem swoje ciało, lecz wydawało się, że wszystko jest w porządku. Jakby nikt nigdy mnie nie katował. Jakby te tortury, bicie i prąd były jedynie słabym koszmarem udręczonego gorączką człowieka. Ale mój organizm został naprawiony, lub przynajmniej mój mózg nie wiedział, że jest źle.

Przez następne pół nocy leżałem, myśląc o tym, co będzie. Nie bałem się. Nie dlatego, że w stu procentach wierzyłem w słowa Nima, jednak po tym co się tu zdarzyło strach wydawał się jakby nie na miejscu. W końcu miałem umowę z kimś, kto potrafił czynić cuda. A takie rzeczy zobowiązują.

Próbowałem też sobie przypomnieć. Obraz z mojej głowy, wspomnienie z dzieciństwa, tak niebywale jasne jeszcze dwa dni temu, teraz zmieniło się w nieskazitelnie białą plamę. Albo raczej czarną, bo spod powiek nie przebijały żadne kolory. Próbowałem to sobie wyobrazić na siłę, lecz jedyne, co zyskałem to amorficzne, nienaturalne plamy, które różniły się od prawdziwego wspomnienia tak, jak zapach świeżego jaśminu różni się od zapachu zwietrzałego korka po jaśminowym olejku. Nie byłem nawet pewien co się wówczas zdarzyło. Czy w kuchni była matka, czy babcia? Ile miałem lat? Co piekło się w piecu? Co wówczas powiedziałem, zrobiłem, co widziałem? Z każdą sekundą to wspomnienie słabło, ostatnie nici pruły się i roztapiały. Czułem żal. Duży żal, byłem jednak gotów zaakceptować tę stratę.

Przyszli z samego rana i wywlekli mnie z celi. Na powitanie dostałem kilka kopniaków. Skuliłem się instynktownie… lecz nie bolało. Odkryłem się trochę, pozwalając, by buty dosięgły żeber. Znów nic. Mózg nie reagował. Chciałem się zaśmiać, jednak postanowiłem zostawić to na później. Może uznają, że zwariowałem. Może odeślą mnie do wariatkowa.

Wlekli mnie po schodach, niczym ciężką, nieporęczną szmatę. Nie protestowałem, nie dziś. Kolana obijały mi się o stopnie i w normalnych warunkach krzyczałbym przy każdym uderzeniu, lecz tym razem jedynie słuchałem bodźców. W pewnym momencie odniosłem wrażenie, że to nie mnie wleką, że stoję obok i patrzę, przyglądam się

komuś innemu, jak widz oglądający wieczorny seans w kinie. Poczucie wyobcowania stało się tak silne, że aż się uśmiechnąłem. Róbcie co chcecie, sukinsyny, róbcie co chcecie. I tak mnie nie zaboli.

Wreszcie dotarliśmy do sali tortur. Posadzili mnie na krześle, wciąż bezwolnego, co musiało ich bardzo zdziwić. Wąsacz już czekał. Nie omieszkał wygłosić przemowy w chwili, kiedy żołnierze zakładali mi kable.

– Niełądnie nas okłamałeś, niełądnie. Nie lubimy kiedy robi się z nam durniów. Dobrze się bawiłeś? To teraz my się pobawimy, suczy synu. Pamiętasz, jak ci mówiłem o robieniu pod siebie? Dzisiaj zesrasz się tak, że wypłynie z ciebie dosłownie wszystko. Obiecuję.

– Zaczynajcie – powiedziałem i tym razem naprawdę się zaśmiałem.

Energia pomknęła kablami prosto w moje ciało.

Mógłbym powiedzieć, że nic nie czułem, lecz byłoby to kłamstwo. W okolicach głowy poczułem delikatne uderzenie gorąca, które natychmiast minęło. Zacząłem się śmiać. Nie śmiechem szaleńca, ale człowieka serdecznie ubawionego z dobrego żartu. Widziałem, że nie rozumieją. Witek chyba pomyślał, że coś nie działa, bo najpierw wyłączył i ponownie włączył prąd, a później dotknął kabli w miejscu, gdzie stykały się z moją skórą. Chwyciło go tak mocno, że aż zgiął się i upadł na podłogę. To jeszcze bardziej mnie rozbawiło. Wyłączyli prąd, by ratować Witka. Trząsł się cały. Odpięli mnie od krzesła.

– Taaak, opór to dobra sprawa – powiedziałem, patrząc wąsaczowi w oczy.

Długo mnie bili. Pałki, buty, metalowe pręty. Powinienem nie żyć. Ale żyłem i miałem się nienajgorzej. Odprowadzili mnie do celi.

Leżałem na materacu i czułem się dobrze. Tak dobrze, jak nie czułem się od chwili aresztowania.

– Hej! – Marek odezwał się z sąsiedniej celi. Już zapomniałem, że tam jest, zapomniałem, że nadal siedzę w więzieniu. – Żyjesz?

W pytaniu pobrzmiewało powątpiewanie.

– Tak, żyję…

I czuję się świetnie – chciałem dodać, ale zamilkłem. Nie musiałem go o tym informować.

– Długo cię nie było… Myślałem, że…

– Widać jestem im jeszcze na coś potrzebny – odparłem. Zastanowiłem się. Co sprawiło, że mnie nie zabili? Nim nie obiecywał mi, że stanę się nieśmiertelny, obiecywał jedynie, że nie będę czuł bólu. Co ich powstrzymało? Nie łudziłem się, że faktycznie wierzą, iż na cokolwiek jeszcze się im przydam. Głupio i niebezpiecznie było się tak oszukiwać. A jednak wciąż oddychałem. Czy w jakikolwiek sposób Nim powściągnął ich zapędy?

Strażnik nie przyniósł mi jedzenia. Nie wymienili wiadra. Nie przejąłem się tym. Postanowiłem spać.

Tylko sen był mi potrzebny, nic więcej.

Tak mi się przynajmniej w tamtej chwili wydawało.

Wywlekli nas z kamienicy. Nas, choć właściwie mnie tam nie było. Obserwowałem tę scenę gdzieś z daleka, jakby z przestrzeni nad kamienicą i może właśnie dlatego nie poznałem budynku od razu. A przecież wychowywałem się w mieszkaniu numer osiem. Tam się urodziłem, tam wciąż mieszkali moi rodzice. Rodzice, których po wojnie usilnie szukałem, i których nie potrafiłem znaleźć.

Bo zniknęli. Tak po prostu. Ktoś powiedział, że wszystkich z ulicy zabrali Niemcy, ktoś inny dodał, że wywieźli ich na roboty w głąb Rzeszy. Wierzyłem w to. Chciałem wierzyć. Nie chciałem być sam na świecie. Ale moje nadzieje zgasły ostatecznie tamtej nocy, w zimnej ubeckiej celi.

Panowała już noc, ciemna i bezgwiezdna, choć światła żołnierskich latarek sprawiły, że widziałem wszystko dokładnie. Pani Kąkolowa spod dwójki upadła, potykając się o próg. Żołnierz zaklął i kopnął ją butem, a kiedy nie wstała, uderzył kolbą. Raz, drugi, trzeci. Wypędzili pozostałych, każąc im przechodzić nad świeżym trupem. Niektórzy nawet nie zdążyli się ubrać, tak jak ojciec, który miał na sobie podkoszulek i pidżamę. Ustawili lokatorów w szeregu. Widziałem rodziców, stali obok siebie, ojciec trzymał matkę za rękę. Jakiś oficer zaczął liczyć, później wskazał, kto ma wystąpić z szeregu. Padło na matkę. Oficer zaczął strzelać zaczynając od prawej. Mama była ostatnia. Pięć osób. Jeden, dwa, trzy.

Ojciec wyskoczył nagle i próbował chwycić strzelającego Niemca za lufę pistoletu. Nie mam pojęcia, co

chciał zrobić, na co liczył. Zapewne w tamtym momencie po prostu działał instynktownie.

Z zimnym uśmiechem na twarzy oficer chwycił go za kark i przytrzymał. Ojciec, choć był silnym człowiekiem, nawet się nie szarpnął. Oficer zabrał stojącemu obok żołnierzowi karabin i zaczął tłuc ojca kolbą w głowę. Uderzał miarowo, raz za razem, aż czaszka została pogruchotana. Ciało ojca podrygiwało w konwulsjach, ręce zacisnęły się kurczowo na mundurze oficera, lecz niczego to nie zmieniło. Raz za razem, póki nie umarł.

Matce udało się wyrwać i rzuciła się ku ojcu, lecz oficer już wydobył bagnet. Dźgnął ją pod żebra, po czym powolnym, znamionującym sadystę ruchem rozpłatał jej brzuch.

Krzyknąłem z przerażenia. Tam we śnie, tu w celi, krzyknąłem i krzyczałem, ale się nie obudziłem. Widziałem cieniutką linię czerwieni, która na moment pojawiła się na jej sukience, szybko ustępując miejsca zaborczej, brunatnej plamie. Widziałem, jak matka upada i słyszałem stęknięcie bólu, jedno, niewyraźne, jakby na więcej nie było ją stać, jakby więcej nie potrafiła. I widziałem wnętrzności, które wyszły z niej, niczym stado węży z koszyka fakira.

Obudziłem się.

W ustach czułem mdły smak wymiocin. Zdążyłem sięgnąć do wiadra, kiedy wypłynął ze mnie strumień żółci. Rzygałem długo, wdychając zapach treści żołądkowej, moczu i gówna. Ledwo zdołałem zebrać się z podłogi i z powrotem dowlec na materac.

Gdy tylko zamknąłem oczy, obraz wrócił.

A przecież nie zasnąłem.

Zrozumiałem już, co to takiego. Wspomnienie. Wspomnienie czegoś, czego nie widziałem, ale co Nim zaszczepił mi w głowie zamiast miłego wspomnienia z dzieciństwa.

To była cena, którą płaciłem za naszą umowę.

Trudno było pozbyć się tych obrazów. Początkowo w ogóle tego nie potrafiłem, później, z wysiłkiem koncentrując się na czymś innym, wyrzucałem je na moment z pamięci. Wracały jednak szybko, nachalnie, żądając mojego zainteresowania. Gdy tylko zasnąłem, znów widziałem tę scenę. Budziłem się zlany potem, krzycząc. Najwyraźniej obudziłem też Marka, bo zapytał:

– Wszystko dobrze?

Zacząłem się śmiać.

– Nie… Nic nie jest dobrze.

– Chcesz…

– Nie. Nie chcę – uciąłem krótko. Zamknął się. I całe szczęście.

Nad ranem nikt po mnie nie przyszedł, choć się tego spodziewałem. Wymienili mi wiadro, dali jeść. Niespecjalnie mogłem cokolwiek przełknąć. W celi znów pojawiło się światło. Przyglądałem się zaschniętym plamom krwi na ścianie i już mnie nie przerażały. Były jedynie kawałkiem organicznej materii, niczym więcej. *Są gorsze rzeczy* – pomyślałem.

Najgorsza była świadomość, że ono tam jest. Że jeśli na moment odpuszczę, jeśli choć przez moment nie będę się koncentrował, to powróci z całą siłą. Znów zobaczę, jak niemiecki oficer rozwala kolbą karabinu czaszkę ojca i jak bagnetem rozpruwa brzuch matki. Byłem znacznie bliżej szaleństwa niż po którymkolwiek przesłuchaniu. Zrozumiałem, że Nim mnie oszukał.

Albo dałem się oszukać.

Byłem ciekaw, czy jeszcze przyjdzie i jak nigdy wcześniej zastanawiałem się, kim naprawdę jest. Nie doszedłem jednak do żadnych sensownych wniosków.

Wolałem nie spać i choć zmęczenie dawało o sobie znać, nie zasnąłem. Słuchałem. Podziemia żyły własnym, ukrytym życiem. Cienie krążyły między celami, kto zamilkł, ten mógł usłyszeć ich słabe głosy, wołania, błagania i jęki. Nie znałem większości z tych języków, może cienie mówiły już własnym, znanym tylko duchom, a może zapomniały słów, którymi posługiwały się za życia. Ale i one przestały mnie przerażać. Nie mogły zrobić mi krzywdy.

Tylko obrazy w mojej głowie mogły mi zaszkodzić.

Następnego dnia zostawiono mnie w spokoju. Pomyślałem, że być może sądzą, że nie żyję. Albo z jakiegoś powodu się mnie boją. Śmiech szaleńca na krześle elektrycznym przeraził ich i odpuścili tak jak ludzie spotykający na ulicy wariata lub świętego.

Przez cały dzień krążyłem po celi, bojąc się, że gdy usiądę, zamknę oczy, a gdy zamknę oczy, znów będę widział egzekucję rodziców. Nie mogłem już dłużej wytrzymać,

musiałem odpocząć. Zmęczenie wygrało. Zasnąłem, a gdy obudziłem się przerażony, stwierdziłem, że nic złego mi się nie śniło.

Przespałem moment, kiedy zabrali mojego nowego sąsiada. Wrócił po dwóch godzinach. Z nosa ciekła mu krew, bełkotał coś zapamiętale, lecz zrozumiałem jedynie kilka słów.

– Zgodzić… muszę się zgodzić… muszę…

Czekałem na kolejną noc, sam nie wiedząc na co. Może przeczucie powiedziało mi, że Nim się pojawi. A może chciałem, aby przyszedł i on to wyczuł? W każdym razie jakąś godzinę po tym, jak ostatecznie zgaszono wszystkie światła, a lochy zapadły się w ciemność usłyszałem jego szepczący głos tuż obok krat celi.

– Witaj. – Znów uciekał z pola widzenia. Zresztą… mógłbym jedynie zauważyć zarys sylwetki, nic ponad to. – Jak się czujesz?

– Oszukałeś mnie.

Zdziwił się tym oskarżeniem

– W którym momencie? Nasza umowa była jasna. Sądziłem, że ją rozumiesz.

– Tak mi się wydawało… – w moim głosie pobrzmiewała gorycz.

– Dobrze ci się wydawało. Po prostu sądziłeś, że wszystko dostaniesz za darmo. Nie jestem twoim zbawicielem.

Po raz kolejny chciałem zapytać:

– Kim w takim razie jesteś?

Jednak się powstrzymałem.

– To… to było zbyt…

– Realistyczne? – dokończył za mnie. Pokiwałem głową. – Ból, który cię ominął, był jeszcze bardziej realistyczny. Dokonałeś dobrego wyboru. Przeszłość nie ma nad tobą władzy, ale teraźniejszość może cię zabić.

– Czy to… – musiałem zapytać, mimo że spodziewałem się odpowiedzi. – Zdarzyło się naprawdę?

– Nie kłamię. Nigdy.

– Więc oni… – To potwierdzenie z jego strony wstrząsnęło mną bardziej, niż byłbym skłonny przypuszczać.

– Owszem.

Nie widział tego, lecz ukryłem twarz w dłoniach. Próbowałem zapłakać, jednak łzy wyschły. Chyba nie umiałem zmusić się do okazywania uczuć, zresztą po co? Dla kogo miałbym pozować?

– Mam tego wszystkiego dosyć. Nie wiem, czy chcę jeszcze… żyć.

– Oczywiście, że chcesz. Jesteś młody, rany się zabliźnią. Musisz jedynie stąd wyjść. Już niedługo, jeszcze tylko dwa razy…

– Dwa przesłuchania? – W pierwszej chwili myślałem, że się przesłyszałem. Nie było żadnych szans, aby to przeżyć.

– Wiesz, że mogę ci pomóc… – zaoferował się.

– Nie chcę.

– Nie zmuszam cię. Nigdy nikogo do niczego nie zmuszam, ale wiedz, że to nie jest normalne więzienie. Tu

zostaje się dłużej… Nawet po śmierci.

Przypomniałem sobie cienie.

– Dlaczego?

– A któż to wie? Może dlatego, że tak długo służyło do gnębienia innych? Może nasiąkło złą energią?

Kłamał. A raczej nie chciał wyjawić prawdy. Zatem nie mogłem mu ufać, wbrew zapewnieniom.

– Trudno – odparłem. Nie byłem już jednak przekonany, że dobrze robię.

– Więcej mnie nie usłyszysz. – W istocie, nawet nie spróbował mnie przekonać. – Powodzenia.

Zatrzymałem go w ostatniej chwili.

– Poczekaj… Chcę przeżyć te przesłuchania.

– Na pewno? Umowa jest taka sama… Lecz nie! Okażę dobrą wolę i nie zabiorę ci żadnego wspomnienia.

Milczałem przez sekundę.

– Na pewno – powiedziałem w końcu.

– Mury wysłuchały twojej zgody. Niech tak będzie. Żegnaj, Michale. Żyj szczęśliwie.

Gdy odchodził, słyszałem wyraźne kroki, a zaraz potem wiatr wiejący w korytarzu. Podmuch sypnął mi w twarz garścią kurzu i zapachami. Pachniało tęsknotą za dawno utraconym życiem. Nie umiałem wyszczególnić składników, lecz od razu zrozumiałem co to takiego. Tęsknota do miłości, czułości, ludzkich słabostek. Do aksamitnego ciała kobiety. Do wieczornych spacerów. Do podziwiania wieczornego, rozgwieżdżonego nieba.

Tęsknoty cieni z dalekiej i tej bliższej przeszłości.

Wszystko umilkło, wygładziło się, uspokoiło. Poszedłem spać. Ponownie nie śniło mi się nic strasznego. Wiedziałem, że muszę się wyspać, że z samego rana po mnie przyjdą.

Pozostało mi dziesięć dni.

I dwa przesłuchania.

Byłem gotów podjąć walkę.

Czekałem na nich i chyba się uśmiechałem, kiedy wychodziłem z celi. Musieli się zdumieć. Witek nie wyglądał najlepiej i miałem wrażenie, że się mnie boi. Odsunął się, pozwolił innym strażnikom mnie prowadzić. Bawiło mnie to, lecz starałem się nie śmiać. A może w rzeczywistości wcale nie chciało mi się śmiać? Bo wiedziałem, że przyjdzie mi zapłacić wysoką cenę za to przesłuchanie.

Co miało być tym razem? Jakie okropieństwa zamierzał mi zaszczepić mój mentalny chirurg?

Tylko na początku, jakby instynktownie, wzdrygnąłem się przed krzesłem. Jednak tym razem nikt nie zamierzał włączać prądu. Posadzili mnie tam, przypięli skórzanymi pasami i zaczęli bić. Szybko poczułem smak krwi, lecz nie szło za tym nic więcej. Swędzenie, pieczenie, ból – omijały mnie nawet najdrobniejsze niedogodności. Wybili mi dwa zęby. Wyplułem je na podłogę z podziwu godną obojętnością. Później próbowali mnie utopić. W pokoju obok przygotowano wannę, wypełnioną zimną wodą niemal po brzegi. Chwycili mnie we dwóch i zanurzyli, a ja znów, ku ich zdziwieniu, nawet się nie opierałem. Topili długo i namiętnie, lecz nie na tyle długo, abym utonął. Znali się na swoim fachu, co zresztą ani trochę nie dziwiło. Przecież

przez ich spracowane dłonie przeszły już dziesiątki, jeśli nie setki ludzi. Jednak drugiego mnie chyba dotąd nie mieli.

Przez moje płuca płynęła rzeka, jak Uroboros zapętlona bez początku i bez końca. Gardziel, tchawicę, przełyk – wszystko wypełniała mi woda. Ich chrzest miał mnie osłabić, pozbawić zmysłów, ale choć kasłałem nie zabrakło mi ani tlenu, ani sił.

Kopali mnie i bili. Straciłem dużo krwi, lecz nie straciłem zmysłów. Znów się śmiałem, wesoło i szczerze. Nie zadawali pytań, uznali najwyraźniej, że i tak nic im nie powiem. Może nawet domyślili się już, że nic nie powiem, bo nic nie wiem. Nie obchodziło mnie, czy motywuje ich czysty sadyzm, czy chęć zemsty. Wąsacz nawet się nie pojawił, chociaż niewątpliwie to on zdecydował o kolejnych torturach. Decydował tu o wszystkim; był takim małym panem życia i śmierci. Lokalnym władcą i despotą. Bezimiennym watażką.

W końcu mnie puścili. Gdy znalazłem się w celi, przestałem się uśmiechać i obejrzałem rany. Porządnie oberwałem, krew płynęła niczym woda w przedziurawionego wiadra. Ale nawet gdy się dotykałem, mocno, brutalnie, nie czułem ani grama bólu. Nic a nic.

Dałem sobie spokój, położyłem się na materacu i próbowałem zasnąć. Co ma być, to będzie. Chciałem mieć to już za sobą.

Jedyne co do mnie przyszło to wspomnienie z powstania. Stałem na moście, czekając na oddział, i podziwiałem odchodzący dzień. Słońce już nie parzyło, ale

dzień był ciepły; prawdziwy sierpniowy wieczór. Niemców nie widzieliśmy od rana, wyglądało na to, że się wycofali. Zatrzymałem się, zauroczony tym prostym pięknem. Nic nie obchodziły mnie ruiny i zgliszcza, trupy i ogień. Chciałem tylko tam stać i podziwiać. Poczułem się szczęśliwy po raz pierwszy od dawna i nawet kiedy przyszedł Wilk, nasz dowódca, nie przestałem się uśmiechać.

Ocknąłem się. Zachciało mi się lać. Wysikałem się, mocz w wiadrze chlupotał, a dookoła śmierdziało uryną. Zapach życia. Trupy nie sikały.

– Nie śpisz?

Musiał mnie słyszeć. Gdyby nie to, z pewnością bym się wykręcił. Wciąż pamiętałem sen. Uczucie było miłe, ale niepokoiło mnie, że nie wiedziałem co dostanę, co dla mnie przygotował szalony kapelusznik.

W mroku, chłodzie, tak bardzo nieprzyjemnym (nawet jeśli w dużej mierze do niego przywykłem) trudniej było mi uwierzyć, że to wszystko się zdarzyło. Dlatego poszukałem swoich ran. Dotknąłem ich, ścisnąłem palcami rozbitą wargę. Nic nie poczułem.

Marek nie dawał za wygraną.

– Hej…

– Czego? – odpowiedziałem niegrzecznie. Powstrzymało go to tylko na sekundę.

– Powiedział mi, że mam siedem dni… Jeszcze siedem dni. I dwa przesłuchania.

Zamarłem z fiutem w ręce. Ostatnie krople moczu ściekały do wiadra.

– Kto?

– Jeden… jeden z nich. Chociaż właściwie nie wiem, kim jest. Był tu wczoraj wieczorem. Zaproponował mi… Nie uwierzysz, ja też nie potrafię.

Nie chciałem i nie zamierzałem się przyznać, że wiem, o kim mówi.

– Wariujesz – stwierdziłem. Nie dał się zbyć.

– Też tak myślałem, ale nie. To prawda… On powiedział, że…

– Nie chcę tego słuchać!

Nagła złość z mojej strony musiała go uprzedzić, że nie jestem szczery. W końcu może i był tchórzem, jak ja, ale z pewnością nie głupcem.

– Widziałeś go?

– Najwidoczniej miewamy podobne koszmary…

– Widziałeś. Więc on istnieje. I to, co powiedział…

– Zrób, jak uważasz i nie męcz mnie więcej – odciąłem się. – Chcę spać, więc racz się zamknąć, dobrze?

Posłuchał mojej prośby.

Przez następne trzy dni nie działo się nic szczególnego. Odliczałem każdą godzinę i minutę do chwili, kiedy stąd wyjdę. Czasem zapalali światło, przyglądałem się wówczas plamom krwi na ścianie, szukając w nich intrygujących układów. Była to moja galeria sztuki, prywatna wystawa. Odprężało mnie to patrzenie, pozwalało nie myśleć o tym, co będzie. Jak kiedykolwiek mogła mnie przerażać odrobina rozmazanej na murze krwi? Zaschnięta materia organiczna, nic poza tym. Nowoczesny kolaż namalowany przez kogoś

udręczonego – miesiąc, może rok, może dziesięć lat temu. Może sto. Co za różnica?

Moja własna krew już zakrzepła. Odrywałem świeże, niezagojone jeszcze strupki, szukając choćby odrobiny bólu. Nic nie znalazłem.

Sam nie rozumiałem, dlaczego mnie to martwi.

Zabrali Marka, zanim przyszli po mnie. Gdy szedł, jeszcze się trząsł. Gdy wracał, widziałem na jego twarzy tylko uśmiech. Podpisał cyrograf.

A co z ludźmi, którym nic złego się nigdy nie przytrafiło? Czy z nimi też zawiera umowy? Czy na nich też żeruje? – pomyślałem. Szybko znalazłem odpowiedź. Mógł im pokazać cokolwiek, coś strasznego, choćby niezwiązanego z nimi czy ich rodziną. Wojnę. Obozy. Egzekucję. Wystarczyłoby, by obdzielić miliony.

Jednak Marek mnie nie obchodził. Sam był kowalem swego losu. Interesowało mnie – a właściwie niepokoiło – ostatnie przesłuchanie. Nic się nie wydarzyło. Poprzednie, straszne wspomnienie o rodzicach wyblakło i nawet, gdy usiłowałem je przywołać, nie udało się. Dlaczego? Nie sądziłem, aby Nim rozumiał, czym jest miłosierdzie, aby mi odpuścił.

I nie myliłem się.

Dopadło mnie tuż przed ich przyjściem.

Widziałem więzienie, inne więzienie, lecz również mi znane. Cele nie były tak wilgotne i ciemne, a ludzie na górze nie mówili po polsku, ale poza tym wiele rzeczy było

podobnych. Pogarda katów i ich bezwzględność. Tortury i niekończące się oczekiwanie. Bliskość ostatecznego.

Widziałem siebie w gestapowskiej celi, a już po chwili obraz się przeniósł, zupełnie, jak w filmie, gdzie kamera podróżuje z miejsca na miejsce. Tym razem wszystko było zawężone, skondensowane do krótkiej migawki, godziny skrócono do sekund, a jednak ani trochę nie umniejszyło to ich straszliwej wartości. Widziałem, jak wyrywają paznokcie z dłoni Marcinka, jak biją Miśka po genitaliach, jak zaostrzonym prętem wyłuskują oko z oczodołu Karola. Czułem zapach krwi, potu i uryny, czułem strach i poniżenie, słuchałem płaczu i jęków Michałka, i wrzasków Miśka na chwilę przed tym, nim go wykastrowali. Nie sądziłem, że na świecie są podobni sadyści, a jednak wiedziałem też, że to nie jest jeszcze najgorsze i że w przeciwieństwie do obrazu zabijanych rodziców ten i następny zostaną ze mną na zawsze.

Wiedziałem, co czeka mnie na końcu.

Wyrwałem się i uderzyłem w twarz jednego z żołnierzy. Nie mam pojęcia, skąd w moim wyniszczonym ciele znalazłem na to siły. Czekałem, aż mi odda, nie osłaniałem się, liczyłem na ból. Nastaw drugi policzek. Proszę bardzo.

Odwinął się i walnął mnie pałką w szczękę. W ustach poczułem metaliczny smak krwi, a dwa zęby znalazły drogę ku wolności. Ale bólu nie było. Leżąc na ziemi, czekałem na kopniaki, lecz mi ich oszczędzili. Zamiast tego chwycili mnie pod ręce i zaczęli wlec po schodach w górę. Zapierałem się kolanami, jak najmocniej, tak, by zderzać się

z twardym betonem schodów przy każdej możliwej okazji. Lecz niczego to nie zmieniło.

– Wycofuję się! – krzyknąłem. – Wycofuję się, słyszysz?! Nie chcę go, nie chcę!

– Co ty bredzisz? – zapytał jeden z żołnierzy. Dotarliśmy do korytarza. Nie opierałem się, gdy zwlekli mnie do środka.

– Chcę do prądu – powiedziałem błagalnym tonem. – Podłączcie mnie do prądu, proszę. Zróbcie tak, bym poczuł ból. Dajcie mi wycisk. Błagam… – Uczepiłem się nogawki jednego ze strażników. Odepchnął mnie z obrzydzeniem.

– Nie ja tu decyduję – rzekł. – Ale może zaraz się doczekasz.

Do sali wszedł wąsacz. Zanim powitał mnie jakąś zgrabnie przygotowaną, efektowną mową zacząłem paplać:

– Zrób, żeby mnie bolało. Pragnę czuć ból. Ty skurwysynu, powinieneś mnie ukarać za wszystko! I za to co teraz mówię.

Pierwszy raz w jego oczach dostrzegłem zaskoczenie i niepewność. Nie rozumiał co się dzieje.

– To my decydujemy, tylko my – odparł, lecz bez stanowczości. Strzegł się, widocznie uznał, że jestem już skończonym wariatem.

– Sram na ciebie. Sram na UB i to wasze zafajdane państwo. Mam w dupie Związek Radziecki i Polskę Ludową! Poderżnę gardło temu psu Bierutowi, a może i samemu Stalinowi jeśli mnie teraz nie pobijecie! Jak chcecie, możecie mnie nawet zabić, ale nie zostawiajcie mnie tak…

Myślałem, że to przyniesie efekt, ale najwidoczniej zupełnie ich nie znałem. Wąsacz mógł zastrzelić mnie w każdej chwili – ludzie dostawali w czapę za mniejsze przewiny, a moje słowa kwalifikowały się do natychmiastowej kary śmierci. Lecz wariaci, ludzie uznani za szaleńców, traktowani są podług odmiennych praw. Pozwala im się na to, na co nigdy nie pozwoliłoby się ludziom będącym przy zdrowych zmysłach.

– Proszę… – wyjęczałem. Moje żale dopełniły reszty. Przesłuchanie było skończone, zanim w ogóle się zaczęło. Mogłem krzyczeć i bluzgać, kląć na Polskę Ludową i towarzysza Stalina, mogłem nasrać na środku ich ślicznego ubeckiego pokoiku tortur, ale i tak nie dostałbym tego, czego chciałem. Nie ruszyliby się z miejsca, by mnie skopać, nie wzięliby prętów, by połamać mi żebra, nie podłączyliby do moich rąk i nóg elektrod i nie zamieniliby mojego ciała w żarówkę.

– Zabierzcie go – rozkazał wąsacz. Wlekli mnie z powrotem do celi. Nie opierałem się, już nie. Nie było warto. W głowie rozbłysło mi fałszywe, bo nie moje wspomnienie. Gestapowski stół i metalowe krzesło, zestaw narzędzi do zadawania cierpień i zawalone aktami biurko. Marcinek wrzeszczący wniebogłosy, błagający o litość i kamienna twarz Miśka. Lecz przecież to nie przerażało mnie tak bardzo, jak wspomnienie, które dopiero miało nadejść.

Trzy dni później wyszedłem na wolność.

W zakładzie psychiatrycznym spędziłem trzy długie lata. Nie dlatego, że ktoś mnie zmusił. Chciałem tam zostać. Nie nadawałem się do życia w społeczeństwie, nawet tym nowym, idealnym niczym dobrze skrojony garnitur. Czy doszedłem ze sobą do ładu? Nie. Ale wmówiłem sobie, że obrazy nie mogą mnie zranić. Oczywiście było to kłamstwo. Mogły. Jednak usilnie potrzebowałem kłamać. Choćby przez krótki czas.

– *Uważaj na cienie* – powiedziała ósemka. Nie te w lochach. Cienie z przeszłości.

Powiedziała też:

– *Nie oddawaj duszy za bezcen.*

Gdybym mógł cofnąć czas, z pewnością posłuchałbym tej rady.

Nie pamiętam już dokładnie, jak wyglądała Zosia, kiedy się nie bała. Na pewno pięknie. Ale wówczas tam, w pokoiku z czterema gestapowcami, bała się, i to bardzo. Był to strach zwierzęcia złapanego w sidła. Strach przepełniony brakiem nadziei na wolność.

Rzucili ją na stół. Szarpała się. Dwóch trzymało ją mocno, dwóch innych zdzierało z niej ubranie. Próbowała kopać, oni tylko się śmiali. Zrobili swoje, sperma ściekająca po nodze Zosi zaplamiła podłogę. Dwóch pozostałych szykowało się do gwałtu, lecz nie zdążyli. Zrobiła to szybko, wykorzystała pierwszy moment nieuwagi i wyrwała zza paska broń jednemu z nich.

Płakała, gdy strzelała.

Tuż przed tym, nim ją zastrzelili, włożyła sobie lufę do ust.

– *Wspomnij mnie* – szepnęła i pociągnęła za spust.

* * *

Trzy lata później wyszedłem ze szpitala psychiatrycznego.

Nie zamknięto mnie tam zaraz po przesłuchaniu – nawiasem mówiąc, sam do dziś nie rozumiem dlaczego wąsacz (Stefan Białos, tak się nazywał, pułkownik UB) mnie nie zabił. Tak bardzo go wystraszyłem? Czy wariaci są aż tak przerażający? Czy też widział w moich oczach coś, co kazało mu zachować mnie przy życiu?

Nie wiem, zresztą niezbyt mnie to interesuje.

Znalazłem się w szpitalu dwa miesiące po wyjściu z więzienia. Przez pierwszy miesiąc próbowałem sam sobie poradzić z powracającym wspomnieniem o śmierci Zosi. Nie udało się. Każda noc była udręką, każda chwila stawała się tamtą chwilą. Widzianą. Nie przeżytą. Lecz tak samo realną, jak gdybym stał tuż obok.

Przestałem się zamęczać, przestałem próbować. Nie zapomnę.

Może z czasem obrazy zblakną, niczym stare fotografie, które ktoś kiedyś zrobił, sądząc, że przetrwają wieki. Nie łudzę się jednak. Moja cena za życie okazała się nader wysoka. Prawie tak wysoka, jak jej cena za śmierć.

Lecz myślę, że jej szept nie pozostanie bez odzewu. Wspominam ją codziennie – dobrze czy źle, z płaczem czy

ze śmiechem, lecz wspominam. I wierzę, że jest jakieś „tam”. Nawet jeśli daleko, to ją spotkam.

Być może wówczas, wolni od lęku, powspominamy wspólnie.

Tomasz Kilian

Rocznik 1977 – trochę zły, trochę dobry o delikatnie fantastycznej nucie z dodatkiem odrobiny surrealizmu. Słodko – wytrawny nadający się na spokojne wieczory i dalekie wyprawy.

A auto… przepraszam, autor? Z wykształcenia niby inżynier telekomunikacji i informatyki, ale lepiej nie pytajcie go o telefony, bo jeśli coś wiedział to i tak już dawno zapomniał. Wykonawca tysięcy zawodów w kraju i za granicą, czyli typowa kobieta pracująca.

Miłośnik horroru i nie tylko, jazzu i nie tylko, nie trącącego banałem filmu (tylko) oraz absurdalnego humoru. Lubujący się w matematyce, historii, astronomii, entomologii i paru innych rzeczach często kompletnie we współczesnym świecie nieprzydatnych. Obliczy całkę, rozwiąże równanie różniczkowe, wie co to proces przekątniowy Cantora, ale z przerażenia chowa się pod stół na myśl o wypełnianiu PITa, czy jakiegokolwiek innego urzędowego pisma. Posiadacz wiedzy teleturniejowej – czyli „ze wszystkiego po trochu, ale z niczego do końca”. Publikował w „Science fiction”, „Science fiction, fantasy i horror” oraz kilku antologiach („Bez bohatera”, „Nowe idzie”, „Nawiedziny” i „Szablą i wąsem”). Niefikcyjnie zaś w „Nieznanym świecie” (tak, wierzy w UFO!). Przyszłość wiąże z pisaniem jeśli się uda nie tylko prozy także

i scenariuszy. Zwierzolub, tofu, seitano, a przede wszystkim warzywo- i owocożerca, czyli weganin.

http://geniuscreations.pl/autorzy/tomasz-kilian

Maski normalności – Iza Korsaj

1
Krwawy ideogram

Roy: 6 lat

Czasami życie przynosi *obraz*, który na zawsze pozostaje w pamięci. Wielbi się go. Albo *nienawidzi*. Możliwe, że będą to freski z Kaplicy Sykstyńskiej, dopieszczone pędzlem Michała Anioła. Kościół Santa Maria Formosa. Wenecki Most Rialto albo Tadż Mahal. Najnowszy model samochodu. Pocałunek wśród zieleni w deszczową noc. Dla Roya takim *obrazem* stało się truchło gołębia.

Ptak leży na poboczu szarej, wyjeżdżonej przez auta drogi, kiedy zauważa go Roy, sześcioletni chłopiec z połyskliwymi, czarnymi oczami i posępną miną. Gołąb z pozoru wygląda normalnie: biały dziobek, czerwonawe, szkliste oczka. Zielonkawo-fioletowa szyja, szare piórka z białymi paskami. Nóżki, czerwone nóżki zakończone pazurkami. Gołąb. Leży na boku, potrącony przez samochód. Drapieżnie łapie hausty uciekającego życia. Roy wpatruje się w niego zaintrygowany.

Przez sekundę gołąb *patrzy* na niego. Tuż obok po wybojach toczą się samochody, warczą motory, drga powietrze. Mijają go ludzie. Ale Roy znajduje się *sam na*

sam z gołębiem. Patrzą na siebie. Gołąb i Roy mierzą się spojrzeniami.

Chłopiec bierze zwierzątko w dłonie i omiata je wzrokiem. Nie czuje obrzydzenia, niby *dlaczego* miałby je odczuwać? Na narzucone przez dojrzewanie i społeczeństwo nawyki ma jeszcze czas. Wysuwa koniuszek języka, różowy i śliski. Kciuk lewej ręki trzyma na wysokości oczu, jak rzymski cesarz podczas walk gladiatorów. Jeśli kciuk powędruje w górę, wojownik ujdzie z życiem, jeżeli w dół…

Zaciska piąstkę jak imadło wokół korpusu gołębia. Słychać chrupot łamanych kostek. Ciałko nie stawia oporu. Jest miękkie, niczym przytulanka. Gołąbek-przytulanka.

Oczy, wybałuszone w trwodze niczym idealnie okrągłe piłeczki, niemal natychmiast zachodzą mgłą. Pod zwiększającym się ciśnieniem z dzióbka wypływa paskudna, połyskująca maź.

Urywany krzyk. Tupot nóg. Białe adidasy sadzą przez trawnik, jak najdalej od tego *czegoś.* Symbolu utrwalonego *na zawsze* w podświadomości. Mentalnego ideogramu śmierci i zła.

2
Telefon

Roy: 30 lat

3 nad ranem

Nocny telefon wyrwa Roya ze snu. Na wpół przytomny maca aparat stojący na niewysokim stoliku. Leżąc, podnosi

słuchawkę.

– Tak? – odzywa się zaspany. – Kto mówi? Sharon, to ty?

Brak odpowiedzi.

– Mike? Facet, jeżeli robisz sobie żarty… – Roy czuje, jak niespodziewany stres napina w jego ciele każdy mięsień. Po drugiej stronie linii zapada cisza, przerywana odległymi trzaskami. Zakłócenia atmosferyczne utrudniają połączenie. Roy przeciera sklejone powieki.

– Człowieku, wiesz, która godzina? – Puka w słuchawkę. – Halo…? – Obraca się na drugi bok, trzymając ją przy uchu. Patrzy na zegar. Trzecia nad ranem. Jasna cholera, niech to szlag. Roy opada na łóżko. Ma nadzieję, że to pomyłka, że nikt się już nie odezwie i że nareszcie pozwolą mu spać. Zazwyczaj *rozpoznaje* dźwięki telefonu: już po *brzmieniu* dzwonka instynktownie wie, kto dzwoni.

Krótki, ostry dzwonek oznacza telefon z firmy. Nie zawsze miły, ale Roy jakoś sobie z tym radzi. Dyskretny, dzwoniący do skutku lub dopóki nie włączy się sekretarka, zapowiada Sharon. Roy jest szczególnie wyczulony na tembr jej głosu. W wibracjach jej strun głosowych wyczuwa specyficzne rozedrganie, jakby zawsze wyrażała ochotę na coś *więcej* niż zwykłe przytulanie. Na razie Roy obchodzi się smakiem, ale kto wie? Często dzwonią jego współpracownicy. Telefon dźwięczy wtedy z uporem, natarczywie, ale krótko. Nigdy nie zostawiają wiadomości na sekretarce. Roy musi się śpieszyć, aby ich złapać na linii. Niekiedy dzwonią dawni koledzy, koleżanki za studiów, ale zbyt rzadko, i teraz Roy nawet nie bierze ich pod uwagę.

Ten dzwonek jest obcy, całkiem *nieokreślony*. Ani nieprzyjemny, ani specjalnie miły. Nic niezwiastujący. Po prostu dźwięczy i dźwięczy. Od tego dzwonienia mechanizm aż furkocze w środku. Słyszysz dzwonek i wiesz, że musisz odebrać telefon. Prawda, Roy…? Prawda, że *wiesz*…?

W słuchawce słyszy oddech. Równomierny, spokojny oddech człowieka, który zakłóca mu odpoczynek. Rozmówca nie zadaje sobie trudu zasłonienia słuchawki. Tak jakby się droczył, prowokował. Jakby robił wszystko, by zostać zdemaskowanym. Jakby potrzebował bliskości drugiego człowieka do – jak na razie – niesprecyzowanych celów. Znowu pojawia się myśl:

Słyszysz dzwonek i wiesz, że musisz odebrać telefon.

Roy nie boi się wysokości. Nie ma klaustrofobii. Nie wykształcił w sobie lęków, które nękają ludzi. Jest (jak sam siebie określa) sceptycznym intelektualistą, jednak teraz, w środku nocy, o tej godzinie, nagromadzone od miesięcy intensywne przeżycia mogą spowodować zapaść. Zapaść delikatną jak piórko albo ciężką jak ołów. Wszystko zależy od tego, czy skumulowane emocje osiągnęły *krytyczny poziom nagromadzenia*.

Czy *wreszcie* go osiągnęły.

Niektórzy ludzie latami wyrabiają w sobie przekonanie, że żyją w bezpiecznej otoczce codziennych, zwykłych spraw: mają pracę, partnera, dzieci, dom. Prowadzą nieszkodliwą egzystencję podobną milionom rodaków. No, może czasem *to* obija się o ich mentalny parawan bezpieczeństwa, ale nie dociera do nich bezpośrednio.

Wszystko, co się dzieje poza otoczką, jest *brudem*. Ludzie czytają o nim w gazetach, widzą go w telewizji, ale nie czują go, nie dotykają, nie uczestniczą w nim. Rozsądni ludzie wolą się od niego odgrodzić. Wolą zapomnieć. Niepamięć jest równoznaczna z niebytem. Do czasu aż przekroczy się *krytyczny poziom nagromadzenia*, a do bezpiecznej otoczki wleje się odarta z iluzji rzeczywistość.

3
Reminiscencje

Kilka dni wcześniej

Jesienna ulewa z furią roztrzaskuje się o bruk. W nowojorskim mieszkaniu Roya panuje kojący półcień. W rogu salonu na niskim, szklanym stoliku stoi ledwo napoczęta whisky. Szklanka wędruje do ust leżącego na sofie Roya, który opróżnia ją jednym haustem, do reszty pochłonięty przez wspomnienia. Wspomnienia, które nigdy nie przyblakły, wzbierające jak balonik emocje, które nigdy nie znalazły ujścia. Wciąż można zaleczyć rany, ale on nie potrzebuje pociechy. Reminiscencje to jego *terapia*, usprawiedliwienie dla obecnego stanu ducha. Roy starannie pielęgnuje w sobie te uczucia.

Wspomnienia mnożą się jak komórki nowotworowe. Świetliste, intensywne, natrętne, pobłyskujące.

Roy zaciska powieki.

Zapach kadzideł i przejmujący dźwięk dzwoneczków podczas mszy. Rozmiłowany w Bogu kościelny chór. Chrystus rodzi się i wciąż dogorywa na krzyżu.

Trzynastoletni Roy siedzi w ławce pomiędzy Mamą a Tatusiem. Na końcu ławki ten stary pierdoła, Freddie, odmawia różaniec. Przesuwając paciorki, kiwa się jak ortodoksyjny Żyd przy Ścianie Płaczu. Bicie żony, małżeński gwałt, różaniec, wódka, bicie żony, gwałt, różaniec i tak w kółko. Wierni śpiewają. Nie brakuje im *radości* potrzebnej do służenia Panu. Tata ma trochę ochrypły, gardłowy głos, ale tony wydawane przez Mamę są nawet przyjemne.

Roy nie śpiewa. Nie uczestniczy w chwale Chrystusa. Zaciśnięte wargi układają się w wąską kreseczkę. Czeka. Jeden refren, zwrotka, drugi refren, zwrotka, bis. Nareszcie. Tylko kilka głosów podtrzymuje zamierającą melodię. Koniec. Kapłan intonuje: módlmy się.

Trzynastolatek wie, co ma *myśleć* na temat moralności i Boga. Bóg stworzył ludzi na swój obraz i podobieństwo. A może stało się *odwrotnie*? Obdarzeni wolną wolą ludzie są źli i cały czas zabijają. W wieku sześciu lat *osobiście* poczuł palec zła, gdy zaznajamiał się ze śmiercią na drogowym poboczu. Od tej pory *wie*, co ma myśleć o Bogu. Nie potrzebuje do tego instytucji Kościoła ani duchowego przewodnika. Nie potrzebuje *nikogo*. Cała moralność jest w nim samym, przez niego stworzona i konsekwentnie *realizowana*.

Roy otwiera oczy. Natychmiast krystalizuje się przed nim kolejne wspomnienie.

Andy. Jego Osobisty Wielki Zły Braciszek. Wspomnienia o nim otaczają jego głowę bolesną obręczą. Andy był, jest

i pozostanie *zły*. Odkąd pamiętał, niechęć między nimi działała w obie strony. Nie lubili się. Po prostu. Więzy krwi nie są *gwarantami* braterskiego uczucia. Dla Roya Andy uchodził za kogoś obcego: był Dużym Złym Facetem, który tylko czyhał, aby rzucić mu wredną uwagę, aby mu czegoś zakazać, aby się z niego śmiać. Roy nienawidził tego śmiechu: szyderczego, jakby brat miał coś do ukrycia. Roy sam rzadko się śmiał. Nie lubił żartów, nie oglądał komedii. Otaczający go świat sam w sobie był festiwalem śmiechów i wytykania palcami. Pełen nienawiści i przemocy. Był takim *wtedy* i pozostał taki do dziś.

Ze stłumionym westchnieniem podchodzi do okna i rozchyla żaluzje. Ulewa przybiera na sile. Krople deszczu wściekle bombardują szyby.

Roy wytęża słuch. Przysiągłby, że słyszy miarowe *szemranie* dochodzące z wnętrza budynku. To go intryguje. Przecież o tej porze w holu panuje spokój. Mieszkańcy apartamentów biorą udział w codziennej pogoni za pieniądzem albo tkwią w popołudniowych korkach. Ci, którzy mają więcej szczęścia, może dotarli na Piątą Aleję, gdzie najłatwiej było o stłuczkę, bo każdy zapracowany nowojorczyk śpieszył się do domu. Sam niekiedy grzęźnie w korkach. Wie, że to nic miłego stać z przegrzanym silnikiem, z zadkiem przyrośniętym do fotela i w zamknięciu samochodowej klatki złorzeczyć całemu światu.

Podobno lęk przed obcymi odgłosami jest zapisany w genach: wzmaga czujność i przygotowuje organizm do walki. Reaktywuje też różnorakie *płaszczyzny myślowe*.

Natarczywe skrobanie wydobywa się gdzieś z *głębi*, jakby zmutowany gigantyczny szczur wgryzał się w okablowanie.

ZZZiiip… ZZZiiip…

Chrobotanie.

Nie myśl o tym. Po prostu nie myśl. Postaraj się. Przecież potrafisz.

Roy miesza whisky z wodą, dorzuca z kryształowego wiaderka parę kostek lodu i przyrządza sobie następnego drinka.

Potrafi. Tak, potrafi.

Rozsiada się na sofie i pozwala myślom na nieskrępowany bieg. *Dźwięk* się wyostrza, krystalizuje. Nabiera twardych, przedtem niesłyszalnych brzmień.

4
Skorpion i żółw

Są takie słowa, które, gdy padną na *nieodpowiedni* grunt, mogą wyrządzić tyle dobra, co zła. Wszystko zależy od tego, jak zostaną *zinterpretowane*. W wieku sześciu lat Roy usłyszał od ojca historyjkę. Jedyną z rodzicielskich opowieści, którą na zawsze zapamiętał. To było na miesiąc przed tym dniem; przed *Dniem, w Którym Zabił Gołębia*. Zapach ciemnych, gęstych włosów Tatusia. Takich, które odziedziczyli po nim synowie, Roy i Andrew McCoy. Ostre perfumy Mamy, jej manicure i perfekcyjna fryzura. Andy, jak zwykle zły i znudzony. Na stoiku cappuccino

i czekoladowe ciasteczka. W sąsiednim pokoju gra telewizor: niebieski kwadrat wyraźnie odbija się na szybie.

W pamięci Roya otwiera się skrytka z ojcowską opowiastką.

– Pewnego dnia Skorpion zawędrował na plażę. To był upalny dzień, zaś na pobliskiej wyspie rosły palmy dające schronienie. Skorpion koniecznie chciał się przedostać na tamten brzeg. Niestety nie umiał pływać. Dostrzegł jednak Żółwia brodzącego przy brzegu. Zapytał gada, czy zgodzi się przetransportować go na wyspę. Żółw odmówił. Oświadczył Skorpionowi, że boi się jadowego kolca, którym zwierzę mogłoby go uśmiercić. Uparty Skorpion ponowił prośbę i obiecał, że nie użyje swej broni. Gdyby to zrobił, obaj poszliby na dno. Żółw uległ jego namowom. Wypłynęli. Kiedy znaleźli się mniej więcej w połowie drogi, Skorpion użądlił Żółwia.

– Dlaczego to zrobiłeś? – zapytał Żółw. – Przez ciebie obaj zginiemy.

Skorpion odpowiedział:

– Taka jest moja natura.

5
Intruz

Zgrzytliwy dźwięk wydobywa się z osobliwą monotonią. *Wściekły szczur gryzący kabel.* Myśl o szczurze nie daje Royowi spokoju. Wielki, tłusty, obleśny gryzoń.

Całkiem niedaleko, za najbliższą ścianą, coś zgrzytnęło. Roy nie może się powstrzymać od myśli, że to szczur

przegryzł jakiemuś żyjątku kark.

TRRRAAACH!

Roy nie rusza się z miejsca.

Natychmiast tego żałuje. Pierwszą rzeczą, jaką *odczuwa,* jest wylot lufy pistoletu przyłożony do jego skroni.

Nagle wszystkie komórki ciała kurczą się, a pustą przestrzeń wypełnia przerażenie.

Roy nie krzyczy. Nie błaga o litość. To i tak *bezcelowe*. Stoi nieruchomo, z szeroko rozwartymi oczami. Mięśnie twarzy pulsują dziko. Dłonie zaciskają się w pięści.

To jak *film.* Kadr po kadrze. Spostrzegasz pocisk nadlatujący tak wolno, że widzisz jego tor, słyszysz plaśnięcie, czujesz krew na podniebieniu. Ciało kurczy się i rozluźnia. Pojedyncze kadry przesuwają się wolno, potem szybciej i szybciej. Nic ci się nie stanie, bo to tylko *kurewski film*. Według własnej reżyserii i scenariusza. Z sobą samym w roli głównej. Za sekundę padnie komenda: *cięcie*!

Jedyną myślą Roya staje się pytanie, czy będzie bardzo bolało. Oddycha coraz trudniej i płycej.

Słyszy plaśnięcie. Nie krzyczy. Zaciska zęby i oczy. Świat zalewa się czerwienią. Roy upada skulony na ziemię.

6
Wybawca

Roy leży na podłodze w pozycji embrionalnej. Parę metrów od niego stoi mężczyzna ubrany w czarny, skórzany płaszcz. Jego twarz nie zdradza jakichkolwiek oznak

zdenerwowania. Stoi nieruchomo, milczy. Przez chwilę wpatruje się w Roya. Delikatnie chwyta go za ramię i podnosi z podłogi, obejmując w pasie. Obaj są wysocy, mają ponad metr osiemdziesiąt, jednak przeżyty wstrząs przykurcza ciało Roya, skracając go optycznie o kilka centymetrów.

– Roy…? Wszystko w porządku?

– Uhm… – mówiąc to, Roy patrzy na *trupa*.

Ciało, rozwalone na środku salonu, leży z kończynami rozrzuconymi na boki.

Czerwone mięśnie. Różowoszara galareta mózgu i drzazgi roztrzaskanych kości. Pod czaszką gęstnieje plama krwi.

Roy czuje, że jeżeli nie przestanie na nie patrzeć, zwymiotuje. W kącikach ust pojawiają się bąble ciepłej śliny. Wyciera je rękawem.

Wybawca *rozumie*, co się święci.

– Chodź, Roy… Nie tutaj. – Bierze go pod rękę i wyprowadza do sypialni. Otwiera szeroko okna. Wilgotne, pachnące ozonem powietrze błyskawicznie napełnia wszystkie pomieszczenia. Roy nie wie, kiedy przestało padać, przed *atakiem* czy może już po. Możliwe, że w *trakcie*, ale sztywne, kruczoczarne włosy wybawcy są suche.

Wybawca musi szybko go uspokoić. Wie, że po tych *przeżyciach* należy się mu szczególna opieka, prawie jak dziecku. Ma przed sobą wystraszonego chłopca, nie

dorosłego mężczyznę. Przynosi z kuchni lód i podaje go Royowi. Jest stanowczy, ale delikatny.

– Przyłóż. Zobaczysz, zaraz poczujesz się lepiej.

Zawsze się tak mówi: połóż się, wypocznij. Katastrofa samolotu, w której zginęli najbliżsi, oczekiwanie na poród, na wynik operacji. Na *ostateczne* ustalenia. Nie denerwuj się, wypij herbatę czy kawę. Prześpij się, odpocznij. Wszystko będzie dobrze. Zrobimy co w naszej mocy.

– Nie przejmuj się zbyt mocno, Roy. Weź głęboki oddech i postaraj się rozluźnić. Nie pozwól, aby cię to *naznaczyło*. Takie rzeczy się *zdarzają*. Obiecuję, że kiedy to wszystko się *skończy*, będziesz zadowolonym z siebie skurczybykiem – mówi i przysuwa sobie fotel. – Najlepiej nie myśl o tym więcej, okej?

Roy wlepia oczy w parkiet, nagle zafascynowany sękami na klepkach.

– Miałeś mnie ochraniać. *Obiecałeś*, że będziesz mnie ochraniał. To była jedna z twoich *gwarancji*. A ty co?

Roy musi się wygadać, musi uwolnić nagromadzone w sobie emocje.

– To co, teraz byle jaki obszarpaniec może wyładować złość na niewinnym człowieku?! Powiesz mi, co to za przekręty? Wystawiłeś mnie?!

Wybawca splata dłonie.

– Posłuchaj mnie, Roy. Ludzkie życie jest tanie, to raz. Gdybym cię nie *ochraniał*, nie byłoby tej rozmowy, to dwa. – Uśmiech mężczyzny nie dochodzi do jego oczu. – Żyjesz?

Żyjesz. Chyba to powinno się liczyć. Przynajmniej dla *ciebie*.

– Kurwa, ktoś napuścił na mnie egzekutora!!! – Agresja ponownie dominuje nad strachem. – Przecież nie zrobiłem niczego złego! Żyłem uczciwie. Nikt mi nie groził. Nie miałem długów. Nie wtrącałem się. Naprawdę nie rozumiem.

Wybawca robi minę sugerującą *„nie pierdol, bo i tak ci nie wierzę”.*

Roy nawija dalej:

– To ktoś z mojej firmy. Tłusta pijawka… – w oczach pojawiają się szaleńcze ogniki. – Moja śmierć daje mu szansę przejęcia mojego stanowiska…! Ja wiem, co to za figura…! – oznajmia radośnie niczym dziecko, które policzyło, ile daje dwa razy dwa. – *Howard Davis*! Od początku źle mu patrzyło z oczu!

W odpowiedzi na te rewelacje rozmówca Roya smutno kręci głową. Czyżby tylko tyle miał do zaoferowania…?

7
Paranoja

3.30 nad ranem

Drgania w słuchawce brzmią jak przytłumiony śmiech. Royowi przestaje się to podobać.

– Hej, ty! Odezwiesz się wreszcie, czy mam tak sterczeć z słuchawką przez resztę nocy? – warczy do aparatu. Zdążył już oprzytomnieć.

Rozmówca nie śpieszy się z odpowiedzią. Ale musi słyszeć, jak Roy rzuca słuchawką o blat.

Telefon dzwoni ponownie. Tym razem eter jest czysty, bez śladu szumów.

Mówi ze spokojem:

– Ech, ty żałosny sukinsynu. Łatwo tracisz nerwy. Bez powodu podnosisz głos. To w niczym ci nie pomoże. Ty i ta twoja niedobra obsesja – wzdycha. – Mam dla ciebie *wiadomość* – znienacka zawiesza głos. – Twój *braciszek* o tym wie. O wszystkim. O twoich małych, brudnych gierkach.

– Co?! Zaraz, zaraz! Zaczekaj! – Myśli Roya rozbiegają się we wszystkich kierunkach. Co za bezsens. Jaki braciszek?! Jakie gierki?! Czego on chce?!

Śmieszne. Czy to nie ten rodzaj dewiacji, psychofizycznego uzależnienia, jak seks z kimś, kogo nie znamy nawet z imienia? Łasi się babka do ciebie, przymila i ciągnie w kierunku toalety, aby miło spędzić w niej czas. Taka puszczalska pójdzie z tobą za drinka czy piwo. No dobra, zaraz zobaczymy, co będzie, jak sobie *odpowiednio* pogadają.

Mówi:

– Słuchaj, kimkolwiek jesteś, wiedz, że w każdej chwili mogę się *rozłączyć*. Odłączyć telefon. Mogę rzucić słuchawką o ścianę. Kto wie, może teraz trzymam ją w dwóch palcach? – odzywa się zaczepnie. – A wtedy ty będziesz musiał szukać rozmówcy od nowa. I będzie ci *przykro*. Ale ty tego nie chcesz? Prawda, że nie chcesz?

Nikt nie lubi być *odrzucany*, no nie? Więc przestań pieprzyć. Tracimy czas. Obaj.

Pogłos w słuchawce, niczym komar zawieszony nad uchem, brzęczy cicho, ale denerwująco.

Zapada cisza.

Roy podnosi się na łokciu. Czeka na odpowiedź, choć nie jest pewny, czy ją *usłyszy*. W sumie głupawy dowcip. Beztroska zabawa człowieka cierpiącego na bezsenność. Może jest takim samym zestresowanym facetem jak on. Może nie należy go oskarżać…? Chociaż w odniesieniu do obecnej sytuacji można na to spojrzeć z innej, mniej przyjemnej strony. Człowiek najwięcej myśli wtedy, gdy ma do rozwiązania jakiś problem.

Żeby to chociaż był głuchy telefon. Żeby ktoś po prostu sprawdzał, czy nie ma mnie w domu albo zwyczajnie chciał pogadać. O czymkolwiek. O bezsenności, koszmarach, afirmacji życia, polityce, wykorzystywaniu dzieci, kobiet i zwierząt, beznadziejności telewizji, przepływie informacji, o przeżytku zwyczajowego modelu rodziny. O giełdzie, akcjach i bankach na Wall Street. O pieniądzach, tych wiecznie wyślizgujących się z rąk kawałkach papieru. Są tacy ludzie, im głośniej rozbrzmiewają wokoło, tym bardziej życie wydaje się im *realne*. Przeżywają je potem na nowo miliony razy. W różnych konfiguracjach, łącząc je ze sobą jak puzzle. Tak byłoby najlepiej. Roy pocieszyłby człowieka, pozwoliłby mu się wypłakać i koniec. Do widzenia. Żegnam. Proszę więcej nie telefonować. Proste. Ale motywacje ludzi zwykle różnią się od pobożnych życzeń.

Ktoś poznał mój numer. Pierwszy element wyliczanki: entliczek, pentliczek, czerwony stoliczek, a potem bach, bach, bach! Konto bankowe, karta kredytowa, ubezpieczenia. Poręczenia, akcje i cenne kontrakty. Czy nie wybuchła kiedyś afera w związku z handlem danymi osobowymi?! Nie, chyba nie. *Pamiętałby* o tym. Nie ulega wątpliwości, że ktoś bawi się z nim w tę starą grę: zgadnij, kto tu jest? I tak właściwie Roy nie chce z niej rezygnować. Nawet jeżeli rozmówca *zna* jego namiary. Nawet jeżeli może wyrządzić szkody. Roy odkrywa, że zaczyna *myśleć* jak tamten, *mówić* jak on. Powoli wciąga się w zabawę. Coś go trzyma przy telefonie. Odczucie, którego się pragnie, bo jest przyjemne, i jednocześnie nienawidzi, bo sprawia ból.

Czas do namysłu się skończył. Nieznajomy mówi dalej:

– Tak, tak, braciszek wie o wszystkim – powtarza skwapliwie. – O wszystkim, przyjacielu.

Roy wytęża słuch. Kim jesteś? Powiesz mi, kim jesteś, do cholery? Że też nie potrafi go zidentyfikować!

– Oj, nie domyślałeś się? – łagodnie pyta głos.

– Kim jesteś? – Roy siedzi z uchem przyciśniętym do słuchawki. Drugą ręką intensywnie pociera udo. – Powiedz wreszcie, do kurwy, kim?!

– Pytasz o profesję czy nazwisko? – chichocze głos. – Zresztą czy to ważne? To nie przesłuchanie. Nie musisz się orientować. To by popsuło nastrój, zniszczyło nasze małe *porozumienie*. Nikt nie zrozumie ciebie *lepiej* niż ja.

– Niby dlaczego? – zaciekawia się Roy. Pomyleniec czy nie, przykuwa uwagę.

– Jesteś wściekły z powodu rozmowy, ale się nie rozłączasz. Boisz się jej konsekwencji, chociaż wiesz, jak się mają *niektóre* sprawy. Strach można pokonać – nieznajomy pieści ustami każde słowo. – Ale uważaj. Jesteś na dobrej drodze do rozpieprzenia sobie życia.

Zanim przebrzmiały te słowa, Roy pomyślał, że to *więcej* niż krytyczny poziom nagromadzenia. To coś takiego, co podnieca *bardziej* niż rozkosz, ten świadomy ból, kiedy słyszy się to, z czym się rozmyślnie ukrywa przed światem, a czego za nic nie chciałoby się usłyszeć z ust drugiej osoby.

On to *wie*. Nieznajomy *również*.

– Odwal się ode mnie, ty chory sukinsynu! Słyszysz, zasrańcu?! Daj mi spokój!

Słuchawka, rozgrzana ciepłem dłoni, upada na podłogę.

Roy wyskakuje z łóżka. Przywiera plecami do ściany. Czuje pot na skroniach i między palcami. Ciągle słyszy słowa rozmówcy. Teraz są jego własnymi słowami.

Jezu Chryste, co za paranoja. Co to w ogóle jest?! Telefon! Cholerny telefon! Ale teraz wszystko jest dobrze. Prawda, że jest *dobrze*? To tylko telefon. *Daleki* telefon. Nic się nie stało. To tylko głos jakiegoś świra. Spokój. Zachowaj spokój. Przypomnij sobie *zaklęcie*. Zaklęcie, że wszystko jest okej.

Z przekleństwem na ustach Roy zapala lampę. Przestrzeń wokoło łóżka wypełnia łuna żółtego światła. Patrzy w miejsce, w którym porzucił telefon. Aparat leży nieruchomo na posadzce. Jak przyczajone, gotowe do ataku

zwierzę. Roy staje nad nim, niezdecydowany. Ręce zwisają wzdłuż tułowia. Głowa pochyla się w dół.

Przecież to śmieszne. Posprzątaj i połóż się spać. A to? Co TO może ci zrobić? Jakaś popieprzona, martwa rzecz.

Mija pół minuty, zanim schyla się po słuchawkę i ostrożnie przytyka ją do ucha. Żadnych szeptów ani oddechów. Jednostajny sygnał; przeciągłe buczenie, gdy oczekuje się na rozmowę. Oddycha z ulgą. Ten ktoś, kimkolwiek był, dał za wygraną.

Podśmiewając się z własnej głupoty, wraca do łóżka. Zasypia, gdy pod czaszką przelatuje mu myśl: skąd ten *braciszek*? Odkąd pamięta, zawsze zwracał się do Andy'ego w tej ironicznie zdrobniałej formie.

Braciszek! Braciszek!

Przezwycięża zmęczenie i, zezując na aparat, wspiera się na ramieniu. Wyławia uchem szmer. Początkowo tak cichy, że może uchodzić za uliczne odgłosy przytłumione ścianami budynku. Nowy Jork nigdy nie zasypia. Nowy Jork niczym Kusiciel uwodzi materialnymi błyskotkami. Jego prawdziwe imię brzmi: *NICOŚĆ.*

Roy czeka. Kreseczki czerwonych cyfr na cyferblacie wideo zmieniają położenie. Szum przybiera niższe obroty. Roy zasłania uszy. Tryby jego świadomości zaczynają się *zacinać*. Nie pierwszy już raz.

Stopniowo z warkotu wyłaniają się sylaby i łączą się w zrozumiałe słowa.

– Jesteś tam? Obaj wiemy, że jesteś. Zedrzyj maskę. Dalej, śmiało, zacznij wreszcie ją zdzierać, ty smutny

kutasie. Zedrzyj ją i popatrz. Popatrz dokładnie. Nawet nie próbuj zaciskać powiek, bo i tak będziesz *widział*. Przez cały czas. Świat nie znika, kiedy zamykasz oczy. Czas *dorosnąć*, Roy.

Roy stacza się z łóżka wprost na podłogę. Doskakuje do telefonu, rzuca się do gniazdka i oburącz pociąga za kabel. W słuchawce dźwięczy głośne *biiiiip*. Potem zapada cisza. Roy wbiega z aparatem do łazienki. Podnosi telefon na wysokość twarzy. Zaciska palce na obudowie.

– Niczego o mnie nie wiesz! Niczego! – wrzeszczy i rzuca aparatem o podłogę. Telefon rozpada się. Ze środka wypadają głośniki i bateria.

Roy nie może opanować drgawek.

– Rozwaliłem cię! Rozwaliłem! – wciąż wrzeszczy nad kupką elektronicznego złomu. Zerkając w łazienkowe lustro, staje sam ze sobą *twarzą w twarz*.

W niespodziewanym przebłysku *olśnienia* już wie, *kim* był telefoniczny *rozmówca*, i rozpoznaje tożsamość *zamachowa*. Ale jest już za późno. Krytyczny poziom nagromadzenia zostaje *przekroczony*.

Maska normalności ześlizguje się z twarzy powolnym, nieubłaganym ruchem.

Jego świadomość staje się *pasem ziemi niczyjej*, gdy z całej siły uderza o kant umywalki, rozbijając sobie głowę.

8
Gołąbek

Na parapecie apartamentu Roya siedzi zdrowo przekarmiony szary gołąb. Przekrzywiając łepek, obserwuje, jak *ludzkie istoty* pakują zawinięte w worek ciało do podstawionego karawanu. Po dłuższej chwili *usatysfakcjonowany* odlatuje w kierunku Central Parku, z radosnym gruchaniem.

9
Zapiski Neila Scarfe

Ciemna strona człowieczej natury jest jak *loteria*. Nigdy nie wiesz, co wylosujesz. Masz jednak świadomość, że każdy fant będzie felerny, zepsuty; będzie w ten czy inny sposób *zły*. Roy McCoy miał wielkiego pecha w tym upiornym losowaniu.

Roy McCoy, trzydzieści lat, zaledwie miesiąc przed śmiercią zgłosił się do mnie po pomoc. Twierdził, że nie radzi sobie z otaczającą go rzeczywistością. Było to prawdą, ale mimo to pozornie świetnie egzystował. Wynajmował luksusowe mieszkanie, cieszył się sowitą pensją dyrektora w firmie budowlanej. Ponury i wyobcowany, choć o lotnej inteligencji, miał szanse na sporą karierę, gdyby nie fakt, że pielęgnowane od dzieciństwa *fobie* rozrosły się do katastrofalnych rozmiarów. Cztery sesje terapeutyczne, jakie z nim odbyłem, nie wystarczyły, aby dotrzeć do sedna problemu. Roy opierał się hipnozie; stwierdził, że na pewno *zwariuje* pod jej wpływem i że będzie mówić o rzeczach, o których boi się *pomyśleć*. Pozostawała więc, przynajmniej

na razie, odpowiednio nakierowana *rozmowa*. Choć i z nią bywały problemy.

Roy nie chciał regularnie przyjmować pigułek. Uporczywie twierdził, że gorzej się po nich czuje. Na niewiele zdały się tłumaczenia, że lekarstwa zaczynają działać *dopiero* po około trzech tygodniach. Początkowo skutki uboczne są na porządku dziennym i jakoś trzeba to przetrzymać. Roy brał więc czasem przepisane pigułki (lub kłamał, że bierze), ale często *łączył* je z alkoholem. Mówił, że tylko po drinkach czuje się *szczęśliwy*.

Roy cierpiał na socjofobię. Nienawidził telefonów, unikał kontaktu z ludźmi (poza tymi niezbędnymi w pracy), *brzydził się* innymi. Nie miał stałej partnerki, twierdził, że wystarczą mu wizyty w *burdelu*, pornosy i własna ręka. Nie utrzymywał kontaktów z rodziną. Z nieznanej mi przyczyny Roy nienawidził starszego brata. Jeżeli już zechciał o nim mówić, używał wciąż epitetów typu: wredny, paskudny, zły. Słowo *zły* padało z jego ust najczęściej w odniesieniu właśnie do Andy’ego McCoya. Możliwe, że powodem agresji była przemoc domowa albo kazirodcze wykorzystywanie seksualne. Niestety, tego już nie zdążyłem się dowiedzieć. Rodzice Roya mieszkali setki kilometrów od Wschodniego Wybrzeża. Roy przeprowadził się, aby podjąć studia na Harwardzkiej Szkole Biznesu, którą ukończył ze znakomitym rezultatem.

Roy nie chciał *oswajać* swoich lęków. Pozwalał, aby szczerzyły do niego zębiska, pozwalał im się *kąsać*, boleśnie, do krwi, do żywego ciała.

Notoryczne *nadgryzanie* przez strach skończyło się tragicznie, gdy do fobii dołączyły halucynacje. W tej sytuacji Roy nadawał się już tylko do szpitalnego leczenia.

Podczas ostatniej sesji zażądał ode mnie domowych wizyt. Mówił, że zapłaci, że jego mieszkanie to ukryta przed wszystkimi *jaskinia* i że jestem *jedyną osobą*, której pozwoli przekroczyć jej próg. Od paru dni był już na urlopie. Przez ten czas nie opuszczał domostwa. Wmówił sobie, że ktoś dybie na jego życie. Tworzył na ten temat złożone konfabulacje. Był to czas, kiedy Wielkim Jabłkiem trzęsła mafijna rodzina Gambino, z Johnem Gottim na czele. Na każdym kroku trąbiły o tym media. Roy wmówił sobie, że jakiś mafijny cyngiel chce go zabić. Że niby ze swoją posadą i efektywnością w działaniu jest na *widoku*. Jako winowajcę wskazał niejakiego Howarda Davisa, który rzekomo ostrzył sobie zęby na jego stanowisko. I poprzez, jako to wyraził Roy, jego fizyczną destrukcję Davis miał sobie przywłaszczyć intratną posadkę. Miał dać mafii w łapę, aby dyskretnie sprzątnęła Roya. Urojenia pasujące do brukowej sensacyjki, lecz niestety dla niego były *prawdziwe*.

Ostatecznie zdecydowałem się na odwiedzenie go w domu. Do dziś żałuję, że siłą nie zaciągnąłem go do szpitala; nie doszłoby wtedy do smutnego zakończenia. Zastałem otwarte na oścież drzwi, zaś Roy leżał na podłodze i wił się w konwulsjach. Gdy pomogłem mu dojść do siebie, był świeżo po ataku. Twierdził, że uratowałem mu życie, zabijając *intruza* nasłanego przez mafię. Z przejęciem pokazywał mi rzekomego denata…

Nie było tam niczego poza puszystym dywanem. Na pytanie o broń, z jakiej pomocą miałem uratować mu życie, nie umiał udzielić odpowiedzi. Jego historyjki rwały się w strzępach, aż w końcu wskazał na *scyzoryk*, którym wcześniej nieopatrznie się pochwaliłem.

Roy nazywał mnie swoim *wybawcą*. Dla uspokojenia go potakiwałem, wszedłem w narzuconą mi *rolę*. Jeden jedyny raz. Cóż, byłem wówczas niedoświadczonym terapeutą, a Roy był jednym moich pierwszych pacjentów. Popełniłem błąd, nie zachowując należnego *dystansu*. Pośrednio przyczyniłem się do *utraty* pacjenta.

Pełnoobjawowa schizofrenia u Roya rozwinęła się dosyć późno. Z zebranego wywiadu wynikało, że urojenie, którego przyszło mi być niechlubnym świadkiem, było jednym z pierwszych, jeżeli *w ogóle* nie pierwszym, jakiego w ten sposób pacjent *doświadczył*. Wcześniejsze zaburzenia pozwalały mu w miarę *normalnie* egzystować. Kiedy przybrały na sile, Roy zwrócił się do mnie o pomoc. Zdawał sobie sprawę z zagrożenia. Prawdopodobnie wiedział, że wszystko tkwi w jego umyśle. Strach, nienawiść, *zło*, którym jak twierdził został *naznaczony* w wieku sześciu lat, kiedy dobił potrąconego gołębia. Strach trzymał go mocno w duszących objęciach. Tamtej feralnej nocy wydarzyło się *coś*, co spowodowało, że Roy targnął się na swoje życie. Być może maksymalny poziom lęku wywołał *pseudomaterializację* tych myśli, przez które bał się hipnozy. Tego nie dowiemy się już nigdy.

Z raportu koronera wynikało, że Roy McCoy z premedytacją uderzył głową o brzeg umywalki. Zmarł z powodu krwotoku śródczaszkowego. Nie cierpiał, natychmiast po uderzeniu stracił świadomość, ale ten fakt wcale nie jest dla mnie źródłem pocieszenia.

Do dziś zastanawia mnie jedno: nad umywalką wisiało lustro. Roy *musiał* w nie spojrzeć, zanim zadecydował rozwalić sobie głowę. *Co* w nim zobaczył? Swoją *prawdziwą* twarz, gdy opadła jego przyciasna *maska normalności*…?

Iza Korsaj

Urodziła się 4 września 1984 r. w Gdyni, ale od dziecka jest związana z Sopotem. Ukończyła II LO im. B. Chrobrego w Sopocie oraz filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim, jest również absolwentką reklamy i marketingu medialnego. W 2005 r. zdobyła nagrodę specjalną w kategorii „student” w IV edycji Konkursu Literackiego Uniwersytetu Gdańskiego na Prozę za opowiadanie „Nigdy więcej”.

http://geniuscreations.pl/autorzy/iza-korsaj/
https://madbooks.pl/korsaj-iza

Patronat medialny

Pisz i czytaj artykuły! Śledź nowości wydawnicze! Dyskutuj na wielotematycznym forum z ludźmi w Twoim wieku! A przede wszystkim – NIE STARZEJ SIĘ!

Daję życie, biorę śmierć – Marta Krajewska

Rena pamiętała.

Wolałaby, żeby te wspomnienia nie wracały tak często, a szczególnie nie teraz.

Stała na progu chaty, obserwując, jak wraz z zachodem słońca od strony lasu nadchodzi mrok. Strzeliste pnie sosen ciemniały, rude liście krzewów z wolna zdawały się tracić kolor. Zimny wiatr od hal pachniał przymrozkiem i śniegiem, zwiastując rychły kres jesieni. Wioska wyciszała się, ludzie znikali w obejściach i tylko zapach dymu mieszał się z wiatrem.

Rena odetchnęła głęboko, szczelniej otulając się wełnianą chustą.

Nie lubiła wieczorów. Nie lubiła tego niepokoju, który rósł w niej z dnia na dzień.

Patrzyła na las.

Wiedziała, że las również patrzy na nią.

* * *

Wtedy jeszcze nie nazywano jej Rena, tylko Sarna. Ten przydomek, nadany po urodzeniu, chronił jej słabe,

dziecięce ciałko przed wszystkim, co złe i łase na ludzkie mięso. Matuś czule nazywała ją Sarenką, potem Renką, a w chwilach gniewu – Reną. Chwile gniewu zdarzały się jednak matuli rzadko, bo i ona, i jej córka były z natury wesołe i zgodne. Wyglądały też podobnie – jasne włosy do pasa, zielone oczy, wąskie usta i uśmiech wydobywający piękno z przeciętnych lic.

Renka miała zaledwie kilka wiosen, ale wiedziała, że gdy dorośnie, będzie taka jak mama. Ta myśl ogrzewała jej serce, gdy leżała na posłaniu, przykryta po czubek nosa wełnianą derką, i spod przymkniętych powiek obserwowała rodziców, wciąż niegotowych do snu. Ojciec układał skóry przy palenisku, szykując posłanie, a mama zaplatała włosy w warkocz. Blask ognia ocieplał rysy jej twarzy.

Skończyła i pogładziła się po okrągłym brzuchu.

– Dziś chyba w ogóle nie kopał – mruknęła. – Marozowa gada, że już niedługo, bo brzuch w dół poszedł. I rację ma chyba, bo aż siedzieć mi niewygodnie, a co dopiero robić. Na Roda słodkiego, tyle jeszcze przyszykować trza, nim się urodzi… Ogrodzenie naprawić miałeś przed zimą – przyganiła na koniec.

– Kiedy, kobieto? – żachnął się ojciec i, jęknąwszy, z rozkoszą zwalił się na legowisko. – Każdy chce, żebym mu pomógł, nim śniegi przyjdą. Do ogrodzenia dwóch przynajmniej potrzeba, jak ma porządnie być…

– No to wszyscy obejścia przed zwierzyną zamkną, a nam dziki do chaty włazić będą, tak?

– Tam do chaty od razu… A przecie wiem, że sama byś to zrobić mogła. Umiesz wyplatać tak samo jak i ja.

– Jeszcze czego! – rozsierdziła się kobieta. – Z tym wielkim brzuchem ogrodzenie łatać będę! Nie po to żoną wikliniarza jestem, żeby harować jak jaka ostatnia głupia, co se chłopa znaleźć nie umiała!

– No już, już… – zamruczał ojciec przypochlebnie, chwytając dłoń żony i delikatnie ciągnąc ją ku sobie. – Połóż się już, połóż. Jutro ogrodzenie ci wyplotę takie, że dziki z otwartymi pyskami będą pod nim stawać i dziwować się, a żaden nie wejdzie.

Kobieta prychnęła, ale widać było, że tylko udaje złość.

– Oj, głupi ty mój… – Legła ostrożnie obok męża i pogłaskała go czule po zmierzwionej brodzie.

Rena lubiła patrzeć, jak się tak do siebie przytulali. Wiedziała, że dobrzy rodzice jej się trafili. Matuś krzyczała mniej niż inne baby, a ojciec nigdy nie bił ani jej, ani matki, i nawet jeśli popił z Brańczakiem, to do chaty wracał wesoły jak skowronek. I tylko śpiewał wtedy gorzej od ptaka, a do tego tak głośno, że spać było trudno.

* * *

Obudził ją ojciec, nerwowo szarpiąc za ramię.

– Sarenka, zbudź się! Leć po Marozową, jeno prędko!

Rozespana dziewczynka usiadła, ziewając szeroko.

Mama powoli chodziła wokół paleniska, trzymając się za brzuch i nie dostrzegając świata wokół. Naraz

przystanęła, zamknęła oczy i zdjęta bólem, pochyliła się. Nie jęknęła nawet, ale jej czoło zalśniło od potu.

– Rena! – przynaglił ojciec, przejęty jak nigdy. – Leć! Powiedz, że się zaczęło.

Rena natychmiast się ocknęła.

Zaczęło się.

Skoczyła na równe nogi, narzuciła chustę na ramiona i wzuła łapcie z łyka.

Zaczęło się.

Bez słowa wypadła z chaty, a to krótkie zdanie wciąż tłukło się jej po głowie.

Zaczęło się.

Jak wicher wleciała na podwórze Marozowej, a rozwarta zbyt gwałtownie furtka jęknęła z wyrzutem.

Dziewczynka waliła pięścią w drzwi, aż starsza kobieta otworzyła je spokojnie. Renka, ziająca jak mały pies, z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma miała do powiedzenia tylko jedno. Nabrała tchu, lecz Marozowa uprzedziła ją:

– Zaczęło się, tak?

Renka z zapałem pokiwała głową, a kobieta skinęła poważnie.

– Idź po Alettę – zarządziła. – Przyprowadź ją szybko, może będzie mi potrzebna.

Brzmiało to co najmniej strasznie, ale Rena pobiegła po swoją babcię ile sił w nogach. Gdy razem dotarły do chaty, Marozowa wyjmowała właśnie z worka różne przedmioty, przekazując je ojcu i wydając polecenia.

– Żelazo na próg. – Wyciągnęła z wora siekierkę. – Ciernie w szpary okienne i pod próg wciśnij. Zakopałeś wokół obejścia to, co dałam?

Ojciec skinął w skupieniu.

– Pod ogrodzenie, w kilka miejsc, wetknąłem głęboko – zapewnił. – Zaznaczyłem patykami.

– Nie gap się. – Babcia Aletta pociągnęła dziecko ku palenisku. – W ogień patrz, coby złe duchy za tobą do chaty nie weszły. One tylko czekają, żeby do rodzących powłazić.

I obie kucnęły przy płomieniach, a choć Sarna ciekawa była wszystkiego, nie śmiała spojrzeć na matkę, nim duchów nie wypali.

– Ten toporek pod posłanie jej połóż – mruczała Marozowa za ich plecami. – Aletta, wody mi zagrzej. Nie martw się, kochana! – zagadnęła dziarsko do rodzącej. – Jeszcze tylko to urodzisz i następne, a potem już łatwiej pójdzie. Dzieciaki na młodsze baczyć będą.

Renka zerknęła na mamę, ale ta jęknęła tylko:

– Byleby to najpierw… – nie dokończyła, bo znów ból ją przygiął, tym razem na dłużej. Rence serce się ścisnęło z dziwnego strachu i żalu nad mamą.

Babka pęporzezna podeszła i położyła dłonie na ogromnym brzuchu. Wszyscy w chacie zamarli w oczekiwaniu na wynik tego badania. Gdy ból puścił, mama sapała z wysiłku.

– Dobrze, dobrze, dziecko. – Marozowa pogłaskała ją czule po twarzy. – Ziół ci zaraz naparzę. Połóż się, zobaczyć muszę. Renka, chodź no!

– Nie! – prawie krzyknęła matka. – Weźcie ją stąd. Niech nie patrzy.

– Kiedyś musi zobaczyć.

– Ale nie teraz. Za mała jeszcze. Weźcie ją, proszę. I ty idź też – skinęła na męża.

Ojciec z powrotem zarzucił córeczce chustę na ramiona i pospiesznie wyprowadził ją z chaty. Rena nie wiedziała, czy czuła zawód, że nie zobaczy narodzin dzieciątka, czy też ulgę.

Stali więc sami przed chatą, a ciemność rozpraszał tylko ogień płonący tuż przed progiem.

– A czemu to tu zapaliłeś? – spytała dziewczynka, po dziecięcemu zaciekawiona.

– Odstraszy duchy.

– Odstraszy? Ale przecie inne chaty w ciemnościach stoją, to wszystkie duchy widzą, że się w naszej cosik dzieje. Nie przyjdą zobaczyć, co?

– Może i przyjdą – odparł mężczyzna. – Ale wejść nie wejdą.

* * *

Dziecko urodziło się dopiero nad ranem. Przez całą noc ojciec podtrzymywał ogień przy wejściu do chaty, a gdy Sarenka zasnęła mu na kolanach, zaniósł ją do środka. Dziewczynka obudziła się na własnym posłaniu i na zawsze zapamiętała szczególny nastrój tamtego poranka oraz widok, który ukazał się jej oczom.

Marozowa pakowała swoje zioła, przyciszonym głosem opowiadając coś i uśmiechając się szeroko. Babka Aletta kucała przy palenisku i poprawiała gliniany garnek, a zapach gotowanej kaszy rozchodził się po izbie. Ojciec stał obok posłania mamy i gapił się na żonę speszony jakiś, ale i zaciekawiony zawiniątkiem, które przytulała do piersi.

Mama. Tak zmęczonej, bladej i wycieńczonej Rena jeszcze jej nie widziała. Oczy miała opuchnięte od wysiłku i niewyspania, włosy w strąkach kleiły się do czoła, a drżenie rąk można było dostrzec z daleka. A jednak wyglądała na zadowoloną i dumną, jakby tej nocy nauczyła się przenosić góry.

Dziewczynka wstała i wkroczyła drobnymi, bosymi stopkami w ten nastrój, jaki tworzą ludzie odpoczywający w zadowoleniu po trudnym, wspólnie wykonanym zadaniu.

– Ciii… – Mama znacząco położyła palec na ustach. – Chodź, córciu. Spójrz no, to twój braciszek.

Renka zerknęła ciekawie na zawiniątko. Maleńka, pomarszczona buźka wystawała spomiędzy zawojów lnu i Rena poczuła się rozczarowana, że wyczekiwane od tak dawna dziecko jest spuchnięte, wykrzywione i… brzydkie.

W tej chwili rozległo się stukanie do drzwi. Marozowa otwarła, najwyraźniej spodziewając się gości.

– Witajcie, sąsiadko! – huknął Brańczak i zaraz aż się skulił pod spojrzeniem kobiety, która uciszyła go syknięciem. – Wybaczcie… Prawda to, że się dziecko w tej chacie urodziło? – spytał zgodnie z obyczajem.

– Nieprawda – głośno i wyraźnie odparła Marozowa, by wszystkie duchy i duszki słyszały. – Żadnego dziecka w chacie tej nie ma, jeno Jelonek tu na świat przyszedł.

Rena zachichotała rozbawiona i raz jeszcze spojrzała na braciszka, który spał w najlepsze, maciupeńkie dłonie ścisnąwszy w piąstki i wtuliwszy je mocno pod brodę.

– Śmiesznie, mamuś – uśmiechnęła się. – On jest Jelonek, a ja jestem Sarenka!

Mama pobłażliwie pokiwała głową.

– Tak, córciu. Moje wy skarby… – Po czym ucałowała złote włoski córki i zanuciła kołysankę: – Leli, leli księżycu, niebieski dziedzicu…

* * *

Kilka kolejnych dni upłynęło na powolnym przyzwyczajaniu się domowników do dzieciątka i dzieciątka do nich. Babcia Aletta właściwie zamieszkała u wikliniarzy, bo do siebie wracała tylko na noc, we dnie wspierając córkę w domowych zajęciach. Renka została włączona w nowe obowiązki, ale podobało jej się to. Bardzo chciała też pomagać przy dziecku, ale mama dopuszczała ją do niego bardzo rzadko.

– A mogę go ponosić, matuś?

– Jeszcze nie, córciu.

– Ale dlaczego?

– Dyć on kruchutki! Jak okrzepnie, a ty podrośniesz nieco, wtedy obaczymy.

Renka jęknęła zawiedziona i wróciła do paleniska mieszać polewkę. Gliniany gar nie rozgrzał się jeszcze dostatecznie, by można go postawić w żarze. Dziewczynka co chwila podbiegała obrócić naczynie, powoli zbliżając je do źródła ciepła. Wiedziała od zawsze, że jeśli glina mocniej nagrzeje się z jednej strony, to garnek pęknie.

Mama szybko wracała do siebie, ale w kilka dni po porodzie niespodziewanie zachorowała. Zaczęła nagle jęczeć i uskarżać się na ból brzucha.

– Koło południa krwawić przestałam – wyznała, gdy na polecenie Aletty Rena sprowadziła Marozową. – Potem brzuch boleć zaczął, a teraz wszystko… chlusnęło.

To słowo zabrzmiało jakoś strasznie, tym bardziej, że sukienka mamy i całe posłanie rodziców brudne były od krwi.

– A boli jeszcze? – Marozowa podeszła i przyłożyła dłoń do czoła kobiety.

– Boli.

– Gorączki nie masz. To dobrze.

Mama i babcia Aletta mruknęły tylko, najwyraźniej rozumiejąc, co starucha ma na myśli. Marozowa zaparzyła jakichś ziół, zapewniając, że po nich przestanie boleć. Jej głos, tak pewny i uspokajający, dobrze wpływał na innych. Nie było się czego bać, dopóki nie bała się babka.

Niestety, pod wieczór mamę rozbolało jeszcze bardziej. Leżała skulona na boku, ze ściągniętą twarzą, ramieniem otulając śpiącego obok noworodka. Ogień z paleniska ozłacał jej blade policzki.

Renę wygnano do spania, ale nie mogła zasnąć. W końcu przydreptała do matki, próbując się przytulić, ale ta tylko jęknęła cicho.

– Matulu… – Dziewczynka rozpłakała się, nie mogąc znieść cierpienia rodzicielki.

Cierpienia, którego powodu nie potrafiła zrozumieć.

Gdy ojciec wszedł do chaty wraz z wezwaną ponownie babką pęporzezną, zastał Renę zwiniętą obok paleniska niczym kociak i trzymającą matkę za rękę.

Tej nocy Marozowa została z nimi, lecz jej zafrasowana mina nie dodawała otuchy. Położnica na przemian trzęsła się z zimna i dyszała z gorąca. Zasypiała na krótkie chwile, podczas których wszyscy w chacie obawiali się, czy jeszcze się obudzi. Krew z oczyszczającego się łona to płynęła niepohamowanie, to znów znikała na jakiś czas.

Stara zielarka robiła co w jej mocy, by wzmocnić chorą i ulżyć jej w bólu, lecz unikała wzroku mężczyzny, by z jej oczu nie wyczytał prawdy.

Rena nie chciała zasypiać i nie dała się odgonić od matki. Tymczasem jej nowo narodzony brat obudził się, chrząkaniem i pomrukiwaniem żądając jedzenia.

– Nie ostawię ich – wyszeptała zapamiętale matka, półprzytomnymi oczyma szukając dzieciątka. – Nie ostawię…

– Walcz, walcz. – Staruszka przykucnęła przy niej i pogładziła po chłodnym czole. – Nie masz gorączki, będzie dobrze.

Potem wysłała chłopa do wsi po młodą Oliczkę, która na początku jesieni urodziła córeczkę. Dziewczyna przybiegła przejęta i nakarmiła Jelonka. Jednocześnie ze strachem zerkała na zdjętą chorobą sąsiadkę.

To mogłam być ja – myślała.

Przed połową nocy nadeszło najgorsze. Twarz mdlejącej z bólu matki zapłonęła gorączką.

– Nie ostawię ich… – szeptała, lecz z wyraźnym trudem. – Nie teraz. Nie teraz…

Marozowa patrzyła, jak kobieta kona na jej oczach, i jako jedyna z zebranych nie łudziła się co do jej ozdrowienia. Wiedziała, że teraz nie ma już dla niej powrotu z krainy Welesa, jest za to ogromny, przyćmiewający wszystko, co do tej pory przeżyła, ból. Tak będzie aż do końca, kiedy przyjdzie śpiączka, a potem śmierć.

Babka widziała kobiety bez najmniejszego trudu rodzące rok po roku oraz takie, które rodziły jedno, góra dwoje dzieciaków, a i to uznawała za cud. Widziała też i takie, co przy porodzie umierały, bo dziecko wyjść nie chciało albo też krwotok odbierał im siły.

Co jednak sprawiało, że po przejściu tego najtrudniejszego zadania, po wszystkich mękach, śmierć przychodziła zupełnie bez ostrzeżenia? Dlaczego dając życie, dostawały w zamian śmierć? Tego Marozowa pojąć nie umiała. Żadna z nich nie zasłużyła, by odchodzić w tak strasznym cierpieniu.

Stara westchnęła i podjęła decyzję. Nie było już na co czekać. Mogła zrobić tylko jedno.

Zmieszała mak, bieluń i kilka innych, tajemniczych składników.

– Wypij, kochana. – Podniosła głowę chorej i wlała jej napar do gardła.

Młoda matka zakrztusiła się po kilku łykach, ale babka dopilnowała, by przełknęła wszystko.

Po chwili oddech chorej uspokoił się. Z wyraźną ulgą odetchnęła głębiej, spojrzała nieprzytomnie na męża, pogłaskała Renę po włosach i przygarnęła Jelonka.

– Nie ostawię was – szepnęła. – Nie ostawię…

Naraz jej oczy rozszerzyły się ze zdziwienia. Zamilkła zaskoczona, wbiwszy wzrok w kąt izby za paleniskiem.

– Dzik…

A gdy wszyscy poszli za jej spojrzeniem, uśmiechnęła się pięknie i szczęśliwa, cichutko odeszła z tego świata.

* * *

Pochowano ją jak nakazywał obyczaj – urnę z prochami, wraz z bliskimi sercu zmarłej rzeczami, zakopano w świętym miejscu. Mąż wybrał korale z zasuszonej jarzębiny, które sam dla niej zrobił w czasach gdy oboje pstro mieli w głowach, ale pełno w sercach. Wolała te korale od prawdziwych świecidełek i to je chciałaby zabrać ze sobą do Nawii. Rena podarowała mamie swojego ukochanego drewnianego konika, a od Jelonka dorzucono

strzępek dziecięcej szatki. Potem usypano piękny kopczyk i wypito nad nim za nowe życie w zaświatach.

Na koniec ojciec zapalił łuczywo, by z nim na rozstaje pójść i ducha żony w dzicz wypuścić. Ledwo jednak ogień błysnął – zgasł natychmiast, choć nie było tak silnego wiatru. Zasmucił się chłop, bo był to jasny znak, że duch żony nie chce się od ludzi oddalić. Spróbował raz jeszcze zapalić łuczywo, lecz naraz ujrzał coś kątem oka. Obejrzał się i dostrzegł go. Stał w cieniu drzew, tuż za linią świętej ziemi, i nieruchomo wpatrywał się w zgromadzonych.

Mężczyzna aż zamarł, a usta same mu się ze zdziwienia otwarły.

Czarny dzik spojrzał wprost na niego.

Potem odszedł w las.

Następnego dnia spadł pierwszy śnieg.

* * *

Widywali go przez całą krótką, ale mroźną zimę.

Mężczyzna nie naprawił płotu wokół obejścia, a mimo to dziki nigdy nie wchodziły mu w szkodę. Nawiedzały inne podwórka, szukały pożywienia w odpadkach i niszczyły każde zapasy, do jakich udało im się dostać, ale chatę wikliniarza omijały z daleka.

Nie pierwszy raz w dziejach wioski noworodek zostawał bez matki. Jelonek przeżył, wykarmiony przez Oliczkę, ale zima była dla całej rodziny bardzo trudna. Aletta pomagała, lecz nie mogła porzucić swojego gospodarstwa na rzecz zięcia. Starała się nauczyć Renkę tak wiele, jak tylko mała

dziewczynka mogła pojąć, jednocześnie wciąż powtarzając jej ojcu, że powinien poszukać nowej matki dla swych dzieci. Słysząc to, wikliniarz pochmurniał tylko i milczał. Wciąż nie pogodził się ze stratą żony, a pojawiający się od czasu do czasu w pobliżu ogrodzenia czarny dzik nie pomagał zapomnieć.

Ociepliło się tego roku nadzwyczaj szybko. Tuż po Zimowych Godach mróz odpuścił, na Wiosenny Strzybóg ciepły wiatr powiał z hal, a wiosna przyszła na długo przed równonocą. Dzieci i młodzi cieszyli się, że wreszcie mogą z chat nosy wyściubić, ale starsi kręcili głową zatroskani. Tak wczesna wiosna źle wróżyła plonom, które może uszczuplić byle przymrozek, ścinając zbyt szybko wypuszczone pąki i kwiaty.

Renka opiekowała się bratem, jakby była co najmniej dwa razy starsza. Spoważniała bardzo od jesieni, co smuciło jej ojca, bo zamiast z dzieciakami po sadzawkach się ślizgać, od rana do nocy pracowała w domu.

Mały Jelonek lubił jednak towarzystwo siostry i nie było nikogo, kto by go równie szybko uspokoić czy uśpić potrafił.

– Leli, leli księżycu, niebieski dziedzicu – śpiewała Renka czystym głosikiem, a mały przestawał płakać jak ręką odjął.

Pewnego dnia, gdy do równonocy brakowało jeszcze miesiąca, ojciec wyplatał dla sąsiadki duckę na siano i patrzył, jak braciszek i siostrzyczka leżą na wspólnym posłaniu. Rena przestała nucić i czekała, aż mały zaśnie na

dobre. Potem wstała ostrożnie i na paluszkach podeszła dorzucić drew do paleniska.

Żal się ojcu zrobiło, że mała wciąż pracuje.

– Renka, idźże się z dzieciakami pogoń – rzekł.

Dziewczynka popatrzyła na niego zaskoczona, choć widocznie skuszona propozycją.

– Ale kaszę spalę…

– Przypilnuję. Tyle umiem jeszcze, choćem stary i zgrzybiały.

– Nie jesteś stary! – roześmiała się cicho. – Ale czasu nie mam, tatku.

– Idź – pogonił ją stanowczo. – Dość się przez zimę napracowałaś. Słońca trochę złap, przywitaj się ze Swarogiem.

Niepewnie przestąpiła z nogi na nogę, potem jednak chustę na ramiona narzuciła i uśmiechnęła się od ucha do ucha.

– Wezmę garnek, brzozy już pewno wodę puszczają – rzuciła radośnie, chwytając naczynie, i ochoczo wybiegła z chaty.

Popołudnie pachniało nagrzaną słońcem, wilgotną ziemią. Rena wypadła z obejścia i rozejrzała się za dzieciakami, ale żadnego nie dostrzegła. Pewnie nad rzeką w błocie się taplały, żaby łapiąc, albo w lesie w szukanego się bawiły.

Ruszyła w stronę drzew, bo wiedziała, gdzie nad leśnym strumykiem gaik brzozowy znajdzie. Jeszcze zeszłej wiosny z mamą oskołę w nim zbierała. Na to wspomnienie zrobiło

się jej smutno. Już cała zima minęła, a tęsknota za matką nie zelżała ani trochę. Gdyby tak raz jeden mogła ją zobaczyć, przytulić się i poczuć ciepły, maminy zapach… Aż skręciło ją w brzuchu z żałości.

W jej wspomnieniach gaik rósł bliżej wioski, a tymczasem szła już bardzo długo.

Wreszcie trafiła między pierwsze biało-czarne pnie i odetchnęła z ulgą. Dnie wciąż były krótkie i las zaczynał już szarzeć, ale nie chciała wracać, skoro właśnie udało jej się trafić we właściwe miejsce. Nacięła kozikiem pień najbliższego drzewka. Już miała wepchnąć w nacięcie drzazgę, kiedy kątem oka zwidziała się jej smukła postać o długich włosach.

Serce zabiło jej jak szalone, ale odwróciła się mimo lęku.

Mama.

Stała nieopodal, patrzyła na Renę dziwnie i kiwała się w przód i w tył. Była naga i przygarbiona, a za jedyne okrycie miała swe długie, piękne niegdyś włosy. Zakrywały one piersi, częściowo kryły pusty po urodzeniu Jelonka, obwisły brzuch.

Kobieta i dziewczynka stały naprzeciwko siebie, nie widząc i nie słysząc niczego wokół.

– Leli, leli księżycu… – zanuciła cicho matka, wyciągając ręce do uścisku. – Chodź!

Rena przygryzła wargę, czując, jak łzy napływają jej do oczu. Strach walczył z tęsknotą, ale przegrał i dziewczynka

rzuciła się kobiecie w ramiona. Ta przygarnęła ją tak mocno, że Rena na chwilę straciła oddech.

Rozpłakała się, nie mogąc uwierzyć temu szczęściu i w głębi czując, że nie będzie ono trwało długo.

– Matulu, tak tęskniłam po tobie! – chlipała.

– Moja… – powtarzała cicho matka.

Rena próbowała się wyprostować, lecz uścisk nie pozwalał. Przytuliła się więc ponownie.

– Moja…

– Matuś, musimy do chaty wracać. Noc już blisko, a tatko i Jelonek pewnikiem ucieszą się, jak…

– Jelooonek… – mruknęła matka, jakby odkrywała dawno zapomnianą prawdę.

Uścisk osłabł i mała wyswobodziła się, nareszcie oddychając głęboko.

– Opiekowałam się nim, mamuś – rzekła ufnie. – On tak rośnie, że zobaczysz, jaki już duży! I uśmiecha się śmiesznie, bez zębów. Jak babka Marozowa wygląda wtedy. Chodź!

Chwyciła kobietę za lodowato zimną dłoń i pociągnęła za sobą.

W lesie ciemniało, ale Rena wiedziała którędy do domu. Poznawała okolicę i szybko kluczyła między drzewami. Dotarły do obejścia wikliniarza, lecz przed furtką kobieta zatrzymała się gwałtownie.

– Nie mogę – jęknęła z tak wielkim żalem w głosie, że dziewczynkę aż w gardle ścisnęło.

– Ale matuś, Jelonek i tatko czekają!

– Jelooonek… – zajęczała matka. – Przynieś Jelonka.

– Przynieść? – zdziwiła się mała. – Dyć za zimno już, coby go z chaty wynosić.

– Przynieś – powtórzyła. – Razem pójdziem potem. Razem.

Rena wiedziała, że mama zmieniła się bardzo, i że dziwnym było, że do chaty wejść nie chce. Ale odpychała od siebie te myśli, chciała znów mieć mamę. I chciała się pochwalić, jak braciszek pięknie chowa się pod jej opieką.

– Dobrze. – Pokiwała jasną główką. – Ale potem pójdziem.

Sama minęła ogrodzenie i na progu jeszcze się obejrzała. Matka stała zgarbiona i kiwała się wciąż tak samo.

Ojca nie było w izbie. Jelonek leżał na posłaniu rodziców i gaworzył cichutko do siebie, a obok drzemała babka Marozowa. Skąd się wzięła, tego dziewczynka nie wiedziała, ale pewnie ojciec poprosił ją, by z małym została, gdy wychodził. Nie budząc staruszki, ostrożnie podniosła braciszka i otuliła go swą chustą.

Wyszła na zewnątrz, a matka stała tam, gdzie ją zostawiła. Gdy tylko dzieci pojawiły się na progu, wyciągnęła chciwie ramiona.

– Moooje dzieci – szepnęła, a gdy Rena podała jej malca, zanuciła: – Leli, leli księżycu, niebieski dziedzicu…

Chwyciła córkę za rączkę i uśmiechnęła się, ale wtedy jak spod ziemi wyrósł ojciec. Krzyczał.

– Nie!

Nadbiegał od lasu, dokąd poszedł szukać córki, gdy nie wróciła po zachodzie słońca. Teraz pędził ile sił w nogach, zaś w tym samym momencie drzwi chaty otworzyły się i stanęła w nich przerażona zniknięciem Jelonka Marozowa. Szybko pojęła, co się dzieje.

Renka zlękła się tego ojcowego krzyku, lecz palce matki mocno zacisnęły się na jej rączce.

– Moje! – wrzasnął upiór, przygarniając do siebie chłopca, który rozpłakał się ze strachu. – Nie ostawię!

Marozowa zdążyła podbiec i szarpnięciem pociągnęła Renę ku sobie. Dziewczynka krzyknęła z bólu, ale poczuła, że matka puszcza jej dłoń. Straciła równowagę, a babka płynnym ruchem popchnęła ją w głąb podwórka. Rena upadła z jękiem i ze strachu nawet się nie rozpłakała.

Upiorzyca przygarbiła się jeszcze mocniej i rzuciła do ucieczki, z maleńkim, zawodzącym chłopcem w ramionach.

Ojciec dopadł furtki akurat w momencie, gdy Marozowa podniosła się z klęczek i wyciągnęła w jego stronę ubrudzony ziemią, wykopany spod ogrodzenia nóż.

– Zabij ją! – nakazała.

Bez słowa chwycił żelazo i ruszył w kierunku lasu.

Rena dyszała przerażona, patrząc, jak matka znika między drzewami. Podeszła do opartej o furtkę Marozowej. Stara też nie mogła złapać oddechu. W jej wieku to, co właśnie zrobiła, było nie lada wysiłkiem.

Razem patrzyły w ciemność i choć nie dostrzegały niczego, domyślały się walki. Najpierw słychać było tylko płacz Jelonka. Potem dołączyło do niego nieludzkie,

wściekłe wycie upiora. Krótkie, szybkie wrzaski, gdy atakował mężczyznę.

A potem nagle dźwięki urwały się. Tylko dziecko zanosiło się wśród nocy.

Lecz po chwili i ono umilkło. Serce Reny zabiło tak mocno, że omal nie wyskoczyło jej gardłem. Nieznośna cisza zdawała się trwać w nieskończoność.

Nareszcie obie dojrzały ruch pod lasem, a zaraz potem Renie zamajaczyła biel Jelonkowego giezełka. W chwilę potem usłyszały jego marudzenie i cichy płacz. Po samym tylko chodzie dziewczynka rozpoznała ojca. Zbliżał się szybko i zaraz też minął furtkę.

– Do chaty! – rozkazał, nawet się nie zatrzymując i ramieniem naganiając córkę.

W cieple izby strach wydawał się nierealny. To wszystko, co się stało, zdawało się złym snem.

– Uspokój go – poprosił, podając Rence małego.

Odebrała braciszka z rąk ojca i przytuliła, czując jak znów wilgotnieją jej oczy.

Nie chciała już śpiewać kołysanki.

Wikliniarz miotał się po chacie, nie mogąc się uspokoić. Rzucił na ławę żelazny nóż.

– To jeden z tych, com przy porodzie zakopał – upewnił się, a babka skinęła poważnie. – Zapomniałem o nich na śmierć, a ona nie mogła przez nie wejść. I innym dzikom też nie pozwoliła…

Marozowa przytaknęła.

– Ale dzik? – potrząsnął głową wikliniarz. – Czemu zaś dzik?

– Pewnie myślała o nich dużo przed śmiercią.

– O dzikach? – żachnął się, lecz w sekundzie pojął. – A, tak. O ogrodzeniu…

– Słuchaj! – Babka nie wytrzymała wreszcie i mocno złapała go za ramiona, zaglądając groźnie w oczy. – Zabiłeś to?

Zacisnął wargi, spinając się na samo wspomnienie walki.

– Zabiłem – wyrzucił z trudem.

Marozowa puściła go, odetchnąwszy z ulgą.

Rena przytuliła mocniej braciszka i łzy pociekły jej po policzkach.

Ale następnego ranka, gdy wyszła nakarmić ptactwo, na skraju lasu czekał wielki, czarny dzik.

Zrozumiała wtedy, że ojciec kłamał.

* * *

Odszedł kilka wiosen temu, gdy Rena i Jeleń, teraz nazywany Lonem, założyli już własne rodziny. Pewnego mglistego, jesiennego poranka ojciec ruszył do lasu wycinać drzewa i nie wrócił. Szukali go długo, dopóki nie spadł śnieg, ale Rena od początku czuła, że go nie znajdą.

Poznała to po pocałunku, jakim pożegnał się z nią wtedy, tuż przed wyjściem. Zapamiętała go, jak z siekierką na ramieniu niknie między olszynkami, gwiżdżąc wesołą piosenkę.

Dzika wciąż widywała, lecz nigdy już nie spotkała matki.

Teraz, gdy sama spodziewała się dziecka, a rozwiązanie mogło nadejść lada dzień, wciąż w snach wracał do niej tamten czas.

– Mamuś, boję się… – szepnęła w noc.

Wiatr już ucichł i w szarzejącym krajobrazie usypiającej wioski nie poruszał się ani jeden listek.

Ale wiedziała, że tam są i patrzą na nią.

Rena pamiętała.

Zapach jej czerwony – Marta Krajewska

Pierwszy raz wywinął się śmierci tuż po urodzeniu.

Tamtego dnia w środku lata wilkarska samica powiła syna.

W bólu i lęku, z dala od oczu pobratymców, urodziła sama, po czym, dysząc ciężko, postać swą na kobiecą zmieniła, maleństwo do piersi przytuliła i zaszlochała bezsilnie.

Zaniosła go do wioski, do chaty, którą odwiedzała już wcześniej.

– Musisz go zabrać! – wyciągnęła ręce do Brzystka. – Jesteś jego ojcem. A jeśli moi mnie przyłapią, zabiją nas. I ciebie, i mnie, i jego.

Brzystko dzieciaka nie chciał, o przygodzie z ponętną bestią dawno zapomniał. Ale gdy tylko się skrzywił, coś złowieszczo błysnęło w złotych oczach samicy, aż nagle strach go obleciał. Wziął kwilące zawiniątko z jej rąk i bezradnie patrzył, jak w wilczycę się zmieniwszy, matka jego syna w stronę lasu ucieka.

Tam, gdzie malec na świat przyszedł, o życiu i śmierci pochodzenie decydowało. Wilkarzy, ze swego zamku na skale, zapomnianą, górską doliną władali. Bestie to były, na zawołanie ludzką bądź wilczą postać potrafiące

przyjmować. Wioska u stóp zamczyska przez setki lat do życia w strachu przywykła. Świat za górami ponoć wiedział, słyszał i z niedowierzaniem głową kręcił. A jednak nikt nie przybył na ratunek, bo choćby polec miał jeden zbrojny rycerz, jego śmierć wagę życia wszystkich ubogich dolinian by przewyższyła.

Wilkoocy o swych chłopów jak o stado owiec dbali. Patrzyli jak pracują, rozmnażają się, żyją. Czasem dla przykładu zabijali co krnąbrniejszych, a gdy zima brakiem zwierzyny doskwierała, niektórzy do zamku na skale zabierani byli i nigdy już nie wracali.

Wilcza sprawiedliwość zabijania bez powodu zakazywała. Żywy człowiek pożyteczniejszy był od martwego. Śmiercią jednak zbytnie spoufalanie się karano. Było to przewinienie najgorsze, bowiem mieszańców bali się wilkarzy jak ognia.

W takim to świecie przyszło się małemu urodzić.

Następnego dnia bogato odziana kobieta w dolinę przybyła i chłopów o ich władców pytała. Utyskiwali oni i biadolili, choć z ostrożnością nieznajomą traktując. Odeszła wkrótce w stronę zamku, nad tym, co usłyszała najwyraźniej zadumana. A wieczorem, niespodziewanie, zamek na skale w powietrze wyleciał, chaty wieśniaków deszczem głazów i pyłu zasypując.

Dopiero gdy słońce ku zachodowi się chyliło, a żaden z wilkarów nie zszedł do wioski, chłopi odważyli się pójść do ruin, ale choć z zamku ocalała jedynie niska brama i donżon, wśród kamieni i powalonych ścian ani jednego

ciała nie znaleźli. Wilkoocy w pył się rozpadli, a wiatr ich szczątki po całej dolinie, od lasu aż do skrzącego w zachodzie słońca jeziora, rozwiał. Popatrzyli po sobie chłopi i z zadziwieniem zgodzili się wreszcie – bogini na ziemię spłynęła, modlitw ich wysłuchawszy, by od brzemienia wilkarskiego ich uwolnić.

I kopczyk jej usypali niewielki pośród ruin, by jej dary składać mogli tu, gdzie lat tyle ich ciemiężyciele mieszkali. I sławić poczęli jej imię – Elleniale.

Brzystkowi trudno było chłopca ukrywać. Nie zależało mu też bardzo czy wieś na strzępy go rozerwie, czy żyć mu pozwoli. Sam wszak mieszańców się obawiał, gorszych ponoć jeszcze od wilkarów, większych i potężniejszych, z obłędem w krew wpisanym.

I byłaby wieś, dysząca chęcią pozbycia się wszystkiego, co wilkarskie, zgładziła niewinnego noworodka, gdyby nie powstrzymał szaleństwa kowal Radożyc, człek nad wyraz spokojny, o oczach przenikliwych i mądrych. Ludzie ufali mu, bo silny był jak tur i zęby rwał tak udatnie, że z rzadka tylko ktoś umierał od tego. Nieszczęście też odbiło się na jego prostej twarzy, bo żona ukochana mu w połogu zmarła przed dwoma księżycami, córkę mu zostawiając. Czy na zmartwienie, czy na pociechę bardziej, sam nie wiedział. I to chyba zaważyło na tym, że tak twardo o życie mieszańca stanął i wrzucić go do jeziora nie pozwolił.

Rósł więc chłopiec szybko, szybciej niż ludzkie dzieci, a miły był taki i uczynny, że można by go za człowieka wziąć. W wilka zresztą nigdy się nie zmieniał i oczu nie miał

wilczych, jak bestie. Wieś przyjęła go, ukochała, ale miejscowi zwali go od dziecka mieszańcem i tylko nieliczni po imieniu doń mówili, też zresztą dziwnym – Wilkun.

Do czasu aż zmężniał i za dziewuchami zaczął się rozglądać, przerósł wszystkich chłopców przynajmniej o głowę, a od córki kowala Chaberki zdawał się starszy o kilka wiosen, a przecież jednego lata na świat przyszli. Podobał się dziewczętom, na zabawach co rusz do tańców go wyciągały, a wieczorami strzelały za nim oczami, gdy z ojcem z jeziora wracał, wróżyły sobie w jesienne przesilenia, której serce odda, choć żadnej z nich ojce na ślub z mieszańcem nie pozwoliliby.

Tymczasem Wilkun Chaberkę sobie jakoś upatrzył i do niej chciał tylko chadzać, choć kowal córkę na niezwykle szorstką i surową wychował. Śliczna była jak matka, z kosami aż do tyłka, którym, krzątając się w obejściu, kręciła tak ponętnie, że schowanemu za płotem Wilkunowi aż ślinka ciekła. Ale na próżno mu było oczy wypatrywać. Chaberka, choć miło z nim gadała, nawet słyszeć nie chciała o jego uczuciach i żądzach. Śmiała się tylko, błękitnymi oczami wywracała i zbywała go zawsze tak samo:

– Tyś mi jak brat, Wilkun! I kocham cię jak brata!

I tak gryzła Wilkuna ta jego miłość zatruta całe dwie wiosny z okładem, aż doczekał się w końcu, że Radożyc pozwolił córce w Kupalnockę iść z młodymi w korowody. Przyszedł wieczór letniego przesilenia i dolina zapłonęła dziesiątkiem ognisk. Na halach, pod lasem i nad jeziorem,

wszędzie ludzie bylicę do ognia wrzucali, chaty i obejścia kadzili, woły dla zapewnienia zdrowia przez dym z ognisk przepędzali. Dziewczęta i chłopcy głowy wiankami ukrasili i do zabawy ruszyli, korowodami przez całą dolinę biegając, tańcząc i radość swoją młodzieńczą wyśpiewując. Pili przy tym wszyscy na umór, całowali się byle gdzie i byle z kim, bo tej nocy płodność dla ziemi zaklinano, zwycięstwo światła nad nocą czczono. W zabawie nikt na dobre obyczaje uwagi nie zwracał, kto chciał, znikał z oczu ludzi i rozkoszy się oddawał, tej jednej tylko w roku nocy.

Wilkun wodził za Chaberką wzrokiem przez pół wieczora, aż mu w głowie tak od miodu zaszumiało, że odwagi za trzech dostał i gdy tak patrzył na rozpaloną zabawą twarz dziewczyny, krew mu zawrzała, że poprzysiągł mieć ją tej nocy. Ale ona jakby wiedziała, specjalnie odsuwała się od niego, zawsze w inna stronę patrząc, zawsze z innymi dziewczętami za ręce się trzymając.

Umęczony i zgorzkniały, walnął się w końcu Wilkun w pewnym oddaleniu od ogniska, pod lasem. Pozwolił, by zroszona trawa chłodziła rozognione zmysły, by wypity miód zabełtał w głowie ten nieutulony od tak dawna żal i tęsknotę.

Naraz poczuł czyjś oddech na twarzy.

– Tu żeś mi – mruknął obiecująco dziewczęcy głos tuż przy jego uchu.

Chaberka.

Otworzył oczy a ona wisiała nad nim, uśmiechając się słodko, głaszcząc go po policzku końcem jasnego warkocza. Zatkało go z przejęcia i bał się poruszyć, by snu tego cudnego nie odegnać. A dziewczyna wstała, za rękę go pociągnęła i spokojnie do lasu powiodła, szepcząc coś tajemniczo. Jak zaczarowany poszedł za nią, prawie zapominając oddychać i własnemu szczęściu nie wierząc.

Położyła się na mchu i podciągnęła giezło aż do połowy uda. Pociągnęła go na siebie zmysłowo i nagle byli tak blisko, że poczuł jak jej piersi wciskają się w niego obcym lecz przyjemnym uczuciem. Owionął go zapach miodu z jej ust i zakręciło mu się w głowie.

– Chaberka… – jęknął z rozpaczliwą rozkoszą.

Dziewczyna szarpnęła się nagle.

– Jaka Chaberka?! Oszalałeś, mieszańcu?

Zamrugał oczami zaskoczony, jakby mu sztachetą w łeb przywaliła.

– Nie… – wymamrotał słabnąc, widząc pod sobą Rozetkę, jasnowłosą jako i kowalówna. – Tu była Chaberka! Nie!

Zerwał się jak oparzony, czując jak wściekłość i zawód wzbierają w nim niczym strumień po roztopach.

– Nie! – ryknął jakoś wściekle i aż sam zadziwił się obcością swego głosu. Ale było za późno na uspokojenie.

Dopadł do dziewczyny i szarpnął brutalnie.

– Bądź Chaberką! – wysyczał i po raz pierwszy w życiu poczuł, jak w gardle wzbiera mu dziki, wilczy warkot.

– Na Swaroga! – zbielałymi wargami wyszeptała Rozetka, po dziewczęcemu zasłaniając usta dłonią.

Wilkun czuł rosnący gniew i wściekłość. Jednym ruchem złapał dziewczynę za szyję i podniósł w powietrze. Zaryczał ponownie i siła wstąpiła w niego tak przemożna, jakiej nigdy jeszcze nie czuł. Rzucił Rozetkę w bok, aż coś chrupnęło nieprzyjemnie i dziewczyna rąbnęła o ściółkę w drgawkach.

Po chwili przestała się ruszać, a szary wilk stanął obok niej, węsząc ciekawie w powietrzu. Przerażony śmiertelnie tym, co się stało i podniecony tym, jak było przyjemne.

* * *

Kiedy ludzie znaleźli Rozetkę, lament się wielki podniósł, ale nie tylko dlatego, że dziewczyna młoda, piękna, którą od dziecka znali, życia pozbawiona została. Przede wszystkim strach padł znów na dolinian, bo odkąd zamek cudownym sposobem w perzynę się obrócił, śmierci i zaginięć było jak na lekarstwo.

A kiedy na domiar złego córkę bartników przy jeziorze miesiąc później znaleźli, zaczęli szczelniej zamykać się w chatach na noc.

Coś złego znów łaziło między nimi i znów jak dawniej trzeba było się chować.

Wilkun nie był głupcem i wiedział, że to co się z nim dzieje nie jest dobre, i że ludzie rozniosą go na widłach, kiedy się dowiedzą. Serce jego poznało jednak smak potęgi, a usta zasmakowały krwi i choć walczył z tym jeszcze,

trucizna obłędu mieszańców rozlewała się już po umyśle. Coraz częściej tęsknił do wilków, do kogoś, kto powiedziałby mu, co się z nim dzieje. Wilki jednak uciekały przed nim, a wilkarów nie było już w dolinie. Innymi też zdawali mu się ludzie, których znał od dziecka. Siła, którą w sobie odkrył, otworzyła mu oczy na ich słabość i mizerność. Pamiętał, jak od dziecka pomiatali nim, od mieszańców wyzywając. Wspominał to teraz coraz częściej i złość straszliwa w nim wzbierała. Na ojca, że go nie chciał, na chłopców, co go od zabaw swoich odpędzali i na dziewuchy, dla których za parchaty był na męża.

I na Chaberkę, za to, że go w tę noc kupalną tak straszliwie oszukała i w Rozetkę się zmieniła.

Obserwował ją często, jak dawniej, przez płot rozmawiając czy z oddali się gapiąc, gdy na progu kuźni siedziała, krajki tkając i z ojcem się przegadując. Widok jej to serce mu topił, to znów wściekłość taką wzbudzał, że w las iść musiał i w wilka się zmieniwszy, pędzić przed siebie, aż go emocje opuściły.

Aż razu pewnego już nie chciał dłużej czekać i gdy Chaberka o poranku z chaty wyszła, by wody z jeziora przynieść, czekał na nią tuż za płotem.

– Wilkun! – zlękła się, nie spodziewawszy się żywej duszy o tak wczesnej porze. – Aleś mi stracha napędził!

– Chaberka! – mocno chwycił ją za ramiona, aż skrzywiła się z bólu. – Pomówić z tobą chciałem, póki ojca twojego nie ma.

– Puść, Wilkun – szarpnęła się. – Boli…

– Wyjdziesz ty za mnie? – rąbnął od razu, nie zważywszy na jej prośbę i nadal mocno ją trzymając. – Ty musisz, Chaberka. Ja oszaleję przez ciebie!

Dziewczyna bystra była i szarpać się przestała. Uważniej na przyjaciela spojrzała, dłoń dziewczęcą do czoła mu przyłożyła, bo jej się jakiś rozpalony zdał jak w malignie.

– Co z tobą, Wilkun? – spytała ostrożnie. – Co ty, oczy masz takie dziwne?

Chłopak, pod dotykiem jej ręki aż półwilcze ślepia zmrużył z przyjemności.

– Nic, nic – wymamrotał. – Takie mam, bo się napatrzeć na ciebie nie mogę.

– Wilkun, a twoje uszy?! Nie były takie szpiczaste!

– Nic, nic, Chaberka. Takie mam, bo nasłuchuję twojego głosu każdego dnia.

Uśmiechnął się szczęśliwy, że ma ją tak blisko i że wreszcie rozmawia z nim, nie śmieje się, nie ucieka. Trzymał ją jednak mocno, żeby mu się znowu w inną nie odmieniła, jak tamta w lesie, albo jak bartników córka miesiąc temu nazad.

– W… Wilkun… – sapnęła córka kowala, błękitne oczy w uśmiech jego wlepiając. – Twoje zęby… One ostre jakieś się zdają i wielkie…

– Nic, nic to. To dlatego…

Nie zdążył powiedzieć. Chaberka znała tę opowieść i wiedziała, jak się skończy. Znienacka szarpnęła się w jego objęciach jak sarna w paściach.

– Pomocy! – wrzasnęła, nim jeszcze Wilkun jej usta wielką dłonią zakrył.

– Ciiii… – szepnął nerwowo i znów poczuł, jak coś obcego w nim się budzi, jak siła przychodzi do pleców, do rąk. I nim skończył dziewczynę ciszyć, szept zmienił się w warkot, a dłoń w ogromną łapę, co pazurami wbiła się w policzki dziewczęce.

Popłynęła krew, zapach jej czerwony uderzył w nozdrza i zaszumiał w głowie ogłupiająco.

Chaberka szarpała się dziko, rany swoje powiększając tym samym, a w jej pięknych oczach strach się pojawił zwierzęcy.

Usłyszał z chaty rumor. To Radożyc w pędzie zrywał się z posłania.

Musiał uciszyć Chaberkę, natychmiast. Ale nie tak jak tamte, na Roda!

Nie wiedząc, co zrobić, cisnął dziewczyną w otwierające się właśnie drzwi chaty i uciekł w strachu, na cztery łapy padając i wilczą przyjmując postać.

Radożycowi wpadła w ramiona córka nieprzytomna, z twarzą zalaną posoką i serce aż mu w gardle stanęło. Nóż, co w ręce trzymał, jednym płynnym ruchem za chłopakiem rzucił.

Wilkun krzyknął krótko, gdy mu ostrze skórę na szyi przecięło, o pół palca tętnicę mijając.

Tak się Wilkun drugi raz od śmierci wywinął.

Klnąc okrutnie pod nosem, kowal mógł jeno patrzeć, jak mieszaniec już za pierwszymi drzewami lasu znika.

– Ścierwo… – syknął i córkę na klepisku złożywszy, jął jej rany oglądać uważnie.

Tymczasem nieszczęsny, opętany żałością Wilkun, gnał przed siebie, siódmymi się potami oblewając. Sosny i świerki smagały go gałęziami po pysku, szyszki uderzały po łapach, gdy nie patrzył dokąd i jak pędzi. Byle dalej od doliny, od ludzi, od Chaberki! Jeśli go znajdą, zabiją go! Jeśli on ją znajdzie, zabije ją tak samo!

W rozpaczy upadł gdzieś w końcu, strudzony do granic możliwości. Odmienił się w człowieka, nagi i wychłostany ostrymi szpilkami tutejszych drzew. Podpełzł na czworaka do najbliższej sosny i ciężko zwalił się przy niej, plecami opierając o pień.

Dyszał głośno, a myśli tłukły mu się w głowie bez ładu.

Co począć? Co począć teraz ze sobą?!

Naraz zastygł, gdy w nozdrza wpadł mu znajomy zapach. Z wielkim trudem podniósł się i poszedł w kierunku, skąd dochodził. A nim jeszcze rozgarnął gałęzie, zasłaniające widok, już w brzuchu ścisnęło go boleśnie. Jak w amoku wyciągnął ubłoconą rękę i, uchyliwszy świerka, aż jęknął.

Znów był w dolinie, a po drugiej stronie jeziora, kurne chaty smętnie dymiły w niebo. Dym kładł się po ziemi, niebo chmurało się popielato.

Szło na deszcz.

Wśród pierwszych pomruków burzy chłopi z wrzawą zbierali się w kupę i wiedział, że to na niego idą polować. Jęknął z rozpaczy i bólu, bo myśl trafiła go okrutna, że oto

stracił swe życie na zawsze. Chatę, bezpieczeństwo, wszystko. I nie miał nawet siły by uciekać przed obławą.

Smętnie i na umęczonych łapach, powlókł się w stronę jaskiń, by choć odpocząć chwilę i skryć się przed światem. Nadziei nie żywił, że zdoła tam dotrzeć nim go dopadną, lecz czekać na śmierć też nie chciał.

Uratowała go burza, która rozpętała się gwałtownie, jak to tylko letnie burze potrafią. Najpierw powiał porywisty, chłodny wiatr a potem przyszła ściana deszczu i zmyła wszelkie ślady mieszańca. Chłopi, przemoczeni do skóry, wrócili do chat, klnąc na czym świat stoi. Wilkun zaś zaszył się w jednej z zachodnich jaskiń, z dawien dawna złą sławą wśród górali okrytych i spał aż do nocy, kiedy to głód go obudził straszliwy.

* * *

– Cóżeś zrobił, tatku?! – załamała ręce Chaberka, po raz wtóry nad ojcem biadoląc.

Kowal w spokoju łuczywo od żaru w palenisku odpalił, milczący i zamknięty jak zawsze. Z łagodnym uśmiechem na córkę spojrzał i czule jej opatrunek na policzku poprawił.

– Cichaj, Chabyś – mruknął. – Kaszę jedz, siły mieć musisz.

I odszedł od jej posłania, więcej jej żalów nie słuchając.

Stanął w drzwiach chaty, po drewno iść zamierzając, odruchowo skrawek lnu pomacał, którym wiedźma krwawnika liście obwiązała na ranie, we wnętrzu jego

szerokiej, kowalskim młotem utwardzonej dłoni. Rana nie bolała prawie, niewygodną mu raczej będąc niż bolesną. Trudno pracować będzie przez dni parę.

Ale dobrze mu z tym było. Chciał ją czuć.

Zamknął drzwi chaty za sobą, w ciemność lasu się wpatrzył i po ranie na dłoni znów się podrażnił.

Teraz już udać się musiało.

* * *

Wilkun przez dni kilka do wsi nie podchodził, zbyt się bojąc ślady swe zostawić i chłopów na trop skierować. Zachodnie jaskinie, choć przerażały go za dzieciaka, teraz w sam raz kryjówką się stały, schronienie dając od wschodu aż do zachodu słońca. Dopiero po zmierzchu ważył się mieszaniec po lesie biegać.

Raz łapy zaniosły go na skałę, w ruiny zamku wilkarskiego. Choć lata już minęły, odkąd wilkoocy zniknęli, Wilkun wciąż jakby ich obecność tu wyczuwał. Ckniło mu się okrutnie do nich, do bestii takich, co by rozdartą duszę jego rozumiały i ból po straconym życiu ukoiły. Z nich przecież matka jego pochodziła, której wyobrażenie ukochał nad życie, źli więc być nie mogli.

Powęszył ponuro między ruinami, a potem nad skraj przepaści podszedł, gdzie ściany zamku już nie było a jedynie biała skała stromo w dół spadała, aż do wioski, tuż pod nią się kulącej. Przystanął mieszaniec, na chaty spojrzał i z żalem wielkim łeb ku niebu podniósł, a wilcze

jego wycie poniosło się hen po dolinie, od jeziora się gromko odbijając.

Tak przychodził tu co noc, nie wiedzieć po co, jakby chciał z dawnymi swymi sąsiadami się przywitać.

Dnie w ukryciu przesypiał, a po nocach na drobną zwierzynę polował. Ale choć zmysły miał wilcze i wilczą szybkość, całe życie swe w ludzkiej postaci spędził i o sposobach łowieckich wilków nic nie wiedział. Dlatego kiepsko mu się wiodło, bo jak człowiek ciągle myślał i oczami patrzył, a nie nosem i uszami, jak zwierzę.

Nim zresztą najbardziej bał się stać. Bał się zbyt długo w samotności siedzieć i nawet śpiąc, w człowieka się odmieniał, choć mu zimno bez sierści było i twardo. Jakiś instynkt szeptał mu do ucha, że aby potworem się nie stać, do ludzi mu trzeba, z nimi przebywać i żyć. Odganiał te myśli z lęku, że złapią go i ubiją, nie dawszy sobie powiedzieć ani słowa na obronę. Ale kiedy minęło kilka nocy, głód coraz boleśniej doskwierać mu począł i trzewia tak wykręcał, że mieszaniec nawet zasnąć nie potrafił, zły na siebie za nieudolność i na świat cały dokoła.

W końcu nie zdzierżył i – choć się lękał – głód strach jego pokonał. W wilczej postaci, ostrożnie, z łbem nisko nad ziemią zwieszonym, truchtem jaskinię swoją opuścił i w moknący w letnim deszczu las się zatopił.

Czas jakoś płynął, a Wilkun stracił rachubę od myśli, co mu się w głowie kołatały i od skręcających się kiszek. Łapy niosły go same, w nos zapachy wpadały ostre, jakich nigdy człowiek żaden nie poczuje. Uszy jego dźwięki słyszały,

którymi las nigdy dla niego nie rozbrzmiewał, póki jeno w ludzkiej postaci żył w dolinie. Wszystko to nowe było i cudowne, nic go jednak nie cieszyło, bo i podzielić się nie miał z kim swymi wrażeniami.

Każdy wilk, jak i człowiek, stada swojego potrzebuje. Inaczej dziwaczeje i nierzadko w przepaść obłędu spada. Wilkun poznał tę prawdę do bólu i wiele już razy, ze snu koszmarnego się budząc, dyszał ciężko, nie wiedząc, czy jeszcze śni czy oszalał, czy dzień to czy noc, prawda czy zwidy.

Teraz też różne zjawy między drzewami mu migały, znikały, nim wzrok na nich skupił. A to sarny wypatrywał za kołyszącą się gałęzią sosny, a to królika w paprociach. To znów zdało mu się, że piosenkę słyszy dziewczęcą i z całej siły walczyć z sobą musiał, żeby uciec od niej, a nie zbliżyć się i z człowiekiem porozmawiać.

Był głodny, słaby i zrozpaczony. I nie wiedział, co dalej począć ze sobą.

Truchtał smętnie przez gęstwinę, starając się z sił całych do wsi nie kierować, kiedy nagle, za świerkami, postać mu się zwidziała, w czerwony płaszcz wełniany odziana, z kapturem głęboko na oczy zaciągniętym dla ochrony przed deszczem.

Chaberka.

Przystanął, nosem powęszył, lecz zapachu nie mógł uchwycić.

Tak, Chaberka to z pewnością, bo płaszcz taki właśnie tej wiosny sobie uszyła.

Podszedł bliżej, węsząc ciekawie, pokusie się oprzeć nie mogąc. Cały strach go opuścił, gdy ją tak nagle zobaczył. Ze wszystkich ludzi, których spotkać mógł, ją akurat wypatrzył, upragnioną od lat tylu.

Szła wesoło, niespiesznie, koszyczkiem wiklinowym spod płaszczyka machając, na jagody pewnie, czy na grzyby wczesne. A on sunął bezgłośnie w pewnym oddaleniu, w plecy jej wzrok swój złoty wbijając i zapach węsząc.

Jakże taki cud, taka istota wspaniała, mogła się narodzić w tej dziurze zapadłej, u chłopa zwykłego, kowala? Ona księżniczką powinna zostać na zamku wielkim za górami…

Tak ją wielbił, tak jej wierny był jak pies jaki, a ona wciąż mu odmawiała. Kto wie, może nawet za innymi się oglądała? Może z tymi innymi z jego wierności się śmiała?

Myśl ta nagła zazdrość w nim przemożną wzbudziła i złość.

Być przecie nie może, żeby wszystkie w dolinie dziewuchy słodkie oczy do niego robiły, a ta jedna tylko obojętną była. Musi, że innego sobie upatrzyła. Jego, Wilkuna, o swej siostrzanej miłości zapewniała, a innemu usta podawała, gdy nie widział. I jaka sprytna być musiała, skoro udało jej się ukrywać schadzki przez czas ten cały, choć przecie Wilkun prawie oczu z niej nie spuszczał.

Przebiegła dziewczyna, dwulicowa i współczucia pozbawiona…

Jak mogła tak się z nim bawić? Jak mogła gierki takie uprawiać za jego plecami? Wiedziała przecie, iż od dawna

ją miłuje nad swe własne życie.

Podstępna! Nieczuła!

Wilkun zniżył posępnie trójkątny łeb i spochmurniał gniewnie.

Taka sama ona jak wszyscy w tej dolinie. Jak mógł tak się pomylić? Że też dla niej stracił wszystko co miał! Dopiero teraz bielmo z oczu mu opadło i zobaczył, jaka była naprawdę. On przez nią w wilka się zmienił, a ona mamiła go, to się w bartnikową córkę, to w obślizgła Rozetkę zmieniając i po cichu wytykając go pewnie palcami za jego pożądliwość. Takie żądze w nim wzbudzała, dla zabawy swojej. On z wioski wygnany teraz, po lesie się błąka, a ona z koszyczkiem sobie idzie jakby nigdy nic!

Suka zapluta…

Gniew przyszedł jak fala, zalewając wilcze ciało mocą i wolą czynienia krzywdy. Podbiegł bliżej Chaberki i zapach jej czerwony jak kiedyś uderzył mu w zmysły, otumaniając do reszty.

Zapłaci mu ona za wszystko, co wycierpiał przez jej zabawy nieludzkie!

Chciał ją zawołać, by odwróciła się i by mógł w twarz jej spojrzeć, lecz z wilczego gardła ryk się tylko podniósł wściekły. Wilk wybił się do skoku a czerwony płaszcz zafurkotał, gdy dziewczyna odwracała się szybko.

Błyskawicznie, jakby wcale zaskoczona jego pojawieniem nie była.

Przez szał opętania myśl ta uderzyła mieszańca, ale za późno już było, by skok przerwać. Już leciał.

I naraz ujrzał przed sobą zarośnięte lico kowala, spod kaptura się wyłaniające, błękitem oczu błyskające. Wilkun zęby wyszczerzył do ataku i padł nań zwinnie, w szyję celując by zabić najrychlej. Ale okutane ciężką wełną ramię, do młota nawykłe, wetknęło mu się między zęby, gdy się nim Radożyc przytomnie zasłonił.

Wilkun ból straszliwy w trzewiach poczuł i zaskowyczał przeraźliwie, aż się ptaki z pobliskich świerków pozrywały. Nóż kowala w brzuch się zwierzęcy zagłębił aż po samą rękojeść.

Mieszaniec padł na ścieżkę bez siły, czując, jak z posoką życie z niego powolutku ucieka, a zapach jej czerwony już nie podniecenie wilcze, lecz strach szaleńczy zbudził.

Kowal z głowy kaptur zrzucił i przykucnąwszy przy wilku, srebrny nóż o nogawicę wytarł, nosem pociągając w deszczu.

– No – mruknął rad najwyraźniej. – Mam cię, ścierwo…

A widząc ślepia złote, z niezrozumieniem nań patrzące, dodał, krzywiąc się:

– Chaberkę czułeś, co? Oprzeć się nie mogłeś? Patrz! – powiedział i dłoń mu pod nos sam podstawił, z raną ledwo co wygojoną we wnętrzu. – Wiesz, co to?

Wilkun sapał urywanie i jęczał cicho. Skołowany, na Radożyca patrzył, wciąż wokół Chaberkę czując, nie jego. A kowal ranną dłoń bezwiednie pomacał, i do siebie się zadowolony uśmiechnął.

* * *

Wtedy, gdy zalaną krwią córkę na klepisku złożył, jął jej rany oglądać uważnie. Piękna twarz dziewczyny cała posoką zalana była, ranami po pazurach potargana na policzkach. Widok ten tak Radożyca przeraził, aż mu się w głowie zakręciło z rozpaczy.

Naraz w drzwi chaty sąsiad wpadł jego, rybak wąsaty, Orech:

– Na Welesa i węże jego! – zaklął z nienawiścią. – Wilkuna widziałem! W wilka się zmienił, mieszane ścierwo! Na Roda… – struchlał, dziewczynę we krwi zobaczywszy. – Radożyc, Wiedźmę zawołam!

– Czekaj! – Kowal ponuro osadził go na miejscu. – Sam pójdę – rzucił, Chaberkę już z klepiska podnosząc. – Szybciej będzie.

– A dyć daleko to!

– Dam radę, jeno miejsce mi zrób!

Przepchnął się w małych drzwiach z rybakiem, córkę na rękach niosąc nieprzytomną i czym prędzej na ścieżkę w las się skierował. Nim między drzewami zniknął, słyszał jeszcze jak Orech raban we wsi podnosi i o Wilkunie mordercy wrzeszczy.

Długą drogę do siedliska Wiedźmy całą prawie biegiem przebył, zasapawszy i upociwszy się okrutnie. Nieczuły był na to jednak, córki życie na uwadze mając i czas cały na mieszańca krew chorą wyklinając w myślach.

Wiedźma daleko od wsi żyła, chata jej butwiała samotnie, do skały przytulona, przed wiatrem osłonięta. Dach cały mchem porośnięty miała i okna ni jednego, jeno

drzwiczki nad wysokim progiem, otwarte wiecznie. W pełni lata ogród ją otaczał ziół pełen, zapachem wszelakim oszałamiający i owadami brzęczący.

– Wiedźmo! – krzyknął donośnie Radożyc, między bieluniami i krwawnikiem się przepychając.

– A poszedł mi stamtąd, zawszony szkodnik! – zaskrzeczała wściekle poskręcana starucha, na progu chaty się ukazując. – Gdzie mi w grządki pcha się?! Wyłazi w te pędy bo w jaszczurkę zamienię i kotem poszczuję!

Kowala strach by pewnie obleciał na jej widok, bo paskudna była jak każda wiedźma, ale z ważną sprawą przychodził i lękać się nie miał czasu.

– Córka moja umiera! – sapnął, pokornie przed progiem staruchy stając.

Ta, niczym księżna, ze swego podwyższenia na progu, Chaberkę wzrokiem niechętnie obrzuciła.

– Długo tak bez czucia leży? – skrzypnęła od niechcenia.

– Od wsi aż do teraz – wyjaśnił, innego sposobu nie znajdując.

Wiedźma machnęła przyzywająco garbatymi paluchami, w głąb chaty się cofając.

Wszedł więc Radożyc za nią i smród aż mu łzy z oczu wycisnął.

– O, patrzcie go, jaki wzruszony córki losem… – zarechotała baba, opacznie mokrość jego oczu odczytując. – Położy dziewuchę na posłaniu.

Kowal odwrócił się niepewnie, niczym olbrzym w tej maleńkiej chatce głową o wiszące u powały zioła zahaczył,

za rzeczonym posłaniem się rozglądając.

– Jak łazi?! – zrugała go natychmiast. – Pozwala wszystko! Tam ją dawaj, mówię przecie! – wskazała kupę skór i futer, a gdy kowal Chaberkę na niej składał, myśl mu zaświtała jasna, że kupa owa źródłem jest smrodu tego straszliwego i zdziwił się prawie, że zapach ten córki jego do przytomności nie doprowadził.

– Posunie się, wielki taki – odsunęła go brutalnie kostropatą łapą. – Jeno niech nie porozwala mi niczego, porządek żem wczoraj robiła, aż mnie w plecach łupie teraz.

Radożyc odsunął się pokornie, głowę w ramiona wciskając, bardach wokół odruchowo spojrzeniem ogarniając i nijak porządku dopatrzeć się nie mogąc. Wiedźma zaś chwilę długą dziewczynę oglądała, powieki jej podnosiła i rany na twarzy oglądała. Coś tam mruczała do siebie, ale mężczyzna dosłuchać się nie mógł, czy chorobę odpędza, zdrowie zamawia, czy jeno zwyczajem starych do siebie gada bez sensu nijakiego.

– Mieszaniec, suczy syn – rzuciła głośniej na koniec. – Podrapał ją, blizny mieć będzie, ale zaraz do żywych wróci. Zestrachała się jeno.

– Blizny… – powtórzył słabo, wiedząc że córki uroda wyjątkową była i że łez morze wyleje za nią Chaberka.

– A dyć mówię! – Wiedźma obrzuciła go pogardliwym spojrzeniem. – Rozumie, co to blizny, czy głupawy jakiś z urodzenia?

– Rozumiem – kiwnął głową kowal. – Powiedzcie, babko… jak mam tego mieszańca zabić?

Wiedźma tylko się żachnęła:

– A po co będzie zabijał? Żywa będzie przecie.

– On już dwie inne zabił. Krew za krew.

Baba zerknęła z ukosa na kowala, przebiegłą minę robiąc.

– Tego zabijecie, inne przyjdą. W lasach pełno potworów, bestii, a wy głupie mięso jeno dla nich jesteście.

– Tamtych też zabiję – poważnie skinął głową mężczyzna.

– Patrzcie go! – zarechotała piskliwie. – A co on o potworach wie? Pierwszy mu łeb urwie i małe nim napasie!

– Dowiem się. Tylko pomóc mi musicie. Zapłacę, co chcecie.

Na te słowa starucha żywiej ślepiami łypnęła, całego od stóp do głów zmierzyła i oblizała się dziwnie do myśli swoich, aż się kowalowi jakoś mniej pewnie zrobiło.

– Rytuał znam – z pewną zadumą rzekła Wiedźma, po podbródku się drapiąc, na którym włosów kilka sterczało paskudnie. – Stwory wszelakie oszuka, na jego ścieżkę sprowadzi, bo im się słodszym zda niźli inni. Ale cenę ma swoją, jak wszystko. Odwrócić go nie idzie.

– Mieszańca znajdę? – Kowal głową podrzucił, zdecydowany już życie swe na szali położyć. – To mów, co mi robić trzeba.

I Wiedźma mu z uśmiechem chytrym plan cały opisała, co i jak nakazała.

Radożyc w skupieniu słuchał, ani słówka z jej przemowy nie roniąc.

Potem córkę do chaty zaniósł, baby poprosił, by przy niej czuwały i poszedł.

Najpierw do gaju świętego, między dęby, by się bogom swym oddać w opiekę. Chwilę klęczał wśród drzew, w szumie ich ogromnych gałęzi słuchając, czy się który z bogów nie obrazi na to, co zrobić zamierzał.

Wyszedł potem aż na rozstaje dróg, odetchnął głęboko i srebrnym swym nożem, jedynym takim we wsi, dłoń lewą głęboko w środku przeciął.

Krew pociekła i kapać jęła na ziemię, piach na brunatno znacząc.

– To jest moja krew – wyrzekł kowal uroczyście, co mu Wiedźma nakazała. – To jest mój zapach i smak. Jeśli siłą zechce ktoś z waszych plemion i pomiotów szukać ofiary wśród moich, smak i zapach mój do mnie go przyprowadzą. Ja jestem opiekunem tej doliny. I wszystko, co złe, niech uderza we mnie.

* * *

Wilkun wciąż jeszcze dychał słabo, a Radożyc nad nim do siebie się uśmiechał.

– Opiekunem jestem – mruknął. – I wara wam od moich, ścierwa.

Po czym splunął gdzieś w bok, nosem pociągnął i nie czekając, aż mieszaniec ducha wyzionie, jął go w płaszcz czerwony zawijać. Potem tobół na plecy sobie zarzucił i przez las nad jezioro zaniósł a nad brzegiem zwalił, aż jęknęło.

– No widzisz, Wilkun – mamrotał, chłopaka odwijając już, nie wilka, czym się przejmować za bardzo nie zdawał. – Jam cię przed śmiercią uratował, jak cię Brzystko wiosce wydał po urodzeniu. Miękki taki byłem, widzisz. A ty za to córkę moją oszpeciłeś, dwie inne dziewuchy zabiłeś… Ty potworem się okazałeś, jak mówili. A ja potwora tego ocaliłem, rozumiesz? Moja to wina wszystko.

Podniósł bezwładnego, półprzytomnego z upływu krwi mieszańca i w wodę jeziora wszedł, aż po pas.

– Teraz to naprawię – rzekł i bez słowa pożegnania chłopaka w jezioro puścił.

Poszedł ranny jak kamień pod wodę, a że płytko było, zaraz też plecami o dno rąbnął. Ból już prawie całe życie z niego wycisnął, ale chęć istnienia jeszcze w nim kołatała. Odruchowo powietrzem chciał się zachłysnąć, przez co, wodą się opijając, nowy jeszcze ból sobie sprawił.

Wiedział już, że ginie, lecz do końca z myślą tą pogodzić się nie chciał.

Wtem dłonie go czyjeś chwyciły i tuż przy twarzy mara mu się jakaś ukazała, źrenice czarne, głębokie jak dwie studnie, w niego się wgapiły.

Nim czucie stracił, myśl mu przemknęła, że się już w istotę wodną zmienia, utopka jakiego czy rusała.

Ale to nie była prawda. Nie cała.

I tak się właśnie Wilkun po raz trzeci od śmierci wywinął.

Zimna – Marta Krajewska

Jesienny deszcz wychłostał dolinę z dawien dawna od świata odciętą. Wicher poszarpał drzewa, ostatnie liście z gałęzi strząsając. Zakotłowało się w powietrzu, zahuczało i zawyło, zaś w chwilę potem ucichło tak nagle, jak się zaczęło.

Zachodzące słońce zza chmur wyjrzało i promieniami kurne chaty ozłociło. Zalśniło w kroplach ściekającej ze strzech wody, zaskrzyło na jeziorze, przy którym domostwa, niczym kopy siana ogromne, przycupnęły.

Radożyc ulewą się nie przejmował, w kuźni swojej wraz z młodym pomocnikiem, Witkiem, pracując. Młodzik niewysoki był i krępy, ale siły i zapału posiadał ile trzeba, a do tego talent do wyrobu zausznic, fibul i innych zmyślnych błyskotek miał taki, że nie tylko baby, ale i sam kowal tym cudeńkom nadziwować się nie mogli. Kilka księżyców dopiero uczył się Witko u Radożyca, rzemieślnik wiedział jednak, że skarb nie byle jaki mu się trafił, i mniej szorstko niż innych ludzi zwykł go traktować.

Miech huczał miarowo, żylastymi ramionami terminatora naciskany, rytm wspólnej pracy niczym pieśni nadając. Młot kowala zaś, ostrze siekiery kujący, brzęczał to tak, to znów inaczej, jakby zwrotki i refreny wyśpiewywał.

Wtem od lasu postać nadeszła dziewczęca, w pelerynę czerwoną i kaptur odziana. Przemoczona od stóp do głowy Chaberka Radożycówna nerwowym krokiem wprost do kuźni ojca się skierowała. Rodzic, dojrzawszy jej wzburzenie z daleka, młot opuścił i przetarłszy czoło przedramieniem, czekał, aż dojdzie do nich. W głębi niewielkiej kuźni Witko starał się nie gapić na dziewczynę, choć mu zaiste do serca przypadła. Mimo blizn na twarzy pazurami bestii zadanych, Chaberka urodziwą wciąż była, a niektórym, jak Witkowi, z bliznami ciekawszą się nawet zdawała. Ona jednak zgoła inaczej myślała i do młodzieńców odwagę zupełnie straciła. Po ataku przyjaciela, który się w potwora zmienił, serce jej nieufne się stało i zimne, nikogo prócz ojca głębszym uczuciem nie darząc.

Wzburzona stanęła pod okapem kuźni i z obawą obejrzała się w stronę lasu.

– Coś ty, Chaberka, licho cię goni? – zażartował kowal, choć po spojrzeniu jasnych oczu córki poznawał, że coś się złego wydarzyło.

– Gorzej, tatku – odparła. – Wilkuna spotkałam.

Na te słowa oblicze mężczyzny mrocznym się okryło całunem. Zaklął szpetnie, młot w dłoni ważąc, jakby się do rozłupywania łbów szykował, i wykrztusił:

– Nie może to być… Gdzie?!

* * *

Tamto popołudnie w lesie spędziła, między rudymi liśćmi grzybów wypatrując. Nucąc pod nosem, ze wzrokiem wbitym w ściółkę, bezwiednie od domu się oddalała i nie zauważyła sama, kiedy na drugą stronę jeziora zawędrowała.

Spomiędzy sosen i buków wyszła niespodziewanie na polanę, z jednej strony skałami zamkniętą, z drugiej zaś łagodnie ku wodzie opadającą.

Stanęła jak wryta, z zaskoczenia prawie dech tracąc. O kilka kroków od niej, na głazie, siedział Wilkun, a dziewczyna młoda bliznę na brzuchu wodorostami jakimiś mu okładała. Skóra jej zielonkawa była i cienka tak, że błękitne żyły widać było jak na dłoni. Oczy miała czarne, bez białek, a strzępy kusej sukienki wisiały niezgrabnie na jej chudym ciele. Na widok Chaberki rzuciła, co w rękach miała, i w jezioro skoczyła, znikając pod wodą jak kamień. Wilkun zaś wstał powoli i ku Chaberce ruszył, jednak widząc, że ją tym przestrasza, zatrzymał się, dłonie uspokajająco ku niej wyciągając.

– Nie uciekaj! – błagał. – Przysięgam, że krzywdy ci nie uczynię!

Opętanie w oczach jego błyskało i dziewczyna bała się go nie posłuchać. Stali tak w pewnym od siebie oddaleniu, oboje spięci i niepewni drugiego.

– Aleś ty piękna, Chaberka… – jęknął boleśnie, na co kowalówna odruchowo blizn na policzkach dotknęła.

– To ja ci to…? – nie dokończył, męczony wyrzutami sumienia. – Wybacz mi, zaklinam cię! – Postąpił gwałtownie

ku niej, na co odskoczyła, prawie do ucieczki się rzucając.

Cofnął się natychmiast, więcej już zbliżyć się nie próbując.

– Jakżeś to przeżył? – odważyła się zapytać po chwili. – Rusałka cię zratowała?

– Ona. Choć nie jest rusałką ani wiłą. Z wody mnie wyciągnęła i jakoś do żywych wróciła, ale jak, nie wiem, bom dni kilka w malignie takiej leżał, żem Sine Wody już oglądał, jeno że mieszańcem jestem, to wejść nie pozwolili. A piękne są, Chaberka! Piękne! Jak moi wrócą, wszystko zrobię, żeby mi tam ze sobą iść pozwolili!

– Co ty gadasz, Wilkun? – Córka kowala pewna już była, że chłopak oszalał. – Kto wróci? Wilkarzy? Gorączka cię chyba trawi, widać rany jeszcze nie zagojone!

Roześmiał się w głos, głowę odchylając i zdało się, że po wilczemu zawyje za chwilę.

– Oni! Oni właśnie! – wbił w ukochaną płomienny wzrok. – Dyć wszystkie stwory w lesie wiedzą, że wilkarzy wrócą, gdy morze za górami zamarznie. Kto wie, może tej zimy nawet!

Chłód przeszedł kowalównie po plecach, tak prawdziwie jego słowa zabrzmiały.

– Nie! Szalonyś, Wilkun! – krzyknęła po dziecinnemu i uciekła w las, za sobą słysząc, jak mieszaniec wzywa ją i zaklina, by wróciła.

Dalsze wołania nagła ulewa zagłuszyła, która do tej pory czekała, jakby chciała Chaberkę przed niechcianym rozmówcą za ścianą deszczu ukryć.

* * *

– Psi syn… – wysyczał kowal wściekle, opowieści córki wysłuchawszy.

Z miejsca chciał na Wilkuna iść, ale mu Chaberka na spółkę z Witkiem odradzać poczęli:

– Ściemnia się, a po lesie niebezpiecznie po zmroku się plątać – mówił chłopak.

– Do jutra ucieknie! – warknął Radożyc. – Ludzi trza zbierać i iść!

– A dyć przecie on niegłupi, tatku! Nie siedzi i nie czeka na was. Dawno uciekł i ślady zatarł, a wilka w lesie szukać to jak wiatru w polu.

Radożyc wiedział, że rację mają, w bezsilnej złości miotał się więc po kuźni, ciężkim młotem jak słomianą lalką potrząsając. Ułagodzili go jakoś i do chaty zaciągnęli, gdzie przy palenisku usiadł ciężko i w żar się wpatrzył, dłoń leniwie masując, na której bliznę miał głęboką po nacięciu. Po tym jego odruchu córka nauczyła się poznawać, kiedy frasunek go męczy. Bez słowa wieczerzę mu przyniosła i odprawiwszy Witka, spać się położyła.

Następnego dnia wieść szybko się rozeszła i część chłopów w las poszła, po trosze na łut szczęścia licząc, po trosze zaś, by w chacie bezsilnie nie siedzieć. Babom w obejściach zdało się, że je ktoś z lasu podgląda, ale po prawdzie to kowalówna rację miała, że Wilkun za bystry był na to, by tak blisko wsi podchodzić.

Odejść za daleko też nie potrafił. Ukrywał się niczym zjawa i pozwolił, by wieś zapomniała na powrót o jego

istnieniu. Chował się po zachodnich jaskiniach, które za dom swój przywykł uważać, a polował jedynie nocami. Za towarzyszkę miał milczącą dziewczynę o zielonej skórze, pająki, nietoperze i leśne straszydła, którym z drogi schodził dla bezpieczeństwa. Niemal pół roku już żył w ten sposób i zdawało mu się, że do śmierci marnej żywot taki wiódł będzie. Tymczasem spotkanie z Chaberką spokój ducha na powrót mu zburzyło. Przypomniał sobie wszystko – jaka piękna była i jak ją skrzywdził niechcący, czego nigdy wynagrodzić jej nie miał sposobności. Zadumany, nie zważał na odwiedzającą go pannę z jeziora i mniej niż zwykle uwagi jej poświęcał. Patrzyła nań nieludzko czarnymi oczyma, i pierwsze zdziwienie przeradzało się w jej martwym sercu w coś dawno przez nią zapomnianego – zazdrość.

Wilkun sprawy sobie z tego nie zdawał, bo i jakże, skoro zielonowłosa tyle dlań znaczyła, co posłanie ze skór – było zawsze i będzie. A jeśli nie, to znajdzie się inne.

Ze wszystkich ludzi na świecie Chaberki jeno z serca wyrzucić nie umiał, i choć myślał dotąd, że wyleczył się z tego miłowania, teraz znów wróciło do niego, paląc trzewia i co noc sny gorące zsyłając. Przez to z dnia na dzień coraz bardziej rozdrażniony po jaskini się miotał.

Obłęd wilczy, któremu przeciwstawić się nie umiał, powrócił. Zwierzęca krew krzyczała, by z żądzami nie walczył i przy możliwej okazji zaspokoił je.

Nie wytrzymał w końcu rozłąki i ostrożnie jął się ku obejściu kowala zapuszczać. Z daleka dziewczynę

obserwował, codziennie o krok się zbliżając. Panna z jeziora często za nim się snuła, zaciekawiona tym nowym jego zajęciem. Wkrótce jednak zrozumiała i z coraz większą złością wyraz twarzy Wilkuna obserwowała, gdy na tę ludzką dziewczynę się gapił.

Chaberka nigdy sama do lasu nie wychodziła. Radożyc nakazał Witkowi na krok jej nie odstępować i Wilkun szybko zauważył, że terminatorowi wielce się ten pomysł spodobał. Łaził za kowalówną, zagadywał i nadskakiwał jej, co widząc, mieszaniec chciał z ukrycia wyskoczyć i gardło rywala rozerwać. Wstrzymywała go i uspokajała tylko obojętność Chaberki, która uprzejmie, lecz chłodno, konkury przyjmowała.

Po prawdzie, to Witko niezbyt był do dziewcząt śmiały i myślał, że uczucia swoje dobrze przed światem ukrywa. Tymczasem nie tylko Wilkun, ale i kowal dostrzegł, do kogo serce jego bije, a i sama Chaberka, przejrzała go dawno. Czego wilkooki nie wiedział, to że opiekun doliny rad był wielce takiemu spraw obrotowi, a pojawienie się ponowne mieszańca przyspieszyło tylko decyzję, z którą się od czasu pewnego nosił.

Zabronił córce samopas od chaty się oddalać, i gdy mu Witko koniecznie był przy miechu potrzebny, Chaberka albo w chacie gospodarzyła, albo na progu kuźni siedziała, krajki na tabliczkach skórzanych tkając. Po grzyby, smalec od myśliwego albo inne rzeczy potrzebne zawsze z nią chłopak chodził, a Wilkun, z daleka, śledził ich zazdrośnie.

Minęło tak z pół księżyca i ludzie, jak to ludzie, przywykli i zapominać zaczęli o mieszańcu. W lesie zawsze przeróżne stwory mieszkały i jeden więcej znaczenia nie miał, tym bardziej, że zima się zbliżała szybko i o zapasach, nie o strachach, trzeba było myśleć.

Jeden Radożyc nie zamierzał zapomnieć. Odkąd opiekunem doliny został, już trzy razy przychodziło mu ludzi ratować. Przybyło mu od tego kilka blizn na ciele i w sercu. Jeszcze bardziej milczący się stał niż był, zanim dłoń naciął. Zmienił się – Chaberka często mu to wypominała, a on przecie dla niej to wszystko…

Wiedźma wiele go o potworach nauczyła i nigdy pomocy nie odmówiła. Kowal wiedział, że w końcu czegoś w zamian zażąda, lecz bał się zapytać czego. I tym razem odwiedził staruchę, lecz na Wilkuna więcej poradzić nie mogła.

– Czekaj. I patrz – powiedziała tylko. – Wiesz, czego zwierz pragnie.

Kowal wiedział i dlatego właśnie córki jak oka w głowie strzegł. Pewien był jednego – prędzej czy później Wilkun po nią przyjdzie. I drugi raz już się peleryną oszukać nie da.

* * *

Radożyc niewiele sypiał, wciąż się starając czujność zachować. Myślał nawet, coby Witka do chaty sprowadzić i na przemian z nim straż trzymać w obejściu, ale matka młodzieńca zległa zmorzona chorobą, a syn jedynym był, co

jej jeszcze w życiu zostało. Nie mógł więc opiekun baby bez pomocy zostawić.

Noc była cicha. Księżyc, cienkim sierpem na niebie wiszący, ciemności nie rozpraszał, za to gwiazdy przy nim świeciły jaśniej, pięknie nad lasami i górami migocząc. Zagroda kowala na skraju wsi się znajdowała, blisko boru z jednej, a jeziora z drugiej strony. Od wody kilkadziesiąt kroków do plecionego płotu było, jeszcze mniej zaś do pierwszych sosen. Kowal, w cieniu kuźni schowany, obserwował gwiazdy spokojnie, ciesząc oczy i kwas chlebowy z kubka glinianego popijając. Było już po połowie nocy i myśl o ciepłym posłaniu przy palenisku kusiła coraz to mocniej.

Wtem zdało mu się, że ruch dostrzegł pod płotem, od jeziora strony. Zamarł z kubkiem w pół drogi do ust, niepewny, czy ktoś domostwo jego nachodzi, czy mu jedynie zmęczenie na oczy się rzuca.

Zaraz jednak kształt ciemniejszy od otoczenia bliżej chaty się przesunął, a mężczyzna powoli kubek odstawił, na srebrnym nożu dłoń mocniej zaciskając.

Obcy zwinnie do ściany doskoczył, przez okienną szparę zajrzeć próbując do środka.

Chwilę tę właśnie, kiedy plecami do Radożyca się odwrócił, ten szybko wykorzystał. W kilku susach małe podwórze przeskoczył i w milczeniu na intruza się rzucił. W ostatnim momencie zaatakowany stwór uchylił się przed ciosem, odruchowo za nadgarstek kowala chwytając. Radożyc poczuł, że to, co go dotyka, mokre jest od wody

i zimne jak lód na jeziorze. Dotarło doń wtedy, że Wilkun to być nie mógł, bo i postać zbyt drobną jak na mieszańca była.

Poczuł ból przemożny, gdy ostre zęby wpiły się w rękę dzierżącą nóż.

Wolną dłonią potwora za kudły chwycił i szarpnięciem pysk od rany oderwał. Okaleczone przedramię słabło, jadem zatrute i właściciela słuchać już nie chciało. Radożyc przeklął w myślach, obawiając się, że za chwilę noża użyć nie będzie w stanie.

Naraz drzwi chaty otworzyły się i stanęła w nich Chaberka w siekierę uzbrojona.

– Do środka, już! – zawył wściekle Radożyc, z nadludzko silnym przeciwnikiem się mocując.

Stwór, ujrzawszy dziewczynę, zasyczał z taką wściekłością, że natychmiast jasnym się stało, kto celem jego najścia miał być. Od razu też, na ból nie bacząc, mężczyźnie się wyrwał, w dłoni jego sporą kępę włosów zostawiając i ku Chaberce skoczył.

Kowal wywinął się przez ramię i gdy go poczwara mijała, z wysiłkiem ciął srebrnym ostrzem w chude ramię. Kobiecy wrzask rozdarł nocne powietrze i napastniczka jak oparzona w bok skoczyła, byle dalej od noża.

Stwór atak przerwał i do ucieczki się rzucił. W samą porę zresztą, bo broń Radożycowi z okrwawionej dłoni wypadła. Nie był w stanie dłużej jej utrzymać i dopiero lewą ręką z trawy ostrze podniósł.

– Do środka – powtórzył zdyszany. – Nie wiem, co to było, ale potężne, jak skurwysyn…

Chaberka, nim drzwi za sobą i ojcem zaryglowała, raz jeszcze w miejsce, gdzie im intruz z oczu zniknął, spojrzała.

Ona wiedziała, kim była ta, co ją skrzywdzić chciała. Domyśliła się nawet dlaczego.

Nie wiedziała tylko czym była.

* * *

W południe okazało się, że pod opatrunkiem rana goi się nad wyraz szybko. Pod wieczór prawie śladu po niej nie było, ale na przedramieniu linie się błękitne pokazały, w górę, ku szyi się pnące. Radożyc gorączki dostał wysokiej, tak że z posłania wstać nie mógł o własnych siłach. Chaberka Witka po Wiedźmę pędem posłała, a gdy starucha nadeszła, błękitne ślady prawie po łokieć już sięgały.

– Toś się doigrał, kowalu… – Baba siwym łbem pokiwała. – Trupim jadem zatrutyś. Topielica to być musiała.

– Z Wilkunem ją widziałam – przyznała Chaberka. – To ona z jeziora go wyciągnęła i wyleczyła. Myślę tak, że miły jej jest… Może miłowała kiedyś i przez to w jezioro się rzuciła.

– Z durności się rzuciła, nie z miłości. – Wiedźma głową pokręciła. – Ale przeklęła się śmiercią taką, to i pewnie wraca to do niej. Głupota ta sama co za życia do męskiego ścierwa ją ciągnie. Wszarze zaplute, wszyscy oni! –

zakończyła gwałtownie, na co Witko, obecnością jej już i tak speszony, na dodatek wszarzem zaplutym się poczuł. Oczy podniósł i spojrzenie Chaberki napotkał, najwyraźniej jego miną rozbawionej.

Gdy się uśmiechała, blizny na jej twarzy jak cienkie żmijki się wyginały.

Chwilę trwało nim starucha Radożycowi napar jakowyś przygotowała. Kowalówna ze składników bieluń jedynie rozpoznała i pokrzyk, ale wystarczyło by wiedziała, że lek z tych mocniejszych być musi.

– Żebyś wiedziała. – Wiedźma wodnistymi oczyma ją przewierciła, jakby w myślach dziewczęcych czytając. – I powiem ci szybko, żebyś czasu po próżnicy na głupoty nie traciła – nie ma na jad trupi ratunku. Niebieskich śladów nie zatrzymam ani ziołami, ani zaklinaniem i gdy do serca dotrą, umrze.

Wygłosiwszy wyrok, spokojnie ranę papką z mchu okładać poczęła i słowem się więcej nie odezwała. Chaberka zaś, łkanie w gardle powstrzymując, starała się pomagać i milczała również.

Dopiero przy wyjściu z chaty, gdy już do siebie wracać zamierzyła, Wiedźma odwróciła się jeszcze.

– Chciałam cię dla siebie, dziewucho – wprost do Chaberki rzekła. – Ojciec twój głupi nie jest, dlatego nie mówił o tym ze mną. Teraz czas się przekonać, co w tobie siedzi. A kiedy już wiedzieć będziesz… moja chata wciąż w tym samym miejscu czeka. Twoja zaś… – nie dokończyła,

dłonią kostropatą machnąwszy, po czym przez drzwi się wygramoliła i odeszła.

Chaberka i Witko bez słowa zostali, nic z jej gadania nie pojmując.

– Córko moja… – dobiegło z posłania przy palenisku.

Radożyc powoli do siebie dochodził, mimo słabości na skórach usiąść próbując.

– Podaj nóż – zażądał i dziewczyna srebrną broń mu przyniosła. – Dziad twój chciał tym wilkarskiego króla ubić. Specjalnie za góry się wyprawił, by to srebro zdobyć…

– Dyć wiem, tatku – przerwała mu, bo historię tę znała od kołyski. – Szkoda tchu na opowieść. Odpoczywaj teraz.

– Nie mam czasu! – potrząsnął głową rozdrażniony. – Wiem, co Wiedźma mówiła. Słuchaj mnie uważnie. Od stworów trzymaj się z daleka. Od Wiedźmy tak samo. Ona człowiekiem dawno być przestała… – przerwał zdyszany, a czoło pot mu oblał rzęsisty.

Dziewczyna chciała go do położenia się nakłonić, ale odpędził ją.

– Ty, chłopaku! – do Witka się zwrócił. – Chcę, byś za żonę moją córkę wziął i opiekował się nią, miast mnie. Jutro swadźbę zrobimy.

Młodzi po sobie spojrzeli i mówić nic im nie trzeba było. I bez tego wiedzieli, że Witko w dziewczynie się kocha, a ona w nim nie.

– Jutro – powtórzył Radożyc. – A ja tymczasem jedno zrobić muszę, nim do Nawii odejdę – ścierwo to znaleźć, co nam tak życie zatruło. Ubić go muszę. Mieszańca… ubić…

Wbrew swym słowom, miast na wroga ruszać, opadł słabnąc na posłanie i zdało się, że świadomość tracić poczyna.

– Czujecie? – spytał jeszcze, nosem węsząc z uśmiechem. – Welesowi wysłańcy ruszyli. Ojciec mówił, że śmierć jak krew pachnie. Zapach jej… czerwony jest.

* * *

Wilkun spać nie mógł i na legowisku z mchu i futer tam i nazad się przewracał. Podsłuchał plotki, że coś kowala poturbowało i co to było zrazu się domyślił. Wściekły był na topielicę okrutnie, bo przecie gdyby jej się udało, co zamierzyła, prochy jego Chaberki dziś do kurhanu by składali. Jak tylko panna z jeziora w jaskini się pojawiła, zrugał ją i zwyzywał od najgorszych. Ona zaś stała jeno i czarnymi oczyma gapiła się w niego, jakby ani słowa nie rozumiała.

– Czego się wytrzeszczasz?! – darł się na nią. – Anim ci ja brat, ani swat! Wdzięczny jestem za ratunek, ale mężem twoim nie będę. Chaberka mi przez bogów przeznaczona! Pewnym tego i każdemu, co mi na drodze do niej stanie, kark przetrącę jak królikowi! Tobie też! Raz jeszcze rękę na dziewczynę podnieś, a pożałujesz.

Topielica słuchała i pokornie gniew jego znosiła, a gdy przerwał na chwilę, podeszła doń i próbowała po ramieniu go pogłaskać.

– Czego zaś? – odsunął się natychmiast. – Wynoś mi się sprzed oczu! Co ty myślisz, że razem żyć będziemy? Przeca

trupem jesteś! Trupem, co w jeziorze gnić powinien, ale go nawet wodni bogowie nie chcieli, to i łazi po świecie. Ty chcesz żoną moją zostać, czy jak? Wracaj ty do jeziora lepiej, nie chcę już pomocy od ciebie.

To mówiąc, za ramiona ją chwycił i siłą z jaskini wyprowadził.

Topielica mówić nie mogła, to i obronić się nie próbowała. Patrzyła nań błagalnie i łzy się nawet granatowe z martwych oczu polały. Na próżno. Wilkun złością dyszał i panny oglądać więcej nie zamierzał.

Pozbywszy się gościa, na posłanie się rzucił i spać chciał, by myśli uspokoić. Nie mógł jednak zasnąć, a w głowie wciąż plątały mu się obawy i nadzieje wszelakie.

A nuż Radożyc umrze i Chaberka z Witkiem zostanie, jak mówią we wsi. Chłopaka ukatrupić trzeba. A wtedy dziewczyna już tylko Wilkuna będzie. Jak po dobroci pójść nie będzie chciała, to ją porwie i w jaskini zamknie, ale po to tylko, by czas zyskać. Jak nikt już między nimi stać nie będzie, wtedy wytłumaczy wszystko, aż w końcu zrozumie Chaberka, że on jeden tak miłować ją potrafi. I nawet blizny tej miłości nie umniejszą, bo przecie od niego je dostała. Może i przepraszać jej wcale za nie nie powinien? Wszak one jak znak od bogów, komu ta dziewczyna pisana.

Co jednak, jeśli kowal wydobrzeje? Wtedy pewnie nie odstąpi, póki i topielicy, i mieszańca nie dopadnie.

Z całą swoją wilczą siłą Wilkun nie odważył się nigdy Radożyca napaść. Jakiś respekt przed nim czuł i wyniku

starcia się bał. Raz go już chłop niemal życia pozbawił, a od tamtej pory jeszcze gorszy się stał i mocniejszy.

Nie. Wilkooki nie chciał, by kowal do sił wrócił. Rzucając się po posłaniu, tak właśnie myślał i teraz tylko wydumać musiał, czy się na los zdać i czekać, czy też szczęściu swojemu dopomóc.

* * *

Trudno było w jeden dzień swadźbę zgotować. Witko matce nowinę przekazał i kobiecina uradowała się tak, że z miejsca zdrowiej się poczuła. Wiadomo, jak to baba, przygotowań do ożenku syna przegapić nie mogła i swój udział we wszystkim mieć chciała. Martwił się młodzieniec, że matka zmęczy się i osłabnie, ale powstrzymać jej nawet nie próbował.

Przez dzień cały Witko Chaberki pilnował, żeby mu z oczu nie znikała. Bał się bowiem, że albo Wilkun, albo jego topielica postarają się do dziewczyny dostać. Kiedy jednak słońce już się za górami chowało i przygotowania były na ukończeniu, spostrzegł, że mu przyszła żona gdzieś przepadła. Zimny pot go oblał na samą myśl, że jej się coś stać mogło. Szybkim krokiem ku chacie kowala ruszył, na boki uważnie się rozglądając. Przed paroma chwilami u Radożyca byli, ale spał ziołami zmorzony, wrócili więc do ludzi. Dla Witka chata kowala pierwszym miejscem była, w którym dziewczyny szukać należało.

Blisko już był, gdy ją dostrzegł w miejscu, gdzie las za gospodarstwem do jeziora schodził. Siedziała na trawie,

z kolanami pod brodę podciągniętymi, w taflę wody zapatrzona. Gdy podszedł, wstała z twarzą smutkiem ściągniętą.

– Czemu się chowasz, jeszcze cię mieszaniec zobaczy – zganił ją, jak umiał najłagodniej.

Wzruszyła tylko ramionami i jasny warkocz na plecy odrzuciła.

– Podumać chciałam chwilę w samotności – mruknęła.

– Ja myślałem, że płaczesz.

– Tak, juści… – parsknęła pod nosem.

Nie pamiętała już, kiedy płakać jej się zdarzyło. Ciężko jej było, ale nie mogła z nikim tym smutkiem się podzielić. Ze wszystkich w dolinie właśnie Witko jedynym był, któremu ufała na tyle, by przed nim serce otworzyć, a jednak zrobić tego nie umiała.

Ojciec mój umiera o świcie – chciała rzec – *a ja chodzę, jak kukła słomiana i płakać po nim nie potrafię. Za mąż dziś wychodzę i choć od dawna wiem, że miłujesz mnie, nic nie czuję!*

– Nie płaczę – wykrztusiła z trudem. – Jeno słucham, czy mi serce jeszcze bije. Nie wiem sama, kto trupem jest bardziej, topielica, co z miłości zabić by mogła, czy ja.

Zerknęła szybko na młodzieńca, ale spojrzenie miał tak szczerze zatroskane, że wzrok spuściła speszona.

– Taka pusta jestem w środku – wyznała tak cicho, że szeptem prawie. – Taka… zimna.

Witko czekał i słuchając podziwiał mimo woli, jak promienie czerwonego słońca skrzą na jej złotych

warkoczach.

– Coś tam czujesz – rzekł spokojnie. – Złość może, a może żal i smutek. Każdemu inaczej to z serca wyłazi. Po prostu zamążpójścia się boisz, wiele młódek tak ma.

Opuściła ramiona i z namysłem na jezioro spojrzała.

– Nie małżeństwa się boję, jeno miłowania. Ono ludzi w bestie zmienia. Zazdrość i żądze na rozum się rzucają i do nieszczęścia łatwo doprowadzić mogą. Wilkun oszalał, a przecie wychowałam się z nim i wiem, że dobrym był przed tym jak mnie pokochał.

– Wilkun oszalał, bo mieszańcem jest i krew ma zatrutą – odparł. – Ja nie oszaleję przecież i krzywdy ci nigdy nie zrobię.

Powoli głową pokiwała i nim odparła, westchnęła ciężko.

– A mnie się zdaje, że właśnie jak on zaczynasz gadać.

Witko aż gębę otwarł ze zdziwienia na te słowa. Pokręcił głową, lecz nim coś odrzekł, Chaberka dodała:

– Witko, dobry jesteś i pracowity. Idź i weź sobie żonę gorącą i sprytną, nie taką jak ja skorupę, co dawnej Chaberki już nie przypomina. Chodzę, jem i śpię z przyzwyczajenia jeno. Nawet urody dawnej już nie mam. Nie pokocham cię, bo serce mam zimne. Dlatego na Roda przysięgam, że z obietnicy ojcowi mojemu złożonej cię zwalniam. Idź!

Prosto w oczy ciemne spojrzała dumnie, ale Witko ani drgnął. Na zachodzące słońce patrzył, myśli zbierając.

Potem uśmiechnął się jakby dzieckiem była, głupoty ku uciesze rodziców gadającym.

– Po Radożyca iść trzeba. Żerca czekać będzie – powiedział jakby nigdy nic i rękę do niej wyciągnął. – Chodźmy.

Nie chwyciła dłoni, ale bez słowa ku obejściu kowala ruszyła.

Razem na podwórko weszli i zaraz spostrzegli, że chłopak, który miał obejścia pilnować i alarm w razie czego wszczynać, na progu chaty leży. Na śpiącego nie wyglądał, więc podbiegli szybko i odkryli, że dycha, jeno przytomność stracił. Widząc to, Chaberka jak wściekłe zwierzę przyskoczyła do drzwi i do chaty wpadła, za plecami Witka mając o krok.

– Ani kroku! – wrzasnął Wilkun, nad Radożycem znacząco się pochylając.

Kowal sine miał usta i wzrok tak błędny, że nie wiedzieć było, czy cokolwiek z tego, co się dzieje, w ogóle doń dociera. Błękitne linie znaczyły skórę na piersi, widoczną przez rozchełstaną, mokrą od potu koszulę. Prawie do serca już sięgały, czasu wiele mężczyźnie nie pozostawiając. Mieszaniec przykucnął u jego głowy, gotowy w każdej chwili kark ofiary skręcić.

Pomylił się jednak, najście to planując.

Chaberka ani na chwilę się nie zatrzymała. Wręcz przeciwnie, kroku od drzwi przyspieszyła, wprost na Wilkuna ruszając.

– Stój, Chaberka! – krzyknął Witko, ale złapać jej za ramię nie zdążył.

– Zabiję go! – zagroził wilkooki, skołowany obrotem sprawy.

– A proszę – warknęła dziewczyna. – On i tak już martwy jest, nie widzisz?

Twarz Wilkuna wydłużyła się w zdziwieniu i chwilę stracił, by zerknąć, czy prawdę mówi i czy mu cenna zdobycz tak po prostu u stóp nie skonała.

Napotkał zielone oczy Radożyca, wpite weń jadowitym spojrzeniem.

Chaberka chwyciła zydel, co jej się pod rękę nawinął i z całej siły rąbnęła mieszańca. Celowała w głowę, lecz uchylił się i cios po ramieniu zszedł, a drewniane nogi we wszystkie strony poleciały. Wilkun w złej pozycji się znajdował – przykucając, nie był w stanie równowagi utrzymać i jak długi wprost w palenisko poleciał. Żar rozsypał się po izbie i leżące najbliżej futra dymić zaczęły, rychło płomieniem się zajmując.

Widząc, że Chaberka w szale znów na wilkookiego naciera, Witko sam nie wiedział, czy ma ją, czy też chorego ratować. W końcu, mnąc przekleństwo w ustach, rzucił się kowala od płomieni odciągać. Temu już jednak ratunek żaden nie był potrzebny, bo,sapnąwszy, ze światem się pożegnał.

Przepierzenie z sitowia fuknęło żywym ogniem i gorące powietrze niemal płuca chłopakowi poparzyło. Obejrzał się na Chaberkę.

Wilkun zdążył już na równe nogi skoczyć, przed dziewczyną się cofając. Chciał się w wilka zmienić, lecz nie mógłby wtedy wszystkiego tego powiedzieć, co od tak dawna powiedzieć zamierzał.

Wilcza krew nakazywała mu się bronić, choćby kłami i pazurami miał wyszarpać sobie drogę do wyjścia z chaty, co się płonącą pułapką stała.

Jednak widząc przed sobą błękitne oczy ukochane, warkocze złociste za plecami podskakujące i piękne oblicze Chaberki wiedział, że odejść bez niej nie może. Uspokoić ją tylko musiał, wytłumaczyć wszystko i ze sobą zabrać.

Tymczasem córka kowala siekierą w niego rzuciła i jedynie dzięki nadludzkiej szybkości z głową uszedł. Za dziewczyną chatę pożerały płomienie. Witko, kaszląc i kuląc się, wybiegł na podwórko, powietrza zaczerpnąć.

Nie widząc już innego wyjścia, Wilkun przestał uciekać i ręce przed siebie pojednawczo wyciągnął.

– Na Roda, miła ty moja! – błagał. – Stój, zaklinam cię, bo oboje tu spłoniemy! Uciekać nam trzeba!

Chaberka uśmiechnęła się krzywo, a blizny uczyniły ten uśmiech wyjątkowo ponurym.

– Czemu więc nie uciekasz, Wilkun? – warknęła.

– Rozmówić się z tobą muszę! Po to jeno przyszedłem!

– Ach, po to! A nie ojca mego zabić?

– Chaberka! Wiesz przecie, że nad życie cię miłuję! Nie podchodź, bo krzywdy ci nie chcę uczynić.

Nie posłuchała. Podeszła bardzo blisko, z lodowato zimnym spojrzeniem i twarzą czerwoną od panującego

w chacie gorąca.

Tak straszna była w tej chwili, tak do Radożyca podobna.

I piękna tak, że serce obłąkanego mieszańca niczym wosk na ten widok topniało.

– Chodź ze mną – jęknął. – Pisani sobie jesteśmy! Zobacz, nic złego ci nie zrobię. Nie potrafię cię skrzywdzić…

Przytuliła się prawie, tak blisko stanęła i zapach jej, mimo dymu i swądu, w nozdrza bestii uderzył.

Czerwony był jak kiedyś i tak samo jak wtedy zdradliwy.

Dłonią po twarzy go pogłaskała, a gdy z rozkoszy oczy przymknął, srebrny nóż aż po rękojeść w sercu jego zatopiła.

Wierzgnął, wyjąc, dziewczynę daleko od siebie odpychając. Uderzyła w ścianę ogniem zajętą i ślubna, błękitna sukienka zapłonęła, ból straszliwy zadając. Wrzasnęła Chaberka boleśnie, starając się płomień dłonią zagasić, gdy ją mocne ramiona Witka pochwyciły i mokrą derką z kuźni nakryły. Przygięci nisko, pędem z chaty wybiegli, agonii Wilkuna nie oglądając.

Chaberka kaszlała potwornie i na przemian z bólu wyła, ramię lewe wciąż czując, jakby ogniem płonęło. Powietrze nawet zdawało się ból zadawać dotykiem swoim.

Tymczasem ludzie się zbiegli, pożar z daleka widząc, i do gaszenia się rzucili. Szczęśliwie do jeziora blisko było, więc z kuźni wiadra i cebrzyki, jakie kto znalazł, złapali i ku

wodzie pobiegli. W połowie drogi jak wryci zatrzymali się, na siebie nawzajem wpadając.

Od jeziora, w nastającym mroku, szła niespiesznie kobieta. Chuda była i dziwna, a biała niegdyś sukienka wisiała na jej ramionach niezgrabnie. Wieśniacy bez słowa miejsca jej ustąpili, zadziwieni i przestraszeni jej widokiem.

Topielica w ciszy zupełnej na podwórze weszła i na nikogo się nie oglądając wprost do chaty ruszyła. Jej mokra skóra syczała, gdy w drzwiach znikała, skąd dym biały gęstymi kłębami uciekał.

Witko i Chaberka po sobie spojrzeli, zadziwieni tak samo, jak i pozostali.

Nie minęła chwila i na progu znów się panna pojawiła, wodą parującą sycząc, gdzieniegdzie nieco już osmolona. Trupem jednak będąc, bólu się nie bała i jakby nigdy nic, przypalone ciało Wilkuna z chaty wywlokła. A siłę taka miała, że zdało się, iż wysiłku żadnego jej to nie kosztuje. Ciągnąc cuchnący spalonym mięsem zewłok, minęła Witka i Chaberkę, jakby powietrzem byli.

Kilka kroków później zatrzymała się zaskoczona, usta otwierając i czarne oczy wytrzeszczając. Z kącików ust spłynęła strużką granatowa krew, bo czubek srebrnego noża wbił się u nasady czaszki aż po rękojeść. Ostatkiem sił topielica odwróciła się. Chaberka stała, ledwie się na nogach trzymając i chłodno patrzyła, jak nieludzkie oczy gasną.

Kilka sekund minęło, nim kolana pod wodną panną ugięły się i ciało jej na martwego ukochanego upadło.

– Do ognia z nimi! – zarządziła córka Radożyca. – A żywo!

Witko wraz z dwoma młodzikami zwinnie do trupów przyskoczył i w płonące drzwi chaty razem je wrzucili.

Ocierając z czoła pot, pomocnik kowala zwrócił się do Chaberki.

Ale ona już tego nie widziała. Zemdlała.

* * *

Wiosenne słońce opromieniało las, przeciskając się pomiędzy liśćmi dębów.

Chaberka stanęła na rozstajach i srebrnym nożem dziada swojego szybkim ruchem dłoń nacięła. Dłoń z wierzchu poparzoną i wciąż jeszcze kolorem od reszty ciała odbiegającą.

Krew kapała na ziemię, stare liście i sosnowe szpilki. Dziewczyna, jak jej ojciec kiedyś, zaklęciem życie swe na zawsze miała właśnie odmienić. Opiekunką się stawała, by ludzi przed stworami bronić.

– Rodzie spraw, bym radę dała – szepnęła cicho.

– Dasz – dobiegło ją od tyłu, gdzie na brzegu drogi, przysięgę jej Witko obserwował.

– Dam – powtórzyła za nim.

Od niedawna mężem i żoną już byli. Zmrożone serce dziewczyny powoli tajało, choć wiele jeszcze czasu miało upłynąć, nim da się rozgrzać płomieniem uczucia.

Chaberka uśmiechnęła się przelotnie, zranioną nożem dłoń w pięść zacisnęła i zaklinać zaczęła:

– To jest moja krew. To jest mój zapach i smak. Jeśli siłą zechce ktoś z was szukać ofiary wśród moich, smak i zapach mój do mnie go przyprowadzą. Ja jestem Chaberka Radożycówna – opiekunka tej doliny.

Ostatnia myśl – Marta Krajewska

Staruszka prowadziła grupkę podrostków przez niepołomną puszczę, zostawiając wioskę daleko za sobą. Baba sterana była ciężkim życiem, zgarbiona i prawie zupełnie bezzębna. Zazwyczaj sama chadzała do bartników po miód, ale od kilku dni słabo się czuła i córka dzieciarnię z nią wysłała, tak jakby towarzystwo rozwrzeszczanych i nieusłuchanych łobuzów mogło kobiecinie pomóc na bóle w piersi i skołatane nerwy.

– Na węże Welesa! – wrzasnął Jurko, najstarszy z grupki, który zawołanie to uważał za wielkie przekleństwo i wykrzykując je, zawsze czuł się jak kto dorosły. – A co to za drzewo, babko?!

Rosnący przy ścieżce dąb otoczony był kręgiem białych kamieni, znaczących święte bądź przeklęte miejsce. Staruszka zatrzymała się, zadowolona, że może chwilę odpocząć.

– A, to drzewo Strzyrada – sapnęła. – Tu dobiec zdążył, kiedy uciekał.

– Uciekał? Jaki zaś Strzyrad? – zaciekawiła się młodzież. – Opowie babka? Prosimy!

– Ano, dobrze – zgodziła się, siadając z trudem u stóp drzewa. – Opowieść to będzie dziwna i zaiste ponura…

– Na Welesa! – wywrócił oczyma Jurko. – A babka nie może normalnie gadać, tylko zawsze tak po starodawnemu? Nikt nie lubi, jak babka tak prawi jak niedzisiejsza.

Kobieta zgromiła go spojrzeniem. Zaraz jednak odchrząknęła i podjęła:

– Działo się to, gdy Chaberka Radoży…

– O matko… – mruknął chłopiec, niby do siebie. – Zawsze ta Chaberka.

– Dobrze! – zirytowała się stara. – To nie było za Chaberki! Tylko cichaj wreszcie albo opowiadać nie będę!

Jurko parsknął lekceważąco, ale że historia tajemniczego drzewa ciekawiła go, zamilkł i z udawanym ociąganiem przysiadł z resztą sióstr i braci. Dopiero wtedy kobieta wzięła głęboki oddech i zaczęła:

– Działo się to latem, gdy ludzie do żniw się zabierali…

* * *

Strzyrad uciekał najszybciej jak potrafił. Bał się tak, że nawet nie czuł szyszek i kamyków wbijających się w bose stopy. Jego wątłe ciało nie nawykło do wysiłku, wkrótce więc zasapał się i opadł z sił. Na nieszczęście bogowie, miast obdarzyć go siłą, dali mu głowę pełną niesamowitych, nierozumianych przez ludzi pomysłów. I te właśnie pomysły doprowadziły go do opłakanej sytuacji, w której przyszło mu uciekać przez las.

Chrystko i jego starszy brat zwany Dzikiem, synowie młynarza, dopadli swoją ofiarę pod wielkim dębem

i wrzeszczącego obili wściekle, aż przestał krzyczeć i szarpać się.

– Żegnaj się z życiem, Strzyrad! – Chrystko przygiął chłopakowi kark do grubego, płożącego się po ziemi korzenia dębu. – Dawaj, Dziku!

– A dyć ja nic nie zrobiłem! – darł się ostatkiem sił Strzyrad. – Sameś sobie winny!

Te słowa jeszcze bardziej Chrystka rozsierdziły.

– Ja? – kwiknął, niczym wściekły odyniec. – A kto mi ten wyla… wynaz… wylalazek pod nos podsunął?! Dzik może?! Hę?

Strzyrad, na wpół ze strachu oszalały, na wpół nieprzytomny z bólu, zachlipał bezsilnie, wiedząc, że za chęć pomocy tępym synom młynarza przyjdzie mu zapłacić życiem.

Czując, jak łzy napływają mu do oczu, zaczął się gorliwie modlić do Roda, by czas odwrócił i by to wszystko się nie stało.

* * *

Było to w kupalnockę, gdy dolina tonęła w blasku świątecznych ognisk. Pijana miodem młodzież snuła się po krzakach, a powietrze rozbrzmiewało śmiechami i toastami. Pachniało dymem i bylicą, którą gospodynie dopiero co domostwa okadziły.

Nad jeziorem tańczyły dziewczęta w wiankach na głowach. Twarze rumieniły im się od ciepła i wypitych trunków. Widząc obserwujących je łakomie chłopców,

śmiało unosiły giezła, ukazując kolana, a nawet kusząc nagością białych ud.

Chrystko i Dzik popijali miód. Zmęczeni tańcami i skokami przez ogień, na panny popatrywali. Szczególnie młodszy z młynarczyków ślepia wybałuszał, bo mu się bardzo córka myśliwego podobała.

– Brałbym ją, oj, brałbym… – mamrotał do brata. – Gdyby myśliwy taki srogi nie był, to by tę nockę Miłka do końca życia zapamiętała!

– Przechwalaj się na zdrowie – zakpił Dzik. – Ona już wyswatana, jej ojciec łeb by ci u samej rzyci ukosił. A nasz by poprawił, jakby mu, nie dajcie bogowie, Miłka dzieciaka do młyna przyniosła.

– Ano – przytaknął niechętnie Chrystko i popił miodu.

Ostatnio plotka zza gór przyszła, że upojne nocki mogą mieć coś wspólnego z powstawaniem dzieciaków. Chrystko jak ognia bał się zostać ojcem i to skutecznie odstraszało go od figli, nawet z chętnymi dziewojami.

Wtem ktoś odchrząknął znacząco tuż obok nich i Strzyrad zbliżył się niepewnie.

– Tak słyszałem niechcący, co gadacie – rzekł. – A właśnie rzecz taką wynalazłem, co przed powstawaniem dzieciaków chroni.

Wgapili się weń, nie do końca rozumiejąc, czego od nich chce. Nie lubili Strzyrada, bo worka mąki przerzucić nie umiał, a połowy tego, co gadał, nie pojmowali.

– Pomyślałem se – chudzielec przysunął się jeszcze bliżej – że może byś chciał rzecz ową wypróbować? Z… no

nie wiem, bodajby z Miłką?

Usłyszawszy swoje imię, piękna córka myśliwego obejrzała się w ich stronę i posłała Chrystkowi wielce obiecujące spojrzenie, tak że aż krew mu uderzyła do głowy i z pewnością innych jeszcze części ciała.

– No nie wiem… – wydukał. – I mówisz, że od dzieci chroni?

– Tak. – Strzyrad skinął pewnie, bardzo chcąc sprawdzić wynalazek w działaniu.

– To dawaj.

Chudzielec wsunął Chrystkowi do ręki mały woreczek, wielkości może ćwierci młynarskiej dłoni.

– Spakowałem tak, żeby miejsca mało zajmował. Patrzyłem kiedyś, jak matula kiełbasę robi i tak żem przydumał, że pakuje to mięso i pakuje, a nic nie wylata, takie jelita szczelne. No, a że kształtem kiełbacha przypomina… Ejże, czekaj! – próbował tłumaczyć, ale tamten już nie słuchał.

Jak na skrzydłach niesiony, młynarczyk zerwał się z ziemi i do Miłki podbił, woreczek od Strzyrada trzymając mocno w garści.

A potem kłopoty się zaczęły, bo tuż przed żniwami Miłka oświadczyła Chrystkowi, że spodziewa się dziecka.

* * *

– Ubiję cię jak psa! – darł się Chrystko na Strzyrada, wywijając siekierą nad jego głową. – Tatko myśliwemu zapłacić posag chce, ale ten zemsty tylko pragnie! Nie

wywinę się spod jego topora za żadne ojcowe skarby! I to wszystko przez ciebie i wylalazek twój!

Furia w oczach chłopaka przerażała Strzyrada śmiertelnie.

– Ale ja niewinny jestem! – zawył. – Nie zabijaj!

– Zabiję, gnoju!

Dzik mocniej Strzyradowi kark do korzenia dębu przycisnął, a Chrystko zamachnął się siekierą.

– Czekaj! – krzyknęła ofiara rozpaczliwie. – Jak mnie zabijesz, wrócę i straszyć cię będę!

Młynarczyk zawahał się, ale jego brat prychnął z pogardą:

– Akurat! Do tego moc trzeba mieć od bogów daną. A Chrystko rację ma po swojej stronie, to żadne przekleństwo ci się nie uda.

– A uda się! Zobaczysz, że wrócę! Wrócę silny i łeb ci rozwalę!

– Nie wierzę! – potrząsnął głową Dzik. – Udowodnij.

– Jak?

– Ano, widzisz ten kamień na ścieżce? – wskazał Dzik. – Jak się twoja głowa po ścięciu doturla tam i kamień w zęby złapie, to znak będzie, że wrócić potrafisz.

Strzyrad trząsł się ze złości, bezsilności i strachu. Wiedział już, że umrze przez swą głupotę i brutalność młynarczyków.

– Zgoda – rzekł, nagle odzyskując spokój. Skupił wzrok na kamieniu i starał się nie myśleć o tym, co się stanie za chwilę.

Chrystko uniósł siekierę i szybkim ruchem spuścił ją na szyję chudzielca.

Siekiera, tego ranka świeżo wyostrzona, świsnęła, przecinając powietrze. Krew obryzgała obydwu braci, a głowa Strzyrada potoczyła się na bok.

Toczyła się i toczyła, aż w końcu doleciała do kamienia i choć zdawało się to niemożliwe, zęby na nim zacisnęła z nieprzyjemnym chrzęstem.

Chrystko gębę rozdziawił z przerażenia.

– Na węże Welesa! – złapał się za głowę. – To po mnie! Jak mnie myśliwy nie ukatrupi, to duch chudzielca przyjdzie po mnie!

Brat podszedł doń spokojnie i rękawem brudnej koszuli otarł ślad krwi z brody.

– Nie wróci – powiedział pewnym głosem. – Nie pamiętasz, co babka gadali? Że ostatnia myśl umierającego ducha na świat przywołuje. Jak chce bardzo wrócić, to wraca. A ten tu, o czym myślał, hę?

Chrystko wbijał w brata tępe spojrzenie, więc Dzik dokończył po chwili:

– No przecie nie o tym, żeby cię ubić, głupi, jeno żeby kamień w zęby złapać!

Po czym roześmiał się tubalnie, wielce ze swego podstępu zadowolony.

Brat zawtórował mu, jak tylko zrozumiał.

– No i po nim – stwierdził odkrywczo. – I należało mu się. Wiesz, jak mi gardło ten jego woreczek poharatał? Jak

trudno go połknąć było? A wysrać, to dopiero była męczarnia!

* * *

Młodzi słuchali babki z otwartymi buziami, a mniejsze dziewczynki ocierały łzy ronione nad losem biednego Strzyrada.

– I co się stało z nimi? – spytał średni z chłopaków. – Wrócił ten Strzyrad czy nie?

Stara uśmiechnęła się gorzko:

– Nie wrócił. Ale bracia też się życiem nie nacieszyli, bo za mord niesprawiedliwy wieś ich osądziła. A Strzyradowi tutaj kamienny pierścień wokół dębu ustawili, żeby wszyscy o historii tej smutnej pamiętali i na wszelki wypadek na ducha jego uważali.

Chłopcy i dziewczęta spojrzeli z szacunkiem na szumiącą nad nimi koronę dębu.

– A, babciu… – nieśmiało zaczęła urocza, kilkuletnia dziewczynka. – Do czego kiełbacha jest podobna?

Kobieta zacukała się srogo. Zapomniała, że oprócz wyrostków, całkiem małe dzieciaki ma też pod opieką. Jak mała z takim pytaniem przy ojcu wypali, dostanie babka za swoje, że podrostkom głupoty opowiada.

Nie wiedząc, co odrzec, z wysiłkiem podniosła się z ziemi, zamierzając ruszać w dalszą drogę. Tak marnie się dziś czuła…

– Łaaaa! – zawył potępieńczo Jurko, wyskakując zza dębu niespodziewanie. – Jestem duchem Strzyrada!

Dzieciaki pisnęły wystraszone, a babka poczuła nieznośny ból w piersi i nim zdążyła na chłopca nawrzeszczeć, osunęła się ciężko między korzenie drzewa.

– Ty skaranie boskie… – wysapała boleśnie. – Czekaj, jak ci dupę przetrzepię…

I to mówiąc, padła plecami na sosnowe szpilki i stęknąwszy ostatni raz, zeszła z tego świata ze wzrokiem wbitym w Jurka.

Dla podrostków czas na chwilę stanął w miejscu.

Z rozdziawionymi gębami spoglądały to na babkę, to na brata i z lękiem wszystkie o jednym myślały – czy zdążyła jeszcze coś wspomnieć, czy też ta myśl o Jurku była jej ostatnią.

Marta Krajewska

Kulturoznawca, interesuje się życiem codziennym, kulturą i demonologią wczesnych Słowian. W 2014 roku zadebiutowała opowiadaniem „Daję życie, biorę śmierć” w „Nowej Fantastyce” (10/2014). Opublikowała również tekst „Śpij, chłopczyku” w antologii „Toystories” wydawnictwa Morpho. Publikowała również w antologiach „Toystories”, „Horror na Roztoczu 2” oraz „Fantazje Zielonogórskie 5”. Opowiadanie „Daję życie, biorę śmierć” zostało nominowane do Nagrody im. Janusza A. Zajdla.

http://geniuscreations.pl/autorzy/marta-krajewska/

Patronat medialny

Portal internetowy Gildia.pl powstał w 2001 roku jako niezależny i autorski projekt skupiający fanów i profesjonalnych twórców związanych z szeroko rozumianą fantastyką. Ponieważ na tym polu działalności osiągneliśmy już status największego portalu w Polsce, zdecydowaliśmy się w 2005 roku dokonać kolejnego kroku w naszym rozwoju i rozszerzyć formułę Gildii do codziennie aktualizowanego serwisu kulturalnego o niespotykanej do tej pory w naszym kraju ofercie jednej redakcji. Kulturę traktujemy bardzo szeroko. Nasze serwisy tematyczne, które skupiają codziennie dziesiątki tysięcy czytelników, prezentują informacje związane z literaturą, filmem, muzyką, grami komputerowymi, bitewnymi, karcianymi i planszowymi jak również komiksami, grami fabularnymi, tematyką popularnonaukową oraz tajemnicami otaczającego nas świata.

Nieświt – Magdalena Kubasiewicz

Na początku jest sen pełen kart.

W powietrzu wirują dziesiątki barwnych prostokątów, a każdy mieści w sobie malutki świat. Gdy wyciągasz rękę, by schwytać jeden z nich, ten umyka, lecz ślepia widniejących na nim zwierząt zaczynają lśnić. Psy wyskakują z karty, miniaturowy świat uwalnia się, księżyc leci w górę, jak ptak wypuszczony z klatki. Księżycowe oczy namalowane błękitnym barwnikiem są znużone, a uśmiech krzywy, jakby artysta przerwał pracę w połowie. Psy otrząsają się, krople złocistej farby padają na ziemię, a zwierzęta zaczynają wyć. Uśmiech księżyca staje się jeszcze bardziej groteskowy.

– To tylko sny. Sny, które umierają w Nieświcie – mówi i zamyka oczy. Psy przestają ujadać, kładą się na ziemi, a po chwili zamieniają w rzeźby.

Kobieta w czerni wychodzi z płonącej wieży, w jednej ręce niosąc wagę, a w drugiej miecz o zakrwawionym ostrzu. Oczy ma przewiązane przepaską, wiatr szarpie jej ciemne włosy i bawi się suknią

– Sprawiedliwość jest ślepa – śmieje się nieprzyjemnie. Nie przestaje nawet wtedy, gdy czarna szata staje w ogniu. Ten śmiech słychać jeszcze długo po tym, jak kobieta

obraca się w popiół. Kopyta konia, który zbiega z nieba, uderzają w bruk i rozrzucają prochy.

– Kochasz mnie? – pyta jeździec. Gdy odrzuca kaptur, odsłania twarz młodej dziewczyny, jasnowłosej, o zielonych, martwych oczach. Kolejny podmuch wiatru rozwiewa poły płaszcza. Pod spodem są kości, żadnego ciała, żadnej skóry.

Karty wirują w powietrzu. Księżyc wygląda zza chmur i uśmiecha się.

* * *

Wierzba zeszła do podziemi warszawskiego metra w sobotę o trzeciej nad ranem, gdy większość ludzi zdążyła już dotrzeć do domów po nocnych wojażach, a inni, zaczynający wcześnie pracę, nie otworzyli jeszcze oczu. To była pora najlepsza dla takich jak ona. Czas Pomiędzy, gdy Nieświt miał najwięcej mocy, kiedy ulice tonęły w ciemności i ciszy.

– Malutka, śliczniutka – zanucił ktoś. – Wierzbusia, milusia.

Przeoczyłaby postać kulącą się na ławce, gdyby nie ta piosenka. Cień wśród wielu innych, niezauważalny dla młodzieży wracającej z dyskotek, straży miejskiej, ludzi o bladych twarzach i podkrążonych oczach. Słysząc własne imię wyśpiewane ochrypłym głosem, rozejrzała się i dopiero wtedy dostrzegła kobietę w obszernym, powycieranym prochowcu.

– Jestem – powiedziała Wierzba.

– Jesteś, jesteś! – potwierdziła skrzekliwie kobieta, prostując się. Dopiero teraz Wierzba dostrzegła jej twarz, zaskakująco młodą, niepasującą do starczego głosu. Gdyby nie blizny pokrywające prawy policzek i niewidzące oczy, zapewne byłaby piękna. – Książę kazał Ślepinie iść do ciebie. Ślepina przyszła. Jesteś, jesteś!

Książę nie mógł wiedzieć, że Wierzba trafi na stację metra akurat tego dnia. Posłał wezwanie, nie kłopocząc się oczekiwaniem na odpowiedź. „Ktoś cię znajdzie', napisał i nie wątpiła, że tak właśnie będzie. Być może Ślepina od kilku dni trwała na tej ławce, a ręce zaczerwienione od chłodu i przetłuszczone kosmyki włosów świadczyły właśnie o tym?

– Dokąd mam iść?

– Przed siebie! Noga za nogą! Prawa, lewa! – zaśmiała się. Przez chwilę Wierzba mogłaby przysiąc, że widziała niewidomą wcześniej, słyszała ten głos, ale to było niemożliwe. Zapamiętałaby kogoś o takich oczach, a gdy ostatni raz opuszczała Warszawę, trwała odbudowa stolicy po wojnie.

– Otrzymałam wezwanie – stwierdziła, chowając dłonie w kieszeniach płaszcza. – Musiałam go usłuchać, więc przybyłam. Tutaj kończą się moje obowiązki. Jeśli nie powiesz mi, jak znaleźć Księcia, wrócę do domu, rozumiesz?

– Nie widzę twojego domu – odparła Ślepina. – On nie istnieje.

Wieszczka – zrozumiała Wierzba. Nieświt rzadko obdarowywał swe dzieci umiejętnością zaglądania w przyszłość, a jeśli tak się działo, wybrani zazwyczaj szybko odbierali sobie życie. Z tym darem – czy też przekleństwem – w parze szło szaleństwo. Tym większe, im silniejsze zdolności..

– Mów.

– Nie spiesz się tak, gołąbeczko, nie spiesz. Nie porozmawiasz ze Ślepiną? O snach, które przychodzą, choć powinny umrzeć w Nieświcie? O Księżycu, do którego ujadają psy? Nie chcesz wiedzieć? Ślepina nie bierze drogo za wróżbę, trzy krople krwi, tylko tyle…

Wierzba cofnęła się i uniosła dłoń, a na czubkach palców zatańczyły zielone iskry. Możliwe, że to nie Książę przysłał tę dziewczynę, mogła być jedną z tych, którzy polowali na niedoświadczonych magów, pragnący nasycić się ich energią.

– Boi się? – Ślepina wybuchła ochrypłym śmiechem, niepokojąco znajomym. – Czarodziejka boi się biednej Ślepiny? Nie ma czego, gołąbeczko. Nie ma czego.

Spokojnie – powiedziała sobie Wierzba, opuszczając rękę. *Spokojnie. Tak, to wieszczka, ale kompletnie obłąkana, ślepa i niegroźna. Nie może nikogo skrzywdzić, dopóki samemu się jej na to nie pozwoli.*

– Cenię swoją krew. Podobnie jak mój czas i nie będę go marnować na gierki.

Wieszczka ponownie zachichotała, wyciągając z kieszeni kartkę. Papier wzleciał jakby porwany przez

wiatr, wpadając prosto w ręce Wierzby. Gdy tylko odczytała wiadomość, ta rozsypała się w proch.

– Zaczekaj, zielona czarodziejko!

Wierzba zatrzymała się w pół kroku. Odwróciła się, niezdecydowana, czy powinna wysłuchać tego, co wieszczka miała do powiedzenia. W głosie kobiety dało się jednak wyczuć powagę, tę samą, z którą mówiła o nieistniejącym domu. I nazwała ją zieloną czarodziejką, a wiele czasu upłynęło od czasu, gdy ktoś zwrócił się tak do niej po raz ostatni.

– Dostaniesz radę w prezencie od Ślepiny. Żebyś wiedziała, że Ślepina nie jest wrogiem.

– Niczego od ciebie nie chcę – powiedziała Wierzba, uśmiechając się krzywo. – Za każdy dar trzeba prędzej czy później zapłacić. Często znacznie więcej, niż był wart. Nie przyjmę niczego, nie znając wcześniej ceny.

– Mimo to słuchaj, zielona czarodziejko – odparła niezrażona wieszczka. – Słuchaj i zapamiętaj. W blasku Księżyca świat wygląda inaczej i łatwo ulec złudzeniom. Sprawiedliwość jest ślepa, tak jak ja, a śmierć nie zawsze oznacza koniec. Czasem trzeba dobrowolnie wejść w ciemność.

Nie odpowiedziała i odeszła w milczeniu. Gonił ją ochrypły, szalony śmiech Ślepiny.

* * *

Nikt nie czekał w mieszkaniu, którego adres zapisano na kartce. Jednak Wierzba nie spodziewała się, że znajdzie

w nim Księcia bądź kogokolwiek z jego świty. Nie tak łatwo było odnaleźć władcę tej części magicznej Europy. Uważnie przyjrzała się brudnemu lustru wiszącemu w przedpokoju, ale nie zobaczyła nic prócz własnego odbicia – drobnej, bladej kobiety pod trzydziestkę, z zielonymi oczyma i brązowymi, farbowanymi włosami. Zamknęła i otworzyła wszystkie drzwi, ale żadne nie kryły za sobą nic więcej. W końcu podeszła do szafy. Ledwo dotknęła klamki, i już wiedziała. Weszła do środka, nie mogąc nie docenić konceptu Księcia. Oto stara szafa i magiczny portal, lecz próżno szukać za nim magicznej krainy skutej wiecznym lodem, nie będzie żadnej latarni ani potężnego lwa, choć pewnie znajdzie się parę drapieżników, a także kilka czarownic.

Wierzba nie odwiedzała Międzyświata od lat. Dawno temu utraciła zdolność swobodnego przenikania przez granice rzeczywistości i nie korzystała z przejść, jeśli nie musiała. Międzyświat był ponurym miejscem, naznaczonym pamiątkami ostatniej bitwy, jaką w nim stoczono. Jego niebo zawsze było szarawe, na ziemi dało się dostrzec rdzawe plamy, jakby krew bogów rozprysła się po całym wymiarze. Nigdzie nie pozostał choćby ślad życia, niegdyś wszechobecnego w krainie leżącej pomiędzy ich światem a dziedziną Nieświtu.

– Wierzba – powiedziała głośno. – Zostałam wezwana przed oblicze Księcia.

Strzelił piorun, uderzając wprost w uschnięte drzewo i rozdzierając je na pół. Ruszyła ku niemu, wniknęła

w pęknięcie i zanurzyła się w ciemnościach. Zdążyła zrobić dwa kroki, nim wpadła na drzwi, na ślepo, i wymacała klamkę.

Jedynym źródłem światła w gabinecie był blask księżyca. W mroku ledwo dało się dostrzec biurko, parę krzeseł i regały zastawione książkami. Mężczyzna stojący przy nawet oknie nie drgnął, gdy pojawiła się Wierzba, choć musiał wyczuwać jej obecność i zapewne został wcześniej powiadomiony o przybyciu czarodziejki.

– Pozdrawiam Księcia, wybrańca Nieświtu, pana Słowian zachodu – wyrecytowała oficjalną formułkę, dygnęła nawet w parodii ukłonu, choć Książę stał odwrócony do niej plecami i nie mógł docenić tego szyderczego gestu.

– Zastanawiałem się, czy przyjdziesz.

– Każde dziecko Nieświtu musi odpowiedzieć wezwanie swego zwierzchnika – powiedziała sztywno.

– Ach tak – parsknął, odwracając się wreszcie. – Dlatego przybyłaś, Wierzbo?

Włosy Księcia były białe jak dopiero opadły śnieg. Oczy miał srebrzyste i chłodne, bez śladów ciepła. Mógłby być rzeźbą z lodu, w którą mag tchnął pozory życia. Tak idealny w swoim pięknie, że aż nienaturalny i przerażający. Stworzony z woli Nieświtu.

– Dlatego – przytaknęła. – Nie chciałabym, abyś zignorowanie wezwania potraktował jako obrazę i powód do pojedynku. Gdybym planowała popełnienie samobójstwa, wybrałabym jakiś przyjemniejszy sposób. Na przykład

wskoczyła do basenu pełnego piranii albo rozdrażniła parę lwów…

Mówiła pozornie niedbałym tonem, jednak cały czas obserwowała uważnie jego twarz. Niepotrzebnie, nie dało się z niej nic odczytać, zupełnie jakby rzeczywiście została wykuta z marmuru lub lodu.

– Rozumiem – odparł. Nawet najbardziej zaufani doradcy Księcia czuli się niepewnie, gdy mówił takim tonem. – Chcesz ją w ogóle zobaczyć? A może to też cię nie obchodzi?

Zawahała się. Czy rzeczywiście chciała na nią patrzeć?

Tak – powiedziała sobie. *Tak, chcę. Muszę wiedzieć, że ona nie żyje. Muszę być pewna, zupełnie pewna, że nigdy więcej nie uniesie powiek, że żadna magia nie zawróci jej z tej drogi.*

– Chcę.

Nie odpowiedziała na drugie pytanie. Książę milczał jeszcze przez chwilę, być może w nadziei, że to zrobi. W końcu ruszył w milczeniu ku wyjściu.

Lampy wypełniały korytarze bladym światłem. Pozostało jeszcze trochę czasu do świtu, lecz po zamku kręciło się wielu ludzi, głównie służących. Dzieci Nieświtu nie potrzebowały długiego snu i zażywały go zwykle tuż po zmierzchu. Mijani kłaniali się przed władcą, jednak nikt nie próbował pozdrowić go na głos ani zatrzymać i Wierzba zastanawiała się przez moment, czy tak wygląda to zawsze, czy też ostatnio woleli nie drażnić swojego pana. Nie

umiała tego ocenić – i zirytowało ją to tak bardzo, że sama była tym zdumiona.

– To tutaj.

Otworzył drzwi i zaprosił ją gestem do środka, ale sam nie przestąpił progu. *To musiał być jej pokój* – uświadomiła sobie Wierzba ze zdziwieniem. Oczekiwała, że ciało umieszczono w pustym pomieszczeniu, tymczasem pozostawiono je w sypialni, którą Piękna Estera zajmowała za życia. W komnacie o żółtych ścianach, w której podłogę pokryto miękkim dywanem, a w oknach powieszono kremowe zasłony. Przez oparcie krzesła przerzucono sukienkę, pod szafą stały pantofelki, na stoliku leżał zaczęty haft. Wszystko wyglądało tak, jakby właścicielka tych rzeczy wciąż żyła. Gdyby nie Książę stojący w drzwiach i blokujący wyjście, czarodziejka uciekłaby jak najdalej stąd, lecz śledzona srebrzystym spojrzeniem musiała podejść do łóżka.

Pomimo ciemności wyraźnie widziała oczy swojej siostry, zielone i puste, zupełnie jak we śnie, który przyszedł do Wierzby dwie noce wcześniej.

– Kochasz mnie? – spytała Estera ze snu.

Nie, nie kocham – odpowiedziała Wierzba martwej siostrze. *Nie kocham cię. Nie rozpaczam, nie czuję nawet smutku na myśl o tym, że cię nie ma. Nie potrafię po tobie płakać. Skąd to pytanie, skoro wiesz, że nigdy cię nie kochałam?*

Śmierć nie zabrała piękna Estery. Gdyby opuścić jej powieki, wyglądałaby tak, jakby spała. Być może właśnie

dlatego Książę ich nie zamknął, nie chciał patrzeć na dziewczynę jedynie pozornie pogrążoną we śnie. Złocista Estera o jasnych lokach, śliczna, słodka, pełna życia, a teraz martwa, niemająca nigdy więcej się uśmiechnąć. Estera, książęca faworyta. Lodowy Książę być może w pewien sposób pokochał słoneczną Esterę, tak, jak mogło kochać jego serce, zamrożone w dniu, w którym umarli bogowie.

Wierzba nie umiała kochać siostry. Ilekroć na nią patrzyła, widziała kogoś obcego. Ona wzięła cały chłód swej matki, cienie kłębiące się w głębi serca ojca, a Estera dostała ojcowskie ciepło i uśmiech mieszkający na dnie jego oczu.

– Nie widzę ran – wyszeptała. Wyciągnęła dłoń i zamknęła powieki Estery na zawsze. Nie chciała patrzeć w oczy tak podobne do jej własnych. – Nie mogła umrzeć od choroby, miała przecież talent uzdrawiania, ale nie tak wielki, aby wypalił ją od środka. Ktoś ją zabił? Czarem, trucizną?

– Obchodzi cię to? – spytał Książę. W świetle Księżyca jego włosy wydawały się równie srebrne jak oczy. – Kochałaś ją, zielona czarodziejko, córo trującego bluszczu?

Wyprostowała się gwałtownie i odruchowo zacisnęła dłonie w pięści. Trujący bluszcz, zielona czarodziejka…

– A ty? Czy ty ją kochałeś, księżycowy królewiczu, srebrzysty rycerzu? – odpowiedziała pytaniem, nim w ogóle zdążyła je przemyśleć. Mało kto zwracał się w ten sposób do pana zachodnich Słowian, najpotężniejszego maga Europy. Jeszcze mniej było takich, którzy nie pożałowaliby

później nierozważnych słów. Przez twarz mężczyzny przebiegł cień. Bólu, złości? Zaraz jednak znikł i można by wątpić, czy w ogóle się pojawił.

– Masz rację. Nie miałem prawa pytać.

Kiwnęła głową, przyjmując to nieprawdopodobne ustępstwo, prawie przeprosiny. Rozumiała że takie słowa nie przychodziły mu łatwo, rozumiała aż za dobrze, bo ona i Książę zawsze byli do siebie podobni. Podobni tak bardzo, że często nie mogli znieść się nawzajem, nawet w tamtych dawnych czasach, gdy łączyło ich niezwykłe braterstwo, silniejsze od jakichkolwiek więzów krwi.

– Jej duszę wyrwano z ciała – wyjaśnił. Wierzba po raz ostatni spojrzała na siostrę, a potem wyszła na korytarz, stanęła przed Księciem. Zamknął drzwi, odgradzając ich od sypialni i ciała Estery. Oboje nie mieli czego szukać w tym pokoju pełnym barw, tutaj nie pozostało nic więcej do zrobienia.

– Nie sądziłam, że to możliwe – odparła. Pośród opowieści i legend dzieci Nieświtu znalazło się kilka o pożeraczach dusz, paktach zawieranych z demonami otchłani, lecz przez wieki nie zetknęła się z takim przypadkiem. – Czego ode mnie chcesz?

– Znajdź zabójcę.

Pokręciła głową, rozbawiona. Nie wątpiła, że nie wezwał jej po to, by mogła pożegnać siostrę. Wiedział przecież, jak wyglądały ich kontakty. Nie ściągałby tu Wierzby z takiego powodu, wszak przez ponad pół wieku każde udawało, że to drugie nie istnieje. Gdy otrzymała

wiadomość, długo zastanawiała się, czego może zażądać Książę.

– Wiesz, jak wiele mocy straciłam. Jeśli ty i twoi tropiciele nie zdołaliście go schwytać, w jaki sposób miałabym to zrobić ja?

– Nikt nie mówi o schwytaniu mordercy – zauważył. – Umiesz rozpoznać kłamstwo. Możesz sięgnąć do pamięci drzew w moim ogrodzie. Dowiedz się, kim jest zabójca. Resztę zostaw mnie.

– Kimże jestem, by odmawiać wypełnienia rozkazu pana Słowian?

– A jeśli powiem, że to nie jest rozkaz? Że możesz odmówić?

Uśmiechnęła się, a Księciu wydało się, że ten uśmiech jest pęknięciem na twarzy kobiety. Złudne wrażenie jednak zaraz przeminęło – był tylko uśmiechem, niczym więcej.

– Była krwią z mojej krwi. Jeśli leży to w mojej mocy, muszę odnaleźć zabójcę.

Ruszyli korytarzem powoli, ramię przy ramieniu, nie patrząc na siebie. Korytarze były pełne cieni, a od ścian wionął chłód, niemający nic wspólnego z niską temperaturą. Jak bardzo Estera nie pasowała do ciemnego zamku i do jego pana, o którym mawiano, że ma serce z lodu…

– Teraz powiesz, że to nie rozkaz? Gdy już wiesz, że i tak pomogę?

– To prośba – odparł. – Od samego początku to była prośba.

Zatrzymała się przy oknie, spojrzała przez nie na ogrody. Istniały na długo przed wzniesieniem książęcej siedziby. Nikt nie potrafił powiedzieć, ile lat sobie liczyły. Wydawały się obecne od zawsze.

– Kłopot w tym, że prośbom władców się nie odmawia – stwierdziła. Książę nie odezwał się, ale nie musiał.

Przecież i tak doskonale znała odpowiedź.

* * *

We śnie znów pojawiają się karty.

– Zagrajmy – mówi mężczyzna siedzący za biurkiem. Szary płaszcz z kapturem głęboko naciągniętym na twarz skutecznie maskuje sylwetkę, widać jedynie dłonie, tak blade, że przez skórę przeświituje sieć błękitnych żył. Sprawnie tasuje karty i rozkłada je na blacie.

– Co jest stawką? – pyta Wierzba. – Śmierć, życie?

Mężczyzna kładzie obok kart wierzbową witkę.

– Ty. Stawką jesteś ty.

Wierzba budzi się.

* * *

Cmentarze dzieci Nieświtu były lasami pełnymi najróżniejszych gatunków drzew.

W przeciwieństwie do zwykłych ludzi, magiczni rzadko odwiedzali groby bliskich, nie przynosili kwiatów ani zniczy, nie modlili się do żadnych bóstw za spokój dusz. Nazywali cmentarze Lasami Śmierci i omijali je z daleka, uważając za przygnębiające miejsca, o których lepiej zapomnieć.

Wierzba nie mogła się z tym zgodzić. To kamienne nagrobki, sztuczne kwiaty i znicze uznawała za ponure, kojarzące się z końcem i śmiercią. Największy magiczny cmentarz Polski, gdzie szumiały tysiące drzew, a ziemię zaścielały barwne liście, był dla niej świątynią życia i nadziei.

Podczas pogrzebu Estery stała z tyłu, z daleka od żałobników, od Księcia i jego świty. Czuła na sobie spojrzenia – nie mogła pozostać niezauważona, nie gdy wybrała zielone ubranie zamiast czarnych szat, nie, gdy już zdążyły rozejść się pogłoski o tym, że jest siostrą zmarłej faworyty.

– Przykro mi z powodu twojej straty.

Michał Lubomirski, były wojewoda Śląska, skłonił się na powitanie. Siwe włosy miał związane w kucyk, a szare oczy otaczała siateczka zmarszczek. Po matce odziedziczył defekt krwi, sprawiający, że choć mógł żyć bardzo długo, to jego ciało starzało się. Jego dziad sam zakończył swój żywot. Wierzba wątpiła, by Lubomirski posiadał odwagę przodka. Dzieci Nieświtu obawiały się śmierci znacznie bardziej niż ludzie, może dlatego, że wiele z nich posiadało dar długowieczności. A może dlatego, że nie umieli wierzyć w dobrego Boga i Raj? Odrodzenie – być może, ale nie Raj, nie po tym, co stało się z Międzyświatem.

– Nie byłyśmy sobie bliskie – stwierdziła. Nie potrzebowała daru prawdopoznania, by wiedzieć, że mężczyzna kłamie. Lubomirski nigdy nie żałował nikogo oprócz siebie. – Nikt nie wie, co ją spotkało.

– To przykre – odparł. Mag tak przywykł do kłamstw, że nawet gdyby prawda była wygodniejsza, to prawdopodobnie wolałby łgać. Nie wiedział o jej zdolności, mało kto pamiętał jakimi talentami dysponowała Pani Drzew. Jeszcze mniej było tych, którzy zdawali sobie sprawę z tego, że niegdyś była jedną z najpotężniejszych słowiańskich czarodziejek, członkinią legendarnego kręgu Winorośli.

– Masz jakieś podejrzenia? – spytała.

– Nie mam pojęcia, co spotkało panią Esterę – powiedział i tym razem była to prawda. Wierzba straciła zainteresowanie rozmówcą, zapatrzyła się przed siebie, tam, gdzie zgromadzeni przysłaniali widok na trumnę spuszczaną do dołu. Estera posiadała talent uzdrowicielki, ale nie była prawdziwą czarodziejką, oddawano ją więc ziemi, nie płomieniom. Ogień pochłaniał ciała tych, których Nieświt obdarzał najpotężniejszymi mocami. Wierzono, że ich dusze mają wtedy szanse na odrodzenie, a siła nie przepadnie, zostanie przekazana dalej. Prawdziwy powód tej ceremonii leżał jednak gdzie indziej. U magów obdarowanych największą potęgą część magii mogła pozostać w martwym ciele, nadać im pozory życia, przemienić w nieumarłego. Ze strachu przed nimi wziął się pradawny obrządek palenia zwłok, a Wierzba wiedziała, że nie jest pozbawiony sensu. Jeden raz była świadkiem powrotu maga zza grobu i niczego nie lękała się bardziej niż tego, że i ją mógłby spotkać podobny los.

Niektórzy z przybyłych szli ku brzozom, ku niej. Przykro mi, współczuję, powtarzali jeden za drugim, a ona uśmiechała się, uśmiechem tak samo fałszywym jak ich słowa. Nie, nie wiem, kto mógłby dopuścić się tej zbrodni, zaiste, niezwykłe okoliczności śmierci, nie mam pojęcia, co mogło się stać. Korowód twarzy, wciąż te same zdania, nic, ciągle nic, żadnego tropu.

– Nikt, z kim rozmawiałam, nie ma z tym nic wspólnego – powiedziała później do Księcia, gdy stali nad grobem Estery. Mężczyzna opuścił cmentarz wraz ze swoją świtą po to, by później powrócić samotnie, kiedy wszyscy się rozeszli. Nastąpiło to szybko, dzieci Nieświtu unikały kontaktu ze śmiercią, woleli zapomnieć o tym, że nawet ich ona nie omija.

– Mamy następnego – odpowiedział, wpatrując się w świeżą mogiłę. Nie była w żaden sposób oznaczona i nim minie kilka lat wszyscy zdążą zapomnieć, kogo w niej pochowano. Jedynie drzewo będzie pamiętać. – Damian, jeden z moich doradców. Umrze jeszcze przed zmierzchem.

Książę, podobnie jak Wierzba, nie założył czarnych szat. Nie przystoi, by wybraniec Nieświtu nosił żałobę po kimś tak mało znaczącym jak Estera. Wybrał więc biel i szarość. Biel była jego barwą, szarość symbolizowała Nieświt.

– Jak to? Śmierć nie następuje w momencie wyrwania duszy?

Pierwsze krople deszczu uderzyły o ziemię. Wierzba zadrżała i poprawiła płaszcz. Jej magia w dużej mierze była powiązana z roślinami, a one nie lubiły chłodu. Książę,

ubrany w białą, cienką koszulę, zdawał się nie odczuwać niskiej temperatury. Ktoś, kto nosi w sobie tchnienie zimy, nie może zmarznąć.

– Carrow, Estera, a teraz Damian, najpierw byli zmęczeni, senni. Później zasypiali i nie można ich było obudzić. Estera umarła po kilku godzinach, tak samo jak Carrow.

Mówił bez emocji, ale Wierzba od razu zrozumiała, ile musiało go to kosztować. Patrzyć na powolne konanie jednego ze swoich strażników, kochanki, doradcy, wiedząc, że nie zdoła im pomóc. Cała jego władza i potęga na nic się zdały.

– Kogo jeszcze to spotkało?

– Antoniego. Był moim służącym. Nie mogę mieć pewności, jego śmierć nikogo nie zaskoczyła, wydawało się, że po prostu odszedł we śnie. Dopiero kiedy spotkało to Carrowa, a potem Estera zaczęła wykazywać te same objawy, zrozumieliśmy, że to nie przypadek.

Wierzba kiwnęła głową. Nie musiała wypowiadać na głos swoich wniosków, Książę z pewnością sam wiedział, że on także jest celem.

– Wszyscy z dworu – westchnęła w końcu. – Zabójca musi być blisko, ale możemy wykluczyć większość tych, z którymi dziś rozmawiałam.

– Dlatego uważam, że powinnaś zamieszkać na dworze.

Zatrzymała się w warszawskim mieszkaniu, w którym stała magiczna szafa, odmówiła przyjęcia zamkowej komnaty. Chyba bardziej dlatego, że Książę oczekiwał od

niej pozostania na dworze niż z jakiegokolwiek innego powodu.

– W takim razie wydaj mi rozkaz – wycedziła.

– Żebyś mogła znienawidzić mnie jeszcze bardziej?

Mokre włosy przylgnęły do policzków i szyi Wierzby. Deszcz łączy niebo i ziemię, powiedział dawno temu jej ojciec. Niebo jest najpiękniejsze po burzy, córko.

– Nie opowiadaj bzdur – westchnęła. Nagle poczuła się zmęczona, wyczerpana fizycznie i psychicznie. – Wiesz, że cię nie nienawidzę.

– Wiem – odparł po chwili. – Czy ty… ich słyszysz?

Spojrzała zaskoczona na Księcia. Nie spodziewała się takiego pytania, nie od pana Słowian. Nie pasowało do niego, tak samo jak ta niepewność w głosie, chwila zawahania. Deszcz zdawał się zmywać majestat władcy i na jego twarzy po raz pierwszy dostrzegła oznaki znużenia.

– Słyszę drzewa – szepnęła. – One… pamiętają. Znają ich życie. Ale nie, nie są nimi. Tak mi się wydaje.

Brzozy szepczące o trzech siostrach, lipa rosnąca na grobie księdza, który jako jeden z niewielu synów Nieświtu wierzył w Boga; sosna, pod którą spał wojownik zwany Williamem, Winorośl. Ludzie mogli zapomnieć, ale oni nie znikli, nie do końca.

– Nie mogę sobie wyobrazić drzewa, które wyrosłoby z mojej śmierci.

– Nie wyrastają ze śmierci, ale z życia – zaprotestowała. Książę pokręcił głową z niedowierzaniem i nawet jeśli przez chwilę Wierzba miała wrażenie, że stoi przy niej nie władca,

a dawny przyjaciel, to złudzenie pękło jak bańka mydlana. Niemal widziała cień, który wsunął się między nich, szary niczym niebo umarłego Międzyświata.

– Muszę dopilnować kilku spraw. Moi uzdrowiciele czuwają nad Damianem, a chcę być tam, kiedy odejdzie.

– Zostanę jeszcze trochę – powiedziała, sama nie wiedząc, dlaczego wciąż stoi w deszczu, nad grobem siostry, której nigdy nie kochała.

Trwała w bezruchu, moknąc. Nie poruszyła się nawet wtedy, kiedy niebo zaczęły przecinać błyskawice. Wsłuchując się w grzmoty wspominała ojca, oczy barwy burzowych chmur, ciemną, spokojną twarz, uśmiech, który odziedziczyła po nim młodsza córka. Wierzba go nie przypominała: miała włosy i oczy babki, ale to było wszystko, co łączyło ją z tą gałęzią rodziny.

Ulewa ustała na krótko przed zmierzchem, gdy promienie słońca przedarły się przez chmury. W ich świetle Wierzba dostrzegła coś na grobie Estery. Pochyliła się, podniosła kartę, której wcześniej tu nie było, czystą i suchą, choć wcześniej leżała na mokrej ziemi. Była ciężka, pokryta grubą warstwą farby. Na Wierzbę spoglądały z niej błękitne, zmęczone oczy księżyca.

* * *

Nikt nie ośmieliłby się kosić traw w książęcych ogrodach, wyrywać chwastów czy wytyczać ścieżek. Nie potrzebowały ogrodników, nie wymagały niczyjej troski. Każdą piędź ziemi, każdy kwiat, każde drzewo przesycała

magia plącząca drogi, przemieniająca rośliny, wciąż nadająca ogrodom nowy wygląd, pozostawiając niezmiennymi zaledwie parę tras. Nie każdy miał dość odwagi, aby zboczyć ze ścieżki i zagłębić się między drzewa, bo wielu nigdy nie wróciło z takiej wędrówki. Skrytobójców, złodziei, szpiegów, czasem odnajdywano zaduszonych przez pędy, zmiażdżonych korzeniami, a czasami w ogóle.

Wierzba wchodziła do ogrodów bez obaw, witana ze wszystkich stron szeptami. Pomimo chłodu miała bose stopy, a nogawki spodni przemoczone poranną rosą. Tej nocy nikomu nie wolno było zbliżyć się do tego miejsca, Chłonęła więc świat całą sobą, opuściła wszelkie bariery, otwierając się na otoczenie, pewna, że nie wmieszają się czary żadnego dziecka Nieświtu, które mogłyby zakłócić jej działania. Nie czuła zimna, ciało stało się skorupą, niewrażliwą na bodźce, gdy łączyła się z duszą ogrodu. Nic, co działo się tu w ostatnich dniach, nie było już dla niej tajemnicą. Wyznania, krzyki i kłótnie, płacz i śmiech, wszystko to przetrwało w szeleście liści. Drzewa przechowały i ofiarowały to Wierzbie. Słowa wypowiedziane po śmierci Estery, niektóre przepełnione smutkiem, inne obojętne, złośliwe, nawet okrutne. Jednak żadne z drzew nie mogło wskazać zabójcy książęcej faworyty.

Już miała wycofać się, gdy wyczuła czyjąś obecność. Ktoś był w ogrodach pomimo zakazu Księcia. Ktoś, kto skrył się na tyle skutecznie, że sam ogród zdawał się go nie dostrzegać. Wierzba nie próbowała sięgnąć ku

niechcianemu gościowi, nie mogłaby się zmierzyć z kimś, kto ukrył się przed magią ogrodów. Na nic jednak się to nie zdało, została zauważona.

I cóż, zielona czarodziejko?

Obca świadomość wdarła się do umysłu kobiety, zniszczyła wszelkie linie obrony i rzuciła ją na kolana.

Nie stoisz z podniesioną głową, gotowa, z samymi bogami walczyć? Dumna Winorośl z szaleństwem w sercu? Podejmiesz grę, bluszczowa dziewczynko?

Moc odeszła tak nagle, jak zaatakowała, pozostawiając Wierzbę leżącą w trawie, walczącą o każdy oddech. Z nosa ciekła jej krew, przed oczyma wirowały szkarłatne plamy, a stalowa obręcz zdawała się zaciskać na klatce piersiowej i przez moment czarodziejka była pewna, że to koniec, że umrze tu i teraz.

(…krew plami ręce, ciała rozpadają się, obracają w proch, krzyk jednak nie milknie…)

– Morana?

Zmusiła się do uniesienia powiek. Z morza czerwieni wyłoniła się szczupła, blada twarz i oczy Księcia, jasne jak dwa księżyce. Jeden, jest tylko jeden księżyc – pomyślała irracjonalnie Wierzba, zanim wróciła jej świadomość. Magia Księcia płynęła ku niej, karmiła i nie pozwalała odpłynąć.

– Wierzba – sprostowała, zanosiła się kaszlem. Z trudem uniosła dłoń i dotknęła ust. Na palcach została krew.

– Zabieram cię do uzdrowiciela – powiedział Książę, podnosząc ją z ziemi. Jęknęła z bólu, nie mając dość energii, aby protestować.

Nie stoisz już z podniesioną głową?

Nie, nie stoję – odpowiedziała sama sobie, gdy głowa opadła jej na ramię. Z tą myślą osunęła się w mrok.

* * *

Gdy odzyskała przytomność, leżała na łóżku, a nad nią pochylał się uzdrowiciel. Iskierki magii biegły z jego palców ku jej ciału, przenikały przez skórę i naprawiały uszkodzenia. Nie czuła już bólu, a oddychanie nie sprawiało trudności.

– Co się stało? – spytał Książę. Minęła chwila, zanim Wierzba go dostrzegła, bo choć przed oczami nie tańczyły jej czerwone plamy, wciąż miała trudności z zogniskowaniem spojrzenia – usłyszałem twój krzyk.

Otworzyła usta, chcąc zaprotestować – był przecież zbyt daleko, aby mógł ją usłyszeć, poza tym wątpiła w to, że zdążyła choćby jęknąć – kiedy zrozumiała, że nie taki krzyk miał na myśli.

Krąg Winorośli, do którego niegdyś należeli oboje, nie istniał od dawna, lecz niektóre więzy nie zostały zerwane do końca. W przeszłości wyczuwali cierpienie swoich towarzyszy, ich strach, potrafili się odnaleźć. Wydawało się, że te umiejętności odeszły, gdy większość z nich zginęła w Międzyświecie. Musieli wtedy odciąć się od siebie, inaczej pociągnęliby się wzajemnie ku zagładzie. Skoro Książę wyczuł to teraz, po tylu latach, musiała znaleźć się na samej granicy życia i śmierci.

– Wyjdź stąd – nakazała uzdrowicielowi. Mężczyzna podniósł się posłusznie. Dopiero gdy był już na progu, Wierzba zreflektowała się. – Dziękuję za pomoc.

Kiwnął głową i wyszedł na korytarz. Książę usiadł na łóżku, ujął w dłoń kosmyk włosów Wierzby i w tym momencie dostrzegła, że czerń znikła i znów były zielone jak wierzbowe liście.

– Miałaś połamane żebra, krwotok wewnętrzny, uszkodzone narządy. A Aleksiej stwierdził, że zrobiła to twoja magia. Własna moc obróciła się przeciwko tobie.

Uniosła rękę, a zielone iskry przeskoczyły po palcach, rozsypały się na pościeli i podłodze. Książę machnął dłonią, zamrażając je.

– Tam coś było – powiedziała cicho. – Coś… coś bardzo potężnego. Mogło to zrobić. Sprawić, że… zaatakowałam sama siebie, jakkolwiek dziwnie to nie brzmi.

– Rozesłałem straże. Jeśli ktoś się tam ukrył, znajdą go.

– Nie, nie znajdą – pokręciła głową. Natychmiast tego pożałowała, z jękiem opadła na poduszki. – Nie, jeśli nie będzie chciał być znaleziony, a jeżeli zechce, stracisz strażników. Czy oprócz zmęczenia były inne niepokojące oznaki? U Estery i reszty?

Zamyślił się na chwilę.

– Estera. Dwa dni przed śmiercią wspomniała, że wydawało jej się…

– Co? Co się jej wydawało? – spytała Wierzba, znów podciągając się wyżej. Sięgnęła do kieszeni dżinsów, wyjęła prostokąt o chropowatej powierzchni. Właściwie nie

potrzebowała odpowiedzi Księcia, wiedziała, jak będzie brzmieć.

– Że śniła – dokończył. – Ale to niemożliwe.

Podała mu kartę, śmiejąc się. Wziął ją z nieprzeniknionym wyrazem twarzy, czarodziejka mogłaby jednak przysiąc, że jej zachowanie go dziwi. Sądził pewnie, że atak pomieszał Wierzbie w głowie.

– Bo my nie śnimy – powiedziała. Zielone oczy błyszczały od gorączki. – Sami jesteśmy snem. Ale znalazłam to na grobie Estery, a wcześniej miałam sen, w którym pojawiła się ta karta. Istnieją też złe czary, Książę.

Maska opadła i przez chwilę widziała w nim tego, kim był kiedyś, księżycowego rycerza, jeszcze nie skutego lodem. Każde z nich straciło wiele w dniu, w którym umarł Międzyświat i choć zawsze wydawało się, że jego strata znaczyła najmniej, teraz zrozumiała, że mogła być równie dotkliwa.

– Wyjedziesz jutro – stwierdził głosem nieznoszącym sprzeciwu.

Dumna Winorośl z szaleństwem w sercu, powiedział obcy głos, a jego słowa wyryły się w niej głęboko, jakby wypalone. Niech tak będzie.

– Nie.

Może nie chciał zrozumieć, a może jednak za słabo ją znał, ale nie ustąpił od razu.

– To rozkaz, Wierzbo.

– W takim razie każ mnie wtrącić do lochów za nieposłuszeństwo! – krzyknęła, siadając. Magia, która w ogrodzie obróciła się przeciw niej, powróciła posłuszna jej woli i zaiskrzyła w powietrzu. – I staniemy naprzeciwko siebie. Efekt będzie ten sam, moja śmierć. Wiedz jednak, że nie sprzedam życia tanio.

Temperatura w komnacie opadła, Wierzba zadrżała z zimna. Lód pokrył szybę, tworząc na niej fantastyczne wzory, a szron osiadł na zielonych włosach czarodziejki. Z trudem powstrzymała impuls nakazujący owinięcie się kocem. Zamiast tego przywołała moc, przeciwstawiając ją magii Księcia, odpychając od siebie chłód.

– Odmawiasz wykonania rozkazu? – spytał głosem, który zwiastował nadchodzącą katastrofę. Nie mogła być pewna, czy rzeczywiście nie czeka ich pojedynek na śmierć i życie, ale nie miała zamiaru się wycofać.

– Jak miło, że zauważyłeś.

Książę uśmiechnął się. Szczerze. Zimno znikło, a on pochylił się i oparł swoje czoło o głowę Wierzby.

– Gdzieś ty była, Morano? – spytał. Również się uśmiechnęła, nie tym fałszywym uśmiechem, którym obdarzała obecnych na pogrzebie Estery, nie krzywo jak Księżyc z karty.

– Tam, gdzie ty. Dokładnie tam, gdzie ty, bracie.

Odsunęła się, oparła się o wezgłowie łóżka, wciąż jeszcze zmęczona. Coś się zmieniło. Coś w niej uległo przemianie, gdy w ogrodzie zaatakowała ją tamta moc, gdy usłyszała te słowa. I tutaj, teraz, na chwilę, znów było tak,

jak kiedyś, gdy nie byli Wierzbą i Księciem, poddaną i władcą, a Winoroślami połączonymi braterstwem krwi. Wiedziała, że to uczucie przeminie jak sen, ale istniało tu, w tym momencie.

– Możliwe, że mam być kolejną ofiarą – stwierdziła. Nie przerażała jej myśl o tym, że może podzielić los Estery. *Czy podejmiesz grę?* – spytał mężczyzna ze snu, podobnie jak głos z ogrodu. *Tak* – krzyczała teraz całą sobą. *Tak*. – Niewykluczone, że od początku byłam celem i zabijano po to, aby mnie tutaj ściągnąć. Sądzę jednak, że chodzi o coś więcej. To coś się mną bawi. Gdyby chciało mojej śmierci, zabiłoby mnie w ogrodzie… Jeśli postanowiłoby mnie wykończyć, zrobiłoby to. I… nazwało mnie Winoroślą, zieloną czarodziejką, bluszczową dziewczynką.

Niewielu pamiętało, że kiedyś była Moraną, od lat nikt nie nazywał jej zieloną czarodziejką, spośród żyjących mało kto mógł zdawać sobie sprawę z tego, że trujący bluszcz był niegdyś jej bronią. Ktokolwiek stawał przeciwko nim, wiedział o Wierzbie znacznie więcej niż powinien.

– Musimy spotkać się z Janem – kontynuowała. – Może nam pomóc.

– Jeśli jesteś tego pewna, poślę po niego.

Prychnęła i przewróciła oczyma. Uniosła ręce – wokół przegubów biegły tatuaże, wcześniej zamaskowane iluzją, teraz na powrót widoczne. Gdy magia obróciła się przeciw niej, opadły także te zasłony. Prawy nadgarstek oplatał bluszcz, lewy winorośl.

– Jestem pewna. My nie śnimy, ale on potrafi wchodzić w sny ludzi. Jeśli wezwiesz go jako zwierzchnik, przybędzie, owszem. Zły jak osa. Nie będzie chciał pomóc. O nie, bracie, sama go znajdę. A później zapolujemy.

Znów uśmiechnęli się do siebie. Przez moment było tak, jak przed wielu laty, gdy byli jeszcze młokosami, szczeniętami gotowymi stawać przeciw całemu światu, zanim zdążyli zniszczyć bogów i samych siebie. Znów mieli razem wyruszyć na łowy.

– *Szaleni, wszyscy jesteście szaleni, chyba upiliście się kompletnie* – powiedział ktoś dawno temu, a choć Wierzba zapomniała jego twarz, to zapamiętała te słowa. I pamiętała własny śmiech, chichot Błyskawicy, ogień odbijający się w oczach Płomienia, odpowiedź Księcia. Jesteśmy pijani szaleństwem, winem wypitym z kielicha obłędu.

– *Jeśli ma przyjść śmierć, niech nadejdzie* – dodała wtedy Cassandra, która miała spłonąć w Międzyświecie. – *Każda noc jest dość dobra, aby umrzeć*.

Czarodziejka przymknęła oczy. Winorośl wymalowana na szybie przez mróz powoli zamieniała się w wodę.

* * *

Czym jest Nieświt?

Nie ma na to jednej odpowiedzi. Wielu magów próbowało zbadać jego naturę i częstokroć dochodzili do sprzecznych wniosków, a wszystkie wydawały się równie dobre. Nieświt to istota. Nieświt to pustka. Nieświt to bóg. Nieświt to uosobienie magii. Nieświt jest niczym. Nieświt

jest wszystkim. A oto, co mówiono przyszłym młodym magom:

Z Nieświtu wzięła się magia tego świata, on obdarza nas talentami, on dał nam życie. Nie myśl, że jest Bogiem, Allachem, Buddą czy Jahwe, tym, w którego wierzą ludzie, ponieważ ci, w których żyłach płynie moc, gdzie indziej biorą swój początek. Być może ludzkość pojawiła się w wyniku ewolucji, może naprawdę została stworzona gdzieś u zarania dziejów, lecz my, dzieci Nieświtu, zostaliśmy przez niego wyśnieni. Jesteśmy snem, a ponieważ we śnie wszystko jest możliwe, prawa natury tracą na znaczeniu i możemy przekraczać wszelkie granice. Żyjemy we śnie Nieświtu. I dlatego nie mamy snów.

* * *

A jednak Wierzba śniła.

* * *

We śnie pojawiają się schody z białego kamienia, tysiące stopni lśniących w słońcu, wiodących ku świątyni na wzgórzu. Góruje nad okolicą, potężna i majestatyczna, a jej strzeliste wieże wydają się sięgać nieba. Świątynia na wyspie zamieszkanej jedynie przez dzieci Nieświtu od wieków przyciągała pielgrzymów i każdego roku na ołtarzu przelewano krew. Można było zobaczyć ją z odległości wielu mil i ludzie mawiali, że oko boga wymalowane nad bramą obejmuje swym wzrokiem cały świat.

Tamtego dnia, gdy stanęła w ogniu i płonęła przez trzy dni i trzy noce, łuna pożaru i dym były widoczne nie tylko na wyspie, lecz i na kontynencie, zwiastując początek wojny wypowiedzianej bogom.

– Lękasz się? – pyta Błyskawica, wiatr szarpie jej rude włosy, gdy odwraca się ku Wierzbie. Wszyscy inni, dziesięciu mężczyzn i jedna kobieta, są już w połowie schodów. – Lękasz się, Morano?

– Nie lękam się niczego – odpowiada Morana ustami Wierzby, po czym chwyta Błyskawicę za rękę i szybko doganiają pozostałych. Nadchodzą w dzień, głównym wejściem, nie próbując się ukrywać. Nikt nie staje im na drodze.

– Przybyliście pokłonić się bogom? – spytał poprzedniego wieczoru mężczyzna, który użyczył im schronienia, namiestnik wyspy, a w rzeczywistości zaledwie marionetka kapłanów.

– Przybyliśmy rzucić ich na kolana – odparł Garreth. Namiestnik milczał przez chwilę po usłyszeniu bluźnierstwa, w końcu pokręcił głową, bo miał przed sobą dzieci zbuntowane przeciw światu. Nie można oczekiwać od nich rozsądku.

Nie uwierzył. Nikt nie uwierzył aż do chwili, w której strażnicy przy bramie zginęli przebici mieczem Williama, a Garreth zniszczył oko boga.

– Przypomniałaś sobie?

Winorośle zatracają barwy, bledną, wreszcie znikają. William sięgający po broń, Błyskawica unosząca dłonie

pełne magii, Płomień o oczach, w których szaleje ogień, Garreth, cały w bieli, wszyscy, jej dwunastu towarzyszy, zabranych przez czas. Świątynia także przestaje istnieć, staje się tym, czym ją uczynili.

Ruinami wśród popiołów.

– Nigdy nie straciłam pamięci – mówi Wierzba. Słońce świeci prosto w jej twarz, musi odwrócić się, by uniknąć oślepienia. Jednak jasność zdaje się nie mieć dostępu do zakapturzonego mężczyzny, wciąż otaczają go cienie.

– Straciłaś więcej, niż ci się wydaje, Morano.

– Nieprawda – protestuje, bo przecież wie, doskonale wie, co straciła. Wspomnienia nie są jedną z tych rzeczy. – Pamiętam, co tu się stało. Pamiętam, jak to się zaczęło. Wymordowaliśmy ich, zabiliśmy kapłanów, spaliliśmy świątynię, najpierw tę, później następne, a potem… potem inni poszli za nami.

– I gdy stanęliście przeciw bogom w Międzyświecie, nie mogli czerpać sił od wyznawców. Nie lada osiągnięcie jak na garstkę szczeniaków.

Szczeniaki – myśli Wierzba. *Tak, byliśmy szczeniakami. Nie wiedzieliśmy, na co się decydujemy. Chcieliśmy zmienić świat. I zrobiliśmy to.*

– Żałujesz, zielona czarodziejko?

– Kim jesteś? Czego ode mnie chcesz?

Mężczyzna śmieje się i podaje Wierzbie kartę, ale gdy ta na nią spogląda, nie dostrzega obrazka, lecz lustro. Twarz, która się w nim odbija, należy do młodej dziewczyny, bluszcz wpleciony w zielone włosy tworzy koronę.

– Dobrowolnie podjęłaś grę i obowiązują cię moje zasady. Spiesz się, bluszczowa dziewczynko, spiesz się, bo czas ucieka.

* * *

Oczy kota były równie zielone jak tęczówki Wierzby i to je zobaczyła zaraz po przebudzeniu.

Rudy kocur siedział na jej piersiach, a ponieważ osiągnął rozmiary, które pozwoliłyby mu na udawanie małego tygrysa, utrudniał czarodziejce oddychanie. Gdy się obudziła, zgrabnie zeskoczył z łóżka i podszedł do szafy wiodącej przez Międzyświat ku książęcej siedzibie.

– Zabiłam twojego pana – przypomniała. – Osobiście.

Był bogiem słońca i ofiarował kotom słoneczne okruchy, by mogły widzieć w ciemności, stać się jego szpiegami. Wiara w niego – jak w wielu innych bogów Nieświtu – przeniknęła do świata zwykłych ludzi i czczono go pod różnymi imionami, szczególnie w Egipcie, gdzie stał się Ra.

– Zamknęłam go pod ziemią – kontynuowała, gdy kot spojrzał na nią z wyrzutem i przeszedł się tam i z powrotem wzdłuż szafy. – Pod ziemią nie ma słońca. Umierał najdłużej. Wiesz, zdążył zabić moją przyjaciółkę, więc trochę mnie zdenerwował. Choć w gruncie rzeczy był jednym z porządniejszych bogów. Wystarczała mu jedna ofiara rocznie i nie miał wysokich wymagań. Nawet nie porywał dziewcząt do Międzyświata… A przynajmniej nie za często. A i tak go zabiłam. Nie powinieneś chyba do mnie przychodzić, co?

Kot miauknął z dezaprobatą. Wierzba westchnęła, uświadamiając sobie wreszcie, że rozmowy ze zwierzęciem – choćby takim, które zachowało resztki boskiej łaski – nie są najlepszym pomysłem. Nawet jeżeli ją rozumiał, nie potrafił odpowiedzieć. W tym momencie mogła zdecydować się na dwie rzeczy. Albo wyrzucić kota za drzwi, albo zrobić to, czego chciał, czyli wejść do Międzyświata. Koty przepadały za dziećmi Nieświtu, obdarzone naturalną umiejętnością wyszukiwania dróg w Międzyświecie w przeszłości często przeprowadzały przez niego magów. Nawet gdy odeszli bogowie i większość z nich powoli zapomniała, jak odnaleźć właściwą ścieżkę, zdarzało się, że czasem pomagały czarodziejom. Z początku miały im trochę za złe zamordowanie swojego pana, ale kocia pamięć nie była długa.

Ubrała się, poganiana niecierpliwym miauczeniem. Zerknęła na zegar: wskazywał trzecią nad ranem, co oznaczało, że przespała niemal dziewięć godzin. Znacznie więcej niż potrzebowało jakiekolwiek dziecko Nieświtu.

– *Byli zmęczeni, senni* – odezwał się gdzieś w jej głowie głos Księcia. *Czas ucieka* – przypomniała sobie słowa zakapturzonego mężczyzny, otworzyła drzwi szafy i wsunęła się do środka.

Swobodne wchodzenie do Międzyświata było umiejętnością przynależną najpotężniejszym magom. Inni musieli korzystać z portali, zazwyczaj nastawionych na konkretne ścieżki wiodące do wskazanego miejsca. Niektórzy, nie dość silni, by wkroczyć samodzielnie do

Międzyświata, posiadali dość mocy, by zakrzywić portal i utworzyć w nim nową drogę. Wierzba straciła te zdolności dawno temu, teraz jednak kot wiódł ją ścieżką z pewnością nieprowadzącą do książęcej siedziby. Szli przez las uschniętych drzew. Zgniłe liście zaścielały ziemię, na kilku sosnach trzymały się jeszcze nieliczne igły, zbrązowiałe, pozbawione życia, jak wszystko w krainie umarłych bogów.

Pochyliła się, przechodząc pomiędzy gałęziami, brązowe igły obsypały jej włosy. Gdy się wyprostowała, nie była już w Międzyświecie, stała na stacji metra, a kot znikł w mroku.

W dniu powszednim metro nie kursowało o tej porze, światła były zgaszone i nikt nie kręcił się po podziemiach. Czarodziejka rozpaliła zielony płomień i rozejrzała się, próbując zrozumieć, dlaczego koci przewodnik przyprowadził ją właśnie tutaj. Wreszcie jej wzrok padł na ławkę, gdzie kuliła się postać w zniszczonym prochowcu. Ślepina.

– Powinnyśmy porozmawiać – powiedziała, podchodząc do wieszczki. Nie doczekała się odpowiedzi, kobieta nawet nie podniosła głowy. – Mam do ciebie kilka pytań.

Milczenie. Potrząsnęła ramieniem Ślepiny, która osunęła się, opadając na ławkę. Wierzba pochyliła się, sięgnęła ku szyi wieszczki, szukając pulsu. Serce wciąż biło, pierś unosiła się w oddechu, ale nie miało to potrwać długo. Ślepina śniła. Nie spała, a właśnie śniła; zapadła się we śnie, z którego dla dziecka Nieświtu nie ma przebudzenia.

Ziemista cera, czarne, przetłuszczone włosy, prosty nos, wąskie usta. Gdyby nie tak zaniedbana, mogłaby być piękna. A w jej twarzy kryło się coś znajomego, choć Wierzba nie umiała powiedzieć, gdzie mogła spotkać Ślepinę. O czym zapomniała? Co miał na myśli zakapturzony człowiek ze snu?

Zagadki. Wciąż zagadki – myślała, wyjmując z rąk Ślepiny kartę. Przedstawiała ciemnowłosą kobietę z oczyma przewiązanymi kawałkiem materiału. Sprawiedliwość z mieczem i wagą w dłoniach.

– Sit tibi terra levis – szepnęła, opuszczając powieki wieszczki.

Ja jestem stawką.

Zabawne, że czuję się żywa dopiero teraz, gdy ktoś postanowił mnie zabić.

* * *

– Odejdziemy – powiedział władca bogów, gdy lód skuł jego ciało, a Książę wzniósł miecz, by zadać ostatni cios – lecz to nie będzie tylko nasza śmierć.

Potem, kiedy roztrzaskał się jak lodowa rzeźba, kiedy wybrzmiał ostatni krzyk, Międzyświat zaczął umierać. Na oczach Winorośli drzewa usychały, kwiaty więdły, trawa żółkła, ziemia pękała. Żadnego z nich nie przeraziło to dzieło zniszczenia, zmęczeni i poranieni nie mieli na to dość sił. Obserwowali więc śmierć Międzyświata obojętnie, jeszcze nie zdając sobie sprawy z tego, że król bóstw

Nieświtu miał na myśli coś więcej. Dopiero później zrozumieli, czym było jego ostatnie przekleństwo.

Wierzba myślała o tym, stając przed domem Jana – śmiesznym pałacykiem wyglądającym tak, jakby projektowało go kilku architektów, z których każdy miał zupełnie inną wizję. Okna różnej wielkości, imponujące schody wiodące ku zupełnie zwyczajnym drzwiom, dwie niepasujące do siebie kolumny, przekrzywiona wieżyczka. Chaos, brak porządku, jak w snach, po których potrafił wędrować Jan. O wiele za młody, by wiedzieć, jak brzmiało dawne imię Wierzby, zdawać sobie sprawę z tego, co stało się podczas walki z bogami.

– Witaj – przywitała się, gdy drzwi otworzył mężczyzna niewiele wyższy od niej, o jasnych włosach i niebieskich oczach. Miał dziewięćdziesiąt trzy lata, należał jednak do tych, których Nieświt obdarzył darem długowieczności. Wyglądał na dwudziestolatka. Sam nie był zadowolony z tego, że jego ciało zastygło w tak młodym wieku, próbował postarzać się za pomocą zaklęć, jednak te starania okazały się fiaskiem.

Pomimo protestów Księcia Wierzba przyszła sama. Jan nie był zwolennikiem centralnej władzy i gdyby stanęła na progu jego domu w towarzystwie ludzi w książęcych barwach, byłby gotów zamknąć drzwi. Przez chwilę zastanawiała się nawet, czy Wędrowiec Snów nie miał czegoś wspólnego z atakami, odrzuciła jednak tę możliwość. Choć posiadał wyjątkowe zdolności, nie był na tyle potężny.

– Wierzba?!

– Tak, chyba tak, na ile mogę to stwierdzić – powiedziała z uśmiechem. – Nie zaprosisz mnie do środka? Moknę.

Przesunął się, robiąc jej miejsce, wciąż zdumiony wizytą.

– Nie myśl, że nie cieszę się na twój widok… – zaczął, gdy w końcu odzyskał głos. – Ale co cię tu sprowadza? Jakoś trudno mi uwierzyć, że zapragnęłaś mnie zobaczyć.

– Och, nic takiego – zapewniła, podając Janowi przemoczony płaszcz. – Po prostu chyba umieram. Paskudna pogoda, prawda? Zdaje się, że nigdy nie przestanie padać.

Stał jak wrośnięty w podłogę, z mokrym nakryciem w ręku. Wierzba roześmiała się, mrugnęła do niego łobuzersko.

– Salon jest gdzieś tutaj, prawda? – spytała, otwierając drzwi. Nie myliła się, po drugiej stronie było przestronne pomieszczenie, w którym stały kanapy i stół.

– Doczekam się wyjaśnień? Jesteś chora? – Wszedł za nią. Wierzba podeszła do parapetu i szturchnęła palcem uschniętą paprotkę.

– Wstydź się, Janie – westchnęła kobieta. – Jak ty dbasz o rośliny? Widzę na pierwszy rzut oka, że to gatunek wyhodowany magiczne, pewnie jedyny w swoim rodzaju, bo nigdy się z takim nie spotkałam. Jeszcze parę dni i biedaczka zdechłaby zupełnie.

– Na Merlina i Morganę! Po czterdziestu latach stajesz na moim progu, mówisz, że umierasz, a potem zaczynasz się użalać nad zielskiem! Mów natychmiast, co się dzieje!

Z ręki Wierzby posypały się zielone iskry, roślina przechyliła się, aby być bliżej dłoni czarodziejki, zakosztować ożywczej magii.

– Wiesz, jak kocham rośliny – mruknęła. – Sama nie jestem pewna, co się dzieje. Moja siostra niedawno umarła, a ja chyba cierpię na tę samą… dolegliwość, co ona.

Usiadła na kanapie, Jan zajął miejsce naprzeciwko niej. Kwiatek w doniczce odżył, wypuścił nowe pędy, pożółkłe liście opadły, a na ich miejscu pojawiły się drobniutkie pączki.

– Miałaś siostrę? Nigdy o niej nie mówiłaś.

– Estera, książęca faworyta. Była moją przyrodnią siostrą.

Niebieskie oczy maga rozszerzyły się ze zdumienia, przypatrywał się Wierzbie tak, jakby widział ją po raz pierwszy w życiu. W końcu pokręcił głową z niedowierzaniem.

– Czy mamy dzień szokowania Jana, a ja nic o tym nie wiem? – parsknął. – Słyszałem o śmierci kochanicy Księcia. Chodzą plotki, że padła ofiarą uroku. Dlaczego uważasz, że ciebie czeka to samo?

– Estera śniła – powiedziała. Jan uniósł brwi. – Dziś sen miał także Słowik, strażnik Księcia. A ja śnię od nocy śmierci mojej siostry.

– Niemożliwe – zaprotestował gwałtownie, podrywając się na równe nogi. Zmienił się na twarzy, malowało się na niej nie tylko zdumienie, ale coś jeszcze. Niepokój, może nawet strach? – Nie możesz śnić!

– Dzieci Nieświtu nie śnią – przyznała Wierzba. – Ja jednak miałam sny, Janie. Trzykrotnie, a potem znalazłam karty, które mi się przyśniły. Co powiesz na to, Wędrowcze Snów?

Chwycił jej dłonie, zamknął je w uścisku. Przy opalonych rękach Jana palce Wierzby wydawały się nienaturalnie blade, prawie tak białe, jak te mężczyzny ze snu. Lewy rękaw zsunął się, odsłaniając plamę zieleni, winorośl oplatającą przegub. Jednak Jan tego nie dostrzegł, wpatrywał się w twarz Wierzby, a ona już wiedziała, że choć minęło tyle lat, wciąż nie jest mu obojętna. Przyszła tutaj z nadzieją, że dawne przywiązanie nie pozwoli mu odmówić pomocy, teraz jednak zapragnęła, aby wyrzucił ją za próg.

– Czego oczekujesz?

Uśmiechnęła się smutno. W zakurzonym lustrze dostrzegła swoje odbicie i znów pomyślała o Księżycu z karty, o jego uśmiechu wyglądającym jak szrama.

– Możesz wejść do mojego snu? Może zdołasz go zrozumieć.

Nie, nie miała prawa go wykorzystywać. A jednak zrobi to, rzuci Jana przeciwko potężnej istocie z ogrodu, znów ryzykując życie… nie tylko własne.

– *Podejmiesz grę, bluszczowa dziewczynko?*

To drzewa szeptały do niej wśród nocy, lecz ze wszystkiego, co wyrosło z ziemi, najbardziej ukochała bluszcz duszący inne rośliny i jego piętno nosiła na ręce, wiedząc, że jest do niego podobna.

* * *

Strażnik był młody – niedawno skończył dwadzieścia sześć lat i służył Księciu od kilku miesięcy. Szybko zdobył sympatię towarzyszy, a i władca lubił słuchać jego śpiewu, dzięki któremu po wstąpieniu do straży przyjął imię Słowika. To wszystko, co wiedziała Wierzba o człowieku, który umarł następnego ranka. Stali przy nim we troje, Książę, Jan i ona. Dla zmysłów czarodziejki Słowik był martwy, choć jego pierś wciąż unosiła się w oddechu. Nie wyczuła momentu, w którym serce strażnika stanęło, ale Książę powoli rozluźnił palce zaciśnięte w pięści, a pochylony nad młodzieńcem Jan wyprostował się.

– To zupełnie inny sen niż ten, który spada na śmiertelników – westchnął. – A on się w nim zatracił.

– Wypalają się jeden po drugim – powiedział Książę, odwracając się plecami do Jana, jakby mężczyzna nie istniał. Dla niego Wędrowiec Snów nie znaczył nic. Jawił się jako narzędzie konieczne do osiągnięcia celu, zaledwie pył na wietrze. – Z tobą jest inaczej. Słowik zaczął śnić przed dwoma dniami, ty masz sny od dawna i wciąż żyjesz.

– Ma wobec mnie inne plany – skwitowała, siadając na parapecie. – Jestem silniejsza. Wszyscy, którzy umarli, dysponowali przeciętnymi mocami.

– Dziś spróbuję wejść w twój sen – zapowiedział Jan, pewnie tylko po to, by zwrócić na siebie ich uwagę, bo przecież ustalili już wcześniej, że tej nocy postara się to zrobić. Skinęła głową, choć coś w niej wzdragało się przed tym pomysłem. Nie, nie zamierzała się wycofać, nie mogła, nie kiedy sama poszła do Wędrowca Snów. Nie, gdy była gotowa go poświęcić, jak wiele rzeczy wcześniej, w czasach, w których nosiła inne imię. Nie cieszyło jej jednak, że da mu przystęp do swego umysłu. To stanowiło akt bezwarunkowego zaufania, a ona nigdy nikogo takim nie obdarzyła. Ani ojca, ani żadnego z Kręgu Winorośli, choć kiedyś bez wahania oddałaby za każdego z nich życie.

– Jeśli nam się nie uda, będę musiał przyzwać Cienie.

Książę wypowiedział te słowa głosem wyzutym z emocji. Wierzba zbladła, jej i tak jasna twarz zrobiła się biała jak śnieg, pozbawiona choćby kropli krwi. Jan wpatrywał się we władcę z niedowierzaniem, lecz w jego wzroku nie było strachu, który zagościł w zielonych oczach kobiety. Wędrowiec Snów nigdy nie widział tego, co towarzyszyło przywołaniu Cieni, ona zaś była świadkiem ostatniego przebudzenia dusz martwych wybrańców Nieświtu.

– Zapłacisz cenę? – spytała tak cicho, że właściwie żaden z nich nie mógł usłyszeć. Książę jednak domyślił się, co powiedziała.

– W Nieświcie zawsze jest jakaś cena.

Posąg – pomyślała po raz nie wiadomo który. *Twój sposób na ucieczkę, bracie. Każde z nas ostatecznie uciekło*

własną drogą. Pozostawiając za sobą wszystko, co kiedykolwiek miało znaczenie.

– Z jej powodu? Dla Estery? Uważasz, że była tego warta?

– A ty sądzisz, że książęca dziwka nic nie znaczy? Nie zasługuje na pomstę?

Szarpnęła się, zacisnęła dłonie w pięści. Nikt nie miał prawa nazywać tak córki Pana Burz, nie w obecności Wierzby, nawet jeśli był jej oficjalnym zwierzchnikiem. Nawet jeśli robił to, by z niej zadrwić.

– Nie, nie jest – syknęła. – Nie takiej. Nikt nie jest. A ty jesteś głupcem.

Spodziewała się, że nie zniesie bezpośredniej obrazy, ale nie doczekała się ostrych słów. Gdy Książę przemówił, w jego głosie nie było śladu gniewu.

– Moi ludzie umierają.

Złość odeszła równie gwałtownie, jak się pojawiła. Wierzba podciągnęła nogi na parapet. Miał rację, jego ludzie umierali, a jeśli nie potrafił ich ochronić, nie mógł uważać się za ich pana.

– Jestem zmęczona – westchnęła w końcu, przenosząc wzrok na Jana. Na ciemnej twarzy maga dostrzegła złość. Rozwścieczyło go to, że o nim zapomnieli, rozmawiając tak, jakby byli sami. – Chcę spać.

Zeskoczyła z parapetu, wyciągnęła rękę do Wędrowca Snów, a wytatuowany bluszcz wyłonił się za rękawa. Razem wyszli z pomieszczenia.

– Coś nie tak? – szepnął Jan, gdy skręcili za róg, znikając z oczu strażników, a ona oparła się o jego ramię. Zbliżała się trzecia nad ranem, ulubiona pora Nieświtu, kiedy moc magów powinna być największa, ale czarodziejka czuła, jak opuszczają ją siły.

– Słabnę – przyznała niechętnie. Nienawidziła słabości, a świadomość tego, że jest bezbronna, była dla niej najgorszą rzeczą na świecie. Kiedyś utraciła ogromną część własnych zdolności, a teraz moc znów odchodziła, powoli i nieubłaganie. Przez chwilę miała ochotę zawrócić, ale przecież Książę i tak nie mógł jej pomóc, a nie chciała, by oglądał ją w takim stanie. – To kolejny… etap. Chyba.

– Nie umrzesz – powiedział Jan tak pewnie, że spojrzała na niego zdumiona. Słowa pocieszenia nigdy nie były do końca ani kłamstwem, ani prawdą, leżały gdzieś pośrodku, ale tym razem nie wyczuła choćby cienia kłamstwa. – Wszystko będzie dobrze.

– Nigdy nie jest dobrze – odparła cicho. – Nie dojdę do portalu. Zabierz mnie do sypialni Estery. Jest blisko. Tu w prawo, pierwsze drzwi.

Jak dobrze, że ojciec nie żyje – pomyślała nagle, gdy Jan niemal wniósł ją do pokoju siostry. Jak dobrze, że Pan Burz wypalił się dość wcześnie, by nie widzieć młodszej z córek u boku Księcia, nie oglądać śmierci swojego małego słońca. Powędrował na drugą stronę za matką Estery, śmiertelniczką, której życie z jego perspektywy musiało być mgnieniem oka.

– Brakuje ci jej? – spytał, gdy usiadła na łóżku.

– Nie. Od piętnastu lat nie utrzymywałyśmy kontaktów. Kazałam jej zapomnieć o tym, że ma siostrę.

– Kiedy została kochanką Księcia – uzupełnił Jan. – Byłaś o niego zazdrosna?

Oparła się o poduszki. Przed oczyma wirowały jej ciemne plamki. Czy teraz będzie przez wiele dni chodzić zmęczona, pozbawiona sił, czy też ten sen okaże się ostatnim?

– Ty znów to samo. Nie, nie byłam zazdrosna. Nigdy nie chciałam się z nim związać, a on by o to nie prosił – mruknęła.

– W takim razie, dlaczego…

Przez zasłony przedostał się promień księżycowego światła i padł prosto na fotografię ustawioną na szafce. Wierzba nie widziała jej, gdy poprzednio weszła do pokoju, wtedy wpatrywała się tylko w ciało siostry. Dopiero teraz rozpoznała czarnobiałe zdjęcie, zrobione niemal pół wieku temu przez Pana Burz, na krótko przed tym, jak zmarł. Jej własna, poważna twarz, uśmiech młodziutkiej Estery. Miała bliźniaczą fotografię, zapomnianą, porzuconą gdzieś na zakurzonym strychu. Nigdy nie pomyślałaby, aby oprawić ją w ramki i ustawić w sypialni.

– Bo była moją siostrą. Bo zbyt dobrze znałam Księcia, żeby uwierzyć w to, że będzie tu szczęśliwa. Bo nie miała dość rozumu ani mocy, by odnaleźć się na dworze. Bo nigdy nie mogłam myśleć o niej inaczej niż jak o wiecznym dziecku.

– Śpij – westchnął Jan, ściskając jej dłoń. – I śnij. Pomogę ci znaleźć jej zabójcę. Powstrzymam to.

Usiadła gwałtownie, wyrywając rękę. Przez ułamek sekundy patrzył na nią ze zdumieniem, które przemieniło się w zrozumienie. *Wierzby nie można okłamać* – przypomniał sobie o tym, gdy moc cisnęła nim w tył. Uderzył o szafkę, fotografia spadła na podłogę. Szkło pękło – rysa biegła dokładnie przez twarz Estery.

Jan, zaledwie unoszący brew, gdy mówiła mu o snach siostry. Zupełnie inna reakcja na wieść o tym, że ona także śni. Nienawiść do Księcia. Pewność w jego głosie, kiedy zapewniał ją, że nie umrze…

– Nie miałeś takiej mocy – szepnęła Wierzba. Zielone płomyki biegały po jej palcach. – I do tej pory nie kłamałeś. Jak…

– Nie kłamałem – przyznał. – Naprawdę nie chciałem cię skrzywdzić. Nie zsyłałem snów tobie.

Zawahała się tylko na ułamek sekundy, ale i to było zbyt wiele. Poczuła szarpnięcie w piersi, jakby coś schwyciło ją za serce. Nie miała dość sił, by się oprzeć. Opadła na posłanie, a zielone oczy pozostały otwarte, choć niczego już nie mogły zobaczyć.

* * *

Obudził ją krzyk. Usiadła niepewna, gdzie się znajduje. Mężczyzna leżący obok przekręcił się i kiedy spojrzała na jego twarz, wszystko wróciło na swoje miejsce, otrząsnęła się z resztek niepokojącego snu. Jednak krzyk nie należał

do koszmaru, poderwała się więc i wypadła z pokoju, by zajrzeć do sąsiedniej sypialni. Odetchnęła z ulgą, gdy przekonała się, że dzieci śpią. Ostrożnie zamknęła drzwi i ruszyła ku schodom.

Pies, leżący na ostatnim stopniu, uniósł łeb, słysząc kroki. Przykucnęła i podrapała go za uszami, już prawie uspokojona.

– Co tam, Książę? – mruknęła, gdy zwierzak poszedł za nią do salonu, a potem do kuchni. Sprawdziła, czy drzwi i okna są pozamykane. Niebo przecięła błyskawica, pies położył uszy po sobie i zaskomlał.

– No dobrze – westchnęła. Zwykle nie pozwalała, aby Książę sypiał w łóżku, ale tej nocy świetnie rozumiała jego strach. – Chodź.

Jeszcze długo potem leżała, wpatrując się w ciemności, dręczona przez ulotne uczucie niepokoju, choć obejmowało ją ramię męża, a pies spał przy jej boku.

* * *

– Czapka.

– Ale maaaaamo!

– Bez dyskusji. Czapka i szalik.

Chłopiec skrzywił się, wyrażając w ten sposób bezbrzeżną pogardę wobec wszelkich czapek i szalików tego świata.

– Wzięłaś piórnik, kochanie?

Dziewczynka, ciemnowłosa i zielonooka jak bliźniak, zaczęła grzebać w plecaku. W końcu triumfalnie wyłowiła

piórnik i zamachała nim w powietrzu.

– Miłego dnia, Anno. – Mąż wszedł do kuchni i sięgnął po kanapki. – Gotowe, dzieciaki?

Patrzyła przez okno, jak cała trójka wsiada do volvo. Mżyło, każdy podmuch wiatru zrywał z drzew pożółkłe liście. Jesień przemijała, lada dzień należało spodziewać się pierwszego śniegu. Ich ogród – najpiękniejszy ogród w miasteczku – zapadał w sen i myśl o tym, że wkrótce wszystkie rośliny znikną pod białym puchem, zasmucała ją.

– Wiosna wróci – mruknęła do siebie. – Przecież zawsze wraca.

Mam na imię Anna – pomyślała nagle ze zdziwieniem. *To moje imię.*

Anna.

* * *

Nakarmiła psa, posprzątała zabawki dzieci ze schodów i nastawiła pranie. Pozornie wszystko było normalne, ale nie mogła oprzeć się wrażeniu, że coś jest nie tak, że zapomniała o czymś ważnym. Gdy jej wzrok padł na obraz wiszący nad łóżkiem, zamarła. Wizerunek jasnowłosej kobiety odzianej w płaszcz i trzymającej kosę w dłoni, przeraził Annę – gdy w końcu zdołała się ruszyć, zdjęła go ze ściany, zastanawiając się, jak wysoką miała gorączkę, gdy powiesiła to coś w sypialni.

Kiedy bliźnięta wróciły, zagoniła je do odrabiania lekcji, a sama zajęła się obiadem – i to też było normalne.

Mam na imię Anna i tak wygląda mój dzień.

Mam trzydzieści trzy lata.

Wyszłam za mąż osiem lat temu.

Pisuję artykuły i powieści młodzieżowe.

Mam córkę i syna, miesiąc temu skończyli siedem lat.

Mój mąż pracuje w…

Nie pamiętama spanikowana. Nie mogę sobie przypomnieć. Gdzie on pracuje?

– Mamusiu, kiedy będzie obiadek?

– Za chwileczkę, skarbie – odpowiedziała machinalnie, gasząc zapalnik. – Już nalewam zupę, idźcie umyć ręce.

Mam na imię Anna, skończyłam trzydzieści trzy lata, a mój mąż pracuje w firmie komputerowej. Zajmuje się programowaniem.

Wszystko jest dobrze.

* * *

Pochylała się nad nią kobieta z obrazu – jasne włosy prawie dotykały jej policzków. Zielone oczy były wypełnione smutkiem, a ich barwa i kształt przerażały Annę.

To moje oczy – pomyślała ze strachem. *Codziennie widzę je w lustrze*.

– Obudź się – wyszeptała jasnowłosa. – Nie wolno ci śnić.

Anna obudziła się. Obraz, który poprzedniego dnia zdjęła ze ściany, wisiał na dawnym miejscu.

* * *

– Mama, mama!

Dziewczynka wyciągała do niej rączki. Anna zaśmiała się i już miała porwać córeczkę w objęcia, gdy nagle wydało jej się, że widzi inne dziecko, o takich samych, zielonych oczach, ale złocistych warkoczach, z piegami na policzkach. Gwałtownie zaczerpnęła powietrza i cofnęła się o krok.

– Idziemy do łóżeczka, maleńka. – Ojciec złapał córkę zanim ta zdążyła zdziwić się zachowaniem matki, chwycił także chłopca i zaniósł oboje na górę. Gdy wrócił, Anna wciąż stała w tym samym miejscu.

– Co się dzieje, kochana?

– Moja siostra… – powiedziała Anna powoli, z namysłem. – Kiedy była mała, nigdy nie chciałam wziąć jej na ręce…

– Nie dręcz się. – Podszedł bliżej, przyciągnął ją do siebie, pocałował we włosy.

Nie odwzajemniła uścisku, tkwiła sztywna w jego ramionach, próbując sobie przypomnieć siostrę. To było dawno temu, może dlatego wspomnienia wydawały się zamazane, uciekały, gdy próbowała ku nim sięgnąć.

– Bałam się, że ją skrzywdzę – mówiła dalej, bardziej do siebie niż do mężczyzny. – Nigdy nie usłyszała, że mi na niej zależy. Nie chciałam, żeby… stała się częścią mojego świata?

– Anno! Przestań! Ona nie żyje. Nie ma po co wracać do przyszłości.

Uniósł jej podbródek, zmusił, żeby spojrzała mu w oczy. Jasne włosy opadały na czoło, tylko o odcień jaśniejsze od

złocistych włosów Estery. Anna szarpnęła się, wyzwoliła z objęć, nagle spanikowana.

Estera. Moja siostra miała na imię Estera, a ja nie pamiętam jej twarzy.

– Kochana… – westchnął. – Wiem, że jest ci ciężko po śmierci siostry, ale…

– Nie! – krzyknęła, zacisnęła dłonie w pięści, paznokcie zostawiły na skórze krwawe półksiężyce. – Nie może mi być ciężko. Nie kochałam jej. Ja nie kocham nikogo, Janie.

Dopiero gdy słowa padły, dotarło do niej, co właśnie powiedziała. Zasłoniła usta dłonią.

– Ja… ja nie wiem, co się ze mną dzieje. Kocham was przecież…

– Wiem, wiem, kochanie.

Kłamstwo – pomyślała, kiedy znowu ją objął.

Kłamstwo.

Odwzajemniła uścisk.

* * *

Zrozumiała to, kiedy przypatrywała się bliźniętom zbierającym barwne liście.

– Nie znam imion moich dzieci – powiedziała na głos. Po chwili podbiegły do Anny, aby wręczyć jej kolorowy bukiet.

– Jest śliczny – zapewniła.

Nie znała imion swoich dzieci.

Nie wiedziała, do jakiej szkoły chodzą.

Nie pamiętała, w którym szpitalu przyszły na świat.

– Tak jak ty, mamuś – stwierdziła dziewczynka, zawirowała na czubkach palców, wiatr rozwiał poły zielonego płaszcza. Anna nie potrafiła powiedzieć, kiedy go kupili.

Gdy uświadomiła sobie, że nie pamięta imion bliźniąt, dotarło do niej także wiele innych rzeczy. Jakby to wszystko tak naprawdę nie istniało, jakby było tylko snem.

– Mamusiu? – Chłopiec położył dłonie na kolanach Anny. – Coś się stało?

– Nie, maleńki – zapewniła, machinalnie głaszcząc go po włosach. Zastanawiające, że nie czuła strachu ani paniki, które pojawiały się do tej pory, ilekroć coś wydawało się jej obce. Była pustka, tylko pustka. A gdy uniosła wzrok, pod jednym z drzew dostrzegła kota. – Idźcie do domu, przeziębicie się. Muszę iść do sklepu.

Pocałowała ciemne główki, poczekała, aż dwójka siedmiolatków zniknie w domu – i sama, nie wiedząc czemu – ruszyła za kotem.

Zmierzchało, gdy stanęła przed kutą bramą broniącą wejścia do przestrzeni otoczonej murami porośniętymi bluszczem. Przez kraty Anna dostrzegła drzewa, świerki, dęby, sosny, klony, setki drzew, które nie rosły tak gęsto, żeby to miejsce mogło być lasem. Nie było także parkiem, nigdzie nie zauważyła żadnych ścieżek, ławek. Kiedy uniosła dłoń ku kłódce, ta otworzyła się pod jej dotknięciem. Kot znikł, została sama. Czy dzieci nie zaczęły się niepokoić? Dlaczego zostawiła je bez opieki? Co jeśli któremuś wpadnie do głowy jakiś głupi pomysł? Już miała

się cofnąć, gdy usłyszała czyjś głos spomiędzy drzew. Nie mogła zrozumieć słów, ale wiedziała, że ją wzywa – i bardzo powoli przeszła przez bramę.

– Morana…

– Morana? – powtórzyła. Podmuch wiatru strącił z brzóz liście, te posypały się wprost na Annę, przyczepiły do włosów i płaszcza.

Oszalałam – myślała, wchodząc głębiej do tego dziwnego prawie-lasu i oddalając się od bramy. Pokręciła głową, nie mogła jednak oprzeć się wrażeniu, że każde z drzew szepce inne imię, a było ich tak wiele, że towarzyszył jej ciągły szum. Szła dalej, pewna, że jest tu coś, co musi odnaleźć, co powinna zobaczyć. I gdy wreszcie zatrzymała się przed wierzbą, wiedziała, że właśnie tego szukała.

Bluszcz oplatał pień, piął się po gałęziach, mieszał z pożółkłymi witkami. Być może to on zadusił drzewo, bo jako jedyne wydawało się martwe. Mimo to podeszła bliżej, uklękła na ziemi, badając ją palcami, jakby szukała czegoś, co zgubiła. Nie zauważyła, że bluszcz pełznie ku jej dłoni, zdała sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy oplótł nadgarstek. Krzyknęła, szarpnęła ręką, roślina jednak zaciskała się coraz mocniej.

– Puszczaj! – jęknęła, gdy zaczął miażdżyć jej kości. Uścisk zelżał, Anna wyrwała się, odczołgała się od wierzby i dopiero wtedy spojrzała na swoją dłoń. Na skórze wyraźnie znaczyły się zielone listki, wyglądające jak tatuaż.

– Boże, o Boże… – wyszeptała.

– Błagam. Wszystko, tylko nie bogowie…

Anna znów krzyknęła, gdy spod ziemi wyłoniła się kobieta o zielonych włosach. Młodsza od Anny, ale podobna do niej jak siostra.

– Kim jesteś? – spytała.

– Morana – odparła, podchodząc bliżej. Jadowicie zielone oczy były pozornie takie same jak u widma, jak u bliźniąt, jak u samej Anny wreszcie, ale kryło się w nich coś więcej, coś, co można było nazwać jedynie szaleństwem. – Stoisz na moim grobie.

– Twoje drzewo… jest uschnięte – powiedziała Anna. Chyba od samego początku czuła, że to miejsce jest cmentarzem, że spaceruje między mogiłami.

Morana roześmiała się.

– Nie musi o mnie pamiętać. Ja nie umarłam, tylko zasnęłam.

Rozpostarła ramiona i odrzuciła głowę do tyłu. Wiatr rozwiał jej włosy, poderwał liście do szaleńczego tańca. Utworzyły wokół Morany wir, który porwał ją w górę. Kręciła się w powietrzu, aż w końcu stała się liśćmi, nie brązowymi i złotymi jesiennymi, lecz zielonymi. Otoczyły Annę, a gdy znikły, pozostawiły jej w dłoniach miedziany kielich ozdobiony wzorem winorośli. Uniosła go do ust mechanicznie, nie zastanawiając się nad tym. Nie był wypełniony winem, choć substancja w środku miała podobną barwę i konsystencję.

– *…to krew króla bogów – mówi Garreth, potrząsając kielichem, jedyną rzeczą, która nie spłonęła wraz ze*

świątynią. A potem podnosi go do ust i pije.

Ustawiają się w kręgu, kielich krąży pomiędzy nimi, ręce same wyciągają się ku niemu, zupełnie jakby nie mieli własnej woli. Ona też…

…pije…

…choć w sercu…

…kiełkuje lęk…

…i niepewność, bo…

…to jest kielich…

…mocy i szaleństwa.

Krew rozlała się na ziemi. Anna odeszła od wierzby, kierując się ku młodej magnolii, rosnącej nieopodal. Dziewczyna stojąca przy drzewku uśmiechnęła się, wzięła ją za rękę i razem opuściły cmentarz.

– Malutka, śliczniutka – zaśpiewał ktoś, gdy nocą zeszły do podziemi metra. – Wierzbusia, malusia.

Gdyby nie ta piosenka, przeoczyłaby postać na ławce, jeszcze jeden cień wśród wielu innych, niezauważalny dla młodzieży wracającej z dyskotek, straży miejskiej, ludzi o bladych twarzach i zmęczonych oczach, czekających na dodatkowy kurs metra. Anna przed chwilą przysięgłaby, że ławka jest pusta, teraz jednak dostrzegła na niej kobietą o ciemnych włosach, z oczyma przewiązanymi czarną przepaską, trzymającą wagę i miecz.

– Jestem – powiedziała.

– Jesteś, jesteś! – zaskrzeczała Sprawiedliwość. Uniosła wagę, po jednej stronie na szali leżała wierzbowa witka, po

drugiej pęd winorośli. – Jesteś, jesteś! Czekałam na ciebie, zielona czarodziejko!

Podała miecz, który Anna odruchowo przyjęła. Instynktownie wiedziała, jak chwycić rękojeść – ojciec zaczął ją szkolić w fechtunku zanim tak naprawdę zaczęła dobrze mówić. Nie próbował tego z Esterą, ale zawsze mawiał, że starsza córka urodziła się na wojowniczkę.

Mój ojciec. Pan Burz.

– Dokąd mam iść? – spytała. Sprawiedliwość zaniosła się ochrypłym śmiechem.

– Przed siebie! Noga za nogą! Prawa, lewa!

– Otrzymałam wezwanie… – zaczęła kobieta, która wcale nie była Anną. Umilkła zaraz, przygryzła wargę. Czyje wezwanie? – Wezwanie… wezwanie od Księcia. Przyszłam tutaj, a potem…

Sięgnęła ku twarzy Sprawiedliwości, waga upadła z głośnym trzaskiem, rozbiła się na kawałeczki. Za ciemną opaską kryły się oczy pozbawione źrenic.

– Słuchaj, zielona czarodziejko. Słuchaj i zapamiętaj. W blasku księżyca świat wygląda inaczej i łatwo ulec złudzeniom.

Spojrzała na własne przeguby, na wytatuowane na nich winorośl i bluszcz. I już wiedziała.

– Anno?

Kilka kroków dalej stał Jan, obejmując dzieci. Sprawiedliwość uśmiechnęła się, skinęła głową i rozpłynęła się w powietrzu. Zaklęcie Ślepiny, które miało ożywić kartę, utraciło swoją moc, miecz jednak pozostał. Wierzba

zacisnęła palce na rękojeści, bo broń była rzeczywista, pozwalała oprzeć się snowi.

– Nieźle, Janie – wymruczała. – Jak zdobyłeś takie zdolności? Nie posiadałeś ich wcześniej.

– Mamusiu, dlaczego tak dziwnie się zachowujesz? – zapytała dziewczynka, ruszyła w jej stronę, ale Wierzba skierowała ostrze w kierunku dziecka. Nie mogła pozwolić, by zbliżyło się do niej, niosąc ze sobą zapomnienie.

– Anno, co w ciebie wstąpiło? Maleńka, chodź do tatusia, mama nie czuje się dobrze.

Coś ukłuło ją w piersi, gdy patrzyła na przerażoną twarz dziecka, usta wygięte w podkówkę. Przez ułamek sekundy była gotowa pchnąć, wbić ostrze w serce dziewczynki, ale przed oczyma stanęła jej mała wyciągająca z plecaka piórnik, przytulająca się do psa… Ten ostatni obraz znów przywrócił ją do rzeczywistości.

Musiałeś czerpać z tego satysfakcję, Książę, nawet we śnie – pomyślała Wierzba.

– Hej, maleńka – powiedziała. – Nie pamiętam twojego imienia. A co nie ma imienia, nie może istnieć we śnie Nieświtu.

Po policzkach dziecka popłynęły łzy, zanim zostało pochłonięte przez mrok. Chłopiec westchnął i również znikł. Wierzba odetchnęła z ulgą. Nie była pewna, czy zdołałaby zabić bliźnięta. Czy można zabić coś, co nie istnieje? A jednak, coś w niej wzdrygało się przed tym, za bardzo bała się, że nie rozpłynęłyby się w powietrzu i zobaczyłaby dwa martwe ciałka.

– To nie musi tak się kończyć.

Przebiegła palcami po klindze. Krew poplamiła ostrze.

– Koniec jest zawsze taki sam, Janie.

Ludzie przechodzi obok nich, jakby nie widzieli kobiety z mieczem. Kolejne cienie przywołane przez Wędrowca Snów

– Nie walcz ze mną – poprosił. – Niedługo zyskam wystarczającą moc, by urzeczywistniać sny. Pomyśl…

– Nad czym? Nad tym, jak próbowałeś odebrać mi pamięć? Jedyne, co mi zostało? – spytała ostro. Jak mogła wcześniej tego nie rozumieć? Znała przecież Jana, jego nienawiść, złość i poczucie krzywdy, bo Nieświt nie obdarzył go potężnym talentem. – Urzeczywistnisz sny? Kiedy? Gdy zabijesz dostateczną ilość magów? Pochłoniesz moc Księcia, bo z moją się nie udało?

– Nie miałem zamiaru odbierać ci mocy! – krzyknął. Wyczuła prawdę w tych słowach. – Spanikowałem! Musiałem… usunąć cię, żebyś nie przeszkadzała. Chciałem wyjaśnić ci to wszystko spokojnie, inaczej pobiegłabyś do tego swojego Księcia! Nie mogłem pozwolić, żebyś mnie powstrzymała. Pomyśl! Sny, które tworzę, są urzeczywistnieniem marzeń! Nie tego chciałaś? Nie pojawiłbym się, gdyby ci na mnie nie zależało…

Urwał zaskoczony, gdy roześmiała się. Czy Jan rzeczywiście sądził, że mogła tego pragnąć? *Tak* – odpowiedziała sobie. I być może mogłoby to być życzenie Wierzby, ale Wierzba nigdy nie istniała naprawdę. Nie tak

brzmiało przecież jej imię, a co nie ma imienia, nie może żyć we śnie Nieświtu.

– Wydaje ci się, że to była moja fantazja? – zapytała, prawie łagodnie. – Mylisz się. Chciałam czegoś innego. Od dawna, ale wiesz o mnie zbyt mało, by sięgnąć tego życzenia, nawet ze swoimi nowymi mocami… Nieświt cię pobłogosławił?

– Nieświt! – zawył Jan. Otaczający ich ludzie zaczęli znikać, gdy utracił kontrolę nad snem. Jego twarz zmieniła się, wykrzywiła. – Nieświt obdarowuje wedle życzenia! Daje władzę tym, którzy na nią nie zasługują! Nie, sam wydarłem moc ze snu Nieświtu, bo przecież taką dał mi zdolność, wędrowanie po snach! Dlaczego nie miałbym wejść i w ten?!

– Zabiłeś mi siostrę – przerwała mu, nieoczekiwanie dla samej siebie. Umilkł, uciekł spojrzeniem gdzieś w bok. Nie zwróciła na to uwagi, bo oto ponad jego ramieniem dostrzegła blady cień, który zmaterializował się w chwili, w której wypowiedziała te słowa.

– Nie wiedziałem – usprawiedliwił się. – Nie zrobiłbym tego, gdybym wiedział… Ale ona była słaba, a Książę ją kochał. Tobie przecież na niej nie zależało!

Nie, nie masz racji – pomyślała. Nie odrywała wzroku od widma, które stało tuż przy Janie, półprzezroczyste, zamazane.

Nie kochał jej. Książę był w miejscu, w którym umarli bogowie, gdzie nie istniało nic oprócz rozpaczy. W nas też

coś umarło, gdy odebraliśmy życie demonom, które obwołano bóstwami.

Ja też tam byłam.

A jednak…

– Bądź rozsądna, kochana – kontynuował Jan. – Nawet teraz mam większe możliwości niż jakikolwiek mag. Pomyśl, co mogę zrobić. Gdybyś tylko zrozumiała… Wierzbo, przecież mnie kochasz.

– *…słuchaj, zielona czarodziejko. Słuchaj i zapamiętaj.*

Usta Estery poruszyły się.

Obie były zamknięte w rzeczywistości stworzonej przez Wędrowca Snów. Miecz Sprawiedliwości być może zdołałby go zabić, ale Wierzba nie mogła mieć pewności.

– *Śmierć nie zawsze oznacza koniec.*

– Kocham – szepnęła. Twarz Jana rozjaśniła się. – Kocham cię, siostrzyczko.

Czasem trzeba dobrowolnie wejść w ciemność.

Nadjeżdżało metro. Czarodziejka po raz ostatni spojrzała na widmo Estery – i skoczyła na tory.

* * *

Śmierć jest taka prosta – pomyślała Wierzba, unosząc powieki. Trudniej wrócić później do żywych.

Być może to nie była prawdziwa śmierć, jednak ból okazał się rzeczywisty, nawet jeśli trwał tylko przez ułamek sekundy. Wierzba uniosła się na łokciach, jeszcze przez moment niepewna własnego ciała, bo przecież pamiętała,

jak miażdży je metro. Człowiekowi byłoby pewnie łatwiej, ludzie umieli odróżniać senne majaki od jawy.

– Widzisz inne wyjście? Sen pochłonął nawet Wierzbę. Mam czekać, aż wszyscy pomrzemy?

Książę stał przy oknie, z rękoma zaplecionymi za plecami, jak zawsze opanowany. Piorun, syn Błyskawicy, kapitan książęcej straży, nie wydawał się równie spokojny. Nie mogła zobaczyć jego twarzy, ale zaciskał pięści i gdy się odezwał, głos drżał mu od tłumionej złości.

– Nie zapanujesz nad Cieniami, panie.

– Minęły dwa dni, a ona wciąż żyje. Jeśli uda się to powstrzymać teraz, być może się ocknie.

Usiadła. Całe ciało miała zdrętwiałe od leżenia w jednej pozycji. Dwa dni? Minęły tylko dwa dni?

– Wzrusza mnie twoja troska – zapewniła ochrypłym głosem i odkaszlnęła. Obaj mężczyźni odwrócili się ku niej, brązowe oczy Pioruna otworzyły się szerzej ze zdumienia. Na twarzy Księcia pojawił się blady uśmiech, jakby przebudzenie czarodziejki wcale go nie zaskoczyło. – Jeśli można, poprosiłabym o wodę, zaschło mi w gardle. Później zabijemy Jana.

– Oczywiście – przytaknął Książę. – Nie mam nic przeciwko. Czym cię zdenerwował?

– Och, nic wielkiego, zabił mi siostrę, chciał pozbawić cię tronu, pochłaniał moc twoich dworzan… Takie tam drobnostki.

– Wędrowiec Snów?! – warknął Piorun. – Sprawdzaliśmy go, nie ma dość mocy!

– To moją duszę wyrwał z ciała, więc chyba wiem lepiej – prychnęła. – Jan umie wchodzić w cudze sny, potrafi zapanować nad nimi, a skoro Nieświt wyśnił magię, dlaczego nie miałby wejść i w ten sen? Więził dusze w snach, pochłaniał ich moce. Zaczynał od najsłabszych, aby mieć pewność, że nie zdołają się wyrwać.

Książę spokojnie przyjął te rewelacje, jednak Piorun nie umiał panować nad emocjami. Z oczu rudowłosego kapitana dało się wyczytać wszystkie uczucia. Wściekłość. Niepewność. Zdumienie. W tym momencie tak bardzo przypominał swoją matkę, że Wierzba musiała się uśmiechnąć. Zabawne, wspomnienia o Winoroślach nie wydawały się już czymś, przed czym należało uciekać.

– Zbiorę strażników – powiedział, a jego dłoń odruchowo powędrowała ku rękojeści miecza.

– Nie. Sam się tym zajmę.

– Ależ Książę! Jesteśmy twoimi strażnikami… – zaczął, lecz urwał pod wpływem spojrzenia władcy. Pan zachodnich Słowian nie tolerował nieposłuszeństwa.

– Idę z tobą – zarządziła Wierzba i uniosła rękę, zanim zdążył zaprotestować. – Wiem, że jestem osłabiona i wiem też, że sobie z nim poradzisz. Ale oni są ciągle tam uwięzieni, zawieszeni pomiędzy śmiercią i życiem. Muszę przynajmniej spróbować im pomóc. Pomóc… mojej siostrze.

Muszę zrozumieć – dokończyła w myślach. Ślepina przewidziała, co się z nią stanie, nie próbowała jednak temu zapobiec, zamiast tego zostawiła wskazówkę dla Wierzby. To dlatego wydawała się znajoma – miała twarz

Sprawiedliwości ze snu. Wierzba zdołała się obudzić, bo Jan wciąż nie był dostatecznie silny, miała talent rozpoznawania kłamstw – a Estera i Ślepina pomogły jej odrzucić iluzje.

Lecz to nie Wędrowiec Snów zesłał na nią poprzednie koszmary, nie on zaatakował ją w ogrodzie.

Meteorolodzy mieli później mówić, że mróz nadszedł zupełnie niespodziewanie i nie potrafią wyjaśnić, jak to się stało, że temperatura spadła w ciągu godziny o niemal piętnaście stopni. Choć październikowy poranek zapowiadał pogodny dzień, tuż po południu Warszawa tonęła w śniegu, a na drogach wciąż dochodziło do drobnych stłuczek. Dzieci Nieświtu spoglądały na zachmurzone niebo z niepokojem i kryły się w domach, niezależnie od tego, jak wiele spraw czekało na załatwienie. Ich Książę ruszył do walki po raz pierwszy od lat, a za nim stała cała potęga zimy.

Jan musiał wiedzieć, że po niego przyjdą, lecz starannie zaplecione zaklęcia niewiele zmieniały. Moc Księcia przypominała lawinę niszczącą wszystko na swojej drodze. Wierzba brnęła przez śnieg szczelnie owinięta płaszczem, a choć złość pana Słowian nie była skierowana przeciw niej, to wiele kosztowało ją utrzymanie kokonu magii chroniącego przed chłodem. Tak mocno związana z ziemią, nie mogła czuć się dobrze w samym sercu zimy. Gdzieś tam przed nią Książę – który teraz był istotą stworzoną z mrozu i wiatru, w niczym nieprzypominającą człowieka – zrywał nitki czarów, powoli chwytając Jana w pułapkę.

– Mamo, mamusiu! – Wiatr przyniósł dziecięcy krzyk, ale nie obejrzała się. Teraz, gdy odzyskała siły, Jan nie umiał ponownie wciągnąć ją w sen.

Wyminęła bliźnięta skulone na śniegu, trzęsące się z zimna. Nie były prawdziwe. Nie mogły być prawdziwe.

Moc przetoczyła się dookoła, Wierzba zatrzymała się, poprawiła płaszcz. Zimno i śnieg przedostały się przez barierę, wiatr chlastał ją po twarzy, na pasmach włosów wystających spod kaptura osiadł szron. A potem wszystko zaczęło się uspokajać, jakby śnieżna burza wyładowała cały gniew. Książę pokonał Jana – i rzeczywiście, gdy kurzawa opadła, dojrzała ich obu.

– Jeszcze żyje. Jak prosiłaś – powiedział Książę. Przeszła obok, uważając, by go nie dotknąć, bo cały był teraz jak lodowa rzeźba. Żadna roślina nie mogłaby przetrwać takiego chłodu.

– Kto zesłał na mnie pierwsze sny? – spytała, klękając na śniegu i patrząc na twarz Jana. Tylko ona nie zamarzła, resztę ciała Wędrowca Snów skuwał lód. Wierzba odegnała od siebie wspomnienie martwego boga, który zginął w taki sam sposób.

– Nie wiem – odparł. Wydawał się zrezygnowany, jakby porażka w bezpośrednim starciu pozbawiła go nie tylko sił fizycznych. – Wierzbo…

Zacisnęła usta, sądząc, że poprosi o litość bądź przebaczenie. Czy aż tak mało ją znał, czy naprawdę nie wiedział, że nie da mu żadnej z tych rzeczy?

– Nieświt jest czymś więcej, niż sądziliśmy – dokończył i zamknął oczy. Zasypiał, mróz wysączał z niego życie. Nie mogła pozwolić, by odszedł w ten sposób, by dusze zostały uwięzione. Sięgnęła do kieszeni, wyjęła kartę z wizerunkiem Sprawiedliwości. Zamknięta w niej moc Ślepiny odżyła pod palcami Wierzby.

– Żegnaj, Janie

Lód pękł z trzaskiem, a ostrze wbiło się w pierś Wędrowca Snów. Pożegnalne zaklęcie wieszczki przepłynęło po mieczu, w który zamieniła się karta, niszcząc moc Jana i rozpraszając sny. Zabił kobietę z obawy, że ta powie Wierzbie, co zobaczyła w przyszłości, nie podejrzewając nawet, że Ślepina mu na to pozwoliła.

Żegnaj, Janie.

Żegnaj, Ślepino.

Żegnaj, Estero.

Drgnęła, bo wydało się jej nagle, że czuje na ramieniu dotyk czyjejś dłoni. Ale w pobliżu nie było nikogo prócz Księcia, wciąż otoczonego chłodem zbyt wielkim, aby mogła go znieść.

* * *

Na gałęziach drzew trzymały się ostatnie zbrązowiałe liście, czapy śniegu osiadły na wciąż zielonych sosnach. Mimo to cmentarz dzieci Nieświtu nie był miejscem śmierci. Drzewa wciąż żyły, choć pogrążyły się we śnie. Wiosna wróci, a wraz z nią nadejdzie przebudzenie.

Wierzba szła, wsłuchana w szepty, kierując się ku najświeższej spośród mogił, jeszcze pozbawionej własnego drzewa. Gdy znalazła się bliżej, mogła wyczuć je w zamarzniętej ziemi, magnolię, która wzrośnie wraz z wiosną, by opowiadać o życiu Estery, córki Pana Burz.

Pozostałe karty znalazła w pokoju siostry. Wierzba w ciągu ostatnich lat zdążyła zapomnieć, że malowała i wlewała w obrazy swą magię. Estera uwieczniła na talii ludzi ze swojego otoczenia i na kolejnych kartach Wierzba odnajdywała znajome twarze. Książę jako Cesarz na lodowym tronie, tarcza z orłem leżąca u jego stóp. Szarooki Pan Burz – Pustelnik z latarnią w dłoni. Ona sama, trzymająca dłoń na głowie lwa – Moc.

– Gratulacje, zielona czarodziejko.

Choć na niebie nie było chmur, światło przygasło. Wierzba rzuciła na grób Estery kartę przedstawiającą siostrę jako Śmierć i odwróciła się. Przypominało to nagłe wejście do Międzyświata. Cmentarz znikł, znalazła się w gabinecie, który oglądała w snach.

– Wędrowiec zaczynał być irytujący. To miło, że się nim zajęłaś, bluszczowa dziewczynko.

Zakapturzony mężczyzna siedział za biurkiem. Ona nie usiadła, choć wskazał jej krzesło. Zaciskała palce na talii namalowanej przez siostrę, tej samej, którą bawił się w poprzednich snach. Na jednej z nich uwieczniono postać owiniętą w czarną szatę, zwisającą z gałęzi do góry nogami. Widać było tylko dłonie Wisielca, białe, poznaczone siecią niebieskich żyłek.

– Znam twój głos – szepnęła. – Zaatakowałeś mnie w ogrodach.

– Brawo, brawo! – zawołał, szczerze ucieszony. Nawiedziło ją niemiłe skojarzenie z właścicielem szczeniaka, zadowolonym, że ulubieniec wykonał udaną sztuczkę. Nie odezwała się jednak, za dobrze pamiętała moc tego dziwnego mężczyzny.

– Właściwie to nie był atak – wyjaśnił, gdy stało się jasne, że Wierzba nie ma zamiaru przemówić. – Nie planowałem zrobić ci krzywdy. Chciałem popchnąć cię we właściwym kierunku i udało się.

Niechętnie przyznała, że miał rację. Dopiero wtedy, kiedy została rzucona na kolana, przebudziła się z letargu, w którym trwała od wielu lat, znów zapragnęła zawalczyć o swoje. Dotknięcie śmierci przywróciło ją do życia.

– Pokaż mi swoją twarz – zażądała.

– I sądzisz, że zniesiesz to, co zobaczysz? – spytał.

– Patrzyłam w twarze umierających bogów – przypomniała. – Cały mój strach odszedł wraz z nimi. Nie boję się ciebie.

– Mógłbym sprawić, że zaczniesz, Morano.

Sięgnął do kaptura, zrzucił go i przez moment czarodziejka patrzyła w pustkę. Później pojawiła się twarz Księcia, jak wykuta w lodzie, jej rysy zafalowały, Książę zmienił się w szarookiego Pana Burz, zanim zdążyła przyjrzeć się dawno niewidzianemu ojcu, znów zaszła przemiana i zobaczyła Jana. Ledwo zdążyła kogoś rozpoznać, jednego z Winorośli, dawnego nauczyciela,

przyjaciela, wroga, ci znikali, stawali się kimś innym. Działo się to tak szybko, że zakręciło się jej w głowie i opadła na odsunięte krzesło.

– Teraz rozumiesz, Morano?

Znów naciągnął kaptur. Zamrugała, potarła czoło. Jeszcze kilka sekund i rzeczywiście mogłaby tego nie znieść.

– Rozumiem – przyznała. – Ale nie jestem już Moraną. Odrzuciłam tamto imię. Nie ma Morany ani jej mocy.

Sięgnął ku rękom Wierzby, kiedy ich dotknął, jęknęła, zwinęła się w pół, tak potężną siłą dysponował. Nie planował jednak zrobić czarodziejce krzywdy, zabrał tylko jedną z kart, podniósł ją tak, żeby zobaczyła obrazek. Ona sama, głaszcząca grzywę lwa, bluszcz oplatający łapy zwierzęcia.

– Estera urodziła się wiele lat po tym, jak Morana rzekomo przestała istnieć. Dlaczego więc to ją namalowała na karcie, Trujący Bluszcz, nie Panią Drzew? Dlaczego widziała w tobie Moranę, nie Wierzbę?

– Przestań – syknęła. – Czego chcesz? Dlaczego mnie prześladujesz, Nieświcie?

Kim jest Nieświt? Wielu magów zadawało sobie to pytanie od tysięcy lat. Ona nigdy się nad tym nie zastanawiała, a oto we własnej osobie siedział przed nią.

– Właściwie to nie musiałaś być ty – powiedział z namysłem. – Choć cieszę się, że padło na ciebie. Raz już dobrze się mi przysłużyłaś. Zabijałaś moje młodsze rodzeństwo.

Pobladła. Natychmiast pojęła, co takiego miał na myśli. Międzyświat, cisza, która zapadła, gdy przebrzmiały ostatnie krzyki, krew wsiąkająca w ziemię. Trawa szarzała, drzewa usychały, światło zbladło, kraina bogów przemieniła się w jałową pustynię.

– To było tak? – szepnęła. – Ty nas do tego popchnąłeś? Jak mogliśmy być tak głupi!

Zachichotała, najpierw cicho, później głośniej, w końcu zaniosła się szaleńczym śmiechem. Jak mogli być tak głupi, jak mogli uwierzyć, że zmienią przeznaczenie, zniszczą tych, którzy od zarania świata trzymali magów na uwięzi. Cały czas byli zaledwie pionkami.

– Dałem wam moc – przyznał, zadziwiająco łagodnie. – Stworzyłem magów potężniejszych niż ci, którzy wcześniej chodzili po świecie. Powiązałem was ze sobą, byście się odnaleźli. Nie zostaliście do niczego zmuszeni. Nie potrafiłbym tego zrobić, sami podjęliście te decyzje… Które bardzo mnie uradowały.

– *Co dali nam bogowie?* – zapytał Książę wiele lat temu. – *Widzą w nas tylko zabawki. Dlaczego oddajemy im cześć, skoro mają dla nas jedynie pogardę?*

– A teraz? Byłam ci potrzebna, żeby zabić Jana?

– Jan poważył się sięgnąć po moce, których mu nie dałem – powiedział Nieświt, a w jego głosie nie został ani ślad wcześniejszej łagodności. – Miałem szczęście. Estera przed śmiercią zdołała do ciebie dotrzeć. Byłyście w końcu siostrami. Zrozumiała, że jest uwięziona, jednak nie umiała

się uwolnić. Pierwszy sen pochodził od niej. Otworzyła mi drogę.

Zacisnęła palce na kartach namalowanych przez siostrę. Powinna była się domyślić. Moc z ogrodów, kot o zielonych oczach. Powoli podniosła się z miejsca.

– Mówisz, że nie jesteś Moraną – kontynuował, jakby nie dostrzegł wyrazu jej twarzy. – Gdybyś utraciła to imię, nie mogłabyś żyć w moim śnie. Estera wyświadczyła mi podwójną przysługę. Przypomniałaś sobie, kim byłaś. A ja mogę do ciebie dotrzeć.

– I popchnąć mnie we właściwym kierunku?! – warknęła. – O nie. Nie pozwolę, żebyś znów mną manipulował. Udało ci się dwa razy. Kolejny raz tego nie dokonasz!

Sama wielokrotnie wcześniej intrygowała, wysługiwała się innymi, wykorzystywała ich do własnych celów. W pewnym sensie przypominała Nieświt i dlatego z całą jasnością widziała, dlaczego postępował w taki sposób. Po co mu Pani Drzew pozbawiona dawnej mocy i woli walki? Tam, w ogrodzie, oddał jej to, co utraciła. Powróciła magia odebrana przez umierających bogów, stąd osłabienie ciała odzwyczajonego od bycia kolebką takich sił. Zakończył swoje dzieło we śnie Jana. Przebudził w niej Moranę. Chciał Winorośli. Potężnej czarodziejki, tak samo bezlitosnej jak on.

Może Jan nieprzypadkowo znalazł sposób na zwiększenie własnej mocy?

Może Estera stała się marionetką, mającą sięgnąć ku siostrze?

– Jak masz zamiar mnie powstrzymać?

Powierzchnia kart była chłodna i chropowata. Gdy bardzo się skupiła, mogła wyczuć na nich ślady aury Estery. Znaczyły coś dla niej, skoro właśnie ku nim pociągnęła siostrę, próbując znaleźć punkt zaczepienia.

Żyjemy we śnie Nieświtu, a w snach wszystko jest możliwe.

– Po prostu wyjdę – odpowiedziała.

– Tam nie ma żadnych drzwi.

– Teraz już są.

I rzeczywiście, były, kiedy się odwróciła i je zobaczyła. Takie same jak te, które prowadziły do warszawskiego mieszkania, które zajęła, gdy przybyła na wezwanie Księcia.

– Jeśli przez nie przejdziesz, wyjdziesz z mojego snu – syknął Nieświt, po raz pierwszy zirytowany. – Wiesz, co to dla ciebie oznacza? Chcesz umrzeć? Stracić moc?

– Nie mogę wiedzieć, co jest za nimi – przyznała.

Może czeka tam na mnie śmierć.

Może moje moce odejdą i stanę się człowiekiem.

Może spełni się moje życzenie, odnajdę je za drzwiami, to pragnienie, którego Jan nie umiał sięgnąć. Bo przecież od tamtego dnia, gdy umarli bogowie…

– Ale jestem Winoroślą…

…chcę zniknąć. Nie umrzeć. Przestać istnieć.

A może nic się nie stanie. Znów trafię na grób mojej siostry i wszystko będzie jak dawniej… lub zupełnie inaczej.

– …a my nigdy się nie wahamy, nieważne, co na nas czeka.

Schowała karty do kieszeni, otworzyła drzwi i weszła w ciemność, która kryła się za nimi. Gdy wykonywała ostatni krok, nie myślała o niczym.

Magdalena Kubasiewicz

Rocznik 1990, obecnie mieszkająca w Krakowie, studentka Uniwersytetu Jagiellońskiego. Kocha fantastykę, białą czekoladę, koty i swoje dwa psy, choć jeden z nich wedle wszelkich znaków na niebie i ziemi jest demonem maskującym się w psiej skórze. Publikowała w świętej pamięci „Science-Fiction, Fantasy i Horror”.

http://geniuscreations.pl/autorzy/magdalena-kubasiewicz/

https://madbooks.pl/kubasiewicz-magdalena

https://ebook.madbooks.pl/magdalena-kubasiewicz

Patronat medialny

Składamy do kupy litery, słowa i zdania. Uczymy się nawzajem, jak to robić dobrze.

Pieśń żywiołów – Artur Laisen

Prolog – Epizod na płaskowyżu Sim

Adiutant postanowił obudzić mistiego *zaraz po tym, gdy utracono łączność z Trzecim Obozem, ale hałas zbliżającego się kataklizmu go uprzedził. Był to dziwny dźwięk – przypominał raczej brzęczenie, na pozór delikatne, lecz jednocześnie w jakiś niepokojący sposób wszechogarniające; nie ogłuszający huk, i wściekłe dudnienie, które przyzwyczajeni do trzęsień ziemi i wojen Suhaszu nauczyli się utożsamiać z nadchodzącą zagładą.*

Misti *Lugaldalu zerwał się z posłania i wypadł przed namiot, mijając osłupiałych wartowników, z których żaden nie wyprężył się na baczność na jego widok i nie złożył mu żołnierskiego znaku poddania.* Misti *nie zwrócił na to uwagi. Stanął pośród przemieszanego bezładnie tłumu swoich ludzi, tak jak oni zwracając oczy na zachód.*

Od strony płaskowyżu spływała na obóz fala widzialnej nicości. Przybrała postać różowego morza ni to mgły, ni to magmy. Postać czegoś, co wymykało się doświadczeniom i możliwościom opisu, jakie przywieźli ze sobą z Akasz. Pochłonęła już pierwsze posterunki i zmierzała właśnie w kierunku lądowiska, gdzie spanikowani piloci usiłowali

naprędce uruchomić swe maszyny. Było oczywiste, że w przeciągu kwadransa zaleje całą dolinę.

Adiutanci przyprowadzili mistiemu *Ganmę. Po raz pierwszy Lugaldalu dostrzegł szczerość w oczach kobiety Namów.*

– Mów! – rozkazał, choć wiedział już, jaką usłyszy odpowiedź.

– To muhtim*, Opary Różowego Jeziora. Zawsze schodzą w dół, gdy kin wieje dłużej niż dwa dni. Umrzecie wszyscy, Najeźdźco, i nie będzie to lekka śmierć.*

Pośród zgromadzonego przed kwaterą wodza tłumu rozległ się gniewny pomruk.

– To ty je sprowadziłaś, wiedźmo! – wycedził ktoś z najbliżej stojących, nie bacząc na to, że za takie nieproszone odezwanie się w obecności mistiego *normalnie zapłaciłby głową.*

– Nie – zaprzeczyła zaklinaczka. – Ja jedynie usypiałam waszą czujność w nadziei, że kin *nie ustanie zbyt prędko. Nikt nie ma takiej władzy nad Żywiołami, nawet najpotężniejsi z nas. Pokonaliście mój lud, ale one zgotują wam zemstę.*

– Zawróć to, a daruję ci życie i pozwolę odejść do swoich – powiedział misti*, starając się zachować spokój.*

Kobieta roześmiała się.

– Niemal żałuję, że nie potrafię tego uczynić, gdyż wtedy z tym większą radością mogłabym ci odmówić.

Lugaldalu skrzywił się i skinął na jednego z tych, którzy stali obok. Żołnierz w srebrzystej zbroi wyszarpnął miecz

z pochwy. Głowa kobiety Namów potoczyła się po piasku, pośród kolejnego gniewnego pomruku tłumu. Misti *przyglądał się temu bez cienia satysfakcji, zdając sobie sprawę, że prawdopodobnie właśnie oszczędził zdrajczyni cięższej śmierci. Niemniej, w imię zasad, które nawet teraz powinny były zostać zachowane, Ganma musiała zginąć z jego rozkazu.*

Nikt nie uciekał – nie było dokąd. Setki Suhaszu, synowie ginącego świata, którzy wyruszyli jako awangarda swego narodu na podbój tej ziemi, niepokonani jak dotąd pogromcy tubylczego ludu Namów, teraz byli w stanie jedynie gapić się z bezwolną fascynacją na nadchodzącą zagładę.

Muhtim *dotarły już do pierwszych namiotów. Lugaldalu widział uciekające sylwetki w srebrzystych zbrojach, wchłonięte przez sunącą miarowo ścianę Oparów; żaden dźwięk, krzyk ani skarga nie przedostały się na jej drugą stronę.*

To koniec – *pomyślał z wściekłością. Koniec.*

Fala muhtim *była już tylko o sto kroków przed nimi.*

Nagle usłyszeli huk. Dochodził gdzieś z daleka, jak gdyby zza *atakującego ich Żywiołu. Pośrodku różowej płaszczyzny nieoczekiwanie pojawiła się ciemna plama. Gęstniała i rosła, aż w końcu wystrzeliła na zewnątrz. Eksplodowała fioletem, który momentalnie rozlał się na wszystkie strony, zagradzając drogę Oparom.* Muhtim *zatrzymały się.*

Stali z wybałuszonymi oczami, nie pojmując żadnego z kolejnych aktów rozgrywającego się przed ich oczami widowiska.

– Ten zapach – wyszeptał ktoś obok mistiego*. – Ten zapach…*

Z góry spłynęły czarne chmury i przydusiły do ziemi różową substancję. Nagła eksplozja dudniącego światła miłosiernie ogłuszyła zmysły zdumionych i przerażonych Suhaszu.

Później żaden z nich nie potrafił dokładnie opisać tego, co się wydarzyło, choć w ich sprzecznych relacjach wielokrotnie powtarzało się słowo „burza”. Wszyscy byli zgodni jedynie co do tego, że gdy walka żywiołów wreszcie ustała, a ciężki wicher odleciał na południe, porywając ze sobą ostatnie strzępy muhtim*, zza zasłony fioletu wyłoniła się samotna sylwetka. Ruszyła w ich stronę, stopniowo przybierając ludzką postać. Spodziewali się ujrzeć boga lub demona, a ze zdumieniem zobaczyli młodego mężczyznę, tak jak oni wysokiego i szarowłosego, i tak jak oni odzianego w srebrzystą zbroję. Zamiast broni miał przy sobie jedynie długą drewnianą laskę, która płonęła w jego dłoniach. On jednak wydawał się tym zupełnie nie przejmować. Jego twarz promieniowała radością i triumfem. Stanął naprzeciwko oniemiałego Lugaldalu i złożył mu wojskowy ukłon.*

– Znam cię – wykrzyknął ze zdumieniem któryś z adiutantów mistiego*. – Byliśmy pewni, że zginąłeś. Ty jesteś Talgasz… Talgasz Ram…*

Przybysz lekko się uśmiechnął.
– Jestem Władcą Burz – odparł.

* * *

Sahl, najpotężniejszy z Żywiołów. *Sahl* – tęcza Siedmiu Błyskawic. *Sahl* – błogosławieństwo i przekleństwo, przyjaciel i wróg. *Sahl* – siła, która przed setkami lat ocaliła lud Namów. Ta, która przed trzema pokoleniami przyniosła mu klęskę. *Sahl* – władza nad rozdzieranym przez dziesiątki nieprzeniknionych i niepokornych mocy światem.

Lahtar stał na brzegu urwiska, wpatrzony w zasłoniętą pasmami fioletu dal. Zasłoniętą, lecz nie przed jego wzrokiem. Widział to, co próbowały ukryć przed nim żywioły. Domyślał się już, gdzie znajduje się ich władca.

Swymi wyostrzonymi zmysłami chcąc nie chcąc rejestrował także przytłumione napięcie, narastające nieustannie za jego plecami; ściszone komendy oficerów, szum zajmujących pozycje wiro-spadów, dziwnie odległe, nierealne głosy naradzających się generałów; oddechy oczekujących żołnierzy. Bardziej zresztą wyczuwał te dźwięki niż rzeczywiście je słyszał. Miał nieodparte wrażenie, że cały ten tłum powstrzymuje się przed robieniem nadmiernego hałasu jedynie po to, by nie zakłócić jego koncentracji. Nawet *uparhi* zachowywały niezwykły spokój, jakby tym niecierpliwym, nieujarzmionym, zawsze spragnionym ruchu i walki wierzchowcom udzielił się nastrój jeźdźców.

Uwaga Lahtara była jednak zwrócona gdzie indziej; w gruncie rzeczy cała ta wielka armia, chluba i nadzieja Namów, mogłaby dla niego w tej chwili zupełnie nie istnieć.

Po jego prawej stronie otwierała się Przełęcz Przejścia – kilkumilowy wyłom w niezdobytej ścianie niemal pionowych szczytów, odgradzających doliny Górnego Kraju od reszty dawnej ojczyzny Namów. Zwykle było tu rozpaczliwie pusto – przez ostatnie trzydzieści lat, odkąd Ansal odzyskał niepodległość, Namowie utrzymywali sporadyczne tylko kontakty z Najeźdźcami, choć ani razu nie wybuchła też otwarta wojna. Przełęcz Przejścia odwiedzali jedynie Obserwatorzy Błyskawic i żołnierze, z ogniem tęsknoty i nienawiści w sercu przypatrujący się manewrom przygranicznych wojsk Suhaszu na utraconych równinach Ellanu.

Dziś jednak przełęcz ożyła. Po raz pierwszy od czasów Przejścia łagodne, porośnięte trawą zbocza zapełniły się tłumami ludzi. Tym razem jednak fala szła w przeciwną niż przed trzydziestu laty stronę.

Równina za przełęczą była natomiast całkiem opustoszała, co w jakiś sposób łamało prawa symetrii – zgodnie z nimi powinna teraz znajdować się tam zastygła w ponurym oczekiwaniu armia Najeźdźców.

Lahtar uważnie przeczesywał przestrzeń swoim *sahl-atl*, Wzrokiem Burzy. Daleko na wschodzie, po jego lewej ręce, na samej linii horyzontu, *haifei*, Brudny Powiew Morza starł się ze Wschodnią Mgłą, tworząc rozszerzającą się powoli w atmosferze śmiercionośną sferę. Lahtar na

moment zmarszczył brwi, lecz zaraz znów się rozluźnił – nic nie wskazywało na to, by którykolwiek z zabójczych Żywiołów mógł skierować się w stronę granicznych wiosek. *Haifei* rzadko udawało się przedostać poprzez góry, ale Lahtar na wszelki wypadek i tak nigdy nie pozwalał mu zbliżyć się zanadto do ziem swego ludu. Podobnie jak Władca Burz nie pozwalał nigdy Mgle przekraczać wschodniej granicy obszaru kontrolowanego przez Suhaszu. Teraz jednak oba śmiercionośne Żywioły, pozostawione samym sobie, zderzyły się ze sobą niczym nieświadome forpoczty nadchodzącej bitwy.

Przez chwilę jeszcze Lahtar spoglądał na wschód, uważnie oceniając sytuację.

Ten, którego tam posłał, niezbyt dobrze sobie radził. *Nie ma ucznia, któremu mógłby naprawdę zaufać* – pomyślał.

W końcu popatrzył na wprost, w stronę długiej czarnej pręgi biegnącej w poprzek równiny, tam gdzie ziemia została zraniona aż do kości. Złożył w myśli hołd poległym bohaterom i daremnym próbom, które poprzedziły jego własne zwycięstwa, po czym przeniósł wzrok dalej, ku niskim, skalistym wzgórzom, znajdującym się pośrodku płaszczyzny Ellanu.

Były skryte wśród fioletu i czerni, wśród blasku wielobarwnych błyskawic i gęstej mgły, wśród jęku wichru i huku grzmotów.

Władca Burz przyjął jego wyzwanie.

– *Sahl-it* Lahtar...

Odwrócił się ku stojącemu za nim Rallowi. Teraz, w blasku odległych wyładowań oraz przejrzystym świetle zachodzącego słońca, wyraźniej niż kiedykolwiek można było zobaczyć, że na pozór jednolicie seledynowa cera generała naznaczona została prawie niezauważalnym odcieniem *obcości*, a włosy, które przecież również powinny być seledynowe i czyste jak kwiat *dari*, skrywają w sobie zamaskowane tony szarości. Babka lub prababka generała musiała być niewolnicą Suhaszu lub po prostu została zgwałcona przez któregoś z ich żołdaków, w czasie rozpaczliwej, acz krótkiej wojny, gdy podbito wszystkie ziemie Namów. Pomimo tego, że krew Ludu przeważnie w końcu zwyciężała, dwa pokolenia nie zdołały zmyć resztek nienawistnego dziedzictwa.

Lahtar wiedział jednak, że serce Ralla jest czyste i nieugięte, niesplamione żadną obcością. Głównodowodzący, podobnie zresztą jak większość obecnej kadry dowódczej, był człowiekiem stosunkowo młodym, nie przekroczył jeszcze trzydziestu pięciu lat. Na tyle stary, by pamiętać gorzki Czas Niewoli i pogardliwe spojrzenia Suhaszu, ale także wystarczająco młody, by wychowywać się i dojrzewać w odzyskanym Ansal, pomyślał z satysfakcją Lahtar. Na twarzy Ralla, tak jak na twarzach wszystkich zgromadzonych z tyłu żołnierzy, malowała się tęsknota za utraconą ziemią i żądza walki. Tych, którymi wciąż rządził strach i ostrożność Lahtar celowo pozostawił w domu.

– Zwiadowcy powrócili – zameldował generał. – Na przestrzeni wielu mil nie napotkano żadnego śladu

obecności wroga. Suhaszu wycofali się. Sądzę, *sahl-it* Lahtar, że przygotowują zasadzkę.

– Nie. – Lahtar pokręcił głową. – To *on* kazał im się wycofać. To zaproszenie dla mnie. *On* tam czeka – uśmiechnął się do zasłaniającej wzgórza burzy.

Rall wpatrywał się w niego z uwagą.

– Chce doprowadzić do bezpośredniego pojedynku – wyjaśnił generałowi. – Na oczach wszystkich Namów... i wszystkich Suhaszu. Pokazać, że nadal jest niezwyciężony. Jego pozycja wśród własnego ludu znów jest zagrożona. Dlatego będzie sam, bez żadnego ze swych uczniów. Wykorzystam tę okazję. Kiedy, pokonawszy go, odbiorę mu *dem-ter-an* i postawię stopę na Żelaznych Wzgórzach, już nas nie powstrzymają.

Rall skinął z powagą głową, ale w jego oczach żądza walki wciąż zmagała się z niepokojem.

Tak jak wszyscy moi wojownicy, chce wreszcie zobaczyć bohatera ludu pokonującego człowieka, który uosabia potęgę Najeźdźców, pomyślał Lahtar. I, tak jak oni, boi się, że mnie utracą. Wciąż do końca nie wierzą, że można zwyciężyć Władcę Burz.

– Nie lękaj się, generale – powiedział na głos. Wskazał na pas czarni pośrodku równiny, na wypaloną aż do gołej skały glebę. – Wiesz, co to za miejsce, prawda? Wszyscy Namowie po złożeniu Przysięgi udają się w pielgrzymkę, żeby je zobaczyć.

– To tam Władca Burz spopielił resztki powstańców Tamana – odparł szybko generał, niczym kadet recytujący

odpowiedź podczas egzaminu do Akademii.

– Ile miałeś wtedy lat? Dwa, trzy?

– Trzy. – Rall spuścił wzrok.

– Nie możesz więc tego wyraźnie pamiętać – ciągnął Lahtar – lecz ja skończyłem wówczas dwadzieścia wiosen i stałem u progu wieku męskiego. Widzę to jak dziś – powiedział, odwrócił twarz i wciągnął głęboko naelektryzowane powietrze, którego smak zawsze otrzeźwiał i przynosił ulgę. – Stałem wraz z innymi na skraju zakazanej strefy, gdzie wciąż jeszcze toczyły się walki, i patrzyłem w stronę wzgórza, z którego Talgasz Ram wraz ze swymi pomagierami niszczył ostatnią, jak wszyscy wówczas sądzili, nadzieję Namów. I już wtedy, choć rozpacz nie pozwalała myśleć jasno i dostrzegać rzeczy wyraźnie, wiedziałem, że kiedyś Władca Burz zostanie pokonany przez jednego z nas. Wierzę, że dzień ten nadszedł właśnie dziś, generale.

Jakiś czas w milczeniu przyglądali się spustoszonej ziemi. Jej widok poruszył w Lahtarze lawinę wspomnień – wspomnień, które zostały pogrzebane zbyt płytko, by kiedykolwiek w ciągu tych trzydziestu lat mógł odnaleźć spokój. Teraz jednak wszystko powróciło z większą niż zazwyczaj wyrazistością. Przewidywał, że tak się stanie i cieszył się z tego. Nie bał się bólu. Nie był jego niewolnikiem. Wiedział, jak go ujarzmić.

Jestem taki samotny – pomyślał, choć za jego plecami stała wielotysięczna armia, ludzie którzy na jedno jego skinienie z dumą rzuciliby się w ogień. *Taki samotny* –

pomyślał, choć nie miało to przecież żadnego znaczenia. Samotność zawsze była stygmatem bohaterów. Nie był niewolnikiem samotności. Podobnie jak ból, ją również można było ujarzmić i wykorzystać. Ale teraz, na krótką chwilę, mógł uwolnić swe uczucia, nim znów wprzęgnie je w służbę konieczności.

Rall odsunął się dyskretnie na bok, ujrzawszy łzy spływające po policzkach Lahtara. Przypuszczał zapewne, że *sahl-it* opłakuje śmierć dawnych bohaterów i krzywdy Namów, co, zgodnie z tradycją, powinien uczynić przywódca ludu w Rytuale Oczyszczenia przed nadchodzącą walką. Lecz łzy Lahtara, tak jak zawsze wtedy, gdy płakał, przeznaczone były dla kogoś innego.

* * *

Droga skręciła w lewo i wyszła z tunelu, odsłaniając rozległą przestrzeń. Od razu, gdy tylko znaleźli się na otwartym powietrzu, Lahtar wyczuł daleki, słodki szum. Szum Prawdziwej Burzy, który drażnił jego zmysły nawet z odległości wielu mil.

Na północy niebo rozświetlała wesoła feeria błyskawic. Wielobarwna tęcza przeświturywała co chwilę zza fioletowego frontu burzy. Był to piękny widok i z pewnością mógłby ucieszyć oczy kogoś, kto nie rozumiał jego prawdziwego znaczenia.

Talgasz Ram i jego uczniowie kończyli swą bitwę.

Na rozdrożu stało kilkunastu żołnierzy Suhaszu, blokując wejście do zakazanej strefy. Naprzeciw nich

zgromadził się zwarty, milczący tłum podróżnych, którzy przerwali na moment swój marsz, by z zaciętymi twarzami obserwować zagładę powstańców. Żołnierze nie poganiali ich, pomimo że tamci niemal całkiem zatarasowali drogę. Najwidoczniej pragnęli napawać się ich rozpaczą i bezradnością.

Podeszli bliżej. Lahtar przeniósł spojrzenie z odległego horyzontu na oblicza zgromadzonych wokół barierki i transporterów Suhaszu, zarówno te przepełnione otwartą wrogością, jak i te, których nienawidził najbardziej – znudzone, z obojętną pogardą lustrujące tłum uchodźców. Wzrok jednego z nich, oficera o ziemistoszarych włosach zatrzymał się na moment na nim. W okrutnych oczach pojawiło się zdziwienie oraz zapowiedź złości. Mimowolnie, nie potrafiąc opanować targającej nim pasji, Lahtar zaczął przyzywać do siebie słodki smak...

Na swoim ramieniu poczuł nagle uścisk Ehli. Westchnął, rozluźnił się i odwrócił głowę, uśmiechając się do młodszej siostry. Patrzyła na niego z powagą swoim uważnym, szmaragdowym spojrzeniem.

– Już dobrze – szepnął. – Wiesz, że nigdy nie naraziłbym twojego życia.

Z tyłu dobiegł ich poirytowany syk Darga. Przewodnik dogonił wreszcie rodzeństwo i odciągnął je na bok, w milczący tłum podróżnych.

– Jest wojna! – żachnął się starzec. – Mieliście za wszelką cenę nie zwracać na siebie uwagi. Żeby cię zabić,

Lahtarze, wystarczy im jedno niepokorne spojrzenie, wcale nie muszą wiedzieć, kim jesteś!

Tymczasem zawieszone ponad linią horyzontu błyskawice zaczęły powoli zanikać. Lahtar przymknął powieki i sięgnął ku nim myślą. Gdzieś tam, pod ciemnym niebem, ginęli właśnie ostatni powstańcy. Jednak on czuł w tej chwili jedynie rozkoszne drżenie. Zew *sahl* – Prawdziwej Burzy. Podążył liniami odległych mocy i wydało mu się że dostrzega zgrubienia na ich końcach – tych, którzy kierowali żywiołem. Przez moment zapragnął tak jak oni stać się jednym z *sahl*. Wyszarpnąć spod ich władzy wiązki piorunów...

Drgnął i otworzył oczy.

– Lahtar? – zapytała Ehla swoim miękkim, ale stanowczym głosem, którego dźwięk zawsze dawał mu oparcie.

Skinął krótko głową. Daleko na północy żywioły rozchodziły się, zwolnione ze służby przez swego pana.

– Chodźmy już – burknął Darg. – Czeka was daleka droga.

Ruszyli na wschód. Stary przewodnik odprowadził ich jeszcze kilkaset kroków. Wreszcie przyszła pora, by się rozstać.

Usiedli na poboczu, z dala od innych podróżnych.

– Pamiętaj o tym, co widziałeś, Lahtarze – przykazał przewodnik. – Nigdy nie zapomnij o spustoszonej Kaldzie i kolumnach wojsk ciągnących na północ. Lecz nade wszystko pamiętaj o *sahl* i o Talgaszu Ram...

O tak – pomyślał Lahtar, jeszcze raz spoglądając na północ. *Talgasz Ram. Tak.*

Darg odchrząknął i pochylił na moment głowę. Gdy znów ją uniósł i przemówił na nowo, jego chropowaty ton nieoczekiwanie nabrał siły i głębi, przypominając rodzeństwu głosy Mistrzów Legend – echo utraconego dzieciństwa.

– Kiedy Suhaszu przybyli tu ze swego ginącego świata – mówił starzec – przywieźli ze sobą nieznaną nam broń i dziwne pojazdy, których dotąd nie widziała ta ziemia. Przywieźli ze sobą okrucieństwo i dyscyplinę obcą Namom. Ale nie dlatego są dziś naszymi panami. Świat nauczył nas, jak zmagać się z przeciwnościami. Odparlibyśmy i ten najazd. Choć nagły i nieubłagany, czymże w końcu różnił się od kolejnego ataku Ciężkiego Huraganu, jaki nawiedza nas co kilka dziesięcioleci? Nie daj się oszołomić potędze Najeźdźców. Nasz świat jest piękny, lecz bywa też okrutny i gwałtowny, szczególnie dla tych, którzy go dobrze nie znają. Suhaszu przeminęliby, tak jak las na zachodniej równinie, który nie wie, że pomimo setek lat pozornego spokoju wcześniej czy później znów nadejdzie *ahtlan*, nie pozostawiając po sobie nawet garstki popiołu. I taki sam los spotkałby Suhaszu, gdyby nie jeden z nich. Ten, który zstąpił do Serca Prawdziwej Burzy i powrócił z *dem-ter-an* – Laską z Płonącego Drzewa. Przybysz z obcego świata, który uzyskał tysiąckrotnie większą kontrolę nad *sahl* niż którykolwiek z naszych dawnych zaklinaczy. Być może w końcu ktoś z nas także odkryłby tę drogę, lecz to on był

pierwszy i zagarnął całą władzę dla Suhaszu. Teraz już *sahl* na zawsze została podporządkowana rytmowi laski Talgasza. On zaś przyjął do siebie uczniów spośród tych ze swego ludu, którzy podobnie jak on czuli Zew Burzy – okazało się bowiem, że nie był jedyny – i nauczył ich części swej sztuki tak, by Najeźdźcy mogli jednocześnie kontrolować cały obszar Kraju. Jednak pełnię władzy posiada tylko on – w każdym razie dopóki trzyma w swych dłoniach *dem-ter-an*. Swą moc Talgasz najpierw wykorzystał do walki z innymi Żywiołami, dzięki czemu Najeźdźcy zdołali przetrwać najtrudniejsze lata. Potem zaś skierował ją przeciwko nam. Bez Władcy Burz Suhaszu nie zdołaliby nas podbić. Dlatego nigdy nie zapominaj o Talgaszu Ram...

Starzec zamilkł i znów pochylił głowę, pozwalając by cisza zakończyła jego opowieść.

– Będę o nim pamiętał – przyrzekł Lahtar. – Zawsze.

Darg obejrzał się w stronę odległych o kilkaset kroków żołnierzy.

– Na mnie już czas – mruknął, na powrót zwyczajnie i chropowato. – Jeżeli posłuchacie moich wskazówek, uda wam się dotrzeć do Marak. Tam będzie spokojniej.

– Dziękujemy – odparł z powagą Lahtar. – Bez ciebie nigdy nie wydostalibyśmy się z Kaldy.

– Uważajcie na siebie. – Darg jeszcze bardziej ściszył głos. – Jesteście ostatnimi potomkami rodu Led. Znacie dumę i obowiązek lepiej niż większość Namów. Ty zaś, Lahtarze, skrywasz w sobie zdolności rzadkie wśród

naszego ludu. Kto wie, może kiedyś – w smutnych oczach starca pojawiła się tęsknota. – Kto wie… – potrząsnął głową, jak gdyby chciał odegnać od siebie nadzieję, którą uważał za złudną.

Lahtar nic nie odrzekł, ale w spojrzeniu posłanym starcowi zawarta była cała duma i honor jego przodków. I determinacja, jakiej nie posiadali nawet oni.

A także niewypowiedziana obietnica oraz pewność, które znowu rozjaśniły oczy Darga nadzieją.

Przewodnik wstał i lekko się ukłonił.

– Jeszcze jedno – dodał na koniec. – Wiesz już, Lahtarze, że Władca Burz potrafi wyczuć tych, którzy poznali Zew *sahl*. Na szczęście rzadko odwiedza Wschód, powinieneś więc być bezpieczny przed jego wzrokiem. W Marak rezyduje natomiast jeden z uczniów Talgasza. Dotąd był nim Emuka Ta, teraz zaś, po jego śmierci, mówią, że stanowisko to przypadnie młodemu Neshadenowi Esz. To jeden z tych Suhaszu, którzy jako ostatni przybyli na nasz świat, dwa lata temu, nie zna więc Kraju i jest zapewne niedoświadczony. Na wszelki wypadek strzeż się jednak również i jego.

– Będę – obiecał Lahtar.

* * *

Rozstępujące się chmury. Kolory, jakich nie pozna nigdy oko zwykłego śmiertelnika, teraz blaknące, stopniowo ustępujące miejsca stepowej szarości. Czarne pasmo

spustoszonej równiny. Cichnące echo śmierci. Zapach *sahl* wsiąkający w rudą glebę. Smak klęski. Smak zwycięstwa.

Na szczycie wzgórza znajdowało się pięciu mężczyzn. Wszyscy odziani byli w fiolet, ale proste szaty tego, który stał nieco z przodu ozdabiały dodatkowo pasma w barwach Siedmiu Błyskawic. Był uzbrojony w wysoką na sześć stóp laskę, po której tańczyły różnobarwne płomyki. Od dziesiątków lat drewno wciąż paliło się, nie mogąc spłonąć. Nieosłonięta dłoń Talgasza Ram pewnie trzymała ogień w żelaznym uścisku.

Władca Burz odwrócił się do swych towarzyszy. Miał siwe włosy i pokrytą zmarszczkami twarz, ale w jego prostej postawie trudno by się było dopatrzeć jakichkolwiek oznak starości.

Oblicze Władzy – pomyślał Neshaden. *Życie i śmierć. Które jest którym?*

– Mało brakowało, a udałoby im się uciec – zauważył spokojnie Talgasz Ram. – W górach jest mnóstwo elcytu i *sahl* załamuje się na ich stokach. Nawet z pomocą tych swoich nieudolnych zaklinaczy buntownicy mogliby stawić nam znaczący opór. A wszystko to z winy Emuki Ta, którego nieudolne poczynania doprowadziły najpierw do wybuchu, potem zaś do sukcesu powstania. Ale on już zapłacił za swą głupotę. Cóż, teraz góry stanowią północną granicę twojej prowincji, Neshadenie Esz. Nigdy nie dopuszczaj Namów w pobliże zakazanego obszaru. Każ likwidować wszystkich, których podejrzewa się o talent zaklinacza... Lub też o coś więcej. Nie zawiedź mnie. Mam ważniejsze sprawy na

głowie niż naprawianie błędów swoich uczniów. Nie chciałbym po raz drugi zostać oderwany od mych zajęć tylko dlatego, że kolejny Strażnik pozwoli, aby sprawy wymknęły się spod kontroli.

– Nie wymkną się, Mistrzu – odparł miękko Neshaden. Na twarzy Talgasza pojawił się dziwny, trudny do rozszyfrowania uśmiech. Czy tamten zauważył błysk w jego oczach? A więc dobrze...

– Zastanawiałem się, Mistrzu – dodał obojętnym tonem – czy całego tego zamieszania nie dało się uniknąć w dużo prostszy sposób. Z początku Taman nie planował otwartej walki przeciwko nam. Chciał jedynie odzyskać dla swych ludzi Górny Kraj. Po cóż nam Ansal? Po cóż nam buntownicy – i ci żywi, i ci martwi sprawiają zbyt wiele kłopotu. Czemuż od czasu do czasu nie rozładować sytuacji?

Talgasz nic nie odrzekł. Niepokojący uśmiech nie schodził mu z warg.

– Jak na człowieka, któremu ma zostać powierzona tak duża odpowiedzialność, przejawiasz zaskakującą ignorancję w sprawach polityki – odezwał się z przekąsem Szerad Og. – Pomógłbyś w ten sposób utworzyć powstańcom przyczółek, który stałby się odtąd nieustającym zagrożeniem dla prowincji...

Neshaden rozłożył ręce w udawanym geście zdziwienia.

– Wydawało mi się, że góry utrudniają inwazję w *obie* strony. Nie sądzę, żeby zagrożenie było zbyt poważne. Zwłaszcza gdyby... – dodał, pozwalając, by tylko Szerad

dostrzegł kpinę w jego spojrzeniu –…nad wszystkim czuwał ktoś kompetentny.

Szerad zmrużył oczy.

– Nawet jeśli tak, to pozwalając Namom na założenie własnego państwa, przyznalibyśmy się do porażki. Ustępować tym kłamliwym tchórzom i niewolnikom? – Na twarz Pierwszego Ucznia wpłynął grymas pogardy. – Tym *hassu*, którzy nie potrafili nawet rządzić swoim własnym światem? Nasza potęga zostałaby zakwestionowana. Nic nie ma prawa umniejszyć zwycięstwa Suhaszu.

– Należy dążyć do zwycięstwa, ale osiągnięcie go nie jest warte każdej ceny – odrzekł spokojnie Neshaden.

Szerad już miał odburknąć coś lekceważąco, gdy nagle zdał sobie sprawę, skąd pochodzą wypowiedziane przez Neshadena słowa. Lekko skonsternowany obejrzał się na Talgasza, jakby szukając wzrokiem jego akceptacji. Gdzieś z tyłu, za swoimi plecami Neshaden usłyszał pisk zatrzymującego się transportera i zgrzyt rozsuwanej przegrody.

Władca Burz milczał jeszcze przez moment, wciąż z tym samym nieprzeniknionym grymasem na ustach.

– Kodeks Hirya – powiedział wreszcie, spoglądając na Neshadena. – Pozostawiłeś go tam, w Akasz, na zielonych łąkach świata, którego już nie ma. Tam gdzie wiatr był jedynie wiatrem, a deszcz tylko deszczem. Tutaj panują inne zasady, i jestem pewien, że już wkrótce sam to zrozumiesz.

Przez chwilę Neshaden czuł na sobie świdrujące spojrzenie tamtego. W końcu lekko skinął głową. W źrenicach Talgasza znów rozbłysła delikatna drwina.

– Zrozumiesz, jestem pewien. Tak, tutaj panują inne zasady – powtórzył głośniej Władca Burz. Neshaden drgnął i odwrócił się w kierunku trzech nadchodzących mężczyzn.

Misti Enmerkar zatrzymał się wraz ze swymi adiutantami trzydzieści kroków dalej, jakby oczekując, że to Talgasz do niego podejdzie.

Oblicze człowieka, który sądzi, że wciąż jeszcze posiada najwyższą władzę – pomyślał leniwie Neshaden.

Tymczasem Enmerkar stracił cierpliwość i znowu ruszył w stronę Talgasza. Po czym ponownie się zatrzymał, ponieważ drogę wciąż zagradzali mu czterej uczniowie Władcy Burz. Talgasz przyglądał mu się przez chwilę z niejakim zaciekawieniem, wreszcie lekko uniósł brwi. Urmu, Szerad, Eszar i Neshaden rozstąpili się, przepuszczając *mistiego*. Lecz nie jego dwóch adiutantów.

Enmerkar stanął naprzeciwko Talgasza. Cały promieniował irytacją.

– Talgaszu Ram... – zaczął. Siwowłosy mężczyzna spojrzał na niego łagodnie. – Władco... Burz – wyjąkał *misti*, jakby sam dziwiąc się wypowiadanym przez siebie słowom. – Władco Burz – powtórzył. – W imieniu Rady i Sztabu, a także całego naszego narodu dziękuję ci za okazaną nam pomoc.

– Dobro Suhaszu zawsze było jednym z moich najwyższych celów – odparł beztrosko Talgasz.

– Tak... Hm... – Enmerkar znów się zająknął. – Mam jednak jeszcze jedną… prośbę. Rozgromiłeś Tamana i jego zaklinaczy, ale znaczny oddział buntowników wymknął się na zachód i schronił na bagnach Rdzawej Poświaty. Posyłając tam żołnierzy, naraziłbym się na znaczne straty, a ty mógłbyś przecież z łatwością…

– Nie – odparł krótko Talgasz.

– Nie? – Przez mgnienie na obliczu *mistiego* zdumienie walczyło ze wściekłością.

To właśnie ten moment. Czy on też o tym wie? – zastanawiał się Neshaden, obserwując Enmerkara.

– Dlaczego? – wydukał w końcu *misti*.

– Chcę, abyście przekonali się, ile znaczycie beze mnie – odrzekł po prostu Talgasz. W jego głosie nie było gniewu.

Przez twarz Enmerkara przepłynęła prawdziwa burza uczuć, nie mniej gwałtowna zdawałoby się od tej, która niedawno unicestwiła powstańców. Potem nieoczekiwanie zapanował na niej spokój.

– Tak – powiedział drżącym głosem. – Wybacz, Władco Burz.

Zrozumiał – pomyślał Neshaden. *Jednak i on zrozumiał*.

Enmerkar jeszcze raz skłonił się na pożegnanie, po czym odszedł bez słowa. W ślad za nim ruszyli obaj adiutanci. Wkrótce zniknęli we wnętrzu transportera.

Piątka odzianych w fiolet mężczyzn odprowadziła ich wzrokiem.

– Tak... – mruknął Talgasz Ram. – Możecie wracać. Pamiętajcie, o czym wam mówiłem.

Czterej młodsi mężczyźni ukłonili się i odwrócili, by przywołać swe *ehmeku*.

– Ty zostań, Neshadenie – oznajmił niespodziewanie Władca Burz. – Chcę z tobą porozmawiać na osobności.

Neshaden poczuł, jak przez plecy przebiegają mu ciarki, ale jego twarz nadal była tak samo spokojna.

– Jak sobie życzysz – powiedział. Kątem oka dostrzegł, że Szerad także chce zostać, ale Talgasz odprawia tamtego niedbałym machnięciem ręki. Neshaden pochylił głowę w Geście Oczekiwania. Opadło na niego ciężkie milczenie Władcy Burz.

Nie potrafiłby powiedzieć, jak długo trwało, lecz gdy jego mistrz znów się odezwał, po pozostałych nie było już ani śladu, a wokół zaczął zapadać zmierzch.

– Czym jest *sahl*? – zapytał Talgasz Ram. – Czym jest naprawdę?

Neshaden uniósł głowę. Odrętwienie minęło.

– Jest władzą – odparł bez wahania.

– Tak – uśmiechnął się siwowłosy mężczyzna. – Niektórzy wciąż sądzą, że to rodzaj magii bądź też nauki. Albo jedno i drugie. Nasi uczeni i mędrcy wciąż usiłują studiować *sahl* i nadal niczego nie rozumieją. Nawet tamci trzej, którym zdaje się, że mogą być moimi uczniami, wierzą, że to rodzaj magicznego talentu, który dopiero tutaj w tajemniczy sposób ujawnił się pośród wybranych. Ale ty i ja znamy odpowiedź. Prawdziwa Burza to władza. Władza i wola. Nawet gdybyśmy pozostali na Akasz, ty i ja, bylibyśmy władcami. W ten czy inny sposób.

Dochodzilibyśmy do władzy stopniowo, zapewne różnymi drogami i nieustannie podlegalibyśmy jej ograniczeniom. Lecz *sahl* usunęła wszelkie bariery dla naszych aspiracji. To władza czysta i bezpośrednia. Dlatego błogosławię dzień, gdy nasz świat zaczął zmierzać ku zagładzie, dzięki czemu znaleźliśmy się tutaj... – Talgasz urwał, spoglądając na swego ucznia, jakby spodziewał się wybuchu gniewu z jego strony. Ale Neshaden milczał.

– To właśnie dlatego – ciągnął Władca Burz – żaden z Namów nie dokonał tego co ja. – Trwali w równowadze, jaką narzuciły im Żywioły. Nie znali władzy. Nie czuli jej zewu. Nie potrzebowali jej przekleństw i błogosławieństw. Nie nauczyli się jej. Ludzie tacy jak Szerad czy *misti* sądzą, że zwyciężyliśmy, bo jesteśmy lepsi, wielu innych w ogóle nigdy się nad tym nie zastanawia, traktując dolę Namów jako coś oczywistego i naturalnego. Lecz ty i ja wiemy, że wygraliśmy jedynie dlatego, że Namowie nie nauczyli się na czas władzy. Nie poznali istoty *sahl*.

– W końcu się nauczą – wtrącił cicho Neshaden. – Tylko przyspieszyliśmy ten proces.

– Tak – roześmiał się Władca Burz. – Właśnie z tego powodu kazałem prześladować Zaklinaczy i Mędrców, tych którzy potencjalnie mogli pójść naszym śladem. Po to, aby nie nadszedł dzień, gdy jakiś Nam, stokroć potężniejszy od Tamana i jego zaklinaczy, rzuci wyzwanie Władcy Burz.

– To i tak musi przecież kiedyś nastąpić. Zawsze tak się dzieje – odrzekł ze smutkiem Neshaden. – Wszak w dzieciństwie uczono cię tych samych legend co i mnie.

W końcu Namowie odnajdą w sobie siłę, by nam się przeciwstawić. Stworzy ją nasze okrucieństwo.

– Głupcze! – Na twarzy Władcy Burz pojawiła się wściekłość. – Myślisz, że o tym nie wiem? Ale pewne rzeczy i tak muszą zostać zrobione...

– Pewne rzeczy nigdy nie powinny być robione – wyszeptał Neshaden. Kątem oka zobaczył, że dłoń Talgasza jeszcze mocniej zaciska się na lasce. *To już teraz?* – pomyślał ze zdziwieniem. Gdzie popełniłem błąd?

Nieoczekiwanie na wargi Talgasza znów wypłynął uśmiech.

– Nie lękaj się, chłopcze. Wiem, na co cię stać lepiej niż ty sam. Biedny Neshadenie Esz, któremu wydaje się, że utraciłeś ojczyznę, choć twoją jedyną ojczyzną zawsze była *sahl*. Ty, który sądzisz, że nienawidzisz okrucieństwa i nadal żyjesz według starego prawa z nieistniejącego świata, które nawet tam nie było nigdy naprawdę przestrzegane. Cyniczny idealisto. A jednak nie boję się o to, co zrobisz, choć Szerad Og na kolanach błagał mnie, bym nie mianował cię Strażnikiem Maraku. W twoich żyłach śpiewa *sahl* i, chcesz czy nie, to władza będzie ostatecznie twoim jedynym prawem. A więc jedź do swej prowincji i czyń, co tylko uważasz za stosowne, bylebyś przestrzegał zaleceń, o których wam mówiłem. Karaj nadużycia, okazuj litość biednym Namom. Eksperymentuj. Wcześniej czy później przekonasz się, że jest tylko jedna droga.

– Tak, Władco Burz. – Neshaden ukłonił się, próbując uspokoić bicie swego serca. Wiedział dobrze, że ulga jest

groźniejsza od strachu. Wezwał swego *ehmeku*.

– Chłopcze – powiedział na pożegnanie Talgasz Ram. – Ja też zdaję sobie sprawę, że Szerad Og nigdy nie zostanie Władcą Burz. Ale wcale nie znaczy to, że ty nim kiedyś będziesz.

* * *

Mulinowy zagajnik – twarde, spiczaste gałęzie, wyrastające wprost z pokrytych brunatnym mchem skał. Spokój i cisza.

Gdzieś z tyłu, daleko w dole, leżało Marak, nowa stolica Wschodniej Prowincji, miasto, które ukradli Najeźdźcy. Ale tutaj wszystko wciąż wyglądało tak samo, jak przed setkami lat. Niebo okrywała przyćmiona fioletowa poświata. Przynosiła im ukojenie, tłumiąc echo wystrzałów i krzyków, jakie nieśli w swych duszach. Powietrze przesiąknięte było drażniącym, wilgotnym aromatem.

– Cieszę się – powiedział Lahtar – że wreszcie dotarliśmy w miejsce, którego Suhaszu nie skazili swoim okrucieństwem i brzydotą.

– Suhaszu nie są brzydcy – odparła Ehla, pochylając się nad świeżym *kalkatl*. Zerwała go delikatnie i wplotła we włosy. Każdy jej ruch, każdy gest nacechowany był powagą i godnością, zupełnie jakby zdobiła swą głowę nie skalnym kwiatkiem, lecz ślubnym wieńcem albo diademem Mędrców. Lahtar przyglądał się siostrze z niemym zachwytem. Jego samego powagi i dumy nauczyły pobierane nauki, pamięć o służbie przodków i cierpieniu

ludu, a także tajemniczy zew, który przechowywał w swym sercu. Lecz Ehla już w dziecięcej kołysce spoglądała na świat z pełnym miłości dystansem i niewzruszonym poczuciem własnej godności. – Są okrutni, ale nie są brzydcy – powtórzyła obojętnie dziewczyna.

Lahtar wzruszył ramionami.

– Chodźmy – powiedział. – Człowiek, z którym mamy się spotkać, z pewnością już się o nas niepokoi…

Przyspieszyli kroku. W końcu wyszli z zagajnika i stanęli na wprost siedziby zaklinacza…

Orgowy kamień, wypalony niemal aż do samej ziemi. Ciemny i milczący – chata musiała zostać zniszczona już kilka dni wcześniej. Zapach *obcości*. Trzej żołnierze, siedzący w swych srebrzystych zbrojach przy pozostałościach fundamentu, posilający się w ponurym, nienaturalnym milczeniu Suhaszu. *Obca cisza* – nie cisza ludu, będąca oznaką spokoju i skupienia, ale nieznośna, pełna napięcia i narastającej agresji cisza Najeźdźców. Owalny kształt transportera, skryty w cieniu ruin.

Tamci ich nie zauważyli; Lahtar cofnął się i pociągnął Ehlę za sobą, chcąc na powrót skryć się pośród skalnego labiryntu. W ostatnim momencie zauważył czwartego żołnierza, który stał kilkanaście kroków z boku. Z rozszerzonymi z zaskoczenia oczami, niemal niepewnie, celował w nich grotem swej miotającej płomienie broni. Był bardzo młody, zapewne w wieku Lahtara.

Poczuł na ramieniu mocny uścisk siostry.

– Spokojnie, Lahi – szepnęła. – Przecież nic złego nie zrobiliśmy.

Och, Ehlo – pomyślał. *Ehlo!*

Tuż za nimi, z zagajnika, wyłonił się piąty żołnierz w rozsznurowanej zbroi, mocujący się ze swym sznurowaniem spodni. Nie przerwał tej czynności, gdy ich spostrzegł, niezaskoczony i niewzruszony, jedynie krótkim ruchem głowy nakazał im iść przed sobą.

Tamci trzej podnieśli się na ich widok.

– Kim jesteście i co tutaj robicie? – odezwał się sucho starszy mężczyzna o poprzecinanej bliznami twarzy, który stał pośrodku. Młody Nam domyślił się w nim dowódcy patrolu.

– Jestem Lahtar, a to moja siostra – powiedział, wyciągając z kieszeni spodni przekazane im przez Darga dokumenty. Żaden z żołnierzy nie wyciągnął jednak ręki, aby je obejrzeć.

– To przecież nie jest zakazana strefa – dodał. – Szliśmy z wizytą do naszego wuja. Co się tutaj stało? – spróbował przejąć inicjatywę.

Dowódca patrolu zignorował jego pytanie. Od niechcenia zerknął w kierunku transportera.

– Czy możemy już iść? – wtrąciła spokojnie Ehla. – Nie złamaliśmy przecież żadnego z waszych praw.

Wysoki Suhaszu stojący po prawej stronie dowódcy drgnął, jakby sam ton głosu dziewczyny stanowił dla niego osobistą obrazę. Ten w rozsznurowanej zbroi uśmiechnął się lekko.

– Pozwól mi, kapitanie – wymamrotał nieprzyjemnym, niskim głosem.

Dowódca patrolu wzruszył ramionami.

– Jeśli sprawi ci to przyjemność, Ursagu – odrzekł z lekko zaznaczoną pogardą. Odwrócił się i ruszył ku pojazdowi.

Lahtar wciągnął głęboko powietrze, ale język odmówił mu posłuszeństwa. Młody żołnierz uprzedził jego pytanie.

– Co zamierzacie? – zwrócił się do swych towarzyszy, wyraźnie skonsternowany.

– Zabawimy się z tą małą *hassu* – oznajmił Ursag. – Miałeś już kobietę, Iszurze? To nie to samo, ale...

Lahtar poczuł dreszcz przechodzący mu po plecach. Twarz Ehli wykrzywiły gniew i zdumienie.

– Ale… – wyjąkał młody żołnierz – to przecież Namowie, a Rada zabroniła mieszać krew...

– Kto tu mówi o mieszaniu krwi? – Zaśmiał się Ursag. – Nikt cię do niczego nie zmusza, jeśli ci to nie odpowiada.

Iszur zmarszczył brwi i pobiegł w ślad za dowódcą. Trzej pozostali żołnierze odprowadzili go wzrokiem. Wykorzystując moment ich nieuwagi, Lahtar skoczył w kierunku Ursaga, ale wysoki żołnierz z lewej był szybszy. Szarpnął go, od niechcenia obalił na ziemię i przygniótł zakutą w metal stopą. Groźba w jego oczach była równie namacalna jak dotyk lufy miotacza, który tamten przytknął młodemu Namowi do piersi.

– Dziękuję, Shadu – burknął Ursag. Lahtar przekręcił głowę i zobaczył jak ostatni z żołnierzy przyprowadza

tamtemu Ehlę. Dziewczyna nie wyrywała się. Stała spokojnie naprzeciw Suhaszu w rozsznurowanej zbroi, patrząc na niego z gniewem, wciąż tak samo dumna, wciąż tak samo nieświadoma własnej bezradności. Ursag uśmiechnął się ponuro.

Nie – pomyślał Lahtar. *Nigdy więcej. Kalda, swąd dymu, huk wystrzałów, cisza grobów. Nigdy więcej. Nigdy.*

Nad ich głowami fiolet zaczął niepostrzeżenie gęstnieć. Słodki zapach drażnił gardło Lahtara.

Ginący powstańcy. Spojrzenia Suhaszu – te wrogie i te obojętne. Władca Burz. Błyskawice za północnym horyzontem. Bezradność.

Nie wolno było do tego dopuścić. Władza Najeźdźców musi zostać złamana. Musi.

– Spójrzcie, dzieje się coś dziwnego. – Trzymający Ehlę żołnierz zadarł głowę do góry.

Powietrze gęstniało.

– Zabij go, Shadu! – rozkazał Ursag, nawet nie patrząc na Lahtara. Jednocześnie wyciągnął rękę w stronę Ehli.

Nie pozwolę na to. Nigdy więcej. Mam władzę, by do tego nie dopuścić.

Suhaszu w rozsznurowanej zbroi, sięgający po jego siostrę.

Oślepiające światło spłynęło z zasnutych przestworzy. Ursag zgiął się wpół, a srebro jego zbroi poczerniało. Upadł na ziemię, lecz wciąż jeszcze żył, jakby nie potrafiąc uwierzyć, że nienawiść może zabić.

Lahtar odepchnął dłonią lufę. Shadu zatrząsł się, jakby przeszył go prąd i zatoczył do tyłu. Fiolet otulił wszystko delikatną mgiełką.

– To zaklinacz! – wrzasnął Suhaszu trzymający Ehlę. Odepchnął dziewczynę na bok i sięgnął po broń. Teraz było już jednak za późno. Lahtar poczuł, że coś ogromnego zstępuje, by zabrać mu duszę. Ból i światło rozerwały go na strzępy. A potem nagle umarł w powodzi blasku.

Jednak nie na długo. Światło nie ustąpiło, ale Lahtar nieoczekiwanie odkrył, że jego wzrok potrafi przez nie przeniknąć. Kontury unoszącego broń Suhaszu na nowo wyłoniły się z mgły. Jakimś cudem żołnierz wciąż składał się do strzału, choć jego ruchy nie były spowolnione.

To myśli Lahtara zyskały szybkość błyskawic. Widział próbującego go zabić żołnierza, widział przerażone oblicze Shadu i zdziwioną twarz Ehli. *Widział*, jak Ursag w końcu zastyga w bezruchu. *Widział,* jak za jego plecami dwaj pozostali żołnierze – dowódca patrolu i ten młody – również szykują się do oddania strzału. *Widział* to wszystko, choć nie byłby w stanie powiedzieć, gdzie znajduje się teraz on sam ani z którego kierunku patrzy. Nie miał jednak czasu analizować tego, co się z nim działo. Musiał obronić siebie i Ehlę.

Wyciągnął rękę. Wystrzeliła z niej krótka, połamana błyskawica, która z grzechotem trafiła pierś unoszącego broń żołnierza, nim ten zdołał pociągnąć za spust. Lahtar obrócił się prawie natychmiast, lecz dwa żółte płomienie już ku niemu szybowały. Rozkazał mgle, by jeszcze bardziej

zgęstniała – lub też może to raczej on sam w jakiś sposób zgęstniał i sprawił, że oba pociski zgasły w połowie drogi.

Shadu nieoczekiwanie otrząsnął się z szoku i wyszarpnął z pochwy krótki, srebrzysty miecz. Lahtar widział, jak Suhaszu biegnie, by zatopić ostrze w jego plecach, lecz nie poruszył się. Mógłby to zrobić, ale jego zmysły nagle poraziła cała niezwykłość stanu, którego doznawał. Był burzą, wszechświatem, nieprzerwanie rozszerzającym się na zewnątrz. Gdzieś tam, za wciąż odległymi, ale teraz już osiągalnymi horyzontami, w stronę których pędził, leżały władza i potęga, dzięki którym będzie w stanie spełnić złożone obietnice. Były daleko, ale mógł je przeczuć i nie potrafił już na nowo uwierzyć we własną bezradność.

Omal nie zginął. Od niechcenia zarejestrował wzrokiem, jak w ostatniej chwili Ehla popycha jego niedoszłego zabójcę. Shadu odwrócił się i ze wściekłością uniósł broń, mierząc w dziewczynę.

Nie! Nigdy więcej!

Lahtar z przerażeniem patrzył, jak srebrne ostrze powoli zbliża się do szyi jego siostry.

Nie! Nie pozwolę na to!

Biała błyskawica w ułamku sekundy przemieniła ciało żołnierza na popiół, który porwał wiatr. Miecz tamtego zamienił się w srebrną ciecz, która upadła u stóp Ehli, tworząc szybko parującą kałużę.

Obaj wciąż pozostali przy życiu Suhaszu mieli czas na ucieczkę, lecz zamiast tego zaatakowali po raz kolejny,

najwidoczniej nie potrafiąc pogodzić się z porażką. A może nie Bądź nie byli w stanie uwierzyć, że jakiś Nam może ich pokonać. Błyskawice pochłonęły już gniew Lahtara, ale musiał się bronić. Potężny wir powietrza porwał obu przeciwników i cisnął ich pomiędzy skały jak bezwładne kukły.

Światłość stępiła się, mgła zrzedła. Ogłuszony, chwiejąc się na nogach, stanął przed zdumioną Ehlą.

– Musimy uciekać – wyszeptała, spoglądając na niego z niepokojem.

– Nie! – pokręcił głową, wciąż czując w ustach upojny smak fioletu. – Władam Prawdziwą Burzą. Potrafię nas obronić!

Odwrócił się, czując niespodziewane, potężne pulsowanie *sahl* za swoimi plecami, na powrót gotów do walki, zanim jeszcze twarz Ehli wykrzywiła się w ostrzegawczym grymasie.

Utkany z błyskawic, mieniący się wszystkimi kolorami tęczy, delikatny kształt, który w jednej chwili przypominał rydwan, w następnej zaś drapieżnego ptaka, opadł na ziemię zaledwie kilkanaście kroków od nich. Potem tworzące go odblaski rozbiegły się z gracją na bok, ukazując odzianą w fiolet sylwetkę.

Władca Burz.

Ta jedna myśl przebiegła Lahtarowi przez głowę szybciej niż tańczące wokół błyskawice. Odurzony niedawną walką, znów sięgał po *sahl*, gdy jakaś potężna siła wyszarpnęła mu z rąk pioruny i bezlitośnie rozdmuchała

spowijającą go poświatę. Krótkie, tępe wyładowanie rzuciło go na ziemię. Sparaliżowany, nadaremno próbował się poruszyć, podczas gdy tamten powoli do niego podchodził. Prawa dłoń przeciwnika pieściła małą, pomarańczową błyskawicę – stokroć piękniejszą i bardziej morderczą niż te, którymi on sam powalił żołnierzy Suhaszu. Na jej widok serce zabiło mu z żalu i zazdrości.

Mężczyzna nie był Talgaszem Ram, lecz którymś z jego uczniów – był młody i nie dzierżył *dem-ter-an*. Teraz nie miało to już jednak żadnego znaczenia. Suhaszu pobieżnym wzrokiem obrzucił całą scenę, po czym stanął nad pokonanym Lahtarem.

Wybacz, Ehlo – pomyślał Lahtar. *Wybacz, Darg. To była daremna obietnica.*

– Zostaw go!

Lahtar z wysiłkiem uniósł głowę. Jego siostra chwyciła ucznia Władcy Burz za ramię, mrużąc gniewnie oczy. Na obliczu Suhaszu pojawił się wyraz zaciekawienia.

Och, Ehlo – pomyślał z rozpaczą Lahtar. Czemu nie uciekłaś? Być może zostawiłby cię w spokoju.

Chciał krzyczeć, ale żaden dźwięk nie wydobył się z jego ściśniętego gardła.

– Zostaw nas – powtórzyła Ehla, tym razem znacznie spokojniej. W jej głosie nie było już gniewu. – Nie zrobiliśmy nic złego. Nie złamaliśmy żadnych praw, nawet waszych. To ci żołnierze je złamali. Mój brat stanął jedynie w mojej obronie. Nie możesz go za to winić. To niesprawiedliwe.

Och, Ehlo – wyjęczał bezgłośnie Lahtar, desperacko walcząc z własnym bólem. *Dlaczego? Przecież nigdy nie byłaś naiwna*. Nadludzkim wysiłkiem woli wsparł się na łokciach i znów spróbował wstać. *Och, Ehlo, Ehlo, Ehlo.*

Dziewczyna zamilkła, dopiero teraz puszczając ramię Suhaszu. Przez jakiś czas trwali oboje w dziwnym zapatrzeniu – wystarczająco długo, by Lahtar zdołał wreszcie podnieść się z ziemi. Nadal nie był w stanie walczyć, ale nie chciał umierać jak niewolnik wijący się u stóp swego pana.

Przez twarz nieznajomego przebiegła sekwencja emocji – zbyt szybka, by Lahtar zdołał rozpoznać którąś z nich.

– Cóż, chyba masz rację. – Suhaszu nieoczekiwanie ukłonił się lekko w stronę Ehli. – To byłoby niesprawiedliwe. – Młodemu Namowi wydało się, że wyczuwa w jego głosie szczyptę ironii.

– Masz niezwykły talent. – Nieznajomy odwrócił się do Lahtara. – Gdybyś należał do mojego ludu, mógłbyś zapewne zostać uczniem samego Władcy Burz. Jak się nazywacie?

Jego stalowe oczy sprawiały wrażenie o wiele bardziej zdecydowanych i nieubłaganych niż oczy któregokolwiek z Suhaszu, jakich młody Nam spotkał do tej pory. A jednak nie było w nich pogardy ani obojętności. Lśnił w nich zew *sahl* oraz inne uczucia, których Lahtar nie potrafił jeszcze nazwać.

– Jestem Lahtar... Led, a to moja siostra, Ehla Led – odparł Nam.

Wolny człowiek umiera pod swoim własnym imieniem.

Źrenice tamtego na moment rozszerzyły się nieznacznie, potem znów stały się nieprzeniknione. Jednak nie do końca – Lahtar odniósł niepokojące wrażenie, że dostrzega na ich dnie dziesiątki figur przesuwanych po olbrzymiej planszy. Takiej jak do gry w *megu*, lecz o wiele, wiele większej. Wielkiej jak cały świat. *Przebiegłość, odwaga, wyrachowanie* – pomyślał, nadając imiona trzem z dostrzeżonych w oczach nieznajomego mocy. Nadal jednak nie potrafił zidentyfikować pozostałych.

– Masz bystry wzrok, Lahtarze Led – głos nieznajomego wytrącił go z transu. – Potrafi zejść pod powierzchnię zjawisk. Ale mój jest silniejszy.

Ehla wciąż stała obok, promieniując swoją zwykłą godnością. Na jej twarzy nie było widać nawet śladu strachu. Wyglądała jak księżniczka oczekująca przeprosin. Czyżby rzeczywiście łudziła się, że uczeń Władcy Burz daruje im życie?

– Jako strażnik Wschodniej Prowincji proszę o wybaczenie za postępek tych ludzi – oznajmił nieoczekiwanie nieznajomy. – Część widziałem, co do reszty zaś... Potrafię sobie wyobrazić, co tu się stało. Złamali kodeks Hirya, a także prawo Nowego Kraju. Cóż, ponieśli już karę. Lahtarze Led, postąpiłeś słusznie, stając w obronie siostry.

Jakiś instynkt podpowiedział Lahtarowi, że słowa tamtego nie są jedynie okrutnym żartem. Co naprawdę się za nimi kryło? Nim zdążył się na dobre zdziwić, jakaś dotąd

nieznana, rozbudzona przez *sahl* część jego ja zaczęła błyskawicznie analizować wszystkie implikacje sytuacji, w jakiej się znalazł. Tymczasem jego siostra skinęła krótko głową, przyjmując przeprosiny Suhaszu, jak coś całkiem oczywistego i naturalnego.

Nieznajomy po raz kolejny rozejrzał się dookoła.

– Nie możecie tu pozostać – oznajmił. Jego głos wciąż był uprzejmy, lecz teraz dźwięczała w nim ta sama stal, która lśniła w jego oczach – Jest tu dla was teraz zbyt niebezpiecznie. Pojedziecie ze mną do Marak... jako moi goście. Nazywam się Neshaden Esz.

* * *

Generał Rall stał przed długimi szeregami swych żołnierzy i mówił o ziemi i o tęsknocie, o miłości i nienawiści, o sprawiedliwości i zemście. Lahtar nie słuchał go. Jego własna tęsknota, tęsknota za tym, co bezpowrotnie utracił, nie mogła się spełnić. Nic nie było w stanie zwrócić mu tych, których kochał. Nie wierzył w ukojenie, jakie dawały sprawiedliwość i zemsta. Ale jego własne uczucia nie liczyły się. Liczyła się jedynie władza, którą posiadał i którą musiał teraz wykorzystać dla dobra swego ludu. Wyruszał, aby pokonać Władcę Burz i odebrać mu *dem-teran*.

Znów stanął nad urwiskiem i wezwał swego *ehmeku*. Delikatna pajęczyna blasku owinęła się wokół niego, powoli nabierając kształtu *uparhi* – dumnego wierzchowca, na którym od wieków jeździli wojownicy Namów. Za jego

plecami Rall nagle zamilkł. Lahtar czuł na sobie wzrok setek oczu, wpatrujących się w niego z napięciem i z nadzieją. Nie poświęcił im już więcej uwagi – postąpił krok do przodu i poszybował poprzez burzę, zmierzając na spotkanie swego wroga.

Widmowy *uparhi* pożerał pociemniałą przestrzeń. Powietrze wokół gęstniało od wichru i błyskawic. Wzrok Lahtara z coraz większym trudem przenikał przez wyrastające zewsząd zgrubienia mocy.

Minął pas wypalonej ziemi i pomknął w stronę okrywającej Żelazne Wzgórza mgły. Wokół niego szalał kontrolowany chaos, który próbował oślepić jego zmysły. Daleko przed sobą dostrzegł pulsujący blask.

Teraz – pomyślał. Nakazał widmowemu *uparhi* wylądować u stóp wzgórza i szybko odesłał Burzowego Wierzchowca. *Ehmeku* został stworzony ze zbyt nieobliczalnej i kapryśnej materii, by można było polegać na nim w walce z Władcą Burz. Lahtar na piechotę ruszył na szczyt wzniesienia, przedzierając się przez szaro-brązową mgłę. Wciąż nie widział niczego wyraźnie.

Znów pulsowanie. Jego przeciwnik wysłał przeciw niemu Długą Błyskawicę. Jej Grot stawał się coraz wyraźniejszy dla burzowych zmysłów.

– Sześć czy siedem? – Lahtar zadał sobie krótkie pytanie. Czy dodał siódmy kolor? Czy dodał czerwień?

Błyskawica pikowała wprost na niego, wirując wokół własnej osi, tak szybko, że nie był w stanie policzyć składających się na nią odcieni. Była coraz bliżej.

Nie – zadecydował Lahtar. *Nie zrobił tego. Chce tylko, żebym się przestraszył i odsłonił.*

Zamiast rozpuścić swą moc i spróbować uniku, skoncentrował ją i wyszedł na spotkanie błyskawicy, tak jak nauczał go Neshaden. Błyskawica przewierciła go na wylot. Fiolet, biel, szarość, czerń, brąz, pomarańcz. Nie było czerwieni.

Wciąż żył. Uderzenie było silne, ale nie mogło go zabić. Szybko otrząsnął się z doznanego szoku i wykorzystując tunel, jaki utworzyła Długa Błyskawica, wysłał swój własny sześciokolorowy kontratak, rozgniatając zagradzające mu drogę bariery.

* * *

Am – środkowy miesiąc wilgotnego cyklu; pierwsze zagony zdradliwej Wschodniej Mgły, przygnane z Zatrutego Kontynentu. Opustoszała plaża, szpalery miedzianych dębów, instynktownie reagujących na zmianę składu powietrza – skulone, skrywające swą zieleń za rzędami szarych narośli. Ławice niezniszczalnego piasku.

Burzowy wzrok – daleko za horyzontem plamki fioletu – przedłużenie woli – stające na drodze żółtawym, mętnym kłębom.

Samotne trwanie – godziny chłodu i wilgoci, których nie czuje się, dopóki jest się *wewnątrz* nich. Napięte mięśnie, zaciśnięte zęby – nie pozwolić wysunąć się z rąk odległym smugom mocy, ujarzmić to, czego nie da się ujarzmić. Utrzymać front.

Gdzieś bardzo blisko – ciche iskrzenie powietrza. Lekkie, niedostrzegalne zaburzenie równowagi.

– Czy to wystarczy? – zapytał Lahtar, uspokajając oddech.

– Tak, wystarczy. – Neshaden położył mu delikatnie rękę na ramieniu. – Zagon przejdzie bokiem. Jesteś zmęczony?

– Burza nie zna zmęczenia – uśmiechnął się młody Nam. – Chmury rozchodzą się po to tylko, by znów spotkać się w innym miejscu.

– Poczyniłeś duże postępy, odkąd się spotkaliśmy. Nie tylko w sztuce panowania nad *sahl*. Stajesz się też coraz sprytniejszy.

– Och, mam doskonałego nauczyciela. – Lahtar celowo nie starał się ukryć w swym głosie targających nim emocji. – Wątpię jednak, bym kiedykolwiek mu dorównał. Może i lepiej, bo mogłoby się to okazać zbyt niebezpieczne dla nas obu. Czemu właściwie mnie nauczasz, Neshadenie? Jesteśmy przecież wrogami.

– Robisz się nudny – skrzywił się żartobliwie Suhaszu. Wiatr targał jego szarymi włosami. – Przecież wiesz. Pragnę się tobą posłużyć.

W stalowych tęczówkach Neshadena iskrzyły się jak zwykle pewność i bezczelność, a także trzecia siła, ostatnia, dla której Lahtar nie znalazł jeszcze imienia.

– A ja przyjmuję twe lekcje, ponieważ nie mam wyboru – westchnął. – Wśród mojego ludu nie ma nikogo, kto mógłby mnie nauczyć prawdziwego panowania nad *sahl*. Ty natomiast... Poznałeś mnie już na tyle, by wiedzieć, że

nigdy nie stanę się bezwolną kukiełką w twym ręku, jeśli takie było twoje zamierzenie. Jesteś zbyt sprytny, by nie zdawać sobie z tego sprawy. Nie boisz się, że kiedyś uzyskam taką biegłość w sztuce *sahl*, że będziesz bał się odwrócić do mnie plecami?

– Już jesteś na tyle dobry, by podstępnie mnie zaskoczyć. Mogłoby ci się to udać – beznamiętny ton Suhaszu sprawił, że ciarki przeszły Lahtarowi po grzbiecie. Uczeń Władcy Burz odwrócił się i postąpił kilka kroków w stronę morza.

– Ja jednak poznałem cię na tyle, by wiedzieć, że tego nie zrobisz – dodał Neshaden, siadając na piasku.

– Niestety, masz rację. – Lahtar zajął miejsce obok niego. – Nie zrobię tego.

Przez chwilę milczeli. Spienione, brudne grzbiety fal uderzały o wybrzeże.

– Wiem, kiedy twoje serce jest szczere – podjął Lahtar – i doceniam to, co robisz w tej prowincji. Ale muszę wreszcie poznać odpowiedzi. Przynajmniej niektóre z nich. Dlaczego, Neshadenie? Obaj dobrze wiemy, że żaden z nas nigdy nie zdradzi własnego ludu. Dlaczego dajesz swemu wrogowi broń do ręki?

– Ponieważ liczę na to, że być może pewnego dnia przestanie być wrogiem – zaśmiał się Suhaszu. – A jeśli nawet... Cóż, może po prostu sam wolę wybrać swego przyszłego przeciwnika... Czy czujesz burzę? – zapytał znienacka.

– Burzę? – Lahtar odruchowo sięgnął zmysłami w ziemię i w powietrze, nim pojął, że jego towarzyszowi tym razem chodzi o coś innego.

– Burzę, przyjacielu. – Maska opanowania na moment opadła z twarzy Neshadena. – W sercach i umysłach. W świecie wokół nas. Burza wobec której *sahl* i inne Żywioły są tylko dziecięcą igraszką. Czuję, jak narasta. Wojna jeszcze się nie skończyła, choć większość moich ziomków nawet nie podejrzewa, jak złudny jest obecny triumf.

– Tak – wyszeptał Lahtar, odwracając wzrok. – Nie poddamy się. Dopóki żyje choć jeden z nas...

– Talgasz Ram... – ciągnął Neshaden. – On też ją wyczuwa. Wierzy jednak, że istnieją tylko dwie możliwości, że Suhaszu mogą być w tym świecie jedynie zwycięzcami lub zginąć. Dokonał wyboru. Nie zawróci, nawet gdyby oznaczało to zagładę całego waszego ludu...

Znów zapadła cisza – nie spokojna, kojąca cisza ludu, ani też nie agresywna, nabrzmiała niewypowiedzianym hałasem cisza Suhaszu. Nie, tutaj było miejsce jedynie dla martwej ciszy spustoszonej tysiącletnią walką Żywiołów plaży. Gdzieś o wiele mil od miejsca, w którym siedzieli front *sahl* niezmordowanie stał na drodze śmiercionośnym kłębom.

– Talgasz Ram nie zawróci z drogi, jaką obrał, nawet jeżeli okaże się, że to my jesteśmy skazani na klęskę – dodał cicho Neshaden.

Daleko w głębi morza zagony Mgły szturmowały zaporę fioletu. W kilku miejscach żółć przeniknęła do wnętrza.

– A jeśli ma rację? – odezwał się Lahtar, spoglądając w dziwne, twarde i nieubłagane oczy tego, o którym nie potrafił już myśleć inaczej jak o swoim przyjacielu.

Stalowa pewność znów rozjaśniła oblicze Neshadena. Niespodziewanie się uśmiechnął.

– Nie sądzę. W końcu zdałem sobie sprawę, że jestem od niego mądrzejszy. Talgasz Ram nie ma pojęcia, w jak wielu sprawach się mylił. Powstrzymam nadchodzącą burzę. Będę jednak potrzebował partnerów. Myślę, że dzięki tobie i twojej siostrze zrozumiałem wreszcie wasz lud. Przynajmniej po części. Obaj jesteście jak jego esencja, szlachetna, czysta i stężona. Namowie zaś są jak Prawdziwa Burza – rozpraszają się, by odżyć na nowo w innym miejscu. Wcześniej czy później powstaną. Wcześniej czy później znajdzie się odpowiedni przywódca, który pozna tajniki *sahl* i będzie umiał stawić nam czoło. To tylko kwestia czasu. Wolę, aby był to ktoś, kto dostrzeże w Suhaszu coś więcej niż tylko najeźdźców. Kto zrozumie, że może być inaczej. Ktoś, kto opanuje huragan gniewu i nienawiści. Ktoś, z kim będę w stanie się porozumieć. Jednocześnie nie może to być jedynie marionetka, prowadzona przez mnie na sznurku, bo wtedy Namowie za nim nie pójdą… Innymi słowy… musisz to być ty – dokończył Neshaden.

Lahtar zaskoczony zamrugał powiekami.

– Tylko mi nie mów, że nie pragniesz zostać bohaterem, który wyzwoli swój naród –roześmiał się ironicznie

Neshaden. – Zobaczyłem to wyraźnie już wtedy, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy, i postanowiłem ci to nieco ułatwić. Twoim przeznaczeniem jest wielkość, widać to w twoich oczach, a ja wierzę w przeznaczenie. Masz szczęście, że echo tamtej walki ściągnęło mnie, a nie Talgasza Ram.

– Pokrętny ten twój plan – stwierdził beztrosko Lahtar. – I ryzykowny. Nie prościej byłoby nas zniszczyć, jak chcą tego niektórzy z twoich ziomków? Zaczynając, rzecz jasna, ode mnie.

– Prościej – przyznał Neshaden beznamiętnie. Perfekcja, z jaką stłumił wesołość, sprawiła, że Lahtar poczuł ukłucie zazdrości. – Ale to rozwiązanie w sam raz dla ludzi pokroju Szerada i Enmerkara. Mnie stać na więcej. Wiesz, że jestem ambitny.

– O, tak. – Lahtar wstał i przeszedł kilkanaście kroków po plaży, prostując kości. – Nie sądzę jednak, żeby udało ci się przekonać do swych planów Władcę Burz, przyjacielu.

Na oblicze Neshadena znów powróciła powaga.

– Ja także nie sądzę.

– Talgasz Ram… – ciągnął Lahtar. – Ten, który zstąpił do Serca Burzy. Mówią, że *dem-ter-an* daje mu absolutną władzę nad *sahl*.

– Owszem. Ale nie znaczy to, że nie można go pokonać. Laska nie jest bronią, w bezpośredniej walce można pokierować sprawami tak, by w danym momencie liczyło się co innego. Oczywiście, nawet bez laski Talgasz Ram jest najlepszy. Wszyscy w to wierzą.

– Z wyjątkiem ciebie – mruknął Nam.

– Z wyjątkiem mnie.

Neshaden również powstał i ruszył w przeciwną stronę. Lahtar odprowadził go zaciekawionym spojrzeniem, jednocześnie delikatnie wyrywając z letargu przyczajoną w pobliżu moc.

Suhaszu zatrzymał się w odległości pięćdziesięciu kroków i obrócił twarzą do swego towarzysza.

– Zobaczmy, jak duże postępy poczyniłeś w prostowaniu swoich błyskawic – powiedział i przywołał fiolet.

Lahtar poszedł jego śladem.

Neshaden dodał biel do fioletu.

– Ile dzisiaj? – Nam przełknął ślinę, delikatnie spawając ze sobą dwie na pozór wrogie moce.

– Przecież wiesz. – Neshaden wezwał szarość.

Sześć – pomyślał Lahtar, powtarzając ruchy swego nauczyciela. *Niemal komplet*.

Długa Błyskawica utkana z sześciu kolorów. Dalekosiężny pocisk przeznaczenia.

– Czy chcesz mnie zabić, Neshadenie?

Czerń.

– Cóż, jeśli rozerwie cię na strzępy, będzie to oznaczało, że Namowie jednak nie są stworzeni do tego, aby władać *sahl*.

Brąz. Lahtar przełknął ślinę.

– To takie trudne – szepnął, pilnując, by żaden z kolorów nie zakłócił równowagi. – I takie proste.

– Widzę, że zaczynasz rozumieć – uśmiechnął się rozluźniony Neshaden.

Pomarańcz.

Jest – pomyślał zdziwiony Lahtar. *Jest!*

Stali na wprost siebie, obracając w swych dłoniach splecione ze sobą nitki mocy. Fiolet, biel, szarość, czerń, brąz i pomarańcz – sześć spośród siedmiu sił, które razem tworzyły duszę *sahl*. Rozszalałe, nieujarzmione żywioły, walczące ze sobą i nawzajem się wspomagające, nieobliczalne jak miłość i nienawiść, nigdy nieosiągające równowagi. Poza tą jedną chwilą, gdy władający *sahl* człowiek zmuszał je do połączenia, aby stworzyć Długą Błyskawicę.

– Spójrz – powiedział Neshaden. – Właśnie dokonaliśmy niemożliwego. Zaprowadziliśmy harmonię tam, gdzie mogły znajdować się tylko chaos i destrukcja. Ale to bardzo chwiejna równowaga. Tańczymy na ostrzu miecza. W każdym momencie możemy zginąć. Jak długo, przyjacielu, byłbyś w stanie je tak utrzymać?

Lahtar zastanawiał się przez moment, nim niespodziewanie odkrył, że przecież już od dawna zna właściwą odpowiedź.

– Całą wieczność.

– Tak – potwierdził poważnie Neshaden. – A przynajmniej powinniśmy mieć taką nadzieję. Teraz wiesz już, dlaczego uważam, że Talgasz się myli.

Trwali naprzeciwko siebie, a każda kolejna sekunda była jeszcze bardziej nierealna od poprzedniej. Wydawało

się, że powołując do istnienia Długie Błyskawice, wkroczyli na nowy, zakazany obszar i że z każdą chwilą coraz bardziej oddalają się od bezpiecznych granic codzienności.

– Długie Błyskawice – podjął znowu Suhaszu. – Możesz ich z powodzeniem używać na odległość, przeciwko niedoświadczonemu lub słabszemu przeciwnikowi, o ile, oczywiście, zawiodą łatwiejsze rozwiązania. Unikaj jednak walki z kimś, kto będzie w stanie odpowiedzieć takim samym atakiem. Błyskawice rozpoznają się i pomkną ku sobie, a każdy z was będzie zamykał własną wolą jedną ze stron utworzonego przez żywioły tunelu. Nie sposób przewidzieć, który korytarz ostatecznie wybiorą. Są zbyt nieobliczalne. Pojedynek Długich Błyskawic. Czystość i symetria. Akt wiary i rozpaczy. O twoim zwycięstwie lub klęsce zadecyduje przypadek. Chwilowy kaprys *sahl*.

– A jeśli przegram? Jeśli twoja błyskawica przeważy?

– Wyjdź jej naprzeciw. Nie pozwól, by cię zniszczyła. Jedynie czerwień jest w stanie zabić kogoś, kto poznał tajniki Prawdziwej Burzy.

Lahtar przegryzł wargi.

– Czy... – zaczął powoli. – Czy można?

– Tak – odrzekł krótko Neshaden. Na jego obliczu nie było już żadnych emocji, autentycznych czy też udawanych, jedynie prawda. Prawda o *sahl.* – Ale ja cię tego nie nauczę. Sam kiedyś odkryjesz sekret czerwieni i dowiesz się, jak dodać ją do sześciu kolorów. Pamiętaj jednak, że ona ma tylko jedno zastosowanie...

Lahtar wbił wzrok w twarz Neshadena.

– Służy do tego, by odnaleźć i zabić kogoś władającego *sahl*. To właśnie Długiej Błyskawicy z siedmiu barw użyliśmy, by pokonać zaklinaczy Tamana – głos Suhaszu nie zadrżał nawet odrobinę. – Nie mieli gdzie uciec i nie byli w stanie odpowiedzieć nam tym samym.

– A gdyby jeden z nas dodał teraz czerwień? – zapytał powoli Lahtar.

– Drugi miałby wówczas dwa wyjścia. Albo spróbować ucieczki i zaplątać ścigający go pocisk pośród linii mocy, co, zważywszy na to, że stoimy niemal obok siebie raczej by się nie powiodło… albo też odpowiedzieć własnym, licząc, że to dla niego los okaże się łaskawy...

Suhaszu zamilkł i lekko zmrużył oczy, nie odrywając ich od twarzy młodego Nama.

A gdybym… spróbował właśnie teraz? – zastanawiał się Lahtar. *Czy udałoby mi się to zrobić? Czy Neshaden zdążyłby zareagować?*

Na wprost niego stał uczeń Władcy Burz. Jeden z tych, który zgotowali śmierć powstańcom. Zaklinacze byli całkiem bezbronni, nie mogąc stworzyć własnych Długich Błyskawic. Ale on…

– Już czas – oznajmił cicho Neshaden.

Błysk w oczach Suhaszu. *On wie* – przemknęło nagle Lahtarowi przez głowę. *Sądzi, że spróbuję go zabić. W ostatniej chwili sam doda czerwień, by uprzedzić mój atak. To pułapka.*

Lahtar wsłuchał się w rytm żywiołów, po czym po raz ostatni poddał je naciskowi swej woli i z całą mocą

wystrzelił poza siebie. Wydłużający się, wirujący blask pomknął ku Neshadenowi.

Niespodziewanie, zamiast również uderzyć, Suhaszu rozluźnił narzucone przez siebie więzy. Otaczające go lśnienia łagodnie się rozplotły, oderwały od siebie i momentalnie rozpuściły w powietrzu.

Długa Błyskawica Lahtara uderzyła w bezbronną pierś Neshadena. Fiolet, biel, szarość, brąz, czerń i pomarańcz. Sześć kolorów.

Suhaszu przesłoniła gwałtowna, lecz krótka fala wyładowań. Potem wszystko nagle się uspokoiło – *sahl* powróciła do gleby, wody i atmosfery.

– Neshaden! – krzyknął Lahtar, dziwiąc się temu, co usłyszał we własnym okrzyku. Gdy podbiegł do przyjaciela, ten powoli otworzył oczy.

– Wszystko w porządku? – spytał Lahtar.

– Tak – roześmiał się pobłażliwie Suhaszu. – To przecież tylko sześć kolorów. Gdybym odpowiedział na twój atak, być może to ty musiałbyś wytrzymać to uderzenie.

– Czemu więc tego nie zrobiłeś? Przecież... – Lahtar zawahał się przed wypowiedzeniem słów, które mogły wszystko zmienić.

– Widzisz, nigdy nie stanąłem i nie stanę do pojedynku Długich Błyskawic. Nie zdam wszystkiego na łaskę przypadku.

– Nawet jeśli wyzwiesz do walki Władcę Burz i nie zdołasz go pokonać? Nawet jeśli nie pozostanie ci żadna inna szansa?

– Wtedy będzie to również oznaczało, że myliłem się we wszystkim innym.

– A jeżeli to Talgasz skieruje przeciwko tobie Długą Błyskawicę z siedmiu kolorów?

– Nie, tego nie zrobi. – Sutaszu skrzywił się ironicznie. – On też zdaje sobie sprawę, że to byłaby kapitulacja. Zbytnio wierzy w swą moc. A ja nie zrobię tego bo...

– Bo?

– Wierzę w przeznaczenie. Cóż... teraz już wiesz.

Wiem – pomyślał Lahtar. Powrócił myślami do tamtego momentu, gdy trzymał w swych dłoniach wirującą moc. W nagłym przebłysku zrozumiał prawdziwe znaczenie każdej z tych zbyt nierealnych, zbyt szybko wymykających się chwil, które złożyły się na to dziwne spotkanie; prawdziwy sens każdego z wypowiedzianych tu słów.

– Wciąż mną manipulujesz – westchnął, ale w jego głosie nie było już wyrzutu. Suhaszu wzruszył ramionami. W stalowoszarych tęczówkach iskrzyły się jak zwykle pewność i bezczelność, a także trzecia siła, którą Lahtar był już teraz w stanie nazwać.

Młody Nam uśmiechnął się do swych myśli, po czym złożył ukłon Neshadenowi Esz. Głęboki i pełen szacunku – taki właśnie, jaki syn starożytnego rodu Led powinien złożyć przed tym, którego uznał za swego prawdziwego mistrza.

– Powstrzymamy tę burzę, przyjacielu – powiedział Lahtar.

* * *

Tamte dni... Gdyby znów można było przeżyć je *od wewnątrz*, *poczuć* je takimi jakie były wtedy, rozdmuchać ciemną chmurę późniejszych wydarzeń, która na zawsze rzuciła na nie cień. Gdyby...

Gdyby znów można było choć przez krótki moment poczuć się szczęśliwym.

Tamte dni. Śmiech Ehli, triumf we wzroku Neshadena. Poznawanie *sahl*. Poznawanie siebie. Zdobywanie serc i umysłów ludu. To właśnie wtedy się to zaczęło. Mozolny trening na plaży i w dziesiątkach innych zapomnianych, porzuconych miejsc. Przebiegłe gry Strażnika Marak i jego reformy. Mała namiastka pokoju.

Och, wszystko przez tę przeklętą pewność siebie Neshadena. Tak, to ona ich uwiodła. Był tak przekonany o swym przyszłym zwycięstwie. Wierzył w stare prawa Suhaszu, wierzył w przeznaczenie i w swą szczęśliwą gwiazdę. I oni również jej zaufali. Uwierzyli w nadzieję.

Tamten czas... Lahtar znał dobrze legendy Namów. Był taki okres w życiu każdego z bohaterów, nim wchodził on na drogę rozpaczy, poświęcenia i ostatecznego zwycięstwa. Drogę, przed którą nie było odwrotu. Zawsze tłumaczył to wszystkim tym, którzy tak jak on pragnęli oddać swe życie w służbę ludu.

Nigdy jednak nie powiedział żadnemu z nich, że najszczęśliwsze dni swego życia spędził w pałacu Suhaszu.

* * *

Ogród Neshadena – zadbane alejki, klomby pełne egzotycznych, niepokojących swym wyglądem i zapachem kwiatów, gęstwina zieleni, bujnie pleniąca się przy ścianach hali. W górze półprzeźroczysta kopuła, cenzor światła. *Obce* powietrze, z cichym szmerem sączące się z klimatyzatorów, suche i jakby zupełnie pozbawione treści.

Wewnętrzny ogród położony był w samym środku osobistych apartamentów Strażnika Marak i bardzo niewielu ludzi miało do niego dostęp. Lahtara z początku deprymowała porażająca *obcość* tego miejsca, często jednak przychodził tutaj w poszukiwaniu samotności. Z czasem przekonał się, że ogród reprezentuje w pewnym sensie rewers tego, czym byli Suhaszu – jeśli za awers uznać ich bezwzględność i okrucieństwo. Odkrył również, że zachowanie w tym miejscu równowagi ducha stanowi dla niego nie lada wyzwanie i dlatego też postanowił je podjąć.

Siedział na ławeczce w bocznej alejce, pośród otaczających go ze wszystkich stron dziwacznych, prostych łodyg o jeszcze dziwaczniejszej nazwie, której nie mógł nigdy zapamiętać, gdy usłyszał zbliżające się kroki. Lekko drgnął – był późny wieczór i o tej porze zazwyczaj nikt tutaj nie przychodził. Zmarszczył brwi, jak gdyby przeczuwając, czyje słowa przerwą ciszę.

– Jeszcze moment, to było gdzieś tutaj… – usłyszał głos Neshadena, dochodzący z głównej alejki. – O, to właśnie ten! Spójrz! – triumf w tonie ucznia Władcy Burz został zmiękczony dziwnie brzmiącą u niego łagodnością.

– Rzeczywiście, niebrzydki. Ale nasze *kalkatl* i tak są ładniejsze.

Lahtar znów drgnął. Zmarszczył usta w gniewnym grymasie. Sądził, że wie, czego może się spodziewać i nie był zdumiony obecnością tego drugiego głosu. Lecz zaskoczył go to, co w nim usłyszał. Wstał z ławeczki i odwrócił się, ale zwarta ściana łodyg zasłaniała mu widok.

– Czemu mi go pokazujesz, Neshi? – zapytała miękko Ehla.

Neshi. Imię Suhaszu wypowiedziane tak, jakby było zdrobniałym imieniem młodego Nama. Lahtar poczuł, jak gdzieś w głębinach jego serca rodzi się potężna burza.

Sądziłem, że jestem sprytny – pomyślał z goryczą. *Śledziłem wszystkie twoje intrygi. Widziałem, jak owijasz sobie wokół małego palca całą prowincję. Ale w tym jednym zmyliłeś wszystkich.*

– To był bardzo rzadki i cenny krzew – wyjaśniał tymczasem Neshaden. – Nawet na Akasz. Nazywa się *itangaram*. Przekazuje... przekazywało się go w rodzinie, z pokolenia na pokolenie. Moja matka, nim umarła, wymogła na mnie obietnicę, że gdziekolwiek rzuci mnie los, zabiorę go ze sobą.

– Nie wiedziałam. Naprawdę jest piękny.

Lahtar zaczął powoli przesuwać się w stronę miejsca, gdzie łączyły się obie alejki. Burza stopniowo ogarniała całe jego ciało. Nie potrafił już zatrzymać zmagających się w jego wnętrzu emocji.

– Zakwita bardzo rzadko, raz na pokolenie – ciągnął młody Suhaszu. – I zawsze jest tylko jeden kwiat. Myślę, że właśnie dlatego był wśród naszego ludu pewien zwyczaj…

Trzask odrywanej łodygi. Milczenie. Długie, nieznośne milczenie na środku obcego ogrodu.

Lahtar ostrożnie wysunął głowę zza zasłony zieleni.

Neshaden i Ehla stali na wprost siebie, kilkanaście kroków dalej, zwróceni do niego bokiem. Neshaden jak zwykle ubrany był w fiolet, zaś Ehla miała na sobie swoją ulubioną purpurową suknię, którą sama uszyła. Suhaszu trzymał w rękach dziwaczny kwiat o grubej, niezdarnej łodyżce i nieco anemicznych, żółtawych płatkach. Żadne z nich nie zauważyło Lahtara. Nie widzieli nic prócz kwiatu.

Młody Nam patrzył, jak jego siostra nabiera głęboko powietrza.

– Nie dam się tak łatwo uwieść twoim sztuczkom, Neshadenie Esz – powiedziała. – Wiesz, że jestem twarda. Twardsza od mojego brata.

Słowa Ehli nie uciszyły targającej Lahtarem nawałnicy. Nie dał się im oszukać. Ton głosu dziewczyny jej spojrzenie wypowiadały całkiem inne słowa.

– Mój brat twierdzi – mówiła Ehla – że za każdym twoim zdaniem, każdym uczynkiem kryje się jakiś plan. Że bezustannie przesuwasz nas niczym figury po niewidzialnej planszy do gry w *megu*, że wszystko, co robisz, ma w jakiś sposób posłużyć twoim ostatecznym zamysłom. Jesteś najbardziej wyrachowanym spośród wszystkich ludzi, Neshadenie Esz.

– To prawda – odparł spokojnie Suhaszu.

– A co teraz knujesz?

– Doszedłem do wniosku – oznajmił Neshaden z bezlitosną lekkością – że Lahtar to za mało, że tobą także powinienem się posłużyć. Interesuje mnie coś więcej niż tylko osiągnięcie równowagi w mojej prowincji, a nawet to wciąż jest jeszcze bardzo kruche. Muszę zneutralizować twój lud, zabezpieczyć flanki, gdy będę toczył swe bitwy. Cóż mogłoby być lepszym sposobem na osiągnięcie tego celu niż poślubienie córki rodu Led?

Burza miotająca Lahtarem eksplodowała na zewnątrz. Przed oczami zatańczyły mu pasma czerni i fioletu. Uczucia walczyły ze sobą niczym ciasno splecione barwy *sahl*.

Ręka Neshadena wyciągająca kwiat. Spojrzenie Ehli. Uśmiech Suhaszu. Dłoń Ehli wędrująca ku żółtym płatkom. Dotykająca ręki Neshadena.

Nie wiem – pomyślał z rozpaczą Lahtar. *Nie potrafię*.

Jego siostra odebrała kwiat i powoli, z wdziękiem wplotła go sobie we włosy, tak jak od setek lat czyniły to kobiety Namów. Każdy jej ruch nacechowany był powagą i godnością, z którymi nie rozstawała się nawet na sekundę swojego życia.

Nagle chmury wokół Lahtara rozwiały się, przepadły w nicości. Ze zdziwieniem zmrużył powieki, wpatrując się w słońce. Odetchnął głęboko i westchnął, w niemym zachwycie kontemplując to, co odkrył po drugiej stronie burzy.

Później zakosztował w swym życiu wielu różnych rodzajów radości – tę płynącą ze zwycięstwa odniesionego nad wrogami i tę, której źródłem było poczucie dobrze spełnionego obowiązku. Ciemny duszący triumf, jaki dawała zemsta i obojętną fioletową ekstazę panowania nad *sahl*. Wtedy jednak, po raz pierwszy i ostatni, poczuł radość zupełnie inną od tamtych, dla której nie zdołał jednak nigdy odnaleźć właściwego imienia.

Nie trwała długo. Nagle poczuł narastającą falę *obcości*, która sparaliżowała jego zmysły. Chciał krzyczeć, ale nie mógł wydobyć z siebie głosu. A Neshaden niczego nie zauważył, nadal zapatrzony w kwiat we włosach Ehli.

– Pozwalasz służbie przebywać w ogrodzie w tym samym czasie, kiedy ty w nim jesteś, Strażniku Marak?

Stojący w drzwiach Suhaszu miał na sobie fioletową tunikę, taką samą jaką nosił Neshaden, ale był o jakieś dziesięć lat starszy. Lahtar nauczył się czytać z ludzkich twarzy, wydawało mu się również, że wystarczająco poznał Najeźdźców i że nic nie może go już zaskoczyć ani też wyprowadzić z równowagi. Spojrzenie i uśmiech tamtego sprawiły jednak, że z trudem zdusił w sobie chęć, by rzucić się na niego i spróbować udusić go gołymi rękami.

Przybysz omiótł wzrokiem całą znieruchomiałą trójkę. Neshaden postąpił krok do przodu, zasłaniając sobą dziewczynę. Ehla w tym właśnie momencie spostrzegła stojącego z boku brata i zadrżała, jakby przestraszył ją dopiero jego widok, nie zaś nagłe wtargnięcie nieznajomego.

– To ogrodnicy? – udawana naiwność w głosie przybysza nie mogła zwieść nikogo. *To koniec* – pomyślał Lahtar.

– Jak ci się udało tutaj dostać, Szeradzie? – zapytał lodowato Neshaden.

– Nie gniewaj się – odparł tamten, wciąż tym samym głupkowatym tonem. – Masz bardzo lojalnych strażników. Nie sądzisz chyba, że ktoś mógłby powstrzymać przyszłego Władcę Burz przed udaniem się tam, dokąd akurat ma ochotę się udać?

Neshaden nic nie odrzekł. Przez chwilę obaj Suhaszu w fioletowych tunikach mierzyli się zimnym wzrokiem.

– Talgasz chce się z tobą widzieć – mruknął w końcu Szerad. – Natychmiast.

– Chodźmy więc. – Neshaden wzruszył ramionami i skierował się ku wyjściu. Ani razu nie obejrzał się za siebie, całkowicie ignorując Ehlę i Lahtara. Trudno było nawet stwierdzić, czy w ogóle zauważył młodego Nama. Za to Szerad, już w drzwiach hali, odwrócił się i szybko przebiegł wzrokiem od siostry do brata. Lahtar wiedział, że to na pozór roztargnione spojrzenie nie przeoczyło żadnego z najdrobniejszych nawet szczegółów. Rozpoznał groźbę, która się w nim czaiła. W tej właśnie chwili sam złożył w myślach obietnicę i pozwolił, by tamten odczytał ją z jego oczu. Pierwszy Uczeń Władcy Burz uśmiechnął się pogardliwie i zniknął w ślad za Neshadenem.

Lahtar powoli podszedł do Ehli. Jej twarz śmiertelnie pobladła, ale źrenice były całkiem suche. Brzydki żółtawy kwiatek wystawał z jej włosów.

Delikatnie położył dłoń na ramieniu swojej młodszej siostry.

– Wszystko w końcu będzie dobrze – powiedział. – Kiedyś. Obiecuję ci.

* * *

Wędrówka na szczyt wzgórza. Dziesiątki lat, setki mil. Atak, obrona, atak. Kotłowanina żywiołów. Wyszarpywanie nici *sahl* z rąk niewidzialnego przeciwnika. Walka. Walka o przetrwanie. Walka o władzę. Pasma fioletu i czerni. Szara mgła, brązowe błyskawice. Pomarańczowy huk. Biały wiatr.

Miłość i nienawiść. Twarze tych, którzy odeszli – wrogów i przyjaciół. Żołnierze Najeźdźców, bohaterowie ludu. Zemsta. Niedola Namów. Ruiny Kaldy. Powstańcy Tamana. Spalona chata zaklinacza. Obietnice. I tamten moment – Neshaden i Ehla. Żółtawy kwiat na grubej, niezgrabnej łodyżce. Zemsta za sen, który nie mógł się spełnić. Za to teraz... Tak, to było nieuniknione, zawsze wiedział, że kiedyś to nastąpi. Nawet wtedy, gdy...

Dziesiątki lat, setki mil. Wędrówka przez życie – cały czas na spotkanie tego miejsca i tej chwili. To już ostatni krok. Pokonać Władcę Burz.

Lahtar piął się na szczyt wzgórza.

* * *

Talgasz Ram siedział rozwalony na swym wielkim fotelu, który kiedyś, wiele lat temu, z początku dla żartu,

a potem już całkiem poważnie zaczęto nazywać tronem. Głowę odchylił do tyłu, powieki miał przymknięte i mogłoby się wydawać, że śpi, gdyby nie to, że jego dłonie nieprzerwanie zaciskały się na lasce. Byli tylko we dwóch: Neshaden i on, w wielkiej, pogrążonej w półmroku sali narad Pałacu Unun.

Neshaden czekał. W końcu oczy Talgasza otworzyły się i starszy mężczyzna wyprostował się na fotelu. Przez chwilę patrzył na Neshadena.

– Wciąż nie potrafię stwierdzić – odezwał się wreszcie – czy jesteś największym spryciarzem spośród nas wszystkich, czy też największym głupcem.

Neshaden milczał.

– Prawie cztery lata... – ciągnął Władca Burz. – Nie traciłeś czasu. Zastąpiłeś gubernatora Marak swoim człowiekiem, powoli pozbyłeś się większości szpiegów. Ukróciłeś nadużycia i utworzyłeś te groteskowe samorządy Namów, sądząc, że w ten sposób kupisz sobie przynajmniej ich neutralność. Dyskretnie wzmocniłeś pozycję Maniszte w Wielkiej Radzie Suhaszu. Dwa tygodnie temu zaś, jak mi doniesiono, spotkałeś się potajemnie z Eszarem Ket...

Teraz – pomyślał Neshaden. *Tego mi nie daruje.*

– Och, w gruncie rzeczy nie widzę w tym nic zdrożnego – roześmiał się kpiąco Talgasz, jakby odgadując jego myśli. – To wszystko było całkiem zręczne. Intrygi knute przez Szerada budzą moje obrzydzenie. To oczywiste, że chcesz zebrać w swych dłoniach jak najwięcej sznurków. Nie mam ci tego za złe. Tego nie...

Talgasz na chwilę zamilkł. Młodszy mężczyzna naprężony czekał na pytanie, którego najbardziej się obawiał.

– Kim jest młody Nam o imieniu Lahtar?

Neshaden nie pozwolił sobie nawet na sekundę wahania.

– To człowiek, którego postawiłem na czele samorządu Namów. Jest młody i uległy, łatwo daje sobie kierować. Jak długo będę go miał przy sobie, Namom trudno będzie otwarcie zbuntować się przeciwko mnie. To... – udał moment niepewności – ocalały potomek rodu Led.

Talgasz pokiwał głową, jak gdyby akceptując jego odpowiedź. Neshaden jeszcze bardziej sprężył się w sobie, spodziewając się kolejnego pytania.

Ale Talgasz nie zadał go. Znów jakiś czas milczał, po czym ziewnął i powstał ze swego tronu. W jego ruchach dało się zauważyć zmęczenie.

– Chciałbyś mnie pokonać i odebrać mi *dem-ter-an*, prawda chłopcze? – spytał łagodnie.

– Tak – odparł Neshaden.

– Czemu więc tego nie zrobisz? – Na twarzy Talgasza nie było zaskoczenia ani złości.

– Nie jestem jeszcze gotowy – powiedział Neshaden, patrząc tamtemu w oczy.

Talgasz znów pokiwał głową.

– To dobra odpowiedź – odrzekł. Nagle wyprostował się i roześmiał, a wszelkie oznaki słabości momentalnie zniknęły z jego oblicza. W jego ruchach były teraz jedynie

moc i pewność. Dłonie zacisnęły się na płonącym drewnie i wydawało się, że w całym wszechświecie nie ma siły zdolnej mu je wyrwać.

– Odpręż się już, chłopcze. Nie zamierzam cię zabić. Nie dzisiaj. Chcesz wiedzieć dlaczego?

– Tak – odparł Neshaden.

– Odpowiedź jest prosta. Wciąż wolę ciebie od każdego z tamtych trzech. Jeśli kiedyś odejdę, chcę pozostawić po sobie godnego następcę. Kogoś, kto będzie wiedział, czym jest Władza. Nie boję się, że ty mógłbyś nim zostać. To ja wyrwałem *dem-ter-an* z Serca Burzy i nic już tego nie zmieni. Wcześniej czy później stałbyś się jedynie moim cieniem. Tak, tak, Hirya i ten przeklęty dualizm. Łudzisz się, że jestem ciemną stroną *sahl*, ciemną stroną władzy, podczas gdy ty jesteś tą jasną. Sądzisz, że reprezentujemy dwie równorzędne drogi. Ale to nieprawda. Jest tylko jedna droga, jedna strona. Tylko jedna konieczność. Mój los jest twoim losem. Albo zrozumiesz to, albo fala, która pcha cię przed sobą, porzuci cię na wypalonym przez Żywioły piasku.

– Nie – powiedział Neshaden. – Nie? – uśmiechnął się Władca Burz. – Mimo to dam ci jeszcze jedną szansę. Szansę na naprawienie błędów. Sam dobrze wiesz, co powinieneś teraz zrobić. Widzisz, ja wcale nie jestem prorokiem przemocy i okrucieństwa. Wiem jedynie, że zrozumienie nie istnieje. Nie cieszę się z tego powodu – taki jest świat. Nie pozwolę na zagładę Suhaszu. Nie dbam już naprawdę o nasz naród, ale na to nie pozwolę. Nie jestem

oszalałym od nadmiaru władzy głupcem i wiem, jaka jest moja rola. Ty też powinieneś znać swoją. Idź już i zrób to, co musi być zrobione. To twoja ostatnia szansa.

Neshaden odwrócił się bez ukłonu i ruszył ku wyjściu. Za swoimi plecami czuł narastające napięcie. Gdy stanął w drzwiach, jeszcze raz obejrzał się w stronę Talgasza. Tamten wciąż stał w tym samym miejscu, lecz spowijająca go moc była teraz znacznie wyraźniejsza. Kolorowe błyski przeskakiwały z laski na fioletowy płaszcz i tańczyły po całej postaci starszego mężczyzny.

– Patrz, Neshadenie! – zawołał ze śmiechem Talgasz Ram. Cały jego spokój w jednym mgnieniu prysł, tak jak kilka chwil wcześniej rozwiała się udawana bezradność. Oczy błyszczały mu triumfem, który lada moment mógł się przerodzić w szaleństwo. – Patrz! To jest siła! *Dem-ter-an* da mi władzę nawet nad śmiercią. Moim lekarzom wydaje się, że odgadli w jaki sposób *sahl* przedłużyła moje życie. Obliczyli, ile mi go jeszcze pozostało. Pięćdziesiąt lat. Pięćdziesiąt lat z dokładnością do dziesięciu. Tak mi powiedzieli. Ale to nieprawda. Oszukałem was wszystkich! Ich, ciebie, Szerada... Będę żył wiecznie. Nikt nie odbierze mi laski! Nikt nigdy mnie nie pokona! Jestem Władcą Burz!

Neshaden zadrżał, zdając sobie sprawę, że po raz pierwszy nie potrafi stwierdzić, co jest prawdą, a co tylko kolejną grą. Wycofał się w mrok korytarza, chcąc jak najszybciej wyzwolić się spod władzy śmiechu Talgasza Ram.

* * *

Lahtar był już niemal u celu. Ani on, ani jego przeciwnik nie zaryzykowali już dalszego wysyłania Długich Błyskawic. Zamiast tego wyszarpywali sobie linie żywiołów, starając się pozbawić się nawzajem władzy nad *sahl*.

Nam nieustannie nacierał, jego wola ze zgrzytem zderzała się z wolą Władcy Burz. Tamten miał laskę z Płonącego Drzewa, ale Lahtar był już zbyt blisko, by można było użyć przeciwko niemu pełni jej mocy.

– *W bezpośredniej walce można pokierować sprawami tak, by liczyło się coś innego.*

Tak, na wszystko były sposoby. I Lahtar dobrze o tym wiedział. Znał reguły gry i sprytnie unikał pułapek zastawionych przez jego przeciwnika. A ziemia dyskretnie wspierała go swym drżeniem, rozpoznając krew ludu zmagającą się z wrogą potęgą Najeźdźców.

Walczyli długo i nieustępliwie. Żaden z nich nie próbował zabić drugiego. Jeszcze nie teraz. Obaj chcieli zobaczyć przeciwnika pokonanego i pozbawionego mocy, powalonego na ziemię, zdanego na łaskę i niełaskę zwycięzcy.

W końcu jednak zdali sobie sprawę, że się to im nie uda.

Ostatnia zasłona mgły rozproszyła się. Lahtar wszedł na szczyt wzgórza i stanął twarzą w twarz z Władcą Burz.

* * *

Rozpadająca się z hukiem brama, skąpany w krzyku i w dymie główny hol siedziby Neshadena. Szum opadającej

kanonady – odgłosy bitwy stopniowo przenoszące się na zewnątrz. Bieg. Garść nieistotnych szczegółów – rozwalone barykady, splamiona krwią posadzka, porozrzucane tu i tam, zastygłe w dziwacznych pozach sylwetki. Różnobarwne chmury wlewające się do środka pałacu. Rzeczywistość majacząca gdzieś na krańcach wizji. Już tylko bieg. Bieg i pewność, że się nie zdąży.

Lahtar pokonał ostatni stopień schodów. Zabłąkany pocisk przeleciał obok jego głowy i wbił się w orgową ścianę, która momentalnie rozjaśniła się od wewnątrz. Minął krótki, kręty korytarz – w ustach powoli narastał mu słodki smak.

Wypadł na szeroki, otwarty dziedziniec oddzielający Zewnętrzny Pałac od apartamentów Neshadena. Plac był całkiem opustoszały, nie zauważył też żadnych śladów walki. Na jego środku leżała jedynie samotna, nieruchoma sylwetka. Wiatr targał brzegami purpurowej sukni.

Lahtar zwolnił. Nie miał się już po co spieszyć. Wiedział o tym od chwili, gdy przez ulice Marak przemknęły transportery bojowe w barwach prowincji Demah. Mógł się domyślić, co będzie głównym celem tego ataku.

Szlochając, uklęknął obok siostry. Ból, żal i gniew wymieszały się w nim tak dokładnie, że nie potrafił ich od siebie odróżnić.

Na ciele Ehli nie było żadnych ran. Przez chwilę wydawało mu się, że dziewczyna tylko śpi lub po prostu zemdlała i jego serce rozdarła zabójcza, toksyczna nadzieja,

a twarz wykrzywił mu grymas rozpaczliwej niepewności – tak jak tego chciał ten, który przygotował całą tę scenę.

Lahtar uniósł wzrok, czując zamykającą się wokół niego pogardę.

W pewnym sensie spełniło się jedynie to, czego pragnął kiedyś tak mocno – nareszcie miał przed sobą rzeczywistego wroga. Całe okrucieństwo Najeźdźców i całą ich pogardliwą obojętność. Ich upiorną, najeżoną przyczajonym hałasem ciszę. Wszystko to, z czym chciał walczyć; konkretne, dotykalne, zmaterializowane w jednej nienawistnej twarzy. Wydawało się, że wystarczy tylko ją unicestwić, a cały świat odzyska spokój. Tak długo o tym marzył, a teraz spotkał wroga, który nada wszystkiemu właściwy sens. I wiedział już, że zapłacił zbyt wysoką cenę za to spotkanie.

– Szpiedzy donieśli mi, że Neshaden sporo cię nauczył – powiedział Szerad Og. – Musieli przesadzić.

Lahtar wstał i postąpił kilka kroków ku stojącemu na przeciwległym skraju dziedzińca Suhaszu. Uświadomił sobie, że w spojrzeniu tamtego nie było nawet prawdziwej pasji, prawdziwej nienawiści. Ta została zarezerwowana dla Neshadena. Zabicie Ehli i Lahtara było dla Szerada jedynie dodatkową, drobną przyjemnością.

Pierwszy Uczeń Władcy Burz uniósł prawą dłoń. Młody Nam poczuł zew przyzywanej *sahl*.

Tamten był taki powolny, taki nieudolny. Lahtar wyszarpnął mu linie mocy z łatwością, która w pierwszej chwili go zaskoczyła, w drugiej zaś przyprawiła o jeszcze

większą wściekłość. Suhaszu spróbował po raz drugi, lecz tym razem Lahtar również przejął kontrolę nad wichrami. Elektryczny podmuch odrzucił Szerada pod ścianę. Na jego obliczu momentalnie pojawiła się panika – nic nie przygotowało go na klęskę z rąk Nama. Był przywódcą Suhaszu, nie wiedział, jak radzić sobie z własną bezsilnością. Teraz po prostu odwrócił się i zanurkował w wylot znajdującego się za jego plecami korytarza. Lahtar pobiegł w ślad za nim. Ze smutkiem spostrzegł, że gniew i żal w najmniejszym stopniu nie zaćmiewają jego umysłu. Cóż, był przecież godnym uczniem Neshadena Esz.

Tamten nie mógł przywołać swego *ehmeku*, dopóki przebywał na zamkniętej przestrzeni. Panika nie pozwoliła mu na jakiekolwiek skuteczne działanie. Uciekał na oślep przed siebie, a wszystkie jego chaotyczne przyzwania zostały odbite przez Lahtara.

W końcu nieznający pałacu Szerad znalazł się w zaułku. Chciał się cofnąć, ale odwracając się, napotkał za sobą przepełnione bólem spojrzenie Lahtara.

Stali pośrodku ogrodu Neshadena, pośród szelestu obcej zieleni i szmeru obcego powietrza.

Po policzku Lahtara płynęły łzy.

– Dlaczego? – wyszeptał. – Dlaczego ona musiała zginąć pierwsza?

Suhaszu zmarszczył brwi i otrząsnął się, jak gdyby widok rozpaczy młodego Nama przywrócił mu równowagę umysłu. Znów spróbował zaatakować.

Lahtar uniósł rękę w bok. Kolorowe błyskawice, wezwane z bliska, wezwane z daleka, zaczęły tańczyć wokół jego dłoni. Fiolet, biel, szarość. Szerad wytrzeszczył oczy. Nie próbował uciekać ani zrzucić linii mocy. Jedynie zastygł w miejscu, z twarzą wykrzywioną strachem i zdumieniem. Czerń, brąz, pomarańcz. Coraz szybciej. Dopiero w tym momencie Suhaszu zaczął nieudolnie formować swoją własną Długą Błyskawicę. Był uczniem Władcy Burz i zapewne zdążyłby z odpowiedzią, gdyby nie pogarda, która nawet teraz nie pozwoliła mu do końca uwierzyć, że oto on, Szerad Og, musi zginąć z rąk Nama.

Czerwień. Siedem skręconych w spiralę kolorów wydłużyło się i pomknęło ku Szeradowi, powoli układając się w błyskawicę. Nie zdążyła się domknąć, ale impet uderzenia był wystarczająco silny. Rozbłyski oplotły ciało Suhaszu, czerwień przeżarła jego myśli. *Sahl* skurczyła się, a potem wybuchła na zewnątrz, niczym eksplodujący wszechświat.

Lahtar stał pośród opadających na niego z góry odłamków szkła, pośród zgrzytu pękających ścian i wrzasku agonii ogrodu Neshadena. Fioletowa mgiełka z agresywnym sykiem wdzierała sie przez zrujnowana kopułę. Szerad Og leżał na środku alejki, z szeroko otwartymi oczami, z których nicość wypaliła wreszcie ostatnie strzępy pogardy.

– Dlaczego? – powtórzył z wyrzutem Lahtar. – Dlaczego zginęła pierwsza?

Odwrócił się i odszedł, pozostawiając za sobą płacz umierających obcych roślin.

Idąc z powrotem w stronę dziedzińca, z goryczą zdał sobie sprawę, że dzisiejszy dzień nie zranił go śmiertelnie, lecz jedynie zadrasnął, że nic już nie mogło zawrócić go z drogi, jaką wybrało dla niego przeznaczenie.

Wybacz, Ehlo – pomyślał. *Och, bądź przeklęty, Neshadenie.*

Jego zmysły wyczuły łopot skrzydeł lądującego *ehmeku*.

Czujny i gotów do kolejnej walki, wyszedł na zewnątrz. Huk wystrzałów osłabł, ustępując z pokorą szumowi kłębiących się nisko chmur. Bitwa powoli wygasała.

Neshaden siedział na środku placu, obok nieruchomej sylwetki w purpurowej sukni, delikatnie gładząc jej włosy. Powoli, niechętnie uniósł głowę na odgłos zbliżających się kroków. Oczy młodego Suhaszu były smutne, ale spokojne. Nie było w nich nawet śladu rozpaczy czy też szaleństwa. Trybiki w jego umyśle zwolniły, ale nie przestały się obracać, leniwie rozważając wszystkie możliwe konsekwencje dzisiejszych wydarzeń, nową sytuację, na którą nie był przygotowany; z bezlitosną precyzją korygując po raz kolejny plany i priorytety, marzenia i wizje.

Och, bądź przeklęty – pomyślał Lahtar. *Bądź przeklęty*.

Neshaden powrócił do głaskania włosów Ehli i uważnego studiowania jej twarzy, jakby starał się jak najdokładniej zapamiętać – nie, nie zapamiętać, wyrzeźbić w swym umyśle – całą otulającą ją godność i powagę, z którą dziewczyna nie rozstała się również i teraz.

Lahtar chciał płakać, chciał krzyczeć, rzucić się na Suhaszu z pięściami. Ale głos, który wydobył się z jego gardła był zaskakująco rzeczowy i trzeźwy.

– Myślałem, że nie żyjesz.

– Eszar zdradził mnie, ale byłem na to przygotowany. Prawie... – Suhaszu odgarnął pojedynczy seledynowy kosmyk z policzka Ehli.

– Co teraz? Wojna?

– Nie. – Neshaden potrząsnął nieznacznie głową. – Myślę, że to była jedynie samowolna akcja Szerada. Talgasz nie zezwoliłby na coś takiego. On dobrze wie, że są inne, skuteczniejsze sposoby. Ani ja, ani on nie doprowadzimy do wojny domowej pośród naszego narodu. Ale tak czy inaczej, trzeba będzie teraz wszystko rozstrzygnąć. Nie ma już na co czekać.

– A ja?

Neshaden spojrzał mu prosto w oczy.

– Ciebie czeka inne zadanie. Jeśli przegram, nie chcę mieć na sumieniu twego ludu. Zbierzesz wszystkich, którzy pójdą za tobą i wyprowadzisz ich do Ansal, tak jak cztery lata temu próbowali to zrobić powstańcy Tamana. Jeśli okaże się, że Suhaszu i Namowie nie potrafią żyć razem, góry powinny odizolować nas od siebie. Wydałem już odpowiednie rozkazy. Swoje wojska i tak muszę teraz skoncentrować na granicy z Demah, w obawie przed prowokacją ze strony popleczników Szerada. Najbliżej do ciebie będzie miał Urmu Ti, ale on nie zaatakuje. Poczeka na rozstrzygnięcie. To zaś zabierze jeszcze trochę czasu.

Jeżeli Talgasz wygra... Z pomocą gór zdołasz się przed nim ochronić, nawet jeśli posłuży się *dem-ter-an*. Jesteś już wystarczająco silny, a będziesz jeszcze silniejszy. Myślę zresztą, że Talgasz zaakceptuje nowy stan rzeczy.

– Rozumiem – odrzekł krótko Lahtar. – Dziękuję za wszystko... mistrzu.

Neshaden powoli wstał i wyprostował się.

– Nadal wierzysz, że zwyciężysz. Nadal sądzisz, że to ty miałeś rację? – zapytał Nam.

Przez moment wydawało mu się, że na twarzy Suhaszu po raz pierwszy pojawił się słaby, nieuchwytny cień. Zapowiedź niepewności.

– Czas się o tym przekonać – odparł sucho Neshaden.

Przegrasz – pomyślał nagle z oszołamiającą jasnością Lahtar. *Myliłeś się. Już przegrałeś*.

– Powodzenia – powiedział jeszcze Suhaszu. – I pamiętaj! – Po raz ostatni popatrzył na dumną, pogrążoną w ostatecznym spokoju twarz Ehli. – W każdej chwili pamiętaj.

Odwrócił się i szybkim, stanowczym krokiem wyruszył na spotkanie własnego przeznaczenia. Ani razu nie obejrzał się za siebie.

– Żegnaj, przyjacielu – szepnął cicho Lahtar, tak, by tamten nie mógł go już usłyszeć.

* * *

Żywioły rozproszyły się, mgła ustąpiła. *Sahl* na moment powróciła do swego legowiska – wewnątrz powietrza,

wewnątrz chmur, wewnątrz ziemi – cały czas była jednak przyczajona i gotowa do kolejnego skoku. Wzgórze zalała fala stłumionego światła – daremny, rozpaczliwy atak czerwonego słońca w ostatniej sekundzie przed zmierzchem.

Lahtar stał naprzeciwko przygarbionej sylwetki w fioletowych szatach, ozdobionych pasami w barwach Siedmiu Błyskawic. Wiatr targał tlącymi się na *dem-ter-an* płomieniami i siwymi włosami trzymającego laskę mężczyzny. Władca Burz patrzył na Lahtara smutnym wzrokiem, nie starając się ukryć swojego zmęczenia.

– Wciąż jeszcze możesz się wycofać – powiedział.

Lahtar potrząsnął głową.

– Myliliśmy się – odrzekł. – Nie da się powstrzymać burzy. Można tylko iść na jej czele.

Władca Burz skinął lekko głową, jakby przyjmując do wiadomości to wyjaśnienie.

Tak wiele rzeczy – pomyślał Lahtar. *Tak wiele rzeczy moglibyśmy sobie powiedzieć po tych wszystkich latach, ja i ty. Ja i ty. Ale żadna z nich nie ma znaczenia dla tego, czym się staliśmy.*

Władca Burz nadal spoglądał na niego w milczeniu. Na jego twarzy nie pozostał już żaden ślad dawnej pewności i bezczelności, choć w oczach tliły się ostatnie iskierki tamtej trzeciej siły, którą kiedyś Lahtar rozpoznał na samym końcu. Trybiki na ich dnie ciągle jeszcze kręciły się, coraz słabiej lecz nieprzerwanie, nadal korygując plany, manewrując kurczącą się wizją, wciąż nie chcąc się poddać,

aż do ostatniego momentu próbując ograniczyć rozmiary klęski.

– Przykro mi – powiedział Lahtar. – Dziś to ja pokieruję naszą ostatnią lekcją.

Władca Burz nie odpowiedział.

– Żegnaj, przyjacielu. – Nam nieznacznie uniósł rękę.

Suhaszu wyprostował się i odrzucił laskę.

Nie było żadnego przyzwania, żadnej koncentracji, żadnych przygotowań. Żadnych zbędnych ułamków sekund, które mogłyby dać przeciwnikowi czas na odpowiedź. Fioletowa Strzała, efekt wieloletnich treningów, nagłych olśnień i żmudnych medytacji, efekt mistrzostwa, którego nie zdołał osiągnąć nikt przed Lahtarem, wystrzeliła w kierunku Władcy Burz, wyłapując po drodze w biegu pozostałe kolory. Ostatnia przyłączyła się czerwień.

Długa Błyskawica, najszybsza i najbardziej mordercza, jaką kiedykolwiek stworzono, przed którą nie było obrony ani ucieczki, pomknęła ku ostatniej przeszkodzie na drodze planów Lahtara. Po to tylko, by w połowie drogi napotkać swe lustrzane odbicie.

Kiedy tunel gwałtownie otworzył się w obie strony, a naprężone do ostateczności potencjały próbowały się równoważyć, została im dana jeszcze jedna krótka chwila.

– Złamałeś swoje zasady – westchnął Lahtar. Zdumienie, niepokój, podziw i ulga zmieszały się w nim zbyt mocno, by dało się je od siebie oddzielić.

Władca Burz znów skinął głową. Oczy, którymi spojrzał teraz na Lahtara był zimne i puste, jakby czerwień

dokonała już dzieła zniszczenia.

Nie paliła się w nich już ani jedna iskra nadziei.

Potem rozszerzający się wir chaotycznie splecionych żywiołów przesłonił jego postać.

Lahtar spokojnie oczekiwał wyroku *sahl*. *Jestem dzieckiem tej ziemi* – pomyślał jeszcze. *Muszę wygrać. To moje przeznaczenie.*

Nie wiedzieć czemu, ostatnim obrazem, jaki stanął mu przed oczami, był dziwaczny, niezdarny kwiatek na grubej łodyżce, wpleciony we włosy dziewczyny w purpurowej sukni.

* * *

Władca Burz powoli otworzył oczy, nieco zaskoczony tym, że wciąż jeszcze oddycha. A więc jednak zwyciężył i tym razem. Kiedy zawiodło go wszystko inne, ocalił go zwykły przypadek, chwilowy kaprys *sahl*.

Podszedł do nieruchomego ciała Lahtara. Uklęknął obok i delikatnie zamknął powieki Nama, zakrywając wyzierającą spod nich pustkę. Potem przez długi czas w skupieniu wpatrywał się w jego twarz.

Słońce już zaszło, zaczęło się ściemniać, lecz on wiedział, że dla niego dzień jeszcze się nie zakończył. Wkrótce też dobiegł go warkot lądującego wiro-spadu, a następnie cichy odgłos kroków. Westchnął i z niechęcią wstał. Odszukał *dem-ter-an* i, dzierżąc laskę w dłoni, wyszedł na spotkanie nadchodzącym.

Na twarzy Przewodniczącego Wielkiej Rady Suhaszu, Mesannepaddy malowało się zauważalne napięcie. Szybkim spojrzeniem obrzucił nieruchomą sylwetkę Lahtara, po czym stanął przed Władcą Burz, nieznacznie oglądając się na towarzyszącego mu młodego mężczyznę w fioletowej tunice.

Rimusz Ki – pomyślał Władca Burz. *Tylko on przybył tutaj wraz z Mesannepaddą, jako jedyny z moich uczniów. Mogłem się tego spodziewać.*

– Wojska Namów właśnie zaczęły się wycofywać. Dzięki zaklinaczom wiedzą już o swojej klęsce – oznajmił Przewodniczący. Szybko przełknął ślinę, po czym kontynuował. – Cały naród Suhaszu święci twój triumf. Będziemy jednak mieć jeszcze odpowiednią sposobność, by należycie go uczcić. Teraz zaś trzeba nadać mu ostateczny wymiar, opanować to, co kiedyś wymknęło się spod kontroli. – Mesannepadda mówił szybko i składnie, recytując wcześniej przygotowaną przemowę. – Upłynie wiele czasu, nim Namowie zdołają zastąpić *sahl-ita* Lahtara. Jeśli uderzysz teraz, nie zdołają się uchronić przed twoją mocą i pójdą w rozsypkę. Przed nami pojawiła się niepowtarzalna okazja. Przy odrobinie szczęścia i wysiłku zdołamy sforsować góry i wtargnąć do Ansal. Raz na zawsze pozbędziemy się naszych problemów.

Władca Burz nabrał lekko powietrza.

– Zdajemy sobie sprawę, że elcyt ukryty w zboczach utrudni nam zadanie – wtrącił jeszcze prędko Przewodniczący, jak gdyby próbując uprzedzić jego

odpowiedź. – Ale wiemy też, że teraz, kiedy zabrakło, *sahl-ita*, przełamanie Blokady będzie możliwe. Neshadenie Esz – usta Mesannepaddy zadrżały. – Armia i Rada czekają. Jaka jest twoja decyzja?

Przewodniczący zwrócił się do niego: "Neshadenie Esz". Nie: "Władco Burz".

W oczach Mesannepaddy żarzyło się zdenerwowanie, lecz źrenice Rimusza Ki lśniły podnieceniem i determinacją, taksując całe jego zmęczenie.

– Nie – odparł Władca Burz, prostując się. Potoczył spojrzeniem wokół, jakby spodziewał się dostrzec gdzieś niewidzialnego sprzymierzeńca.

Po prostu nie.

Przewodniczący przygryzł wargi i niezdarnie odsunął się na bok.

Dwaj mężczyźni w fioletowych szatach przez długą chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Jesteś zdolnym człowiekiem, Rimuszu Ki – powiedział w końcu Władca Burz – i być może pewnego dnia istotnie zdołasz mnie pokonać... – Przywołał na twarz zimny, smutny uśmiech. – Nie sądzę jednak, by miało to nastąpić już dzisiaj.

Zapadło milczenie. Dwaj mężczyźni w fioletowych szatach nadal stali nieruchomo naprzeciwko siebie. Gęsty pot spływał po twarzy Przewodniczącego Mesannepaddy.

Wreszcie Rimusz Ki drgnął i pochylił głowę w krótkim ukłonie. Także odpowiedział uśmiechem – pewnym siebie i bezczelnym. Potem bez słowa odwrócił się i odszedł.

Mesannepadda wybałuszył oczy ze zdumienia, natychmiast jednak otrząsnął się i niezgrabnie pobiegł w ślad za nim, najwyraźniej bojąc się choć przez krótki moment pozostać sam na sam z Neshadenem.

Władca Burz nie patrzył za odchodzącymi. Usiadł na ziemi i odłożył swą laskę, po czym potarł dłońmi skronie. Z przyzwyczajenia sięgnął zmysłami we wszystkie strony świata, śledząc linie *sahl*. Potem westchnął, zamknął oczy i z poczuciem ostatecznej rezygnacji odłożywszy na bok wszystkie niepotrzebne myśli, wszystkie niezrealizowane plany, wszystkie pytania, na które nie było odpowiedzi, klęski, których nie można było cofnąć, trwał, po prostu trwał na wybranym przez siebie posterunku, wsłuchując się w gasnącą pieśń dalekich żywiołów.

Pocałunek Królowej Piasku – Artur Laisen

W tekście umieszczony został fragment baśni Hansa Christiana Andersena „Królowa Śniegu” w przekładzie Stefanii Beylin i Stanisława Sawickiego.

Jej czary się rozwiały,
Gmach strachu runął w gruzy,
Złe żądła wyschły z trucizn,
Me ostrze śmierć jej wróży.

Królowa Ciemnej Strony
Ostatni wznosi wrzask:
"*O śmiałku, mój zabójco,*
Umrzesz, gdy wstanie brzask."

Królowo Ciemnej Strony,
Wiem, prawdę rzekłaś mi,
Umrę, gdy przyjdzie jutro,
Lecz dzisiaj umrzesz ty.

A.E. Housman *Last Poems III*
przekład autora

Mężczyzna podniósł wzrok, wpatrując się gdzieś przed siebie. Miał ciemne, naznaczone gdzieniegdzie siwymi pasmami, nieco przydługie włosy i skupioną, zmęczoną twarz. Nie, wcale nie był stary – jeśliby przyjrzeć mu się dokładnie, wówczas okazałoby się, że jest o wiele młodszy, niż wydawało się na pierwszy rzut oka. Pomimo siwizny wciąż zapewne wyglądałby młodo, gdyby nie postarzał go nienaturalny wyraz twarzy. Ktoś uważny – ktoś, kto nie był pochłonięty jedynie własnymi sprawami – mógłby stwierdzić, że w jakiś dziwny sposób mężczyzna ten zupełnie nie pasuje do miejsca, w którym się znalazł. Nie pasowało do zatłoczonej, wypełnionej gwarem rozmów sali ani jego chłodne, czujne spojrzenie, ani pełny kieliszek, który trzymał w lewej ręce z niedbałym wdziękiem. Tak, ktoś uważny z całą pewnością dostrzegłby również wiele innych niepokojących szczegółów.

Zaproszeni na przyjęcie goście byli jednak całkowicie zajęci sobą. Stali w kilkuosobowych grupkach, pogrążeni w wesołych rozmowach o niczym, co jakiś czas wymieniając kieliszki.

Wysoka, jasnowłosa kobieta w czerwonej sukni odłączyła się właśnie od jednej z takich grupek i ruszyła w stronę bufetu. Przechodząc obok stolika, przy którym siedział samotny mężczyzna, nieoczekiwanie, jakby przypadkiem, zatrzymała się i popatrzyła mu prosto w oczy. Jej do tej pory zamglony alkoholem wzrok nagle wyostrzył się i nabrał nieprzyjemnej głębi. Mężczyzna drgnął.

Uśmiechnęła się. Ten gest nie miał nic wspólnego z uśmiechami bawiących się na sali kobiet. Gdyby ktoś uważny przyjrzał jej się teraz, gdyby mógł widzieć ją czujnymi oczami siedzącego przy stoliku mężczyzny, nagle zdałby sobie sprawę, że wszystko wokół niej wydaje się zaledwie nieistotnym tłem. Nie chodziło jedynie o to, że była piękna, że jej falujące włosy i powłóczyste spojrzenie obiecywały więcej niż spojrzenia wszystkich innych kobiet. Nie, tutaj było coś jeszcze.

Coś niepokojącego.

Sama przysunęła sobie krzesło i usiadła naprzeciwko mężczyzny. W jej uśmiechu czaił się triumf.

– Podziwiam cię – powiedziała. Ironia w jej oczach przeczyła wypowiadanym słowom. Głos emanował słodyczą, a jednak była w nim jakaś twardość. – Inny wpadłby na twoim miejscu w panikę. Ty nigdy nie tracisz zimnej krwi.

Mężczyzna nie odpowiedział. Po raz kolejny uważnie rozejrzał się wokół.

– Wciąż nie rozumiesz, prawda? – rzekła z rozbawieniem kobieta. – Nie wiesz, jak się tutaj znalazłeś... Tiar?

Na dźwięk tego imienia mężczyzna znów drgnął. Tym razem w jego oczach pojawił się błysk zrozumienia.

– Twoja ostatnia próba – wyszeptał. – Twoja ostatnia iluzja. Tak, to musi być iluzja Pałacu. Zbyt pewnie się tutaj czujesz.

– Ja wszędzie czuję się dobrze, podczas gdy ty wszędzie byłbyś nie na miejscu. – Wydęła pogardliwie swe piękne

wargi. – Już dawno powinieneś był to zrozumieć. To nie iluzja. – Zatoczyła ręką wokół i roześmiała się. Jej śmiech był dziwnie ciężki – opadał na mężczyznę falami, wyraźnie go przytłaczając. – Nie spodziewałeś się tego, prawda?

– Nie potrafiłabyś tego dokonać. – Ręka mężczyzny powędrowała ku szyi. Rozpiął kołnierzyk i wciągnął głęboko powietrze. *Jak duszno* – pomyślał. *Jak duszno*.

– Czyżby? – odparła z ironią. – Skąd możesz wiedzieć czego potrafię, a czego nie potrafię dokonać?

Przez twarz mężczyzny przemknęło wahanie. Zmarszczył brwi.

– Tak – powiedziała kobieta. – Tak, nie mylisz się. To naprawdę nie jest kolejna iluzja. Czemu się nie cieszysz? Przecież o to właśnie ci chodziło.

– Nie rozumiem – stwierdził obojętnym tonem. Nie było w nim bezradności. – Sama pozwoliłaś nam odejść? Sama nas stamtąd przeniosłaś?

– Tak – powtórzyła kpiąco.

– A więc *już* przegrałaś.

– Nie tym razem – w słowach kobiety znów zagościła nuta triumfu. – Nie mogę przegrać. Rzuciłam na szalę całą swą moc. Nie tylko ty umiesz stawiać wszystko na jedną kartę, Tiar.

– I nie boisz się mi o tym mówić? – Usta mężczyzny wykrzywiły się w zalążku uśmiechu.

– Nie zdołasz uciec. Wrócisz ze mną.

– Nie zatrzymasz mnie. Nie zatrzymasz nas.

W chwili gdy mężczyzna wypowiedział słowo *nas*, na jego obliczu po raz pierwszy pojawił się niepokój. Usiłował oderwać oczy od siedzącej naprzeciwko, chciał wstać i znów rozejrzeć się wokół, jednak spojrzenie kobiety hipnotyzowało i zatrzymywało w miejscu. Choć nikt oprócz niego tego nie spostrzegł, wszystko spowiła ciężka, bezbarwna mgła.

Jak duszno. Znowu duszno.

Nagle coś się zmieniło. Powiał chłodny, oczyszczający wiatr – znów nikt nie zwrócił na to uwagi. Powietrze odzyskało swą orzeźwiającą przejrzystość.

Mężczyzna odsunął krzesło i wstał. Oderwał wzrok od towarzyszki i wiedziony instynktem ruszył ku wyjściu z sali. Jasnowłosa piękność patrzyła za nim z rozbawieniem, na dnie którego czaiło się jednak ledwo zauważalne napięcie.

W drzwiach pojawiło się kilkoro nowych gości. Pośród nich, nieco z boku, stała dziewczyna o prostych kasztanowych włosach. Tiar wciągnął głęboko powietrze.

Miała na sobie niebieską sukienkę. Była młodsza od blondynki w czerwieni i z pewnością nawet w połowie nie oszałamiała tak urodą. Pomimo to każdy, kto wpatrywał się w nią wystarczająco długo, kto wiedział, jak należy na nią patrzeć, dochodził do wniosku, że była piękna.

Idący w jej stronę Tiar miał wrażenie, że słyszy szum wiatru.

Dziewczyna w drzwiach potoczyła wokół swymi zielonymi oczami – serce Tiara gwałtownie zabiło, gdy wydało mu się, że na krótko zatrzymały się właśnie na nim.

Ruszyła w głąb sali, wsparta na ramieniu wysokiego, przystojnego chłopaka. Tiar zmarszczył brwi, jednak zaraz potem wzruszył ramionami. *Potrzebuję tylko jeszcze jednego spojrzenia* – pomyślał.

Spotkali się dokładnie na środku. Spoglądała na niego przez moment, potem jej twarz rozjaśnił uśmiech rozpoznania.

– Cześć, Tim – powiedziała wesoło. – Nie spodziewałam się, że cię tu spotkamy. Znasz Rogera, prawda? – W jej głosie zabrzmiała nuta czułości, gdy odwróciła się do jasnowłosego towarzysza.

Mężczyzna, który jeszcze przed chwilą sądził, że ma na imię Tiar, odpowiedział spokojnym, obojętnym uśmiechem. Uśmiech ten w żadnym razie nie mógł należeć do człowieka, którym wydawał się być jeszcze tak niedawno, za to doskonale pasował do tego miejsca. Siedząca w kącie sali kobieta w czerwonej sukni, cały czas uważnie obserwująca tę scenę, teraz również uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

– Witaj… – odparł Tim. Nieoczekiwanie zmarszczył brwi, jakby wyczuwając jakiś fałsz w dźwięku imienia, które właśnie zamierzał wypowiedzieć. Nie wypowiedział go. To nie miało sensu. Przez jego oblicze przemknął grymas niepewności, ustępując miejsca nagłemu olśnieniu. *To nie tak* – pomyślał. *To nie to imię*. Zaraz powinienem sobie przypomnieć.

Dziewczyna w niebieskiej sukni spojrzała pytająco, jej partner patrzył gdzieś w bok, prawie w ogóle nie zwracając

na niego uwagi.

Jasnowłosa kobieta przy stoliku lekko pobladła.

Świat na moment zawirował.

* * *

Miała na imię Ava. W niektórych światach nazywali ją Królową Śniegu. Wybrała sobie siedzibę daleko na północy, ponieważ ukochała wieczną zimę. Tak przynajmniej głosiły legendy. Lecz nie było to prawdą. Ci, którzy widzieli jej pałac, ze zdumieniem odkrywali, że w pewnym momencie wieczny śnieg ustępował miejsca piaskowi, a zza niedającej się przeniknąć z zewnątrz zasłony wyłaniały się zielone korony palm. Bo w rzeczywistości Ava była Królową Piasku – władczynią bezbarwnej mgły i dusznych namiętności. O tym jednak nie wiedziano, nikt bowiem z tych, którzy dotarli do Oazy już z niej nie powracał. Skuszeni obietnicą wiecznego lata, upojeni dotykiem gorącego piasku, zaczarowani pieszczotami, które dostrzegali w oczach Avy, na zawsze stawali się niewolnikami Pałacu.

Prawie nikt z nich nie tęsknił za światem, jaki pozostawili na zewnątrz. Ci zaś, którym się to przytrafiało, nie znajdowali w sobie dość sił, by odejść. Jeśli nawet odkrywali, że cała słodycz, jakiej doznawali w Pałacu, niesie ze sobą tylko gorycz i smutek, zdawali sobie jednak również sprawę, że świat na zewnątrz ma im w zamian do zaofiarowania jedynie śnieg i pustkę. I choć z każdym dniem zatracali się coraz bardziej, choć przeczuwali, że pieszczoty Królowej Piasku nieuchronnie rozmywają w nich

pragnienie miłości, wiedzieli także, że w prawdziwym świecie pozostałoby ono zaledwie niespełnioną, nieukojoną tęsknotą. Wierzyli, że ostry, rozdzierający serce smutek, jaki pozostawili *tam,* boli bardziej niż mętna, przytępiona gorycz, jakiej doznawali *tutaj*, zanim do reszty nie rozpuścili się pośród słodyczy wiecznego lata, pośród piasku, bezbarwnej mgły i pieszczot Królowej.

Miała na imię Ava. Wybrała siedzibę pośród wiecznego śniegu, tak by ci, którzy znaleźli się wewnątrz Oazy, zrozumieli, że poza nią jest tylko chłód i pustka. Nigdy nie ingerowała w losy któregokolwiek ze światów, czasem jednak, znudzona swym dotychczasowym towarzystwem, wciąż spragniona odmiany, wyruszała w daleką podróż, poszukując i przyzywając tych, którzy mogliby dzielić z nią rozkosze Pałacu. Mówiono, że zawsze zdobywała mężczyzn i kobiety, których pragnęła i zmuszała ich, by podążali za nią. Nikt nigdy nie oparł się jej urokowi, nikt nigdy nie zdołał się od niej uwolnić. Mówiono, że gdyby kiedyś tak się stało, jej zdruzgotana moc nie mogłaby utrzymać Oazy, a zbudowany na piasku pałac rozsypałby się w podmuchach zimnego wiatru. Nikt jednak nie spodziewał się, by kiedykolwiek miało to nastąpić. Choć obietnice Królowej Piasku były kłamstwem, wszyscy wiedzieli przecież, że kłamstwo jest lepsze od pustki.

* * *

Gdzieś z dołu dobiegały odgłosy zabawy. Samotny mężczyzna o ciemnych, lekko przyprószonych siwizną

włosach nie zwracał jednak uwagi na śmiech kobiet, gwar rozmów i plusk pałacowej fontanny. W jakiś dziwny sposób nie pasował do miejsca w którym się znalazł. Stał tuż przy oknie, zapatrzony w mieniącą się złotem płaszczyznę. Morze piasku zdawało się ciągnąć w nieskończoność, choć przecież w którymś miejscu musiało ustępować śniegowi. Usiłował przebić wzrokiem niewidoczną barierę, wiedział jednak, że mu się to nie uda – jeśli nawet rzeczywiście istniała Granica, to skrywała ją przeźroczysta mgła. Kto wie, gdyby odnalazł inne okno... Potrząsnął głową. Tutaj wszystkie okna był takie same. Żadne z nich nie prowadziło na zewnątrz.

– Znudziło ci się nasze towarzystwo, Tiar?

Stojący przy oknie odwrócił się – szybko, sprężyście, bezszelestnie. W jego ruchach czaiła się groźba, nie zrobiła ona jednak najmniejszego wrażenia na człowieku, który znalazł się za jego plecami.

Tamten miał czarne jak węgiel włosy i śniadą cerę. Ubrany był w luźne, jedwabne szaty. Uśmiechał się, lecz w jego uśmiechu nie było nawet odrobiny radości. Nie było też w nim smutku ani groźby, tak jak w uśmiechu Tiara. Jedynie odległe, beznamiętne rozbawienie.

– Wiem, że Jej nic nie może zastąpić, ale cóż z tego? – powiedział życzliwie przybysz. – Zejdź ze mną, na dole czeka wiele kobiet. Któraż z nich nie pragnęłaby spędzić choć trochę czasu z ulubieńcem królowej?

– Powiedz, co sprawia, że jesteś taki odważny, Capr? – W głosie Tiara zabrzmiało sztuczne, nieszczere zdziwienie.

– Zdaję sobie sprawę, że w tej chwili moje szanse wydają się niewielkie, ale... Skąd ta pewność, że nigdy nie będzie mi dana okazja, by cię zabić? Nie boisz się? Nie boisz się, spoglądając mi w oczy?

– Nie, mój stary przyjacielu. Tutaj nikt nikogo nie zabija. Wszystko, co ci pozostało to tylko to twoje zimne spojrzenie. Nienawiść? Nie uciekniesz stąd dzięki nienawiści. Zemsta? Też niewiele ci pomoże. To tylko kolejne namiętności, słabsze od tych, które może podarować królowa. Rozmyją się w ogniu Jej pieszczot. Pamiętaj, że to ona włada wszystkimi namiętnościami. Szukasz klucza, by wydostać się na zewnątrz? Wielu szukało. Ale to nie nienawiść jest kluczem. Nie ma żadnego klucza.

Tiar spoglądał na niego przez chwilę, nic nie mówiąc.

– Nie obrażaj się, wojowniku. – Capr ostrożnie położył rękę na ramieniu Tiara. Tamten wzdrygnął się, w jego oczach wciąż czaiła się obietnica śmierci.

– Czemu nie chcesz się pogodzić z tym, że jesteś jednym z nas? – ciągnął Capr. – Dlatego, że dotarłeś tu przypadkiem, a nie zostałeś przywieziony w jej saniach? Byli i inni przed tobą, którym się to udało.

– Wcale nie chciałem tutaj dotrzeć. Nie szukałem Pałacu – odrzekł z naciskiem Tiar.

– Tak wiem, wiem... Znam tę opowieść. Byłeś wojownikiem, wysłannikiem, posłem? Powierzono ci ważną misję do wypełnienia. Tak, boli cię, że tego nie pamiętasz? Tutaj nie można pamiętać takich rzeczy. Uciekając przed

tymi, którzy cię ścigali, dotarłeś do miejsca, gdzie zacierały się granice światów...

– Nie chciałem tu dotrzeć.

– Chciałeś, chciałeś... – zarechotał Capr. – Jesteś strasznie zakłamany. Słowo daję, bardziej zakłamany niż my wszyscy razem wzięci. Chciałeś tu dotrzeć, inaczej nigdy by ci się to nie udało. Miałeś wybór. Mogłeś pozostać na zewnątrz, zakłuty grotami włóczni, rozszarpany kłami ścigających cię potworów. Mogłeś umrzeć z zimna. Zapomniałeś, ile mocy musiała poświęcić Ava, by cię uratować? Umierałeś, Tiar. A jednak wybrałeś życie. Mądry wybór, przyznaję. Czemu jednak wmawiasz sobie, że było inaczej?

– Po prostu uciekałem. Miałem pecha.

– Miałeś szczęście. Udzielono ci azylu, tak jak wielu przed tobą. I w końcu żaden z nich nie zechciał już odejść. Oaza to szczególne miejsce. Zbiega się tutaj wiele dziwnych dróg.

– Ja odejdę. Ja jestem inny. Jestem...

– Tak? – Capr pokręcił głową w geście życzliwego politowania. – Zaginionym księciem, władcą pozbawionym królestwa? Być może, ale to było kiedyś, zanim przekroczyłeś granice Oazy. Czy wiesz, dlaczego tego nie pamiętasz? Kimkolwiek byłeś, przestałeś nim być. Nigdy nim nie byłeś. Teraz to tylko twoja wyobraźnia. Liczy się to, co jest tutaj.

Tiar nie odpowiedział. Nienawiść w jego spojrzeniu osłabła, ustępując miejsca zniechęceniu.

– No! – uśmiechnął się szeroko Capr. – Widzę, że ci przeszło. Za to właśnie cię lubię. Wiesz, kiedy przestać. Chodź na dół, gdzie są wszyscy, jakoś wytrzymamy do Jej powrotu.

Tiar dał się wziąć za ramię i wyprowadzić. Gdy zagłębili się w ciemnym korytarzu, na jego twarzy znów pojawił się uśmiech.

– I tak cię kiedyś zabiję – szepnął.

Capr zarechotał, jak gdyby właśnie usłyszał dobry żart.

Wilczy uśmiech wciąż malował się na pogrążonej w mroku twarzy Tiara.

* * *

Mijały dni. Tygodnie, miesiące, lata? Tutaj nikt nie poszukiwał straconego czasu. Czas nie miał tutaj żadnego znaczenia. Pałac był wieczny, wieczne też były namiętności i uśmiech Królowej. Nie sposób było zauważyć w tym miejscu przemijania.

Jedynym, co przemijało, była tęsknota – za wszystkim tym, czego nawet tutaj nie można było odnaleźć. Tam, gdzie nie było tęsknoty, nie mogło być również bólu. Ich miejsce zajmowała obłaskawiona, bezpieczna pustka.

Któregoś dnia powróciły sanie Królowej Piasku.

Chłopak był wysoki, wyższy nawet od Tiara, miał wspaniałą blond czuprynę, regularne rysy twarzy i łagodne oczy. Nazywał się Kel. Rozglądał się wokół zachwyconym, radosnym spojrzeniem. Ava wypatrzyła go w jednym ze światów, gdzie ludzie wciąż poszukiwali cudów. Wyglądało

na to, że Kel właśnie swój odnalazł. Już na pierwszy rzut oka można było w nim rozpoznać jednego z tych, którzy nigdy nie będą pragnęli opuścić Pałacu.

Wszyscy z radością przywitali powrót Królowej Piasku, ona zaś, posadziwszy nowego ulubieńca po swej prawej stronie, obserwowała ich z rozbawieniem i obdarzała spojrzeniami pełnymi obietnic. Czas nabrał nieco tempa, choć nadal nikt nie byłby w stanie dostrzec oznak przemijania.

Co wieczór obszerny hol, w którym odbywała się biesiada przybierał zupełnie inną postać, spełniając życzenia pani Pałacu. Tym razem miał kształt elipsy. Złoty tron Królowej znajdował się naprzeciwko szerokiego wejścia, którego strzegli ubrani na wschodnią modłę strażnicy. Środek sali był całkiem pusty, po jej bokach natomiast znajdowały się wysokie kolumny i miękkie sofy, na których spoczywali mężczyźni i kobiety, wszyscy odziani w piękne, lśniące szaty.

Tiar stał z prawej strony sali, w cieniu jednej z kolumn, trzymając w ręku puchar z winem. Wpatrywał się w wielki, złoty tron Królowej. Od niechcenia taksował wzrokiem radosną twarz jej nowego wybranka.

– Jesteś zazdrosny, co, Tiar? – usłyszał tuż przy swoim uchu głos Capra.

Nie odwrócił głowy. Wypił już dwa puchary i nie chciało mu się nawet obdarzać tamtego zimnym spojrzeniem. Nie wiedział, czemu pije aż tyle. Tutaj nie potrzeba było wina, by zapomnieć o wszystkim i oddać się namiętnościom.

– Czemu mnie tak nienawidzisz? – spytał obojętnie.

– Nie – odparł Capr. – To przecież ty mnie nienawidzisz. Nienawidzisz nas wszystkich. A najbardziej siebie samego. W wyobraźni widzę, jak znów chwytasz za broń. Gdybyś mógł, naprawdę byś mnie zabił. Może chcę się za to zemścić. Na zewnątrz byłeś kimś ważnym, albo przynajmniej tak ci się zdawało. Ja byłem nikim. Umiem rozpoznać takich jak ty. Zapewne nawet nie byłbym w stanie się do ciebie zbliżyć. Ale Pałac zatarł różnice. Są miejsca, które ukazują różnice między ludźmi i takie, które je zacierają. To na szczęście należy do tych ostatnich. Cieszę się, że spotkaliśmy się właśnie tutaj.

– Czego chcesz?

– Po prostu pogawędzić. Bawi mnie twoje towarzystwo. To, że mogę działać na nerwy komuś takiemu jak ty. A może jestem po prostu ciemną stroną twej duszy. – Capr zaśmiał się hałaśliwie. – Przyznaj się, nigdy nie brałeś pod uwagę takiej możliwości? Pewnie nawet nie przyszło ci to do głowy. Pałac Avy to dziwne miejsce, tutaj wszystko może się zdarzyć. Nie uwierzyłbyś, że ktoś taki jak Capr mógłby być twoim drugim ja, co?

Po raz pierwszy tego wieczora Tiar się uśmiechnął. Odwrócił się i spojrzał w oczy swego rozmówcy.

– Kto wie, Capr, może to właśnie była ta ostatnia kropla?

Tamten tylko pokręcił z rozbawieniem głową. Jakiś czas stali obok siebie w milczeniu.

– On jest młody i świeży – powiedział po chwili Capr, tym razem już poważniejszym tonem. – Życie nie zdołało go jeszcze naznaczyć. Ava lubi takich. Nie wiem, czemu ma do ciebie słabość. W tobie nie zostało już nic z młodości, chociaż zapewne jesteś najwyżej o dziesięć lat starszy od tego smarkacza. Założę się, że od urodzenia byłeś stary.

Tiar nic nie odrzekł.

– Nie przejmuj się. On w końcu jej się znudzi, tak jak znudzili się jej wszyscy, których kiedyś tutaj przywiozła. Wszyscy oprócz ciebie.

– Panie?

Przed nimi stał pałacowy strażnik w czerwonych, błyszczących szatach i wykonanym z tej samej materii turbanie. Spoglądał na Tiara martwo i beznamiętnie, jednak iluzja sprawiła, że w jego głosie dźwięczała nuta szacunku.

Gdybym zamknął oczy, mógłbym wręcz uwierzyć, że jest realny – pomyślał Tiar. *Kto wie, może już wkrótce stanę się do niego podobny.*

– Panie – powtórzył strażnik. – Królowa cię wzywa.

Capr mrugnął do niego porozumiewawczo. Tiar odstawił swój puchar i ruszył w ślad za strażnikiem.

Szli środkiem holu. Tiar czuł na sobie zazdrosny wzrok tych, którzy pragnęliby znaleźć się teraz na jego miejscu. Znów ze złością spostrzegł, że sprawiają mu one przyjemność.

Był taki sam jak oni.

Stanął przed tronem Królowej. Uśmiechnęła się, a jej oczy roziskrzyły się setkami obietnic. Obietnica dusznej

namiętności. Obietnica bólu. Obietnica nienawiści. Obietnica rozkoszy. Obietnica nicości. Jeszcze przed chwilą był pewien, że uda mu się im oprzeć. On był przecież inny.

Pochylił głowę i uklęknął.

Był taki sam jak oni.

– Wstań, Tiar – powiedziała Ava. – Podejdź i zajmij swoje miejsce.

Posłusznie wykonał jej polecenie.

Królowa uśmiechnęła się do swego młodego towarzysza, który siedział obok niej na pozłacanym krześle. – Czy znasz Tiara, Kel?

Zdezorientowany chłopak pokręcił głową. Spoglądał na ciemnowłosego mężczyznę z wyraźnym niepokojem.

– Tiar zawsze stoi w cieniu mojego tronu, bez względu na to, kto zasiada obok mnie. Będzie tam stał, gdy twoje miejsce zajmie już ktoś inny – rozkoszowała się konsternacją chłopaka. – Jest w nim coś, co mnie intryguje.

Kel wybałuszył zlęknione oczy.

Królowa znowu przeniosła swój wzrok na Tiara.

– Patrz na niego uważnie chłopcze, to dziwny przypadek. Tam. skąd pochodzisz nazywają mnie Królową Śniegu. Czy sądzisz, że jestem zimna, Kel?

– Nie, pani! – zaprzeczył gwałtownie chłopak. – Nigdy bym tak nie powiedział.

– A więc spójrz na niego. To właśnie on jest prawdziwym księciem śniegu. Jest w nim lód, którego nawet mnie nie udało się do końca roztopić. W końcu tego dokonam i wtedy zapewne przestanie mnie już intrygować.

On zdaje sobie z tego sprawę. Pewnie się dziwisz, Kel, czemu ciągle jest przy mnie?

Chłopak niezdarnie zaprzeczył.

– Widzisz, on sam przed sobą udaje, że jest teraz bardzo nieszczęśliwy. On myśli, że jest inny niż wszyscy. Że kiedyś był silny i czysty i czasami wciąż za tym tęskni. Wierzy, że znów jak feniks powstanie z popiołów i zdoła się ode mnie uwolnić. Że wreszcie wyruszy w dalszą drogę. Oczywiście to nieprawda. Nigdy mnie nie opuści. W głębi duszy wie, że może się ogrzać jedynie w ogniu moich namiętności. Wszystko inne na świecie jest zbyt słabe, by choć trochę roztopić jego lód i bardzo szybko by mu się znudziło. W gruncie rzeczy jest w nim więcej perwersji niż w takim na przykład Caprze, tyle tylko, że myślenie o tym czasem sprawia mu przykrość. Mam rację, przyjacielu?

Tiar spuścił wzrok.

Królowa z powrotem odwróciła się do Kela.

* * *

Przez sam środek bezkresnej, śnieżnej pustyni wędrowały dwie postacie. W oczywisty sposób nie pasowały do miejsca, w którym się znalazły – do tego miejsca nie pasowało nic, co żyło i się poruszało. Młoda dziewczyna o kasztanowych włosach i zielonych oczach drżała z zimna, na próżno usiłując otulić się szczelniej swym przykrótkim futrem. Nie miała czapki ani rękawiczek, sfatygowane buty już się rozlatywały. Jej policzki były zaczerwienione od mrozu, a spływające po nich łzy niemal od razu zamarzały.

Odwracała twarz od ostrego, przeszywającego wiatru, który, bez względu na to, ile razy zmieniali kierunek, zawsze wiał z przodu, jak gdyby próbując zawrócić ich z drogi, i wtulała ją w bok wielkiego, białego renifera.

Nagle zwierzę zatrzymało się i obróciło łeb w jej stronę.

– To już tutaj – przemówił renifer.

Dziewczyna, nieco zdezorientowana, rozejrzała się wokół. Jak okiem sięgnąć, wszędzie rozciągała się nieskończona biała pustka.

– Jesteś pewien? – zapytała, z trudem łapiąc oddech. – Tutaj przecież niczego nie ma.

Renifer potrząsnął niespokojnie łbem.

– Tak. Jeśli przejdziesz jeszcze kilka kroków, znajdziesz się wśród piasków Oazy.

– To dobrze – powiedziała na pozór pogodnym tonem i skinęła głową. Widać było, że usiłuje dodać sobie w ten sposób odwagi. – To dobrze, mam już dość zimna.

– Lepiej się zastanów – chrząknął ren. – Wierz mi, piasek jest bardziej zdradliwy od śniegu. Łatwiej zagubić się pośród wiecznego lata niż wiecznej zimy. *Ona* dobrze o tym wie.

– Już się zastanowiłam.

Renifer jeszcze pochrząkiwał przez dłuższą chwilę, jakby nie wiedząc, co powiedzieć.

– Lubię cię, Gerai – rzekł w końcu. – Dam ci dobrą radę: zrezygnuj, póki możesz. Stamtąd nikt nie powrócił.

– Ja wrócę – powiedziała stanowczo dziewczyna. – Wrócę razem z nim.

Jeśli renifer może sprawiać wrażenie zamyślonego, ten tak właśnie w tym momencie wyglądał.

– Uwierzyłaś w baśnie, Gerai – stwierdził smutno. – O mówiących reniferach, Królowej Śniegu i miłości, która przezwycięży wszystko. Ale życie jest inne, moja droga. Nie daj się zwieść pozorom. Nic nie będzie takie jak sobie wymarzyłaś. Czy jesteś chociaż pewna, że rzeczywiście go kochasz?

Dziewczyna zawahała się.

– Tylko idąc tam, mogę się o tym przekonać – powiedziała wreszcie. – Nigdy bym sobie nie darowała, gdybym go tak zostawiła. Zawsze już myślałabym o nim. Nie mogłabym po prostu zapomnieć...

– A czy on naprawdę cię kocha?

Dziewczyna nie odpowiedziała.

– Uwierzyłaś w bajki – powtórzył z rezygnacją ren. – Chcesz odnaleźć miłość i pokonać Królową Śniegu. Cóż, jestem jedynie reniferem i nie wiem, jak to jest u ludzi, ale założę się, że między wami wcale nie było aż takiej wielkiej miłości. Inaczej nie musiałabyś za nim wędrować aż na koniec świata.

– Kel mnie kocha – rzekła z uporem Gerai, jakby starając się przekonać samą siebie.

– Wy, ludzie, jesteście dziwni – mruknął ren. – Gdybyście się rozstali w zwykły sposób, już za miesiąc byłoby po wszystkim. Ponieważ jednak twojego narzeczonego uwiodła Królowa Piasku, nie możesz się z tym pogodzić. W gruncie rzeczy cała ta sprawa była ci na rękę,

teraz możesz upiększać to, co utraciłaś. Tak, uwielbiacie marzyć i wspominać, żyć utraconą miłością, która tak naprawdę wcale nie istniała. Chciałabyś przeżyć romantyczną historię i liczysz na szczęśliwe zakończenie. Jesteś naiwna, Gerai.

– Nie – szepnęła dziewczyna. W jej oczach zalśniły kolejne łzy, tym razem nie od mrozu.

Renifer westchnął ciężko i spojrzał na nią nieco skonsternowany.

– Przepraszam. Cóż, może nie mam racji i to jest właśnie miłość? Może niczego innego nie ma? Bardzo cię lubię i chcę ci tylko pomóc. Boję się o ciebie. Czemu tam idziesz?

– Ponieważ nie chcę patrzeć na kolejny smutny koniec.

– Życie jest smutne i ponure, Gerai.

– Nie. Nie mogę się z tym pogodzić. Życie nie może być aż tak smutne. Tak ponure. Nie dopuszczę do tego. Myślę... – Popatrzyła przed siebie, nie bacząc na uderzający w jej twarz wiatr. – Myślę, że *ona* jest zła. Czuję to. Nie można pozwolić, by zwyciężyła po raz kolejny.

– Nie rozumiesz, na co się porywasz, dziewczyno.

– Nie. Ale w jakiś dziwny sposób wiem, że mogę ją pokonać. Że tylko... kobieta może to uczynić – delikatnie pogładziła bok zwierzęcia – Żegnaj. Bez ciebie nigdy bym tu nie dotarła.

– Żegnaj, Gerai. – Ren pokiwał melancholijnie głową. – Żałuję, że nie mogę pójść z tobą.

Dziewczyna jeszcze raz spojrzała na swego towarzysza, potem westchnęła i ruszyła naprzód. Jej postać stopniowo rozmyła się i wkrótce zupełnie zniknęła reniferowi z oczu. *Szkoda, że nie jesteś reniferem* – pomyślał. *W tobie jest coś pięknego, Gerai. Coś, czego nie ma nawet w Królowej Piasku.*

Potrząsnął łbem, po czym odwrócił się i popędzany zimnym wiatrem pognał na południe.

* * *

Przyjęcie wciąż trwało. Było wieczne, tak jak wieczne było lato. Dekoracje zmieniały się, lecz w ferworze zabawy nikt zdawał się tego nie zauważać.

Tiar stał obok tronu Królowej, która pogrążona była w cichej rozmowie z Kelem. Choć wiedział, że prawie wszyscy wpatrują się właśnie w tę parę, on również czuł na sobie spojrzenia. Pajęczynę spojrzeń. Świdrowały go spoza otaczającej wszystko bezbarwnej mgły, której on sam nie mógł w żaden sposób przeniknąć. Wydawało mu się, że patrzą na niego ci, których pozostawił na zewnątrz oraz ci, których mógłby spotkać, których miał spotkać, gdyby sam tam pozostał. Ci, których zawiódł. Patrzyli na niego z wyrzutem, choć przecież wcale go nie znali.

Nie, to nie tak – myślał ogarnięty paniką. *To wszystko wokół to tylko iluzja, dziwny sen, z którego kiedyś muszę się przebudzić. Kiedy stąd odejdę, nikt nie będzie pamiętał, czym się tutaj stałem. Nie będzie już poczucia winy. Nie*

jestem przecież odpowiedzialny za to, co dzieje się w moim śnie!

Wiedział jednak, że się myli.

Nie, to nie tak – powtarzał. *Nie jestem niewolnikiem. Naprawdę jestem właśnie taki, jaki pozostałem* tam*, na zewnątrz.*

Niepokojące przeczucie podpowiadało mu, że nie ma już żadnej innej prawdy oprócz tej, którą widzi wokół siebie.

Nie, to jakaś pomyłka. Ja jestem przecież z innej bajki…

Z każdą chwilą coraz mniej był tego pewien.

Ja jestem, jestem…

Niczego więcej nie był już w stanie sobie przypomnieć.

Królowa znów obróciła się ku niemu. W jej wzroku pojawiła się pieszczota.

– Tiar, przyjacielu, nie bądź smutny. Każ, by podano nam wina.

Wtedy stało się coś bardzo, bardzo dziwnego. Niespodziewanie, od drzwi powiał chłodny, przenikliwy wiatr. Zgasły wszystkie świece, lecz oczywiście ciemność nie nadeszła – tutaj światło nie zależało od blasku świec. Tiar dostrzegł jakiś ruch przy wejściu – w stronę tronu biegł jeden ze strażników. Pogrążeni w zabawie mieszkańcy Pałacu teraz przerwali ją i spoglądali na siebie w zdumieniu.

Po raz pierwszy czas w siedzibie Królowej Piasku zaczął przemijać.

Strażnik podbiegł do tronu, przyklęknął i gorączkowo zaczął coś szeptać do ucha swej władczyni. Na jego dotychczas doskonale obojętnej twarzy pojawiły się pierwsze oznaki paniki.

– To niemożliwe – przerwała mu zimno Królowa. Wszyscy, którzy ją usłyszeli, spojrzeli na nią ze zdziwieniem – nikt nie sądził, że jest zdolna do takiego chłodu.

Nikt oprócz Tiara.

– To niemożliwe, jak tutaj dotarła? Co z Granicą? Co z Barierami? Czemu nikt tego nie zauważył?! Docierają tutaj tylko ci, którzy mają tu dotrzeć!

Strażnik wzruszył bezradnie ramionami.

Tiar drgnął, znów rozbudziła się w nim czujność. Po głosie Królowej poczuł, że coś się zmieniło.

– Więc niech ją tu sprowadzą – rozkazała Ava.

Lecz w tym samym momencie drzwi holu otwarły się i stanęła w nich dziewczyna.

Była młoda, mniej więcej w wieku Kela. Miała zielone oczy i długie kasztanowe włosy, na których osiadły płatki śniegu. Jej twarz była zaczerwieniona, a zniszczone futro ociekało wodą – widać było, że nie zdążyła jeszcze całkiem odtajać. Przyniosła ze sobą chłód, który panował na zewnątrz i eskortujący ją strażnicy starali się trzymać od niej tak daleko, jak to tylko było możliwe. Kilka razy zakasłała – była wyraźnie zmęczona i wyziębiona. Wcale nie sprawiała groźnego wrażenia. Mimo to, gdy przechodziła, ci, którzy stali z brzegu, cofali się w głąb sali.

– Gerai!

Wszyscy zwrócili oczy na Kela.

– Znasz ją? – zapytała wyniośle Ava.

– T... tak – zająknął się chłopak. – Królowo to jest... była moja... moja narzeczona. Królowo, nie gniewaj się, ona... – jeszcze raz zająknął się i zamilkł, wpatrując się w Avę z przerażeniem.

Dziewczyna zatrzymała się na samym środku, jakieś trzydzieści kroków przed tronem Królowej. Choć wydawało się to niewiarygodne, na jej włosach wciąż jeszcze lśniły bajeczne płatki nieroztopionego śniegu. Czuć było od niej przyjemny, orzeźwiający chłód – chłód kogoś, kto przybywał z zewnątrz.

Gerai uniosła głowę i spojrzała w stronę złotego tronu. Kel siedział po prawej ręce Królowej, ubrany w fioletowe, piękne szaty. Uśmiechnęła się do niego, lecz w oczach chłopaka zobaczyła tylko strach i zaskoczenie. Poczuła, że coś boleśnie ściska ją w dołku.

Jej wzrok nagle spoczął na mężczyźnie, który stał w cieniu tronu. Jego szaty były proste i miały kolor stali. Spoglądał na nią z czujnym wyrazem twarzy. Przez Gerai przeszedł dreszcz.

Jest w nim lód – pomyślała. *To morderca. Morderca Królowej Śniegu. Jeśli przegram, to on wykona wyrok.*

Królowa patrzyła na nią z pogardliwym uśmiechem. Jej suknia wcale nie była śnieżnobiała, jak głosiły legendy. Miała barwę piasku.

Przez długą, długą chwilę mierzyły się wzrokiem. Wydawało się, że czas znów się zatrzyma, lecz tak się nie

stało. Nic już nie mogło powstrzymać przemijania.

Wszyscy obecni w holu jak urzeczeni przyglądali się tej scenie. Patrzyli na dwie kobiety, pomiędzy którymi właśnie rozpoczęła się niezwykła walka.

Przez środek sali przetaczały się fale ciepła i chłodu. Niektórzy odnieśli wrażenie, że ciepło pochodzi od Królowej, a chłód od dziewczyny, innym zaś wydawało się, że jest dokładnie na odwrót. W rzeczywistości i ciepło i chłód pochodziły od nich obydwu. Lecz duszny podmuch wiecznego lata, jaki bił z oczu Królowej Piasku różnił się od ciepłego, promiennego uśmiechu Gerai tak samo, jak wysyłana przez nią fala niewidocznego, udającego żar, przenikającego do najgłębszych zakamarków serca chłodu różniła się od zimnej orzeźwiającej bryzy, którą rozsiewała wokół siebie dziewczyna.

Ogień i lód. Lód i ogień.

W pewnym momencie niewidzialna walka ustała. Królowa Piasku uniosła brwi i niespodziewanie się uśmiechnęła.

– Po co tu przybyłaś? – w jej głosie rozbrzmiewały tysiące obietnic. Zachwiana na moment moc powróciła.

– Przyszłam po mojego narzeczonego – odparła dziewczyna. – Oddaj mi go.

Królowa zaśmiała się głośno.

– Dlaczego miałabym to zrobić?

– Zaczarowałaś go, zamroziłaś jego serce, ale ja sprawię, że lód się roztopi. – Gerai wypowiedziała na głos dawno przemyślane i wyuczone kwestie.

Oczy Avy rozbłysły triumfem.

– A zatem spróbuj.

Gerai podeszła powoli do tronu i uklęknęła obok Kela. Spoglądał na nią kątem oka i kulił się na swoim miejscu, jakby udając, że wcale go tutaj nie ma.

– Kel – szepnęła dziewczyna. Delikatnie chwyciła go za rękę. Spodziewała się, że przeszyje ją chłód, ale myliła się. Bardzo, bardzo się myliła. Ręka Kela była ciepła.

– Po co tu przyszłaś? – jęknął chłopak. – Wszystko zepsułaś. Byłem tutaj szczęśliwy. Teraz Ava na pewno mnie odprawi!

– Kel – powiedziała drżącym głosem Gerai. – Nie poznajesz mnie? To ja...

– Oczywiście, że cię poznaję – żachnął się. – Czemu tu przyszłaś? To, co było między nami, minęło. Ona daje mi znacznie więcej – jego oczy zaszły dziwną mgłą.

– Zapewne chcesz go pocałować? – zaproponowała Królowa. – Spróbuj, może w ten sposób ci się uda. Zrób to, Kel – powiedziała, widząc, że chłopak znów zerka na nią zdezorientowany. – Zrób to.

Wahając się, wyczuwając jakiś podstęp, Gerai nachyliła się ku siedzącemu na pozłacanym krześle Kelowi i złożyła usta do pocałunku.

W chwili gdy poczuła na swoich wargach jego usta, zrozumiała, że coś nieodwołalnie się zmieniło. Kiedyś pocałunek Kela był jedynie pocałunkiem. Teraz stał się czymś więcej – obietnicą nieokiełznanych namiętności, obietnicą nieznanych rozkoszy. Obietnicą wiecznego lata.

Wchłaniał ją i roztapiał, sprawiał, że zapominała o sobie. Zapominała, po co tutaj przybyła.

Wtem dostrzegła obok siebie jakiś ruch i poczuła na swym policzku niezwykły, przeżerający serce pocałunek, przy którym wszystko inne wydawało się jedynie cieniem. Pocałunek Królowej Piasku.

Oderwała się od warg Kela i cofnęła. Jej przestraszony wzrok napotkał zwycięskie spojrzenie Avy.

– Popełniłaś błąd. Uwierzyłaś w niewłaściwą baśń. Baśnie są odbiciem waszych złudzeń i tęsknot, a nie drogowskazem. Już wiesz, co się stało? Sądziłaś, że zaczarowałam twojego narzeczonego, że zamroziłam jego serce. To nieprawda. Ja tylko otworzyłam mu oczy. Twoja miłość mogłaby być tylko cieniem namiętności, które ja jestem w stanie stworzyć. To Kel sam dokonał wyboru.

– Nie – szeptała Gerai, cofając się. – Miłość to coś innego. – W oczach dziewczyny pojawiły się łzy. Płatki śniegu na jej włosach stopniały.

– To ja jestem Królową Namiętności – odrzekła z zadowoleniem Ava. – Nie płacz. Wciąż możesz mieć Kela. Ulepszę go i oddam ci, gdy mi się trochę znudzi. Teraz pozostaniesz już wśród nas. Zobaczysz, to dużo ciekawsze i przyjemniejsze niż życie, jakie pędziłabyś wraz z nim w waszym zapomnianym przez wszystkich mieście.

– Nie. – Dziewczyna cofała się ku drzwiom. Łzy spływały jej po policzkach.

– Capr! – zawołała Królowa. W jej głosie zabrzmiała nuta okrucieństwa.

– Tak, moja władczyni? – Obok tronu wyrosła nagle postać przystojnego mężczyzny o czarnych włosach i śniadej cerze.

– Zajmiesz się Gerai. Nauczysz ją życia w Pałacu. Gerai, to jest Capr. Od dzisiaj będzie twoim przewodnikiem.

Dziewczyna z przerażeniem spojrzała na twarz śniadego mężczyzny, który wpatrywał się w nią z zimnym pożądaniem.

– Kel! – krzyknęła. – Kel, błagam!

– To dla ciebie najlepsze – powiedział powoli chłopak. – Nadal będziemy mogli być razem. Zobaczysz, spodoba ci się tutaj.

– Kel – jęknęła bezsilnie.

Chłopak odwrócił wzrok.

– Nie! – zapłakała. – To nie może się przecież zakończyć w ten sposób. Musi być coś jeszcze!

Odwróciła się i zatoczyła w stronę drzwi.

Królowa pstryknęła lekko palcami.

Powietrze przed Gerai zafalowało. Dziewczyna zatrzymała się w pół kroku. Na środku holu otworzyło się Przejście. Za nim rozciągała się płaszczyzna martwego, spalonego słońcem stepu. A pośród niej poruszało się coś, co wydawało się zbyt koszmarne, by istnieć naprawdę.

– Dur-Ga, diabły pustyni. Nie są do końca realne, jedynie na tyle, żeby cię zabić – oznajmiła beznamiętnie Królowa Piasku. Wszyscy obecni na sali odsunęli się od Przejścia jak tylko mogli najdalej. Gerai również cofnęła się o krok.

– Nie bój się – ciągnęła rozbawiona Ava. – To Przejście zostało stworzone tak, że nie mogą się tutaj przedostać. Nawet cię nie widzą. Tylko ty możesz wyjść do nich.

Gerai popatrzyła na nią z niedowierzaniem.

– Tak – ciągnęła Królowa Piasku. – Oto twój wybór. Możesz zostać tutaj i stać się jednym z moich gości. Ale możesz też odejść właśnie tam. Wystaw swą wiarę w miłość na próbę. Jeśli Kel rzuci ci się na ratunek i ruszy w ślad za tobą, zlikwiduję tę iluzję, ściągnę was tu z powrotem i pozwolę ci go zabrać. Czy wierzysz w swoją miłość na tyle, by wejść pomiędzy potwory?

– Nie wierzę… ci – zawahała się dziewczyna.

– Nie wierzysz, czy się boisz?

Gerai wciągnęła głęboko powietrze. Jeszcze raz spojrzała na twarz Kela. I wtedy utraciła resztę nadziei.

– Nie rób tego! – zawołał z napięciem młody mężczyzna. – Nie bądź głupia. Tutaj jest wspaniale, spodoba ci się…

Królowa roześmiała się. Jej śmiech wypełnił cały Pałac.

– To nie może się tak skończyć – w głosie Gerai gniew mieszał się ze smutkiem. Nie potrafiąc wytłumaczyć, czemu to robi, rzuciła się do przodu, byle uciec, uciec jak najdalej od śmiechu Królowej Piasku…

…i nagle znalazła się pośród spalonej słońcem pustyni, na dnie wypełnionej kamieniami niecki. Odrażające chropowate kształty zaczęły się do niej zbliżać. Skuliła się i zamknęła powieki, jakby licząc na to, że w ten sposób koszmar sam zniknie.

Usłyszała cichy szelest i otworzyła oczy. Wysoka postać zagrodziła drogę zbliżającym się stworom. W ręku trzymała krótką włócznię. Nagle odwróciła się w jej stronę i Gerai rozpoznała w niej mężczyznę, który wcześniej stał obok tronu Królowej. Uśmiechnął się do niej swym lodowatym uśmiechem, w którym odmalowała się absolutna pewność siebie.

– Długo czekałem na tę chwilę – powiedział.

* * *

Dziewczyna rzuciła się do przodu i zniknęła po drugiej stronie Przejścia. Królowa pokręciła głowę z niedowierzaniem. Kel skamieniał na swoim pozłacanym krześle.

Wszyscy z przerażeniem obserwowali środek sali. Ava wyprostowała się i popatrzyła wokół. Nagle odniosła wrażenie, że na niektórych twarzach dostrzega wahanie.

– Czy nie jesteś zbyt okrutna, Królowo? – zapytał wciąż stojący u stóp tronu Capr. Zaskoczyło ją to, ale tylko trochę – widziała, jakim wzrokiem pożerał wcześniej Gerai. Kątem oka dostrzegła, że Kel także spogląda na nią z nadzieją.

– Avo – powiedział chłopak. – Czy...

– Dość! – krzyknęła. Zignorowała Kela i obrzuciła Capra ostrym spojrzeniem. Ten cofnął się przestraszony.

– Nawet ty? – zapytała drwiąco. – Nawet ty znalazłeś się pod jej urokiem? Cóż takiego jest w tej dziewczynie? – Wstała i popatrzyła gniewnie na obecnych na sali mężczyzn. – To nieważne – uspokoiła się i z powrotem

opadła na swój tron. – I tak cały czas pozostajecie w mojej mocy. Który z was zaryzykuje dla niej utratę wiecznego lata? Obietnicę nieprzemijającej namiętności? Bezpieczną przystań Pałacu? Kto skoczy na spotkanie śmierci? Kto odważy mi się sprzeciwić? Spójrzcie na paszcze tych potworów. Oto prawdziwa nicość! Kto stanie naprzeciwko nicości? Nikt? A więc nie ważcie się wtrącać do moich wyroków!

Wszyscy spuścili głowy.

Nastąpiła cisza. Cisza wypełniona triumfem Królowej Piasku. Lecz nie tylko jej triumfem.

Wiedziona nieoczekiwanym przeczuciem, Ava odwróciła się.

Zimny triumf w oczach Tiara dorównywał jej własnemu.

– Nie powinnaś była tego robić – powiedział, uśmiechając się lodowato. – Odwracać się do mnie plecami. Jak mogłaś być tak nierozważna? – Pokręcił głową w geście niedowierzania.

Na pozór powoli, z kocią gracją, ruszył do przodu. Wyszarpnął włócznię jednemu z osłupiałych strażników – oni nigdy nie byli zagrożeniem. Przez moment ważył ją w dłoni – w jego rękach przestała być iluzją, niespodziewanie stała się prawdziwą bronią. Nie zwalniając, szybko potoczył spojrzeniem wokół – Capr zdążył już gdzieś zniknąć. Może w ogóle nie istniał? Lub też rzeczywiście był tylko jego *alter ego*? Tak czy inaczej, nie miało to już teraz znaczenia.

Nie śpieszył się bardziej niż było to konieczne, choć serce biło coraz szybciej. Wiedział już, że zdąży. Nie mogło być inaczej. Ta chwila, bardziej niż cokolwiek innego w całym Wszechświecie była wyłącznie jego własnością.

Nabrał lekkiego rozpędu i skoczył.

Tak długo. Tak strasznie długo – pomyślał, spadając w sam środek kamienistej kotliny.

Stanął pewnie na nogach, i – ignorując zbliżające się upiorne sylwetki – obrócił się ku Gerai. Dziewczyna podniosła głowę i obdarzyła go pytającym spojrzeniem swych zielonych oczu. Była piękna. Stokroć piękniejsza od Królowej Piasku. Miała w sobie coś, czego tamta mieć nie mogła.

– Długo czekałem na tę chwilę. – Stanął naprzeciwko potężnych, pokrytych zrogowaciałą skórą potworów. Wyciągnął przed siebie włócznię. Nie czuł strachu. Nie w tym jednym, jedynym momencie. Tylko lekkość i niesamowitą, niemożliwą do opisania pewność. Uśmiechnął się złośliwie w stronę nadchodzących bestii. „No spróbujcie. Czyż nie wiecie, kim jestem?” – zdawał się mówić jego uśmiech.

Jeśli nawet on sam tego nie wiedział, to one w jakiś sposób rozpoznały jego. Cicho warcząc, cofnęły się poza krawędź kotliny i zniknęły im z oczu.

Znów obrócił się do dziewczyny. Stanął przed nią, po czym przyklęknął na jedno kolano. Uniósł głowę i spojrzał jej głęboko w oczy.

Stało się coś niezwykłego, coś na co nigdy nie liczył, w co nigdy by nie uwierzył. Znów był sobą. A może był sobą po raz pierwszy w życiu?

Gerai ze zdziwieniem wpatrywała się w twarz klęczącego przed nią mężczyzny. Z początku nie wiedziała, co się dzieje. Potem nagle przez jej twarz przebiegł skurcz, dopadło ją bolesne olśnienie.

– Nie sądziłam, że to stanie się właśnie w taki sposób – powiedziała.

Uśmiechnął się, a Gerai zobaczyła wyraźnie to, co skrywała gruba warstwa lodu.

To była dziwna chwila, z tych które zdarzają się bardzo rzadko. Z tych, które nie zdarzają się nigdy.

A jednak wszystko ustąpiło miejsca przed tym nagłym zrozumieniem. Nie było słów, uśmiechów, spojrzeń, tylko zrozumienie. Zrozumienie było wszystkim.

To była niezwykła chwila. Krótki moment prawdy wśród morza codziennych złudzeń. Przypadek. Przeznaczenie. Kolorowa ułuda wśród oceanu monotonnej prawdy.

Gerai nieśmiało dotknęła ręki Tiara i podniosła go z klęczek.

– Co się teraz stanie? – zapytała.

– Odejdziemy stąd. Znajdę przejście na zewnątrz. – W oczach mężczyzny błyszczało wyzwanie.

Gdzieś w oddali dobiegł ich cichy szum.

Rzeczywistość zawirowała.

Znów stali pośrodku wielkiego holu w Pałacu Królowej Piasku.

* * *

Królowa Piasku poznała mądrości wszystkich światów. Poznała najciemniejsze zakamarki ludzkiego umysłu. Wiedziała, jak powstają namiętności i umiała nimi władać. Wiedziała, kiedy źródłem uczucia jest niespełnienie, a kiedy są nim nieuświadomione lęki. Wiedziała, kiedy u ich podstaw leży biologia, kiedy chemia, a kiedy historia czy geografia. Wierzyła, iż poznała wszystko, co dawało władzę nad ludzkimi sercami.

A jednak, pomyliła się. Było coś jeszcze.

Coś, czego nie potrafiła zrozumieć.

Coś, czego nie potrafiła zrozumieć większość ludzi we wszystkich istniejących światach.

* * *

Spojrzenie Królowej było twarde jak stal, ale Tiar zobaczył w nim również niepokój.

– Stań obok mnie – rozkazała.

Tiar wyszczerzył zęby w wilczym uśmiechu.

– Chodź do mnie – powtórzyła Ava. – To było twoje wyzwanie. Podjąłeś je, bo zbyt wiele było w tobie chłodu, ale teraz musisz powrócić. Ta dziewczyna nie ma nic do zaofiarowania w porównaniu ze mną. Nawet on to zrozumiał! – wskazała na pobladłego Kela.

– Nie – odrzekł Tiar. – Pomyliłaś się. Nie jestem taki jak myślisz. Nigdy nie byłem. Żegnaj. Powiedz Caprowi, że zabiję go innym razem.

Odwrócił się i ruszył ku drzwiom, w prawej dłoni trzymając włócznię, w lewej zaś zziębniętą dłoń Gerai. Strażnicy pałacu ustępowali im z drogi.

Szli w stronę wyjścia z holu, odprowadzani dziesiątkami spojrzeń – zdziwieniem, lękiem, nadzieją, niezrozumieniem.

Drzwi holu otwarły się i zamknęły w ślad za nimi.

Królowa wstała z tronu. Jej oblicze wykrzywiała wściekłość.

Skoncentrowała cała swą moc. Ci którzy ją widzieli, padali ze strachu na twarz.

– Abukan! – zawołała.

Na wprost niej pojawił się nieokreślony, wirujący, rozsypujący się kształt piaskowego dżinna, będącego ucieleśnieniem mocy Pałacu.

– Nie mogę pozwolić im odejść – powiedziała Królowa. – Nikt nie będzie drwił z mojej potęgi!

– Oni są już poza jej zasięgiem – odrzekł dżinn. – Nie możesz pokonać uczucia, które ich łączy, lecz jeśli tego nie uczynisz, twoja władza zostanie zakwestionowana – oznajmił beztrosko. – By tak się nie stało, musisz ich rozdzielić. Przynajmniej jedno z nich musi tutaj powrócić.

– Nie! – pokręciła głową Ava. – Nim dotrą do granic Pałacu, udowodnię, że są w błędzie.

Wrócisz do mnie, Tiar. Nigdy nie pozwolę ci odejść.

Królowa postąpiła krok do przodu i zniknęła pośród wirującego piasku.

* * *

Szli w stronę wyjścia, które znajdowało się gdzieś przed nimi. Wciąż skrywała je gruba warstwa bezbarwnej mgły. Pałac nie poddawał się łatwo, ale oni wiedzieli, że prędzej czy później zdołają je odnaleźć. Tiar odrzucił włócznię – nie była mu już potrzebna.

Czuł na swej ręce dotyk dłoni Gerai, i sprawiał mu on przyjemność, lecz teraz nie potrzebował już nawet i tego. Nie potrzebował uśmiechów, spojrzeń ani słów. Wystarczyło samo niewidzialne poczucie jej obecności. Nie musiał jej widzieć ani dotykać. Wiedział, że jest obok niego, że istnieje. Jej obecność promieniowała ciepłem, była bardziej realna niż jakakolwiek inna rzecz na świecie. Była pieszczotą – stokroć silniejszą od wszystkiego, co mogła zaofiarować Królowa. Docierała o wiele głębiej.

Miłość to po prostu poczucie obecności.

Niespodziewanie dokładnie na wprost nich z mgły wynurzyła się Brama.

W tym samym momencie ogarnął ich wir piasku.

* * *

Tiar przetarł oczy, strzepując z nich ostre ziarenka. Pierwszą rzeczą, z jakiej zdał sobie sprawę było to, że utracił wszechogarniające poczucie obecności Gerai.

Utracił wszystko.

Rozejrzał się wokół. Był wieczór. Stał na pustym, pokrytym drzewami wzgórzu, w dole paliły się światła jakiegoś miasta. Wydostał się na zewnątrz. Lub też Pałac stworzył dla niego którąś ze swoich iluzji.

Gdzie była Gerai?

– Musiałam was rozdzielić. Nie mogłam pozwolić, by moja moc została zdruzgotana.

Odwrócił się. Ava stała tuż za nim, uśmiechała się zimno i obojętnie. W jej spojrzeniu nie było już żadnych obietnic.

– Znudziłeś mi się, Tiar. Już cię nie potrzebuję. Mogłam cię zatrzymać, ale po prostu zesłałam was do dwóch różnych światów. Nigdy się nie spotkacie. To wystarczy.

Targnął nim nagły niepokój, że Królowa Piasku mówi prawdę.

– Kłamiesz! – powiedział z wysiłkiem. – To nie jest prawdziwy świat. Nie wypuściłabyś nas na zewnątrz. To tylko twoja kolejna iluzja.

Ava parsknęła pogardliwym śmiechem.

– Powiedziałam już, że cię nie potrzebuję. Nie będę o ciebie walczyć. Tak trudno ci się z tym pogodzić? Idź, dokąd chcesz. Znudziło ci się wieczne lato mojego Pałacu? Zatem zaznaj goryczy przemijania.

– Kłamiesz – powtórzył Tiar. – To tylko pułapka.

– Czyżby? – W oczach Królowej Piasku pojawiła się kpina. – A jeśli nawet to istotnie jedynie iluzja, sądzisz, że przemijanie będzie przez to mniej bolesne? Że zdołasz mu się oprzeć? Gerai to tylko złudzenie. To tylko tamten jeden moment. Chcesz go przeciwstawić wieczności? Powodzenia, Tiar.

– To twoja pułapka – powiedział z przekonaniem.

– Być może, ale czy będziesz tego pewien również za godzinę? Za tydzień? Za dziesięć lat? Żegnaj, więcej się już nie spotkamy. Rozchmurz się, całe życie przed tobą.

Sylwetka Avy zamigotała, zniknęła pośród wirującego piasku.

Został sam.

Minęła sekunda, potem następna. Nic się nie stało. Iluzja nie zniknęła, czas płynął nieprzerwanie.

Całe życie przed tobą, Tiar.

Życie bez Gerai.

Rozpoczęło się przemijanie.

W końcu ruszył w dół, ku światłom miasta. Nie mógł przecież czekać w tym miejscu w nieskończoność.

To tylko iluzja – pomyślał. *Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje naprawdę. Tego właśnie chce Królowa Piasku. Muszę jedynie pamiętać o Gerai, pozostać sobą.*

Zszedł do miasta. Było późno, ale udało mu się znaleźć nocleg. W kieszeni jego ubrania były pieniądze. Ava dała mu nową pamięć i wiedzę, dała mu nowe imię. Dała mu wszystko, co było potrzebne, aby przetrwać. Aby na powrót ułożyć sobie życie.

Wszystko oprócz Gerai.

Mijały godziny. Mijały dni. Wciąż czekał, lecz nic się nie zmieniało. Z każdą godziną, z każdym dniem, był coraz mniej pewien, że to, co go teraz otacza, jest jedynie złudą, stworzoną przez Pałac Królowej Piasku. Poczucie obecności Gerai, które kiedyś wydawało się wszystkim, teraz powoli stawało się wyblakłym, niewyraźnym wspomnieniem.

Przemijanie.

Przed tobą całe życie, Tiar. Nie zmarnuj go.

Mijały dni, mijały tygodnie. Nadal nic się nie zmieniało. Jeżeli nawet to, co go teraz otaczało było złudzeniem, było też jedyną rzeczywistością, jaka mu pozostała. Wszystkim, na co mógł liczyć.

Mijały tygodnie, mijały miesiące. Chcąc nie chcąc, stawał się częścią świata, w którym się znalazł. Musiał jeść i pić. Musiał pracować. Poznawał coraz to nowych ludzi. Czy byli tylko snem? A jeśli nawet, przecież tak czy inaczej, inni ludzie zawsze są dla nas jedynie snem.

Przemijanie.

Wciąż pamiętał o Gerai. Ava nie mogła zabrać mu pamięci, ale czy wspomnienie mogło walczyć z wiecznością? Czasem przyłapywał się na tym, że tęskni za Pałacem Królowej Piasku, za wiecznym latem. Tam nie było przemijania. Tam wciąż mógł jeszcze wierzyć, że coś się w końcu wydarzy. Tam można było czekać. Tam można było czekać w nieskończoność. Tam czekanie nie sprawiało aż takiego bólu.

Przemijanie.

– *Nie zmarnuj swego życia, Tiar. Nie czekaj na coś, co nigdy się nie zdarzy*.

Mijały miesiące, mijały lata. Na swej drodze spotykał również kobiety. Niektóre pociągała jego inność i błysk lodu w oczach. Wiedział, że mogły go pokochać. Inne miały w sobie ciepło, które choć na moment mogło ukoić ból.

Jednak on patrzył na nie obojętnie. Pamiętał niezwykłe uczucie obecności Gerai. Samo wspomnienie było silniejsze od pieszczot wszystkich innych kobiet.

Przemijanie.

Jego życie. Czy miał je marnować w imię jednej, dziwnej chwili, której już nawet dobrze nie pamiętał? Czy nie powinien wykorzystać czasu, jaki mu jeszcze pozostał? A jeśli to wszystko wcale nie było iluzją, nie było próbą? Jeśli Ava nie kłamała? Jeśli teraz śmiała się z niego szyderczo, widząc, że oszukał sam siebie? Może właśnie na tym polegał jej podstęp?

Przemijanie.

Z każdym rokiem czas nabierał tempa, tak jak się to zwykle dzieje w każdym ze światów. Tiar zaczął się starzeć. Miał w sobie coraz mniej energii. Kobiety spoglądały na niego coraz rzadziej, lecz niektóre wciąż jeszcze fascynował chłód w jego oczach. Czy nie powinien wybrać życia, póki nie było jeszcze za późno? Wciąż jeszcze mógł cieszyć się tym, co mu pozostało. Osiągnąć przynajmniej namiastkę miłości, namiastkę szczęścia. Znaleźć radość w tym, w czym znajdowali ją inni.

Całe życie przed tobą, Tiar.

Ale on, na przekór swemu lękowi, na przekór zdrowemu rozsądkowi, wciąż był wierny wspomnieniu o Gerai.

Przemijanie.

Pewnego dnia zdał sobie sprawę, że ma przed sobą bardzo niewiele czasu. Niepokój narastał. Już dawno przestał wierzyć, że świat w którym się znalazł, jest jedynie

iluzją. Wciąż kurczowo trzymał się swojej samotności. Nie chciał zrezygnować ze snu o przemarzniętej dziewczynie w zniszczonym futrze. Dziewczynie o kasztanowych włosach i zielonych oczach, piękniejszej od Królowej Piasku. Czy rzeczywiście ją kiedykolwiek spotkał, czy też tylko ją sobie wymyślił, by koiła ból starości? I kim była Królowa Piasku?

Przemijanie.

Czuł, że pozostały mu już tylko miesiące i tygodnie. Bardzo niewiele czasu, by przyznać się do błędu.

– *Zmarnowałeś swoje życie, Tiar. Zaprzepaściłeś swoją szansę na szczęście. Świadomie wybrałeś pustkę.*

Pozostały mu już tylko dni i godziny. Umierał. Bał się.

Jakaś uporczywa, powracająca myśl mówiła mu, że jeśli teraz przyzna się do błędu, jeśli odrzuci złudzenia, będzie mu dana jeszcze jedna szansa.

Nie pamiętał już wiele z tego, co wydarzyło się zanim przybył do miasta. Nie pamiętał Królowej Piasku, Oazy i swych snów o wolności. Tęsknoty za tym, co było jeszcze wcześniej, nim królowa ocaliła go od śmierci i udzieliła azylu w murach swego Pałacu. Wszystko to wydawało się snem. Pamiętał tylko niewyraźny obraz płatków śniegu na kasztanowych włosach dziewczyny... Czy ona też była tylko snem?

A jednak był jej wierny.

Przemijanie.

Pozostały mu tylko minuty. Leżał w jakimś przytułku, w zapomnieniu i samotności. Słyszał w swym umyśle głos,

który z każdą chwilą stawał się coraz bardziej uporczywy.

– *Zmarnowałeś swoje życie. Tęsknota zaprowadziła cię na skraj nicości. Spójrz, masz jeszcze jedną szansę. Wszystko jeszcze można odwrócić. Nie bądź głupcem, Tiar.*

Przemijanie

– *To ostatnie sekundy. Za moment odejdziesz w wieczną pustkę i nie będzie już niczego* – głos w jego umyśle krzyczał, nie udając już, że należy do niego. Skąd znał ten zimny, nieznający sprzeciwu ton? – *Tiar! Tam będzie tylko pustka, Tiar!*

Nagłe przypomnienie. Poczucie czyjejś obecności, ważniejsze niż wszystko inne na świecie.

Ona miała na imię… – pomyślał z wysiłkiem. *Miała na imię Gerai*.

Głos w jego umyśle zamilkł.

Czas dobiegł końca.

* * *

Niespodziewanie tuż przed nimi pojawiła się brama.

Pierwszą rzeczą z jakiej zdał sobie sprawę, było to, że znów czuje obok siebie obecność Gerai.

A potem poczuł również jej ręce zarzucone na szyję, jej usta.

Choć wydawało się to niemożliwe, w tym momencie w nim również nie było już lodu. Trochę wstydził się tej chwili, ale nie potrafił się przed nią obronić.

Wiedział już, że rozpozna każdą kolejną iluzję, każdy kolejny podstęp Królowej Piasku.

Spojrzał w oczy Gerai i zrozumiał, że i ona czuje to samo.

– Chodźmy – powiedziała z uśmiechem.

Brama przepuściła ich i wyszli z Pałacu.

* * *

– To niemożliwe! – zawołała Ava.

– Cóż… – stwierdził dżinn.

– Przecież jedna chwila nie może pokonać przemijania! Nikt nie jest aż tak silny...

– A jednak oni przeszli również i tę próbę. Nie zdołałaś ich zatrzymać siłą swoich namiętności ani swymi iluzjami. To bardzo dziwne, ale zdaje się, że właśnie udowodniłaś, Królowo, że są rzeczy silniejsze niż strach przed pustką. Silniejsze od życia i silniejsze od śmierci.

– To niemożliwe! Nie mogę dopuścić, żeby wygrali. Moja moc obróci się w nicość!

Piaskowy dżinn zrobił gest, który przy odrobinie dobrej woli można by zinterpretować jako wzruszenie ramionami.

– Przegrałaś, a oni już wkrótce wydostaną się z Oazy.

– Nie – uśmiechnęła się Królowa Piasku. – Już wiem, jak ich rozłączyć.

Dżinn mruknął coś niezrozumiałego i posłusznie zawirował wokół Avy.

* * *

Szli poprzez morze piasku, które wydawało się ciągnąć w nieskończoność, ale wiedzieli już, że razem zdołają

odnaleźć wyjście z Oazy. Byli silni, silniejsi niż kiedykolwiek przedtem. Silniejsi z każdym kolejnym krokiem.

Tiar skrzywił się, gdy wir pojawił się przed nimi po raz drugi.

* * *

Gerai znów zniknęła, ale ból nie był tak dotkliwy jak poprzednio. Z zaskoczeniem stwierdził, że teraz czuje również jakąś dziwną, dawno zapomnianą radość. Po chwili zrozumiał. W jego twarz uderzały podmuchy lodowatego wiatru, za którym tak bardzo tęsknił w pałacu Królowej Piasku.

– Przepraszam cię.

Odwrócił się. Tuż obok stała Ava. Na jej twarzy malowała się powaga.

– Przepraszam – powtórzyła. – Nie doceniłam cię. Zapomniałam kim jesteś, Tiar. Nie powinnam była liczyć na to, że pokonam cię iluzjami.

Spoglądał na nią uważnie, ale nie był w stanie dostrzec w jej oczach żadnego podstępu.

– Do czego zmierzasz? – zapytał.

– Chcę zaproponować ci układ. Muszę was rozdzielić, inaczej stracę swą moc i władzę. Takie są zasady. Chciałam tego dokonać siłą, lecz zrozumiałam, że mi się to nie uda. Nie doceniłam cię, Tiar.

Mężczyzna uśmiechnął się szyderczo. W jego spojrzeniu znów błysnął cień dawnego lodu.

– Nie doceniłaś nas. Kolejna sztuczka?

– Nie, teraz jedynie pragnę cię przekonać.

Tiar parsknął śmiechem.

– Chciałam cię zatrzymać i to był mój błąd – ciągnęła Królowa Piasku, niezrażona. – Marzyłeś o tym, by się uwolnić i oto dokonałeś tego. Możesz być z siebie dumny. Nie licz jednak, że zdobędziesz to, co nigdy nie było twoim przeznaczeniem. Nie próbuj uwierzyć w miłość.

Uśmiech Tiara stał się jeszcze zimniejszy.

– Właśnie o to chodzi – rzekła Ava. – Twój lód. Nie zdołał go roztopić mój Pałac, nie uda się to również Gerai. Pamiętasz, co kiedyś powiedziałam? To ty jesteś prawdziwym księciem śniegu. Wcześniej czy później lód powróci.

– Jestem sobą – odparł powoli Tiar. – Ona kocha mnie również dla mojego lodu.

– Zniszczysz ją, książę śniegu. Jesteś wojownikiem, wędrowcem. Nie pamiętasz już, jak się znalazłeś w mojej Oazie? Euforia waszego zwycięstwa wkrótce przeminie. Poczujesz dawny zew. Nie jesteś stworzony do miłości, nie łudź się. Wasze wspólne życie szybko ci się znudzi. Znów dopadnie cię tęsknota za tym, co jest twoim prawdziwym przeznaczeniem – za lodem i walką. Tylko że wtedy nie będziesz już mógł do tego powrócić.

– Co masz na myśli, Avo? – Mężczyzna przestał się uśmiechać, a jego twarz stężała w oczekiwaniu.

Królowa wykonała dłonią nieznaczny gest.

Tiar spoglądał na siebie z niedowierzaniem.

– Tak, nie mylisz się. To twoja zbroja, poznajesz? Twój płaszcz. Twój miecz i twoja włócznia.

Mężczyzna wyciągnął ostrze z pochwy i przejechał po nim palcami. Na jego obliczu pojawił się dziwny wyraz. Chwycił za drzewce włóczni – jego włóczni, prawdziwej, nie takiej jakie nosili pałacowi strażnicy.

– Tak, to jest to, co kochasz naprawdę, za czym przez cały czas tęskniłeś. To *ty*. Przypominasz sobie?

– Zabrałaś mi pamięć – wyszeptał z wysiłkiem.

– Nie przesadzaj. Sam ją sobie zabrałeś, tak jak wszyscy mieszkańcy mojego Pałacu. Sam pragnąłeś zapomnieć o tym, kim byłeś, o tym, kim mogłeś się stać, by móc spokojnie nurzać się w ofiarowanych przeze mnie rozkoszach.

Tiar zacisnął mocno dłonie na rękojeści miecza i spojrzał na Avę.

Królowa cofnęła się.

– Tak, wiem, że to się już skończyło. Czy teraz przypomniałeś sobie kim byłeś? Zaginionym księciem? Niezłomnym gwardzistą śpieszącym z odsieczą? Władcą pragnącym odzyskać utracone, pustoszone przez wrogów królestwo? Wysłannikiem, w którego ręce złożono najważniejszą z misji? Wodzem, prowadzącym swych ludzi w samą czeluść zła, tam, gdzie nie odważyłby się pójść nikt inny? Możesz to odzyskać.

– Co powiedziałaś? – szepnął Tiar i postąpił krok w jej stronę.

Królowa po raz drugi skinęła ręką.

Na wprost nich pojawił się obraz nieskończonej białej płaszczyzny, która mogła, ale nie musiała być ułudą. Niebo było czyste i błękitne, gdzieś w oddali na śniegu tańczyły ciemne sylwetki. Tiarowi wydawało się, że słyszy odgłosy bitwy.

– Możesz powrócić do tamtego momentu, przyjacielu. Możesz cofnąć to, co wydarzyło się w Pałacu, zapomnieć o swym upokorzeniu, o swej słabości. Nigdy jej nie było. Możesz znów widzieć śnieg tryskający spod kopyt twojego wierzchowca!

Tiar jak zahipnotyzowany wpatrywał się w przestrzeń. Jego serce rozdzierała tęsknota. Dłoń zacisnęła się na rękojeści miecza.

– Spójrz! Wystarczy, że zapomnisz o Gerai i to wszystko znów będzie twoje. Tym razem nie zawiedziesz tych, którzy złożyli los w twoje ręce.

Ava wykonała palcami kolejny gest.

Przed nimi pojawiła się trzecia postać. Capr stał kilkanaście kroków dalej, drżąc z zimna i ze strachu. W ręku trzymał niezgrabnie jedną z pałacowych włóczni. Znajdował się dokładnie na drodze Tiara.

– Naprzód, wojowniku – szepnęła Ava. – To ostatnia przeszkoda. Zabij go! Tamto miejsce i tamten czas czekają na ciebie. To przecież dokładne spełnienie twoich snów o wolności!

Tiar powoli się do niej odwrócił. Lód na jego twarzy zniknął, ustępując miejsca łagodności.

– Zawsze należy zachować szczególną ostrożność w obliczu spełnienia własnych snów – powiedział spokojnie. Po raz ostatni tęsknie popatrzył w stronę ośnieżonej przestrzeni, wsłuchał się w dobiegające stamtąd odgłosy bitwy. – Nie miej do siebie żalu. Sztuczka z Caprem nie miała większego znaczenia, choć istotnie była szyta zbyt grubymi nićmi. Wiesz – dodał z głębokim smutkiem – choć tak bardzo żałuję, że nie ma powrotu do tamtego czasu i tamtego miejsca, choć zdaję sobie sprawę, że mogłaś mi ofiarować tylko kolejną iluzję i że na zawsze utraciłem możliwość wypełnienia swej misji, myślę, że nie porzuciłbym Gerai, nawet gdyby to wszystko rzeczywiście było możliwe.

Po raz ostatni wciągnął do płuc mroźne zimowe powietrze – powiew tamtej utraconej chwili, po raz ostatni pieszczotliwie pogładził ostrze miecza.

– Tak, Avo – westchnął ciężko. – Nie wiem, czy jesteś zdolna to zrozumieć. Ja też wciąż jeszcze nie potrafię się z tym pogodzić, odkąd zrozumiałem, jak jest naprawdę. Ona... Nie ma nic ważniejszego. Nic innego nie jest w stanie ocalić nas od pustki. Żadna misja. Żadna bitwa.

Wypuścił miecz, a ostrze utonęło w miękkim śniegu.

* * *

Spojrzeli na siebie i objęli się, uśmiechnięci.

– Chciała mi zwrócić przeszłość – powiedział Tiar.

– Mi ofiarowała na powrót miłość Kela – odparła Gerai. – Żyliśmy dalej w naszym mieście, a on kochał mnie

i ubóstwiał jak nigdy dotąd. Tak jak na to nigdy nie zasługiwałam – roześmiała się. – Żal mi go – powiedziała i nagle spoważniała.

– Jeśli złamiemy moc Królowej, on również będzie wolny. Wątpię tylko, czy nam za to podziękuje.

Ruszyli dalej przez piasek. Nie spieszyli się. Nic już nie mogło ich powstrzymać.

* * *

Był taki moment, kiedy poddała się rozpaczy.

Patrzyła jak Gerai i Tiar nieuchronnie zbliżają się do granicy Oazy. Dopiero teraz rzeczywiście zrozumiała, że nie jest w stanie ich zawrócić.

Czuła obojętność piaskowego dżinna za swymi plecami.

Żadna iluzja nie pokona ich uczuć – pomyślała, przyznając się do klęski.

Nagle dopadło ją olśnienie. Była w nim jedynie gorycz – zwycięstwo, którego nie osiągała dzięki własnej mocy nie dawało jej satysfakcji.

Mimo to znalazła jakieś wyjście.

Nie potrafiła ich zatrzymać. Nie była w stanie oszukać ich swymi iluzjami. Ale mogła popchnąć ich do przodu, pomóc przedostać się na zewnątrz, sprawić, by osiągnęli to, czego tak pragnęli. Mogła postawić ich twarzą w twarz z prawdą.

Powrócisz do mnie Tiar, choć nie będzie to moja zasługa.

Westchnęła i po raz ostatni wezwała piaskowego dżinna.

* * *

– To gdzieś tutaj – powiedziała Gerai. – Czuję, że to gdzieś tutaj.

– Jesteś gotowa?

– Tak – skrzywiła się lekko. – Brrr, tam jest strasznie zimno. – Z pewnym żalem obejrzała się w stronę Pałacu. Nagle na jej twarzy z powrotem pojawił się uśmiech. – Może znowu uda nam się spotkać rena – powiedziała. – Tak było w tamtej bajce. Muszę mu powiedzieć, że to on się mylił.

Wciąż się obejmując, ruszyli do przodu. Niespodziewanie Gerai znów się roześmiała.

Popatrzył na nią zdziwiony.

– Jak właściwie masz na imię? – zapytała.

Otworzył usta, by jej odpowiedzieć, ale w tym samym momencie wir piasku pojawił się przed nimi po raz trzeci i ostatni.

* * *

Idąc, nagle zdał sobie sprawę, że tym razem Ava nie kłamała. To nie była kolejna iluzja Pałacu. Byli na zewnątrz. Udało im się.

Czemu więc czuł nieprzyjemny chłód, który podchodził coraz bliżej serca? Udało im się. Wydostali się z Oazy. Cóż

z tego, że to Ava wybrała to miejsce, skoro i tak potrzebował teraz tylko jednego spojrzenia?

Spotkali się na środku sali. Patrzyła na niego przez moment, potem jej twarz rozjaśnił uśmiech rozpoznania.

– Cześć, Tim – powiedziała wesoło. – Nie spodziewałam się, że cię tu spotkamy. Znasz Rogera, prawda? – w jej głosie zabrzmiała nuta czułości, gdy odwróciła się w stronę swojego jasnowłosego towarzysza.

Mężczyzna, który jeszcze przed chwilą sądził, że ma na imię Tiar, odpowiedział spokojnym, obojętnym uśmiechem. Uśmiech ten w żadnym razie nie mógł należeć do człowieka, którym wydawał się być jeszcze tak niedawno, za to doskonale pasował do tego miejsca. Siedząca w kącie sali kobieta w czerwonej sukni, cały czas uważnie obserwująca tę scenę, teraz również uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

– Witaj... – zaczął mówić Tim. Nie dokończył. Nieoczekiwanie zmarszczył brwi, jakby wyczuwając jakiś fałsz w brzmieniu imienia, które właśnie zamierzał wypowiedzieć. Nie wypowiedział go. To nie miało sensu. Przez jego oblicze przemknął grymas niepewności, ustępując miejsca nagłemu olśnieniu. *To nie tak* – pomyślał. *To nie to imię. Zaraz powinienem sobie przypomnieć.*

Dziewczyna w niebieskiej sukni uniosła pytająco brwi, jej partner patrzył gdzieś w bok, prawie w ogóle nie zwracając na niego uwagi.

Jasnowłosa kobieta przy stoliku lekko pobladła.

Świat na moment zawirował.

Ciemnowłosy mężczyzna rozpaczliwie poszukiwał słów, choć wiedział już, że ich nie odnajdzie.

Wystarczy tylko jedno spojrzenie.

Ale w tym miejscu, na samym środku sali, w której odbywał się bankiet, nie było spojrzenia, które mogłoby wszystko wyjaśnić.

Tutaj nie było Tiara i Gerai. Zrozumiał, że to co chciał powiedzieć nie miało żadnego znaczenia, że to, co czuł, było jedynie tworem jego wyobraźni.

Dziewczyna, której imienia nie pamiętał, jeszcze raz skinęła głową i oddaliła się w głąb sali, wsparta na ramieniu swego towarzysza.

Nie obejrzała się za siebie.

Spoglądał za nimi przez długą, długą chwilę, a okruchy lodu przeniknęły do najgłębszych zakamarków jego serca.

Książę śniegu.

Poczuł lekkie dotknięcie kobiecej dłoni na swoim ramieniu.

– Teraz rozumiesz, Tiar? – W oczach Królowej Piasku znów tańczyły tysiące niewypowiedzianych, gorących obietnic. – Rozumiesz? Nie byłam w stanie wygrać z wami za pomocą iluzji, więc wezwałam na pomoc rzeczywistość…

Nie odpowiedział. W słowach Avy nie było niczego, co mogłoby roztopić lód.

Wieczna zima.

– Jakże dziwne są kaprysy ludzkiego serca – powiedziała Królowa Wiecznego Lata. – Nawet ja nie potrafię ich pojąć. Wydawało się, że nic nie może was

pokonać. Ale to nie była miłość, to nie było przeznaczenie. To tylko iluzja. Iluzja przeciwko iluzjom. Wiesz, co to było?

Nic nie odrzekł, choć tym razem znał odpowiedź.

– To była tylko tamta jedna chwila. Twoja chwila, twój skok na spotkanie śmierci. Na spotkanie uczucia i przeznaczenia. Tamten jeden moment. Tutaj go nie odnajdziesz, a poza nim nie może połączyć was nic więcej. Tak to już jest z wami, ludźmi. Nigdy nie może łączyć was nic więcej.

– Jestem wolny. Mogę jeszcze walczyć – odrzekł powoli.

– Nie, przyjacielu – w głosie Królowej Piasku na krótko pojawiło się coś, co niemalże graniczyło ze współczuciem. – To był tamten jeden moment. W tym było coś… niezwykłego. Ale teraz otacza cię rzeczywistość. Jedyna rzeczywistość. Reszta jest złudzeniem. Nigdy nie zdołasz zdobyć *jej* na nowo. Jesteś zbyt ponury, kiepsko tańczysz, a twój chłód nie budzi tutaj żadnego zainteresowania. Poza tamtą jedną chwilą jesteś niczym, nie masz w sobie niczego do zaofiarowania.

– Wtedy w pałacu też nie sądziłaś, że uda mi się odejść.

– Wiesz, że nie będzie ci dana kolejna szansa, Tiar.

Wiedział.

– *Oaza to szczególne miejsce. Zbiega się tutaj wiele dziwnych dróg*.

Kto pierwszy wypowiedział te słowa? I nagle sobie przypomniał.

– *Są światy, które ukazują różnice między ludźmi i takie, które je zacierają.*

Powoli pokiwał głową, ponuro się uśmiechając.

Miałeś rację, Capr – pomyślał. *Są światy, które zacierają różnice. Kto wie, może istotnie byłeś moim* alter ego*?*

Nie zostanie mu dana kolejna szansa. Nawet gdyby tak się stało, nie potrafiłby jej wykorzystać. Nie był już wojownikiem, wędrowcem pośród śnieżnej pustki; tamto było zbyt odległe. Ava miała rację. Był tchórzem. Był zwykłym ponurakiem, kiepsko bawiącym się na przyjęciu, do którego nie pasował. Nie pasował już do niczego.

– Co dalej? – Spojrzał Avie prosto w oczy. Lód, który miał w sobie, zdołał zmrozić nawet obietnicę wiecznego lata.

– Przecież już wiesz, Tiar. – W uśmiechu kobiety nie było triumfu, jedynie ostateczna pewność. – Nie możesz tu pozostać. U mnie mogłeś marzyć o wolności, o chwili gdy znajdziesz się po drugiej stronie piasku. Wierzyć w tego Tiara, którego tam pozostawiłeś, którym byłeś nim zamknęły się za tobą bramy Pałacu. Pamiętasz pierwszą iluzję? Pamiętasz Przemijanie? To, co cię tutaj spotka, będzie o wiele gorsze. Będzie prawdziwe.

Spojrzenie Tiara nadal pozostawało zimne i nieprzeniknione, ale oboje wiedzieli, że pozostało im już tylko jedno wyjście.

– Nigdy nie zdołasz jej wydrzeć temu Rogerowi ani żadnemu mężczyźnie. Nawet nie będziesz próbował. Nie ma w tobie woli walki, nie ma woli życia. Został tylko lód.

Będziesz cierpiał, a w twoim cierpieniu nie będzie smutku, jedynie pustka.

Słowa Avy wciąż nie mogły roztopić chłodu w uśmiechu Tiara. W jej głosie pojawiła się nuta starannie skrywanego niepokoju.

– Tylko ja jestem w stanie zatrzymać resztki twojej pamięci. Twoje imię – tutaj będziesz jedynie Timem. Wraz z imieniem umrze pamięć i tęsknota.

Nie było żadnego zera absolutnego, żadnej granicy na której zimno mogłoby się zatrzymać.

Królowa Piasku wyciągnęła swą dłoń.

– Chodź, Tiar. Tęsknisz za tamtą chwilą? Tylko w moim Pałacu zdołasz ją odzyskać. Tylko tam będziesz mógł o *niej* marzyć.

Przez jeden krótki moment wydawało się, że lód w spojrzeniu Tiara zaczyna topnieć.

Przez jeden krótki moment.

Książę śniegu.

– Nie – odparł, widząc jak w pięknych oczach Avy narasta przerażenie.

– Postawiłam wszystko na jedną kartę. – Jej głos drżał. – Jeśli nie powrócisz, cała moja moc zostanie zdruzgotana. Niszcząc mnie, zniszczysz również siebie.

Obojętnie skinął głową. Zapiął guzik marynarki i ruszył w stronę wyjścia.

Złapała go za rękę.

– Tak bardzo mnie nienawidzisz? Stracisz wszystko.

Po raz pierwszy w tonie Królowej Piasku zabrzmiała błagalna nuta.

Wspomnienie tamtej chwili – wszechogarniająca obecność. *Jej* obecność.

– Nie, Królowo. – Wieczna zima zamroziła resztki smutku. Nie było już bólu. – Przestałem cię nienawidzić, gdy przyszła... – Zmarszczył brwi, nadaremnie usiłując przypomnieć sobie tamto imię. – Kiedyś byłem wojownikiem. Nazywałem się Tiar... – Jego twarz stężała, jakby chciał przywołać z mroków pamięci coś jeszcze, ale nie udało mu się i tym razem. Nie był rozczarowany – przecież już dawno pogodził się z porażką.

– Jesteś jednym z nas! – Bezbrzeżna, ostateczna rozpacz.

Odwrócił się raz jeszcze.

– Tak, ale nie do końca.

Miałeś rację, Capr. Lecz cóż z tego, że miałeś rację?

* * *

Piękna kobieta w czerwonej sukni spoglądała za odchodzącym, który wkrótce zniknął za drzwiami. W jego odejściu nie było nic zaskakującego – widać było, że od samego początku w oczywisty sposób nie pasował do tego miejsca.

Kobieta zastygła nieruchomo na środku sali, jej przerażone oczy wpatrywały się gdzieś w przestrzeń.

Gdyby znajdował się tutaj ktoś uważny – ktoś, kto potrafiłby zamknąć oczy i wsłuchać się w odwieczną ciszę,

być może gdzieś w głębi – gdzieś poza gwarem rozmów, śmiechem kobiet i brzękiem kieliszków wyłowiłby cichy, jednostajny dźwięk. Szum rozsypującego się piasku.

* * *

– Chodź, Roger, mam ochotę się przewietrzyć. – Dziewczyna o kasztanowych włosach odstawiła kieliszek i pociągnęła za sobą swego przystojnego partnera.

Taras opustoszał; prawie wszyscy schronili się wewnątrz, gdy nagle powiało chłodem.

– Spójrz! – zawołała dziewczyna. – Pierwszy śnieg!

– To dziwne – powiedział chłopak. – Jest dopiero koniec października. Jeszcze nigdy nie widziałem śniegu o tej porze roku.

Dziewczyna stała na brzegu tarasu. Wyciągnęła rękę przed siebie i pozwoliła, by płatki osiadały na jej dłoni. Przyglądała im się z zainteresowaniem.

– To na pewno przez Królową Śniegu – stwierdziła, uśmiechając się pod nosem.

– Przez kogo? – Roger spojrzał na nią ze zdziwieniem.

– Przez Królową Śniegu. Może tym razem zawitała właśnie tutaj. Znasz tę opowieść?

– Z grubsza.

– To moja ulubiona bajka z dzieciństwa. Rodzice czytali mi ją, kiedy byłam mała. Wiesz, że często wołali na mnie Gerda?

– Uważam, że Gina brzmi znaczenie lepiej – odparł zdecydowanie Roger.

– Też tak sądzę – roześmiała się dziewczyna. Potem nagle spoważniała, a na jej twarzy pojawił się wyraz skupienia, jakby coś usiłowała sobie przypomnieć.

– „A Kay i Gerda poszli trzymając się za ręce, a gdy tak szli, zrobiła się cudna wiosna, wszystko kwitło i zieleniało; dzwony biły w kościołach i dzieci poznały wysokie wieże i wielkie miasto; było to miasto, w którym mieszkali; poszli przez ulice aż do drzwi babki, weszli na schody i znaleźli się w pokoju, gdzie wszystko stało na tym samym miejscu, co dawniej, a zegar mówił: tik, tak! i wskazówki poruszały się, ale przechodząc przez drzwi, spostrzegli, że byli już dorosłymi ludźmi…”

– Masz świetną pamięć – pochwalił Roger.

– No pewnie. Nie tylko pamięć. – Dziewczyna przyglądała się z uwagą kolejnemu płatkowi śniegu.

– Tiar – powiedziała nagle.

– Co?

– Sama do końca tego nie rozumiem, ale gdyby płatki śniegu umiały mówić, ten chciałby mi powiedzieć właśnie to imię. Nie wiem czemu – dobrze pamiętam, że nikogo takiego nie było w bajce.

– Skąd wiesz, że to imię?

– Po prostu wiem. Zresztą to nieważne. Spójrz, roztopił się. Nic już więcej nie powie.

– Dziwnie się dziś zachowujesz – zauważył Roger ostrożnie.

– Wracajmy już, robi się coraz zimniej – powiedziała i roześmiała się.

Nim opuścili taras, dziewczyna jeszcze raz obejrzała się za siebie – śnieg padał coraz gęściej.

Weszli do sali. Roger na powrót objął ją ramieniem. Pomyślała, że jest szczęśliwa. Było w tym coś więcej niż tylko świadomość chwili, która właśnie mijała, niż radość z udanego weekendu. Nie usiłowała tego zrozumieć ani odnaleźć – zawsze należy pozostawić jakieś tajemnice. Uśmiechnęła się do myśli, które błąkały się gdzieś na krawędzi świadomości, lecz nie przywołała ich, pozwalając im cieszyć się wolnością niespełnienia – było tak wiele różnych możliwości! Czuła, że szczęście idzie w ślad za nią bez względu na to, w którą stronę zwróci swoje spojrzenie. Szczęście, które płynęło z głębi jej własnego serca.

Na włosach dziewczyny topniały ostatnie płatki śniegu.

Artur Laisen

Urodzony… niestety już jakiś czas temu, w mieście względnie prowincjonalnym, do którego i tak w końcu zawsze fatalistycznie powraca z najdalszych nawet wojaży. W poprzednim, beztroskim wcieleniu autor kilku opowiadań i laureat jednego z konkursów poetyckich. Obecnie prozaiczny, pragmatyczny i zapracowany właściciel drobnego przedsiębiorstwa, mąż swojej żony i ojciec swoich dzieci. Ostatnio również laureat konkursu na opowiadanie Wydawnictwa Paperback (tekst „Księdza Marka trzy spotkania z demonem”, opublikowany w antologii „Science Fiction po polsku”, Paperback 2012). Prywatnie pasjonat fotografii, podróży dalekowschodnich, kultury chińskiej i japońskiej oraz takiejże kuchni, ze względów praktycznych starający się aktywnie łączyć swe pasje.

Podobnie jak i wielu innych autorów Genius Creations, miłośnik fantastyki od zawsze, wychowany na Lemie i Zajdlu. Po przejściu smugi cienia koneser dobrej literatury w ogóle, o eklektycznym guście. Lista wszystkich jego literackich fascynacji byłaby zbyt długa, by zamieszczać ją w tym miejscu, ostatnio jednak na topie są zwłaszcza Haruki Murakami, Richard Morgan, Yasutaka Tsutsui, Jose Carlos Somoza, Miyuki Miyabe oraz Aleksander Kościów.

Wyznawca zasady, iż najpierw warto coś przeczytać, a dopiero potem, ewentualnie, jeśli naprawdę nie ma już żadnego innego wyjścia, napisać. Niestety, wbrew tym

zasadom aktualnie pracuje nad kontynuacją „Studni Zagubionych Aniołów”, po czym planuje zasiąść do pisania kolejnych pięciu powieści i dwóch zbiorów opowiadań.

http://geniuscreations.pl/autorzy/artur-laisen/
https://madbooks.pl/laisen-artur
https://ebook.madbooks.pl/artur-laisen

Czarny piesek gryzie światło – Paweł Majka

Marzec 1951 r., trzydziesty szósty rok Kresu, pierwszy rok Pokoju.

– A tu, widzicie panowie: mężczyzna, lat dwadzieścia osiem. Pokąsany przez czarnego psa.

Zmartwychwstaniec Strzelbicki odchylił białe płótno, by odsłonić wykrzywioną w grymasie bólu, nienaturalnie pociemniałą twarz ofiary. Mimo wszystko dało się zauważyć, że należała do mężczyzny, niegdyś przystojnego i zadbanego. Rozrzucone teraz w nieładzie włosy zostały niedawno starannie przystrzyżone a krótki jasny wąsik wydawał się wręcz nienaturalnie idealny.

Stojący obok Koryckiego podkomisarz Jacek Brumik pozieleniał i cofnął się gwałtownie, zasłaniając na wszelki wypadek usta dłonią. Odwiedziny w prosektorium stanowiły dla niego ciąg okazji do zmian kolorów. Ledwie przekroczył próg chłodnego pomieszczenia, a natychmiast pobladł. Kilka minut później policzki miał już czerwone aż do przesady od widoku zwłok sukkuba, który zawędrował z sobie znanych powodów do Krakowa.

Komisarz Szater, przydzielając Koryckiego do Brumika, nie ukrywał, jak jego zdaniem powinny wyglądać rzeczywiste relacje między tymi dwoma.

– Służył pan, sierżancie, w wojsku – oświadczył Koryckiemu dwa dni wcześniej. Kołysał się na trzeszczącym wiklinowym fotelu, którym zastąpił przesiąknięty potem pokoleń gliniarzy fotel pełniący dotąd straż przy biurku szefa komórki do spraw nieczystych. – Swoje pan widział. Pomoże pan młodemu.

– Liczyłem na to, że to ja czegoś się przy panu komisarzu nauczę – zaprotestował Korycki. Choć miał dopiero dwadzieścia cztery lata i w policji służył ledwie miesiąc, traktowano go jak starego wiarusa ze względu na pięć lat służby wojskowej, z których dwa spędził w żandarmerii.

– Już ja zadbam, by was obu żadna nauka nie ominęła – zapewnił Szater, uśmiechając się tyleż szeroko, co niepokojąco. – Zresztą, z pańskich akt wynika, że to pan mógłby nas wszystkich uczyć. Jeszcze przed przeniesieniem do żandarmerii wykrył pan sprawcę zabójstwa w oddziale. Ma pan, sierżancie, że tak powiem, wrodzony talent do policyjnej roboty!

– Miałem trochę szczęścia – bąknął Korycki. Wolał nie drążyć tematu sprawy, w której doprowadził do rozstrzelania własnego dowódcy, w dodatku lubianego w oddziale. Dostał przeniesienie do żandarmerii bo nikt inny go nie chciał. Zastanawiał się, jak na takie sprawy patrzyli oficerowie policji. Może i tu miał zostać odrzutem?

Czy właśnie dlatego przydzielali go do gołowąsa zaraz po szkole?

Starszy rangą żółtodziób nie zapanował nad żołądkiem i wymiotował właśnie w kąciku. Na plus Korycki zaliczył mu, że wytrzymał na tyle długo, by oddalić się od zwłok.

– Będą jeszcze z niego ludzie – mruknął do Strzelbickiego, bo zmartwychwstaniec uśmiechał się szyderczo. – Musi swoje zobaczyć. I przeżyć.

Były krakowski kat najpierw zasłużył się, walcząc z Moskalami w obronie miasta, a potem pohańbił, dowodząc złodziejską szajką. Należał do tych legendarnych skazańców, którzy powypełzali spod ziemi, opanowali ciała słabych duchem i umysłem nieszczęśników po czym zaczęli dokazywać wedle starych przyzwyczajeń. Strzelbicki od pozostałych różnił się tym, że pragnął odkupienia. Marząc o odzyskaniu sławy, sam zgłosił się do ratusza, by zaoferować usługi doświadczonego fachowca. Radni uznali, że przywrócenie na stanowisko kata, który sam musiał położyć głowę na pieńku, nie wyglądałoby najlepiej. Pozbyli się kłopotu, oddając Strzelbickiego do dyspozycji policji. Tam także długo nie wiedziano, co z nim zrobić, aż wreszcie wciśnięto go Szaterowi, tłumacząc, że zmartwychwstaniec najlepiej będzie pasował do jego komórki i może się przydać, skoro mistrzowie katowscy w dawnych czasach parali się też badaniem zwłok i magią.

– A tego truposza pokazuje nam pan z jakiego powodu? – zapytał kata Korycki, świadom, że Strzelbicki oprowadza ich po swoim królestwie przede wszystkim po to, by

obserwować reakcje Brumika. Sam przeszedł podobny test na początku służby. Ponieważ na kimś, kto walczył z Legionem Smrodu w bitwie pod Kielcami widok paru zmarłych nie mógł zrobić wrażenia, zyskał szacunek kata.

– Panienkę pokazałem panom bo ładna i egzotyczna. Ale ten tutaj to ciekawsza sprawa. Gdy go do mnie przywieziono, był jeszcze ciepły, a mimo to miał już ciemnosine plamy na plecach, jakby kostucha tuliła go już od paru godzin. Takie ślady można znaleźć u ofiar, które zarażono śmiercią. Nie jakimś brudem, jak to nazywacie… A, bakterią! No więc nie bakterią, ale samą śmiercią. Wie pan, sierżancie, pogryzionych przez zmarłych albo takich, co się ze zmarłymi trzymają. No i proszę, tutaj – odsłonił dłoń denata – są ślady zębów i to od nich się ta cała siność rozchodzi. Niech pan powącha ranę. Czuć siarką?

– Czuć – przyznał Korycki, pochylając się nad trupem i przyglądając śladom po ugryzieniu. – Nielichą szczękę miał ten kundel.

– Czarny pies, jak nic. Podejdzie pan do nas, podkomisarzu?

– Za chwilę – stęknął Brumik, który już się wprawdzie prostował, ale na widok sierżanta wąchającego trupią dłoń na powrót zgiął się wpół.

– I teraz najlepsze. Wie pan, sierżancie, co to są czarne psy?

– Byłem na wojnie – przypomniał mu Korycki.

– A kto by nie był na wojnie w takich czasach! – machnął ręką kat, zerkając przy tym wymownie na

nieszczęsnego Brumika. – Pan był, ja byłem. Nawet ustrzeliłem ruskiego generała, wiedział pan o tym?

Korycki skinął głową, że wie. Nawet Brumik wyjęczał coś pochlebnego. Swoim triumfem kat chełpił się od blisko dwustu lat.

– Ano właśnie – pokiwał głową ukontentowany Strzelbicki. – Takie rzeczy ludzie pamiętają. Można potem nawet głowę stracić, ale sława zostaje… Przecież mnie nawet nie powiesili, tylko głowę ścięli jak herbowemu! Za zasługi! To coś znaczy, nieprawdaż? – urwał i zamyślił się na chwilę. Potrząsnął zaraz wielką kudłatą głową. – No, dobra, do rzeczy! Czarty, takie jak ten nasz kundel, kręcą się przy polach bitew, gdzie leżą niepochowani po chrześcijańsku, tak? No więc w Krakowie takich miejsc już nie ma. Rada o to zadbała. Za dużo z nich wyłaziło upiorów, o czym pan, sierżancie, może nie wiedzieć, bo tu pana nie było. Ale ja to na własne oczy widziałem.

Korycki nie dodał, że Strzelbicki nie tylko widział, ale sam wylazł z jakiegoś nieoznaczonego grobu. Skinął tylko głową i słuchał dalej.

Brumik uspokoił się wreszcie i podszedł do nich. Na wszelki wypadek ponownie zajął miejsce za plecami sierżanta. Nawet nie patrzył ani na zwłoki, ani w oczy kata, którego obecnością wciąż się jeszcze krępował. Po co szczeniaka skierowano do tej jednostki, w której kontakt z ożywieńcami był na porządku dziennym, Korycki nie wiedział. Mógł tylko zgadywać, że Brumik miał albo wysoko postawionego opiekuna, który uznał, że chłopakowi pomoże

taki epizod w karierze, albo przeciwnie – że ktoś na górze gołowąsa nie lubił.

– A zatem albo nasz trupek wybrał się na spacer za miasto, co mogłoby się wydawać najbardziej prawdopodobne, albo czart pogryzł go tutaj. Teraz spójrzcie, panowie, na buty ofiary – kat wyciągnął je dramatycznym gestem spod stołu. – I co widzicie?

– Zadbane – Brumikowi bardzo zależało na poprawieniu swojego wizerunku. – Chyba nowe.

– Eleganckie. Miejskie. W żadnym wypadku nie nadają się do chodzenia po łąkach i bezdrożach – uzupełnił kat.

– I nie ma na nich śladów błota – dołączył Korycki. – Ani piachu. Są właściwie czyściutkie. Zmarły nie spacerował za murami miejskimi.

– Pogryziono go tutaj – skinął głową kat. – Po Krakowie, w obrębie murów biega czart. Macie problem, panowie.

– No, mamy, ale chyba nieduży? – Brumik patrzył to na kata, to na sierżanta. – Jeden czart? Co to jest? Niech go strażnicy złapią.

Strzelbicki uśmiechnął się krzywo, mrugnął do Koryckiego, ale nie powiedział nic.

– Żaden byle czart nie pokona murów miejskich – wytłumaczył Brumikowi sierżant. – Może jakiś potężny demon zdołałby się przedrzeć. Ale czarne psy po pierwsze nie są na tyle potężne, by pokonać zaklęte w murach dusze, a po drugie nic ich do miasta nie ciągnie. Więc co?

– Może ten jest jakiś nienormalny? – spróbował odgadnąć Brumik.

– To byłby interesujący trop, panie podkomisarzu – Korycki zignorował rechot kata i pokiwał poważnie głową. – Prócz tego możemy jednak spróbować zbadać inny. Ktoś mógł tego kundla przenieść przez mury. Ktoś, kto wiedział jak oszukać strażnicze duchy, przejść przez kręgi ochronne i zaklęcia wpisane w bramy. Mówiąc krótko: ktoś kłopotliwy.

* * *

Podkomisarz Marek Brumik otrzymał przydział do mieszkania przy Brackiej 1, skąd do komisariatu umieszczonego w posępnych budynkach starego ratusza, rozbudowanych o umocnienia zapewniające bezpieczeństwo przed upiorami i potworami, ale niedodających budowli uroku, miał blisko, ledwie rzut kamieniem. W związku z tym codziennie spóźniał się do pracy, bo zawsze mu się wydawało, że może wyjść z domu w ostatniej chwili.

Jak tu się jednak nie spóźniać, skoro umieszczono podkomisarza w maleńkim pokoiku wydzielonym z sali liczącej znaczną ilość metrów kwadratowych, a służącej, zdaniem Brumika, jakiemuś przedwojennemu mieszczaninowi chyba do wydawania uroczystych przyjęć. Wychowany w podkrakowskiej wsi podkomisarz przyszedł na świat ogarnięty szałem Kresu. Nieletni Brumik najwięcej czasu spędzał w ufortyfikowanej podziemnej zadrudze, kryjąc się tam przed dzikimi bogami, pobudzonymi z podań czartami i bandami wielkoludów oraz przed całą armią

innych bestii stworzonych w marsjańskich laboratoriach. A także przed samymi Marsjanami, którzy, wedle słów matuli, krążyli po wsiach w poszukiwaniu dzieci, którym mogliby wyssać krew. Co tak cennego było w ludzkiej krwi, że Marsjanie lecieli po nią setki lat przez zimny, ciemny kosmos, mały Marek nie wiedział. Ale bał się i tak.

Wychowany w zatłoczonym schronie, powinien przywyknąć do życia pozbawionego intymności. A jednak odporny na wiele złośliwości losu Brumik nigdy nie potrafił poradzić sobie z nieśmiałością. Choć więc budził się wraz ze świtem, niecierpliwie czekał, aż jego sąsiad zza wydzielonego ledwie przepierzeniem pokoiku wstanie i odejdzie. Dopiero pewien, że nikt przypadkowo go nie podejrzy, młody policjant wyskakiwał pospiesznie spod kołdry i prędko się ubierał. Nie tracił czasu na śniadanie, ale od razu biegł do wspólnej łazienki, gdzie przeżywał katusze, zapoznając się w kolejce z rubasznym humorem sąsiadów. Co gorsza, tylko on przejmował się właściwym strojem. Zarówno mężczyźni, jak i kobiety ulokowani na pierwszym piętrze kamienicy na wyprawy do łazienki wyruszali w strojach pościelnych. Czasem były to koszule nocne bądź piżamy, często jednak, zwłaszcza mężczyźni, mieli na sobie znacznie mniej.

Najgorszy koszmar poranków Brumika stanowiła panna Agata.

Niewysoka, szczupła, niekoniecznie budzącej zachwyt urody, zarabiała na życie tak, jak umiała, co oznaczało, że ryzyko, że będą się spotykać z Brumikiem także na gruncie

zawodowym, było znaczne. Twarz miała wesołą i piegowatą, oczy brązowe, a czarne proste włosy przystrzyżone wedle nowej mody krótko, ledwie starczało ich, by ukryć nieduże, a i tak odstające uszy. Chadzała po korytarzach i pokojach przyodziana zwykle jedynie w bordowy szlafrok i pantofelki tegoż koloru. To wystarczyło, żeby na jej widok Brumik czerwieniał od stóp do głów. Na domiar złego panna Agata, lekceważąc o poranku formalności stroju, dbała jednocześnie, by nie opuszczać swego pokoiku bez starannego, wyzywającego makijażu i długiego papierosa wetkniętego w jeszcze dłuższą lufkę. Woń tytoniu, która wydawała się Brumikowi egzotyczna, mieszała się z natrętnym, zmysłowym zapachem jej perfum. Wszystko to przyprawiało podkomisarza o myśli niegodne młodego, dobrze wychowanego stróża porządku. Podczas gdy inni mężczyźni w kolejce nie szczędzili pannie Agacie przaśnych komplementów, a nawet poklepywali ją po odsłoniętym ramieniu, posyłali całusy czy wręcz szczypali po – zaskakująco krągłych u tak szczupłej kobiety – pośladkach, Brumik uciekał przed nią do kaplicy.

Nie musiał jej daleko szukać. Znajdowała się na tym samym piętrze co prowizoryczny pokoik Brumika. Podobno powstała jako dar właściciela kamienicy dla żony sparaliżowanej w wyniku wypadku, a może choroby. Pragnąc zapewnić jej dostęp do Pana Boga, kamienicznik przerobił jedno z pomieszczeń na pełną uroku kaplicę o łukowym sklepieniu, fałszywych kolumnach i ścianach, na których kazał wymalować sceny religijne w barokowym

stylu. Gdy Marsjanie wybudzili w 1916 roku ukrywające się dotąd w klechdach potwory, miejsce to stało się jeszcze jednym schronem, w którym można było ukrywać się przed złem.

Prawie każdego ranka pobudzony i zawstydzony tym pobudzeniem Brumik wbiegał do kaplicy, padał na kolana i modlił się żarliwie do Pana o osłonę przed pokusami. I niemal za każdym razem miłosierny, ale nie wolny najwyraźniej od poczucia humoru Pan wystawiał swe nieszczęsne dziecię na próbę, ponieważ panna Agata nabrała zwyczaju przychodzenia do kaplicy za Brumikiem.

– Pan jest inny – wyszeptała za drugim albo trzecim razem. Klęczała tak blisko, że Brumik musiał walczyć z pokusą odsunięcia się, by ich ramiona – jej nagie, bo jakoś tak się zwykle działo, że szlafrok zsuwał się z tego ramienia, którym panna Agata starała się zbliżyć do podkomisarza, jego odpowiednio osłonięte i koszulą, i czarną marynarką – się nie dotykały. Zadrżał, bo jej wargi prawie musnęły jego ucho. Próbował nie zwracać uwagi na wszystkie płynące od kobiety zapachy, zapomnieć o ciemnoczerwonych ustach i o tym, że nawet jej szept wydawał się mu zmysłowy. – Pan na mnie nie patrzy jak na rzecz. Pan jest porządnym, dobrym człowiekiem. Prawym. Boże, jaki pan jest prawy!

W ten sposób modlitwy Brumika kończyły się katastrofami, tym większymi, że po trzech tygodniach panna Agata nabrała zwyczaju całowania go na pożegnanie w czubek głowy. Pozostawiała podkomisarza tak

roztrzęsionego, że zaczynał modlić się od początku i dopiero po dziewięciu zdrowaśkach odważał się opuszczać święte miejsce. Pożytek był z tego taki, że nie musiał już stać w kolejce do łazienki. Niestety spóźniał się przez to wszystko do pracy.

Jakże zazdrościł sierżantowi Koryckiemu jego hardości i spokoju! Były żandarm wojskowy potrafił radzić sobie i z cwaniakami, których w bezpieczny obręb krakowskich murów zagnały katastrofy Kresu, i z kokotami chętnie prowokującymi policjantów, i z bezczelnymi osiłkami pracującymi najczęściej albo dla pana Nowakowskiego z Podgórza, albo dla jego największego konkurenta, pana Surby rezydującego w Kamienicy Hipolitów. Przed Koryckim przechodnie się rozstępowali, Brumik musiał się między nimi przeciskać.

– A to ludzi się nazbierało w tym Krakowie! – zauważył jego wysiłki Strzelbicki.

Gdy opuszczali prosektorium, kat oświadczył niespodziewanie, że skoro sprawa dotyczy psa, wybierze się razem z nimi. W jego czasach czeladnicy katowscy trudnili się także wyłapywaniem bezpańskich psów, toteż miał pewną wprawę ściganiu czworonogów.

Zdaniem Brumika katu nudziło się w piwnicach starego ratusza, gdzie trzymano go prawie jak w więzieniu.

– W osiemnastym wieku mieszkało tu pewnie mniej ludzi? – zapytał.

– Juści, że mniej! Prawdę mówiąc, Kraków nie był wtedy w najlepszym stanie. Ciągnęli do niego luźni z całej okolicy,

ale czasy świetności miał już za sobą przez tych przeklętych Niemców i Moskali. Można rzec, że było trochę podobnie jak dziś. Też naokoło wojna, szlaki poniszczone, pełno band po lasach. W mieście mimo wszystko było bezpieczniej, to się w nim ludzie chowali. Ale nie aż tylu. Porodziło się was, oj porodziło!

– Jak to „też wojna”? – zaprotestował Brumik. – U nas wojny już nie ma! To już drugi miesiąc pokoju!

Kat tylko się uśmiechnął. A podkomisarzowi odpowiedział Korycki.

– Wojna nie kończy się, gdy ogłoszą to politycy, panie podkomisarzu. Traktaty mogą uspokoić armie, ale nie bandytów, ludzi żądnych zemsty i zwyczajnych maruderów. Jak człowiek zabijał przez całe lata, to przecież jakiś papier nie odmieni mu duszy.

Brumik musiał przyznać mu rację. Cóż z tego, że ostatni dowódcy marsjańskich armii pogodzili się z klęską inwazji i nawet wspomagali ludzi w ich zmaganiach z dzikimi bogami, skoro walki trwały nadal. Coś dziwnego działo się na wschodzie, gdzie upadła stara Rosja, a wszystkie opowieści o krwawych Dzikich Polach znów stały się rzeczywistością. Kto jednak przejmowałby się sprawami dalekich krain, gdy bliżej czekały go nie mniejsze kłopoty! By dotrzeć z Krakowa do Wieliczki, trzeba było przebijać się przez zagony zdziczałych drzew oraz bandy demonów i opętańców. A w podkrakowskiej Mogile dziwne istoty w czarnych płaszczach wysysały z ludzi wolę życia. Pierwsza wojna światowa – która w 1916 roku

przekształciła się w wojnę międzyświatową – dobiegła końca w roku 1951 starego kalendarza. I prawie nic to nie zmieniło. Kraków jak był przez ponad trzydzieści lat fortecą, tak nią pozostał. A jego włodarze z coraz większą niechęcią patrzyli na tłumy przebywających w nim i wciąż napływających doń uchodźców.

– Dokąd właściwie idziemy? – zapytał Brumik.

– Na Psią – odparł Korycki. – Znam tam jednego gościa.

Brumik pracował z sierżantem dopiero kilka dni. W tym czasie zdążył się już przekonać, że Korycki niemal wszędzie „znał jakiegoś gościa”. Jak mu się udało poznać tylu ludzi ledwie po kilku miesiącach przebywania w mieście, podkomisarz nie wiedział. Rozumiał tylko, że powinien nauczyć się od podkomendnego cennej umiejętności poznawania właściwych osób.

Problem w tym, że Brumik nie do końca był pewien, którzy należeli do tych naprawdę właściwych. Jego kolega ze szkoły policyjnej uważał na przykład, że najwłaściwsi byli mężczyźni dysponujący władzą i bogactwem oraz kobiety potrafiące okręcać sobie tych mężczyzn wokół palców. Oczywiście, przystojny Jacek Trzekot nigdy nie tracił języka w gębie i potrafił z każdym odpowiednio rozmawiać, toteż szybko znalazł sobie takich znajomych, jakich szukał. Po szkole nie trafił do kłopotliwej jednostki policyjnej, ale zatrudnił się w służbach wewnętrznych straży celnej, co uznawano w szkole za znakomitą posadę. Brumik nie utrzymywał z nim kontaktu, zgadywał jednak, że Trzekot nie mieszkał w jednym pokoju z dwudziestoma innymi

osobami. Zapewne uwiódł już czyjąś córkę albo żonę i otrzymał nie tylko przyzwoite służbowe mieszkanie, ale też dodatek na jego utrzymanie.

– Też znam paru gości na Psiej – uśmiechnął się ponuro kat. – To dobry kierunek. Szukać psa na Psiej.

* * *

Nie tylko ludzie mają wspomnienia i tradycje, z których potrafią lęgnąć się upiory. Gdy na Ziemię spadły marsjańskie mitbomby, by wydobyć odkładające się od tysiącleci zasoby ludzkiej wiary, ożyły dawne wierzenia i przesądy, a ich zasady stały się równie ważne jak prawa fizyki.

Starając się przede wszystkim przeżyć, ludzie nie od razu zorientowali się, że także miasta posiadały dusze i ulegały zmianom.

W Krakowie oprócz duchów dawno zmarłych ludzi powróciły duchy ulic. Niektóre nawiedziły ulice, które je zastąpiły, by straszyć przechodniów artefaktami z dawno minionych zaułków, kocimi łbami przebijającymi się przez asfalt albo niespodziewanymi dziurami pełnymi wody. Dawno umarła odnoga Wisły, niegdyś czyniąca z dzielnicy Kazimierz rodzaj wyspy, zaczęła zalewać piwnice mieszczan tłoczących się przy ulicy Starowiślnej.

Dzięki wysiłkowi straży pożarnej i miejskich czarowników oraz wspólnym operacjom egzorcystów udawało się zazwyczaj odpędzać upiory ulic, ewentualnie zamykać je na małych odcinkach – czasem w nawiedzonej

piwnicy albo opustoszałym zaułku. Jedynymi ulicami, z którymi władze miejskie nie potrafiły sobie poradzić, były Kocia i Psia.

Podobno stawiły tak skuteczny opór dlatego, że już u swego zarania nie były prawdziwymi ulicami, których istnienie ktoś zaplanował, ale dzikuskami wyrosłymi samorzutnie przy murach miejskich. Zapełniali je przede wszystkim podobni im ludzie – żebracy i złodzieje, przymierający głodem niepopularni artyści i dziwki zadowalające się najpodlejszą klientelą. Kocia i Psia nawet w czasach swej wątpliwej świetności były raczej cieniami ulic, czymś na kształt równoległej rzeczywistości. Przyzwyczajone do roli upiorów, nie pozwoliły się wypędzić, gdy miasto przypomniało sobie o nich dzięki mitbombom.

Wspomogli je i nowi mieszkańcy. Jak dawniej zamieszkiwali Kocią i Psią ludzie, których miasto się wstydziło, tak teraz dołączyli do nich ożywieńcy, niegroźne duchy, stłamszone oswojone demony, ale i mieszańcy – potomkowie ludzi i istot nadnaturalnych. Mieszkały tam gadające zwierzęta i porzucone bóstwa, które wypełzły z dawno zapomnianych pieśni, by odkryć, że nikt już w nie prawie nie wierzy, a ożywiło je wspomnienie jakiegoś ducha sprzed stuleci.

Psia, na którą wkroczyli śledczy, była więc miejscem złych cudów, czarnej magii i jeszcze czarniejszych charakterów. Kat czuł się tam jak u siebie. Po Koryckim widać było, że uważał, iż policja istniała właśnie w celu pilnowania takich zaułków. Brumik natomiast nadziwić się

nie mógł, jak Rada Miasta mogła tolerować to przeklęte miejsce. Co chwila oglądał się nerwowo przez ramię, podskakiwał za każdym razem, gdy z nienaturalnej mgły wijącej się wokół jego kostek dobiegało dziwne syczenie bądź złośliwe popiskiwania. I oczywiście czerwieniał od spojrzeń półnagich kobiet, z których niektóre miały rogi bądź ogony.

– Jeśli gdzieś mógłby ukrywać się czart, to chyba tylko tu – wystękał.

– Tak by się mogło wydawać – Korycki odepchnął brutalnie szczególnie namolną prostytutkę. Nie przejął się rzuconym przez nią przekleństwem. Dzięki amuletom, w jakie zaopatrywała swoich ludzi policja, mógł ignorować drobne czary i chwilowe zawirowania energii wiary. – Ale ci tutaj mają ściśle określone zasady i nie lubią nowych czartów.

– Chyba że się im opłacają – przypomniał Strzelbicki.

– Chyba że tak. Ale w takim razie do nas należy przekonanie tutejszych, że ukrywanie mordercy zupełnie im się nie opłaca.

Odnaleźli legowisko obudowane prowizorycznymi ścianami z czego popadło: starych desek uzupełnionych dowolnego rodzaju śmieciem tak, by pasowały do siebie, i kawałków cegieł oraz innego rodzaju gruzu. Brumikowi wydawało się, że wśród budulca odnajdywał i skradzione płyty chodnikowe, i potrzaskane płyty nagrobne, przyniesione być może przez jakiegoś ożywionego mieszkańca grobu z poprzedniego domostwa.

Prymitywny domek przywodzący skojarzenia raczej ze zwierzęcą norą niż z ludzkim mieszkaniem tkwił wciśnięty między dziesiątki podobnych mu budowli na trzecim piętrze nie tyle kamienicy, co skupiska ludzkich i nieludzkich gniazd. Kudłaty łeb wyglądający ze środka schował się na widok policjantów. Co więcej, zatrzaśnięto zaraz drzwi splecione z kawałków gałęzi i wzmocnione błotem, w którym zasuszono drobne kawałku gruzu. Sąsiedzi właściciela owej fortecy ochoczo pomogli mu, wciągając na górę drabinę, po której można było wspinać się ku wyższym piętrom owej samowoli budowlanej.

Korycki nie przejął się tym wszystkim. Podciągnął rękawy wojskowej kurtki i zaczął wspinać się po budynku jak po skale. Wykorzystując nierówności ścian i nieforemności budowanych po amatorsku mieszkań, prędko dotarł do celu. Szarpnięciem wyrwał drzwi z prowizorycznych zawiasów. Ignorując protesty gospodarza, wtargnął do środka nory. Słysząc odgłosy kotłowaniny, od której zatrzęsła się cała budowla, Brumik chciał ruszyć na pomoc swemu nominalnemu podwładnemu, jednak kat powstrzymał go.

– Poradzi sobie – uspokoił podkomisarza. – Patrz pan!

I rzeczywiście. Znajomek sierżanta wyleciał z wnętrza mieszkania niczym wystrzelony z procy. Byłby spadł na ulicę, ale policjant wychylił się za nim, chwycił go za ręce i utrzymał w powietrzu.

– Do środka! – rozkrzyczał się informator. – Wciągnij mnie do środka, ty przeklęty oprawco! Nie masz prawa

mnie tak traktować!

– Znaczy się ratować pana nie mam prawa, obywatelu?

– Ratować? – zawył informator. – Ty zawszony draniu! Załatwię ci taki urok, że popamiętasz! Hej, bracia! Przyjaciele! Pomóżcie!

Bracia i przyjaciele obsiedli okoliczne dachy i wyglądali z ciekawością przez okna swoich mieszkanek. Nikt jednak nie kwapił się z pomocą. Kilku mężczyzn zwyzywało policjanta, ktoś życzył mu bardzo nieprzyjemnej choroby, a kobieta wyglądająca na królową lokalnych kurtyzan uznała za stosowne zastrzec, że majtający nogami w powietrzu nieszczęśnik jest jej winien pieniądze, w związku z czym planowała obciążyć długiem kasę miasta, gdyby przesłuchiwany zginął z winy policjanta.

– Nikt ci nie pomoże, żadni bracia czy przyjaciele. – Korycki mówił powoli, z wyraźnym wysiłkiem. – Tylko ja. A ja zaczynam tracić siły. Więc jak będzie?

– Jesteś podły! Podły! A ja tak ci pomagałem! Broniłem cię przed złymi językami!

– Bardzo ci za to dziękuję. Więc jak będzie?

– Ustępuję przed przemocą. Ale zważ, że złożę na ciebie skargę do Króla!

– Bardzo się tym przejąłem. – Korycki wciągnął informatora do środka. – A teraz gadaj, fajtłapo.

– Króla? – zdziwił się Brumik. – Przecież nie jesteśmy monarchią? A toto chyba nie ma prawa wejścia na Wawel?

– Miejska legenda. – Strzelbicki splunął przez lewe ramię. – Król Duch, władca wszystkich upiorów. Różnie go

nazywają. Panem Cmentarzy, Złym Słowem… Niech się pan nie przejmuje, panie podkomisarzu. Wymyślili go sobie i tyle.

– Czyli to nie żaden z królów z Wawelu? – upewniał się Brumik. Dawni władcy pochowani na wawelskim wzgórzu raczyli powrócić do świata żywych, nie opuszczali jednak swojej nekropolii i oficjalnie nie wtrącali się do władania miastem. Z drugiej strony ogłosili Wawel niezależnym terytorium i pobierali opłaty za korzystanie zeń. A że było to miejsce wręcz pęczniejące od mocy, promieniującej do tego na całe miasto, Rada Miasta musiała zawrzeć z królami skomplikowaną i pełną tajnych zapisów umowę.

– Żaden z wielkich – przytaknął kat i znów splunął. Obrócił przy tym na palcu pierścień różańca, co nie umknęło uwadze Brumika.

– A jednak trochę pan w niego wierzy!

– Takie mamy czasy, panie podkomisarzu, że to, co zmyślone też może panu przegryźć gardło – wyjaśnił Strzelbicki. – Ale pan i ja, i sierżant też, mamy herb miasta własną i smoczą krwią wytatuowany na piersi, nie? To nam taki chocholi król może, za przeproszeniem, nasrać na wycieraczkę, a i to nie na służbową. A że ze mnie człowiek trochę przesądny, nie ma się co dziwić. Sam z grobu wylazłem, nie? Ożywiła mnie sława zabójcy generała, sława największego z katów! Jedynego złodzieja ściętego, a nie powieszonego! Bo zna pan tę historię?

– Słyszałem.

– Ale nie ode mnie! Niechże pan sobie wyobrazi, jak to wtedy było! Panowie konfederaci bardzo nam za złe mieli, że raz wpuszczaliśmy w bramy miejskie ich, a raz Moskali. Ale to nie przez zdradę Rzeczypospolitej tak robili nasi rajcowie, ale by silnego wroga oszukać, siły zebrać i obronę miasta przygotować. A jak już żeśmy byli gotowi, to przyszedł dzień mojej i miasta chwały. Oto, rozumie pan, artylerii ruskiej ciągły się szeregi…

Przed wysłuchaniem eposu o bohaterskim kacie uratował Brumika Korycki. Wrócił z mieszkania informatora już po drabinie, równie ochoczo mu teraz podsuniętej, jak poprzednio ukrytej.

– Dla pana generała my wszystko! Serca i dusze oddamy! – zapewniło dwóch wyrostków o rudych czuprynach. Gdy jednak zapytał, czy nie zechcieliby z nim porozmawiać, natychmiast zniknęli.

– Nic nie wie, łajza – zawołał zaskakująco głośno Korycki, zeskakując z ostatniego szczebla. – Nie łże. Nie wie i już!

– Zapytamy moich! – zaproponował kat.

– Innego wyjścia nie widzę. Choć coś mi się zdaje, że i od nich wiele się nie dowiemy. Ten zamordowany elegancik mógł trzymać się z dala od tego miejsca, nie pasuje ono do niego. Tutejsi powinni wyczuć czarta, ale jeśli on się dobrze maskuje… – wzruszył ramionami. – Prowadź pan do tych swoich znajomych, mistrzu Strzelbicki!

Ruszyli obaj, nie oglądając się na Brumika. A ten zamarł bez ruchu, bo właśnie mijała go panna Agata. Mrugnęła do podkomisarza, ale zaraz położyła palec na ustach tego dnia w kolorze wiśni.

– Wieczorem! – szepnęła. – Niech pan na mnie czeka u franciszkanów!

I zniknęła w tłumie przechodniów, zanim zdołał wyjść ze zdumienia. Jakby jej wcale nie było.

* * *

Kościół zakonu franciszkanów, tak jak wszystkie inne świątynie w mieście, przypominał fortecę.

Szykowano się w nim na odparcie szturmu demonów, gdyby sforsowały podczas któregoś z oblężeń miejskie mury. Rada Miasta traktowała takie zagrożenie nadzwyczaj poważnie. Kto bowiem nie stawał pod Krakowem w czasach Kresu! Całe armie rosyjskich i austriackich żołnierzy maszerowały martwymi ale jednak karnymi szeregami ku miastu, w którym kryli się żywi. Wędrowały z nimi stada wilków o płonących czerwienią oczach, szaleni bogowie i czarty, a nawet boscy dezerterzy z marsjańskich armii – przedziwne istoty stworzone w laboratoriach na dalekich planetach.

Ciągnęli ze sobą wykopane spod ziemi nawiedzone armaty pamiętające wojny napoleońskie albo nawet i czasy konfederacji barskie. Może i stare, częściowo zniszczone, ale dzięki magicznym mocom i wierze pokładających w nich zaufanie upiorów zdolne miotać pociski w miejskie mury.

Przeciw tym armiom stawali nie tylko żywi ludzie, ale i duchy miejskie, zmartwychwstańcy a nawet upiory i demony, które składały przysięgę wierności miastu albo władcom Wawelu. Wronie klany od pokoleń mieszkające na murach przybywały, by bronić swoich siedlisk i walczyły wspólnie z ludźmi. Podczas szczególnie trudnych bitew zdarzało się, że spełniała się stara przepowiednia i część gołębi przemieniała się nagle w średniowiecznych rycerzy, którzy z imieniem króla Łokietka na ustach rzucali się na oblegających. Dzięki nim wszystkim miasto utrzymało się przez wszystkie lata Kresu, czy musiało stawiać czoła potworom, czy zwyczajnym ludzkim armiom. A kościół franciszkanów nigdy nie musiał skorzystać z własnych umocnień.

Kręciło się przy nim nieco onieśmielonych nieludzkich istot tyleż pragnących boskiej opieki, co lękających się przekroczenia progu świątyni. Wśród tysięcy wywołanych przez Marsjan bóstw nie znalazł się żaden z bogów jedynych. Nikt nie wiedział dlaczego. Trafiali się po wsiach święci, których rodowody wywodziły się tak naprawdę sprzed chrześcijańskich czasów, ale monoteistyczny Bóg nie powrócił. Jedni widzieli w tym dowód jego nieistnienia, inni wręcz przeciwnie. Jakby nie było, upiory, bóstwa i potwory lękały się żydowskich, chrześcijańskich i muzułmańskich świętych miejsc. Brumik czytał, że w dalekiej Azji tak samo obawiały się świątyń buddyjskich, może więc nie chodziło o samą moc świętych budowli, ale o to, w co złe duchy wierzyły.

Agata, wbrew temu, co szeptały czasem za jej plecami sąsiadki, nie była najwyraźniej diablicą, bowiem cierpliwie czekała na podkomisarza w jednej z kościelnych ław. Nie poraził jej piorun ani nie otoczyły rozgniewane anioły.

– Bałam się, że pan nie przyjdzie – szepnęła, gdy usiadł obok niej. Zachował na wszelki wypadek blisko pół metra odstępu, ale gdy natychmiast przysunęła się do niego, nie znalazł w sobie sił, by ją powstrzymać.

Sam także się nie odsunął, z obawy, że mogłaby to uznać za nieuprzejme.

– Cóż ja dla pana znaczę!

Spojrzała na niego oczami jeszcze ciemniejszymi i bardziej niepokojącymi w półmroku kościoła. Zatrzepotała długimi rzęsami i westchnęła tak smutno, że wydawało się, iż kilku świętych spojrzało na nią z troską z witraża.

– Doprawdy – stęknął Brumik. – To znaczy… Właściwie… Jestem policjantem! A pani mnie wezwała! Co pani robiła na tamtej koszmarnej ulicy?

– Samotna dziewczyna musi radzić sobie jak umie – wzruszyła ramionami. – Pewnie teraz upadłam jeszcze niżej w pana oczach, prawda?

– W żadnym razie – odpowiedział pospiesznie i chyba zbyt głośno, bo zgarbiona kobiecina w czarnym płaszczu i kapeluszu, siedząca kilka ławek bliżej ołtarza, odwróciła się ku podkomisarzowi i skarciła go surowym spojrzeniem. – W żadnym razie pani nie upadła – dodał szeptem.

– Bo już niżej upaść nie można? – zapytała niby cichutko, niby pokornie, ale Brumik zorientował się, że

kpiła.

– Pani zamierza żartować? – zapytał gniewnie i znów za głośno. Kobiecina w czerni tym razem nie ograniczyła się do spojrzeń i syknęła ostrzegawczo.

Brumik natychmiast spokorniał. Wolał nie wyobrażać sobie, co zrobiłaby mu następnym razem. W zadrudze takie jak ona potrafiły zbesztać nawet dorosłych mężczyzn, prawdziwych wojowników doświadczonych w walce z czartami. A choć wszystkie te przygniecione garbami babiny kłaniały się krzyżowi i wzywały Jezusa i wszystkich świętych na pomoc, znały też własną, paskudną magię złośliwych starych kobiet, którym niewiele już zostało radości w życiu, odkąd poginęli ich mężowie, a czasem i dzieci i wnuki. Nikt nie chciał im podpaść.

– Panno Agato – szepnął. – Są miejsca na żarty i na poważne rozmowy. Kościół na żarty nie nadaje się w żaden sposób. A ja mam się czym zajmować!

Agata chwyciła go za ramię, powstrzymując przed odejściem.

– Przepraszam! Ech, ten mój charakterek! Proszę mi wybaczyć! Ja się czasem nie potrafię powstrzymać! Zapomniałam, że pan jest inny, że pan nie będzie flirtował, tylko obrazi się i ucieknie. A ja panu chcę pomóc!

– Pomóc?

– Bardzo pomóc – pokiwała energicznie głową. – Ja wiem, po co wyście przyszli na Psią. Wy szukacie Stefana Mausera. Łowcy wiedźm. Tego, co go pies zagryzł. Wielki,

czarny pies od którego czuć piekłem. Nikt wam nie pomoże. Ale ja panu… Ja panu wszystko powiem!

* * *

– A to się uwinęła sikoreczka! – wybuchnął rubasznym śmiechem Strzelbicki. – Albo to pan żeś się uwinął! Przyznam, nie sądziłem, że z pana podkomisarza taki frant! Niby taki cichy, taki grzeczny… Ale dobrze mówią – cicha woda!

Śmiał się, poklepywał po udach, mrugał to do podkomisarza, to do sierżanta i nawet raz szturchnął po przyjacielsku Brumika swoim wielkim łokciem.

Nawet sierżant uśmiechał się, wysłuchując opowieści o spotkaniu w kościele. Wszystko to bardzo podkomisarza konfundowało. Daremnie próbował porozmawiać z Koryckim na osobności. Kat zapalił się do pomagania im w śledztwie i nie odstępował ich choćby na krok.

– I to już wszystko? – upewnił się Korycki, gdy Brumik zakończył opowiadać o tym, co usłyszał od Agaty.

– Więcej nie wiedziała.

– Doskonale. To się pokrywa i z naszymi informacjami. Dobra robota, panie podkomisarzu. Proszę przyjąć jedną tylko radę na przyszłość. Proszę nikomu, nawet mnie, nie ujawniać personaliów swoich informatorów. Informatorzy to pański największy skarb.

– Ale jak to? – Brumik znów się zaczerwienił. – Pan przecież nam tego wczoraj pokazał! Całemu światu pokazał!

– Po pierwsze: ogłosiłem zaraz potem, tak głośno, jak tylko się dało, że nic nie wiedział. Po drugie: to niezupełnie informator – wyjaśnił sierżant.

– Ja go czasem tak trzepię na pokaz a on mi mówi co najwyżej co mogę zrobić ze swoją rodziną, ze szczególnym uwzględnieniem matki. Jak coś wie, to sam do mnie przychodzi. A tak służy za sygnał, żeby ktoś inny zorientował się, że jestem w potrzebie i sam do mnie przyszedł. Panna Agata to cenna zdobycz. Gratuluję. Mistrzu Strzelbicki, założę się, że zapomniał pan już o tej rozmowie?

– A o ile? – rzucił ciągle jeszcze rozbawiony kat. – Bo ja zakładać się lubię o porządne stawki!

– Mistrzu Strzelbicki – choć głos Koryckiego pozostawał koleżeński, wręcz łagodny, kat nagle zesztywniał. Przestał się śmiać. Próbował jeszcze patrzyć zuchwale sierżantowi w oczy, ale zaraz opuścił głowę.

– Pożartować nie można – bąknął. – Człowiek prawie dwieście lat leży w grobie, a jak z niego wylezie, to się okazuje, że w nim i tak więcej życia niż w tych niby żywych!

Brumik także poczuł chłód bijący nagle od sierżanta. Serce zabiło mu mocniej, jak w tych licznych chwilach, gdy o wrota zadrugi ocierały się nocą potężne, złe stwory, albo gdy starszy brat opowiadał mu szczególnie przerażające historie. Po raz pierwszy uświadomił sobie, że wojenna przeszłość Koryckiego mogła uczynić zeń kogoś, kim podkomisarz nigdy nie spodziewał się zostać.

– A znacie panowie tę Zdebińską? – zapytał.

Zuzanna Zdebińska, o której opowiedziała mu panna Agata, prowadziła przy Kleparzu dom dla upadłych kobiet. Przyjmowała wyłącznie te, które pragnęły nawrócenia. Pomagały jej dwie siostry zakonne i pewien ksiądz. Nie pito w jej domu alkoholu, nie przyjmowano mężczyzn, za to dwa razy dziennie odprawiano msze.

Zabity, którego panna Agata nazwała łowcą wiedźm. spotykał się z nią podobno.

– Chłopaki z obyczajówki znają – mruknął Korycki. – Pogadamy z nimi. Najlepiej od razu.

– Ja tam z panami nie pójdę. – Kat również wstał. – Jeśli pozwolicie, zajmę się swoją pracą. Coś mi się nagle przypomniało.

Nie odpowiedzieli. Sierżant skinął tylko głową i wyszli z przydzielonego im pokoju.

– Obraził się – szepnął Brumik.

– Jeśli tak, niewart jest naszej uwagi – wzruszył ramionami Korycki. – Ta pana informatorka mówiła, skąd o tym wszystkim wie?

– Zna kilka dziewcząt mieszkających u pani Zdebińskiej. Odwiedza je czasem, a dla samej Zdebińskiej załatwia różne sprawunki na mieście.

– Coś konkretnego?

– Nie chciała powiedzieć.

– Czyli coś bardzo konkretnego – pokiwał głową Korycki. – Ciekawe to wszystko, prawda? Łowca wiedźm przyjeżdża do Krakowa… Trzeba się dowiedzieć kiedy, całe szczęście przy bramach sprawdzają dokumenty. Spotyka się

z opiekunką prostytutek, które mają już dość swego fachu. No, takie mogą wiedzieć to i owo o wiedźmach. Może któraś z nawróconych nie nawróciła się do końca?

Policjanci z obyczajówki tak gorąco zapewniali o czystości intencji Zdebińskiej, że nawet Brumik przestał im wierzyć. Pozwalał Koryckiemu wypytywać o nielegalne praktyki, narkotyki i handel ludźmi. W odpowiedzi usłyszeli tylko pełne niedowierzania zaprzeczenia.

– Za krótko jestem w tym mieście, cholera – warczał sierżant, gdy wychodzili. – Za mało wiem!

– To może zapytamy pana komisarza? – zaproponował Brumik.

– Nigdy nie jest za wcześnie na to, żeby zawracać głowę szefowi, panie podkomisarzu. Do szefa pójdziemy, jeśli wszystko nam się zacznie walić na głowy, nie wcześniej. Chyba że życzy pan sobie inaczej?

Brumikowi ani w głowie było życzyć sobie inaczej niż Korycki.

Na ulicy czekał na nich rozpromieniony Strzelbicki.

– Idziecie panowie do nawróconych dorotek, nieprawdaż? – zawołał wesoło. – Wybiorę się z wami, jeśli pozwolicie.

– Co pan znalazł? – Korycki nie bawił się w zgadywanki.

– Ten sukkub, pamiętacie panowie? Pan podkomisarz pamięta, bo poczerwieniał. Tak mi się coś zdawało, więc sprawdziłem. I proszę, głowa ścięta, ale nie od parady! Ciało tego sukkuba znaleziono właśnie nieopodal Kleparza!

* * *

Pani Zdebińska wraz ze swą gromadką usadowiła się nie tyle w domu, co w starym, poaustriackim forcie, którego nikt prócz niej nie chciał, ponieważ uważano to miejsce za nawiedzone. Choć i magicy i wróżbici miejscy przekonywali krakowian, że żadne duchy nie mieszkały w forcie, nie wierzono im. Nie pomagało, że Kleparz znajdował się poza najbezpieczniejszymi, bo średniowiecznymi murami miejskimi, z których mocą nowe mury, wzniesione nieco ponad trzydzieści lat wcześniej, nijak nie mogły się równać. Choć kamienice kleparskie z wolna zaczęły znajdywać lokatorów, fort pozostawiono samemu sobie.

Pani Zdebińska należała albo do osób odważnych, albo lepiej poinformowanych i większą wiarę pokładających w urzędnikach miejskich. Obejmując fort, nie stoczyła bitwy z zagubionymi duszami, lecz z bezdomnymi, którzy zamieszkali w nim wcześniej. Okazała się kobietą przedsiębiorczą i skuteczną. Bezdomnych wygnała w ciągu zaledwie trzech dni. A po roku, dzięki wsparciu z kasy miejskiej, zakończyła remont fortu.

– Za moich czasów stacjonowali tu Moskale. – Strzelbicki, jak zwykle, ochoczo dzielił się wspomnieniami. – To jeszcze wtedy była wieś. Oj, roiło się tu od dorotek, bo te psie dusze porywały czasem cnotliwe panny z ulicy albo i z domów, i robiły z nich murwy – splunął soczyście. – Takie z nich syny! Aleśmy im pokazali!

Zastukali kołatką w żelazną bramę. Musieli odczekać kilka minut, nim usłyszeli z wewnątrz skrzypienie zawiasów.

– Jak w klasztorze! – Strzelbicki mrugnął porozumiewawczo. Korycki uśmiechnął się lekko w odpowiedzi, natomiast Brumik z trudem opanował odruch, by upomnieć kata. Porównać takie miejsce z klasztorem!

Choć właściwie to miejsce stanowiło pewien rodzaj klasztoru, zagubione, a skrzywdzone dusze znajdywały tu spokój.

Skrzywdzona dusza, która otworzyła im drzwi, mogła mieć najwyżej siedemnaście lat. W jej krzywym uśmieszku Brumik dopatrzył się jednak całych dziesięcioleci upadku. Twarz miała chudą, lisią, oczy jasne i zuchwałe, a głos piskliwy.

– Czego? – zawołała. – Trupa żeście nam przyprowadzili? A na co? Na żebry? Matka nic dla was nie ma, łachudry!

– Policja – warknął Korycki. Nie przejmując się protestami dziewczyny, po prostu wepchnął ją do środka.

– Ja żyję! – sapnął z oburzenia postępujący zaraz za nim Strzelbicki. – To jest żywe ciało, dziewczyno, a nie żaden trup! Mógłbym ci to udowodnić, jakbyś chciała!

– Trupa czuję, swoje wiem – zapiszczała. – A udowadniać nic mi nie musisz, świnio! To ten twój gliniarz i jego pachołek powinni pokazać dokumenty! A jak nie, to won! Mamy swoje prawa i swoich obrońców!

Skonsternowany obcesowym zachowaniem kata i wcale nie lepszym sierżanta, Brumik wysunął się przed swego nominalnego podkomendnego. Okazał dziewczynie odznakę

z miejskim herbem, przedstawił się, przeprosił za zachowanie towarzyszy i poprosił o widzenie z opiekunką.

– Jaki grzeczny! Jaki panicz! – zachichotała dziewczyna. – No to chodźże za mną, paniczu! Zaprowadzę was do matki!

Strzelbicki i Korycki milczeli, za co Brumik był im bardzo wdzięczny. Ruszył za dziewczyną bez słowa nieco ciemnym i chłodnym, ale zadbanym korytarzem. Mijali sale pozbawione drzwi, jakby ktoś chciał utrudnić mieszkankom fortu zachowanie prywatności. Dzięki temu mogli dostrzec pracujące w kolejnych pomieszczeniach kobiety w różnym wieku. Niektóre sprzątały, inne pracowały przy maszynach do szycia, haftowały, malowały, a nawet składały jakieś drobne mechanizmy. Brumik starał się zerkać dyskretnie, natomiast sierżant i kat zaglądali do kolejnych sal bez choćby krzty przyzwoitości. Być może na tym właśnie polegała policyjna robota, jednak podkomisarz wzdrygał się na myśl, że kiedyś zmieni się w ludzi takich jak oni.

Podziwiał sierżanta, ale nie podobał mu się sposób, w jaki potraktował odźwierną. Nie podobały mu się też chłód, a może nawet pogarda, z jaką Korycki oceniał ludzkie charaktery a także jego skłonność do brutalności. Jakkolwiek Brumik przyznawał, że wiele musiał się jeszcze nauczyć od sierżanta, zaczynał dochodzić do wniosku, że i on będzie musiał nauczyć paru rzeczy jego. Na przykład manier wobec kobiet. Niech sobie Korycki traktuje mężczyzn jak chce, ale kobiety to zupełnie inna sprawa.

Choć wnętrze fortu, z konieczności, sprawiało raczej surowe wrażenie, biuro pani Zdebińskiej okazało się miejscem jasnym i pełnym ciepła. Proste biurko zdobiły świeżo ścięte kwiaty, ściany przystrojono pastelowymi pejzażami. Szeroko otwarte okno wychodziło na wewnętrzny ogród.

Zdebińska obejrzała odznaki tak Brumika, jak i Koryckiego. Poprosiła także kata o dokumenty zaświadczające, że pracuje dla policji. Na szczęście Strzelbicki nigdy nie rozstawał się ze stosownym zaświadczeniem. Jako zmartwychwstaniec, który w dodatku porzucił resztki własnego ciała, by opanować cudze, musiał być gotów legitymować się na każde wezwanie.

Dopiero gdy gospodyni upewniła się co do tożsamości przybyłych, łaskawie wskazała im krzesła. Jedno doniósł niewysoki łysy ksiądz w przybrudzonej ziemią sutannie przepasanej grubym skórzanym pasem, który zupełnie do niej nie pasował. Z poprzyczepianych do niego kieszeni wystawały dziesiątki nożyków, a w kolbie służącej może kiedyś za mieszkanie rewolweru spoczywały teraz wielkie ogrodowe nożyce.

– Przybiegłem prosto z ogrodu – wytłumaczył się, uśmiechając nieśmiało.

– Ksiądz Gorawiński jest równie znakomitym ogrodnikiem dusz, co kwiatów – przedstawiła go Zdebińska.

Zaskoczyła Brumika powierzchownością. Nie wiedzieć czemu spodziewał się wielkiego babska w ponurej czarnej sukni, albo przeciwnie – osoby tonącej w warstwach

różowej materii. Zamiast tego przywitała go kobieta drobnej budowy, o pociągłej rumianej twarzy i ustach tak drobnych, że z ledwością widocznych. Ubrana była w prostą, szarą suknię, zupełnie jak jej podopieczne, tak samo jak one skrywała też włosy pod jasną chustą. Mogłaby rzeczywiście przypominać zakonnicę, gdyby Brumik znał jakieś siostry zakonne popijające nalewkę z kryształowych karafek i trzymające na kolanach czarnego jak noc ratlerka o złośliwych oczkach i pysku, z którym zdecydowanie było coś nie tak. Pies, zwyczajem czworonogich mizerot, rozszczekał się na widok przybyszy. W tym jeszcze nie było nic dziwnego. Kłopot w tym, że szczęki kołysały mu się przy tym szczekaniu dziwnie bezwładnie. Brumikowi wydawało się, że lada moment mogą wręcz odpaść.

– Proszę się nie przejmować Pchełką. – Zdebińska pogłaskała psa po głowie a ten uspokoił się natychmiast, niczym pod działaniem zaklęcia. Patrzył nadal ze wściekłością na Brumika, ale już nie szczekał. – Ona nas strzeże przed nieznajomymi i bardzo poważnie tratuje swoje zajęcie. Co panów policjantów sprowadza w nasze skromne progi?

Brumik, choć bardzo mu się podobało, że po raz pierwszy przejął kontrolę nad grupą, teraz spojrzał bezradnie na Koryckiego. Powinien był przygotować jakieś pytania, ale nagle wszystkie wyleciały mu z głowy. Choć teoretycznie wiedział, o co powinien zapytać, nie bardzo wiedział jak. Nie tej kobiety z tym parszywym psem na kolanach.

Na domiar złego ksiądz-ogrodnik stanął za Zdebińską i przyglądał się podkomisarzowi z natężoną uwagą, w której nie było nic z życzliwości.

– Stefan Mauser – rzucił Korycki. – Widziała się z nim pani.

– To nie brzmi jak pytanie.

– Bo nim nie jest.

– Cóż więc mam odpowiedzieć? Tak, był tutaj. Bardzo uprzejmy człowiek. Niezależny egzorcysta, jak zrozumiałam. Szukał tutaj sukkuba.

– W pani domu? – Korycki uniósł brwi w udawanym zdumieniu. – Ma tu pani jakiegoś?

– Och, nie. Oczywiście, może mi pan wierzyć, że przyjęłabym nawet skruszonego demona, gdyby jakiś zechciał poddać się pokucie. Ale nie, żaden sukkub się u mnie nie zjawił. Czy ten człowiek jakoś zaszkodził miastu? Nie pochwalają panowie prywatnej inicjatywy?

– Jeśli prowadzi do prywatnego zabijania to nie, nie popieramy. – Brumik nie pierwszy raz zauważył, że w rozmowach z podejrzanymi sierżant używał głównie powarkiwań. Gdy przesłuchiwał świadków, potrafił być nawet uprzejmy. Jednak gdy kogoś podejrzewał, natychmiast zmieniał się w bezwzględnego śledczego.

Nie do końca zgadzało się to z taktykami przesłuchań, jakich uczono Brumika. Zdaniem starych policyjnych wyg, które zajmowały się edukacją przyszłych oficerów policji, dobry glina powinien wykazywać elastyczność, igrać

z podejrzanym, a nie wyłącznie strzelać do niego seriami pytań.

Być może sierżanta skrzywiło doświadczenie żandarmerii wojskowej. W armii, jak wyobrażał sobie Brumik, należało na ludzi wrzeszczeć, tego oczekiwali. Policja powinna stosować subtelniejsze metody.

– Stefan Mauser nie żyje – wtrącił się z obawy, że jego podkomendny chwyci zaraz Zdebińską, przyciśnie jej twarz do biurka i zacznie okładać jakąś ciężką księgą po głowie. – Szukamy jego zabójcy. A pani widziała go niedługo przed śmiercią. Każda informacja, jaką może pani nam przekazać, nawet coś, co pani wydaje się nieistotnym drobiazgiem, może być cenna. Nikt pani nie podejrzewa – zauważył, że gdy to powiedział, ratlerek i ksiądz równocześnie spojrzeli na Koryckiego. – Staramy się odtworzyć ostatnie godziny życia ofiary.

– Och, młody człowieku, jak bardzo chciałabym panu pomóc! – zawołała z przejęciem Zdebińska. – Pan Mauser był taki uprzejmy – teraz i ona łypnęła na Koryckiego – tak pełen życia! Wszystko panu – zaakcentowała to słowo – opowiem! Niestety, nie ma tego zbyt wiele. Rzeczywiście, pan Mauser był tutaj, wypytywał mnie dokładnie o mój dom, o dziewczęta, o to, czy ostatnimi czasy nie działo się coś podejrzanego…

– Suka kłamie jak najęta – wywarczał dobre dwadzieścia minut później Korycki, gdy opuścili fort. Uparł się, że muszą obejść go dokoła w poszukiwaniu śladów.

– Sierżancie! – obruszył się Brumik.

– Ten sukkub zdechł przynajmniej trzy dni przed tym całym Mauserem – poparł Koryckiego Strzelbicki. – Mauser mógł o tym nie wiedzieć, ale jeszcze to sprawdzę tymi całymi nowoczesnymi metodami. I po swojemu… Ale jeśli Mauser tropił sukkuba, i to on go zabił, to po co pytałby o niego Zdebińską?

– Mógł nie wiedzieć, że sukkub nie żyje! – zaprotestował Brumik. – A poza tym to żaden dowód! A pan, panie Strzelbicki, nie powinien się tak zachowywać wobec tej biednej dziewczyny!

Gdy wychodzili, kat oparł poufale dłoń na ramieniu odźwiernej. W podzięce dostał od niej w wyszczerzony pysk.

– Poza tym temu bydlakowi jedzie siarką z pyska – nie ustępował kat. Nie wyglądał na przejętego reprymendą.

– Jakiemu bydlakowi? Z jakiego pyska? Jaką siarką? Ja nic nie czułem! Czuł pan jakaś siarkę, sierżancie?

– Siarki nie – odparł ponuro Korycki. – Kłamstwa tak.

– Młodziście i żywi! – Strzelbicki odezwał się wyjątkowo posępnym głosem. – Jak kto się nawąchał tyle siarki co ja, zawsze ją wyczuje. Ten jej kundel przylazł z samego piekła. Wiem co mówię, też jestem stamtąd.

* * *

Pozwolili katu wrócić do jego zabawek, a sami przesłuchali okolicznych sprzedawców, żebraków i złodziejaszków. Zaszli na lokalny posterunek, którego pracownicy z oburzeniem przyjęli sugestię, że pani

Zdebińska mogła mieć coś wspólnego z jakimiś ciemnymi sprawkami.

– To święta kobieta – tłumaczył im tłustawy komisarz. – Święta! Przyjmuje pod dach te wszystkie dziewczyny, uczy je uczciwego fachu. Cerują nam mundury, robią ciasta na święta… Święta kobieta, mówię! Macie ją zostawić w spokoju!

Zgadzali się z nim prawie wszyscy. I szewc, który aż grzmotnął się młotkiem w palec na samą myśl, że „święta pani Zofia” mogłaby mieć coś na sumieniu. I emerytowana nauczycielka, obecnie zołza pierwszej wody, zajmująca się głównie podglądaniem sąsiadów i misjonarki sufrażystek, drobne okularnice o zadartych noskach i zaciętych głosikach, i zakonnik opiekujący się bezdomnymi, i prostytutki – wszyscy mieli Zdebińską za ósmy cud świata. Gdy policjanci opuszczali Kleparz, Brumik odnosił wrażenie, że nawet lokalne gołębie przypatrywały mu się z niesmakiem. Gdy jeden ozdobił mu płaszcz na starożytny ptasi sposób, nabrał co do tego wręcz pewności.

– Sam pan słyszał, sierżancie, święta kobieta – rzucił ze złością.

– Jak lokalne diabły.

– Słucham?

– Lokalne diabły. Wie pan, te wszystkie bożki pogańskie. Gdy przyszło chrześcijaństwo, część z nich poprzebierała się za świętych i dalej robiła swoje.

– Pan chyba nie jest zabobonny?

– Zabobonny? – Korycki uśmiechnął się krzywo. – W dzisiejszych czasach?

– Pan nie rozumie. Oczywiście, dzisiaj pełno jest demonów. Ale przecież dawniej ich tak naprawdę nie było. Gdy przyszło do Polski chrześcijaństwo, nie istniały żadne pogańskie duchy, które przebierałyby się za świętych. Chyba pan w to nie wierzy?

– To, w co ludzie wierzyli, istniało i przed Marsjanami – odparł Korycki. – Choćby i tylko w ich sercach. Marsjanie sprawili, że z tych serc to draństwo powypełzało. A to babsko ma w sercu dno wszystkich piekieł, podkomisarzu.

– Jest pan uprzedzony do kobiet?

– Do morderczyń i owszem.

– Cenię pana zdanie, sierżancie. Ale nie możemy się opierać tylko na pańskiej intuicji. A nic poza nią na panią Zdebińską nie mamy.

* * *

– Mamy babsko w garści! – przywitał ich w progu Strzelbicki. – Wszystko tam jest!

– Gdzie? – zapytał Brumik, starając się ignorować triumfujący uśmieszek Koryckiego.

– Na trupach, rzecz jasna! Pozwólcie panowie za mną! Wszystko wam pokażę!

Prawie zaciągnął Brumika do ciała sukkuba.

– Patrzcie! Wszystko tu jest!

Zdaniem podkomisarza „wszystko” obejmowało nagiego sukkuba ukazanego teraz w całej okazałości, bardziej niżby

sobie policjant życzył, bo z częścią narządów wewnętrznych na wierzchu. Zmarszczył nos i byłby się cofnął o krok, gdyby Korycki nie stał tuż za nim.

– Wszystko, czyli co? Ja widzę trupa z dziwnymi bebechami. Nieludzkie, owszem. – Sierżant wyciągnął dłoń, prawie dotykając ciała.

– Tak pan na oko widzi, że nieludzkie? – stęknął Brumik.

– Na ludzkie się napatrzyłem. Te mają czegoś za dużo, czegoś za mało.

– To wszystko prawda – uśmiechnął się szeroko kat. – Ale rzecz nie w tym, co w środku, lecz w tym, co na zewnątrz. Znaczy, jasne, sekcja, te sprawy, mają znaczenie. Dziewczę było najwyraźniej nietknięte, tyle że martwe. Sekcja wykazała, że zabił ją szok po przekleństwie. Wiecie, panowie, przekleństwa i zaklęcia działają na organizm na różne sposoby. Mogą bezpośrednio, znaczy tak, jak było zaklęciu przeznaczone, na przykład zmieniając pana podkomisarza w żabę. Nie żebym chciał. Ale mają i pośrednie skutki. Ta na przykład pannica oberwała czymś, co miało jej zagotować krew w żyłach. Paskudne, ale tradycyjne. Woda święcona tak działa na niektóre demony, na przykład. Jeśli połkną. Bo na zewnątrz, to wiadomo, parzy. A jak nie woda, to paciorek oderwany z różańca, albo odpowiednia litania, albo specjalnie spreparowane przekleństwo.

– Tak wygląda zagotowana krew? – zdziwił się Brumik. Jego zdaniem wyglądała całkiem zwyczajnie, jak na zaschniętą oczywiście. Może nie miał doświadczenia

porównywalnego z Koryckim, ale swoje widział. Nie znalazłby się chyba człowiek w ogarniętym wojną świecie, który nie oglądałby kiedyś rannych i zabitych.

– Ano właśnie, nie tak wygląda! – zawołał triumfująco Strzelbicki. – Ta ślicznotka dostała, wyobraźcie sobie panowie, szybkim przekleństwem. Szybkim, czyli że nie czekało do trzeciego pokolenia, żeby zacząć działać. Krew powinna była jej się od tego zagotować, ale dziewczyna miała jakieś systemy obronne. Krew ocalała, ale pod wpływem szoku wysiadły jej mózg, potem serce. Ale to nie jest ważne. No, trochę jest, jak się doda dwa do dwóch, ale…

– Zaraz – przerwał mu Brumik. – Skąd pan właściwie wie to wszystko o zaklęciu?

– Przekleństwie, panie podkomisarzu. Ja wiem, że to się może wydawać podobne, ale zaklęcia, przekleństwa, błogosławieństwa… Tak jest, błogosławieństwem też można zabić, choć raczej tylko coś parszywego, jak na ten przykład mnie. W każdym razie różnice są.

– Różnice nieważne. Skąd pan wie?

Kat i sierżant wymienili spojrzenia. Nie uszło to uwadze Brumika.

– Panowie! – zaperzył się. – Ja wiem, że jestem żółtodziób, a wy fachury! Ale naprawdę zamierzacie przede mną ukrywać wasze sposoby?

– Komisarz Szater wie w czym rzecz – odparł Korycki. – Niech pan jego pyta, podkomisarzu. Mistrzu, niech pan przejdzie do tego, co ważne.

– Nie widzieliście całego ciała tego Mausera, co? Facet ma całe plecy w krzyżach. Krzyżyki ma wytatuowane na opuszkach palców. W rzeczach były jakieś pyłki, woda święcona, magazynki kul różańcowych, srebro… Same święte rzeczy. Tacy nie rzucają przekleństw. Zaklęcie, być może. Błogosławieństwo, na pewno. Przekleństwo jest mało prawdopodobne. To nie on ją zabił. Ale ją znał.

– Ścigał ją – przypomniał Brumik.

– Tego to ja nie wiem, panie podkomisarzu. Ale zdziwiłbym się. Bo widzicie, on z nią sypiał.

– Opętała go! – zawołał Brumik. – Zaraz, a to pan skąd wie?

– Spał z nią niedługo przed jej śmiercią. Zostało w niej trochę jego nasienia. Ale nie, nie był opętany. W jego krwi nie ma śladu wpływu sukkuba.

– Panowie! – zdenerwował się Brumik. – Ja studiowałem kryminologię! Wiem, że są różne grupy krwi! Ale różne grupy nasienia? Co wy mi tu opowiadacie? Macie jasnowidza, o którym nie wiem?

– Może mu powiem, bo się pan podkomisarz zagotuje ze złości? – Strzelbicki mrugnął do Koryckiego.

– Jak pan chce. To nie moje sekrety. Ale, panie podkomisarzu, proszę to, co pan zobaczy, zachować dla siebie. Jedni nie powinni wiedzieć o sztuczkach mistrza Strzelbickiego, boby się ich strzegli, inni bo mogłyby się im nie spodobać. Rozumie pan.

– Nic nie rozumiem! – Brumika wciąż napędzał gniew. Nie po raz pierwszy czuł się jak kandydat do klubu,

w którym nikt go nie wita, za to wszyscy stawiają przed nim wyzwania. Po raz pierwszy jednak poczuł się zagniewany, a nie zawstydzony. Miał być policjantem, ba – przełożonym tych ludzi!

– Proszę za mną, panie podkomisarzu. Ja panu ufam, wiem, że z pana porządny człowiek, tylko młody i żywy – zaprowadził Brumika w ciemny kąt pokoju, odsunął zasłonę z czarnego, ciężkiego materiału, odsłaniając wielki szklany gąsior, w którym kłębiło się coś ciemnego. Brumikowi przypominało to rój pszczół, ale pszczół czarnych i bezgłośnych.

– Co to za czary? – zdumiał się.

– Mrowisko – odparł wesoło Strzelbicki. – Hoduję sobie mrowisko. Ludzie tak czasem robią. Tylko to moje jest nawiedzone.

– Nawiedzone mrowisko? – Brumik posłał Koryckiemu bezradne spojrzenie. Sierżant tylko wzruszył ramionami w odpowiedzi.

– Mrowiska, mówił mi jeden Marsjanin, to jakby jeden organizm, panie podkomisarzu – spróbował wytłumaczyć kat. – Każda jedna mrówka to idiotka. Głupsza niż stójkowy. Ale wszystkie razem jakiś tam swój rozum mają. I wszystkie słuchają królowej. No a w tym mrowisku nie ma królowej, bo zdechła. Ale wróciła jako taka mrówcza biała dama.

– To jakieś brednie! – stęknął Brumik. Potarł czoło, jakby mogło mu to pomóc w myśleniu. – Jak to mrówcze duchy?

– Są nawiedzone psy? Są – Strzelbicki nie tracił pogody ducha. – Kocie duchy? Są. Szczurze upiory? Łosie żywe trupy i święte jelenie? To czemu nie miałoby być upiorów mrówek? Zwłaszcza jeśli ktoś im pomógł. Mieliśmy tu, jeszcze przed panem sierżantem, takiego jednego maga. Eksperymentował na wszystkim. I on tak załatwił to mrowisko. Zanim żeśmy go złapali, miał już cały gang trupów z ludzi, gołębi… Czego by pan podkomisarz sobie życzył! Spaliliśmy to wszystko, ale uprosiłem pana komisarza, żeby mi te mrówki zostawił.

– Po co? Na miłość boską, po co komu nawiedzone mrowisko?!

– Bo ta ich królowa zaraziła wszystkie. Teraz to wszystko takie małe demony. Jak trzeba, potrafią spenetrować ciała moich trupków. Demony czują inaczej niż ludzie, panie podkomisarzu. One wiedzą, jak smakuje czyja krew, kto został potraktowany jakim zaklęciem albo czyje nasienie zasycha w zabitym sukkubie. Oni ze sobą spółkowali, ci dwoje, łowca i sukkub. Ale w łowcy nie ma śladu uroku. On to robił dobrowolnie, a ona na nim nie żerowała.

– Kochali się? – zgadywał wstrząśnięty Brumik. Zastanawiał się, jak mrówcze demony przekazywały swoją wiedzę katu, uznał jednak, że woli nie dociekać.

– W każdym razie współpracowali – odezwał się Korycki. – Mogli być partnerami. A w takim razie Mauser nie szukał sukkuba, żeby go zabić. On się o nią martwił.

– I dlatego przyszedł do domu pani Zdebińskiej? Szukał jej tam?

Kat i sierżant znów wymienili spojrzenia.

– Panowie! – upomniał ich Brumik. – Oświećcie mnie, z łaski swojej!

– Sukkub, jeśli był partnerem łowcy, raczej nie poczuł nagle potrzeby nawrócenia – wyjaśnił Korycki. – Cokolwiek nią kierowało, była już, że tak powiem, po stronie tych dobrych. Więc nie poszła do domu Zdebińskiej, żeby się nawracać. Mogła udawać nawróconą prostytutkę, żeby zbadać co tam się dzieje. A po co? Łowcy mają tylko jeden cel.

– Zabijanie potworów – wyszeptał Brumik.

Korycki skinął głową.

– Tyle że tym razem to potwory wygrały.

* * *

Przedstawili sprawę Szaterowi wieczorem. Raportował Brumik, Korycki tylko przytakiwał, gdy komisarz spoglądał na niego ponad głową przejętego młodego policjanta.

– …a mistrz Strzelbicki znalazł na ciele ofiary kawałki nici, które pasują do strojów, w jakich chodzą wychowanice pani Zdebińskiej.

– Skąd miał materiał porównawczy? Nie dokonaliście chyba przeszukania?

– Mistrz Strzelbicki pozyskał nitkę podstępem – wyjąkał Brumik, dodatkowo zawstydzony wspomnieniem tego jak obsztorcował kata za zachowanie wobec odźwiernej. –

Mówi, że coś go tknęło. Panie komisarzu, melduję, że mistrz Strzelbicki i sierżant Korycki od początku podejrzewali panią Zdebińską. Tylko ja, głupi… – urwał.

– No, no, niech się pan nie obwinia! – głos Szatera przybrał łagodniejszy ton. – Po pierwsze: przez nich przemawia doświadczenie. Po drugie: nie mamy jeszcze dowodów winy Zdebińskiej.

– Nie mamy? – po raz pierwszy odezwał się Korycki. – Sukkub prowadził tam śledztwo i zginął. Od przekleństwa. Mauser poszedł szukać tam sukkuba i bestia rozerwała mu gardło.

– Dom Zdebińskiej jest podejrzany – zgodził się Szater. – Coś tam się dzieje. Ale na samą Zdebińską jeszcze nic nie mamy.

– Sprawdziliśmy ten dom – nie ustępował Korycki. – W ciągu ostatnich czterech miesięcy zgłoszono siedem zaginięć dziewczynek, które tam mieszkały!

– I wszystkie zgłosiła pani Zdebińska – przypomniał Brumik. – Pan komisarz ma rację, sierżancie.

– Pan komisarz – wycedził Korycki – ma rację, bo wie, że Zdebińska jest ustosunkowana. Zna radnych miejskich, była na balu u prezydenta, przyjaźni się z Surbą, a ten Marsjanin, Nowakowski, jest jednym z patronów jej fundacji „Kobiet Powstałych”.

Brumik zamarł, spodziewając się, że Szater zareaguje słusznym gniewem na bezczelność podkomendnego.

– Bardzo ładnie pan to wszystko wytłumaczył, sierżancie – głos komisarza pozostał spokojny. – Rozumiemy

więc, że to oczywiste, iż nie może pan wykopać drzwi do domu Zdebińskiej i wyciągnąć ją w kajdankach? Wyszłaby po godzinie, a my trzej zajęlibyśmy jej miejsce w celi. W najlepszym wypadku. Bo mogliby nas jeszcze zwolnić.

Odkrycie, że Szater uważa zwolnienie z pracy za gorsze od więzienia nie rozbawiło Brumika. Zbyt przejmował się sprawą.

– To nic nie zrobimy? – jęknął.

– Dlaczego nic? Jutro rano porozmawiam z prokuratorem, postaramy się o nakaz przeszukania budynku. Pójdę z wami, porozmawiamy z panią Zdebińską tak uprzejmie, jak to możliwe. Pan, sierżancie, będzie w tym czasie kierował przeszukaniem, dbając o jego dokładność, ale i o to by nikt nie mógł skarżyć nas o niszczenie mienia. Pan, podkomisarzu, będzie towarzyszył mnie. Co znajdziemy, to nasze. Ale pani Zdebińska może się jeszcze, ku waszemu rozczarowaniu, okazać tak świętą, jak ją malują.

* * *

Żyjąca święta przyglądała się komisarzowi i jego młodemu podwładnemu bez śladu sympatii.

– Ustępuję przed przemocą! – oświadczyła, rozkładając ręce niczym ofiara prześladowań. Wzniosła oczy ku niebu, a wtedy uczynny ksiądz prędko chwycił jedną z jej dłoni i pocałował.

Tym razem nikt nie powstrzymał Pchełki przed szczekaniem. Ratlerek zeskoczył z kolan swej pani i biegał

między nogami wędrujących po forcie policjantów. „Kobiety Powstałe” zgromadziły się początkowo w ogrodzie, ale nieugięty Korycki oświadczył, ku zgrozie Brumika i księdza Gorawińskiego, że również ogród zostanie gruntownie przeszukany.

– Nie depczcie moich rabatek! – zawołał ksiądz z taką rozpaczą, jakby policjanci szykowali się do ponownego ukrzyżowania Zbawiciela. – A zioła? Oszczędźcie zioła!

– Zioła, co? – Strzelbicki, który uparł się, by towarzyszyć policji, zarechotał ochryple i ponuro. – A może te zioła pachną trupem?

– Panie komisarzu, ja protestuję! – Zdebińska spąsowiała. – Rozumiem, że nakaz daje panom prawo do przeszukania mojego domu, choć wasze podejrzenia są, panowie, haniebne! Ale żaden nakaz nie uprawnia tego potwora – wskazała kata – do szydzenia ze mnie!

– Ja jestem porządny, służę prawu! – nadął się kat, ale zaraz jakby zmalał pod spojrzeniem komisarza. – Dobra, idę. Powącham te wasze kwiatuszki. Tym razem od góry – zarechotał.

Brumik przyglądał się temu wszystkiemu zdruzgotany. Gdy wrócił wieczorem do domu, chciał w pierwszym odruchu odwiedzić pannę Agatę, by podziękować jej za pomoc. Doszedł jednak do wniosku, że zbyt późno już było na taką wizytę. Położył się więc spać, ale nie mógł zasnąć. Im dłużej myślał nad sprawą, tym bardziej był przekonany, że zbłądzili w podejrzeniach. Nie potrafił wyobrazić sobie Zdebińskiej w roli zbrodniarki. Co zresztą mogłoby jej

przyjść z mordu? Przy jej stosunkach miała właściwie wszystko, każde drzwi w mieście stały przed nią otworem. Po cóż miałaby zabijać?

A Korycki, Strzelbicki i nawet komisarz Szater traktowali ją niemal jak pospolitą przestępczynię.

Po dwóch godzinach rewizji nawet oni musieli przyznać się do klęski. Nie znaleźli w forcie nic podejrzanego. Zdebińska triumfowała.

– Rozumiem panów starania – przemawiała niby łagodnie, ale jak nauczycielka strofująca dzieci tak, by ich nadto nie zranić. – Panowie wykonują swoją pracę. Tropią zło. Ale muszę powiedzieć, że nadto się panowie dziś pospieszyli! I proszę mi wybaczyć, ale będę musiała porozmawiać o tym w ratuszu.

– Oczywiście, rozumiem panią – odpowiedział zimno Szater.

Brumik stropił się, słysząc ten głos, gdyż zapowiadał on poważne kłopoty. Zerknął na Koryckiego, ale sierżant nie wydawał się przejęty. Zapewne jego bogate doświadczenie obejmowało także przyjmowanie bur od przełożonych.

– Pani pozwoli, że ją pożegnam – ukłonił się sztywno komisarz. Zwracał się ku wyjściu, kiedy do biura nie tyle wszedł, co wkroczył Strzelbicki.

– Za pozwoleniem szanownych państwa oraz bez pozwolenia łajdaków! – zawołał napuszony jak paw. – Mówiłem, że coś mi śmierdzi trupem!

Cisnął na biurko Zdebińskiej ludzką czaszkę, stosunkowo świeżą, bo wciąż ze śladami mięsa i skóry na

kościach i okoloną długimi, jasnymi włosami.

– Prosto z ogródka – oznajmił triumfująco. – Fiołki na niej kwitły. Piękne fiołki.

– Panie Strzelbicki! – krzyknął wstrząśnięty tak znaleziskiem, jak tupetem i obcesowością kata Brumik.

I wtedy stało się kilka rzeczy naraz.

Po pierwsze pani Zdebińska wydała głuchy okrzyk, zbladła jak papier i osunęła się omdlała w swoim fotelu. Po drugie ksiądz Gorawiński zmienił się w mgnieniu oka na twarzy, sprawiając, że Brumik zapomniał nagle o oburzeniu. Oczy duchownego nabiegły nagle czernią, twarz wyciągnęła mu się, gdy wyszczerzył zęby niczym drapieżne zwierzę. Trwało to ledwie chwilkę i minęło, gdy tylko Gorawiński zapanował nad sobą. Rozejrzał się szybko, przestraszony, że ktoś mógł spostrzec jego przemianę i jego wzrok napotkał zatrwożone spojrzenie młodego podkomisarza.

– Szok! – zawołał łamiącym się głosem. – Co za szok! Śmierć tutaj!

Może oszukałby Brumika, ale wtedy zdarzyła się rzecz trzecia.

Ratlerek, który wskoczył na biurko, zawył przeciągle a przedziwnie, bo tak potężne, głuche wycie nie powinno wydobywać się z gardła psa tej wielkości. Przypominało raczej wilcze skowyty, a i to pod warunkiem, że wydające je wilki byłyby demonami o czarnych duszach, lubującymi się w dawaniu ponurych koncertów na zapomnianych cmentarzach. Wewnątrz biura nagle pociemniało. Elektryczna lampa na biurku zaskrzeczała i zgasła.

– No i proszę! – ucieszył się Strzelbicki. – Mamy i czarnego kundla! Mówiłem, że jedzie mu siarką z pyska!

– Ta głowa chyba z niepoświęconej ziemi, co? – Korycki postąpił krok ku księdzu.

Ratlerek skoczył na sierżanta. Już w locie zmieniał się jego pysk, rozrastając do niemożliwych przy zwierzęciu tej postury rozmiarów. Gdy Pchełka zbliżyła się do policjanta, składała się już prawie z samej paszczy rozwartej na tyle szeroko, że wyglądała na zdolną pochłonąć męską głowę w całości. Drobne niegdyś ząbki osiągnęły w mgnieniu oka rozmiar mogący zawstydzić jednego ze słynnych półdemonicznych owczarków podhalańskich.

Z kanapowca zmienił się w niepowstrzymaną krwiożerczą bestię pędzącą w kierunku Koryckiego.

Brumik nie miał nawet czasu, by krzyknąć ostrzegawczo. Gdy uświadomił sobie, że powinien sięgnąć po broń, było już dawno po wszystkim.

Sierżant schylił się błyskawicznie i pies przeleciał nad nim niczym smuga ciemności. Wylądował dobry metr za Koryckim, obrócił się w miejscu i byłby ponowił skok, gdyby Strzelbicki nie uderzył go w łeb krzesłem. Potwór obrócił się ku niemu, warcząc gniewnie, ale nim zdążył zaatakować, dosięgły go kule z pistoletów Koryckiego i Szatera. Gdziekolwiek uderzały, wyrywały ogniste dziury w psim cielsku. Pchełka szarpnęła łbem, kłapnęła jeszcze wielkim pyskiem i upadła na podłogę. Korycki dobił ją na wszelki wypadek trzema strzałami w głowę.

– Srebro! – ucieszył się Strzelbicki.

– Ano srebro – stęknął Korycki. Obejrzał się na Brumika. – Nic panu nie jest?

– Mnie? – głos podkomisarza, dopiero teraz kierującego lufę pistoletu w stronę konającej bestii, zabrzmiał chrapliwie. – Mnie nic… Czemu mnie miałoby być… Zawsze macie pistolety nabite srebrem?

– Taka robota. – Korycki już na niego nie patrzył, znów skierował się ku księdzu, który przyglądał się policjantowi z nieukrywaną nienawiścią. – A duszpasterza jakoś nie zdziwiło to wszystko, co? – wycedził. – I piesek niby pani Zdebińskiej, ale rzucił się na mnie dopiero jak pomyślałem o księdzu. Ciekawe, co?

* * *

Znaleźli wszystkie siedem ciał zakopanych w ogrodzie. Wstrząśnięta pani Zdebińska mdlała jeszcze trzy razy, ale uparła się, że musi towarzyszyć wydobywaniu zwłok swoich podopiecznych. Czuwał nad nią prędko przysłany z ratusza lekarz i jeden z trzech przybyłych księży. Ona płakała, oni ją uspokajali.

– I po sprawie! – Szater poczęstował wieczorem specjalnie trzymanym na takie okazje koniakiem i Brumika, i Koryckiego, i nawet Strzelbickiego. – Dobrze żeście się spisali.

– A tam, dobrze! – warknął Korycki, ledwie wznieśli toast. – Nic nie wiemy!

– Nie takie znów nic – zaprotestował bardzo dumny z siebie Brumik. Ponieważ wstyd mu było, że nie wykazał

się podczas akcji, po powrocie na komisariat wziął się do pracy ze zdwojoną energią. Wydzwaniał raz za razem do kurii, wykorzystał znajomości ze szkoły i dzięki wsparciu Szatera zdołał wymusić przysłanie jasnowidzów i psychiatrów, żeby zbadali Gorawińskiego. – Wiemy, że rzekomy Gorawiński tylko podszywał się pod księdza. I że żaden z niego mag, choć coś tam umie. Wiemy, że jest odpowiedzialny za morderstwa w Krakowie i Rzeszowie, bo do nich się przyznał. Gdy już zaczął mówić, nie mógł przestać. Napadał i zabijał młode kobiety, zwykle ubogie, takie, których zniknięciom mało kto poświęcał uwagę. Dom pani Zdebińskiej był dla niego jak… – zawahał się, szukając odpowiedniego porównania.

– Sklep ze słodyczami – podpowiedział Strzelbicki. – Świr… Znaczy się: nienormalny.

– Sklep ze słodyczami… – powtórzył martwym głosem Brumik. – Tak, to szaleniec. A psa sobie wyhodował, nie przemycił. Zakopywał te dziewczyny w ogródku także po to, żeby zdobyć takiego pomocnika. Ziemi nie święcił i bydlę się wychowało. Pani Zdebińskiej dał potwora dla niepoznaki. Pewnie jak pogrzebiemy głębiej, dowiemy się o innych jego zbrodniach.

– Sierżancie? – odezwał się Szater. – Po pańskiej minie widzę, że coś panu nie pasuje.

– Ja bym przycisnął tę całą Zdebińską. Zanim mnie opieprzycie, posłuchajcie. Po co łowca, ten Mauser, miałby ścigać zwykłego świra? Bo dowiedział się o demonicznym ratlerku?

– To bydlę omal nie odgryzło panu głowy! – przypomniał Brumik.

– Tak czy owak, to za mały bies na łowcę, który miał pomocnika sukkuba. Nie, moim zdaniem gość szukał czegoś innego. I szukał właśnie w domu Zdebińskiej. Nie świra, bo świry to nie broszka łowcy. Nie psa, bo to za mały kaliber. No to kogo?

– Przyciskanie Zdebińskiej może pan sobie wybić z głowy – ostrzegł go Szater. – Ona jest w szoku, sekretarz prezydenta jest w szoku i paru radnych też. Do nas spływają podziękowania za ratowanie niewinnych duszyczek, do niej wyrazy wsparcia od wstrząśniętych, wysoko postawionych przyjaciół. Nawet nie wiecie, panowie, ile szych do mnie dzwoniło tyleż z gratulacjami, co z sugestiami, że pani Zdebińskiej należy się teraz spokój. Łowca polował na psa i tyle. Takie są wnioski i tak ma stać w raporcie. Zresztą, nie macie innych tropów, prawda? Jak macie, to mówcie, wtedy ruszę śledztwo.

– Jest jeszcze coś – nie ustępował Korycki. – Jeżeli czarny pies ma pana, to ten pan go kontroluje, dlatego może ukrywać się w niewinnej formie.

– No i księżulo go kontrolował, wszystko się zgadza – potarł wąsy Strzelbicki. Był bardzo dumny ze swojego udziału w sprawie. Okazało się znowu, że to właśnie jego trzeba, by ratować miasto i że głowa może ścięta, ale na właściwym miejscu. Nie podobały mu się sugestie, że mógłby coś przegapić, zignorować prawdziwego winowajcę.

– To by się nawet mogło zgadzać. – Korycki nie odrywał wzroku od przełożonego. – Ale ratler zaczął się zmieniać dopiero, gdy Zdebińska straciła przytomność.

– No i? – Szater zabębnił palcami po blacie biurka.

– No i wyglądać to może tak, jakby właściciel psa stracił nad nim kontrolę, bo na przykład zemdlał, a bestia zaczęła przyjmować swoją prawdziwą postać.

– A pan, sierżancie, jest takim specem od psychologii demonów, że o tym wie z całą pewnością?

– Ja, panie komisarzu, jestem specjalistą od szukania winnych. Specjalistę demonologa mogę wezwać i przepytać.

Przez dłuższą chwilę mierzyli się wzrokiem.

– Ja wezwę i przepytam – pierwszy odezwał się Szater. – W pańskiej obecności. Na razie, panowie, piszecie raporty, z których będzie wynikać, że uratowaliście zacną opiekunkę dla kobiet wychodzących z upadku przed psychopatą i demonicznym kundlem. Bo na to wskazują fakty, a fakty zjadają pańskie przeczucia, sierżancie. Zrozumiano? No to dziękuję, widzimy się jutro na odprawie.

– Jakbyś pan nie pyskował, to pewnie wypilibyśmy więcej tego koniaku – poskarżył się Strzelbicki, gdy wyszli.

– Koniak! – prychnął Korycki. – A instynkt nic panu nie podpowiada?

– Ja mam dobry instynkt, dwustuletni – obruszył się kat. – Czyli doświadczony. I on mi mówi, że kiedy władza chce mieć rację, to ją ma. I niech pan mi nie wymawia tego

koniaczku, bo pan, któryś dwieście lat pod ziemią o suchym pysku nie siedział, nie wiesz nic o pragnieniu!

Odwrócił się i odszedł.

– Może mieć rację – powiedział Brumik. – To znaczy nie o piciu, ale o władzy i tych morderstwach.

– Może mieć – zgodził się niespodziewanie Korycki. – Ale my jesteśmy policja. Jakbyśmy byli sędziami, wierzylibyśmy w dowody. Jakbyśmy byli dewotami, wierzylibyśmy w aniołów, pana Boga i prawo kotów do sikania gdzie chcą. Ale jesteśmy policja. Musimy wierzyć we własne przeczucia, bo bez nich wiele nam nie zostanie.

– Wierzyć to musimy w prawo! – żachnął się Brumik. – Dobranoc, sierżancie.

Tego wieczora mniej się przejmował konwenansami i poszedł odwiedzić pannę Agatę, ale znów jej nie zastał. Zawstydzony nagle swoją bezczelnością, pobiegł do kaplicy, niby się pomodlić, ale w rzeczywistości przyzwyczajony, że dziewczyna tam właśnie odwiedzała jego, miał nadzieję przywołać ją ich prywatnym rytuałem.

Nie przyszła jednak tym razem. A rano dowiedział się, że wyjechała.

* * *

– To ta? – Pani Zdebińska zmarszczyła brwi, przyglądając się, jak cztery z jej wychowanic starają się ocucić dziewczynę, którą przywiozły z samego rana. Szczupła piegowata czarnulka otumaniona ziołami nie

ocknęła się jeszcze. – Ta mała, która przychodziła tu czasem pomagać?

– Ta sama! – zapewniła najwyższa z kobiet, dobiegająca trzydziestki Dorota. – Ja widziałam, jak podglądała przez okno! Ta sama! Ona na nas doniosła, suka!

– Bez takich słów, moja droga! Panuj nad językiem!

– Przepraszam, pani matko! – Dorota padła na kolana przed Zdebińską, dotknęła czołem podłogi.

– Klasa – upomniała ją surowo opiekunka. – Klasa, moje córki, oto, co o was świadczy i w razie potrzeby otwiera wam drzwi do szczęścia i zamożności. Nigdy o tym nie zapominajcie. A klasa przejawia się nie w stroju, ale w języku. A ta donosicielka – pokręciła ze smutkiem głową – przecież to prawie dziecko! Mogła być z nami. Co jej do głowy strzeliło!

– Bo ona się w tym młodym komisarzu kocha! – wyjaśniła, uśmiechając się, najmniejsza z kobiet, Ola. – Ja wiem, bo mi kiedyś mówiła, że taki ładny i porządny!

Pozostałe zachichotały.

– Ach, miłość! – westchnęła pani Zdebińska. – Oj, potrafi ona napsuć, potrafi! No nic, córuchny, przygotujcie ją na wesele!

Panna Agata ocknęła się, gdy wsuwały jej na stopy sandały ze splecionych różanych gałęzi. Syknęła z bólu, gdy kolce wbiły się w ciało i otworzyła oczy.

Znajdowała chyba na wsi, bo w izbie wybielonej siwo, prawie błękitnej. Przez drzwi otwarte z boku, ku sieni, dobiegała dziwna muzyka, jakby wesoła, grana na skrzypki

i flety, ale pełna fałszywych, zgrzytliwych tonów. Wysokie kobiece głosy nuciły cicho monotonną melodię gryzącą się z nutą wygrywaną na instrumentach.

Próbowała się ruszyć, ale znów tylko syknęła z bólu. Okręcono ją różanym krzewem.

Skąd tu się wzięła?

Pamiętała tylko, że odwiedziły ją dziewczyny od pani Zdebińskiej, żeby opowiedzieć o niesamowitych wydarzeniach w forcie. Znała je wszystkie, choć odkąd zobaczyła jak tańczyły nagie dokoła krzewu róży, trochę się ich obawiała. A potem okazało się, że ten przystojniak Mauser, którego kiedyś tam spotkała, który tak miło do niej zagadał, gdy wpadli na siebie na Rynku i długo wypytywał o panią Zdebińską, zginął. I Agata zaczęła się bać fortu i jego mieszkanek.

Niepotrzebnie tam chodziła. Ale chciała pomóc temu ślicznemu policjancikowi. Nadawał się dla niej. Mogłaby żyć przy takim grzecznym mężczyźnie, który pąsowiał od jej uśmiechu i modlił się każdego ranka. I kariera była przed nim.

Mogłaby z nim żyć.

– Nie śpisz już, panno młoda? – usłyszała głos Zdebińskiej. – Wiem, że nie śpisz.

– Ranią mnie te buty – poskarżyła się. – Co wy mi robicie?

Róże pachniały tak słodko, usypiająco. Z trudem udawało się pannie Agacie oddzielić myśli od marzeń. Na przemian widziała przed oczami a to twarz podkomisarza

Brumika, a to tego przystojnego pana Mausera. A przecież nie mogło ich być tutaj. A może?

– Trza być w butach na weselu – zażartowała pani Zdebińska.

– Weselu? Czyje to wesele?

– Twoje, dziewczyno! Ty dzisiaj jesteś panną młodą!

Zdebińska zachichotała radośnie i nasadziła Agacie różany czepiec na głowę. Dziewczyna znów jęknęła, gdy kolce wbiły jej się w czoło. Poczuła, jak coś lepkiego spływa jej po twarzy.

Muzyka ogłuszała ją, a zapach róż usypiał. Czuła ból, coraz więcej bólu, gdy kolejne kolce wpijały się jej w ciało.

Kobiety w różanych wiankach otoczyły ją i zaczęły śpiewać.

Zdebińska otworzyła okno na oścież. Zimne, nocne powietrze wlało się do środka, na moment otrzeźwiając Agatę.

– Ty dzisiaj jesteś szczęśliwą, panno młoda! – zawołała Zdebińska.

– Jacku? – przypomniała sobie imię podkomisarza Agata. – Jesteś tutaj?

– Lepszego mamy dla ciebie kawalera! – Zdebińska pochyliła się nad przywiązaną do wbitego w środku sali palika dziewczyną i pogłaskała ją po twarzy. – Jednego przeznaczonego na ofiarę nam niestety zabrano. Ale dobre bogi zesłały nam ciebie, dziecko. Może to i lepiej, może tak ma być?

– A… Jacek?

– Cśśśśś! – Zdebińska położyła jej palec na ustach. – Mógłby być dla ciebie i Jacek, gdybyś nie była taka wścibska. A tak posłużysz do wyższych celów. Odmienimy to miasto, dziewczyno! No, czas już na ciebie, panno młoda. Zaproś gości! Tych, którym gdzie złe wciórności dopiekają! Którym źle, których bieda, Piekło dręczy, których duch się strachem męczy, a do wyzwoleństwa się rwie.

– Po co? – jęknęła Agata. – Czemu mi to robicie?

– Niechaj przyjdą na podsłuchy – zawołały tańczące wokół Agaty kobiety. – Na Wesele, gdzie muzyka!

– Zaprośmy tego chochoła; tam za oknem skrył się w sad – zawyła pani Zdebińska.

– Przyjdź, chochole – zaśpiewały, śmiejąc się wesoło tańczące – na Wesele! Przyjdź panie młody, na gody do gospody! Jest na tyle jeść i pić, możesz sobie z nami kpić! Dla nas samych dość za wiele; przyjdź, chochole, na Wesele!

– Skoro północ zacznie bić, do nas tu na izbę przydź! – zakończyła modły pani Zdebska i naraz wszystko ucichło. I opiekunka, i jej podopieczne padły na kolana, plecami do uwięzionej Agaty, a twarzami do otwartego na oścież okna.

Pierwszy powiew wiatru był słaby, nieśmiały. Przyniósł ledwie źdźbło wysuszonej trawy. Zatańczyło w powietrzu, przeleciało nad głowami klęczących, by spocząć dopiero na twarzy Agaty. Przylepiło się do jej policzka i zaraz zaczerwieniło się od krwi wypływającej z rany, którą otworzyło.

Było tylko zwiadowcą.

Za nim nadleciały mniejsze i większe kawałki słomy. Przelatywały pojedynczo ponad murami miejskimi, zbyt drobne, by zwróciły na nie uwagę straży. Napływały ze wszystkich stron świata i opadały nad fort, ku oknu w siwej izbie o podłodze wymalowanej krwawymi symbolami. Spadały na nieprzytomną już Agatę, tuląc się do niej krwawo. Przybywały przez całą noc, a tuż przed świtem pośrodku izby stał słomiany chochoł szczelnie okrywający całą dziewczynę.

Pani Zdebińska klasnęła i wszystkie kobiety złożyły głęboki pokłon swemu nowemu panu. Zdebińska podbiegła do Chochoła i jednym silnym

szarpnięciem wyrwała z podłogi pal, do którego był przywiązany. Witki różane same go wypuściły i drąg odpadł od Chochoła.

A wtedy on wyprostował się i odpowiedział kobietom głębokim ukłonem.

(wykorzystano fragmenty utworu „Wesele” *Stanisława Wyspiańskiego)*

Tam pracuj, ręko moja, tam świstaj, mój biczu – Paweł Majka

Maj 1951 r., trzydziesty szósty rok Kresu, pierwszy rok Pokoju.

Strzelbicki kręcił się wokół rozczłonkowanych zwłok, których okrutnie potraktowane fragmenty poniewierały się w sypialni. Wydawał przy tym pomruki niezupełnie pasujące do sytuacji. Od pełnego zadumy: „no, no”, poprzez wyrażające zaskoczenie: „o la la la” przechodził do pełnego podziwu: „a niech mnie!”. Tyle w każdym razie dawało się odgadnąć na podstawie kształtów, w jakie układały się usta niegdysiejszego kata miejskiego, który po zmartwychwstaniu został zatrudniony przez krakowską policję na stanowisku specjalisty od niecodziennych, gwałtownych zejść śmiertelnych.

Być może nieposiadający wprawdzie medycznego wykształcenia, ale dysponujący za to niebagatelną praktyką, mistrz Strzelbicki mówił coś więcej, lecz pozostałym zgromadzonym w sypialni ofiary policjantom nie starczało umiejętności, by odczytać z ruchów jego ust bardziej skomplikowane frazy. A nie słyszeli ani słowa za sprawą wrzasków, jakie niestrudzenie wydawała z siebie

piętro wyżej wychylona przez parapet sąsiadka zamordowanego.

– Skaranie boskie z tymi krawężnikami! – unosiła się świętym oburzeniem. – A wytrzyj buty, łachudro państwowa! Kto wie, gdzieś ty je dzisiaj wsadzał, śledziu zatracony?

Oburzenie było czasem zastępowane przez wdzięczność wobec niebios, które: „nareszcie się zlitowały, ujmując temu światu krzyża w postaci tego sukinsyna Radziszewskiego”, ewentualnie ustępowało miejsca zdziwieniu: „że też nie ma jeszcze kary boskiej na innych psubratów”.

„Sukinsyn Radziszewski” – w przeciwieństwie do sąsiadki – milczał. Nie musiał się odzywać – wyraz przerażenia zastygły na jego pokąsanej po wielokroć twarzy mówił wszystko. Cokolwiek spadło na zamordowanego, spadło niespodziewanie, zabójczo i strasznie.

– Bardzo ciekawa sprawa! – oznajmił wreszcie Strzelbicki, wstając. Teraz, gdy brał pod uwagę potrzeby kolegów, przemówił typowym dla siebie donośnym, dudniącym głosem człowieka nie tylko pewnego siebie, ale i cieszącego się życiem pod wszelkimi jego przejawami. – Ten oto gagatek został zagryziony przez stado krasnali albo innych skrzatów. I to nie samych.

– To wszystko zrobiły mu krasnoludki? – zdumiał się podkomisarz Jacek Brumik, wciąż jeszcze nie do końca panujący nad kolorami twarzy w konfrontacji z co bardziej widowiskowo zamordowanymi ofiarami.

A skłonności ku widowiskowemu zadawaniu śmierci trudno było tym razem zabójcy odmówić. Radziszewski został nie tylko pokąsany na twarzy, rękach i nogach, ale też przegryziony na pół. Jego tors wciąż zalegał w dramatycznej pozie na łóżku, zaś część brzucha wraz z miednicą i nogami zabójca porzucił metr dalej, odgryzając przy okazji jedną z nóg. Zamordowanemu odgryziono także ręce. Jedna z nich wystawała spod łóżka, drugą natomiast wyniesiono aż do przedpokoju.

– Nie tylko. Powiedziałbym, że w zabawie wziął udział jakiś olbrzym.

– A nie smok? – podrzucił sierżant Korycki, pochylając się nad jedną z porzuconych kończyn.

– Mógłby być i smok – nasrożył się kat. – Ale dziwny, bo z ludzkimi zębami.

– Czyli mamy do czynienia z krasnalami-ludożercami i ludożerczym olbrzymem i jeszcze smokiem o ludzkich zębach? – upewnił się Korycki. – A czemu nie z demonami?

– Bo nie czuć siarką ani innym piekielnym smrodem. Widzisz pan, sierżancie, jakby tu przylazł jaki wampir, jaka zmora, albo inne bydlę co to przynależy do ciemnej strony świata, to by zawsze było czuć ichniejszym krwawym potem albo siarką. Możesz wierzyć komuś, kto ponad sto lat smażył się w piekle. Tego tu prędzej załatwił anioł niż diabeł.

To, że Strzelbicki upierał się, iż pamiętał piekielne męki jakich doznawał za grzechy poprzedniego doczesnego życia, stanowiło ciekawostkę, ponieważ nie znalazł się

żaden inny ożywieniec o podobnych wspomnieniach. Do świata powracało wielu zmarłych, czy to przyzywanych przez władze miejskie sławnych architektów, czy ściąganych przez Koleje Galicyjskie najznakomitszych inżynierów i naukowców, czy też wreszcie znanych mężów stanu odzyskiwanych przez różne partie polityczne. Mniej chętnie witani byli samozwańczo powracający do życia ludzie, których pamięć przetrwała pomimo upływu wieków. Pół biedy, jeśli byli to znani żołnierze – tacy przydawali się w niespokojnych czasach. Gorzej, kiedy do świata wracali przestępcy na tyle rozpoznawalni i charyzmatyczni, by zachować się w ludzkiej pamięci – czy to poprzez piosenki, czy opowieści, jakimi matki straszyły dzieci.

Żaden z nich jednak nie przyznawał się, by pamiętał coś z pobytu w piekle bądź niebie. Toteż do Strzelbickiego ustawiały się całe kolejki teologów i naukowców. Kat przyjmował ich zrazu chętnie, w końcu jednak zniecierpliwiła go ich dociekliwość. Odtąd zatrzaskiwał drzwi przed nosem każdego, kto próbował wypytywać go o życie pozagrobowe w celach naukowych.

– No to mam jeszcze jedno pytanie, mistrzu – nie ustępował Korycki. – Rozumiem te krasnale. Ale jakim cudem nikt nie zauważył wchodzącego tu nocą olbrzyma? Że nie wspomnę o cholernym smoku!

– Bycmożliwym smoku – bąknął Brumik.

– Bycmożliwym – zgodził się sierżant. – Więc?

– Pan możesz lekceważyć moją opinię – zaperzył się zmartwychwstaniec. – Ale powiadam panu, że tego tutaj coś

zagryzło, a potem przegryzło na pół. Coś, co miało zęby takie jak ludzie, tylko większe i mniejsze. I nie było to jedno stworzenie. Ślady na twarzy i rękach są małe, na gardle trochę większe. Tam mógłby kąsać na przykład pies o ludzkich zębach. Więc małe zęby go pokąsały, średnie zagryzły a wielkie przegryzły na pół, gdy jeszcze konał. Jak pan znajdziesz lepsze wyjaśnienie niż krasnale z olbrzymem, to ja się panu w pas ukłonię!

Co oznajmiwszy, wyszedł.

– Coś rozdrażniony – zwrócił uwagę Brumik.

– Szef zabronił mu zatrudnić jakiegoś demona, który posiada ponoć wielkie talenty detektywistyczne. – Korycki przymrużył swoje z lekka skośne oczy o prawie czarnych tęczówkach. – Cholera, faktycznie wygląda to na ślady ludzkich zębów – westchnął. – Nasz mistrz katów z braku czeladników nie ma komu mistrzować. Zdaje się, że tęskni za swoimi czasami. Nie chcę narzucać swojego zdania, komisarzu, ale myślę, że powinniśmy pozwolić chłopakom pozbierać to, co zostało z ofiary. Niech Strzelbicki przysiądzie nad nimi w swojej piwniczce. A my pogadamy z sąsiadami. Na początek z tym rozwrzeszczanym babsztylem.

– Oczywiście – przytaknął nieco nerwowo Brumik i dla zachowania pozorów swojej władzy ruszył przodem.

Cóż z tego, że posiadał wyższy stopień od Koryckiego, skoro tamten przewyższał go doświadczeniem? Obu im zresztą od razu powiedziano, że póki się Brumik nie wyrobi, to sierżant będzie nieformalnie kierował pracami ich

oddziału. Młody policjant zgodził się na to chętnie i początkowo nawet cieszył się z możliwości nauki od kolegi, który wprawdzie w policji także służył od niedawna, ale był wcześniej żandarmem wojskowym. Po tym jednak, jak przeprowadzili wspólnie kilka drobniejszych aresztowań, a nawet pokonali pewnego wyjątkowo wrednego demona, Brumik zaczął się zastanawiać, czy kiedykolwiek uda mu się wyjść z cienia Koryckiego. Sierżant cieszył się szacunkiem tak przełożonych, jak i kolegów, a na Brumika wciąż patrzono jak na niedoświadczonego młodzieniaszka.

Nawet wąs, który spróbował zapuścić wzorem starszych kolegów, wyrastał mu pod nosem niemrawo i zamiast cieszyć się sumiastą dumą albo poważnym, równo przyciętym zawadiackim wąsikiem, Brumik musiał użerać się z mizerną kępką co rano buntującą się przeciw jego zamiarom przy goleniu.

Podkomisarz wspinał się więc po naznaczonych ochronnymi znakami schodach nieco przygnębiony. Był pewien, że gdy rozwrzeszczana baba otworzy im drzwi, to właśnie Korycki przejmie inicjatywę, nawet jeśli początkowo pozwoli działać Brumikowi. Działo się tak od początku ich współpracy.

Nie pomagało, że drugim najbliższym współpracownikiem podkomisarza był niegdysiejszy kat miejski, pan Strzelbicki, swego czasu bohater Krakowa wsławiony obroną miasta podczas konfederacji barskiej. Skazany przed blisko stu pięćdziesięciu laty za

przewodzenie rozbójniczej szajce kat powrócił do żywych, jak wielu, których egzekucji dokonano niegdyś na Rynku Głównym. Zdobył skądś potężne ciało i niemal natychmiast zgłosił do policji, powołując na doświadczenie i oferując swe usługi. Na nieszczęście Brumika, kłopotliwego ochotnika przekazano właśnie pod jego komendę.

Podkomisarz zdawał sobie sprawę, że kiedyś będzie musiał naprawdę zacząć dowodzić tymi dwoma, inaczej nigdy nie zrobi kariery w policji. Tyle dobrze, że przynajmniej Korycki szczerze starał się pomóc młodszemu koledze. Co do kata, Brumik nigdy nie był pewien, czy zmartwychwstaniec się z niego nie nabija.

Mógłbym zacząć od dziś – pomyślał, stając przed drzwiami, zza których dochodziły nieżyczliwe wrzaski potencjalnego świadka. *Pokazać, że też potrafię być twardy. Może tym razem wygram?*

Zaczęło się dobrze. Załomotał stanowczo w drzwi. A gdy otworzył je okrąglutki, ale znacznego wzrostu mężczyzna w przykrótkim wełnianym swetrze i rogowych okularach, Brumik chłodnym urzędowym tonem oświadczył, że reprezentuje policję i przybył przepytać świadków.

– To pewnie chodzi o pannę Krysię – westchnął mężczyzna. – Ja się nazywam Pawłowski, panie oficerze. Robert Pawłowski. I nic nie widziałem, nic nie słyszałem. Pracuję na nocną zmianę w zakładach pana Hila. Wróciłem ledwo co po świcie i miałem nadzieję odespać nockę. No, ale chyba mi się nie udaje.

Mieszkanie, jak wiele innych w Krakowie, zostało podzielone między kilkoro zameldowanych. Wojna, która zaczęła się od nieszczęsnych strzałów w Sarajewie by trwać przez trzydzieści pięć lat, dobiegła wreszcie końca, jednak świat długo jeszcze miał nosić po niej blizny. Miasta, tak w odrodzonej Polsce, jak i na całej Ziemi, stanowiły enklawy bezpieczeństwa, prawdziwe twierdze, do których ściągali uchodźcy ze zniszczonych bądź opanowanych przez demony miejsc. Kraków, jedno z miast, któremu udało się przetrwać w miarę znośnym stanie, przyciągał przybyszów z całej Polski, a nawet cudzoziemców, tych z blisko położonych krajów. I nie zawsze byli to ludzie.

Upychano ich gdzie się dało, dzieląc mieszkania na prowizoryczne klitki. W ciągu roku powstały dziesiątki firm budowlanych, których założyciele mieli nadzieję dorobić się majątku na wznoszeniu prostych wielorodzinnych domów dla dziesiątek, jeśli nie setek tysięcy spragnionych własnego kąta starych i nowych krakowian. Choć jednak wojna z Marsjanami dobiegła końca, ciągle trwały walki z przebudzonymi przez nich siłami. Kamienice należało budować powoli, każde piętro i każdą cegłę zabezpieczając przed siłami nieczystymi. Rozbudowa nie przebiegała więc na tyle sprawnie, by odpowiednio szybko rozwiązać problemy mieszkaniowe w mieście.

Pawłowski zaprowadził policjantów do saloniku, z którego okna wychylała się „panna Krysia”, po czym usiadł prędko w fotelu o przetartych zamszowych oparciach i schował się za wielką płachtą „Czasu Krakowskiego”.

Prócz niego i wrzaskuli wewnątrz znajdowało się jeszcze dwoje dzieci: chłopiec o oczach czerwonych od płaczu i starsza chyba od niego, bo wyższa, dziewczynka zaciskająca gniewnie wąskie usta. Chuda kobieta o suchej twarzy i szarych włosach upiętych w prosty kok siedziała pomiędzy nimi, przyjmując rolę linii demarkacyjnej. Zerkała to na jedno, to na drugie, a jej wzrok był surowy, ale i czuły. Zdaniem Brumika musiała być ich matką, wydawała się zresztą podobna do dziewczynki.

Podkomisarz odchrząknął znacząco.

– Policja – oznajmił, jak miał nadzieję pewnym i stanowczym głosem. – Jestem podkomisarz Brumik, a to sierżant Korycki. Chcemy z państwem pomówić.

– Super! – ucieszył się chłopiec. – Niech pan zamknie tę wstrętną jędzę!

By nie pozostawić wątpliwości o kogo chodzi, wskazał dziewczynkę o wąskich ustach.

Ta zareagowała natychmiast, podrywając się z kanapy i rzucając na oskarżyciela. Tylko szybka reakcja chudej kobiety zapobiegła linczowi.

– Hm, no tak. – Brumik spróbował uśmiechnąć się porozumiewawczo. – A jakiej to zbrodni dokonała ta młoda dama?

– Świnia zeżarła moją kromkę z dżemem! Raz na tydzień dostajemy dżem! I ona go zeżarła! Mój dżem!

– Donosiciel! – nie pozostała dłużna dziewczynka. – A w dodatku kłamie! Sam zeżarłeś swój dżem i chciałeś dostać moją kromkę!

– Ja kłamię? Złodziejka dżemu! Żeby cię żaby zaskakały! Wielkie plugawe ropuchy!

– Ropuchy? Ty kupo karalucha! Jak ci zaraz…

– Dzieci! – Chuda kobieta krzyknęła ostrym, nieco piskliwy głosem. – Dosyć! Bo już nigdy nie będzie dżemu! Dla nikogo! Krzysiek, marsz do pokoju! Pościelisz łóżka! Ania, myjesz naczynia!

– Ja? Mamo, to jego kolej!

– Trzeba go było nie bić.

– Ja mu tylko dałam prztyczka, za to, ze kłamie! Starsza siostra chyba powinna dbać o młodszego brata, nawet jeśli jest zakłamanym szczurzym bobkiem? No to ja zadbałam. Dostał prztyczka, żeby już więcej nie kłamał.

– Idź myć naczynia. Już! I żebym więcej nie słyszała, że tak mówisz o bracie!

Westchnęła ciężko.

– Przepraszam panów – odezwała się jeszcze drżącym głosem do policjantów. – Dzieci, rozumieją panowie…

Gdy się uśmiechnęła, jej twarz, jak wydało się Brumikowi, nabrała blasku. Matka niesfornych dżemojadów przestała wyglądać jak cień kobiety, zmęczona od samego rana gospodyni domowa. Pomyślał, że mogłaby być piękna, gdyby tylko ktoś dał jej ku temu okazję. Może ofiarował chwilę wytchnienia, nieco pomocy przy dzieciach? Może zaprosił na obiad, przy którym spędziliby czas tylko we dwoje?

– Dzieci – powtórzył i też się uśmiechnął. – Rozumiem, że sprawa zaginionej kromki z dżemem musi być dla nich

poważna. Zapewniam, że chętnie się nią zajmiemy, jeśli tylko znajdziemy chwilę czasu. Przepraszam, ale nie usłyszałem pani nazwiska.

– Joanna Klimowska – przedstawiła się. – Mieszkam tu od trzech miesięcy. Jeśli panowie sobie życzą, pokażę kartę przydziałową. To znaczy, panna Krysia trzyma ją u siebie, ale mam kopię.

– Nikt tu nic nie będzie pokazywał, oprócz mnie! – wtrąciła się na to „panna Krysia" odkrywając, że w jej salonie zaczęły się dziać rzeczy znacznie ciekawsze niż za oknem. – Ja tu jestem gospodynią, ja za wszystko odpowiadam! To było moje mieszkanie zanim mi tu dokwaterowano to towarzystwo!

Jak panna Krysia zmieściła się w oknie, pozostawało dla Brumika tajemnicą. Ogrom tej kobiety zdawał się wypełniać blisko połowę salonu. Wielkości przydawały jej gęste czarne włosy tak nieopanowanie rozrastające się na wszystkie strony, że trzeba było je okiełznać prawdziwym gąszczem szpil i spinek poutykanych na całej głowie. Panna Krysia miała też oczy jak reflektory wojskowej ciężarówki i usta, których rozmiary mogły rywalizować z wielkością ust olbrzymów.

– Pani nazwisko? – zapytał Brumik, z trudem opanowując odruch, by cofnąć się o krok.

– Krystyna Cwimbał jestem. Panna. Właścicielka mieszkania. Wytarliście choć buty zanim żeście tu wleźli? Pewnie nie. Przed progiem leży ogromna wycieraczka, ale to za wielki wysiłek dla policjantów, żeby ją zauważyć?

Naprzyjeżdżało się tu elementu ze wsi, to co ja mogę wymagać, stara krakowianka z dziada pradziada? Wątpię, czy choć czytać was nauczyli. Bo tam na drzwiach jest kartka: „wycierać buty!”. No, ale czego ja wymagam od…

– Ilu w sumie ma pani lokatorów? – przerwał jej Brumik. – Kartki żadnej na drzwiach nie ma! Czytać potrafię a buty wytarłem.

– Pewnie znowu ukradli! – Pokiwała wielką głową. – Tu teraz sporo mieszka takich, co to myślą, że każde słowo pisane to zaklęcie, więc mi kradną te kartki. A kogo mnie wepchnęli, choć wcale się o to nie prosiłam? Ta wywłoka z bachorami, to troje. Ta łazęga, co się chowa za gazetą, to czworo. Do tego jeszcze taki jeden, co poszedł rano do roboty, pijak i złodziej, to pięć. I małżeństwo, nawet uczciwe, ale brudne i niewychowane. To siedem. Też są w robocie. Mąż polazł na dzienną zmianę do Hila, a żona sprząta po domach, tam, gdzie się jeszcze na niej nie poznali.

– Poprosimy o karty meldunkowe wszystkich pani lokatorów. Oddamy je oczywiście po zakończeniu śledztwa. Będziemy też prosili, by przekazała pani nieobecnym, że chcemy ich widzieć na komisariacie.

– Myślicie, że to oni zabili? – łypnęła podejrzliwie na Brumika. – Toście głupsi, niż myślałam. Tu same łazęgi. Powiem wam, kto zabił! Ten pijak z trzeciego pietra, niby profesorek. Źle mu z oczu patrzy, dzieci się go boją. Nie żebym go winiła. Ten tam, co zdechł, Radziszewski, to prawdziwy był suczy syn bez sumienia. Sam mieszkał na

całych siedemdziesięciu metrach, bo miał znajomości w magistracie. Co sobota inną sobie sprowadzał kochanicę, same głupie dziewuchy co tu przyjechały ze wsi. Tę łachudrę moją też by sobie wziął, jakbym jej zawczasu nie ostrzegła. Nie było tak, pani Klimowska?

– Wstydziłaby się pani, tak przy ludziach! – żachnęła się chuda kobieta. – I to nieprawda! On się do mnie zalecał, to prawda. Ale ja nic. Przysięgam, że nic!

– Bom ostrzegła! Bo ja o swoich dbam, nawet jak mi ich siłą wepchnięto do mieszkania, w którym całe pokolenia Cwimbałów mieszkały. My, Cwimbałowie wznosiliśmy to miasto! I na co nam przyszło?

– Wróćmy do zamordowanego – przypomniał Brumik, zerkając przy tym na Koryckiego, który, co dziwne, milczał odkąd przyszli.

Sierżant przyglądał się oknom saloniku i nawet wyglądał przez nie na zewnątrz. Osobliwie wiele uwagi poświęcił też schowanemu za gazetą Pawłowskiemu, a zupełnie nie interesował się nieszczęsną panią Klimowską. Na pannę Krysię tylko rzucił okiem, uśmiechnął się pod wąsem i tyle.

– No, pierwszorzędna szuja! – Gospodyni wróciła do tematu zamordowanego. – Hazardzista, ale szuler. Ilu ludzi on w samych skarpetkach puścił! Panie, tu potem prawie kolejki się do niego ustawiały. Dziewuchy z brzuchami i hazardziści z długami. Taki to był, proszę pana, sukinsyn. I on ich wszystkich miał gdzieś. I te dziewuchy, które wyśmiewał, że powinny się były wcześniej martwić

i o siebie dbać, w czym miał rację, nie powiem, że nie. I tych durnych hazardzistów, którym też się kara należała, nie powiem. Mnie ich wszystkich nie żal. Ale że sumienia nie miał, to wiem.

– Hazardzista – zanotował w notesie Brumik. – Kobieciarz. Zna pani kogoś z tych, co do niego przychodzili?

– A skąd ja mam znać taki element? – panna Krysia uniosła oczy ku niebu. – Panie, za kogo mnie pan bierzesz? Może u pana na wsi wszyscy się ze wszystkimi znają. Ale w Krakowie porządni ludzie nie zadają się z elementem. No, chyba że władza mu taki element dokwateruje. Ale nawet wtedy umiem dbać o to, by na pewne rzeczy w moim domu nie pozwalać!

– Ale potrafiłaby pewnie pani każdą z tych osób opisać, prawda? – po raz pierwszy wtrącił się Korycki. – Parapety w oknach ma pani nieźle wytarte w miejscach, gdzie zwykła się pani opierać łokciami. A i judasz w pani drzwiach wyjściowych jest największy, jaki w życiu widziałem. Pani lubi przyglądać się ludziom, prawda?

– Trzeba wiedzieć z kim się mieszka – ujęła się pod boki. – Trzeba się pilnować, jak człowiekowi wpychają obcych do domu!

– Znakomicie. Przyślemy tu naszego człowieka, a pani mu opisze szczegółowo każdego z gości zamordowanego. A teraz, proszę powiedzieć czy wie pani coś o tym, co działo się w nocy i nad ranem. I wczoraj wieczorem. Ale niech pani nie mówi tu, przy wszystkich. Ma pani w domu jakieś spokojniejsze miejsce? Może swój pokój?

– Obcych mężczyzn do sypialni nie wpuszczę! – Olbrzymia twarz spłonęła pąsem.

– No to może kuchnia? Łazienka? My nie jesteśmy wybredni.

– Kuchnia może być – sapnęła.

– Znakomicie! – ucieszył się Korycki. – No to chodźmy. Prawda panie komisarzu?

Puścili pannę Krysię przodem. A gdy wyszła, sierżant pochylił się jeszcze nad Pawłowskim. Odsunął gazetę, którą zasłaniał się mężczyzna i oznajmił:

– Pan zaś jesteś winien kromkę chleba z dżemem pewnemu chłopcu. Na pana miejscu kupiłbym cały słoik tej rodzinie jako przeprosiny. Za awanturę, którą żeś pan wywołał.

– To pan? – zawołała z niedowierzaniem Klimowska.

– Głodny byłem – bąknął Pawłowski. – Po całej nocy! Przepraszam. Ja oczywiście odkupię ten dżem! Proszę, niech panowie nic nie mówią pannie Krysi! Ona mi tego nie daruje!

– Wszystko słyszałam, parszywy złodzieju! – huknęła olbrzymka z korytarza. – Żeby dzieciom od ust jedzenie odbierać to trzeba nie mieć sumienia!

– Nie daruje mi! – jęknął przyłapany dżemożerca, osuwając się w fotelu. – Już po mnie!

* * *

Odwiedzili i „profesora”, który okazał się nauczycielem biologii mieszkającym wspólnie z pięcioma innymi

rodzinami. Profesor naopowiadał im cudów o magicznie mutujących bakteriach, ale o morderstwie nie wiedział nic. Wykluczył jedynie bakterie i wirusy. Jego lokatorzy przyznali, że słyszeli dziwne hałasy, jakiś stłumiony krzyk i sapanie, a może nawet mlaskanie, ale nie zwrócili na nie uwagi, bo w mieszkaniu zamordowanego prawie co noc było głośno. I w tym mieszkaniu policjanci spotkali dzieci, te jednak były milczące i ponure. Brumik zwrócił na nie uwagę, bowiem tłumiły złość, inaczej niż kłócące się zawzięcie rodzeństwo z mieszkania panny Krysi.

To, że ofiara nie należała do ludzi cichych i spokojnych potwierdzili prawie wszyscy sąsiedzi, niezależnie od piętra. Dopiero na ostatnim piętrze znaleźli zajmującą niemal samotnie całe mieszkanie „pannę Basię", która wyznała im, że Radziszewski padł ofiarą międzynarodowego spisku złowrogiej szajki.

– Skąd to przypuszczenie? – zastrzygł uszami Brumik.

– Generał Sowiński mi powiedział – oznajmiła. – On już od dłuższego czasu miał oko na tego Radziszewskiego.

– Sowiński? – Brumik przejrzał notatki. – On tu mieszka?

Korycki jęknął cicho.

– Oczywiście! – Panna Basia schyliła się, podniosła jednego z kotów, których dziesiątki zalegały na podłodze. – Oto on. Generale, proszę przywitać naszych gości.

Bury kocur łypnął niechętnie na oniemiałego Brumika. Zasyczał, ziewnął i zamknął oczy, udając, że śpi.

– No więc tak – podsumował Korycki, gdy już stamtąd uciekli. Zmierzali ku staremu ratuszowi miejskiemu, w którym ulokowano ich jednostkę. – Zamordowany miał kontakty w hazardowym światku. Do tego skrzywdził wiele kobiet, które przecież mogły mieć ojców, braci czy nawet narzeczonych. Motywów mamy aż za wiele. Jeśli Strzelbicki nie znajdzie żadnych śladów, czarno widzę tę sprawę, bo świadkowie nie wydają się pomocni.

– Ta panna Krysia nienajgorzej rokuje – pozwolił sobie na nieco optymizmu Brumik.

– Ano, wścibskie babsko mogłoby się przydać. Ale nazwisk wszystkich gości Radziszewskiego pewnie nie zna. Na samych rysopisach daleko nie zajedziemy. Pół biedy, jeśli to sprawa hazardowa. To zawsze jakieś środowisko, przebadamy je, czegoś się dowiemy. Ale jeśli to zemsta za babę… – pokręcił głową.

Zaszli po drodze do kantyny policyjnej, gdzie karmiono nie tylko nie najgorzej, ale w dodatku tanio, jeśli kto pokazał policyjną odznakę. No i łatwiej było znaleźć w niej miejsce, bo połowę stolików zawsze trzymano w rezerwacji dla policji. Trafili akurat na porę obiadową, więc jedyny stolik, jaki dla nich znaleziono, stał w kącie, pod samymi drzwiami do toalety.

Nie wybrzydzali.

– Jak pan tego dżemojada nakrył?

– Ręka mu się zatrzęsła, gdy zaczęli mówić o dżemie. A że trzymał w tej ręce pół gazety, to zafalowała jak żagiel na wietrze. Pan tego nie widział, bo patrzył na kobietę. A ja

stałem wtedy pod oknem, mogłem spojrzeć na jego twarz, bo przed wami ją zasłaniał. Poczerwieniał. Przyjrzałem mu się bliżej. Zżerał tę kanapkę w pośpiechu, na swetrze zostały mu okruszki chleba. Żeby tę prawdziwą sprawę dało się równie łatwo rozwiązać!

– Jest jeszcze wątek spisku – mrugnął do sierżanta Brumik.

– Pan się może śmiać, komisarzu, ale jeśli nie znajdziemy mordercy, trzeba będzie nawet ten trop przebadać. Szef nam nie daruje. A w dzisiejszych czasach musimy brać pod uwagę nawet zeznania gadających kotów.

– Żartuje pan?

– Niestety, nie. Pan wie, że to bzdura, ja wiem i nawet nasz szef wie. I wydział wewnętrzny też to wie. Ale w papierach musi stać, żeśmy trop sprawdzili, bo ktoś się może przyczepić.

– Chyba że złapiemy sprawcę?

– Chyba że to. Będę szczery, komisarzu. Jeśli to czyjś gniewny ojciec, możemy nigdy go nie znaleźć. A pewnie to ktoś taki, bo mnóstwo gniewu było w tym zabójstwie. W takim przypadku jedyna nasza szansa to ta cała magia. Ona powinna pozostawić jakieś ślady.

– Mówi pan cały czas o zabójcy jakby to była jedna osoba. Nie wierzy pan w krasnale i olbrzyma?

– Uwierzę we wszystko, jeśli ktoś mi to udowodni. Nawet w ludożercze krasnale. Ale olbrzym? Powiedzmy, że jakoś przemknął do mieszkania Radziszewskiego. Powiedzmy, że nawet jak po nim biegał i rozdzierał

gospodarza na strzępy, to żaden sąsiad nie zwrócił uwagi, bo sądzili, że to odgłosy libacji. Ale nasza droga panna Krysia nie mówiła o żadnych olbrzymach, tylko o samych ludziach. Żaden olbrzym nie grał z Radziszewskim w karty, więc nie miał pewnie u niego długów, chyba że z jakich gier na mieście, ale panna Krysia zarzekała się, że Radziszewski wcale z domu nie wychodził.

– Ktoś mógł tego olbrzyma wynająć.

– Ale po co? Olbrzym przyciąga uwagę. Nie, to coś innego.

Zajęli się przyniesionym rosołem. Wokół nich krzątali się kelnerzy – kobiet nie zatrudniano w kantynie – zwinnie przemykając w ciasnych przestrzeniach między stolikami, których zbyt wiele upchnięto w nieprzesadnie obszernym pomieszczeniu. Policyjne obiady dofinansowywało miasto, jednak właściciel kantyny, były policjant, jednoręki Andrzej Wanat, upierał się, że zbankrutuje, jeśli nie będzie odpowiednio zarabiał na zwyczajnych klientach. Poustawiał więc tyle stolików, ile zdołał, dbając jedynie o zapewnienie między nimi odrobiny przestrzeni.

Wśród klientów uwagę Brumika przyciągało zwłaszcza dwóch mężczyzn pod oknem. Jeden był wielkim facetem o dłoniach wręcz stworzonych do tego, by zaciskać je w pięści. Wydawało się, że nie ściągał nigdy skórzanej kurtki, na której namalowano dziesiątki pentagramów. Wolał milczeć. Odzywał się z rzadka, zwykle półsłówkami. Bywało jednak że ożywiał się czasem i wtedy albo mruczał coś niewyraźnie, albo pokrzykiwał z ekscytacji.

Gadał za dwóch jego towarzysz, też niemały, ale szczupły. Ten ubierał się zawsze elegancko, najczęściej na czarno, być może dlatego, że był księdzem, co zdradzała dyskretna, ale jednak widoczna koloratka.

– Ci dwaj są tu za każdym razem, gdy przychodzę… – Brumik zwrócił uwagę Koryckiego, gdy oczekiwali na drugie danie.

– Kulikowski i Hipoliciuk? Oni naprawdę stąd nie wychodzą. To tacy nasi koledzy po fachu.

– Ksiądz też?

– No, klecha. Ktoś miał kiedyś taki pomysł, że się przyda. Zatrudnili ich jeszcze przed nami do rozwiązywania pokręconych spraw. Pierwsze, co zrobili, to przyszli tutaj. Siedli, napili się i już stąd nie wychodzą. Piją na koszt miasta i podobno rozwiązują stąd sprawy.

– Podobno?

– Piszą o nich raporty. Najdłuższe raporty, jakie w życiu czytałem. Długie jak powieści i pisane jak powieści. Z dialogami, rozbudowanymi opisami. Wysyłają takich pięć – sześć miesięcznie i biorą wypłaty, chociaż wszystkie co do jednego zmyślają.

– I miasto im za to płaci?

– Muszą mieć dobre wejścia. Zresztą policja chwali się dzięki nim dużą liczbą rozwiązanych spraw, statystyki wyglądają dobrze i wszyscy są zadowoleni. Może oprócz nas trzech. Bo my musimy zajmować się prawdziwymi morderstwami.

Zjedli po porcji gulaszu, a gdy wychodzili, Brumik obejrzał się jeszcze na dwóch najlepszych – według statystyk – detektywów Krakowa. Dyskutowali o czymś zawzięcie, co oznaczało, że Hipoliciuk perorował, a Kulikowski pomrukiwał od czasu do czasu. Zorientowali się, że im się przyglądał. Ksiądz wzniósł kieliszek w pozdrowieniu, a Kulikowski wyszczerzył się do Brumika i mrugnął do niego.

* * *

– Nie podobał mi się ten profesor – przypomniał sobie Brumik, gdy jeszcze raz przeglądali notatki. – Miał złe spojrzenie.

Siedzieli w pokoiku, który im przydzielono. Początkowo mieli zajmować całą wieżą ratuszową, z czasem jednak zaczęto upychać w niej kolejne oddziały, aż wreszcie skończyli, dysponując jedynie małym pokoikiem bez okien i rozległą piwnicą, w której Strzelbicki przechowywał swoje specyfiki i kroił nieboszczyków.

– Naukowiec – prychnął Korycki. – Oni wszyscy patrzą jak szaleńcy i używają niezrozumiałych słów. Guzik to wszystko warte. Chodźmy do naszego mistrza ćwiartowania ludzi. Powinien już coś wiedzieć.

Strzelbicki, zwykle dumny jak paw, tym razem wyglądał na stropionego. Siedział, wspierając się na łokciach przy blacie stołu, na którym porozkładał doczesne szczątki Radziszewskiego i gapił się na nie w milczeniu.

– Masz mnie pan, sierżancie – mruknął. – Masz mnie, bo tym razem nic nie wiem. Żadnej siarki, żadnych czarcich oparów. Mróweczki moje – wskazał nawiedzone mrowisko, którego robotnice analizowały dla niego mikroślady – uwijają się jak w ukropie, ale też nic nie mogą znaleźć. Jest jakaś ślina, tyle. Badają ją teraz. Zrobiłem odlewy śladów po ukąszeniach i jestem głupszy, niż byłem, bo wszystkie są takie same.

– Jak takie same, jak jedne wielkie, inne mniejsze! – zirytował się Brumik, który miał nadzieję, że kat poda im jakiś trop.

– Niech pan na mnie nie sarka, komisarzu. Wielkości mają różne, ale kształty te same. Rozumiecie, panowie, to jest jakby jedna i ta sama szczęka, tylko różnych rozmiarów.

– Czyli nie ludożercze skrzaty i olbrzym? – ucieszył się Korycki.

– Nie – burknął kat. – Chyba że to wszystko bliźnięta. Bliźniacze skrzaty z bliźniaczym olbrzymem i wszystko ludojady. Wiele widziałem, ale upierał się przy takiej teorii nie będę.

– Żadnej kociej sierści? – strzelił na ślepo Brumik.

– Kociej? Myślicie, że go tak załatwiły koty? Nie, żadnych. Kociej, psiej, wilczej ani nawet wiewiórczej. Same ludzkie włosy, tych samych kształtów szczęki, tylko w różnych wielkościach. Póki mrówki czego nie odkryją, idźcie se badać inne tropy.

* * *

Poszli więc. Brumik szukał po przytułkach i szpitalach śladów po ewentualnych porzuconych przez zamordowanego kobietach. W części z nich znano go już nieźle, poświęcił bowiem miesiąc na poszukiwania swej pierwszej niespełnionej krakowskiej miłości – zalotnej sąsiadeczki, która przepadła gdzieś niedługo po tym, jak została jego informatorką.

Korycki wybrał się w podróż po lokalnych szulerniach. Zaczął jednak od legalnego kasyna mieszczącego się na piętrze budynku przy ulicy Sławkowskiej. Eleganci z całego świata pokazywali się tam w towarzystwie pięknych kobiet, poobwieszanych biżuterią wartą więcej niż roczne uposażenie uczciwego sierżanta policji.

Nie pasował tam w swoim garniturze powycieranym o bruk niejednej krakowskiej dzielnicy, w krawacie, którego nigdy nie potrafił odpowiednio zawiązać, butach posiadających niezwyczajną zdolność przyciągania najgorszego błocka, z niemodnym wąsem i zaciętym wyrazem twarzy. Jego oczy nie lśniły ani lubieżnym, ani chciwym blaskiem, jak oczy stałych bywalców. Dłonie miał pełne otarć, usta nazbyt suche. Golił się, gdy sobie przypominał o goleniu, a to nie zdarzało się każdego ranka.

Nic dziwnego, że dwaj goryle obciągnięci frakami, o jakich Korycki nawet nie marzył, naprężyli na jego widok mięśnie i przybrali wyrazy twarzy przeznaczone dla włóczęgów i bezpańskich psów. Koryckiemu wydawali się nieco zbyt tłuściutcy, by poradzić sobie w gorszych dzielnicach. Tu jednak, rumiani, z napomadowanymi

czarnymi włosami zaczesanymi do góry i kreseczkami wąsików tak wąziutkimi i równymi, że sprawiającymi wrażenie raczej narysowanych niż wystrzyżonych, wyglądali na solidne zapory. W każdym razie dla niewprawnego oka.

Sierżant rozważał przez chwilę rozmaite sposoby, na jakie mógłby doprowadzić do tego, że za kilka sekund staczaliby się obaj po marmurowych schodach wyłożonych czerwonym dywanem. Potem uśmiechnął się i machnął im przed oczami odznaką.

– To nic nie zmienia – powiedzieli równocześnie, obaj równie głębokimi barytonami, zarazem uprzejmie, jak i pogardliwie.

– Bracia Kępińscy, co? Słyszałem o was. A właściwie o dwóch podobnych do was bliźniakach, którzy ukrywali się przed wojskiem ze względu na syfilis, którego nabawili się, usiłując zbić majątek jako alfonsi. Nie wyszło im, bo obiły ich własne dziwki.

– To było dawno – powiedział jeden z nich.

– To nic nie zmienia – uparł się drugi.

– Słuchajcie, chłopcy. Mogę tam wejść po waszych jęczących cielskach i narobić wstydu wam, waszym szefom i gościom. Oczywiście, właściciel tego szlachetnego przybytku potem się na mnie poskarży, przez co szef mojego szefa zacznie wylewać wiadra gówna, które ostatecznie spłynie na mnie. Nie dostanę premii miesięcznej, albo coś w tym guście. Tylko jaką to sprawi satysfakcję wam, połamanym i bezrobotnym?

– Takiś pewny swego, co?

– Tutaj? Z wami? Widzicie chłopcy, kiedy wasze tłuste, trzęsące się tyłki zbierały wciry od dziwek, ja napieprzałem się z ruskimi, Marsjanami, Wieczną Rewolucją i ze wszystkim, co przylazło z piekielnych czeluści. Więc tak, jestem pewny swego. Mogę was zrzucić ze schodów albo możemy być dla siebie uprzejmi. Jak wolicie?

Innego dnia nie zachowałby się zapewne w ten sposób. Po pierwsze, byłby z nim Brumik, a młody podkomisarz okazywał nieco przesadne przywiązanie do oficjalnych policyjnych procedur. Po drugie, istniała szansa, że sam Korycki, mniej poirytowany trudnym do rozwikłania śledztwem, okazałby się Koryckim znacznie sympatyczniejszym. Ostatnio jednak wiele rzeczy układało się nie po myśli sierżanta i coraz częściej czuł pokusę, by wyładować na kimś frustrację.

Na szczęście szef zmiany Kasyna Mistrzów posiadał intuicję pozwalającą przewidywać kłopoty. Zmaterializował się za ochroniarzami, przemknął między nimi i zadzierając głowę, by spojrzeć policjantowi w oczy, zapytał czego szanowny pan sobie życzy, bo chyba nie żetonów do gry ani psucia zabawy gościom.

– Stefan Radziszewski. Życzę sobie o nim posłuchać. Co wiecie?

– Wystarczająco dużo, by go tu nie wpuszczać – skrzywił się szef zmiany. – To znaczy, gdyby tu kiedyś przyszedł. Ale on nie wychodził z domu.

– Bał się kogoś?

– Aha. Miasta, ulic. Czego pan chcesz. Cierpiał na… na tą… agorafobię.

– A bez zaklęć?

– Bał się otwartych przestrzeni, panie uczony. Jak widział coś nieograniczonego ścianami, szczał ze strachu. Dlatego gry urządzał tylko u siebie.

– I zawsze wygrywał, tak?

– Nie zawsze. Ale często. Jakby zawsze wygrywał, nie znalazłby frajerów, którzy by z nim grali, nie?

– No nie wiem, do was ciągle przychodzą. Jak go tu nie było, to skąd go znałeś?

– Taka praca. O pewnych ludziach się wie. Teraz o panu też już wiem.

– Cały się trzęsę. Ktoś z klientów mógł go znać?

– Naszych? Nie, to nie ta liga. Niech pan szuka po szulerniach.

– A wy, braciszkowie? Znaliście go?

– Im nie wolno grać – odpowiedział za ochroniarzy szef. – Jak nikomu, kto tu pracuje.

– Nawet ze starych czasów? – nie ustępował Korycki.

– Wiemy jak ciul wyglądał. Żeby go nie wpuszczać – tym razem odzywali się na przemian, każdy po jednym zdaniu. – Tyle.

Ponieważ i tak przyszedł tu tylko dla formalności, by nikt nie przyczepił się do raportu, Korycki nie naciskał więcej. Odszedł bez pożegnania, zastanawiając się tylko, czy fakt, iż szef zmiany wiedział o chorobie ofiary, może mieć jakieś znaczenie.

W żadnej z szulerni nie dowiedział się więcej. Wszyscy patrzyli na niego krzywo, prężyli muskuły, rzucali groźby, a potem wyrażali radość ze śmierci ofiary i nawet oferowali setkę wódki za zdrowie zabójcy. Przyznawali, że Radziszewski miał nierówno pod sufitem i bał się wychodzić z domu, bo jak widział niebo, to dostawał ataków paniki. Nie, nie uwiódł tu niczyjej siostry ani żony, już oni wiedzieli, że powinni trzymać swoje kobiety daleko od niego. Uwodził głównie prowincjuszki, co to nie znały miasta ani życia.

Żadna z tych nowin nie ucieszyła Koryckiego. Wrócił do Wieży Ratuszowej o świcie. Znalazł notatki Brumika, zapisane równym, jeszcze trochę po dziecinnemu starannym pismem. Podkomisarz potrzebował trzech stron, by poinformować, że niczego nie znalazł.

Korycki westchnął. Zerknął na zegarek, uznał, że nie ma już sensu wracać do domu. Z szafy na akta wyjął gruby segregator opisany jako „sprawy duszy”. Skrywał butelkę koniaku. Sierżant upił łyk prosto z butelki, schował flaszkę, wyjął za to inny segregator, wypełniony prawdziwymi dokumentami. Gdy położył się na stole, podłożył go sobie pod głowę zamiast poduszki.

Zasnął natychmiast. Kiedy Brumik obudził go dwie godziny później, przeciągnął się, ziewnął. Upił łyk kawy zrobionej przez uczynnego młodziaka.

– I nic? – zapytał.

– Nic a nic, sierżancie. Kiepsko, co?

– Mieliśmy niezłą serię, panie podkomisarzu. Dwanaście rozwiązanych spraw. Musiała w końcu przyjść taka, której

nie ugryziemy.

Brumik pokiwał smutno głową.

– Wolałem wierzyć, że jesteśmy niepokonani.

– Nie istnieją niepokonani, podkomisarzu. Ale chodźmy jeszcze do kata, może te jego insekty coś znalazły?

Strzelbicki jednak także nie wiedział nic.

Przez kolejne trzy dni wypytywali prostytutki, alfonsów a nawet bimbrowników. Brumik uparł się, że musi jechać na wieś, za tropem pewnej porzuconej przez Radziszewskiego dziewczyny. Chcąc nie chcąc, Korycki wybrał się z nim. Drogi poza miastem wciąż nie były bezpieczne. Ostatecznie pojechali we trzech, ze Strzelbickim. Nie napadł ich nikt, co kat uznał za ostateczne potwierdzenie, że prześladuje ich pech. Bardzo liczył na porządną walkę.

Trop okazał się ślepą uliczką. Dziewczyna uciekła z miasta, udało jej się wyjść za mąż. Nikt we wsi nie wiedział nic o jej przygodach w Krakowie. Posiedzieli więc w jednej z izb otoczonej murem zadrugi, pełnej ponurych kobiet i mężczyzn przywykłych, że każdy obcy to potencjalny wróg. Gdyby tacy chcieli zabić Radziszewskiego, po prostu przyjechaliby do miasta kupą i zarąbali go siekierami.

Gdy wrócili, nawet Brumik się poddał.

– Jutro rano meldujemy szefowi, że chcemy zamknąć sprawę – bąknął i wyszedł.

Korycki i Strzelbicki popatrzyli po sobie posępnie, a potem kat wyjął segregator do „spraw duszy”.

– Myślałem, że choć o tej nie wiesz – zmartwił się sierżant.

– O wszystkim wiem. No, sierżancie, napij się pan ze mną za pierwszą klęskę.

Korycki znów nie wrócił na noc do domu.

Rankiem obudził go nieprzyzwoicie rozradowany Brumik, informując, że zagryziono profesora od wirusów.

* * *

Obrazek wydawał się dziwnie znajomy. Łóżko i strzępy ciała. Ale że nauczyciel nie dysponował własnym mieszkaniem, łóżko to znajdowało się na strychu.

– Skurwiel – warczał Strzelbicki badający ciało. – Dobrze, że zdechł. Mam nadzieję, że cierpiał. A ślady takie same. Zęby. Małe i duże.

Brumik milczał. Po jego porannej radości nie został choćby ślad. Nie odrywał wzroku od krzesła ustawionego w kącie. Z oparcia wciąż jeszcze zwisały strzępy sznurów.

– Miał pan rację, komisarzu, że coś było z nim nie tak – wycedził przez zaciśnięte zęby Korycki. – Nic dziwnego, że te dzieciaki były takie ponure.

– Ale że rodzice nic nie wiedzieli?

– Rodzice zwykle nic nie wiedzą.

Tuż przed świtem kamienicę postawiły na nogi rozpaczliwe wrzaski jednej z dziewczynek. Dziewięciolatkę przywiązaną do krzesła znaleziono na strychu, w ciasnej izbie za fałszywą ścianą postawioną ze sklejki. Oczy miała

obłąkane ze strachu i cały czas krzyczała. Lekarze musieli podać jej środki nasenne.

Brumikiem wstrząsały dreszcze ilekroć pomyślał, że będzie trzeba ją przesłuchać, gdy dojdzie do siebie.

Nie tylko ją. Możliwe, że profesor zabierał na strych wszystkie dzieci z mieszkania, które z nimi dzielił.

– Trzeba będzie spalić te zwłoki. – Strzelbicki najszybciej z nich wszystkich doszedł do siebie. – Takie gnoje jak on za mocno dotykają tamtej strony. Może wrócić. Ciało spalić, prochy egzorcyzmować i rozrzucić na wietrze. Albo zakopać w srebrnej zapieczętowanej szkatule. Nie żartuję.

– Najpierw je pan zbada.

– Nie dam mróweczkom tego ścierwa! I nie chcę go na moim stole! A temu, co go zabił, postawiłbym kolejkę. Tyle wam powiem.

– My jesteśmy policja, panie kat! – naskoczył na niego Brumik. – Łapiemy takich, co mordują! Nawet takich drani!

– Czasem trzeba przymknąć oczy. Źle mówię, sierżancie?

– To nie jest jedyny trup w tej kamienicy, mistrzu. A ten, kto zabił raz i drugi, zabija z coraz większą łatwością. Jasne, profesorka sam bym ukatrupił. Ale kto będzie następny? Babcia od kotów?

Kat splunął tylko w odpowiedzi i wyszedł.

– Szczęściarz – obejrzał się za nim Korycki. – My, panie podkomisarzu, musimy przesłuchać żywych. Łatwo nie będzie.

I nie było. Dzieci nie odpowiadały chętnie, ale to rodzice zacięli się w uporze. Prości ludzie, którzy przybyli szukać w Krakowie schronienia, zapracowani od świtu do nocy, niechętnie przyznawali, że mogli coś przeoczyć. Sami sobie wmawiali, że ich dzieci nie mogły paść ofiarą zboczonego nauczyciela, że on pewnie dopiero zaczął właśnie od córki tych tam, Naborowskich. Jeden z mężczyzn bąknął, że to może nawet była jej wina. Wtedy po raz pierwszy to Korycki musiał wyciągać na korytarz oszalałego z wściekłości Brumika, żeby nie pobił świadka.

Założył podkomisarzowi nelsona, przycisnął go do ściany.

– Puszczaj! – wrzasnął Brumik. – No puszczaj mnie pan, mówię!

– Puszczę jak pan ochłonie. To prości ludzie, panie podkomisarzu. I myślą prosto. Czasem głupio. Ale nic nie zrobili.

– A powinni byli! Powinni byli coś zrobić, do diabła! Myśmy powinni byli coś zrobić!

Gdy nadszedł wieczór, nadal nie wiedzieli nic.

– Te wszystkie dzieciaki powinien zbadać lekarz – szepnął Brumik, po raz pierwszy zupełnie nie przejmując się tym, że jego teoretyczni podwładni znów zignorowali rozkaz, jaki im wydał po objęciu jednostki i trzymali w pracy alkohol. – Niech pan i mnie poleje, mistrzu.

Strzelbicki tylko uniósł jedną z krzaczastych brwi, ale nie skomentował. Postawił na stole trzecią szklankę i napełnił ją do pełna.

– Przebada – zapewnił Korycki. – Choćbym miał go tam zaciągnąć siłą. A rodziców zmusić do uległości spluwą.

Wypili za to.

– Źle na to wszystko patrzyliśmy, panowie – odezwał się sierżant po trzeciej kolejce. – Jak zwyczajne gliny szukaliśmy zwyczajnego motywu. Jacyś szulerzy, jakieś kokoty. Gówno to wszystko warte.

– Jakieś krasnoludki – dodał kat.

– I krasnoludki też. Chociaż właśnie o to chodzi, że trzeba się było trzymać tych krasnoludków. Czyli rzeczy niezwyczajnych. Teraz już wiemy, że ani szulerzy, ani żaden pokrzywdzony ojciec nie ruszał ani Radziszewskiego ani profesorka. Co obaj mają wspólnego?

– Że to szuje! – odgadł kat.

– Tyle że Radziszewski w świetle prawa był raczej czysty. – Brumik dolał sobie sam. Zorientował się, że popełnił nietakt i prędko uzupełnił szklanki podwładnych. – Jeśli naruszał jakieś prawo, to tylko moralne.

Strzelbicki prychnął pogardliwie.

– Nie ma policji od prawa moralnego! Chyba że klechy!

– Nie ma policji – powtórzył powoli Korycki. – Ale to nie do końca prawda. Zawsze jest ktoś, kto uważa się za świętego i poucza innych, nie? Donosi, śledzi…

– Wywiesza pouczenia! – odgadł Brumik. – Rany boskie, ta baba?

– Nic innego nie przychodzi mi do głowy – wzruszył ramionami Korycki. – Odwiedzimy ją rano. We trzech.

* * *

– Znowu ukradli pani kartkę o wycieraniu butów – poinformował pannę Krysię Brumik, gdy niezawodny pan Pawłowski wpuścił ich do mieszkania.

– Dorwę ich jeszcze! – zapewniła gospodyni. – Bo na to, że policja złapie tych złodziei, to się chyba nie doczekam! A wyście czemu teraz we trzech przyszli? Myślicie, że ten drab o krzywej mordzie znajdzie to, czegoście wy nie potrafili?

– I mnie też bardzo miło panią poznać – Strzelbicki uśmiechnął się kwaśno. – Padam do nóżek, całuję rączki. I tak dalej, wie szanowna pani.

– Cham – skwitowała.

– Ale rezolutny! – mrugnął do niej. – Prawdziwy mężczyzna. Przydałby się pani taki.

– Obrażają mnie we własnym domu! – zawołała, chwytając się pod boki. – No, na szczęście nie ma takiego prawa, które by mi kazało wysłuchiwać tych kalumnii. Poszli wszyscy! Won!

– Idziemy, idziemy – uniósł uspakajająco dłonie Korycki. – Nie przyszliśmy tu pani dręczyć, ale by przedstawić nowego sąsiada.

– Sąsiada? – łypnęła na niego groźnie – Chcecie mi tu tego chama wcisnąć do mieszkania? U mnie ciasnota! Nie ma miejsca!

– Do pani nie. Ale piętro niżej stoi pusty lokal a nasz pracownik nie ma gdzie mieszkać. Więc póki co został zakwaterowany tam. A do pani zajrzeliśmy trochę po

drodze, a trochę w sprawie. Bo my tu tak naprawdę do pana Pawłowskiego.

– Do mnie? – zdumiał się Pawłowski, wychylając zza „Czasu Krakowskiego”, za którym się schował, jak to miał w zwyczaju.

– Bo widzi pan, musimy zamknąć jedną taką małą sprawę…

– Że ten dżem? Panowie, toż ja cały słoik odkupiłem! Za własne pieniądze! Nawet panna Krysia już mi darowała!

– Niestety, musieliśmy wpisać to wydarzenie do raportu – rozłożył ręce Korycki. – No i szefowie kazali nam, dla zasady, jeszcze pana przesłuchać, żeby w papierach wszystko było jasne.

– Niech się pan nie martwi – pocieszył wyraźnie stropionego mężczyznę Brumik. – To tylko formalność. Zadamy panu u nas kilka pytań, spiszemy zeznanie, pan je podpisze i wróci do domu.

– Tylko formalność – mamrotał, wkładając buty. – To się tak mówi: „tylko formalność”. A potem człowiek znika.

Nie zniknął jednak. Cały i zdrowy wrócił do mieszkania, gdzie zaraz pobiegł do kuchni, by porozmawiać z panną Krysią.

– Nie powiesili pana? – pokiwała głową, wyraźnie rozczarowana. – Widzi pan, jakie czasy! Za nieboszczyka Cesarza tak łatwo by się pan nie wywinął!

– Co też pani mówi, panno Krysiu! Toż przecież nawet za Franza Josefa nie wieszali za łyżkę dżemu!

– Może nie wieszali, może wieszali? W wojsku by pana za to rozstrzelali. Ale skoro już pan żyje, na moje utrapienie, to wynoś mi się pan z kuchni i nie przeszkadzaj uczciwej kobiecie w pracy. To nie pana dyżur.

– Ale ja właśnie do pani! Z wieściami!

Nadstawiła uszu. Jak z wieściami, to co innego. Podsunęła mu nawet krzesło, żeby usiadł przy stole.

– Oni mnie tam pytali o ten dżem – rozpoczął sprawozdanie. – Jakbym co najmniej kogo zabił! Ale tak po prawdzie, to więcej ja się od nich dowiedziałem niż oni ode mnie. Bo trochę gadali między sobą, trochę mnie straszyli. „No, ciekawym jak wam teraz będzie z nowym sąsiadem” – naśmiewał się ten nieogolony. „Przy nim ten wasz szuler to anioł!”. Zdziwiłem się, panno Krysiu, że jak to? Że przecież ten nowy to policyjna osoba. Na to się już obaj zaśmiali, aż mi coś zimnego przeszło po krzyżu, jak Boga kocham! Albo przeczucie, albo jakiś postrzał, bo potem poczułem ból w całych plecach i aż nie mogłem od tego wstać!

– Pan to byś tylko siedział! Już miesiąc temu mówiłeś pan, że masz lumbago, żeby się wykręcić od sprzątania.

– Może to znowu lumbago – pokiwał głową. – Ale pani też byś dostała lumbago, jakbyś się dowiedziała tego, co ja!

– No mówże pan wreszcie co ciekawego, a nie w kółko o swoich boleściach!

– On nie jest żaden policjant! To nawet nie jest człowiek! Gorzej! To przestępca!

– Przestępca? – jęknęła.

– On ludzi zabijał! To kat!

– Kat?

– No, wykonywał egzekucje!

– Ale jak kat, to urzędowa osoba, przydatna. Zabija łotrów. Co mi pan głowę zawracasz?! Taki to się i przyda w kamienicy! Na pewno nie będzie się trząsł, jak trzeba będzie kurze głowę udrzeć. Nie to, co niektórzy.

– Och, bo ja wtedy miałem migrenę, panno Krysiu! Tylko dlatego! Słowo daję! Ale pani jeszcze nie wie wszystkiego. To nie jest taki zwyczajny kat. To Antoni Strzelbicki, któremu głowę ścięli ponad sto lat temu. Za grabieże, za przewodzenie bandzie rozbójników. Wyrokiem sądowym go skazano! Pijak, bałamutnik, złodziej, zabójca! Najgorszy z możliwych! Wylazł z grobu i teraz mieszka z nami.

– Skandal! – szepnęła pobladła panna Krysia, osuwając się na krzesło. – Takie coś w naszej kamienicy!

– Okradał sieroty, wdowy, starców! – Pawłowski wyliczał zbrodnie Strzelbickiego, które ochoczo podawali mu dwaj policjanci, czasem opierając się na tym, co znaleźli w aktach kata, a czasem na własnej wyobraźni. – Napadał na kościoły! Raz kazał biskupa oćwiczyć i puścić nago!

Przeżegnali się oboje. A gdy panna Krysia doszła do siebie, kazała Pawłowskiemu pilnować zupy, żeby nie wykipiała, po czym poszła odwiedzić nowego sąsiada. Załomotała w drzwi, a gdy otworzył je, przecierając oczy, oświadczyła, że ona już wie co z niego za gagatek i że lepiej dla niego będzie, jeśli się z domu wyniesie.

– Bo co? – zapytał, uśmiechając się szeroko. – Będzie pani na mnie donosy pisać?

– To jest porządna kamienica!

– Aha. Porządna. Szuler, pijacy, zboczeniec i świruska z kotami. Idź, babo, bo jak ci machnę…!

Zatrzasnął jej drzwi przed nosem.

– Pan nie masz sumienia, żeby nas tak dręczyć swoją obecnością! – zawołała.

Odczekała dłuższą chwilę, czy nie wróci. Gdy dotarło do niej, że raczej się nie doczeka, oświadczyła, że ona tak tego nie zostawi, odwróciła się i odeszła.

Złość wyładowała na Pawłowskim, bo zaczytał się w gazecie i zupa wykipiała.

* * *

Przez trzy noce nie działo się nic. Na darmo Brumik i Korycki przemykali się co wieczór po dachach, opuszczali po linie i najciszej jak potrafili wchodzili przez okno do mieszkania zajmowanego przez Strzelbickiego. Brumik zaczął już podejrzewać koty o generalskich imionach, one bowiem szwendały się po dachach i jako jedyne były świadkami wędrówek policjantów.

Na szczęście czwartej nocy w zamku drzwi zazgrzytał podrobiony klucz, a potem rozległo się skrzypienie zawiasów.

Strzelbicki, który pełnił akurat wartę, szybko obudził kolegów. Oni przyczaili się za łóżkiem, a on wsunął się na nie i zachrapał, nieco przesadnie i teatralnie.

Usłyszeli kroki w przedpokoju. Ciężkie, powolne. Dziwne, jakby ktoś stąpał niepewnie, jak dziecko dopiero uczące się chodzić.

Że nie mieli do czynienia z dzieckiem, przekonali się, gdy drzwi od sypialni rozchyliły się i stanęła w nich panna Krysia w całej swej potędze.

Wyglądała nieco dziwne w jasnej koszuli nocnej wielkiej niczym namiot. Gęste włosy spętała siatką, którą wkładała na noc. Nie chciały się poddać. Naprężony materiał ledwie utrzymywał je w ryzach, a i tak piętrzyły się i kołysały. W ciemności wyglądały jak druga, większa głowa.

Pociągnęła nosem, jakby coś wąchała.

– Zbrodnia – odezwała się głucho. – Smród występku. Groza, groza!

Pochyliła się nad katem, potrząsała nim, aż udał, że się budzi i usiadł na łóżku.

– Wyznaj grzechy! – zawyła.

– Co mi tu pani… Ma zamknięte oczy! – zawołał na użytek ukrytych policjantów. – Lunatykuje!

– Wyznaj grzechy! – zażądała ponownie.

– Jakie grzechy! – nadął się. – Wlazłaś mi babo do domu, pchasz się do wyra i jeszcze się czepiasz! Jakbyś normalnie zagadała, to bym cię przecież nie wyrzucił, bo kawał z ciebie kobietki, nie powiem. Ale na takie chamstwo…

– Wyznaj grzechy! – przerwała mu. – Ukorz się! Pokaż, że żałujesz!

– Niczego nie żałuję! Łeb mi obcięli, winy spłacone!

– Nie masz sumienia – oceniła, raczej smutno niż gniewnie. – Nie gryzą cię jego wyrzuty?

– Nie!

– Hardyś. No, kiedy nie masz sumienia, moje będzie musiało wystarczyć.

Zaczęła otwierać usta. A skoro zaczęła, nie mogła już przestać. Odsłoniła równe mocne zęby i spadła na Strzelbickiego tak szybko, że nie zdołał się uchylić. Wyrwał się jej, zostawiając między zębami panny Krysi spory kawała mięsa z ramienia. Wrzasnął. I znów uskoczył, bo ona była już przy nim. Kłapnęła zębami, chybiła. Potrząsnęła głową i rozwarła szczęki szerzej, ponad ludzkie możliwości.

– Na co czekacie? – zawołał, wymierzając kobiecie solidny prawy prosty, od którego klapnęła na ziemię. – Aż mnie zeżre?

Podniosła się zaraz. Nie miała już wcale głowy, a jedynie wielką szczękę, która nadal nie przestawała rosnąć.

Skoczyła ku niemu. Ten zasłonił się krzesłem i potężne zębiska zatrzasnęły się na jednej z nóg mebla. Ta pękła z trzaskiem. A szczęka panny Krysi ponownie urosła.

Korycki z Brumikiem otrząsnęli się nareszcie. Wyskoczyli z kryjówki z pistoletami w dłoniach, ale zamarli bez ruchu.

– Jak do tego strzelać? – zdumiał się podkomisarz.

Mieli bowiem przed sobą już nie człowieka, ale wielką niczym smocza paszcza szczękę kołyszącą się na dwóch potężnych nogach panny Krysi, której całe ciało niemal

zniknęło, przemieniło się w ogromne zębiska próbujące schwytać kata. Ten uchylał się przed kolejnymi kłapnięciami, starał się nawet zadawać ciosy, jednak nawet te, które dosięgały celu, zdawały się nie wywierać na przemienionej kobiecie wrażenia.

Korycki zerwał prześcieradło z łóżka i narzucił je na pannę Krysię.

– Komisarzu! Sznur! – zawołał.

Brumik schylił się po linę, którą wciągali do mieszkania, po tym jak już opuścili się po niej z dachu. Wspólnie z Strzelbickim spętali miotającą się wściekle pod prześcieradłem istotę, zanim zdołała się wyzwolić.

Musieli walczyć z nią do rana, nim opadła wreszcie z sił. Z pierwszymi promieniami słońca zmieniła się z powrotem w wielką kobietę.

– Teraz można by ją nareszcie zastrzelić – zaproponował Strzelbicki spod ściany, o którą opierał się skrajnie wyczerpany.

– Lunatyczka – wysapał Brumik. – Nie można. Nieświadoma była. Nie można.

– Czyli co? Niewinna? Wypuszczą ją?

– Co to, to nie. – Koryckiemu jako jedynemu starczyło sił, by wspiąć się na łóżko. – Jest zbyt niebezpieczna. Będą ją trzymać pod kluczem. Pewnie w szpitalu w tej wsi pod Krakowem. Zrobili tam oddział dla takich jak ona, nadnaturalnych świrów.

– W Kobierzynie? – podpowiedział Brumik.

– Właśnie tam.

Dwie godziny później obserwowali jak spętaną, oszołomioną od środków uspakajających, pielęgniarze zamknęli w wielkiej klatce i załadowali na wóz.

Nie byli sami.

– I co z nami teraz będzie? – chlipnął Pawłowski. – Kto się nami zajmie?

– Sami się sobą zajmiecie – ofuknął go Strzelbicki. – Nie potrzebujecie tego… sumienia narodu!

– Mów pan za siebie! Ja o panu wszystko wiem!

– Idź pan do domu, pókim dobry! – ryknął na niego kat, po czym odwrócił się od niego i sam odszedł.

Brumik z Koryckim ruszyli jego tropem.

– Nic nie wie – warknął Strzelbicki. – Nikt nic o mnie nie wie! To całe pieprzenie o sumieniu…

– Wie, cośmy mu nagadali. A myśmy trochę nazmyślali, nie sierżancie?

– Ten pana pomysł o gołym biskupie był naprawdę niezły, komisarzu.

– O biskupie? – Łypnął najpierw na jednego, potem na drugiego kat. – Jakim biskupie? Coście mi przypisali?

– Taka tam dykteryjka o tym, jak żeś pan jednego biskupa puścił gołego przez miasto, bo panu przygadywał z ambony, a sam chodził na dziewki. I traf chciał, że spodobała wam się ta sama – wyjaśnił trochę zakłopotany Brumik. – Wie pan, to było tak, żeby tę babę sprowokować. Wiedzieliśmy, że Pawłowski wszystko jej powtórzy, no i… Przecież wiemy, że by pan nic takiego nie zrobił…

– Żałuję, że nie zrobiłem! – huknął kat – Ale to by była historia! A wiecie, panowie, że miałem jedną taka sprawę z klechą, prawda, że nie biskupem, ale rzeczywiście łasym na dziewki? I skarżyły się na niego dorotki, że im… – urwał. – No, ale po panu komisarzu to bym się takiej fantazji nie spodziewał. Cicha woda…!

Zarechotał.

– O suchym pysku nie będę wam tej historii opowiadał. Chodźcie panowie, przy Psiej jest taka knajpa, której nigdy nie zamykają. Tam wam opowiem.

– Trzeba by najpierw raport spisać – bąknął Brumik.

– I wykąpać się. – Korycki przeciągnął dłonią pod zbyt długo nie mytej głowie.

– Ja stawiam! – kusił Strzelbicki, ciągnąc ich za sobą.

A ponieważ obaj czuli się już prawdziwymi krakusami, ten finansowy argument przemówił do ich serc i uspokoił służbowe sumienia. Nie gryzły ich, gdy spędzili przedpołudnie przy piwie, wysłuchując, jak to drzewiej bywało.

Paweł Majka

Urodził się w czerwcu 1972 roku w Krakowie i mieszka w nim dotychczas. Dorastał w czasach, kiedy składając papiery na studia należało wypełniać rubrykę: „pochodzenie klasowe”, a słodycze (wyroby czekoladopodobne) i obuwie przydzielano na kartki. Być może książkom było wówczas łatwiej niż dziś, nie musiały wszak konkurować z armią innych rozrywek, możliwe więc, że właśnie dlatego stosunkowo szybko nauczył się czytać na jednym z tomów *„Tytusa, Romka i A’Tomka”*. Niedługo później przetrząsając biblioteczkę dziadka w poszukiwaniu książek o muszkieterach i rycerzach (bo takie lubił najbardziej) odkrył *„Eden”* Lema. Srebrna (albo biała) smukła rakieta z okładki tej powieści trafiła go prosto w serce. Choć nadal lubił opowieści o podróżnikach i awanturnikach rozmaitych czasów, jego wyobraźnią zawładnęła fantastyka. Nie ma więc nic dziwnego w tym, że pierwsze opowiadanie, jakie opublikował dzięki zajęciu trzeciego miejsca w konkursie literackim „Świata Młodych” (gazeta młodzieżowa, bardzo popularna m.in. ze względu na fakt zamieszczania na ostatniej stronie komiksów) było opowiadaniem fantastycznym.

Później publikował w pismach i portalach internetowych: „Science Fiction, Fantasy i Horror”, „Fantasy & Science Fiction” (edycja polska), „Nowa Fantastyka Wydanie Specjalne”, „Nowa Fantastyka”, „Czas

Fantastyki”, „Fahrenheit”, „Esensja”, „Creatio Fantastica”. Jego opowiadania znaleźć można w antologiach: *„Nowe Idzie”*, *„Science Fiction”*, *„Kanon Barbarzyńców”*, *„Tempus Fugit”*, ***„Rok po końcu świata”***. Obecnie najłatwiej znaleźć go na forum Drugi Obieg Fantastyki, gdzie pojawia się pod nickiem „agrafek” oraz na stronie gikz.pl, gdzie pisuje jako „bosman plama”.

Ciągle lubi czytać, choć obecnie książki rywalizują z grami video (przede wszystkim z cRPG) oraz filmami i serialami. Gdyby miał stworzyć listę swoich ulubionych autorów fantastyki z pewnością znaleźliby się na niej: Roger Zelazny, Dan Simmons, Neal Stephenson i Glen Cook. Oraz wielu innych, bo byłaby to długa lista.

Jego debiutancka powieść, „***Pokój światów***”, została nominowana do Nagrody im. Janusza A. Zajdla, a także zdobyła główną Nagrodę im. Jerzego Żuławskiego.

http://geniuscreations.pl/autorzy/pawel-majka/
https://madbooks.pl/majka-pawel
https://ebook.madbooks.pl/pawel-majka

Patronat medialny

Katalogujemy książki,
czasopisma i opowiadania
z gatunku fantasy, horror
oraz science fiction
wydane w Polsce.
Zbieramy oceny
czytelników,
udostępniamy
funkcjonalności
ułatwiające zarządzanie
zbiorami danych:
biblioteczki i tagi.
www.fantasta.pl
Fantasta
Twoje zasoby fantastyki

Cyberdziadek – Anna Nieznaj

– Możesz łaskawie przestać się szarpać? – rzucił David Turner, regulując ostrość w wizjerze. – Nie ma co robić takiej tragedii. Wiem, co mówię, też w końcu jestem cyborgiem. Jedna soczewka sztuczna, wszczep w uchu, o rozruszniku serca nie wspominając. OK, rozumiem, mózgu mi nikt nie podmieniał. Ale czy ty naprawdę jesteś aż tak przywiązany do swojego mózgu?

Pająk krzyżak nie odpowiedział, za to, dokonując cudów zręczności, wywinął się z obejmujących go stalowych kleszczy chwytaka i umknął w te pędy z pola widzenia. Wobec takiego bohaterstwa David zlitował się nad zwierzątkiem. Wstał z trudem z obrotowego stołka i odsunął wysięgnik z mikroskopem oraz manipulatorami, żeby móc uchylić osłonę. Pająk tylko na to czekał – przebierając w zawrotnym tempie odnóżami, pognał między walające się na podłodze graty.

– A idź w cholerę – pożegnał go David, niezadowolony z efektów dzisiejszej pracy, a równocześnie zbyt zmęczony, żeby zrobić cokolwiek więcej. – Nie chcesz być przełomem prywatnej technologii szpiegowskiej, to nie. Bez łaski.

Turner wyłączył system sterujący chwytakami, sprawdził ustawienia klimatyzacji chłodzącej komputery

i podkręcił ogrzewanie w terrarium, w którym kłębiło się kilkudziesięciu kolegów niedoszłego bionicznego szpiega. Potem z ulgą zatrzasnął za sobą drzwi pokoju służącego za laboratorium.

Mieszkał w nieco zapuszczonej zabytkowej kamienicy z połowy dwudziestego wieku. Trzy ogromne pokoje rekompensowały mu brak windy i szemrane sąsiedztwo. Lokalizacja też była wyśmienita – między malowniczym starym miastem a blichtrem przeglądających się w Odrze kilkudziesięciopiętrowych biurowców nowego City.

Niestety dzielnica, niegdyś porządna, teraz nieco podupadła, nie nadążając za resztą miasta.

Jednak David miał duże doświadczenie w mieszkaniu w podobnych miejscach po tej i po tamtej stronie Atlantyku. Na marudzenie co porządniejszych sąsiadów odpowiadał, że dopóki policyjne patrole zjawiają się tu na piechotę, a nie opancerzonymi terenówkami, to naprawdę jeszcze nie jest to zły adres.

Turner, z wyżyn swoich blisko osiemdziesięciu bogatych w doświadczenia lat, miał dość pobłażliwy stosunek do miejscowej żulii.

Kolejka miejska mknęła nad sznurem samochodów na Moście Zwierzynieckim. Zatrzymała się na przystanku naprzeciwko Iglicy; skrzypnęły zaczepy i podwieszony pod stalową szyną wagonik obniżył się na poziom chodnika. Po chwili znów powędrował w górę, by ruszyć dalej w stronę Bartoszowic.

Turner wysiadł prawie pod swoją kamienicą. Powitał go nagły podmuch wiatru, który poderwał z ziemi kurz i drobne śmieci Rosnące wzdłuż ulicy krzewy, obsypane białym kwieciem i słusznie zwane przez miejscowych „panna młoda”, przygięły się pod kolejnym porywem wichury. Niebo pociemniało – zbliżała się pierwsza majowa burza.

David szedł jak młody człowiek, pewnym, kołyszącym się krokiem, niesiony przez układ wspomagający pracę łydek i kolan ukryty pod nogawkami szerokich spodni. Mężczyzna był wysoki i bardzo szczupły, czerwona bluza z kapturem wisiała na nim jak na sklepowym wieszaku. Resztki jego włosów, teraz ukrytych pod bejsbolówką, były już zupełnie siwe.

Gdzieś od Oleśnicy zamruczał grom, ale Turner zahaczył jeszcze o mały sklepik spożywczy, pod którym stała grupka jego rówieśników.

– *Hi, Dave!* – zawołał jeden z nich z charakterystycznym uśmieszkiem osoby próbującej porozumieć się w języku, którego nie zna. To pokolenie jeszcze uczyło się angielskiego tylko w szkole. – *Beer?*

Wbrew pozorom nie była to propozycja, tylko prośba.

– Dziś nie mam pieniędzy – skłamał Amerykanin z przepraszającą miną, też po angielsku. Po polsku znał tylko pojedyncze zwroty, a i tych starał się nie używać, bo sądząc po reakcji rozmówców, wychodziło mu to raczej pociesznie.

Na szczęście młoda ekspedientka, jak większość osób, z którymi miał do czynienia, mówiła po angielsku płynnie, z tutejszym akcentem drugiego pokolenia dwujęzycznych Polaków.

– Nie dawaj się im tak naciągać – rzuciła, przesuwając paczkę mrożonych frytek nad czytnikiem.

– Z ludźmi trzeba żyć – wyjaśnił pogodnie. Dziewczyna tylko fuknęła i poprawiła utlenione na platynowy blond włosy. Nie pasowały do jej typu urody, ale równie modny, podłapany od hinduskich sąsiadek kolczyk w nosie nie pasował jeszcze bardziej.

David na odchodnym pozdrowił jeszcze podsklepowych dziadków ubranych w sportowe buty i ciuchy, ale nieporównanie bardziej steranych życiem niż on.

Błysnęło, a grzmot przetoczył się po niebie. Mężczyzna wyjmował już zza bluzy smycz z kartą do domofonu, kiedy jadący za nim samochód zatrąbił przenikliwie.

– Turner! – rozległo się wołanie, a David aż się skrzywił, korzystając z tego, że tamci jeszcze nie widzą jego twarzy.

– Nie musisz tak hałasować – powiedział z lekką kpiną, odwracając się i zaplatając ręce na piersi.

Przy krawężniku stał odpicowany na błysk samochód ze składanym dachem. Na zderzaku miał naklejkę: „Ubezpieczone przez mafię. Stuknij nas, a my stukniemy ciebie.”

– Trzeba było słuchać, jak wołają. – Siedzący na fotelu pasażera Chudy wyrzucił na chodnik dymiący jeszcze niedopałek.

Nie taki on już Chudy – skwitował w myślach David. *Za dużo marihuany i słodyczy, za mało ruchu na świeżym powietrzu.* Chudy nie miał wrodzonych predyspozycji do bycia szerokokarkim ochroniarzem, a ewidentnie bardzo by tego chciał.

– Miałem hip-hop na systemie wbudowanym – wzruszył ramionami Turner.

Już od dawna nie słuchał muzyki przez implant, kiedy wychodził z domu, bo zaczęło mu to utrudniać orientację. Ale ci chłopcy nie musieli o tym wiedzieć.

– Skończyłeś robotę? – syknął nieprzyjemnie kierowca.

On zawsze cedził przez zęby, syczał, ewentualnie czasem warczał, pielęgnując swój w

szczegółach dopracowany wizerunek. Skórzana kurtka, czarne dredy do ramion, od wielkiego dzwonu gotycki makijaż, a do tego kiczowata do bólu diaboliczna ksywka – Samael. Właściciel pseudomafijnego kabrioletu, szef Chudego, zleceniodawca Davida.

– Jeszcze nie – odpowiedział Turner, dobitnie i pewnie. – Nie lubię, jak się mnie popędza, już ci mówiłem.

– To po prostu zrób, co masz zrobić, zamiast się zabawiać w pedofila.

Chudy parsknął, David postukał się wymownie w czoło. Wynajął stancję japońskiej studentce i radochę miało z tego pół dzielnicy. Ale poziom dowcipów jakoś go nie bawił. Toteż, kiedy Samael sięgnął do kieszeni po aerozol, Turner w rewanżu zainteresował się niewinnie:

– Kropelki do nosa? Masz katar?

Chudy wolniej łapał ironię, ale Samael się wkurzył. Wbił spojrzenie w Amerykanina. Oczy miał jednolicie czarne – tatuaż na białkach i tęczówki, może naturalne, choć raczej zmienione kolorem szkieł kontaktowych. David nie był w stanie z tej odległości ocenić, jak bardzo rozszerzone są źrenice *wanna be* demona.

– Doradzałbym więcej ostrożności w słowach, Turner…

Wiatr szarpnął jeszcze mocniej bzem rosnącym przy drzwiach kamienicy, sypnął na rozmawiających usychającymi bladofioletowymi płatkami. Deszcz lunął nagle, zalewając jasną tapicerkę kabrioletu.

Nabuzowany narkotykiem Samael zaklął, rąbnął w przycisk zamykający dach i ruszył z taką fantazją, że cudem tylko nie wpakował samochodu w najbliższą latarnię.

Czego mu zresztą David z całego serca życzył.

* * *

Ayame Sugo zamieszkała u Davida, kiedy ten zdał sobie sprawę, że nie ma już zdrowia i cierpliwości do użerania się z lokalnymi bandziorkami. Oczywiście trudno porównywać kwoty, które mógł uzyskać z wynajęcia pokoju, z tymi, jakie – nieregularnie, ale jednak – dostawał w różnych formach od Samaela. Jednak o ile mniej wymagało to nerwów, a przede wszystkim zaangażowania. Turner uznał, że trzeba spojrzeć prawdzie w oczy: jeżeli będzie się nadal rozdrabniał, a to na zdalne rozpracowywanie zamka i alarmu w czyjejś wypasionej beemce, a to na zdejmowanie

zabezpieczeń z kradzionych telefonów z danymi biznesowymi, a to na takie poważniejsze, ale znacznie bardziej pracochłonne zlecenia jak ostatnie, to po prostu nie starczy mu już sił na pająki.

Na jego ukochany, pieszczony latami projekt. „Najbardziej efektowne złodziejstwo Davida T., obywatela amerykańskiego”, jak lubił je określać. O lekki dreszcz przyprawiała go świadomość, że za kradzież tego patentu korporacyjni prawnicy mimo karty stałego pobytu mogą go wsadzić do samolotu do USA, razem z deportowanymi nielegalnymi imigrantami.

Oczywiście wolałby nie znaleźć się nagle, u schyłku życia, w hali przylotów, samotny, z jedną tylko walizeczką i kompletnym brakiem pomysłów na przetrwanie, ale też i Stany nie były miejscem, do którego chciało się wracać. Mimo upływu tylu już lat od wielkiego kryzysu, zażegnania pandemii i mało chwalebnego wycofania wojsk z południowego kontynentu.

Kiedy trzydzieści lat temu David pakował się na wyjazd do Unii, uciekał przed całym splotem okoliczności, ale i realnym zagrożeniem, które ściągnął sobie na głowę, wywijając nawet większy numer niż teraz montowane pająki – no i właśnie, jak to on, wyjechał akurat w porę, by nadal mieć papiery czyste jak łza.

Ale tym razem szło o coś więcej. Bioniczny system szpiegowski miał stanowić jego polisę emerytalną. Gwarancję spokojnej starości.

Miał już nawet kupca, jednego z tych niewidzialnych, znanych tylko za pośrednictwem cyfrowej komunikacji, ukrytego za rzędem anglojęzycznych, gładkich słów. Turner próbował czasem bawić się w policyjnego psychologa i na podstawie sposobu formułowania wypowiedzi określić chociażby kraj pochodzenia kontrahenta. Snuł egzotyczne wizje, sięgające hen, gdzieś na wschód czy południe.

Jednak Rosjanie raz, że mieli swoich ludzi, dwa – Chiny pod bokiem. Zdarzyło się już Davidowi obudzić w środku nocy z niemiłą myślą, że być może przyszłym treserem szpiegowskich pajączków ma zostać na przykład terrorysta z północnoafrykańskiego Kalifatu.

No cóż, ryzyko jest zawsze. Kiedy dziewczyna wychodzi z klubu z facetem, też musi się liczyć z zagrożeniem, że ten obedrze ją ze skóry i zje na kolację. Lecz, statystycznie rzecz ujmując, nie zdarza się to zbyt często, prawda?

Po głębszej analizie różnych poszlak Turner doszedł do wniosku, że cybernetyczne zwierzątka zamówił po prostu ktoś ze Środkowej Europy. Miły, spokojny, pielęgnowany tu z pietyzmem handel lokalny. Precz z globalizacją.

Dla swojej emerytury, rojącej się w terrarium i przebierającej ośmioma odnóżami, David był skłonny nawet zamieszkać z kimś obcym. Zgodnie z zasadą, że nie łamie prawa, kiedy nie ma po temu konkretnego powodu, ogłoszenie wywiesił na oficjalnej uniwersyteckiej stronie.

Nie spodziewał się przesadnego odzewu, bo letni semestr zaczął się już jakiś czas temu, ale prawie natychmiast dostał wiadomość od panny Sugo. Awatar

przedstawiał młodziutką Japoneczkę z filmowym makijażem, prowadzącymi do mózgu wtyczkami rodem prosto z komiksów retro oraz zielono-niebieskim kanarkiem siedzącym na dłoni.

Kilka maili i dwa dni później Ayame wprowadziła się do Davida, jak łatwo się domyślić, bez wtyczek i kabli w głowie, bez makijażu będącego również dziełem programu graficznego, za to z – i tu już Turner się zdziwił – z zielono-niebieskim kanarkiem. Genetycznie zmodyfikowanym i zamówionym specjalnie dla niej przez mamę w jednym z laboratoriów prefektury Chiba. Kanarek był psychopatą i próbował atakować każdy zbliżający się do niego obiekt. Poza Ayame oczywiście.

Dziewczyna pisała, że jest w połowie Amerykanką. Mimo to David trochę się martwił, że dla wychowanej częściowo w Japonii, a częściowo w San Francisco Ayame, mieszkający od tylu lat w Unii nowojorczyk może być równie obcy jak cała reszta Wrocławia.

Nawet jeśli tak było, to i tak dobrze się dogadywali. Turner powoli oswajał się z obecnością drugiej osoby w domu. Oczywiście miało to swoje kiepskie strony, ale w połączeniu z oszczędnościowym reżimem pozwoliło mu przeznaczyć dużo więcej czasu na pająki. Wymagająca ogromnego skupienia umysłowego i precyzji ruchów praca szybko go męczyła, a wzrok znów mu się ostatnio pogorszył, więc David bardzo chciał już wyprowadzić swoje bioniczne krzyżaki z fazy testów do bezpiecznej, sprzedawalnej wersji *release*.

* * *

Do kiepskich stron pojawienia się Ayame należał chłopiec o niewymawialnym dla obojga gospodarzy imieniu Krzysiek. Krzysztof. Słowem – Chris. Tak zaczął go nazywać David i od niego z ulgą przejęła to Ayame, która wcześniej starała się z uprzejmości mówić do chłopaka tak, jak jej się przedstawił.

Panna Sugo studiowała matematykę, a Krzysiek był jej kolegą z roku. Odwiedzał Ayame na stancji i chyba tylko tym faktem zasłużył na odruchową niechęć Turnera.

Teraz David, wchodząc do mieszkania, minął oboje młodych, którzy stali na klatce schodowej, patrząc na ulewę za oknem. Zapewne Ayame zaprosiłaby kolegę do środka, ale na widok wracającego gospodarza nagle się rozmyśliła. Jak przykro…

Turner uśmiechnął się pod nosem.

Panna Sugo była w porządku. Starała się jak najmniej uprzykrzać mu życie, a on ze swojej strony też chyba nie był jakimś karykaturalnym posępnym starcem gnębiącym biedne dziewczę. Po prostu nie przepadał za tłumami przelewającymi się po jego prywatnym terytorium. Od zawsze wolał nawet z własnymi znajomymi spotykać się na mieście. A dwoje studentów zdecydowanie podpadało pod jego definicję tłumu.

Turner usiadł z ulgą na łóżku, podwinął szerokie dżinsy i zaczął odpinać konstrukcję usprawniającą chodzenie. Za chwilę będzie sunął po domu, powolutku, noga za nogą, szur, szur skarpetami o panele, ale nie chciał się od

urządzenia całkowicie uzależnić. Niech te jego zwiotczałe, białe łydki choć trochę jeszcze same popracują.

Włączył podgląd obrazu z kamerki ukrytej we framudze drzwi wejściowych. Kiedy się tu sprowadzał, lata temu, nie chciał robić zbyt wiele zamieszania, a zwłaszcza sugerować sąsiadom, że od tej pory zawartość mieszkania może stać się dla kogokolwiek pokusą. Wystarczyło, że nad wiecznie zasłoniętym roletą oknem laboratorium zawisło pudło z mielącym powietrze wiatrakiem od klimatyzacji. Drzwi pozostały stare, drewniane, pomalowane na niesprecyzowany bury odcień i miejscami odrapane.

Te nowe – antywłamaniowe i naszpikowane elektroniką – kazał zamontować bezpośrednio za nimi, a kolejne, już mniej masywne, na końcu korytarza, w wejściu do laboratorium. No i kamera na klatce. David nie był paranoikiem, po prostu miał już swoje sprawdzone sposoby na życie.

Deszcz za oknem powoli słabł, a młodzi na schodach chichotali. Nie umknęło uwadze Davida, że chłopak starał się przy tym zmniejszać dzielący ich dystans, jednak Ayame, wciąż nienagannie uprzejma i wesoła, zawsze w kluczowym momencie robiła krok w tył.

– Mogę przyjść do ciebie jutro rano? – spytał w pewnym momencie Krzysiek.

– Lepiej nie. Spotkajmy się w bibliotece, jakoś po dziesiątej.

– A co, ten twój cały cyberdziadek nie pozwala ci przyjmować gości?

Ayame coś odpowiedziała, a David prychnął. Nieopatrznie dał się smarkaczowi wciągnąć parę dni temu w rozmowę na tematy mniej lub bardziej zawodowe, i oto na co mu przyszło – cyberdziadek. Pora umierać. Korzystając z braku świadków, Turner zarechotał pod nosem i szur, szur, poszurał do laboratorium zobaczyć, jak się czują pająki.

Nawet jeżeli czuły się źle, to nie raczyły się z tym ujawnić. Kiedy zatrzaskiwał za sobą drzwi, do mieszkania wróciła Ayame. Widocznie pogoda poprawiła się na tyle, że sumienie pozwoliło jej wypuścić Krzyśka na ulicę.

– Jak randka? – bezczelnie powitał ją David.

– Eee tam, żadna randka – machnęła ręką, zupełnie niespeszona, i to właśnie przekonało Turnera o prawdziwości jej słów. – Między nami nie ma chemii, to tylko kolega. Uczymy się razem.

Bardziej niż rozmową o swoim życiu osobistym, wydawała się zainteresowana drzwiami, przed którymi stał Turner. Niby były oklejone udającym drewno tworzywem, ale jednak odstawały od całości wyposażenia mieszkania.

– Słuchaj, co tam w zasadzie jest? Sejf? Serwerownia z trefnymi danymi? – Jeśli chodzi o bezczelność, to i pannie Sugo jej nie brakowało. Turner wręcz miał wrażenie, że ta cecha pod jego złym wpływem lśni ostatnio pełnią blasku.

– Tam, moja droga, jest potwór.

– Napraawdę? – Skośne oczy dziewczyny zabłysły. Nie była chyba pewna, czy ma się śmiać, czy uwierzyć.

– Oczywiście, że naprawdę. W naszych, to znaczy starych europejskich bajkach, zawsze są jakieś drzwi, których nie wolno otwierać. Ciekawskie dzieci tam zaglądają, a wtedy potwór jak nie wypadnie i UAAAAAAA!!!

Ayame aż podskoczyła, przez mgnienie oka autentycznie wystraszona, a potem tylko prysnęła do swojego pokoju, kręcąc głową i śmiejąc się pod nosem. A David w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku poszedł ratować frytki, rozmrożone i nadające się już tylko do natychmiastowego wstawienia do piekarnika.

* * *

Burza nie przyniosła załamania pogody. Przez następne dni było tylko coraz cieplej, parny upał ciążył już w stronę lata. Turner szedł od kolejki nieśpiesznie, zmęczony duchotą. Miał przynajmniej tyle rozumu, żeby ubrać się odpowiednio do temperatury – w koszulkę z krótkimi rękawami, bez bluzy, którą musiałby teraz trzymać w ręku. Wystarczyło, że na ramieniu niósł z trudem dopięty plecak. Nie ważył w sumie tak dużo, ale spore tekturowe pudełko z elektronicznymi goglami trudno było w nim upchnąć ze względu na kanciasty kształt.

Samaelowi marzyły się wirtualne raje, wspomagane miksturami sprzedawanymi przez jego innych znajomków, tych, co to się interesowali raczej farmaceutyką niż komputerami. Sęk w tym, że jedno z drugim nie zawsze dobrze współpracowało, a efekty specjalne z gier potrafiły nafaszerowanemu rozśmieszaczami delikwentowi tylko

ostatecznie zaszkodzić. Albo odwrotnie – nie nadążały za jego… bujną wyobraźnią i ostrym jak brzytwa umysłem.

Słowem – potrzebne były modyfikacje i nakładki, szyte na miarę poprawki w oprogramowaniu, spowalniacze, przyspieszacze, odrobina cenzury i kilka fajerwerków dla klientów specjalnych.

Masa roboty, którą David, co tu kryć, odkładał na święty nigdy, z naiwną nadzieją, że może się Samaelowi odmieni. Najwyraźniej jednak nie pozostawało nic innego, jak po prostu do tego usiąść.

Pocieszające było tylko mocne postanowienie, że już na nic więcej nie da się namówić. Tak przynajmniej sobie powtarzał, choć z drugiej strony miał świadomość, że to nie pierwszy raz, kiedy postanawia rzucić robotę. Kiedyś jednak w końcu trzeba.

David wyprostował się nieznacznie, widząc parę nadciągającą z naprzeciwka zalaną słońcem uliczką. Sąsiadka o prezencji statecznej matrony pod rękę z kilkunastoletnim wnukiem.

Amerykanin pozdrowił damę i mrugnął do niej, odprowadzany zniesmaczonym spojrzeniem dzieciaka i z pozoru całkowicie zignorowany przez elegancką sąsiadkę. Mimo to uśmiechnął się tak, że zaczął nagle przypominać bardzo chudego, ale nad wyraz zadowolonego kocura. Łączyły go z tą panią przyjemne wspomnienia z czasów, gdy szarmancki młodzieniec bawił się jeszcze w piaskownicy, a babcię odwiedzał z rzadka. Więc ta miała sporo wolnego czasu. Najwyraźniej jednak dziwnym trafem

nie opowiadała rodzinie, jak go spędza, a jej obecne, pobożne i dostojne wcielenie bawiło Turnera nieustannie.

Odmłodzony o ponad dekadę, zapomniawszy o zalegającej nad miastem spiekocie, machnął kartą przed domofonem i wszedł na cienistą i chłodną klatkę schodową.

* * *

Czekali na niego na podeście między pierwszym a drugim piętrem. Kilka stopni od podwójnych zamaskowanych drzwi i bezpiecznego mieszkania.

– Włóczysz się po mieście, zamiast pracować, niełądnie… – Samael był nakręcony chyba jeszcze bardziej niż w czasie ich poprzedniego spotkania. Wyglądał, jakby nagromadzona w nim energia mogła w każdej chwili eksplodować, każąc mu na przykład biegać po ścianach. Mówił w normalnym tempie, ale widać było, że wymaga to od niego sporego wysiłku i panowania nad sobą.

– Przecież pracuję – wzruszył ramionami David z wystudiowanym, lekko ironicznym wyrazem twarzy. Ale wcale nie był zadowolony, że ich widzi – nie lubił mieć chłopców z miasta na swoim terenie. Do domu nie wpuszczał ich nigdy, teraz najwyraźniej ktoś otworzył gówniarzom dolne drzwi. – Poszedłem kupić sprzęt. – Zdjął z ramienia plecak.

– Pokaż.

Samael był ciekawy, a Chudemu obejrzenie gogli niewiele mogło powiedzieć, ale też się gapił, kiedy Turner wyciągał pudełko. Amerykanin zrobił krok wyżej po

schodach. Twarze jego i niskiego Samaela znalazły się na tej samej wysokości.

Jeżeli nawet jakiś błysk w oczach gangstera powinien Davida ostrzec, to ten go nie zauważył.

Oddał zleceniodawcy delikatne gogle, kupione przecież za zaliczkę. Trzymając już karton, Samael skinął głową w stronę Chudego.

– Dopiero teraz byłeś na zakupach, Turner? – powiedział przy tym. – Teraz zabierasz się do roboty? Nie za późno trochę?

David, popchnięty przez młodszego z bandziorów, poleciał w dół na podest, aż pod ścianę. Zbyt przerażony, by się przejmować bólem, próbował sięgnąć do kieszeni spodni po kastet, ale zyskał tyle, że Chudy wykręcił mu nadgarstek.

– Co robisz, debilu?! – warknął Samael. – Chcesz programiście rękę złamać?! Z drogi!

Odstawił na schody pudełko z goglami i zaczął schodzić po stopniach, podświetlony od tyłu przez padające z okna promienie słońca. Mroczny demon, zwinny i silny, buzujący chęcią zniszczenia, z czymś nieludzkim w pozbawionych białek, jednolicie czarnych oczach.

Takim go widział David przez tę chwilę, zanim Samael znalazł się na podeście i – zaskakująco jak na swój stan – spokojnie wymierzył Turnerowi kilka kopnięć podkutymi butami. Raz trafił w szkielet mechanizmu wspomagającego chodzenie, ale na szczęście nie uczynił urządzeniu żadnej szkody. A potem napastnicy odeszli, bez słowa, zostawiając

gogle tam, gdzie stały, a Davida tam, gdzie leżał, znacznie bardziej zszokowanego, niż chciałby się przed sobą przyznać. Nie był to pierwszy raz, kiedy go pobito, a nawet nie pierwszy, gdy nie miał najmniejszych szans na obronę, ale raz, że od poprzednich takich wydarzeń minęło wiele lat, a dwa, że obecna bezsilność wydała się Turnerowi znacznie głębsza. I ostateczna.

Wiedziony instynktem, wspiął się po zakurzonych stopniach, podpierając się rękami. Zgarnął pod pachę cenne pudełko, otworzył kluczem drewniane drzwi, odblokował kartą oraz hasłem metalowe i dopiero kiedy znalazł się za nimi, tym razem już naprawdę bezpieczny, osunął się pod ścianę.

Serce Davida tłukło się jak oszalałe, a potem dla odmiany zrobiło sobie na tyle długą przerwę w pracy, żeby obudził się rozrusznik.

Same atrakcje: starość nie radość, śmierć nie wesele.

Amerykanin odzyskiwał powoli kolory na twarzy, równowagę wewnętrzną i zdystansowany stosunek do rzeczywistości, ale nadal ani myślał wstawać z dywanika pod drzwiami. Wygrzebał z tylnej kieszeni spodni blister z tabletkami i łyknął dwie.

Ten świetny moment wybrała sobie na powrót do domu panna Sugo. Pierwszą myślą Turnera było, że jednak incydent zaszkodził mu znacznie poważniej niż przypuszczał, bowiem ulega właśnie halucynacjom. Ayame zamiast związanych grzecznie w kucyk kruczoczarnych włosów miała na głowie… coś. Postrzępione,

niesymetryczne, a co najważniejsze, w psychodelicznym odcieniu neonowej zieleni, przysiągłby, że świecącej w ciemnościach.

Najświętsza Mario Panno… – irlandzkie geny dalekich przodków Davida postanowiły mu się przypomnieć, podpowiadając odpowiednią w takich przypadkach instancję.

Za to Japonka przeraziła się jak najbardziej serio, widząc staruszka siedzącego na podłodze, opartego plecami o ścianę.

– Panie Turner! – zawołała, zapominając, że od początku są na „ty”. – Co się stało, źle się pan czuje? Może zadzwonię na pogotowie?

– Słuchaj, dziunia. – David czuł się zdecydowanie źle, a wtedy charakter mu się psuł. – Zmykaj stąd, ale już. Nigdzie nie dzwoń i nie wtykaj nosa w nie swoje sprawy.

Ayame zawahała się jeszcze przez mgnienie oka, ale widząc wyraz twarzy gospodarza, wycofała się do swojego pokoju. Amerykanin tymczasem powoli się pozbierał i ruszył do łazienki, nie zdejmując z nóg węglowego rusztowania, ale w tempie raczej szurającym. Czubkami palców podtrzymywał się ściany.

W nieskazitelnie białej, obszernej łazience powitał go horror. Rozrzucone w pośpiechu ręczniki, tubki, miseczki i pędzle do rozmieszania farby, jakiś grzebień, blat nad pralką, kafelki – wszystko było pokryte zaciekami fluorescencyjnej posoki, zajeżdżającej nieprzyjemnym aptecznym zapaszkiem mimo otwartego okna.

– Panno Sugo! – krzyknął lodowato David.

Ayame w panice aż zasłoniła rękami twarz, kiedy tylko zobaczyła Turnera, który nawet nie próbował przekroczyć progu łazienki.

– Przepraszam! Śpieszyłam się na kolokwium, miałam sprzątnąć zaraz po powrocie, ale zapomniałam, bo tak się przestraszyłam, że pan…

David nawet jej nie słuchał. Czując, jak robi mu się coraz bardziej słabo i mdło, powlókł się do sypialni, zwinął na łóżku i zasnął.

* * *

Obudził się późnym wieczorem, ale jeszcze nie było całkiem ciemno. Uwielbiał letnie noce na tej szerokości geograficznej, dające przedsmak tych naprawdę białych, z Helsinek czy Petersburga, których nigdy nie widział, lecz zawsze o nich marzył.

Było już chłodniej, przyjemnie. Poobijany i ponury, osłabiony przez przeżyty stres, David czuł się jednak znacznie lepiej i do żadnego lekarza się nie wybierał. Zrobienie mu znaczącej krzywdy nie leżało w interesie Samaela.

Turner wziął prysznic w odczyszczonej na błysk łazience, a potem zrobił sobie herbatę i tosty.

Na kawę było za późno, a solidniejszej kolacji nadal nie byłby w stanie zjeść. Z kubkiem w ręku zapukał do Ayame. Nie chciał, żeby się bała – ani jego, ani o niego.

Dziewczyna siedziała na łóżku, obłożona foliowymi kartkami, na których różnokolorowymi flamastrami zapisała wzory i twierdzenia. Większość alfabetem łacińskim, ale czasem migały też japońskie ideogramy. David przypomniał sobie, jak kiedyś przyszła do niej koleżanka z kraju i rozmawiały w swoim języku, wtrącając tylko matematyczne terminy po angielsku, a czasem nawet polsku, co dawało interesujący efekt.

– Niedługo sesja – wyjaśniła teraz z obłędem w oku, a psychopatyczny kanarek zatrzepotał wściekle skrzydłami, witając intruza zza prętów klatki.

– Wyrazy współczucia – rzucił Turner z szerokim uśmiechem. Jak już musiał mieć pod dachem farbującą włosy pannę, to przynajmniej tyle dobrego, że była ścisłowcem. David skończył politechnikę i zawsze twierdził, że on to w młodości umiał całki liczyć, w odróżnieniu od matematyków, którzy ograniczali się do dowiedzenia, że ich wyliczenie jest możliwe, ale lepszy teoretyk niż na przykład filolożka czy artystka.

Zwłaszcza artystka malarka – pomyślał, wspominając stan łazienki.

Pił herbatę, przeglądał komiks na czytniku studentki, ona próbowała ogarnąć notatki i ogólnie atmosfera była miła, swobodna i rodzinna.

Nagle Ayame pisnęła, strasząc tym nadwrażliwego dziś Davida.

– To jest… To jest… – szukała odpowiedniego słowa, wskazując na dużego krzyżaka, który zjechał na srebrzystej

nitce z sufitu dokładnie przed jej nos.

– Pająk, dziewczyno. Takie zwierzę, sprytne, jak widać. Ty tu mieszkasz i on tu mieszka. Jakiś problem?

* * *

Przez następne dni David nadal dochodził do siebie. Było mu wstyd, ale poprosił Ayame, żeby parę razy zrobiła dla niego po drodze zakupy. Niby mógł zamówić je z dostawą do domu, ale perspektywa otwierania nieznajomym drzwi nie napawała go entuzjazmem.

Wreszcie ochłonął – i fizycznie, i psychicznie. Połaził trochę po dzielnicy, po to tylko, żeby udowodnić sobie, że nie stanowi to dla niego żadnego problemu, i zaszył się z powrotem w domu.

Żarty się skończyły, projekt dla Samaela trzeba było po prostu zamknąć. Na wczoraj.

Turner siedział po nocach, bo zawsze mu się lepiej tak pracowało, a do tego mógł wtedy mniej czasu spędzać w klimatyzowanym laboratorium.

– A żeby cię tak…

Odłożył gogle. Debugger znowu raczył zawiesić nie tylko siebie, ale i cały system. Czekając na efekt twardego resetu, David podszedł do uchylonego okna. Ciepłe powietrze niosło zapach skoszonej trawy i czegoś, co tam akurat właśnie kwitło. A kwitło chyba wszystko.

Z głębi pustej ulicy, oświetlonej chłodnym blaskiem pracujących na baterie słoneczne latarni, rozległ się

kobiecy, rozkosznie beztroski śmiech. David aż spojrzał, która to wraca taka uchachana.

Ku swojemu zaskoczeniu stwierdził, że… Ayame. Jej nastroszone włosy rzeczywiście lekko fosforyzowały. Szła, paplając sama do siebie, czyli do telefonu.

– No, już prawie jestem – dobiegło do uszu Turnera, który, korzystając z ogólnej ciszy, podkręcił czułość swojego aparatu słuchowego prawie na maksimum. – Całkowity spokój, żywej duszy nie ma. Chris, nikt mnie tu nie zabije, naprawdę…

David z niechęcią musiał policzyć Krzyśkowi na plus troskę o bezpieczeństwo włóczącej się po ciemku Ayame. Ta na chwilę zamilkła, a potem parsknęła śmiechem.

– Nie mów tak na niego! – machnęła ręką w nieco przesadnym geście i znów zachichotała w sposób, który kazał Turnerowi spojrzeć, czy aby się nie zatacza. Szła jednak prosto. W miarę. – A opowiadałam ci o tych drzwiach? No właśnie, to było niezłe: „Potwór, UAAAAA!”.

Aż zatrzymała się na chwilę, demonstrując gestami potworność potwora niewidzącemu jej rozmówcy. David wzniósł oczy do nieba.

– Nie, nie mam pojęcia, co tam jest. Nie chce powiedzieć. – Ayame stała już pod wejściem do klatki tak, że David musiał uważać, żeby go nie zobaczyła, gdyby nagle podniosła wzrok. – Słuchaj, Chris, jeżeli ktoś instaluje sobie między pokojami drzwi zamykane na kartę, to widać ma powód, ja go wypytywać nie będę. Sam z nim

rozmawiaj… Aaaa, to już nie moja wina, że za tobą nie przepada.

I najwyraźniej mam rację – skrzywił się David, po czym spojrzał na monitor, razem z oddalonym o kilka czy kilkanaście kilometrów Krzyśkiem pilnując, czy Japonka bezpiecznie pokona dwa piętra drewnianych schodów. Kiedy pojawiła się w polu widzenia kamery, wyszedł do przedpokoju.

Ayame właśnie zamykała za sobą drzwi, zamaszystymi ruchami chowając kartę do torby w kwiaty i próbując tak zdjąć buty, żeby się przy tym nie przewrócić.

– Jestem w domu. To cześć, Chris, buźka, dzięki…

Rozłączyła się.

– Buźka? – David rozpromienił się w jednym ze swoich wredniejszych uśmieszków. – No proszę, a mówiłaś, że między wami nie ma chemii?

– Bo nie ma – stwierdziła stanowczo. – Jest tylko analiza zespolona i równania różniczkowe. Cząstkowe – uściśliła, unosząc palec wskazujący.

Minęła Turnera i tanecznym krokiem powędrowała do siebie. Nie poczuł od niej alkoholu.

I to zmartwiło go najbardziej.

* * *

David stał oparty o balustradę Mostu Piaskowego i patrzył na płynącą pod jego stopami Odrę. Za sobą miał wędrówkę wąskimi uliczkami centrum, kawiarniane ogródki, wystawy antykwariatów pełne pożółkłych,

zakurzonych ksiąg oraz chłodny hol biblioteki, niby cichy, ale pulsujący pośpiechem i emocjami studentów. Trwała sesja. Biblioteczne serwery mieliły dane, zawsze wolniej, niżby należało, czytniki pożerały prąd z baterii w nieprzewidzianym tempie, wybuchały dzikie afery, gdy odkrywano, że ktoś zhakował sobie legitymację, żeby uzyskać dostęp do zasobów przeznaczonych tylko dla pracowników – ogólnie chaos sięgał zenitu.

Turner tę właśnie porę roku lubił najbardziej. W ogólnym obłędzie nikt nie zwracał uwagi ani na niego, ani na dane, które ściągał. Nawet wiek nie grał roli – dopóki nie domagał się niczego od personelu, nikt nie zawracał sobie głowy dopytywaniem, czy siedzący spokojnie w kącie nad kawą i laptopem starszy pan jest profesorem, studentem czy osobą z ulicy zalogowaną na publicznym koncie. A potrzebne mu do pracy dane, których bezpieczniej było nie ściągać z domu, tu ginęły w informacyjnym szumie.

Było już popołudnie, na szczęście pochmurne, przynoszące ulgę po kilku tygodniach upału.

David uniósł wzrok na wznoszący się za niskimi budynkami centrum błękitny drapacz chmur w kształcie anielskich skrzydeł i dalej, na panoramę znacznie wyższych budynków nowej części miasta. A potem znów spojrzał na to, co miał prawie w zasięgu ręki. Średniowieczne mury, katedralne wieże, mosty, mostki i kładki między wyspami. Tysiącletnie miasto na wodzie, szaleństwo.

David uśmiechnął się i miał właśnie ruszyć na bulwar, kiedy kątem oka zarejestrował coś, co sprawiło, że cały się spiął. Charakterystyczna para – dwóch kolesi, jeden na czarno, z długimi włosami, a drugi wyższy, w czapce z daszkiem i sportowej kurtce. Siedzieli sobie spokojnie przy bulwarze na Wyspie Piasek, jak turyści.

Oczywiście byli to Samael i Chudy. Owładnięci najwyraźniej nagłą potrzebą podziwiania widoków. Jakoś to Davidowi do nich nie pasowało. Nie miał jednak zamiaru bawić się w szpiega ani tym bardziej wdawać z gangsterami w rozmowę. Właśnie odwracał się, żeby możliwie szybko zniknąć w tłumie na Grodzkiej, kiedy zauważył, że na ławce koło Samaela siada grzecznie przystrzyżony blondynek.

Turner zamarł i zaklął w myślach. Nawet z tej odległości doskonale go poznawał. Studencik z porządnego domu, dobrze ułożony i elegancki. Krzysiek zwany Chrisem, spragniony korepetycji z równań cząstkowych, troskliwy opiekun naćpanych koleżanek. A przynajmniej jednej koleżanki – którą chyba tak bardzo chciał odprowadzać do domu i pobierać nauki w jej panieńskim pokoiku, że aż musiała go straszyć cyberdziadkiem i zamkniętym za pancernymi grodziami tajemniczym potworem.

A żeby to tak szlag jasny trafił…

Krzysiek posiedział na ławce przez chwilę, na tyle długą, żeby Chudy zdążył dokończyć papierosa, a ukryty za ekranem ogłoszeniowym David zdecydować, że jest jednak bardziej wściekły niż przestraszony. Samael w nerwowym

tiku kołysał kolanem, nienawykły do pozostawania w bezruchu.

Wreszcie „turysta” Krzysiek wstał i odszedł nieśpiesznie w stronę Mostu Tumskiego, zabierając ze sobą futerał na aparat fotograficzny, który – to akurat David pamiętał bardzo dokładnie – leżał na ławce już wcześniej, przed przyjściem studencika. I który raczej nie zawierał aparatu.

Turner przypomniał sobie rozchichraną Ayame i rąbnął pięścią w balustradę, aż go zabolało.

* * *

W zasadzie sprawa Davida nie dotyczyła. Panna Sugo była dorosłą, obcą kobietą i najbardziej wyrafinowana forma ochrony, jakiej mogła od niego oczekiwać, to pomoc przy konfigurowaniu programu antywirusowego.

Bił się więc z myślami, głównie dlatego, że nie miał najmniejszej ochoty wyjaśniać dziewczynie całej sytuacji, a panna wyglądała na dociekliwą. Jednak problem rozwiązał się sam, kiedy Amerykanin wrócił wreszcie do domu po długim spacerze dla zebrania myśli.

W panelu przy zamku migała ostrzegawczo czerwona diodka. Ktoś był w domu – nie Ayame, jej twarz system zeskanował i rozpoznawał nawet teraz, po zmianie fryzury. Owszem, zdarzało się, że studentka przyprowadzała koleżanki, ale dość rzadko. Poza tym Turner po prostu tego się spodziewał – że na monitorze, na filmie sprzed prawie godziny, zobaczy Krzyśka. Bo jego właśnie miał teraz najmniejszą ochotę oglądać.

Pod wpływem impulsu wziął więc głęboki oddech i zapukał do pokoju panny Sugo.

– Ayame, pozwól na chwilę – zawołał chłodno.

Nigdy nie wchodził do niej bez uprzedzenia, ale teraz złapał się na odruchowym szacowaniu czasu, jaki zajęło Japonce podejście do drzwi. Niby Chris był w jej głowie zapisany wyłącznie w katalogu „Analiza zespolona i inne zboczenia", ale Turner zbyt długo już chodził po świecie, żeby nie wiedzieć, jak łatwo mężczyzna możne zmienić swój status w oczach dziewczyny. Sztuczka „na korepetycje" nie była mu obca.

Ayame zjawiła się błyskawicznie, nie zdradzała też żadnych objawów pospiesznego ubierania.

Co więcej, David oceniłby jej *image* wręcz jako zapięty pod szyję, zwłaszcza w kontekście czerwcowych temperatur. Demonstracyjnie zapięty pod szyję. Odstraszająco i zniechęcająco. Turner odnotował to z ulgą, zważywszy na to, co miał zamiar za chwilę zrobić. Siedzący na tapczaniku studentki Krzysiek wychylił się zza framugi i ukłonił grzecznie.

– Chris – odezwał się gospodarz, a wyczulona na emocjonalne niuanse Ayame od razu się zaniepokoiła. – Będzie lepiej, jeżeli przestaniesz odwiedzać pannę Sugo. Będzie lepiej, jeżeli w ogóle przestaniecie się przyjaźnić.

Japonka błyskawicznie zmierzyła wzrokiem najpierw starszego, potem młodego mężczyznę. Następnie nabrała gwałtownie powietrza, jednak nie odezwała się ani słowem, czujnie śledząc reakcję oburzonego Krzyśka. Również to

David zauważył z satysfakcją. Ufała mu, była ostrożna, śledziła rozwój sytuacji. Być może wręcz będzie oczekiwać wyjaśnień dopiero w cztery oczy, po wyjściu Chrisa. W końcu ona też mogła, choćby i za chwilę, spakować się i wypowiedzieć umowę.

To, co mówił studencik, w zasadzie nie miało znaczenia. Turner nie spodziewał się, żeby chciał stawiać opór. Został wyraźnie wyproszony, a i koleżanka jakoś nie rzucała się go bronić przed grubiaństwem „rąbniętego cyberdziadka”.

Kiedy jednak Krzysiek ani myślał ruszyć się z miejsca i wyrzucał z siebie pełne emfazy:

– Ayame, pozwalasz, żeby on cię traktował w taki sposób?! Poszukamy ci innego mieszkania, przecież to skandal!

wzrok Davida padł na rozpięty plecak chłopaka. Na samym wierzchu leżał futerał na aparat fotograficzny. Też otwarty. I pusty.

Turner poczuł lodowaty dreszcz. Bardzo nie lubił mylić się w stosunku do ludzi, a ze zdziwieniem uświadomił sobie, że w tym przypadku byłoby mu jakoś niewspółmiernie żal. Zdążył się z sublokatorką zaprzyjaźnić dość szybko, nawet jak na siebie. Już trzydzieści lat temu pewna sympatyczna młoda kobieta powiedziała mu, że powinien mieć własną córkę, bo próbuje zachowywać się wobec niej jak ojciec.

David, teraz już ponury jak chmura gradowa, omiótł spojrzeniem cały pokój. Na stole stały dwie szklanki z koktajlem owocowym, którego przygotowanie chwilę trwało, szczególnie jeżeli Ayame chciała potem posprzątać.

A od incydentu z farbowaniem włosów zrobiła się niebywale wręcz schludna. Znając ją, zostawiła gościa samego, wolała, żeby nie rzucał się Davidowi w oczy we wspólnej części mieszkania. Zazwyczaj tylko przemykał do jej pokoju i nie wystawiał stamtąd nosa.

Krzysiek się pieklił, Ayame milczała. Nie tonowała go, nie wypychała, nie zacierała śladów. Nie rzucała porozumiewawczych spojrzeń „Idźże wreszcie, ja się tym zajmę.” Za to on wyglądał, jakby go ktoś do tego tapczanika przyspawał, a opuszczenie mieszkania groziło mu śmiercią w męczarniach. Bo też i zapowiadało się, że opuści je raz na zawsze.

Turner podszedł długimi, sprężystymi krokami do łóżka Ayame, zadowolony jak rzadko, że nie zdążył jeszcze po powrocie do domu zdjąć mechanizmu z nóg. Ukląkł na podłodze, pochylony między grzejnikiem, ścianką tapczanu a murem. Odsunął listewkę, zwykły kawałek płyty paździerzowej maskującej niełądne wykończenie narożnika, który jednak przyciągał jak magnes rozbiegane spojrzenie spoconego z nerwów, pyskującego na potęgę studenciaka. Teraz, z bliska, David zauważył też cieniutką plątaninę pajęczych nitek przyczepionych do mankietu białej koszuli chłopca. Temat był w zasadzie zamknięty.

Turner sięgnął w ciemną, wąską przestrzeń za meblem, niszcząc przy tym ostatecznie mieszkanie któregoś ze sprytnych krzyżaków. Namacał pakiecik zawinięty w folię. Kiedy go wyciągnął, zza przezroczystego plastiku błysnęły psychodeliczne kolory imprezowych tabletek.

Amerykanin rzucił paczkę Krzyśkowi, skupiony tylko na wyrazie twarzy Ayame. A ta, ku jego ogromnej uldze, po prostu zamarła w szoku. Następnie wysyczała tonem, jakiego nigdy od niej nie słyszał:

– Chciałeś tu to zostawić, Chris? Nie wypadało najpierw spytać? Odpalić paru groszy za ryzyko, hmm?

Chłopak zwinął się błyskawicznie i był już na korytarzu, kiedy Japonka szarpnęła zamknięcie klatki zmutowanego kanarka. Zielono-niebieski pocisk wystrzelił z jej wnętrza, a David tylko krzyknął w stronę drzwi wyjściowych: „Odblokuj!”. Krzysiek pociągnął je do siebie, zamek puścił ze szczęknięciem metalu o metal, a sekundę potem drugie, drewniane skrzydło łupnęło o framugę, zatrzaskując się za młodocianym dilerem.

Kanarek zawisł przed zamykającymi się powoli elektronicznymi grodziami. Zatrzymał się w powietrzu nienaturalnie precyzyjnie, jak koliber poruszając skrzydełkami tak szybko, że aż ich obraz rozmywał się przed oczami Turnera.

David miał niemiłe uczucie, że w tej ucieczce przed niepozornym ptaszkiem nie było nic a nic groteskowego. Ayame zawołała coś ostro po japońsku i kanarek, o ile to coś można było nadal nazywać kanarkiem, posłusznie przysiadł na jej dłoni. Wbił w Amerykanina czarne paciorki oczu, ale nie szykował się do ataku.

– David – powiedziała powoli dziewczyna. – Ja cię naprawdę cholernie przepraszam…

* * *

– Ty sobie w kulki lecisz, Turner? – Samael podniósł wzrok znad palmtopa, odgarniając z twarzy czarne dredy. Zatrzasnął klapkę i schował urządzenie do wewnętrznej kieszeni skórzanej kurtki. Zirytowany zaczął bębnić palcami o stolik między colą Davida a swoją plastikową tacą z nietkniętymi fastfoodowymi kalmarami. Chudy bez słowa jadł ciepłe ciastko nadziewane jabłkami.

Nie jemu było się wypowiadać na temat jakości wykonanego zadania.

– Uprzedzałem cię w mailu – odpowiedział Turner z kamiennym spokojem, który go jednak dużo kosztował. – Nie będę rzeźbić szczegółów, a nie mam głowy do szukania podwykonawców. Kogoś weźmiecie, to nie musi być żaden orzeł. Dostaliście szczegółową analizę rozpisaną na podpunkty. Naprawdę tylko usiąść i klepać kod.

– To dlaczego sam tego nie zrobisz? – Trudno było oceniać nastrój Samaela, wytatuowane oczy dekoncentrowały rozmówcę.

– Nie mam siły. Jestem zmęczony, myślę, że to dobry moment, żeby zakończyć współpracę.

David i gangster mierzyli się przez chwilę wzrokiem, a Chudy wyprostował się i rzucił:

– Kurwa, szefie, idziemy z nim pogadać na świeżym powietrzu?

– Nie – odezwał się po dłuższej chwili Samael. – Dobrze, Dave, w takim razie na tym skończymy. Pieniądze są tam gdzie zawsze.

Wstał od stolika i dodał niby w stronę kumpla, pogardliwie:

– Chcesz staremu dziadkowi wpierdol spuszczać? Nie masz lepszych zajęć? Nic tu po nas.

* * *

Chwila urażonej dumy, wtedy, nad sączoną powoli colą, na czterdziestym piętrze centrum handlowego, minęła jak mgnienie oka, a pozostał zdrowy rozsądek. I święty spokój.

Ciche letnie noce nareszcie poświęcane na pracę nad tym projektem, który był naprawdę ważny.

Posłuszne pająki dające się łapać zimnymi metalowymi szczypcami i w ostrym blasku laboratoryjnej lampy poddawane mikrozabiegom.

Chipy były maleńkie, połączenia nerwowe na granicy czułości mikroskopu, ale kolejne generacje ośmionożnych wywiadowców zachowywały się z coraz większym sensem. Znikała niezborność ruchów i dezorientacja, zastąpiona błyskawicznym reagowaniem na przesyłane przez radio komendy. Krzyżaki urządzały sobie dalekie wycieczki po budynku, a Turner mógł podziwiać na ekranie zakurzony strych albo sypialnię znajomej sąsiadki.

Ayame też prowadziła nocny tryb życia, ucząc się w panice tych przedmiotów, które daje się zrozumieć tylko przy poziomie stresu osiąganym w przednoc egzaminu. Potem chodziła nabuzowana jak Samael, od samego zdenerwowania i nadmiaru skupienia nad teorią, bez żadnego sztucznego wspomagania. Nie mogąc się wyciszyć,

wpadała w fazę maniakalną i wykorzystując maksymalną koncentrację, uczyła się dalej, nieco na oślep, czegokolwiek, nie zawsze zresztą matematyki. A po kilku dniach zaliczała zjazd, rozpacz, nie była w stanie podnieść się z łóżka, a zamiast mózgu miała watę. Starała się nie trafić z takim samopoczuciem akurat na dzień egzaminu.

David obserwował emocjonalny *rollercoaster* sublokatorki ze spokojnym zrozumieniem. Nawet kiedy panna Sugo, spotkana w kuchni o czwartej rano, poinformowała go z niezdrowym błyskiem w oku, że ułożyła haiku o kwitnącym jaśminie i przestrzeni Hilberta. Na szczęście, nie znając japońskiego, mógł się wymigać od oceniania walorów artystycznych dzieła.

A pająki szykowały się już do podróży, starannie posortowane według typów. Brakowało jeszcze tylko kilku partii. Turner zaczął powoli omawiać z kontrahentem szczegóły transportu i zapłaty.

* * *

Minęło właśnie południe, senne, oślepiająco jasne, spalające prawie żywym ogniem resztki wysuszonych trawników, które wyglądały, jakby był już późny sierpień. Ayame zdała dziś ostatni egzamin i wróciła do domu spać. Wspomniała, że ma zamiar wieczorem iść oblewać sukces, ale David nie był pewien, czy posesyjna szara beznadzieja nie połknie jej teraz na kilka dni.

Przynajmniej on sam zawsze tak reagował na długie przeciążenie pracą umysłową i brakiem snu.

Skończył właśnie lunch, dopijał kawę i miał zamiar wracać do korespondencji z przyszłym właścicielem pająków, kiedy telefon zamruczał sygnałem przychodzącej wiadomości.

Turner sięgnął po niego, nie spiesząc się, ale wyświetlany tekst połączony z opisem nadawcy zmroził go cholernie niepokojącym przeczuciem. Samael.

„Nie lubimy, jeżeli ktoś nieuprzejmie traktuje naszych kolegów. Miłej zabawy, Dave.”.

Amerykanin, wiedziony instynktem i doświadczeniem, wyjrzał za okno, ostrożnie, nie podchodząc zbyt blisko do szyby.

Na chodniku naprzeciwko stała czarna korweta, a w niej, oprócz właściciela, siedzieli Chudy i Krzysiek, rozparci wygodnie i bardzo zadowoleni.

Nigdzie się nie wybierali, ewidentnie na coś czekając.

Brakuje tylko popcornu.

„Miłej zabawy”. Będzie przedstawienie.

Jasna cholera.

Jeszcze nie wiedząc, czego się spodziewać, David rzucił się do monitoringu. Bomba pod drzwiami? Specjaliści od rozwiązywania gangsterskich umów o pracę wspinający się po schodach? Zaprószony „przez przypadek” w tej kompletnej suszy ogień, który – jeżeli nie zabije mieszkańców i nie wypali do murów zabytkowej kamienicy – to na pewno zwabi strażaków, a oni, ratując Davidowi życie, utopią mu równocześnie serwerownię?

Turner sprawdzał właśnie gotowość wszystkich czujek przeciwpożarowych, które porozmieszczał w budynku i które wydawały się działać bez zarzutu, kiedy usłyszał dźwięk parkującego pod klatką samochodu.

Dużego samochodu.

Wyjrzał przez okno i poczuł, jak w gardle rośnie mu gula. Policyjna suka bez włączonego sygnału. Cicho i kulturalnie – nie było powodu, żeby straszyć sąsiadów.

Chudy, widząc Davida w oknie, zamachał mu i wyszczerzył się w paskudnym uśmieszku.

Samael nie błaznował, tylko rozsiadł się jeszcze wygodniej za kierownicą. Krzysiek zamarkował gest straszenia kogoś. Amerykanin odczytał z jego ust: „Potwór, UAAAA!”.

Jeszcze się łudził, że gliny przekopią mu mieszkanie, polując na coś bardziej oczywistego.

Pozrywają panele z podłogi, kiedy ich pieskom wyda się, że wywęszyły przemycane zza wschodniej granicy dragi albo wypożyczą sobie komputery, z nadzieją na znalezienie na nich megawywrotowych danych, godzących w bezpieczeństwo zachodniego świata. Ta druga opcja, mało zresztą prawdopodobna, również groziła co najwyżej spędzeniem jakiegoś czasu w areszcie i dawała nadzieję na spore odszkodowanie.

Zagracone mieszkanie Davida od strony formalnej było czyste. Nawet laptop z kilkoma nadal niezbędnymi do pracy, więc nieodinstalowanymi aplikacjami, leżał sobie spokojnie w piwnicy.

Oczywiście tej należącej do miłej sąsiadki, która miała klaustrofobię i nigdy ze swojego boksu nie korzystała, więc nawet nie była świadoma, że od dobrych piętnastu lat jej klucz nie pasuje do zamka.

Jedyne trefne, ale za to bardzo, bardzo trefne, co znajdowało się za magicznymi drzwiami, to… potwory właśnie. Ośmionożne, zbyt liczne, by ukryć je w cudzej piwnicy, niewinne i legalne.

Dopóki ktoś, zaintrygowany sposobem ich przechowywania i ewidentnym przygotowaniem do transportu, nie pomyśli, że może to jednak nie jest po prostu dziwaczne hobby właściciela, i nie spróbuje przyjrzeć się im dokładniej.

Fakt, musiałby to być ktoś bardzo spostrzegawczy, a przy tym, mając już w ręku łup, musiałby poszukać okradzionego. Powiązać nitki, znaleźć właściciela patentu. Zapytać grzecznie, czy ma coś przeciwko jego wykorzystywaniu i czy nie zechciałby wejść na drogę prawną.

Jednak David, patrząc w obezwładniającej zgrozie w czarne oczy Samaela, że kto, jak nie zleceniodawca, wie najlepiej, na co go stać. Do jak wyrafinowanej roboty mógłby sam mu dać referencje.

I jakby czytając Turnerowi w myślach, gangster wystukał na telefonie kolejnych kilka słów.

Komórka Amerykanina błysnęła wiadomością: „Od nas nie odchodzi się do konkurencji, Dave!”.

Policjanci stali już na wycieraczce, pod kamerą. Dzwonek brzęczał.

Po co spuszczać wpierdol staremu dziadkowi – pomyślał z zadziwiającą w tej chwili logiką Turner.

Samael był na swój sposób złośliwy – trudno bardziej wrednie trafić w najczulszy punkt kogoś, kto przez prawie osiemdziesiąt lat nie dostał nawet grzywny za palenie jointa w miejscu publicznym.

* * *

Trwało to długo, cholernie długo, szarpało nerwy przebłyskami nadziei, że cud się zdarzy i po prostu sobie pójdą. Ale nie tym razem. Ktoś naprawdę musiał mieć duże zaufanie do Samaela i jego podejrzeń, opartych na plotce, na urazie wywalonego z domu na pysk nieopierzonego dilera i ogólnym przekonaniu, w sumie przecież nielogicznym, że David nie mógł tak po prostu zrezygnować z zawodu.

W końcu znaleźli, zrobili trochę szumu – myśleli, że pająki są może pod ochroną, zagrożony gatunek. Robili zdjęcia i porównywali ze wzorcem w bazie, a Turner w pewnym momencie był o krok od parsknięcia histerycznym śmiechem.

Przerażona Ayame mogła się wreszcie przebrać z infantylnej piżamy z postaciami z kreskówek w normalne ciuchy. Wyszła z łazienki pod nadzorem pilnującej jej policjantki, spłakana, a ręce jej się trzęsły, kiedy zapinała bluzkę, krzywo zresztą.

David usiadł na obrotowym stołku w rogu pokoju i czekał. Zajęło im to trochę czasu, ale ostatecznie załapali. Ci dwaj po cywilnemu, którzy od początku budzili w Turnerze największy niepokój. Skojarzyli maszynę – że nie jest to technologia, jakiej używa się hobbystycznie w domu bez bardzo konkretnych powodów. Potem poświęcili jednego krzyżaka i znaleźli chip. Nikt nie był tak naiwny, by uwierzyć w samorodny geniusz Davida – pozostawało tylko pytanie o źródło wiedzy: wojsko czy korporacje? Tak czy owak, sprawa nagle wskoczyła na bardzo wysoką półkę.

– Nie łam się, Dave! – krzyknął kpiąco Samael, kiedy dokładnie przed jego kabrioletem przeprowadzano do policyjnej furgonetki skutego kajdankami Turnera. – Dwa lata jak dla brata, a potem do domu! Miłego lotu przez Atlantyk!

Anna Nieznaj

Rocznik 1979. Absolwentka matematyki, programistka. Mężatka, ma dwoje dzieci, mieszka w Lublinie. Debiutowała w druku w 1996 r. pod panieńskim nazwiskiem Borówko. Publikowała opowiadania w „Filipince”, „Science Fiction”, „Science Fiction, Fantasy i Horror”, antologii pokonkursowej „Science Fiction po polsku 2” wydawnictwa Paperback oraz w internecie na portalach Esensja, Fahrenheit i Szortal. Laureatka konkursu Pigmalion Fantastyki 2010, finalistka Horyzontów Wyobraźni 2011. Zajmuje się też selekcjonowaniem tekstów dla działu literackiego Esensji. W fandomie znana pod nickiem Cranberry.

http://geniuscreations.pl/autorzy/anna-nieznaj/
https://madbooks.pl/nieznaj-anna
https://ebook.madbooks.pl/nieznaj-anna

Eggenburg pod Giewontem – Daniel Nogal

Jędrek schodził z Hali Kasprowej ku Golemowym Kuźnicom. Dzień był chłodny – jesień bardzo wcześnie rozgościła się pod Tatrami. Na szczęście nie padało, a wiatr też zanadto się nie wysilał.

Stary Karpiel dał juhasowi dwa dni wolnego, żeby ten odwiedził matkę w Zakopanem. Schorowana kobiecina mogła umrzeć w każdej chwili, więc nawet znany ze srogości baca nie protestował.

– Idź, Jędrek, idź – zezwolił. – Jeno wracaj prędko, dyć owiecki same się nie wydoją.

Ech – myślał w marszu juhas. *Gdyby tak swoje owce mieć. Swoje własne! Tak ze sto najlepiej. Gazdą być, w Zakopanem siedzieć, a wypas innym zostawić. Czas byłby i dudki by też były, żeby starą chatę połatać, może nawet żeby matkę do krakowskiego lekarza posłać?*

Tak dumał Jędrek, aż wyszedł z lasu, a jego oczom ukazały się Golemowe Kuźnice. I, jak zawsze na ich widok, gęba się Jędrkowi sama wykrzywiła, przekleństwo zaś wcisnęło się na język:

– Kruca fuks!

Sto lat temu dolinę porastał las, piękny i gęsty, pełen buków i świerków. Potem jednak w Jaworzynce odkryto rudę żelaza – i się zaczęło. Wydobywano żelazo, zbudowano hutę, wycinano las. Huta rosła, las się kurczył, zniknęły buki, świerki zdziesiątkowano.

Ale najgorsze nadeszło pięć lat temu, kiedy obok huty postawiono wojskową fabrykę.

Fabrykę golemów.

Jeden za drugim powstawały murowane gmachy z oknami zakratowanymi niby w więzieniu. Ogradzano je żelaznym płotem, wysokim na cztery metry, rozciągniętym pomiędzy wieżyczkami, na których dzień i noc stali żołnierze. Dzień i noc z budynków docierały trzaski i huki, a z kominów unosił się czarny dym. A to, co z fabryki wywożono... To było najstraszniejsze!

Metalowe potwory z karabinami juhas zobaczył tylko raz, z daleka, wiedziony ciekawością, która – jak powtarzała mu matka – kiedyś go zgubi. Zobaczył i zaraz pożałował, że zobaczył. Gdyby któregoś dnia zwerbowano go do wojska i na polu bitwy postawiono naprzeciw takiego monstrum... Chyba padłby trupem ze zgrozy, jeszcze przed pierwszym wystrzałem z karabinu.

Ale nie tylko Kuźnice zmieniły się podczas ostatniej dekady. Taka na przykład Gubałówka. Na szczycie olbrzymie lądowisko dla sterowców, a z lądowiska do Zakopanego – kolejka szynowa. Kolejka z Gubałówki do Zakopanego! Kto by się spodziewał?

Na pewno nie spodziewał się dziadek Jędrka, Boguś Kwaśny, ostatni tatrzański zbójnik. No, przynajmniej sam siebie nazywał ostatnim w rozmowach z wnukiem, bowiem – jak mało który zbójnik – zdołał dożyć siwizny i chodzenia o lasce. Ale nawet z laską w dłoni potrafił skakać przez strumienie, wspinał się na najwyższe wierchy, a po jaskiniach łaził tak, jak gdyby widział w ciemnościach.

To dzięki dziadkowi Jędrek znał tatrzańskie szlaki jak mało kto. Ba! Może nawet znał je jak nikt inny.

Wspominając dziadka, Jędrek szedł po trawiastym zboczu ku brukowanej drodze, wytyczonej wokół molochów wzniesionych z ciemnoczerwonej cegły. Raptem usłyszał krzyk.

Ktoś wrzasnął tak przeraźliwie, jakby wrzucono go w ogień. Wykrzyczanego słowa juhas nie zrozumiał, może zresztą nie było to żadne słowo. Tak czy inaczej, Jędrek zorientował się zaraz, że wrzask dotarł od strony z dawna opuszczonej pobliskiej bacówki.

Juhas zamarł, a włosy zjeżyły mu się na karku. Co robić? Odejść, nie ryzykować? Bóg wie, co dzieje się w bacówce, kto komu krzywdę tam robi. A może wcale nie krzywdę? Może kto złamaną nogę nastawia albo ranę wypala? Lepiej iść do domu, do matki. Ta czeka, biedna, chora...

Ale ciekawość, wsparta Jędrkową życzliwością wobec bliźnich, zatriumfowała. Juhas jął się więc skradać ku pasterskiej chacie, z której nie dobiegał żaden kolejny krzyk.

Jędrek dotarł do bacówki i przykleił się do belek ściany. Nasłuchiwał. Jakiś mężczyzna w środku gadał coś w obcym języku, chyba po węgiersku. Zadawał pytania. Odpowiedzią było sapanie.

Juhasa znów naszły wątpliwości. *Zbyt daleko zabrnąłem* – pomyślał sobie. *Jak się teraz wycofać?*

Zaczerpnął tchu, policzył do dwunastu i zaczął rozglądać się za szparą między belkami, przez którą mógłby zajrzeć do wnętrza szałasu.

Szpar jednak było niewiele, solidną bacówkę tu postawiono. Ale w końcu Jędrek dostrzegł dziurę parę kroków na prawo. Wziął jeszcze jeden głęboki oddech, a później ruszył powoli, powolutku w tamtym kierunku. Zbliżał się, zbliżał...

I nagle poczuł, że coś zimnego i twardego zostało mu przyciśnięte do potylicy.

Mało nie popuścił w gacie.

* * *

Johan Bauman, c.k. agent do walki z terroryzmem, wprowadził młodego górala do bacówki.

– Siadaj tam – zwrócił się do niego po polsku – pod ścianą.

Góral jakby nie dosłyszał. Stał nieruchomo, gapiąc się na mężczyznę leżącego pośrodku chaty. Mężczyzna miał śniadą skórę, włosy zaś czarne jak węgiel i z całą pewnością to on wrzeszczał kilka minut wcześniej. Był związany, posiniaczony, a ze świeżych ran zadanych nożem

krew wciąż spływała na klepisko. Zakneblowany, dyszał ciężko i patrzył na Baumana z mieszanką nienawiści i strachu w oczach.

– Siadaj, mówię! – powtórzył agent.

Góral tym razem posłuchał. Blady jak wapienna skała podreptał na wskazane miejsce.

– Panie, ja niczemu nie winien – jęknął. – Ja…

– Ty wsunąłeś nos tam, gdzie nie należało – przerwał mu Bauman. – Trudno. Siedź cicho, to nic ci się nie stanie. Nie jestem bandytą, pracuję dla monarchii. Bandytą jest ten tam, węgierski terrorysta. Od którego teraz muszę wyciągnąć pewne informacje. Wyciąganie, uprzedzam, nie będzie wyglądało zbyt ładnie, więc lepiej zamknij oczy.

– Panie, ja…

– Gębę też zamknij.

Agent podszedł do związanego Węgra, przykucnął nad nim. Rewolwer przełożył do lewej dłoni, prawą wyciągnął zza pasa nóż. Związany terrorysta wierzgnął jak wyrzucona na brzeg ryba.

* * *

Johan Bauman wypadł z bacówki jakby ktoś wystrzelił go z procy. Zostawiwszy w chacie krwawiącego terrorystę i przerażonego górala, pognał ku ogrodzonym budynkom fabryki. Tak bardzo się mylił! Wszyscy się mylili.

Kiedy do agencji dotarła informacja, że węgierscy separatyści chcą dokonać zamachu podczas nieformalnego szczytu Dwuprzymierza, automatycznie założono, że

planowany jest atak bombowy. Agencja wiedziała, że terroryści weszli niedawno w posiadanie znacznej ilości ładunków wybuchowych. Celem mogli więc być przedstawiciele Wiednia i Berlina, negocjujący i nocujący w Zakopanem albo fabryka golemów. Ewentualnie – jedno i drugie, czyli negocjatorzy podczas wizyty w fabryce, bo taki punkt umieszczono w programie szczytu. Oczywiście, ze względu na najwyższy poziom ochrony podobny zamach byłby niemal niemożliwy do przeprowadzenia, nie znaczyło to jednak, że Węgrzy nie spróbują. Nie takich rzeczy próbowali w stolicy.

Baumanowi udało się pojmać jednego z terrorystów na dzień przed rozpoczęciem szczytu. Udało mu się też w końcu wyciągnąć z niego informacje o zamachu. Te jednak kompletnie zaskoczyły agenta.

– Stać! – warknął jeden z umundurowanych wartowników stojących w wieżyczce nad południową bramą fabryki. – Kto idzie?

– To ja! – krzyknął Bauman, spoglądając ku szarzejącemu niebu. – Otwierajcie natychmiast!

Żołnierze rozpoznali go i wpuścili. Agent ruszył dalej, prosto do sali z komunikatorem eterowym. W całej monarchii – ba! – na całym świecie, wciąż niewiele było takich urządzeń. Wyposażono w nie największe obiekty wojskowe czy lądowiska sterowców. A także najnowocześniejsze sterowce. Takie jak Eggenburg.

Bauman wparował do pokoju komunikacyjnego i zepchnął z krzesła zaskoczonego operatora. Pokrętła

przestawił na częstotliwość Eggenburga, chwycił mikrofon i odezwał się:

– Tu c.k. agent Johan Bauman. Agent Johan Bauman. Eggenburg, czy mnie słyszysz?

Cisza.

– Eggenburg, czy mnie słyszysz? – powtórzył.

Tym razem ktoś mu odpowiedział. Po niemiecku, lecz z węgierskim akcentem.

– Agencie Bauman, słyszę cię dobrze.

Bauman zaklął pod nosem. Więc im się udało. Piloci nie żyją, nikt im nie przeszkodzi. Jak można było do tego dopuścić?!

– Nie rób tego, człowieku – spróbował, chociaż zdawał sobie sprawę, że nic nie zdziała.

– Dobrze wiesz, że mnie nie przekonasz, Bauman. Zresztą, jesteśmy już u celu. Ładny ten Giewont.

– Nie rób tego! Macie zakładników, możecie to wykorzystać…

– Isten, áldd meg a magyart!

* * *

Słońce chowało się już za górami, kiedy w dolinie, przez miejscowych nazywaną Strążyskami, Johan Bauman badał miejsce katastrofy Eggenburga. Towarzyszyli mu agenci tajnej policji, tydzień wcześniej przysłani z Wiednia w celu zabezpieczenia szczytu Dwuprzymierza. Nie wyglądali na zadowolonych z siebie.

Nie przeżył nikt, jak można się było spodziewać. Balon rozdarł się na strzępy, kabina zaś roztrzaskała się niczym pudełko po cygarach ciśnięte o skałę. Zmasakrowane trupy wiedeńskich dygnitarzy i ich służby leżały wszędzie. Lecz to nie one najbardziej martwiły Baumana.

– Ktoś tu był zaraz po katastrofie – stwierdził agent. – Na długo przed nami.

Stojący obok niego młody policjant Hans Röpke pokiwał głową.

– Tak to wygląda, kapitanie Bauman. – Röpke zadumał się na chwilę. – Może pasterze przybiegli, żeby obrabować trupy?

– No to rabowali kiepsko. Pieniądze, biżuteria i inne cenne przedmioty wciąż są przy ciałach. Jakby nic nie zginęło.

– To, niestety, nieprawda – odezwał się ktoś za plecami Baumana.

Agent odwrócił się i zobaczył porucznika Steinera, dowódcę policyjnej drużyny. Oficer odprawił młodego funkcjonariusza gestem. Kiedy zostali sam na sam z Baumanem, powiedział:

– Zginął prototyp urządzenia, którego działanie miało zostać zaprezentowane naszym sojusznikom, kapitanie. O ile negocjacje poszłyby zgodnie z planem, rzecz jasna.

– Jakiego urządzenia?

Steiner ściszył głos:

– Aparatury do sterowania golemami w trakcie walki. Sterowania na odległość, znaczy. Dzięki falom eterowym.

– Co?! – uniósł się Bauman. – Dlaczego nic o tym nie wiedziałem?!

Porucznik bezradnie rozłożył ręce.

– Ja sam usłyszałem o tym już po katastrofie.

Szczyt odwołano. Niemcy, którzy ledwie dojechali kolejką do Zakopanego, zaraz zawrócili na Gubałówkę. Ich sterowiec przygotowano do lotu powrotnego, sprawdzając pieczołowicie każdego członka załogi, każdego pasażera. Z wyjątkiem tych najznamienitszych, ma się rozumieć. O brzasku aerostat wyleciał do Berlina.

Po Węgrach i prototypie ślad zaginął. Co gorsza, terrorysta pozostawiony w szałasie wykrwawił się i zmarł, choć młody góral chyba próbował go opatrywać, gdy został z nim sam na sam.

Tylko po co im ten prototyp? – zastanawiał się Bauman, siedząc w kantynie fabryki i popijając Becherbittera z metalowego kubka. Rozmyślania o tym, jakim cudem o prototypie separatyści w ogóle się dowiedzieli, postanowił odłożyć na później.

Nawet jeżeli zdobędą jakiegoś golema, a choćby i kilka golemów, przeprowadzanie tak spektakularnej akcji, aby móc garstką machin sterować na odległość, nie wydaje się grą wartą świeczki. Nie, na pewno nie o to im szło. Zamierzają sprzedać prototyp, to jedyne sensowne wyjście – uznał agent. Dostaną za niego fortunę, która sfinansuje ich działalność przez następne lata. Aż strach pomyśleć, co mogą zrobić z tymi pieniędzmi, skoro i bez nich potrafili

dokonać tutaj, daleko od ojczyzny, czegoś tak niewiarygodnego...

Bauman upił solidny łyk ziołowego likieru i otrząsnął się.

Ale komu chcą sprzedać urządzenie? Najpewniej Rosjanom. Wtedy nie dość, że dostaną pieniądze, to jeszcze zwiększą bojowe możliwości caratu. To może przyczynić się do wybuchu kolejnej wojny, a wojna Dwuprzymierza z Rosją to dla separatystów wymarzone okoliczności do zamachów na jedność monarchii. Tak, ja na ich miejscu dogadałbym się z Rosjanami.

Bauman osuszył kubek, potem z głośnym stuknięciem odstawił go na poplamiony blat długiego stołu.

Pytanie, jak i gdzie zamierzają przekazać prototyp? – rozmyślał dalej. *Pojadą do Rosji? Wątpliwe. Granica daleko, są poszukiwani, do tego są Węgrami na ziemiach zamieszkałych przez Polaków. Nie, nie pójdą na północ. Prędzej przekażą urządzenie gdzieś niedaleko stąd, a potem uciekną przez góry. To najlepsza opcja, najtrudniej będzie ich złapać.*

No ale właśnie... Jeśli nie da się znaleźć Węgrów, to może uda się znaleźć Rosjan? Taak, tylko jak ich znaleźć? Szczególnie, że to właściwie nie muszą być Rosjanie. Bo to jeden Polak pracuje dla Moskwy?

Z zadumy wyrwało agenta chrząknięcie. To Hans Röpke pojawił się w kantynie. Z jego okrągłej twarzy można było wyczytać, że przynosi ważne wieści.

– Tak? – zapytał Bauman.

– Znaleźliśmy kogoś, kapitanie.

– Węgrów?

Młody policjant pokręcił głową.

– Rosjan? – zgadywał dalej agent.

– Nie. Kogoś zupełnie innego.

* * *

Johan Bauman siedział w kawiarni przy Krupówkach, urządzonej na wiedeńską modłę. Stoliki nie miały co prawda marmurowych blatów, a pod zbyt niskim sufitem nie wisiały kryształowe żyrandole, ale za to jabłkowy strudel smakował dokładnie tak, jak powinien, a i kawa była znakomita. W lokalu byli przede wszystkim Polacy, wyłącznie mężczyźni. Niektórzy dyskutowali cicho, inni czytali gazety, a kilku zapisywało coś zaciekle w grubych kajetach. Pewnie wiersze o górach, Bauman słyszał, że w Zakopanem zaroiło się ostatnio od poetów.

Tak po prawdzie, choć artystycznej wrażliwości nigdy w sobie nie odkrył, jemu też się tu podobało. Zarówno w otoczonej górami mieścinie, jak i w samej kawiarni, gdzie panowała iście wiedeńska atmosfera. Gdyby nie praca, agent chętnie by się tu zrelaksował.

Teraz mógł tylko udawać, że to czyni. Popijał więc kawę, jadł ciasto, raz zerkając na strony rozłożonej obok talerzyka krakowskiej gazety, raz na widoczny przez okno Giewont, który rzeczywiście przypominał śpiącego rycerza. Chociaż tego akurat dnia góra kojarzyła się Baumanowi

bardziej z rozbitym sterowcem niż z uśpionym wojownikiem.

Czasem, lecz niezbyt często, agent spoglądał też w stronę stolika po drugiej stronie sali. Siedziało tam przy kawie dwóch obcokrajowców w strojach górskich turystów. Dwóch Turków.

Turcy nieczęsto odwiedzali Podhale, choć ci dwaj nie byli z pewnością pierwszymi poddanymi osmańskiego sułtana, jacy tu zawitali. Od kiedy Kuźnice stały się ważnym ośrodkiem przemysłowym, Zakopane przyciągało coraz więcej miłośników gór Obcy język czy ciemniejsza skóra nikogo tu nie dziwiły. Ale gdy po katastrofie Eggenburga policjanci Steinera zaczęli rozglądać się za wszystkim, co mogło wzbudzić podejrzenia, dwóch Turków po prostu nie mogli przeoczyć.

Oczywiście ci dwaj nie musieli być wcale chętnymi do zakupu prototypu. Ale to miałoby sens, sytuacja przecież byłaby analogiczna do tej z Rosjanami. A może nawet Węgrzy właśnie od Turków mogli wyciągnąć więcej pieniędzy? Imperium Osmanów chwiało się w posadach, zatem rządzący rozpaczliwie rozglądali się za wszystkim, co mogło pomóc mu przetrwać nadchodzącą nieubłaganie dziejową zawieruchę.

Bauman dokończył strudel i artykuł o antyżydowskich wystąpieniach na Kazimierzu. W samą porę, bo Turcy szykowali się właśnie do wyjścia. Kiedy opuścili kawiarnię, agent odprowadzał ich wzrokiem przez okno, a po chwili wyszedł i ruszył za nimi.

Pomaszerowali na południe, wyszli z Zakopanego i skierowali się ku Żelaznej Drodze, prowadzącej z Golemowych Kuźnic do Kościeliska. Bauman trzymał się w bezpiecznej odległości, starając się jednak nie tracić ich z oczu na dłużej niż dziesięć, dwadzieścia sekund. Aż nagle... Zniknęli!

Niech to szlag! – pomyślał agent. Zaraz jednak odetchnął. Wśród brązowiejącej gęstwiny dostrzegł ścieżkę prowadzącą w bok, do zarośniętego jaru. *Musieli tam skręcić* – uznał.

I nie pomylił się. Kwadrans później obserwował z zarośli miejsce, w którym Turcy się zatrzymali. To znaczy – niewielką polankę nad zakręcającym potokiem. Plecaki położyli na ziemi i rozejrzeli się po okolicy. Jednak zamiast usadowić się wygodnie, wyjąć termosy i chleb z oscypkiem, stanęli niczym na warcie. Czekali na coś lub na kogoś.

Bauman też czekał, pewny już, że nie patrzył na turystów. Czekał na Hansa Röpke, który szedł jego śladem. Agent nie chciał brać ze sobą więcej policjantów. Każdy następny człowiek to większe ryzyko, że śledzeni się zorientują.

Röpke pojawił się po pięciu minutach. Przyczaił się za drzewami na stoku po drugiej stronie dolinki i dał znać Baumanowi, że jest gotowy. Agent odmachał mu: czekamy.

Nie musieli czaić się długo. Wkrótce zorientowali się, że ktoś zbliża się z głębi doliny. Turcy sięgnęli po rewolwery. Gdy jednak zobaczyli dwóch Węgrów z metalową walizką, rozluźnili się.

Węgrzy i Turcy stanęli naprzeciw, dziesięć kroków od siebie.

– Macie pieniądze? – zapytał po węgiersku separatysta z walizką. Jeden z Turków, starszy i brodaty, wyciągnął z plecaka płócienne zawiniątko. Położył je na ziemi, rozplątał rzemyk i rozsunął płótno. Bauman dostrzegł w tym momencie, jak wielkie robią się oczy Hansa Röpke. Nie dziwota, musiało tam być przynajmniej ze sto tysięcy franków.

– Drugie tyle przyślemy do Budapesztu, gdy przekonamy się, że urządzenie działa. Lepiej żebyście nie próbowali nas oszukać.

– Oszukać? – zdziwił się terrorysta. – Chyba nie przegapiliście katastrofy Eggenburga?

– Nie. Dobrze, dajcie walizkę i zabierajcie pieniądze.

Węgier ruszył do przodu.

Bauman strzelił. Huk poniósł się echem przez góry.

Separatysta, trafiony w pierś, padł. Drugi, zamiast się ukryć, rzucił się po pieniądze.

I też dostał kulkę. Od Hansa szarżującego spomiędzy drzew i strzelającego z rewolweru raz za razem.

Tymczasem młodszy Turek skoczył po walizkę i pognał z nią przed siebie, w głąb doliny. Bauman wypalił do niego, jednak chybił.

Brodaty skrył się za głazem i zaczął strzelać, osłaniając ucieczkę towarzysza. Strzelał celnie. Pierwsza kula trafiła Hansa w brzuch. Druga znalazłaby drogę ku czaszce

Baumana, gdyby ten w ostatniej chwili nie schował się za pniem sosny.

Zapadła cisza. Słychać było tylko szmer potoku i oddalające się kroki Turka niosącego prototyp ku dalekiej ojczyźnie.

Węgrzy nie żyli. Hans nie żył albo umierał.

A brodaty Turek i c.k. agent do walki z terroryzmem chowali się, jeden za skałą, drugi za drzewem, szachując się wzajem.

Aż raptem w pobliżu polanki pojawił się ktoś jeszcze.

* * *

Johan Bauman stanął nad ciałem brodatego Turka. Zdołał zastrzelić go, gdy ten wychylił się zza głazu, aby sprawdzić, kto zbliża się do polanki. A zbliżał się młody góral o znajomej twarzy.

– Co ty tu robisz? – Agent zwrócił się do juhasa, zawijając sto tysięcy franków w płótno.

– No... Ja... – zająknął się góral, który nie zdążył zobaczyć, co takiego Bauman wsunął właśnie za pazuchę. – Ja widziałem pana w Zakopanem, na Krupówkach. A potem zobaczyłem, jak taki drugi za panem szedł... O, ten, co tam leży. Martwy... Nie wiedziałem, co robić. Chciałem pana ostrzec. No, bo ta katastrofa straszna, ci zabici ludzie... Ja panu nie wierzyłem, jak pan tego Węgra, w bacówce... Ale po katastrofie to już...

– Mów składniej.

– No, chciałem ostrzec, pomóc. Poszedłem za tamtym, co za panem lazł, a potem te strzały... Pomyślałem już, że za późno.

Bauman zastanawia się przez chwilę. Góral pewnie mówił prawdę, zresztą nie miało to większego znaczenia. Teraz liczyło się tylko to, żeby dopaść Turka uciekającego z prototypem. Turka, który na pewno miał zawczasu przygotowaną drogę ucieczki na drugą stronę Tatr.

– Znasz te góry?

– Jak własną kieszeń, panie. Jak nikt inny.

– To mi się przydasz. Może jeszcze nie wszystko stracone.

– Co stracone, panie?

– W tamtą stronę – wskazał agent – uciekł człowiek, którego muszę dopaść. Ma ze sobą walizkę, chyba dość ciężką, więc na pewno nie mógł zbyt długo biec. Ale mógł mieć za to wcześniej upatrzoną kryjówkę.

Juhas pokiwał głową.

– Niedaleko stąd jest Dziura.

– Dziura?

– Jaskinia. Znaczy, dużo jaskiń, korytarzy. Zbójnicy się tam ukrywali, mieli też tajne przejścia, podziemne skróty...

– Znasz je?

– No przecie mówię, panie. Jak własną kieszeń.

– To idziemy.

* * *

Jędrek nie kłamał.

Pół godziny później odnaleźli Turka, a właściwie dostrzegli w jaskiniowych korytarzach przed sobą światło jego lampy.

– Zostań tu – mruknął Bauman, gasząc kieszonkową latarkę, jeden z wynalazków, w jakie wyposażono niedawno agentów c.k. służb.

Góral posłusznie zastygł jak słup soli, a agent zaczął skradać się w kierunku źródła światła. Po minucie, może dwóch, juhas usłyszał odgłos upadającego bezwładnie ciała.

– Chodź tu – zawołał agent. – Pomóż mi go stąd wynieść.

Po kwadransie znów byli na świeżym powietrzu w Dolinie Ku Dziurze, między grzbietami Spaleńca i Grześkówek. Mieli ze sobą metalową walizkę, o zawartość której ciekawski juhas nie zamierzał pytać, a także nieprzytomnego Turka, którego Bauman krępował rzemieniem.

– Spisałeś się, chłopcze – pochwalił agent, sprawdziwszy więzy.

– Dziękuję, panie.

– Co byś chciał w nagrodę?

– A bo ja wiem? – Jędrek zadumał się. – Może ze dwadzieścia owiec?

– Tylko dwadzieścia?

– No to... Sto?

– Dostaniesz dwieście.

Góral spojrzał na agenta z niedowierzaniem.

– Nie zwodzę cię, chłopcze. Dostaniesz dwie setki owiec. I order, jeśli będziesz chciał. Ale o tym pogadamy wieczorem. O szóstej przyjdź do wiedeńskiej kawiarni w Zakopanem.

– Tak, panie – wydusił z siebie juhas, do którego wciąż nie docierało, jakim jest szczęściarzem. Dwieście owiec!

– A teraz idź już sobie. Bo muszę porozmawiać sobie z tym oto Turkiem. A nie chcesz na to patrzeć.

Jędrek nie chciał.

Golem z Festung Krakau – Daniel Nogal

HPodpułkownik Franz von Stockerau postukał pięścią w napierśnik stalowego olbrzyma. Dźwięk poniósł się po długiej, podziemnej komnacie.

– Herr Oberstleutnant – odezwał się Abraham Moritz, wynalazca z Kazimierza – tego pancerza nie przebiją nawet pociski z karabinu Uljanowa.

Oficer długo przyglądał się Golemowi, nakręcając wąsa na mały palec. Wynalazek starego Żyda przypominał dwumetrową statuę średniowiecznego rycerza, ale jakby niedokończoną, pozbawioną detali, uzbrojoną nie w miecz i tarczę, lecz w karabin automatyczny. Fakt, niedorównujący rosyjskim cackom, których wciąż nie udało się skopiować w wiedeńskich fabrykach, jednak i tak zabójczo skuteczny.

– Gut, gut – mruknął von Stockerau. – Czas na demonstrację.

Moritz pokiwał głową i wyciągnął rękę w stronę czeladnika, nastoletniego Eliego, który podał mu prostokątną, miedzianą blaszkę z licznymi otworami ułożonymi w zagadkowy wzór.

– Cóż to takiego? – zapytał podpułkownik.

– To, tak jakby, opis celu – odparł wynalazca. – Charakterystyka rosyjskich mundurów. Żeby Golem wiedział, kogo atakować.

Żyd podszedł do blaszanego giganta i wsunął płytkę w poziomy otwór, karykaturalne usta. Oczy Golema, dwie kryształowe soczewki, rozbłysły na czerwono. Ale wynalazek Abrahama Moritza nawet nie drgnął.

Podpułkownik uniósł krzaczaste brwi.

– Potrzebne mu są cele – wyjaśnił stary Żyd, odsuwając się od Golema.

Franz von Stockerau odwrócił się w kierunku stojącego pod ścianą sierżanta Riedla i gestem wydał rozkaz. Podoficer stuknął obcasami i pociągnął za dźwignię. W drugim końcu komnaty sfrunęły z otworów w suficie trzy kukły, zawieszone na łańcuchach i ubrane w carskie mundury.

Golem zareagował błyskawicznie. Zanim jeszcze drewniani żołnierze opadli na sam dół, metalowy strzelec wypuścił serię z karabinu. W mgnieniu oka wszyscy trzej poszli w drzazgi.

Podpułkownik von Stockerau, podobnie jak reszta zgromadzonych w wawelskich podziemiach, milczał długo.

– To ile takich – przemówił w końcu – jesteście w stanie zrobić, zanim rosyjska armia dotrze pod Twierdzę Kraków?

* * *

Zegar Katedry Wawelskiej wybił właśnie trzecią, kiedy jeden z dwójki żołnierzy robiących nocny obchód odezwał

się do towarzysza. Mówił po polsku:

– Słyszałeś to?

– Słyszałem – odparł drugi, też po polsku, ale z ukraińskim akcentem. – Jeszcze tylko dwie godziny i...

– Nie o tym mówię, idioto! Tam, na dole – żołnierz wskazał schody prowadzące do podziemi – ktoś łazi.

– Zdawało ci się.

– Zdawało, nie zdawało, musimy sprawdzić. Od tego tu jesteśmy.

Zeszli do podziemi. Oświetlając sobie drogę lampą, pomaszerowali korytarzem.

– Cholera – mruknął Ukrainiec – tam rzeczywiście ktoś jest. Może któryś z oficerów chciał sobie jeszcze raz obejrzeć wynalazek Żyda?

Polak pokręcił głową.

– Uprzedziliby nas – odpowiedział, skręcając za róg. – Poza tym...

Nikt już nie dowiedział się, co chciał powiedzieć. Seria z karabinu rozerwała mu głowę.

* * *

Franz von Stockerau obudził się i zrozumiał, że odgłosy bitwy, które słyszy, wcale mu się nie przyśniły. Wystrzały i krzyki naprawdę rozrywały nocną ciszę na strzępy.

Rosjanie na Wawelu?! – pomyślał ze zgrozą podpułkownik, zrywając się z łóżka i doskakując do okna.

Na podwórzu, pomiędzy koszarami a szpitalem, rozgrywała się bitwa. Najdziwniejsza jaką von Stockerau

kiedykolwiek widział, ponieważ żołnierze cesarskiej i królewskiej armii przegrywali ją, pomimo przewagi liczebnej trzydziestu do jednego. Problem polegał na tym, że owym jednym był Golem Abrahama Moritza.

Podpułkownik już miał sięgnąć po mundur i pistolet, zatrzymał się jednak w pół ruchu. Kątem oka dostrzegł bowiem, że na majdanie pojawił się ktoś jeszcze. Pielęgniarki!

Dwie siostry w bieli, które nie wiadomo skąd się tam wzięły, uciekały teraz przerażone w kierunku budynku szpitalnego. O dziwo, blaszany strzelec nawet nie próbował w nie celować.

Franz von Stockerau obrócił się na pięcie i pobiegł na podwórze tak, jak stał: boso, w koszuli nocnej i bez broni.

– Nicht schießen! – ryknął, wypadając na zewnątrz. – Nicht schießen!

Żołnierze, ostrzeliwujący Golema zza osłony wozów parowych i starych kontenerów, spojrzeli zdumieni na dowódcę. Jeden odwrócił głowę w tak pechowy sposób, że stojący pośrodku podwórza stalowy olbrzym mógł trafić go w czoło – co uczynił natychmiast, ignorując zupełnie podpułkownika, który znajdował się o wiele dalej, był jednak całkowicie odsłonięty.

– Nie strzelać! – krzyczał dalej von Stockerau, powstrzymując ostatnich nadgorliwców. – Zdejmować mundury! Natychmiast!

Żołnierze osłupieli, ale gdy Golem zdołał zabić kolejnego z nich, otrząsnęli się i zaczęli zrzucać z siebie

granatowe kurtki i ściągać spodnie. Kiedy już na majdanie znajdowali się wyłącznie mężczyźni w gaciach i koszulach, blaszany zabójca pokręcił się jeszcze przez chwilę, rozejrzał, aż wreszcie znieruchomiał.

– Gott erhalte, Gott beschütze – mruknął pod nosem von Stockerau.

Potem ruszył w stronę Golema, eskortowany przez spojrzenia rozebranych podkomendnych. To było najdłuższe osiemdziesiąt metrów w jego życiu, w końcu jednak stanął oko w oko z monstrum. Przełknął ślinę, a następnie bardzo, bardzo powoli – jak chłopiec szykujący się do schwytania żaby – uniósł dłoń do kawałka blaszki, wystającej z ust Golema. Choć kryształowe ślepia wciąż lśniły groźnie, nic się nie stało. Podpułkownik mógł swobodnie wysunąć dziurawą płytkę.

Blask w oczach blaszanego zabójcy zgasł. Poczucie ulgi, które przepłynęło przez napięte ciało oficera, o mało nie pozbawiło go przytomności.

* * *

Świtało. Franz von Stockerau, ćmiąc fajkę, obserwował żołnierzy grzmocących młotami w kupę żelastwa, która ani trochę nie przypominała już Golema.

– Herr Oberstleutnant! – zawołał jeden z podkomendnych, wskazując bramę. – Wracają z Żydem!

Rzeczywiście, sierżant Riedl i dwaj szeregowi prowadzili przez podwórze Abrahama Moritza. Wynalazca z Kazimierza był blady jak koszula von Stockeraua, w której

paradował nocą. Rozglądał się nerwowo i bełkotał coś w jidysz, zapewne modlitwę. Zamilkł z otwartą gębą, gdy zobaczył, co stało się z jego Golemem.

– A gdzie ten drugi Żydek? – Podpułkownik zwrócił się do Riedla. – Ten uczeń. Jak mu było...

– Eli – odpowiedział sierżant – czy jakoś tak. Nie znaleźliśmy go. Nocą musiał uciec z Kazimierza.

– Herr Oberstleutnant! – jęknął Moritz. – Ja nic nie wiedziałem! Ja...

– Przestań wyć – warknął von Stockerau. – O tym, co wiedziałeś, a czego nie, zaraz sobie porozmawiamy. Ale nie tutaj.

* * *

Sierżant Riedl położył na blacie skórzaną teczkę, wypchaną papierami.

– Tutaj jest wszystko – powiedział. – Plany, szkice, notatki. Nawet bez tego czeladnika dalibyście radę zrobić własne Golemy.

– Ale... – zaczął siedzący za stołem Piotr Janic, szef krakowskiej siatki Carskiej Ochrany – młodego Żyda i tak dostaniemy, prawda?

Żołnierz kiwnął głową.

– Oczywiście. Tak, jak się umawialiśmy – zapewnił. – Po tym, jak zrobił dla mnie nową płytkę, zamknąłem go w piwnicy, którą mi wskazaliście.

– Dobrze, bardzo dobrze. A list, który sfabrykowaliśmy?

– Podrzuciłem do domu Moritza. Lada moment na Wawelu przeczytają, że miał to być akt zemsty na podpułkowniku za interwencję w Sandomierzu i za śmierć krewnych. Nikt się nie dowie, że za wszystkim stała Ochrana.

– Nikt się nie dowie, doskonale. Zatem czas wypłacić ci nagrodę, prawda?

Janic schylił się i sięgnął do torby. Zamiast wyciągnąć z niej obiecany plik banknotów, świeżutkich franków prosto z genewskiego banku Rotszyldów, agent wyjął poręczny rewolwer Uljanowa. Bardzo celny.

Sierżant Riedl nie zdążył nawet krzyknąć. Krwawa dziura pojawiła się dokładnie na środku jego wysokiego czoła.

– Nikt się nie dowie – mruknął Janic, zaglądając do teczki. – Nikt się nie dowie.

Mechaniczny kanarek Chyrnowskiego – Daniel Nogal

Sekretarz barona Tyszkiewicza wyszedł i Dionizy Chyrnowski został sam w swoim warsztacie przy Wałowej. Od strony Rynku docierały tu okrzyki młodych Polaków, protestujących przeciw polityce nowego namiestnika Galicji, Ferdynanda Schwarzberga, lecz inżynier zdawał się ich nie słyszeć. Konkurencję czyniło im zresztą tykanie przeszło tuzina zegarów, w tym dwóch astronomicznych, oraz zgrzytanie i stukanie innych mechanizmów, które wypełniały zagracone pomieszczenie. Czego tam nie było! Nakręcane chrabąszcze krążyły po gołych deskach podłogi, kręciły się koła zębate prototypowego napędu dźwigowego, zawieszony pod sufitem wiatrak chłodził gorące letnie powietrze, a maszyna licząca wypluwała z siebie zapisane zwoje cynowej folii.

Zlecenie na prezent dla namiestnika spadło Chyrnowskiemu niby manna z nieba. Nie pamiętał, kiedy ostatnio otwierał szkatułkę z oszczędnościami, żeby dołożyć do niej choćby kilka banknotów. Jeżeli już ją otwierał, to wyciągał pieniądze, a niewiele ich tam zostało. Już nawet nie zamykał szkatułki w sejfie, jak dawniej, po prostu

trzymał ją pod łóżkiem. A przecież nie było we Lwowie wynalazcy, który mógłby mu dorównać!

Niedola inżyniera brała się stąd, że odmawiał każdemu, kto chciał zlecić mu pracę nad technologią bojową. Tak, Chyrnowski bez wątpienia zdołałby, na przykład, opracować projekt golema znacznie lżejszego i zwrotniejszego od tych, jakie pod koniec wojny austriacko-rosyjskiej zdominowały pola bitew pod Częstochową czy Sandomierzem. Wiedział, jak zwiększyć zasięg karabinów Uljanowa. Na pewno też mógł dołożyć swoje trzy grosze w dziedzinie wojennego wykorzystania sterowców. Jednak Chyrnowski, niestety, miał zasady. Był idealistą, pragnął tworzyć rzeczy, które poprawią jakość ludzkiego życia, nie zaś takie, które to życie będą odbierać. I dlatego, jak wielu genialnych idealistów przed nim, inżynier klepał biedę.

Z drugiej strony, wszystko wskazywało na to, że nadchodziły lepsze czasy. No, pomijając może widmo wojny na znacznie większą skalę niż w przypadku konfliktu zakończonego w zeszłym roku paktem w Breslau… W każdym razie do Galicji dotarła w końcu z Wiednia moda na mechaniczne drobiazgi. Od kieszonkowych zegarków wygrywających wiedeńskie melodie, przez poruszające się posążki, po nakręcane bicykle – każdy szanujący się przedstawiciel lwowskiej elity musiał mieć przynajmniej kilka takich przedmiotów, a niektórzy stawali się wręcz kolekcjonerami. Oczywiście, konstruowanie podobnych zabawek nie zaspokajało twórczych ambicji Chyrnowskiego, lecz nie godziło w jego zasady, mogąc jednocześnie

przynieść pieniądze. A wynalazca potrzebował pieniędzy, dużo pieniędzy. Nie, nie zależało mu na luksusach, na mieszkaniu większym niż dwupokojowe, na wczasach w Monte Carlo. Pragnął wreszcie odłożyć tyle, by już bez przeszkód spędzić miesiące albo i lata na doskonaleniu swojego największego projektu, transmiter fal eterowych. Jednak póki co...

– Kanarek – powiedział sekretarz barona – niech to będzie mechaniczny kanarek. Namiestnik podobno lubi śpiewające ptaki.

– Niech będzie kanarek – zgodził się inżynier. I zaraz po wyjściu sekretarza zaczął planować, co zrobić, żeby nie wyszła z tego zwykła pozytywka. Chciał zrobić mechanicznego kanarka, który będzie poruszał się w klatce i wyśpiewywał melodie prawdziwym, kanarkowym głosem. Chciał zrobić coś, co natychmiast przyniesie mu kolejnych klientów, gotowych ozłocić go za podobnie niezwykłe zabawki, wywołujące zazdrość wśród bywalców lwowskich salonów.

Dionizy Chyrnowski wiedział, że to nie będzie łatwe. Ale miał przeszło tydzień czasu. I zaliczkę.

* * *

Na poddaszu trzypiętrowej czynszówki, naprzeciw kościoła Matki Boskiej Śnieżnej, dziesięciu młodych mężczyzn rozmawiało po niemiecku. Siedzieli na taboretach wokół długiego stołu, na środku którego znajdował się antałek piwa, już prawie pusty.

– Spóźnia się – stwierdził jeden ze zgromadzonych, osiłek z krzywym nosem, który źle zrósł się po złamaniu. – Znowu się spóźnia.

– Jego prawo – odparł długowłosy chudzielec. Miał smukłe dłonie instrumentalisty, przy czym widoczne na nich zgrubienia i blizny sugerowały, że jego ulubiony instrument to nóż. – Ważne, że płaci.

– Ta, płaci – mruknął osiłek. – Rzucił parę groszy zaliczki, a resztę ma nam dać, jak zrobimy swoje. Szkoda, że nie wiemy jeszcze, co mamy zro…

Nie dokończył, ponieważ drzwi otworzyły się i stanął w nich ten, na którego czekali. Musiał słyszeć rozmowę, bowiem rzekł od razu:

– Macie napaść na transport. Mówiłem przecież.

Przybysz nosił popielaty surdut i kapelusz w tym samym kolorze. Miał brodę, czarną i gęstą, lecz żadnych wąsów, cerę bladą niczym upiór z siedmiogrodzkich opowieści, a do kompletu zimne oczy mordercy. Mimo przeciętnego wzrostu i raczej mikrej postury wzbudzał wyraźny respekt w młodych mężczyznach siedzących na poddaszu. A przecież nie była to grupka wydelikaconych żaków z Uniwersytetu Franciszkańskiego.

– Ta – odezwał się ponownie krzywonosy. – Ale j a k i transport? Dowiemy się w końcu?

– Transport broni.

Dziesięciu mężczyzn spojrzało po sobie rozszerzonymi ze zdziwienia oczami.

– Herr Müller – zabrał głos nożownik. – Mamy napaść na wojskowy transport? W dziesięciu? Uzbrojeni w strzelby? No chyba, że ma pan dla nas jakiegoś Golema…

Ktoś się roześmiał, ale ścichł zaraz, skarcony spojrzeniem czarnobrodego.

– To nie będzie normalny wojskowy transport. Nie będzie tam żadnego oddziału – wyjaśnił Müller. – Jeden wóz parowy i zaledwie kilku żołnierzy, przebranych za cywili. I tylko jedna skrzynia ładunku, eksperymentalnej broni przewożonej w tajemnicy z Krakowa. No i będzie nas jedenastu, bo też się wybieram.

– A co z pieniędzmi? – zapytał osiłek.

– Tak, jak powiedziałem. Dowieziemy ładunek do Lwowa, dostaniecie pieniądze. Potem będę miał jeszcze jedno zadanie dla kilku z was, płatne dodatkowo, rzecz jasna. Ale przyjdzie czas, by o tym pogadać. Zaś póki co…

Müller podszedł do stołu. Gestem nakazał, żeby zabrano z niego antałek, po czym wyciągnął zza pazuchy mapę, niechybnie wojskową, przedstawiającą okolice między Przemyślem a Lwowem z zadziwiającą dokładnością. Wydawało się, że oznaczono na niej każdy zagajnik.

– Jutro przyczaimy się tutaj. – Wskazał las pomiędzy Mościskami a Berehowem.

Mężczyźni pokiwali głowami. Nożownik zapytał:

– A co właściwie mamy ukraść, panie Müller? Co to za eksperymentalna broń, jeśli można wiedzieć?

Czarnobrody wahał się przez chwilę.

– Stielhandgranaten – odpowiedział w końcu. – Ale takie specjalne. Antygolemowe.

* * *

Na drugim piętrze kamienicy oznaczonej numerem czternaście okna wychodzące na Rynek zasłonięto granatowymi kotarami. W przestronnej izbie paliła się zaledwie jedna naftowa lampka, na czarnym łańcuchu zwisająca z sufitu ponad okrągłym stołem, przykrytym obrusem w tym samym kolorze co kotary. Lampka znajdowała się zbyt wysoko i dawała zbyt mało światła, aby skryte pod ośmioma kapturami twarze były dobrze widoczne.

Jedna z osób zebranych wokół stołu, jak wszyscy tutaj nosząca togę z kapturem, uderzyła żelaznym młotkiem w leżące na stole koło zębate. Również żelazne i – podobnie jak młotek – stanowiące symbol Postępowej Loży Galicyjskiej. Tym samym zebranie zostało otwarte.

Dyskusję rozpoczęto od razu. Rozmawiano po niemiecku, niektórzy jednak mówili z akcentem świadczącym o tym, że na co dzień częściej posługują się polszczyzną.

– Jeśli protesty zamienią się w zamieszki, jeżeli zaatakowani zostaną policjanci albo żołnierze…

– Zapewniam, że nie zostaną. Nie utracimy kontroli. Przywódcy wiedzą, że Franciszek Karol nie chce rozlewu krwi. Prędzej wyda rozkaz, aby pójść na ustępstwa, niż aby użyć karabinów.

– Ale Schwarzberg wręcz przeciwnie.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałem, to cesarz był władcą Galicji.

– Kiedy ostatni raz sprawdzałem, to namiestnik z całych sił starał się przekonać cesarza, że bez karabinów się nie obejdzie. I stara się nadal. A to Schwarzberg jest blisko, podczas gdy do Wiednia mamy kawałek.

– Stara się czy nie stara. Niby co miałby zrobić?

– Tego nie wiem. Odkąd dostrzegł we mnie, słusznie zresztą, konkurenta, rozmawia ze mną tak rzadko, jak tylko może. I wyłącznie o pogodzie, wiedeńskich przedstawieniach i nakręcanych zegarkach.

– Mieliśmy wokół niego swoich ludzi.

– Mieliśmy. Ale jest zbyt sprytny. Dawno się zorientował, odsunął ich. Daleko. Teraz ma przy sobie tylko takich, którym ufa. Nie przekupimy ich, zapewniam. Nie zastraszymy.

– Więc jak dowiemy się, co knuje? Jak wyprzedzimy jego ruch?

Zapadła cisza. Na Rynku za oknem nikt nie wznosił okrzyków, bowiem pora była już późna. Protestujący Polacy rozeszli się do domów albo do szynków, jak choćby do tego, który znajdował się właśnie w kamienicy numer czternaście, a konkretnie w jej piwnicach.

– Mam pewien pomysł – odezwał się ktoś, kto dotychczas milczał. Polak, niewątpliwie.

* * *

Namiestnik Ferdynand Schwarzberg przyglądał się mechanicznemu kanarkowi, słuchając raportu swojego agenta o pseudonimie Müller. Siedzący w klatce ptak milczał teraz, lecz poruszał blaszanym łebkiem zupełnie jak żywy, aż chciało się go nakarmić. Ale nie trzeba było tego robić, nie trzeba też było sprzątać eleganckiej klatki. Wystarczyło wymieniać eterową baterię, podobno nie częściej niż raz na tydzień. No, kupowanie czterech baterii na miesiąc wciąż oznaczało wysokie koszty, jednak Schwarzberg mógł sobie przecież na to pozwolić. Cesarz nie oszczędzał na pensjach namiestników.

– Podsumowując – czarnobrody agent zmierzał do końca – ta strata trzech ludzi podczas napadu w niczym nam nie przeszkadza. Do wprowadzenia w życie ostatniej części planu potrzebuję tylko sześciu. Zresztą, jeden z pozostałych i tak nie miał ochoty dalej z nami pracować.

– Co się z nim stało? – Namiestnik oderwał wzrok od kanarka.

– Zabrał pieniądze i wyjechał do rodzinnej wsi.

– Dotarł tam?

– Nie.

– Dobrze. Co do sześciu pozostałych… Trzy dwuosobowe zespoły, tak?

– Tak – potwierdził Müller. – Jeden rzuca granat, drugi pilnuje drogi ucieczki. Każda para ma dokładnie zaplanowaną trasę.

– I?

– I na każdej trasie natkną się na policjantów lub żołnierzy. I zginą. Ci, którzy ich zastrzelą, zaświadczą potem, że zamachowcy wznosili polskie okrzyki tuż przed śmiercią.

Schwarzberg pokiwał głową. Znów spojrzał na kanarka.

– Zatem wszystko przygotowane? – zapytał po chwili.

– Wszystko przygotowane. Wykonać?

– Wykonać.

Agent odmaszerował. Jednak nie w kierunku drzwi gabinetu, lecz w stronę golema stojącego pod ścianą. Była to jedna z pierwszych machin tego typu wyprodukowanych na zlecenie *kaiserliche und königliche Armee* zaraz po tym, jak okazało się, że Rosjanie dysponują już co najmniej dwoma tuzinami pancernych olbrzymów.

Co prawda pierwszy golem powstał podobno na krakowskim Kazimierzu, ale pojawiły się komplikacje i cesarsko-królewscy dowódcy nie zdecydowali się na zamówienie kolejnych. W końcu jednak poszli po rozum do głowy i podczas Kontrofensywy Marcowej mieli już prawie dwa razy więcej machin niż Rosjanie, dzięki czemu pod Częstochową i Sandomierzem odnieśli kluczowe zwycięstwa.

Ów golem z gabinetu namiestnika brał zapewne udział w jednej z tych bitew. Wgniecenia i pęknięcia pancerza oraz brakujące palce stanowiły tego najlepszy dowód. Uszkodzenia wypełnionego skomplikowanymi mechanizmami wnętrza były niewątpliwie znacznie poważniejsze i właśnie dlatego machina stała teraz tutaj

niby posąg, niby rycerska zbroja w zamczysku średniowiecznego władyki. Stała na tle olbrzymiego sztandaru bojowego Monarchii Austro-Węgierskiej, za którym znajdowało się tajne wyjście z gabinetu.

Gdy kilka minut później Müller szedł Podwalem w kierunku Placu Strzeleckiego, na niebie pojawiły się już pierwsze gwiazdy. Miasto szykowało się do snu po długim, gorącym dniu. Jednak wkrótce miało się obudzić. Niezwykle gwałtownie.

* * *

– Gotowi? – zapytał czarnobrody agent, wchodząc na poddasze.

Sześciu młodych mężczyzn, tego wieczoru wyjątkowo cichych i poważnych, przytaknęło. Potem trzech z nich podniosło z podłogi niewielkie torby. Robili to bardzo ostrożnie i bardzo powoli, przełykając ślinę, jakby nie wierzyli w zapewnienia o zabezpieczeniach granatów. Założyli kapelusze i czapki, a następnie parami zaczęli opuszczać kamienicę.

Klaus, osiłek z krzywym nosem, i Ewald, długowłosy nożownik, wyszli razem. Przecięli Plac Krakowski, minęli operę, a zaraz za Placem Gołuchowskich skręcili w Brygidek. Cel znajdował się na drugim końcu owej krótkiej uliczki, a był nim założony niedawno posterunek policji. Poza stojącą przed nim lampą nic nie oświetlało opustoszałej okolicy.

– To tamte drzwi, nie? – mruknął Klaus, zatrzymując się w połowie uliczki. – Sprawdzę, czy nadal są otwarte.

Były.

– Gut – odparł Ewald. – No to właź tam i czatuj. Kiedy usłyszysz, że nadbiegam...

– Wiem.

– Klucz do piwnicy masz?

– Mam.

– To idę – westchnął nożownik.

– Idź.

Ewald przeszedł kawałek i zatrzymał się piętnaście metrów od wylotu uliczki. Oparł się o brudną ścianę kamienicy i wziął głęboki oddech. Granat, który miał przy sobie, został stworzony po to, żeby niszczyć golemy. Musiał więc posiadać piekielną moc. Jeżeli zatem wpadnie przez okno na posterunek i tam wybuchnie, zastanawiał się nożownik, jaki przyniesie to skutek? Będą trupy, tu nie ma wątpliwości.

Ale ile trupów? I czy budynek się nie zawali? Czy nie zawalą się sąsiednie domy?

Właściwie Ewaldowi nie było żal ani policjantów, którzy zginą, ani Polaków, na których podobno spadnie wina. Do tego za ten jeden rzut dostać miał więcej pieniędzy, niż zarobił przez całe dotychczasowe życie. A jednak dopadły go wątpliwości. Co, jeżeli go złapią? Sprawdzili z Klausem piwnicę i tunel, dokładnie obgadali plan ucieczki z miasta – ale przecież zawsze coś może pójść nie tak. Poza tym, jaka jest gwarancja, że Müller wypłaci resztę pieniędzy? No, jak

dotąd nie skąpił, wywiązywał się ze wszystkich ustaleń, ale...

Nożownik potrząsnął głową. *Różne rzeczy mogą się wydarzyć po tym, jak rzucę ten przeklęty granat. Ale jeśli go nie rzucę, może wydarzyć się tylko jedna. Müller mi nie odpuści. Za późno, żeby się wycofać.*

Wyciągnął z kieszeni zegarek, który dostał od zleceniodawcy. *Jeszcze dwie minuty* –stwierdził. Wszystkie trzy granaty miały zostać rzucone równocześnie, Müller powtarzał to wielokrotnie. Niech mu będzie.

Tik–tak, tik–tak.

Jeszcze minuta.

Tik–tak.

Trzydzieści sekund.

Tik...

Raptem Ewald, wpatrzony we wskazówkę skaczącą po tarczy zegarka, dostrzegł kątem oka ruch i usłyszał szuranie butów. Odwrócił się natychmiast.

Ostatnim, co zobaczył przed utratą przytomności, była dębowa pałka pędząca na spotkanie z jego czaszką.

* * *

W gabinecie nie było już kanarka i Dionizy Chyrnowski zastanawiał się, gdzie trafił mechaniczny ptak. Za to w kącie ustawiono szafę z odbiornikiem fal eterowych, dostrojonym do nadajnika, ukrytego pod spodem klatki. Szafę przywieziono tu niedawno, jeszcze wczoraj wynalazca widział ją w siedzibie Loży.

W gabinecie nie było także Ferdynanda Schwarzberga, a jego fotel za inkrustowanym biurkiem zajmował Zygmunt von Eisenstadt.

– Uratował pan swoich rodaków – rzekł nowy namiestnik. – Uratował pan Lwów przed wojną na ulicach. Kto wie, może nawet ocalił pan całą Galicję przed rozruchami.

Inżynier tylko uśmiechnął się skromnie w odpowiedzi, więc Eisenstadt kontynuował :

– A przy okazji sprawił pan, że zająłem to stanowisko znacznie wcześniej, niż gotów byłbym przypuszczać. Jestem pana dłużnikiem. Chcę zatem panu coś zaproponować. Jako wybitnemu wynalazcy.

Chyrnowski przygryzł wargę i pokręcił głową w zakłopotaniu.

– Wie pan, że odmówię – odparł. – Zna mnie pan przecież. Nie przyjmuję rządowych zleceń. Nie chcę projektować broni.

– Nie przyszłoby mi do głowy, żeby proponować panu pracę dla przemysłu zbrojeniowego! – zapewnił namiestnik. – Ale właśnie, jak wszyscy mogliśmy się przekonać, pański geniusz pomaga w unikaniu otwartych konfrontacji. Pański geniusz może powstrzymywać przelew krwi. A to jest nam potrzebne nawet bardziej niż nowoczesne golemy albo sterowce.

Wynalazca uniósł brwi.

– W takim razie, cóż to za propozycja?

– Panie Chyrnowski, pana idea nowych podsłuchów w postaci kanarków może zrewolucjonizować pracę naszego wywiadu. I sprawić, że następną wojnę wygramy, zanim ta zdąży wybuchnąć – wyjaśnił Eisenstadt. – Więc? Co pan powie?

Pan Mortimer, banshee i kiełbasa z dzika – Daniel Nogal

Bordowy powóz wynurzył się z wieczornej mgły wypełniającej labirynt uliczek Ashtonu i wjechał na owalny Plac Triumfu. Mgła nie była już tak gęsta, trzymała się też bliżej bruku. W świetle tuzina latarni był zatem doskonale widoczny pusty cokół, stojący pośrodku placu w otoczeniu klombów. Przed laty miał nań trafić posąg pułkownika Owena, zwycięzcy spod Hanobergu, jednak potomkom bohatera, znanym z zamiłowania do kart i wyścigów konnych, raptownie zabrakło funduszy i tak oto skończyło się na granitowym słupie.

– Stój, to tutaj! – z wnętrza powozu dotarło do woźnicy polecenie.

Dwukonny pojazd zatrzymał się pod jednym z budynków otaczających plac. Była to wiekowa kamienica z gzymsami tak szerokimi, że można by po nich biegać – należałoby tylko wówczas uważać na przycupnięte tu i ówdzie gargulce, szczerzące się posępnie w celu odstraszenia duchów.

Po chwili z powozu wysiadł łysy mężczyzna o barkach atlety. Frak z najdroższego sukna kontrastował ze szramami

na szerokiej twarzy, przywodzącymi na myśl nie wielkie bitwy wojny trzynastoletniej, ale raczej nożownicze pojedynki zaułków Nadbrzeża.

– Czekaj tu na mnie. To nie potrwa długo – powiedział mężczyzna z bliznami do woźnicy, odpalając cygaro. – Mam nadzieję.

– Tak jest, panie Carrick – usłyszał w odpowiedzi.

Potem wszedł do kamienicy i po skrzypiących, bo jakżeby inaczej, schodach wspiął się na pierwsze piętro, gdzie mieściła się kancelaria pana Mortimera. Zapukał do drzwi, na których wisiała stosowna, mosiężna tabliczka.

– Zapraszam, panie Carrick – odezwał się ktoś za drzwiami.

Na szerokiej twarzy pojawił się wyraz zdumienia. Carrick wypuścił z ust kilka chmurek dymu, zanim w końcu nacisnął klamkę i przekroczył próg kancelarii.

Gabinet pana Mortimera był dużym, narożnym pomieszczeniem z wysokimi oknami wychodzącymi na południe, na Plac Triumfu, i na wschód, na Ulicę Ostatniego Pensa. Za dnia musiało być tu więc niezwykle jasno, ale teraz w pokoju panował półmrok. Paliły się zaledwie dwie lampy, jakby pan Mortimer oszczędzał na nafcie, w co jednak trudno byłoby uwierzyć, zważywszy na stawki, jakich adwokat, specjalista od spraw beznadziejnych, żądał za swoje usługi. Jedna lampa wisiała nad barkiem zastawionym kryształowymi karafkami, druga stała na blacie palisandrowego biurka. Poza kilkoma krzesłami

i skromną biblioteczką w pomieszczeniu nie było innych mebli.

– Witam w moich skromnych progach – powiedział pan Mortimer, odkładając aktualny numer „Trybuny Ashtonu” i podnosząc się ze swojego miejsca za biurkiem.

Słynny prawnik wyglądał niepozornie. Drobny, niewysoki człowieczek, nawet w cylindrze byłby niższy od Carricka. Blada cera i rudawe włosy, nieco zbyt długie jak na panującą w Ashtonie modę, również nie dodawały mu charyzmy.

– Dobry wieczór – przywitał się Carrick.

Podszedł do biurka i wyciągnął rękę, by po chwili zacisnąć wielgachne paluchy na chłopięcej dłoni adwokata. Potem, kiedy usadowił się już na krześle wskazanym przez pana Mortimera, zapytał:

– Gdy zapukałem, skąd pan wiedział, że to ja?

Prawnik uśmiechnął się, nie siadając jeszcze. W jego dużych oczach, zielonych jak płaszcz, który miał na sobie, pojawił się błysk, kiedy odparł:

– Przecież słyszał pan chyba pogłoski, że posiadam magiczne moce, prawda? Czy to nie tym opiniom zawdzięczam pańską wizytę? – Nim jego rozmówca zdążył odpowiedzieć, Mortimer podsunął mu popielniczkę, po czym skierował się w stronę barku. – Napije się pan brandy? Bo ja chętnie.

Carrick pokiwał głową i w milczeniu czekał, aż adwokat wrócił z napełnionymi szklankami. A wówczas spytał:

– Znaczy co? Widział pan mnie w jakiejś kryształowej kuli? A może w herbacianych fusach?

Pan Mortimer znów się uśmiechnął.

– No dobrze, chyba jednak muszę pana zawieść – rzekł. – Otóż żadne fusy, kule ani nawet ptasie wnętrzności nie miały z tym nic wspólnego. To jest tak... Po pierwsze, jeśli po mieście chodzą jakieś słuchy, to nigdy nie zapominają zajrzeć do mojej kancelarii. Spodziewałem się więc, że może mnie pan odwiedzić. Po drugie, widziałem przez okno pański powóz.

– Ach – mruknął Carrick, mrużąc oczy. – A jakie to słuchy dotarły do pana, panie Mortimer?

Prawnik upił nieco brandy.

– Takie na przykład, że Bran Franklin, najlepszy masarz w mieście, słynny dzięki swojemu specjałowi, pikantnym kiełbasom z dzika, został zamordowany w swojej masarni i to na dodatek własnym tasakiem.

– Jakieś jeszcze?

– Tak, a mianowicie: jednym z podejrzanych w tej sprawie jest pewien zamożny, hm, dżentelmen, posiadacz kontrowersyjnej przeszłości, paru pubów, klubów i przynajmniej trzech domów, hm, płatnej miłości, od lat robiący interesy z Franklinem i często widywany w okolicach jego masarni. Również wczorajszego wieczoru, kiedy Franklin został zabity. Dlatego posiadacz ów zapewne lada moment stanie przed Czarnym Trybunałem.

Carrick zgasił cygaro, a potem jednym haustem wypił swoją brandy. Milczał dłuższą chwilę, cały czas ściskając

w dłoni pustą szklankę, jakby walczył z pokusą zmiażdżenia jej. W końcu zapytał:

– A czy pewien znany adwokat jest w stanie pomóc pewnemu posiadaczowi?

Pan Mortimer splótł palce i pochylił się nad palisandrowym blatem:

– Panie Carrick, jeśli to prawda, co mówią na mieście, to jestem jedyną osobą, która może panu pomóc. Ale mam swoje warunki.

– Pieniądze nie grają roli – padło gorliwe zapewnienie.

– Po pieniądze rzeczywiście będzie pan musiał sięgnąć, panie Carrick, zarówno po te na moje honorarium, jak i te na wydatki, z jakimi wiązać się może moja praca dla pana. Jednak mówiąc o warunkach, nie miałem na myśli tak oczywistej kwestii.

– Aha. A jakąż to?

– Szczerość, panie Carrick, bezwzględną szczerość. Zdołam panu pomóc wyłącznie wówczas, gdy nie będę musiał polegać na słuchach chodzących po mieście, ale na prawdzie, którą usłyszę od pana. Czy jest pan gotów opowiedzieć mi, co dokładnie zaszło wczoraj wieczorem w masarni Brana Franklina?

Carrick wziął kilka głębszych oddechów i otarł chusteczką pot z pokreślonego bliznami czoła. Potem poprosił o kolejną szklaneczkę brandy, a kiedy już pochłonął jej zawartość, rzekł cicho:

– Jestem gotów.

* * *

Dorożka zawiozła pana Mortimera za wschodnią granicę miasta, na skraj Wzgórz Popielnych. Prawnik zapłacił za kurs, podziękował i wysiadł. Poprawił cylinder, otulił się peleryną i ruszył przed siebie, by już po chwili zniknąć z oczu dorożkarza, rozpłynąć się we mgle i ciemności.

Maszerował ledwie widoczną dróżką, wijącą się pomiędzy dwoma wzniesieniami, na szczytach których znajdowały się olbrzymie menhiry, umieszczone tam przed tysiącami lat przez plemiona o dawno zapomnianych nazwach. Zważywszy na późną godzinę i panującą aurę, prawnik nie mógł ich teraz dostrzec, ale dobrze wiedział, że tam są. Dobrze wiedział, jak wyglądają, jakie symbole na nich wyryto, oglądał je przecież tyle razy. Znał w tej okolicy każdy zakątek, każdą ścieżkę, każdy kamień – w odróżnieniu od większości mieszkańców Ashtonu, których na spacer po Wzgórzach Popielnych byłoby trzeba ciągnąć wołami. Te wzgórza są nawiedzone, mówili ludzie, nawiedzone i przeklęte. Pełne straszydeł, mówili. I mieli rację.

Pan Mortimer grzecznie ukłonił się siedzącemu nieopodal leprechaunowi, który z nonszalancją, burcząc coś pod wielkim nochalem, uchylił zielonego kapelusza. Nie próbując nawiązać rozmowy, adwokat poszedł dalej.

Szedł i rozmyślał. O matce. Zawsze, kiedy tu przybywał, myślał o matce. O kobiecie, która znalazła się pośród Wzgórz Popielnych w Noc Samuin, kiedy to duchy przedostają się do świata żywych po Zgubnym Moście.

O kobiecie, która pośród Wzgórz Popielnych w Noc Samuin urodziła syna, umierając przy porodzie. Nigdy nie udało mu się dowiedzieć, kim była, ani dlaczego trafiła w to miejsce w tak wyjątkowym momencie. Ale poprzysiągł sobie, że kiedyś dotrze do prawdy.

Póki co pan Mortimer dotarł jednak do rzeki zwanej Szepczącą Marą. A tam pojawiła się przy nim, raptownie jakby wyrosła spod ziemi, zjawa o srebrnych włosach.

* * *

Bordowy powóz jechał Aleją Wieszczów, przy końcu której mieścił się Klub Pod Imbrykiem, czyli najbardziej ekskluzywny zamtuz w mieście, cieszący się renomą wśród dżentelmenów z najwyższych sfer Ashtonu. Ian Carrick zmierzał tam, by dokonać inspekcji, pragnął bowiem rozluźnić się choć odrobinę. Ale jak na razie wiercił się w powozie, jakby siedział na gwoździach, i palił kolejne cygaro.

Jak on chce tego dokonać? – zastanawiał się właściciel Klubu Pod Imbrykiem. *Musiałby przecież porozmawiać z Franklinem, bo niby jak inaczej? A do pogaduszek ze zmarłymi zdolni są, jak powszechnie wiadomo, wyłącznie nekromanci. Ale wiadomo również, że sędziowie Czarnego Trybunału bacznie pilnują, by nikt oprócz nich nie przyzywał duchów. Kara za przeprowadzenie takich rytuałów poza Czarną Izbą od wieków pozostaje ta sama: śmierć. Już nie śmierć na stosie, jak jeszcze sto lat temu, gdy czarowników palono na miejskich placach, choćby i na*

Placu Triumfu, który nazywał się niegdyś Placem Czystości – ale powieszenie to również nic przyjemnego.

Pojazd podskoczył nagle, kiedy jedno z kół wpadło do dziury. Cygaro wypadło zamyślonemu Carrickowi z ręki.

– Przepraszam, panie Carrick! – zawołał woźnica, spodziewający się ostrej nagany ze strony szefa. – Nie zauważyłem! To przez tę cholerną mgłę.

Ale Carrick, rzecz dla niego wyjątkowa, nie skarcił pracownika choćby jednym słowem. Schylił się, podniósł gasnące cygaro i dumał dalej.

Jak ten blady kurdupel zamierza mi pomóc? Jak robił to wcześniej, jak uratował przed lochem czy stryczkiem tych wszystkich zabójców i sam nie został skazany na śmierć za czarnoksięstwo? W czym tkwi jego sekret?

* * *

Wyglądała dokładnie tak samo jak wówczas, kiedy spotkał ją po raz pierwszy, gdy w noc swoich siódmych urodzin wymknął się z sierocińca i pobiegł na Wzgórza Popielne. Ubrana w powłóczystą, białą suknię, szarpaną wiatrem, którego nie było. Wysoka i smukła, z cerą jasną i gładką jak alabaster, włosami jak srebrne nici i oczami niczym okruchy lodu. Delikatna. Piękna. Upiorna.

Strażniczka Zgubnego Mostu. Zwiastunka Śmierci. Banshee.

– Witaj, zagubiony chłopcze – wypowiedziała te same słowa, co w noc jego siódmych urodzin. Zawsze witała go tak samo, zawsze nazywała go zgubionym chłopcem.

– Witaj – odparł drżącym głosem Mortimer. Nie, nie bał się jej, nigdy się jej nie bał, ale kiedy stała tak blisko, czuł zimno przenikające go do szpiku kości.

– O kogo chodzi tym razem? – spytała.

– O Brana Franklina, masarza – odpowiedział, pocierając dłońmi drętwiejące ramiona.

Pokiwała głową.

– Kto go zabił?

– Ian Carrick, niegdyś zakapior z Nadbrzeża, dziś człowiek interesu.

– Dlaczego człowiek interesu zabija masarza? Opowiedz mi – uśmiechnęła się. – Lubię, gdy opowiadasz.

Odwzajemnił uśmiech.

– Franklin dostarczał swoje wyroby do wszystkich lokali Carricka, który od lat był jego najważniejszym klientem. Wszystko układało się między nimi dobrze do dnia, w którym o masarzu napisano w „Trybunie Ashtonu". A właściwie nie tyle o nim, co o jego słynnym specjale, o franklinkach, jak je nazwano w artykule.

– O czym? – Banshee uniosła srebrne brwi.

– O jego kiełbasach z dzika. Rzeczywiście wyśmienitych, muszę przyznać. W każdym razie efektem było to, że wyroby Franklina zyskały jeszcze większą popularność, zaś masarz, to już słowa Carricka, popadł w taki samozachwyt, że oderwał się od rzeczywistości. I z tygodnia na tydzień dwukrotnie podniósł ceny. Więc Carrick wybrał się do niego, żeby...

– Zabić go? – przerwała. – Zabić przez kiełbasę z dzika?

– Nie, właściwie nie. To znaczy, hm, znaczy... – zająknął się prawnik. – Cóż, Carrick pojechał przemówić Franklinowi do rozsądku. Nie mógł teraz przerzucić się na innego, mniej renomowanego dostawcę, ale ani mu się śniło płacić podwójnej ceny. Zaczęli rozmawiać, rozmowa przerodziła się w kłótnię, co stało się tym łatwiej, że masarz solidnie opijał swój sukces i sławę. Aż w pewnej chwili, jak twierdzi Carrick, Franklin sięgnął po tasak. Zaczął krzyczeć, że zrywa współpracę, wyganiać Carricka z masarni, a nawet grozić mu. A coś takiego zapewne przełknąłby człowiek interesu, ale nie bandyta z Nadbrzeża... Carrick przysięga, że nie chciał go zabić, że, hm, tak jakoś wyszło w trakcie szarpaniny. Ale tak czy inaczej...

– Tak czy inaczej – znów weszła mu w słowo – stanie przed Czarnym Trybunałem, który zapyta Brana Franklina, czy Ian Carrick go zamordował.

Pan Mortimer potwierdził kiwnięciem głowy. Cisza trwała dłuższą chwilę, aż w końcu zmarznięty adwokat zapytał:

– Franklin wciąż jest po drugiej stronie mostu, prawda? Nie odpłynął jeszcze na wyspy?

Strażniczka Zgubnego Mostu spojrzała prawnikowi w oczy.

– A skąd wiesz, że pisany jest mu Archipelag Drugiego Słońca, nie zaś Mrok Pod Światem? – spytała.

– Masz rację, nie wiem. Tak tylko założyłem. Może to przez mój wrodzony optymizm i pogodę ducha? –

zażartował. – Tak czy inaczej, jeśli przejdę przez most, to spotkam Franklina?

– Spotkasz – potwierdziła banshee, odwracając się bokiem do pana Mortimera. – O ile przejdziesz przez Zgubny Most.

– Chcesz mnie powstrzymać? – zdziwił się prawnik.

– Wiesz, że nie mogę. Czas i miejsce twoich narodzin sprawiły, że zawsze zdołasz odnaleźć Zgubny Most. Zawsze też możesz na niego wejść. Ale…

– Tak, wiem – tym razem to on jej przerwał. – Za którymś razem mogę nie przedostać się na drugą stronę. Mogę zostać strącony wprost do podziemia. Wiem o tym, ale zaryzykuję.

Pokiwała głową.

– Jak sobie życzysz, zgubiony chłopcze. Zatem idź już.

– Idę. Do widzenia.

– Skąd wiesz, że „żegnaj” nie byłoby bardziej odpowiednie?

– Optymizm i pogoda ducha, wspominałem przecież – odparł adwokat i pomaszerował w górę Szepczącej Mary.

Im dalej szedł, tym mgła stawała się gęstsza, aż w końcu pan Mortimer stracił z oczu drugi brzeg rzeki. A to znaczyło, że lada moment powinien odnaleźć Zgubny Most. Jednak zanim tak się stało, usłyszał turkotanie, dźwięk wozu przejeżdżającego powoli po kamieniach.

Prawnik zdziwił się, ale nie zwolnił kroku i już po chwili dostrzegł most, a właściwie tę jego część, której nie kryła mlecznobiała zasłona. Zgubny Most wyglądał tak samo jak

zawsze, czyli jak całkiem zwyczajny, stary most zbudowany z kamieni, które zdążyły okryć się mchem – lecz po raz pierwszy ktoś korzystał z niego na oczach pana Mortimera.

Wóz jadący na drugi brzeg Szepczącej Mary na pierwszy rzut oka wyglądał aż nazbyt normalnie, jak na to miejsce i okoliczności. Ot, zwykła zaprzężona w jednego konia furmanka, jaką chłopi codziennie przywozili do Ashtonu mleko, jaja czy dziczyznę do masarni Brana Franklina. Ale gdy się przyjrzeć... Na tym wozie nie było jedzenia ani słomy, lecz stosy kości, góry żeber, piszczeli i ludzkich czaszek.

I jeszcze ten pozbawiony głowy woźnica!

Właściwie nie do końca pozbawiony – głowa bowiem, znajdująca się w fazie rozkładu, leżała obok niego na koźle i, szczerząc pokruszone zęby, wpatrywała się w pana Mortimera oczodołami, w których płonęły sine ogniki.

Dullahan – pomyślał adwokat. *To najprawdziwszy dullahan, Posłaniec Śmierci!*

Ale skoro od lat spotykam banshee, chyba nie powinienem się dziwić... Oby tylko się nie zatrzymał, byle tylko się nie zatrzymał!

Upiorny woźnica nie przystawał. Dalej jechał na drugą stronę rzeki, powoli znikając we mgle, aż pan Mortimer całkiem stracił go z oczu. Wówczas prawnik zorientował się, że od kilku chwil wstrzymuje oddech, zaraz nadrobił więc zaległości.

A może zawrócić? Może to znak, by tym razem nie wchodzić na Zgubny Most, by nie pomagać Carrickowi? To

w końcu kawał sukinsyna, który zasłużył sobie na najgorsze i… Nie! To byłby koniec mojej kariery, koniec wszystkiego, na co pracowałem przez lata. Poza tym, przecież jestem u siebie, jestem na Wzgórzach Popielnych, pół godziny temu rozmawiałem z banshee, a na widok dullahana odwrócę się i ucieknę? Nie, na pewno nie.

Prawnik poszedł więc dalej, a przed postawieniem stopy na Zgubnym Moście zawahał się tylko przez chwilę. Postawił drugą stopę, potem już dziarsko pomaszerował ku, niewidocznemu na razie, drugiemu brzegowi Szepczącej Mary. Zrobiwszy dwadzieścia, może trzydzieści kroków zamarł raptownie.

Dullahan!

Bezgłowy woźnica czekał na pana Mortimera na moście. Zatrzymał się! A przecież gdy Posłaniec Śmierci zatrzymuje się na czyjejś drodze…

To koniec – pomyślał adwokat, po raz pierwszy w życiu czując, jak ogarnia go groza.

Prawnik stał nieruchomy, jakby czyjeś zaklęcie obróciło go w kamień, tymczasem dullahan ruszył dalej i ponownie rozpłynął się we mgle.

Wciąż żyję, chyba, tylko co mam teraz robić? – zastanawiał się adwokat. *Ruszyć za nim? Czy zawrócić, póki jeszcze mogę?*

Nagle most zadrżał pod stopami pana Mortimera. Potem zadrżał po raz drugi, trzeci – za każdym razem coraz mocniej. A chwilę później nie było to już drżenie. Zgubny

Most, solidna konstrukcja z kamienia, trząsł się i chwiał na boki, jak sznurowa kładka podczas wichury.

Prawnik stracił równowagę, poleciał w lewo i zderzył się z balustradą. Boleśnie zderzył, ale przynajmniej nie spadł z mostu, który zdawał się ożywać i zachowywał się tak, jakby chciał strącić pana Mortimera ze swojego grzbietu.

Przyciśnięty do balustrady adwokat patrzył na rzekę płynącą pod mostem, ale wiedział, że jeśli spadnie, nie wyląduje w wodzie, lecz w Mroku Pod Światem. A tymczasem Zgubny Most unosił się i opadał, kołysał się w lewo i prawo.

Prawnik zebrał siły, odbił się wątłymi ramionami od balustrady i zerwał do biegu po moście uciekającym mu spod nóg. Po paru susach poczuł, że podłoże przechyla się już tylko w jedną stronę, bardziej i bardziej, jakby most miał zaraz odwrócić się do góry nogami – czy co tam mosty mają zwykle na dole w miejscu nóg.

Pan Mortimer biegł.

A kiedy nie dało się już biec, kiedy Zgubny Most już prawie całkiem wymknął mu się spod stóp, adwokat odbił się od kamieni i skoczył przed siebie, we mgłę.

* * *

Carrick siedział w fotelu przypominającym tron i wyciągał nogi w kierunku kominka większego niż izba, którą wynajmował kiedyś na poddaszu Pod Oskubaną Gęsią. Starał się nacieszyć wygodą, ciepłem, a przy okazji

najlepszą brandy, jaką znalazł w piwniczce. Ciepło, wygoda i brandy znajdowały się na liście rzeczy, których wkrótce mogło zabraknąć w jego życiu. Istniała możliwość, że wkrótce zabraknie nawet życia.

Jak dotąd tak wiele uchodziło mu na sucho, że zdążył po prostu do tego przywyknąć. W młodości spędzonej w cuchnących zaułkach i jeszcze bardziej cuchnących barach wielu pechowcom połamał kości i powybijał zęby, niejednego pochlastał nożem, z czego co najmniej dwóch tego nie przeżyło. I właściwie nic złego go za to nie spotkało, bo przecież te kilka ran, nos zdruzgotany parę razy czy stracony kawałek ucha to drobiazgi, jakimi nikt w tamtym środowisku nie zwykł się przejmować. Najważniejsze, że nigdy nie stanął przed Czarnym Trybunałem. Ba! – tak naprawdę nigdy nie został nawet aresztowany. Gwardziści, którzy na Nadbrzeże zaglądali jedynie od święta, tylko skopali go parę razy, kiedy akurat się nawinął, i tyle.

Potem, kiedy w końcu odniósł życiowy sukces – głównie za sprawą przywiezionych z południa dziwek, które godziły się robić z klientami rzeczy, o jakich ashtońskie kurewki nie chciały nawet słyszeć – dalej pozostawał bezkarny. No, oczywiście nie kroił już nikogo nożem, ale przecież łamał prawo na każdym kroku, osobiście lub za pośrednictwem swoich ludzi. Wymuszenia, płonące lokale konkurencji, oszustwa podatkowe. Na brak zainteresowania ze strony detektywów Gwardii Książęcej czy urzędników skarbowych liczyć już, rzecz jasna, nie mógł, jednak wystarczyło

wiedzieć komu i ile zapłacić albo którą dziewczynę podsunąć – a w trudniejszych przypadkach: wiedzieć, w której szkole uczą się czyjeś dzieci. I wszystko jakoś się kręciło.

Ale śmierć Brana Franklina to już zupełnie inna sprawa. Sprawa z pierwszej strony „Trybuny Ashtonu”, sprawa do przedyskutowania w każdym szanującym się salonie miasta, sprawa dla Czarnego Trybunału. Nekromantów nie dało się przekupić, a zastraszać ich mógłby tylko szaleniec. Nie można było też przed nimi uciec. Ciała tych, którzy próbowali, znajdowano czasem milę od miasta, czasem sto mil, lecz znajdowano zawsze. I zawsze wyglądały makabrycznie, o czym plotkowano później w Ashtonie przez długie tygodnie. Carrick wiedział to wszystko doskonale, wiedział, że cała jego nadzieja w dziwnym prawniku..

Wiedział też, że łomotanie do drzwi, które właśnie się rozległo, oznaczało przybycie detektywów Gwardii Książęcej.

* * *

Pan Mortimer otworzył oczy i zobaczył nad sobą niebo. Przesłonięte chmurami, ale jednak – niebo. A to oznaczało, że nie trafił do Mroku Pod Światem. To oznaczało, że udało mu się dostać na drugi brzeg Szepczącej Mary, choć po spotkaniu z dullahanem Zgubny Most chciał go z siebie strącić.

Ten sam Zgubny Most, który jak gdyby nigdy nic znajdował się o kilkanaście kroków od prawnika,

nieruchomy i stabilny.

Adwokat podniósł się z ziemi. Otrzepał z trawy i owadów wilgotną pelerynę, po chwili udało mu się nawet odnaleźć cylinder, który z satysfakcją wcisnął na głowę. Odwrócił się plecami do Zgubnego Mostu i rozejrzał się.

Po drugiej stronie rzeki Wzgórza Popielne wyglądały dokładnie tak samo: takie same wzniesienia porośnięte chaszczami, takie same obeliski na szczytach, taka sama mgła snująca się po dolinkach. Lecz o ile przed wejściem na Zgubny Most pan Mortimer miał jeszcze szanse – nikłe, ale jednak – na spotkanie żywego człowieka, tutaj z całą pewnością mógł natknąć się jedynie na martwych, czekających na rozstrzygnięcie swych dalszych pozagrobowych losów. Na ludzi takich jak Bran Franklin.

Znalazł Franklina szybko. Nie wiedział, czy był to dar otrzymany w noc narodzin, czy zwykła rzecz w tym niezwykłym miejscu, ale w każdym razie zawsze znajdował tu szybko ludzi, których szukał.

Masarz, krępy mężczyzna z modnym wąsikiem pasującym bardziej do aktora któregoś z ashtońskich teatrów niż do specjalisty od wędlin, na widok podchodzącego adwokata zerwał się z kamienia, na którym siedział.

– Jak dobrze oglądać kogoś z bliska! – zawołał radośnie. – Dotąd widziałem tylko jakieś postacie z daleka, a kiedy się zbliżałem, znikały. Już się bałem, że tu jeden martwy człowiek w ogóle nie może pogadać z drugim.

– Bo nie może – stwierdził pan Mortimer. – Tutaj, pośród Wzgórz Popielnych, umarli skazani są na samotność, dopóki nie zostaną wezwani do przystani lub do podziemia.

Franklin podrapał się po placku łysiny na czubku jajowatej głowy.

– No ale przecież my chyba rozmawiamy, nie?

– To dlatego, że ja nie jestem martwy, panie Franklin.

Masarz spojrzał na adwokata z ukosa:

– Skąd zna pan moje nazwisko? – zapytał. – I jak to: nie jest pan martwy?

– Panie Franklin, jestem z Ashtonu, któż dziś tam nie zna pańskiego nazwiska? – odparł pan Mortimer, ku kiepsko ukrywanej satysfakcji masarza. – A trafiłem tutaj, choć jeszcze nie umarłem, bo mam pewien rzadki dar.

W oczach skonfundowanego masarza błysnęły nagle iskierki zrozumienia.

– Jest pan nekromantą, tak? Członkiem Czarnego Trybunału, prawda? – zgadywał. – Ha! Już wiem, jest pan tu po to, by spytać, kto mnie zabił! Cóż, myślałem, że nekromanci ubierają się trochę inaczej, że ten cały rytuał inaczej wygląda… Ale co tam, już gadam. To Carrick, to ten sukinsyn Ian Carrick mnie zabił! Moim własnym tasakiem! Skażcie go na…

– Panie Franklin! – Prawnik przerwał potok słów. – Nie jestem nekromantą i nie mogę nikogo na nic skazać. Ale faktycznie przybyłem tu w związku ze sprawą Carricka.

Masarz przyglądał się adwokatowi nieufnie.

– Co pan chce przez to powiedzieć? – spytał.

– Chcę powiedzieć, że reprezentuję pana Carricka.

Franklin zacisnął pięści i zęby.

– Co?! – warknął.

– Pan Carrick bardzo żałuje tego, co zrobił, kiedy wasza kłótnia wyrwała się spod kontroli. Bardzo żałuje i bardzo chciałby zrekompensować...

– Zrekompensować?! – uniósł się masarz. – Zrekompensować mi to, że mnie zamordował?! Zrekompensuje jak zawiśnie, sukinsyn jeden!

Pan Mortimer spokojnie pokiwał głową.

– Rozumiem pana doskonale, panie Franklin, ale...

– Nic pan nie rozumie! To nie pan został zarżnięty tasakiem przez tę łysą kanalię!

– Dobrze, ma pan rację, nie ja. Ale rozumiem to, że chciałby pan, aby Carrick został skazany na śmierć. Jednak, poza satysfakcją, co to panu da?

– Satysfakcję właśnie, cholernie dużo satysfakcji! A co innego mogę dostać, kiedy jestem już martwy, co? Carrick zagwarantuje mi bilet na statek do Archipelagu Drugiego Słońca, hę?

– Obawiam się, że to nie leży w granicach jego możliwości. Ale już, na przykład, przekazanie dużej sumy pieniędzy pana rodzinie to jak najbardziej realna opcja.

Franklin parsknął i splótł ręce na piersi.

– Nie mam żadnej rodziny. No, poza młodszym bratem, ale ten pijak i pasożyt po mojej śmierci odziedziczy aż za dużo, a i tak zaraz wszystko przehula. Więc, panie prawnik, nic tu po panu. Nie przekona mnie pan. Kiedy odezwie się

do mnie Czarny Trybunał, opowiem wszystko, na pohybel Carrickowi!

Pan Mortimer zastanawiał się przez chwilę, przyglądając się masarzowi stojącemu w dumnej pozie. W końcu rzekł:

– A gdyby tak...

* * *

Carrick wiercił się na ławie, patrząc na trzech nekromantów rozpoczynających Rytuał Przywołania. Sędziowie Czarnego Trybunału, odziani w ciemne togi i zakapturzeni, z twarzami skrytymi za srebrnymi maskami, ustawili się wokół kręgu wymalowanego bogowie wiedzą czym na posadzce pośrodku sali. Stukając jesionowymi laskami o podłogę, zaczęli wybijać rytm, jednostajny i ponury. W końcu jeden z nekromantów rozpoczął inkantowanie zaklęć, po minucie przyłączył się drugi, a potem i trzeci również recytował sylaby w języku zakazanym poza Czarną Izbą.

– A co, jeśli Franklin tak naprawdę nie dał się przekonać? – zapytał szeptem Carrick, obróciwszy się ku siedzącemu obok adwokatowi. – Co, jeżeli pana oszukał, panie Mortimer?

Prawnik westchnął.

– Wówczas czeka pana szubienica albo, w najlepszym razie, dożywocie w lochu – odpowiedział klientowi beznamiętnym głosem. – A mnie koniec błyskotliwej kariery. Więc bądźmy dobrej myśli.

Carrick przeżuł przekleństwa, które cisnęły mu się na usta, i wrócił do obserwowania rytuału. Nekromanci inkantowali coraz głośniej, coraz agresywniej, jakby zamiast wezwać ducha, próbowali go przestraszyć albo zwymyślać. Tymczasem symbole wyrysowane na posadzce zaczynały – a może zestresowanemu Carrickowi tylko się zdawało? – lśnić. Po chwili powietrze nad kręgiem zafalowało jak nad garnkiem z wrzącą wodą. Właściciel najlepszych burdeli w Ashtonie otarł dłonią pot z pokreślonego szramami czoła. To już za chwilę, już za chwilę rozstrzygnie się mój los.

Powietrze nad kręgiem falowało coraz mocniej, zamgliło się i nagle lampy wiszące na ścianach Czarnej Izby przygasły na moment. Kiedy na powrót zrobiło się jasno, Carrick zobaczył, że pośrodku kręgu, otoczony błyszczącymi okultystycznymi wzorami, stoi… Bran Franklin! Bran Franklin jak żywy. Choć martwy.

– Branie Franklinie – odezwał się jeden z nekromantów.

– Zostałeś wezwany przed oblicze Czarnego Trybunału – dodał drugi.

– Aby pomóc w odnalezieniu swojego zabójcy – dokończył trzeci.

Masarz, wyglądający na odrobinę zagubionego, rozglądał się przez chwilę po sali, skrobiąc przy tym łysinę. W końcu jego spojrzenie zatrzymało się na obliczu Carricka, który był bliski zejścia na zawał serca. Franklin zmrużył oczy, zaciśnięte szczęki zadrżały mu lekko.

– Branie Franklinie – podjął po chwili pierwszy nekromanta.

– Czy dostrzegasz na sali swojego zabójcę?

– Jeśli tak, wskaż go nam natychmiast.

Franklin jeszcze przez moment piorunował wzrokiem Carricka, a później ponownie rozejrzał się po sali, powoli i uważnie. Aż wreszcie udzielił odpowiedzi sędziom Czarnego Trybunału.

* * *

Pan Mortimer stał w oknie swojej kancelarii z filiżanką parującej herbaty w jednej ręce i spodeczkiem w drugiej. Ian Carrick wyszedł przed chwilą, po uregulowaniu ostatnich rachunków za usługi mniej więcej prawnicze, i teraz adwokat odprowadzał go wzrokiem do bordowego powozu. Woźnica ruszył zaraz i już po minucie pojazd zniknął w jednej z uliczek odchodzących od Placu Triumfu.

Prawnik upił kolejny łyk zielonej herbaty, a potem znalazł sobie inny obiekt do oglądania. Obiekt znajdujący się dokładnie pośrodku placu, na marmurowym cokole, na którym niegdyś miał stanąć kamienny pułkownik Owen, zwycięzca spod Hanobergu.

Jednak zamiast wybitnego dowódcy prężył się tam dumnie krępy mężczyzna z wąsikiem, ubrany w, rzecz dla posągów nietypowa, fartuch. Ale za rzecz bardziej jeszcze niezwykłą należało uznać zwisające u rąk mężczyzny... pęta kiełbasy.

Pęta pikantnej kiełbasy z dzika, najsłynniejszego przysmaku Ashtonu.

Daniel Nogal

Rocznik 1984. Absolwent częstochowskiego IV LO, o którym śpiewa T.Love, oraz Uniwersytetu Wrocławskiego. Z wykształcenia politolog, z zawodu – najczęściej – dziennikarz, z zamiłowania podróżnik. Zakochany w Azji, a zwłaszcza w gorącej Malezji, gdzie zresztą rozgrywa się akcja jego debiutanckiej powieści.

Miłośnik gier wszelakich (od fabularnych, przez komputerowe, po pokera), amerykańskich seriali oraz ciężkiej muzyki. Przy czym, sięgające pasa włosy ściął dawno temu. Młodość spędził na czytaniu, najbardziej ceniąc sobie opasłe tomiszcza w rodzaju „Atlasa Zbuntowanego”, jednak pewnego dnia w końcu wyszedł na słońce i mu się spodobało.

http://geniuscreations.pl/autorzy/daniel-nogal/
https://madbooks.pl/nogal-daniel
https://ebook.madbooks.pl/daniel-nogal

Armia ślepców – Romuald Pawlak

Cisza w prywatnej komnacie cara Samuela była tak dotkliwa, tak nieznośna, tak długa, że komuś mniej cierpliwemu niż jego doradca Tiabros mogła się wydawać czymś strasznym. Mnich był jednak przyzwyczajony do tych chwil, kiedy władca zapadał w głębokie zamyślenie. Usiadł przy kominku, na którym płonęły sosnowe drwa, i obserwował spokojnie swego pana.

Samuel wciąż milczał i milczał. Tylko drobne mięśnie grające na twarzy cara świadczyły o targającym nim napięciu.

Wreszcie mruknął z niechęcią:

– Odpraw ją. Nie muszę się uciekać do czarów, by rządzić państwem.

Mnich wstał. Górował teraz nad władcą – i byłaby to niebywała wprost obraza, karana głową, gdyby obaj nie znali się tak długo, niemal od dziecka. Samuel nigdy nie traktował swego doradcy jak innych.

– Ale ona… – zaczął Tiabros.

Władca spojrzał na niego zimnym, spokojnym wzrokiem. Lecz gdzieś tam, na dnie tego spojrzenia, bystre oko mnicha dostrzegło rozpacz.

– I nikt nie może się dowiedzieć o tej propozycji, rozumiesz? – stwierdził Samuel tonem, jakim raczej należałoby wydawać wyroki śmierci niż poufne dyspozycje. Choć często bywa to to samo.

Doradca zgiął się w niskim pokłonie. Żałował teraz, że nie odmówił księciu Dymitrowi, kiedy ów nakłaniał go do podsunięcia tej kobiety carowi.

– Tak, mój panie. Czym prędzej się jej pozbędę.

* * *

Wieszczka nie potrzebowała słów Tiabrosa. Chociaż wyglądała bardzo młodo, jakby zaledwie kilka lat temu zamieniła dziecięce szaty na strój młodej kobiety, sama domyśliła się wyniku rozmowy. Siłę swych rad i przepowiedni czerpała zarówno ze świata nadnaturalnego jak i z rozumienia gestów oraz odczytywania wyrazu twarzy ludzi, którzy szukali u niej pomocy.

– Popełnił błąd – westchnęła, poprawiając czarną, prostą suknię bez ozdób. Spojrzała mnichowi prosto w oczy, uśmiechnęła się ze smutkiem, wreszcie sięgnęła po futrzany płaszcz, dar od księcia Dymitra. – Błądzi w mrocznych korytarzach, a potrzebuje choć promyka światła, który naprowadzi go na właściwą drogę…

Tiabros podszedł i chwycił ją za ramię. Ścisnął gniewnie, z całej siły, jak opierającą się kozę.

– Nie ty będziesz światłem naszego cara! Ciesz się, że nie kazał cię zabić. Wracaj do swego pana i raduj się pobytem w Ochrydzie, póki możesz!

Kobieta prychnęła cicho. Po raz ostatni rozejrzała się po komnacie. Nigdy nie była tak blisko cara. Nawet stąd czuła jego rozdzierającą samotność, smutek i potrzebę rozwiania krążących nad jego głową mgieł. Także obaw o przyszłość.

– Naprawdę powinien mnie wysłuchać… – podjęła.

Mnich z rozmachem uderzył ją w twarz. Zdziwił się własnej reakcji, może nawet trochę przestraszył. Uniósł rękę, jakby chciał coś zrobić, może przeprosić zaskoczoną wieszczkę. Po chwili wahania wskazał jej drzwi. Pocierając dłonią palący policzek, podążyła ku wyjściu.

Wracaj do księcia – pomyślał nagle rozłoszczony Tiabros.

* * *

Zostawszy sam, car wreszcie mógł przestać udawać.

Był zmęczony, czuł się stary niby biblijny prorok, którego imię nosił. I jak on, spoglądając w przeszłość, mógł rzec: „Moją zasługą jest ich zjednoczenie. Jak Samuel biblijny zjednoczył Izraelitów przeciw Filistynom, tak ja zebrałem plemiona i ziemie przeciw ciemiężcy, dałem swym ludziom własne państwo”.

Teraz jednak to wszystko wymykało mu się z rąk. A winien temu był ów przeklęty władca Konstantynopola, Bazyli II.

Obaj młodo wstąpili na swe trony. Wojnę toczyli od kilku dekad, niby w imieniu państw, ale było w tym coś osobistego, jakaś gra sił i charakterów, mocowanie się jak

w zapasach. Zacięci wrogowie, którzy nigdy nie spojrzeli sobie w twarz…

Pośród osobistych rzeczy w jednej ze skrzyń Samuel trzymał medalion z obliczem Bazylego. Był to portret władcy, który porzucił już hulaszczy i lubieżny tryb życia, z jakiego ongiś słynął. Portret mężczyzny surowego, podejrzliwego i drażliwego. Skupionego na swoim celu: rozszerzeniu granic Cesarstwa tak bardzo, jak to tylko możliwe za życia jednego człowieka.

Czasem Samuel przeklinał go, jak podczas greckiej wyprawy, kiedy został ranny w bitwie z bizantyńskim wodzem Niketasem Uranosem na ziemiach Peloponezu. Częściej jednak patrzył w oblicze władcy Bizancjum z triumfem, pytając: „I co, stary głupcze? Co teraz powiesz?”.

Ich drogi po raz pierwszy skrzyżowały się, kiedy młody bazileus poprowadził swą pierwszą wyprawę prosto na bułgarskie ziemie przeciw młodemu, ledwie obdarzonego insygniami władzy carowi. Wtedy najeźdźca dotarł aż do Serdyki i sięgnął serca słowiańskiego państwa. Jednak miasta, pomimo oblężenia, nie udało mu się zdobyć. I to Samuel był wtedy górą, bo we Wrotach Trajana zastawił pułapkę na powracającą bizantyńską armię, dokonał istnej rzezi. Do dziś na wspomnienie tamtego triumfu staremu carowi lśniły oczy. Och, ależ ci Grecy uciekali! Wytoczoną z nich krwią można by wykreślić szlak aż do Konstantynopola, ha!, nawet dalej, aż ku Doryleum…

Była to zapłata za wcześniejsze upokorzenie, kiedy to władca bułgarskiego państwa, Borys II, spętany więzami niewoli uświetnił triumf Jana Tzymiskesa w stolicy. Samuel zmazał tę hańbę.

Pragnął jednak więcej. Chciał być niby Symeon, którego z honorami przyjęto w Konstantynopolu, który z rąk tamtejszego patriarchy otrzymał koronę bazileusa Bułgarii, a wreszcie niemal został uznany za współcesarza, co drogą sukcesji otworzyłoby mu drogę do tronu Bizancjum.

Niemal. Dworskie intrygi zniweczyły plany Symeona. Młody Samuel, połykając kolejne ziemie słabego Cesarstwa, zamierzał naprawić ten błąd.

Stary car gorzko śmiał się z tych planów żądnego greckiej krwi młokosa, jakim był niegdyś. Być może gdyby trafił na kogoś innego po drugiej stronie, jakiegoś malowanego paniczyka bojącego się doradców, skupionego na czytaniu ksiąg i dworskich zabawach…

Czemu los skrzyżował jego drogi z tym człowiekiem, który – podobnie jak on – nie znosił cudzej potęgi u własnego boku? Przyszło mu walczyć z wilkiem, cesarzem-żołnierzem, nie zaś, jak to zwykle tam u nich bywało, cesarzem-filozofem oderwanym od spraw ziemskich, błąkającym się pośród oparów teologicznych czy prawnych dogmatów.

Bazyli na początku z trudem wytrzymywał napór bułgarskich armii. Te docierały nawet pod mury Adrianopola. Lecz z czasem przezwyciężył własne słabości, przebudził się w nim prawdziwy wojownik. Ostatnie

dziesięć lat to były triumfy Bizantyjczyka. Cesarz już zdołał oderwać Macedonię i Tesalię, odbierał miasto po mieście, twierdzę za twierdzą, a teraz zamierzał wydać Bułgarom walną bitwę pośrodku ich ziem. Car nie miał złudzeń: w lecie wszystko się rozstrzygnie.

Tak… wszystko wymykało mu się z rąk. A co gorsza, jego jedyny syn, Gabriel Radomir, nie nadawał się na następcę. Brakowało mu charakteru, umiejętności rozmawiania z ludźmi, a wreszcie najzwyklejszego rozumu, aby mieć w trudnych sprawach własne zdanie. Szkoły, do których Samuel posyłał syna, nauczyły go ogłady, lecz nie męstwa i nie przenikliwości władcy. Car z obawą spoglądał w przyszłość i nie pocieszał go fakt, że Bazyli ma podobne problemy ze schedą.

Obaj byli teraz starzy i schorowani. Jeden pragnął zachować to, co z takim trudem zbudował, drugi zaś pragnął to odebrać, aby ze swej potęgi stworzyć pomnik na wieczność.

I to Samuel wciąż cofał się w tej grze, tracił siły. Bazyli triumfował.

Car podszedł do skrzyni, wygrzebał medalion. Otworzył go i popatrzył z nienawiścią na posępne, podobne do kruka oblicze swego wroga.

– Jak cię pokonać? – mruknął.

Naraz ogarnęła go fala gorąca, atak niepohamowanej wściekłości. Rzucił medalionem o podłogę. Podniósł, rzucił jeszcze raz… i jeszcze… dopiero wtedy się uspokoił. Kopnął

go pod sofę. *Tam jest twoje miejsce* mściwie. *W proch i kurz, w niepamięć!*

Brzęk zwabił Tiabrosa. W jego spojrzeniu widać było niepokój.

– Nic się nie dzieje! – uspokoił go Samuel, uśmiechając się gorzko.

Mnich odpowiedział kwaśną miną.

– Bardzo głośno myślisz, panie.

Car tylko niecierpliwie machnął ręką.

– Lepiej mi powiedz, co sądzisz w takiej sprawie: czy ze złej matki może się zrodzić dobry syn?

Doradca dobrze znał swego władcę i bez trudu podchwycił tok jego myśli.

– Myślisz, panie, o Teofano, jego matce? Może i była morderczynią, jak wieść niesie, ale dla swych dzieci chciała dobrze. I on też może dla Bizancjum jest dobry, choć nam niesie klęskę za klęską.

Samuel skrzywił się. Nic jednak nie rzekł, bo w słowach Tiabrosa kryło się sporo racji, a cenił go za prawdę, nie za głupstwa wypowiadane ze strachu lub umysłowej nędzy.

– Jak do niego dotrzeć? – spytał z rozpaczą. – Próbowałem go szpiegować, otruć, a nawet zawiązać tajny sojusz z serbskimi góralami. I wszystko na nic. A teraz nęka nas, wiosną znów spróbuje zaleźć za skórę, wypchnąć z gniazda, w którym siedzimy.

Mnich westchnął.

– Prawdziwy dziedzic Teofano z niego, panie mój. Trzyma władzę i nie puści, gotów posunąć się do

wszystkiego. Nie wiem, czy ktokolwiek ma na niego wpływ. Przecież wiesz, że z nikim niemal się nie spotyka, a decyzje podejmuje sam. Może się boi, a może nie ufa ludziom. Trzeba go będzie pobić w polu, nie ma innej drogi.

– To wiem i bez ciebie – wzruszył ramionami zawiedziony Samuel. – Szukałem łatwiejszego sposobu.

Tiabros zawahał się.

– Panie, mogę ją przy…

Uniesiony w niemym ostrzeżeniu palec cara sprawił, że doradca zamilkł w pół słowa. Bezradnie rozglądał się po komnacie. Była niemal pusta. Bardziej wystawnie wyglądały pokoje choćby księcia Dymitra, a nawet – co mnich konstatował z pewnym wstydem – jego własna izba. Samuel nie lubił przepychu. *To też łączy go z tym ascetycznym starcem rezydującym w Konstantynopolu* – pomyślał z nagłym zaskoczeniem Tiabros.

– Odejdź – nadspodziewanie łagodnie poprosił jego władca – Chcę się pomodlić w samotności.

* * *

Rankiem, ledwie wstał, posłaniec od Dymitra przyniósł list. Książę prosił o spotkanie w cztery oczy.

Samuelowi również to odpowiadało. Chciał porozmawiać bez świadków o zbliżającej się kampanii. Wczoraj, w środku ciemnej nocy, przebudził się z krzykiem, a później wstał i wypił kilka łyków wody. Nie mogąc spać, przemyślał sprawę. Bitwa w otwartym polu była ryzykowna, ale można spróbować zwabić starego lisa w pułapkę.

Dymitr wkroczył do komnaty niczym do zbrojowni. Krok miał sprężysty, a postawę wojowniczą. Przyklęknął na kolano, chyląc głowę, ale gdy car dał znak, żeby porzucili ceregiele, dowódca bułgarskich wojsk natychmiast spojrzał na nich hardo.

– Odprawiłeś ją, panie? – zaczął.

W pierwszej chwili car nie bardzo wiedział, o co chodzi księciu. Dopiero po chwili domyślił się, kogo Dymitr ma na myśli.

– Odprawiłem – potwierdził. – Przecież wiesz, że nieraz korzystałem z usług wieszczek i nie uchroniło nas to od klęsk…

Książę spochmurniał.

– Ona jest inna. Sprawdzona.

Samuel zrobił kilka szybkich kroków po komnacie. Roześmiał się ochryple.

– Pewna jak ta, która kazała nam iść na Adrianopol, w drugą stronę świata, podczas kiedy Bazyli oblegał nasz Widyń? Musi to odciągnąć Bazylego, twierdziła, zapatrzona w żywą wodę. Cesarz na pewno ruszy ratować swe miasto… A tymczasem osiem miesięcy oblegał naszą twierdzę, aż padła, i cóż nam dało splądrowanie Adrianopola? Od dziesięciu lat próbujemy odzyskać Widyń. Bezskutecznie. Tyle nas kosztowała porada owej kobiety.

Przerwał, by po chwili dodać jeszcze:

– Tak, pamiętam, że nie ty dowodziłeś wtedy wojskami. Ba, nie ty proponowałeś mi tamtą wieszczkę…

– Ona już kilka razy przepowiedziała prawdę – mruknął zaczepnie czerwony na twarzy książę. – Można by jednak z tego skorzystać… Co mamy do stracenia?

Car podszedł do okna. Na dziedzińcu wymiecionym ze śniegu, którego w nocy napadało po kolana, jacyś wyrostkowie ćwiczyli się w walce na drewniane miecze. Samuel gestem zaprosił Dymitra, wskazał mu dzieciaki.

– Nam potrzebne są męstwo i rozum. Może szpiedzy. Wszystko rozstrzygnie się latem, jak znam życie, za sprawą miecza i łuku.

Westchnął, podszedł do stolika przy jednej ze ścian. Nalał wina do dwóch srebrnych pucharów, jeden podał księciu, drugi zbliżył do ust i upił łyk trunku.

– Dymitrze, chłopcze, ty naprawdę wierzysz w jej brednie? – spytał wreszcie. – Jesteśmy tu sami, nikt nie słucha, zatem powiem wprost: kiepski byłby z ciebie dowódca, jakby zamiast żołnierzy musiała walczyć za ciebie baba! A przecież cenię cię, boś waleczny i wygrałeś mi niejedną bitwę bez pomocy wróżek czy demonów, samym tylko solidnym żołnierskim rzemiosłem!

Książę jeszcze mocniej poczerwieniał na twarzy, zagryzł wargę tak bardzo, że zdało się – jeszcze chwila i tryśnie krwią. Nic jednak nie odrzekł.

* * *

Tej nocy w komnacie księcia Dymitra świece płonęły długo, a wokół unosił się zapach ziół.

– Musi się strzec Radomira – jęczała wieszczka. – Powiedzcie mu… kiedy na niego spojrzy… jego zimny oddech przyniesie carowi śmierć…

Książę wzruszył ramionami. Nie było w otoczeniu cara nikogo, kto by się tak zwał, poza odesłanym z dworu jego synem. Trzeba będzie o tym pamiętać… w stosownej chwili. Dymitr uśmiechnął się okrutnie, samymi wargami, nie odsłaniając zębów.

Sięgnął po przyszykowany powróz.

Być może powinien obawiać się skutków tego, co zamierzał uczynić. Był jednak jeszcze niestary, miał dopiero trzydzieści dwa lata. I łaknął władzy, którą nie będzie musiał się z nikim dzielić.

* * *

Dwa dni później psy na przedmieściach wygrzebały ze śniegu ciało wieszczki. Obok leżał okuty kij podróżny i tobołek.

Byli tacy, co się dziwili, czemu kobieta opuściła stolicę i samotnie powędrowała zimowym szlakiem.

Znaleźli się jednak i tacy jak Tiabros, których modlitwa tego dnia była gorliwsza niż zwykle, jakby ich winy były większe.

* * *

To było coś znacznie gorszego niż porażka z ręki Niketasa Uranosa na Peloponezie! Tamta była przypadkowa, zadana w czasie łupieżczego rajdu, na obcej

ziemi. Tu wpadli w sidła szczwanego lisa, który pozwolił im wejść na przełęcze Biełasicy, niby to uciekając… i naraz okazało się, że jego wojska są wszędzie, po prostu wszędzie, i zaciskają pierścień okrążenia wokół armii Samuela! Jakim cudem bazileus przeprawił swe oddziały przez rwący, wezbrany Strymon?! Jakim cudem, zamiast wpaść w pułapkę, sam zdołał ją zastawić?!

Gdyby nie poświęcenie Dymitra, stary car już by nie żył, nie uszedłby z zasadzki. Wykpił się poważną raną uda. Leżał teraz bezsilnie na wozie skaczącym na wertepach i jęczał niby kozica, gdy koło trafiało na większą nierówność i wóz podskakiwał, wyrzucając w powietrze miękkie koce wraz z Samuelem.

Ucieczkę prowadził jeden z tutejszych, znający te góry jak własną kieszeń. Wysforował się naprzód, dając grupce towarzyszącej władcy sposobność zamienienia kilku poufnych słów.

– Książę Dymitr walczy jak nigdy dotąd, jak sam diabeł wcielony! – Tiabros, jadący konno obok wozu, próbował pocieszyć cara. – Jeszcze nie wszystko stracone! Jakoś wycofa się z ludźmi. Bazyli nie zdoła przecież całej armii przerzucić byle jakimi przeprawami, a mosty pozrywane!

Samuel pokręcił głową. Był coraz bledszy. Z rany wciąż sączyła się krew.

– To nie wystarczy – stęknął. – Ocali ćwierć armii, jak Bóg da.

Naraz zakręciło mu się w głowie. Zamknął oczy i zapadł w niespokojną drzemkę.

Spoglądając na rannego cara, doradca zastanawiał się, czy dowiozą go żywego do Prilepu oddalonego o dwa dni ostrej jazdy.

Zbliżył się do przewodnika i zagadnął go o to.

– Te góry niejednego zmogły – ten chwilę się wahał, nim odpowiedział. – I myśmy też się cudem wyrwali. Ale skoro już, damy radę dotrzeć do miasta, moja w tym głowa. Czy cara żywego dowieziem, to inna rzecz. Bóg jeden wie.

Tiabros wzruszył ramionami. Każda góra, u stóp której się przegrywa, jest zła dla pokonanego. I dobra dla zwycięzcy. Mnich miał nadzieję, że nigdy, przenigdy już tu nie wróci.

W dali ponad masywem wznosił się wysoki szczyt nakryty śniegową czapą, gdzieniegdzie tylko odsłaniający granitowe żebra sterczące niczym szkielet kościotrupa. Mijali go z lewej, schodząc do długiej doliny, w której leżał Prilep.

Przewodnik uśmiechnął się do własnych myśli. Widząc strach mnicha, nie podzielił się wiedzą, że tutejsi, mimo iż dobrze znali straszliwe lawiny schodzące z owej góry, nadali jej miano Radomir.

W miejscowym dialekcie *„pogadać z Radomirem”* oznaczało śmierć w górach.

* * *

Samuela obudziły promienie słońca. Przez zasłony ożywczy, przesiany przez materię blask docierał do łoża cara, rozgrzewając jego słabe ciało.

Dłuższą chwilę stary władca leżał bez ruchu, przypominając sobie, kim jest, gdzie jest i co tu robi. Potem pamięć podsunęła pogrom w biełasickim paśmie, ranę, paniczną ucieczkę…

Skrzywił się z niesmakiem i zdecydowanym ruchem odrzucił skórę okrywającą go po brodę.

Udo obwiązane było grubym opatrunkiem, spod którego wyciekała lecznicza maść. Nie bolało, nie wyczuwał również zapachu gangreny. *Będzie dobrze* – pomyślał. Gdzieś zza ściany dobiegał szmer rozmów, jednak Samuel był jeszcze senny i słaby, nie paliło mu się do towarzystwa.

Po chwili usłyszał szmer zawiasów i ktoś przestąpił próg komnaty. Car odwrócił się w tamtą stronę, ale opończa zawieszona nad wejściem skrywała postać wchodzącego.

– Kto? – rzucił półgłosem, odruchowo rozglądając się za jakąkolwiek bronią.

– Ja, panie – uspokoił go Tiabros. Mnich wszedł do środka, starannie zamykając za sobą drzwi. Przysiadł na prostym, drewnianym zydlu przy łożu swego władcy, spoglądając na niego badawczo.

– Jak długo leżę? – spytał Samuel.

– Trzy dni – odparł z wahaniem doradca. – Rana jest dosyć poważna, sporo krwi straciłeś, panie…

Car milczał przez chwilę. Trzy dni… a więc jak nic sześć od bitwy.

– A Dymitr? Co z armią?

Tiabros poruszył się niespokojnie. Zydel zatrzeszczał, jakby miał się rozpaść pod jego ciężarem, choć mnich był

szczupły, by nie rzec – chudy. *Cóż, meble tu takie, jak i miasto: biedne* – pomyślał Samuel. *Nie to, co w Ochrydzie*. Prilepski zamek, gdzie się teraz znajdowali, w niczym nie przypominał fortecy w stolicy.

– Nie wiem. Wróciły jakieś luźne grupki, reszta ponoć pod wodzą Dymitra wciąż się bije…

– Nie chcę żadnego „ponoć”! – przerwał mu zniecierpliwiony władca, podrywając się z łoża. Wysiłek był zbyt wielki, znów opadł na poduszki. – Na co czekasz? Aż tu umrę?! Jak nie wiesz, gońców pchnij, uczyć cię mam?! Do diabła, czemu wcześniej tego nie zrobiłeś?!

Doradca niemal wybiegł z komnaty.

Zaraz potem, jakby przywołany przez Tiabrosa, wkroczył do niej medyk, starszy brodaty mężczyzna o spojrzeniu pijawkarza, który odruchowo szuka u chorego miejsca na ciele, gdzie mógłby ulokować swe oślizgłe stworzenia. Obejrzał ranę, pokiwał głową, wreszcie orzekł, że za tydzień Samuel będzie mógł wstawać.

Później służba przyniosła posiłek. Car wypił trochę rosołu, skubnął pieczystego i wmusił w siebie jabłko, aż wreszcie gniewnym ruchem ręki odprawił całą tę hałastrę.

– Precz! Muszę pomyśleć!

Poczuł się na siłach, aby dumać nad kolejnym ruchem. Bazyli wygrał bitwę. Ale czy wygrał wojnę? Oto pytanie!

Nie potrafił się jednak skupić. Ciągle wracało do niego to samo pytanie, które niby robak drążyło jego umysł od lat.

Przecież nie jestem tak okrutny jak Krum, nie pijam z czaszki żadnego bizantyjskiego cesarza – pomyślał

z rozpaczą Samuel, bezsilnie mnąc pościel. *Chcę tylko dobra swego państwa. Chcę, żeby trwało. Boże mój, czy to naprawdę zbyt wiele?*

Gdzieś tam Bazyli zapewne triumfował. A w sercu cara nienawiść mieszała się z goryczą.

On byłby gotów zmienić swe obyczaje. Skorzystałby z mojego czerepu zamiast ze stołowego srebra, gdyby zaszła taka potrzeba – ciągnął swe ponure rozważania władca Bułgarów. *Przecież już zmienił zwyczaje wojenne. Zamiast rozpoczynać kampanię w pełni wiosny i powracać na swe ziemie w końcu lata, jak przystało cesarzowi, ten wściekły wilk gotów zimować tutaj i walczyć, póki nie osiągnie celu!*

I chwytał się każdego sposobu, nawet podłej zdrady. Dracz przecież nie padł po strasznym oblężeniu, mury nie zostały zrujnowane. Bizantyjczyk przekupił ludzi, miasto bez choćby dnia walki przeszło na jego stronę.

Czy teraz taki los czeka Prilep? Ja tu leżę, czekając na Dymitra, a może już kupczą mną jak kurą na targu? Może gwarancje dla miasta są warte dla Bazylego widoku starego cara prowadzonego na postronku niby rzeźne cielę, jak inny bazileus prowadził ongiś Borysa II?

Wreszcie, nie wymyśliwszy niczego poza kolejną próbą skrytobójczego zgładzenia bazileusa, usnął.

* * *

Kiedy znów wyrwał się z otchłani bólu promieniującego z rany i mroków niespokojnego snu, dzień zmierzał ku

końcowi. Słońce zniknęło już z okna.

Uderzyła go cisza.

I to właśnie ona naprawdę zaniepokoiła władcę. Życie w zamku nigdy nie milknie, a teraz było tak cicho, jakby przez Prilep przeszła zaraza i tylko starego cara Bóg oszczędził.

– Tiabros! – krzyknął.

Głucho… Gdy tylko umilkł jego głos, w komnacie zaległo przykre milczenie. Władca nie słyszał nawet szczura czy myszy, jakby wszelka żywina poukrywała się w dziurach.

Dopiero po dłuższej chwili drzwi niepewnie skrzypnęły. Samuel uniósł się ciężko na łokciu i zaraz jęknął, bo udo znów ogarnął płomień bólu.

– Leż, panie – poprosił mnich, podchodząc. – Nic… nic się nie dzieje, naprawdę – zapewnił.

Ale jego mina świadczyła o czymś przeciwnym. Nie umiał kłamać. Może dlatego car kiedyś mu zaufał i nigdy się na nim nie zawiódł.

– Klęska? – stęknął boleśnie, próbując podnieść się z łoża. – Nie okłamuj mnie! Miasto wzięte? Pomór? No mów, przebrzydły klecho, mów, nie oszczędzaj mi prawdy! – jego ręka mocno zacisnęła się na ramieniu Tiabrosa.

Doradca w milczeniu pomógł Samuelowi stanąć na nogi, widząc, że nie zdoła utrzymać go w łożu. Chwiejąc się lekko na nogach, sycząc z bólu, jakim promieniowała rana na udzie, stary władca zrobił kilka kroków, sięgnął po leżący na niskiej ławie pod ścianą płaszcz z rysich skór.

– Mów, co się dzieje! – podniósł głos. – Natychmiast!

Tiabros z trudem przeciskał słowa przez gardło:

– Nasza armia wraca… pobita…

Na Samuelu nie zrobiło to wielkiego wrażenia. Uciekając z biełasickich przełęczy, wiedział przecież, że bitwa jest przegrana. Skoro część armii wraca, trzeba czym prędzej organizować obronę, bo za uciekinierami może już ciągnie Bazyli ze swym wojskiem.

– Wyjdźmy… Trzeba im pokazać, że car żyje… Natchnąć nową nadzieją… – rzucał rwane przez ból słowa.

Tiabros próbował coś powiedzieć, ale Samuel nie dał mu dojść do słowa. Pierwszy wyszedł z komnaty.

Wszędzie było pusto, jakby wszyscy pouciekali z zamku. Tiabros pamiętał, do której z bram miało dotrzeć wojsko i tam poprowadził cara.

Zdążył się tu już zebrać spory tłum ciekawskich. Wierzeje były otwarte, a krata podniesiona. Do środka wkraczała właśnie pierwsza grupa żołnierzy, a droga prowadząca do warowni była czarna od głów postępujących za nimi towarzyszy.

Szli jeden za drugim, niepewnie wystawiając przed siebie ręce jak ślepcy. Car z początku nie rozumiał dlaczego, ale tylko z początku… Niemal wszyscy naprawdę byli ślepcami. Im więcej wkraczało ich na wielki plac zaraz za bramą, tym straszniej to wyglądało. Tylko gdzieniegdzie któryś z żołnierzy błyskał jedynym ocalałym okiem i prowadził innych dalej w głąb twierdzy, tak jak wcześniej prowadził ich do Prilepu.

W świetle zmierzchu ta karawana ociemniałych oraz ich jednookich przewodników wyglądała gorzej niż senny koszmar. Bo w tym pojawia się zwykle kilka, kilkanaście mrocznych postaci i groźny opar strachu. A tu… przed oczyma Samuela przechodziła niemająca końca armia ślepców, tłocząc się na dziedzińcu, powoli wsiąkając w prilepskie uliczki i bramy. Stary car nie mógł się przebudzić i otrząsnąć z narastającej w nim grozy, wciąż stał na schodach wiodących od zamku ku dziedzińcowi, podtrzymywany przez Tiabrosa.

Gapie milczeli. Tłum wojaków wlewał się wciąż w bramy miasta, powłócząc nogami, z wyciszonym, zrezygnowanym jękiem. Stało się jasne, że Bazyli odesłał wszystkich pochwyconych na przełęczy Biełasicy, wcześniej trwale ich okaleczywszy. Setki, tysiące ślepców.

Samuel do bólu zaciskał zęby. Posłał tę armię na wojnę, sam też się przed nią nie uchylił, rwąca rana w udzie świadczyła o tym najdobitniej. Gdyby ci ludzie po prostu zginęli, jak to zwykle ma miejsce – cóż, zniósłby to tak, jak władcy znosili to od początku świata i jak będą to znosić zawsze.

Lecz człowiek, którego tak nienawidził, odesłał mu ich niby żywych, a jednak niezdatnych do niczego, w pewnym sensie już martwych. Wróciły do Samuela słowa pomyślane jakiś czas temu.

I co, stary głupcze? Co teraz powiesz?

Wróciły ciężkie niczym kamień.

Teraz trzeba będzie zaopiekować się tymi ludźmi – myślał z rozpaczą, gniewem i bezsilną wściekłością car. *Tyloma tysiącami ludzi! Jakie to koszty! Już lepiej było im zginąć w jakimś wąwozie!*

Co gorsza, przecież gdziekolwiek pójdą, tam będą odbierać ducha, załamywać wiarę w sens walki. Także morale obecnych żołnierzy, bo który z nich chciałby zostać tak okrutnie potraktowany zamiast zginąć z honorem, jeśli już trzeba?

I wtedy w stronę Samuela skręciło dwóch ludzi. Jednym był jednooki przewodnik. Drugim… oślepiony Dymitr.

Wspierający się na Tiabrosie władca zrobił kilka kroków w kierunku księcia, współorganizatora wyprawy. A teraz ofiary tej wojny.

Kilka niezwykle ciężkich kroków. Jakby pokonywał wściekły nurt rzeki.

Przewodnik szepnął coś Dymitrowi, a gdy car i jego doradca byli już na wyciągnięcie ręki, zgiął się w kornym pokłonie. Mnich pomyślał, że zaraz oszaleje, zacznie krzyczeć. Zaczął bezgłośnie modlić się do Boga – nie, wcale nie o cud dla tych nieszczęśników, żeby mogli wrócić do zdrowia. Prosił o łaskę szybkiego zapomnienia tej przerażającej sceny.

Dymitr stał sztywno jakby w obawie, że kiedy zrobi jakiś ruch, przewróci się i ośmieszy. Krwawymi oczodołami spoglądał na Samuela, który nie potrafił wydobyć z siebie słowa. Czas zdawał się zastygnąć – przynajmniej dla tych kilku osób.

Wreszcie książę spróbował coś powiedzieć. Poruszył bezgłośnie ustami raz i drugi, jednak zamiast słów wydobył się z nich cichy, prawie niesłyszalny szloch. Opuścił głowę i zrobił dwa niepewne kroki w bok. Jego przewodnik poderwał się z kolan, podtrzymał swego wodza…

Władca także nie był w stanie wyrzec ani słowa. Dyszał tylko ciężko, coraz głośniej. Na czoło wystąpiły mu grube żyły.

Naraz krzyknął niezrozumiale, ochryple, bardziej gniewnie niż z bólu – i bez czucia padł na śnieg.

* * *

Tiabros czuwał przy łożu konającego dzień i noc. Odchodził tylko na mszę do cerkwi. Raz poszedł też do Dymitra, który, zamknięty w swej komnacie, z nikim nie chciał rozmawiać. Doradcę cara jednak wpuścił. I, może powodowany okrucieństwem i złośliwością – ponurymi towarzyszami rozpaczy – a może chęcią powierzenia komuś swego straszliwego sekretu, wyznał, co kiedyś uczynił i za co do końca swego nędznego życia będzie pokutować. Po tym spotkaniu mnich wyszedł wstrząśnięty. Myślał dotąd, że wieszczkę zabił jakiś rabuś, choćby dla cennego futra, które podarował jej książę.

Modląc się, doradca umierającego cara zwykle płakał. A ludzkie współczucie, spojrzenia pełne podziwu i szepty, jak bardzo kocha swego władcę, sprawiały mu ból tak nieznośny, że chciał krzyczeć pośród tej boskiej ciszy, rozerwać ją na strzępy, zbezcześcić.

Któregoś dnia wieczorem po mszy zaczepiła go jakaś babina zakutana w szmaty, odstręczająca, śmierdząca biedną starością. Chciał ją odpędzić, by szybciej wrócić do swego władcy, ale ona uczepiła się szaty niczym rzep. Przystanął w końcu, pojmując, że prędzej się jej pozbędzie, jeśli wysłucha, co ma do powiedzenia.

Dyszała chwilę zmęczona walką z Tiabrosem, wreszcie spod sukni wyjęła zawiniątko. Ze środka błysnęło kolorowe szkło.

– Straciłam na tej przełęczy syna – wychrypiała. – Ale nasz car był dobry, nie ma we mnie gniewu… Niech tu weźmie tę żywą wodę z cudownego źródła, namaści mu skronie – wetknęła mnichowi buteleczkę w dłoń, zacisnęła troskliwie jego palce, żeby nie upuścił. – Pomagało na straszne choroby, niech spróbuje, nie zaszkodzi… – zamilkła, bo cóż prosta baba może więcej zrobić, jak dać to, co chowała najcenniejszego. Trzymała dla syna, ale temu już co innego przecież pisane.

Patrząc na tę starą, pomarszczoną kobietę o oczach ongiś niebieskich, teraz wypłowiałych jak niebo w bezchmurny letni dzień, doradca przypomniał sobie naraz twarz tamtej wieszczki w Ochrydzie. I jej słowa.

Teraz dopiero pojął, że brzmiały jak prośba.

Tymczasem nagle w mieście zaczęły bić dzwony.

Mógł nadciągać Bazyli ze swymi wojskami. Albo gdzieś wybuchł pożar, chociaż doradca nigdzie nie dostrzegał warkoczy dymu.

Nie potrafił jednak okłamywać sam siebie. Wiedział dobrze, co naprawdę zwiastuje bicie dzwonów: to car umarł.

Ukrył twarz w dłoniach. Szklane naczyńko wypadło mu z ręki.

Zabłysło światłem gasnącego dnia, nim utonęło w śniegu.

* * *

W dwa tygodnie po pogrzebie Samuela mnich Tiabros postanowił poszukać sobie jakiejś pieczary w niedostępnych górach, tam pościć, medytować, a wreszcie umrzeć.

Zrazu próbowano go zatrzymać, tłumaczyć, że zły los się odwróci, a wojnę z bizantyjskim cesarstwem wciąż można wygrać. Radomir, nowy car, chciał go nawet więzić, trzymać w zamkniętej komnacie, póki duchowny nie wyjdzie z najgłębszej rozpaczy. Następcą Samuela powodowało nie tyle współczucie, co świadomość, że stary mnich był doradcą ojca, więc ma wiedzę, jakiej Radomir długo nie posiądzie.

Tiabros jednak uparcie wszystkim tłumaczył to samo: że nie chce oglądać upadku swego państwa. Nie wyjaśniał, że miał w swym ręku nić lepszego losu wszystkich Bułgarów i pozwolił jej się wymknąć z bezwładnych palców. We własnych oczach ponosił winę. Powinien był bardziej nalegać. Zrozumiał to wreszcie, choć zbyt późno.

W końcu uznano, że bezpowrotnie oszalał z rozpaczy, a jego słowa sieją tylko ferment pośród ludzi. Pozwolono

mu więc wyjechać. Pobłogosławił mieszkańców Prilepu i ruszył w swą ostatnią drogę.

Kto wie, może sam Bóg miłosierny wysłuchał jego próśb o łaskę szybkiego zapomnienia? Nie dotarł daleko. W drodze dopadły go wilki i rozszarpały na ćwierci, pożywiły się, a kości rozwłóczyły nieopodal.

Twarz jednak pozostawiły nietkniętą. I ci, co znaleźli mnicha, zdziwili się, bo zamiast grymasu przerażenia na obliczu starego ujrzeli… ulgę.

Krótki sen o opisaniu świata – Romuald Pawlak

Yannuris odłożył pióro na pulpit i przeciągnął się z westchnieniem. Stare kości bolały go coraz częściej. Już nie wytrzymywał całego dnia spędzonego nad księgami jak kiedyś, w latach młodości.

Cóż, dzieło jego życia będzie musiało poczekać.

– Panie mój? – Niemal bezszelestnie pojawił się Drahi, jego sługa dotąd skryty gdzieś pomiędzy regałami biblioteki. Był niemal równie stary jak jego pan. Obaj dożywali kresu swych dni na szczycie Więziennej Góry. – Życzysz sobie, by przygotować kąpiel?

– Chyba już i tak niewiele bym zrobił – z westchnieniem przytaknął Yannuris.

W jego głosie zabrzmiała nuta żalu. Odsunął się od pulpitu. Niech wszystko zostanie tak, jak leży: księgi, narzędzia, mapy. Niczego nie będzie zabierać, bo i po co?

Po raz ostatni rozejrzał się po bibliotece. Powiedzieć, że była świetna, to jak bicze gwałtownej jesiennej ulewy, rozpryskujące się na stromych stokach góry z energią pioruna, nazwać ledwie paroma kroplami wody rzuconymi na rozgrzany piasek pustyni Nev. Zostały tu zgromadzone

wszystkie księgi, jakie kiedykolwiek napisano w języku archandyjskim. Cała wiedza cesarstwa od pokoleń gromadzona była w dwóch identycznych bibliotekach: oryginały nowych dzieł trafiały do pałacu samego cesarza, zaś ich wierne odpisy czy kopie na *Ueni Ambę*, Więzienną Górę. Żyły tu w przyjaźni z dziełami w innych językach, księgami, które kolejnym cesarzom udało się dostać w darze, wymienić, ukraść czy pozyskać innym sposobem. Były tu mądrości wrogów, przyjaciół albo neutralnych sąsiadów cesarstwa Archandu. Ludzie mogli ze sobą walczyć, lecz dla ksiąg nie miało to większego znaczenia. Wrogiem jednej wiedzy nie jest przecież inna wiedza, lecz ignorancja, ciemnota, barbarzyństwo.

Jednak obce księgi głoszą odmienne prawdy, tak jakby opisywały zupełnie różne światy – snuł chmurne myśli Yannuris, podążając za swym sługą pustym, chłodnym korytarzem. *A przecież Archand dzieli granicę z Gordem. Zaś Lirta swymi sztormami omywa wybrzeża aż trzech ziem, bo jeszcze i odległego Hi'en, z którym cesarstwo stoczyło dwie wojny morskie, nieomal w ogóle nie znając wnętrza tego bagnistego kraju.*

Zamiarem Yannurisa było uporządkowanie tego stanu. Pragnął wykreślić mapy sięgające daleko poza Archand. Miały jak najdokładniej opisywać inne królestwa. Nie tylko sąsiadów Cesarstwa, lecz sąsiadów ich sąsiadów i ich sąsiadów… Nie miały to być zwyczajne zwoje kartograficzne, o nie! Więzień *Ueni Amby* chciał te ziemie starannie opisać, aby ktoś kiedyś, chcąc podjąć podróż

w tamte odległe rejony świata, mógł się zawczasu przygotować.

Wierzył, że choć dziś Archand pozostaje w dobrowolnej izolacji, to jednak któregoś dnia posłowie ruszą hen, daleko, do tych wszystkich słabo poznanych, często nieopisanych przez archandyjskich kronikarzy krajów. Wtedy jego księga stanie się potrzebna, imię będzie wspominane, a życie – spędzone na Więziennej Górze – nabierze sensu, choćby i długo po śmierci.

* * *

Czekając w komnacie na przygotowanie kąpieli, Yannuris zastanawiał się, czy zdoła dokończyć swe dzieło.

Za późno zaczął nad nim pracować. Na Więzienną Górę trafił jako dwulatek. Jednak kiedy podrósł, zainteresowało go coś innego: polityka cesarstwa, języki sąsiadów, dworska etykieta, słowem wszystko to, co mogło mu się przydać, kiedy sam obejmie rządy.

Dopiero wiele lat później pojął, że być może nigdy nie opuści *Ueni Amby*. To go zmieniło. W gwałtownym proteście odrzucił rzeczy przydatne w świecie, którego mógł wcale nie poznać – i zajął się mirażami. Bo przecież opisy tych samych miejsc czynione przez różnych kronikarzy, pochodzących z innych krajów, a nawet żyjących w różnych epokach, często dramatycznie nie pasowały do siebie, nie przystawały jak dzień do nocy. W jednych Gord przedstawiany był jako kraina bezpieczna, przyjazna podróżnikom – podczas kiedy inni srogo

przestrzegali przed zapuszczaniem się na te ziemie, oskarżając żyjących tam ludzi o barbarzyństwo i nieustający rozbój. Nie stronili od krytycznych uwag nawet tamtejsi pisarze. Zweryfikować to wszystko, dojść do jednego, sensownego i prawdziwego wniosku – to jakby chcieć uwięzić i zatrzymać fatamorganę. Złapać, okiełznać i zmusić do walki po swojej stronie smoka, o czym wspominał jeden z dziejopisów.

– Panie? – Do komnaty zajrzała Heyla, najmłodsza ze służek Yannurisa. Najmłodsza, ale także już dosyć posunięta w latach.

W łaźni pomogła mu zdjąć szaty i wejść do kamiennego basenu. Z ulgą zanurzył się w gorącej wodzie pachnącej lawendą i cedrem.

– A może skorzystasz? – uśmiechnął się do kobiety, czyniąc ręką zapraszający gest. – Przynajmniej nie zamoczysz sukni, myjąc mi plecy, jak ostatnim razem.

Po krótkim wahaniu nieśmiało skinęła głową. Zrzuciła strój i wsunęła się do basenu.

Yannuris spoglądał na nią z namysłem. Była stara. Na Więziennej Górze wszyscy byli starzy. Jednak lubił ją. Ona jedna, obok Drahiego, dostrzegała w nim człowieka, nie zaś tylko zgrzybiałego pretendenta do tronu.

A kiedy prysnął na nią wodą, roześmiała się. Jakby im obojgu ubyło lat.

* * *

Jesienne deszcze nie ustawały, lecz Yannuris niemal ich nie zauważał, pochłonięty opisywaniem wysokogórskich równin zamieszkałych przez rodzinę plemion Sunnei. Ukryci za pasmem potężnych, sięgających nieba gór, pokrytych czapami wiecznego śniegu, pędzili swój żywot na kilku zimnych płaskowyżach, gdzie grube łańcuchy szczytów rozdzielały się, tworząc długie, wąskie kotliny przypominające wielkie wrzeciona.

Sunnei byli Archandyjczykom słabo znani z bezpośrednich kontaktów. Mało komu udało się pokonać granice wiecznej zmarzliny. Lecz inni mieli z nimi jakieś kontakty. Przy czym słowo *„jakieś”* dobrze oddaje charakter tych relacji. Bardzo trudno było cywilizowanemu Gordyjczykowi czy nie mniej kulturalnemu Almeidzie, żyjącemu w mieście, niosącemu w swej świadomości światło państwa istniejącego mniej więcej w tych samych granicach od tysięcy lat, porozumieć się ze stepowym łupieżcą, który swe skórzane namioty stawiał gdziekolwiek i przemierzał równiny w niekończącej się wędrówce za stadami baranów. Ci ludzie nie mieli nawet alfabetu!

A jak ich świat może opisać ktoś, kto go nie rozumie, notuje tylko przypadkowe zdarzenia i fragmenty zasłyszanych opowieści, przekładając ich znaczenia na podobne do tych, jakie zna z własnej kultury? W czytanych księgach Yannuris dostrzegał niewiarygodne wprost rozbieżności dotyczące geografii tamtych odległych równin. Lecz przede wszystkim nie dało się niemal nic wywnioskować o życiu Sunnei, bo przecież z pewnością nie

byli głupcami, jak ich opisywali kronikarze. Gdyby byli tacy, już dawno te surowe ziemie zająłby kto inny, a tymczasem oni wciąż tam trwali razem ze swymi baranami…

Nieistotne plemię, nieistotny kawałek ziemi – rozmyślał Yannuris. A *przecież już któryś miesiąc trwa to żmudne szukanie, weryfikowanie, próba zrozumienia…*

– *Nie zdążę* – rzekł ponuro do siebie któregoś dnia, obserwując mrówkę, która przemierzała skraj wielkiej księgi niby podróżnik wędrujący po bezkresie świata. – *Chyba że dożyję stu lat w zdrowiu. A na to się nie zanosi.*

Od samego rana był poirytowany tym, co działo się wokół niego. Wyczuwał jakiś niepokój, podskórne zdenerwowanie służby i strażników. Nawet Drahi wydawał się jakiś odległy, zasłuchany we własne myśli.

Czyżby? – w nagłej panice pomyślał Yannuris. *Ale teraz?!*

Przemierzył swoją komnatę kilkunastoma szybkimi krokami. Nawet tu wszędzie leżały księgi. Nie potrzebował zbytków, do spania wystarczała mu tylko mała alkowa, resztę apartamentu przeznaczył na gabinet do pracy.

Naraz zrobiło mu się duszno. Chwycił opończę i podszedł do drzwi na taras. Szarpnął je nieco nerwowo i wyszedł.

Odgrodzony barierkami chroniącymi przed upadkiem, rozpościerał się przed nim cały świat. Cały niedostępny świat, który mógł oglądać oczyma innych, lecz nie własnymi.

Więzienna Góra była wysokim szczytem o bardzo stromych zboczach i płaskim wierzchołku. Na nim właśnie zbudowano przed wiekami to luksusowe więzienie. Nie było tu żadnych krat, lecz zejście w dół oznaczało spotkanie z cesarskimi strażnikami czuwającymi dzień i noc. Jako pretendent do tronu Yannuris mógł rządzić tylko równo ściętym zwieńczeniem góry – mniej więcej sto kroków w każdą stronę i pojawiała się granica tak wyrazista, że wyrazistszej być nie może: przepaść. Wszędzie indziej w Archandzie panował cesarz, umiłowany Idan IV, starszy brat Yannurisa.

Mógł w spokoju studiować księgi, próbować ucieczki albo rzucić się ze skały. Nie mógł jedynie liczyć na to, że na dole, w Archandzie, ktokolwiek udzieli mu pomocy. W gruncie rzeczy nawet straż u podnóża góry, ci ludzie, których widział jako małe kropeczki niezmordowanie krążące po swoich codziennych trasach, nie byli potrzebni. Kto zaryzykuje pomoc pretendentowi do tronu, gdy w przypadku nieudanej próby uczynienia go cesarzem oznacza to wygubienie rodziny do czwartego stopnia pokrewieństwa włącznie?

Naraz przy balustradzie stanął Drahi.

– Ziąb, panie – rzekł.

Yannuris wolno skinął głową.

– Zima idzie…

Sługa okrył go dodatkową opończą.

– Powiedz, jaki jest ten świat na dole? Bardzo różni się od tego, co zapisano w księgach? – spytał wreszcie więzień.

Drahi uniósł na niego spojrzenie. Wiedział, że pod pytaniem starego pretendenta kryje się zupełnie inna, dręcząca wątpliwość – czy Yannuris byłby w stanie zmierzyć się ze sprawami Archandu.

– Panie, księgi to wydestylowana mądrość – odparł sługa po chwili namysłu. – Życie poniżej tego szczytu to tylko brud, krew, głód i cierpienie. Rozwiewa się jak pyłowa burza i nic po nim nie pozostaje. To, co warto zapisać, ktoś prędzej czy później włoży do księgi.

Drahi znał tamten świat. Raz w roku wyjeżdżał na kilka tygodni, aby przywieźć księgi, zdać Idanowi relację z poczynań najważniejszego więźnia… Yannuris podejrzewał, że był nie tylko jego towarzyszem i sługą, lecz także szpiegiem i strażnikiem.

– Idan wciąż panuje – podsumował tę wymianę zdań Drahi.

* * *

Idan IV wciąż panował, a jednak Yannuris nie potrafił odpędzić wrażenia, że na Więzienną Górę zakradł się gęstniejący niepokój, duszna atmosfera wyczekiwania.

Kilka dni później – kiedy czytał jakąś księgę o dziejach odległego ludu Hi’en – jakieś hałasy oderwały go od lektury. Podszedł do okna biblioteki.

Wąską krętą drogą, owijającą się wokół *Ueni Amby* niczym wąż dookoła swojej ofiary, wędrowała niewielka kolumna ludzi. W ich ruchach była stanowczość, w minach

nieustępliwość, w postawie – świadomość tego, po co tu przybyli.

Yannuris zaczerpnął tchu, aż zakłuło go w piersiach. Z trudem powstrzymał okrzyk bólu. Gryząc wargę, podszedł do stołu i powoli, smutnym, zmęczonym ruchem zamknął księgę.

A kiedy po jakimś czasie pojawił się Drahi, spytał:

– Umarł?

Sługa zaprzeczył ruchem głowy. Choć przecież wiedział, że nie warto kłamać.

– Ma jeszcze kilka dni przed sobą.

Stary pretendent zrobił kilka kroków po mozaice przedstawiającej motyla siedzącego na kwiecie.

– Na co zapadł?

Drahi westchnął.

– Zwyczajna starość, panie.

Gorzki uśmiech wypłynął na twarz Yannurisa.

Zwyczajna starość to było to – i chyba tylko to – co łączyło go z bratem. Idan panował w kakofonii świata, wydając rozkazy i rządząc, Yannuris żył w ciszy, analizując decyzje i działania innych.

* * *

Trzy dni później, w godzinę po nadejściu świtu, pojedynczy konny z tętentem wjechał na Więzienną Górę.

Yannuris nie spał. Przez ostatnie kilka dni nie pracował, wątpiąc w sens tego zajęcia. Miał problemy ze snem, siedział więc i z okien biblioteki spoglądał na drogę.

Kiedy Drahi razem z dwoma zbrojnymi przyszli po niego, nie musieli nic mówić. Sam się domyślił, że jego brat umarł.

* * *

Idan IV leżał w otwartej trumnie. Tego dnia żegnał się ze swymi poddanymi. W nocy jego ciało spocznie we wnętrzu Góry Cesarzy, by po wiek wieków trwać jako dowód długiej i nieprzerwanej linii władców Archandu.

Na centralny plac miasta przybyły tłumy. Ludzie chcieli się pożegnać z władcą, który co prawda jak każdy cesarz żył w oddaleniu, lecz wydawał się im szczególnie bliski. Nie uciskał ich nadmiernie, a czasem wykonywał gesty pozwalające dostrzec w nim człowieka. Jak choćby wtedy, gdy przed siedmiu laty niezwykle surowa zima ogarnęła kraj, a on nie zawahał się opustoszyć cesarskich magazynów z jedzenia i opału, aby poddani nie pomarli z głodu i zimna.

Teraz przyszli, aby go pożegnać. Na samym placu zmieściła się tylko ich cząstka, ledwie parę tysięcy spośród tych, którzy by przybyli, gdyby było to możliwe. Odcięci od trumny Idana poczwórnym kordonem wojska, zachowywali się jak podczas jakiegoś święta.

Może to było dla nich święto? W końcu ile razy za ich życia umierał jakiś cesarz?

Na długich schodach pałacu, szeroką marmurową wstęgą spływających w dół ku placowi, stał tron otoczony członkami Rady Baronów i doradcami wojskowymi. Było

wśród nich także dwóch ambasadorów oraz kilku mnichów z cesarskiej nekropolii, zwanych duchownikami.

Tuż obok tronu, na którym zasiadł Yannuris I, można było dostrzec charakterystyczną, wysoką sylwetkę Drahiego.

Poddani uważali zapewne, że mroczna mina nowego cesarza oznacza ból i zadumę. On jednak błądził myślami po zakątkach tak dobrze znanej Więziennej Góry. Nieobecnym spojrzeniem wodził po rozgorączkowanym tłumie, z roztargnieniem odpowiadał na gesty stojącym nieopodal tronu ambasadorom Gordu i Almeidy, którzy chcieli w imieniu swych krajów pożegnać Idana IV.

W świadomości Yannurisa z trudem mieścili się również duchowni odprawiający na placu modły za szczęśliwe połączenie się zmarłego z jego przodkami. Wychowany na księgach, z dala od religijnych obrządków, nie potrafił uwierzyć we wspólnotę żywych i umarłych, chociaż rozumiał, że dla prostego ludu religia jest równie ważna jak widok cesarza, a może i ważniejsza, bo to nie władca, lecz kapłani na co dzień krążyli pośród nich.

Yannuris w całym pogrzebie dostrzegał tylko jeden pozytywny akcent. Przypatrywał się nie swemu bratu, lecz okrywającej zwłoki nefrytowej szacie. Była… niezwykła.

Przypominała zbroję. Składała się z kilkunastu części okrywających całe ciało z wyjątkiem twarzy. Wypolerowane płytki jasnozielonego kamienia zostały połączone złotymi drucikami, a od spodu przeświytywała purpurowa materia.

Spoczywający na białym katafalku Idan IV wyglądał majestatycznie niczym umarły bóg.

Nagle Margal, jeden z młodszych baronów stojących niedaleko tronu, zaczął coś szeptać do ambasadora Veigana Du z królestwa Almeidy.

Margal nie był arystokratą takim jak inni. Jego ród nie był wymieniany w księgach wertowanych przez Yannurisa. Dopiero w ostatnich dekadach wydźwignął się ze sklepikarzy na możnych kupców, a z tych, mieszając krew z ubogą, ale wartościową szlachtą, wpłynął do zatoki baroniej. Zasilił ją podłym pochodzeniem oraz wielkimi pieniędzmi. Stąd też ów mężczyzna w średnim wieku, choć giął kolano przed cesarzem, nie wydawał się przerażony jego obecnością. Raczej szacował, ile trzeba wydać, aby go kupić.

Yannuris, ledwie ujrzał na oczy Margala zaraz po przybyciu do stolicy, intuicyjnie wyczuł, że będą z nim kłopoty. Chociaż spoglądając na wszystkich baronów i doradców, tak naprawdę dostrzegał tylko jednego człowieka, który stał po jego stronie – Drahiego. Był jego wiernym towarzyszem od kilkudziesięciu lat, jedynym stałym punktem w świecie, który nieoczekiwanie obrócił się dla Yannurisa na drugą stronę. Niedawny mieszkaniec *Ueni Amby* czytał co prawda, że więźniowie nienawidzą swego miejsca odosobnienia i jego dozorców, ale wiedział, że to tylko część prawdy. Ta część dotycząca ludzi, których więziono zbyt krótko, aby zdążyli pokochać swych strażników jak braci…

Patrząc na tych dwóch, Margala i ambasadora z Almeidy, Yannuris doznał nagle olśnienia. Gdyby był religijny, mógłby powiedzieć, że to któryś z przodków zesłał mu tę myśl. Oto spoglądając na Veigana Du, człowieka z innego kraju, uświadomił sobie, że zyskał nagle możliwość sprawdzenia, jak naprawdę jest na tych obcych ziemiach.

Yannuris pojął, że może wysłać wyprawy naukowe i zweryfikować wiedzę ze swoich ksiąg. Spożytkować szansę, jaką los nieoczekiwanie mu podarował. Wprawdzie Almeida i Gord – których ambasadorowie stali wśród baronów – są znane, ale nowy pan Archandu wyśle wyprawy również gdzie indziej. Do Sunnei, a także morską ekspedycję do Hi’en, korzystając ze spokoju panującego na wodach Lirty.

Lud zrozumiał minę cesarza tak, jak lud zwykle rozumie ciepły uśmiech na twarzy swego władcy. Rozległy się wiwaty i okrzyki radości.

* * *

W nocy po pogrzebie Yannuris nie mógł usnąć. Spoczywając w wielkim łożu przesłoniętym kotarami, słuchał cichnącego szmeru pałacowego życia. Wreszcie pozostały jedynie odległe odgłosy zmieniających się i krążących wart. Raz w ogrodzie zaskrzeczał paw, zbudzony złym snem albo wyczuwający drapieżnika.

Powinien czuć smutek, bo przecież pochował własnego brata. Powinien czuć smak władzy, bo przecież po koronacji

stał się dzierżącym niepodzielną władzę cesarzem Archandu.

Tymczasem jedynym, co w nim żyło, był pomysł, jaki przyszedł mu do głowy w trakcie ceremonii pogrzebowej. Świadomość, że to, o czym czytał w księgach na ***Ueni Ambie***, może wcielić w życie. Tam, na Więziennej Górze, mógł tylko zadawać pytania. Teraz – także poszukać odpowiedzi.

Wreszcie wstał i zaczął spacerować po swojej komnacie. W ciągu tych kilku dni, odkąd w niej zamieszkał, zdołał się pozbyć luksusów, jakie najwyraźniej cenił sobie jego brat. Odarta z większości obrazów i sprzętów sypialnia, bardziej nadawała się do zamieszkania. I było też więcej miejsca na wędrowanie wzdłuż którejś z linii geometrycznej mozaiki pokrywającej podłogę.

Pomyślał, że nie ma na co czekać. Zbierze Radę Baronów – pora przejść do czynów. Dosyć się naczytał, nasiedział, napatrzył na swe myśli i wyobrażenia. Może i był stary, ale czuł w sobie energię. Zaraz wyda rozkaz… Karawany ruszą w świat…

Jeszcze leżąc w jedwabnej pościeli, zastanawiał się, co powie. Albo raczej jak to powie, jak oznajmi im swoją decyzję. Wiedział, że jego doradcy będą zaskoczeni.

Ledwie wstał, w jego komnacie bezszelestnie pojawił się Drahi.

Yannuris oznajmił mu, że po śniadaniu chce się spotkać z Radą Baronów. Mógł podjąć decyzję sam, ale chciał im wyjaśnić. W nocy doszedł do wniosku, że można spróbować

zmienić obraz Archandu w oczach świata, pokazać go jako państwo szukające wiedzy. Do tego jednak potrzebował wsparcia.

Liczył, że przekona baronów wizją pozyskania nowych towarów, a tym samym pieniędzy. *Kupię ich koncesjami* – myślał z rozbawieniem. *Korzenie, złoto, co tylko się da.*

Drahi zburzył te wizję jednym zdaniem:

– Panie, ambasador Veigan Du chce się z tobą spotkać w pilnej sprawie. Twierdzi, że to, co ma do powiedzenia, nie powinno czekać ani chwili.

* * *

Jedną z niewielu rzeczy, jakie w pałacu docenił Yannuris, był wielki, zadbany ogród, w którym rosły chyba wszystkie drzewa i kwiaty świata. Pomiędzy nimi przemykały na wpół oswojone zwierzęta, szczególnie w tej części ogrodu, którą utrzymywano w stanie zamierzonej półdzikości. To tam rankiem dnia poprzedzającego pogrzeb nowy cesarz długo przyglądał się małej zielonobrązowej jaszczurce krążącej wokół porośniętej wysoką trzciną sadzawki. Przysiadł w kucki na mokrej od porannej rosy trawie i obserwował, jak zwierzątko szuka owadów, od czasu do czasu nerwowym ruchem głowy sprawdzając, czy Yannuris nie próbuje zrobić mu krzywdy.

Dziś jednak Drahi poprowadził swego władcę do wygodnej altany pośrodku polany w wypielęgnowanym zagajniku. Czekał tam już odziany w ciemną szatę bez ozdób ambasador Almeidy, Veigan Du. Ceremonialnie

ukłonił się Yannurisowi na powitanie. Jednak jego twarz pozostała skupiona, a wyraz oczu trochę nieobecny.

– Chciałem spytać, panie… – zaczął, gdy cesarz wszedł do altany, a Drahi stanął na straży, czuwając, aby nikt im nie przeszkodził. – W imieniu swego władcy chciałem zapytać, czy Archand przystąpi do wojny po naszej stronie, kiedy ona wybuchnie.

Yannuris podniósł na niego zaskoczone spojrzenie.

– Archand nie chce wojny – odparł nieco ostrzejszym tonem, niż to miał w zwyczaju.

Na twarzy ambasadora odmalowało się zaskoczenie, a przez jego oczy przemknął cień zakłopotania. Powiódł nimi po polanie, na sekundę zatrzymał wzrok na odległym o trzydzieści kroków Drahim, nim znów spojrzał na cesarza.

– To Hi’en znów jej szukają, panie, jak trzydzieści lat temu. Twój brat, gdy pokazaliśmy mu raporty naszych szpiegów, nie odrzucił myśli o wspólnym wystąpieniu przeciwko agresorowi. Myślałem, że jego doradcy zdążyli ci o tym powiedzieć.

Tak, doradcy… Żaden z nich ani żaden z baronów nawet się nie zająknął o tej sprawie – gorzko pomyślał Yannuris.

– Nie chcę wojny – mruknął.

Veigan Du zacisnął swe wąskie, wypielęgnowane dłonie arystokraty na balustradzie oddzielającej ich od trawy porastającej polanę. Westchnął ciężko.

– Znam cię, panie, i wiem, że bardziej od ludzi interesują cię księgi – rzekł wreszcie otwarcie. – Lecz mój pan i władca, Sanhel, pragnie ci przekazać, że nie taki jest

wybór: chcieć czy nie chcieć wojny. Pytanie brzmi: wolisz zaatakować Hi’enczyków, zanim zejdą ze swych okrętów, aby pustoszyć nasze ziemie, czy pozwolisz, aby nas zaatakowali w wybranej przez siebie chwili?

Yannuris spojrzał mu prosto w oczy i odparł:

– Ambasadorze, czy nie rozumiesz? Ledwie objąłem tron. Nie tylko nie chcę, ale i nie mogę zaczynać rządów od wojny!

Almeidczyk wzruszył ramionami.

– Tej wojny nie da się uniknąć, panie – powiedział. – Można tylko wybrać na nią dobry lub nieodpowiedni moment.

* * *

Drahi rzadko widywał Yannurisa tak zafrasowanego. Ich życie na Więziennej Górze było proste i raczej pozbawione trosk. Nawet przed tymi kilkoma wyjazdami, które sługa musiał odbyć poza ***Ueni Ambę***, nie widział swego pana tak zmartwionego. Cesarz wydawał się przygnieciony rozmową z ambasadorem.

Tymczasem nadeszła pora na spotkanie z Radą Baronów.

Yannuris złapał ukradkowe spojrzenia swego sługi, ale postanowił nie przyznawać mu się do swoich przypuszczeń, dlaczego nikt mu nie powiedział, że Idan odbył taką rozmowę z Veiganem Du. Czyżby doradcy zapomnieli? Czy też, jak podejrzewał, nie zamierzali mu o tym wcale mówić?

Spotkanie odbywało się w wielkiej sali z kolumnami. Baronowie i doradcy już na niego czekali, rozmawiając na stojąco. Przygotowany stół był skromnie zastawiony paterami pełnymi owoców i dzbanami źródlanej wody. Yannuris nie wydawał takiego zarządzenia, widać jednak jego zamiłowanie do prostoty szybko uznano za obowiązujące prawo. Uśmiechnął się z wyrozumiałością, ale i pewnym smutkiem – w tej chwili chętnie wypiłby nieco wina. Mógł poprosić służbę, ale to już nie to samo, bo z władcy skromnego stałby się kapryśnym.

Pięciu baronów i trzech doradców (w tym jeden kapłan wydelegowany z klasztoru przy Cesarskich Kryptach) spoglądało wyczekująco na swego pana. Razem z Drahim było ich w tej sali dziesięciu – i decydowali o losach sporego państwa. Albo przynajmniej żyli w mirażu, że taka jest ich władza. Cesarz mógł mieć na ten temat inne zdanie.

Yannuris swój pomysł o wysłaniu wypraw starał się jednak przedstawić nie jako już podjętą decyzję, lecz raczej dopiero co dostrzeżoną okazję, z której grzechem byłoby nie skorzystać.

Drahi w zadumie wysłuchał opowieści o tym, że wiedza zdobyta przy pomocy karawan uczyni Archand potężniejszym. Baronowie nie byli jednak tak uprzejmi. Choć nie przerywali Yannurisowi, widać było, że ich nie porwał.

– To niepotrzebne koszty – zaczął stary Skand, kiedy cesarz spojrzał na nich pytająco.

Margal wyraził się dosadniej:

– Panie nasz! Nauka jest dobra dla brodatych uczonych. Jeżeli chcesz tracić pieniądze, wyślijmy zbrojne wyprawy, wywołajmy wojnę…

Yannuris westchnął z rezygnacją.

Nie poparł go żaden z baronów, nikt z doradców. Nawet Drahi, ku wielkiemu bólowi swego władcy, milczał, jakby nie chcąc przystawać do chóru krytyków, a nie mogąc pochwalić inicjatywy.

– Widzę, że was nie przekonałem – podsumował wreszcie Yannuris. – Zatem udam się do Cesarskich Krypt i tam porozmawiam z mymi poprzednikami. Może oni pomogą mi podjąć właściwą decyzję.

Słowo władcy jest rozkazem. Jednak cesarz zdawał sobie sprawę, że długo nie porządzi, nie mając poparcia tych ludzi.

Pozostało mu wesprzeć się autorytetem przodków.

* * *

Yannuris miał świadomość, że wojna z Hi’en była nieunikniona. Liczył jednak, że zdoła wcześniej wysłać wyprawy. Może zdążą powrócić, zanim zaczną się walki. Później już nie będzie mógł zrealizować swego planu… zresztą może nie dożyć żadnego *„później”*. Nie zamierzał czekać.

Aby ukrócić protesty, użył narzędzia, o którym sądził, że baronowie ulegną mu bardziej, niż on sam: wiary.

Podczas kiedy on czytywał księgi, oni spotykali i słuchali kapłanów. Według nich ciężar jednego słowa

przodków jest stokroć większy niż całej przemowy żyjących, sami zaś przedstawiali się jako kupcy z wagą i odpowiednim stosem odważników. Teraz Yannuris chciał z tego skorzystać. Gdy wróci z Krypt, twierdząc, że przodkowie akceptują wysłanie wypraw naukowych, kto zdoła mu zaprzeczyć?

Poza tym nie miał okazji odwiedzić Krypt Cesarskich. Teraz będzie właściwy moment.

O dziwo, Drahim próbował go od tego odwieść.

– Panie mój i władco, nie powinieneś zadzierać z baronami – rzekł cicho i błagalnie. – Przodkowie zapewne zechcą cię wesprzeć w decyzji wysłania karawan, ale ludzie w pałacu tego nie pojmą. A to ludźmi rządzisz, nie duchami czy sarkofagami pełnymi prochów.

* * *

Cesarska nekropolia była odrębnym, zamkniętym miastem, w którym na stałe przebywali tylko kapłani mający tu swoją główną siedzibę.

Aby wznieść odpowiednie miejsce ostatniego spoczynku dla cesarzy, do żywej skały odarto niewielką górę leżącą kilka mil od stolicy. Miała kształt łagodnej kopuły, po usunięciu ziemi odsłonił się biały wapienny kamień. W zboczach, w połowie wysokości, wydrążony został szereg grobów, w których spoczywali kolejni władcy oraz ich rodziny. Po pogrzebie otwory zamykano specjalnymi rzeźbami przedstawiającymi pochowanego wewnątrz cesarza. Dostęp do komór pozostał tylko od wierzchołka.

Stał tam niewielki klasztor zamieszkiwany przez tych spośród mnichów, którzy nie krążyli po Archandzie, lecz czuwali nad spokojem zmarłych. W jego podziemiach krętymi schodami biegła droga do krypty, a z niej ciasnymi korytarzykami rozchodziła się do poszczególnych sarkofagów.

Yannuris zatrzymał się w krypcie. Tam w ciszy, nie niepokojony przez nikogo, po raz kolejny zadał sobie pytanie, czy dobrze postępuje.

Archand był silny. Magazyny z ziarnem miał pełne, pieniędzy w skarbcu nie brakowało. Wojna z Hi’en może będzie, a może nie. Veigan Du może mówił prawdę, a może tylko sprawdzał stanowisko nowego cesarza. Yannuris coraz bardziej utwierdzał się więc w przekonaniu, że wyprawy należy wysłać – do Sunnei, o których wiedział tak niewiele, ale także do Gordu, Almeidy i… do Hi’en. Pośle tam kogoś z baronów. Jeżeli chcą wojny, niech sprawdzą, czy ma ona sens.

Później począł krążyć pośród sarkofagów tych, których znał jedynie z kart mądrych ksiąg.

Z mocnym postanowieniem wyszedł z podziemi do klasztoru, gdzie oczekiwał na niego Drahi oraz strażnicy, którzy poza pałacem – i wnętrzem Krypt – nie odstępowali cesarza na krok.

– Zadbaj o to, żeby przywieźć moje księgi z góry – nakazał Yannuris, gdy znaleźli się w powozie wiozącym ich do pałacu.

Sługa patrzył na niego z namysłem.

– Lepiej będzie, jeśli nikt z Rady się o tym nie dowie – stwierdził wreszcie.

Władca podniósł na niego zaskoczony wzrok, ale nic nie odrzekł.

Mury stolicy zbliżały się szybko, a wraz z nimi wszelkie troski rządzenia Archandem i ludzie, którzy woleli wojny od badań.

* * *

Najwyraźniej baronowie pogodzili się z kaprysem swego cesarza – zadziwiająco łatwo, biorąc pod uwagę przebieg pierwszej narady.

A może wystarczyła im cena, jaką Yannuris zgodził się zapłacić?

Zbyt późno został władcą, aby mieć z tego jakieś inne korzyści niż zaspokojenie własnej ciekawości. Całe życie spędził w luksusowym więzieniu, nie spłodził więc syna, a przynajmniej nic nie było mu o tym wiadomo. W pałacu poza równie starym Drahim nie miał nawet sojuszników, którym mógłby pozostawić tron.

Idan IV także nie miał potomka, a jego żona umarła przed wielu laty. Cesarz był jednak silny i nie dał sobie narzucić następnej. Tylko dlatego Yannuris zasiadł na tronie, a przy okazji odkrył, że jego wyobrażenie o bracie, sklejane z rzadko docierających na Więzienną Górę plotek i strzępów informacji zawartych w księgach, w ogóle nie odpowiadało prawdzie.

Niezależnie jednak od rosnącej w nim przychylności do nieznanego mu i nieżyjącego brata, musiał stwierdzić, że Idan IV zostawił kraj w trudnym położeniu – bez następcy, który zapewniłby ciągłość władzy liczoną nie w miesiącach, lecz dziesięcioleciach. Yannuris przecież znajdował się u schyłku życia i pewne było, że po jego śmierci rozpocznie się walka o tron.

Zgodził się więc wziąć dużo młodszą żonę z rodu Demarole, którego przedstawiciel, Songei, zasiadał w Radzie Baronów. Tym samym, choć Oenna nie urodzi mu potomka, po śmierci Yannurisa pozostanie cesarzową, a jej rodzina przejmie rządy, zakładając kolejną dynastię. To nie obchodziło go wcale, bo odkąd obejrzał wnętrze Cesarskich Krypt, zyskał pewność, że nawet jeżeli po śmierci jego umysł stanie się częścią jakiejś zbiorowej mądrości, to pozostanie bez wpływu na ludzkie losy.

Ugoda z rodem Demarole dała mu za to możliwość wysłania naukowych ekspedycji Chcąc jeszcze bardziej powiązać baronów ze sobą, zaproponował, aby każda z rodzin wybrała po kilku młodszych synów i wysłała ich w różne strony świata. Zdobędą doświadczenie, które kiedyś może się przydać zarówno im, jak i Archandowi.

Nadszedł dzień, kiedy, stojąc na dziedzińcu, przyglądał się jak odjeżdża ostatnia z ekspedycji, przygotowywana najdłużej, bo zmierzała najpierw do portu Sestre, a stamtąd, już niesiona wodami Lirty, na wybrzeża i ziemie królestwa Hi’en.

Obserwując krzątających się ludzi, w których obecność cesarza wzbudziła pewną nerwowość, Yannuris nie potrafił odpędzić wrażenia duszności. Gdyby spróbował wniknąć w to niepokojące doznanie, pewnie przypomniałby sobie, że miał już podobne na Więziennej Górze w ten dzień, gdy zmierzał ku niej posłaniec z wiadomością o bliskiej śmierci Idana IV. Cesarz nie potrafił jednak myśleć o niczym ani nikim prócz ludzi wyruszających właśnie w podróż do nieznanego kraju. Och, gdyby mógł popłynąć z nimi! Ileż by dał, żeby jako prosty majtek znaleźć się na pokładzie jednego z okrętów…

Naraz dotarło do niego z całą brutalnością, że chociaż był więźniem na ***Ueni Ambie***, teraz dopiero poczuł smak niewoli. Zdołał wysłać w świat parę listów, ale czy otrzyma jakieś odpowiedzi?

Uśmiechnął się smutno. Jednego był pewien: Archand nie miał dotąd takiego cesarza. Yannuris wiedział, że cokolwiek nastąpi, przejdzie do historii jako dziwny władca, który rządy objął na starość, a jego pierwsze decyzje dotyczyły nie wojen, lecz wypraw naukowych. Czy kronikarze napiszą: *„Sędziwy wiekiem patrzył w przyszłość, a mając większość życia za sobą, nie pożądał już rzeczy, które są nietrwałe, ale takich, co nie przemijają*, czy: *Choć jego umysł, jak to u starca, pełen był mądrości, to ręka już drżała, zdolna tylko laskę utrzymać, nie zaś groźny miecz ani karcącą rózgę*.”?

Zbyt dobrze znał księgi, aby nie wiedzieć – napiszą i jedno, i drugie. Ważne tylko, czego będzie więcej.

* * *

To dziwne, że na starość można się z kimś tak związać. Yannuris był pewien, że zawsze znajdzie wspólny język z Drahim i z Heylą, która pozostała na Więziennej Górze – i której czasem bardzo mu brakowało.

A jednak Oenna, chociaż o dwadzieścia lat młodsza, bez trudu trafiła do serca i rozumu cesarza. Nie miał wielu doświadczeń z kobietami, wyjąwszy nałożnice, jakie czasem odwiedzały go na ***Ueni Ambie***, aby mógł zaznać męskich rozkoszy, jednak wydawało się Yannurisowi, że widzi przed sobą szczerą, łagodną osobę, która nikogo nie udaje. A może po prostu rodzina Demarole dobrze wybrała małżonkę dla władcy, po którym wkrótce mieli objąć schedę?

Połączyło ich umiłowanie ksiąg, spacery po ogrodzie, a także coś, co cesarz odkrywał dzięki swej przyszłej małżonce: malowane miniaturowe obrazy.

Kiedy więc nie zaprzątały go obowiązki, najczęściej razem z nią spacerował alejkami pałacowych ogrodów.

Tamtego dnia Oenna zamieniła się w nauczycielkę nazywającą motyle. Na łące fruwało ich całe mnóstwo, barwiły powietrze jak tęcza, ale dla Yannurisa wciąż nie były *mietlicami*, *czerwonakami* czy *białokropkami*, tylko *motylami*. Rozpaczliwie brakowało mu słów, aby ponazywać ten świat wokół siebie.

Nagle przed cesarzem stanął zadyszany goniec z pałacu.

– Panie, prędko!

Zaniepokojona Oenna wypuściła ze stulonych dłoni motyla o ciemnych skrzydełkach naznaczonych paskami czerwieni. Cesarz zaś, nie oglądając się na nią, ruszył za posłańcem.

W komnacie czekał już na niego inny goniec, w żołnierskim stroju.

– Wojna, panie! – zaczął, nieudolnie kryjąc zdenerwowanie. Zapewne nigdy dotąd nie przekazywał aż tak ważnych nowin samemu cesarzowi.

Ten uśmiechnął się ze spokojem.

– Wiem – przyznał, budząc na twarzy żołnierza niedowierzanie. – Ile okrętów płynie?

Posłaniec osłupiał. Powiódł spojrzeniem po komnacie, wreszcie zatrzymał wzrok na swoim władcy.

– Cesarzu, jakich okrętów? – W jego głosie pojawił się niepokój. – To te pastuchy, Sunnei, zeszły z gór! Mrowie ich, a nasze twierdze z tamtej strony słabo obsadzone, więc nakryli Werganę i Dimme jak derką, obie zdusili w jeden dzień. Wkrótce przekroczą Arlenę, szczęście w nieszczęściu, że woda wysoka, to ich wciąż powstrzymuje…

Yannuris zmienił się na twarzy. A więc nie Hi’en… I tyle warte okazały się słowa ambasadora Almeidy!

Odprawił gońca i zarządził naradę.

Nie zdziwił się, że baronowie dotarli na nią już poinformowani o napaści.

Miał ochotę rzucić kąśliwie Margalowi – przewodzącemu frakcji zdolnej rozpętać wojnę z całym

światem, aby tylko zabłysnąć – że nie powinien narzekać, ma czego chciał. Władca powstrzymał się jednak.

Skastin, suchy i kościsty generał dowodzący armią, nie miał nic do powiedzenia ponad nowinę, którą przyniósł do pałacu posłaniec. Nikt nie spodziewał się ataku z tamtej strony.

Nikt w ogóle nie spodziewał się wojny. Wyglądało na to, że Veigan Du swój sekret powierzył jedynie Idanowi, który z tajemniczych powodów z nikim się nim nie podzielił.

– Archand jeszcze nie przegrał żadnej wojny – zauważył na koniec narady Skastin. Spojrzał na Yannurisa. – Możesz się nie obawiać, panie. Zaraz wyruszam w pole i zagonimy tych dzikusów z powrotem w góry, gdzie odmarzną im tyłki.

* * *

Tymczasem nieoczekiwanie powróciła jedna z ekspedycji, ta wysłana do Gordu. Przetrzebiona chorobami, bez kilku ludzi, nie przywiozła niczego ciekawego.

– Pozostali przydadzą się nam, jak już wyzdrowieją – z gryzącą ironią skomentował to jeden z baronów. – Tyle że wojna się do tego czasu skończy…

Yannuris ledwie słuchał tych uszczypliwości, choć bowiem trwała narada, oczekiwał przybycia do pałacu ambasadora Almeidy. Miał nadzieję, że pilny list poskutkuje i Veigan Du nie będzie zwlekał.

Tak też się stało. Baronowie wciąż dyskutowali, na ile można uszczuplić wojska na innych granicach, by je

przerzucić w rejony objęte wojną, gdy powóz Almeidyjczyka zajechał na dziedziniec.

Cesarz przyjął go w małej komnacie niedaleko miejsca posiedzeń Rady. Bez dłuższych wstępów przeszedł do rzeczy.

Veigan Du wysłuchał słów cesarza, nie okazując zdziwienia.

– Poślę twoją prośbę najszybszą pocztą, jakiej mogę użyć – zapewnił.

Władca skinął głową w podzięce.

Wkrótce jakiś śmigły ptak wyleci z okna rezydencji ambasadora. Inny zaś niebawem przyleci tutaj. Chyba że po drodze któregoś z nich zaatakuje głodny sokół czy jastrząb. W księgach niejedna wojna, niejeden dramat stawały się ciałem, bo wieść nie dotarła w porę albo wcale.

* * *

Tymczasem wieści, jakie szybko zaczęły spływać do pałacu od Skastina i jego dowódców, wcale nie niosły pocieszenia.

– Smoki? – powtórzył cicho Yannuris, mnąc w ręku list od generała. – Jakim cudem? Księgi nic o nich nie wspominają!

Tasbe, zastępujący teraz w Radzie Skastina, wzruszył ramionami. Czy to za sprawą przypadku, czy z innego powodu, jego wzrok spoczął na twarzy Margala, nim odpowiedział cesarzowi.

– Nie wiem, panie, jakie czytałeś księgi – odparł grzecznie – jednak raport nie kłamie. A ci, którzy zdołali uciec, także opowiadają o smokach zionących ogniem i dymem.

Margal sięgnął po wodę. Upił kilka łyków, popatrzył na Songeia z rodu Demarole, który ciężko wzdychał i kręcił głową, wciąż zapewne nie mogąc uwierzyć, że jacyś barbarzyńcy z górskich równin zamiast na kozach przybyli tu na smokach. I że używają ich do walki, zamiast honorowo bić się przy użyciu miecza lub innego oręża.

– Przecież jesteś uczonym, panie! – stwierdził naraz Margal takim tonem, że jego słowa zabrzmiały niczym szyderstwo. – Nie przewidziałeś tego?

Yannuris nie znalazł odpowiedzi na to pytanie.

Jednak we własnej komnacie, gdzie towarzyszył mu już tylko Drahi, nagle zaczął jęczeć z rozpaczą i targać włosy.

– Dlaczego ja nic o tym nie wiem?! – prawie krzyczał. – Dlaczego w księgach nie znalazłem o tym ani słowa?!

Sługa dłuższą chwilę patrzył na niego ze współczuciem, nim rzekł:

– Księgi są stare, panie. Może to nowo odkryte stworzenia? A może po prostu były tak wielką tajemnicą, że żaden z kronikarzy do tej wiedzy nie dotarł?

Wzruszył ramionami.

– Teraz to już nieważne, mój cesarzu.

Nagle Yannurisowi przypomniało się coś strasznego: przecież jeden z gordyjskich kronikarzy wspominał o smoku. Tyle że cesarz, wtedy jeszcze więzień na ***Ueni***

Ambie, potraktował to jako poetycką metaforę mającą wzbogacić tekst…

* * *

Yannuris nigdy nie podejrzewał, że będzie się musiał posługiwać rodami tworzącymi Radę Baronów. Wiedział, że to go uzależni.

Jednak nie mógł liczyć na nikogo poza rodziną Demarole. Nawet Naster, który zbierał informacje od wszystkich szpiegów cesarstwa, pozornie podlegający samemu władcy, udzielał Yannurisowi tak wymijających odpowiedzi, jakby ktoś mu zapłacił, by miałkość treści utonęła w mnogości słów.

Władca poprosił Songeia, aby sprawdził, czy nie da się smoków kupić albo pożyczyć. Niech zrobi cokowiek będzie trzeba, aby je zdobyć.

– Nie wiem, czy to możliwe, panie – bezradnie rozłożył ręce stary Demarole. – Bogacimy się na handlu, ale nie bronią, wiesz przecież.

– Smoki, poszukaj smoków! – rzekł krótko Yannuris. – Sam widzisz, co się dzieje – wskazał staremu okno.

Rozmawiali w małej komnacie na jednym z ostatnich pięter pałacu. Przez okna widać było miasto. I plac. A tam ludzie od kilku dni protestowali przeciwko wojnie. Już pojawiły się głosy, że za starego Idana wszystko było lepsze, nawet powietrze, a nowy władca ściągnął na ziemie cesarstwa śmierć i zniszczenie.

Yannuris nie musiał tłumaczyć Songeiowi, że w wymyślaniu i puszczaniu w tłum takich plotek zapewne spory udział mają ludzie Margala.

* * *

Chyże są ptaki pocztowe. A szczęście dopisało, więc po dziewięciu dniach ambasador Almeidy przyszedł z odpowiedzią. Yannuris nie okazał niecierpliwości, choć miał wrażenie, że czas wlecze się jak leniwy muł. Tymczasem ze spojrzenia Veigana Du nie można było nic wyczytać.

Minęło kilka chwil, nim zaczął:

– Pan mój, Sanhel, pojmuje, że królestwo Almeidy mogłoby przyjść cesarstwu archandzkiemu z pomocą, wysłać swe oddziały na tyły Sunnei, co zmusiłoby ich do odwrotu. Rozważył taką możliwość…

Tu urwał. W piersi Yannurisa trzy razy uderzyło serce, nim ambasador dokończył:

– Almeida nie rozproszy jednak swych skąpych sił, poczeka na inwazję Hi’en, która niechybnie nastąpi.

Cesarz zamknął oczy, żeby Veigan Du nie mógł dojrzeć głębi jego rozpaczy.

* * *

Tymczasem wojna wciąż trwała. Twierdze wewnętrznego pierścienia pod dowództwem Skastina zatrzymały impet Sunnei.

– Zjednoczyli się pod jednym władcą – zauważył Tasbe. – Wystarczy go zabić, a reszta się rozproszy.

– A smoki? – spytał Yannuris.

Wtedy zabrał głos Lisbet, duchownik. Zwykle milczał, modląc się po cichu. Teraz twardo spoglądał na cesarza. Odrzucony kaptur wyglądał na jego plecach jak garb.

– Trzeba poprosić przodków o pomoc. Oni sobie poradzą z bestiami.

Yannuris westchnął.

– Wojsk też by się przydało mieć więcej…

Lisbet wstał z impetem.

– My korzystamy z pomocy przodków, oni mogą mieć smoki, panie. Ważne, kto zwycięży, nie w jaki sposób. A teraz wybacz, pójdę się skupić na modlitwie – oznajmił chłodnym tonem i ostentacyjnie opuścił salę, odprowadzany zdumionymi spojrzeniami co najmniej kilku baronów.

Oraz krzywym uśmiechem Margala.

* * *

Yannuris odłożył pióro na pulpit i przeciągnął się z westchnieniem. Stare kości bolały, ale cesarz nie mógł sobie teraz pozwolić na przynoszący ulgę i zapomnienie sen. Gdy przymknął oczy i nie widząc liter, słyszał tylko, jak zebrane na stole raporty szeleszczą lekko, poruszane podmuchami wiatru zza oka, przez chwilę miał wrażenie, że znów siedzi w swojej bibliotece na Więziennej Górze, że zaraz wejdzie Drahi i zapyta, czy przygotować kąpiel…

Ależ to było dawno! Niczym w jakiejś zamierzchłej epoce opisywanej przez kronikarzy jako szczęśliwy wiek, w przeciwieństwie do grzęznących w zepsuciu i szaleństwie naszych czasów.

Raporty, które piętrzyły się przed Yannurisem, tylko z pozoru przypominały księgi czytywane przez niego na *Ueni Ambie*. Choć tamte dzieła różnych pisarzy podawały nieraz sprzeczne informacje o tych samych rzeczach, zwykle czyniły to z namysłem, rozwagą, dopuszczając wątpliwości. Mogło się wydawać, że gdyby dziejopisom dane było porozmawiać osobiście, to – przedyskutowawszy wszystkie sporne problemy – doszliby do zgody, stworzyli wspólnie trzecią księgę.

Tymczasem raporty z pól bitew, w ostatnich dniach jedyna lektura cesarza, nie tylko sobie przeczyły, ale wręcz czyniły to w sposób niepozostawiający miejsca na żaden kompromis! Bo jak pogodzić fakt, że według generała Skastina, obserwującego starcie ze wzgórza, pod Imestą stanęło przeciw armiom cesarstwa dziesięć tysięcy Sunnei, zaś dowódca konnicy, Hargottin, choć również doświadczony żołnierz, którego trudno byłoby posądzać o tchórzostwo, oszacował liczbę wrogów na co najmniej dwadzieścia tysięcy?

Podobnie owe straszliwe smoki wrogów według różnych opisów miewały od dziesięciu do pięćdziesięciu łokci, a barwę ich w różnych doniesieniach określano na tyle sposobów, że takiej gamy kolorów nie miał na swojej palecie chyba żaden malarz ani nawet motyle na swych

skrzydłach. A raport napisany przez jednego z dowódców piechoty, Benajdina, podawał, że żadnych smoków nie ma, są tylko dziwne rury z ogniem i trującym dymem.

Wieści przeczyły sobie do tego stopnia, że podawały różne nazwy twierdz, tak jakby Archand posiadał u swych granic wędrowne warownie. Nawet tak z pozoru oczywiste kwestie jak to, kto wyróżnił się w walce, a kto okrył hańbą, nie miały wcale prostoty ani oczywistości właściwej znanym Yannurisowi opisom z dawnych kronik.

Minęło wiele godzin, nim władca zrozumiał, że jedynym kluczem, który podsuwał wyjaśnienie tych rozbieżności, było stwierdzenie, czy autor raportu i opisywany w nim dowódca należeli do jednego lub zaprzyjaźnionego rodu, czy też do zwaśnionego z jego rodziną. To pozwalało zrozumieć nieco ludzi, ale nie chaos wojny.

Yannuris miał przed sobą wieści ze świata, który nie poddawał się opisaniu – jak ruch baniek powietrza w tyglu z wrzącą cieczą.

* * *

Wreszcie dowiedział się tego, co najgorsze. Powiedziała mu o tym Oenna, zapewne więc wiadomość pochodziła od szpiegów, jakich jej ród miał w wielu miejscach.

By to sprawdzić, Yannuris musiał zapytać Drahiego – jedynego spośród dworzan, któremu ufał. Musiał jednak poczekać aż do popołudnia, gdy przyszła pora przewidziana na odpoczynek archandzkiego władcy i mógł pomówić ze starym sługą sam na sam bez wzbudzania podejrzeń.

Zabrał go na spacer do ogrodu. I tam, gdy strażnicy nieopuszczający nigdy cesarza stanęli w bezpiecznej odległości, zadał Drahiemu pytanie, które dręczyło Yannurisa już pół nocy i niemal cały dzień:

– Czy to prawda… Czy to prawda, że Veigan Du spotyka się z Margalem i resztą?

Zaufany sługa nie odpowiedział do razu. Obserwował lot jaskółek, zbierając myśli.

– Nie dziw się, panie – odparł wreszcie ze smutkiem. – Wojna wkroczyła na nasze ziemie i wielu szuka sposobu, aby ocalić głowy… Wiesz, że nie darzę Margala sympatią. Ale tobie nie udało się namówić Sanhela do udzielenia pomocy… Może oni zdołają? Podobno Almeidzi są gotowi użyć smoków… choć nie wiem, za jaką cenę…

Cesarz nie wiedział, co powiedzieć. Bezradne spojrzenie wbił w murawę.

– To oni mają smoki? – wykrztusił wreszcie.

Jego powiernik smutno skinął głową.

– Wychodzi na to, że wszyscy mają, tylko nie my, panie.

* * *

Narada, która odbyła się w pałacu następnego dnia, była w zasadzie formalnością. Spoglądając w oczy Margala, Yannuris ujrzał to właśnie, czego się spodziewał: wyrok śmierci. Baron triumfował.

– Być może zdołamy jednak uzyskać pomoc sąsiadów – mówił rozgorączkowany. – Nie ekspedycje naukowe się liczą, tylko siła, prawdziwa siła w ręku, w broni… – zacisnął

pięść zdecydowanym ruchem, jakby zgniatał jajko. Popatrzył na cesarza i dodał:

– Dlaczego nie mamy własnych smoków?

W istocie to nie Yannuris powinien na to pytanie odpowiadać. Ale przecież nie chodziło tu o prawdę.

– Przestań! – rzekł gniewnie stary Songei, chociaż w jego głosie kryła się bezradność. Przed naradą zdążył zamienić z władcą kilka słów. W przygnębiająco szczery sposób przyznał, że nikt, ale to nikt nie wie, jak zdobyć smoka. Nawet kupcy pozostający na cichym żołdzie rodu pojęcia nie mają o istnieniu takich stworzeń, a cóż dopiero o używaniu ich do prowadzenia wojny. Archand nie będzie więc mieć smoków. A gdyby kiedyś to nastąpiło, nie będą to raczej smoki Yannurisa.

Margal wzruszył ramionami, przenosząc pełne wzgardy spojrzenie na Songeia.

– Wiadomo, że Demarole będą stać po stronie władzy, choćby i nieudolnej… Przynajmniej póki ich ród trwa.

Było to wyzwanie rzucone tak jawnie, że cesarz nie miał wątpliwości, jakie czyny za nim pójdą.

Siedmiu pozostałych doradców milczało, a pośród nich Lisbet. Spoglądali wyczekująco na władcę.

Ten wiedział, że może wstać, trzasnąć pięścią w stół i wezwać straże, aby wyprowadziły Margala. Miał jednak przeciwko sobie wszystkich, całą Radę poza jednym Songeiem. Mogło się więc okazać, że pod straż pójdzie on sam.

– Karawany kiedyś powrócą – powiedział, czując, że wypowiada słowa, które brzmią niczym testament. – Zaś Archand się obroni, jak zawsze.

* * *

Przed odebraniem sobie życia Yannuris postanowił pożegnać się z kilkoma osobami. Zaczął od Drahiego.

Ten wysłuchał go w skupieniu.

– A twoja księga, panie? – przypomniał. – Co zamierzasz z nią począć?

Cesarz uśmiechnął się smutno.

– Położymy ją na jakiejś półce, gdzie rzadko kto sięga, mój wierny sługo. Może obrośnie kurzem, a może nie… Może któregoś dnia ktoś ją otworzy i dowie się o moim istnieniu?

Popatrzył na swego powiernika.

– Od zawsze wiedziałem, że nie tylko mnie wspierasz, ale i pilnujesz. Więc teraz ci dziękuję, a jednocześnie wyjaśniam, co i dlaczego zrobię. Ktokolwiek zostanie nowym cesarzem, powinien to wiedzieć.

Drahi zawahał się lekko.

– Panie, ja nie służę Margalowi ani nikomu innemu, ja służę jedynie Archandowi… I jeżeli zechcesz, odbiorę ci życie łagodniej niż ty sam to zrobisz… – powiedział, a na jego twarz wypłynęły rumieńce. – Wiem, nie powinienem…

Yannuris uniósł dłoń, powstrzymując dalsze słowa starego sługi.

– Powinieneś. Ale najpierw poszukaj gońca i wyjaśnij mu, że ma pojechać na Więzienną Górę i położyć księgę w bibliotece.

Sam w tym czasie poszedł po raz ostatni popatrzeć na swoją Oennę. Nie była niczemu winna, a traktowała starego męża lepiej, niż się mógł spodziewać i niż miał prawo oczekiwać po takim mariażu.

Spała przykryta cienkim pledem. Nie chciał jej budzić. Lecz gdy pochylił się, aby ją pocałować na pożegnanie, zamruczała sennie i otworzyła oczy.

– Tak? – spytała miękko.

– Idę… idę do ogrodu. Chciałem ci tylko powiedzieć, że cię kocham – rzekł z wysiłkiem.

Uśmiechnęła się, pewnie biorąc jego słowa za starcze gadanie. Znów ogarnęła ją senność, z westchnieniem zamknęła powieki.

Władca wrócił do komnaty Drahiego. Czekając, obracał w palcach jeden z miniaturowych obrazów swej żony, przedstawiający małego pustynnego kota przyczajonego przy norze.

Sługa przybiegł lekko zadyszany, przerywając Yannurisowi rozmyślania.

– Goniec pojechał zawieźć księgę na Więzienną Górę, jak chciałeś – rzekł. – A ja… – zawahał się – ja jestem gotów, panie… Zrobię to szybko, nic nie poczujesz.

Cesarz skinął głową.

– A potem pójdę za tobą, mój władco… – dodał cicho Drahi.

Jego pan uśmiechnął się z niedowierzaniem. Długo patrzył na wiernego sługę, nim rzekł głosem, w którym obok smutku chyba można było usłyszeć nutę nadziei:

– Zatem ruszajmy.

Romuald Pawlak

Po zdobyciu II miejsca w konkursie na opowiadanie tygodnika „Na przełaj” w roku 1987, debiutował w tym piśmie prozą, a następnie publicystyką.

Swe opowiadania publikował we wszystkich pismach poświęconych fantastyce lub posiadających taki dział, między innymi w „Młodym Techniku”, „Nowej Fantastyce”, „Feniksie” oraz „Science Fiction Fantasy i Horror”. W dwóch ostatnich zamieszczał także swoje felietony i recenzje poświęcone fantastyce oraz popkulturze.

Równocześnie pisywał prozę współczesną, publikując ją w pismach takich jak „Opcje”, „Fa-art” czy „Topos”.

Jako autora interesuje go nie tyle ogólna refleksja o świecie, ile przyglądanie się losom jednostki muszącej zmagać się z wadami społeczeństwa. Lubi antybohaterów, co można uznać za odtrutkę wobec historii swego kraju. Kocha historię, pisuje o niej, ale unika tu polityki, skupia się na tzw. małej historii, bohaterach, których ciężko odnaleźć na kartach podręczników.

Za największy sukces w ostatnich latach uważa dwie rzeczy: że czytelnicy chętnie sięgają po jego książki, oraz fakt, że na kanwie jego pierwszej książki dla dzieci, czyli „Miłka z Czarnego Lasu”, powstaje właśnie film animowany.

https://www.facebook.com/romek.pawlak
https://madbooks.pl/pawlak-romuald

Casus de Strigis – Marcin Pągowski

Popołudnie wlokło się niemożebnie. Spojrzałam tęsknie ku oknu, skąd lał się żar, rozmiękczający asfalt do konsystencji gumy do żucia. Wyraźnie widziałam powietrze falujące nad parapetem, niby nad piaskiem pustyni. Upał był nie do wytrzymania, a do tego zgrzyt tramwajów sunących Szewską jak koszmarne, pordzewiałe poczwarki, przyprawiał o ból głowy.

Przerwałam przerzucanie papierów z jednej sterty na drugą i ukradkiem ziewnęłam. Dzień liczyłam już jako stracony, gdy do gabinetu wtargnęło dwóch mężczyzn odzianych w czarne garnitury. Spojrzałam na nich ciekawie znad pokreślonej listy studentów. O dziwo, twarze przybyszów nie były czerwone i nabrzmiałe, choć krawaty zacisnęli pod szyją jak szubieniczne sznury. Obaj zdali mi się bliźniakami, gdy identycznym ruchem – Fox Mulder mógłby się uczyć – wyciągnęli służbowe legitymacje. Ech, chłopaki, za dużo amerykańskich filmów… Zerknęłam na Magdalenę. Sekretarka wpatrzona w gości klikała nerwowo na komputerze, pewnie usiłując zrzucić pasjansa na belkę. Trudna sztuka przy drżących rękach.

– Piotr Zieliński… – rzekł pierwszy z przybyłych doskonale obojętnym tonem, na co drugi zawtórował:

– …i Sławomir Małasiewicz. – Po czym chórem, niby ministranci w czasie nabożeństwa, dodali: – Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego. – Brakowało tylko „amen”. Ciekawe czy ćwiczyli, czy wychodziło im samoistnie?

Na Magdalenie ewidentnie zrobili wrażenie, na mnie nie bardzo. Widać afera OODA zataczała coraz szersze kręgi. Ani przez chwilę nie wątpiłam, że wrocławscy archeolodzy też są zamieszani. Co to, to nie. Z mściwą satysfakcją oczekiwałam, aż Mulder wraz z bratem bliźniakiem wyłuszczą, z czym przybyli. Nie kryłam się już nawet z faktem, że leżący przede mną plan ćwiczeń terenowych, które miałam poprowadzić za pana profesora dla studentów czwartego roku, bandy leniwych obiboków i alkoholików, interesuje mnie tyle co zeszłoroczny śnieg. Dwudziesty sezon wykopalisk na łużyckim cmentarzysku mało komu jawił się interesująco. Zwłaszcza w takim towarzystwie.

Wyprostowałam się na krześle, zakładając nogę na nogę. Szykowałam się na widowisko. Pewnie jak zwykle wszystko rozejdzie się po kościach, ale warto podsłuchać, czy umoczeni w brudnych sprawkach są ci, których obstawiałam, czy też życie potrafi mnie jeszcze zaskoczyć. No i doigrałam się. Oczywiście, życzenia lubią się spełniać wyłącznie jeśli nie chodzi o wygraną w totka. Przy wtórze słabego „W czym mogę panom pomóc?” Magdaleny, z przylegającego do sekretariatu gabinetu wyłonił się zwabiony dochodzącymi głosami profesor Niedolski, dyrektor instytutu. Agenci raz jeszcze machnęli

legitymacjami, tak na wszelki wypadek, gdyby przypadkiem nie dosłyszał ich chóralnego okrzyku. Słyszał, słyszał, chłopaki. Słyszał z pewnością cały instytut wraz z biurwami z dziekanatu piętro niżej. Ciekawe ile osób stało już za drzwiami, licząc na tanią sensację? Ja przynajmniej byłam w samym centrum i jeśli agenci nie zamkną się z dyrem w jego gabinecie, to usłyszę wszystko. Może nawet będę świadkiem aresztowania? Rozbawiła mnie myśl o profesorze Niedolskim zakutym w kajdanki.

Tymczasem wyższy z agentów, ten, który przedstawił się jako Zieliński, postanowił wreszcie oznajmić powód najścia, a mnie przyprawić o opad szczęki.

– Szukamy doktor Elżbiety Siemieńskiej – rzekł, chowając legitymację do wewnętrznej kieszeni marynarki.

No tak… No tak! Że jestem zamieszana w afery autostradowe to się nie spodziewałam. Tego tylko brakowało.

Poczułam na sobie spojrzenie Magdaleny. Niby pełne współczucia i życzliwe jak zawsze, ale wiedziałam, że to pozór. Fałszywa żmija w myślach zacierała pewnie ręce z radości. Może nawet doniosła gdzieś na mnie, a teraz będę musiała się gęsto tłumaczyć. Czego to ludzie nie zrobią, żeby komuś popsuć karierę.

Wzrok dyra nie był lepszy. Z tego co wiem, miał mnie za osobę pracowitą i uczciwą. I, do cholery, taka właśnie byłam! Obrzydliwie uczciwa!

Agenci, wyraźnie nie w ciemię bici, podążyli wzrokiem za wymownym spojrzeniem Magdaleny, i od razu doskoczyli

do mojego stolika. Słowa Niedolskiego formalnie przypieczętowały wyrok:

– Tak się składa, że doktor Siemieńska przygotowuje właśnie budżet wykopalisk. – Dyro całkowicie niepotrzebnie wskazał mnie zdjętymi z nosa okularami. Teraz czekał z sekretarką, co stanie się dalej. Ciekawe, czy miał podobną wizję? Bo w myślach zamieniliśmy się miejscami, a kajdanki przeniosły się na moje nadgarstki.

Zieliński wyciągnął do mnie prawicę. Uścisnęłam ją niepewnie. Zaraz potem dłonią potrząsnął mi Małasiewicz.

– Nieco inaczej wyobrażałem sobie doktor archeologii – rzekł ten ostatni z uśmiechem jak z reklamy pasty do zębów. – Bardziej jak Larę Croft albo Indianę Jonesa… – dodał, lustrując mnie bezczelnie.

Westchnęłam tylko cicho, zacisnęłam zęby i powstrzymałam cisnącą się na usta ciętą ripostę. Jeśli przyszli mnie aresztować za coś, czego nie zrobiłam, wolałam nie pogarszać sytuacji. Cholerni fani „Tomb Raidera” są wszędzie, nawet w ABW.

– Większość ludzi postrzega tak archeologów… – mruknęłam nieskładnie. Darowałam sobie tymczasem dalsze komentarze, choć miałam ich wiele na podobne okazje. Kiedy zaczynałam studia, triumfy święciła akurat trzecia część tej pieprzonej gry. Rude włosy i podobna figura sprawiły, że koledzy z roku szybko przechrzcili mnie na Larę. Początkowo nawet wydało mi się to zabawne i na praktyki jeździłam obowiązkowo w oliwkowej koszulce, krótkich spodenkach i z martensami na nogach. Tylko

plecak za nic nie chciał być taki mały i leciutki, jeśli załadowało się go wszystkim, czego potrzeba podczas miesiąca wykopalisk w polowych warunkach. Potem przestało mnie to bawić. Ale przezwisko zostało. Swoją drogą, ciekawe co za kretyn stworzył wizerunek panny Croft? Jak nic musiał mieć szesnaście lat i burzę hormonów. Spróbowałby jeden z drugim biegać i skakać z takim biustem, to by mu się odechciało. Na pewno też nie wiedzieli, jak od ciężaru piersi potrafią czasem boleć plecy. Nie mówię o katowaniu się biegami i ćwiczeniami, żeby wyglądać szczupło. Ale to już mój wybór, bo jedzenia nie zamierzałam sobie odmawiać ani żywić się trawą. A przynajmniej nie samą. Tyle tylko mi zostało z wyglądu idolki milionów graczy, bo nie nosiłam nigdy więcej włosów splecionych w warkocz. Zmieniłam też kompletnie styl. Odkąd dostałam posadę w instytucie, przestałam ubierać się w podarte jeansy i czarne koszulki z nieczytelnymi logami kapel. W odstawkę poszły długie czarne suknie z koronkami i inne elementy typowe dla gotycko-metalowego wizerunku. Zamieniłam je na eleganckie żakiety, mini i garnitury. Niestety znów się wyróżniałam pośród kolegów w pracy, ci bowiem, w znakomitej większości nie tylko garnitur znali z odległych wspomnień – niektórzy zapomnieli, czym jest mydło. Mówiłam sobie, że w instytucie wyróżniam się *in plus*, ale co z tego? Czarna owca na zawsze pozostanie czarną owcą.

* * *

Nie wiem, czy Zieliński i Małasiewicz chcieli mi zaimponować, ale jeżeli tak, to się nie udało. Szpanerskie czarne BMW, choć przyznam, ładne, nie robiło na mnie specjalnego wrażenia. Po prawdzie ani trochę nie interesowałam się drogimi autami – dla mnie samochód powinien być wygodny, jeździć bezawaryjnie i nie za dużo palić – ale dzięki siostrze z kolekcjonerskim zacięciem do bogatych chłopaków, idealnym wytworze konsumpcyjnego świata, niejedno już widziałam. Potrafiłam też bezbłędnie rozpoznać co droższe samochody. Swoją drogą ciekawe, że na takie właśnie rzeczy marnowane były pieniądze podatników. Choć może to i dobrze? Jak sobie pomyślę, na jakie bzdury przewala pieniądze uniwerek, robi mi się niedobrze. Konkluzja, że tajniacy, którzy, bądź co bądź, pilnują porządku i bezpieczeństwa, jeżdżą drogim autem, nie wydaje mi się aż tak oburzająca.

Agenci nie zapytali o adres, ale bezbłędnie trafili pod moją kamienicę. Nie wyjaśnili niczego, dali za to góra pół godziny na spakowanie się. Też coś! Sama się sobie dziwiłam, że udało mi się w tak krótkim czasie. Istny rekord świata. Małasiewicz – albo ten drugi – nie pozwolił mi się napawać dumą z wyniku i wpadł do mieszkania. Dobrze, że przynajmniej użył dzwonka do drzwi.

– Niech pani weźmie też wszystkie materiały, jakie się pani udało zgromadzić na temat wampiryzmu – oznajmił, a mi szczęka opadła po raz drugi tego dnia. Dziękować losowi, że zęby mam zdrowe. Gdybym nosiła protezę, jak nic musiałabym teraz szukać kawałków na podłodze.

– Czy to nie aby… – chciałam zaprotestować, węsząc w całej historii znamion dowcipu, ale mina Muldera świadczyła dobitnie, że ani nie znał się na żartach, ani nie miał ochoty na dyskusje. No niech mu tam, ale przecież nie zabiorę połowy biblioteczki. – Jakie materiały interesują panów konkretniej? Sprawozdania z prac wykopaliskowych, podczas których odkryto pochówki z zabiegami antywampirycznymi? – wyrzuciłam jednym tchem. – Może bardziej materiały etnograficzne? Zapiski dotyczące wampiryzmu na przestrzeni wieków? Teorie odnośnie do zmian chorobowych będących przyczynkiem do powstania wiary w wampiry?

– Co pani uzna za najistotniejsze. Interesuje nas przede wszystkim czym jest wampir i jak z nim skutecznie walczyć.

Zamarłam. Musiałam mieć naprawdę idiotyczną minę, bo na twarzy agenta pojawił się wredny uśmieszek z rodzaju tych „ha, widzę na twoim czole pryszcza, o którym nie masz pojęcia”.

– Proszę się pospieszyć. – Albo był automatem, albo całkowicie nie miał wyobraźni. Powtarzał w kółko kilka wyuczonych słów i zwrotów. „Wampiryzm” musiał być szczytowym osiągnięciem jego fantazji. Chwycił moją walizkę i podniósł, jakby nic nie ważyła. – Mogę zabrać do auta?

Skinęłam głową.

– Za pięć minut oczekuję pani na dole. Chcemy wyjechać, zanim zaczną się korki.

No proszę, zwykły ruch miejski stanowił dla nich przeszkodę. Nic dziwnego, że w kwestii wampirów udali się do specjalisty.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, zachichotałam głupkowato, a potem zabrałam do wybebeszania biurka i regału z książkami. Włączyłam komputer i laptopa, żeby przerzucić nieco plików. Agenci będą wniebowzięci, jak im pokażę ryciny. Tylko na cholerę im to wszystko? Od kiedy ABW interesuje się wierzeniami ludowymi albo zjawiskami paranormalnymi? A może postanowili skutecznie unieszkodliwić brata prezydenta? W końcu kołek osinowy to sprawdzona przez wieki metoda.

* * *

– No dobra, ile wam zapłacono? – zapytałam, kiedy minęliśmy Bielany i Małasiewicz skręcił na autostradę.

Zieliński, rozparty wygodnie na tylnym siedzeniu obok mnie, spojrzał ze zdziwieniem.

– Zapłacono? Za co?

Małasiewicz wdepnął ostrzej gaz i BMW gwałtownie przyspieszyło. Znacznie powyżej dozwolonych stu dziesięciu na godzinę.

– Za ten cyrk. Który z moich kolegów był taki mądry?

W oczach Zielińskiego pojawiło się zrozumienie.

– Zapewniam panią, że to nie żarty.

– Jasne – pokiwałam głową, uśmiechając się ironicznie. – Uganianie się za wampirami należy do zwykłych obowiązków ABW.

– Zwykłych na pewno nie. Dlatego zwróciliśmy się z prośbą do pani…

– Mogę jeszcze raz zobaczyć panów odznaki?

Zieliński sięgnął do kieszeni, rozłożył skórzane etui, błysnął wypolerowanym metalem. Nie zamierzałam się tym zadowolić. Wyrwałam mu odznakę z ręki, zanim zdążył zaprotestować. Żadnego pociągniętego farbą plastiku, prawdziwa skóra… Oddałam ją grzecznie i potulnie, usiłując nie udławić się z wrażenia.

– Wiemy, że miała pani do czynienia z tego rodzaju – zająknął się, jakby słowo nie chciało przejść przez gardło, uwłaczając racjonalnemu umysłowi – zjawiskami.

Ach, tu mnie macie. Siedziałam cicho, bo i co miałam powiedzieć?

Otworzył wcale grubą teczkę i zaczął wertować papiery. Nieco pobladłam, gdy zobaczyłam przewijające się między nimi zdjęcia.

– Mam – mruknął. – Była pani świadkiem zdarzeń w Ballygawley w Irlandii Północnej. Mam rację?

– Złożyłam przysięgę, że nie będę o tym mówić – burknęłam. – Zresztą jeśli wszystko ma pan tam wypisane, to po co pan pyta?

Zieliński pokiwał głową. Pomyślałam, że fryzurę z grzywką ma jak ludzik LEGO. Gdyby nie pewien wpojony respekt do przedstawicieli władzy, ponownie zachichotałabym jak kretynka.

– Elżbieta Anna Siemieńska – podjął agent, przerzuciwszy akta na pierwszą stronę – urodzona 27

sierpnia 1978 roku we Wrocławiu, córka Jana i Aleksandry z Gniewieckich… – urwał. Mamrocząc, przesunął palcem po tekście. – Doktoryzowała się pani na uniwersytecie w Edynburgu… Można wiedzieć, co sprawiło, że wróciła pani do Polski?

– Głupota.

Uśmiechnął się krzywo.

– Głupota nie głupota, jest pani polską obywatelką i oto nadeszła chwila, by wspomóc ojczyznę w potrzebie – zakończył z nutą patosu w głosie.

– Mam inne wyjście?

– Nie – wyszczerzył zęby – ale dobrze zapłacimy za pani czas. Stosownie do ryzyka.

Czyli istniało jakieś ryzyko? Pięknie. Zatęskniłam za biurkiem w instytucie i stosem papierzysk. Tam ryzykowałam co najwyżej oglądanie zapitych studentów, względnie kaca, jeśli, dla dobrych stosunków z podwładnymi, pozwolę sobie wypić więcej alkoholu niż zazwyczaj.

– To może przejdzie pan wreszcie do rzeczy? – rzuciłam z przekąsem. Wcale, ale to wcale nie podobała mi się wzmianka o ryzyku w połączeniu ze wspomnieniem wydarzeń z Ballygawley. Na pewno o nich nie słyszeliście. Bo i skąd? Rząd brytyjski ma długą tradycję tuszowania niewygodnych faktów. A te zdecydowanie nie są wygodne. Prawdopodobnie oglądaliście wiele filmów o zombie: „28 dni później” czy „Noc żywych trupów”, wiecie, takie klimaty. No to, nie łamiąc za bardzo przysięgi o zachowaniu

tajemnicy, powiem wam, że scenarzyści podobnych produkcji mogliby czerpać inspiracje z wydarzeń w hrabstwie Londonderry. A „The Walking Dead” to serial dla pięciolatków. Chce wam się śmiać? To się śmiejcie, mi wtedy nie było do śmiechu. Ale przeżyłam i to najważniejsze. I nawet wypuścili mnie ze strefy objętej kwarantanną. Tylko mam nigdy nikomu o tym nie opowiadać. Nigdy i nic. Zatem nie mówię. – Na co wam te wampiry, panowie agenci?

Zieliński puścił uszczypliwy ton mimo uszu.

– Mamy doniesienia o pewnych niewytłumaczalnych zjawiskach w Ołaczycach Kłodzkich…

– Doniesienia o pewnych niewytłumaczalnych zjawiskach? – parsknęłam. – Jeśli nie będziemy szczerzy wobec siebie, w niczym wam ani ojczyźnie w potrzebie nie… – urwałam, bo uświadomiłam sobie, że nazwa nie jest mi obca. – Zaraz, czy to nie tam w maju i czerwcu zaginęły te dzieciaki?

– Owszem. Było zresztą nieco więcej zaginięć. W całej Kotlinie Kłodzkiej.

– I sądzicie, że stoi za nimi co? Wampir?!

– Niczego nie przesądzamy.

Proszę, jakie naukowe podejście do nienaukowego problemu. Nic, tylko doktoraty wam dać, panowie.

– A poważnie?

– Czy prosilibyśmy panią o pomoc, gdybyśmy nie byli poważni?

Plasnęłam otwartą dłonią w czoło.

– Już w tak zwanych ciemnych wiekach ludzie nie byli ciemni i wiedzieli, że wampiry nie istnieją. Pozwólcie, że zacytuję „Kapitularze paderbornskie” z 765 roku, gdzie na śmierć na stosie skazuje się takiego, co „zwiedziony przez czarta wierzył wedle zwyczaju pogańskiego, że mężczyzna lub kobieta bywa strzygą i ludzi pożera”.

– Niezłe. – Małasiewicz odwrócił się od kierownicy, nie zważając, że BMW pochłaniało drogę z łapczywością, jakiej mógłby pozazdrościć diabeł tasmański z kreskówki o króliku Bugsie. – Cytowała pani z pamięci?

– Niech pani jednak zwróci uwagę – wtrącił drugi agent – że cytat nie dowodzi wcale braku wiary w wampiry, a raczej zabraniania wiary w nie.

Tu mnie masz, draniu. Ten argument trudno zbić.

– Nie twierdzę, że mamy tu do czynienia z wampirem – kontynuował Zieliński. – Jednak skoro nie wiemy, z czym tak naprawdę mamy do czynienia, woleliśmy przyjąć, że w informacjach, jakie otrzymaliśmy, jest ziarno prawdy, a wtedy pani wiedza może okazać się nieoceniona.

– Jakie to informacje? – zapytałam, wiercąc się, jakbym siedziała nie we wnętrzu luksusowego auta, a na kołysce Judasza.

Agent sięgnął po kolejną teczkę.

– Proszę – rzekł, wręczając mi ją. – Niech się pani nie krępuje. Fotki jak z planu taniego horroru. Z tą różnicą, że bez efektów specjalnych.

Przerzuciłam kilka zdjęć. Rzeczywiście, mogłam pomylić je z czymś, co małolaty wrzucają na fejsa w okolicy

Zaduszek. Ślady kłów (ale nie tylko na szyi), blade, pozbawione krwi ciała, poprzegryzane gardła, kilka urwanych kończyn, fragmenty czaszki przywodzące na myśl rozbite gliniane skorupy tkwiące w resztkach mózgu. Wszystko tak nierealne, że nawet mnie nie ruszyło, choć patrzyłam na czyjeś dzieci, pokładane przez lata nadzieje unicestwione w bestialski sposób. Nie było nic romantycznego w tym, co uwieczniono na owych fotografiach. Możecie mi wierzyć na słowo. Znam się na tym, sama miałam gotycki okres w życiu. Sine usta i martwe źrenice nie mają w sobie niczego pięknego, a śmierć z pewnością nie jest dostojna.

– Niech wam będzie – powiedziałam, wolno artykułując słowa. – Jeśli to nie jakiś wyjątkowy zwyrodnialec, to musi być wampir…

– Wiem, co pani myśli – przytaknął Zieliński. – Za PRL-u często seryjnych morderców ze szczególnie bestialskimi skłonnościami prasa okrzykiwała wampirami. Ale w tym wypadku, zapewniam, nie mamy do czynienia z metaforycznym wampirem. Nasz konsultant…

Auto gwałtownie zahamowało. Pas omal nie wyrwał mi obojczyka, a serce na moment podskoczyło do gardła, pompując szaleńcze ilości adrenaliny.

– Co robisz, kretynie?! – Małasiewicz rzucił kwiecistą wiązką przekleństw iście szewskiej proweniencji. – Puknij się w łeb, skurwysynu! Widzieliście?! Ktoś zapamiętał jego numery?

Rzuciłam szybkie spojrzenie w bok, ale nie zauważyłam niczego nienormalnego. Może prócz faktu, że agent dzielący ze mną tylną kanapę zdawał się równie skonfundowany. Może nie patrzyłam na drogę pogrążona w rozmowie, zajęta przeglądaniem zdjęć, ale naprawdę nie dostrzegłam niczego, co zmusiłoby Małasiewicza do tak gwałtownego hamowania. Wiecie, o co mi chodzi? Jak się jest kierowcą, ma się dość podzielną uwagę i oczy dookoła głowy. I nawet, kiedy jest się pasażerem, trudno jest nie rejestrować tego, co dzieje się na drodze. A ja byłam pewna, że Małasiewicz udawał. Zahamował, by partner nie zdradził jakiegoś szczegółu. O czym?

Wychodzi na to, że o tajemniczym konsultancie, Sherlocku.

Kierowca za nami trąbił i błyskał światłami, więc Małasiewicz wdepnął gaz i znów odskoczyliśmy na odległość, której nerwowy dresiarz z tyłu nie był w stanie zmniejszyć zdezelowaną beemką.

– O czym my to…? – podjął Zieliński, wkładając rozsypane zdjęcia do teczki. – Mamy podstawy sądzić, że konwencjonalne metody unieszkodliwienia wampira mogą okazać się nieskuteczne, stąd potrzebujemy pomocy fachowca. Wszyscy wiedzą oczywiście o osikowych kołkach i innych takich…

– Ale już nie mają pojęcia, że kołek można wrazić z podobną skutecznością w serce, jak i w du… przepraszam, pośladki – dokończyłam. Mina agenta zrzedła. Musiał chyba pomyśleć, że się z niego nabijam. – Pisze

o tym Kazimierz Moszyński w „Kulturze ludowej Słowian” – dodałam – konkretnie w tomie drugim, woluminie pierwszym.

– Widzi pani? – ucieszył się. – Właśnie po to zabraliśmy panią ze sobą.

No jasne, bo sami nie potraficie zastrugać kołka? Może jeszcze nosy wam powycierać?

– Czy ktoś już widział naszego upiora? – postanowiłam kuć żelazo póki gorące, może jeszcze wymsknie im się coś na temat tajemniczego konsultanta.

– Nikt, kto byłby nam potem w stanie o tym powiedzieć. – Małasiewicz uśmiechnął się krzywo, spoglądając na mnie w lusterku.

– Czyli jednak świra, który myśli, że jest wampirem, nie można wykluczyć?

– Po kilku przeprowadzonych autopsjach szczerze w to wątpię, ale nie, nie możemy. Wtedy będzie pani miała dobrze płatne kilkudniowe wakacje na koszt państwa…

W takim tonie rozmowa toczyła się aż do zjazdu na Jelenią Górę. Nic z niej nie wynikało. Agenci coś tam pytali, ale jakby nie do końca interesowały ich odpowiedzi. Sami udzielali dość mętnych i wymijających, jakby średnio zależało im na współpracy. W końcu ze znudzenia usnęłam.

* * *

Było jeszcze jasno, gdy dotarliśmy do Ołaczyc. Obudził mnie żwir pryskający spod opon i kołysanie, kiedy Małasiewicz zjechał z szosy na polną drogę. Myliłby się ten,

kto by sądził, że agenci na kwaterę obiorą jakiś hotel w oddalonym o dwadzieścia kilometrów Kłodzku. Wynajęli pokoje na wsi, w jednym z gospodarstw nieopodal miejsca, które podług nich miało być leżem wampira. Nie wiem na jakiej podstawie wysnuli takie przypuszczenie, ale niech im będzie. Przekonam się niebawem, bo obaj agenci aż palili się do wizji lokalnej.

Obejście, o dziwo, było całkiem zadbane i czyste, choć nie zauważyłam, by wiekowa właścicielka miała kogokolwiek do pomocy. Podobnie przyzwoite okazały się pokoje i łazienka. Wiecie, zwracam na takie rzeczy uwagę. Po kilku sezonach wykopaliskowych naprawdę zaczyna się doceniać wygodne łóżko i czystą pościel. Nie wspominając o takich luksusach jak prysznic.

Jeden z agentów opłacił noclegi, drugi pomógł mi wnieść bagaże. Moja koszulka na ramiączkach i fakt, że przyjechałam z dwoma chłopami, chyba nie przypadły do gustu gospodyni, ale nie powiedziała ani słowa. I dobrze. O gustach się nie dyskutuje.

Ledwie zdążyłam spakować do plecaka laptopa, wysłużony aparat i parę drobiazgów, a już ruszaliśmy. Obaj agenci popatrzyli na mnie jak na dziwadło, kiedy, po wkroczeniu na miedzę wiodącą w stronę niewielkiego zagajnika, kazałam im się zatrzymać. Najwyraźniej żaden z nich nie miał doświadczenia w terenie i ich przygotowanie do wędrówki ograniczyło się do zmiany uniformów na coś, co określiłabym mianem stroju turysty-mieszczucha. Brakowało tylko, żeby zamiast sportowego obuwia nałożyli

japonki. Jesteście dorośli, chłopaki, a ja was niańczyć nie będę. Niemniej sobie spreju przeciw komarom żałować nie zamierzałam, choć zapadający wieczór był dość ciepły. Już ja wiem, co czyha w zagajnikach, na łąkach i polach wokół. Prócz wąpierza, ma się rozumieć.

Ruszyliśmy dalej i okazało się, że miałam rację. Jeszcze zanim dotarliśmy do szczytu wzniesienia, gdzie zaczynały się drzewa. Tak, te okolice z pewnością zamieszkane są przez niezliczone hordy krwiopijców. Śmiejąc się w duchu, czekałam na prośbę o sprej, ale się nie doczekałam. Duma agentów okazała się silniejsza.

Przedarliśmy się przez gęste chaszcze między gromadą modrzewi, rosnących w tak regularnych odstępach, że na pewno zasadziła je ręka człowieka, i minęliśmy pochylony płotek sklecony z różnej długości zmurszałych badyli, okalający równie wiekowy krzyż. Wszystko to przy akompaniamencie dłoni plaskających o odsłonięte części ciała. Ja gwizdałam beztrosko, rzeczywiście czując się jak na wakacjach, agenci klęli z cicha. Zamilkli, kiedy naszym oczom ukazała się wieża barokowego kościółka majacząca wśród wieczornej mgiełki w oddali. Małasiewicz i Zieliński chwilę łapali oddech, rzucając nienawistne spojrzenia w odpowiedzi na mój radosny uśmiech, potem szybkim krokiem kontynuowaliśmy wędrówkę w stronę otaczającego kościół muru.

Nawet z tej odległości i mimo zmierzchu widoczne były nagrobki wmurowane co kilka kroków. Spękane i pokryte mchem i porostami, gęsto oplecione bluszczem. Tu i ówdzie

ponad mur wystawały sypiące dachówką daszki kapliczek grobowych co znaczniejszych mieszkańców Ołaczyc z czasów, gdy te tereny należały do Niemców.

Było już szarawo, kiedy przekroczyłam kościelną bramę. Przywitała mnie cisza niewielkiego podwórca wysypanego żwirem i siostra, chyba, franciszkanka w nieokreślonym wieku, wchodząca do świątyni. Skinęła mi bez słowa i zniknęła w mrocznym wnętrzu. Nie zamierzałam czekać na Zielińskiego i Małasiewicza wciąż walczących z plagą komarów, ruszyłam więc alejką wzdłuż kościelnego muru. Widok, jaki ukazał się mym oczom, dotąd skryty za drzewami i bryłą świątyni, iście zapierał dech w piersi, choć przyznaję, zazwyczaj nie reaguję przesadnie na uroki architektury. Otoczone pordzewiałym kutym płotem, oddzielone od przykościelnego cmentarza przepyszną bramą, wznosiło się wspaniałe mauzoleum w neoromańskim stylu. I niech mnie diabli, wyglądało jak z nocnych fantazji małoletniej gotki.

Bram Stoker z pewnością nie powstydziłby się, gdyby czytelnikowi śledzącemu peregrynacje Lucy Westenry po londyńskich cmentarzach, pojawiał się przed oczyma taki obraz. Do wrót monumentalnej budowli prowadziło kilka schodów oflankowanych przez dwa pozieleniałe, klęczące anioły pogrążone w wiecznym smutku. Kolejny stał na postumencie wieńczącym łuk ponad zdobnymi, dwuskrzydłowymi wrotami, podzielonymi na kwatery z antabami w kształcie lwich łbów. Napis ponad herbowymi kartuszami głosił: „*Friede Sei Mit Euch*”.

– Doprawdy? – zapytałam sama siebie, wiodąc wzrokiem wzdłuż pełnej zdobień bordiury. Miejsce to wręcz przytłaczało ogromem i powagą, wymuszało ciszę, skupienie i zadumę nad marnością ludzkiego życia. Nic nie świadczyło o tym, by miało być siedliskiem nieopisanego zła.

– Robi wrażenie, co? – odezwał się za mymi plecami Zieliński. – Nic dziwnego, że zakochane w błyszczących wampirach nastolatki ciągną tu jak pszczoły do miodu.

– Żartuje pan?

– Skoro pracujemy razem, to nie pan – wyciągnął rękę. – Piotr.

Ścisnęłam mocno, po męsku, czego chyba się nie spodziewał. Tak samo zrobiłam z Małasiewiczem – niedoczekanie, jeśli spodziewali się mimozy. Chcieliście panny Croft, to nie narzekajcie.

– Sprytny, co? – podjął agent. – Wampiry są teraz na topie, więc nie musi nawet się fatygować po żarcie. Samo wali drzwiami i oknami.

– Ale byłby aż taki głupi, żeby obrać sobie na leże najbardziej oczywiste i zarazem najmniej bezpieczne dla siebie miejsce?

Małasiewicz potrząsnął dobytym nie wiedzieć skąd pękiem kluczy na olbrzymim metalowym kółku.

– Przekonajmy się.

– Tak po prostu? – zdziwiłam się. Cała sprawa wciąż jeszcze, nawet u progu tajemnicy, nosiła dla mnie znamiona groteski. – A jakieś środki bezpieczeństwa? Pół biedy, jeśli

upiór jest sprytniejszy, niż sądzicie, i nikogo nie zastaniemy w domu. Co jednak, jeśli napatoczymy się na gospodarza?

– Mamy ze sobą eksperta – uśmiechnął się półgębkiem Małasiewicz. – Z pewnością sobie poradzisz i nas obronisz?

Cholerny dowcipniś. No dobrze, chcecie żartów, to sobie pożartujemy.

– Poczekajcie. – Zdjęłam plecak i wyciągnęłam laptopa. – Zacytuję wam sprawdzony sposób na wampira. – Odczekałam chwilę, aż system się załaduje, potem wybrałam odpowiedni plik. – „*Casus de Strigis*" – przeczytałam. – „Trafiło się Anno 1674, że człowiek ieden umarł w Trzeszawey, który z krewnych swoich osobom wielkie czynił złości onych dusząc, biiąc y krew z nich wysysając; mówią że to stryga: którego doł otworzywszy naleźli go iako wor, świeżusienkiey krwie pełnego, kazałem go (mowi X Pleban) wdole na gębę położyć, ale teyże nocy, przyszedł do swego syna, którego srodze zbił y wczora powiedano, że umarł. Panowie parochiani instant bardzo, ażeby mu szyię uciąć rydlem, dubitant an sit receptum ab Ecclesia tak postępować crudeliter".

Patrzyli na mnie z ogłupiałymi minami. Co, łaciny się nie uczyli? Otworzyłam kolejny plik:

– W jednym z numerów piotrkowskiego „Tygodnia" z 1895 roku zanotowano: „We wsi Kosmacz, we wschodniej Galicyi, zmarła przed kilku dniami stara kobieta, którą wszyscy chłopi tamtejsi uważali za czarownicę; ogólnie mówiono we wsi, iż baba ta przyszła na świat z zębami i dlatego jest wiedźmą. Przed pogrzebem kilku włościan,

pomimo sprzeciwiania się plebana, chcąc zapobiec, by zmarła po śmierci »nie chodziła« i ludziom nie szkodziła, wbiło jej osikowy kołek w serce!”.

No i proszę, chyba im, birbantom jednym, minęła ochota na krotochwile.

– A serio? – zapytał Zieliński. Zamknął usta, do których musiała złapać się cała familia komarów i muszek.

– I w skrócie – jęknął Małasiewicz.

– To było całkiem serio – uśmiechnęłam się wrednie. – Ale niech wam będzie. W skrócie: większość sposobów znanych przez lud i z głupia powtarzanych w filmach powinna poskutkować. Mówiąc jeszcze krócej, gdyby się na nas rzucił, strzelajcie w czerep. Nie sądzę, żeby kula była mniej skuteczna niż żelazna brona. Jeśli jesteście dość szybcy, możecie też nazbierać cierni i wbić mu je pod język – wtedy stanie się potulny jak baranek. Rozumiecie, nie będzie w stanie ssać krwi, i jeśli zechcecie, to sobie z nim pogawędzicie. Ale pospieszmy się, nawet dzieci wiedzą, że strzygi wyłażą z grobów po zmroku. Co, w „Wiedźmina” nie graliście?

Weszliśmy cicho po schodach, rozglądając się na boki jak złodzieje. Nie wiem czemu. Chyba aura tego miejsca tak na nas podziałała. Zieliński chwilę gmerał przy zamku, dopasowując odpowiedni klucz i wreszcie wrota ustąpiły, odsłaniając mroczne wnętrze. Jak w rasowym horrorze do środka wpadło na moment kilka ostatnich promieni słońca, tuż przed tym, nim skryło się za horyzontem, pogrążając świat w mroku. Wydawało się teraz, że krótki sklepiony

korytarzyk nie prowadzi do krypty, a wprost w piekielne czeluści… I wtedy Małasiewicz włączył solidną halogenową latarkę, omiatając szybko wnętrze, jakby chciał wygnać czające się po kątach strachy.

Wkroczyliśmy do wcale przestronnego pomieszczenia z ołtarzem, nad którym wisiała figura ukrzyżowanego Zbawiciela. U jego stóp ktoś zostawił zakurzony szklany flakon, w którym tkwiło kilka zeschniętych kwiatów. W jednym z kątów między pilastrami stało zwykłe, poobijane, całkiem współczesne wiadro, a z niego zwisała ścierka o niemożliwym do określenia kolorze. Powietrze było tylko odrobinę zatęchłe – najwyraźniej wentylacja działała bez zarzutu. Musiałam przyznać, że architekt, który zaprojektował owo mauzoleum, nie tylko miał wyborny gust, ale znał się też na swojej robocie.

Rozejrzałam się jeszcze raz z nieskrywaną ciekawością, podziwiając zdobne łuki wieńczące sklepienie i witrażyki w niewielkich oknach, a potem skierowałam się ku schodom wiodącym do krypty. Małasiewicz ruszył za mną, oświetlając drogę. Nasze cienie padły na ścianę, przywodząc kształtem na myśl doktora Frankensteina i pokracznego Igora. I to nie ja byłam Igorem. Niestety i tu czekało nas rozczarowanie. Kilka pustych trumien stało opartych o ścianę, osobno wieka, osobno spodnie części; jedna, również pusta, nie licząc przetartej poduszki z aksamitu, spoczywała na zdobnym katafalku. I to wszystko. Ani śladu wampira czy milczących lokatorów

opuszczonych sarkofagów. Jeśli akurat postanowili wybrać się na przechadzkę po okolicy, to wpadliśmy nie w porę.

– I co teraz? – mój głos odbił się echem od ścian. Miałam uczucie, jakby to nie był wieczór, a sama północ w dzień zaduszny. Brakowało tylko chóru i guślarza.

– Nic – skwitował Małasiewicz. – Trzeba szukać gdzie indziej. Kto powiedział, że będzie łatwo?

– Weźmiemy też grobowiec przez jakiś czas na obserwację – dodał Zieliński, wodząc palcem po powierzchni jednej z trumien. – Jeśli tak chętnie ściągają tu małolaty, prędzej czy później wampir też przyjdzie. Wystarczy, że zgłodnieje.

Wzruszyłam ramionami i obeszłam katafalk, przyglądając się wyrzeźbionemu na sarkofagu kartuszowi herbowemu o polu podzielonym na cztery. Figury nic mi nie mówiły, ale to akurat nie dziwne. Nie mam pojęcia o niemieckiej heraldyce, a herb wyglądał mi na niemiecki. Może śląski? W sumie wszystko jedno. Pod nim ktoś wykaligrafował szwabachą jakieś nazwisko. Biała farba była już mocno zatarta i spłowiała, do tego pokryta warstwą kurzu.

– Idziesz, Elżbieto? – rzucił Małasiewicz ze schodów.

– Mhm… – mruknęłam, klękając na posadzce. – Chcę jeszcze tylko obejrzeć te zdobienia…

– Nie spiesz się, doktor Jones – zarechotał i rzucił mi latarkę. – My sobie zrobimy przerwę na papierosa. Gdyby wampir się tu wśliznął przez okno – wskazał na jeden z maleńkich świetlików z rozbitą szybą – krzycz.

– Psiknę mu gazem łzawiącym po oczach – powiedziałam, przecierając deski kantem dłoni. – Może się wzruszy i ulituje nad mym smutnym losem.

– Jasne – zaśmiał się ponownie i ruszył po schodach. Coś tam jeszcze mamrotał na temat archeologów, ale nie zwróciłam uwagi, bo tak naprawdę nie interesowały mnie żadne zdobienia, lecz zwykła papierowa teczka na dokumenty wciśnięta pod pochylone, wsparte o katafalk wieko trumny. Ech, agenci, czego wy szukacie? Naprawdę jesteście tak kiepscy, czy jestem w coś właśnie wrabiana? Nic to. Wsadziłam teczkę do plecaka, pomiędzy moje papierzyska – jeśli nikt celowo nie będzie w nich szperać, to jej nie zauważy – i wróciłam do napisu na wieku trumny.

– Von Magnus… – odcyfrowałam. Nic mi to nie mówiło, ale przynajmniej ciekawość została zaspokojona. Zarzuciłam plecak ponownie na grzbiet, wstałam z klęczek i ruszyłam do wyjścia.

Na zewnątrz było całkowicie ciemno. Paliło się kilka świateł podświetlających, nader skromnie, kościół i latarnia przy biegnącej za cmentarnym murem szosie. W domu *vis à vis* cmentarza było ciemno. Najwidoczniej gospodarze chodzili spać z kurami. Agentów rozpoznałam po czerwonawych ognikach papierosów, idąc za smrodem tytoniowego dymu.

– I jak tam, doktor Jones?

– Raczej nic, co by was mogło zainteresować… – burknęłam. O teczce oczywiście wspominać nie

zamierzałam. Przynajmniej dopóki sama jej nie przestudiuję. – Chyba że interesujecie się heraldyką?

– Niespecjalnie – odparł Zieliński. – My za to natrafiliśmy na coś intrygującego – dłonią z papierosem wskazał nagrobek u swych stóp, dmuchnął dymem w jego stronę. – Grób grafa Magnusa. Ciekawe czemu nie pochowali go w rodzinnej krypcie?

Poświeciłam na skromną płytę nagrobną pozbawioną jakichkolwiek zdobień prócz niewielkiego krzyża z piaskowca. Wilhelm graf Magnus. 28.1.1876 – 22.12.1940. Rzeczywiście niezwykłe. Grób ewidentnie należał do członka rodziny, aczkolwiek choć pochowano go na terenie przynależnym do mauzoleum w obrębie ogrodzenia, poskąpiono mu miejsca wewnątrz grobowca. Dlaczego? Pod koniec 1940 roku na tych terenach, o ile pamiętam, nie prowadzono żadnych działań wojennych, nie mogły być zatem powodem. Wilhelm odszedł od luteranizmu i w „podzięce” nie dostąpił zaszczytu spoczęcia wśród przodków? A może zafascynował go narodowy socjalizm, co wcale nie cieszyło się aż takim poklaskiem? Albo wmieszał się w jakiś zwykły obyczajowy skandal? Romans? Został okultystą?

– Może warto by było go wykopać i przebić kołkiem? – zastanawiał się głośno Zieliński.

Stanęłam z boku, by nie docierał do mnie papierosowy dym. Potarłam nagie ramiona, na których pojawiła się gęsia skórka. Zapowiadała się dość rześka noc.

– Do kompletu radziłabym odwrócić trupa na brzuch, żeby, jak to mówiono, wgryzał się w ziemię – poradziłam z krzywym uśmiechem. – Do tego odciąć głowę i położyć w nogach, by wampir nie mógł po nią sięgnąć, ewentualnie położyć mu na szyi sierp i sam sobie utnie łeb, gdy spróbuje wstać… Jednak na początek nie potrzebujecie zgody na ekshumację? Przyuważy was proboszcz albo franciszkanki i narobią rabanu na cały powiat. Już widzę nagłówki w gazetach i ja się na to nie piszę. Taka sława do niczego mi nie jest potrzebna.

– Papiery załatwi się rano – zgodził się Małasiewicz. Rzucił niedopałek na ziemię, przydepnął. – Teraz warto byłoby zjeść jakąś kolację. Potem trzeba będzie popilnować grobowca.

Na kwaterę wróciliśmy szosą przez wieś. Nikt nie chciał ryzykować skrótu przez pole. Agenci nie mieli ochoty na dalsze zapoznawanie się z komarami, zgodnie też uznaliśmy, że nie warto ryzykować skręcenia nogi w jakimś wykrocie.

Wampira nie spotkaliśmy.

* * *

Mówcie co chcecie, ale wiejskie żarcie jest najlepsze na świecie. I niech obrażają się wszyscy wegetarianie i weganie, niech plotą trzy po trzy, a i tak nie zmienię zdania. Nie ma nic smaczniejszego niż świeży wiejski chleb ze smalcem i ogórkami małosolnymi. No, może tenże chleb z prawdziwym baleronem. Nasza gospodyni zaserwowała

nam i to i to, a do tego placek jagodowy i całkiem niezłe wino domowej roboty. Nieco cierpkie, ale dość lekkie. W sam raz na letni wieczór. Obciążyłam solidnie tackę wszystkimi specjałami, nie zważając na zdziwione spojrzenia agentów (tak, nie żywię się powietrzem ani energią z kosmosu) i ruszyłam do swojego pokoju. Czekała na mnie tajemnicza teczka i Peter Steele. Jeszcze tylko szybki, chłodny prysznic, a potem skok w moją ulubioną piżamę. Nie myślcie tylko sobie, że jak czekał na mnie Peter z „Black no. 1”, to automatycznie nosiłam gotycką piżamę z samych muślinów i koronek. Nic z tych rzeczy. Miałam swoją ulubioną koszulkę z Kubusiem Puchatkiem i bokserki – mówiłam już, że okres gotycki to przeszłość i lubię wygodę, prawda?

Uchyliłam nieco okno, wpuszczając rześkie nocne powietrze, i usiadłam przy wielkim biurku pamiętającym czasy niemieckich właścicieli. Popiłam winem spory kęs ciasta, po czym otworzyłam teczkę. Pierwsze kilka stron zawierało wydruki raportów policji odnośnie ataków wampira, wtedy jeszcze „wampira”, zdjęcia ofiar i opinie sądowych medyków. Nic, czego nie wiedziałam już od Zielińskiego. Potem jednak zaczynała się jazda bez trzymanki. Kilkanaście kolejnych kartek było kserokopią dziewiętnastowiecznych łacińskich zapisków niewiadomego autorstwa i pochodzenia. Ostatnich kilka natomiast odbitką, tym razem niemieckiego, manuskryptu wraz ze spisanym na maszynie tłumaczeniem na język polski. Starczyło, że

przebiegłam je wzrokiem, a włosy na karku stanęły mi dęba. Zapomniałam nawet o empetrójce „Type O Negative”.

17 grudnia 1940 roku, Ullersdorf

Znów śnieży. Stan A. nie poprawia się od trzech dób. Wciąż usiłuję dociec, co spowodowało zakażenie. Nie pomaga nic, co stosuje się w podobnych przypadkach. Gorączka zelżała, jednakowoż po podaniu penicillium *brzegi rany zaczęły ropieć. Zaczynam mieć obawy, że ręki nie uda się uratować.*

18 grudnia, rano

Najgorsze chyba minęło. A. przebudził się bez gorączki. Niczego nie pamięta, w tym majaków. Po przemyciu rana wydaje się czysta. Na wszelki wypadek podaję jeszcze jedną dawkę penicillium*, gdyż, jak się wydaje, to dzięki temu specyfikowi nastąpił przełom.*

18 grudnia, wieczór

Gorączka wróciła około godziny osiemnastej, chociaż rana jest czysta i nic nie wskazuje na to, by zakażenie miało nadal postępować. Okłady utrzymują temperaturę na w miarę bezpiecznym poziomie, niestety nie jestem w stanie jej obniżyć. Nie pomógł też napar z wierzbowej kory. Zdecydowałem przenieść A. do wanny z chłodną wodą.

19 grudnia, około godziny drugiej w nocy

Pomimo wszelkich moich wysiłków A. zmarł kwadrans do godziny drugiej. Niech Bóg ma nas wszystkich w opiece, a zwłaszcza tego dzielnego chłopca! Nie zasłużył na tak okrutny los, ale, dobry Boże, czy ktokolwiek zasługuje na cierpienie? Teraz opadam już z sił, rano tedy przeprowadzę sekcję – wiem, że A. życzyłby sobie tego dla dobra nauki. Ewentualne próbki wyślę wraz ze znaleziskiem A. do Akademii w Berlinie.

19 grudnia, ranek

W ciele A. nastąpiły niezwykłe zmiany patologiczne. Nie widać śladu rigoris mortis*, choć skóra stała się sinawa, a miejscami biała, brak przy tym* livorum mortis*. W rozlicznych miejscach pojawiły się lepkie, podobne do potu kropelki cieczy o nieznanym składzie, konsystencją przypominające* gelatinum*. Dziąsła zmarłego cofnęły się mocno, uwypuklając w niespotykany sposób* dentes canini*. Choć A. bez wątpienia jest martwy, źrenice po uniesieniu powiek reagują na światło. Jeszcze raz podkreślmy, że niemożliwym jest u zmarłego stwierdzenie pulsu ani* respirationis*. Zgon, jako zostało napisane, nastąpił o 1.45 przy wiarygodnych świadkach.*

19 grudnia, godzina czwarta po południu

W ciele zmarłego zachodzą dalsze niespotykane zmiany. Dentes canini *uległy wydłużeniu (sic!) w stopniu wykluczonym w przypadku cofnięcia dziąseł* post mortem*. Podwyższeniu uległa też temperatura ciała, czego nie umiem wytłumaczyć inaczej jak procesami chemicznymi, jakie zachodzą w zwłokach, a które z niewiadomych przyczyn uległy przyspieszeniu.*

Przerwałam lekturę. Gdzieś za oknem rozszczekał się pies. Odpowiedziały mu inne czworonogi we wsi, a potem wszystko ucichło. Otworzyłam puszkę coli i upiłam kilka łyków. Paskudna trucizna, ale cóż poradzić? Uwielbiałam ją. Rozwarłam okno na oścież i stałam tak długą chwilę, rozkoszując się chłodnym nocnym powietrzem i musującym napojem. Patrzyłam w ciemność. Tysiąc myśli krążyło mi po głowie. Czułam się jak bohaterka amerykańskiego horroru i tylko zastanawiałam się, kiedy nadejdzie moment kulminacyjny? Ta chwila, kiedy jako rasowa blondynka, potykając się o porzucone w nieładzie sprzęty, zacznę uciekać po schodach w miejsce, z którego nie ma ucieczki. Zachichotałam, a potem odstawiłam pustą puszkę na parapet i wróciłam do biurka.

19 grudnia, kompleta

U A. pojawił się ledwie wyczuwalny puls, a w momencie, gdy kreślę te słowa także bardzo słaby oddech. Służba zaczęła szemrać, że to strzygoń, co jest

oczywistą bzdurą. Bardziej prawdopodobnym wydaje mi się letarg, wszak znane są już takie przypadki. Nawet Poe miał na tym punkcie obsesję. Rzekomy zmarły budził się w dniu pogrzebu, siejąc postrach wśród zabobonnego ludu, stąd wzięły się historie o wampiryzmie. Postanowiłem ponownie czuwać przy chorym. Jakie to szczęście, że nie podpisałem jeszcze aktu zgonu!

20 grudnia, ranek

Zmęczenie wzięło górę i zasnąłem, stary głupiec! W tym czasie ktoś ze służby wetknął A. do ust główkę czosnku, co odkryłem, usiłując dociec, skąd u niego na twarzy pojawiły się bąble i inne ślady podobne oparzeniom. Szczęśliwie puls i oddech są mocniejsze i upatruję coraz większych szans szczęśliwego wyleczenia. Wraz ze starym Hansem wezwaliśmy służbę do hallu, brakowało Franza i jego żony. Nikt nie przyznał się do umieszczenia czosnku w ustach A., wszelako absencja Franza świadczy przeciw niemu.

20 grudnia, kompleta

Stan A. wydaje się stabilny, przeto ustaliliśmy z Hansem, że będziemy czuwać na zmianę. Zbyt jestem wycieńczony, aby podołać temu sam jeden.

21 grudnia, około trzeciej nad ranem

Obudziłem się pełen złych przeczuć. Nigdzie nie mogłem znaleźć Hansa, brakowało też pozostałych. Ze służby został jedynie Joseph. Razem dokonaliśmy makabrycznego odkrycia. Ktoś umazał krwią usta A., zapewne by uwiarygodnić teorię, że jest strzygoniem. Czyja to była krew, czy zwierzęca, czy, niech Bóg wybaczy nam grzechy, ludzka, nie potrafiłem stwierdzić. Wszystko to jednak wraz z nieobecnością służby świadczyło dobitnie, jak żywy jest jeszcze zabobon pośród ludu.

Szczęśliwie stan A. poprawiał się z minuty na minutę. Puls był mocny jak u człowieka zdrowego, cera – wciąż po prawdzie w nienaturalnie sinym odcieniu – nabierała z wolna właściwego koloru. Pokrzepiony tą myślą ponownie udałem się na spoczynek. Za dnia przyjdzie pora na wszystko: poszukiwanie Hansa i posłanie Josepha do Glatzu po policję – niechaj oni użerają się z moimi lokajami.

21 grudnia, ósma rano

Znaleźliśmy biednego Hansa w jednym ze schowków pod schodami. Miał przegryzione tętnice ramienne i szyjne, ale ani śladu krwi. Boże, wybacz mi! Chyba zaczynam tracić zmysły!

21 grudnia, godzina dziesiąta

Obejrzałem jeszcze raz ciało A. wraz z Josephem. Bez wątpienia usta i zęby umazane miał krwią, zapewne nieodżałowanego Hansa. Dentes canini *miał jeszcze dłuższe niż przedtem, wielkością przypominające wilcze. Pozostałe uległy niejakiemu przemieszczeniu wedle siebie, przez co nie wystawały na zewnątrz nawet przy zamkniętych ustach.*

Próbowaliśmy A. obudzić, jednakże nasze starania spełzły na niczym. Joseph upierał się, aby przebić chorego (tak ciągle starałem się o nim myśleć) osikowym kołkiem, na co oczywiście nie wyraziłem zgody. Miast tego posłałem go po xiędza.

21 grudnia, południe

Przybył x. Ritschel. Po oględzinach A. postanowił wypędzić zeń diabła, jednakowoż żaden z zabiegów, osobliwie kropienie święconą wodą, nie przyniosły rezultatów. Natenczas x. Ritschel poradził, aby „strzygoniowi ująć głowę rydlem" by chociaż parafian przed diabłem uchronić, bo dla duszy A. nijakiej już pomocy. Nadal nie wyraziłem zgody. Boże, wspomóż nas w tej strasznej chwili!

21 grudnia, zmierzch

Wrócił x. Ritschel z tłumem włościan. Grożą, że powiadomią gestapo, jeśli nie wydam im strzygonia. Powiedziałem, że A. nie miał nigdy nic wspólnego z polityką

i odesłałem ich do diabła. Nadal tkwią pod oknami dworu uzbrojeni, palą lampy i pochodnie. Modlą się.

Zostałem sam. Telefon odcięty. Joseph uciekł do rodziny na zewnątrz. Widziałem go wśród tłumu, modlił się razem z nimi. Boże, wskaż mi drogę!

21 grudnia, kwadrans do północy

Około piątej po południu włościanie prowadzeni przez xiędza rozbili wrota i wtargnęli do dworu! Na nic zdał się mój opór. Pochwycili mnie i powlekli za sobą. Franz, zdrajca, wskazał im, gdzie leży A. Biedak właśnie się ocknął, zbudzony zapewne tym hałasem i gwałtem. Udało mi się wyrwać i osłonić go własnym ciałem. Wszystko na nic! Zewsząd posypały się ciosy, a nawet kilka strzałów. Nie liczę, ile odniosłem ran, lewą rękę mam bezwładną, a godzinę temu zacząłem gorączkować. Prawdopodobnie zakaziłem się tym, co powaliło A., albowiem w momencie, gdy zaczęto go bić, zaniósł się strasznym suchym kaszlem, a ja jestem pewien, że widziałem obłok nienaturalnego pyłu uchodzącego z jego płuc. Czegoś, co mógłbym przyrównać jedynie do chmury zarodników uwalnianych, kiedy nadepnąć na grzyby z rodzaju lycoperdon*. I, mój Boże, odetchnąłem tym, czymkolwiek było. Miało ostry, słodkawy zapach i zostawiło podobny pieczarkom posmak. Dopiero kiedy zaczęła mi się gorączka, zdałem sobie sprawę, że podobny zapach czułem z wnętrza owego tajemniczego kamienia rozłupanego przez A. Wróćmy jednak* ad rem,

*ażeby prawda została spisana i nie uległa zatarciu. A. był jeszcze zbyt słaby, by móc się obronić. Brutalnie rzucono go na podłogę, przydepnięto dłonie, ktoś przyklęknął na nogach, a potem Johann Vinar przyłożył mu rydel do szyi i jednym kopnięciem odciął głowę, podczas gdy x. Ritschel odmawiał „*Salve Regina*”. Bezgłowym ciałem wstrząsały drgawki na długo jeszcze po tym, gdy przerażeni dokonaną zbrodnią mieszkańcy Ullersdorfu rozpiechrzli się do domów.*

Z trudem udało mi się pozbierać. Myślę, że to xiądz pomógł mi wstać, nim poszedł precz. Byłem słaby i przerażony, czułem jednak, że muszę coś zrobić, działać. Ciałem A. jeszcze przez dobry kwadrans wstrząsały drgawki na podobieństwo kurczęcia, któremu odrąbie się głowę, a wciąż biega. Do tego A. poruszał bezgłośnie ustami i wodził za mną wzrokiem, także przez jakieś kilkanaście minut, czego pewien jestem, albowiem zegar w hallu dwukrotnie zdążył wybijać kwadranse. Nie byłem w stanie przeprowadzić prawdziwej sekcji, zwłaszcza że w miarę sprawną miałem tylko jedną rękę, muszę jednak zanotować kilka spostrzeżeń, których udało mi się dokonać. Rdzeń kręgowy miał odmienną od normalnej strukturę i poprzerastany był sinawymi włóknami. Sam kręgosłup okolony był zaś czymś, co przypominało grzybnię, w żadnym stopniu nie przypominało ludzkiej tkanki. Więcej w moim stanie nie potrafiłem zaobserwować. Pozostało mi już tylko zapłakać i modlić się.

22 grudnia, około godziny drugiej w nocy

Gorączka narasta, a wraz z nią ból i zawroty głowy. W całym ciele czuję mrowienie i dreszcze. Nie mam już nawet sił, by utrzymać w dłoni pióro. Nie czuję lewej ręki, a wszystkie rany nabrzmiały mi ropą.

godz. 4

Custodi me, Domine!

I to wszystko. Złożyłam kartki razem, wyrównałam, uderzając brzegiem o biurko i schowałam do teczki. Spojrzałam na komórkę – dochodziło wpół do drugiej. Rzuciło mi się też w oczy coś, na co wcześniej nie zwróciłam uwagi: w tej dziurze nie było zasięgu. Przynajmniej z mojej sieci. Przypomniałam sobie Irlandię. Tam też nie było, a owej pamiętnej nocy kurewsko by się przydał.

Ukroiłam sobie kawałek placka, rozparłam wygodniej na krześle i położyłam nogi na stole. Kiedyś podobnym notatkom nie dałabym wiary, nawet teraz przychodziło mi to z trudem, po wszystkim, czego doświadczyłam. Na pewno nie mogłam ich zbagatelizować. Cóż więc miałam zrobić? Agentom z jakiegoś powodu nie potrafiłam zaufać, miałam dziwne podskórne wrażenie, że prowadzą tajemniczą grę. Poza tym… kim dla nich byłam? Archeologiem, zdziwaczałą wariatką, którą w razie

potrzeby można będzie poświęcić w imię wyższych wartości, jakiekolwiek by one w tym przeżartym zgnilizną państwie nie były. Z jakiegoś powodu unikali rozmowy o swoim informatorze – innym agencie, który zaginął w trakcie rozpoznania sprawy? A do tego zadziwiająco łatwo przeoczyli ową tajemniczą teczkę. No właśnie, teczka. Biologiem nie jestem, tyle co liznęło się w szkole, a potem na zajęciach z antropologii na trzecim roku studiów, ale swoją teorię miałam. Nie wiem na ile trafną, ale w tej chwili mało mnie to obchodziło. Na moje niech ktoś inny się później nad tym głowi, bada, weryfikuje i publikuje, bo bez tego przecież nie ma nauki. Ja niczego publikować nie zamierzałam, nie moja dziedzina. Miałam tylko plan wyjść z tego cało.

Tak czy siak, dla mnie z tych zapisków wniosek był jeden. Wampir to jakiś nieznany symbiont grzyba i człowieka. Wiem, brzmi to jak „Atak zabójczych pomidorów”, ale co ja na to poradzę? Jak ktoś ma lepszą teorię, niech ją poda i zgarnia Nobla. Upierać się nie będę. Zresztą natura zna już coś takiego. W Afryce, Azji i Ameryce Południowej jest grzyb, który infekuje mrówki i przejmuje nad nimi kontrolę. Nie wierzycie? To poszperajcie na Wikipedii, stamtąd traficie na linki do poważnych artykułów naukowych i przestaniecie głupio chichotać. Są mrówki-zombie, to czemu nie coś bardziej zaawansowanego? Natura lubi eksperymentować w dość paskudny sposób i miała na to dużo czasu. Ten grzybek

istnieje jakieś czterdzieści milionów lat, a homo sapiens ile? Ledwie dwieście tysięcy.

Z rozważań wyrwał mnie odgłos ukradkowych kroków pod oknem. Zieliński od dawna powinien być na cmentarzu i obserwować grobowiec, kto więc mógł się tu kręcić? Irracjonalnie pomyślałam, że z pewnością wampir i momentalnie dostałam gęsiej skórki. Sklęłam się w duchu, wyłączyłam światło, podeszłam bliżej i wychyliłam na parapet. Małasiewicz, to musiał być on, szedł cicho przez podwórko, trzymając się cienia. W życiu bym go nie usłyszała, gdybym założyła słuchawki i włączyła muzykę, jak planowałam. Ciekawe dokąd wybierał się w takiej tajemnicy?

Nie byłabym chyba sobą, gdybym wiedząc, że pakuję się w kłopoty, i tak czegoś nie zrobiła. Zebranie się zajęło mi dosłownie kilka chwil. Ma się tę wprawę. Jestem z natury sową, nie raz i nie dwa zdarzyło mi się zaspać na zajęcia czy do pracy. Mam zatem całe lata praktyki szykowania się w pięć minut. Możecie mi wierzyć lub nie, ale łącznie ze zrobieniem makijażu. Zrzucenie piżamy i wciągnięcie na siebie bojówek i wojskowej koszulki, do tego wbicie stóp w glany, zajęło mi około minuty. W ciągu następnej wyciągnęłam z plecaka laptopa i wrzuciłam do środka kilka innych gadżetów, na każdy palec u prawej ręki nałożyłam po srebrnej obrączce, chwyciłam pokrowiec na statyw do aparatu (w rzeczywistości z nieco odmienną, bardziej przydatną zawartością) i byłam gotowa do drogi.

* * *

Tym razem Małasiewicz ewidentnie musiał użyć czegoś przeciw komarom. Nie wiem czemu wybrał drogę na przełaj, ale robił tyle hałasu, że bez trudu go znalazłam po wymknięciu się z kwatery. Do tego jeszcze był bardzo pewny siebie i po jakichś stu metrach włączył latarkę, a raz czy dwa rzucił nawet swojską kurwąmacią, kiedy się potknął. Naprawdę, czy w ABW pracują aż takie sieroty, czy… wiedział, że idę za nim i chciał być pewny, że go nie zgubię? A może to ja naoglądałam się za wielu filmów i oczekiwałam od agentów bycia nadludźmi, co to poradzą sobie nie tylko w miejskiej dżungli? Nie wiem. Albo po prostu to ze mnie ostatnie dziwadło, nie dość, że archeolog, to jeszcze członek grupy surwiwalowej i innej – rekonstrukcji historycznej – do tego?

W nisko zalegającej nad łąkami mgiełce Małasiewicz latarką bardziej sobie, według mnie, przeszkadzał niż pomagał. Księżyc blisko pełni dawał sporo światła i nie miałam problemu z wybieraniem drogi. Wystarczyło trzymać się miedzy i omijać wszelkie cienie i kłębowiska mgły zalegające wykroty. Dało się nawet bezpiecznie przejść przez zagajnik, choć wydawał się większy i gęstszy niż za dnia. Kilka razy niemal spod nóg wyprysnęły mi zające, a niedaleko cmentarnego muru z ciemności obserwowały mnie, ze złotym błyskiem, kocie ślepia. Nie traciłam jednak głowy i szłam krok w krok za agentem jak po sznurku, utrzymując bezpieczny dystans.

Omal nie zderzyliśmy się za cmentarną bramą. Zatrzymał się i z jakiegoś powodu czekał przez długą

chwilę, nim ruszył dalej. Szczęśliwie w porę przywarłam do muru, między gęsto zwisające pędy bluszczu. Wilgotna pajęczyna przykleiła mi się do twarzy, a coś, zapewne jej twórca, przebiegło po czole. Chciałam się wzdrygnąć, bo nie należało to do najprzyjemniejszych uczuć, ale Małasiewicz stał nie dalej niż pięć metrów ode mnie i wiedziałam, że jeśli choć drgnę, z pewnością mnie zauważy. Staliśmy tak oboje bez ruchu, a czas ciągnął się w nieskończoność. On patrzył wprost na mnie, ale najwyraźniej nie dostrzegał. Ruszył nagle, ciszej niż dotychczas, alejką wzdłuż kościoła i zniknął mi z oczu. Ja stałam dalej i liczyłam oddechy.

Wtedy właśnie dostrzegłam wampira.

Stał po drugiej stronie szosy, wprost pod latarnią. I jak tu nie wierzyć przysłowiom? Wcale, ale to wcale nie przypominał marzenia nastolatek, a wierzcie mi, w tym momencie naprawdę wolałabym spotkać takiego błyszczącego pięknisia. Tupnęłabym nogą, on by się popłakał i sprawa załatwiona. Ten tu tymczasem wcale piękny ani, jak przypuszczałam, wrażliwy nie był. Wyglądał jak jakiś wychudzony, wygłodniały ghul w postrzępionym garniturze. Stał i ślepił w podświetlające kościół reflektory jak ćma, poruszał przy tym szponiastymi palcami niby Max Schreck w „Symfonii grozy”.

I cuchnął, Boże, jak cuchnął.

Kiedy ruszył w stronę bramy, owiał mnie smród czegoś, co przypominało średniowieczną mierzwę zmieszaną ze smrodem rzeźni. Ktoś, kto choć raz był na wykopaliskach,

z pewnością wie, o czym mówię. Archeologiczne wykopy często mają niepowtarzalną woń, a wampir cuchnął jak wielokrotność ich wszystkich z mocno krwistym akcentem. Tym razem usiłowałam nie zadrżeć z obrzydzenia. Wierzcie mi, wcale nie miałam ochoty zapoznawać się bliżej z wąpierzem. Na szczęście i on mnie nie zauważył, zbyt zafascynowany światłami. Przeszedł blisko, ni to kulejąc, ni podskakując – naprawdę było na co popatrzeć, bo poruszał się równie pokracznie, jak wyglądał. Wiedziałam jednak, że może to być wyjątkowo złudne wrażenie. Wampir z natury był drapieżnikiem, a drapieżniki potrafią błyskawicznie atakować. Albo chodzą głodne. Sprawdzenie tej kwestii wolałam pozostawić ABW. Odczekałam zatem, powstrzymując wymioty, aż strzygoń zniknie w głębi cmentarza, śladem Małasiewicza. No i cóż było robić?

Zawsze wściekałam się na głupich bohaterów horrorów, którzy, gdy nadarzała się okazja, nigdy nie uciekali, tylko pchali się w coraz większe kłopoty. Co kończyło się źle lub bardzo źle. Zawsze. Teraz sama powinnam uciekać, a jak jakaś głupia stałam i gapiłam się w miejsce, gdzie pokusztykał wampir. No nie mogłam tak po prostu uciec, zbyt byłam ciekawa. Raz kozie śmierć. Ostatecznie dzieci, które by po mnie płakały, nie miałam. Nie byłam odpowiedzialna za nikogo oprócz siebie. No może nie do końca, ale w tym momencie nie dalibyście rady mnie zawrócić. Jak zawsze, kiedy już podejmę jakąś decyzję.

Wybrałam z plecaka najkrótszy z osinowych kołków, jakie kiedyś dla żartu przygotowałam na zajęcia ze

studentami, i schowałam do kieszeni na udzie. Rozsznurowałam też pokrowiec, który tachałam tu całą drogę wcale nie po to, żeby robić zdjęcia, ale to już mówiłam. W środku miałam najlepszą białą broń, jaką kiedykolwiek stworzono. Nie, nie katanę ani inne wschodnie badziewie. Powiedziałam: najlepszą. Szablę polską typ Ia, kiedyś popularnie zwaną „czarną", teraz „husarską". Nie patrzcie tak na mnie. W odróżnieniu od większości niewiast w ruchu rekonstrukcyjnym, nad damskie fatałaszki przedkładam szablę, pistolet, łuk i konia. Co na to poradzę? A, wam ciągle o tę katanę chodzi? No cóż, ja wiem, że kino ją kocha, ale każdy, kto twierdzi, że to najlepsza broń na świecie, albo kłamie, albo gówno się zna. Mniejsza o to. W tamtym momencie miałam większe zmartwienia.

Ruszyłam alejką, mijając podświetlone figury pokruszonych aniołów. „Prosi o modlitwę" wołały do mnie kolejne nagrobki po polsku i po niemiecku. Ja też wtedy prosiłam, choć wierząca nie jestem.

Brama prowadząca na teren mauzoleum była otwarta. Wampira ani agentów ni śladu. Zeszłam ze ścieżki i, kryjąc się za kolejnymi krzyżami, podkradłam bliżej. Nadal nic. Co u licha? Rozpłynęli się w powietrzu? Wtedy ciszę przerwał odgłos wystrzału, odbił się od kościelnego muru i powrócił zwielokrotniony echem. Psy w całej wsi rozszczekały się jak oszalałe.

Poderwałam się i szybko pobiegłam wzdłuż muru, potknęłam się o przewrócony kawałek piaskowca, omal nie

wybijając zębów, dopadłam bramy i obiegłam grobowiec, tratując pełne kwiatów klomby. Zatrzymałam się z boku, pośród krzaków jałowca. Zieliński stał w pozycji strzeleckiej, z niejakim zdziwieniem przypatrując się wampirowi. Na usprawiedliwienie trzeba mu przyznać, że było się czemu dziwić było. Mogłam spojrzeć na wylot przez dziurę po kuli w piersi strzygonia, ten jednak stał, wciąż idiotycznie poruszając palcami. Wlepił wzrok w agenta, jakby właśnie rozważał od czego zacząć ucztę. Zdawał się całkowicie niewrażliwy na ranę, która zwykłego śmiertelnika z miejsca posłałaby w zaświaty. Przez myśl przebiegły mi słowa skreślone przez starego pierdziela, opata Calmeta:

– *Nikt nie może uwolnić się od tych straszliwych napaści inaczej, jak tylko wykopując z grobu ciało, które należy przebić ostrym palem, obciąć mu ręce i wyrwać z piersi serce. Można je też spalić na popiół.*

Przebijanie mamy już za sobą, zostało obcinanie kończyn, wyrywanie serca i palenie. Jakoś brakło mi optymizmu. Zwłaszcza że w tym momencie Zieliński, niby opadająca kurtyna, zwalił się na ziemię, odsłaniając stojącego za plecami kolegę. Małasiewicz chwilę masował pięść, nim schylił się po porzucony pistolet.

– Zaczekaj! – odezwał się wampir. Taki głos musiał mieć pratchettowski Śmierć. Żadna żywa istota, jaką znam, nie byłaby w stanie wydobyć z siebie podobnych dźwięków. – Nie popełnij drugi raz tego samego błędu. Żywy smakuje lepiej – dodał, oblizując się.

Agent wzruszył ramionami. Odłożył broń na kamienną ławę za sobą i wyciągnął paczkę papierosów z kieszeni, stuknął nią o dłoń, wyjął jednego i wsadził do ust.

– A co z dziewczyną? – zapytał, otwierając zippo. – Podoba mi się. Chcę ją mieć, zanim wypijemy jej krew.

Strzygoń warknął niecierpliwie i przycupnął przy bezwładnym ciele Zielińskiego.

– Jest twoja – mlasnął. – Ale pospiesz się! Wieśniacy w końcu odważą się tu przyjść, żeby sprawdzić, kto strzelał. – Poderwał agenta z ziemi niczym kukłę i wbił kły w szyję. Krew trysnęła strugą na płyty chodnika, przy wtórze ohydnego chłeptania.

Małasiewicz tymczasem schował zapalniczkę do kieszeni i sięgnął po pistolet.

– Wyłaź, doktor Jones! – rzucił, wypuszczając z ust kłąb dymu. Przeładował broń, a potem ujął papierosa między kciuk i palec wskazujący lewej ręki. Miał, drań, filmowe zacięcie, ciągle zachowywał się, jakby był na planie jakiegoś akcyjniaka klasy B. – Widziałem, jak się tam chowasz! Możemy pójść na układ – dodał szyderczo. – Jak się postarasz i zrobisz mi laskę, jakiej nie zrobiłaś nikomu dotąd, to ciebie też przemienimy. No już! Wiem, że potrafisz, cycki masz jak jakaś gwiazdka porno!

Nie wiem, co miała wielkość biustu do wspomnianej umiejętności, najwyraźniej jednak według niego taki związek istniał. Odgarnęłam gałęzie jałowca i wolno wyszłam na chodnik. Czułam się, jakbym w jednej chwili

otworzyła ciasteczko z wróżbą brzmiącą: „Masz przesrane”, a w drugiej życie na wyścigi rzuciło się ją wypełnić.

– Klękaj! – rozkazał, gdy byłam parę kroków od niego, i zaczął jedną ręką rozpinać spodnie. – Co tam masz?! – wskazał pistoletem zawieszony na moim ramieniu pokrowiec, a potem dostrzegł logo Nikona i uśmiechnął się obleśnie. – Chciałaś robić fotki? Taaak? No to porobisz. Uwiecznimy, jak się sprawiasz. Rozstawiaj sprzęt!

Co za obrzydliwy, sprośny kretyn!

Z ociąganiem podeszłam bliżej, czując na sobie pożądliwe, palące spojrzenie.

– Naprawdę chcesz się przemienić w takiego śmierdziela? – zapytałam, wskazując ruchem głowy wciąż ucztującego nieco dalej wampira. Wcale mnie to nie interesowało, zresztą odpowiedź była oczywista. Starałam się tylko odwrócić jego uwagę od tego, co zamierzałam zrobić.

– A któż byłby tak głupi i nie chciał żyć wiecznie? – odpowiedział pytaniem zniecierpliwiony. Uporał się wreszcie z rozporkiem, uwalniając coś, co wcale nie prezentowało się szczególnie imponująco.

– A co się stało z tym waszym kolegą? Tym, który pierwszy badał sprawę – ciągnęłam niezrażona, robiąc kolejny mały kroczek – i trafił na zapiski grafa Magnusa? – Starałam się nie patrzeć na jego przyrodzenie, bo parsknęłabym śmiechem. Byłaby to zapewne ostatnia rzecz w moim życiu, a ja naprawdę nie chciałam umierać. Zwłaszcza w tak głupi sposób.

– Był zbyt wścibski, jak ty! – warknął. Wyjął dopalającego się papierosa z kącika ust i pstryknął nim gdzieś w bok. Niedopałek rozżarzył się na moment i pomknął w ciemność niczym meteor. – Rób, co masz robić, albo dostaniesz kulkę! Nie jesteśmy w filmie, żebym miał ci wszystko tłumaczyć – kontynuował. – Zwłaszcza że na tamtym świecie ta wiedza do niczego ci nie jest potrzebna! Pospiesz się!

Powoli wsadziłam dłoń do pokrowca i zacisnęłam ją na znajomej rękojeści, kciuk sam wsunął się w paluch. Drugą ręką rozsunęłam szerzej poły pokrowca – jeśli szabla w nim uwięźnie i nie dobędę jej jednym ruchem, to po mnie. Nikt nie jest szybszy od kuli. Małasiewicz gapił się na mój dekolt i chyba zaczął beze mnie, niecierpliwiec. Cóż, nie zamierzałam żałować.

Wyszarpnęłam husarkę z pochwy i tym samym ruchem cięłam od razu podlew. Dłoń agenta upadła, zaciskając się na broni. Rozległ się huk wystrzału. Małasiewicz rozdarł się jak zarzynana świnia, nic nie ujmując tym szlachetnym zwierzętom. Chlapał krwią z kikuta na prawo i lewo. Chlasnęłam go wpion, bo już miałam serdecznie dość, i poprawiłam wręb. Ciągnąc za sobą krwisty ogon, ptak agenta poderwał się do pierwszego i ostatniego lotu, na zawsze opuszczając pana. Krew sikała jak w przeciętnym *anime* i tu kończyły się wspólne cechy szlachetnego polskiego oręża z tym z Dalekiego Wschodu. Odskoczyłam, bo nie chciałam wyglądać jak rzeźniczka, a Małasiewicz padł na twarz. Niestety, zapomniałam o wampirze.

I to był błąd.

Dostrzegłam go, gdy już leciał na mnie i było za późno, żeby się zastawić. Zresztą właśnie o to mu chodziło. Musiał czuć respekt przed szablą, chciał mi ją zatem wytrącić, zanim się ze mną rozprawi.

Uderzenie w bok zbiło mnie z nóg.

Przeleciałam parę metrów i wpadłam znów w krzaki jałowca, które szczęśliwie zamortyzowały upadek. Z trudem złapałam oddech, ale żebra chyba miałam całe. Przynajmniej nie czułam, żeby coś mi wystawało spod koszulki.

Strzygoń stał nieopodal, znów ruszając palcami, jakby go świerzbiły. Gapił się to na mnie, to na husarkę, oceniając najwyraźniej, czy zdążę do niej doskoczyć. Ja wiedziałam, że nie, więc nie zawracałam sobie tym głowy. Wyciągnęłam z kieszeni kołek i bez wstawania, jak sprinter z bloku startowego, wyskoczyłam na wampira.

Tego najwyraźniej się nie spodziewał. Nie zdążył się zasłonić ani ucapić mnie w szponiaste łapska. Wprawdzie mierzyłam kołkiem w okolice mostka, a trafiłam w szyję, ale nie zamierzałam rozpaczać z tego powodu.

Doskoczyłam do niego z boku i trzasnęłam pięścią w żuchwę. Zawył jak syrena okrętowa, a wszystkie psy w wiosce odpowiedziały mu jazgotem. Aha, zatem to prawda, srebro działa. Dopadłam szabli, podczas gdy wampir podskakiwał groteskowo, usiłując wyrwać osinowe drewno, które stanęło mu w gardle. Charczał przy tym i skrzeczał, przewracając oczami.

Nie zamierzałam dać mu się otrząsnąć i odzyskać przewagi. Cięłam po rękach samym piórem. Dłonie spadły, wciąż poruszając się niby wielkie pająki, w kółko zaciskając i prostując palce.

A strzygoń chyba pojął, że oto nadszedł koniec. Rzucił się do przodu, kaszląc i do tego plując niby wielbłąd. Z jego ust wytrysnęło coś na kształt obłoku dymu, na szczęście niezbyt wielkiego. Najwyraźniej tkwiący w gardle kołek skutecznie go zakorkował. Zasłoniłam usta dłonią i odskoczyłam na bok, a równocześnie uderzyłam szablą w kark upiora, pozbawiając go czerepu. Bezgłowy zewłok zrobił jeszcze kilka chwiejnych kroków i padł.

Ja też. Przewróciłam się na kolana, w ostatniej chwili nastawiając dłonie. Zabolało, ale nie miałam czasu się nad sobą użalać. Chciało mi się rzygać.

Teraz.

I zwymiotowałam.

Rzygałam długo i zapamiętale, aż nie miałam już czym. Kompletnie opadłam z sił i chyba nawet na chwilę zemdlałam. Pamiętam tylko, że ktoś pomógł mi wstać. Siostra franciszkanka. Miała kobieta wyczucie czasu. Ciekawe, czy widziała wszystko?

* * *

Dwa tygodnie później wracałam do Wrocławia rządową beemką Małasiewicza i Zielińskiego.

Można w sumie powiedzieć, że ponownie spadłam na cztery łapy. Franciszkanki opatrzyły moje rany i obtłuczone

żebra, poiły też regularnie nystatyną. Nie wiem, czy zarodniki dostały mi się do ust, szczerze mówiąc, nie poczułam owego dziwnego zapachu ani smaku, o którym pisał von Magnus, ale wolałam nie ryzykować. Nie zaobserwowałam u siebie żadnych objawów zakażenia, więc raczej nie mam się czym martwić.

Co do sprawy samego wampira… Cóż, nie szukajcie na ten temat notek w prasie, szkoda waszego czasu. Wszystko zostało utajnione.

Okazało się, że zajścia przy mauzoleum Magnusów zostały uwiecznione na CCTV (mam kopię, ale raczej nie będę oglądać). Siostrzyczki postanowiły zainstalować je po serii zaginięć i morderstw, no i się przydało. Wprawdzie dźwięk się nie zarejestrował, ale z samego obrazu można odtworzyć całe zajście.

Oddelegowany z Warszawy agent bez dyskusji uznał moją kluczową rolę w rozwiązaniu sprawy, zaakceptował żądane wynagrodzenie oraz odszkodowanie za straty moralne będące wynikiem działań funkcjonariusza państwowego na służbie, wreszcie kupił moje milczenie zarówno w sprawie wampira, jak i Małasiewicza. Dostałam kluczyki i dowód rejestracyjny należącego do rządu BMW oraz potwierdzenie przelewu na moje konto półtora miliona złotych. Czyli chyba nie tak źle?

A może powinnam była się targować? Większe sumy przewala się u nas na bzdury.

Marcin Pągowski

Obecnie zamieszkały w Londynie, gdzie z tęsknoty za twarogiem, prawdziwym chlebem i za polami malowanymi zbożem rozmaitem, kultywuje sarmatyzm (złośliwi twierdzą, że ogranicza się do warcholstwa). Fantastyką w każdej postaci zafascynował się odkąd jako czterolatek posiadł umiejętność czytania. Odtąd było już tylko gorzej. Jako nastolatek założył i współredagował fanzin „de profundis", pracę magisterską napisał między innymi o średniowiecznych pochówkach z zabiegami antywampirycznymi. O tym, jak nasi przodkowie radzili sobie z upiorami, pisał również dla „Nowej Fantastyki", a ostatecznie z krwiopijcami rozprawił się w opowiadaniu „Casus de Strigis”. Dotychczas opublikował zbiór dark fantasy „Zima mej duszy” oraz kilka opowiadań, z których warto wymienić dostępną na łamach Fahrenheita „Modlitwę za Gamar”, zakwalifikowaną przez Macieja Parowskiego do finału jubileuszowego konkursu na opowiadanie „Nowej Fantastyki", będące steampunkiem w babilońskim wydaniu. Choćby go przypiekano, nie przyzna się, że uwielbia nawiązywać w twórczości do „Biblii” i do Mickiewicza.

http://geniuscreations.pl/autorzy/marcin-pagowski/
https://madbooks.pl/pagowski-marcin

Patronat medialny

Szortal. Miejsce, gdzie opowieści krótkie i jeszcze krótsze zyskały status świętości. Portal literacki, publicystyczny, informacyjny. Przede wszystkim fantastyczny, lecz nie tylko, nie samą bowiem fantastyką żyje człowiek. Chociaż przyznać należy uczciwie, że właśnie fantastyce składamy hołd najbardziej uniżony. Tworzy go grupa fan(atyk)ów, opętanych myślą, że w pięciu tysiącach znaków, ba! w stu słowach można zamknąć pełnoprawną historię, z dopiętą na ostatni guzik fabułą. Robimy to na łamach naszego wyjątkowego portalu. Ale nie tylko tam.

Raz w miesiącu, w trzech formatach, ukazuje się elektroniczne czasopismo. To „**Szortal Na Wynos**” – miesięcznik w szortach i o szortach. W grudniu 2014 dorobił się dziecka – wydania specjalnego, ukazującego się cztery razy w roku, którego zawartość to *crême de la crême tego, co jest do nas nadsyłane*.

Zarówno portal, jak oba pisma, tworzone są non profit. Nie otrzymujemy za to żadnego wynagrodzenia w formie biletów Narodowego Banku Polskiego, drogich zegarków, jeszcze droższych limuzyn czy apartamentów. Naszą nagrodą jest świadomość tworzenia czegoś wielkiego, złożonego z niezliczonej ilości mniejszych elementów.

SZORTAL
UWOLNIJ MOC UKRYTĄ W SZORTACH

Szklany kompas – Marcin Podlewski

Istnieje wiele przerażających przedmiotów, za których użycie dostaje się specjalne miejsce w Piekle, ale najbardziej złowieszczych jest podobno siedem – naznaczonych czarną krwią przez samego Złego. Wielu śmiałków oddało życie, by zdobyć choć jeden z nich. Ludzkie pragnienia są bowiem przewrotne i często prowadzą marzycieli do zguby.

Posłuchaj o czterech z nich, trzy pozostałe zapadły bowiem w otchłań zapomnienia.

Podobno nie wszystkie z Zakazanych były złe od samego początku. Kilka stworzono, nie znając ich mocy – trafiły jednak w ręce ludzi, którzy wykorzystali je do najpodlejszych uczynków. Tak było choćby z trzema srebrnymi gwoździami. Nie jest to miejsce by mówić, do jakiego straszliwego czynu zostały kiedyś użyte, sprowadził on jednak na nie potworne przekleństwo. Mówią więc, że wystarczy użyć jednego z nich, by zabić każdą istotę – z tego i nie z tego świata. Jeśli użyje się dwóch –dusza zabitego nie będzie mogła opuścić jego ciała. Nieszczęśnik taki błąkać się będzie po świecie, napadając żywych. Co stanie się jednak, jeśli użyjemy trzech gwoździ – nie wiadomo.

Bardziej zgubnym przedmiotem od trzech przeklętych gwoździ jest Rzeźba Rozkoszy, stworzona podobno przez samego diabła. Nie ma ona niezmiennej postaci. Raz jawi się oczom jako misterna rzeźba, a raz niczym bluźniercza kolumna pokryta freskami i płaskorzeźbami przedstawiającymi obrazy na widok których każdy, choćby miał serce najczystsze, poczuje wezwanie zgubnej żądzy. Będzie on wciąż wpatrywał się w przeklęty artefakt, który pokryje się przed jego oczami coraz obelżywszymi i bardziej spaczonymi wizerunkami. Zepsucie sięgnie do najgłębszych zakamarków serca nieszczęśnika, który, nie mogąc panować już nad swymi pragnieniami, uczyni wszystko, by je zrealizować.

Trzecim przedmiotem jest słynna *Księga Zmarłych*, owa biblia szatańska oprawiona w ludzką skórę. Opasłe tomiszcze zaginęło przed wiekami, przechodząc przez ręce wielu szalonych kolekcjonerów, można jednak natrafić na część jego plugawych kart z inkantacjami przyzywającymi demony i dusze potępionych. Już za same zerknięcie na przeklęte stronice otrzymuje się dziesięć lat Piekła. Ludzie bogobojni nie raz próbowali spalić przeklętą księgę, jednak nie imał się jej ogień i ręka śmiertelnika nie potrafiła jej zniszczyć.

Najbardziej niebezpiecznym i przeklętym przedmiotem ze wszystkich tu przedstawionych jest Szklany Kompas.

Może dlatego, że wygląda niepozornie. Niewielki i przerdzewiały, jednakże posiada urok, któremu nie sposób się oprzeć. Wystarczy wziąć go do ręki, by zachwycić się misternie wykonanym cyferblatem – Kompas ów bowiem przypomina nieco kunsztowny zegarek. Drugie spojrzenie i w twoje serce zapadnie widok kilku jego strzałek – każdej innej, każdej wyjątkowej. Jedna wygląda niczym delikatny listek pokryty srebrnymi żyłkami, inna jak wskazówka pradawnej machiny, zdobnej w kółka zębate. Kolejna przypomina małą ludzką dłoń z wyciągniętym palcem, następna zaś różdżkę czarodzieja. Strzałki ruszają się niczym żywe i terkoczą radośnie, chowając się jedna za drugą. Niekiedy, gdy przyłożysz ucho do zimnego szkiełka, usłyszysz dobiegającą z Kompasu melodię. Uśpi ona twą czujność, niczym zapomniana kołysanka, lecz jeśli dasz się jej uwieść – na zawsze w ciebie zapadnie.

Szklany Kompas nie należał nigdy do Złego, choć ten bardzo go pragnął i drążył Ziemię, szukając go od wielu tysiącleci. Raz widział go Anioł i niemal miał go w dłoni: Kompas opadł jednak na dno wielkiego morza. Spoczywał tam długie lata, by – wraz z przypływem – trafić na kamienistą plażę. Tam, dawno, dawno temu, znalazł go chłopiec zbierający muszle i zabrał ze sobą.

Gdy nadeszła, noc chłopiec usnął, ściskając w dłoni Szklany Kompas. Strzałki kręciły się, nucąc swoją melodię, terkocząc wesoło i pierwsza z nich – ta z ludzkim palcem –

stanęła gwałtownie, drżąc od szumu morza. Chłopiec otworzył oczy. Pomyślał, że pójdzie tam, dokąd wskazuje palec, a kiedy raz tego zapragnął, nie mógł uwolnić się od tego pragnienia. Poszedł zatem przed siebie, nie biorąc ze sobą nic, prócz Szklanego Kompasu.

Dziwna była to podróż. Chłopiec mijał ludzkie siedziby, lecz dzięki Kompasowi pokazującemu mu konkretny moment, w którym mógł przejść bezpiecznie, nikt go nie dostrzegał. Wchodził do ludzkich domów w chwili, gdy nie było w nich nikogo. Mógł w nich buszować do woli i kraść jedzenie ze spiżarni. Bywało, że niezauważony wchodził do królewskich skarbców, gdzie chwytał w dłonie monarsze monety. Zakradał się do namiotów generałów stacjonujących z dala od prowadzonych bitew i ze znudzeniem przeglądał strategiczne mapy, od których zależały losy wojen. Wchodził do lochów i wychodził z więzień, przemykając pomiędzy strażnikami i osadzonymi niczym duch. Ze Szklanym Kompasem w ręku zawsze był bezpieczny. Zwiedził wiele miejsc, biorąc co chciał i nie płacąc za nic gdyż, kierując się wskazówkami Kompasu, przechodził akurat w momencie gdy nikt nie patrzył w jego stronę lub gdy miejsce, do którego się udawał, było opuszczone. Żył niczym pan świata.

Lecz dziwne było jego królestwo – bo puste i samotne, pełne pokoi z zastawionym stołem, karczm z łożami, w których nikt nie sypiał i ścieżek, na których nie napotykał nikogo.

I tak upłynęły trzy lata jego wędrówki. Chłopiec stał się młodzikiem. Wciąż wędrował przed siebie, niezauważony przez nikogo, coraz bardziej znużony.– Kręcę się w kółko – powiedział pewnego dnia do siebie, siedząc na przydrożnym kamieniu i patrząc na rozciągający się w dole pejzaż. – Czy nie można po prostu dojść dokądś? Najlepiej tam, gdzie ziemia ma swoje serce. Musi być chyba coś, co jest najpotężniejsze, co rządzi całym światem...

Ledwie wypowiedział te słowa, a strzałka z ludzkim palcem drgnęła, wskazując na północ. Z wnętrza Szklanego Kompasu dobyło się melodyjne terkotanie, zaś chłopiec natychmiast ruszył przed siebie, idąc za jego wskazaniem.

Szedł tak trzy dni i trzy noce, aż dotarł do niewielkiej wioski leżącej w pobliżu lasu. Zdawało się, że niczym nie wyróżnia się ona od innych – dobiegł go jednak delikatny śpiew i ulotny zapach, którego nie potrafił określić, a który rozsadzał mu serce wielką tęsknotą. Młodzik pobiegł przed siebie i nagle stanął jak wryty – ujrzał bowiem najpotężniejszą rzecz na tym świecie. Była to przepiękna dziewczyna, śpiewająca do siebie i wyciągająca wiaderko wody ze studni. Jej włosy były niczym len, ciało jak aksamit, a oczy jak wiosenny zmierzch. Dziewczyna spojrzała na niego i uśmiechnęła się, a on uśmiechnął się do niej.

Krótko trwało ich szczęście, bo władająca tą najpotężniejszą siłą przez chwilę tylko była na tym padole. Ledwie kilka miesięcy po ich spotkaniu odeszła wskutek ciężkiej choroby i młodzik znów został sam. Nic poza

cierpieniem nie trzymało go w wiosce, zatem ruszył przed siebie – teraz jednak wolniej stawiał kroki, a z każdym krokiem mniej było miejsc, do których chciał podążyć. Widział już wszystko i był wszędzie, lecz nic go nie cieszyło. I tak pewnego dnia drgnęła druga strzałka.

Była to strzałka czarodzieja. Młodzieniec poszedł za nią i znalazł się w innej krainie. Nie był to już świat ludzi, lecz zaklęte księstwo, pełne magii i dziwów. Mijał w nim pola pełne złotej pszenicy i strzeliste pałace. Odwiedzał zaczarowane jeziora i ogrody, ogromne niczym miasta. Widział dziwaczne postacie nieprzypominające ludzi. Wiele razy młodzieniec pragnął odrzucić Kompas i poznać jedną z napotkanych ras, gdyby nie oczy owych cudownych istot – tajemnicze i nieludzkie, dziwnie obce. A był to zaledwie ułamek dziwów tych niezwykłych krain, po których – tak jak po ludzkim, znanym świecie – młodzieniec poruszał się niepostrzeżenie.

Niestety, nawet najbardziej cudowne i niesamowite miejsce potrafi z czasem znużyć.

– Wszystko jest tu piękne – powiedział do siebie młodzieniec w trzecim roku dziwacznej podróży. – Wszystko jest fascynujące, ale jak znaleźć tu szczęście i miłość? Wszędzie tylko pałace, zaklęte księżniczki, zaczarowane jeziora, tajemnicze pieśni i tańce w zagajnikach. Musi być coś, co nadaje sens temu wszystkiemu. Inaczej na co komu wszystkie te cuda?

Ledwie wypowiedział te słowa, a strzałka o wyglądzie różdżki drgnęła zauważalnie, wskazując południe, i wnętrza Kompasu dobiegła terkocząca melodyjka. Młodzieniec ruszył natychmiast i zaledwie po trzech dniach dotarł do miejsca, z którego przybył. Patrzył w zadziwieniu na przejście do świata ziemi, który opuścił trzy lata temu, lecz teraz zauważył, że z zaklętych krain leci ku niej podmuch, zefir lekki jak marzenie. Stanął więc w miejscu, zamykając oczy i nasłuchując, jak każda z historii rozgrywanych w zaczarowanej krainie spada na ziemię niczym drogocenny diament. Widział rzeczy, które istniały w świecie lecz przedtem były zakryte przed ludźmi. Każde z magicznych wydarzeń płynęło ku ziemi i wpadały w ludzi, nasączając ich tęsknotami i marzeniami. Młodzieniec otworzył oczy.

– Taki kawał drogi, by dojść do tego samego miejsca! – krzyknął. – Byłem już tutaj! To jest beznadziejne, o co w tym wszystkim chodzi? Strata czasu, śmierć i pustka…

Na jego słowa drgnęła nagle trzecia strzałka, wyglądająca niczym wskazówka machiny.

Młodzieniec ruszył natychmiast. Szedł za jej wskazaniem w ciężki, mroczny zaduch, ku odległemu łoskotowi uderzających młotów. Z każdym krokiem czuł coraz większy strach. W tej krainie przebywał krótko i szybko wymazał z pamięci wspomnienia o jej widoku. Było to bowiem miejsce bólu, pełne jezior ognia, rozrywanych ciał potępionych, sal tortur i koszmaru, labirynt cierpienia i wyszukanych rozkoszy. Gdyby nie Kompas, wiodący go

przez korytarze i pałace, podróżnik szybko padłby zemdlony od unoszących się tam oparów. Szybko przechodził przez hale pełne olbrzymich machin, skarbce umarłych i jaskinie zapomnienia. Po pewnym czasie pędził przed siebie jak oszalały, aż stanął wreszcie w miejscu – cierpienie zdawało się bowiem nieskończone.

– Co za potworność… – wyszeptał do siebie lękliwie. – Tak zatem wygląda brak wszelkiej nadziei. Tu nie ma miejsca, do którego można by dążyć i nie ma żadnego sensu – tylko ból. A może to ma jakiś sens?

Ledwo wypowiedział te słowa, i strzałka szybko zmieniła się w ostatnią, wyglądającą niczym delikatny, piękny liść.

Młodzieniec ścisnął w ręce Kompas, jakby zależało od niego jego życie. Patrząc na ostatnią strzałkę, biegł przed siebie, a ona wyprowadziła go z królestwa bólu w dziwne, ulotne miejsca. Szedł po nich ostrożnie i bojaźliwie, była to bowiem część świata, która nigdy nie została ukończona, a jedynie utkana ze światła. Z każdym krokiem podróżnik uspokajał się jednak i strząsał z siebie piekielny odór. I tak dotarł przed Bramę Raju.

Zbliżył się do niej niepewnie, choć przeczuwał przecież, że właśnie ją wskazuje ostatnia strzałka. Jego serce rwało się tam jak szalone i chociaż Szklany Kompas nie zawiódł go do tej pory, to teraz szedł przed siebie pełen obaw, co go czeka. Strzałka kazała mu nagle skręcić, co też uczynił, po czym zaczęła kręcić się w kółko, co oznaczało stanie

w miejscu. Stał zatem, wciąż zerkając na Bramę, aż do momentu, gdy Szklany Kompas nakazał mu iść naprzód.

Był już tak blisko! Brama Raju stała półotwarta po wpuszczeniu do Błogosławionej Krainy kolejnej duszy. Nie było strażników.. Młodzieniec, wciąż niepewnie, przekroczył ją zatem, a ona zamknęła się za nim. Stał teraz, otumaniony niewysłowionym pięknem Złotej Drogi prowadzącej w głąb Raju. Po jej bokach wznosiły się rajskie Drzewa, a każde uginało się od owoców na zawsze gaszących głód i pragnienie. Dalej, na horyzoncie, widać było Ogród Zbawienia i strzeliste, srebrne wieże rajskiego Miasta.

Podróżnik popatrzył jeszcze przez chwilę na tę Krainę, do której dąży każda ludzka istota i odrzucił Kompas, daleko za rajski mur. A ten poleciał przez mgły niedokończonego świata z powrotem na Ziemię. Już nie był potrzebny – ktokolwiek bowiem przekroczy Bramę Raju, ten, według prawa, zostanie w nim na zawsze.

I dlatego ów Kompas jest przeklęty.

Marcin Podlewski

Dziennikarz, pisarz, zwycięzca konkursu na XXX–lecie "Nowej Fantastyki", laureat konkursu literackiego wydawnictwa Agharta, konkursu "Science Fiction po polsku 2" i innych. Nominowany do Zajdla autor swoją przygodę z literaturą piękną zaczął od opublikowania opowiadań na łamach magazynu „LAMPA”. Publikował krótkie formy w „Nowej Fantastyce” oraz w bestsellerowej (ponad 15 tysięcy pobranych egzemplarzy) antologii horroru „Halloween 31.10 Wioska Przeklętych”, której trzecia już edycja o podtytule "Księga Cieni" ukazała się na Halloween 2013. Jego opowiadania można także przeczytać w pierwszej polskiej antologii poświęconej zombie — "Zombiefilii", steampunkowym e–zbiorze "Ostatni dzień pary" i w wydawanej w ostatnim kwartale 2013 roku "Księdze Wampirów".

https://www.facebook.com/Marcin-Podlewski-wklepuje-145147266842180 5/

https://madbooks.pl/podlewski-marcin

Miasteczko – Joanna Krystyna Radosz

Najdroższy Panie N.N.!

To mój pierwszy i zarazem ostatni list do Pana, na więcej bowiem – wiem to – nie będę miała siły. Z trudem przechodzą przez gardło wszystkie skargi, żal przelewający się przeze mnie i chlupoczący nieznośnie w sercu oraz trzewiach, mieszając pełen uniesień patos z gorzką prozą życia. Usycham, Pan to rozumie?

…nie, Pan nie rozumie. Pan od pół wieku nie usychał, nie tęsknił, nie czuł już niczego. Pana nic nie obchodziło poza tym tylko, by ktoś…

Zresztą, po co ja to piszę? Po co w ogóle zadaję sobie trud oblewania atramentem kolejnych linijek białego papieru, skoro zostałam tak potraktowana? Takich rzeczy się nie robi, proszę Pana! Pan mnie uwiódł; uwiódł i zostawił, jak chłopiec zostawia bębenek z zerwaną membraną, wiedząc, że nigdy więcej na nim nie zagra.

Bałam się tamtego cmentarza. Bałam się starych, spróchniałych pni, konarów szepczących na wietrze smętne pieśni i pożółkłej trawy, której nikt – w każdym razie za mojego życia – nie widział zielonej. I bałam się samotności, jaka mi wtedy towarzyszyła, tej ciszy, w której słyszałam każdy mój oddech, w której mogłam policzyć kolejne

uderzenia serca, przerażone, nierytmiczne. Napawało mnie lękiem samo to miejsce, gdzie kończył się znany świat, a zaczynały pola nagrobków, rzędy mogił niby domów i drzwi u każdej z nich, z nazwiskami złotymi literami wypisanymi na kamiennych tablicach. Nienawidziłam cmentarza, na którym nawet pośród lipcowego słońca panował półmrok, a drzewa cieniami kładły się na wydeptanych ścieżkach. W powietrzu unosiła się woń świeżych lilii, zapach dymu ze zgaszonych przez wiatr zniczów oraz wszechobecny odór rozkładu. Twierdzili, że ten ostatni sama sobie wmówiłam, ale Pan wie, że to nieprawda. Pan przecież też go czuł.

Przed bramą owego innego, nie mojego świata siedziała na składanym krzesełku starowinka. Pomimo prażącego słońca nosiła na ramionach grubą chustę, drugą zaś obwiązała resztki siwiutkich włosów. Kołysała się w takt słyszanej tylko przez siebie melodii, śpiewając cicho:

Pan mi usta wypełnił głuchą ciszą
I głos pan w głębi duszy mojej schował
Bym milczała, choć tak bardzo chciałam krzyknąć:
„Ach, N.N., pan chyba zwariował!”

Przestałam słuchać. Zebrałam się na odwagę i przekroczyłam bramę, pozostawiając za sobą upał, beztroskę leniwego, lipcowego popołudnia oraz skrzypiącą furtkę, która potem urosła do rangi centrum mojej osobistej mitologii.

Tam dalej było zimno. Chłodny wiatr podwiewał krótką sukienkę, gdy szłam powoli ścieżką. Po obu stronach

nagrobki wyrastały niczym kamieniczki z boków ulicy. Niektóre z owych ostatnich domów zamieszkiwało kilkoro ludzi. Grobowiec rodziny K., rodziny D., rodziny A... Inne, choć skrywały za kamiennymi wrotami samotników, nosiły liczne ślady odwiedzin. Goście pozostawiali kwiaty, płonące świece czy oczyszczali zapuszczone ogrody z podziurawionych, zbrązowiałych liści. Były jednak i takie mogiły, o które nikt od dawna nie dbał. Stare domki, którym obrońcy zabytków pozwolili umierać powoli, w zapomnieniu. Kamienie kruszały powoli, napisy zacierał czas, a płyty nagrobne porastały mchem. Prowincja. Miejsca, które nikogo nie obchodziły, nikogo nie wzruszały i nie wywoływały żadnych łez. Truły tylko powietrze miasteczka odorem zgnilizny i zapomnienia.

Pośród ciszy wypełniającej ów wymarły – w każdym sensie – świat wyraźnie usłyszałam wtedy głos.

– *Ci samotni... Oni nie zginęli na wieki. Oni tylko czekają, aż ktoś przywróci pamięć.*

Rozległo się to w mojej głowie i na zewnątrz jednocześnie. Rozejrzałam się wokół, lecz nie dostrzegłam nikogo. Na niższych gałęziach jednego z drzew dwie sroki biły się twardymi dziobami, a w koronie wysokiego kasztanowca baraszkowała wiewiórka. Poza nimi jednak nie było w okolicy żywego ducha. Ani jednej osoby, z której ust mogłyby wydobyć się te słowa.

To tylko zalękniony umysł płatał figle.

– *Nie wierzysz?* – usłyszałam wtedy ten sam głos, którego barwy czy tonu określić nie mogłam. Jakby istniał

wyłącznie w mojej wyobraźni. – *Spójrz przed siebie.*

Wkraczałam w główną alejkę. W oddali zamajaczyły ludzkie sylwetki, cienie pogrążone w rozmowie, zbyt odległe jednak, bym mogła usłyszeć jakiekolwiek wypowiedziane słowo. Chciałam odwrócić wzrok, lecz nie zdążyłam. W tym bowiem momencie ujrzałam coś zdumiewającego.

Znicz na jednym z nagrobków płonął nienaturalnie niebieskim blaskiem. Jego płomień wydawał się wznosić aż pod samo niebo, a jednocześnie był maleńki, tak maleńki, że niemal niedostrzegalny gołym okiem. A potem zgasł, gdy tylko pospieszyłam bliżej.

– *Teraz wierzysz?*

Tak, Panie N.N.! Właśnie wtedy uwierzyłam w Pański głos, czarowny przez niemożność określenia go w jakikolwiek sposób. Głos z głębi świata, z głębi cmentarza, z głębi – wreszcie – mnie samej. Pan mnie uwiódł tym głosem. Po to tylko, bym poszła za nim na koniec świata. Pan przecież wiedział doskonale, jak ten głos działa na zlęknione kobiece umysły, jak ucisza strach przed śmiercią i zapomnieniem – i że zrobimy dla niego wszystko.

Pamięta Pan? Kazał mi Pan iść. Kazał, pomimo mego lęku, zboczyć z uczęszczanych alejek, ruszyć w mrok starych, zmurszałych kamieni i drzew rosnących tak gęsto, że promieniom słońca tylko od czasu do czasu udawało się wcisnąć między zbite ciasno konary. Bałam się, lecz szłam mimo to, ufna w Pana i ten cudowny głos, który zapalał i gasił niebieskie światełka. Mijałam mogiły, coraz starsze

i bardziej zaniedbane. Miasteczko umierało powoli w miarę jak zapuszczałam się coraz dalej. Coraz odleglejsze, coraz mniej wyraźne daty widniały na zniszczonych, omszałych płytach. 1950. 1940. 1930...

– *Tutaj.*

To nie był widok z gatunku tych, które idzie znieść z łatwością. To nie był widok z gatunku tych, które w ogóle idzie znieść. Oto bowiem pośród półmroku, pośród cieni rzucanych przez rozłożyste dęby i kasztanowce, zamarłam, ledwie dojrzawszy wskazaną przez Pański głos mogiłę.

Masywny, kamienny krzyż przecinała poprzeczna pręga – ślad kruszenia się materii, nieuchronny znak czasu. Przed nim zaś, na ogrodzonym nędzną siatką terenie, stały dwa nagrobki. O ile to coś, co znajdowało się po prawej stronie, w ogóle można nazwać nagrobkiem. Jego płyta, odsunięta i połamana, leżała obok, odsłaniając wykopany dół. Nie zaglądałam tam – nie znalazłam w sobie dość siły. Pan zresztą wie, jak wiele kosztowało mnie każde spojrzenie w tamtą stronę. W porównaniu z porosłym mchem, niezakrytym nagrobkiem ten drugi zdawał się być wręcz w nienagannym stanie.

Dzieliło je równo pół wieku, to też pamiętam. Tak jak i to, że dziś właśnie jeden z nich kończy lat sto, drugi – zaledwie pięćdziesiąt.

Wtedy, po dłuższym namyśle, tamto niespełna pięćdziesiąt wydawało się wiecznością. Zaniedbaną, zapomnianą mogiłę oplątywał coraz ciaśniej dziki bluszcz, imię i nazwisko pochowanego tam człowieka, zatarte przez

czas, ograniczało się zaledwie do pierwszych liter. N.N. Nikodem, Norbert, Nataniel? Wiedziałam, że to mężczyzna – pomimo pogłębiającego się rozpadu, zdjęcie o kształcie pionowej elipsy wisiało niewzruszenie, przymocowane do płyty nagrobnej. Młody, przystojny mężczyzna. Duże, jakby zdumione oczy, łagodny uśmiech i sięgające ramion ciemne włosy.

– *Zaopiekuj się nim* – powiedział Pan, a ja w pierwszej chwili nie byłam pewna, o kogo czy też o co Panu tak naprawdę chodzi. Wciąż tego nie wiem, choć teraz już nawet nie chcę wiedzieć.

Zaopiekowałam się, dokładnie tak, jak Pan chciał. Przełamywałam własne bariery, niedawne fobie i obawy, nosząc świeże kwiaty i zapalając znicze na nagrobku po lewej stronie. Tego po prawej starałam się nie dostrzegać. Ktoś zasunął wreszcie płytę, a może po prostu przyniósł nową, choć też brzydką i powoli się rozpadającą. To pewnie grabarz o ponurej twarzy i pociętych bliznami dłoniach ulitował się nad mogiłą sprzed stu lat.

Przychodziłam tam czy deszcz, czy wiatr, czy skwar... Pan przecież wie. Pan powinien doskonale rozumieć, jak się poświęcałam dla mężczyzny z fotografii, tajemniczego N.N., który był mi jak brat, ilekroć słyszałam Pański głos. Jego widzieć, Pana słyszeć – zlewało się to w jedność, jedność harmonijną i doskonałą, jakby opętał mnie duch starego miasteczka, tego, które przed laty „pokrył niepamięci kurz”[1], choć nie było wcale galicyjskie i to nie o nim zapewne śpiewał Młynarski.

Szeptał mi Pan do ucha swoje zaklęcia, koił, gdy się bałam, gdy wracałam spocona, zmęczona, brudna od kurzu i ziemi, powtarzał:

– *Jestem z ciebie dumny*.

Sama nie wiedziałam, w którym momencie zaczęłam istnieć tylko dla tych słów i odliczać dni, godziny, minuty do powrotu na cmentarz.

Starowinka trwała na posterunku, zmieniając tylko co jakiś czas przybrudzone miejskim kurzem chusty. Wciąż nuciła, choć coraz ciszej:

– Pan mnie powiódł przez zalane słońcem drogi
Aż do tamtych ścieżek zapomnianych
Kazał patrzeć na zniszczone przez czas groby
Na umarłych - tak dla świata, jak i dla nich

Wtedy chciałam jej słuchać – przecież ta piosenka była o mnie! I o Panu. Ona jednak ograniczała się wciąż do jednej i tej samej zwrotki, jakby na przekór mym pragnieniom. Zawsze brakło odwagi, by prosić ją o dośpiewanie ciągu dalszego. Ile mogło tam być zdań, których nie chciałam usłyszeć?

Trwałoby to wszystko po dziś dzień i dalej, Pan wie najlepiej. Zasłuchana w Pański głos, zakochana bez pamięci w oczach koloru, jak całe zdjęcie, sepii... Piorun sycylijski przeciął lipcowe niebo, gdy zadurzyłam się w tym, co ujrzałam i usłyszałam, gdy zapomniałam o logice i, no cóż, o rzeczywistości. Za bramą cmentarza istniał inny świat, moje miasteczko, które coraz ciaśniej oplatało mackami, zabierało coraz więcej życia. I chodziłam, podlewałam,

czyściłam – raz w tygodniu, dwa razy w tygodniu, codziennie, aż wreszcie, nie wiadomo kiedy, każdą myśl poświęcałam już tylko N.N. Życie przestało mieć dla mnie znaczenie.

Ale ja – to było dla Pana za mało, prawda? Pan musiał wszystko zniszczyć swoją głupią zachłannością! Może gdybym nie natknęła się owego poranka na świeże kwiaty na Pańskim grobie, na zapalony znicz… Znicz, którego tam wcześniej nie było. Ile jeszcze kobiet dało się nabrać na nieokreślony głos i urok młodzieńca z portretu, owego zamazanego przez czas N.N.? Ile jeszcze panien zwiódł Pan tak jak mnie?

Gdy wtedy wybiegałam, popychając trzeszczącą furtkę, gdy kiełkowało we mnie poczucie, że zostałam oszukana, zdradzona… Na jedną chwilę zaczarował mnie głos starowinki, śpiewającej niemal szeptem:

– Sobie znajdzie pan zaś inną znów dzieweczkę
Każe jej wędrować w otępieniu
I zasmuci pan serduszko jej troszeczkę
Ach, N.N., pan nigdy się nie zmieni!

Ją też Pan tak oszukał, prawda? Może była pierwsza, druga, trzecia… Może ja byłam sto piętnasta… Zrozumiałam, że Pański szept nie był przeznaczony tylko dla mnie. Ta myśl zabolała mnie jak zdradzoną kochankę. Cierpiałam, płakałam, tęskniłam za Panem i jednocześnie Pana nienawidziłam. A potem zaczęłam żyć na nowo, inaczej, naprawdę – bez cmentarza-miasteczka i jego mieszkańców-oszustów. Nie wróciłam już tam. I nie wrócę

tam dopóty, dopóki nie zyskam pewności, że przekraczając skrzypiącą bramę, nie usłyszę Pańskiego głosu.

Niech mi Pan to obieca. O nic więcej nie śmiem prosić.

---

[1] W. Młynarski, „Tak, jak malował pan Chagall”

Zwierciadło Czarnoksiężnika – Joanna Krystyna Radosz

I

Jeśli wszystko ma kres i nic powyżej poziomu
i ostatni raz i nigdy więcej i w pamięci zatarcie,
to któż powie nam, kogośmy w tym domu,
nie wiedząc o tym, pożegnali na zawsze?[1]

Noc dawno już zapadła nad miastem i tylko księżyc roztaczał dokoła swój blask. Senna mgiełka okryła ratuszową wieżę, kaskadami opadając na bruk. Stukał cicho mknący cień wozu z sianem i woźnicy bezszelestnie poganiającego karego niby-konia, który tak naprawdę wcale nie był koniem, tak jak i woźnica nie był prawdziwym woźnicą, a wóz prawdziwym wozem.

Zielonkawe światło wlewało się do pokoi, tworząc oniryczną iluzję i nikt, kto następnego dnia rano obudził się z myślą o nocnym podróżniku, nie mógł być pewny, czy była to rzeczywistość, czy tylko kolejna z sennych mar.

Mrok zatapiał uśpione uliczki, muskał odrapane ściany kamieniczek, dokonujących już swego żywota. Miliardy gwiazd mrugały tajemniczo do czarnych, bezsennych kotów,

z dzikim wrzaskiem przecinających skąpane w księżycowym świetle trakty. Gdzieś ponad hałaśliwym nocnym życiem, na gałęzi starej sosny sowa pohukiwała z dezaprobatą, a jej rozmazany cień tańczył na ścianie, rozjarzonej migotliwym blaskiem jedynej działającej latarni. Górujący nad miastem zegar poruszał niespiesznie wskazówkami, nieubłaganie zbliżającymi się do północy. Jego tarczę spowijała wszechobecna mgła, zwiastująca rychłe opady.
I rzeczywiście, już następnego dnia biały puch miał okryć grubą warstwą położone na krańcu świata miasteczko.

Ona zawsze kochała zimę, lecz tego roku nie dane Jej było doczekać w swym domostwie pierwszego śniegu.

Jak co noc siedziała przy oknie, uważnie obserwując okolicę. Nasłuchiwała najodleglejszych choćby dźwięków, spragniona wyłowienia tego jedynego w swoim rodzaju odgłosu. Tego, który zwiastował Jego przybycie. Nozdrza podświadomie poszukiwały specyficznego zapachu tej jedynej osoby na świecie, na którą Ona kiedykolwiek czekała. A On wciąż nie nadchodził, jakby zagubił się gdzieś w utkanym z nici nocy labiryncie. Zawsze obiecywał Jej, że wróci wcześniej, że przyjdzie do Niej tak szybko, jak to tylko będzie możliwe... Na obietnicach się kończyło; gdy wracał, Ona już spała, a jedynym wspomnieniem niebyłego wieczoru tylko we dwoje stawały się dogorywające na blacie świece. Nigdy nie doczekały swej wielkiej roli.

Melodyjny szept drzew tulił do snu, jednak Ona uparcie odganiała go od siebie, strzepywała osiadające na powiekach ołowiane płatki. Wciąż czekała; jak co dzień.

Nagle podniosła się z takim zdecydowaniem, że stare, drewniane klepki wydały z siebie głośny jęk. Nim zastanowiła się, co czyni, zsunęła z palca złoty pierścionek i cisnęła go w dal przez otwarte okno, czując, że tylko w ten sposób może wyrazić swą bezsilną rezygnację. Połyskujący przedmiot poszybował ponad brukowaną ulicą i upadł na któryś z kocich łbów u stóp sylwetki wpatrującej się w okno Jej domu. Czarny kot na chwilę spuścił wzrok na pierścień, po czym ponownie uniósł łeb, poruszając widocznymi w świetle księżyca wąsikami. Zielone punkciki oczu, błyszczące pośród ciemności, przykuły Jej uwagę; na chwilę jeszcze zatrzymała się w oknie, opierając dłonie na drewnianych okiennicach.

– Sio! – krzyknęła po chwili, wychylając się w stronę kota. Lecz on ani drgnął, a okrągłe ślepia zdawały się jeszcze bardziej na Niej koncentrować. Nim zdążyła nabrać w płuca mroźnego powietrza i krzyknąć ponownie, nagle zgasła ostatnia latarnia, a księżyc w okamgnieniu zniknął za chmurą. Ona stała przez chwilę, bezradna w tym mroku, ledwie rozróżniając poszczególne kształty i bojąc się upadku z okna. Nim Jej oczy zdążyły przywyknąć do wszechobecnej ciemności, pośród ciszy, która równie raptownie zapanowała nad miastem, rozległ się delikatny, przypominający podzwanianie dzwoneczków u sań, głos:

– To tak wasze obyczaje nakazują witać strudzonych wędrowców?

Rozejrzała się niepewnie, jednak pośród mroku nie dostrzegła żadnej ludzkiej postaci. Po chwili głos rozległ się

ponownie; tym razem pobrzmiewała w nim zachęcająca nuta:

– Chodź do mnie.

I zanim Jej umysł zdołał zapanować nad automatycznymi ruchami, stała już na parapecie okiennym, a przybyły nie wiadomo skąd podmuch silnego wiatru szarpał Jej nocną koszulą. Na całym ciele czuła przeszywające do szpiku kości zimno, lecz tajemnicza siła kazała uczynić dwa kroki do przodu. Szmaciane pantofle trafiły w pustkę, a przemarznięte ciało runęło w dół. Nawet nie próbowała się ratować, jakby ten delikatny i stanowczy zarazem głos uśpił w Niej ostatnie racjonalne odruchy.

Ku swemu własnemu zaskoczeniu, wylądowała miękko na bruku, kuląc się tylko z zimna.

– Byłbym zapomniał! – jęknął znienacka głos. W tym samym momencie Jej ciało okryła puszysta, ciepła płachta, coś na kształt futra czy też podbitego futrem płaszcza. Wtuliła się w nowe okrycie, czując, jak krew na powrót zaczyna krążyć w żyłach, a lodowaty ziąb przemienia się w przyjemne ciepło. Podziękowała skinieniem głowy, przekonana, że tajemniczy nieznajomy i tak dojrzy ów gest.

– Zatańczymy? – odezwał się szarmancko.

– Jakim sposobem, skoro pana nie widzę? – z niedowierzaniem otwarła usta i wydukała po chwili. Przez moment jedyną odpowiedzią był żywy, dźwięczny śmiech.

– A jednak umiesz mówić! – zawołał z triumfem nocny gość. – Ależ to bardzo proste. Wyobraź sobie, że stoję tuż

obok. Już? Obejmij mnie tak, jak się obejmuje partnera w tańcu, dobrze?

Nieco skonfundowana, wyciągnęła w bok prawą rękę, lewą objęła niewidzialnego tancerza. Gdy dłonie zawisły w tanecznej pozie, z nagła wydało Jej się, że powietrze w tym miejscu zgęstniało, formując się na podobieństwo ludzkiej sylwetki. Nim zdążyła zapytać o to nieznajomego, on krzyknął:

– Orkiestra! Walca!

Zewsząd rozbrzmiała muzyka, jękliwe tony skrzypiec splatały się z głębokimi tonami pianina i wysokimi dźwiękami tysiąca piszczałek, jakby wszystkie orkiestry całego świata zebrały się nagle w małym miasteczku, by zagrać najpiękniejszego w świecie walca tylko dla Niej i dla bezimiennego maga, bowiem ktoś, kto potrafił wyczyniać takie sztuczki, z pewnością na miano maga zasługiwał.

Wirowali w tańcu, obejmując się lekko, a wiatr kręcił wraz z nimi powolne obroty, to znów tańczone na niewidzialnym parkiecie kwadraty. Niewyraźne zarysy drzew uginały się w takt muzyki, jakby cały ten świat za nic miał sobie odwieczne prawa nocy. Dzwoniące kule sypały się z nieba, opadając lekko na chodnik.

Nagle z cienia wyłoniło się najpierw kilka, a potem dziesiątki, setki, tysiące półprzezroczystych postaci, jakby zrobionych z mlecznego szkła. Sylwetki owe, zrazu bezkształtne, w miarę upływu kolejnych dźwięków niewidzialnej orkiestry nabierały ludzkich rysów, stając się niemal-osobami o bladych twarzach i mlecznych ciałach.

Kręgiem otoczyli wirującą w tańcu parę, a gdy nieznajomy zrezygnował z obrotów i poprowadził Ją tajemną ścieżką, która nagle przestała przypominać brukowany chodnik, duchy ruszyły za nimi. Wkrótce do tego orszaku przyłączyły się bure koty, z przeraźliwym miauczeniem ocierając się bezustannie o nogi tańczących. A oni sunęli utkaną z pajęczej nici ścieżką, mocząc nogi w strumieniu dźwięków, płynących z niewidzialnych instrumentów…

Muzyka ucichła raptownie. Duchy przystanęły niemal jednocześnie, na powrót stając się tylko bezkształtną, półprzezroczystą masą. W chwilę później rozjarzyły się wszystkie latarnie, ukazując Jej człowieka, z którym przetańczyła – a przynajmniej tak Jej się zdawało – całą noc, aż po świt.

Był to wysoki mężczyzna w czarnym płaszczu z wystającym śnieżnobiałym kołnierzykiem koszuli. Spod gustownego melonika wysypywały się ciemne loki, a łańcuszek okrągłego monokla dyndał nonszalancko. Nieznajomy miał czarne, lekko podkręcone wąsiki. Na jego twarzy rozbłysnął szeroki uśmiech.

– Dziękuję za ten taniec, *madame* – rzekł, kłaniając się nisko i całując Jej dłoń. – A teraz, za pozwoleniem, muszę już zniknąć… – oznajmił, a Ona dopiero teraz dostrzegła, że towarzyszące mu duchy rozpłynęły się w świetle latarni.

– Tak szybko? – spytała, z trudem kryjąc rozczarowanie. Gorąco pragnęła choć przez sekundę jeszcze zatrzymać w sobie ten taniec, niezapomniany walc, prawdopodobnie pierwszy i ostatni taki w Jej życiu. – Pokazał mi pan te

wszystkie cuda, a teraz... znika pan bez słowa wyjaśnienia? – w Jej głosie dało się słyszeć nutę wyrzutu. Mężczyzna zlustrował Ją uważnym spojrzeniem podłużnych, zielonych oczu.

– Właściwie to masz rację – zaczął, po czym, ponownie całując Jej dłoń, dodał: – Na imię mi Gaius, o pani. – Znów rozwinął płaszcz, jakby szykując się do odejścia. W desperackim odruchu chwyciła w dłoń skrawek jego odkrycia.

– Błagam, niech pan nie odchodzi! – szepnęła, czując, jak drży Jej warga. – Albo... albo niech pan mi pozwoli polecieć ze sobą!

Nawet nie mrugnął okiem, zupełnie jakby takiej właśnie prośby się spodziewał.

– Naprawdę tego chcesz? Pamiętaj, jeśli zdecydujesz się odejść wraz ze mną, nie wrócisz tu już nigdy... – oznajmił powątpiewająco. W Jej oczach dostrzegł błaganie, a jednocześnie nieugięte zdecydowanie, jakby już wiedziała, co mu odpowiedzieć.

– Tak – odparła, a Jej głos dźwięczał pośród nocnej ciszy. – Tego właśnie chcę.

– Nie będziesz tęsknić? – zapytał dla pewności. Obrzuciła wzrokiem stojący nieopodal dom, jednak niemal natychmiast zwróciła swe spojrzenie ponownie na Gaiusa.

– Nie – usłyszał cichy, lecz stanowczy głos. – Ani trochę.

II

Noc ma się ku końcowi za szarzejącym oknem

i w stosie książek, których powiększa jeszcze liczbę
cień jakiś niekompletny na niewyraźnym stole,
znajduje się ta, której już nie przeczytam nigdy.

Stare drzwi zaskrzypiały, bowiem tylko w ten sposób mogły wyrazić sprzeciw wobec okrucieństwa tego ziemskiego padołu. Tym razem jednak nikt nie wsłuchiwał się w ich jęki. W progi domu powracał po ciężkiej podróży On, ten sam On, na którego Ona czekała bezowocnie w tę mroczną, grudniową noc. Podłoga przyłączyła się do jęczącego chóru zaklętych w drewnie potępionych dusz, gdy On stąpał cicho niczym kot, za wszelką cenę starając się nie zbudzić ukochanej.

Nie wiedział jeszcze, że tym razem stara się na marne.

Nie uświadomił sobie tego nawet wtedy, gdy wzrok jego padł na oświetlone blaskiem księżyca puste łoże. Przemierzając w desperacji ciemny korytarz, łudził się, że to tylko jakaś gra, może Jej sztuczka, może kara za spóźnienie lub cokolwiek innego. Trzykrotnie przeszukał niewielkie mieszkanie. Nadaremnie.

Jej już nie było.

Przez ulotną chwilę szaleństwa był gotów wybiec na dwór tak jak stał i szukać ukochanej pośród wirujących płatków śniegu, pytać o Nią żebraków i podróżnych, podążać śladami bezpańskich kotów czy choćby tylko stać na chodniku i prosić Stwórcę o najmniejszą wskazówkę. Zaraz jednak uświadomił sobie bezcelowość własnych starań i zrezygnował, usiadłszy na brzegu łoża, które nagle

wydało Mu się zbyt duże i zbyt przestronne. Paradoksalnie miał wrażenie, jakby mieszkanie zaczęło się z nagła zmniejszać, dusząc Go swymi chłodnymi, bezlitosnymi ścianami, brakiem powietrza, brakiem wszystkiego, co było Mu do życia niezbędne. Siedział zupełnie otępiały, a w głowie szumiały tysiące zbędnych myśli i ta jedna, która była mu potrzebna niby woda w upalny dzień. Gdzie Ona jest? Dokąd mogła pójść, z kim i po co? Ktoś Ją porwał czy… Nie chciał w to wierzyć… Poszła z własnej woli? Uciekła na chwilę czy na zawsze?

Gdy już zupełnie brakło Mu tchu, a cisza stawała się coraz bardziej nieznośna, wyszedł na zewnątrz, oddychając rześkim, mroźnym powietrzem, chłonąc noc wszystkimi zmysłami i szukając wskazówek pośród zamieci. Na próżno jednak, wciąż bowiem nie miał pojęcia, gdzie Ona jest. Z nieba sypały się delikatne, jasne płatki, połyskujące w świetle latarni, osiadając na płaszczu, gdy On rozglądał się rozpaczliwie po okolicy, szukając najmniejszego choćby tropu. Nie zwrócił zupełnie uwagi na siedzącego na gałęzi sosny kruka i zapewne wciąż by go nie dostrzegał, gdyby ptak nie przemówił znienacka ludzkim głosem:

– Nie ma tu tej, której szukasz.

Mężczyzna odwrócił się, wypatrując osoby, z ust której wydobyły się te słowa. Kruk westchnął, sfruwając z gałęzi wprost na Jego ramię.

– Chcesz Ją znaleźć? – spytał, odwracając dziób w stronę przerażonej twarzy. On kiwnął niepewnie głową, zastanawiając się w duchu, czy to tylko nocna iluzja

i majaki desperata, czy oto naprawdę przemawia doń najprawdziwszy w świecie ptak. Kruk tymczasem odezwał się ponownie:

– Nie radzę. Droga jest długa i niebezpieczna, a na jej końcu nie zawsze czeka to, czego pragniesz. Możesz zaryzykować wszystko, co masz, i gorzko się rozczarować.

Zwrócił na ptaka smutne oczy.

– Bez Niej nie mam już niczego – szepnął w przestrzeń. – Wiesz, kto Ją zabrał i dokąd, kruku?

Ptak odwrócił na chwilę pierzasty łeb, spoglądając na jaśniejący na niebie księżyc. Jakby się wahając, kontemplował niebo i opadające zeń płatki, które dziwnym trafem omijały jego czarne pióra. Wreszcie znów przemówił, ciepłym i głębokim głosem:

– Imię jego Gaius, a siedzibą Lustrzany Zamek. Powiadają, że kto raz tam zawędrował, nie powracał już nigdy. Wielu było śmiałków, co chcieli odzyskać swe najcenniejsze skarby, lecz dzikie ptactwo wydziobało im oczy, a głód morzył dniami i nocami. Najdzielniejsi, którzy przetrwali mękę drogi, zaprzedali swe dusze strzegącym Zamku zwierciadłom – każde z tych słów wypowiadał z namaszczeniem, nieobecnym głosem, jakby w transie. – Ach, biada! – zakrzyknął nagle przeraźliwie, trzepocząc skrzydłami i wbijając szpony w Jego ramię. – Biada wszystkim śmiertelnikom, którzy kiedykolwiek próbowali odebrać wielkiemu Czarnoksiężnikowi jego łupy! Zaklinam was, żyjący, choćbyście śnili najdziksze sny, a ziemia stawała wam się piekłem, nie kierujcie swych kroków do

Lustrzanego Zamku! Nie znajdziecie tam bowiem szczęścia, lecz – tu uspokoił się, a jego głos znów nabrał głębokiej, mrocznej barwy – waszą zgubę – zakończył grobowo. Zapadła cisza, krótsza niż samotne uderzenie zgorzkniałego serca, dostatecznie jednak długa, by wydać się nagle skrawkiem wieczności.

– Pójdę – odezwał się On pośród tej głuchej ciszy, z żelaznym zdecydowaniem i nutą nieuniknioności. Kruk znów zatrzepotał skrzydłami.

– Głupcze! – zaskrzeczał. – Nie wiesz, co czynisz!

– Milcz! Zrobię, co zechcę. A ty – z nagłą czułością pogłaskał ptaka po łbie – poprowadzisz mnie do Lustrzanego Zamku, gdziekolwiek by to nie było.

Kruk z rezygnacją pokiwał głową, wiedząc już, że na nic zdadzą się protesty – oto kolejny zuchwalec zapragnął zmierzyć się ze sługami Gaiusa.

III

Na zawsze zapieczętowałeś jakiś próg
i jest lustro przechowujące cię daremnie;
wydaje ci się wolne skrzyżowanie dróg,
a strzeże go Janus o obliczach czterech.

Na łożu z płatków róż spała dziewczyna o brzoskwiniowej cerze. Jej długie, jasne włosy posplatane były w cieniutkie warkocze, podtrzymujące błyszczące, szklane koraliki. Szata z kremowego jedwabiu otulała ją i delikatnie spływała po ciele. Jasne dłonie spoczywały tuż

przy twarzy, na której malował się uśmiech rozkoszy. Na jej drobne i bezbronne ciało padały przez okno promienie słoneczne, przedzierające się przez cienkie zasłony. Przestronne i wypełnione światłem pomieszczenie pogrążone było we śnie na równi z lokatorką. Drzemała stara, dębowa szafa, cicho poskrzypując w rogu pokoju; chrapały głośno krzesła z atłasowymi obiciami, a wtórował im stolik na jednej nodze, stylizowanej na cztery złączone łapy dzikiego zwierza. Nawet toaletka śniła, a lustro jej co pewien czas lśniło tajemniczym blaskiem, jakby jawiły się w nim jakieś czarowne obrazy. W ten uśpiony krajobraz wpisał się nagle, zmaterializowawszy zupełnie znikąd, czarnoksiężnik Gaius. Przez chwilę w milczeniu stał przy łożu, wpatrując się w twarz uśpionej dziewczyny, a jego oblicze rozświetlił uśmiech, jak rzadko kiedy. Pogładził dziewczynę po włosach. Nie minęła chwila, gdy jej powieki rozchyliły się łagodnie, a orzechowe oczy obdarzyły go czułym spojrzeniem.

– Witaj, Astro.

Kiedy przybyła do Lustrzanego Zamku, przypomniała sobie, iż nie zdążyła się przedstawić. Już chciała wypowiedzieć swe imię, lecz on położył palec na jej ustach i szepnął:

– Zapomnij o tym. Od tej chwili aż po kres świata będziesz Astrą, królową gwiazd.

I rzeczywiście, była nią. Gaius otworzył przed nią podwoje świata znanego dotąd tylko z kołysanek i opowieści matki. W potężnym pałacu znajdował się szereg

komnat, a każdą z nich wypełniały inne przedmioty i każda z nich do czego innego służyła czarnoksiężnikowi. Był też ogród, wedle opowieści zamieszkujących zamek stworzeń rozciągający się aż do miejsca, gdzie koniec tęczy spotyka ziemię. Ta właśnie tęcza wisiała na wiecznie bezchmurnym niebie, a po jej pasach zjeżdżały beztrosko okrągłe, puchate stworzenia, których całe gromady hasały po zielonych polach należących do Gaiusa. Była stajnia z najpiękniejszymi końmi czystej krwi, jakie tylko mogły swymi dostojnymi kopytami stąpać po ziemi; był szereg karet zaprzężonych w pegazy, którymi Astra mogła się udać w podniebną podróż, gdy tylko ziemia przestawała jej wystarczyć. Była i komnata pełna grubych, puszystych persów, które przemykały między nogami, łasząc się przy byle okazji i które sypiały na wysadzanych najdroższymi klejnotami poduszkach.

Miała wszystko.

I to, o czym od zawsze marzyła, i to, o czym śnić nigdy się nie odważyła. Czy potrafiłaby jeszcze zatęsknić za dawnym życiem? Wydało się, iż zapomniała już, że kiedykolwiek była kimś innym niż królową u boku czcigodnego Gaiusa, któremu dano na własność tę niewyobrażalną połać, by stworzył tu swe królestwo. Pozwalał jej niemal na wszystko; jedne tylko były drzwi, których pod żadnym pozorem przekroczyć nie mogła. Znajdowały się one w najodleglejszym miejscu ogrodu, pośród dzikich winorośli, których owoce były dojrzałe przez cały rok. U ich potężnych, złotych kołatek wisiała kłódka

niewielka, lecz tak ciężka, iż unieść nie mógłby jej nawet najsilniejszy z silnych. Tylko do miejsca, które kryło za sobą to wejście, nie wolno było Astrze wstępować.

Poprzedniego wieczora, gdy przy tak długim, że aż ciągnącym się w nieskończoność stole jedli złożoną z najwykwintniejszych potraw kolację, zapytała go nieśmiało:

– Gaiusie... Co kryją te drzwi w ogrodzie? Te zamknięte na kłódkę?

Myślała, że go tym rozgniewa, lecz on tylko zmarszczył nieznacznie czoło i odparł:

– Są to wrota do świata, którego nie chciałabyś widzieć. – A w chwilę później dodał zagadkowo: – Każda bowiem jasność ma gdzieś swój cień.

Teraz, skoro tylko zbudził ją dotyk miękkich, nierealnych dłoni czarnoksiężnika, na powrót zaczęła rozmyślać o tajemniczych drzwiach i świecie, który istniał za nimi. Goszcząc w Lustrzanym Zamku już od wielu dni, zdążyła się nacieszyć ogrodem i pałacem, i roślinami, i zwierzętami, i przedmiotami, i wszystkim, co było jej dane w tym idealnym miejscu. Obecna na każdym kroku – nawet w niej samej – doskonałość zaczynała ją powoli nużyć, a serce rwało się gorączkowo do jakiejś tajemnicy, do odkrycia najmniejszego chociażby sekretu, jaki mogło skrywać królestwo Gaiusa.

Przez cały dzień była nieobecna, zastanawiając się, gdzie czarnoksiężnik mógł schować klucz do przeklętej kłódki i jak go od niego wydobyć. Siedziała po turecku pod

drzwiami, kontemplując je w milczeniu i powracając do zamku tylko na posiłki. Upłynęły tak poranek i południe, upłynęło też upalne i bezwietrzne popołudnie. Wreszcie pod wieczór, gdy zasiadali do kolacji, czarnoksiężnik zatrzymał na niej swój badawczy wzrok, jakby chciał odczytać jej myśli. Milczeli oboje, aż w końcu zadał pytanie, którego się spodziewała:

– Czemuż jesteś dziś tak milcząca i tajemnicza, Astro?

Czując, że nie da się zbyć byle wymówką, wyznała szczerze:

– Zastanawiam się, jak dotrzeć do świata po drugiej stronie drzwi.

– Mówiłem ci już, że nie chciałabyś tam trafić.

– Ale chcę wiedzieć, co to za miejsce! – nalegała płaczliwie, licząc, że Gaius ustąpi.

Nie pomyliła się. Spojrzał jej w oczy – a ona tylko przelotnie dostrzegła przemykający przez jego twarz cień – i powoli powiedział:

– Jeżeli tego właśnie pragniesz, dobrze. Spełnię twoje życzenie, lecz wyłącznie na twoją odpowiedzialność.

Nie mogła uwierzyć we własne szczęście.

– Kiedy tam pójdziemy? – dopytywała, ciesząc się jak małe dziecko. Gaius odpowiadał cierpliwie:

– Jutro z samego rana. Bądź gotowa nim wzejdzie słońce. To miejsce najlepiej oglądać w ciemności. Uprzedzam jednak – ujrzysz tam wiele rzeczy, które mogą zburzyć twoje wyobrażenie o mym królestwie. Gdybyś pod ich wpływem chciała odejść, pamiętaj, że wtedy, przed

twym dawnym domem, podjęłaś decyzję, od której nie ma odwrotu.

Niecierpliwie kiwnęła głową na znak, że doskonale rozumie i pamięta.

I któż mógłby przypuszczać, że słowa Gaiusa miały na celu coś więcej niż tylko wystraszenie lekkomyślnej Astry?

IV

Jest jedna pośród twych pamięci kilku,
która się zagubiła bezpowrotnie;
nie ujrzą cię schodzące do tamtego wodotrysku,
ani księżyc żółty, ani białe słońce.

By zrozumieć, o co dokładnie chodziło czarnoksiężnikowi, cofnijmy się o wiele, wiele dni, aż do momentu, gdy On w towarzystwie mówiącego kruka wyruszył w podróż do Lustrzanego Zamku. Ptaszysko to siadało na Jego ramieniu, to znów podfruwało w górę, obserwując teren i zdając relację towarzyszowi. Początkowo droga nie zdawała się wcale uciążliwa – mieli dostateczne zapasy wody i jedzenia, sypiali w miasteczkach, nawet śnieg nie przeszkadzał im zbytnio, padał bowiem raz na jakiś czas i w niewielkich ilościach. Po kilku dniach wędrówki i kruk zatracił swój sceptycyzm, gdy, przedzierając się przez liczne lasy, pola i łąki, wchodząc na strome góry czy przechodząc po zamarzniętych rzekach i jeziorach, w najmniejszym stopniu nie odczuwali trudów podróży. Nie minęły dwa tygodnie, kiedy na horyzoncie

zaczął majaczyć potężny zamek, wokół którego unosiła się lekka, srebrzysta mgiełka. To tylko zmotywowało ich do przyspieszenia kroku, by jak najszybciej znaleźć się u stóp Lustrzanego Zamku.

Wreszcie któregoś dnia w samym środku stycznia, Zamek przestał być tylko zarysem, a stał się niebywale realny, niemal na wyciągnięcie ręki. Bezgraniczna radość obu wędrowców nie miała końca – On wyśpiewywał donośnie zwycięskie pieśni, kruk zaś wzlatywał w górę, machając jak oszalały skrzydłami, wykonywał podniebne piruety, tnąc powietrze czarnymi piórami, wreszcie opadał na gałęzie majestatycznych, rozłożystych dębów, porastających zbocze góry, na szczycie której wybudowano Lustrzany Zamek. Przez tydzień żywili się owocami z pobliskich drzew, spali na gołej ziemi i rozkoszowali się wiosną pośród zimy. Wieczorami rozpalali na łące ognisko, wpatrując się w usiane gwiazdami niebo, a kruk opowiadał o tym, jak onegdaj bywał na usługach potężnych czarnoksiężników, którzy opowiadali mu o czyhających na wrogów Gaiusa niebezpieczeństwach. Im dłużej obozowali pod Lustrzanym Zamkiem, tym bardziej narastało w nich przekonanie, iż wszystkie historie o straszliwych sługusach władcy tego miejsca są jedynie wyolbrzymionymi bujdami, przekazywanymi przez lata z ust do ust.

Ósmego dnia, licząc od przybycia na górę, On postanowił w końcu wtargnąć do Lustrzanego Zamku. Porzucając pogrążonego we śnie kruka, mamroczącego przez sen o jakiejś Aurelii, ruszył łagodnym zboczem. Sto

kroków od niego znajdowało się wejście do pałacu. Niebo było tak błękitne, jak każdego dnia, rosa połyskiwała na liściach, a poranne słońce roztaczało swój urokliwy blask. Stąpał powoli, niespiesznie, jakby od niechcenia, trochę z lękiem. Nie wiedział, co czeka go za potężną bramą, i nie mógł mieć pewności, czy nie przyjdzie Mu zmierzyć się z jakimś monstrum, broniącym Lustrzanego Zamku przed najeźdźcami. I jedyną siłą, która uparcie popychała Go do przodu i pozwalała stawiać kolejne kroki, była myśl, że robi to wszystko dla Niej, że już wkrótce znów poczuje Jej zapach, zobaczy stęsknione oczy i ten uśmiech, od którego jaśniał świat.

W miarę jak szedł coraz dalej, a brama wciąż się nie przybliżała, niebo ciemniało, a w końcu lunął rzęsisty deszcz i pioruny od czasu do czasu przecinały szaro-czarną przestrzeń ponad jego głową. Ach, jakże żałował pozostawienia kruka na łące, jakże brakło Mu teraz choćby jednej żywej duszy, która mogłaby dodać otuchy! Gdy wreszcie stanął przed monumentalnymi, metalowymi drzwiami, opuściła Go zupełnie cała odwaga, jaką dotąd nosił w swym sercu. Stał u bramy, drżącą dłonią podnosząc mosiężną kołatkę i stukając nią. W duchu błagał, by wrota pozostały zamknięte; a jednocześnie... Tak bardzo pragnął zobaczyć Ją, chociaż przez chwilę, że gotów był zrobić wszystko.

Po chwili brama rozchyliła się i stanął w niej odziany w czarny płaszcz mężczyzna. Jego twarz okalały kruczoczarne włosy, a smagłe palce skubały od niechcenia

rzadką bródkę. Stalowoszare spojrzenie wbijało się w duszę i przewiercało ją niemalże na wylot.

– Czegóż pragniesz, wędrowcze? – wyrzekł mężczyzna, lustrując Go uważnym wzrokiem.

– Pragnę zabrać stąd mą ukochaną – odparł wbrew rozsądkowi, czując, iż tymi słowy zaprzepaszcza swe szanse na zobaczenie Jej. Spuścił wstydliwie głowę i stał tak, a deszcz potokami lał się z nieba. Wreszcie stojący w bramie mężczyzna wypełnił ciszę swym głębokim głosem:

– A czy ona również tego właśnie sobie życzy?

Podniósł głowę, spoglądając na czarnoksiężnika – bo któż inny mógłby to być? – szeroko otwartymi oczami. Jak w ogóle nieznajomy śmiał wątpić w Jej chęć powrotu do domu?

– Oczywiście – rzekł, patrząc czarnoksiężnikowi prosto w oczy.

– Jesteś tego pewny? – usłyszał. Kiwnął głową po raz ostatni, a w chwilę później gospodarz zamczyska wypowiedział słowa, których On tak bardzo wyczekiwał:

– Zatem podążaj za mną.

Deszcz raptownie ustał, gdy ruszyli ciemnym korytarzem, czarnoksiężnik na przedzie, w dłoniach trzymając jarzącą się błękitnym blaskiem kulę, On zaraz za nim, wpatrując się otępiałym i niedowierzającym wzrokiem w ciemność panującą naokoło. W tym mroku rozlegały się tajemnicze szepty, głosy, które zdawały się bliskie Jego sercu, choć nie był w stanie ich rozróżnić. Wsłuchiwał się w szmery i czuł jak Jego dusza to wybucha falą niepojętej

radości, to znów kurczy się w drżącym smutku, podszytym nutą niepokoju. Gdy zatem z nagła rozbłysły światła gdzieś ponad ich głowami, miliardy świetlistych kul wybuchły, tworząc nowy, migotliwy Wszechświat, przeszedł Go dreszcz. Dreszcz niespokojnego oczekiwania, przeczucie, że zbyt łatwo dostał się do Zamku i zbyt szybko podjął decyzję o ruszeniu za czarnoksiężnikiem. Skąd mógł wiedzieć, czy Gaius nie prowadzi go wprost w przemyślaną i okrutną zasadzkę?

I właśnie wtedy, gdy myśl ta zatruła Jego umysł, ujrzał Ją. Siedziała na wysadzanym najdroższymi klejnotami tronie, ze złożonymi na kolanach dłońmi. Jej zwiewna suknia kołysała się na niewidzialnych podmuchach, zaś głowę zdobił kryształowy diadem. W mig zapragnął podbiec do Niej, objąć i szepnąć do ucha, że wreszcie ponownie są razem. Natychmiast też uczynił kilka kroków, jednak tuż przed tronem zatrzymała Go niewidzialna ściana, jakby mur ze szkła, który oddzielał Go od Niej. Gaius tymczasem bez słowa przeniknął pod ścianę i podszedł do kobiety.

– Astro! – rzekł, ujmując ją za rękę. – Czy poznajesz tego człowieka? – Wskazał na przybysza. Ona otworzyła szeroko swe wielkie, niebieskie oczy, zamrugała kilkakrotnie, jakby zastanawiając się nad tożsamością niespodziewanego gościa, po czym powoli i dobitnie oznajmiła, a każda wypowiadana przez nią głoska tworzyła kolejną ranę w Jego sercu:

– Nie. Nigdy nie widziałam go na oczy.

I nim On zdążył jakkolwiek zareagować, nim zdołał zaprotestować... Błysnęło, a po chwili nie widział już szklanej szyby, a jedynie potężne, ciągnące się od posadzki aż po sam sufit lustro. W zwierciadle tym odbijała się postać bezbrzeżnie rozczarowanego mężczyzny, którego smutek zamienił się w bezsilną wściekłość, a pięść wymierzyła cios prosto w lustrzaną taflę. W ogromnej komnacie rozległ się rozpaczliwy krzyk:

– To ja! Nie poznajesz mnie, naprawdę?!

Naraz Gaius dotknął Jego ramienia, szepcząc:

– Chyba nie masz czego tu szukać, młodzieńcze. Idź już, a nie stanie ci się krzywda.

– Nie! – usłyszał czarnoksiężnik. Jedno słowo, wypowiedziane twardym, nieustępliwym głosem. I to „nie” dźwięczało mu w uszach jeszcze przez długi, długi czas, gdy wpatrywał się w oczy desperata, pragnącego z całego serca znaleźć się blisko ukochanej. A miał okazję w nie patrzeć aż nazbyt często.

V

Nie uda się powrócić twojemu głosowi
do tego, co Pers mówił językiem ptaków i róż,
gdy o zachodzie przed światłem stojąc rozproszonym
wyrazić będziesz chciał niezapomniany cud.

Przy całym dobrodziejstwie Lustrzanego Zamku, Astra szybko zdążyła zapomnieć o tym niefortunnym incydencie z niespodziewanym przybyszem, a Gaius nie miał odwagi jej

o tym przypominać. Była zbyt szczęśliwa, by zakłócać tę beztroskę.

Jednak tamtego dnia, gdy kaprys królowej gwiazd poprowadził ich oboje aż pod kryjące mroczne sekrety drzwi w ogrodzie, czarnoksiężnik wiedział, że tym razem nie uda mu się uchronić Astry przed smutkiem, choćby bardzo tego pragnął. Dlatego też kilkakrotnie jeszcze pytał ją, czy aby na pewno pragnie przestąpić zakazany próg, a z każdym potwierdzeniem markotniał coraz bardziej. Drżącymi dłońmi przekręcał klucz, wiedząc, iż teraz już nie będzie odwrotu. Weszli tam, gdzie rozciągało się drugiego oblicze Lustrzanego Zamku – smutna, pusta kraina, którą zamieszkiwały zaledwie cienie wędrowców i zbłąkanych dusz, szepczące w obcych językach błagania o pomoc w wydostaniu się z tego miejsca. Drzewa tu były zaledwie powykrzywianymi pniami, z których wyrastały nagie gałęzie, kołyszące się na północnym wietrze. Suchej, popękanej ziemi nie porastały żadne trawy, jedynie gdzieniegdzie brunatną połać przecinała ciemnozielona kępka mchu, stara i zapomniana. Niebo pokrywały ciemne chmury, nawet księżyc nie świecił w tej wiecznej nocy. Astrę niemal natychmiast ogarnęło uczucie wszechobecnego zimna, choć Gaius okrył ją najcieplejszym płaszczem jaki zdołał znaleźć.

Królowa gwiazd spacerowała po pustkowiu, obserwując w milczeniu krążące nisko nad ziemią kruki. Co chwilę napotykała na swej drodze dziwny i napawający lękiem widok – a to smutnego Pierrota, tak przezroczystego, że

widać mu było wszystkie kości, to znów utkane z mgły konie-widmo, galopujące po suchej glebie, gdzie indziej zaś pluskające się w zarośniętym stawie ryby-szkielety. Pod rozłożystym, nagim dębem stał z płonącą świecą w dłoniach człowiek bez twarzy, a niedaleko znowuż dostrzegła wetknięty w mech krzyż z dwóch związanych patyków. Wzdrygnęła się, ledwie kryjąc łzy przed czarnoksiężnikiem. Nie miała odwagi poprosić go, by wrócili – on zresztą zdawał się wcale nie dostrzegać jej zachowania; szedł przed siebie, jakby chciał pokazać jej coś jeszcze. Cóż jednak mogło być gorszego od tej pustyni cieni i widm, mar przeszłości?

Wkrótce dostrzegła odpowiedź na niewypowiedziane pytanie. Pomiędzy uginanymi przez wiatr drzewami stał pozornie niewyróżniający się spośród przygnębiającego krajobrazu człowiek. Jego ubranie było porwane, a spod strzępów tego, co niegdyś było koszulą, wystawały wyraźnie rysujące się pod skórą żebra. W długą brodę wplątały się patyki, kępki mchu i ptasie pióra. Najdziwniejsze jednak było to, co czynił ów mężczyzna – miał bowiem ręce ułożone tak, jakby badał jakąś niewidzialną płaszczyznę. Wodził błędnym wzrokiem po widocznej tylko dla niego ścianie, jakby zupełnie nie dostrzegał Astry i Gaiusa. Królowa wysunęła dłoń z uścisku czarnoksiężnika i, nie zastanawiając się nad własnymi czynami, podbiegła do nędzarza. Zatrzymała ją jednak szklana ściana – kobieta obiegła człowieka dookoła, lecz w żadnym miejscu nie było przejścia, które pomogłoby jej

dostać się na drugą stronę bariery. Przylgnęła więc do ściany, dłońmi dotykając niewidocznego okiem szkła, i niemal niedosłyszalnie szepnęła:

– Chodź...

Mężczyzna potoczył po klatce spojrzeniem szaleńca, jednak nie zbliżył się do miejsca, gdzie stała Astra.

– On cię nie widzi – rzekł obserwujący to widowisko Gaius. – Dla niego cała ta cela jest wyłożona lustrami.

Królowa jakby nie słuchała. Przyciskała głowę do szklanej tafli, szepcząc jak w transie:

– Chodź do mnie, chodź do mnie, chodź do mnie...

Jakby usłyszał, zbliżył się do ściany i położył dłonie tak, że gdyby nie mur, jego ręce i ręce Astry spotkałyby się niechybnie. Kąciki jego spierzchniętych warg uniosły się lekko w górę. Patrzyła na to jak zaczarowana, a po jej policzkach potoczyły się dwie okrągłe krople. Na chwilę oderwała głowę od ściany, spojrzała na Gaiusa i płaczliwym głosem spytała:

– Dlaczego on tu jest? Co ci takiego zrobił?

– Nic – odparł oschle czarnoksiężnik. – Może odejść w każdej chwili, ale tego nie chce.

– Biedak, pewnie stracił zmysły w tej lustrzanej celi... – szepnęła pełnym współczucia głosem Astra. – Dlaczego nie chce odejść?

Gaius podszedł do niej i otoczył ramieniem, dłonią ścierając łzy z jej policzków.

– Powiedział mi, że przybył tu po swą ukochaną – rzekł już dużo cieplej. – I że woli umrzeć, niż odejść bez niej.

Właśnie wtedy zrozumiała, a łzy na nowo pociekły jej z oczu. Chciała coś powiedzieć, ale Gaius położył palec na usta na znak, by się nie odzywała.

– Obiecałaś – przypomniał. Kiwnęła głową. – Napatrzyłaś się? Możemy iść? – Wyraźnie nie zamierzał dłużej przebywać w towarzystwie widm i żebraka w łachmanach. Astra spojrzała na niego błagalnie.

– Pozwól mi chociaż się z nim pożegnać.

– Jak sobie życzysz, wasza wysokość – rzekł czarnoksiężnik, kłaniając się jej. – Lecz zaraz potem powrócimy do zamku i zapomnisz, że kiedykolwiek tu byłaś, dobrze?

Przytaknęła niedbale, przytulając się do zimnej i bezdusznej ściany ze szkła. W jego głowie powstał plan, który pragnęła wykonać przed powrotem do radosnego i beztroskiego świata.

– Słyszysz bicie mojego serca? – szeptała. – Chodź tu, przysuń się... Dobrze. A teraz... – przełknęła ślinę, starając się pokonać obrzydzenie, jakim napawała ją postać nędzarza –...teraz mnie pocałuj.

Zamykając oczy, przywarła ustami do muru, wiedząc, że po drugiej stronie to samo czyni ów człowiek, w którym rozpoznała właśnie Jego. Płakała, całując mur; płakała, gdy jej stopy nagle oderwały się od ziemi i gdy poszybowała w górę, między ciężkie chmury. Dopiero wtedy odważyła się popatrzeć na Niego. Po ukochanej lecz zabiedzonej twarzy też ciekły łzy. Wisieli wysoko nad ziemią.

– Kocham cię – szepnęła najciszej jak umiała. Wiedziała, że usłyszy albo chociaż poczuje te słowa. I właśnie w tym momencie lustrzany mur rozprysnął się na miliard kawałków, a On bezwładnie poleciał w dół. Astrę złapały kruki, które nagle przemieniły się w białe gołębie. Strzepnęła je z ramion – jeśli Jemu było pisane umrzeć, to i jej. Znów nie miała odwagi patrzeć, gdy frunęła w dół, prosto na odłamki szkła i nagą, pozbawioną żyzności glebę. Spadała tak i spadała, a podmuchy wiatru kołysały jej suknią, gdy zaczął padać deszcz. Obmywał jej twarz, mieszał się z łzami, a ona wciąż leciała w dół, jakby ta podróż miała się nigdy nie skończyć. Gdy wreszcie poczuła, że oto zbliża się nieuchronnie spotkanie z twardą ziemią, zacisnęła z całej siły powieki, przygotowana na silne uderzenie. Nic takiego jednak nie nadeszło.

Opadła miękko, jakby zwierciadło nigdy się nie rozbiło, a jego odłamki nigdy nie zasłały ziemi w smutnej krainie. Powoli otworzyła oczy.

Leżała w wysokiej trawie, a wokół niej porozrzucane były płatki róż. Potoczyła błędnym wzrokiem po okolicy – drzewa w jednej chwili porosły liście, znikły gdzieś szkielety ryb i cienie koni. A On… On leżał tuż obok, już nie w podartym ubraniu i bez brody żebraka, a Jego długie, ciemne włosy rozsypywały się na tle soczystej zieleni. Najwyraźniej spał, uśmiechając się przez sen. Ścisnęła Jego dłoń. Dostrzegła też stojącego nieopodal Gaiusa z czarnym krukiem na ramieniu.

Nie minęła chwila, a ptak i czarnoksiężnik rozpłynęli się we mgle.

Joanna Krystyna Radosz

Rocznik 1992. Przez długie lata torunianka, obecnie rezyduje w Wielkopolsce. Rusycystka i rusofilka. Zapalony kibic sportów wszelakich ze szczególnym naciskiem na biathlon i żużel – przez lata pisała o tych dyscyplinach dla m.in. „AM Sport", „Asów Speedwaya", „Tygodnika Żużlowego" czy portalu biathlon.pl. Stały współpracownik magazynu „Kontury„. Zaznaczyła swoją obecność w kilku konkursach (Wiatrak 2010, Littera Scripta, Horyzonty Wyobraźni 2012), publikowała w antologiach („Marzenia i Więzy" wydane przez The Cold Desire; „Miłość niejedno ma imię" pod auspicjami Magdaleny Kordel) i czasopismach („Via Appia", „Kontury", „Pod Wiatr", Qfant, „Doza"). Za dużo pisze i za dużo słucha muzyki. W wolnych chwilach – gdy już się takie zdarzają – demoluje przeciwników w grach strategicznych, sieje ferment na Facebooku albo tłumaczy na rosyjski własne teksty.

http://geniuscreations.pl/autorzy/joanna-krystyna-radosz

---

[1] Wszystkie cytowane fragmenty pochodzą z wiersza J. L. Borgesa *Limity* w przekładzie E. Stachury.

Dom – Katarzyna Rupiewicz

Agnieszka nigdy nie zapytała ojca, kim był człowiek, który wbiegł przed maskę ich rodzinnego forda.

Miała osiem lat. Tata prowadził, a ona i babcia siedziały z tyłu. Nie znały się zbyt dobrze i dla obu wspólna podróż była krępująca. Starsza pani lubiła wnuki, ale zawsze miała problem ze zniżeniem się do ich poziomu. Uśmiechała się grzecznie i zadawała konwencjonalne pytania. W jej głosie można było usłyszeć nutkę niepewności, jakby obawiała się, że dziewczynka skrytykuje nieporadne próby nawiązania rozmowy. Agnieszka natomiast była tak onieśmielona bliskością wyniosłej damy, że nie potrafiła udzielić odpowiedzi dłuższej niż kilka słów.

Ponieważ cisza potęgowała napięcie, Agnieszka wyglądała przez boczną szybę. Miała nadzieję, że to wystarczy, by sprawiała wrażenie zajętej.

Właśnie w ten sposób przegapiła pojawienie się nieznajomego. Dopiero pisk opon i szarpnięcie pasów, które zatrzymały wyrywające się do przodu ciało, zmusiły ją do spojrzenia na przednią szybę. Ktoś uderzył w szkło, wywołując lawinę pęknięć, i zniknął, jakby uniósł się w powietrze. Gdyby wiedziała, że człowiek ten zaraz

spadnie za samochodem, zapewne by się odwróciła. Jednak i ten widok ominął dziewczynkę.

Babcia cały czas patrzyła w tylną szybę. Gdy samochód zjechał na pobocze, Agnieszka wychyliła się zza fotela kierowcy i zobaczyła dłoń taty kurczowo zaciśniętą na drążku zmiany biegów. Nagle ręka puściła drążek i błyskawicznie odpięła pas. Mężczyzna odwrócił się gwałtownie. Patrzył to na córkę, to na matkę, jakby wcześniej wystraszył się, że już ich nie ma na tylnym siedzeniu. Poruszył ustami, ale nic nie powiedział. Wysiadł z samochodu.

Agnieszka dopiero obserwując oddalającego się ojca, zauważyła, że za ich samochodem zatrzymało się kilka następnych. Kierowcy biegli w tym samym kierunku, co tata.

Dziewczynka usłyszała jak otwierają się drzwi. Babcia również wysiadła bez słowa. Patrzyła jak zahipnotyzowana na oddalone o kilka metrów zbiegowisko. Potem podeszła do niego. Agnieszka obróciła się i wyglądała przez tylną szybę.

Byli w którymś już z kolei lesie. Dla niej wszystkie były do siebie podobne, a jednak miejsce wydawało się znajome. Białe drzewa ustawione w rządku, jakby od początku miały wyznaczać linię, na której wszyscy się zgromadzili. Domyślała się, że ludzie otaczają człowieka, który rozbił ich szybę.

Na czworakach przeszła po siedzeniu i wysiadła tymi samymi drzwiami, co babcia.

Podbiegła do grupki gapiów. W kałuży krwi leżał mężczyzna o nienaturalnie wykręconej szyi i szeroko otwartych oczach utkwionych w dziewczynce. Czasami wydawało jej się, że to w nich zobaczyła po raz pierwszy swoje Odbicie. Rozsądek podpowiadał jednak, że stało się to dużo później.

Agnieszka przestraszyła się. Nie tego człowieka i nie krwi, ale uczucia, że nie powinno jej tutaj być i że zrobiła coś złego, przychodząc. Wiedziała, że lada chwila ktoś ją zauważy. Babcia patrzyła tylko na ścieżkę znikającą w głębi lasu, ale ojciec zaraz spostrzegł córkę. Cały się trząsł, a na rękach miał krew.

– Mamo, zabierz ją stąd – wyszeptał.

Agnieszka zarumieniła się, kiedy wszyscy spojrzeli na nią, a babcia wzięła ją za rękę. Wróciły do samochodu. Dziewczynka czekała na reprymendę, podczas gdy starsza pani rozpaczliwie poszukiwała słów, którymi mogłaby się zwrócić do ośmioletniego dziecka.

– Nic cię nie boli? – odezwała się wreszcie. – Plecy? Szyja?

Agnieszka poruszyła ramionami i głową, wsłuchując się w przytłumiony dźwięk przeskakujących kości. Nic jej się nie stało.

– A jeśli boli mnie szyja, to nie pójdę do szkoły? – spytała z dziecięcą powagą.

Babcia spojrzała na nią uważnie i uśmiechnęła się. Dziewczynka była jeszcze zbyt mała, by oceniać, co ten uśmiech mógł oznaczać. Zawsze jednak, kiedy zastanawiała

się, dlaczego to właśnie jej babcia przepisała dom, przypominała sobie ich rozmowę w samochodzie i miała wrażenie, że zdała wtedy jakiś test.

* * *

GPS zaprowadził Agnieszkę do centrum miasta, choć określenia „centrum” i „miasto” w zestawieniu z rzeczywistością brzmiały jak miejscowy żart. Zatrzymała samochód na parkingu pod kościołem i poszła zapytać o drogę. Wiedziała, że dom babci stoi na uboczu. Była tam tylko raz, po pogrzebie.

Weszła do sklepu spożywczo-przemysłowo-odzieżowo-ogrodniczego, w którym na szczęście nie było klientów. Sprzedawczyni spojrzała na nią obojętnie. Minęły już czasy, gdy każdy obcy w takich miejscach wzbudzał ciekawość. Mimo to Agnieszka odruchowo dotknęła ciemnych okularów i poprawiła włosy, aby przesłaniały część twarzy.

– Dzień dobry, szukam domu pani Stalkiewicz – powiedziała cicho.

– To już z rok będzie, jak Stalkiewiczowa nie żyje – odparła sprzedawczyni. – A pani w jakiej sprawie?

Agnieszka w pierwszej chwili miała ochotę coś odwarknąć, ale zrozumiała, że tutaj to nie jest niedyskretne pytanie.

– Odziedziczyłam dom. Jestem jej wnuczką – powiedziała zakłopotana.

– Oczywiście, babcia tyle o tobie opowiadała! – zawołała sprzedawczyni. – Ola, prawda? Podobno skończyłaś

medycynę. Przyda się doktor w sąsiedztwie.

– Przykro mi, ale ja jestem Agnieszka.

– Rzeczywiście. Grasz na fortepianie? Latem mamy tu…

– Mówi pani o Dominice. Agnieszka, córka Roberta.

– Roberta? No tak, oczywiście.

Mina sprzedawczyni nie pozostawiała jednak złudzeń. Skarbnica informacji na temat mieszkańców pod hasłem „Agnieszka” odnajdywała tylko pustą teczkę.

– Skręć w prawo za pocztą, potem prosto aż do poprzecznej linijki brzózek. Zaraz za nimi skręcisz w lewo. Łatwo trafić. Na długo przyjechałaś?

– Jeszcze nie wiem. Dziękuję.

Agnieszka położyła już dłoń na klamce, gdy głos sprzedawczyni niemal przyprawił ją o zawał.

– Już wiem! Pracowałaś w Anglii. Dobrze, że wróciłaś.

Dziewczyna zmusiła się do uśmiechu i skinęła głową. Chodziło o Jadwigę.

Agnieszka nie wyróżniała się absolutnie niczym. Nie miała szczególnych talentów, dobrego zawodu ani ciekawych doświadczeń. Gdyby chociaż ćpała i puszczała się z kierowcami ciężarówek, babcia miałaby o czym opowiedzieć.

Wróciła do samochodu. Odgarnęła włosy za ucho, żeby nie przeszkadzały jej w trakcie jazdy. W lusterku zobaczyła, że siniak na policzku coraz śmielej wygląda spod pudru. Szkoda, że babcia już nie żyje – wreszcie miałaby coś do powiedzenia o Agnieszce. Chociaż gdyby starsza pani żyła, dziewczyna nie przyjechałaby tutaj.

Gdy przekręciła kluczyk, silnik warknął niechętnie, jakby groził, że każdy jęk może być jego ostatnim. Trudno. Agnieszka potrafiła się obyć bez samochodu znacznie lepiej niż bez mieszkania.

W prawo za pocztą, a potem szukać „linijki brzózek”, cokolwiek to znaczyło. I tak dobrze, że nie chodziło o olchy albo jesiony. Brzózki to jedyne drzewa, które Agnieszka umiała odróżnić od innych. Z daleka zauważyła białą korę naznaczoną czarnymi pęknięciami. Skręciła w piaszczystą drogę, która prowadziła przez las do wielkiego drewnianego domu.

Agnieszka od początku planowała sprzedaż budynku, ale najpierw chciała go wyremontować, aby dostać lepszą cenę. Jej plany nie zmieniły się zbytnio. Pomieszka tu trochę. Sama doprowadzi dom do ładu, a potem spieniężyniezasłużony spadek i poszuka normalnego mieszkania w mieście.

Zatrzymała samochód i w torebce odnalazła pęk lśniących kluczy. Drzwi strzegły trzy nowoczesne zamki – diabli wiedzą, po co. Gdyby ktoś chciał się włamać, wystarczyło wybić okno, a do tego intruz nie potrzebował specjalnego sprzętu ani nawet drabiny.

Pięć minut zajęło jej sforsowanie wszystkich zamków. Wąski ciemny korytarzyk za drzwiami prowadził do schodów oświetlonych dziennym światłem. Duże okna w tym miejscu nie przypominały wielkością ani kształtem innych okien w domu. Kojarzyły się z kościołem.

Schody jedną stroną przytulały się do ściany, z drugiej była poręcz – wygładzona przez lata, wyglądała jak uśpiony wąż. Przechodząc obok niej, Agnieszka niemal widziała dłonie, które codziennie cierpliwie przesuwały się po drewnie, aż wszystkie kanty i załamania rozpłynęły się pod ich dotykiem.

Potem korytarzyk otwierał się na duży pokój. Na parterze były też kuchnia, łazienka i komórka, a u góry znajdowały się pokoje. W domu nikt nie założył telefonu ani Internetu, ale przynajmniej był prąd.

Odnalazła łazienkę i z duszą na ramieniu przekręciła kurek nad toporną umywalką. Spodziewała się, że obudzony po roku kran zacznie bluzgać szlamem. Do umywalki popłynęła jednak krystalicznie czysta woda, czystsza niż w jej mieszkaniu w bloku.

Agnieszka zdjęła okulary i długo myła twarz. Chciała zmyć makijaż, zmęczenie po całym dniu jazdy i ostatnie trzy lata. Kiedy się wyprostowała, krople wody zabarwione tuszem do rzęs popłynęły po szyi. Na wieszaku wisiał ręcznik. Strzepnęła go, na wypadek gdyby jakieś żyjątko czaiło się w środku, ale w powietrze nie wzbił się nawet obłoczek kurzu. Gdy przyłożyła ręcznik do twarzy, poczuła, że jest miękki i pachnący, zupełnie jakby ktoś go powiesił tuż przed jej przyjazdem.

Dopiero teraz zauważyła, że łazienka jest czysta. Krany i wanna, starsze od Agnieszki, lśniły w blasku nieosłoniętej żarówki. Na podłodze nie rozkładały się truchła robaków wszechobecne w tego typu domach. Albo miała dzikich

lokatorów, albo ktoś przychodził tu sprzątać. Bynajmniej nie cieszyła się z tej grzeczności, bo nie zamierzała się nikomu rewanżować.

Wróciła do drzwi wejściowych i przekręciła klucze we wszystkich zamkach. Sprawdziła kilka razy, czy drzwi są na pewno zamknięte, choć wiedziała, że nie dają jej nawet złudnego poczucia bezpieczeństwa. Ktoś i tak miał drugi komplet kluczy. Inni mogli wejść oknem.

Poszła na górę, unikając dotykania wężowej poręczy. W pierwszym pokoju, do którego zajrzała, stało łóżko i wielka drewniana szafa. Zapaliła światło, bo czerwone słońce za oknem pozostawiało zbyt wiele miejsca dla mroku w zakamarkach sypialni.

Na ścianie wisiało duże lustro w metalowej ramie. Jej Odbicie odruchowo dotknęło zapuchniętego oka i siniaka na policzku, ale Agnieszka nie użalała się nad nim. Bywało w gorszym stanie. Wszystko przez to, że zbyt wiele lat… No właśnie, co? Kochała Tomka czy może raczej bała się zostać sam na sam ze sobą?

– Teraz będzie inaczej – obiecała Odbiciu. Było jednak zbyt zmęczone, by się nad tym zastanawiać. Położyło się na łóżku.

Haftowana narzuta pachniała jak bukiet kwiatów. Agnieszka nienawidziła tego zapachu, prawie tak bardzo jak jej Odbicie.

* * *

Gdy się obudziła, w sypialni panował łagodny półmrok. Nie pamiętała, kiedy zgasiła światło i zaciągnęła zasłony ani nawet tego, jak się rozebrała i wpełzła pod koc. Kwiatowa narzuta leżała złożona w równą kostkę w nogach łóżka.

Agnieszka chciała odruchowo przetrzeć oczy i syknęła z bólu. Zwlokła się z łóżka, żeby odsłonić okno. Tak jak się spodziewała, dzisiaj twarz Odbicia była bardziej opuchnięta.

Owinęła się kocem, założyła buty na bose stopy i poczłapała na dół do łazienki. Na prysznic nie miała co liczyć, ale mogła wypełnić wannę wodą. Nigdzie jej się przecież nie śpieszyło, a nie pamiętała, kiedy ostatnio tak się wylegiwała.

Odkręciła kurek i niemal od razu ustawiła idealną temperaturę. Potem oparła się o szafkę, czekając. Równomierny szum odmierzał czas. Agnieszka nie wiedziała, która jest godzina. Pewnie powinna być teraz w pracy. Chociaż nie, z tymi siniakami znowu wzięłaby L4. Stałaby w ciasnej kuchni i gotowała obiad, a w wazonie marniałby nowy bukiet kwiatów.

Zakręciła wodę. Zsunęła buty, rzuciła koc na podłogę i położyła się w wannie. Cudowne uczucie. Zamknęła oczy. Chyba znowu zasnęła, ale tym razem na krótko, bo woda nadal była ciepła.

Wyszła i owinęła się ręcznikiem. Torbę z ciuchami zostawiła w samochodzie, a wczorajsze rzeczy na górze. Boso pokonała niby-salon i schody. Weszła do sypialni,

uparcie patrząc w kierunku łóżka. Nie miała ochoty na kolejne widzenie z Odbiciem.

Ubrana zbiegła na dół i wskoczyła jeszcze do łazienki po buty. Stały równiutko przy drzwiach, poskładany koc leżał na szafce, a wanna była pusta i znowu czysta, jakby nikt z niej nie korzystał. Rozejrzała się odruchowo. Nieproszony gość nie zacząłby przecież od sprzątania łazienki.

Chyba że Tomek chciał ją nastraszyć.

Boże, zachowywała się jak te kobiety z telewizji. Tomek nie był żadnym psychopatą. Lubił czasem wypić i to wszystko. Nie będzie jej przecież ścigał.

Podeszła do drzwi wejściowych – były zamknięte. Wyszła na zewnątrz i obeszła dom dookoła. Żadnych stłuczonych okien ani dodatkowych wejść. Otworzyła samochód. Komórka, porzucona na przednim siedzeniu, wibrowała, lecz Agnieszka nie zaszczyciła jej nawet dłuższym spojrzeniem. Wyciągnęła tylko torbę z ciuchami i reklamówkę z jedzeniem.

Wróciła do domu. Powinna się przebrać, ale jakoś jej się nie chciało. Zresztą ciuchy, które miała na sobie, wcale nie wydawały się wczorajsze, prezentowały się i pachniały zadziwiająco dobrze po całym dniu jazdy w gruchocie, wyprodukowanym chyba przed wynalezieniem klimatyzacji.

Poszła do kuchni. Bogu dzięki – babcia miała stary piekarnik zamiast pieca. Czajnik w stylu retro czekał gotowy na każde skinienie. Agnieszka podniosła go. Okazał się zadziwiająco ciężki, pełny. Wylała wodę do zlewu – była

czysta i to wcale nie podniosło dziewczyny na duchu. Napełniła ponownie czajnik, odkręciła gaz i ostrożnie przytknęła do fajerki zapaloną zapałkę. Błękitny płomień rozjarzył się spokojnie.

Zaczęła otwierać szafki w poszukiwaniu szklanki. Babcia, jak przystało na starszą panią, miała imponujące zbiory porcelany i ciężkich sztućców. Kto wie, może nawet posrebrzanych? Lepiej będzie, jeśli spróbuje sprzedać te rzeczy osobno. Czasem takie skarby są warte więcej niż sam dom.

Czajnik gwizdnął przeciągle, a Agnieszka pomyślała, że ostatni raz słyszała ten dźwięk jako dziecko. Wybrała jedną z filiżanek i wsypała do niej kawę. Wyłożyła na stół skromne zapasy: dwie paczki kawy, chleb tostowy i trzy opakowania serków topionych. Wyciągnęła jeszcze reklamówkę jabłek, ale jednorazówka urwała się pod ich ciężarem. Owoce poturlały się po podłodze, każdy w innym kierunku.

Jak pech, to pech. Agnieszka kucnęła, żeby je pozbierać. Jedno, drugie, trzecie. Gdy się podniosła, pozostałe jabłka leżały już na stole. Omal nie upuściła tych, które trzymała w ręku. Może jej się wydawało? Może większość jabłek spadła na stół?

Chyba się jeszcze dobrze nie obudziła. Sięgnęła po filiżankę. Kawa była słodka, lekko przestudzona, idealnie nadawała się do picia.

Zamknęła oczy. Nie otworzyła ich, dopóki nie skończyła pić kawy. Potem policzyła do dziesięciu, bo zawsze tak robiła, kiedy zdawała sobie sprawę z tego, że śni, a nie

mogła się obudzić. Zaczęła od początku. Zjadła śniadanie, sprzątnęła jedzenie, wróciła do wąskiego korytarzyka i zaniosła torbę z ubraniami na górę.

To nic, że łóżko było pościelone. To nic, że Odbicie patrzyło na nią szeroko otwartymi oczami. Przecież była dorosła. Poradzi sobie sama. Skoro nie oszalała do tej pory, to teraz też tego nie zrobi.

Obeszła wszystkie pokoje, poprzeglądała szuflady. Stan domu był idealny. Gdyby nie przedpotopowe meble, mógłby uchodzić za niezłą hacjendę.

Wyszła na zewnątrz. Ściany nieco zmatowiały, ale wystarczył zwykły lakier, żeby temu zaradzić.

Babcia nie miała ogródka ani płotu. Dziwne… Zdawałoby się, że w tych stronach ogródek to świętość, a może tak myślała tylko dziewczynka wychowana w bloku. Babcia nigdy nie zaprosiła jej do domu, właściwie nie zapraszała nikogo z rodziny. Zamieszkała tutaj, gdy dzieci rozjechały się po świecie.

Agnieszka rozejrzała się niepewnie, bo bliskość lasu nie dodawała otuchy. Nie mogłaby tu mieszkać na stałe. Dziwne miejsce na ucieczkę przed samotnością, ale babcia pewnie uciekała przed ludźmi. Może miały ze sobą coś wspólnego.

Dziewczyna wsiadła do samochodu, chociaż nie miała zamiaru męczyć staruszka wycieczką po okolicy. Wyciągnęła puder ze schowka, bo wolała się umalować, patrząc w małe lusterko. Pełnowymiarowe Odbicie zaczynało ją denerwować.

Przy takich siniakach makijaż niewiele dawał, ale na ogół wystarczył, by ludzie taktownie udawali, że niczego nie widzą. Wróciła jeszcze do domu po okulary. Zdaje się, że wczoraj zostawiła je w łazience… Tam właśnie czekały na szafce. Koc zniknął, a świeży ręcznik wisiał na wieszaku.

Tak. Tak właśnie powinno być. Ręcznik zdążył już wyschnąć, a koc sama wyniosła. To na pewno był ten sam ręcznik, którym wycierała się rano. Nie pamiętała przecież, jakiego był koloru, więc równie dobrze mógł być zielony.

Założyła okulary, zamknęła drzwi na wszystkie zamki i ruszyła piaszczystą drogą.

Jej stary ford pokonywał tę trasę w kilka minut, ale jeśli ktoś szedł pieszo, nie było już tak łatwo. Na chodnik Agnieszka nie mogła liczyć, spodziewała się jednak wąskiego pobocza. Tymczasem w miejscu, gdzie kończył się asfalt, zaczynał się płytki rów oddzielający drogę od lasu.

Nie miała zegarka, ale podejrzewała, że dotarcie do centrum zajęło jej ponad godzinę. Weszła do znajomego sklepu ze wszystkim i znowu miała szczęście, bo nie było żadnych klientów.

– Dzień dobry – tym razem sprzedawczyni ucieszyła się na jej widok. – Jak ci się spało?

– Bardzo dobrze. Ma pani lakier bezbarwny?

– Do paznokci?

– Nie, do drewna.

– Tam stoi, obok doniczek.

Doniczki znajdowały się w drugim pomieszczeniu. Dziewczyna weszła pomiędzy druciane regały z trudem

dźwigające wszystko, czego przeciętny człowiek potrzebuje w ciągu roku. Choć ustawione na podłodze puszki z lakierem przerażały ceną i ciężarem, Agnieszka dzielnie złapała za uchwyt i pociągnęła jedną z nich w kierunku kasy.

– Do kogo należał dom, zanim babcia go kupiła?

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że przyszła tutaj, aby zadać to pytanie.

– Do nikogo – odparła sprzedawczyni. – Ktoś go tam remontował zaraz po wojnie, ale miał okazję wyjechać na lewo do Stanów i wszystko zostawił. Potem nikt go nie chciał, bo to na uboczu i bez pola. Teraz też myśleliśmy, że zostanie pusty. Dzisiaj ludzie tak lubią, z dala od innych, ale tam ani drogi twardej, ani wody bieżącej nie ma.

Agnieszka wzruszyła ramionami. Drogę przecież można zrobić, a wodę babcia już założyła. Jeśli jednak poprzedni właściciel wyjechał po wojnie, to w domu nikt nie mieszkał przez czterdzieści lat. Pewnie dlatego, że była na bieżąco z cenami mieszkań, nie mieściło jej się to w głowie.

– Taki duży dom i tyle czasu stał pusty?

– Dziecko, przecież widziałaś, że tam nie ma komina. Pewnie już teraz w nocy jest zimno jak w psiarni. Nie wiem, kto to wybudował.

Dziewczyna nie odpowiedziała. Może i nie widziała komina, ale żadnych wniosków z tego faktu nie potrafiła wyciągnąć. Wczoraj padła tak szybko, że nie miała pojęcia czy w nocy było zimno. Zapłaciła za lakier. Wyszła ze sklepu. Czekała ją długa droga z kilkukilogramową puszką

w ręku. To chyba nie był dobry pomysł, a jeśli dom nie miał żadnego ogrzewania to wręcz beznadziejny. Pomalowanie ścian nic nie zmieni.

Zanim dowlokła się z powrotem zapadał już zmrok. Była wykończona, bolały ją nogi, ręce, a jakby tego było mało, jej plan na życie właśnie stanął pod znakiem zapytania. Zostawiła puszkę w przedpokoju. Potrzebowała kawy.

Gdy weszła do kuchni, na stole stał gliniany wazon, a w nim świeży bukiet kwiatów.

– Nie! – krzyknęła. – Błagam, tylko nie to!

Złapała wazon i z całej siły cisnęła nim o ścianę. Rozprysnął się na kawałki, na podłogę wylała się woda i wysypały kwiaty. Dziewczyna wypadła z kuchni i wbiegła na górę, przeskakując po dwa stopnie. Dokąd właściwie uciekała? I przed czym? Usiadła u szczytu schodów i zaczęła płakać. Rzadko rozklejała się nad sobą, ale tego było już za dużo, za dużo naraz.

Może ktoś sobie stroił z niej żarty? Albo jakaś dobrotliwa staruszka, która uparcie przychodziła tu sprzątać, myślała, że to będzie miły gest? Przecież ten bukiet w niczym nie przypominał tych, które dostawała od Tomka. Zwykłe polne kwiaty.

Otarła łzy i wróciła do kuchni. Wazon zniknął. Nie pozostał nawet najmniejszy ślad po rozsypanych kwiatach i rozlanej wodzie. Nikt nie mógł tu posprzątać w tak krótkim czasie i choć dziewczyna wolała o tym nie myśleć, wszystko wskazywało na to, że w kuchni nie było żadnych kwiatów. Za to na stole stała filiżanka gorącej kawy.

– Boże – wyszeptała Agnieszka, osuwając się na krzesło.

Kawa była słodka i lekko przestudzona, idealna do picia.

Dziewczyna zjadła kolację. Wyszła jeszcze na chwilę na dwór, choć na zewnątrz zrobiło się ciemno. Ochłodziło się, a mimo to temperatura w domu nie zmieniła się. Może babcia założyła jakieś ogrzewanie? Jak inaczej mieszkałaby tutaj zimą?

Agnieszka wróciła do środka, rozebrała się i starannie pościeliła łóżko. Martwiło ją tylko Odbicie w lustrze. Nie wyglądało najlepiej. Chciała mu dodać otuchy, ale na jej uśmiech odpowiedziało wymuszonym skrzywieniem warg. Wstydziła się za nie. Zawsze było twardsze od niej, a teraz… Z trudem powstrzymała łzy, które uparcie napływały do oczu.

* * *

W nocy obudziła ją burza. Błyskawice rozświetlały cały pokój, a szyby drżały przy każdym grzmocie. Wiatr przyginał drzewa niemal do ziemi. Trwało to przez kilka minut, jak maszyny w fabryce. Błysk, grzmot, drżenie szkła, porywisty wiatr, błysk, grzmot, drżenie… Potem pierwsza kropla zakończyła swój żywot na szybie. Za nią kolejna osunęła się powoli, jakby ostatkiem sił walczyła jeszcze o to, by nie spaść na parapet. W końcu deszcz chlusnął w okno i kropla znikła.

Agnieszka obserwowała ten spektakl z coraz większym spokojem. W domu było ciepło, a zanim zasnęła, wszystko

ucichło, choć spod półprzymkniętych powiek widziała, że deszcz nadal uderza o szyby.

Nie wiedziała, o której obudziła się następnego dnia. Czuła tylko, że niedługo będzie miała problemy z ustaleniem daty.

Odbicie przywitało ją niewidzącym spojrzeniem – to dobrze – faza obojętności przyszła szybciej niż zwykle. Wtedy mniej bolało.

Pościeliła łóżko, wzięła ubranie na dziś i zeszła do łazienki. Wanna była wypełniona wodą. Agnieszka zamoczyła rękę – ciepła. Zrezygnowała z kąpieli, opłukała twarz i wyciągnęła korek. Pewnie gdyby tego nie zrobiła, woda i tak by znikła.

Weszła do kuchni, gdzie na stole stała filiżanka aromatycznej kawy. Wylała ją do zlewu i przygotowała sobie nową. To był dopiero trzeci dzień jej samodzielnego życia. Musiała jakoś wytrzymać.

Gdy jadła śniadanie, kanapka drżała w jej dłoniach. Drżało także coś jeszcze, głęboko w ciele, jak wtedy, gdy przemarznie się do szpiku kości. Miała ochotę krzyczeć. Otworzyła usta i wrzasnęła przeciągle, niemal bezgłośnie. Chyba mieszkanie w bloku przyzwyczaiło ją do takiego krzyczenia szeptem. Chociaż tutaj mogłaby bezkarnie drzeć się naprawdę, nie potrafiła wydać z siebie innego dźwięku niż ten szmer – powietrze z całej siły wypuszczone z płuc.

Wstała od stołu.

– Samo się posprząta – powiedziała i zaśmiała się z tego żartu, jakby nie znała go jeszcze chwilę wcześniej, przed wypowiedzeniem słów na głos.

Dom był nieskazitelnie czysty, ale tego samego nie można było powiedzieć o starym fordzie. Znalazła więc szczotki, szmatki i miski. Praca dobrze jej zrobi.

Po nocnym deszczu powietrze było świeże. Udało jej się włączyć radio w samochodzie. Komórka dogorywała w ostatnich konwulsyjnych drgawkach. Agnieszka wiedziała, że wyświetlacz już wkrótce zgaśnie, a ona z rozmyślnym okrucieństwem nie podłączy ładowarki.

Umyła forda od dachu aż po chodniczki. Na zewnątrz czuła się trochę lepiej, więc od razu wzięła się za malowanie.

– A może dom sam się pomaluje? – zachichotała nerwowo.

Nie miała pojęcia o takich pracach. Dzięki temu niewielki fragment frontu wystarczył, by zająć jej myśli na kilka godzin. Dopiero głód i wydłużone cienie drzew zmusiły ją do odłożenia pędzla.

Musiało być już późne popołudnie. Powinna się spieszyć, jeśli ma jeszcze dzisiaj zdążyć do sklepu.

Weszła do domu po okulary i szklankę wody. Gdy otworzyła drzwi kuchni, na stole stał talerz gorącej zupy. Udało jej się nie krzyknąć. Cofnęła się do przedpokoju.

– Nic tam nie ma – powiedziała głośno do siebie.

Ponownie zajrzała do kuchni i talerz rzeczywiście zniknął. Nie była pewna, czy powinna się z tego powodu

cieszyć. Jedyne, co mogła teraz zrobić, to powstrzymać chęć ucieczki. Wzięła okulary i zamknęła drzwi, po czym ruszyła w kierunku centrum.

Agnieszka miała piątkę z przysposobienia obronnego. Chociaż skończyła liceum już kilka lat temu, wciąż wiedziała, jak sobie poradzić z oparzeniem, złamaniem i krwotokiem. Nie przypominała sobie jednak lekcji: „Co zrobić w przypadku szaleństwa?”. Musiała spojrzeć prawdzie w oczy. Widziała rzeczy, których nie ma i… Właśnie, i co? Pobyt w szpitalu psychiatrycznym? Świetny początek poszukiwań nowej pracy.

Zanim doszła do centrum, zaczęło się ściemniać. Minęła właśnie mury kościoła, kiedy go zobaczyła. Tomek rozmawiał ze znajomą sprzedawczynią, a w ręku trzymał duży bukiet. Agnieszka nie musiała słyszeć rozmowy, żeby wiedzieć, o co pytał. Jej chłopak oczywiście wiedział o spadku. Rok temu byli razem.

Chciała się cofnąć, ale kobieta ją zauważyła. Zaraz potem zobaczył ją Tomek.

– Agnieszka!

Zdążyła usłyszeć, nim rzuciła się do ucieczki. To był pierwszy odruch, wyniesiony z dzieciństwa lub zakorzeniony w zwierzęcej części natury. Odwrócić się i biec w kierunku domu.

W kierunku pustkowia.

Gdyby go minęła, gdyby weszła do sklepu, nie mógłby jej skrzywdzić. Niestety, zrozumiała to, dopiero biegnąc poboczem.

– Agnieszka

Normalne wołanie bez cienia złości albo zaskoczenia, jakby spotkali się na ulicy, a ona go nie zauważyła. Kroki były coraz bliżej. Przyśpieszyła, choć nie sądziła, że potrafi biec jeszcze szybciej.

Las sprawiał, że dookoła było coraz ciemniej. Cisza, upiorna cisza przerywana tylko uderzeniami butów o asfalt. Szosa była pusta, nie mijał ich ani jeden cholerny samochód, który mogłaby zatrzymać.

Ukłucie w piersi nie było prawdziwym bólem ani ciężarem. Po prostu coś wewnątrz niej nie mogło zaczerpnąć powietrza, jakby płuca się zamknęły. Mimo wszystko bolało. Nie mogła zwolnić.

Tomek już jej nie wołał. Spodziewała się, że będzie wykrzykiwał przeprosiny albo namawiał ją do powrotu. On jednak nie tracił tchu na słowa. Być może miał pewność, że Agnieszka nie ucieknie, że złapanie jej jest tylko kwestią czasu.

Znów mogła oddychać, choć nie wiedziała dlaczego, płuca nagle się otworzyły.

Przyśpieszyła. Gdy warkot silnika wdarł się w monotonny dźwięk kroków, zaczęła machać rękami.

– Proszę się zatrzymać! – krzyknęła, nim samochód ominął ją szerokim łukiem.

Niepotrzebnie straciła oddech – zbyt cenny, by go marnować. Miała wrażenie, że Tomek zbliżył się w tym czasie. Nie znała drogi dostatecznie dobrze, a mimo to przeskoczyła przez rów.

Bieg przez las. Szaleństwo. Stopy zapadały się w miękką ziemię, zaczepiały o wystające korzenie. Teraz słyszała go wyraźnie. Był tuż za nią. Lada chwila wyciągnie rękę i złapie ją za bluzkę. Zdawało jej się, że już czuje, jak materiał na plecach się napina, ciągnie ją do tyłu.

Właśnie wtedy się potknęła. Nie upadła. Odzyskała równowagę i mogłaby biec dalej, gdyby nie było za późno, gdyby nie złapał jej już mocno za przedramię. Próbowała się wyrwać.

– Nie uciekaj, proszę – wychrypiał Tomek.

Oddychał ciężko, ona też. Dopiero teraz poczuła, że się dusi, że chyba musiałaby rozerwać gardło, żeby wpuścić do płuc wystarczającą ilość tlenu. Opadła na kolana, a mężczyzna, zamiast protestować, przyklęknął obok niej.

– Spokojnie – zachrypiał. – Przecież cię nie skrzywdzę.

Nie słuchała, tylko chwytała łapczywie powietrze. Było straszliwie gorąco i mokre włosy lepiły się do twarzy. Serce tłukło się tak głośno, że jej koszulka mogłaby się poruszać wraz z nim. Czy się poruszała? Tego Agnieszka nie widziała. Tylko barwne światełka skaczące przed oczami.

– Przepraszam – powiedział Tomek. – Nie chciałem… nie chciałem, żebyś się mnie bała. Wszystko się zmieni… Ja się zmienię…

Rzeczywistość nagle wróciła na swoje miejsce. Agnieszka otrząsnęła się i spojrzała na Tomka. Dyszeli ciężko, siedząc na ziemi w środku lasu, ona sama zaś nie była pewna, jak to się stało. Pamiętała oczywiście każdy szczegół swojej panicznej ucieczki, a jednak nie rozumiała,

dlaczego nie porozmawiali po prostu w centrum miasteczka. Byli przecież zdrowymi, dorosłymi ludźmi. Dlaczego więc on kurczowo zaciskał palce na jej ręce, a ona przyglądała mu się jak zaszczute zwierzę?

– Chodźmy do domu – wychrypiała.

Wstała, choć nogi odmawiały posłuszeństwa i zataczała się niczym pijana. Tomek objął ją. Dla odmiany on szedł teraz prosto, pewnie. Znów był tamtym mężczyzną, z którym postanowiła zamieszkać. Dostatecznie silnym, żeby się na nim oprzeć. Dostatecznie pewnym siebie, żeby kogoś prowadzić.

Otrząsnęła się, ale oprzytomnieć najwyraźniej nie mogła. Nie wiedziała już, czy mu wierzy. Chaotyczne myśli mieszały się z oddechem, biciem serca i drżeniem mięśni. Nie potrafiła nawet ocenić, jak daleko byli od domu i czy w ogóle uda im się tam trafić.

Tomek nie odzywał się przez całą drogę. Chyba znacznie szybciej wrócił do siebie, a jednak dał jej czas. Nie zmuszał do przyspieszenia, nie próbował niczego tłumaczyć. Objął ją mocniej i jakby bardziej czule, kiedy wsparła się na nim całym ciężarem ciała.

W końcu trafili na drogę – niezbyt szeroką piaszczystą aleję, którą bez trudu mógł przejechać stary ford. Ostatnie metry były najgorsze. Chociaż Agnieszka widziała już cel, tych kilka kroków wydawało się niemożliwych do pokonania. Tomek wziął ją na ręce i zaniósł do domu.

– Gdzie masz klucze? – spytał łagodnie.

Wyciągnęła rękę i z trudem sięgnęła do klamki. Drzwi były otwarte. Nie pamiętała, czy je zamykała. Nie sądziła, by miało to jakiekolwiek znaczenie.

Chciała stanąć na własnych nogach, ale mężczyzna tylko przytulił ją mocniej do siebie. Nie miała dostatecznie dużo sił, żeby zaprotestować.

– Jest tu jakieś łóżko?

– Na górze – wychrypiała.

Wniósł ją po schodach. Jakim cudem miał wciąż tyle sił? Przecież jego włosy kleiły się do szyi. *Nie uciekłabym* – pomyślała. *I tak bym nie uciekła*.

Tomek otworzył wskazane drzwi do pokoju i położył ją na łóżku. Dopiero teraz otarł pot z czoła, usiadł obok, a kiedy poruszył ramionami kości strzelały głośno w ciszy, która zapadła.

– Odpocznij – powiedział. – Wszystko się zmieni. Sprzedamy tę ruderę, kupimy większe mieszkanie, a potem weźmiemy ślub. Zobaczysz, że się ułoży, że będzie inaczej.

Nie odpowiedziała. Nie wiedziała, co właściwie chciałaby odpowiedzieć. Nagle zauważyła, że jej Odbicie za plecami Tomka kręci głową, wstaje z łóżka i rozgląda się po sypialni. W końcu otwiera szafę, która znajduje się tuż obok Agnieszki, i silnym szarpnięciem wyrywa z niej metalowy drążek na ubrania.

Tomek jeszcze nie wie, co się dzieje w lustrze, ale widząc szeroko otwarte oczy dziewczyny, odwraca się wreszcie. Jego odbicie wciąż jednak nieruchomo siedzi na

łóżku. Musi przecież widzieć, że tamta Agnieszka podnosi już drążek.

Krzyknęli równocześnie. Krew bryznęła jej na ręce. Jakimś cudem prawdziwy Tomek miał rozwaloną głowę zupełnie jak jego sobowtór w lustrze, a to było zaledwie pierwsze uderzenie. Jej Odbicie nie zamierzało na tym poprzestać. Spojrzało na dziewczynę z wyrzutem, jakby miało pretensje, że ona sama nie zrobiła tego wcześniej.

Agnieszka zeskoczyła z łóżka i rzuciła się do ucieczki. Wybiegła z sypialni.

Dopadła schodów i potknęła się.

Przez ułamek sekundy walczyła o odzyskanie równowagi. Zaczęła spadać. *Zginę* – jedyna myśl, która zdołała przebić się do świadomości. Gdyby to wszystko nie działo się tak szybko, gdyby każde uderzenie o kolejny schodek nie przepełniało jej większym strachem niż bólem… Może wtedy instynkt samozachowawczy kazałby jej się ratować. Może nawet zdążyłaby uwierzyć, że jest w stanie go posłuchać.

Zatrzymała się, nie mogąc oddychać. Łapczywie chwytała powietrze. Nie spadła na dół, bo coś zatrzymało ją w połowie schodów. Dopiero gdy udało jej się wtłoczyć do płuc życiodajny tlen, spostrzegła, że obejmuje ją poręcz. Gładki wąż oderwał się od drewnianych przęseł i otoczył dziewczynę w pasie.

Nie potrafiła krzyczeć. Nie potrafiła nawet pomyśleć, że to niemożliwe. Wąż poluzował uścisk, jakby sprawdzał, czy na pewno się zatrzymała. Ponieważ siedziała bezpiecznie na

jednym ze stopni, poręcz wyprostowała się i wróciła na swoje miejsce. Nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek się z niego ruszała.

Agnieszka odgarnęła włosy z twarzy. Stopniowo oddychanie przychodziło jej coraz łatwiej. Czuła ból w karku i dolnej części pleców. Chyba jednak nie miała złamań, choć nie potrafiła teraz tego ocenić. Opuściła ręce na kolana, patrząc na pustą ścianę przed sobą.

Przypomniała sobie, a może nigdy nie zapomniała. W dniu wypadku jechali do babci. Ścieżka, z której wybiegł tamten człowiek, prowadziła do jej domu. Jako dziecko nie zastanawiała się zbytnio nad tym, że milicja rozmawiała ze starszą panią znacznie dłużej niż z tatą. Zdziwiła się tylko, gdy babcia wróciła do domu sama, a im kazała jechać do najbliższej rodziny. Agnieszka nigdy nie spytała ojca, kim był ten człowiek ani dlaczego przez następne kilka godzin jechali pociągiem do cioci. Właściwie nigdy nie potrzebowała tego wiedzieć.

Teraz też patrzyła przed siebie, nie skupiając się na żadnym szczególe. Nie zmieniała pozycji – a może zmieniała, tylko zupełnie nieświadomie. Po pewnym czasie promienie słońca zaczęły zaglądać przez wielkie okna, aż stopniowo zrobiło się jasno.

– Dziękuję – powiedziała.

Wstała z trudem. Trzymając się poręczy, a potem ściany, doszła do sypialni. Nigdzie nie widziała ciała Tomka ani śladów krwi. Przynajmniej tutaj, bo szmaty w lustrze dopiero kończyły wycierać podłogę. Jej Odbicie zniknęło,

jakby uznało, że Agnieszka już go nie potrzebuje i zobaczyła tylko własną bladą twarz.

Pomyślała, że musi się położyć. Łóżko prawie bezgłośnie przysunęło się do drzwi. Przez chwilę szukała wygodnej, a właściwie możliwie najmniej bolesnej pozycji. Gdy już się ułożyła, zasłony rozciągnęły się przed oknami. Koc czule otulił posiniaczone ramiona.

Śląska legenda – Katarzyna Rupiewicz

– Która godzina, Alfred? – pyta Marta.

Odstawiam kubek i zerkam na zegarek. Mogłaby to sobie sprawdzić na komórce, więc nie wiem, czy zapytała, żeby ze mnie zakpić, czy jednak mnie podrywa.

Ojciec zawsze powtarzał, że baba mo ino dobrze warzyć i cołkiej wypłaty nie zabierać. Wciąż zastanawiam się, jak dopasować jego złotą myśl do baby, która potrafi ugotować tylko krewetki albo ryż do sushi i jeszcze zarabia więcej od mnie.

Marta jest prawdziwym account managerem. Dziewczyna nie ma ani śląskiego akcentu, ani zwalistej sylwetki chłopa na budowie, ani imienia od czapy. W przeciwieństwie do mnie...

– Za trzy dwudziesta – odpowiadam.

– Cholera! Trzymaj kciuki, żeby się spóźnił. – Ostatnie słowa wypowiada, wybiegając z kawiarni.

Siedzimy w Galerii Katowickiej, więc do dworca nie ma daleko. Z drugiej strony mogła poczekać na następny pociąg, przecież zostawiła prawie całą kawę. Nie rozumiem, dlaczego takie kobiety wiecznie gdzieś biegną, jakby w domu czekała na nie szóstka dzieci, a nie nowa mata do jogi i kurs japońskiego.

Kończę swoją kawę, choć głupio się czuję, siedząc samotnie przy dwóch kubkach. Szkoda mi jednak kasy, za którą mógłbym kupić kilo krupnioków zamiast przesłodzonej lury.

Z pieniędzmi będzie krucho, dopóki nie spłacę zegarka. Koledzy nie przestawali się ze mnie nabijać, odkąd powiedziałem, ile zapłaciłem. No dobrze, może da się za to kupić niezłe auto, ale wielu ludzi stać na taki samochód, a nie znam nikogo, kto by miał taki zegarek. Chociaż muszę przyznać, że na używane BMW z Niemiec wyrwałbym kilka dziewczyn, a na nowiutkiego Vulcaina jakoś się jeszcze nie udało.

Wychodzę na rozświetlony pasaż galerii handlowej. I na co tyle wszystkiego? Osobny sklep z rajstopami, osobny z majtkami, osobny z bluzkami, a u pani Jadzi to baby miałyby wszystko w jednym miejscu i nikt się tam nie tłoczy.

Ktoś nagle wpada na mnie. Dzieciak ma może dwanaście lat, ale kto w dzisiejszych czasach umie to ocenić na oko?

– Jo żech nie chcioł – mruczy chłopak.

Gapię się zaskoczony na szczyla. Myślałem, że jestem jednym z ostatnich reliktów pokolenia, które uczono tylko śląskiego. No, może na wsiach i w rozsypujących się familokach jeszcze się tak robi, ale chłopak nie wygląda na jedno z dzieci zbierających węgiel na hałdach. Wystarczy jeden rzut oka na smartfona wypychającego kieszeń zielonych portek.

– Następnym razem uważaj – odpowiadam.

W sumie co mam gówniarzowi powiedzieć? Synek odwraca się na pięcie i idzie spokojnie do wyjścia. Dziwne, przecież dopiero co tak mu się spieszyło w przeciwnym kierunku… Wiedziony złym przeczuciem dotykam nadgarstka.

– Mój zegarek! – krzyczę. – Łapcie go!

Dzieciak śmieje się, gdy obrotowe drzwi odgradzają go ode mnie.

– Łapcie złodzieja! – wrzeszczę, biegnąc za nim.

Nikt jednak nie rzuca się na chłopaka, a szklane skrzydło przesuwa się spokojnie centymetr po centymetrze. Gdy rozgoryczony uderzam w nie ręką, zatrzymuje się na długie sekundy. Uwięzieni ludzie patrzą na mnie z pretensją i odsuwają się, jakby mieli do czynienia z pijanym.

– Łapcie tego dzieciaka! – krzyczę, gdy udaje mi się wydostać na zewnątrz.

Na dworze jest już ciemno, a pojedynczy przechodnie gapią się zaskoczeni. Trzy lata spłacania kredytu konsumenckiego uciekają beztrosko w stronę rynku. Podeszwy markowych butów gówniarza wywołują echo na pustej ulicy. Nie mam innego wyjścia, jak rzucić się w pogoń za chłopakiem.

Gonię go przez 3 Maja, potem przez rynek i pod Wyspiańskim. Tracę złodzieja z oczu już w pierwszej ciemnej uliczce. Biegnę jednak dalej aż do mostu nad Rawą. Dopiero tutaj muszę przyznać, że dookoła nie ma żywego ducha, a ja nie mam pojęcia, gdzie ukrył się dzieciak.

– Oddaj zegarek, to nie zgłoszę sprawy na policję! – krzyczę.

Przełykam gulę żalu i wstydu. Już widzę, jak się będą śmiali policjanci albo koledzy w pracy. Tylko ciul kupiłby zegarek za trzydzieści tysięcy i dał go sobie gwizdnąć pierwszemu lepszemu smarkaczowi, w dodatku Ślązakowi. Żeby to chociaż gorol był!

– A nie godała ci oma, cobyś na gruba poszoł?! – pyta nagle głos gdzieś spod mostu. – Myńszo gańba by była, niż robić w Sosnowcu.

– Niech jo cie ino chyca, podciepie! – krzyczę.

Próbuję zejść na dół, ale noga odjeżdża mi na wilgotnej trawie i niewiele brakuje, a zjechałbym po wale wprost do rzeki. Wytężam wzrok, lecz pod mostem też nikogo nie ma. Cholera, chłopak musiał mnie śledzić, skoro wie, gdzie pracuję. Dotykam wewnętrznej kieszeni kurtki, aby upewnić się, że nie rąbnął mi też dokumentów. Są.

– Co to za robota jest, ten akunt?! – pyta gówniarz daleko przede mną.

Powoli ruszam przed siebie, a smród Rawy nieustannie przypomina mi, co się stanie, jeśli tym razem się poślizgnę. Gnojek dogaduje mi zupełnie jak koledzy z osiedla. Moi rówieśnicy, którzy otwierają okna i razem ze swoimi babami obserwują ulicę, wsparci na poduszkach jak babcie.

– W Sosnowcu tyż nie mosz lekko z tom ślonskom godkom! – krzyczy głos, tym razem za mną.

Co, u diabła? Dzieciak wdrapał się na górę tylko po to, żeby zejść nad rzekę za moimi plecami? Usłyszałbym go

przecież w tej ciszy. W którą stronę mam teraz iść?

– Oddowej cyferblat, kradzioku! – wrzeszczę.

Nagle coś łapie mnie za nogę i próbuje wciągnąć do Rawy. Upadam na ziemię. Czuję błoto pod palcami i zimną wodę wlewającą się do buta. Łapię się, czego tylko mogę, próbując odczołgać się od rzeki, ale i tak do niej wpadam. Jestem prawie w centrum miasta, a pusto jak na odludziu.

Prąd porywa mnie coraz mocniej. Coś ciągnie w dół. Chyba korzeń, bo co innego mogłoby to być? Niesie w stronę centrum, choć przysiągłbym, że rzeka nie płynie w tym kierunku. Jerona, jaka rzeka?! Przecież to tylko wysychający ściek! Skąd tu tyle wody? No i dokąd zmierzam? Chyba nie pod miasto? Zaraz wpadnę do betonowego koryta, które ciągnie się pod chodnikami Katowic! Bóg jeden wie, czy człowiek może to przeżyć.

– Pomocy! – krzyczę. – Jezusie, pomocy!

Nagle zatrzymuję się w miejscu i zaczynam płynąć w przeciwnym kierunku. Ciężar znika z kostki i udaje mi się wygramolić na brzeg. Nogami zawadzam o koryto rzeki, jakbym cały czas miał je tuż pod stopami.

Oddycham ciężko i jest mi potwornie zimno. A może te dreszcze to ze strachu? Długo siedzę na brzegu, zastanawiając się, co dalej. Powinienem jak najszybciej iść na policję albo do ochrony Galerii. Jak jednak mam im się teraz pokazać, wytłumaczyć, że wpadłem do Rawy, goniąc złodzieja? Nikt mi przecież nie uwierzy.

Trzęsąc się, wychodzę na brzeg i wlokę się na przystanek. Ludzie odsuwają się ode mnie jak od menela.

Przynajmniej bez trudu znajduję wolne miejsce w autobusie. Stracić zegarek i wpaść do Rawy jednego dnia – tylko mnie mogło się coś takiego przytrafić…

* * *

Przyjechałem do Katowic z Warszawy, za pracą. Zabawne. Wszystkim wydaje się, że kierunek jest odwrotny. Jednak firmy polubiły ostatnimi czasy Śląsk, bo ma lotnisko, miejsce na kolejne biurowce, niewysokie czynsze i dobre jedzenie.

Zarabia się mniej, ale życie jest tańsze. Na przykład rozrywki: nie ma tu za wielu miejsc, w których wypada albo w ogóle da się bywać. Teraz też siedzę w rzekomo dobrym klubie, gdzie kelner z uśmiechem podsuwa mi cappuccino z „cebulą” z mleka. Nawet nie mam siły mu tłumaczyć, że to mleko powinno być spienione.

– Która godzina? – pyta nagle dziewczyna, która dosiada się obok.

Szacuję ją jednym spojrzeniem. Dość wysoka blondynka z dużym biustem i krągłymi biodrami, ładna, dobrze ubrana, wygląda na osobę z klasą, w przeciwieństwie do otaczających mnie z każdej strony panienek, które dobierają buty do koloru tipsów.

– Zbliża się północ – odpowiadam, zerkając na telefon, który wypycha całą kieszeń sportowej koszuli.

– Tak mi się wydawało, że o tej porze zamawia się już coś mocniejszego. – Blondynka wskazuje na moją kawę.

– Boję się sprawdzać, co oni tu wiedzą o mieszaniu drinków.

– Przekonajmy się – mówi dziewczyna.

Nim znajduję odpowiedź, ona już przechyla się przez bar, prężąc zgrabny tyłek. Zamawia Blue Lagoon i Cuba Libre. Zamykam rozdziawione usta, przyjmuję drinka i wskazuję wolny stolik, przy którym możemy usiąść. Niekoniecznie w tej kolejności.

– Mam nadzieję, że się nie gniewasz – mówi dziewczyna. – Nie wyglądasz na jednego z tych facetów, którzy oburzają się, gdy kobieta im stawia.

Uśmiecham się znacząco. Czy ta gra słów była celowa?

Zaczyna się standardowa rozmowa, tutaj sprowadzająca się do przekrzykiwania zbyt głośnej muzyki. Dziewczyna ma na imię Marta, jest account managerem w dużej firmie, mieszka w Gliwicach i lubi japońską kuchnię.

Opowiadam o sobie, starając się wypaść jak najlepiej w jej oczach. Znam ten typ kobiet, choć na Śląsku spotyka się je rzadziej niż w stolicy. Młode i niezależne – mają abonament w klubie fitness i torebki droższe od wyposażenia kuchni. Najbardziej boją się, że trafią na jednego z tych mężczyzn, którzy od pierwszego dnia znajomości planują wspólny kredyt mieszkaniowy i niedzielne obiady u mamy.

– Faktycznie kiepskie te drinki – mówi Marta, obracając w dłoni szklankę wypełnioną już tylko lodem.

Ja tam nie narzekam, ale czy Cuba Libre można w ogóle nazwać drinkiem?

– Mam w mieszkaniu pokaźny barek. Mógłbym zaproponować ci coś lepszego do picia i słuchania.

Chciałbym wypowiedzieć te słowa zmysłowym szeptem, ale zamiast tego przekrzykuję kiczowatą rąbankę, która huczy w głośnikach. Ręce pocą mi się jak uczniakowi. Zwykle nie zdarza mi się zapraszać na drinka nowo poznanych kobiet – a co, jeśli chluśnie mi tym lodem w twarz?

– Z pijanym nie jadę – odpowiada Marta ze śmiechem.

– Możemy wziąć taksówkę, to niedaleko. – Wycieram dłonie w spodnie, by nie zauważyła.

Zabawne. Nie pamiętam, kiedy ostatnio miałem taką tremę.

– No dobrze, pod warunkiem, że ja stawiam – mówi dziewczyna.

Sięga do małej torebki po komórkę i już po chwili, przyciskając dłoń do drugiego ucha, wykrzykuje nazwę lokalu. Tymczasem toruję jej drogę do wyjścia poprzez gęstniejący tłum. Sam nie mogę uwierzyć, że tak mi się poszczęściło.

Podaję taksówkarzowi adres nowego mieszkania w Dębowych Tarasach, a ten zaczyna paplać jak najęty o zakupach. Nie wiem, jak mu grzecznie powiedzieć, że wcale nas nie interesuje to, ile ludzie spędzają czasu w pobliskiej galerii.

Zgodnie z umową pozwalam Marcie zapłacić. Z dumą zauważam, że dziewczyna robi wielkie oczy, gdy wchodzimy do mojego mieszkania. Opłaciło się zatrudnić dekoratora wnętrz.

– Usiądź, czego się napijesz? – pytam nonszalancko.

– Malibu z mlekiem. – Marta wybucha śmiechem. – Żartowałam, najchętniej Mai Tai, jeśli masz składniki.

– Mam wszystko, na co możesz mieć ochotę – odpowiadam, dumny z błyskotliwego tekstu. *Dzięki ci, Panie, za smartfony* – myślę, sprawdzając ukradkiem w Internecie, jak przygotować Mai Tai.

Kiedy wracam z gotowymi drinkami, dziewczyna podziwia moje kino domowe i kolekcję płyt. W zasadzie to kupiłem ją częściowo z myślą o kobietach, na których mogłaby zrobić wrażenie. Chcę rzucić jakimś mądrym tekstem na temat filmów, gdy Marta odzywa się pierwsza.

– Co cię najbardziej zaskoczyło w Katowicach? – pyta.

– Że nie trzeba sprawdzać kanarkiem, czy powietrze nadaje się do oddychania – żartuję.

Dziewczyna nie wygląda na zadowoloną, jakby rzeczywiście spodziewała się poważnej odpowiedzi.

– To miasto wielkich możliwości – odpowiadam wyuczonym tekstem z rozmowy kwalifikacyjnej.

Marta marszczy nos i jednym łykiem opróżnia pół szklanki całkiem mocnego alkoholu.

– Znaczy, że się nie zastanawiałeś – podsumowuje. – Lubię śląskie miasta. Katowice są bardzo piękne, jeśli dobrze im się przyjrzeć.

Nie komentuję tego, tylko siadam obok niej na kanapie. W przeciwieństwie do ludzi stąd nie wychodzę z założenia, że białe jest białe, a czarne jest czarne. Mogę jej równie dobrze przytaknąć, skoro jest dostatecznie pijana, by opowiadać o pięknych uliczkach Katowic. Nie przyszliśmy tu przecież rozmawiać o lokalnym patriotyzmie.

Marta bez większych protestów pozwala zamknąć sobie usta pocałunkiem. Nie zgadza się na przejście do sypialni, za to nie ma nic przeciwko temu, bym wziął ją na kanapie. Ot, kobieca logika. Przynajmniej nie ukrywa swojego zadowolenia, a po wszystkim nie zalewa mnie falą zapewnień, że „ona nie jest taka”. Po części pewnie dlatego, że dosyć szybko usypia. Nie budzi się, nawet kiedy zanoszę ją do sypialni i kładę do łóżka.

Chociaż zasypiam obok wystrzałowej blondynki, śpię niespokojnie. Dręczą mnie koszmary, które wydają mi się do bólu realne, nawet jeśli po przebudzeniu niczego nie mogę sobie przypomnieć. Wypijam szklankę wody i wracam do łóżka z nadzieją na spokojny sen. Oczy zamykają mi się powoli, gdy nagle ktoś zaczyna mnie dusić. Boże, zaprosiłem do domu psychopatkę! Dziewczyna siedzi mi na piersi i coraz mocniej zaciska ręce na szyi.

Chcę strącić wariatkę, ale ciało odmawia posłuszeństwa. Czuję się kompletnie sparaliżowany. Otwieram oczy, lecz nikogo nade mną nie ma. Jeszcze długo walczę o odzyskanie normalnego oddechu. Gdy ciężar znika z klatki piersiowej, ocieram łzy z oczu.

Marta śpi spokojnie, odwrócona do mnie tyłem. Może to i lepiej, że się nie obudziła. Naoglądałem się chyba za dużo horrorów. Idę do łazienki, a gardło pali mnie tak, jakbym przełknął garść igieł. Patrzę w lustro. Rzeczywiście jestem blady, w dodatku jedno oko mam czerwone, bo pęknięte naczynko rysuje krwawy wzorek od kącika aż do tęczówki. Myję twarz zimną wodą i wracam do łóżka.

Zasypiam, lecz po chwili ktoś znów przygniata moją pierś. Wydaje mi się… Cholera, jestem pewien, że ktoś siedzi nade mną. Czuję, jak pętla wokół mojej szyi zaciska się powoli, jakby morderca nie chciał zbyt szybko pozbawić mnie przytomności. Chcę otworzyć oczy, chcę krzyczeć, ale nie mogę. Nie mogę oddychać. Boże, niech ktoś mi pomoże!

Podrywam się nagle z łóżka, ale wokół mnie panuje spokój i cisza, jakby to wszystko nie działo się naprawdę. Dziewczyna śpi w takiej samej pozycji jak poprzednio. Nie zdążyłaby się chyba położyć, nim otworzyłem oczy? Uwierzyłbym, że to tylko sen, gdyby ból w klatce nie był tak realny. Zastanawiam się nawet, czy nie wezwać pogotowia albo nie obudzić Marty. Czy tak się może objawiać zawał?

Nie śpię już od dawna, gdy dziewczyna budzi się spokojnie i przeciąga rozkosznie. Jeden rzut oka sprawia, że na jej twarzy odmalowują się zaniepokojenie, strach i chyba lekkie obrzydzenie. Może to ostatnie podpowiada mi wyobraźnia.

– Dobrze się czujesz? – pyta Marta, podciągając kołdrę pod brodę.

– Kiepsko – odpowiadam zachrypniętym głosem. – Pewnie jakaś grypa. Mam nadzieję, że cię nie zaraziłem.

Próbuję zachować resztki godności, ale inaczej wyobrażałem sobie ten poranek. Miałem zgrywać ogiera, a wyglądam jak przerażona i spocona mysz. Dziewczyna pochyla się nade mną i dotyka ręką czoła, choć ja na jej miejscu już dawno bym uciekł.

– Nie masz gorączki, więc to nic, na co nie pomógłby gorący rosół – żartuje. – Mogę skorzystać z łazienki?

– Czuj się jak u siebie – mówię i zamiast się uśmiechnąć, zanoszę się kaszlem. Bolą mnie całe plecy i klatka piersiowa.

Marcie na szczęście nie trzeba dwa razy powtarzać. Rzeczywiście należy do tych kobiet, które w każdej sytuacji chcą pokazać, kto tu nosi spodnie. Bierze prysznic, zakłada wczorajsze ciuchy, parzy herbatę i, kręcąc nosem, dokonuje przeglądu lodówki.

– Przynajmniej masz blisko do sklepu – mówi wesoło. – Daj mi piętnaście minut.

Ogarnia mnie panika: a co, jeśli coś mi się stanie, gdy jej nie będzie? Nim jednak udaje mi się wymyślić pretekst, by ją zatrzymać, dziewczyna już otwiera drzwi.

– Marta, lepiej weź klucze, są na komodzie – chrypię zawstydzony.

– Nic się nie martw, niedługo będę z powrotem – rzuca już z korytarza.

„Nie martw się”, dobre sobie. Sięgam po telefon i przeglądam w Internecie objawy zapalenia płuc, astmy

i dławicy piersiowej. Mojego gościa nie ma ponad godzinę, ale zaaferowany kolejnym forum medycznym nie zwracam na to uwagi.

Do rzeczywistości przywołuje mnie dopiero zgrzyt klucza w zamku.

– Już jestem! – krzyczy Marta. – Przepraszam, ale musiałam sobie kupić jakąś bluzkę. Nie planowałam noclegu poza domem.

Dziewczyna podsuwa mi reklamówkę pełną tabletek, a potem – Bóg wie czemu – gotuje rosół. Wymieniamy się numerami telefonów i mężnie zapewniam, że dam sobie radę, chociaż najchętniej błagałbym, żeby została. Może w duchu wciąż ją podejrzewam, a może po prostu się wstydzę.

Marta wychodzi, zatrzaskując za sobą drzwi. Zostaję sam.

W nocy znowu budzi mnie ciężar na piersi. Nie mogę się poruszyć ani złapać oddechu. Resztki rozsądku podpowiadają, że nie można się udusić tak bez powodu, ale w ciemności trudniej go słuchać.

Machając rozpaczliwie rękami, zapalam w końcu nocną lampkę i unoszę się na łokciach. Słyszę świst wdychanego łapczywie powietrza. Objaw astmy, przypominam sobie. Nie mam pojęcia, co robić. Przecież nie pójdę obudzić sąsiadów, których widziałem ze dwa razy w życiu. Nie wezwę też pogotowia, tłumacząc, że jakoś ciężko mi się oddycha.

Podnoszę sobie poduszki i z laptopem na kolanach oglądam do rana stare sezony „Rodziny Soprano”. Boję się

położyć, boję się zasnąć. O świcie odczytuję na wyświetlaczu komórki grzecznościowe „Jak się czujesz?”, odpisuję więc Marcie, że idę do lekarza zamiast do pracy.

Prosto z gabinetu karetka odwozi mnie do szpitala. Nawet nie mam do kogo zadzwonić, żeby przywiózł mi ciuchy. Ostatecznie wolę poprosić o to kolegę z pracy niż nowo poznaną dziewczynę, która chyba nie ma samochodu. Do wieczora robią mi spirometrię, prześwietlenie płuc i EKG. Boję się zasnąć, ale zmęczenie bierze nade mną górę. W nocy nic się nie dzieje.

Wypisują mnie po dwóch dniach z jakimś łacińskim terminem w karcie, z którego wynika tylko tyle, że niczego nie znaleźli i nie mają zamiaru dalej szukać, skoro samo przeszło. Wracam do domu taksówką i nie mogę uwierzyć w to, co zastaję. Kino domowe, laptop, sprzęty kuchenne, a nawet kolekcja filmów znikły bez śladu.

Wzywam policję, ale ta nie pali się do ścigania włamywaczy. Zamek nie został wyłamany, tylko otworzono go kluczem.

Nikt nie ma przecież kluczy do mojego mieszkania.

– A dał je pan komuś na kilka godzin? Mógł je skopiować.

– Koledze z pracy, przywiózł mi rzeczy do szpitala, a wcześniej ekipie remontowej. Nie miałem czasu wszystkiego pilnować.

Spisują wszystko, uśmiechają się pod nosem. Nie muszę pytać, by wiedzieć, że nikogo nie złapią. Co za tydzień! Najpierw szpital, a teraz to…

* * *

Zerkam na zegarek w komórce. Jest koło drugiej w nocy. Zwykle nie ląduję o tej porze w centrum Katowic, ale dzisiaj pojechałam na imprezę firmową, naiwnie wierząc, że potrwa do rana. Mam za swoje, skoro nigdy nie zrobiłam prawa jazdy ani nie znalazłam męża, który przyjeżdżałby po mnie w środku nocy.

Na szczęście jest ciepło. Przynajmniej tyle. Gdy idę Stawową, stukot obcasów odbija się głośnym echem.

Z bramy tuż przede mną wytacza się nagle młody mężczyzna. Schludnie ubrany, w innych okolicznościach może nawet powiedziałabym, że przystojny. Teraz jednak widzę tylko, że jest pijany, i staram się go ominąć możliwie szerokim łukiem.

– Wiela godzin? – pyta, bełkocząc.

Na wszelki wypadek nie odpowiadam, tylko chowam głowę w ramionach. Nagle z następnej bramy wychodzi, chwiejąc się na nogach, dokładnie ten sam mężczyzna. Te same czarne włosy, ciemne oczy i pociągła twarz…

– Wiela godzin? – mówi ten sam niewyraźny głos.

Znowu mijam go bez słowa i przyśpieszam kroku. Może to bliźniaki albo facet przeszedł gdzieś tyłem do drugiej bramy? Niby nic się nie dzieje, a jednak robi mi się gorąco i serce podchodzi do gardła. Jak najszybciej chcę się znaleźć bliżej przystanków, bo tam mogą być jacyś ludzie.

Prawie dobiegam do świateł, gdy zza rogu wytacza się mężczyzna – ten sam mężczyzna – i zagradza mi drogę.

– Przepraszam, która jest godzina? – pyta.

Tym razem rozumiem, ale nie odpowiadam. Walczę z ogarniającą mnie paniką i potrzebą ucieczki. Facet odchodzi, włócząc jedną nogą.

Rozglądam się bezradnie, ale na przystankach siedzą tylko pojedyncze grupki młodzieży. Niezbyt liczne i na oko zupełnie niewzbudzające zaufania. Chcąc nie chcąc, podchodzę do postoju taksówek.

– Ile za przejazd do Dąbrowy, na Manhattan? – pytam pierwszego kierowcę z brzegu.

– To do Dąbrowy czy na Manhattan? – żartuje taksiarz, jakby nie było widać, że wcale nie jest mi do śmiechu. – Sto dwadzieścia.

Nieźle, nowa kiecka albo buty. Gdybym lepiej znała Katowice, może znalazłabym jakieś miejsce, w którym można poczekać do rana. Czy ja w ogóle mam tyle pieniędzy? Sięgam po torebkę, ale ta zniknęła. Zawsze sądziłam, że poczułabym, gdyby ktoś zdjął mi ją z ramienia. Przecież nawet w lekkiej, imprezowej wersji coś waży.

Odwracam się bez słowa. Nie będę teraz opowiadać kierowcy, że mnie okradli. Pomyśli, że jestem pijana albo próbuję go naciągnąć na darmowy kurs. Rozglądam się bezradnie. W torebce były nie tylko pieniądze. To akurat najmniejszy problem. Miałam też dokumenty, klucze do mieszkania i komórkę.

Muszę to przecież zgłosić, zablokować kartę bankomatową, unieważnić dowód, wymienić zamki... Ktoś ma moje klucze i adres, pewnie już jedzie do mojego mieszkania. Szybkim krokiem przechodzę od jednego

przystanku do drugiego. Najbliższy autobus do domu mam przed piątą, za jakieś trzy godziny. Gdybym chociaż wiedziała, gdzie tu jest komenda policji.

Idę w kierunku rynku, a serce tłucze mi się w piersi jak oszalałe. Niby nikogo wokół mnie nie ma, ale sama nie jestem pewna, czy to lepiej, czy gorzej. Cicho, pusto, tylko trójka nastolatków czeka na tramwaj, siedząc na chodniku.

Wracam na przystanek, jakbym liczyła na to, że przez kilka minut coś się zmieni w rozkładzie. Potem idę z powrotem na rynek. Mam wrażenie, że wszyscy zwracają już na mnie uwagę, choć w całym centrum spotykam zaledwie kilka osób i nikt nie okazuje mi większego zainteresowania.

Bezradnie kręcę się wokół własnej osi, w końcu idę w kierunku dworca. Wcale nie mam ochoty wchodzić tam w środku nocy ani odwagi, żeby jechać o tej porze pociągiem, ale gdzieś przecież muszę iść, a te okolice powinny być monitorowane. Z daleka dostrzegam radiowóz.

Staram się nie biec. Podchodzę spokojnie i czuję, że się rumienię, pokazując funkcjonariuszowi na migi, żeby opuścił szybę.

– Przepraszam, ale ukradziono mi torebkę. Miałam tam dokumenty i klucze od domu. Jak mogę to zgłosić? – Mówię jasno, wyraźnie, aby nie pomyśleli sobie, że jestem pijana albo zwyczajnie głupia.

Mimo to mężczyzna patrzy na mnie znudzony i nawet nie zadaje sobie trudu, żeby uśmiechnąć się pod nosem.

– Ile miała pani torebek? – pyta z nutą złości w głosie.

– Jed… – zaczynam odpowiadać.

Odruchowo dociskam łokieć do biodra i trafiam na znajomą przeszkodę. Bez słowa cofam się, zaskoczona, i zaglądam do środka. Wyraźnie niczego nie brakuje.

Ale przecież…

…na pewno jej nie było…

Podnoszę wzrok i metr za radiowozem widzę mężczyznę. Tego samego, który pytał mnie o godzinę. Teraz uśmiecha się i pokazuje na zegarek. Potem odchodzi, włócząc nogą. Nie mam odwagi go zatrzymać.

* * *

Wyglądają jak współczesna rodzina. Siedzą na ławce w parku Kościuszki: mężczyzna o czarnych włosach i ciemnych oczach, ładna blondynka z dużym biustem i chłopak, na oko dwunastoletni, w zielonych sztruksach.

– Przepraszam, która jest godzina? – pyta jedno z nich przechodzącego faceta.

– Twoja ostatnia – mruczy tamten i spluwa pod nogi.

Nie odprowadzają go salwą śmiechu. Wcale ich to nie bawi, że ludzie znów sobie przypominają o ich istnieniu. Nieświadomych klientów łatwiej skroić.

– Rokita, weź no pogadaj z Borutą – mówi dzieciak. – Właśnie z nim pisałem i proponuje mi piętnaście koła za ten zegarek. Nowy jest wart dwa razy tyle.

– I słusznie, że ci więcej nie daje, bo żeś Ślązaka okradł – odpowiada mężczyzna.

– Ty i te twoje zasady. Kiedyś utopce okradały samych Ślązaków. Zresztą myślę, że by ci duszę odsprzedał, żeby się tylko godki pozbyć.

– Dusze kiepsko stoją. Słonej wody za to nie kupisz, a ja mam ochotę na sushi – śmieje się Rokita.

– Proponujący stawia – podchwytuje Marta.

– Ja?! Mnie się wczoraj klientka wywinęła, a ty żeś gościa tak przydusiła, że sam cię z kluczami do punktu dorabiania wysłał. Widziałeś, młody, mistrza w akcji?

Utopek nie komentuje, tylko patrzy znacząco na biust zmory.

– No dobrze, ja stawiam – mówi dziewczyna. – Ale chodźmy pieszo. Tu jest kilka ładnych budynków po drodze, a ja uwielbiam modernizm.

– Normalnie widać, Zmorka, że ty spod Kielc pochodzisz – żartuje Rokita.

Zaraz jednak obejmuje ją ramieniem, bo dziewczyna wyraźnie się boczy za tę uwagę. Diabeł wygląda jakby włóczył jedną nogą, bo nowe najki uparcie zsuwają mu się z kopyta.

– Ale idziemy do tej knajpy, gdzie jest rzeka wokół baru! – krzyczy utopek, doganiając ich.

Katarzyna Rupiewicz

Debiutowała wierszem w dwutygodniku „Wojska Lądowe”. Pracę magisterską z socjologii pisała o antyutopiach. Tematem licencjatu z języka francuskiego były schody, a promotor zarzucał jej styl powieści detektywistycznej.

Pracuje w IT jako administrator Unixa. Przez kilka lat była związana z kwartalnikiem kulturalnym „Opcje”, ale silniejsze więzi łączą ją z sekcją literacką Śląskiego Klubu Fantastyki.

Trochę się wspina, rzadziej ma okazję chodzić po górach. Jak większość fantastów uwielbia koty, broń i papierowe książki. Poza tym kolekcjonuje alkohole, lubi teatr, filmy walki i mleko czekoladowe.

Publikowała w NOL-u, Esensji i Szortalu, a w druku jej opowiadanie ukazało się w „Światach Równoległych”. Była laureatką Olimpiady Literatury i Języka Polskiego. Pisze od zawsze. Na co dzień jest bardzo uporządkowaną osobą.

http://geniuscreations.pl/autorzy/katarzyna-rupiewicz

Patronat medialny

Odkryj sekrety świata fantastyki!

Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina – Jacek Wróbel

Gospoda Cztery złote pokoje była słynna na całą okolicę… głównie z tego, że swą nazwą po trzykroć wprowadzała w błąd potencjalnych klientów. Oferowała gościnę jedynie w dwóch pomieszczeniach, a wśród ciemnoszarej mozaiki kolorów próżno było szukać złota.

Wiele słów cisnęło się na usta przy próbach opisania ich wystroju, ale najczęściej powtarzające się to „chlew”, „grota” i „ciemnica”. Przytaczano też całą gamę mniej cenzuralnych określeń, na dźwięk których niejedna dziewka okrywała się wstydliwym pąsem.

Tylko duża dawka wyrozumiałości pozwalała w ogóle zaklasyfikować gospodę do zaszczytnej kategorii zajazdów. Ale że karczma była znana, to właśnie przed nią rozbił swój kram Mistrz Haxerlin.

– Do mnie, ludzie, do mnie! Cuda i Dziwy przybyły do Möhren! – nawoływał zza straganu, na którym dopiero co ulokował swoje skarby. Reszta osobliwości zalegała na pobliskim wozie, zajmując każdy dostępny kawałek przestrzeni.

Mistrz Haxerlin był niskim mężczyzną. Tak mógłby stwierdzić każdy, kto przeoczył fakt, że kiedy zachwala towar, wchodzi na drewniany podest, zyskując tym sposobem kilkanaście centymetrów. Bardziej spostrzegawczy zgodnie uznawali, że był bardzo niskim mężczyzną. Głowa, pozbawiona nawet odrobinki owłosienia, lśniła w pełnym słońcu niczym wypolerowana przyłbica. Łysina równie dobrze mogła być efektem ubocznym intensywnej pracy umysłu, jak i następstwem choroby skóry – Mistrz Haxerlin wiedział, jak było naprawdę, ale nie wyprowadzał z błędu nikogo, kto chciał przypisywać jego zerową fryzurę nadzwyczajnym walorom intelektu. Purpurowe szaty zachwycały symbolami księżyca i klepsydry, wyszytymi srebrną nicią na tunice oraz fantazyjnymi kształtami dziwacznych spirali, jakie zdobiły zakończenia obszernych rękawów. Przywodziły na myśl odzienie czarodzieja, dlatego też Mistrz Haxerlin omijał szerokim łukiem większe miasta, by nie narazić się na krzywdzące miano hochsztaplera lub łgarza, jakim zwykli określać go prawdziwi adepci arkanów magii. Wolał ustronne wsie i miasteczka takie jak Möhren, gdzie istniała bardzo nikła szansa, że ktoś zarzuci mu oszustwo.

– Zakosztujcie potęgi niezwykłości! Ochronne talizmany, relikwie bohaterów, eliksiry młodości, magiczny oręż, aromatyczne przyprawy! – Kupiec jednym tchem wyrecytował asortyment, kładąc największy nacisk na ostatni, bo wychodził z założenia, że pieprz i sól nadadzą

reszcie pozorów autentyczności. – Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina specjalnie dla was, najmilsi!

Przed straganem zgromadziła się całkiem spora grupka gapiów. Kilku mężczyzn szybko odeszło, pomrukując pod nosem, bo opacznie zrozumieli drugi człon nazwy i srogo się rozczarowali. Ich miejsca długo nie pozostały puste – mieszkańcy Möhren byli łasi na wszelkiego rodzaju atrakcje, począwszy od pożaru w obejściu sąsiada a skończywszy na publicznej egzekucji. Wizyta handlarza egzotycznymi towarami plasowała się gdzieś pośrodku.

– Panie kupiec! – odezwała się jedna z kobiet, przepychając się przez gęstniejący tłum. – Jakiż to eliksir miłości macie tam w kuferkach?

Mistrzowi Haxerlinowi wystarczył rzut oka na klientkę, by domyślić się, że jedynym skutecznym środkiem, umożliwiającym usidlenie mężczyzny, byłyby w tym przypadku wnyki na niedźwiedzia lub stalowe kajdany. Albo potężna porcja alkoholu, dawkowana oblubieńcowi regularnie i nad wyraz szczodrze. Najlepiej w godzinach nocnych, by światło dnia, padające na twarz niewiasty, nie osłabiło mocy specyfiku.

– A jakże, dobra ko… – zawahał się, gdy klientka podeszła bliżej i ukazała w pełnej krasie, ale w końcu chęć zysku wzięła górę – …kobieto. Mam napój specjalnie na taką okazję! Rozpali zmysły twego oblubieńca do czerwoności i zmieni go w niezrównanego kochanka, gotowego do miłosnych uniesień! – powiedział, po czym sięgnął do którejś z niezliczonych sakw zalegających na tyle

wozu. – Proszę, oto i jest! – triumfalnie uniósł w górę butelkę, by każdy mógł dostrzec na szkle chaotyczne wzory które wyrył kilka dni temu. Potężnie wysilił wyobraźnię, by zakrzywione linie, heksagramy i pętle różnej wielkości układały się w coś, co przynajmniej od biedy można było określić „sekretnymi znakami”.

Tłum wydał z siebie szept aprobaty. Ludzie z uznaniem kiwali głowami, doceniając kunszt, z jakim naniesiono mistyczne symbole. Mistrz Haxerlin uśmiechnął się pogodnie; opłaciło się zainwestować kilka monet w „Przewodnik po Sztuce Współczesnej Insirii”.

– Tylko trzy srebrniki, by opleść wybranka pnączem namiętności!

– Jeszcze mi pan kupiec powie – kobieta odliczyła monety i zabrała butelkę, ciesząc się z interesu życia – ile kropel mam lać, by te pnącza dobrze trzymały!

Mistrz Haxerlin pogładził się po podbródku. Niezadowoleni klienci nie przysparzali mu renomy, więc dla pewności sięgnął po drugą flaszkę.

– Pierwszy chętny, gotowy zakosztować Cudów i Dziwów, zostanie wynagrodzony darmowym egzemplarzem! – krzyknął donośnie, potrząsając pokaźnym brzuszyskiem. Księżyc na purpurowej szacie uwydatnił się. – Niech obiekt pani uczuć – handlarz wzdrygnął się w duchu na myśl o losie nieszczęśnika – wypije całą zawartość naczynia, a po pół godzinie przyjmie kolejną dawkę napoju miłości.

– Panie kupiec! – Niewiasta odkorkowała butelczynę i powąchała magiczny napój. –Toć to czarodziejstwo cuchnie jak gorzała!

– Powiem więcej! – uzupełnił prędko Mistrz Haxerlin. – Nawet tak samo smakuje! Mężczyzna sam się zniewoli kajdanami uczucia, pijąc znany sobie trunek!

Dziesięć minut później pozbył się ostatniej flaszki, bo zachęta podziałała nie tylko na spragnionych miłości, ale na wszystkich spragnionych czegokolwiek.

– Co żeś tam napchoł? – Przygarbiony chłop o twarzy tylko trochę mniej brudnej od odzienia przyglądał się ciekawsko płóciennemu workowi z dość wiernie oddanym konturem świniaka. Forma, w jakiej zadał pytanie, sugerowała, że zwroty grzecznościowe są mu obce podobnie jak higiena.

Sprzedawca niezwykłości zgarnął z lady pokaźny stos monet i wsadził go do szkatuły, będącej jedynym magicznym przedmiotem w okolicy. Gdyby jakiś złodziej próbował ją ukraść, byłby to ostatni niecny występek w jego karierze, chyba że pod nową postacią rozsmakowałby się w innych formach przestępczości, zarezerwowanych dotąd wyłącznie dla myszy.

– Ach! – Rzucił krótkie spojrzenie garbiącemu się, żeby mieć pewność, że przekoloryzuje aby na pewno to, na co tamten patrzy. – To mieszanka specjalnie dobranych alchemicznych składników, po których trzoda nabiera krzepy, cudownym sposobem zwiększa masę, dając dwakroć tyle mięsa, ile dałaby bez czarodziejskiej

ingerencji! Gdy zawitałem z tym towarem do Gettysheim, ludzie wyrywali sobie worki z rąk! Sprzedałem wszystko na pniu. Straż musiała pacyfikować oszalały z radości tłum!

Chłop milczał dłuższą chwilę, mrugając głupio oczami, jakby miało mu to pomóc w przyswojeniu informacji.

– Co żeś tam napchoł? – powtórzył, tyle że głośniej.

Mistrz Haxerlin zmienił taktykę, dostosowując się do oczekiwań klienta.

– Paszę dla świń – stwierdził po prostu.

Chłop podrapał się po skołtunionych włosach.

– A byndom to kury żreć?

– Będą – odparł handlarz. Jak kury zgłodnieją, to zeżrą wszystko.

– I byndom duże?

– Byndo… znaczy będą.

– Bo żeś tam magii napchoł? – zapytał z triumfalnym uśmiechem, tak jakby w końcu rozwiązał mroczną intrygę kupca.

– Eee… – stęknął Mistrz Haxerlin, zbity z tropu przebiegłością rolnika. – Tak. Wszystko, co oferuję, jest autentyczne, zwłaszcza ta pasza.

Tu akurat nie przesadzał. Nadprzyrodzoną właściwością mieszanki był fakt, że na targu kupował wór z paszą za dwadzieścia miedziaków i kiedy tylko kładł go na ladę Cudów i Dziwów, ten tajemniczym sposobem kosztował już dwa srebrniki.

– A to wyzme. Byde mioł duże kury. – Klient wyszczerzył zepsute zęby i omiótł wzrokiem zbiegowisko, szukając

zazdrosnych spojrzeń. Niczego takiego nie dostrzegł; posiadanie dużych kur najwidoczniej nie znajdowało się na liście priorytetów mieszkańców Möhren. Postękując, pospiesznie oddalił się od kramu, jakby dźwigał w worku co najmniej sztabki złota.

Do straganu podeszła – choć bardziej na miejscu byłoby stwierdzenie, że podpłynęła – elegancka dama w różowej, bufiastej sukni. Falbaniasty okręt sunął majestatycznie przez morze prostaczków, nie przejmując się, że pasuje do tej zgrai jak kot do cylindra. Znaczy się, teoretycznie kot może mieć cylinder, jeśli się uprze. Tylko po co?

Dama była elegancka w tym rozumieniu, w którym za przejaw elegancji uważa się dekorowanie fryzury małymi, świecącymi ozdóbkami, pobrzękującymi dźwięcznie przy każdym kroku. Wysoko upięty kok mieścił w sobie taką ilość świecidełek, że odpowiednio skondensowana wiązka światła, odbijając się od nich, mogła oślepić lub wręcz wzniecić pożar.

– Madhemoiselle Emehencjanna – rzekła teatralnie i zadarła głowę. Kilku najbliżej stojących ludzi zasłoniło oczy. Dzień był wyjątkowo słoneczny.

– Miło mi panią poznać. – Mistrz Haxerlin prawie położył się na ladzie, by sięgnąć ustami wypielęgnowanej dłoni, którą dama nadstawiła do ucałowania.

– Jah tylho ushyszaham o pahńskiej wizhycie, niezwhocznie udaham się pod spehunę, htóhą zwą „Cztehema zhotymi pohojami”. Ciekawam, czy znahjdę tu coś do mohjej hohekcji.

– Czego konkretnie pani szuka? – spytał sprzedawca, chroniąc oczy przed blaskiem roztaczanym przez imponujący kok.

– Stwohów. Dehohuję sahon. Whie pan, whampihy, topiehce, strzyhgi. Mam jhuż smhocze shrzydła na ściahnie, dywhan ze shóhy ogha i hamphę z czhaszhi minhotauha.

Mistrz Haxerlin musiał dłuższą chwilę rozgryzać, czym jest „hampha z czhaszhi minhotauha”. Doszedł do wniosku, że nie chciałby, aby płonąca głowa minotaura oświetlała mu stronice książki, kiedy relaksuje się po pracy. Szybko zabrał się do poszukiwań, zanim zdążył wyobrazić sobie salon mademoiselle.

– Mam coś, co może panią zainteresować! – Haxerlin położył na ladzie duży, szklany słój i ściągnął cienką płachtę, która skrywała zawartość. – Oto łeb najprawdziwszego centaura! – Pierwszy rząd gapiów cofnął się w przestrachu. Zewsząd zaczęły dochodzić na przemian jęki grozy i fascynacji.

W słoju pływała głowa mężczyzny. Mistrz Haxerlin przejechał go zupełnie przypadkowo, kiedy biedak leżał pijany na środku traktu. Kupiec znał się na marynowaniu ogórków, więc jedynym problemem było znalezienie odpowiednio dużego naczynia, by obrócić niefortunny wypadek na swoją korzyść.

– Całkiem podobny do Heinza – odezwał się ktoś przytomnie.

Tłum zaczął szemrać.

– Mówił, że do Weimburga idzie, szczęścia szukać.

– Gdzie tam! Pewno na koński sabat lazł.

– Pożyczył kiedyś srebrnika i nie oddał, centaur jeden!

– Po piciu zawsze rżał jak klacz. Złe z niego wyłaziło! *In vino veritas*!

– Znahomicie! – ucieszyła się różowa dama i aż podskoczyła z radości. Oślepiony tłum stracił zapał do roztrząsania sprawy centaura Heinza, który przez wiele lat ukrywał naturę potwora pod maską miejscowego pijaczyny.

– Będzie ideahnie homponował się z hominkiem. Phoszę go zapahować.

– Mistrzu Haxerlinie… – odezwał się nieśmiało ktoś z tylnych rzędów. Handlarz dobijał właśnie kolejnego targu, przekonując jegomościa z sumiastym wąsem, że Talizman Ochrony Przed Złem śmierdzi dlatego, by zło trzymało się z daleka, a podobieństwo medalionu do truchła rozkładającego się szczura to tylko fanaberia artysty.

– Tak, chłopcze? – rzucił krótko, gdy klient odszedł wreszcie z talizmanem na szyi.

Rozstępujący się przed nim tłum w stu procentach dowodził skuteczności artefaktu. Przy założeniu, że w każdym człowieku tkwił pierwiastek zła.

– Ja bym chciał… – Młodzieniec przestępował z nogi na nogę, niemal potykając się o przydługie nogawki. – Ja bym chciał miecz. Magiczny. – Spuścił nisko głowę, jakby zawstydzony własnym życzeniem. – Uzbierałem trochę pieniędzy.

– Ha, to się dobrze składa, paniczu. – Mistrz Haxerlin zatarł ręce, ciesząc się na myśl o opchnięciu rupiecia, który

targał ze sobą już od wielu miesięcy.

Chłopak zadarł głowę, podejrzewając, że „panicz” to jakaś wyjątkowo nieprzyzwoita obelga, ale koniec końców postanowił zignorować zaczepkę.

– Śpieszno ci do wojaczki, co? – Kupiec zaśmiał się uprzejmie i wdrapał na wóz, przetrząsając kufry w najdalszym kącie, gdzie umieścił przedmioty spisane na straty. Niedługo miał je porzucić w przydrożnym rowie.

Młodzieniaszek pokraśniał i potrząsnął bujną blond czupryną.

– Tak, Mistrzu! Ferwor walki, ryk wojennych trąb… – Wciągnął głęboko powietrze, jakby wdychał gęste opary bitwy. Niestety, wąsacz z Talizmanem Ochrony Przed Złem nie odszedł zbyt daleko i przyszłego herosa lekko zemdliło. – Dwaj odważni wojownicy, ścierający się w otwartym polu… – ciągnął rozmarzonym głosem, gdy na powrót złapał oddech. – Ich pancerze popękały pod wpływem mocarnych ciosów wroga; nagie torsy lśnią w palącym słońcu a krople potu spływają po naprężonych muskułach. Dawno stępili ostrza broni, więc odrzucili bezużyteczną stal i walczą wręcz, patrząc sobie głęboko w oczy i koniuszkiem języka oblizując spierzchnięte wargi. Splatają palce niczym para kochanków, obejmują się w śmiertelnym uścisku. Spodnie krępują ruchy tancerzy zagłady, zatem czym prędzej pozbywają się resztek odzienia. Przesuwają dłońmi po atletycznych korpusach, szukając luki w obronie przeciwnika, by przygwoździć go do ziemi, by pokonać, by posią…

– Mam! – Mistrz Haxerlin, ściskając pod pachą kawał żelastwa, wygrzebał się z wozu, gdzie do jego uszu nie dotarła ta obrazowa przemowa. – Hej, synku, nie podwędziłeś mi aby jednego z Talizmanów Ochrony Przed Złem? – mruknął do siebie i zmarszczył brwi na widok wolnej przestrzeni, jaka utworzyła się wokół chłopaka. Przejmująca cisza i grymasy półotwartych ust zastygłe na twarzach mieszkańców Möhren, wskazywały dobitnie, że byli świadkami wydarzenia, o jakim szybko chcieliby zapomnieć.

– Oto miecz D’rankhana Wielkiego! – Kupiec wyraźnie zaakcentował personalia wymyślonego naprędce bohatera, by uzmysłowić gawiedzi, że tego miana nie zapisuje się ot tak, tylko używa do tego jakiegoś wyjątkowego znaku interpunkcyjnego, co czyni herosa jeszcze bardziej niesamowitym.

Oczy chłopaka zaświeciły jak złote korony, które dopiero co opuściły królewską mennicę. Z ust gapiów dobyło się wyraźnie słyszalne westchnienie podziwu, hołd złożony niezwykłym dokonaniom D’rankhana Wielkiego, które to dokonania każdy sobie indywidualnie obrazował w umyśle, w zależności od posiadanej wyobraźni.

Wzniesiony w górę oręż jeszcze kilka sekund temu był starym, pordzewiałym mieczem z ułamaną rękojeścią, ale stał się właśnie starym, pordzewiałym mieczem z ułamaną rękojeścią, którego onegdaj dobywał D’rankhan Wielki.

– Mistrzu Haxerlinie, nie wiem, czy będzie mnie stać na tak potężną broń… – zachlipał blondynek, nie spuszczając

z oczu cennego artefaktu.

– Paniczu, bądź dobrej myśli! – rzekł kojąco handlarz, nachylając się nad straganem i zaglądając chłopakowi do sakwy, kiedy ten drżącymi palcami rozsupłał wreszcie rzemyk.

– Będzie tu…

– W sam raz, w sam raz – przerwał niski człowieczek, nie czekając, aż młodzik skończy rachować monety. Zagarnął je razem z mieszkiem. – Dałem ci mały upust, bo coś mi się widzi, że możesz być godnym następcą D’rankhana Wielkiego. Wspomnij no czasem starego Haxerlina, gdy wygrasz pojedynek z którymś z czempionów króla! – Twarz chłopaka rozjaśnił maślany uśmiech, a z jego piersi dobył się cichy pomruk zadowolenia. – Albo gdy zdobędziesz już serce księżniczki. – Kupiec mrugnął porozumiewawczo, a pomrukiwanie ustało równie szybko, jak zniknął rozmarzony wyraz twarzy.

– Co tu jest wygrawerowane? – zainteresował się młody rycerz, dostrzegłszy na rękojeści pozostałości napisu.

– PiS – odczytał inskrypcję posiadacz imponującej baraniej czapki, który od pewnego czasu nachylał się nad ramieniem chłopaka i podziwiał fantazyjne kształty broni.

– Prawy i Sprawiedliwy – rozszyfrował w mig handlarz. – Kolejny przydomek naszego bohatera, jaki uzyskał podczas…

– A nie przypadkiem Pattersen i Synowie? – Ktoś z tłumu okazał się być nie lada światowcem, skoro kojarzył inicjały rodzinnego interesu kowali z północy. Szybko został

jednak zakrzyczany przez ludzi, którzy dowodzili, że ich dziadkowie osobiście poznali D’rankhana i faktycznie kilka razy przedstawił się im mianem widniejącym na rękojeści.

Posiadacz magicznego miecza dumnym krokiem opuścił zgromadzenie, nawet nie spytawszy o właściwości artefaktu i o to, czy niemożność normalnego trzymania oręża, za sprawą ułamanej klingi, wlicza się w ich poczet.

Mistrz Haxerlin sprzedał jeszcze różnobarwne skałki, stanowiące niezawodny środek odstraszający wilkołaki (dawno nie widziano bestii w tych okolicach, ale na wszelki wypadek poinstruował nabywców, jak odpowiednio rzucać w nie kamieniami), chustę, którą ocierała twarz Błogosławiona Kapłanka Shafre (i tak musiał kupić nową, tamta była cała przepocona), widoczek z przedstawiający krajobraz owianej złą sławą Krainy Cienia (nie chciał sprzedać, bo poczuł się trochę urażony, że jego ulubioną polankę wzięto za przedsionek do świata zmarłych, ale kobieta była wyjątkowo uparta) i kilka mniej ważnych, ale nie mniej cennych drobiazgów.

Siedział teraz przy stoliku w Czterech złotych pokojach, tak bardzo usatysfakcjonowany przychodami, że nawet nie poczuł się oszukany nazwą przybytku.

– Karczmarzu! – zawołał, gdy dopił piwo. – Coś na ząb. Co polecacie?

– Boli was? – zainteresował się siwy mężczyzna za ladą. – W Möhren nie ma cyrulika, nie przetrzymał zeszłej zimy. Ale kowal jest. Czasami nawet trzeźwy. – Pokiwał głową, jakby chylił ją przed kowalską abstynencją.

– Głodnym, karczmarzu, głodnym. – Handlarz przeczuwał, że przenośnia dla właściciela przybytku mogła być jakimś dziwnym urządzeniem do wodowania statków. W tym momencie pytanie, skąd zaczerpnął pomysł na nazwę lokalu, urosło do rangi niezgłębionej tajemnicy.

– To od razu było mówić – burknął szynkarz. – Zara co podam.

Niski mężczyzna w purpurowych szatach odchylił się na krześle, poklepując z zadowoleniem po pękatym brzuchu. To jest życie! Ciekawe, jakby się ułożyło, gdyby zaraz na początku działalności nie przybrał pseudonimu, pod którym znają go teraz mieszkańcy wielu wsi i miasteczek, zachwalając Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina wszędzie tam, dokąd dotrą.

Mark Etting. Z czymś takim nie da się zrobić kariery.

Po drugiej stronie oka – Jacek Wróbel

pięć minut temu.

Ślad po wymierzonym policzku piekł nieznośnie. Nie musiałem podchodzić do lustra; oczami wyobraźni doskonale widziałem zaczerwienioną skórę, która poza ciepłym, rytmicznym pulsowaniem przynosiła inny rodzaj bólu, drażniący w bardziej nieprzyjemny sposób. Musiała mnie zadrapać. Pewnie gdybym przyłożył dłoń do twarzy, zostałyby na niej kropelki krwi. Golenie w najbliższych dniach nie zapowiadało się przyjemnie. Będę musiał kupić bezalkoholowy żel, żeby choć trochę zmniejszyć pieczenie po porannej toalecie.

Całe moje życie było pasmem powiązanych ze sobą sprzeczności. Najpierw pokornie przyjmowałem uderzenie od żony, a chwilę później dumałem nad tym, jak w miarę bezboleśnie uporać się z zarostem. Określiłbym to mianem „absurdalnego pragnienia normalności”.

– Koniec dyskusji, skurwysynu. – Magda ciężko dyszała, ale po tonie jej głosu poznałem, że zaczyna się uspokajać. Pewnie zadowolił ją efekt w postaci czerwonej plamy i śladów paznokci na mojej twarzy. Dobrze, że zdołała wcześniej odłożyć nóż… Kto wie, gdyby nie te paznokcie, pewnie jeszcze trochę byśmy „rozmawiali”.

Tak to nazywała. „Rozmową”. „Marcin, porozmawiajmy”. Gdy wypowiadała tę formułkę to – daję słowo – w powietrzu wyczuwalny był cudzysłów sugerujący, że ze zwykłą wymianą zdań będzie to miało niewiele wspólnego. „Marcin, porozmawiajmy” to swoiste preludium do właściwego przedstawienia, które czasami przybierało formę kilkuaktowego dramatu – zdarzało się, że z przerwą na posiłek między scenami.

Dzisiejszy występ miał się ku końcowi. Zaraz opadnie kurtyna, rozlegną się brawa, a aktorzy zgarną honorarium. Ma się rozumieć, ja już odebrałem swoja dolę, a Magda postawi na swoim i zostanę wieczorem w domu, zamiast wyjść do Zakręconego Johnny’ego na urodziny Johnny’ego, znaczy Janka. Sam jestem sobie winny. Po co chciałem utrzymywać i tak nikłe pozory życia towarzyskiego? Czy komuś są potrzebni znajomi, kiedy ma się za żonę (TO) taką kobietę?

Magda przeszywała mnie nienawistnym wzrokiem jeszcze dobrą minutę, dopóki nie upewniła się, że nie mam zamiaru odpyskować i tym samym przedłużyć występu, po czym spokojnym, wręcz słodkim głosem powiedziała:

– Przytul… – I zarzuciła mi ręce na szyję.

Zaczynamy. Raz, dwa, trzy…

myśli. seans.

Wyobraziłem sobie salę z wielkim projektorem, wyłaniającym się z przyjemnego dla oka półmroku. Ledwo dostrzegalny, beżowy kolor ścian koi moje zszargane nerwy.

W pomieszczeniu, poza antycznym diaskopem, jest jeszcze wygodny fotel. Rozsiadam się na nim i kładę głowę na miękkim oparciu. Zaraz zacznie się projekcja, która pozwoli przetrwać kolejny dzień. Mój mały, prywatny seans.

…klik…

Co to ma zna…

…klik…

…klik…

Nic się nie dzieje. Pustka.

Patrzę zrezygnowany przed siebie. Pokrętło rzutnika wygrywa mechaniczne „kliki”, ale ciemność pozostaje ciemnością.

Raz, dwa, trzy…

dwie minuty temu.

Może nie widziała, skoro dalej się przytula…

Odruchowo odwzajemniam uścisk, głaszcząc ją po plecach i szepcząc kojące „ciii…”, jakby to ona wymagała pocieszenia i podniesienia na duchu. Pewnie uważa, że bolący policzek to nic w porównaniu z cierpieniem, jakiego zaznała. Może i ma rację. Nie wiem, co o tym sądzić, dlatego dla świętego spokoju się zgodzę. Nietrudno przyswajać cudze myśli, kiedy człowiek nie ma już własnych.

teraz.

Poczułem, że Magda rozluźnia uchwyt. Westchnęła cicho. Powoli, jakby z niedowierzaniem, puściła moją szyję.

– Marcin, czy ty naprawdę…? – nie dokończyła, ale smutek w jej głosie mówił wszystko. Autentycznie było jej przykro. Nigdy nie udawała uczuć, nieważne, czy były gwałtownym sztormem, czy delikatnym muśnięciem wiatru.

Jednak zobaczyła. Czy to mnie dziwi? W najmniejszym stopniu.

Tak, naprawdę. Nie miałem odwagi otworzyć ust, ale przecież nie musiałem.

Przełknąłem ślinę. Jeśli dobrze myślę, tego popołudnia zagraliśmy po raz ostatni.

piętnaście minut temu.

Dzisiejsza odsłona tragikomedii „Miłosne perypetie” przebiegła bez niespodzianek, według dobrze znanego schematu. Krzątaliśmy się w kuchni, przygotowując obiad. Siedziałem na taborecie i obierałem ziemniaki, dokładnie sprawdzając, czy na żadnym nie zostały brudne ślady (przez lata małżeństwa nauczyłem się, że niestarannie oskrobane warzywo to dobry powód do „rozmowy”). Podnosiłem je do góry i oglądałem w świetle lampy, obracając powoli w każdą stronę, a dopiero potem upuszczałem do napełnionego wodą garnka.

Tak, upuszczałem a nie wrzucałem. To drugie kojarzy się z niedbałym ruchem ręki, wyraźnie słyszalnym „plum!” i kroplami lądującymi na podłodze, a to już jest „nieporządek”. „Nieporządek” to częsty temat „rozmowy”.

Ziemniaki, które pozytywnie przeszły weryfikację, upuszczałem zatem delikatnie do garnka, by nie wzburzyć

żywiołu i nie narazić się na (OKO) karcące spojrzenie żony.

Nie wiem, co mnie podkusiło do poruszenia tematu imprezy. Człowiek jest czasami mniej rozgarnięty od psa. Zwierzę już po kilku tygodniach tresury wie, czym grozi załatwianie się na dywan, więc tego nie robi; mężczyźnie po ośmiu latach małżeństwa dalej zdarza się być niesfornym.

Magda przyrządzała sałatkę. Kroiła właśnie pomidora, kiedy postanowiłem odlać się na podłogę.

– Janek ma dzisiaj urodziny – rzuciłem jakby od niechcenia, nie podnosząc wzroku ani nie zaprzestając obierania.

Na chwilę przerwała zabawę z nożem, wtedy też zapewne lekko zadrgała jej powieka. Wyobraziwszy to sobie, od razu pożałowałem swoich słów, ale nie było odwrotu. Klamka zapadła, a w powietrzu zaczął unosić się zapach moczu.

– Taaak? – przeciągnęła pytanie, nie odwracając się w moją stronę. Nóż ze zdwojoną siłą zaatakował bezbronne warzywo, zostawiając na desce czerwone plamy. Nie widziałem tego, ale głośne „stuk! stuk! stuk!” sugerowało, że pomidor, zamiast stać się integralną częścią sałatki, zamieni się niedługo w bezkształtną miazgę.

– O dwudziestej będzie w Zakręconym mała impreza. Wiesz, w męskim gronie. – Delikatnie zanurzyłem ziemniaka w przezroczystej tafli. – Przyjdzie kilku chłopaków z pracy. Sebastian, Jacek, Adrian… wysoki brunet, kojarzysz, śmieszna marynarka… Gruby, znaczy się Rafał…

…stuk!……stuk!……stuk!……stuk!…

– Janek mnie zaprosił – dodałem tonem usprawiedliwienia, jakbym chciał obarczyć Johnny’ego winą za nieprzyjemną woń, którą Magda musiała teraz wdychać.

– Marcin, musimy (…stuk!…) chyba (…stuk!…) porozmawiać…

…stuk!……stuk!……stuk!……stuk!…

Obróciła się. Ostrze noża ociekało czerwonym miąższem a na kuchennym blacie dostrzegłem papkę, która jeszcze niedawno musiała być całkiem ładnym pomidorem.

– W męskim gronie – uśmiechnęła się (zbyt szeroko, aby uznać to za urocze) i ruszyła w moją stronę.

Elegancka czarna sukienka opinała jej zgrabne ciało, podkreślając seksowną sylwetkę. Srebrny naszyjnik z bursztynowym wisiorkiem kołysał się pomiędzy imponującymi piersiami. Z wizerunkiem damy kontrastował jedynie nóż, który żona kurczowo ściskała w dłoni niczym kompas wskazujący drogę zagubionemu podróżnikowi. Patrząc na ułożenie ostrza, droga do celu wiodła przez moją pierś.

– Tak, będą sami faceci. Wypije się kilka piwek, porozmawia, pośmieje… – ciągnąłem niewzruszony, chociaż walka z góry była skazana na porażkę.

Zawsze była.

– Saaaammmmmiiii faaaaceeeeciiii – powtórzyła, sycząc jak żmija.

Żmija. To porównanie nie było bezzasadne.

Wstałem i położyłem skrobaczkę na taborecie. W konfrontacji z nożem i tak miałaby marne szanse.

– Pomyślałem, że może poszedłbym na trochę… – wyciągnąłem ręce, aby ją objąć. Dawno zatraciłem instynkt samozachowawczy, nie bałem się przytulać jadowitych stworzeń.

– Pomyślałeś! Patrzcie no! – Odepchnęła mnie. Dobrze, że użyła do tego wolnej dłoni. Założę się, że kuchennemu nożowi było wszystko jedno, jakie warzywo rozcina.

Przyrównałem się właśnie do warzywa? I tak niewiele odbiegało to od rzeczywistości.

Magda często używała w czasie „rozmowy” czasowników w liczbie mnogiej. „Patrzcie”, „słuchajcie”, „widzicie” i tym podobnych, jakby rzeczywiście zwracała się do niewidzialnej publiki i odgrywała przed nią swoją rolę.

– Madzia, proszę… – starałem się załagodzić sytuację i raz jeszcze objąć żonę. – Nie kłóćmy się, nie chcesz, to nie pójdę… – wylewałem z siebie próżne słowa. Wiadomo, że nie pójdę, ale uruchomiłem mechanizm, który wyłączy się dopiero po odprawieniu rytuału. Nic tu po moich prośbach.

Show must go on.

– Marcin, jesteś dziwkarzem? Czy „w męskim gronie” będziesz zabawiać się z kurwami? Będziesz pierdolił panienki za plecami żony? Tak na nie mówicie, prawda? Panienki? Posłuchajcie go tylko! Chcesz, żeby ci obciągnęły, taaak? – Zachwycające blond loki opadały jej na ramiona i drgały leciutko, ilekroć wąskie usta formowały

wulgaryzmy i sączyły je w moje uszy. To tak bardzo nie pasowało do jej porcelanowej twarzyczki, ale przestało mnie dziwić dawno, dawno temu.

– Dlaczego tak mówisz, kochanie? – broniłem się przed absurdalnymi zarzutami, co nie miało najmniejszego sensu, bo w tym przypadku oskarżycielem i sędzią była ta sama osoba. Ba, niewidzialne audytorium to pewnie jej przekupiona ława przysięgłych. – Przecież chodzi tylko o wieczór w pubie. Sala jest wynajęta, Janek zamyka lokal, nie będzie żadnych dzie… – urwałem w pół słowa, bo Magdzie zaczęła drżeć powieka.

myśli. zapłon, bonanza, wejrzenie.

Widziałem to tysiące razy, ale nigdy nie przestawało mnie fascynować. Gdybyście zapytali, czy tik bardziej przyciąga, czy przeraża, miałbym dylemat. Choć bałem się jak cholera, nie potrafiłem oderwać od niego wzroku.

Zaczynało się niewinnie. Prawa powieka, niezależnie od lewej, kilkakrotnie opadała i podnosiła się, za każdym razem robiąc to z niejakim trudem, jakby napotykała barierę uniemożliwiającą zupełne odsłonięcie błękitnej źrenicy. Przywodziło to na myśl odpalanie kosiarki – trzeba pociągnąć za linkę dwa lub trzy razy, żeby silnik zaskoczył. Oko nic sobie nie robiło z towarzystwa drugiego. To tak, jakby ktoś w Centrum Zarządzania Wzrokiem obwieścił „Hej, posłuchaj, Lewe Oko, będziesz przez jakiś czas zdane na siebie, nie zwracaj uwagi na partnera, bo ma do odtańczenia swój mały układ.

Po fazie zapłonu zaczynała się bonanza. Nazwałem tak ten cykl, bo kiedyś do szybkich mrugnięć Magdy podłożyłem w głowie muzykę ze starego westernu i synchronizacja wydała mi się zabawna. Tak naprawdę było w tym tyle wesołości, ile w marszach śmierci przy akompaniamencie przewodniego motywu z „Benny Hilla". Umysł przerażonego człowieka płodzi różne dziwy. Powieka zaczynała poruszać się szaleńczo, jak przyspieszony dziesięciokrotnie fragment filmów, na których młodzieńcy puszczają oczko eleganckim paniom, sączącym sok pomarańczowy w cieniu kolorowych parasoli. W zestawieniu z zaciętą miną i bystrym spojrzeniem „normalnego" oka robiło to przerażające wrażenie – zwłaszcza, że inwektywy pod moim adresem nie cichły, a wręcz wzbijały się na wyższe poziomy nikczemności.

Kiedyś poruszałem ten temat z Magdą, gdy ataki nie były jeszcze tak widowiskowe a bezustanne kłótnie uważałem za nic nieznaczącą rysę na naszym związku. Robiłem to w trosce o zdrowie małżonki, która zdawała się w ogóle nie zauważać dziwnej przypadłości, ale uspokajała mnie i obiecywała pójść do lekarza. Wyniki jasno wskazywały, że spazmatyczne drgania powieki nie miały żadnego związku z guzem mózgu czy epilepsją ani nie były objawem specyficznej choroby oczu.

– Jestem po prostu nerwusek – powtarzała żona i chichotała w rękaw, a ja łapałem ją w pasie i unosiłem w powietrze, kręcąc się ze śmiechem w kółko, dopóki nie opadaliśmy zdyszani na łóżko.

Bonanza kończyła się wejrzeniem. Kiedy pojawiło się po raz pierwszy, myślałem, że Magda umiera albo co najmniej traci przytomność. Pamiętam, jak bardzo się przejąłem, ale to były czasy, kiedy kochałem ją jeszcze całym sercem, bijącym wtedy w piersi pełnią życia… Wejrzenie miało w sobie coś z transu, w jaki wpadali mistycy i szamani, których od czasu do czasu oglądałem na Discovery w sobotnie popołudnia. Oko nieruchomiało po szaleńczej kanonadzie mrugnięć i zalewało mnie błękitem, pięknym, ale tak samo prawdziwym jak niebo na malarskim płótnie. Magda karykaturalnie wytrzeszczała jedną gałkę, która przypominała paciorek na twarzy pluszowego misia, zastępujący zabawce oczy. Drugą ciskała gromy, choć tylko metaforycznie – nie licząc nienawiści, z okiem było wszystko porządku. Litania przekleństw w dalszym ciągu wypływała z ust, w które kiedyś wpijałem się szaleńczo i nie podejrzewałem o zdolność wypowiadania epitetów bardziej dosadnych od „upartego osiołka”. W kulminacyjnym punkcie, kiedy bluzgi żony niewiele odbiegały od rynsztokowego żargonu, źrenica oka kierowała się ku górze, tak jakby chciała obejrzeć wnętrze czaszki. Oczodół wypełniało w ten sposób samo białko, ale ja wiedziałem, że ona (ONA) patrzy. Patrzy i widzi, co kryję w środku. Czułem się jak bagaż turysty prześwietlany na taśmociągu, atakowany z każdej strony promieniami rentgena.

Czy można pozostać przy zdrowych zmysłach, kiedy było się świadkiem sytuacji, w której żona zamienia się w nawiedzone medium rodem z tanich horrorów,

penetrujące twoją duszę i opętane żądzą wyrządzenia ci krzywdy? Nie można. Nie można, chyba że widziało się (DZIWOPTAKI) to, co ja. W dodatku ataki pojawiały się czasem trzy, cztery razy w tygodniu, może dlatego łatwiej było znosić psychiczny dyskomfort i jakoś funkcjonować w codziennym życiu. Nie pokuszę się o stwierdzenie, że w miarę normalnie, bo dużą wagę przywiązuję do mówienia prawdy.

Wejrzenie mijało zwykle w momencie, kiedy Magda atakowała fizycznie. Cios w twarz, policzek wymierzony otwartą dłonią, kopniak, rzut jakimś przedmiotem, ugryzienie (wcale nie tak rzadko), duszenie, drapanie i inne formy impulsywnej przemocy. Dławiłem w sobie ból i upokorzenie, robiłem wszystko, żeby nie wybuchnąć (suka suka suka, Boże, nigdy więcej, nie chcę pamiętać CO TO BYŁO) i zamykałem się w iluzorycznym pokoju z projektorem, gdzie oglądałem slajdy. Tak było i dziś. Z małym, ale bardzo istotnym wyjątkiem.

Szpula ze slajdami była pusta.

teraz.

– Ty faktycznie… – powiedziała z niedowierzaniem. – A przecież ja cię kocham…

Drgnąłem. W to nie wątpiłem.

– To już koniec? – wychrypiałem, nie poznając własnego głosu.

– Obiecałam jej.

Uznała to najwidoczniej za wyczerpującą odpowiedź.

– Nigdy… nie pytałem… strach… rozumiesz? – język odmawiał mi posłuszeństwa. – Wyjaśnij proszę, wyjaśnij *Templum*… Powiedz, kim… – Nie potrafiłem spytać o najważniejsze.

Pokręciła głową. Nie, nie będzie żadnych wyjaśnień.

– Spójrz mi w oczy.

Zacisnąłem mocno powieki i wtuliłem twarz w jej szyję.

Wiedziałem, że jeśli wykonam polecenie, będzie to ostatnia rzecz, jaką zrobię w życiu.

myśli. teraz.

Korci was zapewne, żeby zadać całą masę pytań, a ja nie mam nic przeciwko temu.. Dlaczego dawno nie wziąłem nóg za pas, tylko znosiłem los przy boku Magdy? Czemu nikomu nie zgłosiłem faktu, że małżonka wykazuje skłonności nie tylko do przemocy, lecz również do budzących przerażenie manewrów gałką oczną? Co napawało mnie taką grozą, że nie byłem w stanie wykrztusić z siebie słowa? I przede wszystkim: czy kobieta, do której opętańczo przyciskałem twarz i wdychałem zapach na szyi perfum (Versace Bright Crystal, mój ulubiony), była w ogóle człowiekiem? Odpowiem na wszystkie w wygodnej dla mnie kolejności.

myśli. wstęp.

Mam nadzieję, że do kogoś w ogóle dociera mój myślotok. Magda ma swoje niewidzialne audytorium, może to wy nim jesteście i byliście od zawsze, więc spróbuję

przeciągnąć paru widzów na swoją stronę. Skoro jesteście niewidzialni, to równie dobrze możecie też czytać w myślach, prawda? Warto zaryzykować, nie mam nic do stracenia. Postaram się je uporządkować, choć to naprawdę niewdzięczne zadanie. O tylu rzeczach pragnę opowiedzieć... Najbardziej przerażające jest to, że o (KOŚCIACH W ZIEMI) naturze Magdy nie wie nikt poza mną, co w zestawieniu z tym, co chcę przekazać, czyni ze mnie szaleńca. Dobrnę do końca a potem spokojnie wysłucham werdyktu. Bo gdy opadnie ostatnie ziarenko w klepsydrze, spytam o najważniejsze.

Nie mogę sobie pozwolić na luksus spisania historii, siedząc wygodnie w fotelu i zastanawiając nad doborem słów oddających całą dramaturgię, słów, o których druk biłyby się gazety w stylu „Czwartego Wymiaru” czy „Faktora X”. Nie mogę tak uczynić z dwóch powodów. Po pierwsze: nikt by mi nie uwierzył, a tym bardziej, gdyby przeczytał o tym w „Faktorze X”. Po drugie: czuję, że w przeciągu kilku najbliższych minut odejdę z tego świata. Nie będę się kłopotał szukaniem kartki i długopisu, gdy mam świadomość nieuchronnego końca. Wolę zapach perfum.

Zacznę od początku. Będę się spieszył, obiecuję.

myśli. początki.

Chłopak poznał dziewczynę i się zakochał. Tak zaczyna się wiele historii o miłości, także i moja. I na tym podobieństwo do wyświechtanego scenariusza się kończy.

Jestem chyba bohaterem najbardziej specyficznej odmiany *love story* w dziejach ludzkości. Chłopak poznał dziewczynę i się zakochał, a obiekt tej miłości stanie się jego katem. Najistotniejsze jest to, co zaszło pomiędzy.

Znam Magdę od liceum, kiedy nosiła jeszcze nazwisko Radwańska. Czy już wtedy, gdy zobaczyłem ją na rozpoczęciu roku, stremowaną i tak samo jak ja zagubioną w nowej szkole, zakochałem się do szaleństwa? Skoro do dziś pamiętam, jak splatała dłonie za plecami i przygryzała dolną wargę, rozglądając się po auli, jak machinalnie przygładzała galową bluzeczkę i jak wspaniale wyglądały jej nogi w czarnej spódniczce, to chyba tak, już wtedy byłem jej. Podobnie zresztą jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent chłopaków ze szkoły i połowa nauczycieli.

Dziewczyna była przepiękna. Czasem mówi się o kobiecie „zjawiskowa”; z reguły śmieszy mnie to określenie, bo rzuca się nim przy byle okazji, ale zaskakująco dobrze oddaje urodę Magdy. Zjawiskowa, bo jest jak najpiękniejsze zjawisko atmosferyczne, jak tęcza zataczająca łuk nad mitycznym El Dorado. Ujmując to mniej metaforycznie: wyglądała (i dalej wygląda) niczym modelka z kalendarza Pirelli. Kręcone jasne włosy, delikatne rysy twarzy, kuszące usta, pełne piersi, zgrabne nogi. O takiej dziewczynie śni się po nocach – chce się ją trzymać za rękę, chce się z nią rozmawiać, chce się z nią śmiać, chce się z nią pieprzyć. Teraz, po trzynastu latach znajomości, ośmiu małżeństwa i po pięciu latach od (TEMPLUM) wejrzenia, chce się od niej uciec. Ale to już niemożliwe. Zostało

„rozmawianie” i pieprzenie, wzbogacone o pewien fenomen optyczny.

Trafiliśmy do jednej klasy i od tego momentu byliśmy nierozłączni. Magda odrzucała wszystkich adoratorów i rezerwowała dla mnie, Marcina Basaja, każdy uśmiech, pieszczotę, każde ciepłe słowo i każdą wolną minutę. Byłem najszczęśliwszym chłopakiem na świecie, chłopakiem, który nigdy wcześniej nie czuł się tak wyjątkowo. Z moją aparycją (nie można było nazwać jej inaczej jak tylko przeciętną) w najśmielszych oczekiwaniach nie spodziewałem się, że stanę się wybrankiem serca prawdziwej księżniczki. Poza zamiłowaniem do starych monet i sportów, które nie pasjonowały nikogo innego, nie odznaczałem się niczym specjalnym. Żeby być szczerym, wypada wręcz powiedzieć, że nawet sporo traciłem na tle kolegów. Nie zawojowałbym świata ani sylwetką mola książkowego, ani ocenami, którym daleko było do wysokich. Ot, zwykły Marcin w zwykłym liceum. Mimo euforii, jaka ogarniała mnie za każdym razem, gdy Magda wtulała się we mnie i szeptała czułe słówka, zadałem w końcu nurtujące pytanie.

– Dlaczego ja? Dlaczego wybrałaś mnie?

Odrzuciła w tył blond włosy (Boże, jak ja ubóstwiałem ten gest) i obdarzyła mnie najpiękniejszym uśmiechem pod słońcem.

– Wiedziałam, że będziesz tym jedynym, kiedy tylko moje oczy zobaczyły cię po raz pierwszy.

Szesnastoletni chłopak chciał skakać z radości. Za każdym razem, gdy po latach wspominał tę scenkę,

nurtowało go, czy aby już wtedy nie miała na myśli konkretnego oka.

myśli. wielka miłość.

Dla Magdy rezygnowałem ze wszystkich przyjemności, ulegałem w każdej kwestii. Czy ktoś na moim miejscu zachowywałby się inaczej? Oto obiekt westchnień wszystkich facetów, boginka, o której marzy się po nocach, uprawiając pod kołdrą jedyny rodzaj seksu dostępny chłopcom, oto ona pragnie ciebie. Poświęcałem jej cały wolny czas z nieukrywaną radością, bo to było przecież normalne. A ona odwdzięczała się tym samym.

To właśnie definicja Wielkiej Miłości – jedna strona oddaje się bezgranicznie drugiej i *vice versa*. Problem zaczyna się wtedy, gdy oddałeś już wszystko a ukochana wyciąga ręce po więcej, wyszarpując z twojej piersi ostatnie ochłapy.

myśli. chwasty.

Na studia wyjechaliśmy do Warszawy. Nie chciałem opuszczać rodzinnego Śląska, ale Magda miała inne plany. Nie musiała mnie długo przekonywać – wtedy byłem jeszcze gotów zrobić dla niej wszystko z własnej woli. Skończyliśmy administrację na tej samej uczelni. W czasie pierwszego roku nauki tak manewrowaliśmy pomiędzy grupami, żeby każde zajęcia odbywać wspólnie. Potem nie mieliśmy już takiego problemu. Pobraliśmy się na drugim

roku i Magda przyjęła moje nazwisko. Basajów przydzielali zawsze do jednej grupy.

Mieszkaliśmy razem, uczyliśmy się razem, jedliśmy razem, spaliśmy razem. Powiedzieć, że byliśmy nierozłączni, brzmi równie niestosownie jak użycie tego określenia wobec bliźniąt syjamskich. Stanowiliśmy jedność. Nie rozstawaliśmy się ani na chwilę. Kiedy któreś z nas chorowało, drugie czuwało całe dnie przy jego boku. Gdy chcieliśmy się rozerwać, planowaliśmy, gdzie spędzimy wieczór. Nawet rodziców odwiedzaliśmy wspólnie, w tym samym czasie.

Dobrze pamiętam pewną scenkę z pierwszych tygodni małżeństwa. Stoimy przytuleni na balkonie nowo wynajętej kawalerki i obserwujemy niebo. Powietrze ma ten specyficzny zapach, którego nie da się określić jednym słowem, można próbować opisać go tylko za pomocą symboli. Ostatni promień słońca chowający się za wieżowcem. Mężczyzna trzymający kołnierz płaszcza i chroniący kark przed październikowym wiatrem. Rześkość wypełniająca ci płuca. Ledwo wyczuwalna zapowiedź deszczu. Delikatny uśmiech najpiękniejszej kobiety na świecie, która od kilku dni jest twoją żoną. Każdy inaczej opisałbym aromat wspomnień, bo to ich ziarnami pachniało wtedy powietrze. Zgarnąłem je wszystkie i rzuciłem na glebę pamięci, aż dały obfity plon. Zbyt późno się zorientowałem, że zasiałem pospolite chwasty.

Gdyby któreś z nas było sławne i natrętny paparazzi postanowił uchwycić zakochaną parę w tej pozie, podpis

pod zdjęciem głosiłby: „Świeżo upieczone małżeństwo z nadzieją patrzy w przyszłość. Co ich czeka?”. Chyba że wydrukowałby to „Fakt”: „SZOK! Magdalena Radwańska (20 l.) usidlona. Czy związek z Marcinem (20 l.) ma sens?”. A obok umieściliby moje zdjęcie z legitymacji studenckiej (wyglądam na nim jak parkingowy cieć), przylegające do artykułu o mężczyźnie, który pobił sąsiada kiełbasą.

Do tego wieczora, kiedy zauroczeni obserwowaliśmy świetlne refleksy tańczące na naszych obrączkach a w głowach kłębił się tysiąc pomysłów na życie, nie kłóciliśmy się aż tak często. Nie było o co. Magdzie zadrżała czasem powieka, kiedy coś ją denerwowało, ale różnica między tym tikiem a późniejszymi atakami była jak między odpaleniem papierosa a podpaleniem sierocińca. Nieporównywalna. Zero wulgaryzmów, zero bolących policzków. Dlaczego? Bo przejmowała (PRZEJMOWAŁO) każdy, nawet najmniejszy aspekt mojego życia, a ja z uśmiechem zakładałem kajdanki i połykałem kluczyk. W gruncie rzeczy nie powinienem mieć pretensji o dalszy rozwój wydarzeń, to po części moja wina.

Ale czy to nie było oczywiste? Czy chłopak w podobnej sytuacji nie przyjąłby uczucia cudownej dziewczyny i nie oddałby się w niewolę miłości? Ten dylemat nie daje mi spokoju. Czy kiedykolwiek tak naprawdę miałem możliwość wyboru, czy zostawało mi jedynie biernie podążać zgubną ścieżką?

Czy inni doszukiwaliby się drugiego dna w wypowiedzianych u schyłku października słowach, kiedy

Magda opierała się o balustradę balkonu, a wiatr podrywał do tańca jej złote loki?

myśli. głód.

– Skarbie, jestem głodna.

Musnąłem ustami łabędzią szyję ukochanej. Zamruczała cicho, zadowolona z pieszczoty.

– Zrobić coś do jedzenia? Albo nie, ubierzmy się i wyjdźmy na miasto. Masz ochotę na chińską kuchnię? Otworzyli fajną restau…

Nie zdążyłem dokończyć. Przerwał mi jej śmiech.

Wtedy nie dostrzegłem w nim nic nadzwyczajnego. Dzisiaj wiem, jaki ton pobrzmiewał w tej wesołości. Tak śmieją się ludzie, którzy przyglądają się małym dzieciom próbującym wepchnąć do planszy okrągły klocek w miejsce oznaczone konturem kwadratu. Słodkie rozbawienie wywołane nieporadnością istotki o mniejszym rozumku.

– Nie to mam na myśli. – Pogłaskała mnie po twarzy. – Chcę zjeść twoje serduszko, twoje marzenia, najskrytsze fantazje i całe piękno, jakie ukrywasz w duszy. Pragnę, żebyś stał się częścią mnie. Schrupałabym ze smakiem twoje nóżki, paluszki, nosek, uszka i całą resztę, głuptasie. Zacznę od buzi. – Wpiła się namiętnie w moje wargi. Chwilę potem kochaliśmy się na podłodze w kuchni, a nasze jęki zlały się z odgłosami tętniącej życiem Warszawy.

Uznałem to za urocze i romantyczne. Teraz, na samo wspomnienie, przeszywa mnie dreszcz i mam ochotę

krzyczeć, bo wiem, że nie żartowała. To nie była przenośnia.

Chciała mnie pożreć.

myśli. nasza hierarchia.

„Nasze”. Tym jednym zaimkiem mógłbym opisać cały kawał życia. Nasze pieniądze, nasze mieszkanie, nasz wolny czas, nasze radości, nasze problemy, nasi znajomi, nasza praca.

Tak, nawet pracujemy pod jednym dachem, konkretnie w Centrum Informacji Europejskiej na ulicy Kruczej. Mieści się tam biuro doradcze EURODOTACJE. Zawsze mnie zastanawiało, czemu zapisali to w ten sposób. Może to forma urzędniczego zabobonu – duże litery, większe dotacje? Zajmuję się przekazywaniem wszystkim zainteresowanym ogólnej wiedzy na temat procedur związanych z pobieraniem pieniędzy od nowego zaborcy państw Starego Kontynentu. Unia, wzorem poprzedniego socjalistycznego mocarstwa, wydziela fundusze na dotowane projekty, a ludzie wznoszą peany na jej cześć, nie wnikając, że dużo większą sumę zabrała z ich portfeli wcześniej. Żeby coś rozdać, trzeba zabrać – zdawałoby się oczywiste, a jednak. Ale o tym w robocie nie opowiadałem, bo wyleciałbym z hukiem. A Magda? Magda po kilku miesiącach awansowała i stała się moim zwierzchnikiem. Popularne powiedzenie mówi, żeby nie przynosić pracy do domu – patrząc na łączące nas relacje, trudno było odróżnić

jedno od drugiego, więc siłą rzeczy całość stapiała się w wieczny układ podległości.

Pierwszy raz uderzyła mnie rok po ślubie.

myśli. niespodzianka.

Wybieraliśmy się do kina i wywiązała się mała sprzeczka. Powód prozaiczny: co obejrzymy? Napaliłem się na „Helikopter w ogniu”. Przeważnie to Magda wybierała film i naszła mnie w końcu ochota na coś innego niż kolejna amerykańska komedia, opierająca się na tym samym pomyśle co dziesięć poprzednich.

– Marcin, proszę, „40 dni i 40 nocy”, pośmiejemy się. – Napierała swoim boskim ciałem na moje, co często było argumentem przesądzającym o wyniku dyskusji. Tym razem jednak nie chciałem dać za wygraną i stawiałem zacięty opór jej sztuczkom.

– Kochanie… – Pogłaskałem ją po policzku. – Może obejrzymy coś ambitniejszego od seksualnych perypetii młodych obywateli USA, zakazanym uczuciu rozkwitającym między przedstawicielami dwóch różnych klas społecznych albo kobiecie rozdartej między bogatym i nudnym maklerem giełdowym a wesołym lekkoduchem bez grosza przy duszy? – Wyrecytowałem z uśmiechem znane mi schematy kina, wierząc, że „40 dni i 40 nocy”, mimo biblijnej genezy tytułu, plasuje się gdzieś pośród nich.

– Coś ambitniejszego? – Zobaczyłem błysk w (OKU) oku. – Uważasz mnie za płytką dziewczynę?!

Już przestało mi być wesoło.

– Madzia – spoważniałem. – Nie to miałem na myśli. Zobaczysz, to nie tylko film wojenny, zbiera też bardzo dobre recenzje jako dramat. Założę się, że...

– „40 dni i 40 nocy”. Zrób rezerwację – stwierdziła tonem nieznoszącym sprzeciwu. – Idę się przygotować.

Obserwowałem, jak zamykają się za nią drzwi i powoli podszedłem do telefonu. Wykręciłem numer, zerkając badawczo w stronę łazienki.

– Proszę zarezerwować dwa miejsca na osiemnastą. „Helikopter w ogniu”. Nazwisko Basaj – zakomunikowałem dziewczynie po drugiej stronie aparatu.

* * *

Na moje wesołe „Tadam, niespodzianka!” przy kasie Magda w ogóle nie zareagowała. Przesiedziała w milczeniu cały seans i drogę powrotną do domu. Zrobiło mi się głupio, więc zatrzymałem samochód (nasz samochód) przy całodobowej kwiaciarni i wyszedłem pod pretekstem zrobienia siku. Kupiłem wielki bukiet róż i – niczym asasyn – niepostrzeżenie przemknąłem na tyły wozu, chowając podarunek w bagażniku.

Wysadziłem żonę pod blokiem. Zaparkowałem auto, zabrałem kwiaty i poprawiłem marynarkę, ciesząc się na myśl, że tym razem niespodzianka na pewno będzie miła.

Magda stała pochylona nad zlewem, opierając się o niego rękami. Z kranu lała się woda, mimo że w pobliżu nie było żadnych brudnych talerzy. Złociste włosy opadały kaskadą w dół, niebezpiecznie zbliżając się w stronę

małego wodospadu za każdym razem, kiedy brała głęboki oddech.

Podszedłem do niej na paluszkach i przyklęknąłem za plecami. Przybrałem pozę amanta (Magda śmiała się, że przypominam wtedy bardziej mnicha doświadczającego Objawienia niż filmowego żigolaka) i przemówiłem teatralnym głosem.

– Żono! Oto ofiarowuję ci kwiat miłości. Przyjmij róże i utul do serca, na znak, żeś moja. – I normalnie, trochę rozbawiony, dodałem: – Mam nadzieję, że też przygotowałaś mi jakiś fajny prezent. Cały dzień zastanawiam się, czy nie wyleciało ci z głowy, co dzisiaj mamy. Chociaż wiesz, że zadowolę się nawet pięknym uśmiechem.

– Taaak... – zabrzmiało to bardziej... gadzio, bardziej jak „tiaaak". – Mam coś specjalnego.

Odwróciła się błyskawicznie i zamachnęła rondlem. Ha, to śmieszne, pamiętam, o czym wtedy pomyślałem. „Tytan jest używany do produkcji sprzętu lotniczego i samochodów wyścigowych". Tak nasz zestaw garnków indukcyjnych reklamował w telewizji łysy facet z „Big Brothera". I faktycznie, zbliżające się naczynie mknęło niczym wyścigówka. Byłem tak zaskoczony, że nie zdążyłem nawet zasłonić twarzy. Rozległ się dźwięk jak przy uderzeniu w dziurawy bęben. Poczułem, jak pod impetem uderzenia kruszą mi się zęby (trzy, jak okazało się potem). Plunąłem krwią oraz fragmentami uzębienia, wybałuszając oczy bardziej w geście niezrozumienia niż bólu. Ale ból przyszedł szybko. Złapałem się za napuchniętą twarz, po czym

padłem na wznak, łkając i wijąc się pośród róż jak postrzelone zwierzę.

– Wszystkiego najlepszego, zjebie. – Resztką świadomości wychwyciłem, że charkot, jakim Magda zakończyła zdanie, był splunięciem.

Przyznajcie, raczej marne urodziny.

* * *

Odzyskałem przytomność w ramionach żony. Przykładała mi do twarzy okład z lodu i wolno przeczesywała włosy, szepcząc „Przepraszam, przepraszam, nie chciałam, przepraszam…”. Tłumaczyła, że nie wie, co w nią wstąpiło, że to się więcej nie powtórzy. Położyła mi na dłoni prezent, cenną monetę – starą pięciozłotówkę z sygnaturą Nike na rewersie – i złożyła życzenia, obcałowując delikatnie posiniaczoną twarz. Gdy poczułem się trochę lepiej, zawiozła mnie do dentysty (na szczęście prywatni lekarze nie wnikają w naturę obrażeń) i zafundowałem sobie nowe uzębienie. Przy okazji, za namową ukochanej, zapisałem się na zabiegi wybielające.

Wtedy przypuszczalnie miałem jeszcze szansę na ucieczkę i normalne życie, ale zamiast tego zdecydowałem się wybaczyć. Co było w tym najgorsze? Ciągle miałem do siebie pretensje, że uniknęlibyśmy tej przykrej sytuacji (my, nie ja, my!), gdybym zarezerwował bilety na „40 dni i 40 nocy”.

Żałosne? Taka jest czasem miłość.

* * *

Późniejsze ataki nie były tak spektakularne, ale czy to zmienia postać rzeczy? Kłóciliśmy się coraz częściej i o byle co, a po wybuchu złości i kolejnym siniaku, zadrapaniu, skaleczeniu, przytulaliśmy się i zgodnie stwierdzaliśmy, że „to już ostatni raz". Na początku dobrą ochroną przed „rozmową" była uległość. Każdą moją decyzję, każde wypowiedziane zdanie rozważałem w duchu pod kątem ewentualnej reakcji Magdy. Tydzień za tygodniem, miesiąc za miesiącem zatracałem coraz bardziej indywidualność, spontaniczność i wolny wybór, byle tylko zachować w związku pozory normalności. To już samo w sobie było nienormalne, ale przynajmniej osiągałem zamierzony efekt.

Do czasu, aż pojawiło się wejrzenie.

myśli. władza.

To było kilka dni przed Sylwestrem. Rok 2006 mieliśmy powitać razem z kolegami z uczelni w którymś z warszawskich klubów. Zostały niecałe dwa semestry do magistra, więc Magda chciała wykorzystać ostatnią szansę na dłuższą zabawę w studenckim gronie. Dobrze wiedziałem, że to wyłącznie gra pozorów, coś w stylu „Hej, jesteśmy tu wszyscy razem i fajnie się bawimy, wiem, że rzadko się widujemy, ale Marcin, hi hi, nie chce mnie nigdzie wypuszczać. Patrzcie, jak tulę się do męża, niech no ktoś teraz powie, że byłabym w stanie spuszczać mu regularne manto". Nastawiałem się więc na imprezę, gdzie prym będzie wiódł sztuczny uśmiech, poklepywanie po

ramieniu i zwroty typu „stary” czy „brachu” słyszane od ludzi, których nawet dobrze nie kojarzyłem z nazwiska. Nic tylko upić się i przeczekać do rana. I o tym Magda chciała właśnie „porozmawiać”.

– Nie będziesz pił – stwierdziła, gdy jakimś zabawnym komentarzem nakreśliłem swój sylwestrowy plan działania.

Westchnąłem i rozłożyłem bezradnie ręce. Nauczyłem się, kiedy odpuszczać.

– Okej okej. Tym razem nie wleję siebie takiej ilości piwa, żeby w samych majtkach odśpiewać „Marsyliankę” Ale pewnego dnia, pewnego dnia! – pogroziłem palcem wzorem kreskówkowego czarnego charakteru.

Czy nie należy się trochę uznania człowiekowi, który stara się wpleść odrobinę humoru w każdą beznadziejną sytuację? Chociaż może w ten sposób okłamywałem sam siebie, drwiąc z powagi zagrożenia.

– Nie będziesz pił – powtórzyła Magda, tak jakbym nie dosłyszał za pierwszym razem.

– Przecież mówię, że się nie upiję, spokojnie.

– Nie będziesz W OGÓLE pił – ton jej głosu mroził niczym podmuch arktycznego wiatru.

– Hę? – zapytałem głupio. – Składaliśmy ostatnio śluby abstynencji czy coś mnie ominęło?

– Nie, nie składaliśmy, dlatego ja będę piła. – W czasie „rozmów” nie trafiały do niej żarty i nawet nie usiłowała odpowiadać w podobnym stylu.

– A co ze mną? Dlaczego mam… Aaa, samochód – pacnąłem się w czoło. – Możemy przecież wziąć taksówkę.

– Możemy – zgodziła się. – Ale nie będziesz pił.

Zamurowało mnie.

– Dla… dlaczego? Czemu ci na tym zależy? – Docierała do mnie absurdalność sytuacji. Rozumiałbym, gdybyśmy oboje mieli spędzić noc na trzeźwo, ale to nie miało sensu.

– Bo… – Podeszła bliżej i spojrzała mi w oczy. – Bo tak sobie życzę. – Twarz żony wykrzywił triumfalny uśmiech.

– Ale…

– Żadnych ale. Nie pijesz. – Odwróciła się i kontynuowała w drodze do szafy: – Ubierz się. Nie wiem, co założyć na imprezę. Pochodzimy po sklepach i coś wybierzemy.

Wtedy zrobiłem coś, co powinienem zrobić już dawno. Albo czego nigdy nie powinienem robić. Tak, kto wie, gdybym ugryzł się w język, może eskalacja grozy zatrzymałaby się na etapie bolących policzków i przełkniętej dumy?

– Jesteś straszną suką, wiesz? – wypaliłem po ponad trzech latach ślubu, trzech latach milczenia. Trzech latach mentalnej niewoli, upokorzenia i udawania, że nie ma w tym niczego niestosownego, bo „czego się nie robi dla takiej kobiety”. Koszmar?

Koszmar dopiero się zaczął.

myśli. suka.

Gdy byłem małym chłopcem, z ciekawości sprawdzałem słownikowe definicje wulgaryzmów, czerwieniejąc przy tym i chichocząc. Każdy chyba przeszedł przez etap, w którym

zachwycał się różnej maści „kurwami” i „chujami”, niekoniecznie używając ich w języku codziennym. W wulgaryzmach tkwi pewna magia i najpełniej przemawia ona do dzieci. Czy istnieją inne słowa, na których dźwięk rodzice reagują oburzeniem, krzykiem „Kto cię tego nauczył?!” bądź milczącą reprymendą? Maluchy bezwstydnie to wykorzystują i czynią z przekleństw kolejny rodzaj zabawy. Ja w dzieciństwie poszedłem o krok dalej i wertowałem słowniki w poszukiwaniu „zakazanych słów”, chcąc dowiedzieć się, co one w ogóle znaczą. Pamiętam, że suka to „wulgarne określenie prostytutki, używane w języku potocznym także jako określenie wyrażające niechęć do kobiety, na ogół konkretnej”. Magda nigdy mnie nie zdradziła, więc siłą rzeczy nie czerpała zysków z nierządu, co wyklucza pierwszą opcję. Jednak dalej już wszystko pasuje. Niechęć do kobiety, w dodatku konkretnej. Żona była dla mnie suką już wiele razy przedtem, ale rozkaz, który miał służyć wyłącznie ugruntowaniu jej dominującej pozycji, przechylił szalę goryczy i wreszcie to z siebie wyrzuciłem. Mała sprawa ten Sylwester? Życie to puzzle ułożone z takich właśnie elementów, a ja miałem dość cudzej ręki, która tworzyła za mnie obrazek.

myśli. wejrzenie.

– Co powiedziałeś? – Odwróciła się powoli w moim kierunku.

Przypominało to scenę z horrorów, kiedy jakiś przygłupi bohater kładzie rękę na ramieniu błąkającej się po lesie

kobiety, nawet nie rozważając możliwości, że ta dziwna postać w białej szacie może mieć coś wspólnego ze śmiercią trójki jego znajomych.

– Grasuje tu morderca! Nic pani nie jest? – pyta i wypowiada ostatnią kwestię w filmie, bo ona powoli, powoli odwraca się i… Widz wie, że zaraz zobaczy coś strasznego, ale i tak podskakuje w fotelu, kiedy ekran wypełnia blada twarz maszkarona, szczerzącego kły na nową ofiarę.

Kiedy Magda się odwróciła, oczywiście wyglądała normalnie. Normalnie jak na nią – żadnych wampirzych kłów ani pokiereszowanej twarzy, była za to drgająca powieka.

– To, co słyszałaś. – Czułem coraz większą pewność siebie, doznanie od jakiegoś czasu obce. Trzeba pokazać, kto tu jest mężczyzną. – Oko. – Postukałem palcem po swoim, dając do zrozumienia, że Magdzie znowu zaczyna się atak. – Idź z tym do innego lekarza, to może… Jezus Maria!

Podbiegłem do żony, bo oczodół wypełniło białko. Po raz pierwszy byłem świadkiem wejrzenia i spanikowałem. Naprawdę się o nią martwiłem. Mimo wszystko.

– Boże, słyszysz mnie? Magda? Połóż się, nie wiem, proszę! – Złapałem jej odsłonięte ramiona i chciałem nią potrząsnąć, by sprawdzić, czy w ogóle kontaktuje. Nie ukończyłem żadnego kursu pierwszej pomocy, więc wydało mi się to rozsądnym działaniem. Zresztą nie wiem, czy gdziekolwiek uczą, jak się zachować w czasie wejrzenia.

Ledwo dotknąłem jej ciała, a wiedziałem, że coś jest nie tak.

Ramię wyglądało zupełnie normalnie. Żadnych tajemniczych plam, podrażnień, wyprysków, nic, co wzbudzałoby jakiekolwiek podejrzenia. Ale co innego widziały oczy, co innego mówił zmysł dotyku. Na początku myślałem, że jest spocona. Obficie spocona. Czułem pod palcami lepką maź, która nie pozwalała mi zacieśnić uchwytu. Ręka się wyślizgiwała. Tak jakbym próbował złapać rybę albo wspiąć się na naoliwiony pal. Puściłem Magdę i spojrzałem na wnętrze dłoni. Nic. Czysto. Nie został żaden ślad, mimo że czułem, jak skórę pokrywa niewidzialna substancja. Nagle doznałem olśnienia.

To nie pot. To śluz.

Magda wpatrywała się we mnie zdrowym okiem, choć błękit jego źrenicy przygasł. Jakby oglądała mnie zza zaczadzonej szybki, którą chroniono wzrok podczas zaćmienia. A drugie oko (PATRZYŁO)… Nie wiem, jak to określić. To białko mnie skanowało. Przenikało do samego szpiku i brutalnie przetrząsało zawartość duszy.

Przemogłem obrzydzenie i raz jeszcze objąłem ramię żony. Wyobraźnia podsunęła dźwięk „blup”, kiedy dłoń zatopiła się w eterycznej cieczy. A potem przyszło nowe doznanie. Pod pokładami tej… tej ektoplazmy natrafiłem na coś twardego. Szorstkiego. Przesunąłem wolno ręką po skórze, najpierw w górę, później w dół. To jest zrogowaciałe. To są…

…łuski?

Odsunąłem dłoń z krzykiem.

I spojrzałem w oko bestii.

myśli. oko.

Oko zadrgało, poruszone hałasem. Zatrzepotała powieka i białko zaczęło się wolno toczyć w górę, przywodząc na myśl ostatnie obroty kuli bilardowej. W górę! Jakby chciało wykonać zwrot o trzysta sześćdziesiąt stopni, zanim znieruchomieje w oczodole.

Cofnąłem się przerażony, potykając o własne nogi.

Byłem pewien, że lada moment odsłoni się nerw wzrokowy a oko zacznie nawijać go na siebie jak nitkę spaghetti, odrywając w końcu z obrzydliwie mięsistym odgłosem. Ale ujrzałem coś znacznie gorszego.

Coś znajdujące się po drugiej stronie.

* * *

Janus to bóstwo czczone w starożytnym Rzymie. Janus miał dwie twarze. Magda to żona Marcina Basaja. Magda ma podwójne oko.

Wynurzyło się z cichym mlaśnięciem. Prawa powieka opadła przy tym niczym teatralna kurtyna, przygotowując mnie na wielki finał. Za kulisami przebierał się nowy aktor, gotowy odegrać rolę, która nie tylko rzuci publiczność na kolana, ale sprawi, że będą błagali o litość.

Zasłona po chwili ruszyła w górę.

Było złote. Słoneczny piasek tęczówki ukrywał w sobie źrenicę, która żadną miarą nie mogła należeć do człowieka.

Czarna, pionowa szpara miarowo zwężała się i rozszerzała, zmieniając czułość pod wpływem światła i adaptując tym samym do nieznanej rzeczywistości. Posiadaczem takiego oka mógł być inteligentny gad, senny i wygrzewający się w promieniach obu słońc (dwa słońca; tak, dwa, nie jedno), zanim nie został przypadkowo wyrwany z letargu.

Mógłbym przysiąc, że sylwetka Magdy rozmywała się za każdym razem, kiedy skupiałem się na konkretnym fragmencie jej ciała i przestawałem ogarniać całość. Tak jak wtedy, kiedy zamykacie oczy i patrzycie dłużej w jeden punkt – w ciemność otoczoną mikroskopijnymi punkcikami. Po pewnym czasie białe plamki zaczynają szaleć, układając się w dziwaczne kształty i wzory, ale ilekroć chcecie to uchwycić, przyjrzeć się dokładniej, chaotyczne pulsowanie zamiera i trzeba zaczynać od początku. Oglądanie Magdy przypominało próbę złapania świetlnego refleksu, tańczącego pod powieką.

Pięć zmysłów toczyło walkę z szóstym, który wiedział, że pod warstwą makijażu, ubrań, skóry, nerwów i mięśni coś się czai. Że worek kości to nic więcej jak maska, ukrywająca zaropiałą twarz trędowatego.

Jasnowłosa kobieta w koszulce z Myszką Miki i w krótkich dżinsowych spodenkach była jak dziura w świecie. Dziura, przez którą zerkał złotym okiem, źrenicą mroczną jak brama piekieł, humanoidalny jaszczur, umykający zwinnie za każdym razem, kiedy chciałeś się upewnić, że rzeczywiście go widzisz.

Nie miałem siły krzyczeć. Mogłem wyłącznie stać i patrzeć, a strach przeplatał się z chorobliwą fascynacją. Szybki, płytki oddech był jak nici, którymi pospiesznie zaszywałem prujący się gobelin poczytalności. Wdech, wydech, wdech, wydech. By nie oszaleć, każdą komórką ciała oddawałem się tej czynności.

Usta Magdy poruszyły się bezgłośnie, a ja przez moment widziałem kły, wielkie, ostre zębiska, zakrzywione jak rzeźnickie haki, które wbrew logice mieściły się w kobiecej buzi, zamiast rozorać delikatne podniebienie i zamienić je w krwawy ochłap. Ułamek sekundy i koniec. Zęby znowu miała normalne. Nie dałem się zwieść. Z łatwością przegryzą się przez moje kości, jeśli tylko najdzie je ochota.

Szpilą, która przebiła coraz mizerniejszy balon zdrowego rozsądku, były trzy słowa.

– Wreszcie cię widzęęę… – zaskrzeczał stwór, z którym kochałem się w gwiaździstą noc na sopockiej plaży i który raz tak bardzo śmiał się na filmie z Leslie Nielsenem, że aż rozbolał go brzuch.

Dopiero wtedy straciłem przytomność.

myśli. po drugiej stronie oka.

Żałuję, że nie mam talentu malarskiego. Za pomocą kilku obrazów mógłbym najpełniej oddać naturę świata, do którego trafiłem.

Namalowałbym ogromne, splugawione Drzewa, przy których nasze jawią się jak źdźbła trawy. Drzewa o pniach

tak grubych, że potrzeba wielu godzin, aby je obejść, przy czym należy być czujnym i nie zboczyć przypadkiem w pęknięcie w korze, gdzie błąkałoby się po omacku, ginąc w końcu z wyczerpania pośród ścian drewnianego labiryntu. Namalowałbym drzewa o koronach tak rozłożystych, że przesłaniają nieboskłon. Człowiek patrzący w górę nie mógłby uwierzyć, że brązowo-szarawa powłoka liści to nie sklepienie, że gdzieś ponad nią latają Dziwoptaki o błoniastych skrzydłach, a ich skrzek dochodzi do samej ziemi.

Zanurzyłbym pędzel w pojemniku z czerwoną farbą i naniósł na płótno wizerunek słońca. Wolnymi pociągnięciami stworzyłbym promienie, które z łatwością przenikają liściastą pokrywę i docierają do najbardziej ukrytych zakątków, przynosząc skwar i duchotę, bo powiewy wiatru są tu równie rzadkie jak deszcz. Potem otarłbym włoski pędzelka szmatką, zostawiając niewielką ilość czerwieni, i zmieszałbym ją z kolorem żółtym. Namalowałbym drugie słońce, mniejsze, zachodzące odrobinę na poprzednie, a ich połączony, nigdy niegasnący żar, zamieniłby krainę w piekło.

Kolejny malunek przedstawiałby spieczone połacie terenu. Gdybym był artystą, wiedziałbym, jak umiejętnie łączyć farby, by uzyskać różne odcienie szarości i wiernie oddać klimat apokalipsy. Na płótnie rozpościerałby się krajobraz po zagładzie nuklearnej, gdzie atomowe grzyby zamieniły się w gigantyczne Drzewa o spróchniałej korze i zwęglonych liściach. Wysuszona na wiór ziemia jest

jednym wielkim cmentarzyskiem. Gdzieniegdzie sterczą kości o dziwnych kształtach i proporcjach. Ludzka wyobraźnia nie jest w stanie odtworzyć istot, których szkielety budowały kiedyś te pożółkłe gnaty. Fragmenty sczerniałych czaszek wiszą na powykrzywianych badylach na podobieństwo najbrzydszych kwiatów we wszechświecie, a prócz obumarłych Drzew to jedyny rodzaj roślinności, jaki urozmaica jałowe pustkowia.

Czwarty obraz poświęciłbym sobie. Uwieczniłbym nagiego mężczyznę, którego zalewają strumienie potu. Starałbym się dokładnie oddać grymas wyczerpania na jego twarzy, popiół osiadający na czarnych włosach, kiedy przesuwa się na czworakach po spękanej ziemi i nisko pochyloną głową wznieca tumany kurzu. Brudne kończyny odmawiają mu posłuszeństwa po wielogodzinnym marszu, jeśli marszem można nazwać mozolne odpychanie się łokciami i unoszone z trudem kolana. Skurcz mięśni uchwycony na obrazie sugeruje, że człowiek mimo wszystko prze do przodu.

Chciałbym oddać cel, jaki przyświecał bohaterowi. To cel stanowiłby centrum opowieści, nie prowokując pytań o historię poprzedzająca uwiecznioną scenę.

Dzieło zatytułowałbym „Przetrwanie”.

templum. przetrwanie.

Nie wiem, ile czasu spędziłem na pełzaniu wśród ciepłych popiołów. Nie wiem, ile czasu wdychałem duszne powietrze, zapychające nozdrza drobinkami kurzu. Nie

wiem, gdzie trafiłem, czym są olbrzymie Drzewa, gubiące zmarniałe liście ani co to za opierzony stwór, który przysiadł niedawno na czymś, co mogło być gigantyczną kością udową i wydał z siebie przerażający jazgot. Wiem za to, dlaczego było tak okropnie gorąco. Na niebie świeciły dwa słońca.

Byłem także pewien, że nie chcę umrzeć. Nie chcę, by na moich zwłokach ucztował ten Dziwoptak, skrzecząc z zadowoleniem przy każdym przełykanym kęsie i machając z radości błoniastymi skrzydłami. Nie chcę, by palące promienie wysuszyły niedojedzone resztki, odsłaniając skulony w pozycji embrionalnej szkielet. Nie chcę, by moje kości dołączyły do tych, o które czasem potykałem się, kiedy sunąłem przez pustkowia z zamkniętymi oczami, bojąc się tego, co jeszcze mogłem zobaczyć.

myśli. po drugiej stronie oka.

Na piątym obrazie namalowałbym zikkurat. Tak się chyba nazywały świątynie w Mezopotamii, o ile dobrze pamiętam lekcje historii. Zdjęcia i ryciny zikkuratów ze szkolnych podręczników przypominałyby tamtą budowlę, tyle że w pomniejszonej stukrotnie skali. Tylna ściana świątyni opierałaby się o pień Drzewa, odróżniając się od poczerniałej kory piaskowym odcieniem cegieł. Ogromne ściany wznosiłyby się na płótnie jak warowne mury, podtrzymujące kolejne poziomy. Nawet jeśli pokonałoby się pierwsze, największe umocnienie, zostawało kolejne i kolejne, i tak dalej, i tak dalej. Zmniejszające się tarasy

były jak niekończąca się matrioszka z kamienia, zaprojektowana przez szalonego architekta. Ostatni taras niknął wysoko pod koroną Drzewa, kryjąc się w całunie powykręcanych konarów i trupich liści. Twierdza nie do zdobycia.

Tyle że nie trzeba byłoby jej zdobywać. Namalowałbym schody, które łączyłyby ze sobą wszystkie platformy. A na schodach tysiące ludzi.

templum. po posiłku.

Nieprzebrana ludzka masa kłębiła się u podnóża budowli. Gdy podnosiłem głowę, by dojrzeć szczyt, widziałem tylko kopułę liści, pośród których musiała kończyć się świątynia. *Templum*. Jedyne, co byłem w stanie zrozumieć ze słów, jakie kierowali do mnie zaczepiani tułacze.

Napływali z przeciwnej strony niż ja. Całe tabuny umorusanych mężczyzn o śniadej skórze, ciemniejącej pod wpływem mocy obu słońc. Młodzi mężczyźni, niektórzy dopiero wkraczający w dorosłość. Poruszali się samotnie lub małymi grupkami, ale we wspólnej kolumnie, przywodzącej na myśl najliczniejszą pielgrzymkę świata. Nieśli przywiązane na plecach koce i żywność w tobołkach: suszone mięso oraz placki pakowane w kruche, ale jadalne liście. I mieli wodę.

templum. przed posiłkiem.

Musiałem wyglądać tragicznie, bo już pierwszy mężczyzna, którego złapałem za skraj nogawki, bez słowa podał mi bukłak. Nie pozwolił, bym pił zbyt łapczywie, mimo że pragnąłem przyssać się do ustnika i płakać ze szczęścia, kiedy zaskakująco chłodna woda zwilżała spierzchnięte wargi i spływała po wysuszonym przełyku. Okrył mnie kocem, choć wydawało się, że nikt z pielgrzymów nie zwraca uwagi na moją nagość.

Dopiero teraz mogłem przyjrzeć się swojemu wybawcy. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat, ale zmęczone spojrzenie i popękana skóra postarzały go dwukrotnie. Na krótkiej, ciemnej bródce dostrzegłem ślady pyłu. Ale pył był tu wszędzie, sam pewnie przypominałem żebraka, który wyłonił się z beczki pełnej sadzy. Głowę oplótł obszarpanym materiałem, tworząc coś na kształt turbanu, co chroniło przed przegrzaniem. Nosił płócienną koszulę, która kiedyś musiała być biała a teraz z ledwością można ją było nazwać szarą, i dziurawe, trochę za duże nogawice. Chodził boso; popękane paznokcie straszyły zalegającą pod nimi warstwą brudu.

Wszyscy wokół wyglądali podobnie. Niektórzy byli mniej obdarci od innych, niektórzy nosili buty. Przysięgam, że zanim chwyciłem nogawkę tego człowieka, w tłumie szmaciarzy mignęły mi adidasy. Wyobraziłem sobie scenę. Tubylec rozgrzebuje kijem stertę kości i natrafia na obuwie z charakterystycznym symbolem. Zepsute zęby wykrzywiają się w uśmiechu. Szczęśliwiec wsuwa łup na stopy i rusza na dalsze poszukiwania, odtrącając na bok obojczyk, żuchwę

i miednicę, a biedak z mojego świata spędza wieczność w spiekocie obcych słońc, pozbawiony nawet butów.

No bo kto powiedział, że jestem tu pierwszy? I jak w ogóle się tu znalazłem? Ostatnim wspomnieniem był popiół w ustach.

Mężczyzna poczęstował mnie plackiem i odezwał się dopiero wtedy, kiedy przełknąłem ostatni kęs. Nie rozumiałem nic. Nie mogłem nawet porównać dziwnie akcentowanych słów z żadnym znanym mi językiem. W końcu skierowałem dłonie na siebie.

– Marcin. Mar–cin. Jestem Marcin – przedstawiłem się, powtarzając także formułkę po angielsku i niemiecku. – A ty jesteś…? – przeniosłem palec na mężczyznę.

Pokręcił tylko głową i uśmiechnął się pobłażliwie. Zrozumiałem przekaz: „nieważne”.

Wskazał gigantyczny zikkurat.

– Templum.

I włączył się w rzekę ludzkich ciał.

templum. schody do nieba.

Przepychałem się przez tłumy, które ciągnęły się od najniższego poziomu świątyni aż tam, dokąd sięgałem wzrokiem. Pielgrzymi nie mieli za złe, że wpycham się w kolejkę, mimo że sami cierpliwie czekali, aż łańcuch złożony z ludzkich ciał ruszy się o jedno ogniwo, by mogli postąpić kilka stopni w górę. Gdybym chciał pójść w ich ślady, dotarcie na szczyt zajęłoby mi całe dnie. Nie miałem tyle czasu.

Było zaskakująco spokojnie i cicho jak na przebywanie wśród rzeszy przybyszów okupujących to samo miejsce. W oczach mijanych osób widziałem wyłącznie odbicie istoty tego świata. Jałowość, szarość i smutek. Ale nie było tam przygnębienia ani strachu. Tak wyglądają ludzie pogodzeni z ponurą rzeczywistością, dla których alternatywą jest tylko śmierć w popiołach. Niektórzy gawędzili cicho z sąsiadami, część zajadała zapasy (czyli coś tu jednak hodowano i uprawiano), inni znowu w milczeniu patrzyli przed siebie, od czasu do czasu kierując wzrok w górę, chociaż wiedzieli, że i tak nie ujrzą szczytu. Dostrzegą go dopiero u celu podróży.

Po kilku godzinach wędrówki dotarł do mnie szczegół, na który nie zwracałem uwagi w ferworze przeciskania się przez ściany brudnych ciał.

Kolejka szła tylko w jedną stronę. Nikt nie wracał.

Po kilku następnych godzinach wiedziałem już, dlaczego.

* * *

Pokonałem końcowe stopnie i padłem wycieńczony na kolana, oddychając ciężko po największym wysiłku w moim życiu. Znowu byłem nagi. Koc, podarowany przez nieznajomego, porzuciłem na którymś ze środkowych poziomów. Spowalniał mnie. Wstyd był i tak ostatnią rzeczą, jaką się teraz przejmowałem.

Kolejka kończyła się przed obliczem strażnika. I, mój Boże, to był Sarevok.

myśli. sarevok.

Jeszcze przed ślubem lubiłem czasem pograć w komputerowe gry fabularne. Nie byłem wielkim fanem, ale z przyjemnością poświęcałem dwie, trzy godziny w tygodniu na małą sesję cRPG. Magda przewieszała mi się wtedy przez ramię i zadawała standardowe pytania laika, który nie ma bladego pojęcia o tym, co dzieje się na ekranie, ale wyraża głębokie zainteresowanie. Coś w stylu „Do czego służy charyzma?”, „Co robi ten czerwony napój?”, „Czemu on rzucił zaklęcie?” i tak dalej.

Pamiętam, jak zabrałem się za „Baldur’s Gate”. Kojarzyłem sequel i chciałem zmierzyć się z częścią pierwszą.

– O, cytat Nietzschego na początku? Faaajnie. – Magda szczebiotała swoim zwyczajem, kiedy oglądaliśmy filmik wprowadzający.

– Tak, kochanie – uśmiechnąłem się pobłażliwie.

– Ale mroczny zamek! Możesz do niego wejść?

– Madziuś… – odezwałem się uprzejmym tonem, zarezerwowanym specjalnie na takie sytuacje. – To na razie tylko intro. Jeszcze nie gram.

– Patrz! Ktoś zranił rycerza – stwierdziła oczywistość, jaką obserwowałem właśnie na ekranie.

– Mhmm…

– Ooo, drzwi się wyłama… – przerwała wywód i wskazała palcem postać, która wyważyła wrota i najwidoczniej chciała uśmiercić bezimiennego wojaka. –

Kto to jest? – zapytała w inny niż dotychczas sposób. Rzeczowo.

Tak mógłby spytać ojciec nastoletniej córki, która przyprowadziła do domu wytatuowanego czterdziestolatka w ćwiekowanej kurtce i przedstawiła jako nowego chłopaka.

– To Sarevok – wyjaśniłem, przysłuchując się ścieżce dialogowej. – Zabija wszystkie dzieci Bhaala, bo chce…

– Wyłącz to – powiedziała i dodała szybko: – Proszę.

Bo wtedy jeszcze prosiła.

– Chcę się z tobą kochać.

Jak mogłem odmówić? Nie muszę dodawać, że to był mój ostatni kontakt z „Wrotami Baldura”?

templum. schody do nieba.

Przede mną stał Sarevok, jak żywcem wyjęty z gry. Czarna zbroja chroniła jego postawne ciało od stóp do głów. Z obu naramienników sterczały długie, ostre kolce, a mniejsze zdobiły zarękawia niczym krucze szpony. Jeśli mroczny kirys oddawał prawdziwe rozmiary korpusu (a wiedziałem, że takie pancerze były z reguły wykonywane na miarę), to równie dobrze mógł stać przede mną opancerzony niedźwiedź. Jednak największe wrażenie robiły oczy.

Spod misternie wykonanego hełmu, stylizowanego na rozdziawioną paszczę rogatego demona, wyzierały dwa roziskrzone punkty. Świeciły niczym płomień upiornej pochodni – nie dało się odróżnić źrenicy od tęczówki, bo

stapiały się we wspólnym ogniu. Błyszczące owale nie mogły być oczami w naszym rozumieniu, ale w uniwersum wznoszących się do nieba Drzew i Dziwoptaków, które chcą zasmakować twojego mięsa, były nimi jak najbardziej.

Klęczałem bezbronny, spuszczając lękliwie głowę, by nie narazić się na diabelskie spojrzenie Sarevoka. Dudniący odgłos, jaki mogły wydawać tylko ciężkie buty stąpające po wypalanych cegłach, zwiastował mój rychły koniec. Uczepiła się mnie absurdalna myśl, że przynajmniej żaden z pielgrzymów nie ukradnie po wszystkim odzienia, a to z tego względu, że umrę nagi.

Śmierć idzie już po mnie, czuję jej lodowaty oddech – sparafrazowałem w myślach kwestię Sarevoka z „Baldur's Gate II", gdy wyczułem, że upiór wyciąga do mnie rękę, by udusić, zgnieść, wyrwa…

Położył opancerzoną dłoń na moim ramieniu i odezwał się głosem, który równie dobrze mógł wydobywać się z wnętrza ziemi.

– Idź, Pani cię oczekuje.

Był tylko odźwiernym przepuszczającym pielgrzymów, kiedy przyszła ich pora audiencji.

Prawdziwy potwór czekał na szczycie.

templum. wierzchołek.

Na drżących nogach szedłem wąskimi schodami, prowadzącymi na główny taras. Nad głową szumiały sczerniałe liście, na przekór naturze wyrastające z powykrzywianych gałęzi. Znalazłem się blisko korony

Drzewa. Gdybym zechciał, mógłbym uczepić się konaru i wspinać wyżej i wyżej, dopóki nie znalazłbym się na dachu świata, by stamtąd spojrzeć na ciągnącą się w nieskończoność wyniszczoną krainę. Doświadczyć w pełni zasięgu zgnilizny i zepsucia, pary szponów, która wbija się tu w najmniejszy skrawek ziemi i wysysa ostatnie krople życia. Ale kto chciałby oglądać taki widok?

Każdy, kto miałby wybór między nim a tym, co widziałem później.

myśli. po drugiej stronie oka.

Mógłbym namalować jeszcze jeden obraz, ale nie namaluję. Nigdy.

templum. mójbożemójboże.

W nozdrza uderzył niesamowity odór. Zemdliło mnie; zacisnąłem brudne palce na nosie, odcinając dopływ smrodliwego powietrza. Czułem, jakbym zbliżał się do miejsca wielkiej bitwy, z której nikt nie mógł wyjść żywy, bo nawet zwycięzcy wyzionęli ducha pod wpływem nieopisanego fetoru, dobywającego się z ciał poległych i zasilili stertę gnijących kończyn i korpusów.

Powstrzymując wymioty, pokonałem ostatni stopień. Na szczycie zikkuratu

MÓJ BOŻE CO TO JEST JAK TO MOŻE ŻYĆ

leżała Pani, nakrywając się jedwabnymi skrzydłami w kształcie fantazyjnych wachlarzy, wielkich niczym żagle zbójeckiego drakkaru. Gdy tylko do moich oczu dobił blask

łusek, opromieniający Ją z każdej strony, padłem jak pędrak na ziemię, gotowy zlizywać popiół sprzed Jej ogona. Pełzałem na brzuchu wśród flaków i kości, wywieszając język jak wierny pies, by dostąpić zaszczytu pławienia się w aurze wspaniałości. Musiałem zwolnić, bo Pani nie skończyła jeszcze z poprzednim ścierwem.

Targały mną spazmy zazdrości, gdy widziałem, jak Jej pazur przebija pierś szczura i wyciąga nadziane nań serce, a potem cudowny język owija się wokół organu i wyciska krew aż do ostatniej kropli. Marzyłem o boskich zębach, rozczłonkowujących mój tułów. Upajałem się wizją rozkoszy, jaką zapewniała pieszczota języka, który jednym liźnięciem oddzielał brudną skórę od ciała, wyszarpując z trzaskiem nerwy i zaropiałe gruczoły. Odsłaniał zarobaczone wnętrze, w którym Pani mogła ucztować, oczyszczając naszą skorupę z pokładów nieopisanej marności.

Podpełzłem bliżej, gdy Pani się najadła, i przytuliłem do szmaragdowej nogi, zawstydzającej każdą ze starogreckich kolumn.

– Pani, kocham cię… – zaskowyczałem i zawstydzony przyłożyłem policzek do łusek, nie wiedząc, czy nie pozwoliłem sobie na zbyt dużą śmiałość.

Zaśmiała się, i to tak, jakby śmiały się wszystkie światy.

– Wiem, wszyscy mnie kochacie. – Podrapała mnie po karku ostrym szponem, a ja poczułem, że kolejny raz dochodzę.

– Niestety, mała cię wybrała, nie mogę cię mieć. – Z Jej paszczy dobiegło smutne westchnienie. Załkałem żałośnie,

poruszony głębokim współczuciem okazanym tak nic nie wartemu splunięciu jak ja.

– Ale nie martw się, słodziutki. – Pochyliła smukłą szyję do ziemi. Złote oczy były wielkości mojej czaszki, ale uderzyłem się pięścią w policzek, gdy tylko nieopatrznie porównałem dwa klejnoty do zawszonej ludzkiej głowy. – Zdradzę ci sekret.

Wiedziałem, że w całym życiu nie zobaczę nic równie pięknego, jak moja twarz odbijająca się w tym bursztynowym zwierciadle.

– Wyczuwam cię cały czas, cały czas jestem blisko. – Zalały mnie strumienie euforii na wieść o przywileju, jakim mnie obdarzyła. – Kochaj ją, kochaj całym sobą, najmniejszą cząstką. Jestem jej winna chociaż to. Kochaj, bo miłość to najsłodsza strawa. – Pani kłapnęła kłami, a każdą komórką mojego ciała wstrząsnął dreszcz na myśl o trzasku łamanych goleni, pękających donośnie pod wpływem czułości tych zakrzywionych półksiężyców.

I dodała coś, co najbardziej użyźniło me skarlałe serce.

– Dopiero gdy przestaniesz, znowu się tobie przyjrzę.

myśli. po wejrzeniu.

Drzewa-olbrzymy. Kości wyrastające z ziemi niczym obumarłe krzewy. Żar buchający z dwóch słońc. Smak popiołu na języku. Skrzeczące Dziwoptaki. Buty Adidasa na nogach nędzarzy. Oczy Sarevoka, płonące jak czarcie ognisko. Najbrzydsze, najbardziej przerażające stworzenie, jakie człowiek jest w stanie sobie wyobrazić, przejeżdżające

zakrwawionym szponem po moim karku i ja łaszący się do pokrytych śluzem łusek.

Takie obrazy zostały mi w głowie, kiedy się obudziłem.

* * *

Mógłbym starać się wytłumaczyć to w racjonalny sposób. Przemęczenie, strach, fantasmagoria, zwykłe majaki. Jest tyle możliwości. Mógłbym sobie wmawiać, że przywidziało (ha, przywidziało!) mi się drugie oko Magdy, że wspomnienia z naszego związku podświadomie wykreowały motywy snu. Że w nadprzyrodzony sposób chcę wyjaśnić zaborczą i agresywną naturę żony. Chciałbym w to wierzyć, tak bardzo chciałbym, ale jest jedna rzecz, która mi nie pozwala.

templum. płacz.

Obudziłem się nagi we własnym łóżku. Łapczywie wciągałem powietrze, starając się uspokoić po okropnym koszmarze. Magda miała atak i najwidoczniej spanikowałem. Zemdlałem? Sięgnąłem w kierunku nocnej lampki i pociągnąłem za sznurek.

Leżała obok, roznegliżowana tak samo jak ja. Opierała się łokciem o poduszkę i podpierała głowę piąstką, przekrzywiając leciutko, tak że blond loki wspaniale układały się na pościeli. Przyglądała się mi ciekawsko błękitnymi oczami. A potem okazało się, że koszmar wcale się nie skończył.

– Sslanshar – powiedziała cicho.

Myślałem, że ziewnęła, zniekształcając tym samym słowo.

– Wszystko w porządku? Nic ci nie jest? Przepraszam, musiałem… – Potarłem powieki, żeby się rozbudzić.

– Sslanshar, głuptasie – powtórzyła wyraźniej, a ja uniosłem brwi w geście niezrozumienia.

– Sslanshar. On nazywa się Sslanshar, nie Sarevok. Tak, już wszystko w porządku. Dobranoc, kochanie. – Odwróciła się plecami i nakryła kołdrą.

Nakryła się kołdrą. Tak po prostu.

Nie zmrużyłem oka przez całą noc, tuląc poduszkę i pochlipując jak mały chłopiec, który boi się Dziwoptaka ukrytego w ciemności.

myśli. pięć lat.

Pięć lat. Tyle minęło od pierwszego wejrzenia, od czasu, kiedy zobaczyłem, co mieszka po drugiej stronie oka mojej żony i dowiedziałem się, że miłość jest najsłodszą strawą. Gadzie oko nigdy więcej się nie pokazało, ale przy każdym ataku miałem świadomość, że wystarczy jeszcze mały obrót białka, by złoty przewodnik zaprosił mnie na wycieczkę do krainy sadzy, tym razem bez możliwości powrotu.

Ani razu nie poruszyłem z Magdą tematu kości i popiołów. Bałem się, co mógłbym usłyszeć, choć bardziej prawdopodobne jest to, że odpowiedziałby mi lekceważący uśmieszek, połączony z głaskaniem po policzku. Fizycy nie zwykli wyjaśniać niemowlakom zasad mechaniki kwantowej.

Jak to możliwe, że przez pięć lat nie oszalałem, nie uciekłem z domu ani się nie zabiłem, tylko grałem w weekendy w scrabble, żartowałem z głupoty polityków i pieprzyłem się (Z TYM, MÓJ BOŻE, PIEPRZYŁEM SIĘ Z TYM) z Magdą na satynowej pościeli, a czasem nawet na kuchennym blacie?

Bo w świecie dwóch słońc, wysoko w górze, pod toksyczną kopułą Drzewa, ktoś czekał, aż przestanę kochać.

myśli. slajdy.

Miłości nie można udawać. Ale można ją stymulować, gdy spada do niebezpiecznie niskiej granicy.

Moim defibrylatorem były wspomnienia. Za każdym razem, kiedy „rozmawiałem” z Magdą, kiedy po zapłonie i bonanzie zaczynało się wejrzenie, zamykałem się w wymyślonym pokoju z diaskopem. Tam przywoływałem piękną chwilę z przeszłości, by rozruszała umierające uczucie. Nazywałem to „oglądaniem slajdów”.

...klik...

Pierwszy uśmiech, jakim obdarzyła mnie na rozpoczęciu roku.

...klik...

Nocny spacer po Warszawie i ja oświadczający się w blasku latarni.

...klik...

Fantazyjne kształty blond włosów po kąpieli.

...klik...

Fragmenty ciasta na jej ustach podczas zabawy w jedzenie słodkości na czas.

…klik…

Pocałunek w rozpalone czoło, kiedy leżę bez sił, zmożony chorobą.

…klik…

Wygrana w totolotka i jej twarz promieniująca szczęściem jakby trafiła szóstkę, choć to tylko dwieście złotych.

…klik…

Wygłupy na karaoke, kiedy ze śmiechu ciągle myliliśmy słowa.

Wszystkie cudowne momenty z naszego życia, które nazbierały się do dnia, w którym leżałem nagi u stóp *Templum*, prosząc nieznajomych o łyk wody. Nie muszę mówić, że trudno po takim doświadczeniu kolekcjonować nowe obrazy.

A ona (a może ONA?) je zjadała. Każde jedno, najmniejsze wspomnienie, niknęło w złowieszczym białku. Slajd płonął intensywnie jak podpalona klisza, opuszczając moje myśli na zawsze.

Miłość to najsłodsza strawa, a Magda była zawsze głodna.

Karmiłem ją. Robiłem, co mogłem, by nie czołgać się po stopniach zikkuratu. Pięć lat to dobry wynik. Pięć dodatkowych lat pod jednym słońcem, z zieloną trawą, śpiewem ptaków, pizzą, serialami na HBO i spaniem do dwunastej w soboty. Lepiej być żywym niewolnikiem czy

żywym trupem? Chyba wiem, co odpowiedziałby mężczyzna w brudnym turbanie, pokornie zmierzający w stronę *Templum*.

Teraz, kiedy zamknąłem powieki tak szczelnie jak wrota sejfu i wdycham perfumy Versace Bright Crystal, nie mam już czym poczęstować żony. Wyssała mnie do cna i wylizała resztki, zostawiając pustą skorupę.

Na paluszki, nosek, uszka i całą resztę czekał już ktoś po drugiej stronie oka.

teraz.

– Spójrz na mnie – powtórzyła, a ja nie miałem sił na dalszy opór.

Więc tak się to skończy, przez „Zakręconego Johnny’ego”. Tak zwyczajnie. Żadnych gromów przeszywających niebo, żadnych szkieletowych łap przebijających się przez podłogę. Gwoździem do trumny okazała się kolejna nieudolna próba włączenia cząstki normalności w związek, który wymyka się wszelkim ramom racjonalności. Mógłbym pociągnąć jeszcze dzień albo dwa, gdybym nie wypalił z tą knajpą, ale co by to dało? Spłonął ostatni slajd, a miłości nie da się oszukać, nie da się wskrzesić. Miłość, wbrew temu, co powtarzają ludzie bez choćby cienia refleksji, nie jest ślepa. Prawdziwa miłość widzi wszystko, więc nie umknie jej pustka w sercu.

Oderwałem twarz od gładkiej szyi, po raz ostatni głęboko zaciągając się przyjemnym zapachem, tak jakbym

na zawsze chciał uwięzić go w płucach. Pewnie skłoniło ją to do leciutkiego uśmiechu, bo nieśmiało zapytała:

– Mogę po raz ostatni…?

Milczące przyzwolenie.

– Spójrz.

Gdzie jest napisane, że uosobienie prawdziwej miłości musi być dobre?

Spojrzałem, a malinowy smak szminki poprowadził mnie na drugą stronę.

Stawka większa niż życie – Jacek Wróbel

Lance ‘on Dönhoff przełknął ślinę, zmówił równie krótką, co chaotyczną modlitwę i ujął w dłonie drewniany kubek. Goście Odwiecznego Sojuszu jak na komendę wstrzymali oddechy. Nawet stali bywalcy – z racji stażu w upijaniu się i prowokowaniu karczemnych burd uchodzący za lokalną elitę – raptownie urwali dyskusje o życiu, śmierci i sportach walki. Przez chwilę wewnątrz popularnej gospody w Halfgaarze panowała wręcz nabożna cisza. Cisza kojarząca się ze świecami osadzonymi na złotych świecznikach, zapachem kadzidła i mrukliwym śpiewem kapłanów.

Uda się – pomyślał Lance ‘on Dönhoff, zaciskając palce na chropowatej powierzchni kubka. *Bogowie, tym razem musi się udać*.

– Te, panie bohater – podniosła atmosfera została przerwana przez tubalny głos mężczyzny z przepaską na oku. – Nie mam całego dnia. Wchodzisz?

Wojownik skinął głową, oblizał wargi i potrząsnął kubeczkiem. Coś w środku zagrzechotało obiecująco. To nieco ukoiło jego zszargane nerwy.

– Wchodzę.

Uderzył naczyniem o stół i cofnął rękę.

Lance ‘on Dönhoff, wielki bohater Imperiału i weteran niezliczonych bitew, stawiany w jednym szeregu z Kordakiem i Xavierem Omnipetrarchą, nie pamiętał, czy wcześniej odczuwał strach równie wielki jak teraz, kiedy obserwował toczące się po blacie kości.

Nie ma ludzi bez wad, nawet bohaterowie mają skazy. Tajemnicą poliszynela było, że Kordak nad towarzystwo niewiast przekładał prowadzenie „intelektualnych potyczek” z niepełnoletnimi młodzieńcami, a stwierdzić, że uczony w arkanach magii Omnipetrarcha nie stronił od kieliszka to jakby rzec o skarbcu króla Heavela, że mieścił trochę złota. Lance ‘on Dönhoff, Dziecię Sterrwind, chluba wszystkich siedmiu imperialnych prowincji, mógłby uchodzić za wzór cnót, gdyby nie mały problem, który kładł się cieniem na całym jego heroicznym żywocie.

Wygram, wygram, wygram – powtarzał w myślach jak mantrę, pragnąc zakląć rzeczywistość. *Wygram, wygram, wygram…*

Mężczyzna w przepasce nachylił się nad stołem.

– Uuu, przegrałeś! – stwierdził z udawaną troską.

Cała sala wybuchła śmiechem. Kamraci jednookiego radośnie poklepywali go po plecach.

– Niech to szlag!

Trzy „jedynki” na kościach zdawały się puszczać Lance’owi oczko. Wojownik miał ochotę im je wyłupić.

– A teraz dopełnijmy formalności.

Lance ‘on Dönhoff z bólem serca poluzował pochwę przy pasie. Miecz Posępnego Czerepu, artefakt wykuty

w samej Otchłani, po raz pierwszy w historii miał zmienić właściciela bez rozlewu krwi – o ile nie liczyć tych paru kropel, które pociekły, kiedy drzazga ze źle ociosanego kubka wbiła się mu w palec.

Miecz wylądował na stole.

– Łatwo przyszło, łatwo poszło – skłamał Lance, siląc się na wymuszony uśmiech. – Chcę się odegrać. Czy jesteś zainteresowany…

Nie zdążył złożyć propozycji, co prawdopodobnie uratowało go przed stratą Pierścienia Bliżej Nieokreślonej Mocy, bo drzwi karczmy wyleciały z hukiem z zawiasów. Do środka wbiegło sześć uzbrojonych postaci w czarnych uniformach. Lance ‘on Dönhoff rozpoznał je od razu. Przerażenie malujące się na obliczu drugiego z graczy dowodziło, że również wiedział, kim są intruzi. Bywalcy Odwiecznego Sojuszu nagle znaleźli masę zajęć, a każde z nich wymagało pochylenia głowy i sprawiania wrażenia, że nic nie wiedzą o nielegalnych praktykach z wykorzystaniem kart i kości prowadzonych przy jednym ze stolików.

Pięciu zamaskowanych agentów otoczyło graczy, wymownie kierując lufy garłaczy na przemian to na jednego, to na drugiego mężczyznę, jakby tylko czekali na pretekst do oddania strzału. Dowódca czarnocieni, wyróżniający się na tle oddziału jedynie złotą naramienną przepaską, zgarnął leżące na stole kości. Prychnął – przynajmniej tak ten metaliczny odgłos zinterpretował Lance, gdyż podłużna, dziwaczna maska zniekształcała

dźwięki – a następnie od niechcenia je rzucił. Wypadły trzy szóstki. Lance mimowolnie gwizdnął z podziwem.

– Na podstawie rozporządzenia króla Heavela o oddawaniu się hazardowi w nielicencjonowanych placówkach, co umniejsza wpływy do skarbca i tym sposobem osłabia potencjał ekonomiczny Imperiału, jesteście aresztowani.

Jednooki zbladł jeszcze bardziej. Lance przypuszczał, że nielegalny hazard był najmniejszym z przewinień rywala i kiedy tylko agenci zaczną drążyć, na jaw wyjdą różne interesujące rzeczy. Bo czarnocienie drążą, dopóki nie przewiercą człowieka na wylot. Jeśli wierzyć pogłoskom, czasami to nie jest metafora.

Wyciągnął ręce przed siebie i pozwolił się skuć. Żelazne obręcze z chrzęstem zacisnęły się na nadgarstkach. Nie zastanawiał się, kto mógł poinformować władze. To nieważne. Ludzie lubią herosów, lecz nie bardziej niż ich martwych odpowiedników. Chociaż tak źle przecież nie będzie. W końcu za grę w kości nie grozi stryczek, prawda?

Prawda…?

* * *

Zaprowadzono go na posterunek halfgaardzkiej straży. To dobrze wróżyło na przyszłość. Gdyby trafił prosto do którejś z tajnych placówek czarnocieni, istniała duża szansa, że już jej nie opuści. Agenci rozkuli go i usadzili na niewygodnym krześle. Dowódca rozpiął maskę, po czym ulokował się za biurkiem. Splótł palce, bacznie

przyglądając się aresztantowi. Reszta oddziału zniknęła za drzwiami; zostali sami.

Mężczyzna wyglądał niepozornie, bardziej przypominał urzędnika z magistratu niż członka najbardziej elitarnej formacji zbrojnej Imperiału, stojącej ponad prawem i odpowiadającej bezpośrednio przed królem. Jego nieco odstające uszy i drobny wąsik przywodziły Lance'owi na myśl dalekiego stryja Edwarda. Przypomniało mu się, jak wiele lat temu stryj podczas rodzinnego bankietu był już tak pijany, że pomylił sztuczne jabłka dekorujące stół z prawdziwymi owocami. Pochłonął cały koszyk, a potem zabrał się za banany.

Lance przygryzł wargę, by nie parsknąć śmiechem. Sytuacja nie była wszak wesoła.

– Kto by przypuszczał, że przyjdzie mi gościć samego Lance'a von Dönhoffa – odezwał się wreszcie czarnocień. – Wiele się o tobie słyszy.

– Od jakiegoś czasu Lance'a 'on Dönhoffa – sprostował. – Apostrof przed „o", tak się zapisuje.

Agent zmrużył oczy, przekonany, bohater kpi z niego.

– Długa historia – rzekł. – Choć w sumie to całkiem krótka. Przegrałem tytuł w karty. Na szczęście nie cały, bo odzyskałem dwie litery. Szkoda, że przeciwnik spasował przy ostatniej. Wszystko w świetle prawa. Proszę sprawdzić papiery Klubu Dżentelmena i Hazardzisty w Annoverze.

– Obejdzie się. – Edward, jak Lance ochrzcił w myślach anonimowego czarnocienia, nie dał po sobie poznać zdziwienia. – Problematyczne jest to, że pociągają cię także

nielicencjonowane partyjki. Żebyś dobrze zrozumiał – zaczął mówić z większą swadą, jakby rozmawiał z dobrym znajomym – mnie i kolegom z oddziału to nie przeszkadza, grajcie sobie, krzywda nikomu się nie dzieje. Ale Heavel nie jest już tak wyrozumiały.

Nachylił się nad biurkiem i spojrzał Lance'owi prosto w oczy.

– Wiesz, co zrobiłeś?

Domyślał się, że agenta nie interesuje odpowiedź „Przegrałem Miecz Posępnego Czerepu". Po prostu pokręcił głową.

– Okradłeś króla, Lance. Pozbawiłeś kraj możliwości pobrania usankcjonowanego procentu z działalności hazardowej. Czym to się różni od szturmu na zamek, obejścia zabezpieczeń i wyniesienia ze skarbca worka złota? Według litery prawa niczym. Kim zatem jesteś, Lance? – Odchylił się na krześle. – Odpowiem za ciebie: zwykłym złodziejem.

Krew w żyłach bohatera zawrzała. Dotąd nikt bezkarnie nie rzucał mu takich oszczerstw w twarz. W życiu zawsze kierował się najwyższymi wartościami, które przyniosły mu reputację człowieka odważnego, honorowego i sprawiedliwego. A hazard? Co ma do tego hazard? Był poważnym bohaterem, nigdy nie grał w godzinach pracy.

– Nie jestem złodziejem – odezwał się niezbyt uprzejmym tonem. – Tylko dlatego, że reprezentujesz króla, którego zawsze szanowałem, a wszystko, co robiłem, robiłem dla chwały Imperiału, nie każę ci tego odszczekać.

Edward uśmiechnął się, jakby oczekiwał właśnie takiej reakcji.

– Wiesz… Ty, ja i cała masa ludzi pewnie widzi różnicę między nielegalnymi grami a włamaniem, ale spróbuj tłumaczyć się sędziom. Co więcej… Pomyśl o tym, co będzie, gdy nagłośnimy sprawę. Kiedy heroldzi w każdym mieście i na rozstajach wszystkich imperialnych szlaków ogłoszą osłupiałej gawiedzi, że Lance ‘on Dönhoff, bohater maluczkich, budzący podziw przykład miłosiernego szlachcica… czy tam obecnie pół-szlachcica… dopuścił się karygodnego czynu, który zrównał go z pospolitymi rzezimieszkami. Bandziorami stanowiącymi jeszcze niedawno cel jego krucjat. Z bożyszcza tłumów szybko przeistoczysz się we wroga publicznego numer jeden. – Pstryknął palcami. – Ledwo się obejrzysz, a twoja legenda umrze.

– Nikt wam nie uwierzy – warknął przez zaciśnięte zęby. – Nikt. Całe życie poświęciłem tym ludziom, byłem gotów oddać za nich życie. Nie lubię się chwalić, ale ułożono o mnie trzydzieści pieśni; lista moich osiągnięć ma przynajmniej dwakroć tyle punktów. Ludzie nie są głupi. Wiedzą, gdzie leży prawda.

Czarnocień westchnął. Wyglądał, jakby naprawdę mu współczuł.

– To właśnie twój problem, Lance. Niezrozumienie istoty rzeczy. Ludzie są głupi. Ba, są bardzo głupi. Owszem, rozpatrując każdego człowieka z osobna, począwszy od zwykłego chłopa a kończąc na dygnitarzach i magnaterii,

można u niektórych jednostek doszukać się nawet oznak geniuszu, ale my mówimy o społeczeństwie. O masie. Masa zawsze równa jak najniżej. Dzięki tej świadomości utrzymujemy kraj w ryzach, bo wiemy, jak radzić sobie z najgłupszymi.

Lance milczał dłuższą chwilę, układając w głowie scenariusze, które zaistnieją, gdyby spełniła się groźba Edwarda. Wziął pod uwagę jego słowa o równaniu do zera. Żaden wariant mu się nie podobał.

– Zakładam, że skoro mówisz o tym wszystkim, nie sprowadzono mnie tu po to, aby przykładnie ukarać. Przejdź do rzeczy. Czego chcecie?

Urzędniczą facjatę rozjaśnił szczery, sympatyczny uśmiech.

– Wiedziałem, że zrozumiesz. Porozmawiamy, ale najpierw przenieśmy się w milsze miejsce. To krzesło musi być strasznie niewygodne.

* * *

– Sprawa jest polityczna, a materia delikatna. Wskazane jest zachowanie najwyższego stopnia ostrożności. Podobnie jak z przeprawą nad przepaścią – jeden fałszywy krok i można zacząć pikować w dół. Pół biedy, gdyby upadek dotyczył tylko ciebie. W omawianym przypadku pociągniesz za sobą całe królestwo. Więcej wina?

Bohater pokręcił głową, odsuwając na bok pusty kielich. Raz jeszcze rozejrzał się po pokoju, w którym go

ugoszczono. Niemal całą powierzchnię pastelowych ścian pokrywały obrazy, przedstawiające głównie figury geometryczne w różnym stadium rozkładu. Pomiędzy nimi upchnięto pasma tkanin; sploty żółto-czerwonych nici okalały ramy malowideł niczym siatka żył wypełnionych zakażoną krwią.

Lance pochodził z arystokratycznej rodziny i był przyzwyczajony do przepychu, ale z niektórymi dekoracjami i rekwizytami spotkał się po raz pierwszy w życiu. Ot, choćby ten wygięty, cętkowany róg nad kominkiem. Nie wiedział, czy z tego się pije, czy tym się strzela, a może w to dmucha. W grę wchodziły wszystkie opcje.

Nie mógł zapytać o to gospodarza, bo ten kilka dni temu został wezwany na przesłuchanie – w charakterze świadka, ma się rozumieć – w związku z odkryciem lokalnej plantacji szałotrawia. Zapewne tłumaczenie się, jakim cudem właściciel domu nie nakrył tajemniczego przybysza, który regularnie zakradał się do środka i siał narkotyk w jego piwniczce, zajmie mu kilka długich lat. Pod jego nieobecność czarnocienie zaopiekowały się nieruchomością, adaptując ją na swoją tymczasową siedzibę.

– Nie lubię okrążania tematu, a metafory trawię tylko w poezji. Powiedz po prostu, co mam zrobić.

– Przegrać – stwierdził bezceremonialnie Edward, nieco zirytowany postawą rozmówcy. – Musisz przegrać pewną partię.

Lance ‘on Dönhoff zamrugał głupio, pewny, że słuch go zwodzi. Oczekiwał, że zostanie wynajęty do rozprawienia się z jakimś nieuchwytnym wrogiem Heavela albo posłany na misję wyeliminowania, dajmy na to, chimery czy bazyliszka. Ale hazard?

– Jak powszechnie wiadomo, stosunki między Imperiałem a naszym sąsiadem, Kevlarem, można określić jako… napięte. Wystarczy, że ktoś mocniej pociągnie za strunę, a ta wyda dźwięk tak fałszywy, że krew popłynie nam z uszu. Z wielu innych miejsc również. Trafiła się niepowtarzalna okazja, aby wreszcie, po długich latach zimnej wojny, nie tyle poluzować więzy konfliktu, co przekuć je w sojusznicze ogniwa.

– Niewiarygodne! – Lance nie potrafił ukryć zdumienia. – Wyszliśmy z propozycją pokoju?

– To bardziej skomplikowane. Nie chcę cię zanudzać detalami.

Subtelnie dawał do zrozumienia, że dyskutują o sprawach najwyższej wagi, przeznaczonych wyłącznie dla uszu królewskich dostojników, zatem Lance, zwykły bohater, nie powinien wiedzieć więcej, niż to konieczne.

– Zwieńczeniem negocjacji ma być uroczystość, która odbędzie się już za kilka tygodni w stolicy. Ceremoniał przewiduje także twój udział. – Edward sięgnął do szuflady i wyjął z niej zwinięty pergamin. – Uznaj to za oficjalne zaproszenie.

Na papierze widniała pieczęć Kevlaru. Nadawcą był Jeromin Straganow, prawa ręka cara, a adresatem sam król

Heavel.

Podczas gdy Lance zapoznawał się z treścią listu, agent kontynuował wywód.

– W trakcie podpisywania tego historycznego porozumienia Straganow będzie oficjalnym reprezentantem Kevlaru. Nie można mieć za złe carowi, że nie stawi się osobiście. Gdyby spotkanie odbywało się na ich terytorium, też posłalibyśmy kogoś w zastępstwie. Przezorny zawsze ubezpieczony. Jednak dyplomata postawił pewien warunek, „drobne życzenie co do przebiegu ceremonii", jak określił to w liście. Król postanowił przychylić się do jego prośby. Kevlarczycy są specyficznym narodem, a Jeromin Straganow to człowiek specyficzny nawet jak na tamtejsze standardy.

Lance nie odrywał oczu od pergaminu.

– Mówiąc krótko: po kolacji chce rozegrać z tobą partię Bestiariusza.

– „Z chęcią widzielibyśmy w roli drugiego zawodnika przesławnego Kordaka, ewentualnie nieustępującego mu renomą Lance'a von Dönhoffa" – odczytał wojownik. – Ewentualnie? Nieustępującego renomą?

Czarnocień wzruszył ramionami.

– Kordak jest nieuchwytny, wojuje poza strefami naszych wpływów. Tak czy inaczej, zostajesz jeszcze ty. Plan jest prosty. Spędzisz miły wieczór w Primus Imperpares, rozegrasz kilka rund ze Straganowem i podłożysz się w decydującej partii.

Lance zastanowił się. Dobrze znał reguły popularnej karcianki zwanej Potworniakiem lub – bardziej oficjalnie – Bestiariuszem. Przebieg rozgrywki w równej mierze zależał od szczęścia, jak i od taktyki. Niefartowne rozdanie łatwo można było odwrócić na swoją korzyść, wykonując przemyślane ruchy, które miały doprowadzić do odebrania przeciwnikowi armii bestii i zasilenia nią własnych szeregów.

Zazwyczaj nie trzeba go było zachęcać do udziału w żadnej grze hazardowej. Niemniej jego największą wadą był fakt, że nie potrafił oszukiwać. Nigdy nie grał znaczonymi kośćmi ani nie chował asów w rękawie. Był honorowym graczem – i honorowym przegranym.

– Straganow życzy sobie rozegrać partię Potworniaka, fakt, ale nie widzę żadnej wzmianki o tym, że gra ma być ustawiona. I czemu właściwie to służy? Jaki związek mają karty z tą całą „przeprawą nad przepaścią” i „upadkiem królestwa”?

– Wszystko jest polityką. – Edward splótł palce. – To rozdanie ma wymiar alegoryczny. Kevlarczycy oczekują, że przegramy, chociaż nie mówią o tym wprost. Fachowo nazywamy to „dyplomacją”. Będziesz naszą wizytówką, bohaterem uosabiającym Imperiał jako ideę. Równie dobrze mógłby to być pojedynek na miecze… albo zawody w jedzeniu eklerków, jeśli wybaczysz lekki przytyk w stronę aparycji przeciwnika. Niemniej karty są bardziej praktyczne. Oni liczą na gest dobrej woli z naszej strony. Podczas prowadzenia rozmów pokojowych udało nam się

zyskać przewagę na wielu frontach, zatem nic nie stoi na przeszkodzie, by odnieśli symboliczne zwycięstwo. Zwłaszcza, że nic nas to nie kosztuje. – Sięgnął po kielich, maczając usta w erenfurckim winie. – Kiedyś sojusz się rozpadnie, to rzecz oczywista. Wtedy może rozpętać się prawdziwe pandemonium. Ale nie stanie się to ani za naszego życia, ani za życia naszych dzieci i wnuków. Kupimy Imperiałowi masę czasu potrzebnego na zbrojenia i przygotowania do wojny totalnej. Zresztą… Zostawmy ratowanie księżniczek bohaterom, a urzędnicy niech robią politykę. Powinieneś wiedzieć tylko tyle, że na chwilę obecną twoja ewentualna wygrana byłaby jak wymierzenie carowi policzka tuż po tym, kiedy splunęliśmy mu pod nogi. Pomyśl o konsekwencjach, Lance. Mogłoby to zaprzepaścić wszystko, co osiągnęliśmy. Pogrzebać długoletnią stabilizację.

Czarnocień udawał, że zainteresował się obrazem trójkąta, który – sądząc po kształcie – zapadł na jakąś dziwną chorobę krawędzi.

– Bestiariusz – kontynuował po chwili, nie odrywając oczu od obrazu – to zwykłe kolorowe karty z fantazyjnymi szkicami potworów. Niby niepozorna rzecz, ale nawet mały kamyczek, trącony w odpowiedni sposób, jest w stanie wywołać lawinę. Dlatego tak ważnej kwestii nie zostawimy przypadkowi, nie zawierzymy też bezgranicznie umiejętnościom Straganowa. Po prostu musisz przegrać dla dobra Imperiału.

– To oszustwo – zaprotestował Lance. Nie widział różnicy między umyślnym poddaniem partii a wykorzystaniem niedozwolonych trików, które ułatwiały zwycięstwo. – Jestem zmuszony nagiąć moralne zasady i zbrukać swój kodeks. Postąpić źle dla…

– …dla większego dobra – wszedł mu w słowo agent. – Witaj w świecie polityki.

* * *

Machinalnie rozkładał karty; wizerunki potworów stapiały się w jedno bezpłciowe tło. Fakt, że za kilka dni miał stoczyć partię, która według słów Edwarda na kilka przyszłych pokoleń nada kształt stosunkom zagranicznym, powinien sprawić, by czuł przynajmniej lekką ekscytację, jednak Lance był tylko znużony. Nie chciał przyjąć do wiadomości, że obraz świata tak naprawdę zależy od poczynań postaci takich jak Edward, niepozornych i do bólu praktycznych. Sprowadzało to bycie herosem do parodii poważnego człowieka.

Nie mógł sobie przypomnieć, w pobliżu jakiej miejscowości leżał zajazd, w którym zakwaterowano go tej nocy. Tracił rachubę dni spędzonych na szlaku. W drodze towarzyszyło mu tylko dwóch ludzi, najpewniej czarnocieni w cywilu. Popadał w lekką paranoję, teraz wszędzie widział agentów Heavela. Wydawało mu się, że stajenny, który wieczorem odbierał ich konie, wykonywał sekretne znaki, chcąc sprawdzić, czy Lance również należy do elitarnej

jednostki. Potem dowiedział się, że chłopak po prostu miał świerzb.

Sypiał niewiele, dlatego zabijał czas symulacją kolejnych partii Bestiariusza, co noc rozgrywanych w innej karczmie Imperiału. Wcześniej próbował wybierać się na nocne spacery, ale za każdym razem dołączali do niego milczący kompanii, którzy akurat „chcieli rozprostować kości" albo „zażyć świeżego powietrza". Zapewne czuwali, by bohater nie rozmyślił się w ostatniej chwili i nie zniknął w mrokach nocy. Lance przestał wychodzić z kwater.

Właśnie miał kończyć układ zwany „Mniejszym Połknięciem" (kraken na trzech żołędziach, wodnik na dwóch i lewiatan na trzech koronach), kiedy rozległo się dyskretne pukanie, a po chwili w drzwiach stanął młodzieniec, którego już dziś spotkał.

– Można, panie? – rozejrzał się nieśmiało po wnętrzu i, nie czekając na zaproszenie, wszedł do środka. – *Ate* Straganow przesyła pozdrowienia.

Lance wskazał na wolne krzesło. Nic, absolutnie nic nie było w stanie go już zadziwić, także współpraca imperialnych stajennych z obcym wywiadem. Nie chciało mu się nawet pytać, w jaki sposób ominął dwóch czarnocieni, którzy reagowali nawet wtedy, kiedy nocą udawał się do wygódki. Zrezygnowany wrócił do kart.

– *Ate* Straganow przesyła pozdrowienia – powtórzył chłopak – i żałuje, że nie może przeprowadzić tej rozmowy w cztery oczy. Upoważnił mnie do przemawiania w jego imieniu.

– Te znaki, które dawałeś, gdy przekazywałem ci konia… – Lance skontrował „Mniejsze Połknięcie”, dostawiając w równoległym rzędzie driadę na pięciu różach i ognika na wieńcu monet. – To kevlarskie przywitanie, tak? Poznałem od razu.

– Nie, panie – zdumiał się stajenny. – Mam świerzb.

– Ech…

Chłopak chrząknął.

– *Ate* Straganow każe przekazać: sprawa jest polityczna, a materia delikatna. Podobnie jak z przeprawą nad przepaścią, należy…

– Bogowie… – Zrezygnowany Lance podparł się na łokciu. – Chyba żartujesz. Skąd oni to biorą? Z jakiejś oficjalnej broszury?

Stajenny przerwał, wyraźnie skonsternowany.

– Błagam, powiedz prosto z mostu, o co chodzi. Przełóż to z tego politycznego bełkotu, pełnego pustych frazesów, na nasz. Na ludzki. Najlepiej jak najkrócej, bo zaczynam mieć migrenę.

– Hmm… – Młodzieniec podrapał się po głowie. Potem po ręce i po nogach. – Krótko i po naszemu, tak?

– Dokładnie.

– Ano, to musi pan wygrać z nim w karty, bo inaczej będą się działy cholernie nieprzyjemne rzeczy.

Lance ‘on Dönhoff popatrzył głupio na chłopaka, potem na układy z Bestiariusza. Pstryknięciami palców zaczął strącać karty ze stołu, jedną po drugiej. Po wszystkim wstał i bez słowa położył się do łóżka.

Stajenny odczekał chwilę, chrząknął, chrząknął raz jeszcze, powiedział co miał powiedzieć, podrapał się, pożegnał i wyszedł.

* * *

Przyjęcie w królewskim pałacu zdaniem Lance'a wypadało niezwykle skromnie mimo historycznej rangi wydarzenia. Stół biesiadny nie był zastawiony nawet w jednej trzeciej. Goście – sami najważniejsi oficjele – spożywali posiłki w milczeniu, od czasu do czasu chwaląc umiejętności kucharza albo przedni smak wina.

Po jednej stronie zasiadali Imperialczycy, po drugiej delegacja z Kevlaru. Odnosił wrażenie, że wszyscy tylko czekają na umówiony sygnał, by chwycić za sztućce i rzucić się sobie do gardeł.

Król Heavel zajmował miejsce u szczytu stołu. Lance czuł się dziwnie, ucztując z kimś, kogo dotąd znał jedynie z rewersów złotych monet. Monarcha miał elegancko przystrzyżoną bródkę, lekko szpakowate włosy i chyba początki reumatyzmu, sądząc po niepewnych ruchach dłoni. Dobrze przyjrzał się szczegółom, bo siedział po jego prawicy.

Król odezwał się do bohatera tylko dwa razy. Za pierwszym zapytał, czy to Lance pokonał Mortira Czerwonego, kaosytę z opuszczonej twierdzy w Górach Niejasnego Znaczenia. Lance odpowiedział, że pomylił go z Kordakiem. Za drugim razem władca zainteresował się, czy smakują mu pieczone trufle. Owszem, smakowały.

Na tle Jeromina Straganowa wojownik mógł uchodzić za niebywale błyskotliwego rozmówcę. Ambasador Kevlaru siedział po lewej stronie króla, naprzeciwko Lance'a, ale Heavel nie zaszczycił go nawet spojrzeniem.

Straganowa, gdyby nie fakt, że zajmował wysoką pozycję na dworze cara i zapewne był niebywale zamożny, śmiało można byłoby nazwać grubasem, ale z racji piastowanej pozycji bardziej pasowało tu określenie „człowiek o imponujących gabarytach". W rzadkich chwilach kiedy nie miał nic w ustach, podkręcał czarne jak smoła sumiaste wąsy i półgębkiem prowadził rozmowę z siedzącym obok kompanem. Spojrzenia Lance'a i Straganowa często się spotykały, ale poza grzecznościowymi uśmiechami nie zamienili ze sobą ani słowa.

Służba powoli sprzątała ze stołu, co było znakiem, że uroczystość przechodzi w tę bardziej oficjalną część. W rogu sali, czekając na wezwanie, dyskretnie ustawił się kronikarz. Trzymał stertę dokumentów, na których niedługo miały spocząć podpisy króla i kevlarskiego delegata. Kilkoma pociągnięciami pióra historia wejdzie na nowe tory, przekreślając tym samym lata konfliktu i sprowadzając śmierć tysięcy żołnierzy, walczących po obu stronach frontu, do frazy „bilans strat". Ale zanim dobrodziejstwo dyplomacji miało wydać owoc, Lance 'on Dönhoff i Jeromin Straganow musieli zagrać w karty.

Ci, którzy wygrali negocjacje, chcieli by przegrał rozgrywkę. Przegrani pragnęli jego zwycięstwa. Jeżeli

gdzieś w tym tkwiła logika, to dostrzegali ją prawdziwi gracze – zasięg pionków takich jak Lance sięgał jedynie kilku najbliższych pól.

Wszystko jest polityką. Wszystko, co głupie, chciałoby się dodać.

Do komnaty wniesiono mały stolik i dwa obite jedwabiem fotele. Służący położył na blacie zdobioną szkatułkę i oddalił się, zgięty w półukłonie. Nie odbyła się żadna oficjalna prezentacja ani zapowiedź pojedynku. Jeromin Straganow otarł usta chusteczką, z widocznym trudem dźwignął się z krzesła i ruszył w kierunku stolika.

– Chciałem rozegrać to inaczej – do uszu Lance'a doszedł szept króla. – Mówili, że to jedyna opcja, że gwarantuje pokój. Współczuję mojemu następcy...

Wojownik zajął miejsce naprzeciw Kevlarczyka. Zapadł się w miękkie obicie fotela niczym w puchowe łoże. Straganow lekkim skinieniem dał do zrozumienia, by to przeciwnik czynił honory.

Lance otworzył wieko szkatułki i wyjął bogato zdobioną talię Bestiariusza. Na luksus posiadania podobnego wydania stać było jedynie najzamożniejszych kolekcjonerów.

Wokół nich zebrało się grono obserwatorów. Zachowywali stosowną odległość, by nie przeszkadzać graczom. Jedynie król Heavel pozostał na miejscu, apatycznie jedząc winogrona.

Lance 'on Dönhoff zręcznie przetasował talię. Pod palcami czuł wypukłość emblematów i chociaż spojrzeniem

kontemplował podwójny podbródek Straganowa, podświadomie rozpoznawał ich kształty – szaleńczo uśmiechniętego goblina, eteryczną zmorę, demona na tle buzujących płomieni…

– Wężowa Frakcja – zadeklarował Jeromin łamanym imperialnym.

– Uzurpator – odpowiedział Lance, rozdając każdemu po dziewięć kart. Resztę odłożył na środek, tworząc równy stosik.

Wybrali swoje obozy i tym samym określili, które atrybuty Bestiariusza będą dla nich najistotniejsze. Na razie sprawdzały się słowa stajennego, który pokrótce opisał taktykę, jaką obierze Kevlarczyk. Zrobił to, kiedy Lance leżał obrócony do niego plecami i miał wszystkiego serdecznie dość.

Straganow chciał mu ułatwić zadanie. Istotnych spraw nie zostawia się przypadkowi.

Bohater przyjrzał się armii bestii, jaką los przydzielił mu na starcie. Gdyby partia toczyła się na pieniądze w którejś z licznych imperialnych karczm, z pewnością z trudem ukryłby podekscytowanie. Dysponował pokaźnymi atutami.

Teraz jednak zachował kamienną twarz. Musiał rozegrać to jak profesjonalista.

Bohaterowie nie mogli być pionkami.

Jeromin wyłożył pierwszą kartę.

– Bazyliszek na czterech tarczach.

W umyśle Lance’a rozbrzmiał głos młodego stajennego, któremu towarzyszył dźwięk irytującego drapania.

– *Ate Straganow spróbuje ułożyć Formację Mrocznego Tarczownika. Atrybuty będą tylko dla zmyłki.*

– Wampir na podwójnym berle.

Spowity w czarny płaszcz krwiopijca stanął naprzeciw olbrzymiego węża.

– Nieumarły i wieniec trzech róż.

– *…jeżeli nie będzie dysponował odpowiednim układem, pozbędzie się zapychaczy, licząc na dobór właściwej karty w następnej turze…*

– Hydra udekorowana trzema koronami.

Straganow przytaknął i odpowiedział:

– Pas.

– Zgarniam.

Lance zabrał kartę z wizerunkiem nieumarłego i dostawił do swojej formacji. Teraz brakowało mu dwóch ruchów, by utworzyć Zapomnianą Projekcję i uwięzić Straganowa w potrzasku. Szczęśliwym trafem dysponował wymaganymi kartami.

Kevlarczyk sięgnął spoconą dłonią do wierzchu talii.

– Wilk na siedmiu żołędziach. Pas.

Kolejny zapychacz poszedł w odstawkę.

Bohater zrezygnował z przejęcia i dostawił własną kartę.

– Smok na potrójnym berle.

Upierścienione palce cudzoziemca dobrały nowego sojusznika.

– Mumia na sześciu mieczach.

Ha, udało ci się.

– Smok na podwójnym berle. – Lance domknął układ. – Zapomniana Projekcja.

– Driada na czterech tarczach. – Przeciwnik skontrował w ostatnim momencie. – Formacja Mrocznego Tarczownika.

Przeliczyli punkty. Reprezentant Imperiału nieznacznie wysunął się na prowadzenie.

Partia trwała dalej. Obaj coraz dłużej zastanawiali się nad posunięciami. Lance grał na czas. Karty były tylko tłem, wokół którego toczyła się prawdziwa historia i dokonywały się heroiczne wybory. Polem rozgrywki był jego umysł.

– …musisz go pokonać, jakkolwiek dziwne wydaje się to w obecnej sytuacji. Kevlarczykom potrzebny jest pretekst do wypowiedzenia pokoju. Pomyśl w szerszym kontekście: rozejm to najgorsze, co spotkało nas w przeciągu ostatnich dziesięcioleci…

– Wodnik i pierścień z ośmiu brylantów.

– Wilk i trzy żołędzie.

– …nieważne, jak się na to zapatrujesz, co o tym myślisz. Im dłużej trwa zawieszenie broni, tym więcej prochu uzbiera się w beczce, na której wspólnie siedzimy…

– Wilkołak na dwóch monetach.

– Wilkołak na czterech.

– …przyszłe pokolenia będą stąpać po trupach. Nasze państwa nie są stworzone do sojuszu. Urazę mamy we krwi. Trzeba przerwać to szaleństwo w zarodku, skończyć je jak

najszybciej. Owszem, po wszystkim stoczymy kilka standardowych potyczek, zapewne zginie kilkuset ludzi, ale emocje opadną. Znowu będziemy oddychać zdrową nienawiścią…

– Kraken i berło. Berło po pięciokroć.

– Harpia i siedem pierścieni.

– *…nie chcesz chyba mieć na sumieniu żywotów jeszcze nienarodzonych dzieci, zmuszonych chwycić za broń i iść na pewną śmierć, bo kumulacja złości i niezrozumienia zapłonie tak intensywnie, że tylko morze krwi zdoła je ugasić…*

– Pas.

– Zgarniam.

– *Wygraj partię; za urazę odpowiemy oczywiście uderzeniem, niewielkim najazdem, wy odwdzięczycie się tym samym i będzie po sprawie. Z kilku przygranicznych miejscowości utworzymy wentyl, przez który przepłynie cała gorycz. Zginą setki zamiast setek tysięcy w przyszłości. Wrócimy do punktu wyjścia i już się z niego nie ruszymy. Ate Straganow mówi: popełniono błąd. Niech ogień pochłonie negocjacje i ich konsekwencje. Dla większego dobra.*

– Strzyga na żołędziu.

Setki zamiast setek tysięcy. Setki poczciwych ludzi, którzy zginą, bo wygrałem w Potworniaka albo w razie przegranej – setki tysięcy innych, gdy po mnie zostanie już tylko wspomnienie…

Może dla cynicznych urzędników to zdrowa kalkulacja, ale ja jestem bohaterem. Kiedy w grę wchodzi żywot niewinnych, reputacja przestaje mieć znaczenie. To esencja heroizmu. Kordak… Kordak niech żyje złudzeniami.

– Kościotrup i… ups…

Z rękawa Lance’a wypadło kilka kart. Kart, których zdecydowanie nie powinno tam być. Dziwnym zbiegiem okoliczności każda miała imponująco wysoki atrybut.

Zapadła martwa cisza. Straganow powoli podniósł wzrok znad swoich formacji. W jego spojrzeniu malowało się absolutne niedowierzanie. Szybko przejrzał zamysł Lance’a, ale nie potrafił go pojąć. W końcu był tylko państwowym oficjelem.

Urzędnicy nie rozumieją istoty poświęcenia, dlatego żadnej ze stron nawet nie przeszło przez myśl, by zaproponować trzeci wariant. To wymykało się ich perspektywie, kolidowało z politycznym postrzeganiem rzeczywistości.

– To… to zniewaga! – krzyknął ktoś z obserwujących. Ktoś inny dobył broni. Odpowiedział mu brzęk tuzina wyciąganych mieczy.

– Negocjacje uważam za przerwane. – Jeromin z obrzydzeniem odsunął od siebie karty, jakby dotykał wyjątkowo paskudnego robaka. – Bezczelność. W Kevlarze wieszamy szulerów.

– W Imperiale też – odpowiedział głucho Lance ‘on Dönhoff.

Kątem oka dostrzegł, jak król Heavel przymyka oczy i oddycha z ulgą.

* * *

– …i właśnie dlatego umarł jako zdrajca, który według oficjalnej wersji zaprzepaścił możliwość arcyważnego sojuszu. Praktycznie wymazano go z kart historii, na zawsze pogrzebano jego osiągnięcia. Tylko nieliczni znają prawdę. On zginął za nas, rozumiesz? Zarówno za mieszkańców Imperiału, jak i znienawidzonego Kevlaru. Był dobrowolną ofiarą złożoną na ołtarzu polityki, bo czyjaś krew musiała zostać przelana. Lance ‘on Dönhoff jest bohaterem wyklętym.

Bo’akh–Bonthuzel nieśmiało podniósł rękę.

– Mogę o coś zapytać?

– Oczywiście – uśmiechnął się Mistrz Haxerlin.

– Po jaką cholerę mi o tym opowiadasz?! – wrzasnął demon w ciele jedenastolatka. – Pytałem tylko, co to za głupia karcianka, w którą grałeś wczoraj u Zaco! Na Kaosa, rozumiem pojęcie dygresji, ale ta nudna bajeczka ciągnęła się przez bitą godzinę! Podpisywaliśmy Pakt o Nieagresji i Przewoźnictwie[1] czy może przez przypadek zapisałem się na obwoźny kurs edukacji?! Nie mówiąc już o tym, że twoja historia nie trzyma się kupy!

– Co?! – oburzył się kupiec. – Niby kiedy?

Thuz zaczął wyliczać, za każdym razem odginając kolejny palec.

– Mówiłeś, że podczas turnieju używano najznakomitszej talii, tak? W takim razie skąd Lance miał dostęp do drugiej, identycznej, którą ukrył w rękawie?

– Pewnie poprosił czarnocienie o podobny egzemplarz… – Haxerlin podrapał się po głowie. – Wiesz, pod pretekstem wypróbowania.

– Tak? A szczęk broni, kiedy odkryli, że oszukuje? Czyli chwilę wcześniej jedli z mieczami przepasanymi do boków? Przy królu? To była uroczystość w pałacu czy urodziny kapitana garnizonu?

– Przyznaję, miejscami mogłem dodać nieco dramatyzmu…

– À propos samego Heavela. Akcja tego wyciskacza łez osadzona jest kiedy? Sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu? I wasz władca już wtedy był „lekko szpakowaty”? To ile lat ma teraz? Wedle moich ostrożnych szacunków dobija do stu dziesięciu. Absurd!

– Ale…

– Nie przerywaj! Co ze stajennym, który raz wysławiał się jak oderwany od pługa chłopek, a później snuł polityczne dyrdymały tonem natchnionego proroka? Pomijam już to, że dostał się do pokoju Lance’a i przechytrzył królewskich agentów. To był, cholera, cuchnący końmi odpowiednik czarnocienia? – podniósł głos. – I jeszcze ten świerzb, na wszystkich mrocznych bogów! Co to wnosiło do historii? Akcent humorystyczny, co? Miałem się uśmiechnąć? Proszę bardzo: ha ha ha! Twoje żarciki budzą jedynie uśmiech politowania.

Mistrz już otwierał usta, ale poirytowany Thuz machnął ręką.

– Nieważne. Kiedy o coś pytam, oczekuję konkretnych odpowiedzi, zrozumiane? A pytałem, człowieku, o karty.

Mistrz Haxerlin posmutniał. Uważał się za dobrego gawędziarza, ale kto tam wie, czego lubią słuchać demony?

Przetasował talię i zaczął od początku.

---

[1] Bohater nawiązuje do wydarzeń z opowiadania „Większe Związanie Hatecrafta” opublikowanego w zbiorze „Cuda i Dziwy Mistrza Haxerlina”.

Świąd – Jacek Wróbel

Zaczęło się w piątek, kiedy odeszła Ewa.

* * *

Michał zatapiał się w miękkie obicie fotela, patrząc tępo w ścianę i machinalnie mnąc w dłoni potargany zwitek papieru. Po dłuższej chwili wyprostował rogi kartki i rozłożył ją na stoliku.

„Dość tego. Odchodzę. Nie szukaj mnie.”.

Oczywiście, kiedy po powrocie z pracy znalazł notatkę przyklejoną do lodówki i zorientował się, że rzeczy żony zniknęły (podobnie jak trzymane w starej pozytywce oszczędności na czarną godzinę), pierwsze, co zrobił, to wybrał jej numer. Nie odebrała. Nie odebrała też za drugim ani trzecim razem. Przestał maltretować przycisk zielonej słuchawki, gdy liczba połączeń niebezpiecznie zbliżyła się do trzycyfrowej liczby.

Był prawie pewien, że to koniec. Nie oszukiwał się, że ze względu na te kilka wspólnie przeżytych lat, które w najlepszym wypadku można było określić „takimi sobie”, Ewę najdzie szczera skrucha i lada moment stanie zapłakana pod drzwiami, prosząc o wybaczenie. Michał nie

był zły, nie był zaskoczony takim obrotem wydarzeń, był po prostu rozczarowany, że wszystko potoczyło się tak szybko. Za szybko. Jak chłopiec w lunaparku, który liczył na długą przejażdżkę diabelskim młynem, a koło obróciło się ledwo dwa razy i w międzyczasie ktoś opędzlował mu portfel z kieszonkowym.

Fotel dawał względne poczucie bezpieczeństwa. Lubił siadać w nim w wolnym czasie i zagłębiać się w lekturę, podczas kiedy Ewa kręciła się po mieszkaniu albo przyrządzała posiłki. W fotelu wszystko było takie zwyczajne – zwyczajny relaks, zwyczajne popołudnia, zwyczajne małżeństwo. Gdy opuszczał wygodne siedzisko, ponura rzeczywistość wracała ze zdwojoną siłą. Zdawkowa wymiana uprzejmości („Jak ci minął dzień? Dobrze, a tobie? Też dobrze. Cieszę się”), krępująca cisza, unikanie spojrzeń, czasem pozbawiony namiętności seks. Na wyścielanym tronie mógł przesiadywać całymi godzinami, ba, najchętniej w ogóle by się z niego nie podnosił. Tam nie dosięgały go odłamki sypiącego się sufitu, nie słyszał pękania fundamentów, nie zwracał uwagi na grzyba lęgnącego się na ścianie. To był teren eksterytorialny, niepodlegający ruinie, w jaką stopniowo zamieniał się ich związek.

Teraz w fotelu było inaczej. Michał wbijał spojrzenie w rządek równych liter, starannie nakreślony ręką żony, i coś nie dawało mu spokoju. Nie bolące serce, nie zraniona duma, coś dużo bardziej przyziemnego, coś irytująco fizycznego…

Ocknął się i dostrzegł, że od dłuższego czasu nieświadomie drapie się po prawej ręce. W zgięciu łokciowym powstała zaczerwieniona plamka. Musiał się drapać, odkąd przestał wydzwaniać do Ewy i postanowił przemyśleć sprawę na spokojnie, pozbierać myśli w bezpiecznej przystani. Dotąd coś zakłócało proces analizy, wytrącało z rytmu pracujące neurony aż tu proszę, wreszcie znalazł się winowajca. Nie mógł wziąć się w garść, bo całą uwagę absorbowało swędzące ramię. Niby błahostka, ale…

Próbował to powstrzymać, ale drapał się jeszcze dobre kilkanaście sekund. Dopiero później wstał z miejsca i ruszył do łazienki, gdzie obmył rękę zimną wodą.

– Gdzie mogła pójść? – zastanawiał się na głos, ścierając wilgoć. – Jej rodzice nie żyją, moich nie znosi, koleżanki… Czy ona ma w ogóle jakieś koleżanki? – spytał swojego odbicia w lustrze, które cmoknęło wargami i przybrało skupioną minę. – Myśl, myśl, myśl, myśl, myśl, myśl…

…szur… …szur… …szur… …szur… …szur… …szur…

Chropowata powierzchnia ręcznika boleśnie drażniła skórę. Mężczyzna szorował ramię jak automat, któremu zaprogramowano funkcję „przód-tył” i dwukrotnie podkręcono obroty.

– Co jest?! – rzucił ręcznik na posadzkę, jakby palił żywym ogniem. – Jezu.

Zaczerwienione ramię swędziało jak diabli. Oparł się o umywalkę i wygwizdał fałszywie refren piosenki, która

niedawno wpadła mu w ucho. Wszystko, byle przestać myśleć o drapaniu.

– Pieprzone uczulenie. Pełno pyłków w powietrzu.

Nie był do końca przekonany, czy w środku zimy latają po dworze jakieś alergeny, ale żadne inne tłumaczenie nie przychodziło mu do głowy.

* * *

…szur… …szur… …szur… …szur… …szur… …szur…

Obudził go ten denerwujący dźwięk. Zanim zasnął, obwiązał ramię bandażem, by uniemożliwić realizację kuszącej wizji ulżenia sobie w cierpieniu. Pomysł nie był najwyraźniej wcale taki dobry – strzępy rozdartego materiału walały się po całym łóżku, a paznokcie raniły skórę na podobieństwo brony przebijającej się przez twardą glebę.

Zapalił lampkę. Pod paznokciami zalegały drobinki startego naskórka. Prawie ramię, już nie tylko w zgięciu łokciowym, naznaczone było czerwonymi smugami. A pod rozdrapaną warstwą…

– Kurwa, jak swęęęędzi! – zajęczał i kurczowo chwycił się za rękę. Zagryzając zęby, walczył z narastającą chęcią zrzucenia prześcieradła i szaleńczego ocierania się o chropowatą powierzchnię łóżka.

Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Oddychał głęboko i wyobrażał sobie, że dryfuje łódką po łagodnej toni jeziora. Metodę tę podpatrzył w telewizji, u mnichów uczących medytacji – podobno doskonale

pozwalała się uspokoić. Nie był mnichem, nie umiał żeglować, może dlatego w jego przypadku cudowna technika jakoś specjalnie się nie sprawdzała. Męczył się wizjami iluzorycznego rejsu i zaciskał dłoń na prawym przedramieniu, jakby chronił drogocenny skarb. Zasnął dopiero nad ranem.

Był tak wykończony, że nie rejestrował nawet nieregularnego szurania rozlegającego się tuż przy jego uchu.

* * *

Gdy otworzył oczy w sobotnie popołudnie, prawie go zemdliło. Na pościeli zalegały warstwy złuszczonego naskórka, a jego własna ręka niewiele różniła się od kończyny dotkniętej pierwszą fazą trądu. Krople ropy przypominałyby zwykłe przebarwienia z tłuszczu, powstałe w trakcie niedbałego jedzenia obfitego posiłku, gdyby nie posoka, z którą się łączyły. Mieszanka płynów ustrojowych pokrywała ramię od nadgarstka aż do barku i była odpychającym następstwem gwałtownego pocierania.

Michał chciał krzyknąć, ale zamiast tego jak zahipnotyzowany przejechał palcem po zaropiałym przedramieniu.

– Co za… – Mocno wbił paznokieć w ledwo zagojoną ranę i oderwał cienką warstewkę tworzącego się strupa. Zanim żółtawa ciecz zdążyła pokryć skaleczenie, udało mu się kilkakrotnie zadrapać paznokciami jasnoróżową skórę. Ból był przejmujący.

Zorientowawszy się, co robi, wyskoczył z łóżka i pędem pobiegł do łazienki. Włożył rękę pod strumień zimnej wody. Wolną dłonią zrzucał z szafek toaletowe akcesoria. Dezodorant, pasta do zębów, woda kolońska…

– Jest!

Maszynka do golenia lepsze dni miała już dawno za sobą. Michał swego czasu cieszył się, że obalił twierdzenie widniejące na opakowaniu – „Do jednorazowego użytku”. Golił się nią prawie trzy miesiące, aż zielony pasek nawilżający stał się tylko wspomnieniem. Przetarta, biała linia („pasek z aloesem i witaminą E”) i dwa pordzewiałe ostrza („lepszy komfort golenia”) od tygodnia skutecznie zachęcały go do zapuszczania modnej bródki. Teraz jednak musiały wystarczyć.

Włosy. Włoski rosnące na ramieniu. Małe cebulki, osadzone pod skórą, nieustannie podrażniały źródło swędzenia… Cienkie końcówki, ocierając się jedne o drugie, łaskotały powierzchnię ręki przy każdym najmniejszym poruszeniu… Tutaj tkwił problem. Na pewno.

Przy pierwszym pociągnięciu odpadła większość strupów. Obmył ostrze i powtórzył ruch. Na zadrapanej kończynie znowu pojawiły się czerwone strużki i ropne wykwity. Nie zwracał na nie uwagi. Dokładnie przejeżdżał po całej zewnętrznej części przedramienia, czyszcząc skórę z włosów i skrzepów krwi. Dla pewności potraktował maszynką także biceps, chociaż nie przypominał sobie, by z niego również coś wyrastało.

Był niecierpliwy. Rdzawe ostrza, prowadzone zbyt szybko, pozostawiały za sobą krwawe ślady – wysepki płynnej czerwieni na morzu zadrapań i żółci. Za wszelką cenę chciał pozbyć się nieprzyjemnego swędzenia, które przejmowało kontrolę nad całym organizmem, zakuwało umysł w kajdany nerwowego tiku. Myślami nie mógł wybiegać poza obszary odpowiedzialne za błyskawiczne sprawienie ulgi, nie mógł wybiegać do…

– Ewaaa! – okrzyk bólu zlał się z imieniem żony, kiedy agresywnym pociągnięciem zdarł ostatnią warstwę strupów. Podstawił okaleczone ramię pod strumień wody, obmywając je z resztek naskórka i ogolonych włosów, które przywarły do lepkiej mazi. Podrażnione gruczoły wypluwały płyny w takim tempie, jakby chciały zasklepić je i utworzyć woskowy pancerz, odcinając tym sposobem świat zewnętrzny od szaleńczych prób wydrapania mięsa do kości.

Michał dygotał z obrzydzenia. Domyślał się, że zachowuje się irracjonalnie, że najlepiej będzie zarzucić coś na siebie i pobiec do dermatologa, do szpitala. W dwadzieścia minut będzie na miejscu, lekarz go zbada, wetrze jakiś balsam, przepisze leki…

– Przecież to, kurwa, nic takiego! – Głos Rozsądku szybko został zagłuszony przez Głos Faceta Którego Żona Uciekła z Domu, Zabierając Pieniądze Ze Starej Pozytywki. – Zaraz przestanie swędzieć…

Nie przestało.

* * *

Obcinanie było bez sensu. Do tego wniosku doszedł, kiedy odkładał cążki na półkę i spłukiwał fragmenty paznokci w zlewie.

– Będę po prostu mocniej dociskał. – Przygryzł wargę, bo na samą myśl o przejechaniu czymś twardym po okaleczonej skórze dostawał dreszczy.

Spojrzał na opuszki palców. Zobaczył nierówności na świeżo poobcinanych paznokciach i wyobraził sobie, jak te mikroskopijne krzywizny przecinają gojące się rany, jak dotykają najwrażliwszych części ciała… Ile przyjemności zaznałby w ciągu kilku chwil, wystarczyło przecież tylko dotknąć…

– Nie! – Uderzył pięścią w umywalkę. Dyszał niczym spanikowany gryzoń, otoczony zewsząd drapieżnikami. Gdy dostrzegł leżące na ziemi pudełko wykałaczek, wydało mu się ono ostatnią szansą na zmylenie pościgu.

Wilk, który wpadł w sidła kłusownika, jest w stanie odgryźć sobie nogę, żeby uciec.

Na szczęście pamiętał, gdzie odłożył zestaw do majsterkowania – nietrafiony prezent na święta. Wreszcie zrobi pożytek z tych obrzydliwie zielonych obcęgów.

Bolało tylko przy podważaniu pierwszego paznokcia.

* * *

Siedział w fotelu, postukując stopami w podłogę. Ciszę przerywało jedynie tykanie ściennego zegara. Wpatrywał się w okrągłą tarczę i odliczał.

…czterdzieści dwa, czterdzieści trzy, czterdzieści cztery…

Przebierał stopami w dziwacznym tańcu, dając pokaz amatorskiego, ale bardzo żywiołowego stepowania. Opuszki palców, każda szczelnie oklejona plastrem, gładziły srebrny uchwyt widelca.

…czterdzieści osiem, czterdzieści dziewięć, pięćdziesiąt…

Góra, dół, prawo, lewo, podskok, góra, dół. Pantofel ledwo wytrzymywał szaleńcze tempo. Widelec w dłoni kiwał się jak wahadełko hipnotyzera.

…pięćdziesiąt siedem, pięćdziesiąt osiem, pięćdziesiąt dziewięć…

Aluminiowe zęby rozorały skórę w tym samym momencie, w którym duża wskazówka odliczyła kolejną minutę. Mężczyzna wydał z siebie jęk bólu, przemieszany z prymitywnym, zwierzęcym westchnieniem spełnienia.

– Dłużej nie dam rady, nie wytrzymam, to dobry wynik… – przekonywał sam siebie, zagłębiając się coraz bardziej w delikatne mięso. W kącikach oczu pojawiły się łzy.

– Swędzi, swędzi, swędzi, ale swędzi! – Ząbki widelca zgarniały złuszczony naskórek jak grabie ogrodnika, porządkujące ogródek z zeschłych liści.

Prawe ramię było jedną wielką, nieustannie krwawiącą raną. Tam, gdzie jeszcze niedawno biel skóry kontrastowała z ciemnymi pasemkami włosów, znajdował się obrzydliwy skrzep, spod którego, z każdym pociągnięciem ostrego ząbka, wypływała cuchnąca ropa i brudnoczerwona posoka.

Wszystkie komórki ciała, budujące jego prawicę, domagały się drapania, tarcia, podrażnienia. Robił to, celebrując najdrobniejszą sekundę ulgi. Niestety nie miał czasu dłużej cieszyć się błogością, gdyż odzywały się kolejne obszary, pragnące znaleźć uwolnienie od nieznośnego, irytującego, doprowadzającego do szaleństwa uczucia.

Dlatego, chcąc definitywnie przerwać ten zamknięty krąg, postanowił wypalić rany.

* * *

W dłoni, zabezpieczonej kuchenną rękawicą, trzymał nóż i opiekał sztuciec w płomieniu palnika. Nawet przez gruby materiał czuł, że rączka jest strasznie nagrzana. Przełknął ślinę na myśl o gorącu, jakie wytworzyło się po drugiej stronie.

Wiedział, że to będzie bolało. Wiedział również, że będzie skuteczne. Oglądanie programów przyrodniczych naprawdę ma walory edukacyjne. Żar wypali nieznośny świąd i dodatkowo zasklepi rany. Wytrzymać kilka chwil i będzie po wszystkim, męczarnia wreszcie się skończy…

Wolał zrobić to w bezpiecznym miejscu. Rozsiadł się w swoim ukochanym fotelu, trzymając przed sobą rozgrzany kawał stali. Król Relaks i jego berło.

Tandetny plastikowy zegar, pamiętający jeszcze czasy transformacji ustrojowej, wybijał kolejne sekundy.

Tik–tak, tik–tak, tik–tak…

Wytrzymać pięć sekund, pięć sekund. Raz, dwa…

Tik.

Zanim stracił przytomność, ukruszył sobie dwa zęby, zaciskając szczękę na kneblu zrobionym ze skarpetki.

* * *

Zamrugał oczami. Dopiero po chwili odzyskał ostrość widzenia. W mieszkaniu śmierdziało przypalonym mięsem. Spojrzał na rękę. Po chwili śmierdziało także wymiocinami.

W zgięciu łokciowym widniała czarna plama, upstrzona kraterami z których wolno sączyła się szarobrązowa maź. Nigdy nie widział czegoś podobnego – ani na obrazkach w podręcznikach biologii, ani w programach dokumentalnych, ani na różnych paskudnych stronach w Internecie. Spopielona powierzchnia przypominała łuski jakiegoś wymarłego gatunku gada. Pomarszczona skóra nachodziła na siebie jak blaszki zbroi, tworząc zrogowaciałą siatkę obrzydliwego pancerzyka. Ropne wypryski kurczyły się i poruszały, pompując na wierzch cuchnącą wydzielinę, równie dobrze mogącą być zakażoną ropą jak i dziwacznym śluzem, którego żadną siłą rzeczy nie dane było wyprodukować ludzkim gruczołom. Wydzielina spływała wzdłuż ramienia, pokrywając zmaltretowaną skórę obślizgłą posoką. Zaczerwienione plamy, podskórne wyżłobienia, wydrapane pręgi i poobrywane kawałki naskórka zdobiły całą powierzchnię ręki, upodabniając ją bardziej do kończyny filmowego zombie niż człowieka.

Ale nie to było najgorsze.

Świąd nie zniknął. Po prostu na kilka minut odsunął się w cień i pozwolił umysłowi pławić się w przerażaniu. Nowe

doznanie było intensywne, ale nie na tyle, by przyćmić sprawcę całego zamieszania. A sprawca lubił powroty w wielkim stylu.

Ciało Michała wygięło się w łuk. Chciał krzyczeć, ale tylko wytrzeszczał oczy i poruszał ustami jak wyciągnięta na brzeg ryba. Pragnienie rozdrapania ręki było silniejsze niż wszystko, czego doświadczył w życiu. Zaczął trzeć ramię o szorstki dywan, wijąc się na ziemi i uderzając głową o podłogę w mimowolnych skurczach. Ropne wrzody pękały jak przebijane pęcherzyki bąbelkowej folii. Już przy pierwszym rozprysku poczuł smród zgnilizny i w drobnym przebłysku świadomości zdążył zarejestrować, że tak muszą cuchnąć wystawione na słońce gnijące zwłoki, na których ucztują cmentarne ścierwojady.

Nie mógł poruszać palcami prawej ręki. Kończyna była bezużyteczna, służyła tylko do dręczenia go przejmującym swędzeniem, narastającym z każdym przekłutym wypryskiem, z każdym otarciem o cudowną szorstkość. Płakał z bezsilności, tarzając się w plamach krwi i ropy.

Wolno poczołgał się w stronę kuchni. Zostawiał za sobą wyraźny ślad, jak wyjątkowo dorodny ślimak. Gubił płaty skóry, aż światło dnia ujrzały mięśnie i ścięgna. Naczynia krwionośne tworzyły plugawą sieć, otulającą zepsute mięso. Żyły pompowały zatrutą krew, wyznaczając fioletowy szlak wśród ognisk gangreny. Kości ręki kruszyły się, nie wytrzymując naporu podtrzymujących się na nich ciała.

Umierał. Ale to za mało, by powstrzymać żądzę.

* * *

Wiecznością wydał mu się czas, kiedy podnosił się z klęczek, podpierając zdrową dłonią o kuchenny blat. Chyba jeszcze dłużej podłączał urządzenie do prądu. Drżącymi palcami pozbył się osłon zabezpieczających, walcząc z wycieńczeniem i mdłościami. Trupia ręka wisiała wzdłuż tułowia jak rażona piorunem gałąź.

Kupił ją dla Ewy. Oboje cenili praktyczne prezenty. Skoro odeszła, nie obrazi się, że z niej skorzysta, nawet jeśli po wszystkim będzie do wyrzucenia.

Wiedziony niezdrową ciekawością ostatni raz rzucił okiem na ramię. Od razu pożałował. Z czyraków wystawały mięsiste, białe główki. Robaki przebijały się przez skórę na podobieństwo przebiśniegów pokonujących białą warstwę puchu. Drążyły tunele wśród nerwów, ślizgały po tafli żółci. Zżerały go od środka. Zwymiotował i szybko włożył do ust mokrą szmatkę.

Jedyne, co mu pozostało, to ulżyć sobie w cierpieniu.

Nie zastanawiał się długo. Włączył przycisk, zacisnął zęby na prowizorycznym kneblu i wepchnął obumarłą rękę w otwór na mięso. Szatkownica z łatwością przebiła się przez próchniejące kości.

* * *

Ewa długo stała pod drzwiami, trzymając dłoń na klamce. Serce kołatało jej jak szalone.

Przeprosi za liścik i może nie będzie tak źle. Wytłumaczy się, obieca, że to nigdy więcej się nie powtórzy.

Zwróci pieniądze z pozytywki. Nie wydała dużo, ledwo na dwie noce w hotelu.

Mogła odejść, ale dokąd? Co by jej to dało? Nie miała za co żyć, nigdy nie pracowała, z rodziną, która jej została, dawno straciła kontakt. Michał w gruncie rzeczy nie był taki straszny.

Nie cierpiała go, to prawda. Nie znosiła chłodu w jego oczach, obojętności, jaką bezceremonialnie manifestował, siedząc w tym durnym fotelu i popijając piwo nad gazetą. Gardziła jego wyniosłością, która brała się tylko z tego, że obejrzał do końca kilka programów popularnonaukowych, kiedy ona była zajęta pracą w kuchni. Irytował fakt, że traktuje ją jak element wystroju wnętrza, chodzący gadżet do gotowania i sprzątania.

Codziennie prosiła Boga o to, żeby mąż się zmienił. Czasem do modlitw zakradało się nieśmiało życzenie kary. Wszechmocny z podobnym zaangażowaniem zdawał się ignorować obie prośby.

Było źle, ale miała za to gdzie spać i co jeść, nawet za cenę… za cenę…

Zanim wpadła w panikę, przypomniała sobie, co zawsze powtarzała matka, tuląc ją do siebie i wysłuchując, jak zwierza się z małżeńskich problemów.

– *Mąż musi czasem uderzyć, Ewciu, grunt, żeby było co do garnka włożyć. Chłopy już tak mają, że czasem…*

Wzięła głęboki oddech i nacisnęła klamkę.

– *…swędzi ich ręka.*

Traktat o transmechanizmie – Jacek Wróbel

– Dziękuję państwu za tak liczne przybycie.

Doktor Wysocki dopiero zaczął prezentację, a już musiał minąć się z prawdą. *Ostatnim razem było was więcej* – westchnął w duchu. Nie mówiąc o jeszcze wcześniejszym. Ale czego innego mógł się spodziewać? Ludzi pasjonuje innowacyjność, to, co nieznane, rzeczy okryte mgłą tajemnicy. Eksperyment doktora Wysockiego najzwyczajniej w świecie się przejadł.

Półtora roku temu „Goniec Wielkiej Polski” poświęcił mu pierwszą stronę, spychając na dalsze łamy relacje z krwawych walk z niedobitkami carskich partyzantów. Krótko po tym „Metalowa Husarya” opublikowała obszerny wywiad, w którym doktor rozwodził się głównie nad techniczną specyfikacją przedsięwzięcia. Oba egzemplarze oprawił w ramkę i zawiesił nad kominkiem w swojej posiadłości. Zwłaszcza „Metalowa Husarya” napawała go dumą – pamiętał, jak zaraz na początku kilka razy w tygodniu zapraszał kolegę Raczyńskiego na herbatę i usadawiał go tak, by inżynier miał gazetę dokładnie na

wysokości oczu. Zgrzytał wtedy zębami jak źle naoliwiona zębatka.

Zerknął na stół, na pomięte wydanie dzisiejszego dziennika. Po pobieżnym przekartkowaniu niemal od razu rzucił go na stertę rupieci. Na okładce próżno było szukać choćby wzmianki o wydarzeniach rozgrywających się w Laboratorium Teknologii przy ulicy Bohaterów Powstania Lipcowego. Doktorowi Wysockiemu poświęcono zaledwie dwa akapity – na Boga, dwa akapity! – łaskawie upchnięte między artykułem o elektryfikacji pobliskiej wsi a policyjną notką o wczorajszej kraksie trzech mobili.

Doktor nie miał złudzeń. To, co jeszcze niedawno nie schodziło z ust wszystkich Polaków, zamysł określany przez najtęższe umysły jako kamień węgielny pod koncepcję transmechanizmu, a przez Kościół odsądzony od czci i wiary „akt nikczemnego bluźnierstwa”, przepoczwarzyło się w zwyczajną fanaberię. Fanaberię owdowiałego, podstarzałego naukowca. Na bankietach i dżentelmeńskich spotkaniach, z uwagi na jego dotychczasowe osiągnięcia, wspaniałomyślnie pomijano przymiotnik „szalonego”, ale zapewne było to – jak wszystko – tylko kwestią czasu.

Doktor Wysocki obrzucił zgromadzone w sali towarzystwo nerwowym spojrzeniem. Zerknął na czasomierz. Lwia część miejsc pozostawała pusta. Przybyło trzydziestu, góra czterdziestu gości i tylko jeden dziennikarz; fonogramista, jak wywnioskował po okablowanej walizeczce, na której mężczyzna

dystyngowanie splatał dłonie. Zero fotoaparatów, nikogo spośród poważanych żurnalistów.

Chrząknął i poprawił druciane okulary, osadzone na nieco haczykowatym nosie. Cóż, wasza strata.

– Dziękuję państwu za tak liczne przybycie – powtórzył głośniej, uciszając narastające szmery. – Mniemam, że każdy zna powód, dla którego się tu zebraliśmy.

W końcu opowiadałem o nim tuzin razy, prawda?

– Widzę, że brakuje wśród nas panienki Rokszyckiej. Pragnę uspokoić: incydent z zapłonem tuby termicznej nie powtórzy się. Nad bezpieczeństwem państwa odzieży czuwa przeszkolony strażnik ogniowy. – Skinął głową w stronę asystenta Tomasza, który na szczęście był jeszcze na tyle trzeźwy, że, oparłszy się o sztucer, mógł ustać na własnych nogach. – Proszę śmiało przesiąść się do pierwszych rzędów. Zapewniają lepszą widoczność.

Nikt nie podniósł się z miejsca. Zrezygnowany doktor Wysocki podszedł do osłoniętego płachtą wynalazku w centralnej części laboratorium.

– Aby bez potrzeby nie przedłużać, przejdę do konkretów. Po wyeliminowaniu błędów, które cieniem rzuciły się na ostatnią prezentację, i wprowadzeniu odpowiednich poprawek – między innymi wymianie płynów tłocznych i zastosowaniu nowego rodzaju lampek żarowych – oraz po przeprowadzeniu szeregu testów z zakresu biologii mechanicznej, robotyki i metalurgii, pragnę zaprezentować państwu finalną wersję InPropu, Inteligentnego Projektu na Parę!

Szarpnął za plandekę, by zebrani mogli ujrzeć dzieło jego życia w pełnej krasie. Rozległy się słabe oklaski.

Chwila byłaby zapewne przełomowa, gdyby nie fakt, że InProp widzieli już któryś raz z kolei – jeśli nie tutaj, w Laboratorium Tekniki, to na broszurkach Wszechpolskiego Instytutu Badań Naukowych (kiedy jeszcze akademicy byli gotowi sponsorować projekt) albo na wideografach.

Wizualnie wynalazek nie zmienił się na przestrzeni ostatniego półtora roku, przynajmniej dla laika. Doktor naniósł kilka nieznacznych poprawek w powłoce zewnętrznej – następstwo wymiany niektórych podzespołów odpowiedzialnych za transfuzję płynów konserwujących – ale dużą wagę przykładał do tego, by odpływy i wloty przypominały te użyte w prototypie. Za każdym razem, gdy zmuszony był wprowadzać modyfikacje obudowy, bolało go serce. Czuł się jak lekarz przeprowadzający zabieg amputacji tylko dlatego, że nie wiedział, jak usunąć małą narośl na skórze chorego.

Trudno było doszukać się w InPropie tego, co miało definiować jego istotę – oznak człowieczeństwa. Niespełna metrowe, baryłkowate urządzenie bardziej przypominało zbiornik na odpady. Dwie macki, odpowiedniki rąk, zaopatrzono w trójkątne chwytaki. Zwisały wzdłuż metalowego kadłuba niczym napompowane, martwe węże. Obudowę pokrywały dziesiątki kontrolek i żarówek, pośród których wmontowano płaski wideograf. Co chwila któryś ze wskaźników rozżarzał się bladym światłem albo pulsował

na czerwono, sygnalizując gotowość do pracy. Korpus wieńczyła nieproporcjonalnie duża, spłaszczona u góry kopuła. Tylko niepoprawny optymista albo doktor Wysocki odnalazłby w niej podobieństwo do ludzkiej głowy, która miast oczu miała dwie lunety na sprężynach, za usta służyła rozsuwana zapadka a lejkowate tuby imitowały uszy. Z czubka „głowy" sterczały rządki rurek odprowadzające parę – „fryzura ułożona na modłę wiedeńską", jak ze śmiechem opowiadał dziennikarzom, kiedy jeszcze chcieli go słuchać.

InProp, Inteligentny Projekt na Parę, dzieło życia doktora Wysockiego, jego miłość i nemezis. Twór szkaradny, dziwaczny, nieludzki, a jednocześnie niesamowity i pociągający, bo przepełniony podobieństwem do człowieka. Dosłownie.

Metalowa obudowa kryła w sobie ludzkie organy. Preparaty, zębatki, przekładnie i para jedynie wprawiały je w ruch.

Doktor zaprezentował standardowy program. InProp reagował na komendy głosowe i posłusznie wypełniał polecenia, poruszając się pośród publiki na dwóch zwrotnych gąsienicach. Delikatnie ujmował dłonie dam i składał na nich zimne, metalowe pocałunki. Rozegrał kilka partyjek w karty z członkami Klubu Dżentelmena (dwie przegrał; doktor zapisał sobie, aby zaktualizować bazę ruchów). Wyświetlał na wideografie przedmioty, które opisywano mu za pomocą encyklopedycznych definicji.

Obyło się bez problemów technicznych. Tym razem nic nie wyciekło ani nie wybuchło. Było dobrze.

Innymi słowy, InProp działał jak androbot, humanoid opatentowany przez pruskiego uczonego dwa lata temu. Z tą różnicą, że androboty były ludzkie na zewnątrz, InProp – w środku. I mimo że postępowy świat znał powód, dla którego na doktora Wysockiego spadła ekskomunika i zapoznał się z teoretyczną wykładnią zawartą w jego pracy „Traktat o transmechanizmie, czyli Dusza ze Stali", naukowiec wciąż nie potrafił udowodnić swoich hipotez. Władza świecka i środowiska naukowe co prawda umożliwiały mu legalny dostęp do świeżych organów – osób oddających ciało nauce albo tragicznie zmarłych, których rodziny wyraziły na to zgodę – ale wszystko wskazywało na to, że niedługo umyją ręce. Brak efektów równał się brakowi pozwolenia na dalszą mocno kontrowersyjną działalność. Na razie stracił wsparcie kolegów po fachu. Przypuszczał, że urzędnicy do tej pory nie cofnęli mu zezwolenia tylko dlatego, że nie chcieli publicznie przyznać się do błędu – pośredniego udziału w profanacji ciał.

Ale tym razem się uda. Musi.

– Kiedy przejdziemy do sedna? – zapytał lekko znudzony dziennikarz, umieszczając w fonogramie nową płytę. – Już to wszystko widzieliśmy.

Doktor Wysocki oblizał spierzchnięte wargi. Rozejrzał się dookoła. Ci ludzie przyszli tylko po jedno. Resztę znali, reszta im się znudziła.

– Właśnie miałem zaczynać.

Wyjął z chwytaka InPropa butelkę szampana, którym ten częstował gości. Przyklęknął przy konstrukcie i przysunął twarz bliżej lejka. Wstrzymał oddech i zmówił krótką modlitwę.

– Jaki jest twój ulubiony kolor?

InProp stał nieruchomo. Na wyświetlaczu drgania białej linii obrazowały bicie serca, stymulowane ruchem tłoczków parowych.

– Nie, proszę, nie stawiaj mnie znowu w tej sytuacji… – wyszeptał doktor. – Jaki jest twój ulubiony kolor?

– Co sądzisz o upadku caratu? – padło głośne pytanie z sali.

Kontrolki zamrugały, zabrzęczały wewnętrzne tryby, a wideograf wyświetlił garść faktów historycznych, łącznie z najważniejszymi datami i miejscami bitew.

– To przecież wiemy. Co TY sądzisz o tym wydarzeniu?

InProp milczał; publiczność zaczęła się przekrzykiwać.

– Co czujesz, patrząc na zachodzące słońce?

– Czy Bóg istnieje?

– Porusza cię, konstrukcie, muzyka wiedeńskich klasyków?

– Czy nasz władca Józef powinien iść na wojnę z Prusami?

Lunety pod gradem pytań wysunęły się na całą długość sprężyny, potem wycofały do wnętrza. Z odpływów na kopule buchnęła para. Wideograf pokrył się błękitem.

– Przepraszam, matryca zbiorów padła, przepraszam… – wydukał zawstydzony doktor Wysocki. – To wymaga tylko

małych…

Nikt go nie słuchał. Goście zaczęli się rozchodzić, nie ukrywając rozgoryczenia.

* * *

– Dlaczego mi to robisz? Dlaczego…?!

Doktor Wysocki zamoczył szmatkę w spirytusie i delikatnie obmył mackę InPropa. Za oknem zmierzchało. Zapewne w tej chwili ludzie dzielili się przy kolacji rewelacjami na temat kolejnej nieudanej próby tchnięcia duszy w maszynę. Nie łudził się. Tylko najbardziej wytrwali – usilnie odpychał od siebie myśl, że najbardziej naiwni – stawią się na następny pokaz.

Nie wiedział, dlaczego konstrukt z nim pogrywa. Najwyraźniej miał powód. Nie był na niego zły, odczuwał tylko melancholijny zawód.

Wciąż go kochał. W końcu mieścił zakonserwowane organy osoby, która była mu najbliższa na świecie. Był nośnikiem duchowej esencji jego żony.

Gdyby ktokolwiek dowiedział się, że złamał regulacje dotyczące transmechanacji narządów, czekałoby go więzienie. Gdyby odkryto, że grób pani Wysockiej został naruszony, a jej organy usunięte, trafiłby na szafot. Może właśnie dlatego InProp nie chciał współpracować: bał się zdemaskowania, troszczył się o niego…

– Czy tak właśnie jest, najdroższa?

Szczypczyki delikatnie pogładziły go po policzku. Wideograf wyświetlił komunikat.

NIE MARTW SIĘ PIOTRZE KOCHAM CIĘ

Doktor Wysocki stłumił narastający w gardle szloch.

WIEM ILE TO DLA CIEBIE ZNACZY ALE ŚWIAT NIE JEST GOTOWY

– Jest, właśnie że jest, ptaszyno! Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? To nadzieja, to przełom, to nie iskierka, a płomień postępu!

CIIII PRZYTUL SIĘ DO MNIE

Czule objął stalowy korpus. Macki oplotły go w pasie.

POCAŁUJ MNIE CAŁUJ MNIE JAK WTEDY W WENECJI

Splótł palce z chwytakiem. Przełknął łzy i dotknął wargami metalowej zapadki, czując, jak namiętność rozchodzi się mu po ustach.

ACH ACH PRAGNĘ CIĘ PIOTRZE PRAGNĘ

Pospiesznie zdjął koszulę, nie przerywając słodkiego pocałunku. Chwytak ocierał się o wypukłość jego spodni. Pragnął zostawić to wszystko za sobą: dotacje na badania, splendor, nagłówki w gazetach, zazdrosne spojrzenia inżynierów, i znowu oddać się we władanie miło…

Poczuł na karku chłód lufy sztucera. Nakryli ich! Nakryli ich razem!

– Co pan robi, na Boga?!

Głos jego asystenta, Tomasza.

– Widzisz to, widzisz? – pożądanie mąciło mu zmysły. – InProp działa, on czuje, żyje!

– Niech pan natychmiast przestanie, to… to chore!

– Tomaszu, przejrzyj na oczy! Eksperyment się udał!

– InProp jest odłączony od zasilania, godzinę temu padły ogniwa! Sam posłał mnie pan po nowe. W dodatku trwa proces tłoczenia formaliny! Ta beczka po prostu tu stoi, a pan… pan…

Doktor Wysocki westchnął. Głupiec, niczego nie rozumie. Może InProp ma rację, świat nie jest gotowy.

– To nie ma nic wspólnego z nauką, to deprawacja, obrzydliwość. Proszę natychmiast się odwrócić albo strzelam! Nie żartuję!

Doktor uśmiechnął się; czule pieścił między palcami lejkowatą tubę. Po chwili namysłu podważył zębami zapadkę gębową i wsunął język do środka.

Huk miłości dosłownie zwalił go z nóg.

Jacek Wróbel

Rocznik ’88. Przygodę z pisaniem rozpoczął przed kilkoma laty i dobrze zrobił, bo z pewnością uratowało go to przed zupełnym pogrążeniem się w marazmie codzienności. Został nagrodzony w paru ogólnopolskich konkursach literackich – cieszy zwłaszcza wyróżnienie na IX Międzynarodowym Festiwalu Opowiadania oraz statuetka Kryształowego Smoka, jaką wręczono mu na wrocławskich Dniach Fantastyki 2014. Publikował w „Nowej Fantastyce”, Qfancie i Esensji. Jego opowiadanie znalazło się również w zbiorze „Ostatni dzień pary”.

W sieci publikuje pod nickiem uthModar.

Mieszka i pracuje w Lublinie. Lubi nieobjęte akcyzą papierosy. Ukochana kobieta oraz Mistrz Haxerlin powstrzymują go przed zostaniem politycznym terrorystą.

http://geniuscreations.pl/autorzy/jacek-wrobel/
https://madbooks.pl/wrobel-jacek
https://ebook.madbooks.pl/jacek-wrobel

GENIUS CREATIONS

madbooks.pl

10% rabatu

KOD RABATOWY:
GENIALNYMADBOOKS
na książki GeniusCreations